ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1881.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIII.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1881

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Августа 1881 года.

SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

II. FILOZOFIA.

III. RZECZY SPOŁECZNE.

IV. ETNOGRAFIA.

V LITERATURA.

Sprawa włościańska w Irlandyi.

I.

Nie możemy powiedzieć, żeby częsta niestety konieczność ścierania się z Irlandczykami w Nowym świecie, Anglii i kraju ich własnym, sympatyą nas dla ich charakteru napełniła. Przeciwnie. Zrozumieliśmy powód owych lig anti-irlandzkich, zawieranych w Ameryce przez ludzi rozmaitych narodowości: od Anglików i Yankesów, do katolickich chłopów polskich, Żydów i Chińczyków, zapominających o niezgodach nurtujących w gminach kosmopolitycznych, jeśli się trafi sposobność wspólnéj akcyi przeciw motłochowi irlandzkiemu, którego dziwny szowinizm i kłótliwy temperament czuć się daje nieprzyjemnie sąsiadom. Przykład takiéj ligi dały w r. 1880 wszystkie warstwy oświecone w New-Yorku, podczas wyborów burmistrza. Kto żyw agitował i pracował, żeby pierwszym urzędnikiem stolicy handlowéj stanów Zjednoczonych nie został człowiek, któremu nic nie było można zarzucić, prócz urodzenia na „zielonéj wyspie.“ Nikt nie organizował tego ruchu. Był on samorodnym dowodem opinii innych narodowości o Irlandczykach. Moglibyśmy wiele podobnych dowodów przytoczyć, że dowcipny *Pat* z Erynu nie posiada, wśród licznych talentów i cnót, daru skarbienia miłości ludzkiéj.

Nie skaptowani przez Irlandczyków, spędziwszy tyle chwil przyjemnych w życiu z Anglikami i Szkotami, ileśmy gorzkich od tamtych doznali, nauczywszy się cenić gruntowność, wytrwałość i bezstronność umysłu angielskiego, a lekceważyć błyskotliwą lekkość irlandzkiego, poznawszy bliżéj kilku głośnych „agitatorów“ i znalazłszy w nich pod maską krzykliwego patryotyzmu ambicyą wyuzdaną i egoizm zimny, patrząc ze wstrętem, na ślepe służalstwo

ciemnego gminu klerowi, który, ze wszystkich zasad ultramontańskiego katechizmu, pamięta najlepiéj naukę *de haereticis non tolerandis*— zostając pod wpływem takiéj informacyi i uczuć nie możemy być podejrzywani o przyjaźń dla Homerulerów, Parnellistów, ligi włościańskiéj i hierarchii kościelnéj irlandzkiéj. Zamierzając wypowiedziéć zdanie o sporze tych ludzi z Anglią, znajdujemy się w przykrém położeniu sędziego, mającego decydować proces między osobą co najmniéj obojętną a przyjacielem.

Nie cofamy się wszakże od obowiązku, który wkłada na nas lepsza znajomość wielu kwestyj rzeczonego procesu, niż ta jaką domatorowie polscy posiadają. Kto wie, czy koniec końców zdanie z ust niepochlebnie się wyrażających o charakterze irlandzkim, nie będzie miało pewnéj wartości, jako dowód zapatrywania się na los włościan irlandzkich przez człowieka, któremu Anglia miłą, ale milszą prawda. Przyjąwszy dawną dewizę „*fiat justitia*, *ruat coelum*" w formułowaniu naszych sądów o sprawach politycznych i społecznych, chcemy się wznieść w niniejszéj rozprawie po nad poziom publicystów, powtarzających bez wyboru i krytyki pochwytane z uprzedzonéj części prasy angielskiéj i zagranicznéj opinii o agitacyi włościańskiéj w Irlandyi. Będziemy się starali wskazać: jakiemi drogami i sposobami właściciele wielkich irlandzkich posiadłości doszli do teraźniejszego swego znaczenia, jak z niego korzystają, czy zasługują lub nie na sympatyą świata, czego żądają rzetelnie włościanie, co im ofiarował p. Gladstone, oraz kilka innych t. p. rzeczy, mogących interesować czytelników, od dwóch lat ciągle rozciekawionych wzmiankami gazet o skomplikowanéj kwestyi włościańskiéj w Irlandyi.

Ruch ten cały, odłożywszy na stronę epizody aresztowań, stanu oblężenia, feniańskich wybryków i ekscentrycznych popisów indywidualnych, jest z jednéj strony stanowczém wołaniem włościan irlandzkich o sprawiedliwość, a z drugiéj, usiłowaniem Anglii, natchnionéj niespodziewanie duchem cierpliwości i wspaniałomyślności dla słabego narodu—będącym do twarzy narodowi potężnemu, jak biały bukiet na łonie dziewicy—żeby temu żądaniu zadość uczynić. Jest to jeden więcéj krok Anglii na pochyłéj i ślizkiéj drodze restytucyi, wiodącéj do oddania Irlandyi autonomii ukradzionéj. Za zrobienie tego kroku należy się dank Gladstonowi i jego kolegom ministeryalnym. Nie usuwamy się od obowiązku złożenia wyrazów uznania za ich akt piękny. Szkoda, że podobna sposobność chwalenia ich rzadko się nam trafia, bo inne dzieła polityczne Pp. Gladstona i Ski. częściéj nam się wydają błędnemi, niż godnemi oklasku.

Praca podjęta przez nich w sprawie irlandzkiéj jest trudną, jak każda reforma społeczna w Anglii, oględnie zabierającéj się burzyć dawne instytucye. Sami Irlandczycy przeszkadzają jéj nieraz nietaktownem postępowaniem. Szkodzi jéj także wyrobione w umysłach wielu Anglików przekonanie, że gdyby role były zmienione i nie Irlandya im, ale oni Irlandyi podlegali i gdyby ultramontański kler irlandzki posiadał wpływ i potęgę kościoła anglikańskiego i mógł puścić wodze swéj nienawiści dla heretyków, a Pp. Parnell, Biggar i Dillon byli ministrami Wielkiéj Brytanii,—że w takiéj, na szczęście niemożliwéj ewentualności, wieleby jeszcze wody upłynęło korytami Shannonu i Liffeyu, nimby się Irlandczycy na jakikolwiek objaw liberalnéj, sprawiedliwéj polityki zdobyli.

Wszakże, powiadają oni daléj, inteligencya jest córką dobrobytu i wolności i nie daje się wychować w chacie nędzy i ucisku. Polepszenie losu ciemnych włościan irlandzkich może zapewnić skutek wyższy od obdarzenia ich dobrobytem—zwrócić im rodzinną celtyckiego charakteru szlachetność, siedmio-wiekowemi nieszczęściami skażoną. Wyzwoliwszy ciała tych 5 milionów biedaków z pod jarzma kilku tysięcy panów, otworzy się możność ich duszom do wyłamania się z więzów bigoteryi i ciemnoty. Każdy człowiek ma prawo spożywać owoce swéj pracy, choćby był zacofanym, kłótliwym chłopem z prowincyi Connaught. Widzieliśmy z upodobaniem na kurulskiem krześle senatorskiém Stanów Zjednoczonych człowieka czarnego jak heban. Był tego krzesła ozdobą. Czyżby uwłaszczony *Pat* z powiatu Galway mniéj był zdolnym wzbić się wysoko od wyzwolonego murzyna? Niechże sprawiedliwość, stojąca na piedestale sięgającym w wiecznie błękitne i spokojne stropy, wytrzęsie z szali złotéj, dolę irlandzkiego kmiotka mierzącéj, nędzę i pogardę i ucisk, jakim ją 7 wieków napełniło! Bądźmy wspaniałomyślni!

Tak myśleli zapewnie autorowie przedstawionych w bieżącéj kadencyi parlamentowi angielskiemu projektów reform i restytucyj, z któremi zamierzamy zapoznnć czytelników z taką dokładnością, na jaką pozwalają ramy zarysu dziennikarskiego.

II.

Opowiedzmy najpierw historyą własności ziemskiéj w Irlandyi, bo bez pobieżnéj znajomości tych dziejów trudno byłoby czytelnikowi zrozumieć, dla czego ustawy i zwyczaje, regulujące w Anglii stosunek właścicieli wielkich posiadłości z ich dzierżawcami, a nie przeszkadzające w tymże kraju rozwojowi rolnictwa i dobrobytu społecznego, okazały się w Irlandyi niesprawiedliwemi i nieznośnemi.

Początek historyi sięga XII-go wieku, czyli pierwszego najazdu na celtycką Irlandyą dokonanego przez rozbójnicze, normandzko-saskie zastępy Henryka II. Działo się to w jednym z owych rycerskich, duszom sentymentalnym drogich wieków, w którym podboje społeczeństw słabych przez silne i grabienie ziemi sąsiadów, było legalnym, częstym, w pieśniach sławionym sposobem szerzenia t. z. kultury. Jak dziś spółki kupieckie zawiązują się dla robienia dobrych interesów drogą pokojowéj kolonizacyi i handlu, tak wtedy robiły wspólki chciwych ziemi baronów i rycerzy dobre interesa najeżdżaniem bezbronnych plemion, a jednym z najlepszych interesów tego rodzaju opisanym w dziejach, było zawojowanie Irlandyi przez stalą okutych, głodnych przywłoków z po za morza, którzy się zaraz ziemią celtycką (1) podzielili.

Odtąd staje się kronika Erynu długim regestrem najazdów angielskich, zbrojnych powstań irlandzkich przeciw częściowo ugruntowanéj władzy zaborców, krwawego tych rokoszów tłumienia i konfiskat ziemi powstańców na korzyść zwycięzkich najezdników. Obszary konfiskowane, dzierzone niegdyś przez klany, czyli rody, sposobem częściowo komunistycznym, przeszły pod prawa własności i dziedzictwa wspólne krajom feudalnym, celtyckiemu duchowi niezrozumiałe i wstrętne; a natura dwóch plemion na jednéj wyspie mieszkających tak jest sprzeczną, że chłopstwo z Celtów pochodzące dotąd nie umiało się przejąć wniesionemi z germańskiéj obczyzny pojęciami o prawach własności ziemskiéj.

Naturalny antagonizm między autochtonami i przybyszami bywał łagodzony w pierwszych wiekach swego istnienia tą okolicznością, że koloniści angielscy żenili się z kobiétami krajowemi, a ich potomstwo z wyspiarzami się amalgamowało. Dopiero po przyjęciu protestantyzmu przez Anglików, a wytrwaniu Irlandczyków w religii katolickiéj, stało się dalsze zlewanie dwóch tych szczepów niemożliwém, a do rywalizacyi plemiennéj przybył inny, trudniejszy do złagodzenia powód nienawiści—przesądy i swary wyznaniowe, tém namiętniejsze, im mniéj rozsądne, bo ludzie wszystko sobie łatwiéj wybaczają, niż różnicę w zdaniach, powziętych bez rozwagi i krytyki.

---

(1) Ciekawych dokładnéj znajomości tego przedmiotu odsyłamy do prac autorów, w znacznéj części Anglików i protestantów, ale traktujących kwestyą objektywnie i naukowo, jak np. do dzieł: *History of Irish Land Tenure* by Richley—*History of England in the 18 Century* by Leckey—*New Irleand* by Sullivan i t. d. Warto także czytać pisma kwakra angielskiego, Ridgway'a, który się w r. 1847 i 1880 wspomaganiu nawiedzanych klęską głodową chłopów irlandzkich poświęciwszy, stan ich ekonomiczny gruntownie zbadał, a z cudną malowniczością i chwalebną prawdomównością opisał.

W walce téj wyznaniowéj okazał się charakter celtycki szlachetniejszym od angielskiego, bo gdy za panowania królowéj Maryi ognie inkwizycyi nie gasły na londyńskiém Smithfield i protestantów angielskich tępiły bez miłosierdzia, Irlandczycy nie naśladowali tak złego przykładu, ale tolerowali garstkę protestantów, znajdujących się w ich kraju. Nie odpłacając pięknèm za nadobne, ci sami protestanci rzucili się na katolicką większość swych rodaków z krwiożerczością, godną Hiszpanii, skoro Elżbieta na tron wstąpiła i przewagę nowéj religii zapewniła na zawsze. Rząd ustanowiony w Irlandyi przez tę królowę wymyślał najrozmaitsze sposoby nawracania wyspiarzy na wiarę zreformowaną. Budował wszędzie kościoły protestanckie i pastorów w nich instalowanych hojnie uposażał, polecając im gorliwość w nawracaniu katolików. Biskupi i duchowni katoliccy byli ciemiężeni, karani i obdzierani z mienia, a ich owieczki zostały pozbawione wszelkich praw obywatelskich. Przy téj szatańskiéj wytrwałości w narzucaniu nowéj religii gwałtownemi środkami, nie przyszło nigdy na myśl Anglikom, żeby robić prozelitów drogą łagodności i argumentów. Przeciwnie, możnaby rzec, że niczego nie zaniedbali, coby mogło ich wyznanie zohydzić w oczach Irlandczyków. I tak, pastorowie nasyłani obrażali lud, czystość obyczajów zawsze wysoko ceniący, swém życiem rozwiązłém. Chciwość ich nie znała granic. Służbę Bożą prawili po angielsku lub po łacinie, czyniąc ją niezrozumiałą dla gminu. Nie postarali się nawet o przekład Pisma św. na język irlandzki. Słusznie też zauważył historyk Leckey, że Irlandya musiała pozostać katolicką skutkiem niegodnego postępowania rzekomych misyonarzy protestanckich.

Naturalnym skutkiem wszczętego przez Elżbietę prześladowania katolików, było zbrojne powstanie. Czytelnicy historyi powszechnéj znają przebieg téj rewolucyi i środki użyte do jéj pokonania. Żołdactwo nie oszczędzało ani niewiast, ani niemowląt, a paliło rok w rok żniwa Irlandczyków, żeby ich do ostatniéj nędzy doprowadzić. Wyspiarze jedli chwasty i wykopywali z cmentarzy zwłoki własnych krewnych, na pożywienie. W całéj prowincyi Munster — świadczy współczesny Holingshed — nie było widać ani jednéj ludzkiéj lub czworonogiéj istoty po za obrębem miast. Ziemią wytępionego ludu obdarzono przywłoków, którzy prędko się wzbiwszy w dumę, powołali do jéj uprawy tubylców z innych okolic i obłożyli ich czynszami. W ten sposób zaczęła się t. zw. kwestya agraryjna w Irlandyi, spór kilkuwiekowy, podsycany nienawiścią wyznaniową, plemienną i społeczną. Nie długo, oczynszowany chłop irlandzki musiał się oswajać z poddaństwem i pańszczyzną, rzeczami w jego kraju nieznanemi.

Za panowania Jakóba I wywłaszczono Irlandczyków w całych sześciu powiatach północnéj prowincyi Ulster, jednéj z czterech wielkich działów, na jakie Irlandya się rozpada. Jeden taki powiat sprzedano pewnéj kompanii londyńskiéj za 40.000 funt. st. Do zabranego kraju sprowadzono kolonistów szkockich i osadzono ich na czynszu, płaconym tak owéj kompanii, jak rozmaitym panom angielskim i szkockim, obdarzonym skonfiskowaną ziemią. Koloniści, lud dzielny i oględny, zawarowali sobie w umowach z panami, że nie będą nigdy rugowani ze swych dzierżaw, dopóki będą wszystkie warunki kontraktów wypełniali; w razie zaś, gdyby który z panów chciał się dzierżawców pozbyć, będzie obowiązany wynagrodzić im straty, wynikające z opuszczenia gospodarstw. Układ ten dał początek zwyczajowemu, dla włościan korzystnemu prawu prowincyi Ulster, zwanemu *Ulster Tenant Right*, którego, rozpowszechnienie na całą Irlandyą polecają jako jeden ze środków polepszenia bytu jéj włościan.

Ucisk doznawany pod panowaniem Karola I, zmusił Irlandczyków jeszcze raz za oręż chwycić. Rokosz ten został stłumiony dopiéro przez Cromwella, środkami i sposobami nad pojęcie nowoczesne nieludzkiemi, których opis zostanie najczarniejszą plamą na obfitych w ciemne ustępy kartach historyi angielskiéj. Żołdacy genialnego despoty, którego, czciciel i prorok siły przed prawem a powodzenia przed cnotą, ów autor z samego mózgu ale bez serca złożony — Carlyle (1) — chciał nam jako wzór bohatera przedstawić, pastwili się nad wyspiarzami jak tygrysy. Od roku 1641—1652 zmniejszyła się skutkiem wojny, głodu i moru ludność Irlandyi z 1.466.000 do 850.000, czyli powstanie kosztowało 616.000 ofiar. Po wojnie wysłano niezliczone gromady młodzieży irlandzkiéj do Indyj zachodnich, gdzie ją w niewolę plantatorom zaprzedano. Jak dawniéj prowincyą Ulster, tak teraz wyludniono Munster i Leinster, wypędzając z nich nietylko takich, co broń nosili, ale wogóle wszystkich „papistów“ do najnędzniejszéj z czterech prowincyj irlandzkich— pełnéj skał nagich i bagnistych torfowisk Connaught. W dzikich górach tego zachodniego kraju musiała się mieścić cała ludność katolicka, do któréj prawnie należała Irlandya od morza do morza. Przypomniawszy historyą takiego prześladowania zrozumiemy, dla-

(1) Płochość, z jaką niektórzy publicyści polscy słowo w słowo, uwielbienia i treny o Carlylu w angielskich i niemieckich gazetach spotykane, dla użytku polskich czytelników powtarzają, zmusiła nas do napisania zdania powyższego, któregośmy w każdéj chwili bronić gotowi. Niech sobie Niemcy admirują wielbiciela Fryderyka Wielkiego, ale my!...

czego chłop irlandzki życzy po dziś dzień swemu wrogowi, aby „Klątwa Cromwella na nim spoczęła!“

Z restauracyą Stuartów zaczęła się krótka niestety epoka lepszéj stosunkowo doli dla Irlandczyków. Pomnąc ich wierność dla swéj dynastyi, Karol II przeprowadził między katolikami i protestantami rodzaj kompromisu, według którego ci zostali w posiadaniu dwóch trzecich (a jak inni historycy twierdzą, trzech piątych) części wyspy, katolikom zaś oddano resztę jéj powierzchni. Ziemie urodzajne i korzystnie położone, zostały w posiadaniu protestantów.

Rewolucya w r. 1688, skończona ostateczném wygnaniem Stuartów a podjęta pod hasłem społecznéj i religijnéj wolności, zapewniwszy saméj Anglii tryumf zasad postępowych i formy rządu ściśle parlamentarnéj, raczéj pogorszyła, niż polepszyła położenie biednéj Irlandyi. Ten nierówny podział doli i niedoli wynikł z tego powodu, że jedna z instytucyj bezrozumnych i niesprawiedliwych, owoc czasów przedrewolucyjnych, ocalała po burzy, która z tronem Stuartów niejedną obaliła anomalią. Tą instytucyą był kościół anglikański. Fatalny dla szczęścia narodu angielskiego związek kościoła z państwem miał trwać przez dwa wieki jeszcze, by nawet w teraźniejszych czasach waśnić współziomków, a dla Irlandyi być do niedawna ciężarem niezmiernym i krzyczącym dowodem nietolerancyi angielskiéj. W téj Irlandyi, gdzie $^4/_5$ krajowców do katolickiego należało wyznania, większość zaś pozostałéj części należała do kościoła prezbyteryańskiego, kościół, panującym zwany, nie posiadał prawie innych zwolenników oprócz szlachty i garstki mieszczan, a jednakże żaden z presbiteryanów nawet nie mógł piastować urzędów publicznych, a żaden z katolików nie mógł być wyborcą. Los dysydentów protestanckich był jednakże dość znośnym, a tylko katolicy podlegali owym „prawom karnym“—*Penal Laws*—o których tak się wyraził sławny mówca, Burke:

— Dowcip człowieczy nic od nich praktyczniejszego dotąd nie wymyślił, w rodzaju mądréj i doskonale urządzonéj maszyny, w celu uciemiężenia, zubożenia i poniżenia całego narodu, a nawet zbydlęcenia ludzkiéj natury...

W *Constitutional History* Hallama (t. II. roz. 18) spotykamy się z wymownem streszczeniem tych praw osławionych, z których najważniejsze zwięźle powtórzymy.

Katolicy byli wykluczeni z parlamentu, z posad sędziowskich, urzędów gminnych, rad miejskich, uniwersytetu, zawodu adwokackiego. Nie mogli być szeryfami, konstablami, przysięgłymi, marynarzami, żołnierzami, nawet gajowymi i nocnymi stróżami. Nie wolno im było głosować przy żadnych a żadnych wyborach, trudnić się nau-

czycielstwem wiejskiém i udzielaniem lekcyj prywatnych. Cała ich wyższa hierarchia duchowna była obłożoną wieczną banicyą. Tylko księża w urzędzie zapisani mogli mszę odprawiać i sakramentów udzielać. Każdy ksiądz przechodzący na protestantyzm miał prawo do pensyi dożywotniéj. Żona katolika wyrzekająca się religii męża zostawała wolną, a lord kanclerz mógł jéj przyznać część majątku małżonka. Podobną swobodę i nagrodę mógł uzyskać każdy syn katolika, porzucający wiarę ojca. Jeżeli który z synów został protestantem, ojciec stawał się zaraz tylko dożywotnim właścicielem mienia rodzinnego i tracił prawo sprzedać je, zadłużać lub testamentem rozporządzać. Katolikom było zabroniono żenić się z protestantkami. Ktoby protestanta na katolicyzm nawrócił, mógł być karany śmiercią. Katolicy nie mogli nabywać drogą kupna, darowizny lub spadku własności ziemskiéj od protestantów, ani téż brać ziemi w dzierżawę na dłużéj, jak lat 31. Jeśliby protestant dowiódł, że zysk katolika dzierżawcy wynosił więcéj niż $1/3$ czynszu rocznego, kontrakt taki mógł być zaraz zerwany. Daléj zabroniono wszystkim majstrom katolickim, oprócz tkaczom, więcéj niż dwóch terminatorów trzymać, a żaden katolik nie mógł się cieszyć koniem, którego by wartość 5 funt. st. przenosiła, ale był zmuszony sprzedać swe zwierzę na zawołanie pierwszemu protestantowi, któryby mu 6 funt. st. za nie ofiarował.

Gdy bigoterya religijna takiemi i t. p. ustawami Irlandczyków ciemiężyła, sobkostwo angielskiéj szlachty, kupiectwa i fabrykantów wymyśliło na nich niemniéj straszne plagi. I tak, skutkiem wyludnienia Irlandyi w czasie wojny domowéj, była ona długi czas rozległém pastwiskiem, a wywóz bydła do Anglii tworzył jedyne jéj źródło dochodu. Parlament londyński postanowił ją utrzymywać w ubóstwie zakazem przywozu do Anglii irlandzkich wołów, owiec i nierogacizny. Gdy budownictwo okrętów i handel morski okazały cokolwiek żywotności w nieszczęśliwym kraju, zabił je tenże parlament ustawą, według któréj nie było wolno ani wprost do Irlandyi towarów przywozić, ani téż ich z niéj prosto do cudzych krajów wysyłać, ale wszystkie takie towary musiały wpierw być wyładowane i stemplowane w Anglii. Rynki wszystkich kolonij angielskich zostały raz na zawsze dla produktów irlandzkiego przemysłu zamknięte. Wyrób tkanin sukiennych, rozwijający się pięknie w Irlandyi, dzięki doskonałości wełny krajowéj, został stłumiony wcześnie zakazem wysyłania sukna irlandzkiego do jakiegokolwiek kraju. W podobny sposób obeszli się Anglicy z każdą inną gałęzią przemysłu irlandzkiego, budzącą w nich zazdrość. Jedna tylko, bardzo skromna wtedy, uszła ich argusowéj czujności—był nią wyrób irlandzkiéj weby i płótna, tak ważny teraz dla dobrobytu prowincyi Ulster.

Łatwo zgadnąć stan kraju, powyższym prawom podlegającego. Panowała w nim chronicznie przerażająca nędza, a klęski głodowe i epidemie z nich wynikające dziesiątkowały często jego ludność. Stan ten trwał do drugiéj połowy w. XVIII, aż zbudzony w Anglii duch krytyki i sprawiedliwości, nietolerancyą protestancką cokolwiek osłabił. Najsroższe z „praw karnych" zostały wtedy formalnie zniesione lub wyszły z użycia. Parlament irlandzki, jakkolwiek z samych protestantów złożony i wiernem narzędziem angielskich wielkorządców będący, zaczął dawać znaki samodzielnego życia. Pierwsze powiewy burzy, co do posad samych świat poruszyła, podczas amerykańskiéj i francuzkiéj rewolucyi, drgały już w powietrzu. Niebezpieczne położenie Anglii, uwikłanéj w wojnę ze sprzymierzoną Francyą, Hiszpanią i koloniami własnemi, dodało Irlandczykom odwagi do jedynego w historyi swéj nowszéj zręcznie zorganizowanego i kierowanego wystąpienia zbrojnego. Wystawiwszy w r. 1782 90.000 ochotników, upomnieli się o ulgi i reformy. Zlękniony parlament angielski, w którym Whigowie byli w większości, przyznał im bez rozpraw bardzo szeroką autonomią, którą się lat 20 cieszyli. W r. 1793 zrobił dubliński parlament pierwszy krok stanowczy na drodze reform, przypuszczeniem ludności katolickiéj do udziału w wyborach.

Nierozważne nawiązanie stosunków z dyrektoryatem francuzkim w r. 1796, wynikłe skutkiem tego powstanie, w którego kierunku i przebiegu zwykła Irlandczykom objawiła się niekarność, daléj brak patryotyzmu, męztwa i rozumu, okazany przez Irlandczyków w czasie przybycia posiłków francuzkich i fatalny koniec ruchawki, w któréj rzekomo 70.000 ofiar zginęło—wszystko to dało Anglikom pochop do przeprowadzenia unii między dwiema wyspami. Haniebne przekupstwa, zdrady, intrygi i podłości publiczne i prywatne, jakiemi ten związek nielegalny i nienaturalny był przeprowadzony, hańbią zarówno ówczesne rządzące sfery angielskie, jako też szlachtę irlandzką, która dosłownie autonomią swego kraju za tytuły i pieniądze sprzedała.

Unia rzeczona położyła na długo tamę, dziełu reform politycznych i społecznych zaczętemu w r. 1793, a ucisk katolików irlandzkich przez kościół anglikański i szlachtę niegodziwą miał trwać jeszcze prawie cały wiek. Energia patryotów irlandzkich musiała się zwrócić do jednego celu—zerwania przeklętéj unii, a takie rozpaczliwe zestrzelenie całego ducha narodowego w jednem ognisku, musiało wywrzéć skutki szkodliwe na jego charakterze.

Krew i łzy wylane w Irlandyi podczas agitacyj o emancypacyą katolików, o równouprawnienie religijne, uwłaszczenie włościan i zerwanie unii, mierzy już historya powszechnie znana, bieżącego stu-

lecia. Pominiemy je więc milczeniem. Nim jednak skończymy opis przeszłych cierpień, rzucimy jeszcze okiem na stan Irlandyi w chwili zawarcia fatalnéj unii, a to w tym celu, żeby usprawiedliwić Irlandczyków od zarzutu często im robionego, jakoby się okazywali niewdzięcznymi za reformy już przeprowadzone przez rząd angielski, i pałali względem niego nienawiścią, któréj żadne ustępstwa złagodzić nie potrafią. A więc, dodają konserwatywne głosy w Anglii i po za Anglią, niewarto pracować nad marną próbą ugłaskania nieprzebłaganych! Nam się najpierw zdaje, że czas wszystko łagodzący zdołałby tę nienawiść umiarkować, a powtóre, trudno ją brać za złe Irlandczykom, mając w pamięci obraz ich kraju w czasie niedawnym.

Widzimy na tym obrazie wyspę miernie urodzajną, ale skutkiem gospodarki angielskiéj pogrążoną w nędzy, nie spotykanéj w żadnéj innéj części Europy.

Widzimy ludność, któréj $^4/_5$ części do najgorliwszych wyznawców religii katolickiéj należy, a jest pozbawioną kościołów, wsparcia rządowego dla swych dusz pasterzy i praw politycznych. Musi dawać dziesięciny na korzyść znienawidzonego, obcego kościoła, nie czującego żadnéj sympatyi dla krajowców, stającego zawsze po stronie najezdników i ciemiężycieli. Jego duchowieństwo tonie w zbytkach, biskupi mieszkają za granicą, wyciągając z Irlandyi książęce dochody, proboszcze posiadają zwykle po kilka oddalonych od siebie, intratnych prebend, w których oprócz organisty i własnéj rodziny zgoła owieczek nie mają. Duchowieństwo to tak jest podłe i próżniacze, iż nawet nie wypełnia poleconego mu przez królowę Elżbietę obowiązku robienia prozelitów, chociaż go dlatego tylko hojnie uposażono, aby mogło się skutecznie téj pracy poświęcać.

Widzimy daléj kraj bez żadnego przemysłu, oprócz fabryk płótna, w jednéj tylko prowincyi istniejących.

Cała wyspa należy do garstki szlachty, obcéj krajowi pochodzeniem i religią, wzbogaconéj gwałtem lub intrygą, za usługi dworowi i ministrom angielskim oddane. Najbogatsi z nich nie mieszkają w Irlandyi, ale w Anglii, gdzie marnują grosz wyciśnięty bez litości z włościan, uprawiających ich folwarki. Wielkie obszary ziemi irlandzkiéj należą także do gild i korporacyj angielskich, trwoniących dochody z dóbr ziemskich na uczty i festyny. Dobra szlacheckie i gildowe są administrowane przez kosztownych, srogich dla ludu faktorów i agentów, obok których rozwielmożnia się też bez przeszkody klasa lichwiarzy, liczna i chciwa. Z téj klasy wyrastają często bogacze, nabywający dobra zrujnowanéj szlachty, ażeby z ludem sroźéj się jeszcze obchodzić od feudalnych panów.

I takiéj to szlachty, takich dorobkiewiczów potomkowie, biją dziś na alarm przed parlamentem angielskim i przed tumanioną Eu-

ropą, że uwłaszczenie chłopów, w prostéj linii od prawych właścicieli ziemi irlandzkiéj pochodzących, byłoby zamachem na własność i porządek społeczny! Oni, pokurcze plemienia konsfiskatorów, ważą się wyciągać nadużywane tylekrotnie straszydło socyalizmu, jakiém zawsze wojują ludzie ich gatunku, ile razy próbujemy królestwo szatana z ziemi eksmitować. Upiór ten spowszedniał! Oswoiliśmy się z nim, jak wróble z weretą na trześni! Geneza powstania wielkich posiadłości ziemskich w Irlandyi, doskonale w kronikach opisana, pozwala nam ocenić wartość argumentów, według których, żaden parlament lub rząd nie ma prawa mieszać się do administrowania własności, raz nabytéj, drogą rzekomo legalną.

Nie bez celu powtórzyliśmy w krótkości tę genezę. Przeczytawszy ją zastanów się czytelniku i powiedz, azali wielcy właściciele irlandzcy zasługują na sympatyą społeczeństw nowoczesnych. Ich przodkowie przeobrazili prześladowaniem religijném lud wesoły, dowcipny, dobroduszny i tolerujący różnowierców, na owych Irlandczyków zabobonnych, fanatycznych i brutalnych, których wszyscy inni ludzie unikają. Zabili kulturę narodową, nie zaszczepili innéj. Niesprawiedliwością zamącili w całym narodzie jasne pojęcie różnicy między złém i dobrém, uszanowanie własności, życia, trybunałów. Chłop wszelkiéj opieki pozbawiony i zrozpaczony znalazł jedyną broń przeciw bezprawiu w staréj sztrzelbie, którą z po za płota uśmiercał zdradziecko prześladowcę, a ogół Irlandczyków przyklaskiwał mordercy. Skrytobójstwo agraryjne stało się jednym ze zwyczajów irlandzkich. Cała wyspa była jako paszalik azyatycki, gdzie władzę nieograniczoną dzikiego wielkorządcy, tylko obawa zemsty krwawéj z ręki skrzywdzonéj jednostki ogranicza. Tak robili przodkowie. A czy synowie ich próbowali kiedy z własnéj inicyatywy naprawić zło przez tamtych wyrządzone? Przenigdy prawie! Przeciwnie, złorzeczą duchowi reform, uśmiechającemu się z Anglii do chłopa irlandzkiego...

III.

Niejeden czytelnik gotów nam zarzucić, żeśmy dotąd traktowali tylko zmienioną dzięki Bogu przeszłość Irlandyi, ale nie jéj teraźniejszość.

Tak, prawda, że obraz w poprzednim rozdziale zarysowany stracił w ostatnich latach wiele miejsc czarnych. Po trzydziestoletniéj agitacyi katolicy zyskali emancypacyą, a po dalszych 40 latach walki parlamentarnéj runęło drzewo kościoła anglikańskiego, co tak długo zaciemniało zmrokiem zabójczym powietrze zielonéj wyspy. Irlandya została też oswobodzoną z wszelkich szykan i ciężarów, tamu-

jących rozwój jéj handlu i przemysłu, a gdyby synowie jéj nie byli stracili zmysłu przedsiębierczości w długiéj niewoli poprzedniéj, to by mogli stworzyć liczne nowe źródła bogactwa narodowego. Oni wolą wszakże szukać chleba w angielskiéj służbie wojskowéj i biurowéj, garnąc się do niéj ze skwapliwością, zawojowanego narodu niegodną. Szerokość i bogactwo dzierżaw angielskich, otwiera im w tych zawodach pola niezmierzone i korzystne, o którychby nawet marzyć nie mogli, gdyby zamiast być integralną częścią olbrzymiego mocarstwa, Irlandya tworzyła samodzielne państewko. Gdziekolwiek sztandar angielski powiewa, bagnety irlandzkie go podpierają. Gdzie Anglik gnębi niższe rasy, używa do tego Konstabla i biurokratę irlandzkiego. Unia z Anglią przedstawia więc Irlandczykom niewątpliwe, materyalne korzyści (1). Cóż z tego, gdy z szeregu ohydnych instytucyj przeszłych jedna jeszcze się utrzymuje w Irlandyi, tak poczwarna i okrutna, że sama już wystarcza na unieszczęśliwienie tego kraju! Jest ona tak szkodliwą dla dobrobytu słabszego narodu, jak niebezpieczną dla całéj Wielkiéj Brytanii, bo Irlandczyk nigdy lojalnym poddanym angielskim zostać nie może i wiecznie agitować musi i zawsze będzie żywił zamiary zdrady i zemsty, na wypadek wojny między Anglią a innem mocarstwem, dopóki ta instytucya pasorzytna kwitnie. Jest nią t. zw. *System of Irisch Land Tenure*, czyli system dzierżenia ziemi irlandzkiéj.

Jest on spaczoną kopią systemu panującego w Anglii, który także kiedyś niezawodnie stanie się celem krytyki i reformy gruntownéj, dotąd jednak jest tolerowany, a nawet chwalony, z powodów rozmaitych. Najpierw, właściciele ziemi angielskiéj nie różnią się od swych dzierżawców pochodzeniem i wyznaniem i nie są pijawkami bez serca i rozumu, nakształt znacznéj części szlachty irlandzkiéj, ale ludźmi pojmującymi interes własny. Ich dobra są podzielone na wielkie folwarki, wypuszczane zamożnym gospodarzom, których chybienie jednego lub dwóch żniw do noszenia torby żebraczéj, śmierci głodowéj lub emigracyi do Ameryki nie zmusi, jak to bywa z drobnymi dzierżawcami irlandzkimi, jeśli się im raz kartofle nie

(1) Do bilansu zysku i straty wynikającéj dla Irlandyi z unii z Anglią wypada także wciągnąć poważne sumy, zarabiane tak przez 2 miliony Irlandczyków stale przybywających do bogatszéj wyspy, jakotéż przez tysiące wyrobników co rok ją odwiedzających dla zarobku, tudzież fortuny zbierane przez irlandzkich wychodźców w koloniach angielskich. Znaczna część tego zarobku płynie do Irlandyi, w formie gotówki. Niektórzy autorowie dowodzą, iż dochód z tego źródła więcéj wynosi, niż ubytek spowodowany wysyłaniem do Anglii dochodów swych właścicieli ziemskich, którzy nie chcą mieszkać w swych dobrach irlandzkich. Ubolewania na ten „absenteism“ szlachty należą do ulubionych argumentów patryotów Erynu przeciw nienawidzonéj unii.

urodzą. Powtóre, proleteryat wiejski w Anglii znajduje w sąsiednich miastach fabrycznych łatwy sposób zarobkowania. Ciągnie też chętnie do kolonij dalekich, wyznając germańską zasadę *ibi bene, ubi patria*, a nie podzielając celtyckiego przywiązania do nędznéj strzechy rodzinnéj i do jałowego zagonu ojczystego. W końcu, mówiąc słowami *Times'a*, który raz tę kwestyą w obszérnym artykule wstępnym traktował, pospólstwo angielskie posiada w wysokim stopniu cnotę, do któréj napominał stokroć Carlyle, niemieckim wyrazem *Ehrfurcht* ją określając. Czci on, a nawet lubi możnych lordów, monopolistów, służąc chętnie u nich i ceniąc zwykłą w takiéj służbie obfitość, ponad niezależną nędzę, drogą niekarnemu potomkowi irlandzkich Celtów. Nie brak tedy podpór systemowi feudalnego dzierżenia ziemi w saméj Anglii. W Irlandyi brak ich zupełny.

System ten daje się opisać kilku zdaniami.

Irlandya, przypominająca kształtem czarę, gdyż jéj środek jest niski i płaski, a brzegi są górzyste i wysokie ze wszystkich stron (1), zawiera na swéj powierzchni około 20 milionów akrów (2), których $^2/_3$ są uprawiane, $^1/_3$ zaś do uprawy teraz się nie przydaje, składając się ze stoków kamienistych lub bagnistych torfowisk. Jednakże rzeczoznawcy twierdzą, że niemały obszar téj części mógłby się stać użytecznym po melioracyi niezbyt kosztownéj.

Ludność Irlandyi, wynosząca przed r. 1848 przeszło 8 milionów dusz, zmniejszyła się tak skutkiem klęsk rozmaitych jak bezprzykładnéj emigracyi do niespełna 5 milionów, nie jest więc tak gęstą na milę kwadratową, jak we Francyi, Włoszech, Niemczech, a nawet w Austryi. Zajmując kraj miernie urodzajny, powinnaby znaleść w nim wyżywienie obfite i lepsze od ziemniaków, któremi się karmi przeważnie!

Wprowadzenie téj rośliny na wyspę i zbytnie jéj rozpowszechnienie wolno by nazwać jeszcze jedną plagą, wniesioną z zagranicy do nieszczęśliwego kraju. Kartofle posiadają jak wiadomo tę wątpliwéj wartości zaletę, że ich uprawa pozwala wydobyć jak najwięcéj pożywienia z jak najmniejszym nakładem pracy i kapitału z kilku

---

(1) Obraz ten, dawno już przez nas użyty w opisie podróży po Irlandyi, spotykamy także w listach znanego autora i publicysty francuzkiego, pana M. G. Molinari, do *Journal des Debats*. Wymienione listy, pełne barwy i trafnych spostrzeżeń, ale pisane w duchu nieprzychylnym projektowanej reformie stosunków włościańskich w Irlandyi, przyczyniły się do zamącenia pojęć czytelników europejskich o naturze téj reformy, przedstawiając ją, jako ugodę z komunizmem.

(2) 1 *acre* = $^2/_5$ hektara. Mniéj więcéj $^2/_3$ morgi.

zagonów. Ograniczywszy wszystkie swe potrzeby do spożywania téj rośliny, chłop irlandzki nietylko zleniwiał, ale téż znalazł sposobność dogodzenia swéj skłonności do żeniaczki w bardzo młodym wieku i do produkowania rodzin, których liczba stoi w odwrotnym stosunku do zamożności rodziców. Prawo Malthusa o szybkim wzroście ludności nigdzie się téż nie sprawdziło tak dosłownie, jak w Irlandyi, przed straszną klęską głodową w r. 1847. Lud jéj mnożył się jak piasek nad morzem. Zawierała miliony proletaryatu wiejskiego, żyjącego na ziemi dzierżawionéj a nie posiadającego żadnych, a żadnych zasobów, na wypadek chybionego żniwa. Pierwsza ogólna zaraza ziemniaków naraziła cały ten proletaryat na ostateczność głodu. Pamiętna ta klęska nie zmieniła niestety systemu rolnictwa, ulubionego drobnym dzierżawcom irlandzkim. Kartofle są zawsze głównym przedmiotem uprawy i pożywienia. Związki swe małżeńskie zawierają zawsze lekkomyślnie i bardzo młodo, a stadła ich słyną z obfitości w potomstwo. Jedyném polem zarobkowania dla dorastającego pokolenia jest rolnictwo. Ztąd znów pełno w niéj zawsze konkurentów o każdą *farme* (folwark) do wydzierżawienia. Z téj konkurencyi wypływa daléj, iż właściciele własności ziemskiéj są zupełnymi panami sytuacyi i mogą naznaczać takie czynsze jakie im się podoba. Chłop musi tam przyjąć warunki przez szlachcica stawiane, lub emigrować, albo zginąć. Jest on tak łatwym w przyjmowaniu obowiązków, którym nie będzie mógł podołać, i obiecywaniu czynszów, z których nie będzie mógł się uiszczać, jak wieśniak galicyjski w podpisywaniu umów, skazujących go na płacenie lichwy. Rozumne prawodawstwo powinno go bronić od skutków własnéj lekkomyślności.

Właściciele wielkich posiadłości w Irlandyi są i z tego powodu potężni, że ich liczba jest bardzo małą, w stosunku do powierzchni wyspy, podzielonéj między 19.000 indywiduów, których znaczna część tyle posiada gruntu, ile domy ich lub folwarki okrywają. W saméj rzeczy, cała prawie przestrzeń Irlandyi zdolnéj do uprawy należy od kilkutysięcy osób. W téj liczbie ogólnéj znajduje się:

452	osób posiadających	więcéj niż po	5.000	akrów
135	„ „	„ „ „	10.000	„
90	„ „	„ „ „	20.000	„
14	„ „	„ „ „	50.000	„
3	osoby posiadające	„ „ „	100.000	„
1	osoba posiadająca	„ „ „	150.000	„

Daléj:

292	osób posiada	1/3 część	całéj wyspy
744	„ „	połowę	„ „
1.942	„ „	2/3 części	„ „

Pod tą szczupłą liczbą panów żyje 585.000 familij włościańskich, czyli około 3 miliony dusz, których jedynym środkiem utrzymania jest uprawa większych i mniejszych *farm* na jakie dziedzice irlandzcy swoje dobra podzielili. Z powyższéj tabliczki wynika, że 400.000 familji chłopskich, należy duszą i ciałem do 2.000 wielkich właścicieli, posiadających dwie trzecie Irlandyi. Daléj około 400.000 włościan składa klasę t. z. drobnych *farmerów* (dzierżawców), t. j. ludzi bez żadnego prawie kapitału, a uprawiających małe gospodarstwa, których czynsz roczny 15 funt. st. w najlepszym razie nie wynosi. Gospodarstwa takie składają się z chaty i kilku, a najwyżéj kilkunastu morgów i są wypuszczane chłopom bez kontraktów długoletnich, z roku na rok. Jeśliby się panu spodobało swych chłopów się pozbyć, a ich zagony na park lub pastwisko zmienić (rzecz często się zdarzająca), to cała gromada nędzarzy musi na skinienie tegoż pana ruszyć z pod ciepłych strzech w świat zimny, niemiłosierny.

Około 100.000 takich rodzin nędznych i niepewnych jutra mieszka w chałupach bez kominów, o jednéj izbie tylko, podobniejszych do chlewów, niż do siedzib ludzkich. Przekonaliśmy się w podróży po Irlandyi, że podobnych szałasów nie ma zresztą w całéj Europie, nie wykluczając Rusi i Rumunii.

Z wyjątkiem prowincyi Ulster, gdzie prawo zwyczajowe, *Tenant Right*, broni włościanina od kaprysów pańskich, chłopstwo całéj Irlandyi znajduje się w takiem położeniu, że w latach urodzajnych posiada mierne utrzymanie i pewną obfitość ulubionéj mu *whisky* (wódki jęczmiennéj), a po pierwszym nieurodzaju nie stać go nietylko na czynsz dla panów, ale nawet na wyżywienie własnéj rodziny. Panowie nie wahają się w takich razach wypędzać nędzarzy zajmujących legowiska, chatami zwane, na drogi publiczne. Proceder ten „ewikcyą" w Irlandyi nazywany, odbywa się za pomocą drabów (*crowbar brigade*) uzbrojonych w żelazne narzędzia i przysłanych z urzędu. Takto opiekuje się Anglia nad świętemi przywilejami własności. Znana Liga włościańska, zorganizowana podczas klęski głodowéj w przeszłym roku, miała na celu zorganizować włościan przeciw eksmisyom. Cel ten nazwano buntem. Ówczesny projekt Gladstona, odbierający właścicielom prawo eksmitowania, niepunktualnych z powodu ubóstwa, czynszowników do końca klęski głodowéj, by ochronić kraj od widoku scen, jakieby się powtarzały przy wypędzaniu niezliczonych nędzarzy, projekt ten ludzki, został odrzucony przez zgromadzenie monopolistów, izbę lordów. Spotykaliśmy bezwstydne korespondencye, opisujące tak działalność Ligi jak projekt Gladstone'a w świetle zamachów na „prawa własności."

pomysłów stronnictwa „kollektywizmu i komunizmu“ (1). Warto więc posłuchać, jak czcigodny biskup dyecezyi Meath przedstawia naocznie widzianą scenę eksmisyi irlandzkiéj.

— Była to „ewikcya“ okrutna, nieludzka—pisze—a każde jéj wspomnienie zakrwiawa nasze serce. Siedmset istot ludzkich wypędzili w przeciągu dnia w świat, dla dogodzenia kaprysowi jednego indywiduum, którego zasługi przed Bogiem i ludźmi były mniejsze niż najpokorniejszego z eksmitowanych! I pamiętacie, że od tych dzierżawców, prócz jednego, nie należało się z czynszu, ani szylinga. Brygada siepaczy uzbrojonych w drągi żelazne do burzenia domów pracowała z ochotą od świtu do zmroku nad dziełem spustoszenia i ruiny. W końcu wydarzył się wypadek, przerywający monotonność téj dzikiéj pracy. Wykonawcy woli dziedzica stanęli przed dwiema chatami, w których grasował tyfus śmierć siejący. Mieszkańcy zaklinali ich, aby im pozwolili jeszcze jakiś czas się nie ruszać, ale rządca dowodzący eksmitorami był nieubłagany i domy te rozwalić kazał. Poleciwszy rozpiąć szerokie werety po nad łóżkami chorych, leżących na szczęście w bezprzytomnéj gorączce, polecił potém rozbierać chaty uważnie i powoli...

Podajmy jeszcze jeden rys, charakteryzujący panów irlandzkich. W téj chwili właśnie, gdy ich napełnia obawa, że przyjęcie billu Gladstona pozbawi ich na zawsze rozrywki eksmitowania, wielu z nich wypędza bez litości wszystkich swych czynszowników, żeby nie mieć dzierżawców na swych gruntach w dniu wejścia prawa Gladstona w wykonanie, a potém gospodarować na własną rękę, na ziemi fortelem ocalonéj od sprawiedliwego czynszu i stałéj dzierżawy.

W przeciągu ostatnich lat 30 odbyło się z ich wiedzą i rozkazem przeszło 350.000 eksmisyj, obfitujących w bolesne sceny, z których jedną biskup sędziwy opisał.

Z liczb przytoczonych powyżéj przekonać się można, że podział ziemi praktykowany w Irlandyi jest anomalią w świecie ucywilizowanym. Brak tam zupełny klasy średnich właścicieli; są tylko magnaci i proletaryat bez żadnéj własności nieruchoméj. Dobra magnatów nie mogą być parcelowane i sprzedawane częściowo teraźniejszym dzierżawcom, będąc związane fidei-komisami, przechodząc dziedzictwem z ojców na najstarszych synów tylko i będąc także zwykle obciążone przeróżnemi paktami, umowami i hipotekami familijnemi, pretensyami wdów i młodszego rodzeństwa, tudzież dłu-

(1) Patrz: *L'Irlande, Lettres adressées au Journal des Débats par M. G. de Molinari* str. 2.

gami wszelkiego rodzaju. Wszystko to utrudnia ich sprzedaż częściową lub w całości. Procedura angielska przy zawieraniu kontraktów sprzedaży i przenoszeniu własności ziemskiéj z rąk do rąk, jako wymyślona przez jurystów i zupełnie z pojęciami naszéj epoki niezgodna, również stawia tamę w nabywaniu własności nieruchoméj. Każdy taki akt tworzy całą powódź mętnéj wody, w któréj adwokaci tłuste ryby wyławiają. Nie probujemy motywować naszego twierdzenia cytowaniem praw angielskich, ze średniowiecznych czasów zachowanych, regulujących przywileje i obowiązki właściciele wielkich posiadłości. Brak nam miejsca na traktowanie téj ciekawéj strony ustaw angielskich—téj zakały angielskich statutów. Nadmienimy tylko, że skutkiem ich niedorzeczności, niejeden dziedzic dzierży swój majątek w Anglii lub w Iralndyi prawem posiadania, ale dla braku dokumentów i ksiąg hipotecznych nie byłby w stanie swego tytułu posiadania udowodnić, a tém mniéj majątku sprzedać. Bez gruntownéj zmiany tych dziwnych praw włościanie irlandzcy nie mogliby przyjść do własności drogą wykupu, za zgodą teraźniejszych właścicieli.

Ile razy jednak trafiła się im rzadka i radośna sposobność nabycia ziemi na wieczyste posiadanie, korzystali z niéj skwapliwie. I tak, gdy część dóbr zniesionego kościoła państwowego została rozparcelowana i sprzedawana na wypłaty ratami, 5,623 dzierżawców stało się w kilku latach właścicielami *farm* swoich, płacąc za nie ceny wygórowane. Ci ludzie nietylko się z rat swych uiszczają rządowi z chwalebną punktualnością, ale zjednali sobie nadto pochwały urzędowe za pilność i wytrwałość, okazywaną w ulepszeniu nabytych gruntów. Świetny ten eksperyment odkrył w włościanach irlandzkich cnoty nieznane, tylko światła i opieki potrzebujące, ażeby zakwitnąć. Niestety, nie może on być powtórzonym na rozmiar większy w dobrach prywatnych!

Inny jeszcze zwyczaj właściciele dóbr irlandzkich zasługuje na opis szczegółowy. Upraszamy też myślących czytelników usilnie, żeby się nad nim dłużéj zastanowili, gdyż w nim tkwi jądro całego sporu agraryjnego i społecznego, między dzierżawcami i dziedzicami. Kto go nie zna, ten nie słyszał o najwymowniejszym argumencie chłopa irlandzkiego, przeciw wypędzaniu go z pod strzechy *własnéj* za niepunktualne płacenie czynszu. Kto o nim zapomina, ten nie pojmie rzetelnego usprawiedliwienia i celu ważnéj reformy, wniesionéj przez Gladstona, przed parlament angielski, w roku bieżącym.

Podczas gdy we wszystkich innych krajach właściciele ziemscy ponoszą na swych folwarkach, w całości lub części, koszt stawia-

nia domów mieszkalnych, budynków gospodarczych, mostów, płotów itp., panowie irlandzcy przeciwnego systemu się trzymają i zrzucają caly ten ciężar na dzierżawców. Dostawszy nagi, jałowy, kamieniami zawalony lub bagnisty kawał pola, bez chaty, obory, stajni, spichrza, płota, rowu lub dreny, chłop irlandzki musi się na nim zabudować i zagospodarować, a wszelkie ulepszenia robić własną pracą i nakładem. Jeśliby zaś po doskonałém urządzeniu farmy, podobało się pstréj łasce pańskiéj pod jakimkolwiek pozorem kontrakt dzierżawy zerwać i chłopa na trakt publiczny albo do Ameryki wypędzić, to wszystkie melioracye dokonane, stałyby się własnością pana. Do r. 1870, w którym *bill* Gladstona o wynagrodzeniu za pozostawione na gruncie ulepszenia stał się prawem, panowie przywłaszczali je sobie bez najmniejszego skrupułu i wynagrodzenia, a jedyną satysfakcyą skrzywdzonych bywał strzał zdradziecki z poza płota.

Prawo wymienione, znane jako *Land-Act*, o tyle zmieniło ten stosunek haniebny, iż zmusza właścicieli do płacenia wywłaszczonym dzierżawcom pełną wartość remanentów, na gruncie pozostających, jakoto budynków, płotów, dren, a nawet gipsu i gnoju, na pole wywiezionego. *Land-Act* chroma jednak w wielu punktach i niewypełnia należycie myśli, która jego twórcom przyświecała. Jest on raczéj opiatem na ból chwilowy, niż lekarstwem na chorobę chroniczną i posiada wszystkie znamiona pierwszéj, nieśmiałéj próby, na drodze ważnéj, pokojowéj rewolucyi. Głównym zaś jego słabości powodem są poprawki dodane przez izbę lordów, zgromadzenie z monopolistów ziemskich złożone, a sympatyzujące z podobnąż kastą irlandzką, któréj przywileje i nadużycia *Land-Act* miał przykrócić.

Główną i najszkodliwszą z poprawek tego rodzaju był paragraf, pozbawiający, chłopów wywłaszczonych za niepunktualne płacenie czynszów, prawa do rzeczonego wynagrodzenia. Ta więc najuboższa część dzierżawców, których jeden rok nieurodzajny w takim stawia położeniu, że nietylko nie stać ich na czynsze i podatki, ale brak im ziemniaków i soli dla dzieci, tacy nędzarze zostali bez opieki i jakiejkolwiek indeminazacyi za liche chaty, zbudowane własnemi rękami, które zwykli swą własnością nazywać. „Pole pańskie, strzecha moja!" powiadają. Co gorzéj, tenże paragraf jest zachętą dla okrutnych i chciwych właścicieli do starania się o to, żeby chłopi czynszów punktualnie nie płacili, tudzież do wypędzania ich za najlżejsze wykroczenie przeciw słowom cyrografu, zwanego kontraktem dzierżawnym, podyktowanym przez pana biernemu, wzdychającemu wieśniakowi. Wszakżeż właściciel dostaje nagrodę za każdą eksmi-

syą niesprawiedliwą, w kształcie wszystkich remanentów nieruchomych, znajdujących się na farmie!

I czyż wolno przykładać do stosunku powyżéj opisanego miarę taką, jaką oceniamy umowy między np. polskimi właścicielami dóbr i posesorami? Czyż wolno przyrównywać kontrakty między proletaryatem wiejskim w Irlandyi i magnatami, do kontraktów, jakie zawierają kapitaliści dzierżawcy angielscy z swoimi lordami? Czy słyszał kto w jakim kraju, choćby w Anglii, żeby właściciel zmuszał czynszowników do budowania chat i śpichrzów, a potém im odbierał te zabudowania w czasie ogólnego nieurodzaju? Czy istnieje w Irlandyi obopólna swoboda i niezawisłość przy układaniu kontraktów, bez któréj umowa jest nieważną, nietylko w obliczu sumienia i honoru, ale nawet wobec pisanego prawa? Utrzymujemy tedy wbrew panom irlandzkim i konserwatystom w parlamencie angielskim, wbrew doktrynerom-ekonomistom społecznym na całym świecie, posuwającym miłość zasady *laisser faire* do ostateczności, iż każda ustawa, zmierzająca do nadania chłopu irlandzkiemu własności chaty, która jest dziełem jego rąk i zagonów, które zdobył na pustyni, nie jest zamachem na własność i porządek społeczny, ani téż ustępstwem komunizmowi zrobionéni. Na téj szerokiéj, zielonéj wyspie widzimy tylko komunistów w jednéj warstwie ludności—pomiędzy jéj wielkimi właścicielami!...

Jeszcze jedna anomalia irlandzka zasługuje na wzmiankę. Trzecia część „zielonéj wyspy" leży bez uprawy, na pastwiska dla kóz i osłów lub do eksploatowania torfu służąc. Można by ją obrócić na użytek rolnika umiejętnemi środkami melioracyjnemi. Chłopi irlandzcy, tak chciwi posiadać własną zagrodę i zagon, brali się chętnie do takiéj pracy, a znaczna część gruntów w ich posiadaniu powstała z pustyń, których ulepszenie kosztowało nieraz 20—30 funt. st. od akra, tj. więcéj od teraźniejszéj wartości tejże przestrzeni. Przy téj walce z przyrodą i glebą niewdzięczną rozwijali ciż chłopi zadziwiającą pilność i wytrwałość. Stało się jednak, że chciwość i głupota nominalnych panów owych pustych przestrzeni, zniechęciła ich do podejmowania opisanych ulepszeń, bo niech jeno szara chata się wzniesie z kamienia zebranego ze stoku pagórka i stok ten zmieni się w zieleniejący zagon kartofli, a bagno uśmiechnie się złotem żniwem, zaraz się zjawi na nich czarna postać pańskiego faktora i poborcy, wołając czynszu, wiele czynszu, funta lub 30 szylingów za każdy *acre*, co niedawno szylinga dochodu nie przynosił! Czyżby spotkał się kto z drugim takim dowodem chciwości i podłości ludzkiéj? Tym panom irlandzkim nietylko dobrobyt chłopa i ojczyzny ale własny interes zdaje się rzeczą obojętną.

Jeżeli lud zielonéj wyspy stracił ochotę do pracy, nauczył się nienawidzieć wyższe stany, zadaje gwałt własnéj naturze i mimo wrodzonego wstrętu do szukania chleba pod obcem niebem, emigruje z ojczyzny milionami, jeżeli zbrodnie agraryjne powtarzają się w Irlandyi w przerażającéj obfitości, dobrobyt jéj upadł a rolnictwo stoi poniżéj wszelkiéj krytyki; to cała wina takich stosunków tkwi w systemie, zwanym: *The system of land tenure in Ireland.*

IV.

Lekarstwa, proponowane przez zorganizowanych w znaną „Ligę włościańską“ czynszowników irlandzkich, na zło im dolegające, streszczają się w trzech postulatach, zwanych „Trzy F.“ przez lubiących symbolizować długi szereg pojęć krótkiemi formułkami Anglików. Ich tytuły zaczynają się bowiem przypadkiem od litery F. Wymienimy je:

Fair Rent—czynsz sprawiedliwy, któryby pozwalał dzierżawcy zatrzymywać sobie część owoców swéj pracy na przyzwoite utrzymanie wystarczającą. „Nie będziesz nakładał kagańca wołowi, wymłacającemu deptaniem twoje zboże“ powiada prawo mojżeszowe. „Nie głodź ludzi uprawiających twoję rolę“ woła do właściciela Liga włościańska.

Fixity of Tenure—stałość dzierżawy, tj. żeby punktualny i przyzwoity czynszownik nigdy nie mógł być eksmitowany z roli i chaty zajmowanéj przezeń, pod jakimkolwiek pretekstem.

Free Sale—prawo swobodnego odstępowania dzierżawy innéj osobie, bez zezwolenia właściciela gruntu, jeśli interes pierwotnego dzierżawcy to nakazuje.

Tyle żąda włościanin irlandzki i nic więcéj. Jego „Trzy F.“ zdają się nam umiarkowanemi postulatami, w porównaniu z forsownéem, kompletném, niekiedy bez indeminazacyi właściciéli wykonaném uwłaszczeniem włościan w państwach kontynentalnych. Znając głębokie uszanowanie prawodawców angielskich dla *Vested rights*—aktualnych praw własności, jakąkolwiek drogą nabytéj—nie odważa się on nawet marzyć o nieograniczoném uwłaszczeniu, ale ofiarowuje „czynsz sprawiedliwy“ i błaga tylko o możliwość bytu we własnym kraju, ubezpieczenie od eksmisyi samowolnéj, często kaprysem wielkiego pana spowodowanéj, a w razie takiéj eksmisyi wynagrodzenia za melioracye na gruncie pańskim jego pracą i zachodem wykonane. Pomimo jego umiarkowania są osoby, upatrujące w trzech tych postulatach doktryny socyalistyczne, a przewódca i rzecznik Torysów angielskich w izbie niższéj, Sir Strafford Northcote, paro-

dyując „Trzy F.“ nazwał je symbolami oszustwa, gwałtu i głupoty— *Fraud, Force and Folly*. Nawet między rzekomo liberalnymi zwolennikami popularnéj w naszych czasach szkoły ekonomistów *laisser faire* spotykają postulaty Ligi surowych krytyków. Potępiając we wniesionym przez Gladstona billu wszystkie zasady, z „Trzech F.“ przyjęte, pisze wymowny książę Argyll: „Jakto, próbujecie stworzyć trybunał z atrybutem wtrącania się w umowy prywatne? Chcecie ograniczyć swobodę jednéj strony, właściciela, w układaniu kontraktów? Zkąd prawo wasze do skrócania jego niezawisłości? Postanowiliście zredukować go do roli *roi fainéant*, pobierającego czynsze od dzierżawców, ale pozbawionego wszelkiéj kontroli tak nad nimi, jak nad swą własnością? Odebrać mu „sentyment“ dumy, z posiadania własności wynikającéj i zamiłowanie w upiększaniu i ulepszaniu własności, któréj jest panem nieograniczonym—sentyment czczym przez was nazywany, ale nie czczy w gruncie rzeczy, bo dzięki temu sentymentowi niezliczeni właściciele podnosili stan dóbr Wielkiéj Brytanii do stanu teraźniejszego, póki dwóch wysp w podobiznę ogrodu jednego nie zmienili. Przepowiadam wam, iż prawa tchnące duchem „Trzech F,“ zrujnują własność ziemską, odstraszą od niéj kapitalistów, staną się nieznośnemi więzami dla tych samych dzierżawców zaślepionych, których uwłaszczacie, skoro *mutatis mutandis*, zostawszy panami ziemi, ludzie ci ujrzą się zawisłymi od samowoli swoich przyszłych dzierżawców (1).“

Troskliwość autorów posługujących się takiemi argumentami o „niezawisłość“ wielkich właścicieli przy zawieraniu umów, wygląda naszém zdaniem tém dziwniéj, że nigdy nie okazywali podobnéj staranności o los irlandzkiego czynszownika. Wolno by ich się spytać, czy istniała kiedy rzetelna swoboda obopólna w stosunkach tamtejszych włościan i panów? Czy przeciwnie, chłopi nie znajdowali się w pozycyi jeńców, podpisujących mechanicznie warunki dyktowane? I daléj czy każdy kodeks, nawet angielski, nie pozwala trybunałom wtrącać się w umowy między takiemi stronami, z których jedna jest jawnie wszechpotężną, a druga bezsilną? O nieograniczonéj swobodzie może być tylko mowa tam, gdzie się równi z równymi układają. Mająż taką swobodę włościanie markiza Lansdowne, właściciela dość nowéj mitry, „Kuchcikiewicza“ co odziedziczył 120,616 akrów po lekarzu wojskowym Perry, który do nich przyszedł nienajprostszą drogą? Chłopi tego margrabiego muszą

(1) Argumenta wyjęte ze zręcznéj filipki ks. Argylla przeciw Billowi Gladstona, zawartéj w zeszycie *Nineteenth Century* z Kwietnia r. 1881.

kupować gips na koniczynę i kartoflisko u jaśnie oświeconego pana, który za wyrządzoną im łaskę dwa razy więcéj od ceny targowéj płacić sobie każe. Tymże chłopom dają fałszywe, o rok wstecz datowane kwity za czynsze płacone, ażeby p. margrabia mógł w każdéj chwili na bruk ich wyrzucić, pod pozorem, że z czynszami zalegają. Cóżby się stało z 10.000 rodzinami dzierżawców p. margrabiego, jeśliby okazali cień niezawisłości przy układaniu kontraktów? Czyż znalazłby się jeden właściciel dóbr w Irlandyi, któryby ich przyjął, gdyby markiz ich wypędził? Natomiast skutkiem żywéj konkurencyi o dzierżawy, farmy markiza znalazłyby zaraz amatorów bez miary i liczby. Czyż może być mowa o „niezawisłości“ w kraju, gdzie podobne stosunki wszędzie się powtarzają? Czy wybierając z dwojga złego nie lepiéj przykrócić niezawisłość strony ze wszech miar silniejszéj, a postawić stronę, któréj bezsilność budzi politowanie w każdem sercu uczciwém, w pozycyi niezawisłéj, jak skutkiem ślepego doktrynerstwa pozwalać na uwiecznienie opisanego stosunku?

Wiele innych zarzutów spotkało tak doktryny „Trzech F.“ jako też część billu, wniesionego przez Gladstona celem uregulowania stosunków włościańskich w Irlandyi, w któréj te doktryny w formie zmodyfikowanéj się znajdują. Pytają, kto będzie oznaczał wysokość „sprawiedliwego czynszu“ w razie nieporozumienia między właścicielem i czynszownikiem, tudzież, jaką miarą systematyczną ma on być obliczany? Odpowiedź na to pytanie zawiera ów bill, jak wykażemy późniéj. Kto będzie taksował wartość zostawionych na gruncie remanentów, za które właściciel musi płacić? I na to daje bill odpowiedź łatwą. Trudniéj odeprzeć zarzut, iż zasada *Free Sale* (swobodnéj sprzedaży dzierżawy) czyni czynszownika niejako współwłaścicielem gruntu i tworzy dwóch panów na jednym kawałku ziemi. Wymowny lord Dufferin opisał ten stosunek obrazowo, jako „włożenie dwóch wspólników do jednego łóżka.“ Czy nie powstanie skutkiem tego systemu klasa pośredników, która się będzie trudniła wydzierżawianiem folwarków z pierwszéj ręki i odprzedawaniem ich uboższym czynszownikom z zyskiem dla siebie, rozwijając przy tych transakcyach chytrość i chciwość, okazywaną często przez ubogich Irlandczyków w interesach pomiędzy sobą? Takie i tym podobne pytania nasuwają się mimowolnie. Doktryna *Free Sale* jest niezaprzeczenie achillesową piętą projektowanéj reformy, a nawet tak biegli znawcy stosunków irlandzkich i pełni zapału obrońcy ludu irlandzkiego, jak Murrough O' Brien w Fortnightly Review, nie są w stanie obronić jéj przeciw wszystkim zarzutom.

„Kładziecie dwie osoby do jednego łóżka“—wołał lord Dufferin. Będzie to bez wątpienia spółka w łóżku ciasném, niewygodna

dla obu stron. Ich spokój i komfort dałby się lepiéj zapewnić, gdyby się jedna z nich zaraz ustąpiła, a komuż się łatwiéj ustąpić z indemnizacyą w kieszeni jak właścicielowi? Takie rozwiązanie kwestyi włościańskiéj w Irlandyi nasuwa się każdemu głębszemu myślicielowi kontynentalnemu, a wypróbowana już punktualność chłopa tamtejszego w uiszczaniu się z rat indemnizacyjnych daje rękojmię, iż rząd nie poniósłby szkody przy téj transakcyi. Postulaty zwane Trzy F. są właśnie, skutkiem swéj nieśmiałości, najeżone szkopułami, o które się rozbijać będą barki niejednéj rodziny włościańskiéj. Niestety, w obec teraźniejszego usposobienia niedojrzałéj opinii angielskiéj, nie wolno się posunąć Irlandczykom o włos po za te postulaty.

Rozważmy bowiem, że liberalna większość parlamentu i narodu angielskiego rozpada się na dwa wielkie obozy—Whigów i radykalny. Pierwszy z nich, bawiąc się od wieków w wodnisty liberalizm, jest związany interesem i sympatyą z monopolistami ziemi w Irlandyi i ogląda podejrzliwém okiem każdą propozycyą, zmierzającą do ograniczenia swywoli wielkich właścicieli ziemskich. Idea bezwarunkowego uwłaszczenia włościan na wzór kontynentalny, gwałcąca fundamentalne zasady ekonomii społecznéj, whigowskiéj, mogłaby zapuściwszy korzeń w gruncie irlandzkim przenieść się jak epidemia zaraźliwa do Anglii, a w cóżby się wtedy majątki ziemskie Whigów obróciły? Słowem, ludzie ci lękają się jéj do tego stopnia, że się chwieją w lojalności dla wodza całéj partyi liberalnéj, Gladstona, od kiedy przyjął w swoim billu doktrynę częściowego uwłaszczenia. Ich przewódca w izbie lordów, świekr jednéj z królewien, wielki magnat szkocki, sławny mówca i autor ks. Argyll, nietylko złożył tekę, piastowaną w radzie ministrów gladstonowskich, na znak swego niezadowolenia z „komunistycznego billu,“ ale w wymownéj filipice w jednym z popularnych miesięczników skruszył kopię z jego twórcą. Widzi on już w łagodnym „billu,“ zamach na fundamentalne zasady własności, a cóżby dopiero powiedział o zupełném uwłaszczeniu? Nie ulega też wątpliwości, że Whigowie zbuntowaliby się przeciw ministrom proponującym ostatni z wymienionych sposób uregulowania kwestyi włościańskiéj i zostawiliby ich w mniejszości tak w parlamencie, jak w narodzie. Ztąd wypływa, że pp. Gladstone, Bright, Chamberlain, Dilke i t. d. nie są w stanie ofiarować Irlandczykom nic więcéj, jak „bill.“ Inaczéj ich ministeryum-by upadło, a Irlandczycy nie dostaliby nawet „zadatku uwłaszczenia.“

Według powyżéj wyjaśnionéj genezy billu Gladstona, jest on tedy kompromisem między Whigami, którzyby chcieli dać Irlandyi jak najmniéj, a radykalnymi, którzy wszystkie pretensye Irlandczy-

ków znajdują racyonalnemi. Ponieważ zaś każdy kompromis musi zawierać punkta nie we wszystkiém z wymaganiami surowéj logiki zgodne, więc też i „bill“ nie jest kompletnie logicznym. Niejedna reforma angielska podziela z nim ten przymiot, a przecież się okazała praktyczną. Spodziewamy się też, że i „bill“ wytrzyma ogniową próbę wcielenia go w czynne ustawy krajowe.

V.

Nie wątpimy, że wszyscy zwolennicy postępu opartego na sprawiedliwości interesujący się sprawami irlandzkiemi podzielali satysfakcyą, wysłowioną przez p. Gladstona w dniu przedstawienia parlamentowi projektu zwanego *The new Irish Land Bill* (nowa ustawa włościańska dla Irlandyi). „Cieszy mnie—rzekł on—że od dzieła poskramiania Irlandyi, którém zajmowaliśmy się przez ostatnie trzy miesiące, przechodzimy do pracy prawodawczéj, o któréj żywimy nadzieję, iż przyszłość przyzna jéj co najmniéj charakter poprawy i reformy.“ Szkoda, wielka szkoda, iż tenże minister wcześniéj się do téj pracy nie wziął i jeszcze w r. 1870 z promotorami reform tego rodzaju polemizował, tyle przytém wymowy i logiki rozwijając, że dzisiejsi oponenci reformy włościańskiéj, znajdują niewyczerpany arsenał argumentów w ówczesnych mowach wielkiego sofisty, będącego pierwszym ministrem jéj królewskiéj mości. Trudno obliczyć korzyści, jakieby były wypłynęły z wniesienia takiego billu choć o rok wcześniéj, zanim próbowano uśmierzyć agitacyą irlandzką, zawieszeniem aktu *Habeas Corpus*, aresztowaniami i t. p. środkami, o których Cavour powiedział, że każdy cymbał potrafi rządzić z ich pomocą. Wypada wszakże wybaczyć tę zwłokę tak z powodu oporu Whigów i sporów w łonie rady ministrów, o których nadmieniliśmy, jak też ze względu na zawiły i pełen trudności charakter kwestyi, o któréj Gladstone rzekł, iż była najtrudniejszą zagadką do rozwiązania, jaką spotkał w długiem życiu publiczném.

Bill jego jest niewątpliwie gruntowną reformą społeczną, nie zaś próbą wskrzeszenia i sztukowania chybionego *Land Act'u* z roku 1870. Jest on daléj częściowém przyjęciem zasad zwanych „Trzy F.“ Uznanie nietykalności dzierżawcy tworzy jego podstawę. Rozpada się na dwie główne części. Pierwsza z nich dotyczy wolnéj sprzedaży lub oddzierżawiania praw dzierżawcy i powiada wyraźnie że: *tenant* (dzierżawca) każdego kawałka gruntu (*tenancy*) podchodzącego pod niniejszą ustawę, może na czas swego kontraktu sprzedać swą dzierżawę (*tenancy*) za jak można najlepszą, ofiarowaną mu cenę.“

To prawo sprzedaży jest wszakże ograniczone kilkoma zastrzeżeniami. Mianowicie: 1) *Tenant* może sprzedać prawo swe w całości tylko jednéj osobie bez zezwolenia właściciela; 2) *Tenant* musi uwiadomić właściciela o zamiarze sprzedania dzierżawy, a ten ostatni posiada prawo pierwszeństwa spłacić swego dzierżawcę za cenę ofiarowaną przez stronę trzecią. 3) Właściciel posiada też naturalne prawo wniesienia swego *veto* przeciw każdemu aspirantowi o nabycie dzierżawy, którego charakter i stanowisko pieniężne wydaje się mu wątpliwéj wartości, a trybunał, o którym będzie mowa, rozstrzygnie, azali jego zarzut zasługuje na uwzględnienie. 4) Zaległe czynsze tudzież należytości przypadające właścicielowi za melioracye jego kosztem uskutecznione, muszą być najpierw i zaraz potrącone z ceny, zapłaconéj ustępującemu dzierżawcy przez nabywcę.

Druga część *billu* ustanawia włościańskie trybunały, zwane *Land Courts*, których zadaniem będzie określać, na wypadek sporu między właścicielem i dzierżawcą, wysokość „sprawiedliwego czynszu.“ Te trybunały powstaną z sądów powiatowych, uposażonych nowemi atrybucyami, a więc będą istniały w każdym powiecie. Od ich wyroków wolno apelować do „Komisyi Ziemskiéj,“ złożonéj z trzech dygnitarzy, z których jeden przynajmniéj był lub jest sędzią najwyższego trybunału w Irlandyi. Każdy dzierżawca ma prawo udawać się do rzeczonego trybunału w swoim powiecie z prośbą, ażeby raczył orzec, jaki czynsz roczny należy się „sprawiedliwie“ właścicielowi. Otrzymawszy decyzyą sądową, może przez następujących lat 15 trzymać folwark w posiadaniu, po cenie oznaczonéj wyrokiem, a właścicielowi nie przysługuje prawo udawania się do trybunału o podwyższenie czynszu przed końcem 15-letniego terminu. „Czynsz sprawiedliwy“ nie powinien być większym od sumy, jaką by ofiarował człowiek niezawisły i odpowiedzialny za tenże folwark w roku przeciętnym. Czynszownik niepunktualny, lub opierający się właścicielowi w spełnianiu jego funkcyj naturalnych, jakoto dobywaniu kamieni i minerałów z pod ziemi, lub drenowaniu pola i t. d., tudzież dzierżawcy odnajmujący folwark osobom trzecim w całości lub częściowo bez wiedzy właściciela, mogą być wyrugowani przez trybunał z dzierżawy. Po upływie 15-letniego terminu dzierżawca może i nadal pozostać w posiadaniu folwarku, za opłatą „sprawiedliwego czynszu,“ chyba, że się podoba właścicielowi wykupić go, zwracając mu wartość remanentów i ulepszeń, przezeń zostawionych. Ztąd wypływa, że tylko raz w lat 15 trafi się właścicielowi sposobność zwana w ustawie „resumpcyą,“ czyli szansą odebrania folwarku na własność nieograniczoną. Stałość dzierżawy 15-letnia ofiarowana billem nie jest więc zupełném zadowoleniem postulatu Ligi, wymaga-

jącego wieczystéj stałości dzierżawy p. t. *Fixity of Tenure.* Bill powiada daléj, że właściciel będzie także miał prawo eksmitować czynszownika, jeżeli trybunał—ewentualnie Komisya najwyższa—uzna, że krok tego rodzaju jest koniecznym warunkiem poprawy gospodarstwa, lub téż losu zagrodników i parobków folwarcznych. Stając w obronie sług tyranizowanych zwykle przez włościan, twórca billu okazał się bardziéj humanitarnym od autorów „Trzech F.“ którzy tylko losem członków Ligi włościańskiéj i wyborców zajęli się.

Widzieliśmy powyżéj, że „bill“ jest zmodyfikowaną i obciętą kopią „Trzech F.“ Znaleźliśmy w nim czynsz sprawiedliwy i swobodę sprzedaży. Wymyślił nadto trybunały opiekuńcze dla włościan. Zabrania wszakże tym sądom wtrącać się z własnej ochoty i wścibskości w stosunki między czynszownikami i właścicielami, póki jedna ze stron takiéj interwencyi wyraźnie nie zażąda. Wszakże czynszownicy, którzyby z obawy zemsty pańskiej lub z innych pobudek nie śmieli się zgłaszać do sądów włościańskich z zażaleniami, nie pozostaną bez pewnéj opieki, albowiem „bill“ zakazuje stanowczo czynsz podwyższać przed upływem okresu 15-letniego pod jakimkolwiek pretekstem. Włościanin niepokojony żądaniem tego rodzaju będzie miał trzy drogi otwarte: 1) Poddać się téj pretensyi i na dalszych 15 lat dzierżawić folwark pod nowemi warunkami, 2) Apelować do trybunału i dzierżawić folwark lat dalszych 15 za „czynsz sprawiedliwy,“ w sądzie oznaczony; 3) Opuścić folwark. W takim razie wolno mu żądać oprócz wartości zostawionych ulepszeń także wynagrodzenia straty, poniesionéj skutkiem przenosin. Bill reguluje wysokość téj sumy. Od folwarku oczynszowanego rocznie mniéj niż 30 funt. st., dostanie ustępujący dzierżawca sumę równą siedmioletniemu czynszowi; od mniéj niż 50 funt. st. czynsz pięcioletni; od mniéj niż 100 funt. st. trzechletni i t. d. w stosunku malejącym.

Dzierżawcy używający przywilejów zwyczajowych, zwanych „prawami włościańskiemi prowincyi Ulster,“ i t. p. mogą oświadczyć, czy wolą swoje przywileje zatrzymać, czy téż wyrzekłszy się ich używać gwarancyj, zapewnionych nową ustawą. Wszelkie kontrakty, zawarte w duchu przeciwnym téj ustawie, lub z zamiarem obejścia jéj, będą nieważne, z wyjątkiem umów, ułożonych na dłużéj niż na lat 31 i potwierdzonych przez trybunały włościańskie.

Wyliczyliśmy najważniejsze pomysły zawarte w *billu* Gladstona celem obdarzenia włościan prawami do spokojnego używania ziemi, bronienia ich od niesprawiedliwości chciwych panów i decydowania sporów wiejskich. (Słabą stroną ostatniego punktu jest łatwość, jaką bill ofiaruje zawsze pochopnemu do pieniactwa chłopstwu irlandzkiemu do procesowania się z panami).

Teraz nadmienimy słówko o innych paragrafach tegoż billu, zmierzających do stworzenia włościan właścicieli, zbudzenia w nich ochoty do ulepszenia pustych obszarów, tudzież uregulowania emigracyi chłopskiéj. Prawo zwane *Bright Clauses*, czyli piękna poprawka słynnego Brighta, dodana do ustawy włościańskiéj z r. 1870, dla ułatwienia chłopom nabywania parcelowanych majątków kościelnych i innych, znajduje się i w tegorocznym *billu*. „Komisya ziemska“ nie ograniczy swéj działalności na rozstrzyganiu w najwyższéj instancyi sporów między dzierżawcami i właścicielami, ale będzie także ciałem, posiadającém atrybut kupowania, parcelowania i sprzedawania majątków ziemskich. Dzierżawcy, pragnący nabyć folwarki swoje na własność wieczystą (rozumie się, za zgodą właścicieli) mogą żądać od Komisyi pożyczki, pochodzącéj z kasy państwa, a nie przenoszącéj $^3/_4$ ceny kontraktowéj nabywanego majątku. Spłata takiéj pożyczki odbędzie się w latach 35, ratami wynoszącemi 5%. Wolno także Komisyi kupować majątki wystawione na sprzedaż z wolnéj ręki i odprzedawać je częściowo czynszownikom na nich mieszkającym. Zabronionėm będzie komukolwiek kwestyonować późniéj tytuły do własności, udzielonéj nabywcom przez Komisyą. Cały ustęp, obdarzający rzeczoną Komisyą opisanemi atrybutami, jest tak ważnym, iż zdaniem niektórych znawców stosunków irlandzkich zawiera w sobie najbrzemienniejszą w wielkie skutki część billu Gladstona. Ci znawcy twierdzą, że szlachta irlandzka, niegospodarna, marnotrawna i zadłużona, pozwoli się prędko skusić wysokiemi cenami, jakie, chciwy posiadania własnych chat i zagonów a pracowity i skąpy lud, niezawodnie jéj zaofiaruje i drogą sprzedaży z wolnéj ręki sama się na korzyść włościan z majątków ziemskich wywłaszczy, coby położyło kres sporom społecznym, od 5 wieków nurtującym w Irlandyi.

Daléj będzie Komisya ziemska udzielała zapomogi, w formie pożyczek zwracanych ratami, na ulepszenie pustyń, o których była mowa, tudzież będzie zasłaniała wykonawców pożądanych melioracyj od chciwości nominalnych właścicieli tychże, nieużytecznych jak na teraz, przestrzeni. Będzie także jéj obowiązkiem porozumiewać się z rządami angielskich kolonij pożądających emigrantów i wspomagać Irlandczyków przyzwoitych, a skłonnych do szukania szczęścia w nowych krajach, by się mogli udać do tych kolonij, ale ta emigracya będzie starannie regulowaną, według téj zasady, żeby mitygować wychodźtwo sporadyczne jednostek lub rodzin pojedyńczych, a ułatwiać gromadne przesiedlanie rolniczych grup kolonistów z okolic nieurodzajnych i przeludnionych.

Słowem, bill przewidział wszystko i posiada zaletę wszechstronności, pożądaną w ustawach obmyślonych dla użytku Irlandyi. Takie ustawy powinny być gibkie i dać się naginać do zwyczajów ludu, różniącego się pojęciami i obyczajami w sposób niepojęty cudzoziemcom. I tak, prawo dobre dla Ulstera może się okazać niepraktycznem w Connaught lub w Tipperary, gdzie idee i potrzeby ludu są inne, niż między roztropnymi potomkami szkockich kolonistów. Bill posiada w wysokim stopniu ten pożądany przymiot gibkości i obmyśla w każdym wypadku kilka sposobów traktowania jednéjże choroby społecznéj. Przykład takiéj gibkości przytoczyliśmy, wspominając o ustępie, wedle którego będą zagrożonemu czynszownikowi trzy drogi ratunku otwarte. Zgoła, w całym billu przebija się chęć wzięcia w opiekę czynszowników, bez krzywdzenia właścicieli ziemskich, a talent okazany w rozwiązaniu trudnéj zagadki, jakby kozę ocalić i wilka nasycić, zasługuje sobie na pochwałę nieograniczoną.

Spełniwszy jedno trudne zadanie, twórcy billu mają przed sobą drugie—jakby go przeprowadzić w całości przez obydwie izby parlamentu, gdy większość jednéj przynajmniéj z tych izb składa się z lordów i wrogów naturalnych idei przewodniéj w billu? Życzmyż téż wszyscy w téj ważnéj chwili, by p. Gladstone, nauczony smutnym losem, jaki spotkał ustawę z r. 1870, nie pozwolił temu zgromadzeniu monopolistów zniweczyć lub pokaleczyć nowéj ustawy poprawkami, z duchem billu sprzecznemi. Przyrzeczenie p. Gladstona, że się nie cofnie od żadnéj ewentualności i wszelkich legalnych środków użyje w celu przecięcia raz-na-zawsze gordyjskiego węzła, zwanego kwestyą włościańską w Irlandyi, ma nie dwuznaczną doniosłość w chwili teraźniejszéj. Jeśliby izba niższa wierną mu została, opór parów dałby się złamać kreowaniem dostatecznéj liczby lordów liberalnych. Wątpimy nawet, aby wobec popularności, jaką bill Gladstona zdaje się spotykać w narodzie angielskim, znużonym długą kłótnią z pobratymczą Irlandyą, izba wyższa znalazła w sobie odwagę do opozycyi. Dowody rzeczonéj popularności widzieliśmy własnemi oczyma, w czasie niedawnéj wycieczki do Anglii i Szkocyi.

Prawda, że nie brak i głosów oponujących. Organy konserwatywne nazywają projekt Gladstona rewolucyjnym i komunistycznym i wietrzą już przeniesienie się w niedalekiéj przyszłości na grunt angielski epidemii grasującéj w Irlandyi. Widzą w nim cień miecza, podniesionego przez radykalizm na drogie im stare instytucye, jak: izbę lordów, państwowy kościół anglikański, majoraty i t. p. remanenta przeszłości, o których znaczeniu zdania nowoczesne są podzielone. Twierdzą, że widoma głowa reformatorów, Gladstone, jest

tylko narzędziem biernėm radykalnego skrzydła partyi liberalnéj, które to skrzydło dlatego jedynie spieszy się z załatwieniem spraw irlandzkich, żeby skaptowawszy pomoc Homerulerów rzucić się na ostatnie bulwarki, broniące całości tronu, arystokracyi, kościoła, religii i porządku społecznego w saméj Anglii. Te histeryczne, pełne przesady wołania, są tak namacalnie niedorzeczne, że nie wystraszą zapewnie narodu angielskiego z wybranéj drogi ustępstw dla włościan irlandzkich.

Niebezpieczniejszemi są pełne sofizmatów argumenta rzekomo liberalnych Whigów, zręcznie zestawione przez ks. Argyll w *Nineteenth Century*, o których słówko rzucone poprzednio musi wystarczyć czytelnikom, gdyż nie śmiemy nadużywać łamów ofiarowanych nam do rozwinięcia naszych poglądów na kwestyą włościańską w Irlandyi cytatami z polemiki, przeciw reformom Gladstona wznowionéj. Zadaniem naszém było streścić zrozumiale fakta znane nam o téj kwestyi, a lękamy się, żeśmy się wywiązali z tego zadania z rozwlekłością nużącą. Wszakże radzimy czytelnikom znającym język angielski artykuł ks. Argylla przeczytać, gdyż znajdą w nim essencyą wszystkich zarzutów, jakie tylko mogła sformułować przeciw całkowitemu lub częściowemu uwłaszczeniu czynszowników stanu włościańskiego w Irlandyi pewna, poważna szkoła ekonomistów, któréj się wydaje, że główne zadanie każdéj społeczności zasadza się na tworzeniu jak można najwięcéj bogactw i że tylko temu krajowi wiedzie się dobrze, który zawiera kilka tysięcy milionerów i że to nic nie szkodzi, jeśli miliony ludzi żyje obok tych milionerów z tygodniowego jedynie zarobku, w wiecznéj niepewności o jutro. Robotnicy są w jéj oczach kotłami parowemi, które wypada używać i zużywać bez miłości, ale z mądrem wyrachowaniem, aby wydały jak najwięcéj produktów z jak najmniejszém zniszczeniem siły. Jéj ideałem stosunków włościańskich są wielkie dobra i wielkie folwarki angielskie. Drobnych własności ziemskich nie życzy sobie widzieć, uważając, że chłopstwo niezawisłe nie jest najpraktyczniejszém narzędziem do eksploatacyi zasobów naturalnych w roli ukrytych, sposobem najtańszym, hurtowym. Wielki dzierżawca lub ekonom na czele parobków nie posiadających piędzi téj ziemi, którą potem zlewać muszą, wydają się im skuteczniejszemi narzędziami, zwłaszcza wtedy, gdy lord milioner nagli ich do pracy wytężonéj, okładając dzierżawę czynszem jak można najwyższym. Zgoła, podoba się im system, któryśmy widzieli rozwinięty do ostatecznéj konsekwencyi na wyspie Kubie, gdzie niewolników wychowują i używają z taką mądrością, jak dobry gospodarz szlachetne konie. Ludzie wspomnieni są najniebezpieczniejszymi oponentami, jakich domagania się

chłopa irlandzkiego spotykają w Anglii. Mają one także przeciwników w stronie, któréjby się czytelnik nie domyślił—w części t. z. liberalnéj prasy kontynentalnéj. Przychylność téj prasy bardzo-by im się przydała, bo tworząc dowód, iż opinia zagraniczna im sprzyja, nie mogłaby pozostać bez wpływu, na czuły względem objawów opinii, parlament angielski. Dlatego też rzuciliśmy surowe słowo o publicystach, którzy albo jak p. Molinari zbierali swe obserwacye życia irlandzkiego i tworzyli zdania o niem w dworach panków tamtejszych, gościnnych i grzecznych dla każdéj osoby, któréj pragną oczy zamydlić, lub też bez krytyki i wyboru wyrobione tym sposobem, uprzedzone wyroki powtarzają. Obrona właścicieli irlandzkich brzmi źle w ustach rzekomo postępowych dzienników.

My przeciwnie potępiamy tych panów i pragniemy, żeby bill Gladstona wyszedł zwycięzko albo z ogniowéj próby rozpraw parlamentarnych, albo z ogólnych, ewentualnych wyborów, jeśliby parlament teraźniejszy bill ten odrzucił i został rozwiązany. Ufamy, iż średnie i rękodzielnicze warstwy narodu angielskiego, w których ręku spoczywa od czasu ostatniéj reformy wyborczéj decyzya ważnych spraw publicznych, wyleczyły się już z usilnie im wmawianego obłędu, jakoby uwiecznienie niedoli Irlandyi było z korzyścią dla Anglii połączone, że te pszczoły robocze, płacące podatki, tworzące bogactwo krajowe, zamiłowane w idei wolności i sprawiedliwości, nic zgoła z owoców rabunkowego systemu irlandzkiéj gospodarki nie zyskujące zrozumiały, iż maltretowanie podobnych sobie pszczół roboczych na innéj wyspie nie leży w ich interesie; że sprzykrzył się im widok garstki niepomnych swych obowiązków panów irlandzkich, ciemiężących własny lud z pomocą zbrojnéj żandarmeryi i 3o.ooo załogi angielskiéj, że w końcu mężowie stanu wszystkich stronnictw Wielkiéj Brytanii przyszli do przekonania, iż byłoby lepiéj mieć Irlandyą kwitnącą, zadowoloną i lojalną, niż podżeganą ciągle głodem i rozpaczą do rokoszu i zdrady, kolką w boku Anglii, gniazdem ewentualnéj dywersyi, niebezpiecznéj na wypadek wojny z jedném z europejskich mocarstw, śmiertelnéj w razie wojny ze Stanami Zjednoczonemi...

Historya cywilizacyi jest kroniką powolnego i mozolnego uwłaszczania rodu ludzkiego umysłową i materyalną własnością. Nic nie opóźnia tego procesu silniéj, nic nie przedstawia widoku smutniejszego, jak sceny często w tejże kronice opisywane, w których społeczności silniejsze zabierają w jassyr i gnębią słabszych od siebie. Nikt się jeszcze nigdy i nigdzie nie znalazł, ktoby potępiał cywilizacyą uwłaszczającą, pochwalał chytrość i siłę, niewolącą i obdzierającą prostaczków i bezsilnych, nikt, kto nie był w duszy przyjacielem

rozbójników. Takim tytułem wolno też określać rzekomych liberalnych polityków, objawiających współczucie sentymentalne dla każdego dalekiego tałałajstwa, malowanego romantycznie w nowellach— dla Boerów, Afgańczyków, Czerwonoskórców—a słuchających z nieludzką obojętnością lub zadowoleniem utajoném o niedoli klerykalnych, konserwatywnych kmiotków biednéj Irlandyi. Są to obłudni jezuici liberalizmu...

Nawet ciemny, pogardzony chłop Erynu urodził się z prawem spożywania owoców swéj pracy. On orze wszystką ziemię swéj wyspy wilgotnéj, oczyszcza z głazów skłony jéj pagórków, osusza jéj szerokie równiny, kosi mierne żniwa, wytwarza nieobfite w niéj pieniądze, zgoła produkuje wszystko a wszystko, z czego się jéj bogactwo składa. Któż ma decydować, w jaki sposób powinna się odbywać konsumpcya tych produktów? Czy opinia nie zawsze dokładnie informowanych cudzoziemców? Czy parlament angielski, nic nie produkujący w Irlandyi? Czy 1.900 nieprodukcyjnych lordów, żyjących z czynszów płaconych przez dwie trzecie producentów irlandzkich? Nie, zaprawdę! Zapewne, prawo decydowania trudno przyznać 4 milionom pracujących Irlandczyków, lub ich większości przez „Ligę włościańską“ reprezentowanéj, ale bądź-co-bądź wszelka krytyka żądań zawartych w „Trzech F.“ powinna być umiarkowaną, a więc wszelkie potwarze, jakoby większość całego narodu była zarażoną komunizmem i pragnęla obalić zarówno prawa własności jak porządek społeczny, są nietylko bezzasadne, ale co gorzéj śmieszne.

Sygurd Wiśniowski.

Stanisławów, w Maju 1881 r.

W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA.

ŞEWEROWI
z serdecznêm podziękowaniem
za „Przybłędy" przesyła
AUTOR.

I.

Czy drzemie staruszka?

Któż odgadnie? U niéj marzenie tak do snu podobne, sen jéj tak podobny do śmierci.

Powieki wpół przymknięte, na ustach uśmiech pełen słodyczy i smutku.

Na twarz jéj bladą, od czasu do czasu jaskrawym odblaskiem pogrzebowych pochodni padają płomienie kominkowego ognia. Z odgłosem świeżo wyciosanéj trumny, schnącéj na słońcu, mokra świerkowa kłoda paczy się i pęka od żaru. Zasyczą w niéj czasem skwarzące się soki żywotne i znów rozpęka włókno drzewne z głośnym strzałem, sypiąc do koła iskrami. Iskra każda chwilkę w powietrzu żywiéj zaświeci, jakby myśl w głowie konającego człowieka, zaświeci jak rodząca się gwiazda—i zgaśnie na wieki.

Czerwone pół światła, półcienie, drgają naprzemian po zmarszczkach nieruchoméj twarzy, bawią się siwym jéj włosem, złocą go i srebrzą i przywracają mu czasem kruczy połysk młodości. W różowych przebłyskach żaru, przezrocza tkanina muślinowych szlarek jéj czepca zdaje się zmieniać na jedną sekundę w girlandę róż.

Jak jéj z têm ładnie!... Jakby jakie wnuczęta figlarne, tak ją stroją figlarne gnomy i kobolty płomyków. Któżby ją stroił inny w jéj samocie? Huczy zamieć śnieżna na dworze, zmarzłemi grudkami śniegu bije w wąskie okna dworku.

I cisza zresztą—głucha cisza, tylko ten szum wichru i to małych szybek dzwonienie i to sykanie i skwirczenie wilgotnego drzewa na ognisku i niekiedy huczny wystrzał pękającéj kłody.

Te gnomy ogniska—one to może staruszkę rozerwać chcą temi głosami? one to może zmówiły się z elfami w śniegowéj bujającemi zamieci i rozmawiają tak z sobą nawzajem: niestrudzone w zabawie i dzwonią i trzaskają z biczyków jak drobna dziatwa—i jakby rozswywolone chłopięta rzucają w szyby okien gałeczkami lodu.

Poczciwe duchy! jak one znają serce człowieka! Jak one zająć umieją mu myśl w długich, nieznośnie długich godzinach tęsknoty! jak one wiele powiedziéć umieją pół słówkiem, pół dźwiękiem, półszeptem.

Poczciwe duchy! jak one pocieszyć umieją tych, dla których przyszłość martwym jest wyrazem! jak one wiedzą o czém z kim rozmawiać! jak one wskrzesić umieją zapadłe w niepamięć czasy, zamierzchłe niepowrotnie radości, zachwyty i szczęścia!

One przemawiają do serca ludzkiego wspomnieniem!

A żywo wspomniéć—to jakby odetchnąć raz jeszcze wonią lubego kwiatu, który nam z rąk wyrwano...

Inaczéj uśmiecha się człowiek gdy o przyszłości marzy, inaczéj wcale gdy duch w błogiém wspomnieniu zatonie.

Patrzcie! w jéj uśmiechu nie ma niepokoju oczekiwania i dreszczów nadziei. Jéj uśmiech—to spokój.

Ona wspomnieniem oddycha—wspomnieniem młodości... A młodością dla starca przeszłość szczęśliwa, niepowrotna. I chwile szczęścia, które błyskały niegdyś, choćby na czole siwym już nawet osrebrzoném włosem—to także wspomnienie młodości.

Cicho. Podniosła się nieco w poręczowém krześle. Wyciągnęła rękę niepewnym jakimś ruchem przed siebie, jakby szukając po omacku jakiegoś przedmiotu na małym, krągłym stoliczku ustawionym tuż obok jéj podnóżka.

Lekkiem z góry dotknięciem drżących palców, jak to czynią ślepi, poruszyła po kolei każdy przedmiot leżący na stoliku: szklankę z jakiemiś ziółkami, srebrną cukierniczkę, flakonik porcelanowy i małą w czarnych ramkach fotografią.

Wzięła tę ostatnią ostrożnie do ręki, ale nie poniosła ją do oczu, tylko drobną swą dłonią przykryła, końcami palców dotykając wizerunku, tak jakby przez taflę szklaną odczuwała magnetyczném palców dotknięciem utęsknione rysy portretu.

Żywszym wyrazem smętnéj jakiejś lubości rozjaśniło się oblicze staruszki. Ktoby niewiedział że to niewidoma, patrząc na nią w téj chwili, byłby pewnym że widzi.

A ona tylko czuje.

Ona widzi zaiste, ale tylko swéj duszy oczyma — mówiąc z Szekspirem.

Nieprawdaż? śmieszny to sentymentalizm w tym wieku prozy i realizmu! tém śmieszniejszy, że go popełnia sześćdziesięcioletnia staruszka, tém śmieszniejszy, że go nie wśród ludzi popełnia, którychby chciała zjednać dla siebie takim przestarzałym romantyzmem, ale sama wobec siebie tylko... i wobec tych fantastycznych na kominku płomyków i téj zamieci śnieżnéj zaglądającéj do izby przez skrysztalone mrozem okienko... i wobec téj fotografii w jéj ręku. Odłóż czytelniku na bok tę sentymentalną nowelę. Tu nie ma prawdy...

O, ja ci zaręczam, że prawda. Pomyśl, że to nie dzisiejszych czasów niewiasta, ona sięga urodzeniem pierwszych dziesiątków naszego stulecia...

A kiedyś, kiedyś, na starość... gdybyś doznał wiele szczęścia w życiu i kochał i płakał na ukochanych grobie i znalazł się wreszcie samotny, niewidomy, w odludnym karpackim jak ona dworku i sam się uczuł ze wspomnieniami swemi... kto wie? kto wie czybyś nie przestał śmiać się, gdyby ci wtedy przyszła na myśl przeczytana w młodości nowela .. Kto wie?

Dziś się śmiej.

Biedna moja staruszka da ci więcéj jeszcze powodów do śmiechu.

Patrz, wsłuchała się ślepa marzycielka w to pękanie mokréj świerczyny na kominku, w tę muzykę bijących w okna śniegowych grudek—i jakimś dawnym rytmem dzwoni jéj w duszy wspomnienie... Rękę przyłożyła do czoła jakby coś lepiéj przypomniéć sobie chciała a usta poruszają się mimowiednym szeptem miarowych słów w pamiętne sercu ujętych rymy...

Zrazu szept cichy—i głośniéj—głośniéj... wiersz jakiś powtarza z pamięci... Jakie to śmieszne!

Żywszy płomień buchnął na kominku—blaski rozlały się jaśniejsze po całéj izbie. Przystroiły resztki starożytnych mebli, świetniejsze mieszkanki przypominających czasy. Ozłociły brązowy postument starego zegaru z kurantami, z orłem dławiącym węża w swych szponach; prześlizgnęły się po półkach wytwornie oprawnych książek, odbiły się w szerokich ramach portretu wiszącego na przeciwległéj ścianie: portret młodéj niewiasty—ach, jakże pięknéj!

Rzecz dziwna jak nam ten portret znajomym się wydaje. Przypomina kogoś, gdzieś widzianego—na jawie czy w wyobraźni...

Ach, to portret staruszki naszéj!...

A ona mówi—cicho zrazu... i coraz głośniéj... i z coraz większém uczuciem, tak, że dźwięk rzewny jéj głosu barwi i stroi w poezją prawdziwą, tuzinkowy wierszyk:

— Pamiętasz, kochanie ty moje
Nasz pierwszy po ślubie ranek?
I sadem rozkwitłym jak szliśmy oboje?
I co ci mówił kochanek?

Pamiętasz tę jabłoń w ustroni
W dzień pierwszy twego zamęścia?
Wiatr pruszył nam głowy kwiatami jabłoni...
Pamiętasz Luba dzień szczęścia?

Wtedy kochana, kochająca,
Jak wiosna pełna młodości,
Tyś coś mówiła, jakby z nocy tysiąca,
O naszéj przyszłéj starości.

I chciałaś, by razem oboje,
Jak wichrem zerwane kwiaty,
By kiedyś staruszków—kwiatuszków nas dwoje
W nadziemskie wzleciało światy...

...Patrz, zamieć dziś sroga, śnieg pruszy,
Włosy nam starość spruszyła:
Czyś taką ty niegdyś, w młodziutkiéj twéj duszy,
Czyś taką starość marzyła?..

Zegar zaczął grać kuranta. To południe.

II.

Ach, jakież śniegi na podgórzu karpackiém!

Jaki czas! co za zadymka straszliwa! Mróz kilkunasto-stopniowy a wicher przytém łamiący drzewa po drodze, z nóg wali ludzi przechodzących w poprzek drogi we wsi, od chaty do chaty, przenika ich na wskróś do kości.

Cóż to się dziać musi z tymi, którychby ta zawierucha w czystém polu gdzie spotkała! Ulituj się nad nimi!

W czystém polu? He, któżby się to puścił w drogę o takiéj porze? Chyba szaleniec jaki.

Kto jednak wie? Zawierucha taka zrywa się nagle, nieraz niespodzianie, każdego zaskoczyć może, najostrożniejszego nawet.

Psy naszczekują ode wsi, przytłumiony ich głos i jakby trwożny chowają się pewno każdy gdzie który może, tulą się pod strzechą, do

ściany stajen przylegają bokiem, skąd szparami ciepło na nich wieje. Psa wypędzić na dwór żal człowiekowi a cóż dopiero człowieka.

Zmrok już zapada. Od trzech godzin już gorzéj niż zmrok zwykły, bo ciemno od chmur i zadymki. Ale coraz już ciemniéj: teraz to pewnie już zmrok.

Za wsią wzgórze za wzgórzem, a każde do drugiego podobne. A wszystkie zasute śniegiem na łokieć, na sążeń gdzie niegdzie. Drogi nie dojrzysz na trzy kroki, nie rozpoznasz jéj, choćby ci zadymka oczu nie ćmiła, wiatr zimny powiek nie zamykał. Biało i biało wszędzie, śnieg i śnieg równo rozpostarty jak biały obrus, ani śladu na nim, ani znaku.

Tu i owdzie czerni się kilka lub kilkanaście wyniosłych świerków, wiatr niemi miota gwałtownie, uginają się na prawo i na lewo, to w tę to w ową stronę: w stronę wichru chylą się gwałtowniéj, skrzypią złowrogo jakby przełamać się miały i prostując się siłą sprężystych włókien, chylą się znów w drugą stronę i skrzypią—głucho—jęczą niby...

Może to człowiek jaki zbłąkany zapadł w śnieżną zaspę i jęczy tak?

Drogoskaz!... ah, jest droga! chwałaż Bogu! tędy, na prawo... Poczciwe biedne konięta, one ją odnalazły, człowiek napróżnoby jéj szukał. Puścił chłop wodze koniom i zdał się na ich instynkt a sam, przytuliwszy się do swéj kumy, osłania własném ciałem od wichru nowonarodzone niemowlę na jéj ręku, owinięte w pieluchy. Woził je do chrztu świętego do parafialnego kościoła, dwie mile tam, dwie mile z powrotem... Czy je żywe zawiezie do domu? czy sam żyw powróci? któż wie, kto wie?

Pięć godzin temu jak wyruszył z domu i pocałował w chałupie matkę swego dziecka. Nie zanosiło się wtedy na tak wielką biedę. Mróz był straszny ale zadymki nie było. Trzeba było jechać—bo nużby dziecko umarło i duszyczka poszła do piekła: strach pomyśléć! Trzeba było jechać.

— A niech się nazywa Marynka!—rzekła mu żona na odjezdnem. I podniosła się nieco z pościeli i przyciągnęła kumę do siebie, trzymającą już niemowlę na ręku i pocałowała swoję jedynaczkę. — A niech się nazywa Marynka! — powtórzyła proszącym głosem. — A nie dajcież jéj zamrzéć z głodu i zimna!... oj, mnie bardzo źle, Józku! ja was tu może nie doczekam... A niechże się nazywa Maryna, jak ja!...

Ale proboszcz nie dał się uprosić. „Cóż to, rzekł, w waszéj wsi same tylko Maryny mają być? Dość już tego. Już u was sześć

Maryn tego nazwiska. Bałamuctwo w metryce i koniec. Niepozwolę.“ I ochrzcił ją Hanka.

— *Hanka!* hej, hej, kumo, cóż ja żonie powiem jak mnie zapyta?... Ona pomyśli, że ja ją tak nazwał od téj Hanki... co to wiecie...

— A jużci wiem. A jużci pewnie tak pomyśli.

— Jezu! ta niechby umarła, niechbym ją żywą do domu nie zawiózł!...

— I na wpół pijany ojciec zaczął zawodzić ochrypłym głosem nad nieszczęsną Hanką—ale przysunął się jednak bliżéj do kumy, aby dziecko od wichru osłonić.

— Dajcież pokój! Niewiecież że to grzech życzyć śmierci własnemu dziecku... Żeby cudzemu jeszcze... ale to do was takie podobne...

A Józek zamiast odpowiedzi uśmiechnął się i wyjął z zanadrza flaszkę wódki, napił się sam, dał się napić kumie a potém dziecku do drobnych usteczek wycisnął parę kropel z bibuły, którą zamiast korka zatkana była szyjka butelki.

I zjechały sanki w głęboki parów, pokryty kilkusążniową zaspą. Zadymka zaczęła się zmniejszać.

— Jezu Chryste! rany boskie! a to co? barania czapka... człowiek leży w śniegu!—hou! prr!...

I zeskoczył Józek z sani. W śniegu leżał, z twarzą w śniegu zarytą i na wpół już śniegiem przysypany człowiek w chłopskim kożuchu, w nowych butach z cholewami wysokiemi, z których wydobywała się słoma, ręce rozkrzyżowane w grubych dwupalczystych rękawicach z niebieskiego sukna, uwiązanych na sznurku do kożucha. Na plecach miał przewieszoną skórzaną torbę.

Józek zaczął go cucić.

— Hej, taż to Michał, ten ze dworu.

— Spił się pewnie...

Natarł go Józek śniegiem, potém wódką skropił—a gdy pijany zaczął dawać znaki przytomności, z pomocą kumy wyciągnął go na sanki. A niemogąc się już pomieścić w sankach po takiém zwiększeniu liczby podróżnych, na nim usiedli oboje.

— Wiu, wiu!—a biedne koniska ciągnęły co siły—pod górę, pod górę.

Co chwila to sanie zaryły się w śnieg, co chwila wyskakiwał Józek i pomagał koniom aby je wyciągnąć, a potém znowu jednym skokiem był już obok baby siedzącéj na nieruchomém a żywem jednak siedzeniu. Za każdym takim skokiem żywa ta kłoda przygnieciona ciężarem Józka, zgryźliwym stękiem dawała znać o doznawanych wrażeniach.

Dojeżdżali już na szczyt góry; znowu wicher się wzmagał, znowu gwałtowniéj szalała zadymka. Nagle usłyszeli za sobą głośny klekot dzwonków i ujrzeli najprzód dwa duże bułanki w chomątach i porządnéj uprzęży, woźnicę w płaszczu z futrzanym kołnierzem, podniesionym do góry—a za nim w szerokich saniach dwie kobiéty, jedną z twarzą zasłonioną woalem, w futrze i szafirowym szalem owiniętą, drugą zaś w porządnym wiejskim kożuchu i z kraciastą czerwoną chustą na głowie.

— Héj, człowiecze!—zapytał woźnica—czy dobrze tędy do Paprotki?...

— Dobrze!... prosto!...

— A od karczmy na prawo?

— Na prawo.

— A za mostem?

— Most zepsuty, jest tylko ława. Musicie objeżdżać, po pod las, hen-hen-koło figury.

— Bóg zapłać!

I rącze bułanki popędziły naprzód.

Oglądała się długo za niemi kuma—i za czerwoną chustą i za szalem niebieskim; westchnęła i rzekła wreszcie:

— Kumie, strasznie zimno! dajcie-no wódki.

Popił Józek sam z flaszki i podał kumie i odsłonił dziecko, aby mu do ust nakropić. Włożył mu palec w przetwarte usteczka, poruszył twarzyczkę z jednéj i drugiéj strony, pochylił się nad niém, aby je lepiéj oglądnąć, i przerażonym czas jakiś patrzał na nie wzrokiem...

— Oho, kumo!—zawołał wreszcie: Hanka już umarła!

— Co gadacie?... umarła?... Rany boskie!... A cóż *wasza* powie?.....

— Eh!—odezwał się po chwili Józek z ponurą rezygnacyą,—może i ona już umarła...

— Byłoby dwa pogrzeby na raz!

— Oj! oj!—zawodził chłop! Zkąd ja na to wezmę pieniędzy!... Dopiéro chrzciny, to znowu pogrzeb!... Łońskiego roku jak *stara* umarła, piętnaście *papierków* mnie to kosztowało!...

Wyciągnął sanice z zaspy i wskoczył na siedzenie.

— Uff!—stęknął Michał, oganiając się ręką bezprzytomnie.

III.

Potrącona w samotném sercu struna wspomnień wibruje i dźwięczy bez końca. Jak owa syrakuzańska grota, gdzie jedno le-

dwie dosłyszalne westchnienie tysiącem na raz odbrzmiewa westchnień, takiém jest serce. Niema w niém wspomnienia bez echa: niech jedno z cicha zadźwięczy, odpowie mu drugie i trzecie i tysiące na raz z dawna przebrzmiałych odzywa się głosów w dziwną spływając harmonję... w dziwny czasem dyssonans.

Trzy piekielne siostrzyce snuły grekom nić żywota. Lecz w miarę jak się nić ta rozsnuwa, zwija się druga: na kłębek ludzkiéj pamięci nawija się nić wspomnienia. Dusza ludzka—to otchłań: dość w nią rzucić ów kłębek zaklęty, nić wspomnień snuć się będzie bez końca. Splątana, zwikłana, nie rozgmatwa się nigdy, a snuje się, snuje...

Snuły się wspomnienia w siwéj głowie staruszki.

Nie wiele ich wiązało się z tym białym dworkiem w Paprotce, na karpackiém odludziu. Za życia męża, który zaszczytny urząd obywatelski piastował, mieszkali oboje w mieście, w stolicy. Z wyjątkiem najmłodszego syna pomarła im dziatwa w pierwszych dziecięctwa latach, a jednak dziwną swych myśli i uczuć związani harmonią, z pogodném czołem szli drogą zacnego żywota, kochający, szczęśliwi, spokojni, wesoło w przyszłość patrzący.

Majątkowe klęski nie zachwiały tego szczęścia. Mająteczek, w górach wprawdzie położony, ale zawsze dość znaczny i z trzech złożony folwarków, zmuszeni byli w większéj części rozprzedać, zostawiając sobie tylko folwark najmniejszy, o kilkudziesięciu morgach owsianego gruntu, z małym dworkiem mieszkalnym, samotnym, odległym od świata i bitych gościńców, o mil trzy oddalonym od najbliższéj poczty.

Cios padł wreszcie najcięższy. Niczém nieuzasadnionym obarczony zarzutem, zniewolony głosem publicznéj opinii, która wymagała, aby się pomścił za doznaną niesłusznie obelgę, podjął sprawiedliwy mąż rzuconą mu nikczemnie rękawicę i—zginął w pojedynku.

W przecudny, słoneczny poranek wiosenny, gdy cała przyroda ku nowemu zdawała budzić się życiu, uściskał żonę po raz ostatni, dwunastoletniego przywołał Władzia, podniósł go w górę i do serca przycisnął, ojcowski na czole złożył mu pocałunek. „Kochaj mamę!“ rzekł mu i złotowłosą jego główkę na kolanach jej oparł. „Kochaj go... bądź zdrowa!“ Łza błysła mu w oku, wyszedł i wrócił z drugiego pokoju z bukietem fiołków w ręku. Jeszcze całus jeden, gorący, serdeczny; bukiecik fiołków został w jéj ręku, syn na kolanach... jego już nie było.

I nie ujrzała go już więcéj.

Daremne łzy i rozpacze, próżny żal za straconym rajem. Nie wróci już, nie wróci. Syn pozostał. Syn! to wielkie dla matki słowo, to wielka dla nieszczęsnéj pociecha. I obowiązek to wielki.

Ustała wypłata mężowskiéj pensyi. Dochody nie wystarczały na najskromniejsze nawet utrzymanie w mieście, a tém mniéj na opędzenie kosztów starannego wychowania syna. Biedna wdowa oddała go w opiekę poczciwym ludziom, a sama przeniosła się na wieś, pod karpaty, aby choć jakietakie wyciągnąć ze szczupłego mająteczku dochody.

Nie wystarczały one i nie mogły wystarczyć na opędzenie wydatków. Zmniejszyła się wreszcie i ta scheda ojcowska młodego Władzia, i dla opłacania bądź-to dawniejszych długów, bądź takich które nieunikniona konieczność nakazywała zaciągnąć, odprzedać trzeba było sąsiadom kilkanaście i znowu kilkanaście morgów. Został dom i nieco więcéj nad trzecią część pierwotnego obszaru.

Pozostałe jéj własnością grunta wydzierżawiła chłopom, a sama na kilku morgach z dwojgiem sług utrzymywała tylko krów kilka i owiec. Dochody te wystarczały jéj do życia. Syn pomocy jéj już nie potrzebował. Ukończył fakultet filozoficzny uniwersytetu, sposobił się do zawodu profesora, a będąc poszukiwanym jako nauczyciel historyi i literatury, dawaniem lekcyj w zamożniejszych domach zarabiał tyle, że nietylko sam zapewnił sobie dostatnie utrzymanie, ale i matce nieraz dopomógł w kłopotach.

W ostatnich latach zwiększyły się były te kłopoty. Osłabły siły znękanéj wiekiem i smutkami i pracą kobiéty. Nie mogła dać już sobie rady nawet z drobném swém, prawdziwie miniaturowém gospodarstwem. Na domiar złego, oczy, na które od lat dawnych cierpiała, słabły zwolna coraz bardziéj, świat zewnętrzny mglił się coraz bardziéj przed jéj wzrokiem i wreszcie zupełne dla niéj pokryły go ciemności.

Strasznym niegdyś by to było dla niéj ciosem, dziś spokojnie go zniosła. Nie był on tyle strasznym, gdyż nie spadł na nią niespodzianie, lecz dzień za dniem nieznacznie coraz gęstsza zasuwała się przed oczyma zasłona. Nie był on strasznym, bo o los syna była już spokojną. Żyła—wspomnieniami i rozpamiętywaniem przeszłości.

Jako kobiéta rzadkiego wykształcenia, dla któréj książka była niegdyś niezbędnym chlebem żywota, cierpiała zrazu bardzo na téj niemożności rozczytywania się w ulubionych autorach, przeglądania mężowskich listów, wierszy i naukowych notatek. Późniéj jednak oswoiła się z tym tak dotkliwym zrazu brakiem, a szczególnie żywa i bogata jéj pamięć, dozwalała wysnuwać ze skarbu wspomnień

całe ustępy znakomitych naszych poetów. Na samotność najsroższą skazana, nie mając w pobliżu ani jednéj pokrewnéj duszy, na mil kilka dokoła nikogo, ktoby jéj list od syna przeczytał, długiemi nieraz godzinami czytała głośno. . z pamięci...

Mężowskie listy i wiersze, do niéj po większéj części pisane, poznawała za dotknięciem ćwiartki papieru tak dokładnie, jak oślepła dewotka poznaje paciorek każdy swego różańca.

Czternaście lat wdowieństwa, zdala od towarzystwa wykształconych ludzi, sześć lat ślepoty samotnéj... cóż dziwnego że pani Anastazya wytworzyła sobie świat własny, nic ze światem ją otaczającym niemający wspólnego, świat wspomnień, w którym żyła poezyą własnéj przeszłości a podsycała życie zapamiętanemi utworami poetów. Cóż dziwnego, że świat ten jéj milszym był stokroć od martwéj, prozaicznéj obecności, że po dniach całych pozbawiona rozmowy z prozaicznêm swém otoczeniem, za głosem ludzkim tęskniła i swą tęsknotę własnym nasycała głosem?

Trudniejszą byłoby może dla psychologa zagadką, czemu z każdym rokiem coraz bardziéj wyzbywała się jéj pamięć wspomnień z lat bliższych, czemu coraz bardziéj ożywiały się w sercu staruszki i coraz milszemi stawały jéj się odleglejszych czasów pamiątki... Macierzyńska miłość, która po śmierci ukochanego męża uratowała ją od rozpaczy i od zwątpienia w siebie i w przyszłość, to macierzyńskie do jedynaka przywiązanie, w którém zdawało się, że cała jéj skupiła się istność, w miarę jak syn ten wzrastał i mężniał, bladło coraz bardziéj wobec wspomnień młodości, wobec miłości ku ukochanemu zmarłemu. Miłość ta rosła w ubóstwienie, duszę uskrzydlała tęsknotą, życiem ją pojąc jakiemś mistycznêm, nieziemską błogością, kultem się stając i jedynym życia pokarmem.

Czém się to działo?... pytajcie duszy tajemnic. One wam odpowiedzą,—ale wtedy dopiéro, gdy starość pochyli was ku ziemi, odpowiedzą wam rozmiłowaniem się waszém własném w młodzieńczych lat waszych uczuciach. Nie wiecie dziś, jak miłemi kiedyś jeszcze wam się staną wspomnienia, które dziś żadnéj mieć się wam nie zdają wartości...

IV.

. . . .

„Wszędzie! jam wszędzie w powietrznéj fali
Gdzie życia płomień tchnie!
I gdzie się akord dźwięków zapali!
I gdzie się w iskrę ciepło skrysztali"!....
——A Ona pyta: Gdzie?...

„Na wszystkich słońcach, na wszystkich światach,
I w każdéj ludzkiéj łzie,
W uśmiechach wszystkich i wszystkich kwiatach,
W proteuszowych kształtach i szatach.....“
——A Ona pyta: Gdzie?

„W własnéj twéj myśli jasnym promieniu
I własnéj duszy śnie,
We własném głosu twojego brzmieniu,
W własnego serca twojego drżeniu.....“
——Ach gdzieś ty, gdzieś ty, gdzie?...

— Ja tutaj, proszę jejmości!—odezwała się Kaśka, wchodząc z brzemieniem drzewa. Przyniosłam parę polan do komina, bo by mi jejmość zmarzła. Mróz, mróz okrutny! aż dusza w człeku marznie... A wicher-ci taki, że aż świerki jęczą... a gruszę tę nad sadzawką to złamało do szczętu... Byle strzechy nie zerwało!... jużci się ktoś powiesił, to jak dwa a dwa cztery... może ten rudy Jolko z Podsośnia, co go do kryminału wzięli za tę babę z koralami, co ją u niego w studni znaleźli... ej, żydzisko, żydzisko! dobrze mu tak!... Sprawiedliwość boska... Ale, z przeproszeniem jejmości... może to, jak się *żyd* powiesi, to wiatru niebędzie?... hej, hej, mój Boże, jejmość to uczona w książkach, to tam wszystko wie...

— A Michał niewrócił jeszcze z poczty?

— Hoho! a co też to jejmość gada!... a nie widzi to jejmość jaka zadymka straszliwa... swoich nóg nikt nie dojrzy a ktoby drogę znalazł... aj, prawda, prawda że jejmość nie widzi bo ślepa... O rety! nie wróci on dziś, nie wróci... Musiało się gdzie w karczmie śpić chłopisko, ta i leży pod ławą... z przeproszeniem jejmości. Czy ja wiem po co bo to jejmość trzyma tego pijaczynę?... Tylko na rany boskie! niech mu jejmość tego nie powie, co ja jejmości o nim mówię pod świętym sekretem... ho! nie przyjdzie ci on dziś, nie przyjdzie, ja go znam!... aż gdzie jutro koło południa... Niema komu sieczki narzezać... Ale, Jezu kochany, cóż jejmości z tego przyjdzie choćby i przyniósł listy od panicza... Któż je tu jejmości przeczyta? niema nikogo we wsi takiego uczonego. Musi jejmość czekać i tak, aż kiedy przyjedzie która pani z Podsośnia albo z Suchorębu..... albo może doktór..... ej, ej!... a ja z jejmością gadu gadu... a tam mi śmietanka wykipi...

— Idź już Kachno, idź...

— O Jezu! rety! ktoś przyjechał! Wszelki duch święty pana Boga chwali! w taki czas!... Słyszy jejmość dzwonki?.. Aj, aj, okna zamarznięte, nic nie widać... No, no, widać! Jak pana Boga kocham! taż to panienka z Suchorębu!..., w niebieskiéj płachcie... i z panią .

Nie, nie z mamunią. Ze sługą. Oj, to ta Jagna Ceglarzówna, co się z nią kowal miał żenić... a jak się wystroiła *galantnie*, w czerwoną chustę.. a to dopiéro!... no, no!... Ale pani gada a ja muszę już iść, panience zdjąć futerko... Kawy zrobić?... a owsa koniom dać? będzie jeszcze ze dwa korce w śpichlerzu.. oj, święty rety! zapomniałam! Michał pijaczysko wziął klucz!... Co ja zrobię?... Poszlę Jędrzejową do Mośka... A furmanowi panienki dać jeść? ojej! ojéj!...

I wybiegła za drzwi, zdesperowana nawałem tylu czynności które ją czekały.

V.

W kilka minut późniéj, weszła... nie, wbiegła... nie, wsunęła się? jeszcze gorzéj!... Wleciała zatém? I to źle! Dość, że w kilka minut zjawiła się u podnóżka naszéj staruszki owa *panienka* z Suchorębu, którą przez okno poznała Kachna po „niebieskiéj płachcie" a którą my z szanownym czytelnikiem spotkaliśmy już wprzódy na Paprockiéj górze jadącą sankami wśród największéj zadymki...

Cudownie lekka, wiotka, smukła, zgrabna, pełna niewymuszonéj w każdym ruchu gracyi i dziwnéj téj swobody, która jest najrzadszym i najbardziéj czarującym ze wszystkich uroków piękności,— w saméj rzeczy, nie *weszła* ona jak salonowa panna, nie *wbiegła* jak dziewczę wiejskie, nie *wsunęła* się jak zakonnica, nie *wleciała* jak trzepocące skrzydełkami ptaszę... ona się *zjawiła*. Tak jest: *zjawiła się*... tak jak myśl się jawi, jak miłość, jak radość, jak wiosna, jak poezya...

Czy była piękną? Uroczą była:—to może więcéj.

Nie miała rysów klasycznych. Hoża i świeża jak wiosenny ranek; krągła twarzyczka, rumiana od mrozu jak jabłuszko; jasno-siwe poczciwe oczęta wprost ci w oczy patrzące; małe usteczka karminowe pełne uśmiechów, z poza których białe wyglądają ząbki. Czoło wreszcie myślące, zbyt może nieco naprzód podane, a dokoła niego złocisty z warkocza wieniec—oto wszystko. Małe rączki, śliczna talia, którą zda się jedną objąłbyś ręką, przychlebny głosik, pełna niewinnéj kokieteryi modulacya w wymowie: czegóż chcecie więcéj? Nie kreślę wam słynnéj piękności, tylko uroczą dziewoję wiejskiego dworku.

W tym atłasowym szafirowym kubraczku, lamowanym puchem łabędzim, ślicznie jéj było, klęczącéj u nóg staruszki.

Całowała ją w ręce z uczuciem i patrząc na pogodne jéj i szlachetne rysy, przymilała się do niéj, przekrzywiając główkę, jakby, gorąco pragnąc jéj się przypodobać, zapomniała o tém, że staruszka

nie widzi. Pocałowała ją staruszka w czoło, ręce złożyła na warkoczu, który jéj główkę oplatał:

— Wiosna jest przy mnie! Ty musisz tak wyglądać jak wiosna, moja Zosiu! Tak mi jest jakbym wiosnę czuła, kiedyś ty przy mnie... Ale zkądżeś ty się dziś u mnie zjawiła, wiosenko moja?...

— Łaskawa pani, oto tak:..... ach, czy ja wiem sama jak?... Ale jaka ja, jaka ja szczęśliwa, że ja tutaj, przy pani!

I nie przestając klęczeć, zaczęła klaskać w ręce.

— Poczciwa Zosiu!... ty lubisz być u mnie ślepéj?

— Och, czy ja lubię!

I nowe gorące rąk ucałowania. Położyła swą główkę na kolanach staruszki, jakby domagając się pieszczot.

Nie szczędziła ich jéj staruszka.

— Jaką ty masz gładką twarzyczkę Zosiu! a uszko jakie małe... miniaturowe!... Kolczyki masz... jakie te kolczyki?

— To od wujcia, z turkusikiem.

— A włoski takie delikatne... jak jedwabne! Ten cały warkocz, to wszystko twoje własne włosy.

— Moje własne, droga pani!... ach, co to z niemi codzień kłopotu aby je rozczesać! Prawie do kolan mi sięgają.

— Twarzyczkę masz taką gorącą, rozpaloną...

— To z mrozu.

— Czołko gładziutkie... brwi... gęste brwi... A rzęsy?.... oh jakie długie!... Ale może ty się gniewasz, że ja cię tak dotykam po twarzy?

— O nie, nie, nie, najdroższa moja pani! mnie to tak miło!... Jabym tak chciała, żeby mnie pani widziała... a jak pani mnie tak rękoma ogląda, to mnie się zdaje, że mnie pani widzi.

— O ja cię przecież pamiętam dzieckiem... Śliczna byłaś moja Zosiu! ja cię widzę, dobrze cię widzę w pamięci! Byłaś jak pączek róży. Dzisiaj musisz być jak róża rozkwitła... na wpół rozkwitła... Usteczka twe pamiętam ślicznie uśmiechnięte... i oczka takie poczciwe...

I przyciągając jéj twarzyczkę rumianą ku sobie, pocałowała ją w czoło, ręką pogłaskała pod bródką:

— Uparta! uparta bródka!..:—i pogroziła jéj palcem po nosie.

Zaśmiało się dziewczę dźwięcznym jak srebrny dzwonek głosem.

— No, Zosiu, dość tych oględzin! już cię widzę. A teraz siądź tu przy mnie i powiedz: zkąd się tu wzięłaś? i czemu sama?

— Oto tak: mameczka pozwoliła mi jechać do cioci Klimci; miałam wyjechać dziś rano, żeby parę dni zabawić w Smerczyńcach i wrócić na ostatniego Grudnia do domu. Ale jak zaczęły się przygotowania do wyjazdu, to końca nie było: to to niegotowe, to owo. Bielizna dla mnie nie wyprasowana, konie nie kute na ostro, mameczka nie skończyła jeszcze listu do cioci, i tam daléj i tam daléj... Tak się przywlokło blisko do południa. W tém przed gankiem dzyń, dzyń, dzyń! wielki dzwonek u sani, jakiego w całéj okolicy drugiego niema i zajeżdża p. Tadeusz. Mama mówi: „Zosiu, zostań, pojedziesz jutro.“ A ja: „O nie mameczko, nie, nie, nie, nie... pozwoliła mi mamcia dziś pojechać do cioci, to już mamcia pozwolenia cofnąć nie może.“ Na to mama popatrzyła się na mnie *tak*!... wie pani, tak z góry i powiedziała: „Mogę cofnąć i cofam. Zostań! Niegrzecznie by było gdybyś pojechała. Konkurent zajeżdża—a ty czmychasz. Niewidzę powodu aby go odprawiać w sposób tak wyraźny. Prawie go jeszcze nieznasz; jak go poznasz lepiéj, może ci się podoba. To partya nie do odrzucenia“.... „O mamciu, nigdy, nigdy! za nic w świecie go niechcę! choćby miał wszystkie skarby golkondy!“..... bo pani nie wie jaki on nieznośny ze swojemi Shorthornami, Negrettami, pudretami!... Ale mamcia powiedziała: „Zostań“ i nie było rady... No, widzi pani, niby nie było—ale się znalazła. Jakem wyszła do pana Tadeusza z czerwonemi oczętami i chusteczką w ręku i z kwaśną minką jakbym się octu napiła—to nawet p. Tadeusz zaraz pomiarkował, że się coś święci, nastroszył wąsy i prosto z mostu po gospodarsku zapytał, pokazując swoim grubym wskazującym palcem na moje oczy: „Panna *Zofia*.. (wyobraź pani sobie! zawsze do mnie mówi: „panna Zo-fi-ja“ z przyciskiem na *fi*. Już za to samo mogłabym go znienawidzieć!)... Otóż powiedział. „Panna *Zofia* płakała!... czemu panna *Zofia* płakała?“ A ja na to: „Przez pana!“ i nic więcéj. A on roztworzył usta tak szeroko jak wrota swojéj obory i rozkrzyżował ręce. Mówię mu tedy, żem miała właśnie wyjechać do cioci Klimci, żem się niezmiernie tym wyjazdem cieszyła—a w tém on przyjechał i muszę w domu zostać—i dla tego płakałam i będę jeszcze płakać, cały dzień będę płakać. „Ależ panno *Zofio*! zawołał składając ręce jak do modlitwy,—ja niechcę być łez pani powodem i przeszkodą w jéj zamiarach... błagam panią, niech pani jedzie!“ „Niemogę. Mama powiada żeby to było niegrzecznie.“ „Ależ panno *Zofio*! co znowu! niegrzecznie? gdzież tam! Przeciwnie, *zostać* niegrzecznie!“—i pobiegł do mamy i tak zaczął prosić i zaklinać, że mi tylko pogroziła paluszkiem i kazała Stefanowi zaprzęgać...

— Dobrze, moja Zosiu,—przerwała szczebiotce staruszka, ale powiedz mi, zkądże się tu wzięłaś w Paprotce jadąc do Smerczyniec?

— Zaraz... zaraz... To się stało tak, droga pani: kiedy wyjeżdżałam z Suchorębu był mróz świetny, ale zadymki niebyło. Ujechaliśmy może z milę, aż tu, jak nie zerwie się wiatr, jak nie zacznie dmuchać, jak nie zacznie kręcić płatami śniegu i bić w oczy... rozpacz!... Ale to nic jeszcze, to jeszcze mała rozpacz. Zaczęła się dopiéro prawdziwa rozpacz jak Stefan spostrzegł żeśmy zbłądzili. Jechaliśmy i jechali bez końca i trzy razy wracaliśmy do jednéj i téj saméj figury, kręcąc się widocznie w kółko. Kilka razy zaryły się sanie w zaspę śniegu, tak, że Jagna trzymała bułanki a Stefan musiał sanie z śniegu wydobywać. Przewróciliśmy się wreszcie wyjeżdżając z jakiegoś parowu... o wielka była bieda! Nakoniec dojechaliśmy do jakiejś na wpół rozwalonéj chaty, wyszedł cygan i powiedział nam że jesteśmy niedaleko Paprotki... Do Smerczyniec niepodobna było dziś już jechać... a więc... a więc pomyślałam, że mnie może łaskawa pani przyjmie na nocleg?...

— A jeśli zadymka nie ustanie, to cię nawet i jutro nie puszczę!

— O droga pani! gdybyż ta zadymka choć ze trzy dni trwała.

I snadź nowych zapragnęła pieszczot pochlebnica, bo uklękła przed staruszką i całując jéj ręce, główkę na kolanach złożyła...

— Dawno pani już niewidziała pana Władysława?—zapytała niby od niechcenia zmieniając nagle przedmiot rozmowy. Dziwnie promieniały jéj oczy przy tém zapytaniu.

— Był tu przed miesiącem. Ty nic pewnie nie wiesz żeni się.

Trzymając ręce na główce Zosi, czy uczuła staruszka ten dreszcz tajemny, jaki przy tych słowach przebiegł dziewczynę? Drgnęła biedna Zosia, jakby niespodzianie prąd elektryczny niemile przebiegł jéj ciało—i zerwała się nagle z kolan.

— Żeni się?—zapytała, siląc się na obojętny dźwięk głosu. Ale brzmiał on tak, jakby tchu jéj w piersiach zabrakło. Z wyrazem niewysłowionéj boleści przycisnęła ręce do czoła. Oczy były pełne łez.

— Tak, żeni się!—powtórzyła raz jeszcze staruszka. Ale w brzmieniu jéj głosu także nie było radości.

— Winszuję pani!—wyrzekła Zosia przez łzy z nadludzkim prawie wysiłkiem. Osunęła się na fotel, głowę przyciskając do poręczy. Obiema dłońmi cisnęła serce, aby jéj nie pękło z bólu. Strasznie była blada.

— Niewiem czy się mam cieszyć... choć wszyscy winszować mi będą i może zazdrościć—mówiła staruszka. Dziwne to, bardzo dziwne ożenienie!

— Z kim się żeni syn pani?—a łzy jak groch padały na poręcz fotelu.

— Z panną Sarską.

— Z hrabianką?—zapytała drżącym głosem.

— Tak, z córką pani Julii, z Horsztyńca.

— To świetna partya!—rzekła po chwili milczenia Zosia, czując się obowiązaną coś powiedziéć.

— Świat tak powie. Ale ja, niewiem sama czemu, nie cieszę się tak, jakbym może powinna... Ja niewiem czy on będzie szczęśliwym...

— Jeśli ją kocha—zaczęła Zosia połykając łzy.

— Czy on ją kocha?—zamyśliła się staruszka. Ona go kocha szalenie... ale czy *on* ją kocha... Ja niewiem czy ją kocha... niewiem... może to takie dzisiejsze kochanie... Mój Ernest, ale taki Ernest jeden był tylko na świecie!... jaka to różnica, ojciec i syn!... Dziwna to młodzież dzisiejsza! dziwna!... Jacy oni chłodni! jak w nich mało serca, uniesień, zapału!... Władzio jest najpoczciwszym chłopcem, dobrym synem—a jednak... jednak, ja niewiem czy on zdolny ukochać całém sercem. Ja niewiem nawet czy on *mnie* kocha...

— Chryste Jezu! rany boskie! a co téż to jejmość wygaduje za *ferezyje*!—zawołała Kachna, przesuwając się ostrożnie przezedrzwi z dwoma szklankami kawy na dużéj tacy, chlebem i masłem. Obraza boska! gdzieżby to panicz jejmości nie kochał!... A kiedy tu był ostatnim razem u jejmości... nie widziała ja?... eh, darmo gadać, kiedy bo jejmość z przeproszeniem ślepa, to i nic nie widzi... A to *rychtyk* jak się pożegnał z jejmością i jejmość myślała że on już poszedł... oto tak... ej, kiedy muszę tacę wprzódy postawić... Stoliczek przed jejmością za mały, taca się nie zmieści. Postawię na komodzie tymczasem... Oto tak było: nibyto panicz wyszedł, a stał tu, tu koło drzwi—a z oczu mu woda ciekła, o tak: kap, kap! a ręką *ino* ocierał i patrzał na jejmość... ot tak!... eh, kiedy bo jejmość nie widzi jak ja pokazuję... no, ale panienka widzi... to jejmości powie po *chrajcuzku*, bo to się po polsku nieda powiedziéć, *ino* pokazać jak to było... Niechże panienka uważa, to ja pokażę. Ot tak, tu przystanął i potém dwa palce położył sobie *na gębie* i pocałował i potém tak ręką ruszył jakby trzymał wróbla albo sikorkę w tych palcach i prosto chciał na jejmość puścić... o tak: cmok! frrrrr!... eh, nie tak jeszcze... bo ja prosta dziewucha, to ja niepotrafię... To bardzo ładnie panicz zrobił, jak się patrzy! aż się coś człowiekowi dziwnego robiło... Zaraz ja to lepiéj pokażę, *ino* kawy jejmości podam i panience... No, bierzże jejmość do ręki szklaneczkę... Co? może nie przysłodzona? Cukier jest, trzy kawałki, tak jak jejmość lubi. A tu chléb z masłem,

No, a panienka niech bierze... Matko najświętsza! a panienka czego płacze? co się to panieneczce stało?...

— Ale zdaje ci się tylko, poczciwa Kasiu: ja nie płaczę.

— *Ola* Boga! jużci widzę! przecieżem nie ślepa jak jejmość... z przeproszeniem.

— Mróz mnie w oczy wyszczypał, dla tego mnie teraz bolą..,

— Ohoho! mróz!... mróz! Nie taka ja głupia, nie mróz to panienkę wyszczypał, ale coś *wedle* serca ją szczypnęło... Po co to udawać! lepsza najgorsza prawda jak najlepsze kłamstwo... no, niech mi panienka znaków nie daje i na jejmość nie pokazuje... bo ja się z panienką nie będę zmawiać, ażeby jejmość oszukać... z przeproszeniem... Jeżeli jejmość panience jakie przykre słowo powiedziała ..

— Ale Kasiu, śmieszna jesteś!—przerwała jéj Zosia.

— Śmieszna, ja śmieszna... ale panience nie do śmiechu dzisiaj, *ino* do płaczu... Czegoś panience serduszko się kraje, że ledwo w głos się nie rozbeczy... czegoś jéj tak żal, tak żal! okrutnie jéj żal czegoś, aż litość człowieka bierze...

Zosia próbowała się roześmiać. Po udanym jéj śmiechu mogła już i ślepa odgadnąć, że łzy cisną się jéj do oczu.

Kachna wzruszyła ramionami.

— Ej, po co to udawać! po co to udawać komedye panienko!

— Idźże już Kachno,—przerwała jéj staruszka, tak mi Zosię prześladujesz, że gotowa tu już drugi raz nie przyjechać. Pamiętaj lepiéj o kolacyi.

— No idę, idę już!... ale co prawda to nie grzech.

VI.

— Czyś ty naprawdę płakała, Zosiu?—zapytała staruszka po odejściu służącéj.

— Nie, pani; czemużbym miała płakać?

Zamyśliła się staruszka. Pokręciła siwą głową niedowierzająco. Smutny jakiś uśmieszek przemknął jéj po twarzy.

Milcząc piły kawę. Po chwili odezwała się Zosia:

— Zabawna dziewczyna! jak ona komicznie odegrać chciała rolę pana Władysława! jak ona się oburzyła na niedowiarstwo pani w jego przywiązanie!

— Poczciwa Kachna!... ale ty niewiesz, jaki on ma szczególny dar ujęcia sobie wszystkich. Jego *wszyscy* kochają: koledzy jego szkolni skoczyliby w ogień za niego, słudzy przepadają za

nim... Ja się nie dziwię że jego narzeczona taka w nim szalenie rozkochana...

— A jednak, pani niewierzy aby on ją równie kochał?

— Niewierzę... nie. On sam zresztą nie mówi tego aby był w niéj zakochany... Ona szaleje za nim, a on? wiesz, jak się wyraża o swéj narzeczonéj? „mam wiele dla niéj przyjaźni, przywiązałem się do niéj, bardzo ją lubię a *nawet* kocham prawdziwie“... Dziwnie to chłodne, to „nawet“!...

— Czemużby się z nią żenił, gdyby jéj nie kochał? Zanadto go cenię, abym mogła przypuścić, że dla jéj tytułu albo majątku!...

— Zapewne. . zapewne... I ja daleką jestem od tego, aby go o tak niegodne posądzać pobudki. Mój syn nie sprzedałby się za wszystkie korony świata. A jednak—ja ci powiem, że mimo całéj niezawisłości jego charakteru i jego postępowych przekonań, ten jéj tytuł i milionowy majątek—nie był bez wpływu na jego postanowienie. To jéj miłości nadaje w jego oczach większą wartość, urok jakiś, któregoby nie miała miłość ubogiéj dziewczyny... Czy ty to pojmujesz?... Otóż to właśnie niepokoi mnie najbardziéj i każe mi powątpiewać o jego szczęściu. Co to za szczęście bez prawdziwéj miłości... Kiedy był u mnie, spytałam go wprost: Mój Władziu, powiedz mi, gdybyś był dawał lekcye historyi nie pannie Hieronimie, ale jakiéj ubogiéj dziewczynie, a ona zakochała się w tobie do szaleństwa i sama ci się oświadczyła...

— To ona sama mu się oświadczyła?

— Sama.

— A pan Władysław?

— Władzio jéj odpowiedział, że nie są dla siebie stworzeni, że dzieli ich nieprzebyta przepaść majątkowego położenia i uprzedzeń społecznych i przestał bywać w ich domu.

— Jakże się więc stało...

— Panna, która od dzieciństwa była zawsze słabowitą i ma zdrowie bardzo wątłe, wpadła w nieukojony smutek i rozchorowała się śmiertelnie. Wtedy, widząc rozpacz matki, która ją namiętnie kocha, na jéj prośby i zaklęcia wyznała jéj wszystko. Hrabina bez namysłu napisała bilet do Władzia, prosząc, aby przyszedł. Wymówił się. Pisała drugi raz, zaklinając go, aby przyszedł dla porozumienia się w sprawie „równie dla niego ważnéj, jak dla niéj.“ To były słowa jéj listu. Wiedząc o chorobie panny i domyślając się o co idzie—nieposzedł. Ale w kilka dni późniéj, otrzymał trzeci list, z wiadomością, że panna, będąc śmiertelnie chorą, dysponowała się na śmierć i pragnie się z nim pożegnać...

— Wtedy poszedł oczywiście...

— Poszedł—i wrócił do domu jako jéj narzeczony... a we dwa tygodnie panna Hieronima wyzdrowiała.

— Ah!—westchnęła ciężko panna Zofia, to więc ofiara była z jego strony! to go zupełnie tłómaczy... Ale ona, ona? jak mogła przyjąć taką ofiarę?... A jeźli ją przyjęła, sądząc że jest umierającą, to czemuż mu teraz słowa nie zwróci, wiedząc że on jéj nie kocha?...

— Ona tego nie wie. On jéj tego nie powiedział, kiedy mu się sama pierwsza oświadczyła. Tłómaczy się, że toby było zbyt niegrzecznie, prawie impertynencyą, na gorące oświadczenie miłośne: „kocham cię", odpowiedzieć pannie: „a ja ciebie nie." Sądził, że ta gwałtowna miłość jest zwykłym przemijającym kaprysem romansowéj panny i że jéj wkrótce z głowy uleci. Powiedział jéj więc wtedy na pociechę, że ją także kocha od dawna, ale że należy ugiąć się w obec dzielących ich przesądów, wyperswadować sobie i rozejść się na zawsze.

— To źle!... Ale czemuż dzisiaj nie powie jéj prawdy? Czyż i dla niéj nie lepiéj, aby się teraz dowiedziała, że jéj nigdy nie kochał, niż kiedyś dopiéro, gdy już będzie za późno...

— On się czuje związany daném słowem... Pochlebia mu to zresztą, że się stał przedmiotem, już nie miłości, ale jakiegoś bałwochwalczego ubóstwienia, że za nim szaleje rozmarzona dziewczyna, córka jednéj z najznakomitszych rodzin w kraju, milionerka, o któréj względy dobijali się synowie najarystokratyczniejszych domów... „Gdybym zerwał—powiada mi—onaby umarła. Umarłaby z pewnością! Taka wątła, chorowita, drażliwa, nerwowa! Chłodniejszy wyraz twarzy, słówko obojętne z méj strony, przyprawia ją o płacz, o spazmy, o rzeczywistą—a nie udaną chorobę. Zerwać? nigdy! czyż nie byłoby to nikczemnym egoizmem, okrucieństwem nawet? Czyż mogę zerwać, choćbym jéj nawet, jak mama twierdzi, w saméj rzeczy nie kochał?... Ale nie, ja mamie zaręczam, że ja ją *bardzo lubię* i *prawdziwie nawet kocham...* Czyż to nie dosyć? Jak jéj nie kochać, kiedy ona mnie tak kocha?"...

— On ma słuszność, droga pani, on ma słuszność!—odezwała się Zosia i ukryła twarz w obie dłonie.

— Tak... tak!—powtórzyła zwolna staruszka:—on ma słuszność!... ale powiedz mi Zosiu, powiedz sama: czy on może być z nią szczęśliwy?...

Milczeniem odpowiadała Zosia tłumiąc w sobie płacz. A w ociemniałych oczach staruszki błysnęły dwa światełka, dwie duże łzy.

Poczciwa dziewczyna chciała pocieszyć strapioną matkę i na ustach miała już banalny zwykły frazes o szczęściu jakie daje poświęcenie... Ale zamilkła.

We drzwiach pokoju stanęła Kachna.

VII.

W progu już zaczęła wrzeszczéć lamentującym głosem: Jejmość! jejmość!—i z lamentem tym wpadła spłakana, zadyszana, na środek izby.

— Co się stało?—zapytała staruszka i Zosia równocześnie, Zosia z wyrazem przerażenia, staruszka dość spokojnie. Snadź przywykła była do nieuzasadnionych alarmów swéj służącéj.

— Ach, jejmość! nieszczęście!... Józek... ten z pod młyna... pojechał z Wojciechową dzisiaj rano do kościoła... z maleństwem, co mu się wczoraj urodziło... ażeby proboszcz... jak się przynależy ludzkiemu dziecku... ochrzcił, bo Wojciechowa ma dużego już chłopca, co się i sam odkarmia mlekiem i kaszą... A taki się mróz wszczął i zadymka... a Maryna to taka była chora jak Józek jéj dziecko brał to i rzekła: ja się was niedoczekam!... A i zgadła... ba, nieprawda, niezgadła, bo jużci się doczekała jak wrócili... wrócili proszę jejmości i tego pijanicę zabrali na drodze boby był zmarzł na wieki. Amen... a dziecko zamarzło i umarło jak wracali z kościoła... nieboractwo prosto do nieba pójdzie... *ino* go się doczekała i powiada: Józek! jesteś? ja umieram! a ochrzczone? Ochrzczone! powiedział. A *Maryna* jéj? *Maryna*, odpowiedział... a nieprawda, bo jéj dał ksiądz *Hanka*, ale że ona chciała, żeby jéj było Maryna, to powiedział *Maryna* aby jéj markotno nie było... bo widział że już, już *ino* trochę a skończy... a Bartoszowa nad nią z gromnicą stoi... to jéj powiedział że Maryna... A jakże ona teraz będzie dziecko wołać na tamtym świecie?—to ona go nieznajdzie!... Ale tak jéj powiedział. A na to woła: daj mi ją, daj, niech ją *ino* jeszcze obaczę i pocałuję!... A Wojciechowa na to: Po co byście dziecko całowali kiedy macie umierać! Ach, niechże pocałuję! Dalibyście pokój! i niechciała jéj dać. Aniołowie święci będą myśléć że je chcecie zabrać ze sobą. Ale Maryna koniecznie: Dajcie i dajcie, niech się ino popatrzę. Dajcie prędko bo już umieram. A jak się *ino* popatrzyła i obaczyła że już umarło, jak nie wrzaśnie... słyszy jejmość? to wrzasła jak nieboskie stworzenie... ale tak wrzasła, że aż ludziom mróz po kościach poszedł... i wrzasła i ręce przed siebie wyciągnęła, gromnicę Bartoszowéj z ręki wytrąciła, i już nic... ani tchu... Jezu, Jezu! straszne takie konanie, Matko Najświętsza ratuj!... Jezu! Jezu! takem się spłakała!... Tak to dziewce

za mąż iść... a każda by chciała... Oj, co prawda to prawda! straszne sądy boskie!... *Rychtyk!* byłabym na śmierć zapomniała: słyszy Jejmość? ten pijanica to przez cały ten czas leżał na sankach przed chałupą, bo ludzie o nim zapomnieli... dopiéro się teraz Wawrzek nad nim zmiłował i przywiózł go tu, tośmy go do stajni zanieśli a nie rusza się *ino* czasem mruczy jak niedźwiedź, a pijany, jak *sztok*... a dobrze że torby nie zgubił i listy są... zaraz jejmości przyniosę, *inom* zapomniała z wielkiego płaczu w kuchni...

I wyszła.

Nie wiedziała snadź dobrze, gdzie się jéj listy zapodziały, bo sporą chwilę dała czekać na siebie. Ochłonęły tymczasem obie panie z doznanych wrażeń jéj opowieści.

— Jakież to okropne zdarzenie! — zawołała Zosia. — Jakież to straszne tragedye dzieją się w tych chatach!

— Wszędzie się dzieją tragedye, moje dziecko: ta tylko różnica, że my w nieszczęściu mamy pociechy im niedostępne.

— Tak pani, ale nas za to tyle rzeczy boleśnie dotyka, których oni czuć nie są zdolni.

— Zapewne. Ale ileż natomiast drobnych przykrości znosimy ze śmiechem, które dla nich, jak dla dzieci, prawdziwém są nieszczęściem.

— Dziwna to rzecz przecie, kochana pani, że nic tak nie koi własnych naszych smutków jak odczuwanie cudzego nieszczęścia.

— Zosiu droga! to tylko ci, co kochać umieją, doznają téj pociechy w smutku, że cudza boleść łagodzi ich własną, a cudze szczęście ich uszczęśliwia... Ach, ta Kachna, ta Kachna! ona gotowa jeszcze zgubić list mego syna!

— Pani się spodziewa listu od pana Władysława?

— Niemiałam go od jego wyjazdu. Pisuje do mnie tak rzadko! Ale on wie, że niemogę często posyłać na pocztę—a choć mi list przyniosą, to czasem i przez dwa tygodnie niemam tu nikogo aby mi odczytał. Będziesz dziś moją lektorką Zosiu?

— O z największą ochotą!...

Przyniosła Kachna dwa listy, podała je do rąk swéj pani.

Pochwyciła je staruszka skwapliwie, macierzyńską radością przyoblokły się szlachetne jéj rysy. Zważyła je oba staruszka na dłoni, każdy z osobna, drżącemi rękoma obracała je w koło: mierzyć się zdawała ich kształt i wielkość. Przesuwała palcami po adresie, jakby czując chropowatość rozpoznawała litery i charakter pisma.

— Ten gruby—rzekła, jakby sama do siebie—to nie od niego! On tak krótko pisuje... Czworograniasta koperta—nie, to nie od Władzia... *Ten* od niego, ten podłużny!... Ale czemu lakiem zapie-

czętowany? On zawsze listy zakleja... Pismo na adresie jakby piaskiem było posypane, chropowate... Czy to piasek się przesypuje?... Tak, to piasek!... on nieużywa piasku... Co to jest?... To może nie od niego?... Ale nie, to przecież od niego! od niego!... Ta sama wielkość—a marka pocztowa przylepiona po lewéj stronie... to on! z pewnością on!

I bawiła się listem, jak dziecko trzymające w ręku kasową asygnatę, któréj niezna jeszcze wartości. Nie puszczała go z rąk, nie oddawała Zosi do czytania, jakby nie chciała rozłączyć się z tym skarbem dla niéj tylko przeznaczonym, jakby dotykanie się go nierównie milszém jéj było od dowiedzenia się jego treści.

— No, czytaj teraz Zosiu!—i podała list wspaniałomyślnie z takim wyrazem twarzy, z jakim bogacz zaprasza biednych ludzi, aby zasiedli do jego sutéj biesiady.

— Pani—rzekła Zosia—świecy nie ma. Już ciemno.

— Ciemno?—zapytała ze zdziwieniem ślepa.—Mnie się zdawało, że słońce świeci... Powiedz-że Kachnie, aby ci dała świecy... Ach, czy się tylko znajdzie świeca u mnie... bo widzisz moja droga, ja—niepotrzebuję.

Na szczęście znalazła się świeca u Kachny.

Zosia postawiła ją na stoliku i z pośpiechem rozłamała pieczątkę listu.

— „Kochana Siostro..." to nie od pana Władysława!... Może ten drugi?...

Staruszka rozczarowana, podała jéj drugi list.

— O, *ten* od pana Władysława!—zawołało poczciwe dziewczę wesoło, rozerwawszy kopertę.—Cztery całe ćwiartki!...

— Cztery całe ćwiartki—powtórzyła matka z radością.

— Drobno zapisane! — dodała Zosia uszczęśliwiona szczęściem staruszki.

— Nigdy mi jeszcze tak długiego listu nie napisał!

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo!..."

— Nie... nie! czytaj pierwéj list od mojéj siostry... list od syna na końcu; już po nim nie chcę nic słyszéć. Ten-by mi potém zepsuł wrażenie Władziowego listu, zatrułby mi radość. Skoro wiem, że Władzio pisze, tom już spokojna o niego. Czytaj list mojéj siostry Zosiu.

VIII.

Zosia czytała:

— „Kochana Siostro! Piszę do Ciebie, aby Ci..." ach, jakież nieczytelne pismo!—„aby Ci powinszować, że Twój syn taki świetny

los robi żeniąc się z hrabianką, która ma taki milionowy majątek. Ludzie o tém dawno gadali, ale ja temu wierzyć nie chciałam, żeby on miał taki praktyczny rozum i potrafił hrabiance głowę zawrócić swoją osobą. Nie gniewaj się, ale ja zawsze myślałam, że on taki sam będzie jak jego ojciec i jeszcze i tę paprotkę straci, co ojciec jego nie stracił, bo go zabili w pojedynku...“

— Proszę pani, może nie czytać daléj tego listu?

— Czytaj Zosiu, czytaj do końca. To rzecz zwykła.

— „Ale przypomniał sobie przecie, że ma ciotkę i choć pół roku u nas nie był, choć na téj saméj ulicy mieszka, to teraz był i powiedział, że to wszystko prawda i że ślub będzie w styczniu przyszłego roku jak pan Bóg da doczekać. Winszuję Ci moja kochana Siostro. Ja się nie dziwię, że on u nas nie bywał, bo co jemu ze mnie, kiedy takie wielkie miał projekta. To i jednemu na tysiące się nie uda, chociaż dziś hrabianki dużo łatwiejsze jak wprzódy. Moi synowie takiego szczęścia nie zrobią, choć mąż mój przy magistracie i ma swoje wpływy. Nie chcieli się uczyć, to i cóż robić? nie mogą zrobić karyery. Władzio w Ciebie się wdał a oni we mnie—to i Ty poszłaś za obywatela a ja za urzędnika, to i z nimi tak samo. Władzio z hrabianką się żeni, a mój... mój...“—nie mogę przeczytać...

— Felunio zapewne?

— Nie...

— Tybuś?

— A tak, Tybuś!... „a mój Tybuś zakochał się w ekonomównie i awantury wyrabia. Kamilcię wydaliśmy za pocztmajstra, to przynajmniéj tyle nam się poszczęściło, ale co do Stefci i Berci to ich nikt niechce, choć niemało-śmy już na traktamenta wydali i dużo nas to kosztowało. Felunio ustatkował się i może świetny los jeszcze zrobić, bo bardzo ładny chłopiéc, ale do hrabskich domów nie będzie się wciskał, gdzie go nie proszą. Gdyby Władzio miał dobre serce i chciał dla nich być bratem, jak powinien, toby i moi synowie los zrobili, ale jemu to nie w głowie, on tylko o sobie myśli. Może to i dobrze tak, takie czasy postępowe i ja się jemu nie dziwię. Jakie odebrał wychowanie to taki jest...“

— Ah, to niegodziwe!—zawołała Zosia, przerywając czytanie listu. Po chwili czytała daléj:

...„ale jaki tego będzie koniec, tego człowiek nie zgadnie. Nie jednemu się wiodło, wiodło, a potém się urwało. Dlatego nie trzeba nigdy ubogiemi krewnemi pogardzać. Prawda, kochana Siostro? Mogłabyś też to jako matka Władziowi Twemu powiedzieć. Choć się z hrabianką ożeni, to przecież sam jeszcze przez to hrabią nie zostanie. Powinien o tém pamiętać. Ale ja się na niego nie żalę.

Bardzo grzeczny, kiedy przecież choć raz na pół roku do nas przyszedł, aby nam powiedzieć że się żeni, a potém i drugi raz jeszcze był dowiedzieć się, jak się mam, kiedy mu Felunio powiedział po jego powrocie z Paprotki, że było u mnie konsylium, bo już miałam umierać. To już drugie w tym roku konsylium dla mnie, a to ogromnie kosztuje, a ta kuracya to tyle pieniędzy zabiera, że niewiedzieć zkąd wziąść, choć poczciwy Bonuś robi co może. A wszystko o te nogi i nic nie pomaga a puchlina coraz więcéj idzie w górę. Ale żeby tylko wiosny dał p. Bóg doczekać—tobym pojechała do kąpiel to wszystko będzie dobrze a może i dla Stefci znalazłby się tam konkurent, bo tutaj go nie ma. Tylko, że na to wszystko pieniędzy potrzeba a poczciwych ludzi, choćby między najbliższymi nawet krewnymi, to mało na świecie. Felunio także potrzebuje, żeby się pokazać w świecie, bo inaczéj losu nie zrobi, a skąd wziąć? Prosiłam, prawdziwie z upokorzeniem własném, Twego Władzia o 200 guldenów, ale on mi odmówił i powiedział że nie ma. I Felunio poczciwy go także prosił i także mu nie dał i powiedział że niema. A przecież to nie może być, bo to przecież jasne jak na dłoni, że to nie bez tego, aby jemu już i teraz co niedawali, bo by się przecie stara hrabina wstydziła za przyszłego zięcia, gdyby nie występował w świecie jak na hrabskiego zięcia przystoi. Niechciał i koniec. Proszę Cię zatém kochana Siostro, kiedy Ci los tak poszczęścił, to nie obrażaj pana Boga, bo szczęście się może odwrócić, i pomóż mi przecie, bo wiem że i o parę tysięcy nie byłoby wam teraz trudno. Ja wiem, że Ty dobra siostra a jak się Felunio ożeni, to *jak dzieci moje kocham*" (podkreślone) „zaraz Ci oddam z posagu jego żony, nawet z procentem jaki będziesz chciała. A jakby się nie ożenił, to przecież stać nas jeszcze z czego oddać, a mąż mój ma oprócz swojéj pensyi różne dochody. Tylko powiedz kochanemu Władziowi, którego jak ciotka prawdziwie kocham, żeby starszych słuchał i tak się nie puszył i swoją dumą ludzi nie obrażał po mieście, bo Felunio powiada, że straszne rzeczy o nim opowiadają, a kiedy komu na myśl przyjdzie, to *gotowi jeszcze jaką anonimę na niego napisać do hrabiny i będzie po wszystkiemu...*" (te słowa podkreślone!) „Proszę Cię raz jeszcze kochana Siostro, o te nędzne 200 guldenów, które mi Twój syn odmówił, choć widział jakie mam nogi opuchłe i że potrzebuję na kuracyą. Ściskam Cię i całuję moja najukochańsza Siostro z całego serca mojego. Bądź zdrowa i, odpowiedz mi prędko o co Cię proszę. Każ komu napisać, abym wiedziała czego się mam trzymać. Niech Cię Bóg ma w swojéj świętéj opiece. Twoja kochająca Cię Siostra *Malwina...*" ach daruj droga pani, ale gdybym listu tego z rąk pani nie otrzy-

mała, to nigdybym nie uwierzyła, że to siostra pani tak pisze, tak myśli, tak czuje!...

— Rodzice nas odumarli za młodu—odparła staruszka—każda z nas wychowywała się gdzieindziéj, cóż dziwnego żeśmy niepodobne do siebie... Ale niemówmy o tém raczej!... Co pisze mój syn? Czytaj Zosiu, czytaj!

IX.

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo! Poprawię się droga Mateczko i będę odtąd pisywać częściéj i dłużéj!... Temi słowy Cię pożegnałem moja najdroższa, a data niniejszego listu mego niech Ci świadczy o szczeréj chęci poprawy...“

— Jaka data listu?

— Ach, prawda! nieprzeczytałam daty u góry: 26-go listopada... „Przedwczoraj rano Cię pożegnałem, dziś po południu znużony nieprzespaną w szybkowozie nocą, stanąłem dopiéro na miejscu i już piszę. Nie dziw się droga mateczko, że pisując do Ciebie tak rzadko, tak krótkie pisywałem listy, tak *oschłe* jak się wyraziłaś. Trudno to, pisując raz na miesiąc, w jednym liście streścić to wszystko co się w ciągu kilku tygodni robiło, myślało czuło. A choćby się nawet udało zapamiętać i streścić, to każde streszczenie z natury rzeczy musi być oschłém—jak spis rozdziałów jakiéj, choćby krwią serdeczną pisanéj, książki.—Powiedziałaś mi, że list syna do matki powinien być zwierciadłem jego duszy. Cóż, kiedy dusza ludzka to nie posąg z marmuru ani idea wieczyście z sobą identyczna! Dusza—to rzecz żywa, a życia istotą ruch ciągły i ciągła zmiana. Niech fotograf zdejmie wizerunek téj saméj okolicy w różnych porach dnia i roku, to i poznać będzie trudno, że to jeden i ten sam krajobraz. Niech się list stanie zwierciadłem na ową godzinę pisania, to nie poda wizerunku piszącego, ale tylko jednéj życia jego godziny.—Wiem ja o tém z doświadczenia i dla tego mi to tak trudno, pisując rzadko do Ciebie Mateczko, wynurzyć się z mojemi myślami, uczuciami, wywnętrzyć się przed Tobą z wszelkich tajników duszy, rozserdecznić się i rozpisać. Postanowiłem tedy pisać do Ciebie codzień kilka wierszy a gdy się zbierze listu takiego parę ćwiartek— odesłać. List taki, w którym z całém synowskiem wylaniem chcę Ci się wiernie codzień ze wszystkiego wyspowiadać, powie Ci więcéj o mnie, niżbym ja sam ustnie powiedziéć Ci zdołał. Wiele rzeczy łatwiéj napisać niż powiedziéć.“

„Wierz mi Mateczko: powiedziałaś mi, że o Tobie zapominam, a ja teraz stokroć częściéj i stokroć goręcéj czuję potrzebę wyspowia-

dania się przed Tobą ze wszystkich myśli moich, zwierzenia się Tobie ze wszystkich mych smutków i żalów i pociech... Czemu tak? spytasz. Oto dlatego, że tak dziwna padła mi dola, iż prócz Ciebie, czuję to, nie będę miał się już w życiu przed nikim spowiadać, ani ulgi szukać w niczyjem sercu nie będzie mi już wolno.“

„Powiedziałaś mi Matko, żem ja od lat dziecięcych zawsze przed Tobą nieszczery, że staram się zawsze zataić wszystko to, coby Cię mogło udręczyć. Powiedziałaś mi, że więcéj Cię to dręczy domyślać, się przeczuwać—niż wiedziéć, choćby rzecz najsmutniejszą. Prawda, żem niegdyś taił niejedno przed Tobą, aby Cię nie zmartwić, ale wierz mi żem nigdy nie dopuścił się kłamstwa. A dziś, dziś ja umiem Cię pojąć już całą—dziś objąć już zdołam całą wielkość Twéj duszy: Tyś jedyna na świecie może kobiéta, przed którą synowi wszystko wyznać się godzi, ja nietylko kocham Cię szalenie, ale ja Cię ubóstwiam. Będę zupełnie szczery przed Tobą.“

„Jeden mógłbym miéć tylko powód wstrzymujący mnie od szczerości w mych listach—a tym jest wątpliwość, kto Ci listy moje czytać będzie. Gdybym był pewny, że będzie to zwykła Twoja lektorka, szanowna pani Seweryna, to możebym je tak pisał prawie, jakbyś Ty je sama jedna tylko czytać miała, ale wiem, że pani Seweryna bardzo rzadko Cię teraz odwiedza, objąwszy Suchoręb we własną administracyą. Pani Seweryna umiałaby dochować tajemnicy, gdyby się kiedy jaka w moim liście znalazła—a nielękałbym się odsłonić przed nią moich słabych stron, bo wszak mnie ona zna od dziecka. Nieradbym jednak, aby moje listy czytały panie z Podsośnia, a tém mniéj p. Marceli. Panu Adamowi także ich nie dawaj Mateczko, ani panu Marjanowi, ani nikomu z całego tego gniazda.“

— Proszę pani—przerwała Zosia czytanie listu—może mi daléj czytać nie wolno? O mnie nie ma wzmianki.

— Moja Zosiu—rzekła staruszka po krótkim namyśle—Władzio pozwala aby je czytała Twoja Matka. A ty taka sama jak ona. Ja tobie równie ufam. Czytaj dziecko drogie! On o tobie dlatego tylko nie wspomniał, że ty zawsze z matką przyjeżdżasz i nigdyś dotąd moją lektorką nie była. Wszak ty nikomu nie powiesz co z tobą mówiłam o zamierzoném ożenieniu mego syna, ani tego, coby on sam pisał?

— O zaręczam ci pani, nikomu!... zawołało wzruszone dziewczę.

I czytała:

„Co do niniejszéj mojéj posyłki, jestem o jéj los zupełnie spokojny. Wstąpiłem do poczciwego naszego doktora i uprosiłem go, aby Cię odwiedził około 12-go grudnia i jadąc do Paprotki zabrał

mój list. Obiecał mi to święcie a co on przyrzeknie, to pewniejsze od pitagorasowéj tabliczki. Jako czytelnikowi niniejszego mojego listu składam mu tu raz jeszcze serdeczne podziękowanie za tę przysługę oddaną mnie i Tobie, jedną z tysiąca jakie w ciągu swego życia nam oddał, a których mu nigdy niczem wywdzięczyć nie zdołamy. Przed nim, jak mój ojciec tak i ja żadnych nie mam tajemnic.“

„Rozpisałem się szeroko, a nic Ci nie doniosłem. Północ już dochodzi, oczy mi się kleją. Powiem Ci więc dziś krótko, to co chciałem szczegółowo opowiedzieć. Przyjechałem tu o czwartéj. Przebrawszy się—pierwszą osobą, którą spotkałem na ulicy, był Felunio, nieznośny Felunio. Obcałował mnie i obślinił i jak zwykle miał do mnie *wielką prośbę*. Mateczka wie, co u niego znaczy *wielka prośba*. Oczywiście nie dałem nic. Mam i tak u niego do 40 guldenów, ciężką pracą zarobionych. Próżniaczysko! stara się teraz o bogatą kotlarzównę, ale ona go niechce. Usłyszawszy odemnie *verba veritatis* powiedział mi, przypomniawszy sobie przy pożegnaniu, najprzód, że panna Idalia zaangażowana do Warszawy, a potém jeszcze sobie przypomniał, że jego matka była przed dwoma dniami umierającą i zwołano do niéj konsylium. Po dokonanéj operacyi ma się ciotka znacznie lepiéj. Poszedłem natychmiast do niéj, bo nie chcę na nową burę od mateczki zasłużyć. Siedziała w fotelu i robiła pończochę jak zwykle, a usta jéj się nie zamykały. Skargi i narzekania na wszystkich żywych i umarłych sypały się jak z rogu obfitości a mnie się dostało docinków najcięższego wagomiaru ze dwadzieścia. Nikogo nie oszczędzała, dostało się nawet mężowi, czyli jak go nazywa, Bonusiowi. Felunio wyszedł jeszcze najlepiéj z tego gradobicia. Nie uwierzyłaby Mama, jaka ciotka teraz zła: kto jéj nie widział od czasu jéj choroby, wyobrazić sobie tego nie potrafi. Dawniéj przecież taką nie była. Doktorowie powiadają, że to zły bardzo symptom choroby i zły wróżą koniec. W téj chwili niebezpieczeństwo zdaje się być uchylonêm, ale za parę tygodni może znowu powrócić, a wtedy prawdopodobnie nie byłoby już ratunku. — Zabawiłem u ciotki dłużéj nad zamiar: kuzynka Bercia popisywała się z arją *Pięknéj Heleny; W lasku Ida trzy boginie*, Stefcia zaś wymagała odemnie z trudną do opisania natarczywością, abym jéj opowiadał wszystkie szczegóły mojego, jak się wyraziła, *romansu*. Obie coraz brzydsze, ale Stefcia ma nieco naturalnéj gracyi, ale kiedy chce o czemś powiedzieć, że to niedorzeczność, czyni to za pomocą pewnego charakterystycznego gestu, który mi przypomina śliczną naszą sąsiadkę, pannę Zofią.“

Zapłoniła się Zosia, zaskoczona tak niespodzianą o niéj wzmianką. Mimowolny przestanek w jéj płynném czytaniu zabawił staruszkę.

— Widzisz Zosiu — i o tobie mowa!

Ale jéj ścisnęło się serce żalem. Czytała daléj:

„Wuja Bonusia z początku nie było w domu w czasie moich odwiedzin. Przyszedł dopiero późniéj. Przyszedł z jakiéjś piwiarni, co czuć było aż nadto po rozlegającéj się piwiarnianéj woni, a po kilku słowach przywitania wziął się do obcinania paznokci. Używał do téj operacyi jakichś szczypczyków, zamykających się z szczególniejszym zgrzytem, a po każdem zgrzytnięciu takiém odskakiwał w górę okrawek pazura i uderzał, to w lampę, to w twarze przytomnych osób. Zaledwie skończył tę robotę, zabrał się do drugiéj, do dłubania piórkiem w zębach. Skrobał po nich tak głośno, że aż mrowie mnie przechodziło, choć nie należę do nerwowych ludzi. Muszę Mamie przypomniéć dla uzupełnienia obrazu, że zęby ma prawdziwie przedpotopowéj wielkości i posiada jakiś muszkuł, którego zapewne braknie innym ludziom, a za pomocą którego, potrafi tak ściągnąć górną wargę w górę, że jéj prawie nie widać... Pamięta Mama tę oryginalną jego postać?... Do rozmowy się nie mięszał, czasem tylko przerywał swoje zajęcie jakim wykrzyknikiem nie artykułowanym, albo wtrąceniem niedorzeczném swego przysłowia: *kulą w płot!* Ach, co to za nieznośny człowiek!“

„Wyrwawszy się nareszcie ztamtąd, spieszyłem do mojéj narzeczonéj, choć przyznam się Mateczce szczerze, strasznie mi się już niechciało. Czułem, że wypada pójść w dzień mego powrotu ze wsi—i zrezygnowany byłem pójść. Na moje szczęście czy nieszczęście—spotykam .. nie zgadłaby Mama kogo... oto, mego najlepszego i najserdeczniejszego przyjaciela: Jasia! Po pięciu latach niebytności wyrwał się od swych zajęć w Warszawie i przyjechał do nas na dni kilka. Pojmuje Mama, żem już do Sarskich nie poszedł i cały wieczór spędziłem z Jasiem. Przecież przyjazd tak dawno niewidzianego przyjaciela, którego jak brata kocham, może mnie rozgrzeszyć. Z nim tak rzadko widywać się mogę, a z nią będę całe życie razem, zawsze razem aż do znudzenia. Rozpytywał mnie z serdeczném zajęciem o Mamę, o nasz dom, o wszystko. Gdym mu powiedział że się żenię, rzucił mi się z radością na szyję i zawołał: A, to się cieszę! Spodziewałem się tego! — Spodziewałeś się? zapytałem zdziwiony. — Blondyneczka jak łania, o jasno-niebieskich oczach, nieprawdaż?— Nie, rzekłem: smagła bruneta... i opowiedziałem mu dzieje moich zaręczyn. Nie bardzo mu się to wszystko podobało i rzekł w końcu: Jabym był wolał... i urwał. Cobyś był wolał?—Nie chciał mi powiedziéć. Może i jabym był wolał?... ale nie ma o tém co mówić. Już po północy. Dobranoc.“

(d. n.) *Autor „Plotek i Prawd.“*

PO BITWIE PRZY BIAŁÉJ GÓRZE.

Geschichte des dreissigjährigen Krieges von Anton Gindely, Vierter Band. Prag, Verlag von A. Tempsky.

Pomnikowe dzieło profesora Gindelego o dziejach wojny trzydziestoletniéj postępuje, zwłaszcza, jeżeli się obliczymy z trudnościami zbierania materiału i wydawnictwa, rączo naprzód. Ostatni tom, trzeci dzieła, z którego zdawaliśmy sprawę swego czasu, kończył się ponurym obrazem katastrofy powstania czeskiego na Białéj Górze,— czwarty obecnie wydany, skreśla krwawe dzieje represyi habsburgskiéj i europejskich następstw zwycięztwa Austryackiego. Spoglądając na ową represyą, przypatrując się owym następstwom, przywodzimy sobie mimowolnie na myśl postać Almanzora alpuharowego. Konający wśród mąk dżumy Arab, wszczepia jad zabijającéj go choroby w łono swych dręczycieli. On umiera, ale i wróg dotknięty śmiertelnie. Nie inaczéj się przedstawia zgon Czechów na Białéj Górze. Legną zwyciężeni, ale zgnieciona i przydeptana na *ich* widowni pożoga udziela się Niemcom, udziela się trzem czwartym kontynentu europejskiego, Czechy zgniecione, zniszczone i złupione, ale pod koniec wojny trzydziestoletniéj, czyż Niemcy nie ten sam przedstawiają widok? Przedmiotem opowiadania Gindelego w czwartym tomie jego dzieła jest właśnie początek tego *zeuropeizowania*, jeżeli tak wolno powiedzieć, owéj wojny, przemiany jéj z zatargu miejscowéj natury, między domem habsburgskim a Czechami, na wielki pożar europejski. Ta téż okoliczność właśnie odbiera, bez winy naturalnie autora, dzięki sile samych opowiadanych wydarzeń, czwartemu tomowi ów interes, jaki wzbudzały trzy poprzednie. Pierwsze trzy tomy trudniły się wyłącznie dziejami wielkiéj katastrofy na ziemi czeskiéj, opowiadały ciężkie przeprawy i przygody naszych pobratymców, błędy ich względem siebie samych, grzechy na-

széj przeszłości XVII wieku względem nich, monumentalną ich pomyłkę, iż losy własnéj narodowości utopili w internacyonalizmie idei kosmopolitycznéj, grzech nasz, iż nie bacząc również na nasze dobro narodowe i polityczne, stanęliśmy także w bratobójczéj walce przeciw nim jako wyznawcy i ogniwo idei przeciwnéj. Błędy i nieporozumienia zobopólne, które wypuściły fatalnie z ręki jak nigdy nadarzającą się sposobność zjednoczenia i zbratania zachodniéj Słowiańszczyzny pod egidą Polski. Spoglądając na dzieje tych błędów i zboczeń, patrząc na zgon czeski u stóp Białéj Góry, pragnęlibyśmy mimowolnie trzymać się choćby téj zakrwawionéj i żałobą pokrytéj widowni, pozostać na gruncie czeskim a przynajmniéj na gruncie czeskiego *interesu*, śledzić daléj bądź to za szczegółami strasznéj represyi, bądź za szczegółami narodowéj obrony. Nadzieja podobna i pragnienie zawodzą.

Po krótkiém opowiedzeniu czynów rakuskiéj zemsty na ziemi czeskiéj, o czém jeszcze niżéj szerzéj sobie pomówić pozwolimy, przenosi się ciężar relacyi autora gdzie indziéj. Palatynat, Węgry, Niderlandy; gabinety madrycki, paryski, londyński, rzymski,—otóż nowa widownia, na którą opowiadanie autora w niniejszym dalszym ciągu wojny trzydziestoletniéj czytelnika przenosi. Powiedzmy przecież z góry, a to w imię naszego interesu i współczucia dla pobratymczego nam narodu, że właśnie opis i charakterystyka téj rozległéj widowni przekonywają nas, że mimo klęski Białogórskiéj, nic jeszcze straconego dla Czechów nie było, gdyby byli chcieli zostać *narodem* a nie prostym odłamem wielkiéj armii protestantyzmu europejskiego. Słaby i nikczemny zkądinąd król Fryderyk posiadał obok wszystkich błędów i przywar *jeden* przecież, ważny wśród obecnych okoliczności dla sprawy czeskiéj przymiot—nie chciał się zrzekać praw swych do korony czeskiéj, nie chciał, co więcéj, kosztem poświęcenia swych doradzców i dygnitarzy czeskich, okupywać restauracyi swéj władzy w Palatynacie. Stolica kraju wpadła wprawdzie w ręce nieprzyjaciela, ale w zachodniéj jego części trzymały się pod dowództwem naczelném hr. Mansfelda załogi czeskie w Lokecie (Elnbogen), Falknowie (Falkenau), Taborze i Pilznie. Z przeciwnéj strony, w Morawii i na Szląsku, trzymał się margrabia na Karniowie (Jägerndorf), mając groźną dla domu rakuskiego podstawę w panującym na Węgrzech Bethlen Gaborze. Świat protestancki zaczął się na korzyść sprawy czeskiéj budzić z uśpienia. Anglia, Holandya, książęta prostestantcy Niemiec zaczęli się zbroić. Krystyan halbersztadzki, Wilhelm badeński, książę heski stają na czele zbrojnych oddziałów na hasło w kraczających do Palatynatu Hiszpanów. Słowem nie byłoby jeszcze nic straconego dla Czechów przez klęskę biało-

górską, gdyby mieli najprzód świadomość swéj sprawy narodowéj, następnie narodowego człowieka, wreszcie, co najważniejsza, ową wytrwałość i siłę oporu narodowego, która przed dwunastu laty podtrzymywała i ożywiała Husytów, wyrzucając na powierzchnią walczących mas—wodzów wiodących do zwycięztwa. Nieszczęsną wadą temperamentu słowiańskiego jest fluktuacya między zdolnym cudów nastrojem ducha z jednéj, a między jego bezprzykładnym, więcéj niż rezygnacyjnym upadkiem z drugiéj strony. Objawia się to czy to po przegranéj Słowian zaodrzańskich na polu bitwy Dymińskiéj, czy po klęsce Serbów na Kossowém Polu, czy po własnych naszych klęskach. Biała Góra jest podobnego pojawu, regularnie powtarzającego się w dziejach słowiańskich, nieodrodném stwierdzeniem. Straszna chwila, w któréj smutna rezygnacya i uległość zgromionych nie są w stanie przebłagać równie srogiéj, jak nikczemnéj mściwości zwyciężców...

Po ucieczce Fryderyka i jego dygnitarstwa z Pragi, po rozbiciu i rozprzężeniu czeskiéj armii, dostaje się, jak wiadomo, namiestnictwo z ramienia Cesarskiego w Czechach księciu Lichtensteinowi. Chwilowo ważą się jeszcze w Wiedniu postanowienia natury *politycznéj*, ze względu na okoliczności, na usposobienie zagranicy, ze względu mianowicie na fakt, iż zachodnie grody kraju znajdują się ciągle jeszcze w ręku rewolucyi, pod dowództwem Mansfelda. Cesarz Ferdynand nie wie jeszcze dobrze, co robić i jak sobie postąpić ze zwyciężonymi Czechami; za to sroży się nad krajem ruina z rąk bezpośrednich zwyciężców na miejscu, nie mająca nic wspólnego z czynami jakiejbądź polityki. Kraj ulega spustoszeniu, rabunkom, łupiestwu nietylko, co rzeczą naturalną w owych czasach, z rąk rozpasanego żołdactwa, ale co więcéj zastanowienia godna, z rąk samychże dowódzców armii Cesarskiéj. Na czele łupiezców i zdzierców widzimy tyle mądrego zkądinąd, stojącego wówczas na świeczniku księcia Maksymiliana Bawarskiego. Obok niego odznaczają się gwałtami i rabunkami cesarski feldmarszałek Buquoy i pułkownik hiszpański Verduga. Jeden Tilly tylko, Tilly napiętnowany w historyi przez protestantskich pisarzy jako pogromca i zniszczyciel Magdeburga, przedstawia na widowni czeskiéj żywioł umiarkowania, występuje jako obrońca i opiekun uciśnionych zdeptanych wobec samego cesarza Ferdynanda a głos jego nie przebrzmiewa bez skutku. Mimo to, dowodzi choćby sama jedna tylko cyfra dwóch milionów talarów zdartych z *jednego* miasta Pragi, jak mało skuteczną była interwencya Tillego, a późniéj nawet Maksymiliana bawarskiego, rozdrażnionego gwałtami żołnierstwa cesarskiego, na jak straszny los wystawiła klęska Białogórska kraj i naród czeski. Co się tyczy poli-

tyczno - wojennéj strony pierwszych owych miesięcy po klęsce czeskiéj, widzimy czynność gabinetu wiedeńskiego zwracającą się na dwie przedewszystkiém, różne charakterem i naturą, widownie.

Jak powiedziano wyżéj, dzierżył jeszcze kondottier Mansfeld z ramienia Fryderykowego grody w zachodnich Czechach. Pilzno, Cheb (Eger), Żatec (Saaz), Falknow, nie wymieniając innych. Chodziło o przełamanie ich oporu, raczéj na drodze zgody i pokoju, aniżeli wstępnym bojem, ponieważ obawiano się w Wiedniu groźnéj odsieczy Bethlen Gabora z jednéj, książąt protestantskich niemieckich z drugiéj strony. Mansfeld był osobistością nadającą się wybornie do podobnéj kombinacyi dworu wiedeńskiego. Kondottier sprzedający swe służby i osobę więcéj dającemu, wszedł w układy z agentami Ferdynanda, a jeżeli mu nie oddał wręcz zamków czeskich, przypisać to tylko należy ubóstwu skarbca cesarskiego. Nie widząc podobieństwa korzystnego handlu z Wiedniem, wolał na tymczasem pozostać wiernym sprawie protestanckiéj, ale opuścił widownią wojny czeską i przeniósł się osobiście do Palatynatu, by późniéj nieco rozpocząć walkę z inwazyą hiszpańską pod dowództwem Cordovy. Grody czeskie pozostawił łasce Opatrzności. Do miesiąca marca r. 1622 legły one jeden po drugim; Maksymilian Bawarski doprowadzał z kolei każdy z nich do kapitulacyi przekupstwem lub głodem; wiosna roku 1622 nie przedstawiała panowaniu cesarskiemu na widowni czeskiéj poważnych przeszkód. Loket, Tabor, Falknow, Cheb znalazły się w ręku zwycięzców.

Tego tylko, jak się zdaje, hasła, czekał gabinet wiedeński, by przystąpić do drugiéj części swego zadania, natury czysto już tylko politycznéj. Nasuwało się pytanie, co uczynić z Czechami i jak sobie postąpić z wybitniejszemi postaciami powstania? Dwa przeciwne prądy walczyły tu z sobą. Książę Lichtenstein, generał ligi Tilly, nawet Maksymilian Bawarski byli za polityką łagodności dla osób przynajmniéj. Tilly mianowicie, obawiając się czy jego rady będą usłuchane, doradzał tak zwanym dyrektorom czeskim czyli członkom powstańczego rządu, ucieczkę za granicę. Inny, przeciwny pierwszemu prąd, przemawiał w gabinecie wiedeńskim za środkami ostatecznéj surowości, za konfiskatą majątków, za karami śmierci, więzienia i wygnania. Na czele tego kierunku widzimy najprzód wojowniczego białogórskiéj bitwy mnicha Dominicusa, obok niego niecnego sprawy narodowéj renegata, radcę cesarskiego Wilhelma Slawatę, głównego bohatera *defenestracyi* praskiéj. Jeżeli drugi z pomienionych prądów zwyciężył w postanowieniach cesarskich, należy to przypisać nie mniéj mściwości Ferdynanda, jak chęci i potrzebie zapełnienia pustego skarbu cesarskiego. Obra-

no tedy drogę bezwzględnéj surowości, postanawiając ogólną konfiskatę majątków przeciw wszystkim osobom skompromitowanym w powstaniu, zarządzając daléj pomiędzy niemi samemi trzy kategorye: *pierwszą* podlegającą karze śmierci z barbarzyńskiemi dodatkami; *drugą* karze śmierci zwyczajnéj przez ścięcie lub powieszenie; *trzecią* skazaną na wieczne lub czasowe kary więzienia. Trybunał, mający sądzić winnych, złożony został, pod przewodnictwem księcia Lichtensteina, z samych tylko Niemców austryackich, z zupełném wyłączeniem Czechów, których względności dla obwinionych ziomków się obawiano.

Co wśród podobnego stanu rzeczy uderzająca, to dziwna jakaś rezygnacya czy bezpieczeństwo zagrożonych bezpośrednio zemstą rakuską. Istotny to spokój ofiary przykutéj do miejsca magnetyzującém spojrzeniem grzechotnika. Z co wybitniejszych postaci powstania czeskiego, uznał tylko Wilhelm z Rupowa, kanclerz króla Fryderyka, za rzecz stósowną towarzyszyć swemu panu za granicę i unieść w ten sposób swą głowę w miejsce bezpiecznego schronienia. Wszyscy inni zostali w kraju lub zostali, jak hrabia Schlick, wydani przez wiarołomnego elektora saskiego zemście austryackiéj. Na nieszczęście zaś tak dla nich, jak więcéj jeszcze dla sprawy krajowéj, nie kieruje postanowieniem tych co pozostali, jakabądź chęć oporu czy choćby nawet tylko działalności w imię interesu i dobra narodowego, lecz, co najwięcéj rezygnacya bierności, jeżeli nie dążność wykupienia się mało zaszczytną uległością od srogiego losu, który ich czekał.

Namiestnik książę Lichtenstein zawezwał wszystkich, obecnych w Pradze „*dyrektorów*“ na zamek, na tenże sam zamek, z którego komnat w dniu 23 maja r. 1618 hasło strasznéj burzy wypadło. Po krótkiéj rozmowie ogłoszono im ze strony namiestnika cesarskiego, że są więźniami i poosadzano ich po różnych gmachach miasta Pragi. Procedura śledcza nie była zbyt długą, ani niestety dla obwinionych zbyt zaszczytną. Zamiast stawić śmiało i otwarcie czoło srożącéj się burzy, usiłowała większa część obżałowanych zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności, wypierać się sprawy powstania, zwalać najgorszą część winy bądź na poległych, bądź na nieobecnych. Gdyby zaś przynajmniéj podobném postępowaniem byli sobie, swym majątkom, krajowi okupili względniejsze losy! Na nieszczęście nie dała się przecież mściwość austryacka przekupić podobną pokorą. Wyrok zapadł, był srogi, krwawy, nacechowany na każdéj ze swych długich stronic: szubienicą, toporem, konfiskatą, długoletniém, jeżeli nie wiecznéem więzieniem. U niektórych z obżałowanych obostrzono wyroki śmierci. Tak np. był skazany dr. Jessenius na ucięcie języka przed

ścięciem głowy; Michałowicz na ucięcie poprzednio ręki; sługa miejski Mikołaj Diwisz na jednogodzinne przybicie języka do szubienicy za powitanie mową króla Fryderyka. Jak widać z tych wyroków, nie wzdrygała się jezuicko-rakuska mściwość wobec wybryków najsroższego barbarzyństwa. Wykonanie potwierdzonych w całéj rozciągłości przez Cesarza Ferdynanda II wyroków naznaczono na dzień 21 Czerwca r. 1621. W nocy przed egzekucyą sprowadzono wszystkich więźniów, z różnych zamknięć Pragi, na ratusz starego miasta i pomieszczono ich pokotem w komnatach tego starożytnego gmachu. Jezuici nie byli bezczynnymi w ostatniéj téj chwili życia swych ofiar. Biegali od jednego do drugiego, usiłując namawiać do przejścia na wiarę katolicką, obiecując ułaskawienie lub złagodzenie kary. Nadaremno. Ogromna większość skazanych, nawet 86-letni Kaplirz, nawet 80-letni Łoś odrzucili ich ofiarę i zdobyli się w stanowczym tym momencie na męstwo, które im nie towarzyszyło w ciągu śledztwa. Mściwość austryacka nie posunęła się przynajmniéj do tego stopnia, aby skazanym w ostatniéj téj chwili odmawiać pociechy religijnéj z rąk i ust kapłanów ich wyznania. Dopuszczono do nich w nocy księży-utrakwistów, którzy całą noc z 20 na 21 czerwca spędzili ze skazanymi na pobożnych rozmowach i przygotowaniach do dalekiéj podróży, jaka ich czekała. Posłuchajmy teraz opowiadania autora o samymże akcie owéj bezprzykładnéj w dziejach, tłumnéj egzekucyi.

„Tak przeminęła noc a nareszcie oznajmiły dzwony z wież miasta piątą godzinę z rana; równocześnie odezwał się z zamku strzał działowy na znak, że odbywają się ostatnie przygotowania do egzekucyi i że się tuż rozpocznie. Wszystkie bramy miasta były zamknięte, wszystkie furty mostowe zawarte, a żołnierze zajęli przeznaczone sobie stanowiska. Rada starego miasta i sąd królewski miasta Pragi znaleźli się na ratuszu, ponieważ egzekucya miała się odbyć w ich obecności i pod ich przewodnictwem. Sędziowie królewscy wstąpili do różnych komnat, w których więzniów pomieszczono i oznajmili im, że godzina nadeszła i że każdy ma być gotowym do stawienia się na miejsce egzekucyi, skoro będzie zawezwany przez sędziego miejskiego. Pierwszy, którego zawezwano, był hrabia Schlick. Ubrany w czarny jedwab, puścił się w krótką drogę w towarzystwie księdza Lippacha. Gdy schodził na dół ratuszowemi wschodami, czekało nań dwóch Jezuitów, z których jeden raz jeszcze uczynił próbę nawrócenia, lecz z niczém odprawiony został. Swobodnie i bez kajdan wszedł hr. Schlick na rusztowanie, gdzie go pomocnik kata czekał i kark jego odsłonił. Po dopełnieniu tego uklęknął, położył głowę na pień, a kat odciął ją jednym ciosem od

ciała. Pomocnik kata przyskoczył i położył prawą rękę hrabiego na pieniek, poczém i ją odcięto i wraz z głową schowano. Ciało zawinięto w przygotowane prześcieradło; sześć czarno zasłonionych osób odniosło je z miejsca. W podobny sposób postąpiono sobie ze wszystkiemi następnemi osobami, które ścinano. Z jednym tylko dr. Jesseniusem (skazanym na poprzednie ucięcie języka) uczyniono wyjątek. Po Schlicku wstąpił na rusztowanie Budowec bez jakiegobądź otoczenia i odebrał cios śmiertelny. Trzeci-z rzędu, Krzysztof Harant z Połżyc, korzystał z kilku chwil, jakie mu do życia pozostały, by za pośrednictwem księdza Rosaciusa przesłać swéj żonie ostatnie upomnienia, aby wiernie wytrwała przy ewangelii, aby nie dopuszczała żadnemu Jezuicie wstępu do swéj rodziny i poddanym swoim w ciężarach roboczych ulżyła. Życzenia i upomnienia umierającego nie znalazły przecież żyznéj roli; wdowa oddała później rękę katolikowi i uczestniczyła późniéj w prześladowaniu swych dawniejszych współwierców. Czwarty ze skazanych, 86-letni Kaplirz, odpowiedział skwapliwie wezwaniu, zawikłał się jednakże w swoją szatę, tak, że byłby prawie upadł na ziemię i poprosił dla tego pastora Rosaciusa o rękę przy dalszym pochodzie, bo dodał, gdybym upadł i kark skręcił, powiedzieliby moi nieprzyjaciele, że to uczyniłem z rozpaczy. Gdy wstąpił na rusztowanie i chciał uklęknąć, mógł to z powodu słabości z wielkim trudem tylko uczynić a trzeba go było upominać, jak położyć głowę, aby kat cios swój mógł wykonać. Po nim szli Dworzecki, Fryderyk Bile i Otto Łoś. Nim jego wywołano, skarżył się na barbarzyńskie ćwiertowanie, które go czekało, „niechaj tam moję głowę i członki mego ciała choćby w najdalsze kraje roześlą, znajdzie je już i odszuka mój zbawiciel w dniu sądu ostatecznego.“ Gdy ksiądz Rosacius doń przystąpił, aby mu w téj ostatecznéj chwili towarzyszyć, pospieszył naprzeciw niego i żałował, że komunii z rąk jego nie odebrał; zaręczał przecież, że gdy się właśnie przez kilka chwil zdrzemnął, zbawiciel we śnie go pocieszył tak, że całkiem pocieszony na śmierć idzie. Wstąpił następnie na rusztowanie, upadł na kolana, zmówił krótką modlitwę i odebrał cios śmiertelny. Jak się zdaje, nie ćwiartowano go po śmierci. W podobny sposób ścięto i inne osoby a u dwóch tylko obostrzono tę karę; byli to Bogusław z Michałowic, któremu przed śmiercią rękę ucięto i dr. Jessenius (Jesenski), któremu najsamprzód wycięto język, potém odrąbano głowę, ciało zaś za bramy miasta wyniesiono i tamże ćwiertowano. Rüpplowi i Haunschildowi odcięto również rękę, dopełniono jednakże téj kary już po ich ścięciu. Gdy przyszła kolej na jedynego katolika, Dionizego Czernina, a on się zabierał stanąć przed katem, usunął się brat jego Herman Czernin, który jako komendant miasta egzekucyi był obecnym i wrócił do-

piéro po jéj spełnieniu. Żal swój i obawę śmierci objawiał Dyonizy w ostatnich chwilach gorzkiemi łzami, ponieważ się widział zawiedzionym w nadziei ułaskawienia. Podobnież słabymi pokazali się w ostatnich chwilach Rüppel i Masztierowski, ponieważ obu spokojne poddanie się zakłucono fałszywemi obietnicami. Rüppel pytał, wstąpiwszy na rusztowanie, czy nie będzie ułaskawionym, a dopiéro za odebraniem przeczącéj odpowiedzi, poddał się swemu losowi, Masztierowski oglądał się na wszystkie strony, czy mu kto nie oznajmi łaski, a skoro się w swéj nadziei zawiedzionym spostrzegł, opanował go najgłębszy smutek. Wszyscy inni przecież szli odważnie na śmierć i postępowali w godny sposób. Kochan chciał nawet, aby syn jego był świadkiem egzekucyi. Na trzech skazanych dopełniono kary śmierci przez powieszenie. Teodorowi Sixtowi ogłoszono, według postanowienia powziętego w Wiedniu, ułaskawienie za wstąpieniem na rusztowanie; zawdzięczał je swemu stryjowi kancnikowi praskiemu Platteisowi von Plattenstein. Podczas całéj egzekucyi bębniono, aby zapobiedz słuchaniu ostatnich słów skazanych przez zgromadzony na tysiące tłum ludu. Wszystkich egzekucyj tak mieczem, jak szubienicą, dopełnił jeden kat, który robotę swą w blisko cztery godziny skończył i za nią nagrodę 634 talarów otrzymał. (Nazwisko tego Sansona bogobójnego Cesarza Ferdynanda było *Mydlacz*). Głowy dwunastu skazanych zawieszono na wieży mostowéj starego miasta; dodano zarazem do nich ręce Schlicka i Michalowica i język Jesseniusa. Hrabina Schlick prosiła w roku następnym Cesarza o wydanie zwłok męża a ponieważ prośba jéj wysłuchaną została, dozwolono jéj zdjąć jego głowę i rękę. Inne głowy za to pozostały zawieszone, a obrzydłe to widowisko mieli Prażanie przez dziesięć lat przed oczyma; dopiero gdy elektor saski w roku 1631 z królem szwedzkim się połączył, broń swą przeciw Cesarzowi obrócił i Pragę zdobył, zdjęto i pochowano głowy."

Otóż to akt zemsty pobożnego Ferdynanda i reakcyi jezuickiéj przeciw najszlachetniejszéj, najoświeceńszéj, najprzedniejszéj warstwie narodu czeskiego, przeciw jego reprezentacyi moralnéj i politycznéj, która jeżeli czém zgrzeszyła, to, że zamiast podjąć sztandar narodowy, podniosła kosmopolityczną chorągiew reformy religijnéj, to, że zamiast odwołać się, jak przed dwustu laty Zyszka do zwolnionych ze społecznego i religijnego ucisku mas ludowych, wolała trzymać lud w niewoli a tworzyć sobie armią swéj sprawy z najrozmaitszych żywiołów awanturnictwa europejskiego. Dodać tutaj dla dokładności należy, że *krwawa* zemsta Ferdynanda ograniczyła się właściwie na wyprawieniu głównych swych orgji w Czechach tylko i na widowni pragskiéj. W Morawii, w Górnéj i Dolnéj Austryi mści się

zwycięzka reakcya nie tyle na osobach, ile na własności pokonanych. Rabunek partykularny, praktykujący się przez rozpasane żołnierstwo cesarskie, idzie tu w parze z systematycznėm, uregulowanėm z góry zdzierstwem władz cesarskich, mającėm na celu z jednéj strony zubożyć żywioły oporne, z drugiéj napełnić pusty skarb austryacki. Rozjemcza w Morawii osobistość Karola z Żerotina, wielkiego obywatela kraju, który w pierwszych chwilach rozpoczynającego się powstania czeskiego chciał zażegnać burzę, stanąć w roli pośrednika między cesarzem Ferdynandem a powstaniem, nie znalazła również wśród orgij reakcyjnych miejsca dla siebie w ojczystym kraju. Wyniósł się zeń na Szląsk, który podobnie jak Łużyca, zostawał w sekwestrze elektora saskiego, politycznie związanego z Austryą, religijnie nie uczestniczącego w jéj mściwych prześladowaniach. Póżniéj nawet następuje nader rozdrażnione naprężenie stosunków między dworem drezdeńskim a wiedeńskim, z powodu prześladowań czeskich wyznawców kościoła augsburskiego, który elektor saski napróżno i bezskutecznie przeciw mściwości austryackiéj chciał brać w opiekę.

Po opisaniu strasznéj egzekucyi praskiéj i pierwszych czynów zemsty Ferdynandowéj, opuszcza autor na długo zajmującą nas w pierwszym rzędzie widownię czeską, by na nią znów dopiéro pod sam koniec niniejszego tomu swego dzieła powrócić. W dalszym ciągu swego opowiadania przenosi się na wielką widownię europejską, przedstawiającą z każdym dniem niemal więcéj, skutki oddziaływającéj siły powstania czeskiego. Zachowując sobie streszczenie opowiadania autora w *téj* części dzieła na póżniéj, zapiszmy nawiasowo niezbędną według nas w tém miejscu uwagę o stanowisku i zapatrywaniu się samego autora. Nie jestto rzecz obojętna ani dla ocenienia wartości dzieła, ani nawet dla należytego zrozumienia jego treści. Czém że jest autor, przyszłoby nam zapytać. Czechem czy Niemcem, katolikiem czy protestantem? Pytania tego nie stawiamy, aby badać narodowe czy religijne sumienie autora, lecz aby z odpowiedzi nań, módz wyciągnąć podstawną i zasadniczą myśl dla jego dziejów wojny trzydziestoletniéj. Przedmiotowość historyczna, ważny bez wątpienia przymiot działalności dziejopisarskiéj, przestaje być przymiotem, skoro się posuwa aż do zupełnego starcia barwy obozu, do którego autor należy czy powinien należéć. Otóż przecież, co mimo wszelkiego zasobu uczoności i bogactwa materyału, mielibyśmy powód zarzucić autorowi. Autor nie jest ani Czechem ani Niemcem, ani katolikiem, ani protestantem; autor nie jest wreszcie wyznawcą żadnéj innéj prawdy politycznéj czy społecznéj, z któréj stanowiska by się na bieg wypadków zapatrywał. W opowiadaniu dziejów tak głęboko *zasadniczego* sporu, jakim była wojna trzydzie-

stoletnia, było to przecież rzeczą nieuniknioną. *Trzeba* było stanąć na jakimś pewnym gruncie; *trzeba* było obrać sobie wyraźne i ściśle oznaczone stanowisko obserwacyjne, by zeń *umiéć* spoglądać na wypadki, by około niego módz je grupować, by około niego skupiać interes własnego opowiadania i uwagę czytelnika. Otóż tego wszystkiego w dalszym ciągu dzieła profesora Gindelego *nie* widzimy, odkąd opuścił widownię czeską. Od chwlli rozstania się z ojczystą glebą, *kosmospolicieje* opowiadanie autora, rozstrzeliwa się w szczegóły akcyi wojennéj i dyplomatycznéj, bądź to na teatrze wojny nadreńskiéj i palatynackiéj, bądź na różnych dworach europejskich, a słabą nić wiążącą owe późniejsze wydarzenia wojny trzydziestoletniéj z ich czeskim początkiem, przedstawia zaledwie, nędzna pod każdym względem, równie mało sympatyczna autorowi jak czytelnikowi, osobistość ex-króla czeskiego Fryderyka, mającego ciągle przy swym boku kanclerza czeskiego Wilhelma z Roupowa, bawiącego się w Hadze królewskim tytułem bez zamiaru poparcia go czynem, patrzącego z obojętnością na orgie w nieszczęsnym kraju, który mu nieoględnie zaufał. Tymczasem wskazuje całe ogólne położenie rzeczy, że przy pewnéj dozie zimnéj krwi i stanowczości ze strony Fryderyka, nic jeszcze straconego przez klęskę białogórską nie było i że zewsząd przedstawiały się widoki i żywioły ratunku. W środkowych Niemczech istniała ciągle jeszcze tak zwana *unia* miast i książąt protestanckich, gotowa podać rękę Fryderykowi i bronić palatynatu przeciw inwazyi hiszpańskiéj Spinoli i Cordovy. W samym Palatynacie znajdują się zastępy kondottierskie hr. Mansfelda; na pograniczu Morawii i Węgier wojuje jeszcze margrabia Karniowski; w samych Czechach, mianowicie w zachodniéj części kraju, znajdują się wreszcie różne miasta i twierdze w posiadaniu powstańczych załóg. Bethlen-Gabor wzywa co chwila Fryderyka do powrotu, obiecując mu skuteczną pomoc, ale niedołężny elektor czeski rozkoszuje w bezpiecznéj Hadze, nie myśląc wystawiać na niebezpieczeństwo swéj osoby ani w Czechach, ani w dziedzicznym palatynacie. Rzecz aż nazbyt naturalna, że sprawę, która się *sama* opuszczała w ten sposób, spieszyli opuszczać i inni.

W lipcu r. 1621 rozwiązała się wobec zwycięstwa austryackiego, wobec groźnych postępów w Palatynacie Cordovy, Spinoli, Maksymiliana bawarskiego i Tillego, protestancka unia, zostawiając na placu tylko Mansfelda i księcia heskiego Leopolda. W tę to chwilę trafia upokarzająca dla Fryderyka interwencya jego teścia Jakóba I króla angielskiego. Usposobienie protestanckiéj Anglii, nie wyjmując następcy tronu księcia Karola, jest wyborne dla sprawy protestantyzmu kontynentalnego, dla Fryderyka i Czech. Idąc za po-

pędem swych sympatyi, nie byłaby się Anglia lenila pośpieszyć z pomocą zięciowi swego króla. On sam przecież jest słabym, wahającym się, żądnym dobrego porozumienia z cesarzem Ferdynandem a przedewszystkiém z Hiszpanią. Pretensya jego nie sięga po za zamiar utrzymania Fryderyka przy Palatynacie w zamian zrzeczenia się korony czeskiéj. W tym kierunku podejmuje Jakób I negocyacye z Wiedniem i Madrytem, przez posłów swych lorda Digby i palatynackiego radzcę Pawela, właściwie po za plecami i bez udziału Fryderyka, który nie wie jak się ma, który gotów już prawie poświęcić daleką i niepewną koronę czeską za gwarancyą bezpiecznego posiadania dziedzicznego palatynatu, ale który w chwili stanowczéj nie zdolny nigdy przypieczętować ciągłego wahania ostateczną decyzyą i bawi się ciągle ułudném mamidłem tronu czeskiego. Tymczasem zaś czyha z istną drapieżnością sępa na zdobycz palatynatu Maksymilian bawarski, czyha na nią ku zgorszeniu nie tylko już Fryderyka, ale najnieprzyjaźniejszych mu nawet książąt niemieckich, samego wreszcie nawet Wiednia, który czuje ciężar opieki zwycięzcy z pod Białéj Góry, zdobyczą zaś samą po Fryderyku swobodnie chciałby rozporządzić.

W takiéj to chwili przybywają w Sierpniu 1621 do Wiednia lord Digby i Pawel, żądając od cesarza restauracyi Fryderyka w palatynacie, grożąc wojną, gdyby dwór wiedeński na podobną kombinacyą zgodzić się nie chciał. Gabinet wiedeński znalazł się w krytyczném położeniu i nie byłby zeń znalazł podobnie furty wyjścia, gdyby mu jéj nie był otworzył, sam Fryderyk. Naturalnym warunkiem zgody dworu wiedeńskiego na propozycyą angielską było zrzeczenie się ze strony Fryderyka tronu czeskiego i wycofanie swych załóg z miast i twierdz czeskich. Niewiadomo przecież, jaki wiatr znów zawiał w Hadze. Tyle tylko pewna, że Fryderyk odrzucił proponowaną ugodę, a tém samém uniepodobnił skuteczność interwencyi angielskiéj na rzecz swoję, prawda zresztą, że interwencyi upokorzającéj i krzywdzącéj, bo nakładającéj mu obowiązek wyparcia się wszelkiéj spółki z Czechami. Odmowa ta ułatwiła gabinetowi wiedeńskiemu jego postępowanie. Fryderyk został wyrokiem cesarza uroczyście pozbawiony swego dziedzictwa, które przysądzono z nieszczególném zadowolnieniem księciu Maksymilianowi. Mimo to nie ustają przecież usiłowania Jakóba I na drodze dyplomatycznéj około zgody Fryderyka z cesarzem, usiłowania, które mimo słabości i chwiejności króla angielskiego, byłyby się z pewnością zamieniły na interwencyą wojenną, gdyby sam Fryderyk tylko był się zdecydował rzucić spokój hagski i stąpić na arenę toczącéj się w jego imieniu i za jego sprawę walki. Digby jedzie następnie do Madrytu, by i tam

wytargować Fryderykowi zawieszenie broni i restauracyą w Palatynacie, coby się było może powiodło, a zwłaszcza przy cichéj niechęci dworu wiedeńskiego przeciw pretensyom Maksymiliana bawarskiego, gdyby elekt czeski był chciał raz przecież powziąść jakąbądź stanowczą decyzyą. Tymczasem jak dotąd, tak póżniéj, sam nic osobiście nie robiąc, nie wstępując na widownię walki, bawiąc się grą w piłkę w stolicy Holandyi, posiada przecież i objawia dość wyglądającego na stałość uporu, by odmawiać zrzeczenia się korony czeskiéj, by nie pozwalać kapitulować Mansfeldowi, by trzymać swe załogi w miastach czeskich. Zresztą nie można zaprzeczyć, że jak się bardzo często wśród podobnych okoliczności dzieje, biednego ex-króla czeskiego te same mocarstwa i wpływy wstrzymywały po cichu od koncesyi na rzecz mającéj się zawrzeć z cesarzem ugody, które go głośno i poważnie do niéj skłaniały. Najlepszym tego dowodem postawa posła angielskiego lorda Digby w przejeździe przez Palatynat za powrotem z Hiszpanii. Z jesienią roku 1621 rozpoczęła się tu na nowo, z różném szczęściem, wojna między Maksymilianem bawarskim i Tillym z jednéj, a hr. Mansfeldem z drugiéj strony. Kondottier Mansfeld był przecież i mimo względnego powodzenia swego, skłonnym każdego czasu kapitulować i sprzedzać siebie i swego żołnierza, byle tylko dobrze, na usługi cesarza. Negocyacye w tym kierunku zaczęły się toczyć. W takiéj to chwili stanął na widowni palatynackiéj lord Digby i wbrew oficyalnym swym instrukcyom zgromił go surowo i upomniał do przestrzegania obowiązków ludzkiego i wojskowego honoru. Wystąpienie podobne angielskiego posła odniosło pożądany skutek, Mansfeld pozostał wiernym Fryderykowéj sprawie; drzemiąca przez niejaki czas w palatynacie wojna zawrzała na nowo w miesiącu Październiku 1621.

Jeżeli tak, jak dopiéro powiedziano, sprawa Fryderyka a raczéj, o co *nam* przynajmniéj głównie chodzi, sprawa pobratymczego nam narodu czeskiego,—byle tylko była znalazła człowieka i energią,— mogła nawet w zimnéj na pozór i obojętnéj Anglii znaleść dla siebie pożądanego sprzymierzeńca,—przedstawiał się jéj jako wiele ważniejszy, skuteczniejszy, bo bliższy sprzymierzeniec *Bethlen Gabor*. Zbuntowany przeciw domowi rakuzkiemu, dążący do korony węgierskiéj, oparty o pomoc turecką, groźny stosunkami z książętami protestanckimi Niemiec, groźniejszy swém bezpośredniém sąsiedztwem z opornemi żywiołami Szląska, Morawii, Czech i samejże Austryi,—wojuje wciąż z cesarzem na pograniczu Austryi i Węgier, bawiąc się z nim od czasu do czasu na przemian niedotrzymywanemi nigdy traktatami pokoju czy zawieszenia broni. Francya Ludwika XIII, tyle niepodobna w pierwszych owych początkach wojny trzy-

dziestoletniéj do Francyi z późniejszzéj epoki tejże saméj wojny,— występuje tu w roli sekundanta dworu wiedeńskiego i usiłuje pośredniczyć w zgodzie między cesarzem a dumnym magnatem madziarskim. Z początku nie odnoszą jednakże pośrednicze usiłowania Francyi żadnego skutku, a wojna sroży się przez całą pierwszą połowę roku 1621. W jednym z jéj bojów, pod Neuhausel, ginie nawet bohater bitwy białogórskiej, pogromca i niszczyciel Czech, wódz cesarski Buquoy. Margrabia na Karniowie towarzyszy wiernie swemi zastępami Bethlenowi; młody hrabia Thurn wreszcie trzyma się oparty o podobne plecy, bohatersko w Kłodzku. I tu więc otwierałoby się Fryderykowi, powiedzmy lepiéj, *narodowemu* prawdziwie mężowi Czech, szerokie pole działania wraz z nieskąpemi widokami powodzenia. Wzywają go też na swą naturalną widownię akcyi tak Bethlen, jak Karniowski margrabia, nadaremno jednakże. Żądny blasku i tytułów władzy, bez chęci i zamiaru wystawienia za nią swéj osoby, pozostaje Fryderyk na uboczu holenderskiem a znużona jego lenistwem fortuna odwraca nareszcie oblicze.

W Lipcu roku 1621 zawiera Bethlen ponowny pokój z cesarzem, poświęcając Fryderyka, poświęcając politycznie sprawę margrabiego na Karniowie, który osobę swą przynajmniéj do Węgier unosi. Owo ustąpienie możnowładzcy węgierskiego z widowni walki pociąga za sobą ważne dla sprawy cesarskiéj następstwa. Poddaje się Ferdynandowi Szląsk, a hołd od kraju w imieniu jego odbiera we Wrocławiu elektor saski. Tuż potém kapituluje w Kłodzku po długiéj, bohaterskiéj obronie młody hrabia Thurn w miesiącu Październiku 1621; cesarz Ferdynand syt zwycięstw, chwały a nadewszystko krwi czeskiéj, może bezprzeszkodnie święcić akt swych uroczystych zaślubin z młodą Eleonorą, księżniczką Mantuańską.

Trwa tymczasem bez przerwy wojna w nadreńskim Palatynacie, jakoby ku żywemu dowodowi, że i *tu* jeszcze sprawa Fryderyka bezpowrotnie straconą nie jest. Zbrojnym jéj reprezentantem jest tamże utrzymujący siłę 18 tysięczną Mansfeld, którego, jak wyżéj powiedziano, Anglik Digby zdołał powstrzymać od zamierzonéj już dezercyi do obozu cesarskiego. Postawa jego jest groźną i nakazuje szacunek. Generał ligi Tilly, Hiszpan Cordova działają przeciw niemu połączonemi siłami bez szczególnéj pewności zwycięztwa. Liczne potyczki, z odmiennném szczęściem, staczają obie strony z sobą nad Renem i Neckarą, pod Worms i Heidelbergiem. Zawarłszy przymierze z miastem Strasburgiem, przenosi Fryderykowy kondotier wojnę do Alzacyi, znacząc ją w zimie z roku 1621 na 1622 rabunkiem i pożogą po obu brzegach Renu. Wojna rodzi wojnę, przykład Mansfelda wywołuje na scenę nowych, tegoż samego rodzaju

waleczników. Rozpoczęta wojna trzydziestoletnia znamienuje na téj pierwszéj swéj niemal widowni ów charakter odznaczający ją przez cały dalszy ciąg trwania. Awanturnictwo, chęć rozboju i taniego życia kosztem nieszczęsnéj ludności kraju, pozorujące się i pokrywające szatą idei religijnéj. Występują nowi nibyto zwolennicy zagrożonéj sprawy Fryderyka i protestantyzmu, tworząc zbrojne, illustrowane tak wybornie w Schillerowym Wallensteinie bandy, łupiąc kraj, mordując mieszkańców, cokolwiekbądź przecież przymnażając kłopotu cesarzowi, wspierając Mansfelda, dowodząc wreszcie faktem samym swego wystąpienia możności zwycięztwa sprawy neo-elekta czeskiego, byle tylko on sam o sobie nie zrozpaczył. Takimi nowymi jego sprzymierzeńcami są Krystyan z rodu książąt brunświckich, biskup halberstadzki, zgromadzający swe bandy i rozkoszujący w biskupstwach kolońskiem i paderbornskiem,—daléj margrabia badeński. Pożar wojenny szerzy się daléj i coraz daléj, a położenie Fryderyka, mimo zdeptania Czech, mimo upadku nieszczęsnych exulantów czeskich,—pragnących tylko zgody z cesarzem i ocalenia zagrożonych majątków, wcale jeszcze rozpaczliwém nie jest. Z wiosną mianowicie r. 1622 przedstawia nadreński palatynat pełen życia i jaskrawéj zaniewieruchy obraz wojny. Z jednéj strony widzimy Tillego i Cordovę, z drugiéj działa Mansfeld, landgraf heski, Krystyan Halberstadzki. Podobny rozwój sił protestantckich przeciw zwycięzkiéj dotąd sprawie ligi katolickiéj, ożywia znowu nadzieje zmiennego i zależnego od powiewów wiatru Fryderyka. Napróżno usiłuje go sprowadzić jego teść król angielski Jakób I na drogę porozumienia z cesarzem, napróżno obiecuje mu dyplomatyczne poparcie i pieniężne subsydia, pod tym tylko warunkiem, jeźli się Fryderyk zrzecze korony czeskiéj; napróżno rozwiązuje parlament domagający się wojny z Hiszpanią i cesarzem w interesie protestantyzmu. Fryderyk nie zważając na to wszystko otacza, na wieść rozpoczynającéj się na nowo w palatynacie walki, najstarszego syna swego ostentacyjnie czeskimi nauczycielami i daje mu czeskie wychowanie. Sam wreszcie przedziera się z Hagi do obozu Mansfelda, by choć nie walczyć, to przynajmniéj przypatrywać się bliżéj nieco walce toczącéj się w imię jego sprawy. Walka ta zaś równie zacięta, jak wahająca się ciągle i przechodząca rozmaite fazy. Pod Wimpfen, Schwetzingen, Höchst spotykają się obie strony, przypisując sobie każda z osobna zwycięztwo, zakrwawiając, znacząc pożogą piękny kraj nadreński, bez możności sprowadzenia jakiegobądź stanowczego rezultatu.

Najważniejszym walki owéj epizodem jest z jednéj strony pozyskanie stanowcze Holandyi dla sprawy Fryderykowéj, z drugiéj po-

wolne stygnienie Francyi dla sprawy cesarskiéj. W Czerwcu roku 1622 przebiera się sam Mansfeld przez terrytorium francuzkie do Hagi i zyskuje przyrzeczenie pomocy hollenderskiéj. Równocześnie wchodzi w porozumienie z Francyą, która obawiając się przewagi cesarsko-ligistycznéj tuż u granic swoich, zakłada protest przeciw destytucyi Fryderyka w palatynacie i robi się patronką jego sprawy. Podobna postawa Francyi dodaje odwagi związanym dotąd z cesarzem państwom protestanckim Niemiec, jak Brandeburgii i Saksonii; słowem, znaczy rok 1622 chwilę korzystnego zwrotu ówczesnéj zawierucha na rzecz niefortunnego króla czeskiego. Nieszczęście tylko, że podobnie on sam, jak naród czeski, nie stoją na wysokości swego stanowiska i swego ówczesnego europejskiego znaczenia. Fryderyk, po krótkim wysiłku nie umiejący nigdy dotrzymać energii, powraca z niebezpiecznych obozów Mansfelda i Halberstadzkiego Krystyana do spokojnego ubocza hagskiego, Czesi, a exulanci czescy przedewszystkiém, po starciu swych głów i naczelników w barbarzyńskiéj rzezi Czerwcowéj z roku 1621, przedstawiają widowisko zastępu znużonego i podupadłego na duchu, nie dbającego tyle o sprawę narodu i ojczyzny, ile raczéj o wyniesienie, jeśliby się dało i udało, prywatnych tobołków z ogólnéj powodzi.

A tymczasem szedł, postępował, szerzył się coraz daléj i daléj pożar, którego pierwsza zapalająca iskra padła na widowni czeskiéj. Biedny kraj i naród czeski przedstawiały już tylko niestety mogiłę pochłaniającą ofiary barbarzyństwa rakuskiego i win samobójczych, kiedy Niemcy, kiedy cała niemal za niemi Europa poczęła świecić coraz szerszą łuną pożogi, co się zatliła na tym milczącym już teraz cmentarzu. Wracając doń mimowolnie, jako do przedmiotu głównie nas w niniejszém sprawozdaniu obchodzącego, nie możemy przecież pominąć w niém europejskich następstw wybuchu czeskiego. Po za wojną palatynacką staje tu, jako pierwsza owczesnego porządku rzeczy sprawa, zatarg o inwestyturę na palatynat po destytuowanym zeń neo-elekcie czeskim. Rozwija się pod tym względem ciekawa, pełna rozmaitości walka między głównym pretendentem do téj sukcesyi, Maksymilianem Bawarskim a samymże dworem wiedeńskim i licznymi patronami i protektorami interesu Fryderyka. Maksymilian nie żałował ani gwałtu, ani intrygi, by na podstawie usług, świadczonych niezaprzeczenie sprawie cesarskiéj, wytargować sobie jakimbądź kosztem dziedzictwo pofrydrykowe. Pretensya podobna nie odpowiadała przecież bynajmniéj widokom i potrzebom dworu wiedeńskiego. Maksymilian zaczął mu, jak Niemcy powiadają, wyrastać nad głowę, stawać jako osobna potęga obok potęgi, poczynał mu być niewygodnym, może niebezpiecznym. Zatrzymując palaty-

nat w swym ręku, bez oddawania go w stałe posiadanie komubądź innemu, dzierżył dwór wiedeński ważny zakład, który poświęcając, który oddając może samemuż Fryderykowi, mógł wyjednać na nim zrzeczenie się korony czeskiéj, okupić sobie w razie dalszych zawikłań neutralność i przymierze Anglii i Francyi. Wypuszczając z rąk własnych palatynat, oddając go Maksymilianowi, zmuszało si ę Fryderyka gwałtem do rozpaczliwéj obrony, do trwania przy fikcyi korony czeskiéj, zniewalało się wszystkich jego protektorów i opiekunów do mniéj lub więcéj stanowczego wystąpienia przeciw Austryi. Głównym zaś a skutecznym na tém polu czynnikiem widzimy przez rok 1622 i 23 Anglią, króla jéj Jakóba i posła jego lorda Digby.

(*d. c. n.*) *Kazimierz Jarochowski.*

Z ŻYCIA NIEMIECKIEGO.

Gustaw Freytag i jego powieści: „Die Ahnen.“

Niewesołe były czasy w Niemczech, kiedy się po rewolucyi z r. 1848 na całéj linii bojowéj reakcyjne hasło: *zurück*! odezwało. Przepadły wszystkie dążności „młodych Niemców“ (das junge deutschland), ryceże ducha (die Ritter vom Geiste) cofnęli się w zacisza bibliotek i pracowni, egoizmem narodu, dla którego pracowali, zrażeni. Kiedy pokonana hydra rewolucyi u stóp tronu legła, a król licząc się z potrzebami czasu, naród o życzenia jego zapytał, posypało się tyle nędznych samolubnych petycyj, że zdala stojący, a mniejszéj wiary widzowie musieli, ręce załamawszy, zawołać: i wartoż to było dla takiego ludu ideały narodowe wytwarzać? Bo czegóż chciał naród? Oto żądali robotnicy powiększenia płacy, a zmniejszenia godzin pracy, oto domagali się majstrowie, konkurencyą niecehowców zagrożeni, powrotu dawnych cechów, rolnik pragnął zniżenia podatków, a mieszczanin rozpuszczenia wojska, które za wiele kosztuje. Włościanin łaknął pałaców szlachty, szewc wywyższenia swego, tkacz swego, a rzeźnik swego rzemiosła. Każdy myślał tylko o sobie, o własnéj korzyści, zapominając o hasłach „młodych Niemców.“

Wartoż to było dla takiego narodu narażać się na banicye, na więzienie w fortecznych kazamatach, na wszelaką nędzę? Rozumiałże szewc, tkacz, krawiec, rolnik itd., pamiętający tylko o sobie, ideał wielkich, zjednoczonych Niemiec? Od początku bieżącego stulecia pracowali natchnieni patryoci nad przygotowaniem ludu do wolności politycznéj, lat czterdzieści pracowali, uciekając z miejsca na miejsce przed siepaczami rządów, a gdy nareszcie gorące ich słowo ospałemu ludowi broń do ociężałéj ręki wtłoczyło, zapaliło

rewolucyą, kilka rakiet błysnęło, zaświeciło i zgasło. Samolubstwo filistrów odezwało się z dawną obrzydliwością...

Nie, nie warto! Nie ma ideałów narodowych, nie ma narodu bo wszystko nicość nicości. Zapanowała cisza grobowa w literaturze niemieckiéj, przerażająca cisza, jak zwykle po zbytniem naprężeniu nerwów, przerywana tylko szyderstwem reakcyonistów i brutalstwem ich siepaczów,—podłéj biurokracyi. Żołnierze „młodoniemieckiéj idei“ schowali miecz do pochwy, wycofali się z walki, albo łamiąc pióra, albo tonąc w redakcyach dzienników.

I młody wówczas Gustaw Freytag należał do rozbitków „młodych Niemców.“ W pierwszych komedyach jego widzimy język epigonów „rycerzy ducha,“ którzy porządkiem i spokojną pracą gardzili, szydząc z kupczących i zarabiających filistrów, nie rozumiejąc życia w społeczeństwie. Takimi bohaterami byli: Jerzy Saalfeld, hr. Waldemar, Walentyna, Georgina i Bolz. Są-to jeszcze wnuki Wilhelma Meistra, ostatnie epigony tak zwanéj „Kraft i Genieepoche,“ ostatni reprezentanci osobistéj wartości jednostki.

Jak inni, schronił się po r. 1848 i Freytag w oficynie dziennikarskiéj, milcząc przez lat siedm. Ale w czasie tym pracował usilnie, kształcił się, uczył, wyrabiał, przetrawiał, słowem, przebywał potężny proces psychiczny. Artystyczna dusza jego szukała nowego ideału, bo było jéj duszno w zatęchłéj atmosferze bezczynności. I znalazła nowy ideał. Jakżeż?

„Więc naród tylko z orężem w ręku, na polu bitwy coś znaczy, więc niczém są jego warsztaty, fabryki, sklepy, pracownie i ogniska domowe? Więc tylko ten na imię bohatera zasługuje, kto awanturnicze, niezadowolone, hałaśliwe wiedzie życie, a kto cicho pracuje, niczém jest; filistrem, zerem? Więc wyswobodzenie starego Barbarosy z Küffhäuser ma być jedynym ideałem narodu niemieckiego? Nie! zadaniem artysty jest: dźwigać naród z błota bezwiary! I dla tego pokaże narodowi, gdzie dzielność jego, gdzie siła i potęga!“ Tak pisał Freytag w r. 1855 na wstępie swéj sławnéj powieści „Soll und Haben.“ I oto jego olbrzymia, prawie misyjna zasługa. On pierwszy wskazał autorom niemieckim nieznane dotąd, pomijane, rozmyślnie wyszydzane pokłady artystycznych przedmiotów. Jest on twórcą tak zwanéj społecznéj powieści („sociales Roman“), ojcem dalszych, z tego kierunku wynikających podgatunków. Spielhagen, Schücking, Grimm, Marlitt, Werner—wszyscy synami są Freytaga.

Że się poezya niechętnie apoteozą powszedniego życia zajęła, że długo się namyślała, zanim raczyła bohaterskie koturny porzucić, aby wejść między lud, do warsztatów, pracowni i sklepów, któżby się dziwił? Jest że szewc, kujący dziś i jutro i pojutrze i przez całe

życie buciska, poetyczną postacią? Albo kupiec, sprzedający pieprz i cynamon, albo robotnik, obijający beczki itd? Lecz rolnictwo, przemysł i handel są podwalinami prawidłowo rozwijających się społeczeństw. Z tych podwalin wybrał sobie Freytag jedną, najmniéj poetyczną, bo kupiectwo. Zaprawdę, wielkiego talentu potrzeba, aky odkryć w kantorze, sklepie i w magazynach kupieckich poezyą. Kto czytał „Soll und Haben" wie, że się autor z trudnego zadania znakomicie wywiązał. Lecz właściwie nie apoteozował Freytag kupiectwa, boć prawdę powiedziawszy, trudno zrobić z kramarza ideał. Freytag apoteozował *poczucie obowiązku i uczciwość* niemiecką. Poczucie obowiązku jest zaletą rozważnego, flegmatycznego Niemca, a z tego poczucia rodzi się uczciwość, bez któréj nie ma właściwego kupiectwa. Wytrwałość i usilność, olbrzymia, niezmordowana praca i zmysł praktyczny są pomocnikami poczucia obowiązku. Wszystkie te zalety posiada mieszczanin niemiecki, który właśnie tym przymiotom znaczenie swoje zawdzięcza. Kupiec Schröter w powieści Freytaga jest ideałem poczucia obowiązku i porządku.

Bogaty i różnobarwny obraz wyhaftował Freytag na téj kanwie. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed duszą czytelnika setne postaci dzielności niemieckiéj. Subjekci handlowi firmy Schröter, robotnicy, rzemieślnicy, leśniczowie, urzędnicy, gospodarze i cały szereg *pracujących* ludzi, szereg na pozór drobnych mrówek, lecz właściwie zasadniczych składników społeczeństwa niemieckiego, reprezentantów niemieckiéj uczciwości i dzielności, tworzą miły, wdzięczny i rozmaitością powabny obraz. Wszyscy ci ludzie pracują, bawią się, kłopoczą bardzo *powszednio*, a zupełnie inaczéj, niż poprzednicy ich w powieściach „młodych Niemców." Tylko ktoś, co włada bardzo delikatnym pędzlem, komu nie ujdzie najmniejszy rys życia codziennego, słowem, tylko znakomity malarz rodzajowy mógł się do pracy takiéj zabrać. A Freytag jest najznakomitszym malarzem rodzajowym Niemców. Charaktery swoje wycieniowywa do najskrytszych fałdeczek duchowych, dyalog jego jest zawsze charakterystyczny i prawdziwy, umie on wyzyskać najdrobniejszą scenę, złocąc wszędzie trywialność życia powszedniego blaskami fantazyi poetyckiéj. A gdzie go fantazya opuszcza, gdzie nie można mimo najszczerszych chęci choćby cienia poezyi odnaleść, tam pomaga sobie ciepłym humorem. Rubaszny, ordynaryjny robotnik Schurn zamienia się, humorem poety ozłocony, w sympatyczną postać. A malutki synek jego „Knirps" jest wprost perłą humorystyczną.

Lecz w samych zaletach mieszczaństwa niemieckiego spoczywa już zaród jego wad. Poczucie obowiązku surowo pojętego nie dozwala ofiar i poświęceń, a uczciwość, do krańców doprowadzona, niezna

pobłażliwości dla chwilowo upadłych. Skoro ja pracować mogę i czynić, co do mnie należy, niechże też każdy za siebie, dla siebie pracuje i za siebie odpowiada. Oto źródło znanego egoizmu mieszczaństwa niemieckiego, źródło nietolerancyi i obrzydliwego filistrostwa. Freytag apoteozuje obowiązkowość i uczciwość mieszczanina, stawiając obok zalet kupca i robotnika nieopatrzność i lekkomyślność szlachcica Rothsattek; Freytag, człowiek wytrawny, rozumny, w szkole życia wyspokojniony, widzi w żywotności mieszczaństwa przyszłość swéj ojczyzny i dlatego każe szlachcie zmarniéć, lecz Freytag, poeta, który się do apoteozy mieszczaństwa *przymusza*, stoi sercem po stronie szlachty. Bo w szlacheckiém życiu jest poezya a w sklepie kupca tylko proza, bo szlachcic jest nieopatrzny i lekkomyślny, lecz rycerski, a *bourgeois*, choć pracowity i uczciwy, małodusznością grzeszy, pedanteryą zraża, samolubstwem odpycha. Serce poety czuje to i dla tego staje po stronie ginącéj szlachty. Rozum wytrawnego człowieka widzi nieuchronny upadek klas uprzywilejowanych i dlatego przekonywa się do apoteozy mieszczaństwa.

Lecz Freytag jest także patryotą a mianowicie pruskim. Nawet tam, gdzie maluje powszednie, pracowne życie, nie zapomina o idei niemieckiéj, która powinna pod pruską hegemonią na sąsiednich Słowian, czyli Polaków oddziałać. I dla tego posyła swego barona na granice Polski i rozwija z téj okazyi obraz naszego nierządu „polnische Wirthschaft“ dla nas Polaków ma część ta doniosłe znaczenie, bo możemy się z niéj bardzo wiele nauczyć. Niekocha nas Freytag, ale to jego rzecz.

Jakież tedy stanowisko zajmuje Freytag w literaturze niemieckiéj? Jest on twórcą, powieści społecznéj. Wskazał pierwszy nieodkryte dotąd skarby nowych pomysłów, zrozumiał pierwszy wielkie znaczenie pracy mieszczanina i dał hasło do walki przeciw szlachcie.

Jako artysta zaś jest pierwszy realista w niemieckiem powieściopisarstwie, bo on to pochował upiory romantyzmu, owych rycerzy ducha, dla których na ziemi szczęścia nie było. Z nim zaczyna się nowy zwrot w literaturze niemieckiéj i artyści wchodzą między lud, i dla ludu piszą. Jako pisarz jest Freytag przedewszystkiém malarzem rodzajowym. Szczegółowa, starannie wycieniowana charakterystyka, wspaniałe krajobrazy, urocze obrazki szczęścia domowego, znakomity dyalog, cicha, dźwięczna mowa serca, słowem wszystkie czynniki, które się składają na utworzenie znakomitego malarza rodzajowego, są przymiotami freytagowych powieści. A wszystkie owiane są ciepłem niemieckiéj uczuciowości „Gemüth,“ ozłocone szczerym humorem i strojne przepiękną szatą dykcyi poetyckiéj.

Po apoteozie pracowitego mieszczaństwa zabrał się Freytag do apoteozy mrówczéj pilności nauki niemieckiéj. Profesor w powieści „Verlorene Handschrift“ ma być ideałem uczonego, jakich tylko Niemcy wydają. Lecz blady ten, sztucznie do wysokości ideału wyciągany obraz przekonał autora, że nie ma w mieszczaństwie tyle poezyi, aby mogła całe życie pisarza wypełnić.

Freytag wycofał się po drugiéj swéj powieści społecznéj z szeregu beletrystów i pracował znów przeważnie naukowo, aż go tryumf oręża niemieckiego w r. 1870 do nowéj twórczości poetyckiéj zapalił. Wkrótce po wojnie francuzkoniemieckiéj zabrał się do olbrzymiego dzieła, do apoteozy polityki niemieckiéj, wracając na stare lata do wierzeń młodości, do ideałów politycznych. Ponieważ w powieściach, znanych pod wspólnym tytułem „die Ahnen“ (Przodkowie), ujrzymy polityczną ideę Niemców od mgieł barbarzyństwa począwszy aż do jaskrawych blasków dni naszych, mniemamy, że się czytelnikom polskim przysłużymy, streszczając genialną tę pracę.

I.

Pierwszą powieść z szeregu „Przodków“ pt. *Jngo und Jngraban* pisał Freytag zaraz po zwycięztwie, odniesionem nad Francyą, a wydał ją w r. 1872.

„Rok 357. Na wzgórzu, wznoszącém się na pograniczu plemienia Turyngów i Kattów, stoi młody strażnik i spogląda w dolinę, gdzie się do dzierżaw Kattów kręta ścieżka wije. Postawili go tam ojcowie turyngscy, bo Kattowie nie żyją w przyjaźni z sąsiadami, a w lesie jest wiele tajemnych dróg dla zdradliwych nieprzyjaciół.“

Strażnik niecierpliwi się, bo daremném zdaje się być jego czekanie: już się słońce schyla ku zachodowi, a na ścieżce od wzgórzów wiodącéj, nie ukazała się nawet lękliwa łania. Cisza w około, tylko las wspaniale szumi, tylko pogodny, jasny dzień dzwoni, a brzęczy. W tém—strażnik pochylił się, ukazuje się na ścieżce między drzewami wysoka postać. Stój, leśny wędrowcze, i odśpiewaj hasło, które cię przed żelazem mem broni! Wędrowiec nie śpiewa hasła, lecz uchodzi szybkim zwrotem za najbliższe drzewo. Pozdrawiam cię przyjaźnie; cudzoziemcem jestem, więc hasła waszego nie znam—odpowiada. Nieufnie spogląda nań strażnik. Z daleka przychodzę, mówi daléj wędrowiec—koń mój utonął w potoku i szukam gościnności u waszych panów. Jeśli jesteś w naszych stronach zupełnie obcym,—odpowiada strażnik, musisz czekać, aż towarzysze moi nadejdą. Tymczasem bądź mi przyjacielem, jak ja tobie przyjaźń ślubuję. Kiedy wędrowiec po tém wezwaniu włócznią odłożywszy pod drze-

wem strażnika spoczął, zatrąbił młody syn Turyngii w róg bawoli, dając towarzyszom, po lesie rozrzuconym, znak. Wędrowiec rzucił się na murawę z przyjemnością: snać długą miał za sobą podróż.

Kiedy na odgłos trąby jeden z pogranicznych stróżów nadbiegł, udał się pierwszy strażnik z wędrowcem do wsi, ukrytéj w lesie. Szeroko rozłożona, rowem i okopami obronna, wychyliła się turyngska wieś z po za drzew, gdy wędrowcy z lasu na dolinę wyszli. Za wsią, na pagórku, osobnym otoczony rowem, stał dwór pana doliny. Pan doliny, książe Answald, wysoki barczysty mężczyzna z szeroką, giermańsko-poczciwą twarzą, ubrany w zwyczajną, wełnianą oponę bez ozdób, siedział właśnie w gronie swych dworaków przed domem, bawiąc się widokiem dwóch tłustych byków, któremi się pasterz przed panem chwalił, kiedy sługa o przybyciu nieznanego gościa doniósł. Przygotujcie mu przyjęcie w hali (Halle) rozkazał książe. Wydawszy taki rozkaz, poszedł do hali, gdzie zasiadł na „pańskiém krześle,“ które stało na wywyższeniu na przeciw drzwi. Cześć tobie, książe Answaldzie, Irmfryda synu, wyrzekł gość, stanąwszy przed pana obliczem. I tobie cześć, odparł książe, mierząc przychodnia badawczym wzrokiem. Pozwól napić się człowiekowi, podróżą zmęczonemu z twego rogu, nie odmów mu owocu twych łanów i opieki twéj strzechy. Bez przyjaciół i ojczyzny, bez opieki, do twego ogniska zbliżam się, udziel mi gościnności, któréj prawa twego narodu wędrowcom nieodmawiają—prosił gość. Na to odparł Hildebrand, radca księcia: Pan mój udziela ci stosownie do zwyczajów naszych trzy dni odpoczynku i gościnnego przyjęcia, zanim zwoła starszych ludu swego, aby o dalszym twoim losie postanowili. Zanieście mu stołek do ogniska, chłopcy—zwraca się rządca do służby i nieskąpcie mu darów, których nam bogowie nie skąpią. Tak na dworze przyjęto zmęczonego daleką drogą, przybywającego bez koni i towarzyszów, zużytemi sukniami odzianego gościa, jak przyjmowano w starożytnéj Germanii każdego wędrowca, nie pytając go przez dni trzy nawet o nazwisko. Lecz znak, który gość Answalda księciu okazał, zdradził jego pochodzenie.

Kiedyś był ojciec księcia gościem na dworze sławnego Ingberta wielkiego Wandalów króla, któremu dozgonną zaprzysiągł pamięć. Król Ingbert, syn słońca, owoc miłości bogów, jak wierzyli Germanowie, wrócił już do niebieskiéj swéj rodziny, zasiadł bowiem w komnatach Walhalli, lecz młodziuchny syn jego, królestwa i imienia przez wuja pozbawiony, tułał się długie lata po dalekim świecie, spiesząc wszędzie, gdzie namiętność ludzi wojenne pożogi wznieca-

ła. Garstka wiernych Wandalów szła za królewiczem, ale i ta garstka, któréj nieodstraszało ubóstwo króla, zginęła gdzieś w Renu wirach, wśród zwycięzkich odgłosów rzymskich trąb. Jeden król tylko, bohater strasznéj między Rzymianami i Germanami bitwy, ocalał, a król ten, Ingo, syn Ingberta, stał jak żebrak przed turyngskim księciem, o gościnę prosząc.

Trzy dni odpoczywa Ingo w książęcym dworze. Choć jest królem, choć pochodzi z bohaterskiego rodu, któremu tradycya boski dała początek, nie siada do pańskiego stołu wśród dworaków i poważnych wojowników, bo pochodzenie jego ma być tajemnicą, dopóki mu ojcowie ludu nie nadadzą prawa obywatelstwa w leśnéj dolinie. Trzy dni potém przyjmuje u siebie książę Answald „szlachetnych i wolnych“ którzy konno i pieszo na wezwanie pana z wiosek, w dolinie rozrzuconych, do głównego dworu spieszą. Stanęli wszyscy, dwudziestu wsi przedstawiciele, w szerokim półkolu na dziedzińcu, wszyscy uzbrojeni, z jesionowym oszczepem w dłoni, z mieczem i sztyletem przy boku, jak przystało na wolnych mężów. Książę stanął na progu dworca, obok niego żona i córka z niewieścią świtą. Z szacunkiem pozdrawiają Ojcowie ludu swego pana i wchodzą na dany znak poważnie do „hali“. Tam siadają na ławach i krzepią się chłodném piwem, które służba w drewnianych dzbanach roznosi, i raczą się słodkiém pieczywem i wędzoném mięsiwem. Tymczasem sposobi się żwawa młodzież do rycerskich zabaw, na murawie przed dworem. Już skaczą przez konia, strzelają z łuku do celu, rzucają oszczepem, i wielkiemi skał odłamami. Wśród młodzieży odznacza się Teodulf krewny księżnéj, a towarzysz książęcego ogniska. W krótce rozlega się w około wesoły okrzyk, który i komnaty ściany przenika i rozgrzewa krew ojców ludu, gawędzących tam o starych dziejach. Wychodzą i oni przed dwór, aby się igrzyskom młodzieży przypatrzyć, i przypomnieć sobie dawne, lepsze czasy.

Między widzami stoi także Ingo, i przypatruje się zabawom w milczeniu. W tém przystępuje do niego stary Izanbart, jeden z przednich ojców doliny i mówi: Pokaż i ty młodzieńcze, czego cię w ojczyznie uczono, aby się nasza młodzież przekonała, że się nietylko u nas do rycerskiéj sposobią służby. Książe każe Ingowi podać starą maczugę którą przywiózł z kraju Wandalów, a Teodulf drwi z téj broni, nazywając ją pałką do zabijania psów. Ale kiedy Ingo tą wzgardzoną bronią na daleką odległość żelazny hełm kruszy, milkną dowcipnisie. Pokaż nam teraz czy znasz rycerską służbę, mówi Teodulf bo maczugą obracać umie każdy linoskok. Przez pięć koni, obok siebie postawionych, skacze Teodulf, najśmielszy ju-

nak doliny, ale Ingo skoczył przez sześć koni. Szept podziwu rozpływa się w około bo skok taki nazywają Germanowie „królewskim.“ Tylko boscy bohaterowie i królowie skaczą w Germanii tak lekko i pewno. Szept podziwu owiewa Inga, lecz w sercu Teodulfa i księżnéj, krewnéj junaka, zapala się żółty płomień zazdrości.

Już skłania się słońce ku zachodowi, więc Ojcowie i młodzież do hali wracają, gdzie na nich biesiada czeka.

Z początku panuje milczenie w komnacie. Każdy bowiem spożywa dary bogów w spokoju. Ale kiedy biesiadnicy pierwszy głód zaspokoili, zaczyna się zwykła gawęda. Piwo krąży już ogniem w żyłach gości książęcych, już wre zdala burza kończąca zwykle biesiady starych Germanów. Lecz widzi to książę i daje znak służbie. Otwierają się podwoje i do komnaty wchodzi dwóch grajków, a za nimi dwunastu młodych wojowników w białych szatach pod przewodnictwem Wolfa, tego samego strażnika który Ingo do księcia przyprowadził. Przy dźwiękach fletu i dud, rozpoczyna się germański taniec mieczowy, którego widok zbierające się nad głowami rozgrzanych biesiadników chmury rozprasza. Kiedy się taniec skończył, podnosi się jeden z przednich ojców doliny, Rothari i pije zdrowie dzielnego gościa. Ale Teodulfa gniewa zaszczyt, jaki spotyka obcego nieznanego włóczęgę; więc miota przeciw niemu słowa obelgi. I powtórnie zbiera się burza nad stołami, w tém rozlega się okrzyk powitania, bo goście widzą przez okno wjeżdżającego właśnie do dworu, śpiewaka ludowego, Volkmara. Ciągnie on od wsi do wsi, zjawia się wszędzie, gdzie się naród czy na radę czy na ucztę zbiera. Zna on cały kraj, zna wszystkie bitwy i czyny bohaterów, bo śpiewak ludowy ciągnie także za wojskami, gdy z nieprzyjacielem do walki stają. On musi wszystko własnemi oglądać oczyma, bo jest żywą chodzącą kroniką, poezyą i historyą. Co widział śpiewa, co uwielbiał ubóstwia, a naród dowiaduje się od niego o czynach swych bohaterów i o wojnach dalekich. Na progu dworu przyjmuje go córka domu, jasnowłosa, piękna Irmgard uczennica jego, bo śpiewacy ludowi, kształcą także szlachetne dziewice w pieśni i opowiadaniu. Śpiewaj nam, śpiewaj! wołają biesiadnicy, opowiadaj nam, opowiadaj. Volkmar uderza w struny liry a kiedy się na znak ten w komnacie uciszyło, śpiewa o wielkiéj, mężów mordującéj bitwie, którą przed kilku tygodniami Rzymianie na Alemanach wygrali; śpiewa drżącym, rozżalonym głosem, bo opowiada o klęsce pobratymców. Ale kiedy o bohaterze téj bitwy, o wielkim wydziedziczonym Wandalów królu, o Ingu, śpiewać zaczyna, o bohaterze który się z garstką rozbitków potędze orła rzymskiego opierał, który gdy Alemanów wojska w ucieczce pierzchły, sztandar rzymski z rąk chorążego

wydarł i mimo pogoni, mimo strzałów, falami Renu ze sztandarem wrogów, sam, bez towarzyszów bez konia odpływał, wtedy, rośnie głos śpiewaka i dźwięczy pełno a oczy jego płoną świętym zapału ogniem. Dopiéro przy końcu słabnie znów głos poety, bo opowiada, że sztandar rzymski przepadł, ale z nim zginął, w bystrych Renu falach i wielki Wandalów król, boski bohater Ingo. W tém kiedy skończył, spójrzał po gromadzie, osłupiał wlepiwszy wzrok w bohatera, który z pochyloną głową opowieści słuchał „Duch rzeki ocalił bohatéra—zawołał oprzytomniawszy, bo oto siedzi tam Ingo, Ingberta syn, mój zbawca i ostatni rycerz alemańskiéj bitwy. Dzień dzisiejszy, w którym oblicze wielkiego bohatera oglądam, jest najszczęśliwszym w mém życiu.“ Zerwali się biesiadnicy ze stołków a piersi ich wydały okrzyk na cześć bohatera. Kiedy kilka dni potém książe zwołał ojców swéj doliny na radę, udzielili starsi wiosek mimo oporu Teodulfowych krewniaków Ingowi prawo obywatelstwa i przywileje gościa w turyngskiéj lesistéj dolinie.

Odtąd żyje Ingo na dworze Answalda w szacunku i spokoju. Kiedy wkrótce potém rozbitki orszaku królewskiego, tułający się po nieszczęśliwéj alemańskiéj bitwie po różnych dworach, o pobycie swego pana się dowiedziawszy, do turyngskich lasów przybywają, podejmuje książę Answald i towarzyszów swego gościa chętném sercem. Wandalowie polują razem z ludźmi Answalda, i żyją niejaki czas w zgodzie. Lecz księżna, która po królewskim Inga skoku nie mogła zapomniéć obrazy swego krewniaka, i zawzięty Teodulf, zaczynają tajemnie ogólną zgodę podminowywać. Za namową pani, rządca książęcych zapasów, nie chce koni Wandalów dobrym paść owsem, a służba odmawia gościom pomocy. Wandalowie, choć wszyscy szlachetnego są pochodzenia, milczą, znosząc cierpliwie obelgę, młócą sobie sami owies, i sami ziarno na mękę mielą. Pewnego razu wraca Ingo rychléj niż zwykle z książęcego dworu do gościnnych kwater i słyszy zgrzyt żaren.

Co to? pyta. Czy niewiasty w sypialnym domu mężów kamień obracają! Nie niewiasty kamień obracają, odpowiada stary Berthar, dowódca orszaku królewskiego, lecz sami mężowie. Gorzka to praca dla towarzyszów króla, a hańba gościom wyrządzona. Ingo staje za filarem i zakrywa twarz dłonią... On byłby już dawno ciche leśne ustronie opuścił, bo serce jego bohaterskie gnuśnieje w życiu bezczynnym, a hart woli gnie się, ale na dworze książęcym jest ktoś, co go do miejsca przykuwa. Piękna, łagodna Irmgard, córka gospodarza, panuje w sercu bohatera bez podziału. Znosi więc cierpliwie obelgi, aż go konieczność z domu wypędzi.

W krótce potém urządza książę Answald wielkie polowanie. Śpieszy i Ingo z towarzyszami swemi do lasów. Wandalowie mają dziś szczęście. Oni to znachodzą stado bawołów, prowadzone przez wspaniałego byka, o którym sobie myśliwi już dawno opowiadają. Wandalowie zabijają prawie całe stado, jedyny przewodnik przełamuje koło myśliwych i ucieka do lasu. Ale śpieszniejszą od chyżych nóg jego jest włócznia króla. Ingo rzuca—trafia, bawół ucieka z włócznią w boku, znacząc ślad swój krwawą wstęgą, król śpieszy za nim. Już dogania Ingo swą ofiarę, kiedy z boku nowa włócznia świsnęła. Bawół pada, a Teodulf który włócznią swą z ukrycia puścił, staje na trupie wołając: mnie należy się sława polowania. Powstaje spór a kiedy Teodulf nie ma odwagi rzucić się z bronią na współzawodnika, poszczuwa zgraję psów na króla. Nadbiegli w téj chwili Wandalowie, i byliby wnet na Teodulfie obelgę swego pana pomścili, gdyby ich Ingo nie wstrzymał. Myśliwi przyznają Wandalowi zwycięztwo, on bowiem pierwszy bawoła ugodził.

Jeszcze spoczywały cienie nocy nad doliną Answalda, kiedy Ingo z dwoma towarzyszami za wieś śpieszy, aby pomścić krzywdę swoję na nikczemniku. Bóg światłości, dnia jasne słońce, nie może patrzéć na walkę ludzi, którzy sobie sami sprawiedliwość wymierzają, bo rzeczą bogów jest: mścić się i karać. Przeto staje stary Germanin do pojedynku pod osłoną nocy. Pomodliwszy się do potężnych bogów, stają zapaśnicy po pas w wodzie strumienia i walczą gołym mieczem bez tarczy, w obliczu świadków. Żelazny hełm Teodulfa pęka pod ciosem Inga. Teodulf pada, a Ingo klęka na piersi jego i dotyka końcem miecza gardła wroga. Życie Teodulfa zależy teraz od łaski zwycięzcy, który według zwyczajów staréj Germanii staje się panem powalonego, gdy piersi jego kolanem dotknąć może. W tém wychyla się z po za lasów bóg dnia—już świta, więc wołają przyjaciele Teodulfa: nie zabijaj go, bo słońce widzi! Ingo rzuca miecz i wraca do wsi, a towarzysze zwyciężonego zabierają go z miejsca walki. W halli księcia zbierają się radcy i dworacy. Książę miota się na gościa, który krewniaka księżnéj pod nocy osłoną mieczem zranił. Kiedy Ingo przed księciem staje, przemawia do niego pan doliny temi słowy: „śmiertelnie raniłeś towarzysza mego i krewniaka, o Ingo, Ingberta synu, zamiast sprawę swą sądowi memu przedłożyć. Obraziłeś moję część książęcą, przekroczyłeś prawa gościa, złamałeś przysięgę, i dlatego wymawiam ci nadal mój dom. Płomień, który cię ogrzewał gaszę a wodę i dla ciebie wrzącą wylewam.“ Po słowach tych wziął książę kocioł i wylał z niego wodę na domowe ognisko. A Ingo odpowiedział: „spełniłem czyn, który każdy spełnić musi, jeźli nie chce zasłużyć na wzgardę wojowników. Kiedy Teo-

dulf pod mieczem moim stękał, pamiętałem, że jestem ci winien za gościnę łagodne obejście się z twoim dworakiem, i oto dlaczego go nie zabiłem. Za wszystko dobre dziękuję ci, a przeciw złemu, którém mnie prawdopodobnie będziesz odtąd prześladował, będę się umiał zastawić. Potargane są węzły przyjaźni między mną a tobą; opuszczam dom twój jako obcy.“ Wyrzekłszy to, opuścił Ingo komnatę książęcą, wyszedł przed dworzec, dosiadł konia i oddalił się z towarzyszami swemi w stronę lasu. Jedna tylko Ingmar płakała we dworze Answalda po królu wygnańcu. Ze łzami pani łączyły się łzy sługi Frydy, któréj ulubiony w orszaku Inga odjeżdżał.

Za lasem w zamczysku warowném, siedział Bizino król Turyngów. Żona jego Gizela, córka dworu burgundzkiego, była niegdyś dzieckiem, narzeczoną Inga. Ale kiedy Wandalów król dziedzictwo swe stracił, wydano Gizelę za Turyngskiego króla. Bizino poczciwy, dobry, pijący wino i piwo, upijający i śmiejący się codziennie w gronie swych giermków, nie wystarczał, wykształceńszéj córce dworu burgundzkiego. W samotnych godzinach tęskniła za pierwszym narzeczonym, o którego bohaterskich czynach wiele słyszała. Dowiedziawszy się, że przebywa w lesie u księcia Answalda, namawiała męża, aby bohatera na dwór królewski zaprosił. Tam-to podążył Ingo z drużyną swoją. Lecz i tu nie zagrzał miejsca, bo zaledwie ochłonął po smutnych wrażeniach w lesie, przybył posłaniec od rzymskiego imperatora, domagający się wydania bohatera alemańskiéj bitwy. Przemocą i podstępem wydobywa się Ingo z téj biédy, bo królowi podobają się dary, które wysłaniec rzymski za głowę króla Wandalów ofiaruje. Opuszcza dwór królewski i ucieka z drużyną swoją do Marwingów. Mały ludek, uciskany zewsząd, przyjmuje gościa chętném sercem, bo potrzebuje dzielnego ramienia, któreby go zasłoniło przeciw napaściom sąsiadów. Ingo staje na czele Marwingów, buduje sobie zamek, wykrada nocą Irmgard, kochanie swoje z zamku ojca Answalda i żyje szczęśliwie rok cały. W tém umiera król Bizino, a królowa prosi Wandala, aby objął rządy nad Turyngią w czasie małoletności królewicza. Ona to zatruła króla, żywiąc ciągle tajemną miłość do Inga. Kiedy Ingo propozycyą królowéj ze wzgardą odrzuca, zamienia się miłość niewiasty w nienawiść furyi. Wojsko królowéj napada zamek Inga. Garstka walecznych Wandalów pada pod naciskiem przemocy. Sam Ingo ginie wraz z żoną pod gruzami zamku swego.

Druga powieść: *das Nest der Zaunkönige* (1873) zaczyna się w r. 1003. Wchodzimy do klasztoru Herolsfeld, który stoi wśród urodzajnych łanów Turyngii nad brzegami rzeki Fuldy. Bogaty to klasztor, bo stoi pod opieką dwóch apostołów germańskich, którzy w tych

stronach słowo Boże kazali. Relikwie apostołów, w klasztorze przechowywane, mają moc uzdrawiania i t. d. Ludzie ciągną zewsząd do miejsca łaski, płacąc za dobrodziejstwo złotem; panowie i rycerstwo zapisują klasztorowi zamki i dobra. Klasztor Herolsfeld jest już w r. 1003 panem wielu wsi i zamków, ma łany i lasy, ma własne rycerstwo, które mienia jego przeciw napaściom butnych panów broni. Sam klasztor wygląda jak małe, obronne miasteczko. W środku klasztor z kościołem, a na około stajnie, obory, stodoły, domki służby, kwatery rycerstwa, a wszystko otoczone murem, jak zamek wolnego szlachcica. Sto pięćdziesięciu zakonnych braci siedzi w klasztorze pod wodzą dziekana Totyla. Sam opat Bernheri, nie mieszka w klasztorze, lecz w zameczku na wzgórzu, skąd widać lasy i góry turyngskie, bo opat klasztorny jest wielkim panem: poluje, pije włoskie wina, przyjmuje gości, miesza się do polityki kraju, staje z rycerstwem swojém po téj lub innéj stronie, nie troszcząc się wiele o sprawy klasztorne, chyba wtenczas, gdy mu butne, tłuste mnichy posłuszeństwo wypowiadają. Bo mnichy zgnuśnieli już w dostatku. Nie trzymają się ostréj reguły. Zapomnieli o godzinkach i mszach, o ubóstwie i czystości, a używają wesołych dni, jak rycerscy ludzie. Jedzą dobrze, jeszcze lepiéj piją, kłócą się o politykę, tańczą ze śpiewakami klasztoru na otwartéj łące, a gdy im opat regułę przypomina, buntują się przeciw niemu.

Przy każdym większym klasztorze średniowiecznym znajduje się szkoła i nowicyat. W nowicyacie w Herolsfeld uczy się reguły zakonu i łacińskiéj mądrości młody Immo. Jest on synem szlachetnéj, wolnéj rodziny turyngskiéj. Z trudem wydała go matka na świat, a kiedy się dźwignęła z łoża, poświęciła pierworodnego Bogu. Posłano tedy chłopczyka do szkoły klasztornéj, aby nowicyat przebywszy, został prałatem. Gdy nauki ukończy, kupi mu rodzina kanonią, a papież da późniéj biskupstwo. Ale młody Immo nie ma talentu na księdza. W jego żyłach płynie krew rycerska, bo ród jego należy do tych nie wielu już rodzin, których początek w mrokach legendowych ginie. Wieść niesie, że pierwszego przodka słońce rodziło, że ojcowie na tronie Wandalów siedzieli, że Immo pochodzi od Inga, którego syn ocalał, gdy marwingski dom gruzami swemi przykrył bohatera. Immo wie o tém, i dlatego nudno mu między leniwymi mnichami. Serce jego rwie się do wrzawy bitew, która i do klasztoru dochodzi, lecz mnichy go strzegą, bo Immo jest dziedzicem zamku Mühlburg, któryby się klasztorowi znakomicie przydał. Może szlachcic zostanie w klasztorze, może przywdzieje sukienkę zakonną.

Za murami klasztoru wichrzy tymczasem wojna domowa. Król Henryk ciągnie naprzeciw hr. z Babenbergu, którego wrogie Henry-

kowi stronnictwo królem obrało. W klasztorze dzielą się zdania mnichów na dwie strony. Opat jest za królem prawowitym a butny dziekan Totylo za panem z Babenbergu. Opat zwołuje konwent, aby się z braćmi naradzić, ale dumny Totylo zbuntował mnichów. Kiedy opat na krześle swém przed ołtarzem siada, podnosi się bunt jawny. Mnichy grożą panu swemu. Krzyk dochodzi uszu Imma. Staje na czele uczniów i nowicyuszów i spieszy z nimi do kościoła. Jemu nie wolno jeszcze przestąpić progów klauzury, bo nie ma święceń kapłańskich, ale krew rycerska nie pyta co wolno a nie wolno. Przez szczeliny bramy widzi on opata, stojącego z krzyżem na stopniach ołtarza, a w około niego mnichów z podniesionemi pięściami. Więc wysadza bramę, skacze jak kot na ramiona pierwszego mnicha i spieszy, po grzbietach zdumionych braci biegnąc, do ołtarza, gdzie staje obok opata. Dziekan Totylo podnosi nań bicz, ale Immo uderza butnego mnicha krzyżem w głowę. Mnich pada—bunt się uspakaja—opat odchodzi, a za nim Immo.

Zamknęli nowicyusza w podziemném więzieniu, bo mnichy chcą go rozszarpać, a opatowi żal rycerskiego dziecka. Więc kazał go ukryć. Immo siedzi w podziemiach i zgrzyta zębami. On wie, że przestąpił prawa zakonne, że go mogą za taką zbrodnię zamurować. Kiedy się tak w podziemiach miota, przychodzi do niego o północy opat. Patrz, Immo—mówi pan Bernheri—stałeś się zgrozą dla całego narodu Izraela, iż ci wszyscy: biada! wołają. W ten sposób mówi opat dość długo, drwiąc z więźnia, bo pan Bernheri ma humor dobrze najedzonego mnicha. W końcu upuszcza z brzękiem pilnik. Immo wie co to znaczy. Opat nie może go uwolnić, bo nowicyusz przestąpił prawa zakonu, lecz pan Bernheri, także syn rycerski, nie chce oddać szlacheckiego dziecka na pomstę mnichów. Lecz Immo odpowiada: nie chcę uciekać z klatki jak zbrodniarz, wolę zmarniéć. Kiedy opat odszedł, przychodzi do więzienia poufny pana mnich Eggon i prowadzi go do komnat opata. Tu przysiada się do chłopca mnich Reinhardt, zgrabny zakonnik i namawia go, aby mnichem został, bo klasztorowi chodzi o zamek Mühlburg. Immo nie chce; woli zmarniéć. Gdy mnich daremnie przekonywa, wchodzi sam opat. I on namawia, ale Immo opiera się. W tem odzywa się w opacie duch rycerski. I on był kiedyś rycerzem zanim do klasztoru wstąpił i on był dumny dumą wolnego pana, i on szukał wrzawy wojennéj. Widok chłopca, któregoprzemocą w sutanę wtłoczyli, a który się rwał do światła, do blasku, życia i sławy, przypomniał staremu dawne dzieje. Rozgrzał się i zaczął o swoich czynach z młodzieńczym opowiadać ogniem. W końcu rozwiązuje pierwsze śluby Imma i pozwala mu wrócić na świat. Nocą, aby go mściwe oko mnichów nie wróciło, ucieka Immo z klasztoru.

W domu przyjmują go z niechęcią, bo matka nie myśli cofnąć ślubów swoich, a bracia gniewają się na pierworodnego, którego obecność władzę ich zmniejsza. Więc rzuca Immo dom, zbiera ochoczą gromadkę z włości swoich i spieszy do obozu króla Henryka. Tu walczy długo, przebiega ze zwycięzkim królem księstwa buntowników, okrywa się sławą, lecz gdy się wojna kończy, nie spieszy do rodziny, tylko jedzie na zaproszenie saskiego księcia do Saksonii. Ztamtąd wraca późniéj do domu, a bracia, sławą jego ujęci, ustępują mu chętnie praw pierworodnego, władzy jego się poddając. Wróciwszy na Mühlburg, myśli o usłaniu rodzinnego gniazdka. Jeszcze, kiedy w klasztorze był, pokochał córkę hrabiego Gerharda, Hildegardę. Wróciwszy do kraju dowiedział się, że król ulubioną jego chce za winy ojca jéj, który w czasie wojny monarchę zdradził, w klasztorze zamknąć. Oswobodzę ją z rąk króla, ojca i klasztoru! woła Immo, a bracia nie odmawiają pomocy. Zwyczajem wolnego szlachcica, który nie zależał od nikogo, nawet od króla, wpada Immo z braćmi do miasta Erfurt w przeddzień obłóczyn, wykrada kochankę, którą brat Oto na Mühlburg uwozi. Sam Immo przez rycerstwo miasta ścigany i raniony, ukrywa się u jednego z wolnych chłopów swego dziedzictwa. Król, który się właśnie do włoskiéj wyprawy sposobił, dowiedziawszy się o tym gwałcie, ciągnie z orszakiem i rycerstwem swem na Mühlburg. Henryk jest władzy chciwym monarchą. Wolni panowie, którzy od wieków na dziedzictwach swych siedzą, nie chcący się poddać rozkazom królewskim, nie uznający się lennikami korony, lecz równie jak monarcha, niezależnymi panami swych włości, gniewają go. Gdzie się tylko sposobność zdarzy, łamie król upór wolnych panów, zwyciężonych lennikami swymi mianując. Nie o zemstę, lecz o zasadę mu chodzi. Chodzi mu o to, aby go wolni panowie za swego władzcę uznali, i dlatego ciągnie z rycerstwem przeciw dziedzictwu Imma, choć bohaterowi wiele zawdzięcza. Ale bracia Imma sposobią się do obrony. Oni nie wydadzą narzeczonéj brata, choćby rycerstwo całych Niemiec przeciw nim ciągnęło, bo oni są panami, jak królowie, a prawa ich są nawet starsze. Byliby się bronili, ginąc pod gruzami zamczyska, lecz zdrada wydała Imma w ręce króla. Aby brata ocalić, dostawiają się sami do obozu Henryka, który u stóp góry zamkowéj do sądu na wolnego pana z Mühlburga zasiada. Dostawiają się pieszo, bez hełmu, bez miecza, jako lennicy przed obliczem pana, nie zaś wolni przed wolnym władcą. Tego tylko chciał król. Z rąk jego odbiera wolna rodzina dziedzictwo swe jako lenne dobra państwa niemieckiego. Immo ciągnie z braćmi na wojnę włoską już jako lennik a wróciwszy z niéj żeni się z Hildegardą.

Trzecia powieść: *die Brüder vom deutschen Hause* (1875) zaczyna się w r. 1226. Panem Turyngskiego zamku Ingersleben jest wolny pan Iwo, o którym wieść niesie, że od wandalskich królów z rodu Inga pochodzi. Ojcowie jego, stali się lennikami króla Henryka i następców tegoż, cesarzów niemieckich. Choć Iwo nie ma wielkich posiadłości, służy jednak tylko cesarzowi, jak możni książęta państwa, którym jest równy. Wprawdzie panuje nad całą Turyngią landgraf, lennik cesarski, a pan hrabiów i rycerstwa, ale Iwo nie potrzebuje słuchać jego rozkazów bo jest wolniejszym od niego panem. Jak książęta pasuje na rycerzów, sądzi poddanych swoich, utrzymuje własne rycerstwo, a kiedy udaje się na dwór landgrafa, wjeżdża na dziedziniec zbrojno, jak każdy inny władca. Bogato ustroił Iwo komnaty swego zamku, bo dawne czasy prostoty i surowych obyczajów przeminęły. Dziś stroi rycerz siebie, konia i służbę w złote blachy, a posadzki swych komnat wykłada miękkim kobiercem. Iwo jest typem skończonego rycerza. Jeździ konno jak do siodła przykuty, kruszy kopie jak glinę, zwycięża w turniejach, nie ceni złota, które rozrzuca między potrzebujących i niepotrzebujących, i hołduje wszystkim zwyczajom swojego czasu. A ówczesny rycerz musi być poetą i musi mieć „damę swego serca.“ Iwo jest lirycznym poetą, choć pisać nie umie; dyktuje wiersze swoje pisarkowi Mikołajowi, tworzone na cześć „damy“ hrabiny z Meranu, mężatki. Na cześć damy téj, potyka się Iwo stosownie do ówczesnego zwyczaju z każdym, kogo na drodze spotka, bo im więcéj rycerzów z siodła wysadzi, tym bliższym jest spełnienia swych życzeń. Gdy się surowe obyczaje na miękkie wygódki zamieniają, gdy wewnętrzny płomień, wiara, gaśnie, kołacze do serca człowieka, zawsze cichy głos: na co to wszystko? I Iwo nudzi się czasem mimo ruchliwego życia i tęskni, choć nie wie za czém, jak dzieci epok, których kwiaty więdną. Tu i owdzie filozofuje już Iwo na temat pesymistyczny. W tém przebiega kraj głośne wołanie: do broni! Papież nawołuje znów do krucyaty. Rycerze spieszą wprawdzie, boć na to są, aby się bili, ale nie przyświeca im już gwiazda, która wiodła dawniejszych krajowców. Spieszy także Iwo na wschód, jest towarzyszem cesarza Fryderyka, walczy, dostaje się do niewoli niewiernych, którzy go kilka lat trzymają, w końcu wraca do kraju i zaczyna żyć, jak dawniéj. Kiedy się cesarz z wolnymi panami na dalekim wschodzie za jerozolimską koroną ugania, rodzą się tymczasem w państwie dwie hydry, które niebawem kraj zniszczą i krwi się napiją. Książęta, cesarza lennicy, nie czując nad sobą ręki pana, butnieją domagając się praw udzielnych, wyzwolenia się z pod cesarskiéj władzy. Ilekroć cesarz na wojnę ciągnie, a lennicy po-

módz mają, musi pan sługom przywileje rozdawać, bo za darmo iść nie chcą. Stopniowo gaśnie blask cesarskiego majestatu, opromieniając głowy pojedyńczych książąt. Rozebrawszy cesarza z purpurowego płaszcza, zdzierają książęta przemocą swobodę z ramion wolnych, jak Iwo panów. Dorobkiewicze nie znoszą obok siebie starych wolnych rodów. Równocześnie nadyma się kler obrzydliwą pychą grubych, otyłych, zarozumiałych a głupich mnichów. Już zaczyna się polowanie na kacerzów, już płonie tu i owdzie stos, na który pijane mnichy w imieniu Boga, nieprzyjaciół swoich wloką. Nienawiść mnichów dotyka włości Iwa. Żyje tam stary, wolny chłop z córką Triderun. Od wieków siedzi chłop pod bokiem pańskiego dworu, bo od wieków byli ojcowie Iwa wolnymi panami okolicy a przodkowie chłopa, wolnymi kmieciami wsi. Chłopa nie lubią mnichy, więc chwytają go z córką i wiozą na taczce przed sąd inkwizytora. O tém dowiaduje się Iwo, w chwili, kiedy hrabina z Meranu po śmierci męża wolna, rękę mu swą i nadzieje tronu turyngskiego ofiaruje. Iwo odtrąca rękę hrabiny i koronę, bo on nie chce być sługą, choćby cesarza, bo woli być swobodnym na kilku wioskach sędzią, niż posłusznym wykonawcą cudzéj woli. Odtrąca rękę hrabiny i koronę, a siada na koń i spieszy z towarzyszami na drogę do miasta wiodącą, aby z rąk mściwych mnichów wyrwać kmieciów swego rodu. Napada tłuszczę i uwozi oswobodzonych z sobą do zamku. Lecz mnichy są już panami w Cesarstwie niemieckiém. Spieszą za rycerzem, którego poznali, oblegają jego zamek, wyjąc psalmy śmiertelne. Giermkowie zamku odmawiają panu posłuszeństwa, bo „nie chcą walczyć przeciw Bogu.“ Iwo zostaje z dwoma rycerzami. Oswobodzonych kmieciów zamyka w wieży, i staje przed wejściem z mieczem w ręku. Dwaj rycerze walczą przeciw tłuszczy, którą mnichy na dziedziniec pędzą. Sam inkwizytor Konrad zjawia się i żąda głośno wydania „kacerzów.“ Kiedy Iwo odmawia, rozkazuje inkwizytor zamek spalić. Już płonie zamek, już ogień chwyta wieżę, któréj wejścia Iwo broni, woląc zginąć w płomieniach pod gruzami swego zamku, niż wydać pysznym mnichom, wolnych kmieciów włości swoich. W tém nadjeżdżają niemieccy zakonni rycerze (krzyżacy), z którymi Iwo na wschodzie w przyjaźni żył i wybawiają go. Iwo zostaje sam krzyżakiem, bo tylko pod tym warunkiem może go zakon przeciw potędze inkwizytora zasłonić. Z kmieciami włości swoich opuszcza ojczyznę i ciągnie jako rycerz zakonny na wschód, nad Wisłę. Tu zakłada pierwszą stacyę krzyżacką — Toruń.

Powieść czwarta: *Marcus König* (1876) rozgrywa się nad brzegami Wisły. Rok 1519. Nad brzegiem Wisły wznosi się stare miasto

Toruń. Trzysta lat temu przybyło kilku rycerzów i wolnych kmieciów niemieckich, i założyło tu na dalekim wschodzie miasto warowne, które było przez cały ten czas ogniskiem germanizmu. Rycerski zakon krzyżaków urządził tu pierwszą swą cywilizacyjną stacyą. Ztąd szli „mnichy w zbrojach“ daléj na północ, szerząc ogniem i mieczem słowo chrystusowe i rozsiewając ziarno kultury niemieckiéj. Świetnym i potężnym stał się zakon w krótkim czasie, lecz gdy podbił i ochrzcił niewiernych Prusaków, gdy się cel jego skończył, uległ ogólnemu prawu wszystkiego, co żyje ...zniewieściał, zleniwiał i zaczął upadać. Rycerze zamienili twardą zbroję na miękkie lamy i pieściwe aksamity, urządzali swe zamczyska na wzór świeckich siedlisk z przepychem i z wygodami zniewieściałych sybarytów. Zamiast służyć idei i w służbie jéj na krwawém ginąć bojowisku, służyli cielsku i umierali na miękkich posłaniach. Zamiast praw zakonu i przepisów wiary przestrzegać, zamienili się w tyranów, w niesprawiedliwych samodzierzców. Sprzykrzyło się w końcu ludowi gnuśnych mnichów panowanie, więc poddały się miasta pruskie rozkazom potężnego Polski króla. Ostatni wielki mistrz zakonu, Albrecht Brandeburski, jest już tylko karykaturą, zaledwie cieniem dawnych, dumnych krzyżaków. Życie niemieckie niknie, upada, idea niemiecka przestaje być hasłem wnuków tych kolonizatorów, którzy niegdyś nad Wisłę przybyli, aby tu murem przeciw słowiańszczyznie stanąć.

I mieszkańcy Torunia stracili zmysł do haseł swych ojców. Stali się kupcami, właścicielami domów, ukochali mienie, a z miłością tą ginie zapał, wykwitający tylko z niesamolubnych celów. Mieszczuchom obojętną dziś rzeczą, kto panuje, byleby im dobrze było i wygodnie w ciepłém gniazdeczku. Nawet radcy miasta, wybierani dotąd z kilku rodzin, które tradycya potomkami pierwszych turyngskich kolonizatorów mianuje, nawet ojcowie miasta, wnuki pierwotnych germanizatorów, zapomnieli o idei niemieckiéj, bo ten, który tę ideę reprezentuje, wielki mistrz zakonu, nie jest dość silny, aby mieszkańców przeciw burzom wojennym zastawił. Oni potrzebują potężnego pana, pod którego skrzydłami mogliby spokojnie używać i trawić, a tym panem jest król polski. Tylko jedyny Marcus König, należący także do rodzin wybranych, pochodzący nawet, jak wieść niesie, od samych założycieli Torunia, przechowuje dotąd w sercu swojém stare tradycye. Jest i on bogatym kupcem, i jego słowo waży wiele w mieście, lecz König trzyma się zdala od spraw publicznych, bo jest—Niemcem, takim samym Niemcem, jakimi byli wielcy jego przodkowie. Miasto hołduje królowi polskiemu, którego König nie uznaje i dlatego nie miesza się do spraw miasta. Stoi on

pozornie na uboczu, lecz pod nocy zasłoną pracuje nad tém, aby Niemcom Toruń wrócić. Znosi się tajemnie z wielkim mistrzem, zasila go radą i pieniędzmi, marząc o powrocie czasów minionych. Mała tylko garstka skupiła się w około Königa, lecz zwolennicy jego zostali Niemcami (mówi Frejtag) ...Niemcami, co patrzyli z pogardą na polski nierząd za Wisłą. König ma syna. Narwany to, awanturniczy chłopiec, któremu za duszno w kupieckiéj pracowni ojca. Jerzemu figle i wojaczka w głowie, nie zaś książki kupieckie. Gdzie może, płata figle i robi burdy uliczne. Już nieraz stawał ojciec, za burdy syna pozywany, przed sądem rady miejskiéj i nieraz już płacił kary za niego. Ale Jerzy jest niepoprawny. Otóż na samym wstępie powieści przebiera się Jerzy za dyabła i ciągnie z gromadą różnie wystrojonych współtowarzyszów przez ulice miasta, strasząc przechodniów i potrącając, kto się w drogę nawinie. Taki tu zwyczaj w czasie karnawału. Wśród awanturniczéj włóczęgi, zelżył Jerzy jakiegoś mnicha i pana Piotrowskiego, wysłańca króla Zygmunta. Mnich pogroził pięścią, ale polski szlachcic dobył szabli i mach po djabelskiéj masce. Powstają ztąd trudności dla starego Königa, bo średniowieczne mnichy umieją się zemścić, a krzywda posła polskiego może spaść na odpowiedzialność miasta. Mnichów gniew łagodzi König podarunkami, a krzywdę pana Piotrowskiego zaciera Hutfeld, zręczny burmistrz Torunia, szwagier Königa. Jerzy musi się za karę poddać dyscyplinie szkolnéj. König oddaje go pod dozór magistra Fabriciusa, który właśnie do Torunia przybył. Lecz i tu płata niesforny chłopak figle, bo zamiast się uczyć, romansuje z Anną, córką swego nauczyciela.

Kiedy się Marcus König po cichu polityką niemiecką zajmuje a Jerzy w miłostki bawi, zaczyna się w umysłach ludu coś tajemniczego ruszać i okoniem stawać. Jest to „człowiek,“ który sobie despotyzm, pychę i obłudę mnichów sprzykrzył. Panują oni wszechwładnie nietylko nad sumieniami, lecz także nad kieszeniami wiernych, rozrzucają za pieniądze kartki z odpustami na tyle a tyle dni, robią z Boga i szatana profesyą. Lud korzy się, modli, klęka, płaci, bo mnisza zemsta nie zna miłosierdzia, lecz, gdy go nikt nie widzi, gwarzy z przyjacielem o bezprawiach księży i dowiaduje się chciwie o nowéj nauce, którą dr. Luter w Wittenberdze wygłasza. Wędrujący księgarz Hannus, rozdaje od czasu do czasu między zaufanych wittenberskie broszurki. Podziemną tę pracę zdradza w końcu jakiś nikczemnik: mnichy zabierają książki Hannusa i postanawiają je dla odstraszenia ludu publicznie, uroczyście spalić. Obecny w mieście legat papiezki i biskup kamieniecki jadą z wielką świtą na miejsce, gdzie heretyckie książki na stosie złożono. Stos i tłumy

mnichów otacza lud toruński. On pił z tych książek słowa pociechy, on je ukochał. Milczący czeka na smutny obrzęd. Między ludem stoi także magister Fabricius, zagorzały Lutra wyznawca. Suchy, słabowity, nie wojenny człowieczek zapomniał, w chwili gdy pod książki mistrza jego ogień podłożono, że się *autodafe* na rozkaz rady miejskiéj i władzy kościelnéj odbywa, zapomniał, że nie dobrze słabemu, ubogiemu nauczycielowi przeciw uznanéj potędze walczyć, i zawołał: protestuję przeciw obeldze, jaka mistrza wittenberskiego tu spotyka! Wołanie to jest hasłem do bijatyki. Pan Piotrowski, który obrzędowi z ramienia króla polskiego asystuje, dobywa na magistra miecza. Ale obok nauczyciela stoi dziki Jerzy. Chwyta jakiś drąg i uderza nim wysłańca polskiego. Szlachcic spada z konia, powstaje ogólna bijatyka, leje się krew, padają trupy. Teraz przebrała się miarka. Sam król żąda zadosyć uczynienia za krew swego wysłańca, a mnichy pienią się ze wściekłości. Rada miasta osadza niesfornego chłopaka w więzieniu. Jutro ma spaść głowa jego. Nocą jednak uchodzi przestępca podziemnemi schodkami. Burmistrz, wuj jego, pomaga mu do téj ucieczki. Jerzy ucieka na falach Wisły na północ, i spotyka wśród drogi magistra Fabriciusa z córką, który tą samą drogą miasto opuszcza. Gdy minęli granice toruńskie, chcą na brzegu wypocząć, lecz zaledwie wysiedli z łodzi, napada ich kilkunastu rabusiów i zabiera do niewoli. Są to landsknechci niemieccy, którzy przez Albrechta Brandeburskiego najęci, rabują teraz na własną rękę w dzierżawach wielkiego mistrza. Nie zapłacił im służby: płacą sobie sami ówczesnym zwyczajem. Ponieważ im się Jerzy podoba, robią go swoim chorążym, przydając mu córkę magistra, Annę, za żonę, bo każdy landsknecht musi mieć żonę. Tymczasem starzeje się König w Toruniu z dniem każdym, bo nie tylko syna stracił, lecz także nadzieje swe polityczne. Wojna, którą Brandeburczyk z królem polskim w części za pieniądze kupca toruńskiego podjął, łamie ostatecznie potęgę zakonu. Krzyżak składa hołd Zygmuntowi i staje się księciem świeckim. Na wiadomość tę łamie się i siła żywotna Königa. Sprzedaje wszystko, co mu jeszcze zostało, bo „niechce mieszkać w mieście polskiém,“ spieszy do Rzymu pieszo, na pielgrzymim opierając się kiju, aby tam żale swoje u stóp grobu piotrowego złożyć. Nie znalazłszy w Rzymie spokoju, wraca do Niemiec, do Turyngii, do ziemi swych ojców, spotyka się z synem, synową, wnukiem swoim, staje przed trybunałem Lutra i umiera spokojny. Ostatnia ta scena z Lutrem na przedzie, który się jak meteor na chwilę ukazuje, jest najpiękniejszą w całéj książce.

I w piątéj powieści: *Die Geschwister*, r. 1878 (dwie części: 1) *der Rittmeister von Alt-Rosen*, 2) *der Freicorporal bei Markgraf Albrecht)* widzimy politykę niemiecką, lecz w innym rodzaju. Jeżeli serce niemieckie na wspomnienie wojny trzydziestoletniéj zapłacze, jeżeli dusza niemiecka na widok wewnętrznego rozbicia narodu za jednolitem państwem niemieckiém zatęskni, rozumiemy to, a nawet szanujemy. Naród bowiem, który innemu, choćby nieprzyjaznemu, swobody nie życzy, nie zasługuje sam na wolność. Piątą powieść „Die Geschwister" moglibyśmy nazwać wojennym obrazem, bo słyszymy w niéj od początku do końca szczęk broni. Rzecz odbywa się w r. 1647. Dwadzieścia dziewięć lat wichrzy już w Niemczech wojna. To Szwed, to Francuz wyzyskują ludy niemieckie dla swoich celów, prowadząc Niemców na Niemców. W kilku regimentach saksońsko-turyngskich, walczących pod rozkazami marszałka Tureniusza odzywa się nareszcie duch niemiecki, nie chcą one dłużéj dla celów francuskich walczyć. Więc opuszczają sztandary Tureniusza, wybierają sobie osobnego dowódcę i ruszają w świat, aby na własną rękę wojnę prowadzić. Bitne to, dzielne regimenty! Są w ich szeregach starzy wojacy, którzy się w obozie zrodzili i wychowali, którzy nie znają życia po za wrzawą bitew. Śmierć—towarzyszem ich, dobrym znajomym, niewygoda—rzeczą, która się sama przez się rozumie, bo wygody nigdy nie zaznali. Königsmark i Wrangel, cesarz niemiecki i marszałek francuski chcieliby ich koniecznie pozyskać, lecz wiarusy sprzykrzyli sobie służbę u obcych. Więc, kiedy zmiarkowali, że na własną rękę nic zrobić nie mogą, postanawiają oddać się pod rozkazy jakiego niemieckiego księcia. Brat Bernharda wejmarskiego, Ernest, znany z uczciwości i germańskich celów, daje im największéj gwarancyi. Do niego wysyłają delegacyą. Młody kapitan König jedzie na czele delegacyi do Gotha, do rezydencyi księcia Ernesta. Dokądkolwiek przybywa, widzi wszędzie zniszczenia i ostatecznéj nędzy obraz. Wędrowcy, spotykający jeźdźców po drodze, uchodzą z trwogą na stronę, bo kto w owych czasach konno z bronią w ręku gościńcem spieszy, może być tylko żołnierzem, czyli rozbójnikiem. Wsie stoją samotne, wyludnione, obdarte. Mieszkańcy pokryli się w górach i lasach, gdyż nikt nie jest przed bandami rozbitków, które po kraju ciągną, bezpieczny. Nie warto uprawiać roli, nie warto siać, ani zapasów na zimę sposobić. Dziś są pełne szpichlerze, a jutro przyjdzie jaki uzbrojony włóczęga i zabierze owoc długiéj pracy. Chłopi uzbroili się sami; napadają kogo mogą, żyją sami rozbojem lub kradzioną w pańskich lasach zwierzyną. Zdziczeli, zapomnieli o Bogu, drwią z księży i z władzy świeckiéj, bo dziś jest tylko ten panem, co ma pod sobą cztery chyże nogi silnego konia,

a w ręku miecz i krucicę. Smutny obraz widzi młody kapitan König. Na widok tego zniszczenia przebudza się w nim dusza niemiecka i odzywa się żal do cesarza, który obojętném okiem na ruinę ojczyzny niemieckiéj patrzy.

Już byli blizko Goty, kiedy ich pod wieczór banda chłopów napada. Tylko energii Judyty, córki zmarłego pastora, zawdzięcza König życie swoje i swéj siostry, która z nim jedzie. Chłopi bowiem poznali w jeźdzcach żołnierzów i mierzą już na nich z rusznic. Judyta zasłania ich sobą i prowadzi w góry do ukrycia, gdzie cała gmina z trwogą na wynik bitwy czeka, bo właśnie napadła gromadka cesarskich rozbitków wieś, w dolinie leżącą. Wzniosła postać Judyty, któréj gromkie słowo niesforną bandę zdziczałych chłopów w porządku utrzymuje, podoba się Königowi. Po raz pierwszy w życiu zaczyna marzyć o szczęściu przy ognisku domowém, lecz nie żołnierzowi o słodyczach pokoju dumać. Zostawia strudzoną siostrę w domu Judyty, a sam spieszy do Goty przed księcia. Ernest nie chce przyjąć zbuntowanych regimentów, bo to spokój lubiący, nie wojowniczy pan. On jest wrogiem wojny, która całe kraje zniszczyła, on chce pokoju. Ze smutkiem w sercu wraca König do swoich regimentów. Kiedy nas Niemcy nie chcą, musimy się Szwedom oddać!— wołają żołnierze. Sprzedajmy się Königsmarkowi, bo ten, choć szwedzkiéj królowej służy, pochodzi przecież z krwi niemieckiéj. Znów ciągnie kapitan König na czele delegacyi, wśród zniszczonych pól i opustoszonych wiosek, do obozu Königsmarka, z którym po długich układach targu dobija. Regimenty maszerują do Gettyngi, aby złożyć Szwedowi w ręce Königsmarka przysięgę wierności.

Równocześnie stawiają Judytę przed sądy konsystorza. Pisarz z wsi, który sobie dzielną i piękną dziewczynę upodobał, mści się na niéj za odmowę. Spieszy do Goty i oskarża sierotę o czary, bo Judyta zna się na tajemnicy ziół i wpływa potęgą swego bohaterskiego słowa na umysły ludu. Zjeżdża sąd, złożony z przednich księży, a zbadawszy rzecz na miejscu, więzi Judytę w jéj własnym domu. Dopóki sąd nie orzeknie wyroku, pilnują jéj stróżowie księcia, nie pozwalając przekroczyć progów własnego domu. Razem z siostrą zostawił König Judycie małego chłopczyka, którego w obozie znalazł, wychował i na swego pazia wykształcił. Sprytny chłopiec wie, jaki wyrok opaśli księża na „ciotę“ wydadzą, ale on wie także, że Judyta nie jest ciotą, bo jest kochanką jego pana. Kradnie więc konia we wsi, siada na niego i pędzi w świat, aby pana swego odszukać. Przybywa do obozu Königsmarka w chwili, kiedy właśnie regimenty przysięgę składają.

W obszernéj izbie, światłem nocnéj lampy słabo rozświeconéj, siedzi Judyta i patrzy przed siebie w ponuréj rozpaczy. Na dworze jęczy wicher burzliwéj nocy, a z gór dochodzi łoskot przeraźliwy, bo dziki strzelec (*der wilde Jäger*) ciągnie, jak lud mówi, nad lasami, na szatańskie łowy. Jutro powiodą Judytę do miasta, a tam rozciągnie ją ręka kata na torturach, aby się do stosunków swych z piekła mieszkańcami przyznała. Nie, ciała mego, które jest własnością kochanka, nie dotknie się żadna świętokradzka ręka, nagości mojéj nie odkryje nikt, nikt! Jestem ciotą? Ha, ha, ha! Więc zginę jak ciota w płomieniach, bo lepsza taka śmierć niż sromota. Tak mówi Judyta i już sięga po lampę, aby dom podpalić—w tém, uderzył ktoś ze dworu we drzwi; drzwi prysły, padły rozbite na posadzkę, a do izby wpadło kilku uzbrojonych mężów. Chwytają ją, sadzają na konia i uchodzą galopem do lasów. To kapitan König w sam czas z towarzyszami nadbiegł, aby kochankę z niemiłosiernych rąk głupstwa wyrwać, a ludzie opowiadali sobie na drugi dzień, że dziki strzelec ciotę żywcem porwał.

Rok cały żyje młoda para w ukryciu szczęśliwie. Lecz po roku, gdy się pieniędzy przebrało, wraca kapitan do swoich regimentów. Na czele swych hufców ciągnie Königsmark przeciw cesarzowi, aby się na nim za krzywdę, ludowi niemieckiemu wyrządzoną, pomścić. Pułki Königsmarka zdobywają Pragę, płacą sobie bogatym łupem za długoletnią poniewierkę. Kapitan König wraca z żoną i dzieckiem w rodzinne strony, lecz w drodze ginie i on i żona, zdradą osobistego nieprzyjaciela zabity. Sierotę ich, malutkiego synka, wychowuje siostra kapitana. W szóstéj i ostatniéj powieści z szeregu: „Przodków“ *Aus einer kleinen Stadt*, 1880 spotykamy się już z bezpośrednimi znajomymi, bo z dziećmi wieku bieżącego. Ostatni wnuk Inga, Ernest König, jest lekarzem w jedném z mniejszych miast Szląska pruskiego. Rzecz zaczyna się w pierwszych latach naszego stulecia. Młody doktór przybywa do małéj mieściny i rozgląda się nasamprzód po najbliższém otoczeniu. Z humorem i niewymownym wdziękiem opisuje Freytag, który w téj powieści na swoim gruncie, bo na tle rodzajowém stanął, małomiejskich „bürgerów“ urzędniczków, mędrców i ten cały zastęp wielkich ludzi do małych interesów, którym się zdaje, że się bez nich świat obyć nie może. Główną miłością otoczył autor poborcę powiatowego, humorystyczno-sentymentalnego zwolennika Jana Pawła. Kiedy „szpisbürgery“ w „knajpach“ świat po swojemu przerabiają, zaczął inny „ziemi obywatel“ nieco głośną reformę dotychczasowych stosunków europejskich. Wielki Napoleon puścił już orły swoje na Wschód, aby pobiegły nad Europą i zwiasto-

wały jéj z hukiem i wrzaskiem zbliżanie się nowéj epoki. Słychać już zdala niewyraźne echa zbliżającéj się burzy, ale Amor, który wśród armat psoty swoje wyrządzać gotów, drwi sobie z napoleońskiéj potęgi. Prowadzi on bohatera powieści, d-ra Königa, na wieś, do cichego domku pastora, gdzie kwitnie piękna Henryka. Miluchną plebanią i szczęście pierwszéj miłości opisuje znów autor z nieporównanym wdziękiem, boć to jego dzierżawa. „Siedzieli na ławeczce, a nad nimi stał księżyc; tylko on sam, bo słońce ułożyło się do snu. Cichutko i z uśmiechem spoglądał niebieski wędrowiec na ziemię, jak przystoi księżycowi, gdy nad szczęśliwą stoi plebanią. Patrzył sobie przez szczeliny winogradowych liści na dwie młode, do siebie zwrócone twarze. A podczas, kiedy dwie pary młodych oczu na siebie serdecznie spoglądały, złocił sobie księżyc mury cmentarza i srebrzył nagrobki, a nawet starą wieżę kościołka nadziemskiém światłem tak sowicie opromienił, że nietoperz, z dziur wyglądający, oczki zmrużył, mniemając, że nadszedł dzień.

Tymczasem zbliżyła się wojna i stanęła pod miasteczkiem, a wielcy ludzie do małych interesów przekonali się teraz, że się bez nich nie tylko świat obyć może, lecz nawet, że się ich nikt nie lęka, bo kiedy wojna w postaci oficerów francuskich do miasteczka weszła, nie uszanowała ani burmistrza, ani poborcy, ani żadnéj rzeczy, która ich była. Wojna, to człowiek, rozkuty na czas niejaki z kajdan praw i więzów powagi. Wojna, to zwierzę, drapieżniejsze od tego, które w lesie słabszego brata napada. Więc, kiedy także progi cichéj plebanii przestąpiła, sięgała po wszystko, co się schwycić dało. Dwóch oficerów francuskich chwyta Henrykę, jako łup bezecnych chuci, ale w tém wpada do pokoju inny, starszy oficer i widząc, co się dzieje, woła: puśćcie tę dziewczynę! Lecz kiedy koledzy nie myślą rozkazu jego usłuchać, bo wojna nie zna żadnéj powagi, woła oficer głośniéj: biada temu, kto się dotknie narzeczonéj oficera francuskiego i chwyta rabusiów za kołnierz i wyrzuca ich za drzwi. Nachylił się potém do zemdlonéj dziewczyny i włożył na jéj palec własny pierścionek. Była odtąd jego narzeczoną, więc bezpieczną przed chciwą wojny chucią?, a właściwy kochanek Henryki, dr. König, pośpieszył do swoich, do Prusaków w góry, bo on Niemcem jest od stóp do skroni, więc woli zginąć, niż zaprządz się do rydwanu imperatora francuskiego. Rzuca go autor z miejsca na miejsce, z obozu do obozu, z jednéj bitwy w drugą. Widzimy znów cały szereg różnych wojennych obrazków, które $^3/_4$ „Przodków“ zapełniają. Tymczasem popłynęła krwawa fala wojny daléj na wschód, do Rosyi. Tam zmarzła,

ścięta oddechem klimatu. Nędzne, wyniszczone niedobitki wracają przez Niemcy do Francyi. Widzimy je w powieści, widzimy także przelotnie uciekającego cesarza. Z niedobitkami wraca także ów oficer francuski, który pierścieniem swoim Henrykę ocalił. Pułkownik Dessale zatrzymuje się w miasteczku, bo go siły opuszczają. Leży w plebanii, a u łoża jego siedzi Henryka i dr. König, który znienawidzonego współzawodnika leczyć musi. Pułkownik, poznawszy teraz słodycz Henryki, obstaje przy swych prawach. Pułkownik wyzdrowiał i wraca do czynnéj służby, a dr. König spieszy także napowrót w szeregi, bo właśnie król pruski powołał naród swój do ostatecznéj obrony. Wojna kończy się, Francuzi ustępują z Prus, Dessale zrzeka się teraz praw swych do Henryki, bo musi do Francyi wrócić, König żeni się z ukochaną... i oto pokój w kraju i w sercach. Lecz powieść nie kończy się z małżeństwem, bo König ma syna, który jest autorowi do wykończenia planu potrzebny. Zamiast nową powieść stworzyć opisuje jeszcze Freytag awantury młodego Wiktora, który się jako student lampartuje, różne przechodząc koleje. Po burzach młodości zostaje dziennikarzem i literatem. Ostatni więc wnuk Ingo wojuje już piórem.

II.

Olbrzymich rozmiarów i jaskrawych barw obraz mamy przed sobą. Do starannego wycieniowania tak wielkiego płótna nie wystarczyłoby najpłodniejsze życie autorskie, bo żywot niemieckiego narodu jest wielce bogaty i różnobarwny. Nie może nam więc o to chodzić, co Frejtag *miał* napisać, lecz głównie o to, co *chciał* odtworzyć, a potém co wykonał. Chciał zaś, jak mówi wyraźnie w dedykacyi, umieszczonéj na wstępie pierwszego tomu, *odtworzyć w wielkich rysach życie swego narodu*. Bez tego oświadczenia nie mielibyśmy prawa przykładać łokieć krytyczny do *ogólnéj* kompozycyi, do przypatrzenia się owym *wielkim rysom*, boć wolno powieściopisarzowi wyrwać z księgi dziejów te kartkę, która mu się właśnie najwięcéj podoba, a wtedy pyta tylko krytyk czy tę lub ową kartkę, ten lub ów odłamek życia narodowego, choćby jedną bitwę, należycie zrozumiał i oświecił—lecz gdy ktoś wyraźnie powiada: ‧chcę wymalować obraz rozwoju narodu niemieckiego! wtedy mamy prawo zapytać: podołałżeś zadaniu? Powiedziało się już, iż do *wycieniowania* tak wielkiego płótna nie starczyłoby jedno życie. Przypatrzmy się więc tylko ogólnéj kompozycyi, badając, czy też jest rzeczywiście obrazem życia niemieckiego.

Wiek czwarty, początki jedenastego, trzynastego, szesnastego, siedemnastego i dziewiętnastego są podług „Przodków“ Frejtaga głównemi kamieniami milowemi na gościńcu niemieckiéj cywilizacyi. Że wszystkie te momenta należą do główniejszych chwil życia niemieckiego, zgadza się historyk, lecz żeby miały być wytycznemi punktami w pochodzie rozwoju historycznego, przyznać nie może. O ile się dotąd życie niemieckie w przejrzysty całokształt złożyło, widzimy głównie trzy wielkie epoki. Pierwszéj początki giną w mgłach czasów przedhistorycznych, a koniec jéj opiera się na żelaznych barkach poczynającego się rycerstwa. Między bohaterami legendy a rycerzami chrześciaństwa leży kilkaset lat, pełnych wojennego łoskotu i religijnego fanatyzmu; druga epoka ogarnia średnie wieki od pierwszych chwil poczynającego się rycerstwa, które z krzyżem na ramieniu, honorem w sercu i wspaniałą pieśnią na ustach szło bronić grobu chrystusowego i zdobywać królestwa, aż do owych rabusiów, co prawami religii, uczciwości, honoru i kraju wzgardziwszy, ufali tylko własnéj pięści. Na progu trzeciéj a najgłówniejszéj epoki stoi Luter z biblią w ręku, a kończy ją cesarz Wilhelm, koronujący się w Versalu. Między Lutrem a Wilhelmem leży cały szereg jaskrawych, a wspaniałych obrazów, bo to epoka, w któréj duch niemiecki po raz pierwszy bez obcéj pomocy czuć, myśléć i tworzyć zaczął. Na tę epokę powinien był Frejtag zwrócić najbaczniejszą uwagę, boć, jeżli za lat tysiąc dalekie wnuki będą o Niemcach wiedzieli, to chyba z łaski prac, które trzecia epoka życia niemieckiego potomnym przekazała.

Frejtag zaczął, jak widzieliśmy, od samego początku, od owéj legendowéj epoki, kiedy jeszcze po ziemi germańskiéj „boscy“ synowie chadzali. Nie mamy wprawdzie z owych czasów świadectw historycznych, bo Tacyta, Strabona i innych podania są niedostateczne, lecz znamy bohaterów „boskich“ z legend, z opowieści. Nie mamy prawa żądać od powieściopisarza, aby nam za pomocą poetyckiéj intuicyi prawdziwie, realnie owe czasy odtworzył, i poetycka bowiem intuicya nie jest rękojmią prawdy. Dość nam, gdy ujrzymy w pierwszéj powieści ludzi i stosunki, do jakich przywykliśmy w starożytnych opowieściach germańskich. Legendowi junacy wszystkich narodów bywają dla tego „boskimi synami,“ że przewyższają zwykłych śmiertelników o całą głowę. Siła ich cielesna przekracza miarę ludzkich władz i klęski nie znają, śmierć nie ma do nich przystępu. Kiedy Sigendt śpi pod drzewem, łamią się gałęzie, oddechem jego, jak wichrem dotknięte. Ciałem, siłą cielesną (bo owe czasy nie znają innéj potęgi) przewyższa bohater epoki legendowéj ludzi zwykłych. Dla niego nie ma trudności, przeszkód i niemożliwości. On walczy

ze smokami, i potworami, których pokonywa, on kruszy niebotyczne sosny i przenosi góry z jednego miejsca na drugie. Ta olbrzymia, nadludzka siła jest znamieniem bohatera legendowego. Powtóre! W czasach, kiedy cielesna siła ludzi ujarzmia, nie ma praw, któreby *wszystkich* ludzi obowiązywały, bo junak wymierza sobie sam sprawiedliwość. Dla junaka nie ma praw, powag, kodeksów, wolno, a nie wolno, bo *on* sam jest najwyższém i jedyném prawem. Indywidualność występuje w tych czasach wybitnie, a osobista dzielność znaczy wszystko. W legendowych epokach nie znamy ludów, ustawami rządzonych, lecz wolę jednego, najdzielniejszego. W powieści Frejtaga nie widzimy olbrzyma junaka, napełniającego kraje drżeniem bojaźni, podbijającego *na własną rękę* całe narody; niewidzimy „boskiego syna", przed którym się nawet duchy nocne korzą. Ingo, choć się rzeczywiście ze słońca rodzi, choć nieziemski jego początek, choć jest walecznym wojakiem, nie pokonywa jednak smoków i potworów, narodów i mocarzów: poluje, pojedynkuje się, siedzi na łasce u księcia Answalda i króla Turyngii, choć się tam z nim jak ze zwykłym pieczeniarzem obchodzą, obrażając, gdzie się tylko da, to jego, to służbę „boskiego syna." Ingo, zbudowawszy sobie własne gniazdko, ulega w końcu przemocy siły królewskiéj, siły liczebnéj, choć podług tradycyi, w opowieściach ludowych spowitych, uledz nie powinien, bo ramię jego musi być silniejsze od tysięcy pospolitych mieczów. Jest on bardzo bladą odbitką legendowego bohatéra. Przeczytawszy wszystkie powieści, widzimy, że Frejtag początki i rozkwit epok pomijał, stawając zawsze na pierwszych szczeblach upadających momentów dziejowych. Dlatego nie pomylimy się prawdopodobnie, gdy powiemy, że Ingo Frejtaga ma być epigonem bohaterów legendowych, epigonem, ginącym pod przewagą nadchodzącego *porządku* społecznego. Jeźli przypuszczenie nasze nie jest mylne, będzie rysunek Inga ogólnéj kompozycyi odpowiadał, choć nie dostraja się do wzorów, które nam poezya przechowała. Jako *epigon* legendowych junaków jest Ingo dobrze narysowany. W drugiéj powieści stoi już Frejtag na gruncie pewnym, bo historycznym. Możemy go tedy wprost zapytać: czy rycerską epokę dobrze odmalował? bo możemy z historyą owych czasów w ręku odpowiedzieć. I odpowiadamy, że Frejtag jeden odłam tego życia, stosunek wolnych panów do monarchy znakomicie uchwycił. Ale drobny to tylko odłam wielkiéj całości, która się zowie: początkiem wieków średnich. Nadto przeskoczył autor odrazu kilkaset lat, a właśnie bardzo ważną epokę cywilizacyi niemieckiéj, bo czas przetwarzania się Germanów. Między pierwszą a drugą powieścią leżą wojny Germanów z Rzymianami, zwycięztwo nierozumnéj, świeżéj siły nad wyso-

ko umysłowo wykształconą a zniewieściałą bezsilnością. W czasie tym zatliła się i rozbłysła idea chrześciańska, w czasie tym przebierał się, w skóry odziany Germanin, w suknie wygodniejsze i zaczął łagodniéć, myśléć, kształcić się i pojmować życie po za lasem, dzikiego zwierza pełnym. Wpływ kultury rzymskiéj a więcéj jeszcze chrześciaństwa oddziałał potężnie na życie germańskie, bo stał u saméj kołyski tego ludu. W ramach życia niemieckiego rozwinęła się idea chrześciańska tak wszechstronnie, jak nigdzie. Od pierwszych ascetów począwszy, od zapału wojen krzyżowych, śpieszymy przez całą skalę wojen, burz i porywów religijnych. Niemcy wydały świętych, lecz także Lutra, mistyków, ale i krańcowych pessymistów. Jeźli w innych narodach chrześciaństwo tylko na zewnętrzne, społeczne i polityczne życie wpłynęło, dotarło u Niemców do najtajniejszych kątków ich głębokiego ducha. Dlatego to niepodobieństwem pomijać wpływ chrześciaństwa, gdy się maluje obraz cywilizacyi niemieckiéj. Frejtag pominął tak samo pierwsze zapały religijne, jak pierwsze boje polityczne Germanów. A przecież zrobiły rzymskie wojny Niemców politycznym, a zapały religijne myślącym, filozoficznym narodem. Jest to błąd w ogólnéj kompozycyi Frejtaga, którego nie możemy wytłómaczyć twierdzeniem: że powieściopisarz tylko za to odpowiada, co zrobił, a nie za to co był powinien, lub mógł uczynić. Obraz cywilizacyjny bez tła duchowych wpływów, jest kościołem bez Boga, domem bez mieszkańców.

W drugiéj powieści widzimy już gotowe rycerstwo i początki rozkładu chrześciańskich zakonów. Całą więc epokę przeobrażania się narodu niemieckiego pominął autor, stanąwszy odrazu na tle skrystalizowanych już stosunków społeczeństwa średniowiecznego. Data postawiona na czele drugiéj powieści, r. 1003 jest nieco zawczesna, nawiasowo mówiąc. Wtedy nie było jeszcze w Niemczech *stanu* rycerskiego w późniejszém rozumieniu, bo rycerz w Anglii i Francyi zrodzony zaczął dopiéro około r. 1050 do Niemiec przechodzić, a *stan* rycerski wytwarzał się jeszcze późniéj, bo przy samym końcu XI wieku. Lecz to drobnostka. Większe znaczenie ma obraz życia klasztornego. Nie ulega wątpliwości, że się już w XI w. tu i owdzie w klasztorach zepsucie gnieździło, że już w tym czasie byli leniwi, obżarci opaci i ambitni zakonnicy, bo w Anglii, gdzie się chrześciaństwo z całym swym aparatem zakonów, stowarzyszeń religijnych itd. daleko wcześniéj, aniżeli w Nieczech przyjęło, powstrzymywali królowie już w X w. rozwiązłość zakonników surowemi edyktami, lecz zepsucie zakonów nie było jeszcze w X w. w Niemczech *powszechną* chorobą, *ogólném* znamieniem. Zachodzi pytanie, czy wolno autorowi, gdy maluje obraz cywilizacyi, wysuwać przegniłe *jednostki* na

pierwszy plan? Nam się zdaje, że nie. Freytaga zaś sceny klasztorne w drugiéj powieści, więc w XI w. mogłyby być śmiało i w XVI wieku powtórzone. Zakrawa to więc na tendencyą, na rozmyślne zohydzanie klasztorów i w ogóle duchownych, tém więcéj, że autor zupełnie epokę rodzącego się zapału religijnego, wschodzącéj gwiazdy wiary odczuwanéj i wypełnianéj, pominął, a nawet i w téj powieści tylko śmieszne lub brudne strony *con amore* oświecił. I w dalszych powieściach nie widzimy ani jednéj jasnéj postaci duchownéj, a przecież nie potrzeba być wcale przyjacielem hierarchii, aby powiedziéć, że i ona spełniała swego czasu misyą, że i ona wiele dobrego sprawiła. Nie żądamy apoteozy klasztorów, które się już dawno przeżyły, lecz dziwimy się, że pisarz artysta nie umiał być sprawiedliwym.

Jak celem pierwszéj powieści było wykazanie niemożliwości bohatera legendowego wśród nowych, do stałych form dążących, warunków państwowych, tak jest idea polityczna drugiéj powieści przewodnią ideą. Immo syn wolnych panów, sam wolny, każdemu władzcy równy pan, który, choć na jednym tylko siedzi zamku, nie jest nawet króla poddanym, ulega w końcu majestatowi monarchy. Schyla hardy kark, staje się królewskim lennikiem. Ponieważ się polityka bez szczęku broni i wrzawy bitew obyć nie może, zajmują pochody wojenne $^{3}/_{4}$ powieści. I w pierwszem i w drugiem dziele pełno brzęku i szczęku. Urozmaica to oczywiście koloryt powieści, lecz ktoś, co się obrazu cywilizacyi niemieckiéj spodziewał, pyta się daremnie; a gdzież życie domowe, gdzie zwyczaje, obyczaje, gdzie modlitwy, pieśni i opowiadania narodu w czasie pokoju?

Między drugą, a trzecią powieścią zaczynającą się w r. 1226, leży znów przestrzeń czasu, na którą Niemcy słusznie z dumą wskazują, a którą autor znów pominął. W XI w. zaczynają resztki rzymskiéj cywilizacyi, przez łacińskie duchowieństwo w chrześciańskich narodach pielęgnowane, stopniowo gdzieś uchodzić i ginąć, aż około r. 1050 tak dziwnie bez śladu przepadają, jak gdyby ich nigdy nie było. Na zaoranéj ziemi cywilizacyi grecko-rzymskiéj wyrasta nowy kwiat, podsycany sokami świeżych, niezużytych jeszcze ludów. Germańscy wojownicy zamieniają się w średniowieczne rycerstwo, które było początkowo na wpół duchowną, na wpół świecką instytucyą, a wyrosło z tęsknoty za ideałami. Jakie są te ideały? czy mylne, czy prawdziwe, nie naszą rzeczą oceniać, bo nie stoimy jeszcze u celu pielgrzymki ziemskiéj i dlatego nie wiemy, czy się synowie nasi nie będą z tego śmiali, w co my dziś wierzymy. Rycerze średniowieczni bronili swéj wiary z przekonaniem, nie odmawiali ubogiemu i sponiewieranemu pomocy, chylili hardy kark przed prawem miłości bli-

źniego, zanim się Raubritterami stali. A co marzyli, czego pragnęli, do czego dążyli, złożyli w poezyi, bo dziecięce ludy umieją tylko obrazami czuć i myśléć i tęsknić. Bogatą literaturę mają średniowieczni Francuzi i Niemcy. Truwerowie Normandyi i rycerscy epicy Germanii napełniali swe czasy pieśnią, muzyką, dźwiękami i poezyą. Dziś jeszcze, gdy się odczytuje epopeje takiego Wolframa z Eschenbachu, rycerza, który pisać nie umiał, podziwiać trzeba głębokość ówczesnych dusz poetyckich. A całą tę epokę woni i muzyki pominął Freytag, przechodząc od razu od jednostronnie tylko uchwyconego początku średnich wieków do pierwszych zwiastunów ich końca, bo szybko wybujały kwiat rycerstwa, trwał nie długo. Już bowiem w końcu życia głównych jego reprezentantów, około r. 1230—50 zaczął okwitać, chylić się do upadku, łamać. Gdy zapał religijny i rycerski, który ciepłem swem rozkwit jego przyśpieszył, minął, usunęły się podwaliny z pod stóp rycerstwa. Polityczne nieszczęścia Niemców dokonały reszty. Może na to kto odpowiedziéć: Freytag niechciał odtworzyć ideału rycerstwa. Bezwątpienia. Powieściopisarz może sobie wybrać epokę, którą tylko zechce, gdy *tylko tę a nie inną epokę* maluje, lecz gdy daje ciągły, całolity obraz, nie powinien tylko *samych* cieniów uwydatniać. Nie zapominajmy, że powieść nowoczesna jest nauczycielką wielkich mas, które nieumieją prawdy od nieprawdy odróżnić, że na tysiąc czytelników czyta jeden dzieło naukowe, a 999 czyta powieści. Kto się więc z „Przodków“ Freytaga historyi cywilizacyi niemieckiéj uczy, (a takich wielka ilość), jakież on będzie miał pojęcie np. o chrześciaństwie i rycerstwie niemieckiém? Chrześciaństwo to głupi, ambitny, obżarty, a późniéj mściwy mnich, a rycerz—to rabuś, który żyje łupem, na uczciwych zdobytym ludziach. Jest to oczywiście woda na młyn tak zwanych narodowo—liberalnych Niemców, ale dziś, kiedy i epoka burżoazyi niemieckiéj przeminęła, wiemy że bankierzy i fabrykanci w glansowanych rękawiczkach nie gorzéj od raubritterów rabowali. A gdzież jest między ludźmi złota, między sługami Molocha; rycerski honor, rycerska ofiarność, któremi się i najsurowszy ritter przejmował.

I w trzeciéj powieści przeważa brzęk broni, bo i tu jest idea polityczna gwiazdą przewodnią; Iwo, wolny pan, niemiecki freiherr; uznający nad sobą tylko majestat monarchy, wjeżdżający na książęcy dwór w pełnéj zbroi, świtą swych giermków otoczony, chyli się w końcu przed potęgą księcia. W powieści téj jest już więcéj ruchu, niż w poprzednich. Widzimy tu barwiste, jaskrawe, poetyczne życie bogatego rycerza: turnieje i biesiady, najazdy i gonitwy. Słyszymy nawet dźwięk miłosnéj liry, lecz Iwo nie jest już hartownym rycerzem, fanatycznym wiary obrońcą, nie jest hardym panem, który

woli zginąć, aniżeli swą herbowną tarczę niewalecznością lub cieniem nierycerskości splamić. Marnotrawny to, miękki, błyszczący pan zwiastun upadającego rycerstwa.

Jeżeli w pierwszych trzech powieściach idea polityczna ostatecznie całości główny ton nadaje, przechodzi Freytag z czwartą powieścią zupełnie na grunt polityczno-tendencyjnéj powieści. Opuszcza Niemcy, a spieszy nad Wisłę, bo polityka niemiecka dąży na wschód, bo celem polityki niemieckiéj jest podbić Słowiańszczyznę! *Der Drang nach Osten!* znane dziś hasło, odzywa się już wyraźnie w czwartéj powieści. Bo dlaczegoż autor akcyą nad naszę Wisłę przenosi? Przecież losy życia niemieckiego nie rozgrywały się nad żółtemi wodami naszéj rzeki, przecież zakon krzyżacki był właściwie tylko misyonarzem chrześciaństwa na północnym wschodzie, bo kiedy cel ten przeminął, skonał i zakon. Freytag zaś narzuca Krzyżakom hasło polityczne: *der drang nach Osten*! Według niego byli krzyżacy misyonarzami cywilizacyi niemieckiéj, byli na pierwszym planie Niemcami, a dopiéro na drugim chrześcianami. Nam się zdaje, że się rzecz odwrotnie miała. Z czwartą powieścią przechodzi Freytag do stanu mieszczańskiego, nie pokazawszy ani rozkwitu, ani upadku rycerstwa, ani téż początku mieszczaństwa, które się na gruzach średniowiecznéj szlachty, w czasie obrony przeciw raubritterom do solidarności zmuszone, w silny, niezależny od innych i bogaty *stan* organizowało. Gdyby autor był chciał kwitnące mieszczaństwo odmalować, nie byłby zabłądził nad Wisłę, bo wie on bardzo dobrze, gdzie trzeba prawdziwego mieszczaństwa szukać. Bogate miasta południowych Niemiec, potężny związek hanzeatycki, kwitnący przemysł, początki sztuki plastycznéj, oto mieszczaństwo. Jest że mieszczaństwo Torunia, które dla miłego spokoju, dla wygodnego trawienia, dla bezkłopotnego spożywania nagromadzanych bogactw narodowości swéj się zrzeka i przed Polską się korzy, właściwém mieszczaństwem? To już nowoczesna burżoazya, to kupcy, których jedyną wiarą, kochaniem, ideałem jest grosz. To nie jest to świeże, dumne mieszczaństwo, z którego wyrosł kwiat narodowy cywilizacyi niemieckiéj, bo to poprostu obrzydliwe filistry, czyli stan dla artysty najmniéj sympatyczny. Marcus König błądzi wśród tych karłów jak upior dawno minionéj przeszłości. Nikt go nie rozumie ani popiera: stoi on zupełnie samotny wśród swego otoczenia, wśród szwagrów, kuzynów i innych krewniaków. Polityczna idea niemieckości „das deutschthum,“ przez Königa reprezentowana, robi także wrażenie bezkrwistego upioru. Poszła ona już dawno do rupieci: nikt o niéj nie myśli. Swoją drogą jest Marcus König jako *artystyczna* postać sympatyczném zjawiskiem, boć to człowiek, który dla idei

walczy; który, gdy widzi, że go otoczenie nie rozumie, że go nawet wielki mistrz, daremnemi walkami zmęczony, zdradził, bo ugiął kolana przed królem Polski; nędzne miasto z żalem, nawet z rozpaczą w sercu opuszcza. Lecz *typem* swego czasu nie jest Marcus Konig: jest on, jak powiedzieliśmy upiorem wśród swego otoczenia, jest po prostu wcieleniem politycznéj idei Freytaga, jest tém co dziś „kulturträger" nazywamy. A syn jego Jerzy? Jest-że to mieszczanin? Gdzież tam! Awanturnik, haraburda, zawali-droga, który na miejscu dosiedziéć nie może, który się z całym światem boryka, aż w końcu, gdy miarkę przebrał, między zdziczałych landstknechtów idzie i tam bez celu i myśli jak raubritter walczy, jest wnukiem Inga w prostéj linii, wnukiem junaków swéj pięści tylko ufających. Jakiż cel téj powieści? W poprzednich była idea polityczna ostatecznym rezultatem, lecz idea, wpływająca bezpośrednio na społeczny ustrój Niemców. Junak, ustępujący przed potęgą wytwarzającego się porządku, wolny pan, przysięgający królowi, którego dotąd nieuznawał, posłuszeństwo; ten sam wolny freiherr, poddający się w końcu rozkazom bliższéj swéj ojczyzny, czyli jéj reprezentantowi, księciu, wszystko to postacie typowe, stojące wśród drogi pochodu niemieckiego. Więc choć Freytag rozkwitu średnich wieków nie odsłonił, choć stawał zawsze na schyłkach historycznych momentów, niepofatygowawszy się na wierzchołek, widzimy jednak przejrzysty, jednolity plan. Tą drogą daléj idąc, powinien był Freytag upadek rycerzów, którzy się na stanowiska panów wcisnęli (w. XIV), a daléj upadek rycerstwa na korzyść mieszczaństwa (w. XV), a w końcu, gdy się i chłopstwo przebudziło, ogólne zamięszanie stanów (w. XVI), z którego nowy porządek wyszedł, odmalować. Nie uczynił tego.

Z całości wyrwana, za siebie tylko odpowiadająca czwarta powieść miałaby cel, gdyby autor powiedział: chcę upadek Krzyżaków odmalować! Lecz w rzędzie „Przodków" jako część całości nie ma żadnego celu. Może mnie kto o niechęć do téj powieści z powodu polskich, w niéj znajdujących się karykatur, posądzić. Że nas Freytag nie lubi, wiemy już z powieści jego „Soll und Haben," że nam, gdzie może, łatkę przypina, znaną jest rzeczą. Niemca razić musi polska żywość i nieopatrzność, a Polaka niemiecka flegma, egoizm i utylitaryzm. Że się Freytag o nas ostro i bezwględnie, często rozmyślnie niesprawiedliwie wyraża, to jego rzecz. Samo się przez się rozumie, że naród tak krewki i gorący, jak nasz, musi mieć wiele wad obok zalet, o jakich się flegmatycznym Niemcom ani śniło, samo się także przez się rozumie, że obcy a tak bystry jak Freytag spostrzegacz, wszystkie nasze wady znakomicie opisuje, ale chyba dziecię gniewałoby się za to. Naród, który nie znosi krytyki, zjada się

z czasem, zadusza się mdłemi kadzidłami, nie ma przyszłości. Nie gniewamy się za to na Freytaga, że wady nasze odsłania, za to zaś, że w nas nic dobrego, tylko same cienie widzi, niech odpowie przed własném sumieniem artystyczném, które nienawiści znać nie powinno. Że nas karykatura naszego życia przy téj ocenie nic nie obchodziła, dowodem, iż nie robimy na nią nacisku. Nie tedy niechęć, lecz prawda historyczna skłania nas do powtórzenia twierdzenia: że przedmiot czwartéj powieści jest zupełnie chybiony, bo nie należy właściwie wcale do historyi cywilizacyi niemieckiéj, bo rozgrywa się za granicami właściwych Niemiec. A przecież nie próżnowały wcale ówczesne Niemcy. Właśnie w owych czasach krystalizował się zupełnie nowy porządek społeczny, który miał być podstawą wieków następnych. Upadek mieszczaństwa, wojny chłopów, Luter, humaniści, Melanchton, Hutten, gdzież to wszystko? Dalekie echa religijnego ruchu, odzywające się w Toruniu, są tak słabe, że nie naśladują nawet właściwych dźwięków. Jakiż tedy cel czwartéj powieści? Oto—pruska polityka. Jeżeli Freytag w tych pierwszych powieściach był Niemcem, nie znającym Prusaków, staje się w czwartéj Niemcem, który uznaje hegemonią Prus. W myśl takiego planu powinien był epokę upadających krzyżaków zupełnie pominąć, a wychwycić kilka kartek z dziejów młodych, świeżych jeszcze, ale ustalonych już i samowiednie pracujących Prusaków. Wiarołomny i słaby Albrecht Brandeburski nie nadaje się wcale na twórcę *idei pruskiéj*.

Piątéj powieści „die Geschwister“ nie możemy nic zarzucić. Historyk cywilizacyi niemieckiéj nie mógł trzydziestoletniéj wojny pominąć. Należy ona do głównych epok dziejów niemieckich. Że Freytag z trzydziestoletniéj klęski chwilę ostatnią, chwilę opamiętania się i tryumfu *sumienia niemieckiego* wybrał, przynosi mu, jako patryocie zaszczyt. Piąta powieść jest obrazem wojennym, jak powiedzieliśmy. Od początku do końca słyszymy szczęk broni; bohater Bernhard König, ginie téż wśród wojennéj wrzawy. Jako obraz wojenny jest powieść całolitym, skończonym w sobie obrazem; nic tam dodać, ani ująć nie można. Zarysowująca się na groźném tle bratobójczéj wojny postać Judyty, na jaskrawe to malowidło rzuca łagodne, srebrzyste blaski poezyi.

Z powieścią szóstą wstępujemy w progi bieżącego stulecia. I wybór wojny o niepodległość wytrzymuje historyczną krytykę, bo wojna ta jest bezpośrednią przyczyną dzisiejszéj wielkości Prus a daléj Niemiec. Już to samo, że Freytag w ostatniéj powieści prawie współczesne typy odtwarza, jest rękojmią ich prawdziwości, znaną bowiem rzeczą, że Freytag to co widzi, znakomicie odtwarza.

Ze streszczenia i z tego co się wyżéj o ogólnéj kompozycyi powiedziało, możemy zawnioskować, że Freytag nie miał zamiaru odmalowania cywilizacyi niemieckiéj, a jeżeli się pierwotnie, gdy się do pracy zabrał, z podobną myślą nosił, zmienił plan w ciągu roboty, gdy się w olbrzymim rozpatrzył materyale. Nie stworzył obrazu cywilizacyi niemieckiéj, nie pokazał nam, jak naród niemiecki w zaciszu domowém żył, pracował, marzył, modlił się, lecz ubrał postępującą ideę polityczną w powiewne szaty artystycznych słów i obrazów. Nie widzieliśmy już w pierwszéj powieści obyczajów, starożytnych Germanów, bo kilka społecznych rysów, wplecionych do opowiadania, kilka zwyczajów, panujących na dworze Answalda, są zaledwie odłamkiem ówczesnego życia. Nie widzieliśmy germańskich kapłanów, ani kapłanek, nie słyszeliśmy starożytnéj modlitwy, nie bawiliśmy się i uczyli z dziećmi, z kobiétami, słowem nie poznaliśmy całego domowego życia, z którego publiczne jako naturalny skutek wypływa. Powiedziało się już, że między pierwszą a drugą powieścią leży epoka, przyszłościowemi brzemienna przewrotami. W powieści drugiéj i trzeciéj nie widzimy chrześciańskich mnichów, którzy z zapałem kazali, ani pierwszych wojen krzyżowych, ani rycerskich epików. W dalszych powieściach szukamy daremnie pracownego, bogatego mieszczaństwa, z którego wyszli artyści, poeci i filozofowie, nie widzimy walk idei religijnych i filozoficznych, a przecież to główna spuścizna pracy niemieckiéj. Obrazem cywilizacyi niemieckiéj nie możemy tedy „Przodków“ Freytaga żadną miarą nazwać. Jest to obraz polityki niemieckiéj, a jako taki byłby dokładny, gdyby Freytag nie był rozmyślnie epok rozkwitu pomijał.

Nie będziemy się nad tym rozwodzili, jaki przedmiot dla artysty lepszy: polityka, czy cywilizacya? Kto jednak sam powieści pisze, wie dobrze, iż daleko trudniéj odmalować ciche, niehałaśliwe życie aniżeli wojenne odtworzyć obrazki. Szczęk broni, wrzawa bitew, wojenne pochody, bohaterskie śmierci, rozmaite nieprzewidziane zdarzenia, nie tylko urozmaicają koloryt powieści, lecz ułatwiają także pracę, bo śmierć na polu bitwy, niespodziewany napad i t. d. są wygodnemi środkami do zakończenia czy sceny, czy saméj powieści. Nie potrzeba się też bardzo o realną prawdę akcyi, o staranne uzasadnianie czynów troszczyć, boć na co zda się motywowanie tam, gdzie cięcie mieczem lub zdradliwa kula, życie bohatera w każdéj chwili zakończyć może. Lecz właśnie tego wojennego kolorytu „Przodków“ naturalnym skutkiem jest zasadniczy, artystyczny błąd szczegółowéj kompozycyi: to jest wielkie podobieństwo bohaterów! Są oni wszyscy, z wyjątkiem Marcusa Königa, wojakami, wszyscy więc jako *bohaterowie* niezwalczonymi, nieskalanymi, nieustraszonymi ju-

nakami być muszą, zanim ich autor pochowa, lub inaczéj niemi się rozporządzi. Ingo, Immo, Iwo, Jerzy König, Bernhard König, w końcu i sam dr. König—wszyscy oni muszą być wszędzie i zawsze zwyciężcami. Kto się pod miecz ich dostanie, pożegnać się musi najprzód z życiem. Raz, dwa razy podoba się oczywiście taki junak, lecz gdy się piąty i szósty raz powtarza, musi znużyć. Z tego samego źródła płynie drugi błąd szczegółowéj kompozycyi; ta sama zawsze sceneryа! Widzimy w każdéj powieści bitwy, pochody wojsk, opisy obozów, te same w końcu krajobrazy, łuną pożogi oblane, dymem bitew owiane. Zdarza się nawet, że autor tę samę scenę prawie dosłownie *mutatis mutandis* powtarza, bo skądże w końcu brać nowe sceneryе do tego samego przedmiotu? Porwanie np. Judyty przez Bernharda Königa w piątéj powieści, nie różni się prawie wcale od takiego samego uwiedzenia Irmgardy przez Inga w powieści pierwszéj. Oto są główne wady „Przodków“ Freytaga: niewłaściwy wybór epok, podobieństwo bohaterów i tożsamość sceneryi.

Zalety zaś? Już sam pomysł takiéj pracy zasługuje na uznanie. Bądź jak bądź, czy Freytag wszystkim żądaniom krytyki zadosyć uczynił, czy odtworzył zupełny obraz życia niemieckiego, w każdym razie ogarnął całą historyą swego narodu w kilku przejrzystych, a rzeczywiście pięknych obrazach. W „Przodkach“ widzimy przynajmniéj jedną stronę pochodu myśli niemieckiéj, politykę, zwięźle i przejrzyście odmalowaną.

A wszędzie, gdzie się sposobność do rodzajowego malowania zdarza, jest Freytag wręcz niezrównanym mistrzem. Wszystkie sceny miłosne są tak urocze, tak owiane poezyą i ciepłem uczucia, iż nie ma podobnych w całéj beletrystyce niemieckiéj. Rozmowa Inga z Irmgardą (I powieść), Iwa z hr. Meranu (III p.), pożycie małżeńskie Jerzego Königa z Anną, córką magistra (IV p.), marzenia Judyty (V p.), sceny sielankowe na plebanii (VI powieść) są perłami beletrystyki. I charakterystyka „Przodków“ jest znakomita. Pominąwszy podobieństwo samych bohaterów, są oni wszędzie, czy mówią, czy się ruszają, alboli czynią — samemi sobą. Mają oni kilka wspólnych rysów, lecz każdy z nich jest dzieckiem swego czasu i otoczenia. Freiherr Iwo, bogaty pan, gdy stoi na balkonie swego zamku i cieszy się ze śpiewu ptasząt, świergocących na gałęziach drzew ogrodowych i sam piosenkę nucić zaczyna, jest na wskroś Niemcem: *ein gemüthliches deutsches Herz.* Wszystkie drugorzędne i trzeciorzędne postacie „Przodków“ są po mistrzowsku nakreślone. Towarzysze Inga, kmiecie Imma, giermkowie Iwa, koledzy Bernharda Königa są wprost z życia wychwyconemi figurami: *treue*, *biedere*, *deutsche Naturen.* Tu i owdzie przypomniał sobie Freytag, że był dawniéj

także panem poetyckiego humoru. Sługus Marcusa Königa jest paradnym okazem szubienicznika, który sobie ze śmierci drwi, a paź Bernharda Königa jest rodzonym bratem „Knirpsa“ z „Soll und Haben.“ Freytag należy do tych nie wielu beletrystów niemieckich, którego postaci *żyją* i po ludzku mówią i czynią. Zwykle *filozofują* bohaterowie powieści niemieckich, a żyją tylko w głowach autorów.

Obok tych głównych zalet powtórzyć wypada to samo, co się na początku niniejszéj oceny powiedziało. Krajobrazy Freytaga są przepiękne. Kiedy Ingo nocną porą po kochanie swe spieszy, a wichry tak wyją i huczą po lesie, jakby się gniewały na zuchwałość nocnego wędrowca, a drzewa gną się, a niebo, błyskawicami rozdzierane, jaskrawemi blaski przeraża, wtedy woła się z uwielbieniem: potężne jest słowo artysty! Pod piórem Freytaga ożywiają się lasy, pola, miasta i wioski, płoną zdobyte fortece i walą się rycerskie zamczyska. Gdy Freytag przy sosnowém ognisku, lub pod cienistą lipą z parą kochanków zasiędzie, wtedy widzi każdy rys, każdy ruch, wtedy słyszy, co sobie robaczki, w stołach i krzesłach piłujące, opowiadają. Delikatny jego penzel odtworzy najmniejszą drobnostkę. Dykcyą Freytaga ocenili czytelnicy ze streszczenia pierwszéj powieści. Zakończmy: Freytaga „Przodkowie“ należą mimo usterek do tych niewielu powieści niemieckich, które nie utoną po latach dwudziestu w ciemnościach zapomnienia.

Teodor Jeske-Choiński.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

XIX.

Była niedziela. W dniu tym otwierał jeden ze znanych w mieście domów swoje salony dla przyjęcia gości. Zebrania te były dosyć liczne, ograniczały się jednak tylko do pewnego kółka towarzyskiego.

Gospodarz domu, pan Alfons, stoi właśnie niedaleko progu, przyjmując gości. Jest to człowiek już w podeszłym wieku, wysoki, chudy i twarzy gładko ogolonéj. Wydatny profil znamionuje pewną bystrość umysłu, a szczęśliwego uśmiechu koło ust trochę za grubych pozazdrościłby mu niejeden dyplomata. Ma frak czarny i białą chustkę pod szyją, na klapie od fraka widać czerwoną wstążkę niepośledniego orderu.

Po drugiéj stronie wchodu stoi niska, szczupła o siwych włosach dama, z pewną wyszukaną prostotą ubrana. Ma czarną jedwabną suknię, obszytą koronkami. Nic się na niéj nie świeci, tylko pod szyją przesłonioną koronkami błyśnie od czasu do czasu snop światła jakby z bateryi zamaskowanéj.

Powitania i krótkie rozmowy odbywają się po francusku, tylko od czasu do czasu wmiesza się jakieś słowo polskie na świadectwo, że wieczór ten nie odbywa się w departamencie niższéj Sekwany, ale w murach polskiego miasta.

Zebranie już dosyć liczne. Główniejsze figury już się stawiły— kółka zaczynają się grupować. Powoli zdążają marudery.

Do tych należy właśnie gość, który w téj chwili wszedł do salonu. Wszedł ze swobodą, która zdradza krewnego domu.

— *A, monsieur George*!!—ozwał się pan Alfons podając mu rękę — już zwątpiłam o tobie. Znikasz z naszego horyzontu co raz więcéj i obawiam się, aby pewnego dnia nienastąpiło zupełne zaćmienie!...

— *Ma foi!*—odparł gość spóźniony—myślałem, że właśnie wtedy dopiéro będę *błyszczał* moją nieobecnością!

— To ci się słusznie nawet należy... ale a propos mam słówko z tobą do pomówienia.

Pan Alfons wziął gościa pod ramię i wszedł z nim do bocznego pokoju.

Jerzy wyglądał dzisiaj świetnie. Ubiór wieczorowy zrobił go młodszym o jakie dziesięć lat. Na owym wieczorku w willi zamiejskiéj wydawał się starszym. Był nawet w lepszym humorze niżeli wtedy, gdy z panią Laurencyą rozmawiał. Widać to było po jego ożywionéj twarzy.

— *Cher cousin*—rzekł do niego pan Alfons—chciałbym z tobą o pewnéj sprawie pomówić, która wprawdzie jest twoją osobistą sprawą, nie mniéj jednak należy także do familii. Wszak sam to przyznasz!

Jerzy spojrzał z uwagą na krewnego, który wiekiem i stanowiskiem zajmował ważne miejsce w familii.

— Niewiem dotąd—mówił pan Alfons—czy stosunek swój do lokatorki bierzesz na seryo czy tylko bawisz się *pour passer le temps*. W pierwszym wypadku należałoby o tém pomówić—w drugim masz wolność osobistą nieograniczoną. Cóż mi na to odpowiesz?

Jerzy poprawił lornetkę i milczał czas niejaki.

— *Je vous assure*—odparł po chwili—że sam jeszcze nad tém dobrze niepomyślałem. Brakuje mi jeszcze pewnych danych, bez których o tém myśléć nie mogę.

— O te dane trzeba się postarać—bo gdy rzecz pójdzie w odwłokę, to będzie potém zapóźno!

— Oto się bynajmniéj nie boję—*je conais mes individus*—dla mnie nigdy nie będzie za późno!

— O cóż ci idzie?

— Idzie mi przedewszystkiém o to, jakby ją nasze towarzystwo przyjęło. Jest to zawsze sytuacya trochę niezwykła—możeby kto przeczuwał tam jaki skandal...

— W takim razie nie można nawet myśléć!... Ale ja o żadnych skandalach nie słyszałem. Jest rozwód formalny—powody ze strony męża. Ma być waryat!

— O rozwodzie nie wiem—ale wiem o unieważnieniu ślubu z powodu pewnych nieformalności.

— To na jedno wyjdzie. Ale nic niesłyszałeś co by...

— Plotki w takim razie zawsze są i będą—ale na nie uwagi się nie zwraca!

— Powiadasz... plotki... no, ty sam najlepiéj możesz osądzić, co jest plotką!

— Chodzi mi o to, czy towarzystwo niechciałoby takim plotkom dać wiary i potém...

— Jeżeli w moim domu z tobą ją obaczą... któżby się wtedy poważył?...

— Zapewne... niktby nie odważył się... a zresztą ja sam w takim razie umiałbym...

— Tego wszystkiego nie potrzeba — potrzeba tylko prędko skończyć... tak albo owak. Nic tak nie szkodzi, jak niewyraźne położenie. Ludzie zazwyczaj w takiém położeniu lubią widziéć rzeczy, których tam wcale nie ma!

Jerzy bawił się lornetką.

— Jeszcze jedna zachodzi okoliczność — mówił daléj pan Alfons—jeżeli masz nam ją wprowadzić, to nie trzeba pozwolić, aby przed tém wyrabiała sobie pewne stosunki towarzyskie, któreby w naszéj sferze były niewłaściwe. Słyszałem, że była na wieczorku u pani Euzebii.

— Tak jest, ale...

— Nie jest to jeszcze nic złego. Pan Filemon zacny, poczciwy sobie człowiek—pani Euzebii także nic zarzucić nie można, ale przy takiéj mięszaninie, jaka tam zazwyczaj bywa, nie trudno aby zabrać pewne znajomości, których potém pielęgnować nie można. Zresztą są domy, w których my mężczyźni możemy bywać i bywamy, ale kobiét naszych nie radzi tam prowadzimy... A innych znajomości nie ma ona?

— Żadnych—czeka bowiem na moje ostatnie słowo.

Pan Alfons przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Chciałbym jeszcze jedną rzecz poruszyć... Czy jest ci dobrze znane jéj położenie materyalne?

— O tyle o ile...

— Nie jest to rzecz mała—tém bardziéj, że nie masz majątku, któryby mógł być godnym twojéj pozycyi... Czy wiesz o jéj procesie z byłym opiekunem?

— Coś słyszałem o tém.

Pan Alfons zbliżył się teraz do Jerzego i z uwagą patrzał na niego.

— Pisał mi adwokat, który prowadzi interesa byłego jej opiekuna... gdybyś zdeklarował się podpisać wspólnie z nią rachunki

odnoszące się do czasu, gdy ona była małoletnią... to nietylko nikt z jéj rodziny nie stawiałby waszemu związkowi przeszkód, ale owszem użytoby wszelkiego wpływu, aby ten związek do skutku przyszedł.

Jerzy cofnął się o dwa kroki.

— Cóż mi może zależéć na dobrych lub złych chęciach byłego opiekuna, który chociaż jest najbliższym krewnym, okradał ją niepospolicie? Idzie o znaczną sumę!

Pan Alfons milczał czas niejaki.

— Masz słuszność—odparł po chwili—ale w interesie większéj wagi nie trzeba być bardzo wymagającym. Jest ona pod względem majątku dobrą partyą—w takim razie bywa konkurencya—a wiesz dobrze, że konkurencya w środkach nie przebiera. Nie jesteśmy bez skazy, a jeżeli ktoś na tę skazę palcem wskaże, wtedy urośnie ona nagle...

— *Vous voulez dire...* ale ta sprawa już załatwiona.

— Moja rada jest, zgodzić się na podpis rachunku i rzecz zakończyć. Odwłoka dla was obojga niedobra!

Jerzy zaczął bakenbardy rozczesywać palcami.

— W każdym razie odłożę tę sprawę jeszcze do pewnego terminu. Nic mnie nie nagli—a pewny jestem siebie. Być może, że tak strasznie nie zakochała się we mnie, ale widocznie bardzo pragnie zostać moją żoną.

— Rzecz bardzo naturalna.

Na tém skończyła się rozmowa, bo właśnie wszedł do pokoju pan Witold, aby gospodarza o coś się zapytać.

Jerzy wyszedł do salonu. Wyglądał teraz jeszcze lepiéj. Rozmowa z panem Alfonsem, którego opinia wiele bardzo znaczyła, ożywiła go widocznie. Na ustach drżał uśmiech zadowolenia. Wielką miał ochotę zanucić sobie jaką aryjkę z wesołéj operetki, a nawet już przygotowania zrobił do tego mimo wiedzy swojéj—gdy nagle ktoś go w ramię trącił.

Obejrzał się—była to pani Aurora, która się go wachlarzem swoim z kości słoniowéj dotknęła.

Pani Aurora była kobiétą już nie młodą, miała jednak biust prześliczny i nadzwyczaj białe ramiona. Okazywała więc z rozkoszą te wdzięki swoje i znaną była z strojów mocno wyciętych. Dzisiaj miała suknią żółtą z czarném ubraniem.

— *Monsieur George!*—rzekła do niego z uśmiechem słodkim—ależ pan wyglądasz co dzień młodziéj? Wyznaj mi pan swój sekret—zda się on i dla mnie!

— W takim razie, *permettez madame*—odparł z galanteryą—że zaczekam jeszcze dosyć długo z wyjawieniem tego sekretu, bo dzisiaj niezdałby się jeszcze na nic!

— Prawisz mi pan komplementa, aby sekretu nie wyjawić!

— Jeżeli tego koniecznie pani żąda...

— Ależ ja przepadam... jak pan widzisz!

— Toż wyjawię ten sekret... *aimer et être aimé!*

— Ach to specyfik dawno już z mody wyszły!

— Ale nie mniéj skuteczny!

— Ja co innego panu powiem... panu służy świeże powietrze. Od czasu jak pan tak często za rogatki miasta wyjeżdżasz... stajesz się pan co raz młodszy!

— Rozszerzenie sfery swojéj jest zawsze higieniczne. Dowodem tego pani Egeja... czy dawno widziałaś ją pani?

— *Fi donc*—jak pan możesz mnie o to pytać!

— Bo mnie to uderzyło, że po eskapadzie swojéj po za... rogatki matrymonialne ślicznie wygląda!

Pani Aurora uderzyła mówiącego wachlarzem w ramię.

— W zamian muszę panu powiedziéć—rzekła po chwili—że i ja kogoś wczoraj widziałam, co tak ślicznie wyglądał, jakby już był lub dopiéro zabierał się do podobnéj eskapady!...

Jerzy zakręcił lornetkę w koło palca.

— Dowodzi to—odparł—że oczekiwana ta eskapada bardzo tę osobę uszczęśliwia!

I zapuścił palce w bujne swoje bakenbardy.

— Że ją uszczęśliwia, widziałam to na własne oczy. Patrzała na niego z niezwykłém zajęciem, podczas gdy jéj książki wybierał o astronomii!

Jerzy ustrzągł nagle w bakenbardach.

— Kto wybierał? *Que dites vous madame?*

— Młody, bardzo przystojny brunet!

Jerzemu wydały się te słowa niezrozumiałe. Pani Aurora zakryła twarz wachlarzem i uśmiechnęła się do przechodzącéj pani Anetty.

— Cóż państwo macie tak wesołego?—zapytała pani Anetta.

— Nic, mówimy o higienie!—odparła pani Aurora—pan Jerzy twierdzi właśnie, że zmiana eliksyrów, potrzebna jest dla zdrowia. Pić zawsze herbatę to denerwuje, trzeba ją czasem zmienić na kawę choćby tylko!... czarną!... Mówię panu, bardzo przystojny brunet!—dodała z pod wachlarza.

Jerzy nie był tak źle wychowanym człowiekiem, aby dał po sobie poznać, że to mocno go obeszło. Zresztą dalsza rozmowa nie

doprowadziłaby do niczego—a to co usłyszał, mogło mu posłużyć do dalszych myśli. Nawet niebezpiecznie było pytać daléj. Mógłby się o czemś dowiedzieć, coby go obowiązywało potém w zamysłach jego—a tak, niedomówione można mimo uszu puścić a nawet jedno oko przymrużyć... byle tylko ludzie niepowiedzieli, że się o tém wie lub wiedziało!

Z wesołym uśmiechem rozczesywał daléj bakenbardy.

— Pani masz dzisiaj humor nieoceniony—ozwał się—a szkoda, żeby tak marnie się zużył!... Pan Ignacy...

— Ależ ja dzisiaj liczyłam na pana jak na Zawiszę!—odparła wesoła dama—dla pana był ten dobry humor... *ingrat.*

Jerzy otrzymał znowu lekką kontuzyą od wachlarza.

— Przecież tak dobrze jesteś pani poinformowaną o mnie, wiesz o wycieczkach po za rogatki... jak w takim razie mogłaś pani liczyć?...

— Właśnie dla tego liczyłam wiedząc dobrze, że... serce zranione, bolejące, zrozpaczone, najłatwiejsze jest do okupacyi!

— Zkąd dowiedziałaś się pani o mojéj rozpaczy?

— Astronomia... księgarnia... książki...

— Stawiaj pani na loterją!

— Pan już i za mnie postawiłeś!

Ciekawa ta rozmowa przerwała się wejściem kilku innych osób do grona. Jerzy był zadowolony z tego, bo chciał właśnie uporządkować to w swojéj głowie, co słyszał. Najmocniéj drażniło go to, że o tém już mówiono. Mniejszéj byłoby wagi dla niego, gdyby sam tylko wiedział.

Cofnął się do ostatniego pokoju.

XX.

Tego samego dnia nad wieczorem siadł Teodor na swoim kulawym fotelu i zaczął obok siebie pilnie jakieś olbrzymie cyfry grupować. Zastępy liczb powiększały się za każdym pociągiem pióra i rosły jak lawina, gdy z wysokich gór w dolinę upada.

Pisał i mazał, mazał i pisał—wreszcie odrzucił pióro i oparł się o poręcz fotelu.

Światło lampy padało teraz na twarz jego. Na téj twarzy zaszła w ostatnich dniach jakaś widoczna zmiana. Rozumne, badające wejrzenie oczu zastąpił jakiś blask gorączkowy, który był podobny do blasku fosforu. Włosy z czoła usunęły się w tył i odsłoniły nabrzmiałe pręgi na skroniach, które zdradzały niezwykłą temperaturę głowy. Cały wyraz twarzy okazywał pewne niezadowolenie i niesmak. Wyciągnął obie ręce do góry i sparł je na głowie.

— Nie skończę rachunku!—rzekł do siebie—wszystko mi się mąci przed oczyma! Za każdą cyfrą widzę ją, z pomiędzy wierszy wychyla się do mnie i patrzy!... Co za oczy! Co w tych oczach gore!... Czego ode mnie chce ta kobiéta?...

Puścił wzrok w przestrzeń pokoju i zamyślił się.

— Czyż to podobna—myślał—aby ona mnie kochała? Czyż mógłbym przypuścić, żeby to serce, które w tysiącach wybierać może, właśnie mnie sobie wybrało?... Czyżby nie było szaleństwem z mojéj strony, uwierzyć że tak jest? Nie... nie... to być nie może!

I zrobił pauzę w swoich myślach.

— A jednak gdy jestem przy niéj... gdy mnie swojem okiem ogarnie, gdy w tém oku obaczę ten blask, który się mocniéj zapala, gdy się z memi spotka oczyma... gdy to wszystko widzę, to zdaje mi się, że ta kobiéta mnie kocha, że przy mnie czuje się szczęśliwą!

Rozśmiał się głośno z tych marzeń swoich.

— Zaczynam być śmiesznym sam przed sobą!—rzekł do siebie półgłosem—wierzę w to, czego sam pragnę, podczas gdy wiara moja najmniejszéj nie ma podstawy! Ona mnie kocha!... cha, cha, cha! Czyż ja dorosłem do jéj pozycyi? Młoda, czarująca, bogata... onaby mnie wybrała!... Nie, to szaleństwo! Tysiąc rąk wyciągnie się do niéj, gdy zechce—u jéj nóg złożą w ofierze tytuły i rangi a ja... cóż jéj dać mogę w zamian za jéj piękność i majątek?...

I smutno spojrzał na stosy papierów zapisanych bez żadnéj nadziei dobrych rezultatów!

— Gdybym przynajmniéj obliczył bieg komety... gdybym zabłysnął sławą... gdyby—

Rozśmiał się znowu.

— Kobiéty na takie rzeczy nie patrzą! — dodał smutno i pochylił głowę na piersi.

I zdawało mu się, że jakaś jasna postać zbliża się do niego i szepcze mu do ucha:

— Uparty matematyku! Cyfrą i cyrklem wszystko obliczysz i zmierzysz, ale nie zmierzysz i nie obliczysz tego, co się w sercu kobiéty odbywa. Czy ty wiesz co jest miłość? Czy wiesz zkąd się bierze i gdzie odchodzi? Czy możesz oznaczyć ją cyfrą lub cyrklem zmierzyć?... Tysiące kobiét szaleją za tém, co dla innych może być niezrozumiałem, a niejedne mogą odepchnąć to, za czém tysiące wzdychają!... Któż zgadnie, do czego serce kobiece żywiéj uderzy, albo od czego ze wstrętem się odwróci?... Serce kocha choć nie wie i niepyta, dla czego... kocha nawet wtedy, gdy wszyscy się temu dziwią, że kochać może!...

Młody astronom wstrząsł głową.

Inny znowu głos do drugiego szeptał mu ucha:

— Poznaj dobrze siebie a wszystko będzie ci jasném. Przeznaczeniem twojem jest niezwykłą chodzić drogą. Zerwałeś się jak Herkules do olbrzymiéj pracy, chciałeś walczyć z tém, w co wieki wierzyły, szukałeś po niebie dróg nowych, aby staremi nie chodzić... a gdy już na téj drodze zaczynasz doznawać zawodu... masz-że wrócić do skromnéj izdebki terminatora zwykłéj, codziennéj pracy, wrócić z owych hal niebieskich, po których z dumą tak długo jak orzeł bujałeś?... Masz-że zapukać do drzwi skromnego urzędu i prosić tam o kawałek chleba?... Twoi rówieśnicy którzy od razu to zrobili, wyprzedzili cię już w téj karyerze, a ty, którego czcili jako przyszłego kapłana nauki, masz teraz zdążać za nimi w ostatnim szeregu?... Nie, to być nie może! Musisz nową iść drogą, musisz bez żadnych etapów zabłysnąć od razu tém, czego oni dopiéro przez długie lata dorabiać się muszą! Tém wyprzedzisz ich, a do tego właśnie otwiera ci się droga!... Poślubisz kobietę piękną, bogatą... wszyscy będą ci zazdrościć, tak samo, jakby ci zazdrościli, gdybyś bieg komety obliczył i nowy na niebie odkrył system!...

Młody człowiek potarł ręką po czole i wstał z kulawego fotelu. Niechciał dłużéj słuchać tego szeptu, bo zdawało mu się, że od niedobrego ducha pochodzi. Mimo to ów duch niedobry, który w tak bliskich z naturą ludzką jest stosunkach, nieprzestawał szeptać daléj... i szeptał mu ciągle, póki na jego twarz przyjemnego nie wywołał uśmiechu.

Uśmiech ten przeszedł w prawdziwe zachwycenie, gdy usłyszał regularny turkot powozu, który zatrzymał się pod jego oknami.

Do pokoju wszedł lokaj w liberyi i podał mu mały liścik woniejący fijołkami.

Przebiegł list oczyma.

— Natychmiast! rzekł do lokaja, który z uszanowaniem cofnął się do sieni.

Za kilkanaście minut wyszedł Teodor z sieni kamienicy i wsiadł do znanéj mu dobrze karety.

Wsiadając do karety zdawało mu się, że pod latarnią stał dyrektor i groźnie patrzał na niego...

W téj chwili niewiele go to obchodziło.

Daleko więcéj uderzyło go, że wyjechawszy z ulicy na rynek obaczył mężczyznę w ciemny płaszcz owiniętego, który przed karetą nagle się zatrzymał. Podniósł rękę do góry jakby chciał coś mó-

wić. Z pod płaszcza widać było teraz białą chustkę pod szyją..... ale stangret nie spostrzegł tego sygnału i kareta szparko pojechała daléj.

XXI.

Willa zamiejska wyglądała dzisiaj przy świetle księżyca jak istna świątynia miłości. Cichy szmer potoku mieszał się ze szmerem liści, które wiatr z lekka poruszał. Kilka białych obłoczków żeglowało po niebie a jeden z nich podobny był do oblubienicy w szacie weselnéj. Płynęła cicho po niebie z głową zakrytą, jak płynie każda oblubienica do bram nieznanéj przyszłości swojéj!... Za nią posuwały się wesoło dwie drużki, a każda z nich miała na głowie duże wieńce kwiatów...

Takie niebo było dzisiaj nad spokojną willą, która jakby drzemała w śnie rozkosznym. Wszystkie okna były ciemne, wszędzie było cicho i głucho, tylko dwa skrajne okna migały przyćmione światłem różowém, a w trzeciem jaśniało przezrocze błękitne.

Coś czarodziejskiego miał ten obraz na tle uśpionéj natury, niemniéj piękny widok sprawiało w téj chwili wnętrze willi.

W znanym buduarze przed stołem zarzuconym książkami i mapami siedziała angielka o siwych lokach z takim wyrazem na twarzy, jaki widzimy na posągach marmurowych. Można być pewnym że ten wyraz nigdy się nie zmieni, że to, co się tutaj wydarzy, bynajmniéj na zmianę kamiennego posągu nie wpłynie.

Jest to w każdym razie sztuka umiéć tak pozować i to pozować nie z amatorstwa ale za pieniądze.

Angielka przerzucała karty i przypatrywała się rycinom wyobrażającym niebo gwiaździste.

Laurencya siedziała przy fortepianie i studyowała jakąś fantazyą. Dzisiaj wyjątkowo miała kostium z szarego jedwabiu, a we włosach jeden kwiatek. Na szyi miała kilka sznurów korali.

Wybierała właśnie jakiś pasaż melodyjny, gdy służąca z lekka drzwi otworzyła.

Laurencya wstała na przywitanie gościa.

Wszedł Teodor.

— Nie mogę sobie darować—rzekła do gościa, a nawet na drugi raz karę sama na siebie naznaczę... że pana tak często od pracy odrywam.

Teodor uścisnął podaną rączkę.

— Ale sam pan temu winien. Jak można kobiecie niebo okazać, a potém ją samą zostawić?...

Uśmiech melancholijny przebiegł po jéj bladéj twarzy.

— Chodzić i... błądzić na ziemi umiemy—mówiła daléj trzymając rękę gościa, ale latać po niebie i tam zabłądzić jeszcze... byłoby już wielkim grzechem!

— Jak mogą panie zabłądzić w swojéj ojczyznie? ozwał się z uśmiechem szczęścia młody astronom.

— Ach! My już tak długo błądzimy nad brzegami Eufratu... tak dawno wygnano nas z téj naszéj ojczyzny i do niewoli wzięto, że nic dziwnego, gdybyśmy zaraz na wstępie drogę zmyliły!... Wyobraź pan sobie, przed chwilą chcąc zajść do Wenery o mało co nie zaszłam do... Marsa! Pięknie-by się zdziwił sybaryta niebieski z dwoma księżycami, gdyby ujrzał kobiétę budzącą go z jego mglistych mrzonek...

— Może przebudzenie takie byłoby mu przyjemne...

— Ale dla mnie nie byłoby to wcale przyjemnością! Nie lubię sybarytów otaczających się swemi dostatkami! Mam większą słabość do tych, którzy potrzebują niżeli do tych, którzy dać mogą!

Teodor spojrzał z uwagą na mówiącą. Czoło jego zaczęło się marszczyć. Spostrzegła to młoda kobiéta.

— Naturalnie z wyjątkiem pana, dodała—bo pan zaprawdę wiele, bardzo wiele mi dajesz!...

I spojrzała w oczy swego gościa.

— Teodor uśmiechnął się smutno.

— Cóż ja pani dać mogę? zapytał patrząc na nią z uwagą, cóż może pani dać młody człowiek, który dopiero pracą swoją chce szukać stanowiska między ludźmi?

Wesoło rozśmiała się Laurencya.

— Ach! mężczyzni nigdy nie wiedzą—odrzekła—kiedy dają i kiedy... zabierają!

Spuściła oczy na dywan i zaczęła się bawić koronką. Teodor patrzał z rozkoszą na te długie rzęsy jedwabne, które drżały jak pajęczyna na słońcu. Z pod tych rzęs mimo ich spojności dobywały się promienie ukrytego światła, za którém w téj chwili tak mocno tęsknił...

Młody astronom nie wiedział, że więcéj mówią oczy spuszczone i zakryte, niżeli podniesione i otwarte! Mimo to przeczuł ich mowę, bo uczuł w sercu jakąś rozkosz niewypowiedzianą. Zbliżył się do rączki, która koronkę jak polny kwiatek obskubywała i chciał tę rączkę uścisnąć i ucałować... ale rączka ta przeczuła niebezpieczeństwo i prędko ukryła się w jedwabne fałdy...

I oczy podniosły się i uśmiech zwykły powrócił na usta.

— Gotowiśmy przy progu cały wieczór przegadać, ozwała się Laurencya, a pani Rosa da mi potém za to zasłużoną burę jak przedwczoraj. Czy wiesz pan, że bardzo loczkami swemi kręciła, gdym panu podała ulubioną moją żółtą różę?... Jest to chodząca książka konwenansu światowego, którego ja się jeszcze dotąd w żaden sposób nauczyć nie mogę. Proszę z góry pana, abyś mię przestrzegł; jeżeli przez roztargnienie w czém wykroczę!... A teraz chodźmy do Angielki, aby ją potém znowu na czas jakiś opuścić!...

I z rozkosznym uśmiechem zwróciła się do siedzącego posągu...

Posąg nie ożywił się wcale. Otworzył usta jak automat, odpowiedział na przywitanie i znowu zagłębił się w kontenplacyą nieba, o którém w téj chwili prawdopodobnie ani młody astronom ani elewka jego nie myśleli.

Rozmowa zeszła na rzeczy powszednie. Angielka bardzo mały udział brała w niéj, będąc przekonaną, że to była tylko dla niéj koncesya, że młoda para więcéj między sobą porozumiewała się oczami i grą twarzy. W końcu zamilkła zupełnie zagłębiwszy się w litografii księżyca.

Młoda para mogła znowu powrócić do swego języka i swego tematu.

— Czy daleko postąpiła praca pana? zapytała Laurencya przybierając na fotelu jedną z tych póz malowniczych, która więcéj mówi niżeli słowa.

— Praca moja—odpowiedział z westchnieniem Teodor, jest tylko nieustannémi... łudzeniem się!

— Łudzeniem się? powtórzyła Laurencya poprawiając z pewną zalotnością korale na białéj szyi.

— Tak jest... łudzę się tylko! Rozpoczynając rachunek, zdaje mi się, że skończę go niebawem, że upragniony rezultat uwieńczy moje marzenie... tymczasem cyfry rosną i rosną w sposób przerażający, rachunek się przedłuża, a w końcu okazuje rezultat, żem się.., omylił!

— Żeś się pan omylił! powtórzyła Laurencya i przymrużyła oczy aby skoncentrować siłę wzroku.

Na twarzy młodego astronoma widać było smutek. Wywołało go wspomnienie żmudnéj pracy.

— Zaprawdę—mówiła daléj, jakby tu dobrze było, gdybyśmy niepotrzebowali obawiać się żadnych pomyłek!... Pomyłki nasze tak wielką odgrywają rolę!...

Teodor milczał, bo wiedział, do czego zmierzają te słowa. Niechciał dotykać się rany jéj serca, która dzisiaj powinna już się była zabliźnić.

— Moją pomyłkę mówiła daléj, odpokutowałam już, ale na samo wspomnienie drży mi serce, że taka pomyłka jeszcze raz powtórzyć się może!... Jestem w położeniu byłego więźnia, któremu nieraz śni się, że jest w więzieniu, że jeszcze ma żelaza zimne na nogach?... Bru... jak straszny jest sen taki... jak miłe jest przebudzenie, że to był sen tylko!...

Patrzała w przestrzeń przed siebie, jakby tam wspomnieniem ścigała, jakieś niewyraźne obrazy...

Teodor patrzał na nią i w twarzy jéj szukał klucza do tych słów zagadkowych. O jakich pomyłkach mówi ona? pytał się w duchu jakiéj pomyłki się obawia? Że pierwsze swoje zamążpójście nazywa pomyłką, nie ulega wątpliwości, ale cóż znaczy obawa przed drugą pomyłką?... Czy ma jaki zamiar, o którym on nie wie, a który leży poza nim, czy ta druga pomyłka wystosowana jest do niego... czy o nim ona myśli... czy marzenia swoje nazywa pomyłką dlatego, że z jego strony nie ma dotąd wypowiedzianéj wzajemności?... W takim razie cóż znaczy to spojrzenie widocznie w jakąś przeszłość wymierzone a przynajmniéj tyczące się osoby tutaj nieobecnéj!...

Takiemi myślami był teraz zajęty Teodor. Położenie jego było niejasne, chociaż czasem zdawało mu się, że wszystko tak jasne było dla niego, chociaż nie wypowiedziane jeszcze!...

Z takiego położenia trzeba było wyjść koniecznie.

— Oboje obawiamy się pomyłek, rzekł z uśmiechem, a obawa pani jeszcze bardziéj mnie zaraża. Zaczynam wierzyć że nie tylko mój rachunek astronomiczny, ale że całe życie moje może stać się pomyłką!

Spojrzał na Laurencyą, która w téj chwili bawiła się pierścionkiem z olbrzymim turkusem.

— Oby tylko nasze pomyłki razem się nie zeszły! rzekła nie podnosząc oczu.

— Razem? Jak pani to pojmuje?

— Gdybyśmy naprzykład mieli... jaki wspólny rachunek do załatwienia!

Teodor odetchnął głęboko. Czoło jego zarumieniło się, Laurencya patrzała ciągle na pierścionek.

Połowę życia dałby za to w téj chwili, gdyby przy nich żadnego trzeciego świadka nie było!...

— Mówisz pani o wspólnym rachunku, wyrzekł powoli jakby mu tchu w piersi brakowało, dla czego używasz pani takiego wyrażenia tam, gdzie właściwie żadnego rachunku być nie powinno?...

Laurencya powoli podniosła oczy i spojrzała na mówiącego.

— A cóż powinno być? zapytała.

Teodor zarumienił się.

Laurencya patrzała z upodobaniem na tę piękną odpowiedź młodego astronoma. Był on w téj chwili prawdziwie piękny, był w téj twarzy jakiś urok niewysłowiony.

Przy tym uroku nie mogła pozostać obojętną młoda kobiéta. W oczach jéj zamigotał jaśniejszy płomień, twarz zafarbowała się także rumieńcem.

W życiu dwojga ludzi była to piękna, bardzo piękna chwila. Była to jakby „pieśń bez słów,“ jakby ów cichy promień słońca, który przez gęste liście przecisnął się do osamotnionego, w zacieni rosnącego kwiatka...

Laurencya wstała i zbliżyła się do okna. Patrzała w nie jakiś czas, chociaż ono było firanką zasłonione!.... Nie spostrzegła tego.

W téj chwili dał się słyszéć turkot powozu. Szybko odeszła od okna i pociągnęła za sznur.

— Nikogo nie przyjmuję—rzekła do wchodzącéj służącéj, jestem chorą!

Służąca odeszła.

— Nieznośne są te stosunki towarzyszkie, ozwała się do Teodora, który siedział jak derwisz w kontemplacyi przyszłéj szczęśliwości, chciałabym być na jakiéj wyspie bezludnéj jak Robinson Crusoe!...

Na to życzenie uśmiechnął się z rozkoszą Teodor.

— Stosunki towarzyskie, odrzekł—są największym ciężarem wtedy, gdy sami sobie wystarczamy!

To dla mnie prawdziwe tortury... wierzaj mi pan, że nieraz chciałabym pojechać gdzieś do kraju Zulusów, aby tylko niemiéć tych obowiązków przyjmowania oficyalnie gości, którzy w niczém nas nie obchodzą, a którzy najczęściéj po to do nas przychodzą, aby potém mogli mówić o nas!...

— Bywa tak czasem.

— Bardzo cieszę się z tego, że moje interesa finansowe skończą się za parę tygodni. Za dwa lub trzy tygodnie będę wolną jak ptak. Układam sobie już plan wycieczki. Lubisz pan Neapol i Sorrento?...

— Nie byłem tam!

— Miałabym ochotę tam pojechać... Czy marzysz pan o podróży na wschód, na Bosfor, do Złotego rogu?

— Niech pani takich marzeń nie budzi we mnie?

— Właśnie marzę o tém!... A Egipt i Nil tajemniczy nie przemawia do pana?

— Chcesz pani dzisiaj ze mnie zrobić Tantala?

— Wszystko to łączy się w moich planach. Zachodu nie chcę. ludzi i domów dość widziałam, nie tęsknię za nimi!... Mój Boże, mówię o rzeczach, które są dopiéro w przyszłości, a zapominam o tém dlaczego właściwie pana wezwałam.

Rzekłszy to skierowała kroki swoje do adamaszkowéj kotary, z poza której wymykało się jakieś światło błękitne.

— Chodź pan za mną! rzekła z pewnym tajemniczym uśmiechem na pięknych ustach.

Teodor wstał z krzesła. Laurencya odrzuciła tymczasem kotarę i dwa pokoje połączyła niejako w jeden.

Dziwny stworzył się teraz obraz. W buduarze stała lampa z różową przesłonką. Światło było tu różowe. Ożywiało ono rysy twarzy i kontury wszystkie występowały ostro. Z drugiego pokoju rozlało się teraz światło błękitne. Było to niby światło jakiegoś innego świata, światło, o którém mówią astronomowie, że ma panować na niektórych planetach... Te dwa światła tworzyły przy zetknięciu się trzecią barwę, fioletową z różnemi odcieniami!“

Działało to szczególnie na zmysły ludzkie.

Teodor wszedł do błękitnego pokoju. Była to mała biblioteczka. U pułapu wisiała lampa ze szkłem błękitném.

Szczególne wrażenie sprawiało to światło błękitne, księżycowe. Było coś czarodziejskiego w tym obrazie. Przedmioty rysowały się niewyraźnie, zaledwie jak szkic wyglądały. Kontury rozpływały się i ginęły rozstawiając wyobraźni dalsze uzupełnienie...

Gdy na Laurencyą spojrzał, wydała mu się istną rusałką. Cała jéj postać była jakby z srebra ulana, jak cień elizejski przesuwała się zwolna po błękitnéj przezroczy.

— Chciałam się pana poradzić, ozwała się srebrna rusałka gdzie najlepiéj szkła umieścić, przez które mogłabym się dostać... do nieba?

Słowom tym towarzyszył uśmiech zachwycający. Przed oczyma młodego astronoma zaczęło się mroczyć...

— Pragniesz pani dostać się do nieba? odpowiedział głosem, w którym ozwała się struna dotąd milcząca, sama chcesz pani dostać się tam?... To zbyt wielki egoizm!

— Obawiam się... miałbyś pan ze mnie złą towarzyszkę...... Mam wiele kaprysów!

Laurencya miała przy tych słowach jakiś szczególny czar w oczach. Teodor zadrzał pod tym czarem...

— Na samą myśl przestraszyłeś się pan! mówiła daléj z tém samém spojrzeniem.

— Nie przeczę, przestraszył mnie... widok nieba!

— Okno zasłonięte... gdzież pan je widzisz?...

— Gdzie je widzę?...

Tu zabrakło tchu młodemu astronomowi. Odetchnął ciężko. Mimo błękitnego światła twarz jego oblokła się ciemnym rumieńcem i wyglądała jakby z bronzu. Taki sam kolor przybrała teraz twarz Laurencyi. Usta i rzęsy zadrżały pod silniejszą pulsacyą serca...

Piękni byli oboje. Nieprzeparte uczucie ciągnęło ich gwałtownie ku sobie...

Teodor wziął ją za rękę. Ręka była bezwładna. Podniósł ją do ust i gorąco ucałował...

Zdawało mu się, że uczuł przytém lekki uścisk...

Nie mogę dłużéj zataić w sobie—ozwał się drżącym głosem, nie mogę powstrzymać słowa, które gwałtem ciśnie się z piersi mojéj... z mego serca... z głębi duszy...

Laurencya podniosła nagle palec i wskazała na siedzącą w drugim pokoju Angielkę... Potém położyła ten palec na różowych ustach...

Teodor zrozumiał ten giest... chciał po cichu wymówić to słowo... nachylił się do jéj twarzy...

Laurencya odwróciła twarz... tylko różowe uszko zostało, aby przyjąć to słowo...

Zbliżył usta do tego uszka... odurzająca atmosfera owionęła jego skronie... w oczach pociemniało mu...

Laurencya zadrżała i spazmatycznie ścisnęła go za rękę...

Nastała cisza... Patrzali na siebie, jakby się już zrozumieli i sobie odpowiedzieli...

Po chwili szybko zwróciła się Laurencya do okna.

— Popatrzmy na niebo! rzekła głośno dla towarzyszki w drugim pokoju—czy widać ztąd Marsa?

I szybko pociągnęła sztorę do góry.

Za oknem stała jakaś ciemna postać z twarzą płaszczem zakrytą...

Laurencya szybko opuściła sztorę.

XXII.

Wieczór u państwa Alfonsów odbywał się zwykłym trybem. Podzielono się na kółka stosownie do bliższych stosunków i tematów rozmowy. Pani Alfonsowa obchodziła wszystkie kółka i wszędzie

starała się coś dorzucić; jeżeli nie słowo to przynajmniéj uśmiech gościnnéj gospodyni.

Pan Alfons miał dzisiaj głębszy jakiś plan nad zwykłą uprzejmość dla gości.

Zaraz po rozmowie z Jerzym wyszedł do salonu z pewnym niezwykłym wyrazem na twarzy. Coś widocznie wgłowie przygotowywał i pilnie patrzał wkoło siebie, aby pozycyą dobrze zbadać.

Najprzód zbliżył się do pana Augusta. Pan August znaczna osobistość w pewnéj sferze, o którą właśnie panu Alfonsowi chodziło. Zacny i poczciwy, ale znany powszechnie ze swego rygoru sądzenia o ludziach i oceniania ich. Zdanie jego równało się wyrokowi trybunału.

— Czy miałeś pan jakie wiadomości z za kordonu? zapytał pan Alfons z miną dyplomaty.

— Nic szczególnego.

— To ja mogę służyć z naszemi... *Mon très aimable cousin George*... chce się ożenić!

— Czas byłby, aby nad tém pomyślał *pour se fixer!*

— A wiesz pan z kim?

— W takim razie domyślać się niebezpiecznie!

— *Vous avez raison*, możnaby stać się niedyskretnym!... Czy przypominasz pan sobie hrabiego Juliusza? Doskonałe *qui-pro-quo*! Pan Juliusz .. *il avait une connaissanse*, o któréj wszyscy wiedzieli. Naturalnie nie była to osoba wolna. Razu jednego wpada pan Juliusz do pani Izy i w progu woła: Madame żenię się! Pani Iza sławnie roztargniona osoba odpowiada bez namysłu: *je le sais... avec madame Constance!* Mówią nawet, że mąż pani Konstancyi miał być przytém!...

— W tém niebezpieczeństwie nie jest przecież pan Jerzy!

— Wcale nie?

— Któż ma być ta szczęśliwa wybrana?

— Właśnie w tych dniach dostarczyła mi księżna Marya bliższych szczegółów w tym względzie. Jest to bliska krewna pani Pulcheryi, a rodzona jéj ciotka była kuzynką hrabiego Zygmunta, babka zaś skolligacona z najznakomitszemi rodzinami Litwy i Żmudzi.....

— Jakże się nazywa?

— Wyszła za mąż za pana Petrycego...

— Więc wdowa?

— Uzasadnione powody kazały jéj rozwieść się...

Pan August zmarszczył wysokie brwi swoje.

— Więc rozwódka?

— Jedna z tych kobiét zacnych ale nieszczęśliwych, które dziwnym zbiegiem okoliczności zmuszone są tam serca swoje lokować, gdzie dla zbyt wielkiéj liczby lokatorów miejsca już nie ma!...

— Hm...

— Pisała mi księżna Marya, że zna ją z jak najlepszéj strony, że nawet łączy je bliższa zażyłość... a przecież księżna Marya *elle est si dificile.*

— Ani słowa! W takim razie winszuję panu Jerzemu. Czy jest fortuna?

— Nawet dosyć znaczna.

— Podwójne szczęście... czegoż żądać więcéj? Miłość i pieniądze!.. A nazwisko jéj?

Od kilku miesięcy mieszka tu w willi hrabiego Maryanna...

— Ah!... *Charmante femme!* Widziałem w teatrze!

— *Et très bien.*

— Bardzo się z tego cieszę—oświadcz to pan Jerzemu!

— Nieomieszkam!

Rozeszli się. Pan Alfons włożył lornetkę na nos i zaczął kogoś szukać między damami. Znalazł. Była to niska, dobréj tuszy osoba z rumianą twarzą, na któréj malowała się szczerość i dobroć z domieszką znacznéj porcyi sarkazmu. Była zawsze ożywiona i zawsze w dobrym, wesołym humorze.

— *Monsieur*—ozwała się do zbliżającego się pana Alfonsa, pan wyglądasz dzisiaj jak sfinks! Otwórz pan usta swoje, a zbawiona będzie dusza moja!

— Służę—odparł grzeczny gospodarz, czego potrzeba pani do zbawienia? Mam do wyboru różne rzeczy.

— Wymieniaj pan je po kolei.

— Najprzód mam najświeższe szczegóły o pani Egici...

— *Fi donc!* Idź pan daléj.

— Polityczne wiadomości wielkiéj wagi... z kraju Zulusów.

— Schowaj pan je dla pani Doroty! Cóż daléj?

— Trzecia wiadomość zachwyci panią niezawodnie... bo dla kobiét jest to bardzo miłą niespodzianką, jeżeli syn marnotrawny *mieux tard que jamais*, wraca skruszony do jarzma, w którém wszyscy chodzimy...

— Wystawiasz moję ciekawość na próbę...

— Jerzy się żeni!

— *Que dites vous!* Pewnie jakaś awanturnica, albo straszliwie bogata i brzydka jak noc!...

— Otóż *la pointe* tego wszystkiego jest, że ani jedno, ani drugie, ani trzecie!...

— *C'est un miracle!* Pan Jerzy porządnie się żeni!

— Bardzo porządnie—nad spodziewanie. Właśnie dzisiaj księżna Marya...

I powtórzyła się z niejaką odmianą wywołana humorem wesołéj blondynki ta sama co z panem Augustem rozmowa.

— Ależ to złote runo!—zawołała w końcu wesoła dama—niech pan Jerzy prędko nam ją okaże!

— Wkrótce to nastąpi!

Pan Alfons obszedł jeszcze z tą nowiną kilka znakomitszych osobistości, które na wieczorku były! Prygotował tym sposobem opinią dla nastąpić mającego faktu.

Plan był dobry i udał się wybornie. Pan Alfons szukał właśnie Jerzego, aby mu dać biuletyn oficyalny, że wszystko dobrze się składa.

Tymczasem po za biuletynem oficyalnym rozchodziły się po salonie biuletyny opozycyi, chociaż były tylko wyrazem mniejszości.

Główną figurą téj opozycyi, czyli innego zapatrywania się na sprawy bieżące, była pani Aurora, która już przed chwilą w głowie Jerzego trochę szyki pomieszała.

— *Savez-vous*—mówiła do swojéj liliowéj sąsiadki—monsieur George chce sie podreperować. I owszem można mu tego życzyć, bo goni ostatkami, a stryj już więcéj dawać nie chce!

— Z kim się żeni?—zapytała twarz liliowa.

— Z bardzo ładną, młodą, bogatą... ale téż i bardzo tajemniczą osóbką!

— Tajemniczą? W jakiém znaczeniu?

— W każdém znaczeniu... Ale pan Jerzy omyli się grubo!

— W jakim względzie?

— Ona... się kocha w drugim!

— A cóż Jerzy?

— Jerzy jest tak pewny swoich czarnych faworytów, że sam nie spostrzeże, kiedy mu złoty ptaszek z klatki wyleci!... A szkoda by było tego ptaszka... chociaż co do mnie, gdyby mi przyszło z nią znajomość zabierać, bardzo bym się namyślała!...

— Czy...

I dalsza rozmowa toczyła się po cichu i kilka razy jeszcze w różnych grupach się powtarzała.

Tymczasem pan Alfons chodził po wszystkich salonach i szukał Jerzego, aby mu zdać relacyą z tego co zrobił—ale Jerzego już nigdzie nie było.

XXIII.

Zaraz po rozmowie z panią Aurorą zapragnął Jerzy samotności i pewnego skupienia ducha. Słowa usłyszane od pani Aurory sprawiły na nim szczególne wrażenie. Nic właściwie w nich nie było, mogły być nawet dla żartu tylko wymówione, ale mimo to wszystko brzęczały mu nieustannie w uszach, chociaż je od siebie odpędzał.

Do skupienia ducha nie było w salonie sposobu. Ten i ów zaczepiał go, a skwaszony nagle humor jego mógł dać weselszym towarzyszom wiele materyału do żartów. Wymknął się więc cicho do przedpokoju, wziął płaszcz i kapelusz i wyszedł na ulicę.

Na ulicy odetchnął swobodnie, obejrzał się w koło czy go kto nie szpieguje i rozpoczął rozmyślać.

Cóż mogą znaczyć owe słowa Aurory? Mogą one być prostym żartem, ale dlaczego taki niepokój nagle go ogarnął? A gdyby były prawdą... jakże straszliwie popsułyby się wszystkie szyki i obliczenia!...

Właśnie w ostatniéj chwili dopiéro nadeszły potrzebne wiadomości, które jaśniejsze światło rzucają na majątkowe kobiéty stosunki... właśnie dopiéro co zgodziła się głowa familii na ten związek... a tu nagle wchodzi mu w drogę jakieś licho... nie, to być nie może! To nie tylko byłoby smutne ale śmieszne!... Czyżby nie śmiali się wszyscy z niego? I to byłby nawet śmiech zasłużony, bo nie tylko miał złotego ptaszka w ręku, ale sam niezręcznie go wypuścił! Nie... to nie może być! Pani Aurora żartowała sobie jak zwykle aby go podrażnić!...

O gdyby to było prawdą?..—myślał daléj.—Rzecz arcy smutna! Trudno tak prędko coś znowu wynaleść, co jest dzisiaj koniecznêm do zawarcia małżeństwa. Posagi co raz rzadsze, co raz niepewniejsze, a to przecież *nervus rerum.* Pan Ignacy ożenił się.. zdawało się, że weźmie górę złota, a tu tymczasem obiecano sumkę nieznaczną i téj nie dano tylko lichy procent pięć od sta płacą!... Któż dzisiaj daje na pięć procent? A zresztą cóż ten procent mu pomoże, jeżeli on za pożyczone na ekwipowanie się pieniądze więcéj musi płacić!... Na cóż mu takiéj żony?... A miłość?... Miłość... czemuż ona tą miłością nie uszczęśliwiła jakiego biednego urzędnika lub dzierżawcy, tylko ulokowała ją w herbowéj karecie, któréj sama konserwacya wiele kosztuje!... Jeżeli chciała takiéj lokacyi, to trzeba było coś więcéj z sobą przynieść, niżeli tuziny sukien, koszul i serwet!... To śmieszna rzecz taka żona, a ta śmieszność co raz więcéj się wydarza!.. Tu było inaczéj... był grunt, były warunki! Osoba, majątek

wszystko odpowiadało!... Źle zrobiłem, żem się ociągał, żem czekał i że byłem może za nadto pewnym!... Ale nie—to przecież być nie może. Pani Aurora żartowała sobie. Znam wszystkich naszych epuzerów, żaden nie mógłby mieć pierwszeństwa przedemną!... Nie, to wierutne głupstwo, że coś podobnego do głowy sobie biorę!... Przecież ja jéj daję pozycyą, któréj ona tak pragnie... nie, nikt inny nie mógłby jéj tyle ofiarować! To szaleństwo przypuszczać coś podobnego! Pani Aurora żartowała sobie—tylko żartowała!

Zatrzymał się nagle na ulicy.

— Ale pocóż ja z wieczoru wyszedłem?—zapytał siebie nagle— pocóż tak nagle zniknąłem z pośród nich? Gotowi myśléć, żem się przestraszył słów pani Aurory, żem zwątpił o sobie... żem rzeczywiście ujrzał niebezpieczeństwo jakie mi zagraża!... Cóż mnie tak nagle ztamtąd wypędziło?

I zwrócił się na powrót ku rynkowi. Uszedł kilka kroków i znowu się zatrzymał.

— Nie—pomyślał sobie—nie mogę tam wracać. Poznano by po mojéj twarzy, że mnie to zaniepokoiło. Byłbym śmieszny dla innych i dla siebie... chociaż to wszystko nieprawda co mówiła pani Aurora! Widok téj kobiéty wypędził mnie z wieczoru, nie lubię takich żartów. Zresztą w tych żartach nie było wcale taktu ani dowcipu. Jak można komuś takie rzeczy w oczy mówić, chociażby tylko żartem?... Brzydka kobieta... przed nią musiałem wyjść z wieczoru. Nic mnie innego nie wypędziło... nic... wcale nic...

Zatrzymał się nagle.

— Możeby pojechać do willi? — pomyślał. — Byłoby to bardzo dobrze... wprost z wieczoru... wolałem ją odwiedzić niżeli być na wieczorze... śród zabawy zatęskniłem nagle do niéj... do jéj pięknych oczu... do tych ust różowych... i zakończyłbym sprawę, aby już pani Aurora nic mówić nie mogła. Są ludzie, którzy potrzebują *„fait accomplie“* aby umilknąć.

— Już uszedł był kilka kroków, ale zwrócił się.

— Nie, to byłoby *mal à propos!*—rzekł w duchu do siebie—myślałaby, że tak już przepadam za nią, że ma mnie na uwięzi, że może ze mną zrobić co się jéj podoba. Gotowa nawet wtedy żądać ze swojéj strony odwłoki—w odwet—a tymczasem... Nie, nie mogę tam iść— nie trzeba u kobiét być bardzo tanim... to im się niepodoba i psuje je!... Zresztą nie ma znowu nic tak pilnego! To co mówiła pani Aurora, jest nieprawdą, bo w żaden sposób być nie może! To kłamstwo wierutne, to fałsz!

Jeszcze nie był dokończył tego monologu, gdy nagle usłyszał turkot karety za sobą. Obejrzał się, aby się z drogi ustąpić...

Ale cóż to jest? Czy oczy nie mylą go?... Wszak to kareta Laurencyi... to jéj konie... to jéj służący siedzi na koźle!... Gdzież ona mogła być w téj chwili?

Zatrzymał się na chodniku. Dał znak ręką stangretowi aby się zatrzymał. Stangret nie zważał i przejechał koło niego...

Ale kogóż on ujrzał w karecie?... Światło latarni właśnie oświeciło wnętrze... siedział tam mężczyzna... młody, przystojny mężczyzna z czarną brodą!... Cóż to może być? Któż jest on? Więc to miałaby być prawda, co pani Aurora mówiła?... Laurencya zdradziła go i wybrała sobie innego?... Więc to prawda... straszna prawda?...

I obrócił się w kółko jak dzik rażony śmiertelnym postrzałem... karety już nie było. Pomknęła szybko naprzód.

— Dorożka!—krzyknął, aż się jakiś przechodzień przestraszył—dorożka!—powtórzył raz i drugi, ale dorożki nigdzie nie było.

Przyspieszył kroku.

— Więc to ma być prawdą!—mówił do siebie—byłaby to smutna, okrutna prawda!... byłaby czarna zdrada... zbrodnia, jakiéj świat nie widział!... Takiéj nikczemności, takiéj podłości...

I zaczął szybko biegnąć w kierunku, w którym pojechała znana mu dobrze kareta. O od czasu do czasu oglądał się na wszystkie strony i wołał na dorożkę, ale dorożki jak na złość nie było, a te które spotykał nie były próżne.

Droga do willi była dosyć daleka, miał więc czas do różnych myśli, kombinacyj, oskarżeń i uczuć, które nagle serce jego i głowę rozpierały.

Najprzód, jeżeli to wszystko co widział i słyszał, jest prawdą a nie fałszywym alarmem, wynikającym ze zbiegu szczególnych okoliczności, to Laurencya byłaby według niego niewdzięczną kobiétą. Wszak on ją... kochał! Kochał ją i... dotąd jeszcze kocha, choć go tak haniebnie zdradziła! Mógłby jéj nawet darować chwilowe zapomnienie się, gdyby napowrót powróciła do niego!... Ale czyż ona to zrobi?... Kobiéty są uparte, mają różne kaprysy... a zresztą on sam dał powód przez swoje ociąganie się do tego kaprysu... niejasne jego zachowanie się, niewyraźne słowa, mogły znudzić kobiétę.

Smutno spuścił głowę—dorożki nie było!

Żadna inna kobiéta nie zrobiłaby tego—myślał daléj—przecież mogła zaczekać na ostateczne słowo jego. Zresztą widziała wyraźnie, że ją... kocha. Z tém się przecież nie tail... A że się na kolana przed nią nie rzucał... że wierszy nie deklamował... że z nią publicznie się nie ukazywał—tego przecież od niego nie mogła żądać. Niewdzięczna kobiéta!...

Im spieszniéj szedł naprzód, tém żywsze były jego obawy i troski, tém prędzéj postępowały jego uczucia. Za pół godziny był już skończonym bohaterem, kochał jak bohater w powieści, był tak samo jak ten haniebnie zdradzony, i tak samo nie wiedział wcale co daléj począć!

Jakże to wypadki zmieniają człowieka! Jerzy kochał dzisiaj na zabój kobiétę niewdzięczną i wierzył fanatycznie w miłość swoję, w czarną z jéj strony zdradę!...

Wreszcie ulitowało się niebo nad bohaterem—nadjechała dorożka.

Jerzy rzucił się do dorożki i kazał pędzić co koń wyskoczy.

Rozkaz był dany głosem donośnym i stanowczym—dorożkarz zaczął go również stanowczo wypełniać... ale co daléj?

Co daléj zrobić, gdy dorożka do willi zajedzie? na to nie miał Jerzy jeszcze żadnego planu i do żadnego nie czuł w sobie potrzebnéj stanowczości.

Czy ma wtargnąć do niewdzięcznéj z rewolwerem– czy z oliwną, dyplomatyczną gałązką?

Długo nad tém myślał. Wreszcie zdecydował się na oliwę, bo rewolweru i tak pod ręką nie było. Zresztą mogłoby to być tylko nieporozumienie. Może to lekarz jechał w karecie, może Laurencya nagle zachorowała—może nawet powodem choroby była jego kilkodniowa nieobecność (tu uczuł Jerzy pewne zadowolenie i nie mógł sobie odmówić przyjemności rozczesania swoich bakenbardów) a ta choroba jest nawet prawdopodobną i tak kilka razy przeprosiła go Laurencya, gdy przyszedł z wizytą... słowem, gdy na nocném niebie zarysowała się willa otoczona drzewami, cała sprawa zdrady i niewierności Laurencyi zeszła do małego nieporozumienia, któreby się dało spokojnie załatwić. A gdyby nawet rzeczywiście była jaka wina ze strony kobiéty... mój ty Boże! Trzeba przecież być wyrozumiałym i nikogo znowu tak ostro nie sądzić! Są pewne pozory mocno do prawdy podobne, mimo to nieprzestają być pozorami!... Ot już i stary Jędrzej otwiera bramkę.

Dobra otucha wstąpiła w serce Jerzego. Był w téj chwili bardzo skłonny do wszelkiéj zgody i pojednania. Nawet i światło błękitne, wypływające z biblioteczki—jakkolwiek trochę podejrzane, nie psuło ochoty jego do zgody. Wszystko przyjąłby tak, jakby mu je podano—gościa wziąłby za lekarza, chociażby nawet dyplomu jego nie widział, i zbyt troskliwie wypytywałby się o zdrowie kobiéty, któréj nie przestał kochać!

Ochota Jerzego do tak chwalebnéj zgody doznała wkrótce zawodu Zadzwonił do drzwi –a znana mu dobrze brunetka odpowie-

działa trochę zakłopotana, że pani nie przyjmuje go, bo jest cierpiąca!

— Czy jest lekarz? — pytał Jerzy z rozpaczą tonącego, który chwyta się brzytwy.

— Nie ma! – była odpowiedź!

— A któż jest?

— Ja... nie wiem!—z widocznym kłopotem odpowiedziała piękna Anusia.

Piękna Anusia nie raz była zakłopotana, gdy Jerzy z nią rozmawiał, aby tym razem kłopot jéj miał inne dla niego znaczenie. Stanął jak wryty przed drzwiami, i zapomniał nawet skorzystać ze swojéj dawnéj znajomości, aby się od pięknéj Anusi czegoś więcéj dowiedziéć. Słyszał, jak się drzwi przed nim zamykały, słyszał jak stary Jędrzej po takiéj odpowiedzi napowrót bramkę do wyjazdu otwierał... a co najgorsza—słyszał jak mu nieregularnie serce pod frakiem biło!

— Co to jest? Co się dzieje ze mną? Miałżebym wykierować się na błazna? Mam się śmiesznym stać w obec wszystkich?

I nieregularne bicie serca pod frakiem sprawiło taki zamęt w jego głowie, że byłby zdolny rzucić się teraz na kolana przed wiarołomną kobiétą... gdyby tylko na to pozwoliła!

Wszak on ją kochał!... Tak, wierzy w to że ją kochał, bo teraz dopiéro to poznał! Jak ją kocha! Tak nikt nie będzie jéj kochać! Tyle poświęcił dla niéj... swoją pozycyę zarezykował... musiał ostrożnie i dyplomatycznie do celu zmierzać, a gdy już wszystko zwyciężył, ona... z drugim!

— Ona z drugim! — ozwało się zranione serce — ona z drugim tam, a ja tu przed zamkniętemi drzwiami! On jak bogacz ucztuje a ja jak Łazarz...

I wyciągnął rękę ku niebu, skąd właśnie księżyc na niego patrzył i położył drugą na sercu na świadectwo Boga, księżyc i gwiazdy wzywając, że jest... nieszczęśliwy!

Ale cóż robić daléj?

Stał chwilę, potém podszedł do dorożkarza.

— Pojedziemy—rzekł do niego znużonym głosem—ale tam pod drzewami staniesz i zaczekasz na mnie. Ja wysiądę.

I siadł do dorożki. Dorożkarz zaciął konie, stary Jędrzej otworzył bramkę i jeden rozdział romansu skończył się szczęśliwie. Nastąpił drugi, daleko krótszy.

Pod drzewami zatrzymała się dorożka. Jerzy wyszedł z niéj i skierował swoje kroki ku żywopłotowi, który otaczał ogród willi. Szedł ostrożnie trzymając się cienia.

Żywopłot nie był wygodnym środkiem komunikacyi. Mimo to romantyczny bohater przesadził go bez szwanku i byłby już u celu swego dobrze ułożonego planu, gdyby za żywopłotem nie ujrzał głębokiego rowu napełnionego niejasną wodą.

Przezwyciężył jednak i tę przeszkodę i prosto udał się pod okno, z którego biło światło błękitne... To światło było mu dobrze znane — wiedział, że w tém świetle wygląda Laurencya zachwycająco.

Agrest i porzeczki broniły mu przystępu do tego okna, ale w końcu zwyciężył i tę przeszkodę i stanął wreszcie z bijącém sercem u celu.

Na niebie tymczasem odbywały się dziwne rzeczy. Zdawało się, że cała przyroda gotuje się do jakiegoś niezwykłego dramatu!...

Najprzód od wschodu wysunął się jakiś ciemny klin, podobny do halabardy czarnych duchów, których ciała były jeszcze za horyzontem. Przed tym czarnym klinem wybiegły naprzód dwie białe chmurki, które dziwnym sposobem płynęły w odmiennych kierunkach. Jedna mniejsza uciekała ku księżycowi, druga zachodziła z boku, aby jéj odwrót odciąć. Prócz tego jeszcze wysuwała się z po za drzew ogrodu jakaś mglista zasłona, która całemu niebu groziła. Wiatru nie było, ale liście drzew szeptały między sobą jakby się naradzały nad tém, co począć, gdy wicher się zerwie i chmury piorunowe nad niemi zawisną!... W pobliskiéj zagrodzie naszczekiwały psy, jakby widziały nadciągające widmo zarazy morowéj!... A potok tam na dole mruczał i piszczał żałośnie, jakby go nową groblą ścieśnić chciano! Obracał on już dwa młyny a tam opodal groziła mu nowa praca, bo jakiś przybysz stawiał fabrykę i niezawodnie każe mu znowu w niéj dniem i nocą pracować!...

Słowem cała natura była w jakiejś obawie... w jakiemś niespokojném oczekiwaniu...

Jerzy stanął przed oknem... i stał czas niejaki.

W tém nagle... okno się otworzyło!

Ujrzał... ją! Była piękna, zachwycająca!...

Potém ujrzał... drugą postać... z czarną brodą... która także wyglądała wspaniale!

Nagle zapadła stora i... Jerzy nic więcéj nie widział!

Pociemniało mu przed oczyma...

Drzewa przestały szeptać... potok ucichł nagle, jakby przestał płynąć... białe chmurki zatrzymały się na niebie... a czarny klin stanął jak wryty!...

Oczekiwanie było powszechne...

Jerzy zwrócił się i wolnym krokiem zmierzył ku dorożce.

Skoczył do dorożki i zawołał:

— Jazda! do miasta!

Cała natura odetchnęła. Drzewa zaczęły znowu szeptać... potok płynął daléj... białe chmurki goniły daléj po niebie... a czarny klin wysuwał się znowu z poza drzew i groził spokojnemu księżycowi!

XXV.

Gdy Teodor w karecie Laurencyi jechał, spostrzegł przy latarni stojącego dyrektora, który zabójcze spojrzenia rzucał w głąb karety...

Dyrektor wracał właśnie z posiedzenia literackiego na którém roztrząsano kwestyą przymiotników, formowanych z imiesłowów. Mówił na posiedzeniu wiele o téj materyi, a nawet udało mu się przekonać całą drużynę literacką o potrzebie pewnych reform w tym względzie. To usposobiło go dobrze i pozwoliło mu zapomniéć o troskach domowych, które teraz ciągle głowę mu mąciły. Od chwili rozmowy z panem Protazym, który go tak wymownie o niebezpieczeństwach życia ludzkiego ostrzegł, nie miał zacny mąż spokoju. Obiad nie smakował mu, kawa straciła cały aromat, a szlafrokiem zaczął pogardzać od tego czasu, gdy ciocia Andzia powiedziała, że jemu tylko ciepłego szlafroka potrzeba było a nie żony, która chce jeszcze garnąć się do świata!...

Słowem dyrektor był najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Nie sypiał po nocach, zrywał się we śnie, a śród najdramatyczniejszych scen, których w duchu był aktorem, musiał jeszcze patrzyć na satyryczną, uśmiechniętą twarz swego sąsiada pana Protazego, który najspokojniéj tabakę zażywał!...

Jedyną oazą w jego dzisiejszém życiu były pogadanki naukowe z kolegami. W szlachetnym zapale zapominał o swoich troskach i obawach, a chociaż czasem myślą o nie zawadził, nie były one tak straszne, jak mu się w chwilach spokojnych wydawały!...

W takiém właśnie był usposobieniu wracając z literackiego posiedzenia. Posiedzenie było ożywione, on wiele mówił, niejednego adwersarza zwyciężył. Krew jego płynęła żywiéj po żyłach, świat był jakoś lepszy niżeli zwykle, a nawet ludziska nie byli znowu tak źli i przewrotni! A gdy sobie przypomniał, że w domu czeka go smaczna herbata, którą Elżbieta własną ręką przyrządza, gdy do téj herbaty dodał w duchu smaczną pieczeń wołową szpikowaną słoniną

młodą i prócz téj pieczeni jeszcze to i owo... był już prawie przekonany że szczęście jego domowe nie tak jeszcze jest źle jakby podług wskazówek pana Protazego być mogło. Może te wszystkie obawy i troski są urojone, może tylko w gorącéj wyobraźni istnieją wszystkie te rzeczy, o które on się tak obawia... a zresztą jeżeli się żadnego na to nie ma dowodu, to przecież nie można takiéj krzywdy wyrządzać bliźniemu niesprawiedliwém posądzeniem!

Poczciwy dyrektor był już bliski uspokojenia, a nawet myślał już o nowéj sukni dla Elżbiety jako wynagrodzeniu za niesłuszne swoje obawy... gdy nagle ujrzał przy bramie przeciwległéj kamienicy stojącą karetę i wsiadającego do niéj... największego swego nieprzyjaciela!...

Kareta wydała mu się bardzo podejrzaną. Spojrzał z energią na nieprzyjaciela... i zdawało mu się, że tenże z pewnym tryumfem się uśmiechnął a potém twarz sobie płaszczem zakrył!..

— I wionęła jak mgła wiosenna cała sielanka z herbatą i pieczenią wołową... niepokój, wielki niepokój ogarnął znowu zaturbowane jego serce.

— Czy ta kareta nie ma jakiego związku? pomyślał sobie, ale dokończyć nie mógł, bo nie umiał

Jakiś instynkt wewnętrzny kazał mu kroki przyśpieszyć i prędko do domu zdążyć. Rzucił się szybko naprzód, aby jak najprędzéj ucieknąć od tych złych duchów, które za nim jak brzęczące komary pędziły... i już dotarł do rogu kamienicy w któréj mieszkał gdy nagle z poza rogu wysunęła się jakąś postać kobieca...

Kobiéta miała ciemny płaszcz z kapiszoném na głowie. Kapiszon zasłaniał jéj całą twarz aż po usta prawie i prócz tego z pod kapiszonu zwieszała się jeszcze ciemna woalka aż po same ramiona...

Wzrostem i figurą mogła być ta kobiéta podobną do Elżbiety, ale tak szybkiego biegu nigdy u niéj nie widział.

Zatrzymał się jednak i spojrzał za uciekającą.

Coś go mocno zaniepokoiło.

— Elżbieto! zawołał półgłosem na chybił trafił.

Kobiéta się zatrzymała i obróciła.

— Czy to ty Jozafacie? zapytała.

Zdawało się dyrektorowi że mu ktoś nagle nogi podciął. Zachwiał się i oparł na swojéj trzcinie hiszpańskiéj, która go od dwudziestu lat nigdy niezawiodła.

— Zlituj się, zawołał—gdzież ty tak idziesz?

— Idę do Eufemii odparła krótko Elżbieta.

— Wieczorem i sama?

— Miała iść zemną Jagusia ale... gdzieś tam została.

Dyrektor odetchnął ciężko jak człowiek, którego we śnie zmora dusi.

— Cóż ci teraz ta Eufemia tak do gustu przypadła?

— Jest moją siostrą!

— Przecież była nią od urodzenia?

— Któż temu zaprzecza?

— A przecież dawniéj nie widziałem między wami tak wielkiego romansu!

— Z czasem przychodzą różne romanse!..

— Od niejakiego czasu mówisz same niedorzeczności.

— Może być że jeszcze jestem nie zupełnie mądrą!

— Co ty mówisz?

— To samo co od ciebie nieraz słyszę w tych czasach!

— Przecież jestem mężem...

— Ja jestem żoną ale nie niewolnicą, któréj nie wolno nawet do siostry wyjść, gdy ta jest cierpiąca!

— Mogliśmy oboje tam zajść po herbacie.

— Herbatę masz gotową, jak wypijesz możesz przyjść po mnie!

Dyrektor namyślał się chwilę.

— Jeżeli ci się już tak podobało rzekł po chwili rzewnym głosem, to wolę pójść z tobą razem.

Pod gęstą woalką zabłysły jak dwa meteory piękne oczka Elżbiety... chciała już męża serdecznie uściskać, ale przypomniała sobie skuteczne rady cioci Andzi... a zresztą na ulicy takie pieszczoty byłyby śmieszne. Podała więc tylko rękę mężowi i mimowoli więcéj przycisnęła się do niego niżeli to zwykle czyniła.

Na swoje nieszczęście nie zważał na to dyrektor. W głowie jego mięszały się różne myśli, a kareta nieszczęsna nie mogła mu w żaden sposób ztamtąd wyjechać! Nie widział nawet, że Jagusia za nimi z sieni wyszła, a widząc tak pewną eskortę wróciła się napowrót.

Dyrektor szedł i sam nie wiedział dlaczego idzie. O sielance z herbatą i pieczenią nie myślał już wcale, żal mu tylko było tego słodkiego optymizmu, z jakim wracał do domu. Wszystko to wionęło wraz z herbatą a co przed nim było, nie wiedział!

Zdążano do Eufemii.

Eufemia nie była słabą, jak sobie dyrektor z pospiesznych kroków żony wyobrażał. Twarz miała wprawdzie trochę bledszą, co jednak dodawało jéj pewnego wdzięku. Siedziała przy stole w zgrabnym negliżu i zajęta była jakąś robótką. Po drugiéj stronie wywijała szydełkiem ciocia Andzia.

Gdy dyrektor z Elżbietą weszli do pokoju, krzyknęła na cały głos ciocia Andzia:

— A cóż to się stało! Wyglądacie jak małżeństwo po złotém weselu! W takiéj zgodzie i z taką czułością!

— Ani to zgoda ani czułość! odparła z uśmiechem Elżbieta, ale zamaskowanie przegranej, że się na swojem niepostawiło! Czyż nieprawda kochany mężu?

W słowach tych była ironia i pewna złośliwość. Dyrektor zamyślił się z powagą nad tą szczególną miksturą, coby ona oznaczać miała. Nie dano mu jednak czasu.

— Czy wiesz—ozwała się Eufemia, że sprawiłaś nam prawdziwą niespodziankę! Nieoczekiwaliśmy ciebie dzisiaj, osobliwie po twojéj kartce, w któréj nam wizyty nie przyrzekałaś wcale na dzisiaj!

Dyrektor spojrzał z zadziwieniem na żonę.

— Więc nie miała tu być, pomyślał sobie.

— Cóż tam... twoje marzenie? zapytała pół głosem Eufemia siostrę, podczas gdy ciocia Andzia coś do dyrektora mówiła.

— Moje marzenie... odparła również półgłosem Elżbieta zawiodło mnie dzisiaj i... odjechało w karecie!

— Ubolewam nad tobą! odparła na pół żartem Eufemia, ale twarz jéj mocno przytém posmutniała.

Dyrektor czuł, że nogi drętwieją pod nim i usiadł na krześle.

Dalszéj rozmowy, która zeszła na rzeczy codzienne, już prawie nie słyszał.

(*d. c. n.*)

Jan Zacharjasiewicz.

TATRY I PODHALANIE.

Tatry i ludność na ich stokach zamieszkała już w pierwszych latach bieżącego stulecia zwróciły na siebie uwagę Stanisława Staszica, który przedewszystkiém usiłował przedstawić obraz geologicznéj budowy gór polskich. Dwanaście rozpraw w tym przedmiocie razem zebranych, utworzyły bardzo dziś rzadkie dzieło pod tytułem: *o ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i dolin Polski* (Warszawa, 4°, 1815, w drukarni rządowéj) (1). W rozprawach traktujących o Tatrach spotykamy bardzo ważne wzmianki o góralach.

Drugim z kolei badaczem Tatrów był szwedzki naturalista Jerzy Wahlenberg, którego klasyczne dzieło: *Flora Carpathorum principalium* (Goetingae 1814) zawiera nader ważne szczegóły o klimacie, petrografii i florze Tatrów.

W artykule przeznaczonym dla szerszéj publiczności szczegółowy rozbiór wszystkich, chociażby tylko ważniejszych prac o Tatrach byłby nie na miejscu; odsyłając tedy czytelnika do *Bibliotheca Carpatica* starannie przez p. Hugo Payera (2), zebranéj oraz do *bibliografii karpackiéj* p. Müldnera (3) poprzestanę na kilku krótkich uwagach.

Liczne prace o budowie Tatrów, ich klimacie i płodach, o góralach i wycieczkach na rozmaite szczyty, zgromadzono w *Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego*, wydawanym w Krakowie, którego do-

---

(1) Szczegóły o czasie i miejscu ogłoszenia każdéj rozprawy, patrz. *Trejdosiewicz* w czasopiśmie: *Przyroda* i *Przemysł*, 1876, str. 297 i następne.

(2) Pamiętnik węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, Tom I 1874, str. 153 Tom II, 1875; Tom III, 1876.

(3) *Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego* 8 Kraków, 1876, tom I, str. 95—111. Praca p. Müldnera obejmuje wyłącznie bibliografią polską.

tychczas wyszło pięć tomów (1876—1880), oraz w pamiętniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego (*Magyarországi Kárpátegylet Evkönyve. Jahrbuch des ungarischen Karpathen—Vereins.* 7 tomów 1874—1880).

Na szczególną uwagę zasługuje mała książeczka L. Zejsznera pod tytułem: *Pieśni ludu Podhalan*, (8°, Warszawa, 1845), gdzie znajdujemy bardzo trafny szkic Podhala i Podhalan. Przeciwnie, *Dziennik podróży do Tatrów* Seweryna Goszczyńskiego (8°, Petersburg 1853), małéj jest wartości, wyjąwszy tylko zawarte w nim śpiewki. Do ważniejszych prac należy artykuł Józefa Konopki o górskiém gospodarstwie, umieszczony w *Encyklopedyi Rolnictwa* (8°, Warszawa 1874, Tom II str. 819 i następne).

Opisy wycieczek, zwłaszcza osób należycie z górami obeznanych, dobre dają wyobrażenie o topografii gór, oraz o złych i dobrych przygodach turysty (1). Do najlepszych sprawozdań tego rodzaju niewątpliwie należą opisy księdza kanonika Stolarczyka, proboszcza zakopiańskiego (2), oraz z nieporównaną werwą i prawdą skreślone: „*sześć dni w Tatrach*“ (3).

Krótki ten i pobieżny przegląd prac o Tatrach dostatecznie przekonywa, że o górach tych nie mało już napisano, skutkiem, czego jestem uwolniony od podawania wielu już gdzieindziéj ogłoszonych szczegółów.

Górale zamieszkujący stoki Tatrów przez nazwę *Podhala*, (tj. krainy położonéj poniżéj hal czyli pastwisk górskich) pojmują obszar objęty następującemi granicami: od południa łańcuchem Tatrów, od wschodu rzeką Białką, od zachodu Czarnym Dunajcem, od północy dalszym ciągiem tejże rzeki oraz Dunajcem do ujścia Białki. Zaledwie potrzeba nadmieniać, że mieszkańcy Podhala są Podhalanami; tak sami się nazywają i to samo miano nadają im sąsiedzi. Okolice

---

(1) Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego.

B. Rejchman. Wycieczka do Morskiego oka przez przełęcz Mięguszowiecką. „Ateneum“ r. 1877 tom IV, str. 469.

Tegoż: Wycieczka na Łomnicę. Warszawa, 16°, 1879.

2) *Stolarczyk:* Czas 1875, 14—16 Października, także Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego tom I. Ks. Stolarczyk pierwszy wszedł na szczyt Lodowego i Gierlachu, o czém jednak Kolbenheyer w swoim dziwnie oschłym, bezbarwnym przewodniku po Tatrach (*Die hohe Tatra,* 3 wydanie, 1880), nic nie wspomina, chociaż o obydwóch tych szczytach, podaje nic nie znaczące drobiazgi (str. 43, odsyłacz str. 46).

(3) *Sześć dni w Tatrach, wycieczka bez programu* przez—l—„Niwa,“ 1879, oraz Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego, tom IV, 1879, str. 47.

Spiża i Orawy sąsiadujące z Podhalem są stanowczo z tego ostatniego wyłączone, nawet okolice przez Polaków zamieszkałe. Tak więc Podhale ogranicza się galicyjskiemi stokami Tatrów, nigdzie politycznéj granicy nie przekraczając; ale i na tym obszarze dają się spostrzegać pewne różnice zaludnienia, skutkiem czego prof. Kopernicki nie uważa za Podhalan mieszkańców wsi Wróblówki i Dlugopola na prawym brzegu Czarnego Dunajca, oraz mieszkańców miasta Nowego Targu i wsi: Waksmund, Gronków, Łopuszna, Harklowa i Dębno, położonych na prawym brzegu Dunajca. Różnice są mniejszéj wagi, albowiem, jak mi pisze prof. Kopernicki, zasadzają się na pewnych drobnych wyłącznościach ubioru, uprzęży, budowy domów i wozów, oraz na niejakiéj różnicy mowy. Górale pomienionych miejscowości stanowią przejście do górali Beskidowych z jednéj, i do górali Pienińskich z drugiéj strony. W ten sposób ograniczone Podhale, według starannych obliczeń prof. Kopernickiego, ma 28.128 mieszkańców, gdy tymczasem w granicach obszerniejszych uważane posiada przeszło 40.000 ludności.

Wincenty Pol w dziełku swojém: *Północne stoki karpat* (8°, Kraków 1851), bardziéj ogranicza Podhale, z uwagi jednak, że nie przytacza żadnych motywów, oraz dopuszcza się błędów geograficznych (1), pozwolę sobie odmówić jego pracy poważniejszego znaczenia i pominę milczeniem zawarte w niéj poglądy. Goszczyński (*Dziennik podróży do Tatrów*) oraz p. B. Rajchman (*Wycieczka na Łomnicę*) do Podhala zaliczają wszystkie stoki Tatrów, co jednakże jest zupełnie dowolném pojmowaniem rzeczy. Zejszner znowu jest bliższy prawdy, ale zbyt ogólnikowo wyraża się: że Podhalanami są górale mieszkający na północno-wschodnich pochyłościach Tatrów. Pośród téj gmatwaniny zdanie profesora Kopernickiego jest najważniejsze i stanowczo musi być przyjęte, jako orzeczenie bystrego i sumiennego antropologa, który lata całe poświęcił badaniu górali polskich.

Tatry i Podhale, a w szczególności Zakopane, stanowić będą wyłączny przedmiot niniejszego szkicu.

Podhale jest znacznie nad poziom morza wyniesione. Najniższe jego punkta leżą 2.100 stóp (600 metrów), najwyższe zaś, tj. osta-

(1) Pol wymieniając wsie Podhala zimnego czyli właściwego, pominął trzy wsie: *Ciche*, *Bystre* i *Miętustwo*, z których dwie pierwsze leżą tuż u podnóża Tatrów. Daléj, wieś *Ratułów* według Pola leży nad Białym Dunajcem, rzeczywiście zaś leży nad potokiem Cichym, wpadającym do Czarnego Dunajca.

teczna granica owsa, 3.85o stóp (1100 metrów) nad poziomem morza. Daléj w górę następuje pas regli lasem obrosłych, po nad któremi piętrzą się *wielkie Tatry*, sięgające 9.321 stóp (2.663 metrów) nad poziom morza. W polskich Tatrach najwyższą jest *Świnica* (8025 stóp, czyli 2293 metrów). Do najwyższych w ogóle szczytów należą: *Lodowy* (9201 stóp, czyli 2629 metrów), *Wielki Krępak* albo *Łomnica* (9219 stóp, czyli 2634 metry), *Garluchowa góra* albo *Gierlach* (9321 stóp, czyli 2663 metry). Tatry nie są tedy bardzo wysokie i sławę swoję zawdzięczają nie wyniosłości szczytów, ale raczéj ich niedostępności, malowniczości i dzikiéj wspaniałości.

Łańcuch wielkich Tatrów wybuchowych ciągnie się od góry *Rohaczy* na zachód, do *Kesmarskiego szczytu* na wschód, od regli na północ, mniéj więcéj do równoleżnika Szmeksu (Sławkowa) na południe. Orograficzne granice Tatrów znacznie są obszerniejsze, albowiem rozciągają się od Wagu do Dunajca, od rzeki Orawy do Popradu. W każdym razie Tatry małą przedstawiają rozległość. Uważane w przytoczonych granicach orograficznych, mają one 17½ mil (122 kilometry) wzdłuż, a 6½ mil (45,5 kilometrów) w szerz, gdy tymczasem długość wielkich Tatrów w ścisłém znaczeniu podają na 7 mil (49 kilometrów), a szerokość na 2½ mile (17,15 kilometrów).

Według wiadomości łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego, cały główny grzbiet Tatrów składa się z granitu i gnejsu; gdzieniegdzie na przełęczach występuje łupek mikowy. Granit i gnejs podnosząc się spowodowały podniesienie skał wapiennych, od których prawie wszędzie oddzielają się pokładem piaskowca białego albo czerwonawego (ale nie wiadomo czy tryasowego). Najbliższe granitu wapienie często bywają półkrystaliczne, nie zawierają skamieniałości, i skutkiem tego dotychczas nie określono ich wieku geologicznego. Zdaje się, że wapienie te są bardzo dawne, prawdopodobnie węglowe. W Tatrach w wielu miejscach występują dolomity, a ostatnie góry, zwłaszcza od strony północnéj, składają się z wapienia nummulitowego, poczém następują niższe wzgórza, daleko na północ sięgające, utworzone z piaskowca karpackiego i z alluvium. Na południowéj stronie łańcucha przemagają warstwy dyluwialne. Formacya kredowa występuje głównie w pasmie Murania, a jurajska w porozrywanych i pojedynczo sterczących skałach doliny Nowotarskiéj, np. w Szaflarach.

Tatry bardzo są ubogie pod względem płodów mineralnych. Żelazo jest najpospolitsze, chociaż mało obfite, a miedź daleko jest rzadsza. Ślady złota dają się spostrzegać na Krywaniu, srebro zaś jest rzadsze od złota. Zaledwie przezroczyste granaty znajdują się w do-

linie Wielkiéj (Felka) i w Gierlachu. Kryształy kwarcu bardzo są rzadkie i do tego pospolicie bywają nieprzezroczyste.

Flora Tatrów nosi na sobie wszystkie znamiona flory *halnéj* czyli *alpejskiéj*. Krainy roślinności odpowiadają krainom Alp, lecz przypadają na mniejszych nieco wysokościach. Według spostrzeżeń łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego krainy roślinności zachowują się w Tatrach w sposób następujący.

1. Kraina roli uprawnéj tj. owsa *(regio campestris)* sięga do 3850 stóp (1100 metrów).

2. Kraina buczyny *(regio montana)*, sięga do 4725 st. (1350 m.)

3. Kraina świerczyny *(regio subalpina)*, od 4305 st. (1230 m.) do 4900 st. (1400 m.).

4. Kraina kosodrzewu czyli kosówki *(regio alpina)*, od 4760 st. (1360 m.) do 7000 st. (2000 m.).

5. Kraina nagich wirchów *(regio supraalpina)* do 9321 st. (2663 m.).

Podane tutaj granice rozmaitych krain roślinności różnią się nieco od granic przez prof. Nowickiego przyjmowanych (porównaj: *Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*, tom I, str. 28—36).

Z powyższego okazuje się, że krainy wzajemnie na siebie zachodzą, tj. górna granica dolnéj krainy nie wszędzie jest dolną granicą górnéj. Tak świerki zachodzą pomiędzy kosówkę, którą znowu niekiedy bardzo nisko spotykamy. Daléj, należy zauważyć że kraina buczyny oznacza wysokość, do któréj sięgają buki, klony i inne drzewa liściaste, boć zresztą drzewa te rosną i na dolinach. To samo stosuje się do świerków *(smreków)* i jodeł. Kraina świerczyny oznacza okolicę gór, gdzie rośnie świerk i jodła *z wyłączeniem buku i innych drzew liściastych.* W dolnéj części krainy kosówki rośnie wspaniała limba *(Pinus cembra).*

Charakterystykę flory tatrzańskiéj, według wskazówek łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego, można streścić w sposób następujący.

Limba jeszcze jest dosyć obfita pomimo znacznego wytępienia. Kosówka tworzy obszerne zarośla do uprzykrzenia bujne. Modrzew czyli po góralsku *świerk (Larix europaea)* jest zwłaszcza na południu pospolity. Cis *(Taxus baccata)* stał się bardzo rzadkim. Goryczki *(Gentiannae)* i łomikamienie *(Saxifragae)* bardzo są liczne. Sit trójdzielny *(Juncus trifidus)* nadzwyczaj jest rozpowszechniony na znacznych wysokościach; jesienną porą czerwienieje nadając odpowiednią barwę wierzchołkom gór, które też często noszą nazwę *Czerwonych wirchów.* Trawy bardzo są liczne i pomiędzy niemi dużo jest gatunków z nasionami już na roślinie kiełkującemi; pomiędzy innemi wi-

klina żyworodna (*Poa vivipara)* nadzwyczaj jest pospolita. Flora skrytokwiatowa jest wogóle świetna i bujna. Paprocie są liczne i piękne. Porostów (*Lichenes*) znaleziono kilkaset gatunków; mchów (*Musci*) odszukano blisko 400 gatunków, wątrobnic (*Hepaticae*) do 150 gatunków. Wodorosty (*Algae*) i grzyby bardzo są liczne, lecz śluzowce (*Myxomycetes*) w małéj tylko występują ilości.

Fauna tatrzańska odznacza się znacznem ubóstwem w porównaniu z Alpami, a mianowicie Tatrom brak kozła skalnego (*Capra ibex*), bielaka (*Lepus variabilis*), orłosępa (*Gypaëtos barbatus*), jerzyka alpejskiego (*Cypselus melba*), wrończyków (*Fregilus graculus* i *Pyrrocorax alpinus*, i pardwy (*Lagopus albus*). Do charakterystycznych mieszkańców tatrzańskich należy kozica, u górali poprostu kozą zwana (*Rupicapra tragus* i świstak (*Arctomys marmotta*) ze zwierząt ssących, a z ptaków: siwarnik (*Anthus spinoletta*), wróbel skalny (*Accentor alpinus*), mentel w książkach pomórnikiem zwany (*Tichodroma phoenicoptera*) i pluszcz (*Cinclus aquaticus*); z charakterystycznych motyli występuje apollo (*Parnassius apollo*). W lasach często spotykać się daje wielki nagi ślimak ciemno-szafirowego koloru z malachitowo-zielonym połyskiem (*Limax Schwabii*). Oprócz tych bardziéj w oczy wpadających mieszkańców gór spotykamy drobne zwierzątka na pierwszy rzut oka do myszy podobne, w rzeczy zaś saméj blisko z kretem spokrewnione, które u Podhalan noszą ogólną nazwę *recków*. Z pomiędzy recków tatrzańskich najbardziéj na uwagę zasługuje nader rzadki *Sorex alpinus*, którego dopiéro w zeszłym roku odszukał w Tatrach pan Antoni Kocyan, leśniczy w Orawicach, bardzo zasłużony badacz fauny tatrzańskiéj. Daléj wspomnę *jaszczura* (*Salamandra maculata*) i trytona górskiego (*Triton alpestris*) z ognisto pomarańczowym brzuchem i granatowo-czarnym lub brunatno-żółtym grzbietem czarno-marmurkowanym.

Oprócz tych wyłącznie górskich zwierząt w Tatrach spotykamy rozmaite gatunki, które mieszkają także na dolinach, zwłaszcza bardziéj na północ wysuniętych. Koszatka mniejsza (*Myoxus dryas*) i orzesznica (*Myoxus avellanarius*) daleko są pospolitsze aniżeli na dolinach. Wiewiórka tatrzańska ma futro czarne albo ciemno-kasztanowate. Sarna mało jest liczna. Zając szarak należy do rzadkości, do tego stopnia, że w Tatrach dla upolowania jednéj kociny zadają sobie więcéj pracy aniżeli u nas gdy chodzi o sarnę. Ze zwierząt drapieżnych pierwsze miejsce zajmuje niedźwiedź. Sprawia on bardzo dotkliwe szkody w stadach krów i owiec, chociaż zresztą nie jest liczny; zaprzeszłego roku myśliwi tatrzańscy zapewniali mnie, że w całych Tatrach było wówczas tylko 15 sztuk niedźwiedzi. Liczba niedźwiedzi co rok się zmniejsza skutkiem zawziętego prze-

śladowania ze strony myśliwych. Wilki zupełnie zostały wytrute; lisy mało są liczne, a kuny bardzo przerzedzone. Orły rzadko spotykać się dają; daleko częściéj po reglach pokazują się drobniejsze gatunki ptaków drapieżnych: jak jastrzębie, sokoliki i myszołowy. Przepiórka należy do rzadkości, a kuropatwa, chociaż pospolitsza, nie jest częstem zjawiskiem. Głuszce (*głuchonie*), cietrzewie i jarząbki, od pewnego zwłaszcza czasu, mało są pospolite. Po wilgotnych lasach zdarza się słomka. Wogóle, brak zwierzyny przedewszystkim wynika z nadzwyczaj gęstego zaludnienia stoków tatrzańskich, oraz namiętności górali do fuzyjki. W potokach i jeziorach (*Rybiem* i *Popradzkiem*) poławiają się pstrągi, czasami łososie. W potokach bardzo jest pospolity głowacz (*Cottus*). Żmija dosyć często się zdarza. Jest ona postrachem górali, którzy obawiają się nawet zdechłego *gada*. Jednym wyrazem *gad* można rozproszyć cały zastęp odważnych zresztą Podhalan.

Z pomiędzy wszystkich mieszkańców gór najwięcéj prześladowania znosi kozica i świstak, głównie w węgierskich Tatrach rozpowszechnione. Pierwsza nęci jako zwierzyna, chociaż główną pobudką do polowania jest namiętność górali do strzelby, drugi zaś, na swoje nieszczęście cieszy się ogromną sławą jako środek leczniczy. Jak słusznie p. Rejchman zauważył, świstak jest chodzącym kamieniem filozoficznym górali, którzy jego tłuszczowi przypisują niezliczone własności uzdrawiające i z tego powodu w późnéj jesieni zawzięcie wykopują go z nor, w których się już zabrał do snu zimowego, gdyż w owym czasie najbardziéj jest tłusty. W polskich Tatrach kozica jest nadzwyczaj rzadka, a świstaka prawie już nie ma. Tylko w téj części Tatrów obadwa zwierzęta znajdują się pod opieką prawa, które zabrania je niszczyć w jaki bądź sposób. Niestety zakaz wydano dopiero wtedy, kiedy już nie było zwierzyny, któraby mogła z niego korzystać. Szczegóły obydwóch tych zwierząt dotyczące znajdzie czytelnik w pracach profesora Nowickiego pod tytułem: „*Kozica*“ (8° Kraków, 1868) i „*o świstaku*“ (8° Kraków, 1865).

Podhale, jak to widzieliśmy, jest znacznie wyniesione nad poziom morza, łatwo tedy pojąć, że posiada ostry i zimny klimat, zwłaszcza że jest mocno ku północy wysunięte, oraz leży na północnym stoku łańcucha górskiego. Lato jest krótkie, a śnieg niekiedy już we wrześniu pokrywa doliny podhalskie. Do tych warunków klimatycznych dodawszy jałowość płytkiéj gleby, zrozumiemy smutny

stan rolnictwa na Podhalu, które pod tym względem w niczem nie jest szczęśliwsze od innych górskich krain.

Według wiadomości w Zakopanem zebranych, które nieco różnią się od podanych przez Konopkę (*Encyklopedya rolnictwa*, tom II), urodzaje na Podhalu przedstawiają się w sposób następujący.

Najważniejszą rośliną zbożową na Podhalu jest owies, uprawiany na wielką, a właściwie mówiąc na największą skalę. Zwykły zbiór owsa nie przewyższa dwóch ziarn, często tylko *brat brata rodzi*, a czasami, w razie pięknego urodzaju bywa do trzech ziarn. Jęczmień jest już daleko mniéj uprawiany, a jeszcze mniéj żyto, które daje się spostrzegać tylko w miejscach zacisznych, zasłoniętych budynkami, drzewami lub pagórkiem. O ile mogłem zauważyć, żyto podhalskie ma drobne kłosy na wybujałéj, wątłéj słomie. Słaby urodzaj żyta nie odstraszałby jeszcze Podhalan od jego uprawy; główną przyczyną zaniedbywania tego zboża jest łatwość, z jaką ulega potłuczeniu przez wiatr; dlatego to Podhalanie sieją żyto w miejscach zacisznych. Skąpe zbiory, jakich się Podhalanin spodziewać może, często zupełnie go zawodzą; czasami gwałtowny wiatr *halny* z gór wiejący zupełnie zboże wytłucze, a czasami, z powodu zimnego lata żniwa się opóźniają i zboże zostaje śniegiem przyprószone. W obydwóch tych razach zboże daje się zużytkować jedynie jako pasza zielona. Po owsie najważniejsze miejsce zajmuje kapusta i ziemniaki czyli grule, w wielu miejscach kraju kartoflami przezywane. Podhalskie ziemniaki bardzo są smaczne lecz drobne. Dobry urodzaj daje 6 korcy z jednego korca. Ziemniaki nie boją się wiatrów, choćby najsilniejszych, ale długie ulewy bardzo są dla nich zgubne; tak 1879 roku po mokrem i zimnem lecie nieurodzaj ziemniaków tak był wielki, że zebrano mniéj, aniżeli posadzono. Kapusta wogóle nieźle się udaje, ale się w główki nie zwija; odpowiada ona temu, co u nas szarą kapustą nazywają. Groch sieją pomiędzy ziemniakami otrzymując dobre stosunkowo zbiory dorównywające 16 ziarnom. Pomimo to groch mało jest uprawiany, bo téż co prawda jest on szkaradnie twardy. Na całém Podhalu bardzo pilnie uprawiają len, który według zdania miejscowych mieszkańców bardzo dobrze się udaje; nie myślę temu przeczyć, uczynię jednak uwagę, że nie jest on ani tak gęsty, ani tak wysoki jak na naszych dolinach, nie mówiąc już o sławnéj ze lnu Żmudzi. Łodygi lnu zawsze są na Podhalu wątłe i z obwisłym wierzchołkiem, czego w dolinach nie spostrzegamy. Nasienie lnu prędko wyradza się na Podhalu i musi być przynajmniéj co trzy lata zmieniane. Do powszechnie uprawianych roślin należy wreszcie koniczyna, która staraniem profesora Chałubińskiego rozpostarła się do samego podnóża Tatrów, a nawet spotykać się

daje pod samym wierzchołkiem Gubałówki. Obok koniczyny doskonałéj paszy dostarcza aromatyczne siano zbierane na łąkach i polanach.

Takie są płody, jakich ziemia podhalska skąpo góralowi udziela (1), ale i téj *płonéj* ziemi już jest zamało. W Zakopanem najbogatsi *gazdowie* posiadają do 60 morgów i mają wysiewu do 90 korcy owsa, ale téż takich gazdów jest ledwie dwóch albo trzech. Zamożny, albo mówiąc miejscowym językiem *hruby gazda*, ma ledwo 20 morgów, na których wysiewa 30 korcy owsa i sadzi 15 korcy ziemniaków. Miernie bogaty gazda posiada 6—10 morgów ziemi, na któréj wysiewa do 15 korcy owsa, oraz sadzi do 7 korcy ziemniaków, gdy tymczasem biedny czyli *płony* gazda ma wysiewu tylko dwa lub trzy korce owsa. Tak więc na Podhalu daje się uczuwać brak i téj nawet płonéj ziemi, która téż nie może wyżywić swego właściciela z jego rodziną i dobytkiem czyli *statkami*. W Zakopanem nie łatwo znaleść gazdę, któryby nie był zmuszony co rok kupować ziarno na przednówku. Oczywiście rolnictwo jest tu niewystarczające i potrzeba szukać rozmaitych innych źródeł wyżywienia i zarobku. W rzeczy saméj Podhalanin oddaje się rozmaitemu przemysłowi i hodowli zwierząt, do któréj jest prawdziwie namiętny.

Na pochwałę Podhalan należy powiedziéć, że chętnie biorą się do wszelkiego zarobku. W miarę możności zarabiają furmankami, co jednak znacznie jest utrudnione od czasu jak kuźnice zakopiańskie i inne stoją bezczynnie. Dawniéj zwożenie rudy żelaznéj do hut, oraz wywożenie odkutego żelaza, zapewniało posiadaczowi koni stały zarobek, lecz od czasu sprzedania dóbr zakopiańskich przez panów Homolacsów zupełnie zarzucono kopanie i wytapianie rudy, a kuźnice, z wyjątkiem dwóch tylko, stanowczo zamknięto. Mało dla właścicieli dochodny przemysł hutniczy porzucono i w innych majątkach, czyli tak zwanych u górali *państwach*. Obecnie głównym zarobkiem furmanów podhalskich jest zwózka drzewa z lasu i rozwożenie tarcic z tartaków, *piłami* zwanych.

Letnią porą Podhalanie wyruszają z kosami do Królestwa Polskiego lud do Węgier, gdzie *radzi ich widzą*, bo z pewnością nikt nie

---

(1) Z powodu jałowości ziemi uprawa roli przez najemników jest niemożebna, bo płody nie pokryłyby kosztów zbioru. Dla tego to wielcy właściciele prawie wcale roli nie posiadają. Konopka podaje że według kadastru z lat 1845—1850 na Podhalu do wielkich właścicieli należało 528 morgów austr. roli i ogrodów, gdy tymczasem w rękach drobnych właścicieli znajdowało się 39.140 morgów austr. roli. Stosunek ten uległ zmianie w kierunku nabywania roli przez górali. Głównym, jeżeli nie jedynym źródłem dochodu wielkich właścicieli są lasy, nie zawsze należycie zagospodarowane.

zetnie trawy tak nisko i równo jak góral, który każde źdźbło ceni. W jesieni oszczędny góral powraca z dolin z dobrym stosunkowo zarobkiem, ale zwykle z uporczywą zimnicą, któréj zwłaszcza w Węgrzech nabywa.

Góral chętnie najmuje się do ścinania drzew, palenia węgli, i stara się posiąść jak najwięcéj techniki rzemieślniczéj. Brak specyalności jest niewątpliwie wielką wadą mało wyrobionego społeczeństwa, i jeżeli nasz chłop z doliny grzeszy dążnością do rzemieślniczéj wszechstronności, to Podhalanin z pewnością doprowadza tę wadę do ostatecznych granic, bo by chciał wszystko sam sobie zrobić. Znam Zakopiana będącego jednocześnie furmanem (chociaż *nierad furmani*), ślusarzem, kowalem, giserem, bronzownikiem, stolarzem, zdunem, cieślą, drwalem oraz doskonałym i niezrównanym przewodnikiem po górach, a dobrze poszukawszy możebyśmy odkryli w nim jeszcze jaką specyalność ukrytą, naprzykład uzdolnienie do mniéj legalnego polowania na kozy. Naturalnie, każdy Podhalanin obok wszystkich swoich wiadomości rzemieślniczych zawsze jest rolnikiem. Bądź-co-bądź, górale podhalscy sami sobie wystarczają i mało potrzebują pomocy obcych rzemieślników. Pomiędzy Podhalanami znajdują się wcale inteligentni i zdatni krawcy, a przemysł płócienniczy bardzo nawet jest na Podhalu rozwinięty, bo nietylko wystarcza na miejscowe potrzeby, ale nadto pozwala sprzedawać pewną ilość płócien. Sukno także jest miejscowego wyrobu, białe albo czarno-brunatne, stosownie do koloru wełny, która farbowaniu nie ulega. Folusze są własnością górali, albo przynajmniéj przez nich bywają dzierżawione. Tak więc górale sami sobie pod względem ubrania wystarczają, wyjąwszy tylko kapelusz, kupowany w Nowym Targu, oraz kożuszek, czyli *serdak* pięknie na wierzchu czerwoną skórą wyszywany, który najchętniéj kupują w komitacie Liptowskim, gdzie najbardziéj wziętym jest Jałowicki, kuśmierz miejscowy, rzeczywiście na sławę swoją pięknym wyrobem zasługujący; od niego to pochodzą wszystkie pięknie wyprawne i dobrze uszyte serdaki, jakich w Zakopanem dostać można. Obuwie Podhalanin przeważnie sam sobie robi, co nie jest rzeczą zbyt trudną, bo dotychczas na Podhalu najwięcéj używają tak zwanych *kierpci*, t. j. skóry juchtowéj na około stopy obwiniętéj i na wierzchu rzemykiem zeszytéj. Na niedziele i święta coraz bardziéj wchodzą w użycie buty węgierskie u mężczyzn i buciki skórzane u kobiét; ztąd rodzi się potrzeba specyalnych szewców, których zamało jest po wsiach, skutkiem czego powstaje konieczność posiłkowania się szewcami nowotarskiemi. Wszelkie inne wyroby rzemieślnicze, z wyjątkiem uprzęży, wychodzą z rąk samych Podhalan, którzy posiadają nawet własną muzykę,

złożoną ze skrzypców *(gęślików)* i basów. Chociaż to wprost do rzeczy nie należy, pozwolę sobie nadmienić, że wirtuozami miejscowemi są dwaj górale: stary Jan Sabała Krzeptowski i Bartek Obrotka. Podhalanin chętnie bierze się także do handlu, do którego stanowczo więcéj ma zdolności aniżeli jego brat z doliny. Pomiędzy innemi wspomnę tu Jana Sobałę Krzeptowskiego (syna), który będąc dobrym krawcem, stale handluje serdakami Jałowickiego, po które biega do Liptowa, a to w jedną stronę dzień drogi po górach i do tego na góralskie nogi.

Obok rozmaitych rzemiosł, handlu i przemysłu bardzo ważném zajęciem i źródłem utrzymania jest hodowla koni, bydła i owiec. Wogóle należy zauważyć, że Podhalanin, oceniając całą wartość swego dobytku czyli *statków*, jak najlepiéj obchodzi się ze swemi czworonogiemi wychowańcami. Nigdy nie widać tu znęcania się nad zwierzęciem, nigdy głodzenia, chyba w ostatecznéj biedzie; pod względem obejścia się ze zwierzęciem, Podhalanin stoi bez porównania wyżéj od chłopa z dolin, często nawet i od dziedzica dóbr ziemskich. Nic więc dziwnego, że pomimo wielkiéj trudności wyżywienia, nie spotykamy tu owych wychudłych męczenników, tak pospolitych na naszych równinach. Co dziwniejsza, konie nie mają krzywych i drżących nóg, chociaż ciągną ciężary po najgorszych i przerażająco stromych drogach; ale téż góral rzadko i bardzo oględnie używa bata, nie przeładowuje konia, pomaga mu w trudnych miejscach i zawsze zeskakuje z wozu gdy wypadnie pod górę jechać. Podhalanin kocha się w koniach, które z pewną elegancyą zaprzęga w schludne, zawsze mosiądzem i płatami zdobne chomąta. Jedno tylko można zarzucić góralskiemu zaprzęgowi, a mianowicie brak lejców krzyżowanych czyli tak zwanych krzyżaków, skutkiem czego powożący zawsze zależy od dobréj woli swoich koni, które mogą nie usłuchać rozkazów *heta* i *wiśta*, chociażby argumentem bata popartych. Wprawdzie Podhalanie dowodzą, żę *mądry koń obejdzie się bez krzyżowych powódek*, ale gdy praktyka nie zawsze świadczy na korzyść *rozumu* podhalskich koni, przeto nalegania gości skłoniły Zakopian do szybkiego przyswajania sobie tego wynalazku dla głupich koni obmyślonego. Dzisiaj każdy posiadacz krzyżaków z dumą je pokazuje, jako dowód swoich postępowych pojęć furmańskich.

Trudno powątpiewać, iż każdy Podhalanin do zbytku by *statki* swoje mnożył, gdyby na to pozwalały miejscowe warunki. Skąpo w górach wydzielona pasza, zmusza go do hamowania swojéj namiętności.

Konie, płacone od 50—150 złotych reńskich, ważną bardzo odgrywają rolę w gospodarstwie podhalskiem, albowiem wykonywają

wszystkie prace koło roli i koło domu. Liczba koni na Podhalu, zwłaszcza w Zakopanem i wsiach sąsiednich, ulega znacznym nawet zmianom stosownie do pory roku, albowiem na wiosnę Podhalanin zwykle dokupuje konia, którego w jesieni odprzedaje. Taki ruch koni przedewszystkiém spostrzegać się daje u Zakopian i Poronian, trudniących się przewożeniem gości. Skutkiem takiego kupowania i odprzedawania Podhalanin na każdym koniu traci 10 do 15 reńskich, co właściwie żadną nie jest stratą, bo odprzedawany koń dużo więcéj zarobił w lecie, zwłaszcza u furmana. Podhalanin kocha swoje konie, a furmanowi największą sprawia przyjemność jeżeli jest w stanie obadwa konie zimować, oraz jeżeli mu się uda dobrać parę siwków. Ta namiętność do siwków wpływa nawet na ich cenę, albowiem siwki są droższe od koni innéj maści. Na Podhalu, dla braku paszy, nie ma hodowli koni, lecz każdy kupuje sprzężaj w miarę potrzeby. Ztąd nie ma tu jednostajnéj, szczególnéj rasy koni, jak np. u Hucułów; pomimo to jednak wszystkie konie podhalskie są średniego lub małego wzrostu, na cienkich nogach i o zgrabnem kopycie. Wszystkie, zwłaszcza używane do wożenia mléka z hal, nadzwyczaj są ostrożne w chodzie i pomimo najgorszych dróg prawie nigdy się nie potykają. Konopka podaje, że w r. 1867 na Podhalu było 5.148 koni, ale nie wyjaśnia czy mówi tylko o koniach zimowanych, czyli też o koniach podczas lata trzymanych. Ta sama wątpliwość stosuje się do cyfr bydła rogatego i owiec przez tegoż autora podawanych.

Bydło rogate, czyli *hruby statek*, a przedewszystkiém krowy, bardzo ważną rolę odgrywają w gospodarstwie podhalskiem. Krowa, płacona 30—50 reńskich, dostarcza nabiału, tyle przez Podhalan cenionego, a podpasiona przez lato zapewnia zysk przy sprzedaży jesienną porą. W lecie każdy Podhalanin kupuje tyle krów, ile ich może na hali utrzymać, a w jesieni nadliczbowe sztuki sprzedaje Słowakom liptowskim, którzy biją kupione krowy i mięso marynują na potrzeby zimowe. Tym sposobem w parafii zakopiańskiéj, liczącéj 4.000 dusz, co rok mieszkańcy sprzedają do 1.000 krów, zyskując na każdéj 5 do 10 reńskich, oprócz mléka przez całe lato otrzymywanego. Słowaki zachowują się tutaj bardzo niedorzecznie, bo mając obfite i bujne pastwiska nie korzystają z nich jak należy i zamiast wzmocnić hodowlę wspaniałych wołów węgierskich, kupują od sąsiadów krowy daleko gorszéj na rzeź rasy. Bydło podhalskie należy do rasy krótko-rogiéj (*Bos bruchyceros*, Rütimeyer, *Bos longifrons*, Owen). Wzrost bydła jest drobny, nogi cienkie, racice małe, łeb mały, szczupły, zgrabny, oczy wypukłe, duże, oczodoły sklepiste i wydatne, czoło w tylnéj swéj części daszkowato wypukłe, rogi

małe, stożkowate, najczęściéj czarne, czasami białe. Maść bydła jest po największéj części czerwona (cisawa) rozmaitych odcieni; czasami zdarzają się zupełnie myszate sztuki, a kilka razy zauważyłem krowy buldoczéj maści t. j. żółte z ciemnemi pręgami poprzecznemi, bardzo ostro narysowanemi. Podhalskie bydło odpowiada tak zwanemu *Braunvieh* gór Szwajcarskich. Goście z dolin przybywający często przyganiają góralom, że się nie starają o roślejszą rasę bydła. Nagana jest nieuzasadnioną, albowiem nikt na hali innéj rasy nad górską nie utrzyma; ciężka krowa nie jest w stanie wejść na strome pastwiska górskie, ani też może się utrzymać na silnych pochyłościach. Prawda, w Zakopanem i wogóle na Podhalu możnaby mieć bydło najwspanialszych nawet ras, ale pod warunkiem trzymania go na stajni. Tam, gdzie wystarczają pastwiska w dolinie położone, np. w Kuźnicach zakopiańskich, daje się spostrzegać roślejsze bydło, będące mięszaniną górskiéj rasy krótko-rogiéj (*Bos brachyceros*) i dolinowéj rasy turzéj (*Bos primigenius*), ale bydło na halach pasane z konieczności należy tylko do pierwszéj.

Pomimo drobnego wzrostu, podhalska krowa daje do jednego garnca mléka na dzień. Konopka podaje, że w r. 1857 hodowano na Podhalu 28.622 sztuki bydła rogatego, w téj liczbie 14.227 krów i 11.957 jałówek, ale pozostawia nas w wątpliwości czy mówi o sztukach pasionych po halach, czyli też o zimowanych.

Owce *(strzyżki)* stanowią niezbędną część składową każdego *gazdostwa*, jako dostarczające sera i wełny. Każdą owcę przez całe lato trzy razy dziennie doją, oraz strzygą dwa lub trzy razy w ciągu roku, stosownie do bujniejszéj lub chudszéj paszy. Owca w ciągu lata dostarcza dziennie do jednéj kwarty mléka, oraz daje do 6 funtów wełny na rok (Konopka mylnie podaje 1 ½ do 2 funtów wełny na rok). Wełna jest długa, kędzierzawa, lecz stosunkowo gruba; służy ona do wyrobu używanego na Podhalu grubego sukna. Wyprawne skóry dobrych dostarczają kożuchów. Owce są duże, z długą mordą i małemi rożkami, albo najczęściéj bezrogie. Rogi tryków są bardzo małe i słabo skręcone. Owce są białe, albo czarne i wtedy siwieją w czwartym lub trzecim roku życia. Hodowla owiec odbywa się na tych samych zasadach co hodowla krów; w lecie każdy gazda powiększa swe stado do możliwych rozmiarów, a w jesieni znowu je zmniejsza według zasobów paszy zimowéj. Bądź-co-bądź, na jedną krowę u każdego gazdy wypada dwie lub więcéj owiec, trudno więc zrozumiéć jakim sposobem według Konopki na Podhalu wraz z Nowotarszczyzną ma być tylko 18.000 owiec, kiedy samo Podhale posiada 28.622 sztuk bydła rogatego? Owca kosztuje 3 do 10 złotych reńskich.

Kozy zajmują na Podhalu zupełnie podrzędne stanowisko. Trzoda chlewna jest raczéj przedmiotem zbytku, przeznaczonym na zapusty i Wielkanoc. Nie jest ona związana z bytem Podhalan.

Hodowla możliwie licznych *statków* zmusza Podhalan do największéj oszczędności paszy, oraz do zabiegania o podściółkę, któréj nie można tu poświęcić ani jednego źdźbła słomy, przeznaczonéj wyłącznie dla inwentarza. I tutaj, jak w całém swem życiu, Podhalanin jest zmuszony do przemysłu, oszczędności i walki z najcięższym niedostatkiem. Dla zużytkowania wszelkiéj rozporządzalnéj paszy Podhalanie wyprawiają swój dobytek na górskie pastwiska czyli *hale* (1) o ile można najwcześniéj, w maju lub w pierwszéj połowie czerwca. Do cieplejszych, niżéj położonych hal, stada wyruszają wcześniéj, do zimniejszych zaś, wyżéj leżących pastwisk, późniéj wychodzą. Pasienie na hali ciągnie się do końca sierpnia, t. j. do początku żniw, w którym to czasie następuje powrót do wsi, czyli *redyk*. Krowiarze i krowiarki, oraz juhasy pomagają w żniwach, a po sprzątnięciu zboża dobytek pasie się na ścierniach aż do zupełnego ich spotrzebowania, poczém znowu powraca do bliższych hal, gdzie aż do śniegów pozostaje. Jeżeli w jesieni nastąpi odwilż czyli *zmięk*, stada powracają do cieplejszych hal, gdzie pozostają jak można najdłużéj, t. j. dopóki ich śniegi do ostatecznego *redyku* nie zmuszą. Brzegi rowów i dróg spasają krowy pozostawione we wsi na lato. Jedném słowem, na Podhalu każde źdźbło trawy zostaje spożytkowane.

Wszystkie tu pokrótce przedstawione źródła dochodu i pożywienia zaledwie wystarczają na bardzo skromne utrzymanie.

Chléb żytni, a tém bardziéj pszenny, jest przedmiotem zbytku i tylko w święta, lub podczas uroczystości domowych pojawia się na stole Podhalana. Mięso także jest zbytkowym pokarmem, bar-

(1) Halami nazywają w Tatrach górskie pastwiska położone na rozmaitych wysokościach, od krainy buczyny aż do krainy nagich wirchów. Hale zawsze tedy leżą w samych Tatrach, dokąd nie sięgają stale ludzkie mieszkania. Profesor Nowicki (porównaj „*Kozica*,“ Kraków 1868, oraz „Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego,“ tom I, str. 32) i Ksiądz Sutor („Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego,“ tom I, str. 47) utrzymują, że hale są *pastwiskami położonemi powyżéj górnéj granicy lasów*, co stanowczo jest błędném, albowiem dużo jest hal położonych w pasie lasów, t. j. dokładniéj mówiąc w krainie świerczyny a nawet buczyny. Do takich hal śródleśnych pomiędzy innemi należą: Smytnia, hala Tomanowa, Chocholowska, Mała łąka, Kondratowa, Olczyska (z któréj owce pasają pod Kopą Magórą na stokach przełączy wśród lasu położonéj), daléj hale w dolinie Białego, w Strążyskach i t. d. Hala śródleśna zawsze tworzy łączkę bez drzew, czyli tak zwaną u nas haliznę. Łąkę górską, na któréj można zbierać siano nazywają *polaną*. Polana zawsze leży wśród lasu.

dzo rzadko spożywanym i nie dla każdego jest dostępne. Głównym pokarmem Podhalana jest gruba mąka owsiana, w rozmaity sposób przyrządzona, grule, kapusta i nabiał.

Z owsianéj mąki pieką cienki, zakalcowaty placek *moskalem* zwany, który należy do wykwintnych potraw, zwłaszcza gdy jest masłem omaszczony. Na moskala potrzeba dużo mąki, a zatém jest on zbyt kosztowny na zwykły pokarm; główném pożywieniem jest daleko tańsza papka powstała z mąki owsianéj na wrzącą wodę sypanéj. Powstała ztąd papka rozmaitéj bywa gęstości odpowiednio do stosunkowéj ilości mąki i rozmaite nosi nazwiska. Jako przyprawa papki służy masło lub mléko, czasami bryndza. W razie nieurodzaju Podhalanie zastępują owies kukurydzą na Węgrzech kupowaną, któréj nie lubią i tylko z konieczności spożywają. Grule, kwaśna kapusta i groch dopełniają podhalskiéj kuchni, która, jak widzieliśmy, przyprawia potrawy rozmaitemi przetworami mléka, z pomiędzy których najważniejszém jest masło, ser i bryndza.

Ser i bryndza są jedynym pokarmem azotowym stale na Podhalu spożywanym i z tego powodu nadzwyczaj ważną rolę odgrywają w życiu Podhalan. Podhalska bryndza jest owczym twarogiem starannie rozkruszonym i osolonym. Bryndzę przechowują w beczkach, jako bardzo ważną część zapasów zimowych. Ilość bryndzy i serów na Podhalu wyrabianych nie przewyższa potrzeb miejscowych, a stąd obadwa te produkty prawie wcale nie wychodzą po za obręb téj krainy; zresztą przyznać należy, że owczy ser podhalski bardzo niskiéj jest wartości jako chudy i suchy, i w żadnym razie nie mógłby współzawodniczyć z owczémi serami na dolinach wyrabianemi.

Jak widzimy, żywność Podhalan jest pod względem jakości bardzo poślednia, ale Podhalanin uważałby się za szczęśliwego, gdyby jéj miał poddostatkiem; na nieszczęście rzecz się ma wprost przeciwnie. Podhale stosunkowo do swego zaludnienia bardzo mało posiada żywności i góral pomimo wszystkich zabiegów jest zmuszony do poprzestawania na bardzo małém. Podhalanin je niesłychanie mało, prawie tyle tylko ile potrzeba dla utrzymania życia, często zgłodu przymierając. Ztąd u Podhalan powstało przysłowie, że żyją *powietrzem*, *wodą i głodem*. Nie ma nadziei, aby z jałowéj roli udało się dużo więcéj niż dzisiaj otrzymać. Hodowla bydła i owiec także niewiele tylko mogłaby być wzmocniona. Konieczném tedy następstwem wzrastającego zaludnienia jest coraz bardziéj zwiększający się niedostatek oraz nagląca potrzeba nowych źródeł zarobku. Wprawdzie, jak widzieliśmy, pomiędzy Podhalanami dużo jest rzemieślników, ale rzemiosła zmierzające do zaopatrywania w rozmaite wyroby braci Podhalan mało przynoszą zysków, bo od biednego niepodobna

dużo zarobić. Trudno powątpiewać, że stan ekonomiczny Podhalan mógłby się stanowczo poprawić tylko w razie wprowadzenia rzemiosł, któreby dostarczały wyrobów zdatnych do wywozu i spieniężenia w większych miastach, jak się to dzieje w górach Szwajcaryi i Niemiec. Dotychczas w Zakopanem istnieje tylko szkoła snycerstwa wielkie rokująca nadzieje; snycerstwo niewątpliwie dobrego dostarczy zarobku wielu góralom, ale naturalnie samo jedno nie da chleba 30 tysiącom mieszkańców Podhala. W Zakopanem niesłychanéj wagi jest dwumiesięczny pobyt gości, zwłaszcza, że przypada podczas najcięższego przednówka, bo żniwa rozpoczynają się dopiéro ku końcowi sierpnia. Dostarczanie mieszkań, furmanek, żywności i przewodników nie małe zapewnia zyski, które przedewszystkiém spływają na mieszkańców Zakopanego, oraz w części na mieszkańców Poronina, Kościelisk i niektórych innych wsi sąsiednich. Jest to bardzo ważne źródło dochodu, nie wyłączające jednak konieczności stałego zarobku z rzemiosł na eksport obliczonych.

(d. n.) *August Wrześniowski.*

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA
LITERACKIE.

Marya Konopnicka. Poezye. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1881. str. 307. — Czesław. Poezye. Zeszyt I. Warszawa. 1879. str. 94 i II. Zeszyt II. Kraków. Nakład Anczyca. 1881. str. 90.

Lucyan Siemieński nazwał raz dziesięciolecie poprzedzające rok 1831 wiosną poezyi naszéj, kiedy-to jak na wiosnę każdego roku, „rozlegało się powietrze koncertami śpiewaków leśnych, polnych, wodnych, śpiewających hymn na powitanie słońca i życia.“ Po téj wiośnie nastąpiło wspaniałe lato i wcale niebrzydka jesień, pozostawiając po sobie wzniosłe, piękne lub miłe wspomnienia. Że obecnie owa jesień poetycka już dawno minęła, to nie ulega wątpliwości najmniejszéj; można się jedynie zawahać w charakterystyce doby spółczesnéj, czy ją za trwającą ciągle jeszcze „gnuśną zimę“ czy za budzącą się „nową wiosnę“ poczytywać.

Nie można powiedziéć, żeby doba dzisiejsza była tą porą, w któréj tylko szare wróble ćwirkają lub mityczne „zimorodki“ (halcyony) zawodzą; i owszem imiona śpiewaków są liczne i różnorodne, tylko, że w metodzie ich śpiewu nie tyle znać słowików lub choćby skowronków, ile pięknemi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę. Wprawdzie kanarków nie brakowało w poezyi nigdy; chwila jednak obecna tém się charakteryzuje, że ma takich tylko pieśniarzy. Może to więc i „nowa wiosna,“ tylko że w niéj odmienne od pierwszéj głosy słyszymy.

Poeci dzisiejsi nie zarysowują indywidualności swojéj wydatnemi konturami. Zapewne, jako jednostki, różnią się oni od siebie, mają właściwości swoje odrębne; co więcéj, kiedy-niekiedy usiłują tę odrębność zaznaczyć; ale biorąc rzecz ogólnie, trudno nie zauważyć, że posiadają jednę cechę wspólną: są wirtuozami, którzy najróżno-

rodniejsze usposobienia i uczucia, najsprzeczniejsze myśli i poglądy, z jednakowym talentem wyśpiewać potrafią. Odziedziczywszy cudnie wyrobiony język poetycki, umieją zazwyczaj władać nim wybornie, a chcąc pokazać swoje pod tym względem mistrzostwo, nastrajają się na tony, w których odznaczyli się nasi lub obcy twórcy.

Jeden z tych wirtuozów, nie należący zresztą ani do pierwszo- ani do drugo-rzędnych, zupełnie szczerze się przyznaje do niemożności wynalezienia nowych tematów i do zależności od poetów prawdziwych i wielkich:

Już wyśpiewano
Wszystko na ton rozmaity:
Niebios błękity,
Majowy wieczór i ranek
Płochość kochanek,
Twarz bladą łzami zalaną,
Już wyśpiewano. (*Czesław*, II, 24).

Wirtuoz przyznaje się, że go ostrzegano, ażeby nie szedł drogą przez wielkich wieszczów utartą „żyjąc ich pieśni echem, skrą ich ducha,“ bo

. . . . dzisiaj poeta
Dobić się sławy nigdy nie potrafi,
Chwyci z Heinego coś a coś z Musseta,
Błyśnie i zgaśnie—we własnéj parafji. (*Czesław*, II, 5).

W téj przygodnéj wzmiance o wzorach dla dzisiejszych wirtuozów nie ma wspomnienia o Słowackim, zapewne z tego jedynie powodu, że nazwisko jego nie nadawało się do budowy pięknie utoczonéj zwrotki; ale to niewątpliwa, że ten właśnie wieszcz największą liczbę naśladowców w czasach naszych wywołał. Najczęściéj korzystano, czasami w sposób przynoszący ujmę własności literackiéj, z jego istotnie bogatéj i świetnéj frazeologii, często bardzo tworzono wiersze w jego duchu, niekiedy pisano większe nawet poemata, które dziwnie przypominały zarówno zakres myśli jak i barwę fantazyi autora Balladyny.

Ciekawą wielce jest rzeczą, jak się starano nastrój i dykcyą tego fantasty nagiąć do opowiadania o rzeczach codziennych, powszednich, a co najmniéj, bardzo blisko przy powierzchni ziemi krążących. Weźmy np. poemat niewątpliwie oryginalny *W Szwajcaryi* i poemacik, który pragnie być oryginalnym — *Romans wiosenny*. Z natury swego usposobienia Słowacki przemienił rzeczywistość w obraz fantazyjny, rozkoszny, w którym nieprawdopodobieństwa nawet razić nas nie mogą, gdyż całość jest mgłą poetyczną otoczona, a rzecz rozgrywa się nie tyle na twardéj ziemi, wśród stosunków

towarzyskich rzeczywistych, ale na niwie bogatéj, świetlanéj fantazyi niepospolitego poety, który nie rzeczywistość odtwarzać, ale ją dostrajać do wyżyn swego życia umysłowego zapragnął. Do tak pojętéj treści wybornie się nadają rozwiewne porównania, eteryczne określenia, kapryśne epitety.

Inaczéj z *Romansem wiosennym*. Tu kocha się dwoje ludzi zwyczajnych wśród otoczenia zwykłego. Nie ma tu ani gór purpurą zachodzącego słońca okrytych, ani szaletów, ani kaplicy Tella, ani przepysznych krajobrazów. *On* zobaczył *ją* w maleńkim dworku „zgubionym w zieleni drzew,“ o dachu nizkim, pokrytym „słomą poczerniałą.“ Ona nie była „piękną, salonową,“ zbroja zwyczajów i konwenansów światowych „nigdy nie strzegła jéj piersi śnieżystych;“ wiemy wszelako, że zamiast zbroi był na nich muślin. Bawili się ze sobą w „krzakach jeżyn, leszczyny i tarni,“ zaglądali do gniazdka pliszki przypatrywali się żabce zielonéj, za barometr służącéj, wreszcie rozmawiali i... całowali się. Rozstali się niewiadomo dlaczego; on za nią tęsknił a dusza jego „zraniona i chora“ często się zwracała do owych chwil pięknych i drogich, które niepowrotnie minęły... Dotąd wszystko jeżeli nie zupełnie dobrze, to w każdym razie nieźle; chwile takie szczęśliwe i przypomnienia takie tęskne wydarzają się prawie każdemu śmiertelnikowi; każdy też mógłby odczuć je a poezyą o nich opowiadającą ukochać jako wyraz prawdziwy wspomnień swych serdecznych. Ale poetki nie zadawalnia treść zaczerpnięta z życia; oczytana w Słowackim, rada była dodać zwykłemu wątkowi jakiéjś cudnéj poetyckiéj woni, coby wątek ten przejęła atmosferą od powszedniości odrębną. Cóż więc robi? Oto zamiast osobom swego opowiadania pozwolić żyć wśród ludzi, ona je wyosabnia, oddziela od świata. W poemacie Słowackiego takie wyosobnienie nas nie dziwi: tam wszystko się odbywa w warunkach nadzwyczajnych. W *Romansie wiosennym* zaś jedne sceny są w warunkach zwykłych, inne w poetycznie zmyślonych umieszczone; stąd dysharmonia treści i wykonania. Ale przypuśćmy, że się znalazła gdzieś para, nie mająca ani ojców ani matek ani wujów ani stryjów ani ciotek ani babek ani przyjaciół i przyjaciółek, idąca poprzez tłum samotnie; to przecież samo jéj zachowanie się, same jéj uczucia musiały mieć w sobie coś rzeczywistszego, coś realniejszego nad takie np. objawy na Słowackim wzorowane:

Jam ją zobaczył; a *piérwsza ptaszyna*
Lecąca w niebo podsłuchała *dziwem*,
Że serce moje stało się lękliwém,
Że czegoś w gaju śmiała się olszyna,
Że się fijołki rozwiły dziś łzawe,
Że słońce weszło odmiennie jaskrawe...

Że ona miała oczy tak przejrzyste,
Jak niezabudka, kiedy na nią padnie
Rosa...

Dziecięco-naiwne gniewy zapewne inaczéj się wyrażały, aniżeli w téj tragiczno-komicznéj scenie z makiem polnym, który „stanął“ obok śpiącéj:

. . . . Krew we mnie zawrzała!
Ten polny maczek zdał mi się zuchwalcem,
Współzalotnikiem, zdrajcą i *padalcem...*
Z goryczą w sercu począłem rozważać
Jéj dziwną płochość. Mogłaż się narażać
Na to sąsiedztwo? nie byłaż to zdrada?...
Uczułem zazdrość i gniew tak kipiący,
Żem zerwał szorstko, tuż nad głową śpiącéj
Ten mak obrzydły i.., zdeptałem nogą...

Zdaje się, że w całéj téj awanturze krew nie miała nic do czynienia; że tu pracowała tylko fantazyjka, przypominająca sobie rzeczy niegdyś czytane i reflektująca zabawnie, jakby z komentarzem estetycznym w ręku:

Ah! zrozumiałem, że zabijać mogą
Ludzie rywalów—jam *kwiat zamordował...*

A kiedy kochankowie mówią sobie ,,kocham,“ to jak u Słowackiego nie wiadomo było kto winien, czy on czy lilia, tak i tu ta sama fantastyczna panuje niepewność:

I dotąd nie wiem, czy róża, co dyszy
Lubém wzruszeniem, to słowo wyrzekła?
Czy ta konwalia, co się do snu kładła,
Czy ta wiewiórka, co w gąszczu przepadła,
Czy jasność dniowa, która nam uciekła?
Czy ja sam może?... Kto zgadnie?... Kto powie?...

Powody rozstania się uosobione w plotkach rozniesionych przez ,,motyla“ pośród ,,żółte tulipany“ i ,,brzydkie makówki“ mogą być zrozumiałe jedynie w poemacie fantastycznym, w którym się wszystkiego tylko domyślamy; ale w wątku z rzeczywistości wziętym wyglądają tak jak wieżyczki gotyckie na dachu krytym ,,poczerniałą słomą.“ Tak się kochają i tak się rozstają tylko mary wyobraźni przepojonéj wspomnieniami świata, stworzonego przez autora *W Szwajcaryi.*

To oplątanie wątku rzeczywistego w sieć frazeologii romantycznéj daje się uczuć dotkliwiéj jeszcze tam, gdzie realizm szczegółów wziętych z życia powinienby był skłonić poetkę do realistycznego traktowania całości. Jeżeli np. poetka przedstawia biedną

matkę, która sama nie ma czém dziecka nakarmić i utulić, to jakież wrażenie mogą wywrzéć na czytelniku takie puste frazesy:

Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca
O srebrny rąbek,
By *ciepléj miała* dziecinka jéj drżąca,
Biały gołąbek?
Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,
Bo matki nie ma?
Czy zaklnie cienie, by za nią nie biegły (?)
Jak *anatema?*

A trzeba zawsze pamiętać, że te romantyczne powiewy łaczą się tu i plączą ustawicznie z atmosferą życia wraz z jego bólami i klęskami. Wyrobnik fabryczny, nieoświecony, nie może w głowie swéj roić filozofii natury będącéj zdobyczą naszego wieku; on ma swoję filozofię, to prawda; opartą jest ona na religii i doświadczeniu, ale trudno od niego żądać, by „czuł się cząstką i ruchu i siły, lecz nieświadomą i bierną jak dziecię,“ bo to przechodzi zakres zwykłych jego wyobrażeń. Sędzia mający wydać wyrok może wprawdzie jak filozof zastanawiać się nad przyczynami niemoralności nieletnich przestępców, ale nie zwykł przekraczać przepisów i pieścić tego, którego miał osądzić, i obiecywać mu, że posyłać go będzie do szkoły. Takiemi drobiazgami prozaicznemi gardzili romantycy, ale nie powinniby gardzić poeci dzisiejsi, pragnący otrzymać posłuchanie u społeczeństwa.

W całym zbiorku Poezyj p. Konopnickiéj jest jeden tylko wiersz, w którym forma romantyczna nie zepsuła pięknéj i zacnéj myśli. Jest-to wiersz p. n. *Jaskółka.* Budowa jego naśladowana widocznie z Lenartowicza:

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...

Przylatuje jaskółka i rozgląda się po wiosce, do któréj corocznie przybywa. Wszędzie widzi to samo: na drogach kałuże i wyboje, dachy chat garbate zapadają się; ściany się krzywią; na twarzach ludzi znękanie, dzieci wzrastają jak płonne kłosy na dzikim ugorze. Ona leciała z dobrą nadzieją, że zastanie nad wioską i słońce i błękit, a tymczasem spotyka się z zimą bez końca; więc woła smutna:

Och, gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,

Myśl zstrzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią
I lud-by się zbudził narodem.

W dworku szlacheckim pani domu spostrzegła jaskółkę i posłyszała jéj skargi, że pod strzechą wieśniaczą bieda, a w główkach dziecięcych ciemno. Przemówiła do męża ciepło, serdecznie za oświatą ludu, za szkółką. Z odpowiedzi dowiedziała się, że nauka dla chłopa to co najmniéj rzecz rezykowna i że najlepiéj o tém nie myśléć i czytać gazety. Pani na tém nie poprzestaje i pobudzona głosem jaskółki jeszcze goręcéj do męża przemawia; napróżno!

Co?... może ja *pierwszy* mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
Nauczać z niéj ludek, jak klecha?..
Ztąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, iż trudy się takie opłacą,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?
Daj pokój!... czytajmy gazety!...

Jaskółka odlatuje od dworku z tęskną prośbą do Boga o więcéj światła i więcéj ciepła, bo „zakrzepła ziemia rozbudzić się ze snu nie może.“ Wolno nazwać dość szczęśliwą poetycznie tę szatę, która morałowi odejmuje zbyt surowy, dydaktyczny wygląd; a szczęśliwą jest chyba dlatego, że wzięto ją ze skarbca myśli ludowéj, téj najgłębszéj warstwy w historyi kształcenia się narodu.

A jak w zakresie obrazowania poetycznego, tak samo w sferze myślenia, romantyka dawna przebija się wyraźnie poprzez wyniki dzisiejszego sposobu pojmowania rzeczy. Surowe warunki rzeczywistości, zdobycze ciągle rozwijającéj się nauki, trzeźwe usposobienie panujące wśród inteligentnego ogółu podziałały na poetów doby spółczesnéj, zmusiły ich do myślenia, do zastanawiania się poważnego nad własnemi uczuciami i zdaniami, nad zagadnieniami chwili, nad potrzebami społeczeństwa. Ten zwrót w siebie a równocześnie skrzętne rozglądanie się wokoło wytworzyły w poezyi naszéj wybitny nastrój refleksyjny, który powagą i surowością swoją zaciążył nad istotami „lekkiemi i świętemi“ i wtrącił je w stan niezwalczonych zwątpień a przynajmniéj mroku myśli i dążeń, który wywołuje równie mroczne, niejasne, ze sobą częstokroć sprzeczne natchnienia, będące odbiciem chwilowych wrażeń lub chwilowych usposobień.

Niepokojona smutkiem, targana boleścią poetka szuka ciszy „w świątyni tajnéj przyrodzenia,“ w któréj od świata dzieli ją milczenie. Nie jest szczęśliwą, nie może i nie chce patrzyć w słońce, więc spuszcza oczy na dół a łzy pokrywają źrenicę. Już ją strudził przybrany uśmiech, niezgodny z ciemnią w jéj duszy; pragnie *być sobą* (*Echa majowe*, str. 150). Tak bywa w pewnéj chwili; w innéj—inne, wprost przeciwne życzenie duszą poetki zawładnie; wtedy błagać będzie:

> Niech ja zapomnę, że nade mną ciążą
> Minione wieki posępną żałobą...
> Niech mnie ustawy, niech prawa nie wiążą!
> O! niech zapomnę, że *muszę być sobą!*...

To, co w pierwszym razie było ucieczką przed światem i jego sprawami, staje się teraz męczarnią nie-do-zniesienia; więc poetka nie chce nic widzieć, bo każda rzecz przypominałaby własną jéj istotę:

> Zasłoń mi oczy, ty chmurko rozwiana,
> Któréj cień nikły jasność dzienną mroczy..
> Z oddechu kwiatów, z łez zdroju utkana,
> Chmurko srebrzysta, ach, zasłoń mi oczy! (*Ostatnie piosnki*, 304).

Jeżeli rozmyśla nad znaczeniem kobiéty w ludzkości, to nauczona doświadczeniem, umie podać wiele trafnych określeń, mianowicie przeczących, czém miłość być nie powinna, lecz nie może zapomnieć o przesadzie romantycznéj i twierdzi, że miłość kobiéty „nie tylko szczęściem jest, lecz *złotą wagą*, co byt wszechświata utrzymuje w ruchu,“ że kobiéta nie powinna przykuwać „do trosk nędznych, ciasnych“ mężczyzny, co „przywykł na myśli podmuchu wzlatać jak orzeł po najwyższych szczytach i gniazdo zwijać w błękitach.“ Zapomina poetka, że dawne to-już czasy, kiedy gniazdo w „błękitach“ zwijano i że teraz idzie nie tyle o wysokie „podmuchy“ myśli, ile o rozumne zużytkowanie tego, co się ma na ziemi.

Jeżeli poetka chce dawać rady, to znajduje w zapasie wiele myśli trafnych, uczuć jędrnych, energicznych. Umie ona wypowiadać słowa prawdy tym poetom, co się skarżą na wiek „ważący i mierzący ideały,“ na bezechowość pieśni, na wyścig do złotéj mety i słusznie poniekąd twierdzi, że jeżeli poeci znajdą ton, co jest tętnem stuleci, to znajdą się miliony serc pieśnią wzruszonych (*Fragment*, str. 147). Podobnież potrafi słowami pełnemi energii zachęcać do wytrwania, wie bowiem, że „póki w ciemnocie choć jeden duch kona, niewolno spocząć żadnemu z szermierzy w ciszy własnego istnienia.“ Woła więc:

Bądź silnym! życie swą wagą przygniata
Tych, co bez steru świadoméj zasady
Wśród zdarzeń, zjawisk i sprzeczności świata,
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk ów blady. .

Pojmuje znaczenie i doniosłość energii:

Ten kto nieść będzie pochodnię nadziei,
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim,—ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała;
Ten tylko imię „człowieka" wysłuży
W nieśmiertelności błękitach.

Ale te przekonania, wzniosłym poglądem nacechowane, są tylko jakby szatą odświętną przybraną dla niezwykłych gości; w domu, u siebie, przy ognisku domowém ducha, doznaje ona trwóg i niepokojów nieokreślonych i może tém bardziéj dręczących, które scharakteryzowała, mimowiednie zapewne w czterowierszu:

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata
I wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne
I w ciszę rzuca pytania namiętne...

Forma pytań, w które ujęte są dość liczne wiersze, jest właściwością pani Konopnickiéj bijącą odrazu w oczy, którą sama poetka starała się usprawiedliwić w utworze p. n. „Nie dziw się." Odpowiedzi nikt mi nie dał jeszcze—powiada—idę więc i w próżni chwytam jakieś przebłyski dalekiego świtu; lecz to są tylko nagłe błyskawice ze starcia myśli wynikające; słyszę tylko łkania, skargi i bluźnierstwa na bezlitośne tajnie życia. Idę w pomroce zwątpień, któremi trują się dziś duchy. Cóż dziś pozostało niezachwianém, wiecznie pewném, niezłomnie prawdziwém? Bladzi badacze, co się w nędzy własnego istnienia grzebią, jak w ziemi napół ślepe krety, odarci z uciech, a nieraz i z cześci, samotni, mają w piersiach krwawą ranę i wiedzą, ile poczucia nędzy i niemocy jest w tém jedném słowie: *dlaczego*? Często więc bardzo w téj formie pytania roztacza poetka przed czytelnikami swe wątpliwości i niepokoje i wtedy też zazwyczaj pozostaje w zgodzie z chłodną rozwagą; ale często także niecierpliwie chce pochód myśli przyśpieszyć i rozwiązać czy rozciąć dręczące ją zagadki, a wówczas usiłuje pójść tam, „gdzie tchnienia czas nabiera w biegu, gdzie przestrzeń linie swe rozmierza, gdzie nicość

uderza w życie jak piorun," wówczas pragnie „wieczne ogniwa bytu liczyć, aż prawda zrzuci zasłony obłoczne." Metafizyka-to co prawda nieszkodliwa, chyba dla bardzo słabych główek; podobnie też z uśmiechem można się przysłuchiwać buddaistycznym marzeniom:

Zabierz mnie srebrna, ach, zabierz mię w siebie
Ty, wstęgo mleczna!
Roznieś mnie, wietrze, po ziemi i niebie,
Gdzie cisza wieczna!
Albo mnie z czoła zrzuć, cichy błękicie
Jak iskrę marną...
Albo mnie, ptaszki, pochwyćcie o świcie
Nad ziemią czarną!
I niech w przestrzeni zagasnę nareszcie
Jak błysk, co znika;
A wy mnie, szumy, po drzewach rozniesćie
Gdzie puszcza dzika!

Tak-to poetka, która innym zalecała odciśnięcie pieczęci własnéj na duchu wieku, sama kończy życzeniem rozpłynięcia się we wszechświecie.

Nie może być ona przodowniczką żadnéj myśli, bo jeszcze ze sobą do zgody nie doszła; może być tylko amplifikatorką pomysłów, jakie wyobraźnię jéj w chwili bieżącéj uderzają, może być echem niewyraźném tego, co się mówi i pisze wśród społeczeństwa.

Nie bez rozmysłu użyłem wyrazu „amplifikatorka"; zdaniem bowiem mojém talent pani Konopnickiéj jest przedewszystkiém retoryczny, nie zaś czysto-poetyczny. Autorka pragnie przekonać o jakiéjś rzeczy, siebie czy kogoś, i dlatego pisze wiersze; rozumowanie zajmuje w nich więcéj miejsca aniżeli obrazowanie. Zdolności plastycznéj, pani K. nie posiada prawie wcale; dowodem tego dwa opowiadania: *Klaudya* i *Tarcza Scypiona*, tudzież cała serya wierszy zatytułowanych: „W górach." Treść Klaudyi poczerpnięta widocznie nie z Liwiusza, lecz z jakiegoś mętniejszego źródła, albo też dowolnie a niezbyt zręcznie przez autorkę przetworzona, nadawała się do pięknego obrazka historycznego. Autorka nie starała się jednak bynajmniéj o koloryt miejsca i charakterystykę czasu, a nawet zaniedbała opis postaci, który składa się albo z oderwanych ogólników, albo z takich określeń jak: „Valerius Falton *o wspaniałéj brodzie.*" Liczne postaci przesuwają się poprzed oczyma naszemi jak cienie, niczém się w pamięci nie zaznaczając, a bohaterka sama Klaudya, nie osobą swoją ale zdarzeniem, w które jest wplątana, zarysowuje się w naszym umyśle. Rzymianie noszą nazwiska Hannonów, augurowie wzywają Hermesa... Wartość opisów poznać można z następne-

go kawałka: Augur dojrzał na morzu Klaudyą w łódce i poszepnął jéj imię...

Była chwila
Ciszy wśród tłumu po tym szepcie, echa
Tylko nadbrzeżne, miękkie i pieszczotne,
Szepnęły: Klaudya!... i umilkły drżące,
Jakby to imię miało samo z siebie
Jakieś oddźwięki namiętne, palące,
Od których więdną kwiaty i wilgotne
Rosy zajmuje płomień, a *na niebie*
Gwiazdy blednieją i *lecą strącone...*

Mało co lepszą od Klaudyi pod względem plastyki jest *Tarcza Scypiona*, w któréj wspomnienie walki Rzymian z Kartagińczykami łączy się z przygodą rybaka, co w 18 wieków po niéj tarczę wodza rzymskiego z Rodanu wyciągnął... Jak nieszczęśliwe są tu niekiedy porównania można osądzić z kilku wierszy:

Wiosenne wody przybrały z gór stoków...
I nowe wiry zerwały się z szumem,
Kręcąc się niby *zaklęte wrzeciona,*
Co przędą tęcze i promienie słońca(!.)

Obrazki natury górskiéj, pod wpływem podobnych utworów Asnyka kreślone, nie mają wcale życia; są studyami pracowicie odrobionemi, w których autorka wysilała się na odmalowanie piękności przyrody, nie odczuwając jéj głęboko. Jakież wrażenie może wywołać taki np. obrazek:

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął – i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu. Smereki zielone
Zaplotły jéj koronę szmaragdów na skroni
A kształty jéj *przepysznie* rzeźbionego ciała,
Niby grecka draperya mgła lekka owiała...

Brak zdolności plastycznéj nie przeszkadza jednakże barwności, świeżości i wykwintowi dykcyi, ktorą można sobie wyrobić. Dykcyą téż głównie celuje talent p. Konopnickiéj. Przy pomocy amplifikacyi to jest określania téj saméj rzeczy w sposób najrozmaitszy, potrafi poetka wiele pięknych myśli wypowiedzieć, co jéj zjednały rozgłos szeroki. Taki retoryczny charakter mają najpiękniejsze jéj wiersze: *Z dziejów pieśni*, *Fragment* (str. 147, 8), *Tęsknota*, *Z dni smutku*, *Co to jest życie*, *Bądź silnym*, *Ty mi się nie dziw*, *Fragment* (str. 269—272), *Nie skarż się*, *Do kobiety*. Główną ich zaletą jest jakaś myśl piękna; główną wadą, rozwodnienie téj myśli; w przeważnéj

części gdyby były krótsze, zyskałyby na tém wielce. Autorka daje się porywać obfitéj swadzie, nie układa swych rozumowań w jakieś artystycznie obrobione szeregi, ale spisuje swe myśli, jak się same nasuwają, a ponieważ, jak wiadomo, myśli nasze swobodnie puszczone ulegają prawom kojarzenia się, więc częstokroć toż samo pojęcie w różnorodnych obsłonkach w kilku miejscach utworu powraca. Tak np. w wierszu p. n. *Credo*, w którym poetka od początku do końca powiada, w co wierzy, wiara w braterstwo ludów zjawia się czterokrotnie:

1. Wierzę w braterstwo ludów...
2. Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały
3. Wierzę, że z drobnych iskier, skrzesanych przez dzieje,
   Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.
4. Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte.

Gdybyśmy w ten sposób *Credo* autorki poddali ścisłéj krytyce, okazałoby się, że zamiast długiéj, 38-wierszowéj litanii artykułów wiary, możnaby, z wielkim dla jasności pożytkiem, co najmniéj 20 wyrzucić.

Skłonność do retoryczności posuwa się u autorki tak daleko, że całe stronice zapełnia jednym okresem przeciwstawnym (jak np. trzy stronice wiersza p. n. *Głód*); napisać tak da się, ale jak-to wygłosić? Potrzeba mieć chyba płuca olbrzyma.

W dykcyi pięknéj i poprawnéj zauważyłem z przykrością powtarzanie tych samych porównań, a szczególniéj wyrażeń. Uderzającą jest mianowicie predylekcya, odziedziczona po Słowackim, do wyrazów *biały* i *blady*. Nie starając się wcale o wyczerpującą statystykę zanotowałem następne tych wyrazów połączenia. Najprzód, powój biały, brzoza biała, róża biała, kobiéta na piersiach kochanka jak róża biała, obłok biały, bóg biały; następnie: płomień życia biały, dobro o czole białém od promieni, kobiéta promienna i biała, płaczki białe, próg białéj świątyni, tron biały ideałów, idea biała, białe ideały nieskończoności, skrzydła białe piosenki, duch poezyi biały... Obok téj białości niemniéj ponętna bladość: trubadur blady, życiowa burza blada, światłość blada, promyczek blady, zgroza blada, tęsknota blada. Obok tych epitetów można umieścić: nocy cień perłowy...

Może ktoś poczytywać ten wykaz za objaw stylistycznego pedantyzmu; zapewne, gdydy nas zachwycała treść, pochłaniając całą uwagę, nie mielibyśmy nawet czasu na spostrzeganie usterek formy, ale gdy forma w znacznéj części musi wynagradzać niedobory treści, mimowoli stajemy się surowi i nie możemy ukryć ani przed sobą ani przed innemi tego, co nas przy czytaniu razi, zwłaszcza gdy zważy-

my, że owe zbyt często powtarzające się epitety wywołane są zwykle potrzebą końcówki.

Jeżelibyśmy panią Konopnicką nazwali wirtuozką myśli, to Czesławowi przyznaćbyśmy mogli wirtuozostwo uczucia. Rozumie się, że określenie to jest zupełnie względne; powstało bowiem ze zbliżenia dwu tylko osobistości, gdy tymczasem są inne, którymby ono słuszniéj się należało, że tylko jednego Asnyka przypomnę. Talent Czesława, jak dotąd, ma miarę dosyć skromną, obraca się w kółku pomysłów niezbyt obszerném i pomysły te wypowiada w formie, która niezawsze za poprawną uchodzić może. Zdaje się, że pieśni swoje wysnuwa nie tyle z doświadczenia życiowego, ile z rozczytania się w utworach Goethego, Heinego, Słowackiego, Syrokomli. Znalazł on—jak sam wyznaje—kilka świetnych szmat z królewskiéj mistrzów swoich odzieży, a strzępki tych szmat—dodać muszę od siebie—dość często na płaszczu jego poetyckim znać wyraźnie. Raz powiada, „że mu obce miłosne katusze i zawiedzionych serc nieznana żałość" (I, 33) „że nigdy łez nie chował w łzawnice" (I, 57) a jednak często te żałości i te katusze za przedmiot pieśni swoich obiera; wszakżeż sam pisze, na wzór Syrokomli, w zakończeniu pierwszego zbiorku swych poezyj:

> Cóż tak struna pieśniarza wciąż bez zmiany powtarza
> Tęskne, smutne swe pieśni?
> O, bo żywot tułaczy i na świecie inaczéj
> *Jak* marzyło się we śnie.
> W waszéj uczcie ochoczéj wesołości nie zmroczy
> Łza na oku dziwaka:
> Zmilkł dźwięk w strunie zerwanéj.—Przyszedł, poszedł nieznany
> Ot, i życie śpiewaka.

Smutek przebija się poprzez uśmiech, który od dobrodusznego przechodzi niekiedy aż w cyniczny. Poeta, torem Asnyka, skarży się na czas, w którym przyszedł na świat, bo czuje jad w zdrowéj ojców krwi i widzi pieśń swoję owianą zatrutym czasu tchem (II 88). Na stuleciu swojém spostrzega płaszcz arlekina „bez nazwy, szyty lnem i złotem, tkany z różnobarwnych strzępków przędzy." Przepowiada mu tedy przyszłość wcale nie-do-pozazdroszczenia: oto szata jego w szmaty się rozpadnie, a on sam legnie na strzępków posłanie; wiek zaś następny uczci go łzą litości, ryjąc na grobowcu napis: „jeden z tych, co wielkość swą przeżyli." Że taki będzie los wielu jednostek, co nie tylko rzeczywistą ale i marzoną wielkość swoję przeżyją, o tém nie możemy powątpiewać, widząc co się dzieje codziennie, ale z wieszczeniem o przyszłości całego stulecia mo-

żnaby poczekać, choćby ze względu na to, że nawet w meteorologii przepowiednie jeszcze zawodzą. Zdaje się też, że autor nie będzie się upierał co do prawdziwości swego prognostyku, bo sam gdzie indziéj wyraził połowiczną swą przynajmniéj zgodę na hasła tego wieku. Ta połowiczność jest może najbardziéj znamienną cechą jego sposobu myślenia. W wierszu *Z dziejów wieku* opowiada autor, jak po dniach skarg, jęków, płaczów i rozpaczy nadeszła chwila, w któréj zażądano od pieśni, ażeby porzuciwszy strefy gwiaździste i obłoczne zanuciła nad zagonem ziemskim jak skowronek nad rolnikiem. Poeta wzywa ze swéj strony pieśń, ażeby zadała kłam swym grabarzom i podniosła głos nieśmiertelny, co z niebieskich płynie bram; próba się nie udaje; słuchaczów głos ten nie porusza. Poeta widzi przed sobą ciżbę wielką, wyznaczającą tory nowych dróg pracą powolną, trudem ciężkim, mozolnym; ciżba ta za hasło swe ma „światło i swobodę.“ Autor przyjrzawszy się jéj i wysłuchawszy jéj słów, powiada, że chociaż nie idzie z nią razem, nie chce przecież być jéj wrogiem. Straszy go tylko niepewność, czy będzie można zebrać plon z nowéj siejby, „gdy wśród rumowisk zamrze kłos,“ gdy nie słychać czystych dźwięków strun, tylko huk młotów, tłumów wrzask. I sam lęka się o siebie, czy będzie w jego mocy powrócić przed dawne ołtarze, jeżeli nowa droga mylną się okaże. Z téj tedy obawy zostaje przy pieśni, każąc jéj jednak oddać cześć trudom nowych ludzi.

Na tém wyczekującém stanowisku, którego obranie świadczy, iż w duszy poety nie ma głębokich namiętności, ale jest rozwaga poddana przyzwyczajeniom, najbezpieczniéj wodzić spokojnie okiem po wszystkiém, co nas otacza i uśmiechać się ironicznie, zapożyczając formy od Hejnego. Usposobienie do szyderczego uśmiechu nie sięgającego zresztą w rdzeń stosunków, ale błądzącego po ich powierzchni, wydało najlepsze utwory w zbiorach Czesława. *Niedoszły paemat*, kilka *Impromptu* (które autor z francuska w liczbie mnogiéj *Impromptus* nazywa), *Noc lipcowa*, *Co powie*, *Rozmowa*, *Dziwna rzecz*, parę *Arabesków:* oto wiersze, przejęte łagodną goryczą, zwątpieniem w miarę, szyderstwem niezbyt dotkliwém, które znalazły odpowiedni sobie wyraz słowny. Nie mogąc tu wiele miejsca przytoczeniom i rozbiorowi szczegółowemu poświęcać, dam poznać najkrótszy jedynie wierszyk, który z najlepszéj strony przedstawi Czesława: utrata szczęścia, nie pozbawiająca jednak życia, przecudnie, bo z wielką prostotą odmalowana:

Rośnie kwiat polny nocą w lesie
Ukryty w cień i w ciszę,

Perełkę rosy, skarb jedyny,
Na listkach swych kołysze...

O świcie jasny słońca promień
Wpadł w leśny cień i ciszę,
Perełkę rosy zabrał z sobą,
A kwiat się wciąż kołysze...

Zdaje się, że w tego rodzaju utworach poeta jest najbardziéj sam sobą; przeciwnie tam, gdzie się namiętnych, płomiennych uczuć dotyka, czujemy w wyrażeniu przesadę, nienaturalność, albo zbyt widoczne naśladownictwo. W *Odpowiedzi*, przypominającéj różne ogniste liryki Słowackiego, znać tylko szamotanie się z oporną myślą i słowem, ale czytelnik nie odczuwa siły uczucia, coby usprawiedliwiło takie np. wyrażenia:

Mnie trzeba
Światła i barwy z *wszystkich krańców nieba*,
Zórz blasków złotych, krwawych łun zachodu...
I dziś choć cierniem dola skroń mi wieńczy,
Choć zmroku kiry zwisły mi nad głową,
To żyć potrafię z koroną takową,
I cień nie straszy mnie, *co snów nie ściera* (?!)

Powiada tu autor, że „blade barwy, pół-blaski“ są mu wstrętne; a jednak im to właśnie zawdzięcza to, co napisał najlepszego. A gdy chce nam przedstawić np. bezgraniczne zwątpienie, wtedy siląc się na malowidło krańcowości, napotyka na swéj drodze niedorzeczność. Jest jeden wiersz p. n. *Trzeci*..., w którym autor powiada, że na całym świecie nie znalazł dla siebie brata i tylko wśród natury kiedy-niekiedy znajdował jakąś serdeczność czy przyjaźń. Jednym z takich przyjaciół był dąb, pod którego konarami przesiedział długie godziny słuchając gawęd szemrzących liści „nie bez zajęcia, nie bez korzyści“(!); dąb ten został strzaskany przez piorun. Potém kupił sobie pudla, za trzy reńskie, do którego tak się przywiązał, że gdy teraz wspomni o téj przyjaźni, „żal szczery serce boleśnie draźni.“ Włóczył się z nim po świecie, aż mu go w Madrycie (?) skradli. Teraz jeśli serce zbudzi się czasem z letargu i zatęskni do ludzi szukając dłoni i duszy bratniéj; wtedy zjawia się ostatni, trzeci z kolei przyjaciel—cień własny poety. Co prawda, na wyszukanie tego ostatniego towarzysza nie potrzebował się autor trudzić, nie potrzebował zań płacić nawet trzech reńskich; a może on-to właśnie był przyczyną, że autor nigdzie serca bratniego znaleść nie mógł, bo kto cień tylko własny za przyjaciela poczytuje, ten chyba zanadto w sobie zakochany, ażeby mógł promieniować uczuciem...

Jest jeszcze kilka poezyjek odznaczających się wesołością bachiczną, pisanych w tonie Anakreonta lub też skoliów Antologii greckiéj. Są one dosyć udatne, opiewają rozkosze wina ze swobodą trochę wymuszoną co prawda, ale w téj brawurze naturalną. Próby natomiast ironicznéj opowieści (*Z życia*) bardzo wiele pozostawiają do życzenia; silenie się na dowcip jest rzeczą samą w sobie niemiłą i niesmaczną, a gdy się jeszcze połączy ze spowszedniałą treścią, wydaje utwór mdły i sztuczny.

Porównywając zeszyt I Poezyj Czesława z II-im, można dojrzéć pewien postęp pod względem dykcyi i budowy wierszy. Dawniéj napotykało się zbyt często zaniedbane rymowanie (I, str. 34 *dzielił*, nie *dzielił*, *rozdzielił*), brak rytmu (I, 42: Że serce wierne ci kochać przestało), niepoprawne wyrażenia (I, 72; pielgrzymkę *ziemną*, I, 75 duch wznosi się *niewidnie*, I, 80: życie *bezzmienne* I, 89: czoł*o* skrwawion*e* lecz dumn*e* *nie zniżę*), a nawet potworne błędy gramatyczne (I, 50; wielu po troskach *doszedło* do celu). W drugim zeszycie tak rażących usterek nie znajdujemy, chociaż i tu rytmika nie wszędzie może na nazwę dźwięcznéj zasłużyć.

Przyjrzawszy się dwojgu śpiewaków doby spółczesnéj, dochodzimy do tego spostrzeżenia, że talent p. Konopnickiéj ma charakter dydaktyczny, który przejmując się chwilowo hasłami dążeń nowoczesnych nie umie jeszcze tych haseł w sposób naprawdę poetyczny wypowiedziéć, nie umie idei przemienić w ideał; talent zaś Czesława jest nawskroś liryczny, zawikłany dotychczas w naśladownictwo wielkich i pięknych wzorów i rzadko kiedy odsłaniający fizyonomią sobie właściwą; zajęty przeważnie opiewaniem smutków błahych, jednodniowych i pod tym względem przypominający zdala pierwszą fazę w rozwoju duchowym Asnyka. Dawne i nowe prądy, romantyzm i realizm istnieją w ich utworach obok siebie; echa chwil minionych mieszają się zbyt często z dźwiękami pieśni chwili obecnéj.

P. Chmielowski.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok 1880. Warszawa. Druk. A. Studenckiego i Spki. 1880, str. 257.

Jak w roku zeszłym, tak i w obecnym studenci uniwersytetu warszawskiego ogłosili zbiór prac swoich, już-to wywołanych konkursami, już też samoistnie podjętych. Wytrwałość w przedsięwzięciu, pomyślanem poważnie, zasługuje na uznanie; my ze swéj strony uznanie to wyrażamy szczegółową oceną pomieszczonych w *Roczniku* artykułów.

Rolnictwo i handel za czasów Księstwa Warszawskiego 1807—1815, napisał Henryk Konitz, student 4-go kursu wydziału prawnego.

Autor podawszy cyfry rozległości i ludności kraju, zastanawia się nad położeniem włościan, w którém się znaleźli skutkiem zaszłych pod nowym rządem reform, nad ciężkim brzemieniem podatków, i na tém kończy rzecz o rolnictwie. Przechodząc do handlu, wspomina o jarmarkach, o podatku patentowym, sędziach i radach handlowych, przytacza przepisy wydane dla wekslarstwa w Warszawie, mówi o taksach na produkta żywności, o zniesieniu komór celnych na granicy między dawniejszemi i przyłączonemi od Austryj prowincyami, o zastosowaniu systemu kontynentalnego do księstwa, o cłach i krytyce onych przez posła Godlewskiego; roztrząsa bilans handlowy z zagranicą, streszcza przepisy urządzające handel solą. Daléj autor kreśli stan komunikacyj wodnych i lądowych, przedstawia urządzenia pocztowe, menniczne oraz dotyczące cyrkulacyi papierowéj i monet zagranicznych. Na zakończenie podane są tablice ówczesnych cen zboża i mięsa.

Przytoczone tu szczegóły, czerpane przeważnie z Dziennika Praw Ks. Warsz. i gazet spółczesnych, jakkolwiek są w związku z rolnictwem i handlem, nie zupełnie jednak usprawiedliwiają tytuł nadany téj rozprawie: słuszniéj by podobno nazwać ją można *Przeglądem* lub *rozbiorem działalności rządowéj co do stanu włościańskiego i w rzeczach dotyczących handlu*, o rolnictwie bowiem w ścisłém znaczeniu nie ma tu wcale mowy, a przytoczone zdanie Godlewskiego o upadku dochodów z gospodarstwa rolnego jest prostym ogólnikiem, tchnącym przesadą. Pominąwszy jednak kwestyą tytułu, przyznajemy, że p. Konitz starał się skupić jak największą ilość informacyj o stanie ekonomicznym kraju i próbował działalność rządową na tém polu wyjaśnić krytycznie, w czém nie zawsze zgodzić się z nim można. Szczegółowe roztrząsanie rozprawy zajęłoby zbyt wiele miejsca, poprzestaniemy zatém na wytknięciu kilku usterek.

W wykazie terytoryów administracyjnych zaboru pruskiego, z których powstało Księstwo Warszawskie, należało nadmienić, że nie cała regencya Białostocka weszła w skład nowego państwa, gdyż znaczna jéj część przez traktat tylżycki dostała się pod panowanie rosyjskie. Twierdzenie, że prócz ustąpionych księstwu prowincyj „Prusy zajęły jeszcze część województwa Krakowskiego i księstwo Siewierskie, które nosiły miano Prus Zachodnich; te jednak kraje do nowoutworzonego państwa przyłączone nie zostały“—jest błędne, albowiem część Krakowskiego z Siewierskiém, przezwane przez rząd pruski Nowym Szląskiem, zostały przyłączone do Księstwa Warsz. i stanowiły powiaty Pilecki i Lelowski w departamencie Kaliskim,

a od r. 1810 w departamencie Krakowskim; nadto, stanowiąca część Prus Zachodnich ziemia Chełmińska wraz z okolicą Grudziądza dostała się także księstwu Warsz. Autor poszedł tu za Skarbkiem, który się bałamutnie i niejasno w tém przedmiocie wyraża: zajrzenie do Dziennika Praw Ks. W. (I. 2327; II. 144) byłoby go od błędu ustrzegło.

Rozległość księstwa mylnie autor oblicza podług dawnych podziałów terytoryalnych, które z nowémi nie były identyczne; łatwiéj wynaleść było cyfrę zbliżoną do rzeczywistéj, dodając rozległości teraźniejszego królestwa, księstwa poznańskiego, ziemi chełmińskiéj i okręgu miasta Krakowa, a suma wypadłaby znacznie większą od téj którą podaje, stosownie zaś do niéj zmieniłyby się i cyfry zaludnienia na jedną milę kwadratową.

Zaprowadzenie aktów stanu cywilnego wynikło z kodeksu Napoleona, a kodeks z art. 69 konstytucyi, nie można więc tego przytaczać na dowód „że określenie ludności leżało bardzo na sercu rządowi księstwa," zwłaszcza gdy z zaprowadzonych aktów obliczyć ludność dokładnie było rzeczą niemożliwą.

Dekret z r. 1807, określający stosunek włościan do dziedziców, streścił autor tak niezrozumiale, że czytelnik nie dowie się od jakiego to obowiązku prawo zwalniało włościanina, lubo w art. 5 przepis jest zupełnie wyraźny. Podobnąż niejasność spotykamy przy rozbiorze dekretu r. 1811 zakazującego wywozu szmat, obrzynków skórzanych i t. d. zagranicę: rozprawa zapewnia, że karą trzechmiesięcznego więzienia zagrożono „za samę tylko sprzedaż wymienionych towarów" równało by się to bowiem zupełnemu zakazowi handlu temi przedmiotami, kiedy wzbroniona była tylko sprzedaż zagranicę.

Zakazy wywozu z kraju artykułów żywności i furażu r. 1812 wypadało objaśnić gotującą się kampanią i spodziewaném skupieniem wielkiéj ilości wojsk.

Ustęp o handlu solą wyłożony niedokładnie. Nie ma o tém wzmianki, że księstwo miało współwłasność kopalni Wielickich, lubo ta okoliczność stanowiła punkt wyjścia dla późniejszych przepisów. Nie łatwo też zrozumieć, gdy małą ilość soli w Łomżyńskiém autor „objaśnia defraudacyami."

Bilans handlowy kraju przedstawiał niezmierną przewyżkę przywozu nad wywozem; z rozbioru onego autor przychodzi do wniosku „że prohibicya panująca w całéj Europie była główną przyczyną niekorzystnego stanu handlu w księstwie." Powszechność przyczyny pociągnąć-by winna za sobą powszechność skutku, we wszystkich więc krajach musiałby wywóz być mniejszym od przywozu, co się logicznie pojąć nie daje. W nadmiarze przywozu główną rolę grało

wino i to francuskie, a skoro wiadomo, że krajowcy używali przeważnie węgrzyna, nasuwa się zatém wniosek, że głównémi konsumentami wina byli francuzi wojskowi i cywilni w księstwie przebywający, że więc z téj pozycyi przywozu blisko 11 milionów złp. potrącić można. Zaznaczymy tu nawiasem, że cyfry wartości przywiezionych trunków niezgadzają się z sobą, co również powtarza się w ustępie o dochodach pocztowych, co jest może skutkiem zaniedbanéj korekty.

Wiadomość o monecie srebrnéj, lubo prawie dosłownie trzyma się tekstu prawa, podana jednak bez żadnego objaśnienia, będzie dla czytelnika, nieświadomego zkądinąd, całkiem zagadkową.

Mówiąc o „biletach kasowych," autor, z powodu, że bezpieczeństwo dla nich wskazane zostało na dochodach celnych, jak to zdarza się niekiedy przy pożyczkach państwowych, uważał za potrzebne wykazywać, iż bilety te nie były papierami pożyczkowemi, ponieważ nie przynosiły procentu, nie miały ustanowionego terminu spłaty i w razie zniszczenia lub zgubienia ich kasa nie wypłacała żadnego wynagrodzenia. Możnaby przeciw temu zarzucić, że opłata procentu nie jest związana koniecznie z pojęciem pożyczki, że papiery pożyczkowe mogą nie mieć oznaczonego terminu spłaty czego przykład widzimy na rencie francuskiéj, a z drugiéj strony, przyjmowanie podatków do połowy w biletach kasowych i zapewniona ciągła ich wymiana w kasach na monetę brzęczącą, dadzą się uważać za częściową spłatę pożyczki, że zagubione obligi pożyczki publicznéj czy prywatnéj nie zawsze i nie wszędzie dają prawo do wynagrodzenia.

Sposób wyrażania się autora bywa miejscami nie dość poprawny. *Niedobory* w przewidywanych dochodach celnych nazywa on „zaległościami," wyrazem stosującym się do podatków i innych dochodów stałych. Żeby „wewnętrzną treścią poczty" można było nazywać podwyższenie porta, lub znaczne wydatki zarządu głównego, mało kto chyba na to przystanie. O rzece „Drwęcy *łączącéj* Płockie z Bydgoskiém" należało powiedzieć, że *rozdzielała* te krainy. Wieprz z Tyśmienicą wpadały nie „do księstwa," lecz do Wisły. Noteć zaś i Ner nie „do Wisły," lecz do Warty. Potrzebowałby komentarza frazes następujący:

„W teoryi podług litery prawa, włościanin przestał być niewolnikiem, lecz w rzeczywistości stosunek, noszący na sobie znamiona prawa, przyjął charakter faktyczny, który nie wywarł żadnego wpływu na zmianę położenia włościan." Owszem położenie zmieniło się: pod względem prawnym włościanin skorzystał, pod względem zaś ekonomicznym dola jego mogła się pogorszyć. Pomimo to, zbyt

stanowczém a nie ścisłém wydaje nam się zdanie, że „wola pana mogła pozbawić dziesiątki rodzin pierwszych potrzeb do życia,“ bo właściwie można tylko mówić o pozbawieniu środków do zaspakajania potrzeb, a możliwéj chętce tego pozbawiania kładła hamulec konieczność uprawy ról folwarcznych, bez czego właściciel nie byłby w stanie uiścić się z ciężkich podatków pieniężnych ani z dostaw produktów w naturze. Zbytkiem energii razi twierdzenie, że „kodeks francuski pańszczyznę uważał za bezprawie.“

Uwagi powyższe nie powinny zniechęcać młodego autora: początki zwykle bywają trudne, ale przy wytrwałéj pracy trudności stopniowo znikać będą i prędzéj czy późniéj nie ominie go najwyższa nagroda, jaką w poczuciu pożytku przynoszonego społeczeństwu człowiek znajduje.

Kołłątaja i Czackiego: „Projekt urządzenia Gimnazyum Wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiéj.“ Przyczynek do dziejów szkolnictwa przez Henryka Merczynga, stud. 3 kursu W. F. M. (str. 129—154).

Autor na początku swéj pracy zestawia trzy całkowite systemy edukacyi krajowéj „z których najlepiéj poznać możemy, co w danéj chwili stanowiło potrzebę i dążenie kraju“ to jest Ustawy Komisyi Edukacyjnéj, Projekt Kołłątaja i Czackiego, wreszcie Ustawę Szkolną Wielopolskiego. Punkt łączności między niemi wskazuje ten, że są wytworem sił krajowych wyłącznie; dlatego-to zapewne nie wspomina na tém miejscu nic o Ustawie Uniwersytetu Wileńskiego i szkół od niego zależnych. Następnie kreśli pokrótce okoliczności, wśród których Czacki powziął myśl „wielu zmian w postanowieniach tyczących się wileńskiego wydziału naukowego,“ i opowiada, jak z tą myślą zwierzył się Hugonowi Kołłątajowi.

Drugi ustęp swego artykułu poświęca p. Merczyng na szkicowe przedstawienie projektu Kołłątaja, którego tekst mamy wydrukowany w jego „Korespondencyi listownéj z Tadeuszem Czackim“ (tom II str. 1—205). Nie wszystkie atoli działy projektu zostały tu uwzględnione; autor najwięcéj się rozszerza nad urządzeniem samego Gimnazyum Wołyńskiego, przezwanego potém Liceum, krócéj już mówi o „Seminaryum Panien,“ które miało być założone przy tém gimnazyum, o projekcie zaś szkół parafialnych wzmiankuje tylko.

Ustęp trzeci zawiera obrazek tego, czém było Gimnazyum Wołyńskie w rzeczywistości pod względem wykładu nauk. Obrazek ten jest właściwie krótkiém streszczeniem rzadkiéj książeczki wydanéj w trzecim roku istnienia szkoły krzemienieckiéj p. n. „Materye z nauk w Gimnazyum Wołyńskiém przez Przeciąg Roku Szkolnego wyło-

żonych, na popis publiczny uczniów tegoż Gimnazyum (!) w Miesiącu lipcu 1808 porządkiem klass i kursów wystawione." Autor tak się zajął rozkładem nauk na klasy i kursy, tudzież programatem wykładów, że zapomniał podać do wiadomości nazwisko nauczycieli, dających lekcye w owym roku szkolnym, co byłoby w każdym razie rzeczą dosyć ważną i bezwzględnie i dla porównania z późniejszémi wykazami.

Całe opracowanie p. Merczynga ma charakter informacyjny; cenne jest z tego względu rozpowszechnienie wiadomości zawartych w rzadkości bibliograficznéj, którą streszcza. Pochwały oddawane Kołłątajowi i Czackiemu są bardzo ogólnikowe i trącą stylem nekrologowym („W tym wielkim zamiarze, którego trudność w wykonaniu tylko takiego człowieka jak Czacki przestraszyć nie mogła;" „Słabe niektóre strony ustaw uniwersytetu... nie mogły się ukryć i nie ukryły przed takiemi ludźmi, jakiemi byli Czacki i Kołłątaj" i t. p.). Krytycznych uwag spotykamy tu niewiele. W projekcie Kołłątaja oprócz wyrazowo tylko napomkniętych „braków i wad" wytyka autor to jedynie, że podział między „klasami" a „kursami" nie jest zupełnie usprawiedliwiony, „gdyż nie zawsze 14-letni młodzian, wstępując na pierwszy kurs, był już w stanie sam rozumieć pożytek nauki" i że liczba lekcyj na kursach (30 tygodniowo) jak nie mniéj w seminaryum panien była może zbyt przeciążająca. Pierwszy zarzut jest słuszny; drugi—chybiony a to dlatego, że na kursach w gimnazyum do cyfry podanéj wliczył autor i godziny lekcyj nadobowiązkowych, w seminaryum zaś panien nie uwzględnił téj okoliczności, że przedmioty wymagające natężenia umysłowego są bardzo nieliczne, a znaczna liczba godzin zajęta jest takiemi przedmiotami, które właściwie do kategoryi zabaw odnieść się dadzą. Jakże można widzieć przeciążenie w takim np. rozkładzie godzin: 8—9 Muzyka wokalna, 9—10 Rysunki, 10—11 *Logika*, 1—2 Muzyka instrumentalna, 2—3 Haftowanie, 3—4 *Fizyka*. A więc właściwie tylko *dwie* godziny poświęcone *nauce*. Podobnie rzecz się ma we *wszystkich* innych dniach tygodnia; chyba-to raczéj zamało niż zawiele. Natomiast autor nie robi żadnego zarzutu co do lekcyj dwugodzinnych tak częstych w projekcie; albo co do fatalnego pod względem pedagogicznym braku urozmaicenia w planie, kiedy np. w trzeciém dwuleciu uczniowie mają tak rozłożone godziny: 10—11 Gramatyka powszechna, 1—2 Bibliografia, 2—4 literatura i tak przez cały tydzień z wyjątkiem wtorku i czwartku.

Styl rozprawki jest ożywiony i dosyć poprawny; co do języka zwróciłbym uwagę za niepolskość wyrażeń następujących: *dowodem* rzadkości może służyć (143), obiór Lerneta... spowodowany *dążeniem* Czackiem *utworzyć* szkołę chirurgów (144), nie miał on charakteru

więcéj ogólnego (142). Niepoprawnym i niejasnym jest frazes: „Ex-podkanclerzy przetrawia wszystkie te plany i myśli, *jakie* (zam. *które*) *miotały* bezustannie na polu swéj wielkiéj działalności publicznéj *znajdującego się Czackiego* (136). *P. Ch.*

Przyczynek do absorbcyi światła przez węglowodory szeregu aromatycznego. Podał Józef Stanisław Konitz, stud. 3 kursu wydz. nauk przyrodniczych.

Wiadomo, jak ważne znaczenie w nauce spółczesnéj przypada analizie spektralnéj; nietylko stanowi ona niezmiernie ważny środek chemicznego badania ciał, ale pozwala nawet wysnuwać doniosłe wnioski o ich budowie cząsteczkowéj. Płomień ciała płonącego badany przez pryzmat rozszczepia się na widmo, złożone z szeregu smug lub linij, cechujących dane ciało,—rozpatrywanie tego widma stanowi właśnie główny przedmiot badania spektralnego. Ale można tą drogą rozpatrywać i ciała ciemne, nie płonące; jeżeli bowiem przepuszczamy przez nie promienie światła, ulegają one w téj drodze częściowemu pochłanianiu, rozpatrywane przez pryzmat wydają widmo poprzerywane smugami i linijami, również dla danego ciała charakterystycznemi.

Praca, o któréj tu mowa, ma na celu zbadanie tego *widma absorbcyjnego* niektórych ciał, należących do tak zwanéj w chemii grupy aromatycznéj. Ciała badane przez p. K. są to węglowodory, których typem jest benzol; oprócz benzolu rozpatrywał autor jeszcze tolnol, ksymol i kumol.

Doświadczenia prowadzone były starannie, a otrzymane widma przedstawione są na rycinach wyraźnych i dokładnych. Widma powyższych węglowodorów różnią się pewnemi szczegółami, ale wszystkim wspólne są dwie smugi, charakteryzujące tę grupę związków. Ogólnych zresztą wniosków autor z doświadczeń swoich nie wyprowadza, poprzestaje jedynie na przedstawieniu osiągniętych rezultatów. Dwaj uczeni angielscy, prowadząc współcześnie te badania, zdołali wykazać pewną zależność widma od różnicy w składzie chemicznym ciał rozpatrywanych. Zarzutu zresztą z tego autorowi robić nie można, w początkowych bowiem pracach przyrodniczych, iść musi przedewszystkiém o wyrobienie wprawy w badania doświadczalne, a do tego celu praca przez autora obrana wybornie się nadaje.

Rozprawa ta należy do dziedziny, w któréj chemia schodzi się ściśle z fizyką; a jak to osądzić można z kilku prac p. K. pomieszczonych w tygodniku „Przyroda i przemysł,“ dział ten nauki stanowi ulubiony przedmiot jego zajęć, jest to obszar zarówno mozolny jak

wdzięczny, i życzyć należy autorowi, aby i nadal przy nim wytrwał.

Prace swe wykonał p. K. pod kierunkiem pana Dziewulskiego, asystenta przy katedrze fizyki. Kto pojmuje, że w pracach doświadczalnych początkujący bez przewodnictwa żadną miarą obejść się nie zdoła, ten oceni jak pomyślną okolicznością dla młodzieży uniwersyteckiéj poświęcającéj się fizyce, jest to, że tak chętną pomoc w osobie p. Dziewulskiego znajduje.

O pęcherzu moczowym (położenie pęcherza przy różnych stopniach jego napełnienia. Osłona mięśniowa pęcherza moczowego. Torebka powięziowa miedniczo-przyprątna) napisał Dawid Wasserzug stud. V k. wydz. lek.

Powyższa praca napisana została na temat wyznaczony przez wydział lekarski Uniwersytetu tutejszego i medalem złotym nagrodzona. W ogóle biorąc, jeżeli temata konkursowe są już niezbędną rzeczą w Uniwersytetach, to należałoby przynajmniéj wybierać takie przedmioty, które nie przedstawiając znacznych trudności, pozwalałyby na wszechstronne przyswojenie techniki i zapoznanie się z metodą badania. Zdaje mi się, że temat przytoczony w nawiasie tytułu, warunkom tym nie ze wszystkiem odpowiada. Dotyczy on trzech bardzo obszernych kwestyj, z których każda mogła by być przedmiotem osobnéj rozprawy, a przy tym kwestyj trudnych, spornych, nad którémi już wielu wprawnych badaczy pracowało. Z tém większą też przyjemnością czytamy rozprawę p. W., który pomimo takich trudności, dał pracę zupełnie dobrą, opartą na bardzo mozolnych i licznych poszukiwaniach. Środek ciężkości rozprawy stanowią wymienione trzy punkta, które autor opisał na zasadzie swych własnych badań, starając się przytém o dokładne uwzględnienie całéj literatury. Wynikł ztąd nawet pewien brak symetryi w całości, kiedy bowiem te trzy części rozprawy traktowane są obszernie i wyczerpująco, pozostałe wyglądają tylko jakby dodatek i o ile sądzić mogę nie są oparte na własnych poszukiwaniach autora. Moim też zdaniem praca p. W. nie straciła by nic na tém, gdyby autor był się ograniczył do tych tylko rzeczy, których się sam dotykał. Jakkolwiekbądź, ponieważ i te dodatki napisane są ze zajomością literatury, nie przynoszą więc ujmy całości, bardzo sumiennie obrobionéj i nauczającéj dla specyalistów.

Na zakończenie zrobimy tylko p. W. uwagę, że polskich autorów lepiéj jest przytaczać w oryginale aniżeli w przekładach na obce języki. *Dr. D.*

„O niewymierności liczby *e*“ przez I. Cohna (str. 263—305).

Praca ta poświęcona jest systematycznemu i, jeśli tak powiedzieć tu można, przystępnemu przedstawieniu badań, odnoszących się do niewymierności liczby zwanéj *e*. Początek téj pracy ma charakter czysto sprawozdawczy. Podaje więc p. Cohn naprzód dowody Lambert'a i Fourier'go na to, że liczba *e* nie jest całkowitą i nie może być dokładnie wyrażoną przez ułamek zwyczajny, czyli, że jest liczbą niespółmierną z jednością. Następnie zaś przechodzi do dowodu Liouville'a, że liczba *e* nie może być pierwiastkiem równania stopnia drugiego ze spółczynnikami wymiernemi i takowy w całkowitości jasno wykłada. Teraz dopiéro przystępuje do głównego założenia swéj pracy, to jest do uprzystępnienia pierwszego z dwu dowodów p. Hermite'a, podanych przezeń w rozprawie: „Sur la fonction exponentielle“ (Paryż, 1874), ostatecznie rozwiązujących kwestyą niewymierności liczby *e*. P. Hermite w téj bowiem pracy udowodnił, iż ta liczba nie może być pierwiastkiem jakiegokolwiek równania algebraicznego ze spółczynnikami wymiernemi, czyli, że ona jest liczbą niewymierną przestępną. W dowodzie tym p. Hermite'a jest właściwie podany tylko szkic rozumowania, wiele niedomówień, przeróbki wzorów i ich dowodzenia opuszczone, co sprawia, iż rozprawa sama jest w czytaniu mało przystępną. Nadto p. Hermite posiłkuje się metodą Laplace'a wyliczania przybliżonéj wartości całek określonych, któréj wywodu również nie przytacza. Tę więc metodę naprzód przedstawia p. Cohn. Ponieważ jednak ten przypadek, do którego w dowodzie p. Hermite'a metoda Laplace'a potrzebną będzie, jest nie tak ogólnym, jak przez tego ostatniego rozważany, więc p. Cohn, traktując ją tylko ze względu na zastosowanie, jakie z niéj zrobić wypadnie, miał tu możność w kilku miejscach uproszczenia rozumowania, co nadaje jego przedstawieniu cechę należytego wniknięcia w szczegóły i pewnéj staranności w ich opracowaniu. Zarzucilibyśmy tylko, że wprowadzenie cząstkowéj pochodnéj (str. 270), uskutecznione wprawdzie tak, jak u Laplace'a, nie jest jednakże bliżéj objaśnioném. Pozostała zaś część pracy jest poświęcona wyłożeniu wzmiankowanego wyżéj dowodu p. Hermite'a ze wszystkiemi uzupełnieniami i rachunkami. W tém właśnie główna zasługa p. Cohna. Należało wszystkie wskazówki p. Hermite'a szczegółowo rozwinąć, rozwinięcia zaś te jak najtrafniéj zgrupować, aby uzasadnić wszystkie jego wyrzeczenia. Z tego zadania, według nas, bardzo szczęśliwie się nasz autor wywiązał. Praca zaś jego przekonywa nietylko o zdolności właściwego kombinowania i zużytkowa-

nia rezultatów studuyów uniwersyteckich, ale także i o pewnéj pomysłowości i trafności w wyborze należytych dróg rachunkowych. Dlatego też rozprawa p. Cohna odznaczona została przez wydział fizyko-matematyczny naszego uniwersytetu pieniężném premium, jako dowodząca pracowitości i zdolności autora, oraz swobodnego władania metodami naukowemi.

Policya lekarska w dawnéj Polsce. Napisał Franciszek Olszewski student IV k. prawa.

W dość obszernym, bo 76 stron druku zawierającym artykule, autor przedstawił zebrany przez siebie materyał w następującym układzie. Wstęp posłużył mu do wykazania ważności przedmiotu i skreślenia jego literatury, któréj ubóstwo zmusza piszących do czerpania bezpośrednio ze źródeł. Rzecz sama ugrupowana jest w pięciu rozdziałach: rozdział I-szy zajmuje się ustrojem organów policyi lekarskiéj, II-gi personelem lekarskim, gdzie mowa o środkach szerzenia nauki medycznéj, o kontroli nad leczącymi, oraz o liczbie i rozsiedleniu lekarzy po kraju. W rozdziale III czytamy najprzód o zapobieganiu chorobom dziedzicznym i o środkach położniczych, a następnie zapoznajemy się z zawiązkami u nas policyi żywności i ścieśnień konsumpcyjnych, policyi trucizn, policyi budowlanéj, hygieny miast, policyi pogrzebowéj i tępieniem zwierząt szkodliwych! Rozdział IV traktuje o syfilisie, prostytucyi, ospie i powietrzu morowém, urządzenia zaś apteczne i szpitalne zawarte są w rozdziale V. Z przeczytania téj rozprawy wynieśliśmy takie wrażenie, że p. Olszewski ma zamiłowanie przedmiotu, poważnie się nań zapatruje i w dalszych studyach nie przestanie badań swych nad nim uzupełniać.

Chwalebna pracowitość autora, którą okazał przy zbieraniu szczegółów, rozrzuconych po najrozmaitszych książkach, niezawsze umiała się zamknąć w granicach obranego przedmiotu. Numeracya domów (str. 52) według naszego zdania, nie ma związku z policyą zdrowia; prawo z r. 1768, przeznaczając fundusz na czyszczenie rzek, naprawę dróg i mostów, miało na widoku tylko polepszenia komunikacyj; przepis stanowiący, że *cognatio spiritualis i legalis* są przeszkodami do zawarcia małżeństwa, równie chyba mało zapobiega chorobom dziedzicznym, jak niedopuszczanie rozwiedzionych do urzędów. Z wiadomości zawartych w ustępie o policyi budowlanéj wiele rzeczy można było bezpiecznie pominąć, jak np. dwumilową odległość między nowozakładanemi miastami, bo to lubo jest w związku ze słowem *budowań*, nie wchodzi jednak w zakres policyi budowlanéj, a na zdrowie żadnego wpływu wywrzéć nie mogło. Au-

tor w tym razie spostrzegł się, że przekroczył właściwe szranki, ale na wykreślenie zbytecznych szczegółów zdecydować się nie mógł. Ściśle rzeczy biorąc ani wydział lekarski we Lwowie, istniejący przez czas krótki pod rządem austryackim, ani łaźnia w Lignicy, do urządzeń lekarskich dawnéj Polski nie należą.

Zebranie rysów do obrazu policyi lekarskiéj—to dopiero pierwsza połowa pracy: drugą, nie mniéj ważną, było usystematyzowanie tego materyału. Staranność autora i pod tym względem jest widoczną, czasem drobnostkową nawet i na kilkakrotne powtarzanie jednéj rzeczy narażającą. Zdawałoby się nam jednak, że dla przepisu z roku 1525, „ażeby lekarze niższych stopni naukowych towarzyszyli doktorom przy wizytowaniu chorych dla nabierania wprawy,“—właściwsze byłoby miejsce w § „o środkach uprzystępnienia wiedzy medycznéj“, aniżeli w ustępie, mówiącym o kontroli nad leczącymi. Wolelibyśmy podobnież, projektowane w r. 1778 urządzenie sprzedaży arszeniku znaleść pod „Policyą trucizn“, aniżeli wśród przepisów o aptekach, które handlować tym przedmiotem nie miały prawa. W niektórych ustępach zakradł się pewien nieład chronologiczny: wprzódy czytamy o szkole lekarskiéj w Wilnie, a potém w Grodnie, gdy odwrotny porządek byłby właściwszym, w inném miejscu autor, wspomniawszy o prawie zbytkowém z r. 1234, wnet się cofa w starożytność rzymską, a od niéj robi skok znowu do wieków średnich.

Wśród znacznéj liczby ciekawych wiadomości natrafiają się i błędne. Twierdzeniu autora, że *leges sumptuariae*, wydawane w Polsce, niedotyczyły pokarmów, sprzeciwia się rozporządzenie Kazimierza W. z r. 1336 (kod. dypl. m. Krakowa, I, str. 23); dodać téż można, że ustawy tego rodzaju natchnione były widokami ekonomicznemi, a o hygienę się nie kłopotały. Prawo praktyki lekarskiéj, zastrzeżone w r. 1433, wyłącznie dla doktorów szkoły jagiellońskiéj stosowało się nietylko do województwa krakowskiego, ale do całéj dyecezyi tegoż nazwiska, czyli do wszystkich ziem małopolskich, i części Szląska górnego. Zbyt stanowczém jest twierdzenie, jakoby chory w dawnych szpitalach o tyle znajdował pomoc, o ile lekarz bezpłatnie mu jéj chciał udzielić, bo z rachunków np. krakowskich widzimy, że przy jednym szpitalu była lekarka, któréj płacono za leczenie (A. Grabowski: Dawne zabytki 214). Nie zgodzilibyśmy się na zdanie, jakoby łaźnie były uważane „za *opus pium*.“ Z nadań prawa niemieckiego przekonywamy się, że widziano w nich źródło znacznego dochodu, podobne jak waga miejska, postrzygalnia lub jatki. Że na utrzymujących łaźnie wkładano niekiedy obowiązek udzielania ubogim bezpłatnéj kąpieli, to istoty rzeczy nie zmienia bo

przecież jatki darowanéj pewnemu kościołowi nikt nie nazwie *opus pium*.

Mięsza autor rozpustę z syfilisem, zgwałcenia nie odróżnia od związków nieprawych, depaktacyą czyli zdzierstwo w handlu produktami żywności uważa za naruszenie przepisów policyi zdrowia; w tak zwanych „lekarstwach sekretnych" dopatruje trucizny, kiedy uważne przeczytanie tego, co sam na str. 46 podał, pokazuje, że były to owe cudowne środki nieznanego składu, które pomagać miały na wszystkie choroby i niektóre inne. P. Olszewski jest pewnym, że Janowi Ostrorogowi, skarżącemu się na łatwość uzyskania stopnia doktorskiego na dworze rzymskim, chodziło o ustanowienie w kraju kontroli lekarskiéj; my zaś podejrzewamy słynnego statystę, lubiącego popisywać się swym tytułem doktora obojga prawa, że niechiał mieć kolegami niedouczonych jurystów. Awinionu nie zaliczylibyśmy do królestw, Vezaliusza wolelibyśmy nazwać lekarzem raczéj niderlandzkim aniżeli hiszpańskim, pomimo iż wypadek, o którym autor wspomina, zdarzył się temu uczonemu w Hiszpanii, wszakże Rubensa nikt do szkoły malarzy hiszpańskich nie zalicza. O kosztach kanonizacyi św. Jana Kantego tyle razy już pisano, że doprawdy nie mielibyśmy do autora pretensyi, chociażby tę wiadomość opuścił, a natomiast przytoczył kilka szczegółów o cenzurze obyczajów w Krakowie, podanych w pracy prof. Szujskiego (we Wstępie do Najstarszych ksiąg w Krakowie), lub wspomniał o takim charakterystycznym fakcie, jak udzielony katowi przez króla Jana III przywiléj *liberi exercitii medendi* (A. Grabowski, l. c.), albo zamieścił wzmiankę o istnieniu u nas szpitali dla trędowatych.

Wypada jeszcze wspomnieć o właściwościach pisarskich autora. Większa prostota byłaby tu bardzo pożądaną. Na str. 21 czytamy: „Początek więc został zadatowany pod szczęśliwą gwiazdą, która jednak wkrótce na długo zagasnąć miała. Po krótkotrwałéj dobie wieku złotego zegar dziejowy wybił fatalną godzinę upadku, od któréj zaczęła się jutrzenka rozkładu." Wszystko to z powodu braku kontroli nad lekarzami. Większe zamiłowanie prostoty byłoby powstrzymało prawnika od oświadczenia na str. 57, że „przystępuje do analizy chorób wenerycznych w Polsce," oświadczenia, które niby coś wielkiego zapowiada, w gruncie jednak jest niezrozumiałem. Za prostotą poszłaby bez wątpienia większa ścisłość wyrażeń. Gdy autor powiada, że „w sferze położnictwa panowały gusła i zabobony, przyprawiające *zazwyczaj* o śmierć hołdujące im jednostki,"—mimowolnie wyrywa nam się pytanie, jakimże to cudem plemię nasze dotąd nie wyginęło? O co mianowicie skarżono się na instygatorów

marszałkowskich (str. 61), domyśléć się było nam zbyt trudném. Wyrażeń niewłaściwych i barbaryzmów znajdzie się sporo: „oszuści wichrzyli,“ „akademia inicyowana,“ „było zaprzyczynowane,“ „wytrzymanie egzaminu,“ „reformy upodstawowane,“ „linia pochodnicza—spadkowa“, „pryncypy“, „podział lekarzów,“ lub „stosunek lekarzów,“ co ma znaczyć liczbę i rosiedlenie lekarzy po kraju. Najbardziéj rozpanoszył się w rozprawie wyraz „zadatowany“, który we wszystkich nieledwie postaciach gramatycznych spotykamy.

Wady, które w artykule p. Olszewskiego dostrzegliśmy są téj natury, że przy dobréj woli nietrudno z nich się otrząsnąć. Ten wzgląd pozwala nam wyrazić nadzieję, że nasze piśmiennictwo prawne znajdzie w nim pożytecznego pracownika.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wystawa żywego inwentarza: konie i ich hodowla, rasy bydła, owce, nierogacizna, drób, psy.—Jarmark wełniany.—„Nowosti" nie słuszne ich zarzuty nam stawiane.—Warszawski korespondent „Poriadka."

Wystawa inwentarzy żywych na placu Ujazdowskim, urządzona z inicyatywy i staraniem Dyrekcyi Towarzystwa wyścigów konnych, odbyła się w przeciągu czasu od dnia 12 do 23 Czerwca. Otwarcie jéj nastąpiło pod niepomyślną wróżbą z powodu przejmującego zimna i dokuczliwéj słoty, trwających bez przerwy przez pierwsze dni wystawy. Z ustaleniem się wszakże pogody, publiczność warszawska, nagradzając sobie czas stracony, tłumnie zwiedzała plac wystawy z zajęciem się przypatrując okazom rzeczywiście godnym widzenia. Jak wiadomo, wystawy podobne powtarzać się mają corocznie przez okres czasu sześcioletni i stanowić niejako targ na konie i bydło, urządzony racyonalnie i oparty na uczciwszych zasadach niż tradycyjne jarmarki, które się już przeżyły i noszą wszelkie znamiona upadku. Uznajemy całą doniosłość téj myśli, która trafnie pojęta i należycie przeprowadzona, może wydać bardzo pomyślne rezultaty. Szczęśliwe położenie Warszawy, znajdującéj się w punkcie zbiegu pięciu głównych linii dróg żelaznych, czyni ją miastem jak nie można lepiéj nadającém się do urządzenia podobnego rodzaju targowiska, ułatwiającego bezpośredni stosunek wschodu z zachodem, a jeśli dotąd krajowa produkcya zwierząt nie jest w stanie zaspokoić różnostronnych potrzeb samegoż kraju, nie mówiąc już o zajęciu poważnego stanowiska na rynku międzynarodowym, do czego kraj przez swoje geograficzne i ekonomiczne warunki zdaje się być przeznaczonym, to wystawy peryodycznie się powtarzające a nacechowane powyższym handlowym charakterem, ułatwią i przybliżą urzeczywistnienie tego celu. Zeszłoroczna wystawa więcéj obliczoną była na popis, z tego względu spotykały ją liczne zarzuty; tegoroczna, nie

zdołała się jeszcze zupełnie pozbyć téj cechy, ani ujawnić stanowczo praktycznego kierunku. Wstrzymując się od zbyt wysokich wymagań, czujemy bardzo dobrze, iż nic od razu zrobić się nie może. Czekajmy więc aż obywatelskie usiłowania Dyrekcyi wsparte głosami opinii publicznéj, przez organa prasy wyrażonemi, wydadzą pożądane owoce.

Nie myślimy tu wymieniać pojedyńczych okazów koni lub bydła, ani też podług ogłoszonéj listy nagród udzielonych przez komitet wystawy, podnosić do apoteozy zasługi tego lub owego hodowcy; niech nam wolno będzie pójść za własném przekonaniem i wskazać kierunki, w których, zdaniem naszém, hodowla w kraju rozwijać się zaczyna.

Zarzucano zeszłorocznéj wystawie brak zupełny pewnego stałego kierunku; na dowód tego powoływano się na wystawione okazy najrozmaitszych rass koni jako to: arabskiéj, angielskiéj pełnéj krwi, anglo-arabskiéj, anglo-normandzkiéj, suffolk'skiéj, perszerońskiéj, meklemburskiéj, pintzgauskiéj i różnych innych, tylko nie naszych swojskich, z wyjątkiem chyba żmudzkiéj, których hodowlą i utrzymaniem w czystości krwi, dla cennych jéj zalet pomimo drobnego wzrostu, tak gorliwie się zajmują książęta Ogińscy z Retowa. Przy zwykłém ubolewaniu nad zaginionym typem polskiego konia, owego mytycznego ideału, który wszakże niebył niczém innėm jak szczęśliwą kombinacyą i zlaniem się zalet krwi wschodniéj z innemi rasami, lecz nie przedstawiał nigdy jednolitego typu i ulegał rozmaitym modyfikacyom w miarę pojęć i upodobań hodowców, usiłujących wyrobić w stadninach swoich kształty i zalety żądane, wytykają nam i pod tym względem ślepe zamiłowanie cudzoziemszczyzny. Przypatrzmy się wszakże, że i gdzie indziéj tak było i jest. Czemże jest koń angielski, pełnéj krwi, jeśli nie koniem wschodnim, zmodyfikowanym i urobionym, że tak powiemy podług panujących w narodzie pojęć i upodobań. Olbrzymi suffolk lub cleveland jest rozrosłym do potężnych rozmiarów koniem flamandzkim; krowa rasy krótkorogiéj (shorthorn) jest to krowa holenderska, która w skutek umiejętnych starań braci Colling'ów i ich następców, zatrzymała wielką wydajność mleka, obok wytworzonéj i ustalonéj zdolności do opasu. Owca hiszpańska stała się we Francyi rambouillet'em, w Saksonii elektoralną. Świnia chińska przekształciła się w Anglii na rasy Iorkshire, Lincoln, Essex i inne. I my też dojdziemy z czasem do posiadania, nie już rasy w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, lecz rodów końskich, które ze wszelką słusznością za swoje własne uważać będziemy mogli, chociaż będą one tylko produktem krzyżowania osobników do obcych ras należących.

Jak dawniéj u nas, tradycyjne zamiłowanie *konia*, nie chowu koni, wyrażało się w upodobaniu do tureckich rumaków, tatarskich bachmatów, andaluzyjskich dzianetów i t. d. podobnie i teraz upodobanie to ujawnia dwa prądy: przyznawanie wyższych zalet krwi wschodniéj, lub pełnéj angielskiéj.

Ta ostatnia przeważa w okolicach kraju więcéj ku zachodowi posuniętych; pierwszéj hołdują prowincye południowo wschodnie. Typem niejako téj drugiéj kategoryi koni są stadniny hr. Branickich i książąt Sanguszków. Wprawdzie na tegorocznéj wystawie nie spotkaliśmy okazów z pierwszéj z tych dwóch stadnin, tylko egzemplarz, nie bezpośrednio przez właścicieli przedstawiony, lecz nabyty już z drugiéj czy z trzeciéj ręki, piękny gniady wierzchowy ogier, własność p. Władysława Gradenwitz'a stanowiący; do tejże kategoryi liczą się konie p. Karola Brzozowskiego z Sokołówki na Podolu, którego oryginalny arabski ogier, drobnego wprawdzie wzrostu, lecz ślicznéj budowy i znakomitego chodu w kłusie, powszechną na siebie zwracał uwagę. Daléj konie baronowéj Raden (z gub. Charkowskiéj), hr. L. Działyńskiéj (z Wołynia), hr. Stadnickiéj (również z Wołynia), hr. Miączyńskiego (także z Wołynia); część okazów wszakże przedstawionych przez tego ostatniego pochodzi ze stadniny hr. Wołłowiczów w Swiacku (gub. Grodzieńska), p. p. Makomaskich z Turkowic (gub. Lubelska, pow. Hrubieszowski).

Stadniny hodujące pełną krew angielską w kraju, nie wszystkie były na wystawie reprezentowane. P. Ludwik Grabowski z Sernik przedstawił okazy krwi pełnéj i pół krwi, własnego chowu, podczas gdy p. Maryan Gruszecki z Pławna dostarczył na wystawę przeważnie importowane z Anglii konie, mianowicie pół krwi irlandzkie huntery.

Dotąd mówiliśmy o stadninach hodujących konie zbytkowe, powozowe lub wierzchowe, należących do osób zamożniejszych dla których ponoszenie znacznych nakładów na stadninę jest zbytkiem dozwolonym i usprawiedliwionym. Lecz prawdziwie praktyczny, że tak powiemy gospodarski kierunek hodowli, ujawnia się w mniejszych stadninach, których właściciele o tyle tylko upodobaniu temu hołdować mogą o ile na to rachunek pozwala. Jako typ, przytoczymy tutaj stadninę p. Antoniego Tukałły z Rackowszczyzny (pow. Sejneński), którego konie przedstawione na wystawie, pochodzące z klaczy rasy kłusaków (rysaków) Orłowskich a po ogierach pełnéj krwi angielskich, znają się z broną i z wozem gospodarskim lub bryczką, a pomimo to wybornie służyć mogą pod wierzch, jako konie frontowe a nawet oficerskie. Taki kierunek hodowli zasługuje na jak największe uznanie jako dostępny dla szerszego koła hodowców i przynoszący rzeczywiste, lubo nie wielkie zyski.

P. Jakób Natanson z Sannik dał na wystawę konie robocze swego chowu po ogierach trakeńskich i perszeronach i klaczach krajowych. W tym dziale koni, wystawione przez innych wystawców okazy należą przeważnie do rasy perszerońskiéj, będącéj obecnie niejako w modzie, chociaż trudność dostawania oryginalnych a nieposzlakowanych perszeronów naraża hodowców na liczne zawody. Wspomnę tu jeszcze z uznaniem o dwóch okazach przedstawionych przez włościan (szkoda że się one do téj tylko liczby redukują) za które, w celu zachęty, komitet, oprócz listów pochwalnych przyznał nagrody pieniężne w kwocie 100 i 90 rubli.

Wystawa bydła rogatego górowała nad wystawą koni tak doborem okazów jak i ilością, a głównie znaczeniem ekonomicznéem. Gdy bowiem hodowla koni wymaga niezbędnych ofiar, bo znacznych nakładów, nic wcale, albo niedostatecznie się opłacających, to hodowla bydła rogatego ma na celu namacalny czysty zysk z nabiału. W pobliżu większych miast lub osad fabrycznych, gdzie zbyt świeżego mleka po wysokich cenach jest zapewniony, przeważa i to bardzo racyonalnie rasa nizinna, głównie u nas hodowana, holenderska, lub wyjątkowo oldenburska. Krowy te dają wiele, lecz za to chudego mléka. Producentom chodzi tu o ilość nie zaś o jakość i większy w tém zysk upatrują, niżby mieli mniéj mléka, ale tłustego, chociażby po wyższéj cenie sprzedawać. Do takich należą: obora p. St. Ciechanowskiego z Grodźca, hr. St. Zamoyskiego z Maciejowic, p. Tad. Wodzińskiego z Suchéj, hr. Platerowéj z Hruszniewa, p. Ludwika Górskiego ze Sterdynia, p. Daniela Janasza z Wolicy i wiele innych. W ostatniéj wymienionéj tu oborze, jedna krowa znajdująca się na wystawie dała w ciągu roku 1.075 garncy mléka. W innéj znowu, jedna krowa, przez sześć tygodni po ocieleniu dawała po dziewięć garncy mléka dziennie.

Inne znowu warunki ekonomiczne sprowadzają inne potrzeby. W miejscowościach, w których sprzedaż mléka w stanie świeżym miejsca mieć nie może, trzeba nadać inny kierunek, spieniężając nabiał w stanie przerobów mianowicie masła lub serów; przy ostatnim sposobie użytkowania z nabiału, rasa mleczna o mleku chudszém, więcéj zawierającém w sobie sernika, jeszcze dobrze się opłaca, czego jest dowodem rasa holenderska w swéj ojczyznie i sery pod takąż nazwą tak wielkiéj używające wziętości i u nas w kraju z korzyścią na wzór oryginalnych wyrabiane. Gdzie zaś samo tylko masło stanowić ma przedmiot zbytu, wtedy na jednym kierunku użyteczności bydła poprzestać nie można, lecz trzeba równocześnie wyrobić i inny, mianowicie, zdolność do opasu lub siłę do pracy. Anglicy, owi mistrze w hodowli, zrozumiawszy dobrze

tę prawdę, z rasy holenderskiéj wytworzyli słynne swe bydło krótkorogie (shorthorn) odznaczające się nieporównaną zdolnością do opasu przy znacznéj mleczności, chociaż do pracy zupełnie nie zdatne; doświadczenie bowiem przekonało, iż wszystkie trzy cele hodowli: mleczność, zdolność do opasu i siła do pracy w jednéj rasie połączyć się nie dadzą. Rasa ta mało dotąd u nas upowszechniona, znalazła wystawcę w osobie p. Adama Michalskiego z Borowna, który ją wybrał do poprawienia krajowéj rasy, z krów skupowanych po jarmarkach za stosunkowo niskie ceny, po buhaju czystéj krwi shorthorn doczekał się produktu, który go najzupełniéj zadawalnia i który właśnie dał na wystawę.

Przeważna większość gospodarstw w kraju posługuje się do pracy w pługu wołami, to też u nas przy wyborze rasy mającéj być użytą do poprawienia bydła miejscowego, zdolność do pracy powszechnie była uwzględnianą. Z ras górskich, piękna, mleczna lecz drobna rasa algauska nie nadaje się do tego celu; większe uznanie i rozpowszechnienie znalazła rasa szwajcarska Schwytz, któréj ś. p. Dezydery Chłapowski z Turwi był zwolennikiem i krzewicielem. Piękne jéj kształty, dobra, na krótkich nogach budowa, wydajność znaczna tłustego mleka, czynią ją bardzo dla naszych stosunków pożądaną. W ostatnich czasach znacznéj dostąpiła wziętości rasa czerwono-plamiasta Bern-Simmenthal, z powodu większego swego wzrostu. Obie te rasy hodowane w czystości krwi w oborach zarodowych i krzyżowane, przedstawione były na wystawie w nader licznych i pięknych okazach.

Słysząc ciągle głoszone zalety ras zagranicznych, możnaby mniemać, iż nasze krajowe bydło nawet wspomnienia nie warte. Jakkolwiek nie mamy typu, któryby w całém tego słowa znaczeniu można było nazwać ustaloną rasą, to przecież w Kieleckiém i w okolicach gór Świętokrzyskich, znaleźć można bydło, ustępujące wprawdzie pod względem mleczności i zdolności do opasu rasom zagranicznym w specyalnych hodowanym kierunkach, ale wydające woły robocze, którym równych żadna zagraniczna rasa nie wyda. Takie woły przedstawili p. p. Schürr i hr. August Łubieński z Łukowych (pow. Makowski) jako też parę starych już, upasionych wołów, prawdziwe olbrzymy w swoim rodzaju, przewyższające nawet bardzo piękne woły rasy Schwytz, p. Tomickiego z Kożuszek.

Wiadomo jak ważnym dla produkcyi zwierzęcéj w kraju jest chów owiec cienko-wełnistych i jak szczęśliwie się rozwinął w obec klimatycznych i ekonomicznych warunków. Śmiało rzec można, iż ta gałęź produkcyi przewyższa wszystkie inne. Lecz gdy konia lub

bydlę przy jakiéj takiéj znajomości rzeczy można dość trafnie ocenić na oko, chcąc wydać rzetelny sąd o danéj owczarni, trzeba być koniecznie specyalistą. Prowadzenie owczarni, zwłaszcza zarodowéj, wymaga gruntownéj nauki i niepospolitéj wprawy; nic więc dziwnego, iż barany rozpłodowe pochodzące z takich owczarni posiadających ustaloną sławę, nie mogą być sprzedawane za niską cenę. Pod względem wysokich zalet i obfitości wełny, jako też bardzo przystępnych cen tryków, odznacza się owczarnia p. Władysława Przyłubskiego z Zator, nabyta przed laty kilku od p. Aleksandra Trylskiego z Pawłowic. Celują również owczarnie w W. Ks. Poznańskiém: p. Konst. Szczanieckiego z Międzchoda, typu negretti i p. p. Koeppel'a z Ustkowa, Hr. Kwileckiego z Oporowa i Kalkstein'a z Pluskowęsów, typu Rambouillet i Rambouillet-negretti. Ten zwrót do produkcyi owiec większego wzrostu i silniejszéj budowy, o wełnie tak zwanéj czesankowéj, przydatnéj na tkaniny gładkie, stanowi niejako przejście do hodowli ras mięsnych występującéj już w niektórych pojedyńczych owczarniach przez krzyżowanie z angielskiemi mięsnemi rasami southdown, oxforddown, hampshiredown i lincoln.

Owczarnia czystéj krwi negretti p. Wacława Łuszczewskiego z Kociołek odznacza się wysokiemi zaletami wełny, lecz więcéj jeszcze niesłychanie wysokiemi cenami baranów. Cena 1.200 rubli za pojedyńczego tryka, zdaniem naszém nie da się w żadnym razie ekonomicznie usprawiedliwić.

Trzoda chlewna nielicznie, ale za to w wyborowych okazach była na wystawie przedstawioną. Wszystkie prawie okazy były czystéj krwi dużych białych ras Yorkshire i Lincoln, niektóre zaś przedstawiały produkta trafnego krzyżowania z krajowemi rasami.

Okazy drobiu przedstawiały rozmaite rasy francuskie i angielskie jako to houdan, crevecoeur, bantam i inne. W tym dziale pawilon pani Schürr'owéj zaciekawiał publiczność okazami kurcząt sztucznie wylęgniętych za pomocą stosownego przyrządu zwanego lęgnikiem.

Było też na wystawie kilka pięknych okazów psów myśliwskich angielskich ras wyżłów, cetterów i ponterów. Działu tego jako przedmiotu wyłącznie upodobania, nie mamy zamiaru podnosić wyżéj nad właściwe jego znaczenie, zaznaczając tylko, iż cena 1.000 rubli naznaczona na cettera, wprawdzie bardzo pięknego, w obec naszych stosunków jest anomalią.

Jarmark wełniany powtarzający się corocznie w czerwcu odbył się i w r. b. i trwał jak zwykle od 15 do 19.

Gdy w roku zeszłym producenci już z góry przygotowywali się do trzymania się odpornie i nieustępowania z cen aż do ostatniéj chwili, to w r. b. nadzieje nie były świetne, zdawało się bowiem, że ustępstwa będą musiały być znaczne, gdyż jeszcze przed jarmarkiem rozpowszechniło się mniemanie, oparte na pogłosce ze świata handlowego, że na ożywiony pokup liczyć nie będzie można, ponieważ fabrykanci posiadają zapasy towarów niewyprzedanych, że z powodu wygórowanéj produkcyi w latach ubiegłych roboty w fabrykach będą po części zawieszone, nareszcie, że fabrykacya uległa ogólnéj stagnacyi. Wszystkie te przyczyny miały się złożyć na to, że zakupy będą bardzo ograniczone a tém samém ceny nie wysokie.

Tymczasem jarmark warszawski dowiódł prawdziwości przysłowia, że „nie wszystko prawda co na weselu śpiewają."

Z racyi powyższych pogłosek, dostawcy wełny na pierwsze jarmarki ucierpieli istotnie, gdyż z łatwością zgadzali się na ustępstwa, późniejsze za to jarmarki nie potwierdziły wcale smutnych przewidywań. Największe ustępstwa poczynione były przez dostawców na jarmarki szlązkie, następnie jednak gdy przekonano się, że nabywcy nie opaźniają się z przybyciem i że wystawiona wełna prawie wszędzie rozprzedaną została, ustępstwa stopniowo zaczęły się zmniejszać. Na ten raz dostawcy wełny na jarmark warszawski skorzystali na tém, że jest on ostatnim w rzędzie jarmarków wełnianych, opierając się bowiem na danych o stopniowéj redukcyi ustępstw czynionych przez dostawców wełny w Poznaniu, zajęli stanowisko wyczekujące i nie dali się pociągnąć ofertami z pierwszych dni jarmarcznych. Na takiém stanowisku utrzymywała ich jeszcze i ta okoliczność, że remanent wełny znajdujący się na d. 13 czerwca roku b. w magazynach bankowych, okazał się mniejszym prawie o 7.000 pudów od takiegoż remanentu w roku zeszłym, następnie, że dowozy były względnie nieznaczne a nadto, że kupcy nie ociągali się wcale z przybyciem a nawet oprócz zwykłych gości zagranicznych zjawili się także i kupcy rosyjscy. Cała ilość przywiezionéj na jarmark wełny wysoko-cienkiéj zakupioną została i to po cenach nie wiele niższych od zeszłorocznych.

Ogólny dowóz mniejszy był niż w roku zeszłym.

Obrót wełny przez kilka dni jarmarcznych przedstawia się jak następuje:

na 14 Czerwca było w magazynach	14.380	pudów.	21 f.
14, 15, 16, 17 i 18 Czerwca dowieziono	20.422	„	8 „
Ogółem więc	34.802	„	29 „

czyli mniéj niż w tymże czasie w roku zeszłym o 16 625 pudów, dowozy wprawdzie trwają jeszcze ale w partyach niewielkich, tak że w ogóle tegoroczna ilość wełny niedorówna zeszłoroczněj.

Przez czas jarmarku wyprzedano 23.200 pudów, z których kupcy zagraniczni nabyli 13.000 pudów resztę zaś fabrykanci krajowi.

Ceny wełny wyższych gatunków w porównaniu z zeszłorocznemi uległy nieznacznéj obniżce, dla wysoko cienkiéj chwiały się między 112 a 125 talarami za cetnar, dla cienkiéj między 100 a 113 talarami, średnią zaś sprzedawano w r. b. po cenach wyższych niż w roku zeszłym mianowicie po 82 do 100 talarów za cetnar.

„Każdy wiek ma goryczy, ma swoje przywary,“ każdy zwrot w życiu społecznėm miewa właściwe sobie znamiona. Były czasy, kiedy krwawy deszcz, kometa z długim ogonem lub urodzenie się cielęcia o dwóch głowach rzucało postrach na ludy, wróżyło im najrozmaitsze klęski. Dziś komety przestały już przerażać, do wróżb i odgadywania przyszłości mniéj jesteśmy pochopni, rózga na niebie zaledwie ciekawość naszą budzi, ale za to rózga ziemska każdego poszczególe i wszystkich w ogólności mocno obchodzi. Dziś rozglądamy się baczniéj we wszelkich zjawiskach społecznych, niedlatego aby przyszłość odgadnąć i biernie jéj oczekiwać, lecz aby z dostrzeżonych w danéj chwili znamion, dokładnie zrozumiéć teraźniejszość i jeśli można na charakter przyszłości wpłynąć, lub przynajmniéj od plag, któreby napędzić mogła, uchronić się. Jest to tedy pewien postęp, ale mimo tego postępu, niebrak i czasom naszym goryczy, przywar i znamion.

Jeżeli myśl ludzka natrafia na przeszkody, jeśli na publiczne jéj wyrażenia włożone zostały pęta, zwykle ludzie wtedy próbują czytać między wierszami, w sztuce téj doskonalą się z początku—z potrzeby, a późniéj—z nawyknienia. Rozkwit téj sztuki należy do znamion czasu, znamion, z których trudno wprawdzie ułożyć horoskop tego co będzie, ale ułatwiających zrozumienie tego co jest, odgadnienie—co było. Skłonność do czytania między wierszami wskazuje prawie nieomylnie, że wyrażenie myśli skrępowane jest przeszkodami i to w ciągu dość długiego czasu. Chwila obecna takie musi nosić znamię, bo inaczéj nie umielibyśmy sobie wytłóma-

czyć sposobu, w jaki nasz artykuł o *samopomocy narodowéj* (zeszyt czerwcowy 399—410) zrozumiany został przez redakcyą petersburskiéj gazety „Nowosti.“

W Nr. 141 tego dziennika poświęcono nam długi artykuł, wstępny, zaprawiony wielu komplementami, przewyższającemi nasze zasługi. Wdzięczni jesteśmy za ten zaszczyt, ale przeciw kosztom, którémi kazano nam go opłacić, mamy cokolwiek do powiedzenia. „Nowosti“ znajdują jakąś „nieodpowiedniość,“ czy brak związku (niesootwietstwije), między początkiem artykułu naszego a jego zakończeniem. Gdybyśmy poprzestali na wykazaniu „że w czasach obecnych, kiedy przedsiębierstwa przemysłowe, obroty handlowe i udoskonalenia techniczne przybrały taki szeroki rozwój, niezbędne są stowarzyszenia ze znacznym kapitałem, i że ten, kto wyjedna u rządu usunięcie przeszkód, stawianych dotąd tworzeniu się takich stowarzyszeń, wielką krajowi uczyni przysługę, gdybyśmy poprzestali na tém, gazeta mniema, że artykuł nasz mógłby liczyć bezwątpienia na znacznie większe powodzenie.“ Gazeta nie objaśniła u kogo to powodzenie znaleść mieliśmy. Myśmy pisali do ziomków i do nich się wyłącznie zwracali. Program odezwy naszéj poprawiony przez „Nowosti“ chyba gdzieindziéj znalazł by lepsze powodzenie. Oto nie chcemy się zresztą spierać. Bardzo być może iż gdybyśmy dowodzili potrzeby usunięcia wpływu inteligencyi na sprawy gminne w Królestwie i skasowania istniejących już stowarzyszeń przemysłowych, — moglibyśmy liczyć na jeszcze większe i prędsze powodzenie. Aleśmy takich żądań nie stawiali: cóż robić? każdy na swój sposób tylko może być zadowolnionym, i daremnie jest głodnemu radzić: idź, braciszku, na przechadzkę, świeże powietrze cię orzeźwi.

„Nowosti“ powiadają, żeśmy do głównego niby i aprobowanego przez tę gazetę tematu przymieszali niewłaściwie kwestyą udziału inteligencyi w samorządzie gminnym. Dziwnie się rozchodzimy z „Nowostiami“ w pojęciu o tém co jest rzeczą główną, a co drugorzędną, dodatkiem, czy przymieszką. Kiedy kto z *sześciu kart* przeznaczonych na kwestyą samopomocy narodowéj, *cztery i pół* poświęca sprawom gminy i zastanawia się nad uczestnictwem w nich inteligencyi, a podniosłszy myśl innego publicysty, o potrzebie organizacyi tego uczestnictwa, wskazuje na końcowych *trzech stronach*, że wszelkie stowarzyszenia napotykają trudności, że usunięcie tych przeszkód byłoby pożądaném,—czy słusznem jest zarzucać mu, że przymięszał początek do końca? Prędzejby już zarzut odwrotny był dla nas zrozumiały. Samopomoc narodowa może znaleść różne pola

dla swéj działalności, atoli w kraju, który, pomimo całego rozwoju przemysłu, jest jeszcze przeważnie rolniczym, gmina wiejska stanowić musi najgłówniejsze dla téj działalności pole, a co większa na tém jedném tylko polu działalność owa może się wcielić w stworzony przez prawo organizm. Organizm nie jest idealnie doskonałym, dla czegóżby miało być błędem zastanowianie się nad środkami polepszenia go?

Owóż właśnie „Nowosti,“ którym się zdaje, żeśmy tylko o stowarzyszeniach przemysłowych mówić byli powinni, widzą tu błąd i do tego błąd „polityczny“ gdyż, przyczepiać do téj kwestyi samorząd włościański i wpływ nań szlachty, to znaczy nadawać jéj barwę polityczną, co w danym razie, wobec nieufności, panującéj w sferach administracyjnych, w lojalność polityczną inteligencyi polskiéj, jest niepolitycznem w najwyższym stopniu.“ Ktoby takiego rezonowania posłuchał, musiałby skazać się na zupełne milczenie, z obawy zadraśnięcia polityki. Przy dobréj woli można ją znaleść i w modach i w kursie giełdowym i w sprawozdaniu z wystawy obrazów i w tablicach meteorologicznych. Nieraz się przecież podobnemi spostrzeżeniami zabawiano. Takie rozumowania pomimowolnie nasuwają pytanie: czy nie więcéj obawiać się nam wypada podejrzliwości tych organów dziennikarstwa rosyjskiego, które dotychczasowem postępowaniem jeszcze nas do tego nie przyuczyły, aniżeli nieufności administracyjnéj? Co tu wreszcie większą gra rolę: podejrzliwość, czy nieznajomość istotnego stanu rzeczy?

Ile razy dziennikom rosyjskim zdarzy się sposobność rozprawiania o naszych interesach, zaraz wyjeżdżają na plac ze *szlachtą*, to jest z wyrazem, mającym odgrywać rolę jakiegoś straszydła mytycznego. Zdawałoby się, że naród nasz składa się tylko z dwóch klas: z włościan, którym grozi niby ucisk szlachecki i ze szlachty, która tylko o możności uciskania włościan marzy i któraby ich uciskała gdyby postronni dobrodzieje nie zapobiegali temu. Że takie tyrady pisały się i powtarzały aż do znudzenia przed siedmnastu laty,—to jeszcze pojąć można: piszący, świeżo przybyli do nas, zostawali pod wpływem starych uprzedzeń, a gorączkowy nastrój chwili nie dozwalał im trzeźwo patrzeć na rzeczy, ani ich chłodno rozważać. Nawet w dobréj wierze, łatwo w błąd popaść mogli. Dziś błąd podobny trudniéj jest usprawiedliwić, bo czasu do poznania prawdziwego stanu rzeczy było aż nadto, i niewielu chyba znajdzie się naiwnych, którzyby owym starym powiastkom wiarę dali. Wiadomem jest wszystkim, wiedzieć chcącym, że główna masa ludności krajowéj trudni się u nas gospodarstwem wiejskiem, że nie rozpada się ona

na dwie, wielce jakoby różne klasy, lecz ropływa w liczne stopniowane odcienia, że lubo zachodzi przedział między kategoryami krańcowemi, między włościaninem na trzech morgach a dziedzicem dóbr, to jednak przedział ten wypełniają: wieśniak posiadający włók kilka, daléj zamożny kolonista, szlachcic cząstkowy, uprawiający nieraz rolę mniéj obszerną aniżeli kolonista, a daléj nabywca gruntów poproboszczowskich, posiadacz pustkowi, rumunków i odpadków folwarcznych, właściciel folwarczku podmiejskiego itd. A owa szlachta, podawana za jakąś niby kastę zamkniętą, a stanowiąca klasę właścicieli większych z kogóż się składa? W niemałéj części z ludzi, którzy należeli do wymienionych kategoryj, zanim się dorobili pewnéj zamożności i większe obszary nabyć mogli; ze wzbogaconych rzemieślników i przemysłowców wiejskich lub ich potomków; z cudzoziemców, którzy u nas szukają korzystniejszego pomieszczenia swych kapitałów. Siedmdziesiąt lat z górą własność ziemska przechodzi ciągle z rąk do rąk: w umiejętniejszych dłużéj pozostaje, z nieudolnych lub nieszczęśliwych się wysuwa. Gdzież tu dopatrzéć kasty, gdzie wrogie ich dla siebie usposobienia, gdzie naturalną sprzeczność interesów, mówimy—naturalną, bo o sztucznie wytworzonéj mówić nie chcemy? Alboż to wszystkie te klasy nie jednakowy mają w tém interes, aby wyboje na drogach były wyrównane, alboż dziurawe i nieobaryerowane mosty nie są dla wszystkich prawdziwą plagą, alboż marnotrawienie funduszów gminnych, malwersacye w kasach pożyczkowych przynoszą którejkolwiek klasie rolników pożytek? Bynajmniéj. Interes wszystkich jest w tym względzie jednakowy, ale nie wszyscy jednakowo potrafią mu zaradzić, wyszukać na złe lekarstwo. Cóż tedy szkodliwego w tém, że się inteligencyą wzywa, aby lekarstwa szukała? Odpowiadają nam że to się wiąże z polityką. Więc, gdy prasa rosyjska rozprawia o włości wszechstanowczéj w cesarstwie, włości, w skład któréj weszłaby inteligencya—to niepolityka, a gdy u nas szlachcic zechce radzić w gminie o naprawie dróg i mostów—to polityka; gdy rolnicy zechcą związać się w stowarzyszenie, zabezpieczające od strat z gradobicia—to także polityka.

Przy naszéj prostodusznéj wierze, że to co jest białem w Europie, białem jest i w Ameryce, że człowiek wszędzie na dwóch nogach chodzi, nie bylibyśmy wstanie zrozumiéć téj subtelnéj różnicy. Gazeta „Nowosti“ ciemnotę naszę oświeca, tłómacząc tę różnicę nieufnością względem naszéj inteligencyi, która w pewnych sferach ma istniéć. Dobrze. Przypuśćmy więc, żeśmy zbłądzili, poruszając kwestyą wpływu inteligencyi, żeśmy z praktycznego gościńca zboczyli w manowce polityki. Któraż droga jednak o tę zakazaną dziedzinę

nie zawadzi? „Nowosti“ odpowiadają, że jest jedna jedyna tylko droga, polegająca na tem „aby ludzie uczciwi nad zaspokojeniem niezbędnych potrzeb kraju pracowali w samem Królestwie“ i aby cała prasa zbiorowo była jedyną przedstawicielką opinii publicznéj, bo éj tylko głos może być przez sfery wyższe uwzględnianym. Doprawdy wygląda to na żarty. Inteligencya kiedy chce naprawiać drogi nie zasługuje na zaufanie, i dlatego skutecznie pracować nie może i téż inteligencya, bo rozumni i uczciwi ludzie są przecię inteligencyą, może skutecznie pracować nad niezbędnemi potrzebami kraju. Chyba że dobre drogi nie stanowią potrzeby niezbędnéj. Inteligencya, kiedy chce kontrolować kasę gminną, jest podejrzaną, i taż inteligencya, gdy za pośrednictwem prasy przemawia na uwzględnienie zasłuży. Trudno to pojąć, trzebaby tylko wierzyć, stosownie do prawidła: *credo, quia absurdum.* A o cóż nam chodzi, jeśli nie o rozumną robotę ludzi uczciwych? tylko, że pisania i podawania projektów niezatwierdzanych, jak się dotąd działo,—skuteczném zaspokojeniem niezbędnych potrzeb kraju nazwać niepodobna. A któż, jeżeli nie prasa projekta te bądź poruszała, bądź popierała, bądź ogłaszała, bądź wyjaśniała i usprawiedliwiała, lub na skromniejszéj poprzestając roli, wzywała uczciwych ludzi, aby z dozwolonego sobie przez prawo wpływu, lubo niezawsze łatwego w praktycznem zastosowaniu, starali się korzystać? I oto gdy „Ateneum“ w podobny sposób się odzywa, gazeta „Nowosti“ uznaje to za krok niepolityczny. Według zdania gazety, głos prasy ma być wystarczającym, ma być jedynem na dolegliwości nasze lekarstwem, a wszelkie kroki w drodze prywatnych starań w Petersburgu zbyteczne jeśli nie szkodliwe. Wiemy jednak, że ziemstwa w cesarstwie, ciała uorganizowane i stanowiące prawną reprezentacyą interesów powiatu i guberni, wydawszy tę lub ową uchwałę, wielokrotnie niepoprzestawały na spisaniu protokułu i przesłaniu go gdzie należy, lecz wyprawiały nadto swych delegatów do Petersburga i przeznaczały fundusze na koszta podróży, aby popierali życzenia ziemstw w stolicy. W saméj Warszawie niedawno widzieliśmy, że zatwierdzenie tramwajów i kanalizacyi wymagało podróży prezydenta miasta do Petersburga, pomimo iż magistrat jest władzą z ramienia rządu mianowaną, a więc na zupełne jego zaufanie zasługującą. Miałyżby projekta, z inicyatywy osób prywatnych powstałe, spodziewać się łatwiejszego posłuchu, aniżeli przedstawienia władz rządowych? mogłyżby kasy pożyczkowo-wkładowe, instytucye emerytalne dla rządców i ekonomów, towarzystwa opieki nad uczącą się młodzieżą itd. uzyskać zatwierdzenie bez osobistych czyichś starań, jeżeli przedstawienia organów administracyjnych bez takich starań w Pe-

tersburgu nie mogą się obejść. Doświadczenie uczy nas dotkliwie o bezzasadności podobnych przypuszczeń.

Gazeta „Nowosti“ w swéj szczególnéj, bo wielce podejrzliwéj życzliwości dla nas, przypisuje nam zamiary, o jakich się nam nie śniło. Mówiliśmy wyłącznie o staraniach celem zaspokojenia potrzeb kraju, bardzo skromnych, nie mniéj przeto niezbędnych; gazeta przyplątała do tego rzecz donioślejszego znaczenia, myśl zmiany całego systematu rządowego w Królestwie, któréj ani jednéṁ słowem nie potrąciliśmy. Zszedłszy w ten sposób z realnego gruntu, na którym oparliśmy nasz rozbiór, gazeta puściła zupełnie wodze fantazyi, zaczęła czytać między wierszami, podkreślać dowolnie zestawione frazesa nasze. Mając na względzie polemikę przeszłoroczną z „Niwą“ o naszych nieobecnych, o stanowisku arystokracyi rodowéj, wypowiedzieliśmy zdanie, że ktoby pożądane dla kraju ulepszenia „wziął szczerze do serca, a nie żałował im poświęcić pewnéj części swego żywota, czy to będzie człowiek z arystokratycznêm czy z demokratycznêm nazwiskiém, zjedna sobie uznanie powszechne, a chociażby między opiniami jego osobistemi a opinią kraju zachodziła jaka różnica, nikt zapewne nie będzie się wahał uznać w nim człowieka zacnego i rozumnego.“ Cały ten ustęp znaczył tylko tyle, że gdy każdy pochlebiać sobie może, iż opinią kraju dokładnie reprezentuje, gdy wszakże nie wiemy na pewno czy „Niwa,“ czy „Ateneum“ lepiéj tę opinią przedstawia, przeto zasłużonemu arystokracie, pomimo różnicy wyobrażeń, hołdu ze swéj strony nie odmówimy, a z drugiéj strony spodziewamy się, iż zasługa istotna znajdzie też odpowiednie uznanie ze strony „Niwy“ i jednomyślnych z nią osób, chociażby tę zasługę położyła osoba o nazwisku nieznaném i opiniach dla tego czasopisma niesympatycznych. „Nowosti“ co innego z przytoczonego ustępu wyczytały: znalazły w nim ani mniéj ani więcéj, że artykuł czerwcowy w „Ateneum“ proponuje margrabiego Wielopolskiego na urząd patrona interesów krajowych, że taka propozycya nie mogła urodzić się w naszéj redakcyi, że więc inkryminowany artykuł wyszedł z pod pióra pana Spasowicza i przez tegoż narzucony został redakcyi. „Nowosti“ oponują przeciw mniemanéj kandydaturze margrabiego, a naszego wydawcę ostrzegają, aby jéj nie popierał, gdyż złośliwe języki mogłyby powiedziéć, że tu chodzi o koncesyą na budowę drogi żelaznéj z Dąbrowy. Ośmielamy się oświadczyć, że wzorem rycerza z La Manchy, „Nowosti“ walczą przeciw wiatrakom własnéj wyobraźni. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, p. Spasowicz ani kandydatury margrabiego Wielopolskiego nie stawia, ani o ubieganie się o koncesyą drogi żelaznéj przez nikogo rozumnego posądzonym nie zostanie. Co większa, sam

margrabia w wypowiedzianych publicznie słowach, że „epigonów nie będzie,“ dał wskazówkę, że o kandydaturze tego rodzaju nie myśli. Zresztą p. Spasowicz używa rozgłośnego imienia jako adwokat, jest nadto dość utalentowanym pisarzem, ażeby się od podobnych zarzutów sam obronił, jeżeli uzna to za właściwe. Wyręczać go więc nie potrzebujemy.

Pozostaje nam tylko wyjaśnienie jednéj okoliczności—stosunku wydawcy „Ateneum“ do redakcyi, z powodu błędnego mniemania, jakoby inkryminowany artykuł był nam przez wydawcę narzucony. Możemy zapewnić wszystkich, interesujących się tą kwestyą, że ani p. Spasowicz, szanując w drugich godność osobistą, nie próbowałby narzucania redakcyi sprzecznych z jéj przekonaniem opinij, ani redakcya zgodziłaby się zostać telefonem tego, coby z jéj sumieniem się niezgadzało. Artykuł o „samopomocy narodowéj“ powstał w redakcyi, z jéj własnéj inicyatywy, żadne obce natchnienie udziału w tem żadnego nie miało. Redakcya też tylko za niego odpowiada i jeśliby się okazało (*dii avertant!*), że zawierał myśli błędne czy szkodliwe, niech na nią spadnie kamień potępienia.

Załatwiwszy kwestyą polemiczną z „Nowostiami,“ zwrócimy uwagę czytelników naszych na korespondencyą z Warszawy w Nr. 140 „Poriadka,“ datowaną 20 maja (1 czerwca). Ze sposobu w jaki znajomi swoich ziomków z bieżącemi objawami naszego życia, odgadujemy w korespondencie człowieka z głową i sercem, który bez uprzedzenia patrzyć umie i posiada dość odwagi, aby przekonania swe wypowiedziéć szczerze. Im mniéj jesteśmy przyzwyczajeni do spotykania w prasie rosyjskiéj takich odezw, tem bardziéj szanować je potrafimy. Obok tego jednak widzimy potrzebę zrobić tu jedno zastrzeżenie. Korespondent pod wpływem bardzo naturalnego i zrozumiałego dla nas uczucia, szereg zabaw warszawskich i nasze zajmowanie się miejscowémi wyłącznie interesami zestawia ze smutnémi wrażeniami, wywołanémi biegiem wypadków, na które patrzy zdala. Z tego zestawienia wynika pewien dyssonans, który go oczywiście razi, a odległych jego ziomków, którzy tylko z korespondencyj dziennikarskich czegoś się o nas dowiadują, jeszcze bardziéj razić musi. Szkoda więc, że korespondent nie zastanowił się nad tém, czy milczenie zawsze oznacza obojętność? Milczenie bywa niekiedy równoważnikiem ostrożności, owocem gorzkiego doświadczenia. Zdarzało się, iż najpoufniejsze listy przedstawiane były dobrowolnie przez adresatów na to, aby przeciw piszącym świadczyły, aby z najniewinniejszych wyrażeń budowały się potępiające poszlaki. Milczenie może być nakazane

względami nawet ważniejszémi aniżeli ostrożność osobista. Zabierając głos w pewnych przedmiotach, leżących po za ciasnym zakresem spraw czysto miejscowych, moglibyśmy wyrządzić tylko szkodę opiniom, za któremibyśmy się oświadczyli. Głos nasz podałby do rąk nową a pożądaną broń różnym sykofantom większego i mniejszego kalibru. Ulubiona p. Katkowowi i jego adherentom piosenka o „szlachto-łacińskiéj intrydze“ i o „stadzie Panurga“ wnetby po dawnemu zabrzmiała i niejednego prostaczka uwiodła. Po cóż więc mamy pracować *pour le roi de Prusse?* Korespondent i wszyscy ludzie rozważni zrozumiéć to powinni.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.

1. Słowo wstępne.—Pierwotnie skąpe o życiu Sępa szczegóły.—Pierwsze „Rytmów“ jego wydanie.—Różne z jego przyczyny domniemania.

Okrągłe trzysta lat ubiega od chwili, w której złożono, nie wiadomo dokładnie gdzie nawet, szczątki śmiertelne może i wielkiego w przyszłości poety; od chwili—łatwo to powiedzieć—a jednakże nawet chwila ta ściśle znaną nie jest; zdarzenia tego bowiem, za świeżéj jeszcze u współczesnych pamięci, rok zaledwie zapisano (1).

Rzecz to smutna. O innych, mniéj nieraz pamięci godnych, mówi się z całą pewnością: dnia tego a tego na świat przyszedł, o tém wiemy tylko: że w tym a w tym roku już go nie było; — i oto, nie mogąc święta kolebki jego uczcić, jeśli przynajmniéj majestatowi cichemu jego mogiły pokłonić się zechcemy, to i tak próżnobyśmy szukali kędy się zwrócić; bo stało się z nią jak niegdyś z rodzinną ziemią Wajdeloty, która mogła być „tu, lub owdzie, albo z tamtéj strony.“ Rzecz smutniejsza jeszcze pomyśléć, że ten człowiek, tak samo, jak za życia wieńca się od narodu swego nie doczekał, tak i kiedy żyć przestał, zaledwie w lat dwadzieścia, chwale jego dość skąpe wydano świadectwo. Co prawda, świadectwo to jest mu oraz i pomnikiem, i to nie żadnym chudopacholskim, ale z pańska marmurowym, tylko, że ten marmur lat niby tyle na pomieszczenie godne siebie czekając, tymczasem bez osłony na wichrach przebywał i na słocie, i stąd ucierpiał znacznie, a nawet wiele go ubyło. Ale najsmutniejsza podobno, że jeszcze i ten pomnik skromny, razem nawet z pamięcią o nim, przepadł bez śladu na całe lat dwieście; tak, że na początku naszego stulecia w wątpliwość nawet podano, czy go kiedy istotnie świat współczesnych oglądał?

(1) Ostatniemi czasy, dzięki odkryciu dokumentów, o których z kolei rzeczy rozpowiem, udało się bliżéj nieco datę tę oznaczyć, a mianowicie: na miesiąc sierpień—chociaż dzień zgonu poety, jak i wprzódy, pozostał tajemnicą.

Cóż robić—bywają takie dole człowiecze, a jak lud prosty powiada, takie „Przejrzenia Zgóry.“ To mówi mądrość uboga w duchu—owa przeczuciowa mądrość, podobno jak świat stara; a człek zwyczajny, temci bardziéj nadzwyczajny, będzie próbował rzecz tę namacalniéj wyłożyć — ale, Bogiem a prawdą, nie wiadomo, czy potrafi...

Tak więc, wszystko o tym Sępie naszym smutne jest—ale też i on sam nie był wesoły. Ustawicznie czegoś tęsknił i w tém go nic a nic nie rozumiano— bo już-to, w czasie owym, nie mieliśmy powodów do tęsknoty. W sobie się zagłębiał, co również nie bardzo kogo obchodziło; bo ludzie owocześni w nadmiar życia byli bogaci, a o zagadnieniach bytu ziemskiego tylko z obywatelskiéj radzi dobadywali się strony. Na szczęście, jak wszyscy drudzy, w Bogu tylko upatrywał swéj pociechy, i to jedno pewnie spowodowało, że tych jego niesmaków a wyrzekań wzruszeniem ramion nie pozbyto i nie ukarano milczeniem; bo naród prostacze miał uczucia, i choć rozmaicie już wierzyć poczynał, niemniéj gorąco był pobożny, i łagodne duszy uniesienia chętnie sobie przyswajał a głęboko odczuwał. Wyczerpujący na to dowód przytoczyć można w Psałterzu, z takiem upodobaniem od lat najdawniejszych to rymem to prozą przyswajanym, aż póki go Kochanowski z misterstwem wielkiém w całości wreszcie narodowi nie dał. Wtedy też, w ciągu lat kilkudziesięciu, wydań różnych dzieła tego zrobiono aż dwadzieścia.

Więc, jak się rzekło, dzięki téj pobożnéj właściwości natchnień Sępa, miał on pewne u współczesnych uznanie, choć może nie w powszechności, bo ta, jak wiemy, „Treny“ nawet wiekopomne „lekkiemi (małoważnemi)“ osądziła — ale w bliższém siebie otoczeniu—skromném otoczeniu, jak to wprędce ujrzymy—złożoném jednak z ludzi wykształconych, uczuciowych i zasługą osobistą hojnie zdobnych. Choć mogło być także, iż on i narodowi całemu nie zupełnie pozostał obcy, a to mianowicie ze strony kilku, dość miernych, przyznać trzeba, prób poezyi bohaterskiéj. Tak je przynajmniéj dziś sądzić się godzi. Ale w czasach owych rycerskich, ogół nie tyle na formę był wrażliwy, a za to dużo cenił rozgłośne uznanie czynu, zagrzewać zdolne do szlachetnéj ofiary. Więc o Herburcie, więc o Strusie, więc o królu Stefanie, a nawet o Bolesławie Śmiałym kiedy Sęp nasz śpiewał, niezawodnie dość to głośno brzmiało.

Zanim jednak szczegółowiéj działalność tego poety pod rozbiór weźmiemy, zbierzmy jeszcze w jedną wiazkę szczupłe wiadomości, mogące rzucić jakie takie światło na tę postać, któréj cechy (wyznajemy to w prostocie ducha), im jasności na nich więcéj, tém coraz dziwniéj zagadkowemi nam się wydają.

Więc najprzód, u współczesnych spotykamy o nim trzy wzmianki. Jędrzej Wargocki, wychwalając jego przekład wiersza Witalisa o Rzymie, zowie go „przednim poetą.“ „Ów Mikołaj—powiada znowu Joachim Bielski—by był doszedł lat swych, byłby z niego poeta znamienity polski.“ O wiele zaś dosadniéj wyrażając się Paprocki, widzi w nim „człowieka uczonego i poetę po Janie Kochanowskim przedniejszego w polskim wierszu.“ Wreszcie dwaj ostatni zgodnie podają rok jego zejścia (1581), ale pierwszy twierdzi, że go pochowano w Przeworsku, drugi zaś — że w Przemyślu. I oto wszystko— na całe lat z okładem dwieście.

W pierwszych latach bieżącego stulecia, Juszyński wątpił już, ażeby kiedykolwiek rymy Sępa odszukać się dały; przypuszczał bowiem, że chyba ich nigdy drukiem nie ogłoszono. Zgodnie też z tém jego przekonaniem, nieznany bliżéj autor zamieszczonéj w „Pamiętniku Lwowskim“ z r. 1817 o Sępie wiadomości, przytaczając dołączoną do „Epitaphium Rzymowi“ wzmiankę Wargockiego (jako ten wiersz znaleść można in opusculo Authoris postremo, A. 1601), tłumaczenie jéj naciąga w ten sposób, że nie należy tu rozumiéć, aby rzecz wyszła z druku po śmierci poety, ale raczéj, że ją zaliczać trzeba do ostatnich życia jego utworów.

Tymczasem traf zrządził, że w dziesięć lat potém, w księgozbiorze Kórnickim, znaleziono owo „opusculum,“ które nawet, jak się pokazało, poprzednio miał już w ręku Lelewel; ten jednak więcéj badaczem niż literatem będąc, troskliwie je tylko jako białego kruka z wierzchu opisał. Tę tedy rzadkość niezmierną, a oraz jedyną po Sępie naszym spuściznę, Muczkowski niezwłocznie drukiem powtórzył, a to z tak ścisłém pierwotnego wydania poszanowaniem, że bez wahania ten przedruk niejako za jego podobiznę uważać należy (1).

Od téj też pory, przybywa nam znowu nieco o Sępie, a raczéj o smutnéj doli jego, szczegółów.

Przedewszystkiém, Zbiór jego Rymów, poprzedza przedmowa pierwotnego ich wydawcy—był nim zaś rodzony (młodszy) brat poety Jakób, Lwowski podstoli. Ten tedy oto jak się w niéj usprawiedliwia. „Częstokroć wiele ludzi zacnych... którzy nieboszczyka pana Mikołaja Sępa Szarzyńskiego brata mego rodzonego abo zaznali, abo też pisma jego czytali, rozmawiali ze mną i z narzekaniem, żem

---

(1) Stanowi to pierwszy tomik „Zbioru najcelniejszych i najrzadszych Rymotwórców polskich z wieku XVI-go.“ Ponieważ zaś i to wydanie w prędce rzadkością się stało, pomieścił je więc (acz mniéj starannie) Turowski w wydawnictwie swojéj „Biblioteki polskiéj.“

się o to nie starał, aby prace i pisma jego do kupy były za mojém staraniem zebrane i światłu pokazane. Ja zaiste będąc w téj mierze i sam na się frasowity żem do tego przyjść nie mógł, i narzekaniem ludzkiém poruszony, starałem się: jakobym i żądności onéj prawie pospolitéj (prawdziwie powszechnéj) od wszystkich, którzy się w dowcipie brata mego zakochali, i powinności mojéj braterskiéj, a przytém sławy brata mego, nie odbiegał. Lecz mi to na wielkiéj przeszkodzie było: że po ześciu z tego świata brata mego, nieboszczyk zacnéj pamięci Jego Mość Pan Starzechowski Podkomorzy Ziemi Lwowskiéj pisma i księgi jego na swój dozór i opiekę wziął, który téż potém w rychle umarł, tak, że téż ja z pilnością się o onych pismach pytając, mianowicie u nieboszczyka Pana Pobidzińskiego, nie mogłem się dopytać. Mając tedy trochę pism takowych brata mego, oczekiwałem z niemi: azaby się ich więcéj kędy między ludźmi uczonemi naleść mogło. Lecz gdy się nic takowego nie pojawiło, jam się, patrząc na złe zdrowie moje, aby i ta troszka co przy mnie była jako inszych wiele nie zginęła, obawiając, użyłem jednéj zacnéj osoby duchownéj do przejrzenia i sporządzenia pism ręki brata mego własnéj, które przy mnie były, które ja, aby świat widziały... za upominek po bracie mym oddaję...“ Dotąd podstoli Jakób.

Wydanie nosi datę roku 1601, więc nie prędzéj nastąpiło, aż w lat dwadzieścia po zgonie poety. Starzechowski zaś umarł w rok po nim (1). Dziewiętnaście lat tedy, w ciągu których miał czas umrzeć jeszcze i on Pobidziński, narzekało napróżno „wielu zacnych ludzi, którzy się byli w geniuszu zgasłego wieszcza zakochali,“ że się pan brat jego „z pilnością“ o jego pisma tu i owdzie pyta. Tymczasem zaś wiadomo znów zkądinąd (mianowicie z powołanego wyżéj Wargockiego), że u Jakóba Pretficza wojewody Podolskiego (2) znajdowały się rękopisma Mikołaja i to te prawdopodobnie, które Podstoli w przedmowie swojéj nazywa „inszych wiele.“ Jednak cóż z tego, skoro w ciągu téj jego dziewiętnastoletniéj pilności, zgorzał dom pomienionego Pretficza, a z nim i rękopisma bodaj ostatnie już jakie na świecie istniały.—Otóż i dola, o któréj słusznie powiedziećby można: wiele złego na jednego.—Jeśli jeszcze zważymy przytem, że pomienione wydanie mocno jest niedbałe, że zamieszanie w znakach pisarskich w wielu tam miejscach do wysokiego stopnia tekst zaciemnia, że tu i owdzie znajdziesz wiersze z błędnemi rymami (3) lub

(1) Paprocki pod klejnotem Nieczuja.

(2) Syn sławnego Bernata. Paprocki, pod klejnotem Wczele.

(3) Jak w parafrazie psalmu 126 (który także właściwie jest 130), strofa czwarta.

wcale bez nich (1), bez średniówek (2) lub całkiem wadliwego rytmu (3), czego przecięż na karb tak wytrawnego rymotwórcy, jakim był Szarzyński, żadną miarą składać się można; to zarazem nabędziemy przekonania, że téż i „osoba duchowna," do tego użyta, mogła być istotnie „zacną," ale bynajmniéj „do przejrzenia i sporządzenia pism" podobnych nie zdolną.

Bądź-co-bądź, z tych kilkunastu kartek, będących dziś jedynym zabytkiem jego działalności, oto jakim się nam poeta mniéj więcéj jasno na razie przedstawia. Cichy, skromny, słodkiego a zarazem rzewnego usposobienia, jak bywa u tych, którym nie znaczono dłuższego na ziemi pobytu, zdaje się być tylko pątnikiem zadumanym, idącym z modlitwą na ustach gdzieś ku miejscom, wsławionym z cudów uzdrowienia duszy. Jakoż, istotnie umarł on w młodym wieku—wiemy to już z Bielskiego. Więc zapewne wątłego był zdrowia, podobnie jak Janicki—a jednak, ani na to jak tamten ustawicznie się nie skarży, ani opowiadaniem cierpień swoich o współczucie nie żebrze, ani nawet osobą swoją uwagi niczyjéj nie zaprząta. Owszem, z poddaniem się przyjmując za rodzaj kary swoje przemijające na padole ziemskim istnienie, zdaje się raczéj przykrzyć sobie na świecie, a oraz tęsknić serdecznie do zagrobowych szczęśliwości. I jakbądź z pewnością nie dosięgnął trzydziestéj wieku swego wiosny, wygląda jednak wykształcony wielostronnie, z literaturą starożytną obyty, w łacinie bardzo biegły, ale osobliwie na wskróś włoskiemi, jak nikt drugi u nas, przepojony wpływami.

Więc obszerne tu pole do domysłów. Tylu drugich w czasie owym na obczyźnie się kształcąc, a osobliwie w Padwie nabywając wiedzy, mniéj lub więcéj włoszeli. Za powrotem ich do kraju, wpływy dworskiego otoczenia, włoszczyznę również za ostateczny wyraz towarzyskiéj ogłady im zalecały. Zresztą, sami już poniekąd zużyciem się form klasycznych zniechęceni, radzi ku świeższym, więcéj swojskim, zwracali się powiewom. Ztąd tacy włoskich wzorów na naszéj ziemi krzewiciele, jak Górnicki, jak Piotr a po części i Jan Kochanowski, jak nawet może Piotr Zbylitowski, ale zwłaszcza Serafin Jagodyński. Więc pewnie i nasz Sęp roztęskniony, z téj promienistéj krainy, nic nie klasyczne natchnienia swoje wraz z formą ich wyrażeń, z powrotem z sobą przyniósł. Mogło to być. Przed-

(1) Początek pieśni IV, O Cnocie Szlacheckiéj.

(2) W sonecie III. *Miłosierdzia, gdy na nas grzech straszliwy. — Pokaż twego słońca światłość żądaną.*

(3) W sonecie III. *Ale zarzą już nam nastań raną.*

wcześnie z życiem słabem się biedząc, mógł być zmuszony, jak Janicki, nie tylko wiedzy, ale i zdrowia na południu szukać. Bo inaczéj, zkądżeby mu jak nie na miejscu tak żywo sobie te właściwości poezyi włoskiéj przyswoić, że się niemi wyróżnia, jakby wprost u żywego źródła pomysły owe i formy na potrzebę swoją duchową poczerpnął?... Tymczasem, jak to zaraz ujrzymy, przypuszczenia podobne, z rzeczywistością dowodami popartą, nie łatwo pogodzić przyjdzie.

2. Wykrycie bliższych o rodzinie Sępa i o nim samym szczegółów. — Z téj miary, jak również i z zestawienia różnych okoliczności, całkiem nowe prawdopodobieństwa i domysły.

Z kolei tedy miejsce tu i pora bliżéj się rozpatrzyć w tych dowodach, na mocy których znów nam nieco bliższych szczegółów o osobie Sępa przybyło. Są to dokumenta urzędowe, świeżo właśnie, w tak zwaném Bernardyńskiem Archiwum we Lwowie, przez Ludwika Finkla nader pracowicie wyszperane (1). Z nich to przekonywamy się, jak złudnemi w wielu razach bywają pozory skutkiem braku wyraźnych danych biograficznych z postępem czasu naleciałe, a oraz, jak dalece śliską jest rzeczą, w przedmiocie ruchu umysłowego owéj epoki, domyślnością się tylko powodować.

Przedewszystkiém, wyrzec się nadal wypadnie utartych dotąd Mickiewicza śladem pogadanek o tem „ciepłém i miękkiém gniazdku Sępiem,“ w którem nasz Mikołaj do tęschnoty nieuleczonéj duszę swą kołysał. Gniazdo, jak zwyczajnie gniazdo sępie, z badylów było twardych sklecone, mocno też przewiewne, i na wszelakie wpływy niedobre na ścieżaj otwarte. Ród był drapieżny, całkowicie nazwy swojéj godny (2). Wiecznie w procesach, zajazdach, gwałtach rozlicznych, porywaniu ludzi lub ich mienia, życie niespokojne wiedli. Siedzieli na cząstce posiadłości zwanéj Zimną-Wodą (3) i byli nieustanném udręczeniem bliższych i dalszych sąsiadów. Dziad poety, tak się był Bartłomiejowi niejakiemu dał we znaki, że tenże, dla świętéj spokojności *(ob spem concordiae)*, odczepnego sumę jakąś synom jego dobrowolnie w pomienionych aktach przekazuje. Nie lepszy od dziada ojciec naszego Mikołaja, wciąż się, to z krewnemi prawuje,

---

(1) Przewodnika naukowego i literackiego, stanowiącego dodatek do „Gazety Lwowskiéj,“ zeszyt za kwiecień, 1880.

(2) Powołany wyżéj autor twierdzi dowodnie: że Szarzyńskiemi nazywali się tylko od posiadłości z któréj pierwiastkowo wyszli, podobnie jak byli drudzy Sępowie, nazywający się Olborskiemi.

(3) Sądzić się godzi, że ta Zimnowoda w całości kiedyś do nich należała; tak przynajmniéj wnosić można z tego, co Paprocki o tem prawi, nazywając „wielką majętnością“ to, co Zimnowodzka w dom ich wniosła.

to z sąsiadami, to z mieszczanami lwowskiemi, to wreszcie z konwentem księży dominikanów. Swéj macosze napadem grozi, za co nawet grzywnami jest obłożony. Niemniéj, w dwa lata późniéj, kiedy już w powtórne śluby weszła, porywa ją od męża, nie bez obłowienia się jéj mieniem, które snadź uważa za swoje. Aż z kolei przychodzi na stół jedna z najbrudniejszych mojem zdaniem sprawek tego warchoła, którego przecież Paprocki nader dobrodusznie „człowiekiem cnotliwym i bogobojnym" zowie. Rzecz się tak miała: że on kiedyś część swojéj części niejakiemu Worytce za tysiąc złotych w zastaw oddawszy, skoro ten umarł i tylko sieroty po nim zostały, umyślił, w téj sposobnéj chwili, razem i prawnie zaciągniętego długu nie zapłacić i do posiadania własności swojéj powrócić. Że jednak widocznie u nikogo już zaufania nie obudzał—cóż tedy czyni? Oto korzystając z powszechnego szacunku, jakim się syn jego, nasz Mikołaj, nader słusznie cieszył, podstawia go jako niby życzącego sobie wziąść cząstkę ową w jednoroczną dzierżawę, na co gdy się zgodzono, już on tam Mikołaja, ani nikogo więcéj nie dopuścił. Tylko w dalszym ciągu téj szacherki zbójeckiéj, spotykamy go jeszcze w ziemstwie zeznającego, pewnie dla tém dokładniejszego zamącenia rzeczy: jako wcale nie spadkobiercom Worytki, ale właśnie synowi Mikołajowi winien jest pomienioną sumę zastawną tysiąca złotych. Potem jeszcze nie raz jeden z ludźmi za łby się wodzi, lub się kondemnatom opędza—a zawsze już odtąd wypycha przed sobą tego biednego Mikołaja, sam się po za jego potulność skrzętnie chowając. Téż kiedy ten ostatni do jakiegoś mienia (choć pewnie tylko symulacyjnie, z naprawy ojca) przyszedł, ten je zaraz w dzierżawę od niego bierze. Słowem, o Mikołaju chcąc się tu czego dowiedzieć, nie podobna ani na chwilę onego miłego ojcaszka jego się pozbyć; bo ten go nie tylko przeżył, ale jeszcze spadek nawet po nim (1), wyraźnie ostatnią wolą młodszemu bratu przekazany, imieniem tegoż Jakóba (acz już naonczas pełnoletniego), do rąk własnych zagarnął.

Nie wiemy bliżéj, jakim był brat jego Jakób. Ale pewnie, jak życie swoje całe Mikołaj, tak i ten aż do śmierci ojca, pozostał w twardéj rodzicielskiéj kurateli, niesławném tylko popychadłem w ręku jego bywając. Późniéj, pewnie się i otrząsł z rodzinnego drapiestwa, któremu może tylko jak Mikołaj, z przymusu, pod grozą ojca, pierwotnie służył. Mówi o nim Paprocki: iż był „Mąż godny

(1) Spadek ten nie przenosił ośmiuset złotych, co na dzisiejszą monetę zaledwie-by dziesięć razy tyle wynioslo.

i do posług Rzeczypospolitéj *habilis*,"—ale czyż mu wierzyć można, skoro nas już poprzednio gorącą ojca pochwałą w błąd wprowadził? Bądź co bądź, w przedmowie do wydania Rymów swego brata, przedstawia się nam ten Jakób jako człowiek szczerego serca, w prostocie przyznający się do winy, głośno sam na siebie frasobliwy. Bóg go tam wie—może on istotnie z pilnością o pisma brata swego się starał,—wprawdzie lat dwadzieścia to trwało—mógł być niezaradny, jak w ogóle ludzie w domu zahukani. Również i on na niezdrowie się swoje uskarża; więc snadź, jak Mikołaj, nie miał w sobie tradycyjnego Sępów animuszu. Wygląda też niezbyt wykształcony, skoro do wydania tak szczupłego Zbiorku poezyi kogoś drugiego zmuszony był użyć; ale naprawdę zkądby mu nawet uczoności jakiéj było nabyć?—toć pewnie, w karnéj u ojca szkole, chyba tylko w przebiegłą prawnych kruczków znajomość mógł się był zapomódz. Także zdaje się nie mieć tych samych, co brat jego stosunków. Owszem, z największemi tamtego przyjaciołmi bardzo nieśmiały, tém samém odszukanie rękopismów jego wielce sobie utrudnia. Nic tu nie przeszkadzała śmierć Starzechowskiego, boć on przecię liczną zostawił po sobie rodzinę. Podobnież Pobidziński wygląda, jakby go tylko byle czém pozbył. O Pretficzu zaś nic Jakób nie wie; a przecież, za świadectwem Wargockiego, był to jeden z najżarliwszych Mikołaja zwolenników. Nawet powiedzieć można: wcale on nie miał z własnym bratem téj, co pomiędzy rodzonemi, zażyłości. W poezyach Mikołaja tyluż obcych budzi wspomnienie się przewija, a o Jakóbie najmniejszéj nigdzie nie napotykamy wzmianki. Jednak dwóch ich tylko było braci...

Więc oto jakie w miejscu tém koniecznie nastręcza się przypuszczenie. Mikołaj snadź chyba z lat wczesnych indziéj niźli doma się chował. To jedno tylko zdolne jest wytłumaczyć: i jego nad bratem przewagę umysłową, i wykształcenie nad miarę zwyczajnego w zaścianku szlacheckim wychowania,—ale szczególnie ten smak u niego wytworny i to wykwintne poczucie formy, jakie bywa tylko bardzo dobranego towarzystwa udziałem. Zaraz obszerniéj o tém pomówimy. Ludwik Finkel, na mocy znanych sobie dowodów, nie waha się twierdzić, że Sęp nasz, wcześnie do gospodarki przez ojca powołany, czasu nawet nie miał szkołę jakąkolwiek systematyczną odbyć; widocznie bowiem brakło mu stopnia naukowego, który inaczéj, w aktach urzędowych byłby mu przydawany, skoro godności żadnéj w ziemstwie swojem nigdy nie piastował. Nie przesądzając słuszności tego ostatniego wniosku, myślę jednak, że jeśli istotnie Sęp do uczelni żadnéj nigdy nie uczęszczał, tedy nie pozostałoby

jak tylko przypuścić, że był samoukiem, co przecięż, w zbliżeniu z niepospolitą miarą jego wiedzy, nie wygląda prawdopodobne.

Z tego powodu sądzę, że dokładniéj nieco stosunki towarzyskie Mikołaja naszego rozpatrując, tą drogą do niejednego nierównie trafniejszego przyjść zdołamy wniosku. Więc naprzód Kostkowie. Dla téj rodziny zdaje się on żywić w sercu obowiązki najtkliwszéj wdzięczności. Być może równy mu był wiekiem Jana wojewody Sędomirskiego syn starszy, podobnież jak Mikołaj wcześnie zmarły, o którym Paprocki powiada, iż to był „mąż uczony, w postronnych krainach naukami się bawiący,“—podczas gdy młodszy „sprawami rycerskiemi“ tylko bywał zaprzątnięty. W tym tedy domu przemożnym, z lat wczesnych, mógł Sęp nasz, jako wielce obiecujące a łagodnego usposobienia pacholę, pożądanym być małego pana towarzyszem; z nim zabawy, upodobania i naukę podzielać; z nim nawet późniéj może i na obcyźnie czas jaki przebył (1). Daléj, widzimy go w zażyłości z pokrewną tamtym rodziną Starzechowskich. U tych, zdaje się że do ostatniéj chwili życia był rzec można domownikiem, skoro tam nawet pozostały wszystkie jego „i pisma i księgi.“ Wspomniany w przedmowie Joachima, Stanisław podkomorzy snadź szczególnie do serca mu przypadał. „Człek to był, zdaniem Paprockiego, uczony, ludzie uczone miłował, i przy sobie je bawił.“ W jego to domu, jak się Finkel domyśla, mógł Mikołaj spotykać krewnę podkomorzynéj, słynną swego czasu piękność, Jadwigę Tarłównę, którą też prawdopodobnie po dwakroć rymem uwielbia. Dodawszy jeszcze do tego poufały jego z Mikołajem Tomickim (zapewne synowcem podkanclerzego Piotra) stosunek, ostatecznie nabyć musimy przekonania, że Sęp nasz w najwybrańszém jak być może nawykły był żyć otoczeniu. O osobach tu wspomnianych, tymczasem napomknąłem tylko szkicowo; wrócę jednak do nich we właściwéj porze, a wtedy, domysły moje, większego jeszcze, mam nadzieję, nabiorą znaczenia. Wprawdzie, jedynie śladem współczesnego im wszystkim Paprockiego iść mi tu wypadnie; ale, jak sądzę, w tym razie całkiem spuścić się na niego można—rzeczy były narodowi całemu znane. Tacy Starzechowscy—toćżeto ród senatorski, tacy Kostkowie—a toćże króle-

(1) Przypuszczenie to moje, nie sądzę, aby było nazbyt śmiałem. W ogóle istotnych dowodów na to, jakoby Sęp nigdy kraju nie opuszczał, jak dotąd przynajmniéj, nie ma. Ogłoszone dokumenta sięgają dopiéro jego pełnoletności; o poprzednim zaś czasie nic z nich wnioskować nie można. Nie przesądzam jednak téj sprawy. Badacz Bernadyńskiego Archiwum posiada w ręku dowody, z których, jak mówi, nie wszystkie przytoczył—ja zaś idę za nim według jego wskazówek—rzecz jednak analogicznie wydaje mi się do domysłów sposobna.

więta, i nawet, jak to ujrzymy, o wiele coś większego jeszcze. Więc, jak się patrzy, dwór też ich całkiem książęcy być musiał, ogłada pańska, nawyknienia bardzo wytworne, wykształcenie pierwszorzędne; ztąd nie trudno przyjść do pewności, że ktoś w domu podobnym chowany, bez szkolnéj nawet nauki, mógł sobie umysł i serce bardzo wysoko usposobić. Później zaś, kiedy przyszło Mikołajowi koniecznie do ojca wracać, w téj niedoli jego, Starzechowscy znowu, dobrze sobie znanego nader miłych przymiotów młodzieńca, przynajmniéj w swoje strony zwabić się postarali. Tak nawet Finkel usprawiedliwia przeniesienie się jego z pode Lwowa w przemyskie. Tam tedy, własność niewielką nabywszy, tam oraz, jak się zdaje, i reszty dni swych dokonał; ztąd raczéj za Paprockim niż za Bielskim przyjąć wypadnie, że on też i pochowany został w Przemyślu.

W tém miejscu, doszedłszy do kresu jego ziemskiéj pielgrzymki, sprobujmy raz jeszcze zebrać w snop jeden wiązkę promieni, zdolnych jakie takie rzucić światło na tę postać, któréj bliższe opatrzenie, nawet poniekąd do dziejów ruchu umysłowego owéj epoki, nie obojętnym może być przyczynkiem. Słabowite, bardzo bystrych zdolności, być może w latach wczesnych z matki osierocone, chłopiątko, prawdopodobnie wzięto na wychowanie w dom pański. Tamto, z małego Sępa, niebawem orlik wybujał, górnych lotów chciwy, nie lękający się patrzéć w słońce, do nieogarnionych okiem zwyczajném widnokręgów namiętnie nawykły,—jedném słowem, nad stan swój niemal w dary ducha zasobny. Gdyż jedynie na karb skromności jego składać wypada to, co on mówi o sobie (w Sonecie do Tomickiego): „iż uczonéj mało pił wody.“ Bez wątpienia, radby był więcéj się nią upajać—jednak i to, co z tego źródła na potrzebę umysłu swego poczerpnął, już i tak nie jedno mniéj wymagające pragnienie całkowicie zaspokoić mogło. Radby był dłużéj się nią upajać—cóż z tego? pełnoletności już dosięgał, więc ojcu do jego mętnych sprawek sądowych stawał się przydatny. I oto, tyle wyższym ponad małostki odebrany wpływom, przeszczepiony z nagła w tę niespokojną wrzawę zabiegów o poziome zyski, w których nieraz i po cudze sięgano, odrodny drapieżnych Sępów potomek, cóż dziwnego, że sobie przykrzyć począł byt swój ziemski, że coraz głębiéj w siebie zstępując tęsknotę cierpiał i ciekawość rzeczy zagrobowych, że uspokojenia w rozmyślaniach szukał i w ascetycznych uniesieniach, że wreszcie z lubością opłakując zmarłych, zdaje się uśmiechnięty w pośród mogił się przechadzać?...

3. Pobieżne Zbioru „Rytmów“ streszczenie. Włoskie wpływy. Zbliżenie w téj mierze Sępa z Kochanowskim.

W istocie, ten szczupły całokształt pozostałéj po nim dumań jego puścizny, robi wrażenie gotyckiéj, w każdym swoim szczególe ku niebu biegnącéj, świątynnéj budowy. Więc u wstępu obraz śmierci spotykasz. Więc daléj, w pokorze ducha krzyżem się u chrzcielnicy namaściwszy, wkraczasz w Przybytek przyćmiony temi pustelniczemi postaciami świętych, co to na szybach podłużnych rzędami dwoma stojąc, i dniem i nocą w skupieniu ducha się modlą. Groza cię ogarnia i rzeczy ziemskich lekceważenie i niebiańskich szczęśliwości zachwyt. A tu, w głębi, wśród Chóru, w dymach kadzideł, psalmy brzmią i hymny dźwiękami organu potężne. Modlisz się—potém w duchu po świecie się rozglądasz, i rozważasz sobie: Opatrzność Bożą, Rządy Boskie na ziemi, Wszechmoc twego Stwórcy.“ Daléj, w siebie wstępując: na czem polega Cnota obywatelska? pytasz. I oto pamięci twojéj nastręcza się Fridrusz, zaszczytnie „pod Sokalem zabit,“ Struś „poległy na Rastawicy,“—wreszcie duszę ci słodko rozradowywa myśl o onym wielkim Władcy Stefanie, i dzięki składasz Bogu, że ci dano być współczesnym Chwale tego króla. Ale tu, uniesienie modlitewne znów cię od ziemi odrywa, i uznajesz w skrusze: „jako próżne jest człowiecze staranie bez Bożéj pomocy.“ Wyszedłszy ztamtąd, w zewnętrznêm świątyni owéj obejściu, mogilnik oglądasz grobowcami usiany; ale niby nie całkiem nasz, jéno takie włoskie *Campo Santo*—wirydarzyk uśmiechnięty, szumiący ciepłym powiewem, strojny w barwy żywe, tchnący kwiatowemi zapachy;—więc się tam chętnie po słońcu przechadzasz. A kiedy to czynisz, jeszcze kilka zwrotów rzewniejszych w zadumaniu umysł twój podtrzymuje, ale powoli myśl świecka cię owiewa, aż i miłosne zalatuje gruchanie (snadź dawniejszych czasów jakieś wspominki) i w tém, znowu do powagi wracasz—boć to zawsze cmentarzysko, tylko że takie sobie myślą pogodne, niemal wesołe.

Otóż taki to on jest średniowieczny, nieledwie rzekłbym gotycki, w snycerszczyźnie misternéj rozmiłowany, ale zwłaszcza w tém budownictwie ostrołukowém, przypominającém starodrzewu borowego majestat cichy, gdzieś bardzo wysoko w górze dopiéro zasklepiony. Tam koniecznie człowiek maleje; bo przymierzając do siebie ten ogrom taki spokojny, dziwić się musi, że on, przy ziemi się trzymając, tyle wichrami rozlicznemi pomiatany bywa;—a tu właśnie dopiéro w oderwaniu od rzeczy doczesnych duszę namiętnościami skołataną ukołysać można. Tak nas uczy ten Sęp nasz tęskny, pilny badacz znikomości tego świata, głęboko w sobie nurtujący, zwątpiały, ale oraz i pocieszony.

Już razy parę mimochodem potrąciwszy włoską liry jego strunę, powiedzmy też i o tém coś bliższego. Gdzie to on téj włoszczyzny swojéj mógł nabyć, w któréj stokroć wygląda bieglejszym od tych, co się jéj na miejscu uczyć mogli—pozostałoby na zawsze zagadką, gdyby nie przypuszczalne wychowanie jego w domu Kostków, kędy prawdopodobnie, śladem dworu królewskiego, modnym włoskim naonczas hołdowano upodobaniom. Bądź co bądź, zaprzeczyć się nie da, że on wpływami temi wskróś wygląda przesiąkły. Jakoż, przedewszystkiém, styl jego weźmy na uwagę. Takiego, ze współczesnych jemu, nie ma nikt drugi. Jednak właściwie, skoro tu o włoskie wpływy chodzi, z Kochanowskim jednym zestawiać go tylko można (1). Otóż, uderza w Sępie, tym pozornie domorosłym samouku, pilna wstrzemięźliwość we względzie obrazowania, z wielką, rzekłbym, ujmą klasycznego przyboru. Chcę tu mówić o tém trafném poczuciu piękna, które sprawia, że człowiek chętnie się być wyznaje i sobie i drugim współczesny; a właśnie tę odwagę cywilną Sęp w wysokim stopniu posiada. U niego nie spotyka się nawet tego, co w owym czasie nie raziło nikogo, a mianowicie: owéj mieszaniny pojęć chrześciańskich z pogańskiemi—owych w Niebie Jowiszów, na Helikonie Świętych Pańskich, a w otchłaniach Cerberów i Charonów pospołu z Czartami. Bo nawet i w dwóch poezyach miłosnych, kędy wyjątkowo stare bogi napotykamy, nie plącze on bynajmniéj *sacra profanis*; i zresztą, w téj nieswojéj szacie, wygląda dość zakłopotany. Więc, jak widzimy, bardzo się on tu od Kochanowskiego odróżnia, i rzecz tę wyrozumiéć nie trudno. Kochanowski, swój zawód od łaciny rozpocząwszy, i w niéj od razu wsławiony, nigdy się z téj swojéj europejskości dokładnie otrząsnąć nie umiał czy nie chciał. Nie tu jest miejsce obszerniéj o tém rozprawiać; niemniéj względną słuszność przyznać należy Dmochowskiemu, skoro on powiada, że Kochanowski jako liryk:

> ...na słowiańskiéj lutni nawiązawszy strony,
> Wdzięcznie powtórzył greckie i łacińskie tony.

Więc też niemało dziwną jest rzeczą, że w epoce, w któréj wszyscy wpływowi tego księcia poezyi mniéj lub więcéj podlegali, znalazł się ktoś, który z nim tak stanowczo w kierunku pojęć o sztuce się rozchodzi. W tym względzie bliższy jest Sęp naszego, mniéj może ściśle mianém romantyzmu oznaczonego Odrodzenia poezyi,

---

(1) O tych wpływach, ze względu na Kochanowskiego, pisałem już nieraz poprzednio.

niż ów potężny przywódca nowego pochodu, jakbądź ten ostatni sprawy codziennego życia, a nawet żywioły ludowe, miał odwagę w poezyi zużytkować. Daleki jestem od tego, abym miał zbliżać z sobą ich zasługi, Kochanowski zawsze tu pójdzie przodem. Umysł to trzeźwy, wszechstronnie bystrego poglądu, wielkiéj wzruszeń swoich powściągliwości,—umysł jedném słowem jasny, spokojny, na wskróś każdemu przystępny, całkiem po klasycznemu, nawet rzec można, po Olimpijsku, pogodny. Sęp za to gorący jest, zcicha namiętny, myśli nawałem przyćmiony. Niezaprzeczenie też Kochanowski większym jest artystą —ten zaś mniéj ma rozmysłu, ale więcéj głębokiego przeczucia. Kochanowski, pomiarkowaniem swojem, istotnym jest chłodnéj strefy naszéj synem,—Sęp zaś ma coś w sobie południowéj niesforności. Owóż, takiemu to, niewątpliwie, świeżością powabne wzory włoskie, daleko więcéj od Muz podżyłych, iść musiały do serca. Więc też i język jego, dosadny, barwny, w obrazy obfity, trybem włoskim, w antytezach, w asonansach się lubuje, myślowemi rymami igra; wyszukanemi konczettami dźwięczy. Weźmy na to kilka przykładów.

To miasto, świat zwalczywszy, i siebie zwalczyło —
By nic niezwalczonego od niego nie było.
Dziś, w Rzymie zwyciężonym, Rzym niezwyciężony... (1)

......Obłokom poczyniłeś tory,
W których błądzić nie mogą, *zgodne* wiodąc *spory* (2)

Wspólnie się *żywić* muszą *żywioły* podniebne (3).

Gdy nam możność niewdzięczna *część* i *cześć* odbiera (4).

Ale osobliwie, kiedy czytamy:

....Wojny pustego
Spokojne dziecka....
Abo płacz śmieszny nieważnéj ciężkości... (5)

to czyż się nam nie wydaje, żeśmy doprawdy w szkole Mariniego, tego dziś na śmierć zapomnianego, a w swoim czasie tak nadzwy-

---

(1) Jestto wyjątek z powołanego już poprzednio przekładu wiersza Witalisa o Rzymie. Poezya ta, w owym czasie, tak wielkiéj używała wziętości: że nie tylko żywcem ją sobie przywłaszczył Dubellay, jeden z siedmiu wybrańców Ronsardowskiéj Plejady; ale nawet, nieco późniéj, we Włoszech, nie wahał się sięgnąć po nią sam wielki Marini.

(2) Pieśń II. O Bożym Rządzie na świecie.

(3) Tamże.

(4) Pieśń VI nakształt psalmu CXX (właściwie zaś 123).

(5) Pannie Jadwidze Tarłównie kwoli.

czajnie sławionego geniusza, o którym z politowaniem powiada Cantu, że mogąc zdobyć sławę, wolał się cieszyć rozgłosem? Jednak Mariniego wtedy jeszcze nie było—ale były już upodobania, którym on niebacznie hołdując, do nadużycia miał je wyzyskać. W epoce owéj, liryczna poezya włoska potężnie zarażona była złym smakiem. Sprawili to naśladowcy Petrarki, zwykłą koleją przesadzając to, co właśnie w mistrzu było do zganienia. Na szczęście, w porze w któréj Sęp sztuki włoskiéj się uczył, trafił się był chwilowy zwrot ku lepszemu. Stało się to pewnie wpływem Ariosta, po części może i Tassa, choć ten ostatni, po za obrębem swego arcydzieła, ku pasterstwu ckliwemu lirykę za sobą pociągać zaczynał. Otóż, świetnieje tu kilka imion ze szkoły Petrarki, a na ich czele bez zaprzeczenia stoi della Casa, oraz Wiktorya Colonna. Tych tedy niewątpliwie, a zwłaszcza pierwszego, Sęp nasz puścił się śladem. I wybór ten wykazuje całe niepospolite zdrowie jego smaku. Zresztą, della Casa dziwnie się z nim schodzi. Duch to również, przy prostaczéj wierze swojéj, nie tyle po platońsku co owiana już odrodzeniem Wiktorya Colonna, jak raczéj po średniowiecznemu mistycznie dumający—podobnie jak Sęp łagodny a namiętny, w sobie zamknięty a wymowny. Do tego mistrz skończony w sonecie, któremu umiał przywrócić nie tylko dawną myśli powagę, ale i siłę języka, i rytmu poprawność zaniedbaną. Z bliższego tych dwóch poetów porównania, wychodzi na jaw nie jedna pobratymcza między niemi cecha—nie ma jednak takiéj, w którejby z czystem sumieniem stosunek ucznia do mistrza upatrzyć można. Śmiało to mówię: Sęp, mimo szkoły, do któréj się wpisał, naśladowcą niewolniczym nie był. Podobnie jak Kochanowski, który, choć za klasykami poszedł, choć ich nieraz żywcem sobie przyswaja, pozostał jednak sobą; tak i Sęp, uczeń włoskiéj sztuki, całkowicie nasz jest—tembardziéj, że on nawet żywcem nic od drugich nie brał. Nawet i nie bardzoby potrafił, obaczymy to przy rozbiorze jego psalmów. Z tych jeden tylko zdobył się on dosłownie przełożyć, inne zaś, parafrazując na swój sposób, bezwiednie nawet może poprzemieniał w hymny,—bo ten duch lotny długo przy ziemi trzymać się nie umiał. Powiem rzecz dziwniejszą. Psalm *de profundis* odtworzony jest w formie canzony, w strofie średniowierszowéj, z przemianami rymów, nie znanemi ani przed nim ani po nim aż po nasze czasy. Tak to on, zewnętrznie nawet, włoszczyźnie swojéj był zjednany.

O Sonetach jego pisano nieraz, kłopocząc się, kto kogo w tym razie ubiegł: czy on Kochanowskiego, czy Kochanowski jego? Mojem zdaniem, rzecz to niepodobna do roztrzygnięcia, a naprawdę nawet obojętna. Myślę tylko, że, bądź co bądź, Sęp tu nad Kochanow-

skim bezwarunkowo górę trzyma. Nie mówię już o tém, że Kochanowski, z téj swojéj włoszczyzny niezbyt szukający chluby, poprostu do Fraszek ją wyprawia, i nawet sonetu żadnego głośno sonetem nie wyznaje; ale o téj różnicy pomiędzy niemi w sposobie użycia danéj formy. Otóż, Kochanowski, po mistrzowsku swoim zwyczajem, z łatwością niezrównaną, swobodnie, lekko rzecz tę zbywa—ale Sęp nie równie głębsze objawia tu poczucie zadania. Gdyż sonet, jeśli nie ma być miłosny, to, jak wiemy, w tonie poważnym koniecznie winien być trzymany. Tak nas przynajmniéj pouczają Petrarka i Dante, dwaj najpierwsi w tym pieśni rodzaju mistrze i prawodawcy.

Czy zaś i o ile Sęp Kochanowskiego w innych razach przodem po przed sobą puszcza? to wprędce obaczymy; obecnie jednak wypadnie przyjąć za rzecz pewną, że on od niego nic a nic nie wziął; choć to, jak wiemy, naonczas niemal nieuniknioném było. Rozdzielały ich usposobienia stanu duszy, upodobania artystyczne—nawet, rzekłbym, temperamenta. Kochanowski bezsprzecznie należy już do epoki Odrodzenia, geniusz to rzecby można jutrzejszy; Sęp zaś, wśród epigonów średniowiecznéj zastałości za przeszłością jeszcze podąża. Kochanowski wolnomyślny jest, wielce już po nowemu na sprawy świata patrzący; Sęp zaś, w sobie jedynie zatopiony, przy mistycyzmie starym się trzyma. Kochanowski tworzy epokę, naprzód idzie, na wszystkie strony nie znane przed nim wydeptując szlaki—działalnością swoją gorączkową wypracowywa: myśl, styl, język, wieloraki form zewnętrznych mechanizm, poglądy, i zresztą wszelkie sztuki rodzaje; tamten zaś, zdaje się odchodzić w cienie gdzieś milczące, zabierając z sobą nierozwikłane swoje zagadki, samotny, zadumany, jakiś niby wczorajszy—ztąd więcéj może dziś zrozumiały, niźli w swoim czasie. Wykazałem też poprzednio, że każdy z nich w innéj szkole smak swój kształcił; tak więc, wszystkie te względy zgromadziwszy w jedno, koniecznie przyjdziemy do przekonania, że nigdy pomiędzy temi dwoma poetami zbliżenia być nie może, lub przynajmniéj z wielką je ostrożnością, zwłaszcza bez powziętych z góry uprzedzeń, upatrywać się godzi.

4. Szczegółowy przegląd utworów Sępa. Sonety. Psalmy. Pieśni.

Weźmy wreszcie pod bliższe rozpatrzenie tę wiązkę nieśmiertelników, która nam na pamiątkę po tym biednym Sępie naszym została. Ma ona woń sobie właściwą. Być może taką tchnęło owo kadzidło, niegdyś przez Magów, z dalekiego wschodu, za przewodem Gwiazdy Betleemskiéj, niesione. I barwy też tych kwiatów, nie ty-

le żywe co w Niedzielę kwietnią, przypominają raczéj owe wianki jesienne, które lud prostaczy, w dzień Matki Boskiéj Zielnéj, na zamknięcie żniwa święci. Pęczek tych kwiatów szczupły jest, więc żadnego pominąć się nie godzi—zresztą naprawdę nie ma tam takiego bez któregoby się obeszło; bo każdy zdaje się być w pewnéj okoliczności życia wykwitły, w pewném usposobieniu duszy pielęgnowany, w pewnéj myśli uszczknięty, i w pewnym porządku pomieszczony, tak, że wszystkie razem, tworzą niby pamiętnik wrażeń osobistych, wymowny tylko zestawieniem odpowiednich sobie barw, jak to bywa w tak zwanym kwiatowym języku.

Pierwotne wydanie poezyi Sępa nosi napis: Mikołaja Sępa Szarzyńskiego Rytmy abo wiersze polskie (1) po jego śmierci zebrane i wydane, Roku Pańskiego 1601.

Jakoż, niby smutnem przedwczesnego zgonu przeczuciem, zbiór ten rozpoczyna rodzaj Prologu, będącego dumaniem u *posągu śmierci.*—Z grzechu się ona urodziła—tak powiada poeta—ztąd jest nieubłagana i w tajemnicy działająca. Któż wie: czy i wam, którzy mniemacie, że jest skamieniałą, w téjże chwili, ta nieprzemożona bojownica, nie przykłada kosy do szyi?...

Daléj, Sonety idą. Jest ich sześć. Pierwszy: *o krótkości i niepewności na świecie żywota człowieczego.*—Im daléj drogą życia stąpam, rozważa poeta, tém wyraźniéj oglądam cień mych błędów, za mną się wlokący. O! jakież na świecie pożądanie na zawód człowiekowi nie wychodzi? Wszelkie tu dobro niestałem jest, a ten jedynie spokojny w sobie, który się w czas przekonał, że tylko ułudą świat powabnym się przedstawia.—Sonet drugi, Jobowe, goryczy pełne słowa chrześciańskim zwrotem, na modlitwę namaszcza:

Z wstydem poczęty człowiek, urodzony
Z boleścią, krótko tu na świecie żywie.
I to odmiennie, nędznie, bojaźliwie,
Ginie, od słońca jak cień opuszczony...

I od takiego, Boże nieskończony!
(W sobie chwalebnie, i w sobie szczęśliwie
Sam przez się żyjąc), żądasz jakmiarz chciwie
Być miłowany i chcesz być chwalony?

Dziwne są Twego Miłosierdza sprawy!...

Zdumiewają się nad niemi Cherubinowie w swym rozumie przepaścistym—Serafinowie zaś płoną od nich miłością.

---

(1) Że pomieszczono tam jednak i kilka łacińskich, z tego wnosić się godzi, że tych ostatnich mógł być zbiór osobny, także może dość znaczny.

O święty panie! daj: niech i my mamy
To, co mieć każesz, i Tobie oddamy.

Sonet trzeci: *Do Najświętszéj Panny.* Nazywa ją w nim nie mającą sobie równéj, oraz drugą ozdobą ludzkiego rodu, którego pierwszą Ewa była.

Panno bezrówna, stanu człowieczego
Wtóra ozdobo! nie psowała w któréj
Pokora serca, ni godność pokory!
Przedziwna Matko Stworzyciela swego!

Ty, głowę starwszy smoka okrutnego,
Którego jadem świat był wszystek chory,
Wziętáś jest w Niebo nad wysokie chóry
Chwalebna, szczęścia używasz szczerego.

Tyś jest dusz naszych jak księżyc prawdziwy,
W którym wiecznego baczymy promienie
Miłosierdzia...

Jest bardzo pięknym ten zwrot końcowy, który w téj Matce Zbawcy, widzi odblask słonecznéj jego światłości.

W sonecie czwartym, rzecz jest: *O wojnie naszéj, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem.* W spokoju—powiada poeta—należy widzieć jedyną szczęśliwość. Ale cóż z tego—kiedy bojowaniem stoi nasz byt podniebny; bowiem on srogi Hetman ciemności, w zmowie z chciwemi potępienia marnościami tego świata, pilno na naszę zgubę działa! I nie dość na tém, ale i ciało domem naszym będące, dla rozkoszy przemijających, duchowi niebacznie zwierzchności zazdroszcząc, wiecznie nie przestaje żądać swego upadku.—

Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny! prawdziwy pokoju

Zbawienia mego! Jest nadzieja w Tobie!
Ty mię przy Sobie postaw, a prześpiecznie
Będę wojował—i wygram statecznie.

Sonet piąty: *O nietrwałéj miłości rzeczy świata tego*, w całości wart jest przytoczenia:

I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha! gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkiem smakować:
Złoto, sceptr, sława, rozkosz i stworzone

Piękne oblicze, by tém nasycone
I mógł miéć serce, i trwóg się warować?

Miłość jest własny (właściwy) bieg bycia naszego—
Ale z żywiołów utworzone ciało
To chwaląc, co zna (że jest) początku równego,

Zawodzi duszę, któréj wszystko mało—
Gdy Ciebie, wiecznéj i prawéj piękności
Saméj nie widzi—celu Swéj miłości!

Sonet szósty, poświęcony jest uczczeniu Mikołaja Tomickiego. Całkiem on włoskiéj wykwintności.—Tomicki, powiada w nim poeta, jeśli nie ganią ludzie takiego, który, jak skromna lampa, świeci ku sławie téj chwalebnéj w sobie światłości, téj świętéj, téj niezmiernéj, z któréj wszelakiego światła jasność płynie,—tedy nikt mię płochym nie nazwie: że chcę sławić piękność, doświadczonéj w tobie przez każdego cnoty,—

...Jeno żem uczonéj
Mało pił wody—nie śmiem jąć się tego.
Chęć przyjmij wdzięcznie—na téj (sam) Bóg przestaje.

Daléj, idzie sześć pieśni, stanowiących naśladowanie psalmów. Zaznaczyłem to już powyżéj, że Sęp nie posiadał zdolności w prostocie Dawidowéj uniesienia swoje wypowiadać. Przekonamy się o tém dokładniéj przy rozbiorze jedynego psalmu, który się on zmusił nareszcie słowo w słowo, jak umiał, przełożyć. Jakbądź bowiem i jemu harfa raczéj niż lira przystała, bliższy on w tém Proroków namiętnych, niż tego spokojnego pieśniarza tyle ogólno-ludzkiego, że się stał niemal typem modlitewnéj poezyi. Zdawaćby się mogło, że Sęp, zabierając się do odtwarzania psalmów (a w owym czasie któż z tego chwały nie szukał?), zawsze w szczeréj chęci trzymania się pierwowzoru do rzeczy swéj przystępuje. Ale cóż z tego, skoro go zaraz gorącość jego średniowieczna unosi, i oto staje się, że on, temu królewskiemu Lewicie archanielskie skrzydła arki jego u ramion uczepiwszy, porywa go z sobą w obłoki, kędy już nie psalmy ziemskie łagodnie jasne, ale, o tyle bliżéj Nieba, błyskawiczne hymny się tworzą. Powtarzam to raz jeszcze z naciskiem: za wiele on miał twórczości, ażeby w czyjekolwiek wstępować potrafił ślady. Nieraz i usiłował, a jednak nie mógł: bo był z tych, którzy, nawet wbrew własnéj woli, pozostać muszą sobą. Warto tym jego usiłowaniom wyzucia się z siebie nieco bliżéj się przypatrzyć.

Oto pieśń pierwsza (psalm 19). Zrazu, jak zawsze, zaczyna on tu dosłownie, ale już w drugiéj strofie rozwija bogactwo obrazów, o wiele przenoszące prostotę pierwowzoru.

Poznaj, że mądrym, że jest wiekuistym
Pan, co ma pałac na Niebie ognistym,
W którym zawiesił i wietrzne próżności,
I możną wodę wzniósł z ziemnéj ciężkości.

Poczem, stopniowo, coraz górniéj szybując, zdaje się niemal z oczu tracić dobrowolnie obraną drogę.

Kto się, gdy nieba chmura nie zakrywa,
Patrząc na jasnych gwiazd blask, nie zdumiéwa?
Albo gdy światłem uderzy go w oczy
Słońce, ognistym gdy się kołem toczy?

Które, gdy z łoża powstawa swojego,
Jak oblubieniec, obleczon z szczerego
Złota ubiorem, a wieniec, z kamieni
Kosztownych sprawion, głowę mu promieni.

Do kresu swego nic nie zmordowany
Gwałtem się wali, dobrze przyrównany
Kształtem i siłą i pędem onemu
Jest olbrzymowi, sto rąk mającemu.

Daléj, miejscami, zupełnie już od tekstu odbiega, aż wreszcie, w pokorze, niby syn marnotrawny, ku końcowi, znów, ile go stać na to, dosłownie do Dawida wraca.

Słowa ust moich, myśl serca mojego
Pokorną przyjąć racz uniżonego
Proszę, o panie! Boś Ty jest zbawieniem,
Bogiem, nadzieją i mem wspomożeniem!

W pieśni trzeciéj, którą może z umysłu zamaskował nazwą *Lamentu kościoła powszechnego* (mogła téż to zrobić ,,osoba duchowna, do sporządzenia pism" owych użyta), wypowiada jak sądzę własne swoje osobiste strapienia.—Panie! zmiłuj się nademną—woła z psalmistą,

Bo mię przeciwnik depce, i staranie
Ma o tém pilne, abym na odmiany
Wszelkim kłopotem był umordowany...

W żaden dzień wolnym nie jestem od niego,
I noc nie próżna strachu okrutnego...

— Wszakże, ojcze dobrotliwy! w tobie jedyna moja otucha. —

Wiem, o! wiem pewnie, Wiekuisty Panie,
Że liczysz każde moje uciekanie (się do Ciebie),
I chowasz krople łez oczu płaczliwych,
I wiesz przyczynę kłopotów straszliwych...

W końcu, dodaje jeszcze od siebie:

Twą łaską wolny, Twą pomocą nogi
Moje nie zstąpią z Twojéj świętéj drogi,
Dokąd duchowi mojemu mieszkanie
W tém wątłem ciele będzie, o mój Panie!

Pieśń czwarta, jak się to wyżéj rzekło, ułożona jest w sposobie canzony.

Będziesz li chciał nasze złości
Ważyć, ojcze dobrotliwy,
Wagą Twéj sprawiedliwości,
I któż będzie tak szczęśliwy,
Kto tak w cnotach utwierdzony,
Gdy przyjdzie na sąd straszliwy,
By nie miał być potępiony?

Ale Ty, sędzia łaskawy,
Nie według szczeréj srogości
Karzesz nasze błędne sprawy.
Zakon Twój pełen lutości,
I wierne Twe słowa panie,
Że mię wyrwiesz z téj ciężkości,
Czynią mi pewne ufanie...

Pieśń szósta, będąca parafrazą psalmu 120 (a właściwie 123), cała jest, równie jak i następna, w stylu włoskim.

Panie nasz Wszechmogący, wieczny, niepojęty!
Tobie Cheruby krzyczą: święty, święty, święty!
Tobie Seraf, miłości prawéj płomień czysty (1),
A Twéj chwały dwór znaczy firmament ognisty.

Przeto, choć wszędy Tyś jest, oczy me płaczliwe
Tam podnoszę, i serce tam wzdycha tęschliwe,
Bo ciężkościom nierówne zmysłów mych krewkości (2),
Jak słudzy od swych panów, pragną Twéj lutości.

---

(1) Już poprzednio, w sonecie II, Serafom przyznał własność palania najczystszą miłością, Cherubów zaś nazwał „przepaścią zrozumości." Zdaje się z tego, że nie obcą mu być musiała Komedya Dantejska. Por. Raju pieśń 28.

(2) Bo krewkości mych zmysłów pod ciężarem win swych upadające.

I wola ma, Twéj woli sługa nie skwirkliwa,
Wzdy, by skromna od pani panna, oczekiwa
Rychło jéj rękę podasz, i sprawiedliwego
Ciężaru gwałt uskromisz z miłosierdzia Twego.

O ojcze miłosierny! którego dobroci
Zdrojów, żadnego grzechu grobla nie odwróci,
Już się zmiłuj nad nami! Zmiłuj się nad nami!
Jużeśmy nazbyt pełni szkody z despektami!

Już serce nie boleje, lecz jakmiarz umiera,
Gdy nam możność niewdzięczna część i cześć wydziera (1),
Gdy nas hardość nadęta przenosi oczami (2),
Nie bacząc, że nie gardzą oczy Twoje nami.

Wreszcie pieśń piąta, prawie nic wspólnego z psalmem 70 nie mająca. Warto ją w całości przytoczyć, bo daje miarę potęgi języka i gorącości tonu, w jakim poeta zwykł wypowiadać ascetyczne swoje zachwyty.

Ciebie, wszego stworzenia o Obrońco wieczny!
Wzywam wątły, ubogi i nigdzie bezpieczny;
Miej mię w pilnéj opiece, a we wszystkiéj trwodze
Pośpiesz przynieść ratunek duszy méj niebodze!

Uskrom choć różgą Twoją ciało zaślepione,
I żądzą próżną, sprosną, szkodną napełnione—
Niech się wstyda, że pragnie duszy swéj panować!
Słuszniéj wieczněj ma służyć, co się musi psować (3).

I wy, wojska zazdrosne (Pan Bóg mnie obroną),
Tył podajcie i weźmcie hańbę nieskończoną,
Co dóbr (zkąd was wygnano) stworzeniu Pańskiemu
Nie życzycie, i chwały Stwórcowi swojemu!

Szczęście me! Chwało moja! niech wskok wstyd poczują,
Którzy mi inszą chwalę, nie ciebie cukrują!
Co ma człowiek nie Twego? a który się chlubi
Z darów Twych, Wieczny Królu! dary Twoje zgubi...

To szczęśni, to weseli, którzy wyznawają,
Że Twe jest, co jest dobre i Ciebie szukają
Wiecznotrwałéj ozdoby, i czynią staranie,
By chcąc, samego Ciebie miłowali Panie!

---

(1) Gdy nam przemoc wstrętna (szatańska) dziedzictwo (niebieskie) i dobrą sławę wydziera.

(2) Gdy na nas pycha szatańska pogardliwie (z góry) patrzy.

(3) Słuszniejsza jest rzecz, ażeby wiecznéj duszy służyło ciało.

I mnie policz w tę liczbę, Ojcze Miłosierny!
A daj, bym i tu baczył, iżem proch mizerny,
I nie równy (1) tak ciężkich przygód nawałności—
Niech znam moją możnością wielkie Twe lutości (2).

Ale kto jest szczęśliwy, choć dyamentową
Wdział zbroję, wojnę cierpiąc długą i surową?
Przeto proszę, Ty, któryś jest obrońcą w boju,
Nie odwłaczaj dać się nam, Zbawienny pokoju!

Pieśń ta, jeszcze u Dawidowéj harfy szukająca nastroju, przejście stanowi do oddziału wielu innych, w tymże tonie i stylu trzymanych, ale już całkowicie własnością poety będących. Z tych pięć jest, w których on streszcza filozoficzne swoje na życie poglądy.—Nie żaden to traf przygodny rzeczom tego świata przoduje—tak on sobie duma.

O Mądrości! Wszystkiego żywocie stworzenia!

Lutość i sprawiedliwość wszystkie Twoje sprawy—
A przed Twemi oczyma i lewy i prawy (3).
Więc temu (4) i to zdrowo, co się zda, że szkodzi—
Tamtemu, i to wadzi, co mu żywot słodzi.

A my, na Twoje sprawy choć wzrok ciemny mamy,
Kiedy się poznać chcemy, dotknąć się władamy (5):
Żeś nam nie tylko być dał, ale, by szczęśliwie
Każdy żył, Sam się dawasz wszystkim lutościwie.

Ale ta Twa powszechna Łaska, Panie Wieczny! e
(By cień światła Twojego tento blask słoneczny (6))
Chociaj rzeczy oświeca jednako poddane,
W same promienie czyste i polerowane,

O wszechmogący Boże! Światłości szczęśliwa!
Serce nasze osiadła rdza grzechów płaczliwa;
Zkąd, chociaj nas oświecasz, żywiemy jak w nocy,
A jadu tego pozbyć nie naszej czyn (em jest) mocy.

Ty nas oczyść, prosimy Miłosierdzia Twego!
Niech promień, bijąc w serce, odnosi od niego
Ku Tobie jasny odraz (7) Chwały i Miłości—
O Panie! nasza Chwało! nasza Szczęśliwości!

---

(1) Nie zdolny podołać.
(2) Niech uczuję, że jest moją potęgą Twe wielkie miłosierdzie.
(3) Zły i dobry.
(4) Dobremu.
(5) Władzę mamy przekonać się.
(6) Niby słońce, które jest cieniem Twego światła.
(7) Od-rażenie światłem.

I daléj: *O Rządzie Bożym na świecie:*

Wiekuista Mądrości, Boże niezmierzony!
Który wszystko poruszasz, (sam) nie będąc wzruszony!
Wściągasz (1) prawem Aniołów wojska niezliczone,
Tak, że muszą z Twą wolą chcenia mieć złączone...

Wspólnie się żywić muszą żywioły podniebne!
Nie dziw:żeś dał naturze prawo tak chwalebne,
Że nie władnie odstąpić od Twéj wiecznéj woli,
Gdyż Ty w prawie dobroci trwasz i dobréj woli.

Proch podnóżka Twojego, czemu wolność mamy
Twych ustaw ustępować (2), w których żywot znamy (3),
Do tego przystępując, co śmiertelnie szkodzi?
Dałeś rozum—przecz u nas fortuna się rodzi? (4).

Porzuć straszne pioruny, zatrać i przygody,
Któremi nam znać dawasz, że chcesz z nami zgody;
A utwierdź wolność chceniu, któréj nie zna użyć... (5)
Wolim w Świętéj Ojczyznie, Tobie wiecznie służyć!

Wreszcie, prześliczna pieśń *O Wielmożności Bożéj*, warta jest przytoczenia w całości.

Od Boga wszystko. Pan to dobrotliwy,
Któremu śpiewać, jako on szczęśliwy
Aniołów zastęp, nie mogę, choć żądam,
Aż Go oglądam

W ziemi żywiących (6), kędy niepotrzebny
Język i usta do mety chwalebnéj.
Tu niechaj głos mój, choć nie równy, idzie
W twój trop Dawidzie,

Królu szlachetny! poeto bezrówny!
Którego lutnia i głos balsamowny
Nie zginie z laty, i nie chybia celu
Sam jeden z wielu!

Bo Pana śpiewa, który niebo sprawił,
Dał światło gwiazdom, i jedne zabawił
Na miejscu, drugie Jego wdało chcenie
W rządne (7) błądzenie.

---

(1) Powściągasz.
(2) Odstępować.
(3) W których wiadomo nam, że jest życie (wieczne).
(4) Czemu szczęście ślepe wśród nas się wyradza.
(5) A utwierdź w nas wolność woli, któréj to wolności ona nie wie, jak użyć.
(6) Niby, w ziemi obiecanéj żyjących wiecznie (w Raju).
(7) Poddane porządkowi.

Ogniem wiatr przykrył (1), dzierżą ziemię wody—
Różnym naturom kazał użyć zgody—
Temiż źwierz, ptaki, ryby, drzewa z zioły,
Trzyma żywioły.

Przedziwny wszędzie, ale bardziéj w Sobie—
Sam Sobie dosyć w szczęściu i ozdobie—
Wzdy, ku Swéj sławie, dał w tem uwielbieniu
Miejsce stworzeniu.

Bowiem zwierciadła Swéj wiecznéj Mądrości
Na niebie stworzył—szczere rozumności (2)—
Ku sobie ciągnie nas, choć podłą ziemię,
Adama plemię.

Wieczna Dobroci! Przyczyno wszystkiego!
Życz nam być wdzięcznym (1) daru tak wielkiego!
Daleś Się poznać, daj, niech serce pali,
Co rozum chwali (3)!

Trzykroć szczęśliwy, który Ciebie, panie,
Zna spraw swych końcem, i ma zakochanie
Wszego bezżądne (4) tylko w Twéj Wieczności,
Doskonałości!

W dalszym ciągu, zastanawia się jeszcze poeta nad tem: *Iż rozum człowiekowi potrzebniejszy, niż skarby*, i zdaje się nam, jakobyśmy znowu słyszeli nieraz własnych jego strapień domowych skargę cichą—więc też najbezpieczniéj to podobno:

...Kto pociechy swoje
W Tobie samym ma Panie, próżen inszych rzeczy,
I dla Ciebie, sam siebie wzgardził mieć na pieczy!

Niestety! *Próżne jest*, nawet i przy rozumie, *bez Bożéj pomocy staranie człowiecze*,—zaczem

Niech moja łódź, gdzie pędzi wola Boża, bieży,
I przy brzegu, który mi Bóg naznaczył, stanie...

Bo na tym świecie, w więzach ciała duch utęschniony, z imienia tylko zna spokój uszczęśliwiający, przeczuciem go raczéj odgadując

---

(1) Płomienistym eterem powietrze otoczył (stosownie do mniemań astronomicznych owoczesnych).

(2) Zastępy Aniołów. W sonecie II, Cheruby niebieskie, jak to już zaznaczono nazywa przepaścią zrozumości.

(3) Niech nam serce rozpala to, co rozum nasz za chwałę uznaje.

(4) Wszystkiego się wyrzekające.

niż wiedzą—i wszystko co ziemskie, jak: sława, rozkosz, władza, bogactwo, a nawet i stoicka, w słowach jedynie żelazna, cnota, w niczem nie stawia tamy przeciw powodzi Zaćmionéj Bogini (śmierci).

Przęto, woli méj rada...
Chętne żagle rozwiła ku Twéj Panie Chwale...
Ty mię wieź—Ty Sam steruj—tak skończę bieg w cale (ocalony).

(d. n.). *Felicyan.*

TATRY I PODHALANIE.

(*Dokończenie*).

Ciągła walka z niedostatkiem, obawa głodu i trudność zarobku uczyniły Podhalan chciwemi na grosz, oraz skłonnemi do pieniactwa czyli *prawocenia się* o najdrobniejszy skrawek jałowego gruntu, chociażby nawet nieużytku. Na obronę górali to wszakże powiedzieć należy, że *prawocenie się* często kończy się wyrokiem poważnych i wpływowych współobywateli, występujących jako sędziowie polubowni. O ile mogłem wymiarkować, polubowny ten sąd wielką cieszy się powagą, skutkiem czego opinia publiczna zmusza strony do poddania się jego wyrokowi, który często w imię sprawiedliwości każe się zrzekać prawnie nawet uzasadnionych lecz niesłusznych pretensyi.

Pomimo wszelkich zatargów pomiędzy sobą, nawet w razie niechęci lub nienawiści, Podhalanin jeden drugiego nie zdradzi, ani też wyda z jakiejbądź przeciwnéj prawu czynności. Podhalanie mogą się z sobą kłócić, ale pomimo to zawsze solidarnie przed obcym występują. Przestępstwa srodze nawet karzą, ale obcego wdania się i w tym razie starannie unikają.

Pomimo trudnych warunków bytu, Podhalanie zabiegliwością, oszczędnością i wstrzemięźliwością umieją wyrobić sobie stosunkowo wcale znośny byt: ubierają się z pewnym nawet wykwintem i w ogóle bardzo czysto, (1) posiadają ładne i dobrze utrzymane *statki*, oraz bardzo schludne domy, nic więc dziwnego, że z pewnego rodzaju pogardą i politowaniem spoglądają na *Lachów*, tj. swych współbraci z dolin, którzy pomimo dobréj ziemi, a tém samém większéj zamożności, mniéj dbają o czystość mieszkania i odzieży, oraz

---

(1) Szczegóły o mieszkaniach i ubraniu Podhalan znajdzie czytelnik w artykułach p. Konopki i ks. Sutora.

mniéj piękny posiadają dobytek. Wreszcie *Lachy* bez porównania częściéj aniżeli Podhalanie przebierają miarę w napoju, bo na Podhalu pijaństwo jest wadą wyjątkową i zawsze pogardzaną. Podhalanie, a przedewszystkiem Zakopianie i bezpośredni ich sąsiedzi, uważają górali beskidowych, pienińskich i innych za stanowczo od siebie niższych. Może tu być nieco chełpliwości, trudno jednak zaprzeczyć, że pomimo całego rozwoju władz umysłowych i fizycznych u sąsiednich górali, Podhalanie niewątpliwie wyżéj nad niemi stoją. Pomiędzy innemi, Podhalanie, a szczególniéj Zakopianie, mają tę wyższość nad pozostałemi góralami karpackiemi, że choroba wola rzadko się wśród nich napotyka. Według wiadomości łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego, wole rzadko się zdarza w Zakopanem, gdzie w każdym razie bardzo słabo bywa rozwinięte. W innych okolicach Podhala wole częściéj się zdarza, aniżeli w Zakopanem, zawsze jednak należy do mniéj pospolitych zjawisk, gdy tymczasem w pozostałych częściach polskich Karpat bardzo jest rozpowszechnione i przybiera odrażające rozmiary. Prof. Chałubiński przez wiele lat zwiedzając łańcuch Karpat polskich, przyszedł do przekonania, że w szerokich dolinach dobrze przez słońce oświetlonych i zroszonych przez potoki, zawierające czystą i mało mineralną wodę, ludność jest silna, czerstwa, wolna od kalectwa wola i dobrze pod względem umysłowym rozwinięta. Takiemi są Zakopianie, oraz w części ich bezpośredni sąsiedzi, a w mniejszym stopniu i pozostali Podhalanie. Wole w zupełności rozwija się w wązkich, ciemnych dolinach, zroszonych strumieniami płynącemi z pokładów piaskowca Karpackiego, który tworzy znaczną część tego łańcucha górskiego. Ludność w takich dolinach często bywa wolowata, oraz mniéj pod względem umysłowym i fizycznym rozwinięta. To też w Zakopanem nie ma kretynów, pojawiających się we wsiach karpackich.

Jak to przed chwilą nadmieniłem, ludność Podhala, zwłaszcza najwyższych jego części. pomimo wszelkich braków jakie musi znosić, a zwłaszcza pomimo skąpo wydzielanego, jałowego pożywienia, odznacza się czerstwością, piękną budową i zdrowiem. Wprawdzie z powodu niewystarczającéj żywności ludzie bardzo powoli na Podhalu dojrzewają, bo szesnastoletni chłopak lub dziewczyna często wygląda zaledwie na 12, czasem tylko na jakie 10 lat, ale za to czerstwość nie prędko, zwłaszcza mężczyzn, opuszcza. Kobiéty prędzéj więdną, ale też nie może być inaczéj; gaździna trudni się całém gospodarstwem domowém i wychowaniem dzieci, oraz niszczy zdrowie wydawaniem licznego potomstwa, a nie ma czem należycie ubytku w siłach powetować. Mężczyzni w ogóle mniéj od kobiét pracują, a przynajmniéj nie mają ciągłéj, nieustającéj pracy; dla tego też ła-

twiéj znoszą rozmaite braki. Pomimo szybszego starzenia się, kobiéty, równie jak mężczyzni do bardzo podeszłego wieku zachowują swe białe i równiutkie zęby, piękniejsze od wystawionych u nas na pokaz w szafkach panów dentystów.

Pomiędzy Podhalanami przeważa wzrost średni, chociaż często zdarzają się ludzie dobrego, nawet wysokiego wzrostu. Twarz Podhalan jest w ogóle regularna, często ściągła, pospolicie ładna, ciało proporcyonalnie i silnie zbudowane, stopy i ręce bardzo małe. Mężczyzni są w ogóle ładniejsi od kobiét, które jednak, zwłaszcza dziewczyny, są daleko ładniejsze, aniżeli goście do Zakopanego przyjeżdżający mniemają, a w niektórych wsiach, jak to słusznie Zejszner zauważył, zdarzają się prawdziwe piękności. Tak np. najładniejsze gaździny zakopiańskie po większéj części pochodzą z sąsiedniego Poronina.

Podhalanin jest namiętnie do gór swoich przywiązany i kocha je całém sercem. Opuszczając je na czas dłuższy, czuje się prawdziwie nieszczęśliwym, nigdy o nich nie zapomina i wraca, jak tylko okoliczności na to pozwalają. Ta niczem nie powstrzymana miłość do gór przeszkadza nawet pracom Podhalan, którzy nie są w stanie dosiedziéć we wsi i od czasu do czasu muszą się nacieszyć swemi wirchami, napoić powietrzem wysokich szczytów, napaść oczy rozległym widokiem, oraz sprawdzić, czy echo tak samo odzywa się w danéṃ miejscu jak roku poprzedzającego.

Podhalanin, zwłaszcza bliżéj Tatrów zrodzony, będąc wychowany pośród niedostępnych gór, gdzie się czuje zupełnie swobodnym i zależnym tylko od własnego sumienia, namiętnie jest przywiązany do swobody i niezależności. Najmując się do pracy, Podhalanin bynajmniéj nie uważa się za niewolnika swego chlebodawcy; to poczucie niezależności przewodnicy zakopiańscy chętnie przypominają turystom śpiewając podczas wycieczek ulubiony dwuwiersz:

> Panowie, panowie, będziecie panami.
> Ale nie będziecie przewodzić nad nami.

Podhalanin ma nadzwyczaj silnie rozwinięte poczucie własnéj godności, a tém samém nadzwyczaj jest czuły na złe obejście, którego nie umie znieść z pokorą, a przynajmniéj pokora jest tylko do czasu. Z drugiéj znowu strony dobrém i życzliwém obejściem można go bardzo łatwo ująć, a wtedy daleko więcéj uczyni dla przyjaźni, aniżeli dla zysku.

Pomimo biedy i niedostatku Podhalanin jest dumny i trudny do kupienia, ale téż umie być prawdziwym przyjacielem. Ileż to razy można widziéć w Zakopanem przewodnika, wymawiającego się

od prowadzenia w góry pewnéj osoby, jedynie dlatego, że osoba ta ma obejście pogardliwo-grubijańskie, jakie w pewnych, mało jeszcze cywilizowanych sferach uchodzi za dowód dobrego, pańskiego wychowania.

Ludzie tego rodzaju często bywają pozbawieni dobrych furmanów i przewodników, oraz z trudnością dostają zapasy żywności. Naturalnie, w podobnych razach składa się winę nie na własną dzikość i brak wychowania, ale na chciwość tych *szkaradnych, ciemnych górali.*

Podhalanin umie być wdzięcznym i poczuwa się do obowiązku spłacenia długów wdzięczności, czego niekiedy brak nawet ludziom cywilizowanym, którzy się uważają za nieskończenie wyższych od mizernego górala.

Obejście Podhalanina, zwłaszcza z Zakopanego i sąsiednich wsi, ma w sobie coś szlachetnego i w prostym człowieku niezwykłego. Podhalanin jest grzeczny i uprzedzający, ale bez uniżoności; zawsze był wolnym, a zatém nie zna służalstwa i nie widzi żadnéj potrzeby płaszczenia się. Spotkawszy obcego, wita go uprzejmym ukłonem i wszędzie powtarzanemi u nas słowy „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus"; pospolicie całuje nawet rękę spotkanego przybysza, ale wszystko to czyni z taką patryarchalną poufałością i dobrodusznością, że nie ma w tém żadnego uniżania się przed bogatszym. Podhalanin chętnie zawiązuje rozmowę, przyczém ma zwyczaj siadać obok zagadniętéj osoby, bez względu na jéj stanowisko społeczne, wyjąwszy chyba osoby duchowne. Obcowanie z przyjezdnemi gośćmi, oraz ciągłe nauki i strofowanie kanonika Stolarczyka wielki wpływ wywarły na Zakopian, którzy znaczne postępy uczynili w umiejętności zachowania się w obec osób przyjezdnych, oraz nauczyli się powściągać swą wrodzoną ciekawość. Muszą oni staczać niemałą walkę wewnętrzną, ale ostatecznie nie zarzucają już przybyszów pytaniami. Swoją wstrzemięźliwość wynagradzają sobie dopiéro po bliższém nieco zapoznaniu się. Przeciwnie, mniéj z obcemi ludźmi obyty góral z naiwnością dziecka wypytuje się o najmniejszy szczegół: A zkądże to oni przybyli? A gdzie oni stoją? A czy byli już na wirchach?" itd. itd. Wszystko jest tak szczerze i po przyjacielsku powiedziane, że prawdziwie niepodobna się gniewać na ciekawego syna natury; bardzo wielu przyjezdnych chętnie prowadzi podobne rozmowy odpłacając pięknem za nadobne, tj. bez miłosierdzia zasypując górala pytaniami. W ogóle Zakopianin zna granice swéj poufałości i nigdy ich nie przekracza, dlatego to można z nim żyć na stopie dobréj zażyłości, zapraszać go do swego stołu, itp. nie obawiając się niewłaściwego wystąpienia.

Podhalanin bardzo lubi gawędzić i dowcipkować, a mówi w ogóle dobrze, wyraża się jasno, dokładnie, często nawet dowcipnie. Posiada on wielką zdolność do improwizowania śpiewek, które bardzo często bywają okolicznościowe i opiewają wydarzenia tylko co zakończonéj wycieczki, obejmują podziękowanie dla osoby urządzającéj wyprawę itp. Improwizacyi można się nasłuchać przedewszystkiem w górach. Przytoczę parę przykładów. Młody chłopak, przedmiot westchnień ładnéj, ale starszéj od niego, dziewczyny ułożył następujący czterowiersz.

Bieda, bieda Janikowi:
Nie ma co dać konikowi.
Większa bieda staréj dziewce;
Wydać by się, nikt jéj nie chce.

Do pierwszorzędnych poetów miejscowych należy stary Jan Sabała Krzeptowski. Zaprzeszłego roku, podczas schodzenia z Rysów zatrzymaliśmy się na chwilę dla wypoczynku, którego nasze towarzyszki bardzo potrzebowały. Na boku stał stary Sabała, otoczony ciekawie słuchającemi go góralami; przybliżywszy się, usłyszałem długą dumę o dwojgu kochanków nieszczęśliwych, improwizowaną na nutę podhalskéj śpiewki. Sabała chętnie improwizuje i drobniejsze utwory. Tak pewnego razu rozochociwszy się w chacie Sobczaka, w przekonywający sposób zagrzewał tańczących górali:

Tańcujcie ludzie
W Sobczakowéj budzie;
Jak się zawali,
Pójdziemy daléj.

Gdy sam do tańca wystąpił, zalecał grajkowi:

Nie uważaj na siwiznę,
Jeno zagraj, jak ci gwiznę.

W śpiewkach swoich górale podhalscy często używają wyrażeń prawdziwie szlachetnych i poetycznych, jakich trudnoby spodziewać się po prostych ludziach; bywają bardzo dowcipni, a gdy chcą, umieją delikatnie i oględnie mówić o rzeczach drażliwych. Jakkolwiek pragnąłbym uniknąć powtarzania śpiewek, już przez Zejsznera i Goszczyńskiego ogłoszonych, jednakże jako przykład, przytoczę następujące:

Daj mnie matko, daj, kie ludzie pytają (1):
Kie lilija kwitnie, wtedy ją targają. (2)

---

(1) *Pytają*, znaczy: proszą. Ztąd: *chodzić po pytaniu* znaczy chodzić po prośbie czyli po żebraninie.

(2) Zrywają.

Miłość moja miłość, miłość ta przeklęta,
Zamknęła mi serce na żelazne pęta.

Hej tęskno mi, tęskno, sama nie wiem czego;
Bez mego Janeczka, dalekom od niego.
Boli mię glóweczka, serduszka nie czuję:
Hej! nikt tego nie wie, za kim ja bonuję (1).
Bodaj ten człek nie żył, bodaj nie wiekował,
Co on to kochanie na świecie fundował.

—Nie płacz frajereczko, otrzyj sobie oczka,
Przyjdę ja do ciebie, jak się ściemni nocka.

Bodaj ty dziewczyno maliniaka zjadła,
Coś ty Janiczkowi do serduszka wpadła.
Chyba cię dziewczyno diabli malowali,
Co do twoich licek takiéj krasy dali.
—Ej! dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
Bo do moich licek takiéj krasy trzeba.

Hej! syćkoś ty mnie mój Janiczku budził,
Pókiś wianeczka u mnie nie wyłudził.
Wziąłeś wianeczek, weźże i mnie samę,
Bo bez wianeczka sierotą zostanę.

Dziewczyno, źle o tobie radzą,
Wianeczek ci wezmą, czepeczek ci dadzą.

Przyjdź Janiczku śmiało,
Kie w okienku siano.
Kie w okienku słoma,
To matusia doma.

Kto się chce zapoznać z dowcipem Zakopian, niechaj przeczyta „*Sześć dni w Tatrach*", oraz obiedwie wycieczki opisane przez p. Bronisława Rejchmana.

Podhalanin odznacza się wielką śmiałością do zuchwalstwa posuniętą, pogardą śmierci i stanowczością. Od najmłodszych lat musi on znosić wszelkiego rodzaju niedostatek, a w późniejszym wieku, pasąc krowy rodziców lub panów, ciągle niemal jest wystawiony na rozmaite niebezpieczeństwa. Tym sposobem bardzo prędko przyzwyczaja się do pogardzania niebezpieczeństwem i rozwija odwagę, która z zuchwałością graniczy. Po największéj części góral może uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa jedynie przez szybkie, natychmiastowe postanowienie, i to właśnie rozwija w nim ową sta-

(1) Tęsknię.

nowczość i przytomność w najbardziéj nawet krytycznych razach. Dobry przewodnik zakopiański, który uczciwość łączy z odwagą i stanowczością, posiada wszystkie przymioty doskonałego przewodnika. Jest on szczerym przyjacielem i opiekunem turysty, który mu powierza bezpieczeństwo swojéj osoby. Mając takiego towarzysza jak *Maciéj Sieczka*, *Szymek Tatar* (stryj), *Wojciech Roj*, *Szczepan Roj*, *Jędrzéj Wala* (ojciec i syn), *Jan Gronikowski* i *Wojciech Ślimak*, można być zupełnie spokojnym o swoje losy. Góral najprzód wypróbuje turystyczne zdolności swego towarzysza i odpowiednio do złożonych dowodów zręczności i odwagi zaprowadzi go w to, lub owo miejsce, a powtóre wszystko uczyni dla bezpieczeństwa turysty w niczem osoby swojéj nie oszczędzając. Temu to poświęceniu' przewodników, oraz doskonałéj znajomości gór należy przypisać okoliczność, że dotychczas w Tatrach nie było ani jednego poważnego wypadku, pomimo że ścieżki i przejścia bardzo bywają niebezpieczne. Niemieccy przewodnicy ze Sławkowa czyli Szmeksu w niczem nie są podobni do przewodników zakopiańskich; po największéj części są oni mało z górami obeznani, nie troszczą się o turystę, mało mają sumienności i bywają porządni tchórze.

Godność przewodnika bardzo jest w Zakopanem szanowana. Podczas wycieczki przewodnicy rozkazują, a *chłopy* t.j. górale, wynajęci do dźwigania pakunków, rozkazy te spełniają. Jako przykład téj subordynacyi pozwolę sobie przytoczyć następujący szczegół, który rzecz dobrze maluje, chociaż dotyczy *zabawy w przewodnictwo*. Przed dwoma laty idąc do Osawic, osady pod górą Osobitą położonéj, celem odwiedzenia p. Kocyana zasłużonego badacza fauny tatrzańskiéj, jako *przewodnika* wziąłem z sobą 16-letniego Józefa Roja, tylko co wyniesionego do téj godności, który tedy pierwszy raz w życiu miał pełnić obowiązki swego dostojeństwa, bo dotychczas chodził tylko jako chłop niosący zielnik profesora Chałubińskiego. Do niesienia pakunku wziąłem nadto 21 lat liczącego Walka Brzęgę, odegrywającego rolę prostego *chłopa*. Oprócz tego do towarzystwa naszego należał jeszcze Kaźmierz Bednarz, rówiennik młodego Roja. Pomimo, że droga ciągle idzie to gościńcem, to łąkami, a tem samem żadnéj nie przedstawia trudności lub niebezpieczeństwa, mój młody przewodnik, naśladując dzielnego ojca swego Wojciecha, ani na krok nie odstępował mnie, rozciągając ciągłą opiekę nad moją osobą, która Bogiem a prawdą ani na chwilę nie była i nie mogła być na niebezpieczeństwo narażona. Nareszcie przybyliśmy do lasu, na połowie drogi tuż przy granicy węgierskiéj położonego. Józiek zdjął torbę z pleców, siadł na ziemi i odezwał się do dwóch pozostałych towarzyszy: „No chłopy! tutaj będziemy herbę warzyli! Ty Walku

idź *ku smrekom*, a ty Kazimierzu idź *ku wodzie!*" Bez najmniejszego ociągania się Walek poszedł *ku smrekom* t. j. poszedł obłamywać suche gałązki świerkowe, a Kazimierz pobiegł do potoku po wodę. Gdy posłani *chłopy* powrócili, Józiek wskazał im miejsce, gdzie ma być *watra*, kazał chrósty rozpalić i sam nastawił *browar*, t. j. duży, blaszany imbryk. Po *zwarzeniu* herbaty, głodne chłopaki chcieli jéj sobie nalać, ale Józiek powstrzymał ich od téj niewłaściwéj czynności: „Wy chłopy siedźcie, a browaru nie ruszajcie, ja wam sam herby naleję." Tak przez całą drogę tam i napowrót Józiek z całą powagą najsumienniéj pełnił obowiązki przewodnika, nie odstępując mnie ani na krok i komenderując pozostałemi dwoma chłopcami, których nigdy o radę nie pytał, lecz natomiast stanowcze rozkazy wydawał, zawsze równe znajdując posłuszeństwo.

Podhalanin, będąc w niebezpieczeństwie życia albo doznając krzywdy, staje się nieprzyjacielem i to nielada-jakim, zwłaszcza, że jest wielce mściwy. Aby dać wyobrażenie, czem jest Podhalanin w położeniu rozpaczliwém, przytoczę parę prawdziwych przykładów.

Będzie temu przeszło 5o lat, w Zakopanem mieszkał góral, Maciej X. Pewnego razu udał się on wraz ze swym przyjacielem w góry, celem zapolowania na kozice. Górale przybyli w okolice Krywania, położonego w komitacie Liptowskim. Maciej pozostał nieco pod szczytem, a jego przyjaciel znajdował się jeszcze niżéj. Maciej stał na *perci* (ścieżce), idącéj po nad przepaścią i kończącéj się szeroką i głęboką szczeliną, gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał kozę na strzał i na miejscu ją powalił. Po strzale przekonywa się, że go leśniczy wraz z kilkoma gajowemi ściga. Ucieczka zdawała się niepodobną, bo Maciej mógł się cofnąć tylko tą samą drogą, którą przyszedł, a tutaj właśnie miał odwrót odcięty przez uzbrojonych nieprzyjaciół. Leśniczy, zbliżywszy się do górala zmierzył do niego z dubeltówki. Maciej, widząc się straconym zawołał: „Panie leśny, macie mnie w ręku, na miłość boską nie strzelajcie." Leśniczy, nie zważając na prośbę, wypalił, lecz chybił, i znowu powtórnie wymierzył do Macieja, który prośbę swoją powtórzył. Leśniczy równie był nieubłagany i powtórnie wypalił, ale i tym razem bezskutecznie, bo Maciej na czas się uchylił, tak, że kula tylko mu czuhę przeszyła. Teraz zrospaczony góral ze swéj strony zmierzył do leśniczego i kulą roztrzaskał mu głowę, poczem dał rozpaczliwego susa i przepaść szczęśliwie przesadził. Od tego czasu, na pamiątkę wypadku, ścieżkę nazywają *Maćkową percią*.

Podhalanie nienawidzą a jeszcze bardziéj nienawidzili służby wojskowéj, która zamyka ich w ciasnych koszarach i zmusza do karności, gdy tymczasem są oni z natury nadzwyczaj niekarni, często

niesforni. Obecnie, z powodu krótkiego terminu, lepiéj tę służbę znoszą, ale dawniéj, będąc tęsknotą doprowadzeni do ostateczności, często uciekali i dla uniknienia kary *szli na zbój*. Syn jednego z takich dezerterów opowiadał mi następujący urywek z życia swego ojca. W pewnym pułku, który stał w Pradze, było dwóch Zakopian, doprowadzonych do rozpaczy tęsknotą za górami. Nie mogąc dłużéj znieść oddalenia od ukochanych wirchów, postanowili oni za jakąbądź cenę uciekać. Szyldwach po nad Mołdawą zagradzał im drogę, nie namyślając się tedy pochwycili żołnierza i rzucili go do rzeki, a sami uciekli do Zakopanego. Wkrótce dezerterowie zostali wykryci i stosownie do ówczesnych zwyczajów w armii austryackiéj byli bez litości zbici kijami, ale ostatecznie dokazali swojego, o co właśnie chodziło.

Podhalanie rozmaite żywią uczucia dla swoich sąsiadów, ale żadnego z nich dobrze nie traktują. *Orawiec* jest według nich spokojne człeczysko, ale ślamazara; patrzą na niego z góry, z odcieniem lekceważenia i politowania. Orawiec nigdy nie był zbójnikiem, tutaj więc prawdopodobna leży przyczyna lekceważenia. *Spiżak* jest przedmiotem pogardy i nienawiści, bo go uważają za ograniczonego i złośliwego, *Liptak* zaś ma pewnego rodzaju szacunek (bo też swojego czasu zbójował), ale jest do najwyższego stopnia nienawidzony. Jednym z ważnych powodów nienawiści są niewątpliwie zatargi o polowanie. Podhalanin był i jest namiętnym myśliwym; głównym przedmiotem jego wypraw są dzikie kozy czyli kozice, oraz niedźwiedź. Wprawdzie polowałby on chętnie i na inną zwierzynę, ale jéj w Tatrach nie ma. Polowanie na dzikie kozy zawsze było przywilejem właścicieli gór, którzy praw swoich jak najściśléj przestrzegali. Z *Orawcami* prawie nigdy starć nie bywało, bo w zachodnich Tatrach mniéj jest zwierzyny, która głównie przesiaduje w Tatrach wschodnich, zwłaszcza liptowskich; ztąd ciągłe zajścia i nienawiść z Liptakami. Swojego czasu skomponowano na nich legendę, oczywiście podhalskiego pochodzenia; legenda została z czasem zapomnianą, lecz znalazła doskonałe przyjęcie, gdy ją Zakopianom opowiedział profesor Chałubiński, który rzecz całą wyczytał w jakiéjś książce o Węgrach. Legenda brzmi jak następuje.

Onego czasu Liptacy oddawali się zbójectwu, kradzieżom i wszelkim najgorszym zbrodniom. Stali się oni najnieznośniejszemi dla swoich sąsiadów, którzy nazywali ich *źli ptacy*. Liptacy, rozgniewani i znudzeni tem przezwiskiem, postanowili prosić króla Atyllę, aby ich od niego uwolnił, nadając inne miano. Wyprawiono tedy dwóch posłów do króla Atylli, dołączając wielki kosz jaj, bo Atylla bardzo jajecznicę lubił. Jeden z posłów miał powitać króla mówiąc:

„Wielki królu Atyllo!“ a drugi miał dodać: „Niech cię Bóg błogosławi.“ Po tem powitaniu miało nastąpić ofiarowanie jaj, oraz przedstawienie saméj prośby o zmianę nazwiska. Kosz był ciężki i posłowie naprzemian nieśli go na głowie. Nareszcie przybyli oni do rezydencyi króla Atylli, który siedział w dolnéj izbie, a próg téj izby był bardzo wysoki. Posłaniec, będący bez ciężaru, wszedł pierwszy, skłonił się królowi i rzekł: „Wielki królu Atyllo!“ lecz drugi, dźwigający na głowie kosz z jajami, progu nie spostrzegł, potknął się i jaja rozsypał, a widząc je potłuczone wykrzyknął z gniewem: „Niech cię djabli porwą!“ Król Atylla, biorąc ten wykrzyk do siebie, wpadł w gniew, nie chciał prośby wysłuchać i rozkazał, żeby nazwa: *źli ptacy* na wszystkie wieki pozostała. Legenda maluje głęboką niechęć Podhalan do Liptaków, a późniéj zobaczymy, że tragiczny koniec zbójnika Janosika nie małą odegrywa tu rolę.

Podhalanie, bez różnicy płci, są namiętni do nauki i największą przyjemność i szczęście znajdują w nabywaniu coraz wyższéj nauki. W rzeczy saméj, jeżeli okoliczności pozwalają, chłopcy chętnie uczęszczają do gimnazyów a nawet i do szkół wyższych. W początkach bieżącego stulecia Podhalanie odznaczali się brakiem pobożności i zabobonami, jak o tem świadczy Staszic, który w następujących słowach wyraża się o téj stronie charakteru Podhalan: (*O Ziemiorodztwie Karpatów.* 1815, str. 165) „Uważałem, iż lud we wszystkich górach Europy, powszechnie jest więcéj zabobonny i nabożny, niż po równinach. I nasz góral pospolicie od mieszkańców równin ma zabobonów więcéj, ale nabożeństwa mało. Niewiele ma wiadomości o tajemnicach wiary chrześcijańskiéj, i nawet uważałem względem téj obojętność; ale znajduje się w naszych góralach wiele wiadomości o tajemnicach jakichsiś jestestw niewidomych o rozmaitych władzach jakichsiś duchów, czyli jestestw ukrytych w obłokach, w chmurach, w górach, w jaskiniach; o wielorakich i nagłych przemianach tychże jestestw w różne zwierzęta, w ptaki, czasem w starców z długiemi brody.“

O zabobonach nic w Zakopanem dowiedzieć się nie mogłem, nic tedy powiedzieć nie mogę, o ile przechowały się owe już czarnoksięstwem zaprawione mniemania, o których Staszic wspomina (1).

---

(1) Staszic podaje następujące, bardzo ciekawe szczegóły o zabobonach górali tatrzańskich. „O téj holicy *Żabiego* i o *trzech wierzchach* (dzisiaj Kesmarski szczyt) w Tatrach znajdują się w okolicznych góralach mnogie podania, baśnie i rozmaite w języku słowackim pisane i drukowane książeczki, z tajemnością chowane rękopisma, do których udzielenia wielką robią trudność, a dziedzictwem jako największe sekreta ojciec synowi, albo góral drugiemu z góralów pobratymcowi przy śmierci przekazuje.

Niewątpliwém wszakże jest znikanie zabobonów, co głównie wpływowi księży przypisać należy. Jużby dziś żaden juhas nie uważał za czarownika osoby, wkładającéj termometr do źródeł, jak się to 1813 roku Wahlenbergowi przytrafiło.

Pod względem religijności Podhalanie od czasów Staszica wielkie uczynili postępy, albowiem są oni obecnie bardzo pobożni i żarliwi katolicy, wszakże bez fanatyzmu i przesądów. Księża są przedmiotem głębokiego szacunku, a ztąd górale, mający sposobność uczęszczania do gimnazyów, najczęściéj oddają się potém teologii. Jak dalece dążność ta przemaga, najlepiéj dowodzi tego okoliczność, że w roku 1875 w dyecezyi Tarnowskiéj było 125 księży górali. Proboszcze po wsiach góralskich sami są góralami; należąc więc do tego samego społeczeństwa, w którém występują jako pasterze, dokładnie znając zalety i wady swych parafian, oraz nie będąc ani fanatykami ani zaślepionemi ultramontanami, wywierają zbawienny wpływ, łagodząc obyczaje i siejąc prawdziwą moralność. Ksiądz kanonik Stolarczyk, proboszcz Zakopiański, jest najwznioślejszym przykładem takiego doskonałego pasterza, którego nawet różnowiercy szacunkiem swym obdarzają. Pod jego zbawiennym wpływem cywilizacya wielkie w Zakopanem czyni postępy; obyczaje poprawiły się i ciągle poprawiają a obiedwie płcie bardziéj są we wzajemnych stosunkach powściągliwe.

Podhalanie, będąc obdarzeni nadzwyczaj otwartym umysłem, bardzo łatwo przyswajają sobie wszystko, czego się uczą, lub co słyszą. Dziecko podhalskie bardzo jest rozgarnięte i przytomne; tam gdzie wyrostek naszych wsi wsadza palce do nosa i usta roztwiera, żadnéj odpowiedzi nie dając, mały góral jak najporządniéj rozmawia a nawet umie żartem na żart odpowiadać. Nic więc dziwnego, że szkoła snycerstwa, od dwóch lat istniejąca, bardzo szybko się rozwija, bo chłopcy wielkie czynią postępy. Wogóle góral nadzwyczaj

---

Zawierają one wśród różnych baśni, jakieś niespamiętałe podania, o niezmiernych skarbach w tych górach; o pewnych poznakach, znajdujących się na skale; o pewnych kształtach, które swemi cyplami skały granitowe wystawiają; o niejakich krzyżach; i rozstaniach się skały w zakrętach wądołów.

Mniemają ciż do tajemnicy przypuszczeni górale, że po takowych i tym podobnych oznakach; przez wzywanie pewnych duchów, można dojść do tego miejsca, w którem rodowite a nieprzebrane znajduje się złoto.

Zdarzyło mi się zjednać sobie u niektórych górałów tyle zaufania, że mię przypuścili do swoich sekretów i powierzyli tych książeczek i pism. Przy ich czytaniu najwięcéj mię zastanowiło, iż znalazłem w kilku, w języku Słowackim, wzywanie duchów *Amschaspands* i *Bachman*, duchów aniołów stróżów w religii Persów tylko znanych.“ Ziemiorodztwo Karpatów, str. 164.

prędko przyjmuje cywilizacyę, należy się tylko obawiać, aby raptowne zmiany w pojęciach Podhalan, wywołane napływem turystów, nie wpłynęły na charakter górali w sposób ujemny, obecnie bowiem jest chwila przełomu, chwila szybkich zmian w pojęciach, zwłaszcza Zakopian.

Stosunki obydwóch płci za mało są powściągliwe, czemu jednak zbytecznie dziwić się nie można, zważywszy, że chłopcy i dziewczęta przez całe lato są zgromadzeni na halach i bez żadnego pozostają dozoru. Pomimo całéj lekkości młodego wieku, podhalanki dobremi są żonami i cieszą się wielkim szacunkiem swoich mężów, na co najzupełniéj zasługują pracowitością i uczciwością. Pomimo nawet powszechnego obyczaju zawierania małżeństw tylko według względów majątkowych, stadła żyją bardzo dobrze zgodnie, a nawet *gaździna* ma przewagę nad swoim *gazdą.* Na Podhalu bardzo mało noszą wąsów i głównym tego powodem jest gust kobiét, które utrzymują:

Nie żal pocałować, kie gębusia miekka,
A kiedy z wąsami, to bieda przeklęta.

Podhalanin, nie chcąc pozbawiać się całusów gaździny, goli wąsy, chociażby wolał je nosić. Obecnie, powracający z wojska coraz bardziéj wprowadzają zwyczaj noszenia wąsów, ale gaździny zawsze niechętnie na to patrzą. Oczywiście pod tym względem zły mają gust.

Stosunki rodziców i dzieci bardzo są dobre i oparte na wzajemnem przywiązaniu. Podhalanie bardzo są mnożni; małżeństwa miewają 8—12 dzieci.

Charakterystykę Podhalan można streścić powtarzając słowa Staszica:

„Powszechnie polscy górale w Bieskidach, w Bieszczadach, w Tatrach i w całych Pokuckich górach są weseli, żywi i strasznie zuchwali. Wszystkich zewnętrzny skład ciała przystojny, wzrost wysoki, zręczność nadzwyczajna. Wszystkie ich zmysły bystre. Wewnątrz władze umysłowe bardzo udolne. Żywość namiętności bez porównania, od mieszkańców równin, więcéj porywcza i dzielniejsza. Są popędliwi, mściwi i lubieżni; ale razem odważni, otwarci, rzetelni i gościnni.“ (*O Ziemiorodztwie Karpatów*, str. 163.)

Pasterstwo niesłychanéj jest wagi na Podhalu, raz z powodu znaczenia, jakie posiada hodowla bydła i owiec, a powtóre jako ulubione zajęcie wszystkich młodych chłopaków. Pasterstwo w górach naszych szczegółowo już zostało opisane przez księdza Sutora i Józe-

fa Konopkę, po części także przez Goszczyńskiego i Zejsznera, mogę więc ograniczyć się krótką tylko wzmianką.

Pasący krowy, to jest *krowiarze* i *krowiarki*, żadnym nie ulegają prawom zwyczajowym i zupełnie są swobodni w swoich czynnościach. Nie mają oni żadnéj organizacyi i każdy na swoją rękę pasie krowy oraz zużytkowuje nabiał. Czynność pilnowania krów na pastwisku nazywają górale *pasaniem*. Przeciwnie pasterze owiec podlegają ściśle określonym prawom zwyczajowym. Każde stado owiec pozostaje pod opieką i dozorem owczarza, zwanego *bacą*, który przybiera sobie do pomocy owczarków zwanych *juhasami*, i chłopaków zwanych *gońcami*. Baca odpowiada za powierzone mu owce i jest zwierzchnikiem juhasów, obowiązanych słuchać jego rozkazów. Baca trudni się wyrobem séra, oraz sprzedażą w szałasie mléka, żentycy i sérów, bo nikt nie ma prawa najmniejszéj odrobiny sprzedawać w szałasie, tylko sam baca, *ojciec szałasu*, juhas zaś nawet własnego sérka sprzedać nie może. Wszelkie czynności koło owiec należą do juhasów, którzy kolejno prowadzą je na hale oraz trzy razy na dzień doją: rano, w południe i wieczór. Gońcy napędzają juhasom owce do dojenia, oraz w pobliżu szałasu pasą chore sztuki. Z powodu takiego podziału pracy, ściśle przestrzeganego, podczas nieobecności bacy niczego w szałasie dostać nie można, ale też baca mało się z niego oddala. Z bacą zawsze pozostaje w szałasie jeden przynajmniéj dežurny juhas, który kontroluje sprzedawane sérki juhasie, zapisując na ścianie lub karbując na kiju. Skoro nastąpi *redyk*, juhasy rachują się z bacą, a że jego panowanie już jest wtedy skończone, więc w razie potrzeby, gdy baca należności nie chce oddać, juhasy biorą się nawet do kija. Niesumienny baca straciłby też imię u juhasów, a tem samem postradałby ich usługi. Sprawowanie obowiązków bacy nazywają górale *bacowaniem*, a pasienie owiec po górach nazywają *juhasieniem*. Górale nadzwyczaj ściśle odróżniają trzy te czynności: pasanie, juhasienie i bacowanie. Bacowanie niekiedy przez długie pokolenia przechodzi z ojca na syna, tak np. bacowie białczańscy w dolinie *Pięciu Stawów* od wielu pokoleń godność tę piastują.

Baca jest osobą posiadającą zaufanie gazdów, oraz osobą wobec nich odpowiedzialną za powierzone owce; ztąd baca pospolicie bywa zamożny, a godność swoją uzyskuje drogą wolnych wyborów interesowanych właścicieli owiec. Baca powinien dobrze się znać na fabrykacyi séra, na jego głowie spoczywającéj, zna się na owcach oraz na ich leczeniu, które zresztą ogranicza się na puszczaniu krwi z ucha; jeżeli to nie pomaga, owca zostaje pozostawiona

własnemu losowi. Daléj baca powinien posiadać wszelkie naczynia i przyrządy do fabrykowania séra, oraz kocioł miedziany do warzenia żentycy. Baca najmuje juhasów, którzy powinni być zdrowi i silni, posłuszni bacy i pilni w pasieniu owiec. Za swoje trudy juhas dostaje dziennie baryłkę séra owczego, t. j. tak zwany *oszczypek*, który waży koło jednego funta i przedstawia wartość 25 centów, oraz może pić żentycy, ile sam chce.

Hale w Tatrach polskich, t. j. leżących w powiecie Nowotarskim, są w posiadaniu górali, wyjąwszy tylko halę Kondratową pod Giewontem, która należy do dziedzica Poronina i Szaflarów. Kto nie ma udziału w posiadaniu hali, musi płacić za każdą owcę lub krowę na pastwisko posyłaną. Od owcy za całe lato płacą 10 centów, od krowy na chłopskiém pastwisku 60 centów, na dworskiém 2 reńskie, od konia 3 reńskie.

Baca odpowiada za owce przed właścicielami, a juhasy przed bacą. Za straconą owcę winny płaci całą jéj wartość; jeżeli owca zdechnie lub zabije się spadłszy ze skały, baca zwraca właścicielowi skórę i wysuszone mięso; jeżeli wreszcie niedźwiedź lub orzeł owcę weźmie, w takim razie juhasy szukają jéj resztek i jeżeli znajdą łeb, składają go na dowód wypadku, a w takim razie płacą połowę, a właściciel traci drugą połowę wartości owcy. Baca i juhasy, którzyby zbyt często przedstawiali łby pobitych owiec, straciliby wiarę u gazdów i ściągnęli na siebie podejrzenie, że sami pozjadali powierzone ich pieczy zwierzęta, skutkiem czego nie mogliby dostać owiec do pasienia. Z tego to powodu baca i juhasy bardzo pilnie strzegą owiec przed niedźwiedziem, w czem skutecznie dopomagają im wspaniałe psy owczarskie, zupełnie do niufundlendzkich podobne, z tą tylko różnicą, że są zupełnie białe i ogromną mają kitę. Psy giną przed wzrokiem, gdy wejdą pomiędzy owce, bo tego samego są wzrostu i tak samo kudłate. Są to doskonali stróże, pilnie owiec strzegący. Psy wyruszają w dzień z owcami na pastwisko, a w nocy kładą się na około nich, nie pozwalając rozchodzić się ze stada, ani też dopuszczając do nich złodzieja. Są one bardzo na obcych zacięte i byłoby rzeczą stanowczo niebezpieczną w nocy przechodzić koło szałasu. Dobrego psa owczarskiego płacą na Podhalu do 10 złotych reńskich.

Na hali zawsze znajduje się jakieś schronienie, czyli tak zwana u górali *koliba* (1), która jednak bardzo rozmaitéj bywa natury. Naj-

---

(1) W języku Podhalan *koliba* oznacza wszelki zakąt w górach, w którym można szukać schronienia, bez względu czy to będzie dziura w skale, kryjówka pod kamieniem lub budynek. Staszic objaśnia, że *koliba jest-to buda, w któréj pasterze górale nocują,* co

bardziéj postępową kolibę tworzy *szałas* czyli *bacówka*, t. j. domek z drzewa świerkowego, nadzwyczaj przewiewny i ciasny, bez komina, bez podłogi, posiadający tylko najprostszą w świecie ławę i płaski kamień, na którym *watra* płonie. Mniéj wykwintną kolibę tworzy szałas w pewnéj części składający się z wielkiego kamienia lub kamieni wyobrażających jego ściany, które niekiedy bywają znowu z mniejszych kamieni ułożone. Wogóle mówiąc, w budowie szałasów daje się spostrzegać jak największe niedbalstwo, a zatem korzystanie z wszelkich przypadkowych ułatwień. Niekiedy kolibę wyobraża tylko dziura w skale, jak przy Czeskim stawie, gdzie dziura tak jest mała, że pomieścić może tylko kocieł, zawieszany w niéj dzienną porą, albo pana bacę (od głowy do pasa), który szuka w niéj schronienia podczas nocy. W takim razie juhasy i gońcy całe lato śpią pod gołem niebem na około watry, pomimo że hala Czeskiego stawu jest śniegami otoczona. Wprawdzie hala ta leży pośród kosodrzewiny na tarasie, stromą ścianą oddzielonym od lasu, lecz pomimo to brak szałasu przedewszystkiem przypisać należy niedbalstwu bacy i juhasów, co rok do téj saméj hali powracających.

Przez cały czas pozostawania na hali owce stoją pod gołem niebem. Na noc zapędzają je do ogrodzenia zwanego *koszar*, albo poprostu gromadzą przed kolibą powierzając pieczy wiernych psów.

Liczba owiec na hali odpowiada zapasom trawy na tejże. W jednéin stadzie bywa od 200 do 600 owiec; pospolicie na 50 owiec jeden bywa juhas, a zatém na hali bywa do 12 juhasów.

Skoro owce przyjdą na halę, ich właściciele przybywają dla oznaczenia ilości séra, jaką baca ma im dawać od każdéj owcy. W tym celu każdy doi swoje owce do jednego naczynia, a waga téj saméj objętości wody, jaką przedstawia cały pierwszy udój, oznacza wagę séra, jaką baca winien oddać właścicielowi za każdy tydzień. Pospolicie dla właściciela od każdéj owcy wypada za całe lato 10 funtów séra, gdy tymczasem baca w dobry rok może mieć od owcy 20 do 30 funtów séra, który téż stanowi cały jego zysk, po potrąceniu naturalnie oszczypków juhasom należnych.

Baca jest wyłącznym fabrykantem séra; on za pomocą podpuszczki *(klagu)* ścina mleko każdego wydoju i sam własnemi rękami wyciska skrzepłą masę dla oddzielenia twarogu od serwatki, a właściwie od *żentycy*. Twaróg przeznaczony na bryndzę zaraz gazdowie

niewątpliwie jest niewłaściwém ograniczeniem znaczenia wyrazu. Takie same znaczenie nadaje kolibie Goszczyński, ale trudno zrozumiéć następujące jego słowa, trudno pochwycić ich związek z kolibą tatrzańską: „*koliba*—u Czerkiesów *kaliba*—pokolenie, to samo co u Szkotów klan.“ *Dziennik Podróży do Tatrów*, str. 130.

zabierają, z przeznaczonego na sérki baca przy pomocy juhasów wyciska w formach *oszczypki*, mające kształt rzeźbionych baryłek, albo też urabia kręgi *brusikami* zwane. Dla nadania twarogowi większéj plastyczności, miękkie oszczypki na jakie 4 minuty kładą do wrzącéj wody, poczem ostatecznie wygniatają je w formach. Oszczypki, przeznaczone na zapas zimowy, trzymają w gorącym dymie, skutkiem czego pokrywają się twardą i tłustą skorupą, pod którą sér lepiéj się przechowuje.

Ciecz, oddzielona od twarogu, jest mleczysta i gęsta; składa się ona z serwatki i rozdrobnionego twarogu i tłuszczu. Ciecz tę wlewają do kotła nad ogniem zawieszonego i warzą pod okiem samego bacy, ciągle mięszając dla dokładnego rozdzielenia twarogu i tłuszczu. Ciecz w ten sposób przygotowana nosi nazwę *żentycy słodkiéj*. Jeżeli na hali dużo jest żentycy, wtedy baca zléwa nadmiar do fasek, gdzie kwaśnieje, przyczém kwaśna serwatka zupełnie oddziela się od twarogu i tłuszczu w grudki zebranych. Jest-to *żentyca kwaśna*.

Przez cały czas pozostawania na hali baca, juhasy i ich psy wyłącznie żywią się słodką żentycą, bardzo pożywną z powodu zawartego w niéj twarogu i tłuszczu. Ludziom pokarm ten doskonale służy, do tego stopnia, że ciągle używający go juhasy doskonale wyglądają, a nawet tyją. Pomimo całego pociągu do żentycy, baca i juhasi chętnieby jadali chléb, grule, sér i t. p., ale tego z ekonomicznych względów nie czynią; gdyby jadło kupowali albo sérki jedli, wracaliby jesienią bez zarobku. Przez oszczędność ani baca, ani juhasy tytoniu nawet na hali nie palą, pomimo że są do niego namiętni.

Podhalanie i ich sąsiedzi nadzwyczajnie w *juhasieniu* gustują, nie mówiąc już o *bacowaniu*, uważaném jako zajęcie dochodne i zaszczytne. Juhas całą piersią używa górskiego powietrza i zupełnéj swobody, będącéj żywiołem górala, oraz ma zapewnione *dobre* życie i stosunkowo przyzwoity zarobek, obok mało uciążliwéj i przerywanéj pracy, co także niemałą ma wartość w góralskich oczach. Zarobek dzienny 25 centów obok żywności jest na Podhalu dobrym zarobkiem, bo np. w Zakopanem zwykły najemnik dostaje dziennie tylko 20 centów, kosiarz zaś 40 centów a wykwalifikowany, dobry cieśla 60 centów i *dobre życie* t. j. *grule z mlékiem*. Juhas jest tedy stosunkowo dobrze zapłacony.

Życie juhaskie tyle ma dla górala powabu, że do szałasu przychodzą niekiedy zwolennicy swobody, szukający wypoczynku pomiędzy niczem nie skrępowanemi synami gór. Wstąpiwszy przed czterema laty do szałasu, położonego na hali *Pysznéj* w dolinie Kościeliskiéj i należącego od mieszkańców Klikosowéj wsi pod Nowym

Targiem, zastałem tam młodego górala z tejże wsi, odznaczającego się bardzo miłą powierzchownością i gładkiém obejściem; był to uczeń gimnazyum w Wadowicach, który zwykł był podczas wakacyj parę tygodni wypoczywać pomiędzy juhasami.

Juhasy i bacowie wogóle weseli, rozmowni, gościnni i usłużni. Takiemi samemi znalazł ich Staszyc i Zejszner. Zupełnie inaczéj maluje Tschudi włoskich pasterzy, którzy ze swemi owcami całe lato spędzają w Alpach engadińskich. Pasterze ci są szczególnie ponurzy, zamknięci w sobie i małomówni. Zupełne przeciwieństwo z naszemi wiecznie śmiejącemi się i śpiewającemi gawędziarzami halnemi, którzy zawsze są gotowi dreptać swój, monotonny zresztą, taniec szałasowy. Alpejscy owczarze tworzą stowarzyszenie podobne do juhaskiego; mają oni swego zwierzchnika *(il pastore)* i żyją w podobny sposób, jak nasi juhasi, lecz są w znacznéj przynajmniéj części właścicielami pasionych przez się owiec. (*Tschudi.* Thierleben der Alpenwelt. 1861, str. 552—554).

Zbójnictwo w Tatrach szczególniéj ciekawość moją pobudziło. Od dawna pragnąłem wyrozumiéć tę stronę góralskiego życia, tak niedokładnie przedstawioną przez Wójcickiego (1) i zbyt pobieżnie traktowaną przez Zejsznera i Goszczyńskiego. Jadąc po raz pierwszy do Zakopanego, obiecywałem sobie szczegółowo wypytać się o tatrzańskich rozbójników, których charakterystykę Goszczyński dosyć szczęśliwie uchwycił. Byłem pewny, że zetknąwszy się z góralami bez żadnéj trudności ciekawość swoją zaspokoję, lecz w rzeczy saméj stało się wprost przeciwnie. Zakopianie, podobnie jak ich sąsiedzi, zachowują najuporczywsze milczenie ze względu na zbójników i na razie nic wyciągnąć z nich nie mogłem; dopiéro powoli, po bliższém zapoznaniu się, z niejakim trudem zebrałem pojedyncze szczegóły, które razem zestawione pozwalają mi dać dosyć dokładny obraz zbójnictwa.

Podhalanie, będąc umysłu niezależnego i niesłychanéj odwagi z zuchwałością graniczącéj, uwielbiają wszelki objaw tych przymiotów, zwłaszcza do ostateczności doprowadzonych. Przed niedawnym jeszcze czasem skłonność do czynów niezwykłéj odwagi objawiała się pod postacią *zbójnictwa*, a rozmaite przyczyny dawały pochop do oddawania się temu rzemiosłu. Dezerter wojskowy,

---

(1) Porównaj: „Stare gawędy i obrazy,“ Warszawa 1840. Tom I, str. 227, oraz „Zarysy domowe“, Warszawa 1842, tom I, str. 304.

juhas który cięższéj dopuścił się winy, kłusownik mający na sumieniu jakiego leśnego, dostarczali kandydatów na zbójnika, lecz miłość własna i pragnienie sławy, niemałą odegrywały tu rolę; one to głównie popychały do tego zawodu bogatych gazdów i baców, a przyznać należy, że ci ostatni byli niegdyś głównemi zwolennikami zbójnictwa.

Zbójnictwo głównie krzewiło się na Węgrzech, dzięki niedołęstwu władz miejscowych. Gdy władze te stały się czujniejszemi, zbójnictwo poczęło raptownie upadać. Goszczyński, który zwiedził Tatry 1832 roku, świadczy, że w owym czasie zbójnicy rzadko się zdarzali, a zbójnictwo należało bardziéj do tradycyi, niż do rzeczywistości. Od owéj chwili nigdy już nie mogło się ono rozwinąć i chociaż istniało aż do ostatnich czasów, nie miało jednak licznych zwolenników. Na Podhalu istnieją jeszcze ludzie, którzy dawniéj zbójnowali, obecnie zaś spokojnie *gazdują*, lecz ostatecznie, w Tatrach nie ma już dzisiaj zbójników i czasami tylko zdarzają się złodzieje, jak owi zbrodniarze, w zeszłym roku zbiegli z więzienia w Podzamkach, którzy rabowali sérki po szałasach, oraz kradli na Węgierskiéj stronie. Zbójnictwo stanowczo *wyszło dzisiaj* z *mody*, jak mnie w Zakopanem zapewniono; i nie ma najmniejszéj wątpliwości, że na tę zmianę mody dużo wpłynęło wydoskonalenie policyi galicyjskiéj i węgierskiéj.

Zbójnikiem mógł zostać tylko człowiek odznaczający sie przymiotami nad wszystko przez górali cenionemi, a mianowicie: zbójnik musiał być odważny, silny, zręczny i roztropny. W Tatrach zawsze przedstawiają zbójnika jako bardzo dobroczynnego opiekuna biednych. Brał on bogatym i dawał biednym. Zbójnik był religijny i pobożny; prosił Boga o powodzenie wypraw i dziękował za pomyślność. Przyjaciele zbójnika także modlili się za niego, jak tego np. następujący dwuwiersz dowodzi:

> Jaworu, jaworu szerokiego liścia,
> *Dajże Panie Boże zbójnikowi szczęścia.*

Według legendy, przytoczonéj przez Goszczyńskiego (*Dziennik podróży do Tatrów*, str. 101), starożytny kościołek Ś-téj Anny w Nowym Targu mieli wybudować zbójnicy, którzy téż z Węgier przywieźli obraz, znajdujący się w wielkim ołtarzu. Legenda jest z tego względu ciekawa, że dowodzi przekonania górali o pobożności zbójników, którzy okazują się nawet bardzo dbałemi o pomnożenie chwały boskiéj.

Powyższe szczegóły przekonywają, że w oczach górali zbójnik wcale nie był zbrodniarzem, lecz przeciwnie był on człowiekiem walecznym i *cnotliwym*. *Rozbójnik* jest pozbawiony wszelkich

przymiotów zbójnika, jest-to po prostu bezczelny i śmiały złodziej; odpowiednio do tego pojęcia, Podhalanin brzydzi się rozbójnikiem, a uwielbia zbójnika. *Zbijanie* uchodzi na Podhalu za coś zaszczytnego, bohaterskiego, *rozbijanie* zaś jest rzeczą hańbiącą, nikczemną. Takie są wyobrażenia Podhalan do dnia dzisiejszego.

Wysokie pojęcie o zaletach duszy i ciała zbójników, tłómaczy nam gorącą chęć Podhalan zdobycia zaszczytnego miana zbójnika, czemu obecnie czujna policya wiejska z taką bezwzględnością przeszkadza. Namiętność Podhalan do zyskania sławy zbójnika doskonale przedstawił Goszczyński w opowieści o owym niezgrabnym góralu, który przez trzy dni po to tylko w górach cierpiał głód i chłód, żeby potem mieć niejakie prawo do tego zaszczytnego miana. Prawdziwemi zbójnikami byli w Tatrach najpiękniejsi, oraz zamożni albo nawet bogaci ludzie, bo zbijanie było przedewszystkiém junakieryą, za pomocą której dawano ujście zbytniéj krewkości charakteru.

Dla zbójnika niesłychanie ważną była umiejętność i możność dawania ogromnych skoków, oraz zdolność szybkiego biegania. Aby dać wyobrażenie o dobroci nóg góralskich, w dolinach niepojętéj, przytoczę następujące zdarzenie jednego z moich dobrych znajomych w Zakopanem, którego nazwę T. Mój znajomy będąc młodym (obecnie liczy przeszło 50 lat), pewnego pięknego wieczora powracał z ogromnym, świeżo ubitym capem (t. j. samcem kozicy), którego góralskim zwyczajem dzwigał w torbie na plecach. Cap był bardzo duży i jego nogi wystawały z torby, *merdając* (bujając) w powietrzu. Już słońce zaszło kiedy T. znalazł się w lesie położonym pomiędzy Kuźnicami i Zakopanem. Czując się bezpiecznym, opuścił on zarośla i wyszedł na szosę las przecinającą, lecz zaledwie postawił na niéj nogę, nos w nos zetknął się z leśnym, oraz jego towarzyszem konno jadącemi. Zetknięcie tak było bliskie, że T. nie miał czasu wskoczyć w zarośla, puścił się tedy po szosie całą szybkością zakopiańskich nóg, zawsze dzwigając na plecach swego stufuntowego capa. Jeźdźcy puścili konie galopem i tak nacierali na górala, że ten nie mógł skoczyć w zarośla, lecz ciągle musiał biedz przed końmi; dopiéro przebiegłszy jaką wiorstę, mógł on skorzystać z zakrętu drogi i zachowując pierwotny kierunek, wpadł pomiędzy drzewa (1). Leśni-

---

(1) Górale zakopiańscy, odznaczający się oryginalnością porównań, dla oznaczenia szybkości nóg człowieka, jego bieg porównywają z biegiem psa, który jak wiadomo doskonałe ma nogi. Tak mianowicie Zakopianie mówią: „*Tak wartko bieży, że go żaden pies nie ścignie,*“ albo: „*Tak wartko bieży, że każdego psa, ile sam chce, kijem bije,*“ t. j żaden pies ujść przed nim nie zdoła. Otóż T. za młodu tak szybko biegał, że bił psa, ile sam chciał.

czy natychmiast powrócił do dworu, zebrał ludzi i udał się do chaty T., którego zastał w łóżku chrapiącego (chociaż czuwającego), lecz nie znalazł ani śladu capa, ani też jakichbądź przyborów myśliwskich. Cap pojechał na Orawę, a strzelba i prochownia zostały po drodze schowane w lesie. Pośpieszam tu dodać, że T. pomimo wielkich kwalifikacyi na zbójnika, czyli *dobrego chłopa*, nigdy się zawodowi temu nie oddawał, lecz zawsze spokojnie gazdował, tylko miał i ma pociąg do fuzyjki. Toż nie grzech kozę albo capa upolować, chociaż *panowie leśni* innego są zdania.

Zdolność wykonywania olbrzymich skoków oczywiście należała do koniecznych warunków bytu zbójnika, albowiem bardzo często była dla niego jedynem zbawieniem wobec hajduków, a powtóre napad na mieszkanie dokonywał się tym sposobem, że zbójnik jednym susem przez okno wskakiwał. Z tego to powodu, przygotowujący się do zaszczytnego zawodu zbójnickiego uczyli się skakać i przeszkody przesadzać. Górale przesadzając potęgę skoku, zwłaszcza zbójników, dla oznaczenia niezwykle dzielnych i zręcznych susów, używają właściwych sobie wyrażeń: *przeskakiwać buczki*, *skakać z buczka na jedliczkę*, np.

He dobrze Janiczkowi pokiela jest młody,
Przeskakuje buczki, jaworowe kłody.

Jeszczem nie zbójował, dopierom próbował,
Z buczka na jedliczkę w lesie przeskakował.

Kiedy ja *skoczem z buczaka na pniaka* (1),
Nie z jednego pana urobiem żebraka.
Kiedy ja *skoczem z buczka na jedliczkę*,
Nie z jednéj panienki urobiem żeniczkę.

Wogóle, buk jest u Podhalan zespolony z pojęciem zbójnika. Tak mianowicie mówią oni: *wyskoczyć za buczki*, albo *dzień dobry z za buczka powiedzieć*, zamiast: *pójść na zbój.* Jawor, czyli klon jaworowy (*Acer pseudoplatanus*) rzadziéj bywa ze *zbijaniem* zespolony; daleko częściéj jodła (po podhalsku *jedla*). Przyczyna tego zespolenia jest mi zupełnie nieznana.

Zbójnicy nosili właściwy sobie strój (mundur), składający się z kołpaka ozdobionego dukatami, bogato haftowanych spodni góralskich, pięknego serdaka, czuchy, oraz niezwykle szerokiego pasa z olstrami do pistoletów, pochwami do noży, kieszonkami i t. d. Uzbrojenie zbójnika składało się z siekierki na lasce czyli *ciupagi*, noży,

---

(1) *Jak zostanę zbójnikiem.* To samo znaczy trzeci wiersz.

pistoletów i dwóch albo trzech strzelb; czasami także z olbrzymiéj laski sękatéj. Zbójnicy nosili pałasze, w śpiewkach wspominane, np.

Janosik, Janosik,
Gdzieś podział pałasik?
W Lewoczy na murze,
Na jedwabnym sznurze.

Zbójnicy odwiedzali koliby baców, wybierali tam kontrybucye, składające się z sérków i bryndzy, oraz często gotowali barana w owczém mléku i raczyli się tym przysmakiem wraz z bacą i juhasami. Bacowie niebardzo krzywo patrzeli na podobnych gości, którzy najczęściéj przypominali im własne wycieczki tego rodzaju; nieraz baca wiedział, że dziś mnie, jutro tobie. Dzisiaj baca dał séra i barana, a nazajutrz to samo swemu koledze czynił, może nawet temu samemu, który go dzisiaj grabi, więc piękne za nadobne i rachunki skończone. Inną razą zbójnicy wstępowali do karczmy, gdzie naturalnie rzadko kiedy płacili za palenkę i habrykę t. j. tytoń. Dla tego to zbójnikowi płacącemu za palenkę śpiewka obiecuje, że go aniołowie wezmą do nieba (1). Oczywiście był to akt niezwykłéj wspaniałomyślności. Pospolicie inaczéj bywało:

Daj palenki żydu, *dobry chłopcy* przydą,
Jak nie dasz palenki, to cię trapić budą.

Zbójnicy dokuczali także *leśnym*, wrodzonym wrogom górali. Jeden rozbijał okno silném uderzeniem potężnéj pałki, drugi z szybkością błyskawicy wskakiwał do izby i chwytał pana domu za gardło, a tymczasem towarzysze zabierali *papierki* (t. j. pieniądze) (2) oraz wszystko, co przedstawiało dla nich jakąś wartość. Niekiedy puszczali się zbójnicy na większe przedsięwzięcia: odwiedzali zakład kąpielowy w Sławkowie czyli Szmeksie podczas pobytu gości, albo robili wyprawy na wielkich właścicieli i napadali ich siedziby; to też po-

---

(1) Pije se zbójnik, pije, turaczkami płaci,
Wezmą go do nieba aniołowie swaci.
Turaczki, drobna moneta. *Swaci*, święci.

(2) Z powodu długiego braku w Austryi brzęczącéj monety, Podhalanie zawsze widząc papierowe pieniądze, nazwali pieniądze *papierkami*, a złoty reński *papierkiem*. Góral, nie mający zetknięcia z większém miastem, innego wyrażenia nie rozumie. Dwa lata temu, gdy się w Austryi srebro pojawiło w kursie, pewnemu bacy dałem za sérki srebrnego reńskiego. Baca nigdy podobnego pieniądza nie widział i dopytywał się, co on wart? Wszelkie wyjaśnienia były próżne. Baca zrozumiał dopiéro wtedy, gdy mu powiedziałem, że to *srebrny papierek*.

między śpiewkami spotykamy wzmianki o rozbitym zameczku, t. j. pańskiéj siedzibie.

U leśnych i bogatych panów udawało się zbójnikom zdobywać pieniądze, sądzę jednak, że w opowieściach i śpiewkach bardzo są te bogactwa przesadzane, a zwłaszcza przesada zachodzi ze względu na dukaty, których Austrya od tak dawna nie ma; tak np. następująca śpiewka niewątpliwie potężnie przesadza ilość zdobywanych bogactw.

Kiedy my pójdziemy pod las chodniczkiem,
Będziemy mierzali dukaty kotliczkiem.

Te zbójeckie dukaty pospolicie bywały zakopywane w lasach, w miejscach najmniéj dostępnych. Nie dają one spać Podhalanom, którzy sobie ciągle zaprzątają niemi głowę. Prawda, że niektórzy gazdowie szczęśliwie je odnaleźli, ale są to bardzo nieliczne wyjątki. Zejszner przytacza podanie, że tym sposobem wzbogaciła się rodzina Relinów, a i ja słyszałem, że ten lub ów gazda znalazł zbójeckie dukaty i zbogacił się niemi.

Zbójnicy rzadko bywali mordercami; zabójstwa pospolicie dopuszczali się jedynie dla własnéj obrony, lub w razie silnego oporu ze strony napadniętego. Najczęściéj opór nie miał miejsca, a tém samem zabójstwo rzadko się zdarzało. Przy sposobności wypytywałem górala o powód takiéj uległości względem zbójników?, i dowiedziałem się, że każdy, kto spojrzał na zbójnika, ze strachu umierał, tak przerażającą była jego powierzchowność z powodu uzbrojenia tylu nożami i *pistolcami*! Jakże tu było myśléć o obronie!

Zbójnicy głównie plądrowali po Węgrzech i najczęściéj dostawali się w ręce władz tego kraju, które ich dawniéj śmiercią karały. Zbójników wieszano na żelaznym haku za pośrednie żebro, wieszano na stryczku, albo im głowę ścinano. Rozmaite formy kary śmierci zostały w śpiewkach potomności przekazane, tak np.

Powiadała ja ci: daj pozór na siebie,
Hamerscy hajducy biorą się po ciebie.
Obwieszą cię Janku za pośrednie ziobro,
Już ci będzie potem zbijać niepodobno.

Jeszczem nie zbójował, dopiero ten roczek,
Już mnie *chcą zawiesić na żelazny haczyk.*

Hej! coże temu padnie,
Hej! co owieczki kradnie?
Hej! co że by mu padło?
Hej! stryczek na gardło

Bratowie, bratowie, kochani bratowie,
Będą nam ścinali głowiczki katowie.

Głównem miejscem egzekucyi było miasto Mikułasz (po węgiersku Miklos), stolica komitatu Liptowskiego. Ztąd rozmaite odezwy do tego miasta, jak np.

Mikułasz, Mikułasz, ty sy bystre miasto,
Do tobie przestrono, ale w tobie ciasno.

Mikułasz, Mikułasz, mikułaskie mostki,
Tam się potykają swarnych (1) chłopców kostki.

Naturalnie zdarzało się, że ktoś mniéj skompromitowany zbójnictwem odsiadywał tylko ciężkie więzienie i kajdany nosił; ztąd w śpiewkach rozmaite i częste wzmianki o kajdanach *(bugańcach)*, oraz odezwy do zameczków murowanych, do Wiśnicza w Galicyi, do zamków Orawskich i rozmaitych innych miejsc odsiadywania więzienia, ale przytaczając choćby tylko wyjątki ze śpiewek o zbójnikach, nigdybym nie skończył, poprzestanę więc na odesłaniu czytelnika do zbioru śpiewek Zejsznera.

Wszystkie przymioty ciała i umysłu zbójnikowi przypisywane, złączyli Podhalanie i Słowacy w obrazie sławnego i tyle do dziś dnia wielbionego *Janosika*, zbójnika liptowskiego. Historya o Janosiku, upiększana w ciągu całego wieku, stała się cudowną historyą tysiąca i jednéj nocy, pomimo to jednak ma ona w sobie pewną, chociaż maleńką dozę prawdy, a mianowicie sławny Janosik rzeczywiście żył za panowania cesarzowéj Maryi Teresy, kształcił się na księdza, najprawdopodobniéj w Podoleńcu, był nadzwyczaj śmiały, zręczny i litościwy dla biednych. Historyę jego życia, oprócz rozmaitych cudownych opowieści, upiększono także szczegółami wyjętemi z życia wszystkich znakomitszych zbójnikow tego samego imienia (ostatni zbój Janosik żył przed 60 mniéj więcéj laty).

Urywki z legendy o Janosiku ogłosił Wójcicki (2), wspominał o nim Zejszner i Goszczyński, lecz nigdzie nie ma całości, a nadto szczegóły przez Wójcickiego podane są stanowczo pozbawione miejscowego kolorytu. Przypuszczam, że Wójcickiemu opowiadano o Janosiku gdzieś bardzo od Tatrów daleko. Zakopianie, tyle dyskretni w mowie gdy chodzi o zbójników, nie chcą nic mówić o Janosiku, i zaledwie wydobyłem od nich kilka oderwanych szczegółów;

---

(1) Dzielnych.

(2) Zarysy domowe. Warszawa. 1842. Tom I, str. 333.

dopiéro w roku zeszłym profesor Kopernicki łaskawie mi dopomógł, przysyłając legendę o Janosiku, dosłownie spisaną według opowiadania pewnego górala z pod Rabki. Ze względu, że w legendzie téj górale tatrzańscy jaskrawo przedstawiają swoje pojęcia o zbójnikach i zbójectwie, oraz ze względu, że nigdzie nie znalazłem téj legendy w całości drukowanéj, przytoczę ją tutaj według opowiadania, łaskawie udzielonego mi przez profesora Kopernickiego, dodając szczegóły, jakich mi w Zakopanem dostarczono. Pragnąc ułatwić czytelnikom zrozumienie legendy, podaję ją w zwykłym języku, zachowując niektóre tylko wyłączności mowy podhalskiéj.

Historya o Janosiku.

Był student, i szedł ze szkół na wakacye. Szedł przez wielki las, i zaszła go noc. Pobłądził w lesie, nie miał którędy z lasu wyjść i nie wiedział, w którą stronę miał iść? Wyszedł na drzewo i patrzał, gdzie jest kraj lasu i *uźrał* kraj lasu. A była niedaleko chałupka w téj stronie. Cisnął czapkę na ziemię w tę stronę, żeby wiedział w którą stronę iść jak z drzewa zlezie. I zlazł, i szedł w tę stronę i zaszedł do téj chałupki. A w téj chałupce była taka stara baba: widział ją oknem, bo się świeciło, i wlazł do téj izdebki. Ta się go baba pyta: „Po coś tu przyszedł?“—„Prosiłbym o *nocnik* (t. j. nocleg).“—„Jakże ja cię będę nocować? przyjdzie starsza siostra moja, to cię zabije zaraz;“—bo to były czarnoksiężnice. Ale on odpowiedział: „Niech się robi, co chce ze mną, *nikaj* nie idę z *tela*.“ Tak go ta baba woła na wieczerzę; powieczerzał z nią, i schowała go pod koryto za piec.

Przyleciała siostra starsza; powiada:

„Pfy, co tu tak śmierdzi?“

„Wychodź Janosik!“ Jużci on musiał wyjść.

„Pójdź do wieczerzy!“ Tak wieczerzał z nią znowu. Powiada mu:“

— Jak przyjdzie trzecia siostra, najstarsza, jak chcesz to idź, bo ona cię zabije.

On powiedział: „Nie idę *nikaj*.“

Przyszła najstarsza, trzecia siostra, i powiada:

„Czyja tu dusza śmierdzi?“

„Wychodź Janosik!“ I tak wyszedł.

„Jużci pójdę na wieczerzę.“ Tak powieczerzał z nią, legł potém i spał.

Te zaczęły radzić: „co mu zrobimy?“ A nie spał, ino tak udawał, że śpi,—słuchał, co gadały.

„Połóżmy mu węgiel ognia na pępku, jak wytrzyma, nie obudzi się, to będzie wytrzymały z niego chłop.“

Położyły mu węgiel ognia na pępku, a on cierpiał, wytrzymał, aż węgiel zgasł. Tak one powiedziały: „Będzie wytrzymały wszędy; trzeba mu dać mundur.“

Jedna powiada; „Ja mu dam siekierkę.“ Druga powiada: „Ja mu dam koszulę.“ Trzecia powiada; „Ja mu dam pas.“—„Na téj ciupadze jak się zniesie, to trzy mile przeskoczy, a w téj koszuli będzie miał okrutną siłę, i w tym pasie.“

Ta, co kuszulę miała szyć, dopiéro konopie siała o godzinie ósméj, a na rano koszula była z nich. Jak Janosik rano wstał, ten mundur mu dały i tu powiedziały:

„Nie będziesz już księdzem ino zbójnikiem; tu masz siekierkę, jak się na niéj zniesiesz, trzy mile przeskoczysz i ona ciebie będzie broniła, żeby najbardziéj na ciebie nastawali. A w téj koszuli i w tym pasie będziesz miał okrutną siłę. Teraz musisz najpierw ojca *zazbójować* swojego, a potém już będziesz nad wszystkich zbójów zbójem.“

Tak Janosik poszedł, ten mundur schował, a w tym studenckim szedł do chałupy. Przyszedł do chałupy i bardzo był smutny. Ojciec się jego wybierał na jarmark *na woły*; brał z sobą 150 reńskich, a on mu powiada: „Tatusiu nie chodźcie, bo was zbóje obrabują.“ Ojciec mu powiada: „Musiałbym się na ciebie *podać* (być do ciebie podobnym), żebym pieniądze zbójom dał.“—„*Będziemy widzieli.*“ I poszedł ojciec.

Jak ojciec poszedł, tak on na drugi dzień wyszedł z izby, ubrał się w ten mundur zbójecki, i siadł na ciupagę i poleciał za ojcem. Zastąpił mu w lesie, *cupnął* (uderzył) siekierką i pytał: „Gdzie idziesz?“ Odpowiedział: „Idę na woły,“—ale ani przegadać nie mógł od strachu. „Dawaj pieniądze!“ Ten wziął pieniądze i oddał mu. „Wszystkieś dał?“ pyta Janosik. Ojciec odpowiedział, że wszystkie: „ani téż na drogę nie będę miał.“ Dał mu Janosik jednego reńskiego na drogę z tych pieniędzy i poleciał w las, a ten się ojciec wrócił do domu. Janosik się zniósł na siekierce i w téj godzinie był w chałupie, a ojciec aż na drugi dzień. Schował Janosik mundur, i nikt nic nie widział. Ojciec przychodzi z płaczem i powiada:

„Prawdęś mi ty powiedział!“ „Cóż się to wam tatuniu stało?“

— „E! stało się mi, bo mi zbójnik zastąpił, musiałem mu wszystkie pieniądze dać; nie dał mi ino reński na drogę.“ „Ja wam powiadał: nie chodźcie;—a poznalibyście go?“ „O, poznałbym go, miał

koszulę okrutnie straszną i pas, i siekierę wielką.“ I poszedł na pole ten student i ubrał się w ten mundur i wlazł do izby. „Nie ten to był?“ „O, ten, ten!“ I dał pieniądze ojcu i powiedział: „Już nie będę księdzem, ino zbójnikiem. Bywajcie zdrowi!“ I poleciał.

Janosik miał pod sobą dwunastu zbójników; którego przyjmował *ku sobie*, każdy musiał sztukę pokazać. Jeden poskoczył do jedlicy (jodły), wierzchołek uciął szablą, a drugi wierzchołek z pistoleta ustrzelił. Inny łamał drzewa *najhrubsze*, czwarty najtwardszą *skałę* (kamień) w garści rozkruszył;—dość na tém, że każdy swoją sztukę *pokazował*, a Janosik jak skoczył, ręką wirch najwyższego *smreka* (świerka) chwycił.

Janosik poszedł na Orawę i mieszkał w Liptowie; tam zbójował, tam miał w lesie pomieszkanie.

Szedł chłop raz na jarmark, *na woły*. Pyta się go Janosik. „Dużo masz pieniędzy?“ On mu odpowiedział; „Trzydzieści reńskich.“ Wziął i dał mu 400 reńskich; „Kup za wszystkie pieniądze woły, a jak pójdziesz z wołami, przyjdź tu i pokaż mi je. „Chłop zaszedł na jarmark; takich wołów nie było drogich; bardzo się turbował i dał *obembnować*: „kto na tyle pieniędzy woły ma?“ Nie było ino we dworze, a jeszcze nie kosztowały tyle; ale zapłacił i wiódł. Zaszedł tam do lasu z temi wołami. Janosik go się pyta; „dużoś dał?“ Powiedział: że mu zbyło 100 reńskich, ale mu Janosik nic nie powiedział, ino kazał wieść do chałupy.

Szła raz baba na jarmark. Pytał się jéj: „gdzie idziesz?“—„Na jarmark?“ „Po co?“—„*Na buty*, ale mało mam pieniędzy.“ Naści *piątkę* (5 reńskich), kup-se *pikne* buty.“ Baba zaszła na jarmark, pieniędzy jéj żal było; nie kupiła butów i szła do chałupy bez butów. Potkała się na drodze z Janosikiem. „Kupiłaś buty?“—„Nie kupiła.“—„Czemu?“—„Bo mi żal było pieniędzy.“—Wziął, obłupił jéj nogi po kolana. „Kazałem ci buty kupić, toś mogła kupić; teraz masz buty darmo!“

Tak chodził ino po panach i rabował, a biednym dawał.

Dowiedział się, że tam gdzieś przy Sączu jest pan bogaty. Posłał posłańca do *Mszany* do dworu, aby mu tam obiad *narychtowali*: dla niego i dla dwunastu sług. Na znak zakręcił kawał ryfy na szyi posłańca. Ten zaszedł i melduje we dworze, iże Janosik będzie na obiad z dwunastu sługami. Obiecali, że będzie obiad, i posłaniec poszedł; a tymczasem z całych wsi pozganiali najmocniejszych chłopów i strzelców i *przystroili* się na niego. Janosik idzie, a tu stają, tak porwał kobylisko za nogę, jak nie *obyrtnął* dokoła, połowa ich padła. Złapał bryczkę i przecisnął przez pałac, na drugą stronę pobiegł i w locie ją chwycił. Potém wziął wiele pieniędzy bardzo, i tak zbójował.

Liptacy wciąż na Janosika nastawali, aż cesarz posłał na niego regiment wojska. Wojsko przyszło z flintami, a Janosik wychodzi ino z ciupagą. Żołnierze strzelają, a Janosik kule w powietrzu chwyta i w oczy im ciska (bo się go kule nijak nie imały); jak zawołał: „Ciupaga *rubaj*!“ tak ciupaga wszystko po drodze *rubała* i regiment wojska uciekł.

Janosik bardzo był pobożny. Idzie raz i spotyka studenta z Podoleńca, gada z nim i *ku sobie* przyjmuje. Student zmówił się niedługo z hajdukami i obiecał zabić Janosika. Raz Janosik modlił się, jak zawsze klęczący. Student, niewiedzący, że się Janosika kule nie imają, z flinty do niego wypalił, a Janosik jakby nie słyszał, ani się obrócił. Student drugi raz strzelił: i znowu Janosik ani się *obeźrał*, tylko się modlił. Straszno się zrobiło zdrajcy; jeszcze raz strzelił i począł uciekać, ale Janosik skończył modlitwy, skoczył i zabił go.

Przytrafiło się jednego razu, że cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę, co się miało dwóch rycerzy bić w pojedynku. Tak cesarz przysłał szwadron huzarów po Janosika i posłał dla niego konia. Przyjechali i pytali się, gdzie Janosik mieszka? Pokazano im w górze, w lesie. Pojechali tam, spotkali Janosika i pytają go: „Gdzie tu mieszka Janosik?“ on wziął, wyrwał buka z korzeniami i pokazał im, że tam mieszka. Oni się zaraz zmiarkowali, że to on sam i prosili go, że posłani są od cesarza, aby jechał z nimi bić się w pojedynku, i dawali mu konia, ale on nie chciał; powiedział im: „Ja tam prędzéj będę jak wy.“ W trzeci dzień za nimi poleciał, w trzeci dzień oni dojechali, a on już tam był. Meldował się skoro ci przyjechali, że już jest. Chcieli go potém blachą skować na piersi i konia *pięknego*, krzepkiego dawali, ale on nie chciał ani szabli, ino ze siekierką poszedł. Szedł naprzód, a cesarz z wojskiem za nim, i zjechali się na placu z nieprzyjacielem. Nieprzyjacielski rycerz był na koniu, skowany okrutnie blachami, uzbrojony okrutnie. Wzięli się za ręce najprzód, a potém rycerz chciał Janosika zająć szablą i pistoletem strzelić; a Janosik złapał konia za nogę, ino raz o ziemię *cupnął*, nie została mu ino noga w garści. Tak go cesarz chciał zająć ze sobą, ale on nie chciał iść, ino powiedział: „że ja za regiment obstaję, a moi słudzy za drugi.“ I zniósł się na siekierce i już go nie widzieli. Tak przyszedł do Liptowa, bo tam miał mieszkanie i frajerkę tam miał.

Liptacy, jak nie było Janosika, namówili jego frajerkę, coby się ona Janosika wypytała, w czem on tę okrutną siłę ma? Ona im to obiecała i Janosika za pieniądze oddać przyrzekła. Jak Janosik do Liptowa powrócił, pyta się go frajerka, w czém on siłę ma? i przy-

znał się przed nią, że w onéj koszuli i w pasie i w siekierce. Liptacy *nasuli* (nasypali) grochu *na wirch* (na strych) domu i czekali. Janosik przyszedł do frajerki; ta zamknęła jego ciupagę za dziewięciorgiem drzwi, a Liptacy puścili na niego groch. Janosik z grochem rady dać nie mógł i *ukiełznął* (pośliznął się) na nim (1). Paru chłopów przysiedli go, pas na nim przecięli i koszulę stargali, tak Janosik zesłabł, a ciupaga przerąbała się przez ośmioro drzwi żelaznych, aż w dziewiątych stanęła. Janosik już zesłabł, i *pojęli go*; wystawili szubienicę, i na tę szubienicę wywiedli go i mieli wieszać. Wiedział, on że od cesarza pardon przyjdzie; stał pod szubienicą i na drogę od Wiednia *pozierał*, ale pardon zapóźno przyszedł, a tymczasem Liptacy Janosika za pośrednie ziobro na żelaznym haczyku zawiesili, a on jeszcze funt *habryki* (tytoniu) wykurzył. Tak się Janosik *skróś* (przez) frajerki skończył (2).

Od tego czasu, jak Janosika zawiesili na żelaznym haczyku, co rok Liptacy dają ćwierć cwancygierów kary za niego węgierskiemu cesarzowi, bo on obstał sam za regiment wojska, a ci go Liptacy zgubili.—

Na zakończenie dodać mi jeszcze wypada, że bardzo trudno znaleść Podhalana lub Słowaka, którýby historyę o Janosiku w wątpliwość podawał, albo takiego, którýby zdołał odmówić swego współczucia temu bohaterowi. Z całą pewnością nie ma ani jednego, którýby powątpiewał o owéj karze ćwierci cwancygierów. Stracenie Janosika do dnia dzisiejszego jątrzy Podhalan i powiększa ich nienawiść do Liptaków.

Taka jest legenda o największym zbójniku tatrzańskim, a teraz pozwolę sobie przytoczyć parę rzeczywistych ustępów z życia niedawno zmarłych zbójników podhalskich.

Pięćdziesiąt blisko lat temu pewien góral z Zakopanego nazwiskiem T. uciekł z wojska; wiedząc, że władze austryackie będą go prześladowały i nie pozwolą spokojnie mieszkać w rodzinnéj wiosce, poszedł na zbój. Pospolicie mieszkał w jaskiniach pod górą Osobitą i był postrachem przyległych wsi Orawskich. Był on małego wzrostu, ale nadzwyczajnéj siły i zręczności. W lecie bez trudu

---

(1) Szczegóły pojmania Janosika opowiadają z pewnemi waryantami, które tu opuszczam.

(2) Zbójnicy nieraz *skróś frajerki* cierpieli, tak np. w następującéj śpiewce.

Idzie zbójnik z za Liptowa,
Ciecze mu krew z za rękawa,
Z za rękawa i z główeczki,
Sycko bez zdradę dziewec zki.

znajdował żywność na halach, gdzie mu sérków bacowie dostarczali, a nadto chodził po wsiach orawskich, gdzie się zaopatrywał w żywność i *habrykę* (tytoń). W zimie, obawiając się, aby go nie zdradziły własne tropy na śniegu wyciśnięte, prawie wcale jaskini swojéj nie opuszczał, a gdy mu zabrakło zapasów żywności, poprzestawał na korzonkach; z zimna i niewygód często tracił wszystkie paznokcie. Miał on brata w Zakopanem, lecz ten bojąc się odpowiedzialności w obec władz austryackich, nie chciał mieć z nim bezpośrednich stosunków. Jedynym opiekunem zbójnika był młodziutki jego synowiec S. T., obecnie jeden z najlepszych przewodników, nadzwyczaj śmiały i silny. Aby dać wyobrażenie o sile owego synowca przytoczę, że będąc młodym, z góry śniegiem pokrytéj jednego po drugim zniósł dwóch turystów tęgo zbudowanych, a następnie po kolei przeniósł ich przez potok. Innym razem, *przez żart* z Krywania zniósł osobę olbrzymiego wzrostu i tęgiéj tuszy. Pomimo swéj siły S. T. jest miernego wzrostu i bardzo nawet szczupły, zawiędły. S. T. posiadając wszystkie przymioty zbójnika, przyznaje, że jedynie skutkiem napomnień stryja *nie wyskoczył za buczki*.

T. zdjęty rozpaczą, sam pewnego razu oddał się w ręce władz austryackich, odcierpiał karę, polegającą wówczas na niemiłosiernéni obiciu kijami, i został zamknięty w Zamkach orawskich, wybudowanych na wysokim brzegu rzeki Orawy. T. wyskoczył przez okno i uciekł.

Pojmano go i okutego w kajdany na nowo uwięziono. T. postanowił powtórnie uciec. Podczas gwałtownéj burzy, o saméj północy, dźwigając kajdany wyniósł on na plecach towarzysza niedoli, także w kajdany okutego. Szyldwach widząc jakąś ogromną istotę brzęczącą kajdanami sądził, że ma przed sobą diabła, albo jakiegoś potępieńca i nie śmiał przeszkodzić ucieczce. Tym sposobem T. znowu znalazł się na wolności, któréj już nigdy nie postradał.

Na głowę zbójnika nałożono cenę. Pewnéj nocy znajdował się on w karczmie na Orawie. Zdradzono go, albowiem karczmarz dał znać, że jest sam i wieczerza. Z dwóch wsi sąsiednich zgromadzono chłopów uzbrojonych w kije, kosy i widły, oraz opatrzonych w latarnie pod ubraniem ukryte. Wyprawą dowodził jakiś urzędnik austryacki szpadą uzbrojony. W cichości otoczono karczmę. Urzędnik z kilkunastu chłopami wszedł do izby i w téj chwili we wszystkich oknach zabłysły latarnie. „Mam cię ptaszku!“ zawołał urzędnik dobywając szpady i wzywając zbójnika do poddania się. T. nieodstępną ciupagą obciął nos urzędnikowi i ciężko go ranił, oraz gwałtownie natarł na wchodzących chłopów. Wówczas jeden z nich wbił mu żelazne widły w udo. Rozwścieczony bólem T. wyrwał na-

pastnikowi widły i wywijając nimi do koła wszystkich chłopów z karczmy wypędził, a następnie stanąwszy w progu zręcznym ruchem wyrzucił *czuhę* (wierzchnie ubranie) po nad głowami tłumu. Przy niepewném świetle latarni, wśród powszechnego zamięszania, oblegający sądzili, że to sam T. wyskoczył, zwłaszcza, że był znany ze swych zręcznych i olbrzymich skoków. Wszyscy tedy zwrócili się w stronę rzuconéj czuhy. T. korzystając z powszechnego zamięszania i popłochu ranił ciupagą wielu nieprzyjaciół i wśród ciemności zniknął. Wszyscy rzucili się w pogoń za uciekającym, który tymczasem ukrył się za pierwszym napotkanym węgłem. Po oddaleniu się chłopów, wyniesiono z karczmy ranionego urzędnika, a gdy nikogo już nie było, T. opatrzył swą ranę, powrócił do karczmy i wieczerzy dokończył.

Zestarzawszy się T. powrócił do Zakopanego, gdzie go już w spokoju pozostawiono. We wsi rodzinnéj spokojnie życia dokonał, ani na sekundę nie rozstając się ze swą ciupagą, z którą nawet sypiał. Nie wątpię, że tragiczny koniec Janosika, który zginął wypuściwszy z rąk ciupagę, jedynym był powodem tego ciągłego piastowania siekierki.

Do ostatnich zbójników podhalskich należy *Wojtek Mateja* z Zakopanego i *Wojtek Gał* z Olczy.

Mateja z początku dochowywał wiary tradycyom zbójników tatrzańskich. Odwiedzał hale i wybierał daninę w sérkach i baranach, nachodził leśnych i karczmarzy, lecz stopniowo coraz bardziéj dziczał. Zaczął napadać księży, co u zbójników zawsze było zbrodnią, a nawet w Chołowie zrabował pieniądze na kościół złożone. Tak więc ostatecznie stał się *rozbójnikiem* w całém znaczeniu tego wyrazu.

Rozbój mało wpłynął na powiększenie majątku Matei (według gramatyki góralskiéj, *Matejego*), który większą część zdobyczy wydawał na fetowanie przyjaciół.

Pewnego razu Mateja przyszedł na halę, jeżeli dobrze pamiętam, należącą do wsi Witowa, i począł wybadywać bacę, czy nie zna takiego miejsca, w którém się łączą trzy potoki? Baca domyślając się, że Mateja szuka zbójeckich pieniędzy, zaparł się, że podobnego miejsca wcale nie zna, ale po odejściu rozbójnika począł sam szukać i rzeczywiście we wskazanem miejscu znalazł zakopane dukaty. Ze swéj strony Mateja odszukał to samo miejsce, a widząc poruszoną ziemię, domyślił się, że baca zabrał pieniądze. Poszedł tedy do niego, ale baca zaparł się znalezienia pieniędzy. Powróciwszy z hali baca chciał dukaty wysuszyć i wystawił je w niecce na słońce. Przechodzący tamtędy żyd spostrzegł dukaty i dał znać o tém Matei,

którego znał jako zbójnika, oraz wiedział, że szuka zbójeckich pieniędzy. Mateja przyszedł upominać się o pieniądze i proponował bacy równy podział dukatów, lecz baca i tym razem wszystkiego się wyparł; poczém Mateja powrócił do domu. Baca wiedząc, że rozbójnik, dla odzyskania pieniędzy napadnie go nocną porą, przeniósł się wraz z całą rodziną do odległéj szopy, pozostawiając w domu młodą służącą. Mateja wkrótce przybył w towarzystwie przyjaciół, a zastawszy samą tylko sługę począł ją męczyć, aby mu wydała skarb pana. Biedna dziewczyna poznawszy Mateję, poczęła go upraszać: „Kochany Wojtku! nie męczcie mnie, bo ja nic nie wiem o waszych dukatach.“ Mateja widząc, że go poznano, zabił dziewczynę. Wkrótce wykryto zbrodnię i osadzono Mateję w więzieniu w Wiśniczu, gdzie przed sześcioma laty umarł. Mateja nigdy nie budził sympatyi w Podhalanach, a jego śmierć radosną była nowiną.

Wojtek Gał bacował na hali Kondratowéj. Był to człowiek zamożny, posiadacz gruntu i młyna w Olczy; odznaczał się olbrzymią siłą i odwagą, to téż należał do tęgich zbójów. Według słów pewnego górala, który pewien czas juhasił u Gała, zbójowanie tego człowieka polegało na wpadaniu nocną porą na hale, gdzie zabierał séry i barany, co mu inni bacowie jak najprędzéj starali się odpłacić napadem. Pomiędzy bacami istniała pewnego rodzaju gra, polegająca na wzajemnem podejściu: kto był czujniejszy, mniéj ucierpiał od napadów, które na czas odpierał; kto był śmielszy, zręczniejszy, ten więcéj od innych zdobywał. Było to coś przypominającego grę warszawskich gołębiarzy z tą różnicą, że tutaj chodzi o to, kto ma lepszego gołębia, który umie obce sprowadzić gołębie, a w Tatrach współzawodnictwo dotyczyło zręczności i śmiałości samych baców. Oprócz tych wycieczek do swych kolegów, Gał w jesieni czatował na kupców, którzy pędzili owce po halach kupione, zabierał część stada, i puszczał napadniętych, nie czyniąc im zresztą krzywdy. Jednego roku juhasi, a było ich dwunastu, spotrzegli, że ich Gał oszukał na 100 reńskich i postanowili chociażby przemocą pieniądze swoje odzyskać. Przed samém zejściem z hali, kiedy baca przestaje być *ojcem szałasu*, juhasi uzbrojeni w kije napadli Gała, dopominając się swoich *papierków*, ale Gał wszystkich pobił, wielu poranił, a pieniędzy nie oddał. Przed kilkoma laty Gał chcąc zatrzymać będące w biegu koło swego młyna pochwycił je ręką, ale koło urwało mu rękę, skutkiem czago Gał umarł, nie zostawiając po sobie wielkiego żalu.

Tak więc zbójnicy pojedynczo pojawiali się w Tatrach aż do ostatnich czasów, ale dzisiaj już ich nie ma. Mateja i Gał umarli, a inni zwolennicy *zbijania*, albo są wiekiem przyciśnięci i spokojnie gaz-

dują, nie *wyskakując za buczki*, albo też będąc w sile wieku, *nie mówią dzień dobry* z *za buczka*, z obawy starcia z czujnemi żandarmami. Spokojnie tedy bacują i gazdują, z żalem wspominając lepsze czasy. Pomijając takich bardzo nielicznych zwolenników zbójectwa, należy przyznać, że potężny wpływ księży, oraz wielka obawa czujnéj policyi stanowczo zniweczyły w Podhalanach pociąg do zbójnictwa, które dzisiaj abstrakcyjnie tylko wielbią, wcale go nie uprawiając.

Zbójnik nigdy turystów nie napastował.

Podhalanie posiadają bardzo dużo śpiewek i pieśni o zbójnikach; najpiękniejszą jest pieśń o dziewczynie, która poślubiła zbójnika, nie wiedząc o jego zajęciu. Jest to najlepszy utwór poetycki Podhalan, którego powtarzać nie będę, albowiem czytelnik znajdzie go u Goszczyńskiego (*Dziennik podróży do Tatrów*, str. 277) i u Zejsznera (*Pieśni ludu Podhalan*, str. 171).

August Wrześniowski.

W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA.

(*Dokończenie*).

„*27-go listopada.* Ach Mateczko! Jakaż ta gawiedź miejska obrzydliwie mi wstrętna, ten tak zwany *świat!* Ileż tu fałszu i obłudy. Nigdy wprzódy mi się to nie dało tak uczuć, jak teraz. Jak mi ci ludzie winszują nieszczerze, jak mi szczerze zazdroszczą! Jak mi pochlebiają, jak mi się łaszą, jak czapkują, wiedząc, że mam zostać wielkim panem! Byłażby to wściekła radość między temi memi nowemi *wielbicielami* i *przyjaciołmi* (sami się tak nazywają), gdyby dla jakiego nadzwyczajnego powodu małżeństwo nie przyszło do skutku! ach, jakżeby się oni cieszyli, jakby się śmieli! Na szczęście nie przyjdzie do tego i przyjść nie może.“

„Byłem tedy dziś u mojéj narzeczonéj... Niechże Mateczka sobie tego na złe nie tłómaczy, jeżeli wczoraj napisałem, że mi się tam iść nie chciało. To nie dla tego abym ja Hieronimki nie lubił, owszem, wierz mi Mateczko, że mam prawdziwą dla niej sympatyą, a wobec tylu dowodów namiętnego jej do mnie przywiązania, musiałbym być chyba drewnianym manekinem albo marcypanowym juraszkiem, abym jej tego uczucia choć w części nie odwzajemniał. Nawet w takim razie, gdyby była brzydką jak noc, musiałaby się w mém sercu obudzić dla niej jakaś niezwykła wdzięczność, czy przyjaźń, czy litość... ja sam nie wiem, jak nazwać ten szczególniejszy rodzaj współczucia. Ona mnie tak kocha! Ona żyje mną i mną samym tylko: o mnie marzy, we mnie widzi wcielenie swego ideału, we mnie szczęście swoje całe. Gdyby mnie nie było, ona-by żyć nie mogła. Powiedziała mi to nieraz, i jestem przekonany, że mówiła prawdę. Nie, Mateczko, takby mnie nikt pokochać nie mógł na świecie jak ona. Popsuty jestem tą jej miłością tak nadmierną, nieludzką, chorobliwą

może i obłąkaną... ale zawsze miłością taką, jakiéj nikt dla mnie uczuć-by nie zdołał. Miło to być czyimś bóstwem, czyimś zdrowiem i życiem i szczęściem. Ta jéj miłość stała się już potrzebą méj duszy; czułbym się nieszczęśliwym, gdyby mi jéj zabrakło... Widzi Mama, jak ja się do niéj przywiązałem! A Mama mówi, że ja jéj nie kocham. Zaręczam Mamie, że to nie paradoks: czułbym nieprzezwyciężony *pociąg* do niéj, choćbym miał *wstręt* niezwalczony. Kochałbym ją, powtarzam to, choćby brzydką była jak noc, brzydką ciałem i duszą i szacunku mego niegodną, złą i głupią—byle mnie tak kochała jak mnie kocha... A taką przecież nie jest! Jest-to dziewczę jednostronnego wprawdzie, ale wysokiego zawsze wykształcenia; dobra i łagodna jak anioł, szacunek mam dla niéj wysoki, a brzydką jak noc nie jest. Nie powie nikt wprawdzie, aby była piękną, tem mniéj urodziwą; nie posiada ani klasycznych rysów, ani tego uroku młodości, którego w jéj wieku często i najbrzydszéj dziewczynie nie braknie. Ładną nikt jéj nie nazwie, chyba pochlebca, brzydką nazwie ją chyba ten, w kim serce śpi snem twardym, kto o piękności sądzi wedle matematycznych wymiarów rysunku, albo wedle odcieni karnacyi, jedném słowem: pedant-estetyk. Jest w niéj coś, co trudno słowem określić, a co człowiekowi wyższego umysłu nie dozwoli jéj nazwać brzydką. Powie Mama, że się nie potrzebuję wysilać na określenie tego tajemnego uroku, bo nie może być nim co innego, tylko piętno szlachetności w jéj całéj postaci, w jéj rysach, w wyrazie twarzy przynajmniéj. Otóż nie, szlachetności jéj serca, wyższego polotu jéj myśli nie odczyta z jéj twarzy, kto jéj nie zna bliżéj. Na pozór niby ona taka jak tysiące innych. A jednak jest coś w niéj, co nie dozwala od niéj oka oderwać, choćby się w gronie najpiękniejszych dziewcząt znalazła. Jest coś w wyrazie jéj twarzy tajemniczego, zagadkowego, sfinksowego, coś mistycznego — co, jak zaklęcie magnetyzera, wzrok nasz trzyma na uwięzi. Tak, ale magnetyzer zwycięża nas, przyciąga ku sobie ofiary swe, budząc w nich niewytłómaczoną sympatyę, któréj nie są w stanie się oprzéć, ona zaś sympatyi takiéj nie budzi ani postacią swą, ani swym głosem; owszem, są tacy, którzy mówią: ach, jakaż ona niemiła! jaki ma głos nieprzyjemny!... Może i jabym czasem to powiedział. Ona nie przyciąga ku sobie—w jéj całéj postaci nic nie ma coby przyciągało—ale ona... *czaruje*, prawdziwie, że czaruje! Gdybym był przesądnym, uwierzyłbym w czary. Piękności w niéj nie ma ani uroku—ale jest *czar* jakiś. Nie spieszno mi do niéj, gdy jéj nie widzę—nie tęsknię za nią, powiem szczerze: rad nawet jestem, gdy jestem od niéj zdala, ale gdy jestem przy niéj, czuję się pod władzą jakiegoś zaklęcia, jakiejś potęgi, z którą daremnie bym chciał walczyć. W stalaktytowéj jakiéj grocie lub

w głębiach kopalni oświecić ją ogniem bengalskim, a górnicy padną przed nią na kolana, jak przed królową podziemnych światów. Jakaś nie ziemska, ale pozaświatowa owiewa ją atmosfera; jakaś promienieje z jéj wątłéj postaci siła nieprzezwyciężona, która nie nęci, nie wabi, nie pociąga ku sobie, ale w całém znaczeniu tego słowa: *czaruje*. Czaru tego doznaję w coraz wyższym stopniu. Czy to miłość? ja nie wiem. Może to i miłość. Ale jeżeli to miłość—to dziwnie mi z nią. Raz w życiu się kochałem—było mi wtedy całkiem inaczéj: było mi wtedy tak, jak śpiewają poeci, jak czują wszyscy zakochani przyjaciele moi... Mnie teraz całkiem inaczéj. Tak mi jest, jakbym był chory na sercu, poezyi we mnie nie ma, prozą oddycha każda moja myśl, niezdolny jestem cieszyć się ani smucić, fantazya usnęła, zmysły nie grają, zimny jestem jak lód, sam sobie z własnego stanu zdać nie umiem sprawy: radbym Hieronimę pokochać tak, jak się zwykle kocha—albo ją znienawidziéć... a nie mogę ani jednego, ani drugiego; chciałbym być obojętnym—a i tego nie mogę. Dziwnie mi, bardzo dziwnie, ale to minąć musi. To jakieś przeobrażenie duszy, z którego odrodzona wskrześnie do nowego życia. Hieronimę postanowiłem pokochać sercem całém—i pokochać ją muszę. Ona warta tego.“

. . . .

— Czemuż nie czytasz Zosiu? — zapytała staruszka po dłuższéj pauzie.

— Pozwól mi pani odpocząć chwilkę—odrzekła Zosia przez łzy.

Obie zamilkły. Cisza była, słychać było tylko wicher szalejący na dworze i gwizdanie przeciągów w kominie i nad powałą.

Niepodsycany przygasał na kominku ogień.

Wreszcie odezwała się matka:

— Nie, on nie jest szczęśliwym!...

— Nie—powtórzyła Zosia, a głos jéj drżał od wzruszenia.

. . . .

„*28-go listopada*. Rozpisawszy się wczoraj o sobie, zapomniałem Mamie donieść, że Hieronimkę zastałem cierpiącą; przez czas kilkudniowego mego pobytu w Paprotce znowu była chorą, powiada, że jest zawsze chorą, jak mnie nie widzi. Trudno to przecież, abym wisiał przy niéj jak obraz na ścianie! Ile razy przy niéj jestem, patrzy ona w saméj rzeczy na mnie jak na obraz, jak święta Teresa na obraz Zbawiciela. Oka ze mnie nie spuszcza, jakby była w ekstazie, a gdy ja wdam się w rozmowę z jéj matką i przez chwil kilka nie spojrzę na nią, z bolesną skargą przywoływa mnie do porządku, takim żałosnym tonem, jakbym jéj największą wyrządził krzywdę. Tak przecież zawsze nie może być! Umarłbym pod wpływem takie-

go magnetyzmu. Nie uwierzy Mama, jak mnie to męczy. Moja Święta-Teresa powiada mi, że rozkosz zbawionych w Królestwie Niebieskiém na tém ma polegać, że będą Bogu twarz w twarz patrzéć przez wieczność całą—i że ona podobną żyje rozkoszą tu na ziemi, gdy jestem przy niéj, a chciałaby, aby to wieki trwało. Miałem ochotę jéj powiedzieć, że ja nie życzyłbym sobie tego, alem zamilkł: byłoby to jéj zanadto bolesne. Dziś ją trzeba oszczędzać; ona taka chora, taka nerwowa, taka mizerna! Kaszel jéj bardzo mi się nie podoba, a wzmógł się znacznie od czasu mego wyjazdu. Kiedyś, jak przyjdzie do sił i zdrowia, będzie ją można z téj nadmiernéj egzaltacyi wyleczyć, bo mnie to formalnie zamęcza. Takie mam uczucie pod wpływem tych jéj czarnych oczu wpatrzonych we mnie, jakby mi ona duszę wzrokiem wypijała. Nie zrozumie Mama tego wyrażenia, które się Mamie ekscentrycznem wyda, bo nigdy Mama czegoś podobnego w życiu nie doznała. Przesiedziawszy z nią cały wieczór, wychodzę z jakimś szczególnym zawrotem głowy, odurzony jakby po zażyciu haczyszu, tylko, że upojenie nie jest bynajmniéj tak rozkosznem, jakiego mają doznawać Arabi; chorym się czuję i roznerwowanym, jak nigdy nim nie bywałem w życiu. Któryś z poetów niemieckich, nie pomnę który, pisze o kochanku, który zrządzeniem niebios miał od urodzenia wyciśnięty na siatkówce oka wizerunek swojéj kochanki i gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział mglisty jéj obraz. Otóż ja teraz czegoś podobnego doznaję. Gdziekolwiek spojrzę i na jakikolwiek przedmiot, wszędzie widzę wpatrzone we mnie jéj źrenice. Widzę je w ciemnym pokoju, nawet gdy zamknę powieki; idąc ulicą widzę je w powietrzu zawieszone przedemną w téj odległości, z jakiéj ona zwykle na mnie patrzy. Czytałem dziś jakąś kartkę pogrzebową przylepioną na rogu kamienicy, z kartki téj patrzały na mnie oczy Hieronimki. Pisząc list ten, drgnie mi czasem ręka, gdy zamyśliwszy się o czem, nagle się ocknę ujrzawszy je pod ostrzem pióra na białéj ćwiartce papieru. Śmiać się muszę z mojéj chorobliwie podrażnionéj wyobraźni, wczoraj jedząc obiad obaczyłem je w filiżance bulionu, w naleśnikach z powidłami. Tak dłużéj nie może być. Zwaryowałbym, śmiejąc się sam z siebie. Jeżeli nie potrafię okiełznać rozbujałych nerwów, powiem jéj wprost, że mnie zabija tém magnetyzowaniem.“

„Jaś, skutkiem otrzymanego listu z Warszawy, musi przyspieszyć swój wyjazd. Tak mało korzystać mogłem z jego bytności.“

. . . .

„*29-go listopada.* Moje panie zastałem dziś smutne i spłakane, Hieronia miała spazmy. Zostały one ogromnie zaalarmowane listem,

który otrzymała pani Sarska od syna z Paryża. Była to odpowiedź na jéj list, którym mu doniosła o naszych zaręczynach. List swój wyprawiła do Nicei, gdzie p. Lucyan miał bawić przez zimę, ale go tam nie zastał. Gonił tedy za nim ów list po całych Włoszech i po Szwajcaryi, aż nareszcie z Vevey odesłano mu go do Paryża. Panicz raczył oświadczyć swéj matce wysokie swoje niezadowolenie. Listu jego nie chciano mi pokazać, ale domyślam się jego treści i tonu, z przytoczonych mi, najmniéj niby rażących ustępów. Daje on w liście tym swéj matce słowo honoru, że póki on żyje, jego siostra nie zrobi mezaliansu. Głupiec! Komu to sądzić o wartości ludzi i o mezaliansie, czy takiemu jak on młokosowi, który od lat dwóch wydostawszy się z pod kierunku guwernera, pędzi życie na próżniaczéj włóczędze zagranicą? Mezalians! tu jeszcze wielkie pytanie, kto się z nas dwóch mezaliansu dopuszcza. Ja na ołtarzu domowym składam skarby, których i za miliony nikt nie nabędzie, zdrów jestem i silny, a czuję w sobie dość zdolności i woli, aby pójść z losem w zapasy i wywalczyć sobie stanowisko zaszczytne, byt dostatni i zdobyć poważanie świata, którego p. Lucyan, mimo dziewięcioperłowéj korony, nigdy mieć nie będzie. A ona? Mnie nie potrzeba jéj tytułu i jéj milionowego majątku. Jabym wolał, aby mi przyniosła w posagu zdrowy umysł i zdrowe ciało i koligacyę z serdeczną jaką rodziną i nadzieję zdrowego potomstwa. Cóż ona mi z tego wszystkiego przynosi? Nic zgoła!... Nie zazdrościłem nigdy skarłowaciałym potomkom wielkich rodów. Zazdrości godnym wydał mi się raczéj zawsze *protoplasta* nowego rodu, pełnego młodzieńczéj siły i zasobów do walki. Marząc o ożenieniu od lat najmłodszych, jam marzył zawsze o poczciwém dziewczęciu—ot, takiém jak.....“

I zabrakło czytelniczce głosu. Żywym rumieńcem spłonęły jéj lica.

— Jak kto?

Zebrało się dziewczę na odwagę i czytało daléj:

.....„jak Zosia... zdrowém jak jabłuszko, świeżém jak kwiat, któreby mi dało synów, dzielnych duchem i ciałem. Jakąż biedna Hieronia obdarzyć mnie może dziatwą? Trumienki widzę przed sobą w marzeniu, gdy o tém pomyślę, i chérlaków podtrzymywanych sztuką lekarską przy życiu, którymby lepiéj było nie rodzić się wcale. Mrowie mnie przechodzi i pragnąłbym, abyśmy wcale nie mieli dzieci, poco nam tych obaw i pogrzebów i rozpaczy?“....

Nowa przerwa.

W téj ciszy wieczornéj nadsłuchiwała staruszka. U ślepych dusza cała w słuchu. Pochwycą oni tak drobne szmery i dźwięki

odróżnią tak nieznaczne głosu modulacye, że cudowną prawie się wydaje przenikliwość ich w téj mierze.

— Ty płaczesz Zosiu!—rzekła wzruszona.

— Nie pani!—i usuwając się do kolan staruszki, ucałowała jéj rękę.

Pogłaskała ją ślepa po twarzy, łzy uczuła na dłoni.

— Płaczesz! — i rozczulona obiema rękami objęła jéj główkę, przycisnęła do serca, okryła pocałunkami jéj czoło, jéj twarz i oczy, wilgotne od łez.

Z rozkoszą utulonego przez matkę dziecięcia dała się Zosia całować i pieścić. Napróżno starała się łzy powstrzymać, płynęły one ciągle nieprzerwaną strugą.

Dreszcz ją jakiś rozkoszny przebiegał od całusów téj ślepéj staruszki. Drżała w jéj ramionach, jakby w objęciu ukochanego. Serce biło głośném tętnem, rumieniła się naprzemian i bladła. Pocałunek matki tak na nią działał, jakby pocałunek syna.

Silniéj przycisnęła drżącą staruszka do łona i rzekła smutnie:

— Zosiu... ty go kochasz!

Głośne szlochanie dziewczyny było jéj odpowiedzią.

— Biedne dziecko!

A szlochając leżała w jéj ramionach dziewczyna. Nieme łzy matki padały dużemi kroplami na jéj głowę.

Ani słowa pociechy, ani słowa skargi.

Na co tu słów?

Wypłakała się dziewczyna, ukoiła ból w sercu, raz jeszcze ucałowała *jego* matkę, jakby matkę rodzoną i powstając rzekła smutnie, ale spokojnie:

— Będę czytać daléj.

Westchnęła staruszka.

— Czytaj, dziecko moje!

— „Samotność we dwoje, zapełniona ciągłém staraniem o jéj wątłe zdrowie, spędzona w chorobliwéj jakiejś miłosnéj ekstazie, somnambuliczna jakaś wędrówka po drodze żywota... jednostajna, smutna, nudna, jak podróż po Saharze... a przytém dostatki, bogactwo, znaczenie: oto co mnie czeka. Hieronima sypia do południa—ranki będzie można spędzić na pracy, a majątkiem podpierać w kraju wszystko co zacne: tyle dla mnie szczęścia i przyszłości.“

„Nie mam innych marzeń. Zerwałem z niemi i pogodziłem się z moim losem. Silny jestem i przygotowany na wszystko, co mnie czeka. Nie bój się Mateczko o mnie.“

„*30-go listopada.* Panie moje dziś spokojniejsze. Wyperswadowałem im, że ten fajerwerk słów w liście p. Lucyana jest tylko młodzieniaszkowatym fajerwerkiem i nic więcéj. Odważniéj oczekują

zapowiedzianego jego w tych dniach przyjazdu. Powiem mu słowa prawdy i sądzę, że zdołam go przywieść do opamiętania. Niepodobna przecież, aby mu zdrowie siostry całkiem obojętném być miało. A gdyby to wszystko nie pomogło, powiem mu po prostu: bądź pan zdrów, ja pana znać nie chcę i nie potrzebuję—a matka Hieroni dom przed nim zamknie, przyrzekła mi to. Odwiedzę także wszystkich krewnych Hieroni, aby wpłynęli z swéj strony na skapryszonego panicza. Byłem już u kilku i znalazłem wszędzie przyjęcie znacznie lepsze, niż się spodziewałem, znając ten świat salonowy. Niektórzy stanęli ze mną odrazu na stopie prawie tak przyjaznéj, jakbym już był członkiem rodziny. Najserdeczniéj przyjął mnie poczciwy p. Eugeniusz. U jednego tylko p. Jerzego szczególniejsze mnie spotkało zdarzenie. Jak Mateczce wiadomo, dawałem tam niegdyś lekcye literatury pannie Jadwidze; otóż będąc obecnie u p. Jerzego, zapytałem: kto ją teraz uczy. Nie mamy nikogo, odrzekł p. Jerzy, czy nie mógłbyś nam pan kogo polecić? — Siebie! odpowiedziałem, jeżeliście państwo byli z mych wykładów zadowoleni. — O tem pan nie możesz wątpić, córka nasza skorzystała nadzwyczaj wiele i nie może odżałować swego nauczyciela,—ale teraz nie śmielibyśmy pana trudzić.—Miléj-by mi było dawać lekcye w domu państwa, niż gdzieindziéj, a szukam właśnie lekcyi.—Państwo Jerzowie spojrzeli na mnie i na siebie z nieudaném zadziwieniem. Pan Jerzy się roześmiał: Pan żartujesz?—Bynajmniéj!—Przecież pan lekcyj teraz dawać niepotrzebujesz! zawołał.—Żeniąc się z naszą kuzynką! dodała pani Jerzowa.—Z czegóżbym żył? odpowiedziałem.—Pan Jerzy zrozumiał to jako delikatną z méj strony przymówkę o pożyczenie pieniędzy. Oczywiście nie przyjąłem propozycyi. Będę miał więc lekcye w ich domu—mam prócz tego jeszcze w dwóch innych domach—a to mi na teraz wystarczy... Ach, prawda! zapomniałem jeszcze o jednym szczególe charakterystycznym. Porozumiawszy się ze mną co do godzin, w których mam przychodzić, dodała pani Jerzowa: Ale pozwolisz pan, że my sami wyznaczymy honoraryum, dla tak znakomitego profesora.—Nie potrzebuję Mamę zapewniać, że oświadczyłem na to, iż większéj zapłaty od téj którą brałem, nie przyjmę.“

. . . .

„*1-go grudnia.* Nie miły miałem dziś dzień. Byłem w południe u Hieruni, zastałem ją kaszlącą więcéj, niż zwykle, roznerwowaną przytém w wysokim stopniu i tak osłabioną, że leżąc na sofie zaledwie mogła obrócić głowę ku mnie. Okna były nawpół przysłonięte, bo ją światło razi. A gorąco w pokoju piekielne, jak w łaźni parowéj. Patrzyła mi w oczy jak zwykle, ale powieki jéj się zamykały co chwila i wśród rozmowy—a raczéj słuchając mnie z natężoną

uwagą, zadrzémała. Wynieśliśmy się z jéj matką na palcach do drugiego pokoju. Przyszedł właśnie lekarz. Zapytałem go o Hierunię. Uspokoił mnie, że stan jéj nie jest jeszcze niebezpiecznym, ale dodał, że staćby nim się mógł nadzwyczaj łatwo. Każde większe wzruszenie mogłoby groźne sprowadzić następstwa. Zimę tę, wedle jego zdania, należało przepędzić we Włoszech, w obecnym jednak stanie jéj zdrowia, nie ma mowy, aby przed wiosną mogła wyjść z pokoju, a tembardziéj, aby można ją narazić na trudy tak dalekiéj podróży. Ślub nasz zatem odbędzie się w mieszkaniu. Hierunia wie już o tém i ciągle tylko marzy, jak salon przystroić na tę uroczystość. Pragnie, aby było tak świetnie, tak bogato, jakby ona królewną była a ja, co najmniéj, szachem perskim. Biedne dziewczę! jak mi jéj żal! Pytałem doktora, czy to dobrze, że w jéj pokoju tak gorąco. Zalecił to jak najmocniéj. Natomiast zganił, że story pospuszczane. Jéj potrzeba jaknajwięcéj światła, jak najwięcéj słońca, jak najwięcéj powietrza. Powiedziałem to Hieruni, gdy się przebudziła; w tym na wpół ciemnym pokoju nie spostrzegłem zrazu, wróciwszy do niéj, że płacze; płakała, bo otworzywszy oczy, nie ujrzała mnie siedzącego przy sobie na tém miejscu, gdzie siedziałem przy jéj zaśnięciu. Dłuższego czasu trzeba było, zanim się nieco uspokoiła po tak strasznem zmartwieniu.—Mnie razi to szkaradne słońce!—rzekła mi tym swoim żałośnym, złamanym, omdlewającym tonem głosu, który nigdy innéj nie przybiera modulacyi, jakby wieczysta skarga brzmiała w jéj ustach.—Szkaradne słońce!—powtórzyła kilkakrotnie. Jabym chciała, żeby było zawsze ciemno, całkiem ciemno na świecie i żebym tylko ciebie widziała.—Martwisz mnie, droga moja, rzekłem jéj. Czy sądzisz, że będę się czuł szczęśliwym, jak będę cię widział chorą? Tobie do zdrowia potrzeba słońca i powietrza.—Nie, nie, nie chcę słońca. Nie potrzeba mi powietrza; kiedyś ty przy mnie, to mi tak lekko oddychać, ja *tobą* oddycham. Tyś mojém słońcem, mojém powietrzem, mojém życiem!... Cóż jéj na to odpowiedzićć? Siedziałem przy niéj i patrzałem na nią, trzymając ją za rękę. Rączkę ma ładną, malutką, ale tak chudą jak ręka szkieletu. Ręka ciągle spocona, a wargi spalone od gorączki. To niedobrze.—Mówiłem do niéj zrazu o tém i o owém, opowiadałem co mi przyszło na myśl, starałem się ją rozweselić. Ale jéj nigdy niczém rozweselić nie można; rzadko kiedy zdarzyło mi się ją widziéć uśmiechniętą, śmiechu jéj nie słyszałem nigdy, chyba w napadzie spazmów śmiech z płaczem zmięszany. Dziwna istota, jakby nie z tego świata!—Spostrzegłem, że ją rozmowa męczy. Umilkłem zatém i siedzieliśmy tak, niemi, naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy może z godzinę. Ach, jak mnie to męczy! a stokroć bardziéj jeszcze w tém tropikal-

ném gorącu! Prawdziwe tortury, siedziéć w na wpół ciemnym pokoju, nic nie robić, nic nie mówić, patrzyć się w oczy i—pocić się jakby w piecu piekarskim. Nigdyby Mama nie zgadła, o czem wtedy myślałem. Starałem się odbiedz myślą daleko, daleko, bo gdy zwracam uwagę na te jéj czarne źrenice wpatrzone we mnie, to mi się głowa kręci. Nie wiem czemu, przypomniałem sobie dziecięce i studenckie moje lata, wakacye spędzane w Paprotce i dni najweselsze, gdyśmy pojechali do Suchorębu. Prawem jakiejś wyobraźniowéj antytezy, żywo stanęły mi w pamięci te jasne jak gwiazdeczki oczęta panny Zofii, to szczęście, które w nich promieniało. Ach Mateczko, to były najlepsze dni mego życia..."

— Zosiu! Zosiu!... i wyciągnęła staruszka ramiona ku swéj lektorce, czując w rzewnym jéj głosie ból, który jéj serce rozrywał.

Ale Zosia serce przycisnęła ręką, aby milczało i urywanym głosem czytała daléj. W oczach jéj ćmiły się litery, łzy rzęsistym deszczem padały na papier.

„...to były najlepsze dni mego życia, ich wspomnienie więcéj dla mnie warte od całéj mojéj przyszłości. W chłopięcéj naiwności ja wtedy myślałem... ale pocóż to dziś powtarzać! Zapomniałem wtedy, że Zosia bogata a mnie się o jéj rękę ubiegać nie wolno... Chciałem pracą wytrwałą dobić się stanowiska... ale to tak trudno! to tak wiele lat na to potrzeba.... a rok za rokiem ulatał. I przyszedł rok bieżący i przyniósł mi los, którego mi świat zazdrości, przyniósł mi szczęście — czarne szczęście... w czarnych oczach Hieruni... Głos jéj drżący, niemiły, ocucił mnie z marzenia.—Czy ty wierzysz temu, mój drogi, że jabym bez ciebie umarła?...—Wierzę! odrzekłem.—Oh, jabym nietylko umarła... i urwała myśl zaczętą. Po dłuższém milczeniu dodała: nietylko umarłabym dla ziemi... ale i dusza moja bez twéj miłości zagasłaby na wieki, rozwiałaby się jak mgła... w nicość... w nicość... Jak mnie ona kocha, nieszczęśliwa!..."

„*2-go grudnia.* Rozpisałem się wczoraj o Zosi. O Mateczko, niech ona nigdy się o tém nie dowie, żem ja ją tak kochał... ale pocóż mam kłamać? pocóż mówię, żem *kochał*, kiedy kocham szalenie... pierwszą i ostatnią miłością. Nigdy tego tak silnie nie czułem, nie pojmowałem tak jasno, jak przy Hieruni. Ilem razy przy niéj, to na myśl ciągle przychodzi mi Zosia!..."

— O pani, pani!... jaka ja nieszczęśliwa!

— Dziecko moje!—i przycisnęła ją do serca staruszka, ocierając łzy z jéj oczu.

Przycisnęła Zosia do swych ust różanych ten list, te wyrazy beznadziejnéj miłości, i czytała daléj:

„...Z myślą o niéj usnąłem. Śniła mi się. Widziałem ją we śnie—ale jak? Widziałem ją leżącą na katafalku... Sen mara... To nie sen, to prawda, ona dla mnie umarła..."

„Rano odbyłem moje lekcye a dzień cały, prawie aż do północy, spędziłem przy Hieruni. Odsłonięto dziś story, znacznie jéj lepiéj, ale znowu zmieniła się na niekorzyść. W półcieniu i przy świetle wieczorném wydaje się ona najlepiéj. Ona ma słuszność, że słońca nie lubi. Przypatrywałem się dziś jéj fotografii, robionéj przed trzema miesiącami, jakaż to różnica olbrzymia! Na fotografii każdy wygląda starszym, a ona na téj fotografii o lat kilka młodszą się wydaje. Wówczas była prawie przystojną w porównaniu z tém, co dzisiaj. Okrutnie jestem znużony, niepodobna mi dziś z Tobą dłużéj rozmawiać, Mateczko moja."

. . . .

„*3-go grudnia.* Pani Sarska wypytywała mnie dziś szczegółowo o moją rodzinę. Z treści jéj pytań domyślać się muszę jakichś plotek—prawdopodobnie o ciotce Malwinie, jéj mężu i dzieciach. Oświadczyłem jéj wyraźnie, że cała rodzina moja, to Ty Mateczko, którą Hierunia winna czcić i kochać jak matkę swą własną. A co do ciotki, powiedziałem, że bynajmniéj nie uważam za obowiązek méj przyszłéj żony uważanie jéj za krewną, a tém mniéj jéj dzieci, z któremi stosunki moje są bardzo oziębłe. — Hierunia wybiera się pisać do Ciebie z prośbą o błogosławieństwo, ale jéj to z wielką przychodzi trudnością. W tych dniach uczynić tego nie będzie mogła. Jest jeszcze zanadto osłabioną. Ale powinna to była już dawniéj uczynić. Kilka razy zadała mi pytanie, na co się zda, aby pisała do Ciebie, skoro Ty listu jéj sama czytać nie będziesz.—Napisz ty za mnie, powtarzała, ty lepiéj napiszesz.—Nie mogę, moja droga, odrzekłem, trzeba aby to były twoje własne wyrazy, twoje własne myśli i uczucia.—Drogi mój! ja nie mam żadnych myśli prócz ciebie! całe moje uczucie, to tylko ty. — A więc Hieruniu, napisz *to* właśnie matce mojéj. Nic milszego powiedziéć jéj nie zdołasz.—Och, jak ty ciężkiéj odemnie wymagasz rzeczy!... I zalała się łzami. Niech jéj Mama tego nie ma za złe: ona chora.—Widzi Mama, jak ja jestem szczery, wszystko piszę."

„*4-go grudnia.* Hieronima zasiadła dziś do swéj fisharmoniki i zaczęła grać. Zdaje mi się, żem Mameczce mówił, że gra bardzo biegle i z wielkiem czuciem na tym instrumencie. Po kilku akordach słabo jéj się jednak zrobiło i zemdlała. Przyszedłszy do siebie, zaczęła spazmować. Spazmy ustały, teraz niesłychanie osłabiona i kaszle znowu gwałtowniéj. Siedziałem tam do późna. Już koło 1-széj w nocy. Kończę, bo rano mi wstać wypada, aby się do jutrzejszych wykładów przygotować."

„*5-go grudnia.* Panie moje dowiedziały się, nie wiem już od kogo, że ja daję lekcye w mieście, tak jak dawniéj. Pani Sarska była tém niesłychanie zgorszoną i oburzoną, że narzeczony jéj córki *zarobkuje.* Hierunia płakała z innego powodu, nie dla dumy obrażonéj, ale czuła się najboleśniéj tém dotkniętą, że nie zażądałem od niéj pieniędzy potrzebnych mi na utrzymanie, lecz własną zarabiam je pracą. Poczytała to za dowód, żem się nie zespolił z nią jeszcze takiém uczuciem, aby wszystko co posiada, uważać za wspólne— a raczéj ją samą z całym jéj majątkiem za moją własność, którą do woli rozporządzać mogę. Musiałem wielką przetrwać nawałnicę łez i próśb i wyrzutów i zaklęć. Obie chciały mi opakować pulares banknotami. Oczywiście nic nie przyjąłem. Hieruni udało mi się w końcu wytłómaczyć, że *świętość* miłości naszéj, że godność moja osobista wymaga, abym aż do naszego ślubu nie tknął jéj majątku. Powiedziałem jéj, żebym się czuł nieszczęśliwym, gdyby mnie do tego zmusiła, że wtedy nie byłbym w stanie tak ją kochać, jak ją kocham teraz. I uległa. Z hrabiną trudniejsza była przeprawa. Opór mój nazywa uporem i zdaje jéj się, że wyrządzam tém *zarobkowaniem* krzywdę jéj domowi i nazwisku. Wszak niktby o tém nie potrzebował wiedziéć, rzekła w końcu, żeś pan wziął odemnie pieniądze, które za dni niewiele staną się twoją własnością.—Ja sam wiedziałbym o tém, odparłem, a to dosyć. Upokorzałoby mnie to, a ja upokorzenia nie znoszę. Masz pani swoją dumę, ja mam moją.—Oh, czyż ja nie ugięłam dumy mojéj wobec pana, zawołała, błagając go, abyś moją córkę poślubił! ileż ja upokorzenia już znoszę!...“

„*6-go grudnia.* Przekonałem się, Mameczko, że oprócz powodów wczoraj wymienionych, Hierunia dla innéj jeszcze przyczyny tak boleje nad tém, że nie przestałem dawać lekcyi. Zazdrość! Nigdy nie przypuszczałem, żeby ona była zazdrosną. Przez jakąż szczegółową dziś przechodziłem indagacyę!... Cóżby to się działo z biedaczką, gdyby czytała ustęp w liście moim do Mameczki, gdzie się rozpisałem o pannie Zofii. Nie wie ona, o kogo mogłaby być zazdrosną. Pragnęłaby zażegnać niebezpieczeństwa, jakieby mogły grozić jéj miłości... napróżno się szamoce. Jam je sam już zażegnał, i sam sobie ślubował, że się jéj oddam na ofiarę. Będę sobie wiernym. Miłości jéj nic nie grozi. Może być spokojną. Nikt jéj puharu z rąk nie wytrąci: wypije z niego duszę moją i moje życie do ostatniéj kropli aż do dna...“

. . . .

„*8-go grudnia.* Nie pisałem wczoraj do Mateczki. Zanadto byłem zirytowany tém, co się działo, a właściwie tém, iż widząc, że się coś niezwykłego dzieje, nie wiedziałem, co się to dzieje. Oto tak:

wczoraj w południe poszedłem jak zwykle do Hieruni. Lokaj zatrzymał mnie w przedpokoju i oświadczył, że pani hrabina prosi, abym nie szedł do panny hrabianki, tylko do małego saloniku po drugiéj stronie, bo chce ze mną wprzódy pomówić. Za chwilę przyszła hrabina, widocznie wielce zalterowana, i powiedziała mi, że Hierunia od rana ma prawie nieustanne spazmy a obecnie usnęła. Dodała, że doktór surowo nakazał, aby z nią teraz nie rozmawiać i aby jéj nie rozbudzać z tego stanu moralnéj prostracyi, w jakim się w téj chwili znajduje. Obecność moja mogłaby szkodliwie bardzo na nią podziałać. Prosi mnie zatém, abym przyszedł dopiero wieczorem—i to aż po ósméj. Zachowanie się pani Sarskiéj było przytém niby to przyjazne jak zwykle, ale zaambarasowania swego ukryć nie mogła. Czułem, że coś zaszło niezwykłego."

„Przyszedłem po ósméj. Hierunia przyjęła mnie tak gorącém powitaniem, z tak serdecznėm rozrzewnieniem ukojonéj mojem przybyciem tęsknoty, jak może nigdy jeszcze. Aż jéj pięknie z tém było, tyle było prawdy w tém wylaniu wezbranego uczucia. Niesłychanie była mizerną, widocznie spłakaną. Ręce jéj nie drżały, ale drgały od czasu do czasu tajemnem wstrząśnieniem. Z początku mówiliśmy bardzo mało, patrząc tylko na siebie jak zwykle i ściskając się za ręce. Potém uspokoiła się nieco i zażądała wody z sokiem malinowym. Gdy jéj przyniesiono ten specyał ulubiony, uparła się, abyśmy oboje z jednéj pili szklanki. Orzeźwił ją ten napój, jakby kordyał jaki, uśmiechała się melancholijnie i stała się rozmowniejszą. Ten głos jéj złamany, jakby omdlewający, ta monotonna, przeciągła modulacya żałosnéj skargi nabierała chwilami niezwykłéj jakiejś siły, wyrazu i uczucia. Ta jéj postać nieświecka, w półcieniu przyćmionéj umbrelką lampy, nabierała dziwnego jakiegoś czaru poezyi i piękna. Mówiła bardzo pomału, jakby ją to wiele kosztowało wysilenia. W długich przerwach padały wyrazy.—Czy myślisz, mój jedyny, rzekła mi, że ja pragnę życia?... Życia? o nie!... Ja tylko miłości twéj pragnę!—A więc żyj, najdroższa, i kochaj mnie.—Cóż życie warte? żyć, to tyle co cierpiéć. Życie, to męka nieznośna... Drogi mój, jabym cię mogła kochać—umarła. O jakżebym ja cię wtedy kochała!... Tak krótko codzień jesteśmy razem. Wtedy byłabym z tobą zawsze. Na ramieniu nosiłbyś mnie, jak ptaszynę. A ciąglebym w twe oczy patrzyła tak—tak jak w téj chwili... Och, gdybym ja umarła! gdybym ja umrzéć mogła!... Jakżebym była szczęśliwą!—Nie mów tego, Hieruniu, rzekłem: czyż teraz szczęśliwą nie jesteś? chciałabyś mnie opuścić?—O, tybyś był wtedy szczęśliwym, gdybyś mnie umarłą kochał... Niktby ci wtedy nie pozazdrościł szczęścia!... Oh, ty niewiesz, jam się wplotła w jasną przędzę twego życia, jak czarna nić...

o jakżebym pragnęła umrzéć!—Hieruniu, zkądże ci dziś te myśli o śmierci? tobie się życie uśmiecha!—O nie, nie, luby mój! ja od dawna już o niczém nie marzę, tylko o śmierci. Jam ci tego mówić nie chciała, aby cię nie zasmucić. Ale dziś, dziś, to tak jej pragnę namiętnie... namiętnie... jak ciebie mój luby, jak twojego kochania. Ja was oboje kocham jednako! o tak!... namiętném pragnieniem twoją zdobyłam miłość... ja i śmierć tak zdobędę!"

„Dziwnie przykre na mnie wywarł wrażenie ten chorobliwy nastrój jéj myśli. Nadaremne były wszelkie moje usiłowania, aby zmienić przedmiot rozmowy. Pochwyciła mnie żywiéj za ręce:— Ale ty mnie będziesz kochał wiecznie, żywą i umarłą? Przysięgnij mi, przysięgnij, że do grobu kochać będziesz mnie jedną... i po za grób! —Moja droga: kto kocha, ten wierzy; gdzie miłość nie wiąże, tamby nie związała przysięga. Podniosła moją rękę do swych ust i namiętnemi okryła ją pocałunkami.—Wiesz luby, rzekła mi pochwili tych szczególnych pieszczot, którym się oprzeć nie mogłem, wiesz luby, jabym tak mogła umrzéć lekko, rozkosznie... tak niewiele potrzeba abym umarła... abym umarła i zamieszkała w twém sercu na zawsze! Kiedy mówię do ciebie, to dusza moja wyrywa się z serca i jest wtedy, wiesz gdzie?... Przerwała i lekkim rumieńcem powlokły się jéj lica:—wiesz gdzie?... tu, na ustach moich!... Weź ją! weź!—i kładąc mi głowę na piersi, przechyliła ku mnie swe usta. Gorący jéj oddech owionął mnie, krew mi uderzyła do głowy, niby odurzenie, niby dreszcz, dziwnego coś uczułem: spojrzałem na nią i pocałowałem ją w czoło."

„Usta!—powtarzała, usta!—Nie, moja droga, rzekłem podnosząc jéj głowę i klęknąwszy przed nią, całowałem jéj ręce: nie, nie wolno mi dotknąć ust twoich dzisiaj! rozgorączkowaną chorobliwie masz wyobraźnię. Ja pragnę, aby mój pierwszy pocałunek życie wlał w ciebie, a ty go pragniesz jak pocałunku śmierci. Bądź zdrowa. Czarujesz mnie, szał mnie ogarnia, jak cię słyszę tak mówiącą, i w końcu sambym gotów śmierci zapragnąć."

„Tak się skończył dzień wczorajszy. Dzisiaj znowu powtórzyło się coś podobnego. Gdy przyszedłem w południe, nie puszczono mnie do Hieruni z takich samych, niby jak wczoraj powodów. Wyszła do mnie hrabina, drżąca od wzruszenia, którego przyczyny nie chciała mi odsłonić. Natomiast, po dłuższych preliminaryach, że jako kobiéta nie może sobie dać rady w interesach majątkowych itp., wystąpiła z prośbą, abym dla załatwienia jakichś nadzwyczaj ważnych a naglących spraw wyjechał dziś wieczór do jéj dóbr na Ukrainę, do nikogo bowiem nie ma zaufania, tylko do mnie, i nikomu innemu powierzyć ich nie może, tylko swemu przyszłemu zięciowi. Zadziwiło

mnie trochę to żądanie, wiedząc jak szkodliwie na zdrowie Hieronimy wpływa moja nieobecność, o czem mi zresztą sama hrabina tyle razy mówiła. Wszak, gdym na dwa dni do Ciebie Mateczko wyjeżdżał, miała mi to za złe. Wypytałem ją jednak o te tak ważne i niecierpiące zwłoki interesa. Odpowiedź jéj była tak ogólnikową, interes, o ile mi w jaśniejszéj przedstawiał się formie, tak mi się wydał błahym, że uważałem za rzecz najodpowiedniejszą powiedziéć jéj, iż jako kobiéta nie jest obeznaną z tego rodzaju sprawami, alarmuje się więc niepotrzebnie i myli się, poczytując przedstawiony mi interes za rzecz naglącą. Odmówiłem stanowczo podjąć się teraz załatwienia tegoż. Zdrowie Hieruni wymaga,—dodałem w końcu, abym tu pozostał, a to dla mnie wzgląd najważniejszy. Próbowała nalegać, przekonała się jednak z widocznėm zmartwieniem, że to nadaremne.“

„Wieczorem widziałem Hierunię. Znowu zapłakana, roznerwowana, cierpiąca. Kaszel jéj wzmógł się bardzo od dwóch dni. Nie chciała mi wyznać powodów swego zmartwienia, łzy nieustannie spływały jéj po twarzy. Milczała prawie przez cały wieczór. Powiedziała mi tylko z wyrzutem: Nie chciałeś spełnić maminéj prośby! źle zrobiłeś! Mnie smutno bez ciebie, jakby mi kto pół serca zabrał, ale byłabym spokojniejszą...—Czemuż cię niepokoi *moja obecność*? zapytałem. Nie próbowała wmawiać we mnie, że ją owe kłopotliwe interesa niepokoją. Spojrzała tylko zwykłem powłóczystem spojrzeniem i rzekła: Ja sama nie wiem czemu. Radabym, abyś tu teraz nie był i zjawił się dopiéro w dzień naszego ślubu... Jedź mój drogi, jedź do matki twojéj!... Czemu? jak? dlaczego? nie mogłem się dowiedziéć... Dowiedziałem się dopiéro i wyjaśniło mi się wszystko, gdym ją pożegnał.“

„Wracając do mego mieszkania, spotkałem na ulicy poczciwego p. Eugeniusza, prawdziwą perłę całéj rodziny Sarskich.—Czy widziałeś Lucyana? zapytał. —Nie; czy przyjechał? —Od dwóch dni. Ale to czysty waryat! zawołał. Nic nie wiesz?... Chyba nie byłeś u narzeczonéj?—Owszem, ztamtąd wracam.—Aaaa, *serdeńko*, to ci nie powiedziały, że on przyjechał!... Ale nie obawiaj się, kochany. Wszystko się to ułoży. Ten waryat utrzymuje, że ci dom wymówiono, że wszystko zerwane... Nie mogę ci na ulicy wszystkiego opowiedziéć, serdeńko. Przyjdź do mnie jutro wieczór; wiesz, jutro przyjmuję. Oczywiście, sami będą mężczyźni, jak zwykle.“

. . . .

„*11-go grudnia*. Trzy dni nie pisałem do Mateczki. Powiedziała mi raz Mama, że listy moje powinny być wiernėm źwierciadłem mojéj duszy. Od tego czasu, ile razy się zabieram pisać do Mamy i uj-

rzę przed sobą białą ćwiartkę papieru, wyobrażam sobie, że to źwierciadło, w którém się twarz moja źwierciedli i fotografuje zarazem. Otóż przez te trzy dni ubiegłe, bałem się pisać do mateczki, wstyd mi było fotografować się w tém usposobieniu, w jakiem byłem... *w tych usposobieniach*, powinienem raczéj powiedzieć. Nie chciałem, aby z wyrazów listu mego przeglądały na przemian wszystkie miny i grymasy gniewu, znudzenia, znużenia, złości, oburzenia, zniechęcenia, wściekłości... a najniewątpliwiéj wszystkieby się tam były znalazły. Dziś, gdy już burza minęła a dramat przygotowany przez p. Lucyana zakończył się komedyą, przystępuję do sprawozdania. Jak po zwycięzkiéj kampanii, humor miałbym wyborny, psuje mi go tylko stan zdrowia Hieruni, która znowu ma się gorzéj: kaszle, na chustce nawet krew się pokazała, a wieczorami miewa silną gorączkę, w któréj fantazyuje nieustannie i mówi prawie od rzeczy. Lekarze nie widzą w tém jednak jeszcze zbyt groźnych symptomatów."

„Ale wracam do sprawozdania. Otóż nazajutrz po ostatnim ustępie mego listu, rano, raniutko, zanim wyszedłem na lekcye z domu, puka ktoś do drzwi i wchodzi żyd faktor, znana w naszém mieście figura, z którą jednak żadnych dotąd nie miałem stosunków. —A! pan Herszko! z czem pan do mnie przychodzi? A Herszko zaczyna, jak każdy faktor, ni w pięć ni w dziewięć, od Adama i Ewy, że znał mego ojca, że mnie bardzo szacuje, że wie jaki ja uczony człowiek, ts! ts! że drugiego takiego niema w całém mieście i w całéj Galicyi, że jabym mógł zostać ministrem, że się dziwi czemu ja się o poselstwo nie ubiegam... Ale czegóż pan chcesz, panie Herszko? A on znowu pyta, czy mama zdrowa i czy jest na wsi, czy się mama bardzo ucieszyła, jak się dowiedziała, że ja się mam żenić z taką bogatą panną, bo on się tém bardzo ucieszył i bardzoby chciał, żeby ja się na prawdę ożenił... Ale do kroćset, panie Herszko, ja nie mam czasu: albo pan powiedz, co pana do mnie sprowadza, albo się wynoś!—Nu, ja zaraz powiem: ja chciał dobry interes proponować.—Aa, dziękuję; zapewne chcesz mi pan ułatwić pożyczkę? bardzo dziękuję i wielce mi żal, ale na teraz nie potrzebuję.—Nu, ja wiem, że pan nie potrzebuje, na coby potrzebował taki bogaty pan, co się ma z panną Sarską żenić; ja przyszedłem proponować panu inny interes: czysty zarobek *pięćdziesiąt tysiąców*.—Cóż to za interes? zapytałem śmiejąc się: ja się nie wdaję w spekulacye. —Nu, to nie żadna *szpekulacya*! —A cóż takiego? To już chyba nie czysta jakaś sprawa, kiedy taki zysk ma przynieść. Strzeż się pan proponować mi jakąś brudną szacherkę; mógłbyś ze schodów zlecić.—Na co ja mam zlecić? to czysta sprawa, tu nie ma nic brudnego! Podpisze pan rewers, że pan

się zgadza, żeby wziąć pięćdziesiąt *tysiąców* za dwa lata i pojedzie pan i weźmie pan, a przez ten czas będzie pan brać po tysiąc guldenów na miesiąc, a resztę za dwa lata!—Nic nie rozumiem, panie Herszko! —Nu, naco pan ma rozumieć! Niech pan pójdzie do adwokata i niech pan podpisze... nu, a mnie faktornego ile pan da? choć z pięć tysiąców za taki *fajny* interes!—Ale dokądże ja mam pojechać po te pieniądze?—Do Chicago, do Ameryki!—Jakto? do Chicago? za dwa lata?—*Ni!* teraz zaraz! i tam pan *będzie zostać*. Tysiąc guldenów na miesiąc będzie pan brać pensyi... ale w Chicago!—Cóż to, nie wiesz głupcze, że ja się mam żenić?—*Ny*, to się pan potém ożeni!—Chwyciłem żyda za gardło: Gadaj łotrze, kto cię tu przysłał!—Ny, czego mnie pan dusi!... nu, jeden pan!—Co za pan?—*Aj waj*! czego się pan gniewa? czy to zły interes?—Kto cię przysłał żydzie?—Nu, *sześćdziesiąt* tysiąców!—Gadaj zaraz!—*Gewalt!* niech mnie pan nie dusi! jeden pan, nu! pan Sarski!—Który Sarski?—Nu, co ja winien, że mnie pan tak trzęsie: pan Lucyan!... Otworzyłem drzwi a pochwyciwszy żyda za kołnierz wyprosiłem go grzecznie z pokoju... Ale zaledwie drzwi zatrzasnąłem, głowa Herszka pokazała się w nich znowu: *Ośmdziesiąt* tysiąców!—Byłem wściekły: chwyciłem laskę do ręki i wybiegłem do sieni. Żyd zmykał szybko po schodach, ale w połowie piętra zatrzymał się jeszcze raz i zawołał rozpaczliwym głosem: *Sto* tysiąców! więcéj nie mogę! *auf meine munes!* jak Boga kocham! niech pan bierze!..... Tak się skończył Mateczko pierwszy akt komedyi.“

„Postanowiłem nie wspominać nic moim paniom ani o tém zajściu, ani w ogóle o tém, że mi wiadomą jest bytność Lucyana. Matka Hieruni z nową wystąpiła prośbą: Familia krzywi się na nas, rzekła ona—że nikogo nie przyjmujemy teraz oprócz pana, a osądź pan sam, czy to podobne; Hierunię takby te wizyty męczyły! Ale zrób mi pan tę łaskę i gdyby pana w tych dniach kto zapytał, czy byłeś u nas powiedz, że nie. Łatwo mi było domyśléć się z tego żądania całéj taktyki postępowania hrabiny wobec syna. To nie on zmyślił przed Eugeniuszem, że mi dom wymówiono, ale matka mu tak powiedziała, aby zapobiedz jakiejś awanturze z jego strony i uchronić siebie i Hierunię od jego wybuchów. Musiał się tém zaspokoić nieco, bo i one były spokojniejsze.“

„W ciągu dnia w kilku miejscach zdarzyło mi się spotkać z ironicznemi uśmiechami i dwuznacznemi zapytaniami, których właściwe znaczenie dobrze zrozumiałem: pogłoska o zerwaniu mego związku z Hierunią widocznie musiała się już rozejść po mieście. Felunio, obaczywszy mnie na ulicy, przybiegł do mnie z rozpromienioną twarzą i wprost mnie zapytał, czy to prawda, że wszystko zerwane.—Któż ci to mówił? zapytałem.—Tak mówią w mieście, to *dy-*

żurna nowela (1).—Aa, czy tak! powiedz-że im, że ani mi przez myśl nie przeszło zrywać.—Tak! ale hrabina? podobno dom ci wymówiono? opowiadają, że ci drzwi pokazała.—Kłamstwo!—Ah, to się bardzo cieszę. Winszuję ci! —rzekł spuszczając nos na kwintę. I dodał: A o mnie to wszystko prawda, co opowiadają! —Nic nie słyszałem. Cóż takiego?— Dała mi kosza. Ale ja nie głupi, ja wiem dlaczego; ona się w kotlarczyku kocha.—Ha, może być. Bywaj zdrów. — Bądź zdrów. A wiesz, moja matka znowu bardzo chora; był u niéj dzisiaj ksiądz z panem Bogiem.“

„Po téj rozmowie z Feluniem, spotykając znajomych na ulicy i w miejscach publicznych śledziłem wyraz ich twarzy, sposób przywitania i zachowania się w obec mnie. Przyszedłem do wniosku, że wszyscy już muszą wiedziéć o rzekomém zerwaniu mojém z Hierunią, a raczéj o podobném obejściu się ze mną hrabiny, jak ja się z Herszkiem obszedłem. Irytowało mnie to w najwyższym stopniu i postanowiłem koniec temu położyć. Przywołałem dorożkę i przez kilka godzin jeździłem z wizytami. Byłem nawet w takich domach, gdzie nigdy przedtém mnie nie widziano. Wszędzie, gdzie mnie przyjęto, sam pierwszy zaczynałem dyskurs o mém zamierzoném małżeństwie i śmiejąc się opowiadałem o krążącéj po bruku miejskim pogłosce.“

„Na tém upłynął mi dzień. Wieczorem wytłómaczyłem się przed memi paniami, że jestem cierpiący i muszę się położyć, i poszedłem na tak zwaną *męzką herbatę* do hr. Eugeniusza.“

„Zastałem tam do dwudziestu mężczyzn, po większéj części należących do rodziny Sarskich, lub z nią spokrewnionych. Rozparty w fotelu, w nawpół leżącéj postawie obrócony ku drzwiom siedział jedyny nieznany mi z całego grona młody mężczyzna z *gukerem* w oku. Dość mi było spojrzéć na niego, aby domyśléć się, że to Lucyan. Smagły brunet, małego wzrostu, wątłéj budowy ciała, gładkiéj twarzy, bez śladu męzkiego zarostu. Żywy portret siostry! ta sama cera, czoło, nos, usta. Taki sam nieledwie wyraz twarzy. W oczach tylko pewna właściwa mu arrogancya, czy duma. Gospodarz przywitał mnie z przyjazną poufałością, uścisnąłem rękę kilku znajomym i zbliżyliśmy się ku kanapie. Wtedy p. Eugeniusz rzuciwszy okiem na Lucyana zawołał: A, prawda! nie znacie się jeszcze!— i wymienił nasze nazwiska.“

„Wtedy Lucyan, nieruszając się z miejsca i nie podając mi ręki, zmierzył mnie od stóp do głowy i zapytał z arystokratycznym spokojem: Czy to pan głosisz, jakobyś był narzeczonym mojéj sio-

---

1) *Nouvelle du jour.*

stry?—Nie potrzebuję tego głosić, odrzekłem, bo o tém wszyscy wiedzą.—Ale to nie prawda: panu matka moja dom wymówiła. Roześmiałem się w głos: Wracam ztamtąd—i odwróciłem się w inną stronę, chcąc zakończyć tę szczególną rozmowę. Pan Lucyan stracił zimną krew, którą chciał mi imponować. Zerwał się z fotelu na równe nogi:—Kłamstwo, ja na ten związek nigdy nie zezwolę!—To mi zupełnie obojętne! odparłem z przyciskiem. Przyskoczył do mnie jak kot podrażniony: Czy i to panu obojętne? i podniósłszy rękę, chciał mnie w twarz uderzyć..."

„Pochwyciłem w powietrzu jego drobną piąstkę, drugą ręką ująłem drugą, przycisnąłem mu je obie silnie do piersi i posadziłem go w fotelu. Wszystko to się stało w jedném mgnieniu oka.—Młokosie! rzekłem, trzymając go w téj uwięzi."

„Czy Mama pamięta, jak ja włoskie orzechy rozgniatałem w pięści? jak one trzeszczały w méj dłoni i jak wyglądały, kiedym dłoń roztworzył? Coś podobnego dziać się musiało z rączkami pana Lucyana. Syknął przeraźliwie z bólu, twarz mu się skrzywiła, jakby na nim spróbowano średniowiecznéj tortury, oczy mu na wierzch wylazły. Wybełkotał jakiś frazes niezrozumiały, z którego tylko dosłyszéć można było jeden głośniejszy wyraz: *satysfakcya*."

„Satysfakcyi? rzekłem, a palce jego trzeszczały w mych dłoniach, ja już ją sobie wymierzyłem! A jeźli ci się pojedynku zachciewa, to mnie do niego nie zmusisz, nawet obelgą! Z bratem mojéj przyszłéj żony ja się strzelać nie będę, bo czybyś ty zginął, czy ja, to onaby umarła..."

„Zwolniłem nieco tortury, a on ostatnim wysiłkiem zachrypiał przez gardło: Wolę niech umrze!"

„Ale ja nie! Rozumiesz pan! Dałem mu raz jeszcze uczuć całą moją siłę i wypuściłem z mych kleszczy. Oczy łzami mu zaszły z bólu, twarz skrzywiona okropnie, ręce owisły bezwładne. Powstał, zrobił parę kroków: Słabo mi! rzekł i omdlał. Pochwycono go w ramiona, wyniesiono do sypialni p. Eugeniusza i złożono na łóżku. A ja obróciłem się do obecnych, którzy jako niemi świadkowie przypatrywali się téj scenie i niewidząc zapasów między nami, nie czuli potrzeby rozdzielenia zapaśników:—Jeźliby kto z panów mniemał, że nie postąpiłem w sposób honorowy, to mu służę! i spojrzałem po wszystkich twarzach. Nikt się nie odezwał, wszyscy zdawali się pochwalać moje postępowanie. Na jednéj tylko twarzy p. Wiktora błąkał się ironiczny uśmiech.—Czy pan może innego jesteś zdania? zapytałem. Zczerwienił się młodzieniec i rzekł: Bynajmniéj! postąpiłeś pan, jak honor i uczucie pańskie nakazywało, ale po tém co zaszło, wy-

maga honor, jak sądzę, abyś się pan teraz sam zrzekł małżeństwa z moją kuzynką!“

„Mój honor wymaga, (odrzekłem szorstko), abym nie łamał słowa danego pannie Hieronimie, dla tego młodzieńczego wybryku, którego jéj brat się dopuścił. Zdaje mi się, że mogę panów wszystkich uważać za członków rodziny mojéj narzeczonéj, a przynajmniéj za przyjaciół rodziny: proszę was zatém i spodziewam się, że zechcecie zatrzymać w tajemnicy to przykre zajście, któreby mogło ubliżać honorowi pana Lucyana. Dbam o jego honor, bo to mój przyszły szwagier!“

„P. Eugeniusz objął mnie w ramiona i ucałował: Zacny, kochany! szlachetnie sobie postąpiłeś, a za to coś teraz powiedział, serdeńko, to i wróg twój uszanowaćby cię musiał! Przepraszam cię za tę przykrość, która cię spotkała w moim domu!“

„Kilku jeszcze obecnych wyciągnęło ku mnie ręce i jedni serdecznie, drudzy etykietalnie dłoń moją uścisnęli.“

„Wystąpił znowu p. Wiktor, prowadząc tym razem pod ramię p. Cypryana, swego ojca, siedmdziesięcioletniego zniedołężniałego starca, który się ledwie na nogach trzyma.—Zdaniem mego ojca, rzekł on, nie idzie tu o to, jakie ma być postępowanie p. Władysława. Nikt z nas nie powątpiewa, że potrafi on bronić swego honoru, ale dopóki nie jest członkiem naszéj rodziny, a nie jest nim jeszcze, dopóty nie mamy prawa przepisywać mu jego postępowania. Co innego Lucyan. On nosi nasze nazwisko i obowiązkiem jest naszym czuwać, aby na honorze nie poniósł szwanku. Lucyan jest najmłodszy z rodziny i niedoświadczony w tego rodzaju sprawach. Mój ojciec sądzi, że winniśmy się zebrać na radę familijną i wskazać mu, co mu teraz czynić wypada...“

„Tak! ja tak sądzę. To jest moje zdanie! — zawtórzył synowi p. Cypryan. A p. Wiktor dodał: Mój ojciec jako najstarszy z rodziny, prosi na jutro wszystkich obecnych tu, szanownych kuzynów do siebie, na godzinę pierwszą! — Tak! proszę na godzinę pierwszą! — potwierdził p Cypryan“.

„Nie widzę powodu tego zgromadzenia — rzekł p. Eugeniusz,— Lucyan serdeńko jest dzieciak i powinien przeprosić Władysława, mnie i nas wszystkich, i poprowadzić swą siostrę do ślubu. Nic mu innego uczynić nie pozostaje, jeśli ma uczucie honoru i serca kawałeczek“.

„Prosimy do siebie, jutro o pierwszéj! — rzekł pan Wiktor i wyprowadził swego ojca pod ramię!“

„Na tem skończyło się to całe zajście. Wróciwszy do domu, byłem jeszcze zanadto wzburzony, abym mógł był pisać do Ciebie,

Mateczko moja droga, i zdać Ci sprawę z takim spokojem, jak to obecnie uczyniłem. Chciałem zresztą doczekać się wprzódy rezultatu owéj narady familijnéj. — Ja tam pójdę (rzekł mi p. Eugeniusz), ale obaczysz, że się tam prawie nikt nie zejdzie: ludzie nie lubią parzyć sobie rąk, serdeńko! Wiktor, ba! Wiktor miał projekciki na Hierunię i to go korci, żeś mu ją zabrał z przed nosa. A Lucyanek! ho, ho, serdeńko, jemu się zdaje, że jego siostra ma suchoty, i o majątek mu idzie, bo swoją schedę już dobrze nadszarpał. Serdeńko, ja znam świat i ludzi! zjadłem zęby serdeńko!"

„Omylił się jednak pan Eugeniusz. Zgromadzenie wczorajsze było dość liczne. Okazało się, że w tym świecie dużo więcej ukrytéj było przeciw mnie zawiści, niżeśmy obaj sądzili. Wiktor, powołując się ciągle na swego ojca, był tego zdania, iż obowiązkiem jest wszystkich Sarskich stanąć w obronie honoru Lucyana i solidarnie zażądać odemnie, abym mu dał satysfakcyę z bronią w ręku. Poczciwy p. Eugeniusz oponował, i po zażartéj dyskusyi, wśród której stronnicy Wiktora zaczęli się jeden za drugim wymykać za drzwi, nakoniec przeprowadził swoje zdanie, aby, jeśli się to uda, sprowadzić nas obu razem i zniewolić do podania sobie ręki. Oprócz p. Wiktora i Cypryana, ostatecznie wszyscy się na to zgodzili.

„Tak tedy skończyła się burza, która zawisła była nad moją głową. Z wielkiej chmury mały deszcz. Wszyscy prawie członkowie rodziny Sarskich okazują mi jak największą uprzejmość. Wiktor mnie unika, a ci którzy z nim trzymają, są wprawdzie ze mną oziębli jak lód i sztywni, jakby każdy z nich drut połknął, ale ugrzecznieni nieledwie do przesady. Opowiadał mi Eugeniusz *Serdeńko*, nie mogąc się uspokoić ze śmiechu, jaką minę ma teraz Lucyan, *zdekontenansowaną*, jak się wyraził. Ręce mu opuchły i nie może jeszcze niemi władać, w jednym palcu lewej ręki podobno kostka przepękła na podłuż. Nie ochłonął on jednak i dotąd jeszcze z swojej wściekłości i zaklina się na swego prapradziada kasztelana, że mnie zmusi do pojedynku. — Ciekawym serdeńko, jakim sposobem? — pyta p. Eugeniusz: użył już środka najcięższego kalibru, bo publicznej obelgi, i odszedł ze wstydem. Już mu nic nie pozostaje, jak chyba zaprzyjaźnić się teraz z tobą albo wynosić się zagranicę".

„Kończę już, Mateczko droga, ten mój list a raczej pamiętnik z dwóch tygodni życia. Jutro rano list oddam na pocztę, a przed świętami znowu pisać będę. Nie niepokój się Mateczko o mnie i nie martw się moim losem. Ja się już z nim pogodziłem. Przyszłość moja nie całkiem może różowo wygląda, ale życie nawet najszczęśliwszych ludzi nie jest jednokolorowe, lecz z różnych łat złożone, jak szata arlekińska. Zdrów jestem, silny, pogodnego umysłu i odważnie w przyszłość

spoglądam. Z témi środkami i na tém stanowisku, które osiągnę zaślubiwszy Hierunię, będzie można coś zrobić na świecie i być szczęśliwym, czując, że się jest pożytecznym. Byle mi Hierunia zdrową była! Prawdziwie, ja się coraz bardziéj zaczynam przywiązywać do niéj! Stan obecny jéj niezdrowia bardzo mnie niepokoi: kaszel, gorączka, ciągłe omdlenia. Lekarz jednak zaręcza, że to minie".

„*12 go grudnia.* Idę na pocztę oddać list. Ręce Twoje całuję i nóżki Twoje, moja Ty najdroższa, najukochańsza Mateńko. Składam głowę na Twoich kolanach, a Ty mi czolo ucałuj. Kochanemu doktorowi dziękuję z całego serca za odczytanie Ci téj długiej epistoły. A tożto musial narzékać! Przywiozę mu za to ostatnie dzieło Darwina. — Bądź zdrowa Mateńko moja a kochaj Twego syna... *Władysław*".

„Przypisek. „Ciotka była umierającą. Od wczoraj ma się lepiéj, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. — Przed świętami list wyprawię, niechże Mateczka poszle Michała na pocztę"...

. . . .

— Jakiej daty jest ustęp ostatni? — zapytała matka po dłuższem milczeniu.

— Dwunastego grudnia.

— A dziś dwudziesty ósmy. To dwa tygodnie!... Nie napisał przed świętami... Zawsze przed świętami pisze. Czy się tam, co złego nie stało?

— Cóżby się stać mogło?.. zapytała Zosia i myśl jakaś nagle błysła jej w głowie. Zapromieniało w oczach dziwne światełko — niby radość. Ale spuściła wnet ku ziemi powieki, jakby się własnéj zawstydziła myśli. Zarumieniła się sama przed sobą,

— Może Hieronima ma się gorzej... wtrąciła staruszka.

— Jejmość! jejmość! ja już kolacyę przyniosę: już przecie czas! — zawołała Kachna otwierając drzwi. — A nakryć przy okrągłym stole, czy tam jejmości dać? Panienka jest, to lepiéj niech jejmość z panienką siada.. A panicz, co też tam pisze jejmości? czy tam także taki mróz?... A uciszyło się przecie na polu; wichru już niema, jakby się gdzie podział. Musieli ludzie wisielca odciąć. Oho, już mu to nie pomoże, już mu duszę... odpuść panie Boże... No, przynieść kolacyę? są piérogi ze sérem — takie jak panicz lubi... Ej, ej, mocny Boże, czemu to się panicz z panienką nie ożenił, tylko gdzieś żony szukał za światem, kiedy tu miał pod bokiem. Z miasta żonę brać, to nic warto!... Czy to nie lepiej żonę...

— Przynieśże Kachno piérogi! — przerwała jej staruszka.

X.

Bielutkie usłała Zosi Kachna łóżeczko w małym pokoiku gościnnym, zwanym „pokojem panicza“. On tam zawsze nocował, ile razy przyjechał do Paprotki.

Zimno tam było w tym pokoiku, bo nie był opalany codziennie, piec dymił, ale dla Zosi nocleg ten w pokoju ukochanego, utraconego na zawsze, wydał się prawie szczęściem.

Oglądnęła tę ubogą izdebkę z największą dokładnością, jakby jakie arcydzieło sztuki budowniczej; jakby w muzeum jakiém, zajrzała do każdego kącika, przypatrywała się tym ubogim meblom z plecionéj słomy, temu stolikowi z czarnémi plamami rozlanego niegdyś na nim atramentu. Tu przy tym stoliku on może nieraz pisywał, może dumał o niéj... może układał plany szczęśliwéj przyszłości!... Przed oczyma duszy widziała go wszędzie, jak tam był z nią razem w tej chwili i zwracał za nią jasne swe oczy, tak wymownie wyrażające spojrzeniem to wszystko... wszystko, co się mieściło w świeżo przeczytanym liście...

Ach, jak jéj smutno!...

Stanęła w framudze okna i długo marzyła, patrząc na te szyby mrozem skrysztalone, w których łamały się tak dziwacznie promienie księżyca: niby kwiaty, niby mchy, paprocie, a wszystko białe, zimne, brylantowe...

Nagle ujrzała na szybie wyrytą literę, *Z*!... Łzy jéj się z oczu puściły. Patrzała na nią, wodziła po każdéj kresce oczyma i zdawało jéj się, że z téj jednéj litery odczytuje całe dzieje swéj nieszczęśliwéj miłości i całe dzieje swego życia... Bo już to chyba skończyło się jéj życie! Cóż to za życie bez nadziei, bez przyszłości, bez niego!... On pisał, że mu się śniła leżąca na katafalku. To sen prawdziwy: ona istotnie umarła!...

Ułożyła się wreszcie w łóżeczku, główka jéj w puchowéj utonęła poduszce. — Ach, jak jéj strasznie smutno!... Na téj poduszce pod jéj głową, jego może nieraz spoczywała głowa... Zwilżyła ją łzami dziewczyna i tak, marząc i płacząc, usnęła.

Sen — sen jéj?...

O powieściopisarze, którzy pisząc o zakochanych, nigdy opisu ich snów czarownych lub złowróżbnych pominąć nie możecie!... zapominacie o tém, że młodzi i zdrowi nic nie śnią wcale. Otacza ich we śnie ta boska *Nirwana*, która wedle wiary Buddystów, najwyższą ma być mądrości i cnoty nagrodą, najszczytniejszym ducha ludzkiego

celem, który nam tysiącami żywotów i odrodzeń i tysiącami śmierci okupić trzeba.

Młodzi co nocy umierają: usypiają snem bez marzeń.

Takim snem usnęła Zosia.

Pani Anastazya długo usnąć nie mogła. Kazała Kachnie wygasić ogień w kominku i zdmuchnąć świecę, a sama dla uspokojenia zbyt rozbudzonych myśli, przechadzała się wzdłuż i wszerz pokoju. Przechadzała się z tą dziwną pewnością ślepców, którym w znaném im mieszkaniu nie zagraża nigdy niebezpieczeństwo upadku lub potrącenia się o jaki przedmiot.

Niekiédy tylko, przesuwając się cichemi kroki koło starożytnych, opylonych mebli, lekkiém ich dotknięciem prostowała swoją drogę: to stołu dotknęła krągłego, to sekretarzyka, to etażerki o szklanych taflach, napełnionéj pamiątkami, to szafki z zegarem.

...Przy tym stole *on* z nią niegdyś zasiadał do wieczerzy po pracy całodziennej — a na kolanach jego siedział mały Władzio i szczebiotał wesoło... I widziała oczyma pamięci ich dwóch, najdroższych jéj sercu, patrzących na siebie, uśmiechniętych do siebie. Ale jak fale jeziora poruszone od wiatru, *jemu* troska po trosce przesuwa się po czole... Głębokiém tém swojém, marzącém spojrzeniém na nią patrzy jéj ukochany, zdaje się czytać w jéj duszy i mówić: Nie smuć się, nie smuć, bo jeszczem ja za tobą. Cóż będzie, jak sama zostaniesz, sama... sama... A mały Władzio zsuwa mu się z kolan i obejmuje rączką tę harpię o wyzłacanych pazurach, podpierającą rzeźbioną podstawę stołu — i pyta, czy ona témi pazurami kaléczy.. Oh, kaléczy, kaléczy!

...I znowu biega rozswywolony chłopak po pokoju i co chwila pociąga figlarnie za sznurek zégaru a zégar tę samą ciągle bije godzinę... Spóźnia się zégar — rzekł ojciec i przesunął wskazówki. Ojcze, pyta mały, przypatrując się temu: ojcze, człowiek może miéć zawsze tę godzinę, którą zechce?... Nie, dziecko, jak godzina przeminie, to już nigdy nie wraca... — A ten orzeł na zegarze, co trzyma węża w szponach? wąż mu się koło szyi owinął i chce go udusić: czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi?... — O, mój synu, gdybym ja to mógł wiedzieć!... A mały Władzio zadumał się i ciągle już tego dnia wracał do pytania; czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi? I pytał matki i pytał wszystkich w domu przez dni kilka: czy orzeł zwycięży, czy wąż?... I gdy mu nikt nie dał pożądanéj odpowiedzi, on drobną rączką próbował sam rozpętać pierścienie spiżowe, okręcone w koło orłowej szyi...

I na rzeźbie téj trzymała teraz czas jakiś staruszka ślepa swą rękę i słuchała jednostajnego ruchu wahadła, zadumana, jakby dziś sama siliła się rozwiązać dziecinne chłopczyka pytanie...

I znowu szła dalej. Jak duch się snuła od kąta do kąta. Słychać nie było jéj kroków, a przez zamarzłe szyby, blade promienie księżyca, padały na twarz jéj smętną, przeglądały się w martwych źrenicach.

O sekretarzyk się oparła.

Tu przy nim *on* zawsze pisywał. Tu przy nim nieraz noc on przy pracy przepędził... A późniéj syn... Tak samo oparty o poręcz krzesła z pochylonem wdół czołem, na które bujne spadały mu włosy... Czoło to samo, te same rysy, ta sama postać — ach, jacyż oni podobni! Dźwięk głosu ten sam i nastrój uczuć i myśli kierunek...

Nigdy go tak nie kochała jeszcze, jak po tym liście ostatnim! Nigdy jeszcze tak jéj serca nie otworzył swego, nigdy nie spojrzała tak w głąb jego duszy, nie rozumiała go tak i nie odczuła tak żywo jego wszystkich uczuć. Tyle lat go kochała jak syna, ale nie przeszło jéj przez myśl, że to ojciec w nim żyje.

I w wyobraźni ślepej staruszki spłynęli oni w jedność postaci i jedném dla niéj stała się tchnieniem i jedném uczuciem miłość ku obydwóm.

Upływała godzina za godziną, a staruszka nie spała.

O czém tak myślała?... Może sama nie umiałaby zdać sprawy z tych myśli. Rozkołysały się uczucia od czytanego listu syna i od łez i uścisków i pieszczot czytelniczki. Tłoczyły się myśli jedna za drugą; jedna drugą popychała. Te wszystkie wrażenia, te wszystkie chwile kilku tygodni życia, które po kolei w synowskim odzwierciedliły się liście, odczuwała matka teraz tak żywo, tak jasno, ale bez ładu, bez porządku, równocześnie prawie. Jakby ponocny kondukt pogrzebu, koło balowéj przeciągając sali, zmięszał się z wesołym masek pochodem, tłocząc się i cisnąc i wypychając się nawzajem. Ci w tę stronę dążą, tamci w ową, ci w koło się kręcą, nie wiedząc dokąd im się udać. I płacz i śmiech i ponura żałoba, niezbłagana jak fatum, i beznadziejna miłość, i melancholijny uśmiech rezygnacyi, i namiętny żal za rajem straconym, i szalona ironia i pełne otuchy męskie postanowienie — wszystko razem... Niedość tych myśli! Wciąż nowe w tym tłumie jawią się postacie. I Zosia szlocha, składając na jéj piersi swą główkę. I patrzy na nią złowrogo czarnemi oczyma Hieronima, jak harpia pijąca krew. I zmarła wieśniaczka z przeraźliwym krzykiem wyciąga ramiona za trupkiem niemowlęcia. I siostra na łożu śmiertelnem cierpkiémi miota na nią wyrazami, dobierając co najdotkliwiéj zaboleć ją może. Rzuca się na jéj syna Lucyan z wściekłością...

w twarz go uderza... pojedynek!... i zamiast syna, widzi męża padającego gdzieś w starym lesie wśród białych buków z skrwawioną piersią na murawę. Ach, jacy oni podobni do siebie: ojciec i syn!...

Czy ona myśli? czy marzy? czy śni?... Czém w niéj jawa, czém sen?

Rozebrała się staruszka i złożywszy na poduszce głowę, przymknęła powieki. I tym samym prądem snuły się daléj w duszy obrazy. Czy sen to był? czy marzenie?

Noc dla niéj nocą i dzień dla niéj nocą: cóż za różnica między dniem a ciemnością dla ślepéj? Jasnym dla niéj—chyba tylko dźwięk, co w ucho wpada. W głosie ludzkim dla niéj kolory i światła. W głosie blask słoneczny i gwiazd migotanie i łuna pożaru i fantastyczny promień księżyca. I wszelkie ona w nim odróżnia odcienia i niepochwytne dla nas modulacye. Jej świat — świat głosu. Zna go ona stokroć od nas lepiej. On dla niej dniem, on dla niéj jawą, rzeczywistością. Wtedy w nim przebywa, gdy głos ludzki słyszy. Obudzoną jest wtedy i trzeźwego ducha — myśli, rozumuje, sądzi.

Ale gdy ją cisza otoczy nocna, znika wtedy rzeczywistość dla ślepéj samotnicy — a świat wyobraźni, świat marzeń i snów, świat wspomnień zamierzchłych z całą zmartwychwstaje w jéj duszy potęgą. On ją owionie innem życiem... inną dla niéj jawą...

Czy ona marzy, czy śni: któż powie?

XI.

Prześliczny dzień zimowy...

Wiatr ucichł, mróz zwolniał, słońce wesoło świeci.

Zajechały sanki przed ganek. Niecierpliwie grzebią nóżką, w śniegu bułanki, parskają ochoczo, dzwonią dzwoneczkami.

— Zosiu, trzeba jechać. Mamaby się gniewała. Miło mi tu z tobą: córki rodzonéj nie kochałabym bardziéj od ciebie, — ale jedź, jedź do twéj ciotki. A jak wróciaz do domu, proś mamy, może ci pozwoli czasem przyjechać do staréj, ślepéj samotnicy... Popsułaś mnie, dziecko moje; tęsknić za tobą będę, jakby za córką.

I łzą rozrzewnienia spojrzały na dziewczynę oślepłe źrenice.

— O pani droga! kochaj mnie pani... bo wiesz, żem bardzo biedna! Pozwól mi myśleć, żem ja twoja córka!

I uściskały się obie serdeczném uściśnieniem. Ucałowała Zosia jéj ręce, ubrała się w futerko i owinęła szalem, wsiadła do sanek, raźniéj zadzwoniły dzwonki — pojechała.

Westchnieniem pożegnała ją ślepa i usiadła w swoim fotelu przed kominkiem, gdzie już żywym ogniem płonęła świerczyna. — Wesoło bujały w górę płomyki; promieniejące ich ciepło czuła na swéj twarzy staruszka. Zasyczało czasem wilgotne drzewo a co chwila odzywał się wystrzał pękających polan; iskry wzlatywały w górę, jak świetny fajerwerk poetyckiéj fantazyi, który zawsze syk boleści poprzedza, jak ogniotrysk ludzkiego uczucia, którego przeznaczeniem, aby w górę się wzbił i zabłysnął chwilkę i zagasł na wieki. Miłe spektatorom widowisko, rozkoszna słuchaczom rozrywka! ale te płomienie buchające w górę, ten żar co grzeje, te iskry krąg światła rzucające w koło — one zawsze świadczą, że wewnętrznym ogniem trawi się palny materyał — świerczyna, czy serce.

Tak! ale płonąć — to rozkosz. Płonąć — to tyle co żyć. Co życie podsyca, to podsyca płomień, który nas pali, pożéra i w popiół zmienia i w proch. Podsyca życie to, co śmiercią jest naszą.

Zatruty to nektar — lecz upojenie rozkoszne....

— Upiłem się wczoraj, proszę jejmości, i przyszedłem przeprosić!

I uścisnął Michał kolana swéj pani.

— A to ty, Michale. Wstydź się, mogłeś w polu zamarznąć!

— Ja zamarznął, proszę jejmości. Żeby nie wódka, proszę jejmości, co mi grzała jeszcze duszę we środku, tobym był zamarzł na śmierć, przysięgam Bogu! i powieźliby mnie razem z Maryną na cmentarz. Jejmość wie, że Maryna umarła?

Staruszka kiwnęła głową.

— Ale ja nic nie zgubił, proszę jejmości, — nie. Wczoraj Kachna... a to prawdziwa jędza, proszę jejmości, przysięgam Bogu! nie wiedzieć po co jejmość ją trzyma!... wczoraj Kachna wyjęła mi z torby dwa listy i oddała jejmości. Przecie oddała?

— Oddała.

— Ale ja nie głupi, proszę jejmości: na list ze zwyczajném pisaniem to się tam nikt nie złakomi, tom je w torbie trzymał, ale jakem wstąpił do Jolka w Podsośniu, bo mnie się z mrozu strasznie głowa kręciła... to strach, proszę jejmości, co to był za mróz. przysięgam Bogu! to nawet stary Mośko takiego nie pamięta... to proszę jejmości, tak sobie myślę: kręci mi się głowa z mrozu, to się wódki napiję? no, a jak mi się więcéj zakręci? ehe, ja nie głupi, żeby mi kto potem z torby wszystko wyciągnął. A był tam jeden list taki, co w nim pewnie papierowe pieniądze... to ja go wyjął z torby i włożył w baranią czapkę, co ją mam od jejmości, pod podszewkę. Tam go ci nikt nie znajdzie, pomyślałem — i oto jest proszę jejmości!

— Z pieniędzmi mówisz? dlaczegóż ci się zdaje, że zpieniędzmi? któżby mi pieniądze posyłał!

— O, jużci zpieniędzmi musi być, proszę jejmości, kiedy wramkach, jak obrazek.

— W ramkach? cóż znowu mówisz! jakże list może być w ramkach!

A jużci, proszę jejmości: w ramkach! Niechże jejmość... ach prawda, że jejmość i tego nie obaczy. W ramkach, proszę jejmości! przysięgam Bogu! w czarnych ramkach!

Wzdrygnęła się staruszka:

— W czarnych ramkach?... A... to kartka pogrzebowa...

I pomyślała: Siostra mi pewnie umarła...

Zasępiły się jéj łagodne rysy. Nie łączyły ją wprawdzie z tą siostrą serdeczne stosunki; tak niewiele miały z sobą wspólnego, tak niepokrewne były ich dusze... ale to zawsze siostra! A lata dziecięce na łonie matki z nią razem spędzone!...

— A może to nie siostra?...

I stanęła jéj w myśli Hieronima. Nie widziała jéj nigdy, a zdało jéj się, że ona teraz na nią patrzy nieruchomie magnetycznem spojrzeniem tych czarnych oczu, o którem pisał syn, że mu duszę wypija... Krew na ustach chorego dziewczęcia, blask oczu przygasa... to jéj śmierć... to ona umarła...

Władysław nie rozpacza: widzi go matka przeczuciem serca. Z założonemi w krzyż rękoma stoi przy jéj łożu, ponury, chmurny; szlachetném współczuciem i litością tylko wzbiera mu serce: nie ma tam miłości... Łza zakręciła mu się w oku — pochylił się nad umarłą i pocałował ją w czoło...

— Będziesz ty jeszcze szczęśliwym — chciała powiedzieć mu matka, ale w téj chwili zjawił się w obrazie jéj duszy obok syna Lucyan...

— Ah! może pojedynek?... może to on? on? Tak długo nie pisał... Może to on nie żyje?

— Kto nie żyje, proszę jejmości?

— On! .. ojciec i syn! tacy podobni!... Czy i śmierć ta sama?.. Daj tu list! daj tu ten list w ramkach! gdzie on?... gdzie on?

— Jejmość go przecie w rękach trzyma!

— Przycisnęła go do oczu, przycisnęła go do czoła z rozpaczą, przycisnęła do serca i do czoła znowu.

Straszne to, gdy starzec zakwili płaczem dziecięcia.

Aż Michał się wzdrygnął na ten widok i litość go zdjęła.

— Jejmość! przecie jejmość nic nie widzi!.. kto tam wie, kto umarł... różni ludzie umierają...

Ale ona zaniosła się od płaczu .. i tchu jéj zabrakło, czy łez zabrakło i tylko jęk przeciągły dobywał się z piersi. Pięściami cisnęła oczy, palcami je darła, jakby zedrzeć chciała zasłonę, co jéj straszną kryje tajemnicę.

— Jejmość! Boże święty! co jejmość robi?

A ona od oczu, od czoła, wyciągała na przemian ręce w powietrze, to lewą, to prawą, naprzód, przed siebie, jakby chwytać chciała czy światło dzienne, czy ulatujące od niéj widzenie, czy w otchłań nicości zapadające szczęście. Tak matka nad brzegiem przepaści wyciąga ramiona za dzieckiem, co się w nią stoczyło i stacza się, stacza coraz głębiéj i znika jéj z oczu.

— Aaaah!

— Matko Częstochowska! żeby ja umiał czytać!

Czy ona się broni od jakiegoś okropnego widziadła? Ramiona. jak tonący wyciąga przed siebie i szarpie niemi powietrze. Oh, nie siebie ona broni, ona broni dziecko... dziecko...

— Dziecko!—woła przeraźliwym głosem—dziecko moje!...

Wstrząsł się Michał zimnym dreszczem, jakby się wódki napił.

I szczęśliwa myśl przyszła mu wtem do głowy.

— Panienka dopiéro pojechała... musi daleko objeżdżać koło lasu, bo most zepsuty... jabym ją może jeszcze dopędził przez ławę... Jejmość! jejmość! panienka jejmości przeczyta list!

Ocknęła się na ten krzyk jego i na to słowo.

— List! list!... panienka... przeczyta... Michale goń za nią... goń... prędzéj... prędzéj...

I wybiegł Michał z pokoju i popędził, co sił mu stało.

Na podwórzu tylko, spostrzegłszy Kachnę wychodzącą z krowiéj stajni, krzyknął na nią:

— Idź do jejmości, a żywo!

Zastała ją Kachna w fotelu, z głową o wezgłowie opartą, obiema dłońmi serce cisnęła, ciężkim oddechem chwytając powietrze. Po twarzy zwolna ściekały łzy.

Rozpacz—to najstraszniejsza z Eumenid, ale od razów jéj bicza, boleśniejsza jéj groźba, niepewność rozpaczy.

Nie widziała Kachna nigdy pani swéj w takim stanie. Przywiązaną sługę przeraziło to bardzo i odbiegł ją nawet niepowściągniony zwykle pociąg do gadulstwa.

— Jezus Marya! rany boskie! co jejmości takiego? co się stało? czy jejmość chora? gadajże jejmość! co? serce boli?... rany boskie!

Żadnéj nie otrzymawszy odpowiedzi, pokręciła głową, poszła do kuchni, przyniosła szklankę wody, bryznęła kilka razy wodą na twarz staruszki, a potém przybliżyła szklankę do jéj ust.

— No, napijże się jejmość trochę!

Z bezmyślném posłuszeństwem spełniła ślepa jéj żądanie.

Kachna otworzyła flakonik stojący na małym przed nią stoliczku i dała jéj powąchać.

Orzeźwiło to nieco staruszkę, oddech stał się wolniejszy, łzy płynęły obficie.

Nagle spostrzegła Kachna list ów leżący na jéj kolanach. Pokazywał jéj go rano Michał z tryumfem, że go nie zgubił i że tak go schował, że nawet ona nie znalazła.

— Aha! a to pewno ten list w ramkach tak jejmość zafrasował ciężko! Musiał się ten pijaczysko przed jejmością zaraz pochwalić, że to z pieniędzmi, bo w ramkach... a ja mu zaraz mówiła, że to nie pieniądze, ale żałobę znaczy... To jużci chyba musiała umrzeć ta chora panna, co się z nią panicz miał żenić...

Dziwny był skutek tych słów i tego przypuszczenia Kachny i zupełnie dla niéj niespodziewany. Zwykłą reakcyą serdecznego płaczu zmienił się on nagle w śmiech spazmatyczny.

— Matko boska! rany boskie! a to co? Niechże się jejmość tak nie śmieje strasznie! bo aż mrowie człeka przechodzi! W imię Ojca i Syna... dajże już jejmość pokój, bo to grzech wielki tak się śmiać!... i Ducha Świętego. Amen.

I po śmiechu znowu chwila osłabienia i bezwładności, wyczerpanie sił, niby obojętność i apatya.

I cisza. Pryska żar na kominie, syczy drewno, zegar wybił godzinę i idzie daléj miarowym ruchem...

Wzdrygnęła się nagle, dreszcz jakiś ją przebiegł, myśl jakaś nowa zabłysła.

— List! list! gdzie list?

Podała go jéj Kachna do ręki.

Pochwyciła go niecierpliwie, aby rozerwać kopertę. Palce jéj mimowoli przesunęły się po adresie, uczuła ślepa chropowatość pisma posypanego piaskiem.

— Piaskiem posypane... jak listy méj siostry? Więc to byłby od niéj list?... a więc nie ona umarła... ale kto? kto?... Hieronima?... Hieronima... czy... czy...? ah!

Rozerwała kopertę i rozłożyła zawarty w niéj papier, ćwiartka tęższego od zwykłych listowych ćwiartek papieru, czworograniasta prawie... I przesuwać palce zaczęła po nim.

— Nie, nic nie czuję pod ich dotknięciem—nic.

Palce jéj drżą od wzruszenia... Spokojniéj, spokojniéj trzeba przesuwać palcami... Wszak ślepi od urodzenia uczą się dotknięciem palców poznawać duże litery... czemuż-by ona poznać nie miała?... Spokoju, spokoju tylko...

Tu, tu coś jak druk... lepną jéj palce jakby do szeregu dużych jakich, tłustych liter... to tłuszcz drukarski... ach, gdyby ich kształty można namacać, rozróżnić, rozpoznać!... Napróżno!...

— Kachna! Kachna! przecież tyle poznasz! Przypatrz się, powiedz: jest tu na tym papierze krzyż?

— A jużci jest—ot tu!

— Jest krzyż!... ah! tom się nie omyliła... jest krzyż! to czyjaś śmierć, to czyjś grób!... Ale czyj? czyj?

Spazmowym kurczem ścisnęło się znowu serce... Ciężkim oddechem podnosiła się i opadała piersiowa klatka.

A Kachna założyła ręce i patrzy na nią i wzrusza ramionami i dziwi się, ale nic nie mówi. Odbiegła ją chętka gadania. Pojmuje już ona, co znaczy ten papier w ręku pani i ten jéj niepokój i ta męka... Ktoś umarł—a pani nie wie, kto... Westchnęła ciężko poczciwa Kachna...

— Kachna!... to ty?...

— Ja jejmość.

— Nie słychać dzwonków?

— Nie słychać.

I znowu długie, długie milczenie. Ach, jakże długą każda wydaje się chwila!... A z każdą chwilą niepokój wzrasta, wzrasta. Jak przypływ morza zalewa on serce i płuca i mózg i znowu zwolna opada, aby znów wezbrać za chwilę. Cicho, cicho. Może przeczuciem matki, może jasnowidzeniem boleści odgadnie ona tajemnicę życia i śmierci?... Cicho, cicho!

Nie—nic nie mówi przeczucie—nic!...

O i owszem! mówi—ale jak szatan szydzi tylko, nęka i dręczy—i mówi co chwila inaczéj: i *tak!* i *nie!* i *śmierć!* i *życie!* i z każdem wahnięciem zegaru i z każdem serca uderzeniem kłam sobie zadaje.

To serce matki zbyt niespokojne, aby mogło przeczuwać, myśli się mącą, wirują w głowie... Choćby przeczucie przemówiło, ona nie zdoła odróżnić jego głosu wśród tego natłoku myśli, w téj uczuć zawierusze...

— Ty, Kachna, nic nie przeczuwasz? czy ci tam w sercu głos jaki nie szepce, kto umarł?

— A któżby miał umrzéć? jużci chyba ta panna, co się z nią panicz miał żenić, kiedy jejmość powiada, że zawsze choruje!

— A syn... syn mój żyje?

— Panicz?... ou wa! gdzieby też znów panicz miał umrzéć! taki zdrów, taki mocny, jak—bez obrazy jejmości—jaki chłop a nie pan.

Ach, ta dziewczyna szczęśliwa nie wie o tém, jaką to u panów śmiercią tacy zdrowi, tacy silni umierają czasem...

Zamilkła nieszczęśliwa matka i słucha... Dech przytłumiła w sobie i słucha, czy dzwonków nie usłyszy.

— Cicho Kachno, cicho!...

I cisza... Nic, nic nie słychać. Tylko w kominie lekkie fruwanie płomyków poruszanych przeciągiem. I mokre drzewo przeraźliwie skwirczy i piszczy od żaru, jak mucha dręczona w sieci pajęczéj. I paczy się i pęka wilgotne drzewo z odgłosem trumny świeżo wyciosanéj przez cieślę. I znów cisza.—Cisza... cisza...

I słychać tylko miarowy chód starego zegaru i syk złowieszczy w kominie... I znowu strzał po strzale sypie w górę snopem iskier. Strzał po strzale—jak sygnały wiwatowe w dzień ślubu i wesela, w dzień przyjazdu młodéj pani do domu panicza.

— Kachno! Kachno! słychać dzwonki!

Zerwała się staruszka z siedzenia... wierzy słuchowi swemu i nie wierzy... Nie — nie.

— Ja wybiegnę przed stajnię i spojrzę na drogę pod lasem. Ale jejmość niech siada tymczasem na swojém krześle i niech jejmość nie wstaje, bo mi strach odejść, jejmość ledwie się trzyma na nogach...

. . . .

— Widać, widać, a jużci widać! niebieski szal panienki, czerwona kraciasta chustka Jagny Ceglarzanki i Michał z furmanem z Suchorębu na przodzie. Żwawo pędzą bułanki, już koło figury skręcają, już koło młyna, już koło Józkowéj chałupy... tam Maryna w chacie leży umarła i dziecko przy niéj na ławie, hej może Józek teraz ze mną się ożeni, przecie ja nie brzydsza od Maryny i gospodarska córka?... Aj, toż pędzą bułanki! aż im z pysków się kurzy a śnieg leci z pod kopyt, jak woda z pod koła młyńskiego... hej! jeżeli to ta panienka umarła, co się z nią panicz zaręczył, to jużci pewno teraz się ożeni z panienką z Suchorębu!...

...Musiał Michał jéj powiedziéć o tym liście w czarnych ramkach. Ona pewnie teraz myśli o tém, czy to nie tamtą pan Bóg już zabrał do siebie... I może bije jéj serce prędko, prędko, prędziutko... i tak jéj chodzi w piersi jak zegar, i tu—i tam, i tu—i tam... Ona, nie ona—ona, nie ona... i cieszyć-by się rada i wstyd jéj się cieszyć cudzą śmiercią... Hej, hej, takie to już to serce ludzkie!

Już bułanki przed dworkiem. Wyskoczyła Zosia, nie widać przerażenia na jéj hożéj twarzyczce, rozpaczy ani śladu. Serce jéj mówi: On teraz twój! twój! Przebiegła przez sień, przez kuchnię—już w pokoju.

A staruszka, chwiejąca się na nogach, już stała u drzwi z nieszczęsnym w ręku papierem, czekająca wyroku.

Porwała jéj Zosia tę ćwiartkę z ręki — spojrzała — chciała krzyknąć...

I cisza—straszna chwila ciszy.

Głos jéj zamarł w piersiach.

A matka pyta: co tam?... co tam?... co tam?... jak przez sen, jak w noc przedśmiertną pyta, budząc się ze snu skazany.

— Co tam?.. co tam?... co tam?...

O nieszczęsna! na co ci słów, ta cisza mówi do ciebie najstraszniejszém słowem!

— Co tam?... co tam?... mów!... mów!...

I z głośnym płaczem rzuciła jéj się Zosia w ramiona.

Autor „Plotek i Prawd.“

PO BITWIE PRZY BIAŁÉJ GÓRZE.

(Dokończenie).

Król Jakób zakreślił sobie w sprawie zawikłania kontynentalnego ściśle obmyślony plan akcyi politycznéj. Poświęcał sprawę czeską, przemawiał i działał stanowczo za zrzeczeniem się korony czeskiéj przez Fryderyka, za zgodą jego z cesarzem, ale natomiast objawiał nie mniejszą stanowczość w chęci utrzymania swego zięcia przy dziedzicznych jego krajach. Wobec coraz wyraźniejszych intryg Maksymiliana około objęcia sukcesyi po Fryderyku, — budzi się energia Jakóba i rozpoczynają starania, przeszkadzające pretensyom bawarczyka. Reprezentantem jego akcyi jest lord Digby, a usposobienie różnych europejskich dworów kontrminowéj robocie angielskiéj wcale nie nieprzychylne. Wiadomy nam już zwrot Francyi, która wystąpiwszy poprzednio w roli sekundanta sprawy cesarskiéj, zaczęła teraz dla niéj stygnąć i stawiać jakoby pierwsze kroki na drodze polityki, którą kardynał Richelieu podjął w drugiéj połowie wojny trzydziestoletniéj. Francya okazuje się stanowczo przeciwną destytucyi Fryderyka w palatynacie i staje po stronie angielskiéj. Ważniejszą stokrotnie jest przemiana, jaką przedstawia w owéj chwili dwór madrycki. W roku 1621 zakończył życie król Filip III, bezwzględny zwolennik polityki austryackiéj na lądzie stałym europejskim. Następca jego, młody Filip IV, okazywał się dla dworu wiedeńskiego daleko zimniejszym, a podawał tém chętniéj ucha przedstawieniom Anglii. Niebezpieczeństwo zmiany frontu madryckiego dworu stawało się tém groźniejszém, że pozbawiało dwór wiedeński czynnego sprzymierzeńca w wojnie nadreńskiéj, że mu odbierało, co ważniejsza może, pomoc pieniężną, bez któréj o prowadzeniu wojny nie można było nawet myśleć. Rozumiejąc bardzo dobrze drażliwość podobnego położenia rzeczy, cesarz ku podminowaniu angielskiéj roboty na dworze madryckim, wyprawił w osobném poselstwie hr. Khewenhillera i Jezuitę O. Hyacynta. Mimo to przeważył

wpływ angielski, zwłaszcza, że lord Digby wystąpił z chętnie przyjętą propozycyą związku małżeńskiego między następcą tronu angielskiego, a infantką hiszpańską. Starania te podejmowała Anglia nie mniéj w Bruxelli, na dworze Albrechta i Izabelli, podejmowała ją daléj w samymże Rzymie, gdzie wszędzie z prostych względów zdrowéj polityki panowało usposobienie, wcale nie niechętne restauracyi Fryderyka wpalatynacie, i gdzie interesu sprawy katolickiéj nie identyfikowano koniecznie ze sprawą pretensyi Maksymilianowych.

Ważyły się tedy, jak ztąd widzimy, wpływy za restauracyą i przeciw restauracyi Fryderyka, w czém także jeszcze, nie zapominajmy, ważną odgrywają rolę, z jednéj strony protestanccy książęta Niemiec, z drugiéj Bethlen Gabor. Pierwsi, spoglądając na bój toczący się między pionierami sprawy protestanckiéj a cesarzem i ligą, zachowują wprawdzie rolę wyczekującą, ale przygotowują się zwolna i czynią widocznie stanowczość swego wystąpienia zależną od kroków, jakie dwór wiedeński podejmie względem Fryderyka. Co się zaś tyczy Bethlen Gabora, jest to istnie chmura gradowa, wisząca nieustannie nad głowami rakuskiego domu. Pokój, zawarty z cesarzem w roku 1621, jest już zerwanym w r. 1622; ponowna zgoda trwa bardzo krótko. Za podnietą Thurna, Mansfelda, Krystyana halbersztadzkiego, zrywa znów w roku 1623 pokój możnowładzca węgierski, opierając się na nadziei pomocy tureckiéj. Wobec tego wszystkiego groźną więc i obosieczną była decyzya ostatecznego destytuowania Fryderyka i oddawania jego dziedzictwa bawarczykowi. Jak zwykle przecież w rzeczach i sprawach ludzkich, tak i obecnie zwyciężyła bliższa i dokuczliwsza potrzeba dalsze. Maksymilian był na polu akcyi, miał siłę zbrojną w ręku, znajdował się poniekąd w możności dyktowania praw Wiedniowi. Zebrał się, przy udziale samegoż cesarza, w miesiącu styczniu 1623 w Ratyzbonie walny zjazd Rzeszy, *Reichsdeputationstag*. Na sejmie tym zapadły ważne ze strony cesarskiéj postanowienia, wszystkie w interesie Maksymiliana i reakcyi katolickiéj. Fryderyk został ostatecznie pozbawionym swego dziedzictwa, na które inwestyturę zyskał książę bawarski. W podobny sposób został wyzutym z posiadania dziedzicznego kraju margrabia Karniowski, którego dziedzictwo dostało się księciu Lichtensteinowi. Nie dość na tém, zyskali na tymże samym walnym zjeździe tytuły hrabskie renegaci sprawy czeskiéj Martinic, Slavata i Sternberg. Jedyny wyjątek pośród tych postanowień zemsty i reakcyi stanowi akt amnestyi udzielony na wstawienie się elektora saskiego jednemu z głównych bohaterów powstania czeskiego, księciu Anhalt.

Uchwały te zjazdu walnego Rzeszy, dalekie, by sprowadzić upragniony pokój, wywołały przeciwnie groźny ferment. Tuż pod bokiem Niemiec, we Waltelinie szwajcarskiéj, wybuchła z roku 1622 na 23 na małéj, prawda widowni, ale tém krwawsza, tém zaciętsza dla tego może, wojna domowa między ludnością katolicką a protestancką, walka zagrażająca wciągnięciem w wir swój Austryi, Hiszpanii i Francyi. Odgłos wypadków na tém uboczu w połączeniu z postanowieniami walnego zjazdu, nie omieszkał wywrzeć swego wpływu w samychże Niemczech. Książęta protestanccy, elektorowie saski i brandenburski, książę wirtemberski, zaczęli się powoli zbroić i przygotowywać na nieprzewidziane wypadki. Francya poczęła dokonywać owéj wspomnianéj już zmiany frontu przeciw cesarzowi. Fryderyk, elekt czeski, nie mający już teraz nic do stracenia po destytucyi i po inwestyturze bawarczyka na swe dziedzictwo, zaczął pokładać jedyną otuchę w roznieceniu na dobre pożaru wojennego i wyprawił kolejno na dwór duński, następnie francuski swego kanclerza czeskiego, Wilhelma z Rupowa...

Tak zapowiadały pierwsze miesiące roku 1623 wojnę na szersze i rozleglejsze rozmiary, kiedy tymczasem już, nieprzerwanym ani na chwilę ciągiem, srożyła się nad Renem i Nekarą, w palatynacie walka między *freibeuterami* Mansfeldem, Krystyanem halbersztadzkim, margrafem badeńskim a ligą i Hiszpanami. Wojna *ta* zaś nosi ów jaskrawo-okrutno-poetyczny charakter, jaki wojnę trzydziestoletnią dziejowo i tradycyjnie cechuje, a pociąga do obozu tak jednéj, jak drugiéj strony całe tłumy awanturników i męty ówczesnego katolickiego i protestanckiego społeczeństwa. Szwedzkiéj i francuskiéj dopiéro epoce wojny trzydziestoletniéj przypisywać zwykli ów dziki i ponury charakter, jakim się odznaczała, owe mordy, pożogi i rabunki, uwiecznione historyą i legendą, poezyą i pędzlem malarskim. Opowiadanie profesora Gindelego przekonywa nas przecież, że następująca tuż niemal po rzezi praskiéj wojna w palatynacie nic do pozazdroszczenia ani szwedzkiéj, ani francuskiéj epoce wojny trzydziestoletniéj nie pozostawia. Jedna i druga strona pali, morduje i zabija, a noszący jakby na ironią nazwę „*biskupa*" Krystyan halbersztadzki, dodając cynizm do okrucieństwa, wyprawia sobie i swoim towarzyszom w klasztorze żeńskim biesiadę, na której zakonnicom w ubiorze raju pląsać nakazano! Tak-to mści Nemezys dziejowa mord czeski na ciele niemieckiém, a zemści później stokroć jeszcze krwawiéj i okrutniéj.

Jest-to, nie zapominajmy, mimo zwycięztwa białogórskiego, mimo zdeptania Czech, Morawii, Szląska i Austryi, mimo korzystnych uchwał zjazdu ratyzbońskiego, chwila pełna wojennych i finanso-

wych kłopotów dla samego cesarza. W kłopotach owych roku 1623 poszukuje znów przymierza polskiego, jak go poszukiwał poprzednio we wilią bitwy białogórskiéj. Posłuchajmy w tym względzie opowiadania autora. „Gdy,—brzmi jego opowiadanie—„król polski Zygmunt znalazł się zagrożony wojną turecką, zwrócił się do Ferdynanda i ofiarował mu ścisłe połączenie Polski z Niemcami, które miało zależeć na dawaniu sobie wzajemnéj pomocy. Mały stopień politycznego doświadczenia owéj epoki spodziewał się po tego rodzaju przymierzach, których mała wartość pokazała się niedawno w traktatach sukcesyjnych korony czeskiéj z niemieckiemi domami książęcemi, pewnéj rękojmi wobec przyszłych niebezpieczeństw, nie pojmowano, że po wszystkie czasy, rzeczywiste, czy urojone interesa państwa odnoszą zawsze zwycięstwo nad pisanemi traktatami. Cesarzowi była ofiara polska do tyla pożądaną, o ile mu się zdawała zapewniać przymierze państwa katolickiego, odpowiedział tedy królowi, że jego propozycyą przedłoży nadchodzącemu kongresowi elektorów. Tymczasem skończyła się wojna między Turkami a Polakami przez pokój z dnia 9 października 1621, ponieważ Turcy zagrożeni przez Persów, byli zmuszeni Polaków pozostawić równie w spokoju, jak cesarza. Ustąpiła więc najbliższa przyczyna ofiarowanego przymierza; mimo to ani cesarz, ani Zygmunt nie zarzucili jego myśli. Ferdynand wyprawił pod koniec roku 1621 posła do Polski w osobie p. Kurza von Seuftenau, którego pierwszém zadaniem było werbowanie żołnierza polskiego, mającego być naówczas użytym przeciw Bethlenowi a późniéj do Dolnego Palatynatu posłanym. Miał nadto Kurz von Seuftenau zadanie, traktatowe układy prowadzić daléj. Kurz wywiązał się ze swego polecenia, usiłując w Warszawie, gdzie król bawił, obecnych senatorów dla przymierza pozyskać, przyczém się też starał wpłynąć na królewicza Władysława i królową w tym samym kierunku. W Polsce odezwały się przecież naówczas różne wahania; obawiano się, aby Turcy nie rozpoczęli na nowo zaczepki, skoro się dowiedzą o *konfederacyi* z Niemcami i tym podobnych rzeczach. Kurz starał się dowieść, że właśnie w przymierzu znajdzie się opieka przeciw jakimbądź zaczepkom i odebrał nakoniec zapewnienie, że na przyszłym sejmie polskim będzie traktowana materya konfederacyi. Czy do niéj przyszło, nie jest nam rzeczą wiadomą, cokolwiekbądź przecież trwała wymiana zdań między cesarskim i polskim dworem przez rok 1622, a gdy się w Ratyzbonie zgromadził sejm Rzeszy, przypominali tajni radzcy cesarzowi jego przyrzeczenie, aby tutaj nad tém przymierzem rozpoczął obrady. Ferdynand odpowiedział temu wezwaniu i kazał elektora mogunckiego zawezwać, aby w téj sprawie z katolickimi członkami zjazdu rozpoczął negocyacyą.

Schweikhart zawezwał wskutek tego elektorów kolońskiego i bawarskiego i reprezentantów trewirskiego i salcburskiego na osobne posiedzenie. Jakkolwiek pożądaném przecież mogło być tymże książętom katolickie przymierze, wiedzieli jednakże, że w przyszłości nie może mieć praktycznych następstw i odrzucili negocyacyą pod pozorem, że tylko w pełni zebrany sejm obradować nad podobnym przedmiotem ma prawo. W skutek tego sprawozdania popadły traktaty nad polskiém przymierzem w zapomnienie, a jeśli cesarz z królem polskim w następnych latach był w jak najlepszém porozumieniu i znów o przymierzu z nim obradować kazał, tyczyło się to tylko *jego* a nie niemieckiéj Rzeszy".

Otóż to ustęp dzieła profesora Gindelego, dotyczący współczesnych dziejów naszych, będący równocześnie smutnym, upokarzającym naszą ówczesną politykę objawem. W sprawozdaniu naszém z pierwszych tomów dzieła historyka czeskiego, staraliśmy się wykazać, jak rozległe, jak europejskiego znaczenia horyzonty otwierały się Polsce w pierwszym akcie wojny trzydziestoletniéj, podczas kłopotów powstania czeskiego o obsadzenie tronu po zrzuconym zeń Ferdynandzie. Bez trudu, bez wysiłku własnego, przy rozumie politycznym i dobréj woli przedstawiała się jéj możność odzyskania jednym zamachem całéj Lechii Bolesława Chrobrego pomnożonéj nabytkiem Czech i Morawii. Niezrozumienie wielkiéj owéj, wspaniałéj roli w pierwszym akcie wojny trzydziestoletniéj strąciło ją w drugim na podrzędne, upokarzające stanowisko wcale nie poszukiwanego nawet i niepożądanego sprzymierzeńca cesarskiéj sprawy...

Taki to ogólny obraz przedstawia widownia europejska, w pięć lat po daniu hasła przez wybuch powstania czeskiego, w dwa lata po jego okrutném stłumieniu. Pożar tego uciszonego wulkanu udzielił się niebezpiecznie Niemcom, poczynał się w nieskąpéj mierze udzielać, jak łatwo przewidzieć można było, całéj reszcie Europy.

Najciekawszym całego, niniejszego tomu ustępem jest ostatni, w którym autor wraca znów na rodzimą widownię czesko-morawską, by się rozpatrzéć w szczegółach srożącéj się nad ludnością słowiańską obu krajów reakcyi. Wspomnieliśmy już na wstępie naszego sprawozdania, w jaki sposób mściwość jezuickorakuska uderzyła w narodowy i polityczny organizm społeczności czeskiéj, jak jednym zamachem katowskiego miecza wtrąciła we wspólną mogiłę najszlachetniejsze jéj głowy, jak zniszczyła własną ręką Ferdynanda, zdarciem *listu majestatu* Rudolfa, jéj prawa polityczne. Nie zatrzymała się przecież na tém mściwość austryacka. Zrzuciwszy głowy, zstąpiła do tułowu narodowego, a *jak* się z nim obchodziła, opowiada właśnie ostatni rozdział tomu czwartego. Zauważmy z góry, że zemsta

austryacka jest od chwili dokonanéj rzezi praskiéj *pośrednio* tylko groźną żywiołowi *narodowemu*; głównym jéj celem i przedmiotem: *wiara* i *majątek* kraju. Istnymi złymi duchami nieszczęsnego kraju na dworze wiedeńskim są w téj chwili nuncyusz papieski Caraffa, Jezuici i liczni, jak zawsze w tego rodzaju wypadkach, renegaci sprawy narodowéj, z niecnym Slawatą na czele. Z ich to łona, z łona téj reakcyi wychodzą rady prześladowania i nienawiści, kiedy nawet reprezentanci władzy cesarskiéj, jak książę Lichtenstein, jak hr. Harrach, jak Lobelius arcybiskupi prascy, radziby ostateczne wybryki zwycięzców powściągnąć. Kierunek gwałtowności odnosi przecież zwycięztwo i objawia się przedewszystkiem w sferze kościelnéj. Nuncyusz i Jezuici wyzyskują zwycięztwo białogórskie przedewszystkiém ku jak najprędszemu i jak najgwałtowniejszemu skatoliczeniu kraju. Sprowadzono z Austryi liczny zastęp mnichów, zabrano wszystkie kościoły praskie protestantom, poczęto wypędzać księży protestanckich. „Jedna przeszkoda przecież", mówi autor, „stawała na zawadzie temu pośpiechowi (nawracania całéj ludność na katolicyzm), przeszkoda, która się zdawała nieprzezwyciężoną. Na cóż się zdało usuwanie pojedyńczych księży protestanckich od tych i owych kościołów, dopóki nie można było ich miejsc obsadzać, ponieważ katolickie duchowieństwo Czech spadło w owym czasie na nic nieznaczącą mniejszość. Niedostatek nie dał się pokryć powoływaniem księży z innych dyecezyj, ponieważ ci nie mówili po czesku a na nowy, świeży przybytek można było dopiero po latach liczyć, jakkolwiekby wyżéj wspomniane klasztory choć największą gorliwość w kształceniu kandydatów do stanu duchownego rozwijały. Książę Lichtenstein radził tedy arcybiskupowi uczynić téj potrzebie zadosyć w ten sposób, aby wszystkich księży wyświęconych po katolicku, którzy późniéj na wyznanie czeskie przeszli, przyjął znów na łono kościoła, skoro się przepisom jego poddać zechcą. Tym księżom miało też być wolno dawać swym gminom komunią pod obu postaciami, ponieważ kościół na to przez sobór trydencki zezwolił. Arcybiskup kazał sobie swym kanonikom zdać sprawę w przedmiocie proponowanego środka, a zdanie to oświadczyło się w ten sposób, iż odpadłych księży można wprawdzie przyjmować, ale że udzielania komunii pod obu postaciami nie należy dopuszczać. Było tedy rzeczą jasną, że nietylko postanowiono zgnieść wyznanie czeskie, ale, co więcéj, nie dopuszczać istnienia starego, pogodzonego z kościołem rzymskim a różniącego się odeń tylko komunią, utrakwizmu. Obszar powoli zdobywany, postanowiono zagarnąć w całości i bezwarunkowo...

Arcybiskup przedłożył księciu nadeszłe sprawozdanie, który je mimo, że było niekorzystném dla bronionego przezeń utrakwizmu, chętnie przyjął. Na rozkaz jego, administrator powołał proboszczów praskich na posiedzenie i udzielił im z polecenia Michny kilka punktów, co do których mieli zdać deklaracyą. Mieli oświadczyć, czy są gotowi pozwolić na udzielenie sobie święceń kapłańskich przez arcybiskupa (chciano więc w ten sposób nie tylko pozyskać wyświęconych po katolicku, lecz odpadłych, ale zarazem przyjąć wyświęconych po protestancku, aby módz rozporządzać, o ile możności jak największą liczbą księży), czy się zgadzają we wszystkich punktach z kościołem katolickim, a więc czy odstępują od udzielania komunii pod obu postaciami, i czy, jeżeli mają żony, takowe odtąd tylko za gospodynie chcą uważać? Że się z temi pytaniami łączyło wezwanie do pożyczki, było poniekąd rzeczą rozumiejącą się samo przez się, ponieważ na pożyczki i kontrybucye winny były naówczas wszystkie korporacye się zgodzić, skoro im rząd dał pozwolenie na odbycie wspólnéj narady, lub je do takowéj, jak w obecnym przypadku zmusił. Oświadczenia administratora wywołały między proboszczami wielki postrach; nie było jednakże słychać, aby ktokolwiek-bądź z nich był okazał gotowość wstąpienia w związek z kościołem katolickim. Jakkolwiek-by to rzeczą pożądaną było tak dla arcybiskupa, jak dla księcia Lichtensteina, nie spodziewali się jednakże tego, a z tego też powodu przedłożył drugi pierwszemu pytanie: czyby nie zabrać gwałtem wszystkich kościołów praskich lub przynajmniéj trzech najznaczniejszych i ztamtąd reformy rozpocząć? Arcybiskup zażądał w tym względzie sprawozdania ze strony wyżéj wspomnianych prałatów, które w niedostatku odpowiedniéj liczby księży inaczéj wypaść nie mogło, jak tylko, że tymczasowo należy się ograniczyć na zebraniu trzech kościołów.

Dający się już teraz we znaki ucisk i pomienione oświadczenia administratora spowodowały, że protestanci wznieśli głośne skargi; wielu predykantów byt swój w Czechach za zagrożony uznało i ucieczką z kraju przyszłość swą za lepiéj zabezpieczoną uważało. Około 200 księży wywędrowało do początku maja (r. 1621) z Czech do Szląska. Pozostali tak proboszcze prascy, jak profesorowie uniwersytetu, którzy się także różnym obawom oddawali, wygotowali do elektora saskiego pismo, w którém go o radę i o wstawienie się do cesarza prosili. Ponieważ w Saksonii zwolenników czeskiego wyznania uważano za skłonnych do luteranizmu, znalazły prośby owe chętne posłuchanie. Prezes tajnéj rady Schönberg wezwał uniwersytet do nazwania mu osób narażających jego bezpieczeństwo, a elektor dał niezadowolnieniu swemu przez to wyraz, że arcyksięciu Karolowi,

który właśnie w Dreznie bawił, przy stole pismo proboszczów praskich odczytał i na prześladowanie swych współwyznawców religijnych się żalił.

Wszystkie te żale, wszystkie te instancye nie wstrzymały jednakże w niczém i ani na chwilę wzbierającego coraz wyżéj zenitu reakcyi. Nie pytając o niezadowolnienie elektora saskiego, który w znacznéj części zgotował sam dzieło, nad którego następstwami teraz biadał, który swą postawą podczas trwania ruchu czeskiego dopomógł do jego zgniecenia, który po jego stłumieniu ścigał ofiary, pełnił niezaszczytny obowiązek żandarma austryackiego, i oddał między innymi głowę szlachetnego Schlicka pod topór,—postępował zwycięzki rząd austryacki na widowni czeskiéj raźno naprzód w pracy swéj nad metamorfozą kraju. Po niedługich wahaniach, nastąpił zabór wszystkich kościołów miasta Pragi, nastąpiło daléj oddanie starodawnego uniwersytetu praskiego w ręce Jezuitów.

Szczegóły rozpoczynającego się odtąd nowego prześladowania wiary i narodowości czeskiéj są w dziele profesora Gindelego równie liczne, jak ciekawe. Co rzeczą w swoim rodzaju wielce oryginalną, to że krwiożerczy ciemięzca Czech, Ferdynand, miał czoło w roku 1622, wnet po zaślubinach swych z księżniczką Elżbietą mantuańską, przybyć na widownią swych prześladowań i egzekucyi, odwiedzić nawet Pragę samą, zbrojny nibyto w tak zwany akt *generalnego pardonu*. Możnaby było z podobnego tytułu owego aktu wnosić, że cesarz, syt nareszcie krwi i łupów czeskich, ogłosi rzeczywiście ogólną amnestyą, że zaprzestanie dalszych konfiskat, że się powstrzyma od dalszych prześladowań religijnych. Tak jednakże nie pojmował bogobojny cesarz aktu swéj łaski. Łaska owa ograniczała się na pozostawieniu Czechów przy życiu i czci; natomiast miała ich wiara a mianowicie ich majątek pozostać i nadal polem mściwych sztuk jezuickiéj i austryackiéj reakcyi. „Podczas tych wypadków—mówi autor—pojechał cesarz na zaślubiny swe do Innsbrucku i tutaj to odbyły się ostatnie narady w przedmiocie redakcyi mającego się wystawić generalnego pardonu, w których mianowicie wziął udział zawezwany do nich osobno Wilhelm Slawata. Dokument ten został przez cesarza podpisany dnia następnego po jego zaślubinach, 3 lutego (r. 1622). Ze względu na ten radosny wypadek należało się spodziewać łaskawéj treści; nadaremno jednakże. Utrzymano powzięte już dawniéj postanowienia oszczędzania tylko życia i czci stanów czeskich, a zabrania się natomiast do ich dóbr, ponieważ chciano się wynagrodzić za straty poniesione w ciągu wojny. Całéj szlachcie nakazano tedy pod karą zbrodni stanu stawić się przed mającą się utworzyć komisyą i posłuchać jéj dalszych rozporządzeń. I teraz jednakże jeszcze wa-

hano się z ogłoszeniem tego oryginalnego generalnego pardonu, ponieważ przez wypędzenie księży nie chciano sobie rąk wiązać a część ich dopiéro na Wielkanoc wypędzić. Porozumiewano się téż w Innsbrucku i co do sposobu, jak przeinaczyć ustawę krajową czeską, w czém Slawata ze swemi propozycyami rzecz rozpoczął i radzców wiedeńskich surowością swych poglądów przewyższył. Cesarzowi, jak się zdaje, podobały się nie tylko jego rady, lecz i jego sposób zachowania się; porozumiewał się z nim poufnie w przedmiocie przyszłych reform i zawezwał go na ostatku przy pożegnaniu w Salcburgu, dokąd mu Slawata za powrotem towarzyszył, do zdania sprawy, którego tajemnicę ściśle przestrzegać przyrzekł. Za pośrednika w dalszych stosunkach między Ferdynandem a Slawatą miał służyć nadworny radca baron von Questenberg i jego to zaklinał Slawata późniéj, aby nic z jego sprawozdania kanclerzowi Lobkowicowi nie zakomunikował. W ostatecznym przypadku chciał go przeciw całemu światu bronić; ponieważ zaś takiego przypadku na teraz nie było, nie chciał zacny ten mąż na tymczasem nikomu pozwolić zaglądać sobie w karty i domyślać się swego stosunku poufałości z cesarzem. Sprawozdania tego nie posiadamy, niestety, w zupełności; najważniejsza, przez Slawatę w szczególnéj tajemnicy trzymana, część jego, nie istnieje już. Z pisma przecież wystosowanego do Questenberga możemy się treści jego domyślać; sądzimy więc, że Slawata doradzał zniesienia w Czechach tak zwanych *„mieszanych rządów.“* Według ustawy krajowéj, była władza podzielona między króla a stany; podział podobny był Slawacie zgrozą, radził tedy cesarzowi całą władzę sobie przyswoić. Na téj radzie nie kończył się przecież z pewnością ów dokument; co jednakże daléj zawierał, jest zapewnie na wszystkie czasy zapomnieniu przekazaném.

Jeżeli tajne sprawozdanie, według domniemanéj jego treści, powinno było zadowolnić cesarza, znalazł téż zapewnie dobre przyjęcie u niego drugi, znany powszechnie dokument tego samego pióra, ponieważ schlebiał w równy sposób absolutystycznym dążnościom. W przedmiocie ustawy krajowéj doradzał zniesienie dotychczasowéj roty przysięgi, według któréj najwyżsi urzędnicy nie tylko królowi, lecz i stanom przysięgę wierności składali, przysięga ta miała się ściągać odtąd do króla wyłącznie. Od wyroku prawa krajowego miała odtąd służyć apelacya do króla, a nie być, jak dotąd, zakazaną; również miały wszystkie prawa pisane i zwyczajowe uledz rewizyi, aby być ułożonemi odpowiednio do najwyższéj władzy królewskiéj. W tym samym sensie brzmiały dalsze rady Slawaty, a usłuchano ich wszystkich przy redakcyi nowéj ustawy krajowéj. Przechodząc do spraw religijnych radził, aby tylko katolików do urzędów przy-

puszczać i aby arcybiskupowi nadano pierwszorzędne stanowisko, aby mu więc na posiedzeniach rady krajowéj to miejsce udzielono, które niegdyś panowie na Rosenbergu zajmowali. Jeżeli już powołanie Slawaty do Innsbrucku dowodziło, iż stał wyżéj w zaufaniu cesarza, aniżeli Sternberg i Martinic, których ciągle jeszcze spokojnie w Passawie pozostawiano, utwierdził się w niém przez swoje sprawozdanie jeszcze więcéj. Gdyby za kanclerzem Lobkowicem nie były przemawiały jego talent, jego wielka znajomość rzeczy, jego stosunki z posłem hiszpańskim, byłby Slawata teraz już może wstąpił na jego miejsce.

Wśród podobnych rad, wśród podobnych wpływów niecnego renegata sprawy narodowéj, wśród złowrogich a chętnie słuchanych podszeptów nuncyusza papieskiego Caraffy, roztaczał się coraz sroższy ucisk nad nieszczęsnym krajem, tém wstrętniejszy, że się na jego czynniki fanatyzm na przemian z chciwością składają. Postępując w prześladowczém dziele od szczebla do szczebla, nie poprzestano na tępieniu protestantyzmu wszelkich odcieni, lecz zabrano się do *utrakwizmu* i postanowiono zabrać wszystkie jego kościoły w Pradze na rzecz katolików. Żołnierze z muszkietami w ręku wchodzili podczas nabożeństwa do kościołów, by z nich wypędzać księży utrakwistycznych, wprowadzać katolickich. Prześladowania owe religijne dotrzymywały, jak już powiedziano, równego kroku, łupiestwu majątków. Gdy mówi autor: „nadeszły święta wielkanocne roku 1622, upominał Caraffa o dotrzymanie danego przyrzeczenia, według którego luteranie tylko do tegoż terminu mieli być cierpiani, ale i na ten raz bez skutku. Gotowano się we Wiedniu do zwiedzenia sejmu Oedenburskiego i nie chciano sobie tamże utrudniać czynności, wydając dekret banicyi przeciw tym, których krótko przedtém za ich wierność chwalono. Względy te, jako i wiadomości z Niemiec o znacznych zbrojeniach margrabiego badeńskiego i Halbersztadczyka miały nawet *to* następstwo, że postanowiono nawet teraz ogłosić *generalny pardon* i że w ten sposób położono sobie samym zawadę przeciw zamierzonemu wypędzeniu luteranów.“ Oryginalny to jednakże i ciekawy w swoim rodzaju był ów tak zwany *generalny pardon.* Pominąwszy, że ogarniał swą łaskawością *niewinnych*, bo winni odpokutowali grzech udziału w powstaniu męczeńską śmiercią na starym rynku praskim lub błąkali się w obczyźnie, ustanowił nadto swą treścią i brzmieniem zamiast, jakiegobądź przebaczenia, *kary* przeciw owym niewinnym. „Wskutek—mówi autor—nadeszłego z Wiednia polecenia, przybito pomieniony dekret na ratuszach miasta Pragi. Życie i wolność nie miały odtąd być zagrożonemi; natomiast oddano każdego, co się tyczy jego majątku niepewnym prze-

mianom szykanującego procesu. Szlachta stawała pojedynczo w Pradze przed tak zwaną radą konfiskacyjną, aby się sama oskarżać i z przestępstw swych się tłómaczyć. Obywatele miast królewskich czynili to samo, tłómacząc się przed sędzią królewskim. Ich oskarżeniom własnym i tłómaczeniom dawano mało wiary; tém więcéj zwracano uwagi na dokładność majątkowego spisu, którego żądano od każdego z osobna i według którego dobierano wagę przestępstwa. Jaki rezultat te procesy miały, opowiemy w przyszłym tomie. Aby czytelnikom naszym dać wyobrażenie o postępach reakcyi reformacyjnéj po za obrębem Pragi, wspomniemy o niektórych, najcharakterystyczniejszych w tym względzie zajściach. Dziekan litomyski, niejaki Wojciech Hajek, powołał księży swego dekanatu na zgromadzenie i oświadczył im, że na mocy dekretu papieskiego kielich świecki nie jest już dozwolony i zawezwał ich do przysięgi, że się do zakazu zastosują. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że w razie przeciwnym byliby wystawieni na prześladowania, złożyli żądaną przysięgę. Aby i świeckich do podobnego skłonić posłuszeństwa, radził Hajek, aby opornym nie udzielać sakramentów, nie dawać ślubów, nie odprawiać w zwykły sposób pogrzebów, a jeszcze większe kary przeciw tym wymierzać, którzyby odwiedzali księdza heretyckiego. Kiedy sprawozdanie Hajka zapowiadało pewną skuteczność jego działalności, uskarżał się proboszcz z Usti nad Labem (Aussig), że wszystkie jego usiłowania są nadaremne i że obywatele miasta i wieśniacy okoliczni trzymają się predykanta, którego wypędzenia u Michny napróżno się dotąd domagał. Również skarżył się proboszcz z Pardubic, że w Chrudimiu przebywa perdykant, jakkolwiek jest przez Michnę wypędzonym. Jeżeli tak w Chrudimiu, w Usti i w innych miejscach nie postępowano sobie z należną surowością, nie grzeszono łagodnością w Taborze, gdzie podjęto skatoliczenie po pogromie Czechów, a dzieło to powierzono członkowi wyszehradzkiéj kapituły. Nowy proboszcz zwrócił główną uwagę na to, aby powiększyć swe dochody, o ile możności, i w Taborze wyższe zająć stanowisko; równocześnie jednakże uderzył na przeciwników z tąż samą stanowczością, jak kolega jego w Litomyślu. Nikt nie dostawał odeń ślubu, kto się nie przyznał do katolicyzmu; wszelkie reminiscencye czeskiéj liturgii prześladował bezwzględnie i groził tym, którzy się jego postanowieniom nie poddawali, konfiskatą dóbr i innemi karami.“

Przeszkodę pewną i zawadę w prześladowczéj owéj działalności reakcyi jezuicko-austryackiéj przedstawiał ciągle jeszcze elektor saski. *Politycznie* niewolniczy i nikczemny sługa polityki austryackiéj, *religijnie* nieprzyjaciel utrakwizmu czeskiego i kalwinizmu, za to tém fana-

tyczniejszy w sekciarstwie właściwém owéj epoce wyznawca i zwolennik luteranizmu, poczuwał się do obowiązku obrony księży i kościołów luterskich w Czechach, a zapewnienia, jakie początkowo w téj mierze ze strony dworu wiedeńskiego odbierał, zdawały się instancyom jego zupełną zaręczać skuteczność. Tymczasem miała się tu stwierdzić prawda przysłowia francuskiego *l'appétit vient en manegant.* Po zniesieniu kalwinizmu, po stłumieniu utrakwizmu, przyszła kolej wcale niełagodniejszego prześladowania na luteranizm, a zwycięzcy uważali się za zbyt pewnych swéj sprawy, aby się kłopotać choćby o najgniewniejsze instancye elektora saskiego i jego nadwornego kaznodziei Hoëgo. Nuncyusz Caraffa dodawał Ferdynandowi pod tym względem odwagi, kardynał Dietrichstein w Morawii, książe Lichtenstein w Czechach odebrali rozkaz wypędzenia lutrów. „Książę Lichtenstein—mówi autor—rozpoczął po powrocie swym do Pragi dzieło wypędzania od tego, że d. 21 i 22 października r. 1622 członków staro i nowomiejskiej rady ponownie zmienił i przy téj sposobności wszystkich zwolenników wyznania czeskiego usunął. Tego samego dnia ograniczył też zakres działalności królewskiego naczelnika miasta Pragi, który odtąd obok sędziego królewskiego nadzorem nad gminą miał się trudnić. W instrukcyi, jaką mu udzielono, powierzono mu dospozycyą nad własnością gminną i nad jéj dochodami w tym samym zakresie, w jakim dotąd burmistrzowi służyła. Każdy swobodny ruch gminy w jéj sprawach, każda narada cechów i innych wszelkich stowarzyszeń miejskich miały podlegać kontroli naczelnika miasta, a w ogóle życie publiczne być wzięte w ścisłe kluby. Równocześnie z tą instrukcyą odebrał gubernator miasta Herman Czernin polecenie, zawezwać niemieckie duchowieństwo Pragi i zakomunikować mu rozkaz banicyi. Czernin wypełnił rozkaz i zakomunikował zawezwanym, że się mają powstrzymać od wszystkich funkcyi a w przeciągu czterech dni Pragę i kraj opuścić. Rozkaz banicyi rozciągał się i na nauczycieli niemieckich, a jakkolwiek tak oni, jak księża, o przedłużenie terminu prosili, ponieważ im rzeczą niepodobną w tak krótkim czasie rozporządzić swém mieniem i swemi rodzinami, przedłużono im go przecież tylko o jeden dzień. Spakowani na jeden wóz, eskortowani przez oddział żołnierzy rozpoczęli podróż 29 października i puścili się w drogę ku Dreznu. Znaczny, na tysiące liczący się tłum ludzi odprowadzał ich przeszło pół mili drogi, a gdy rozstawać się przyszło, wstąpił magister Lippach, przewódzca wypędzonych na pagórek i pożegnał się, po pełnéj wzruszenia mowie, wśród łez, z pozostałymi. Składka, zebrana pomiędzy nimi przy téj sposobności, przyniosła 400 złotych, które odjeżdżającemu pastorowi, doręczono. Równocześnie czy krótko późniéj spotkał rozkaz wygnania probo-

szcza z Hniewina (Brüx), który go bezzwłocznie spełnił i do Norymbergi się udał. Po zakomunikowaniu dekretu banicyjnego duchownym luterskim, dotknął dnia następnego miecz Damoklesa rektora i profesorów uniwersytetu praskiego. Jezuici wyzyskali swe stanowisko u cesarza, aby z pominięciem służących historycznie arcybiskupowi praskiemu praw kanclerskich, upomnieć się o oddanie uniwersytetu pod swą wyłączną władzę i jak na teraz, doszli do celu swych życzeń. Cesarz wydał rozkaz, aby zwolennicy czeskiego wyznania opuścili gmach uniwersytecki i oddali takowy, podobnie jak wszelką inną posiadłość Jezuitom, jako jego na przyszłość kierownikom. Rozporządzenie dotknęło nie tylko protestantów, ale i katolicy a mianowicie duchowieństwo było niem nieprzyjemnie dotknięte, że Jezuici mają być odtąd jedynymi panami uniwersytetu. Arcybiskup, który za późno o dekrecie cesarskim wiadomość odebrał, aby mu módz zapobiedz, zaprotestował wprawdzie przeciw niemu i zakomunikował go też nuncyuszowi; wszystko jednakże nadaremno. Następca jego, kardynał von Harrach, który się nie chciał zgodzić na pokrzywdzenie swych praw, podjął rezolutnie walkę; przeszło dwadzieścia lat trwał zatarg między nim a Jezuitami, którzy z opanowanego stanowiska na żaden sposób nie pozwolili się wyprzeć. Ze strony kardynała przychodziło do najzaciętszych skarg i wycieczek przeciw Jezuitom; mimo to nie mógł ich wyprzeć, ale tylko, jak niżéj opowiedzianém będzie, doprowadzić do ograniczenia praw przez nich pozyskanych. Po oddaniu uniwersytetu, powierzono też Jezuitom cenzurę książek, przeciw czemu arcybiskup Lohelius również jako przeciw nadwerężeniu swych praw inkwizytorskich protestował, lecz i ten protest pozostał bezskutecznym.“

Co wśród wszystkich prześladowań rzeczą naturalną wprawdzie, ludzką, ale mimo to bolesną, to upadek ducha, to słabość, to schlebianie zwycięzcy, to pełzanie wobec zwycięzkiéj przemocy. Wiele szlachty, mieszczaństwa, uczonych przechodziło, by się reakcyi austryacko-jezuickiéj przypodobać, z wyznania czeskiego na katolickie, między innymi dwóch profesorów uniwersytetu praskiego, Deutschenberg i Campanus, ostatni słynny onego czasu poeta, który nie wstydził się poświęcić natchnienia swéj Muzy nowo-przyjętéj wierze i szarpaniu ofiar zwyciężonego ruchu. Zdzierstwo zaś fiskalne, jak nie dość często przypominać należy, postępuje na téj smutnéj i ponuréj widowni ciągle równym krokiem z prześladowaniem religijném. „Nasza charakterystyka — mówi autor—przygotowujących się powoli zmian kościelnych w Czechach byłaby niedokładną, gdybyśmy równocześnie nie wspomnieli o usiłowaniach, które duchowieństwo katolickie podejmowało ku powiększeniu swego stanu ma-

jątkowego. Powiedziano już, że mu zwrócono dobra skonfiskowane i że potrzebom jego przychodzono w pomoc od czasu do czasu asygnacyami pieniężnemi. Na tém jednakże nie poprzestawało duchowieństwo katolickie; przeciwnie, podjęło plan zażądania zwrotu dóbr, które doń w czasach przedhusyckich należały, a arcybiskup Lohelius przewodniczył mu dobrym przykładem. Już w kilka dni po bitwie na Białéj Górze wystąpił do cesarza z prośbą o zwrót wszystkich należących od utworzenia arcybiskupstwa praskiego do niego dóbr. Gdy cesarz nie pospieszał z wysłuchaniem téj prośby, wysłał arcybiskup opata strahowskiego Questenberga i kanonika Platteisa do Wiednia, aby przez nich sprawę tę traktować i odwołał się téż do usług nuncyusza po uproszeniu sobie pośrednictwa papieskiego w sprawie restytucyi. W ponowném podaniu do cesarza, wyszczególnił arcybiskup dobra, których oddania żądał, przyczém jednakże stan dawniejszéj posiadłości bardzo nisko oceniał, ponieważ tenże, jak teraźniejsze poszukiwania dowodzą, na daleko większy obszar się rozciągał. Ferdynand polecił tedy księciu Lichtensteinowi, zadosyć uczynić według możności prośbie arcybiskupa i zdać równocześnie sprawę z tego, jakby liczba kanoników katedralnych i innych sług kościelnych mogła być pomnożoną i odpowiednie środki do tego przygotowane. Wskutek tych upomnień arcybiskupa, do których się przyłączyli późniéj wszyscy opaci klasztorni, mianowicie opat Questenberg, a dzięki gorliwości, z jaką nuncyusz takowe popierał, darowano w ciągu lat 1621 i 1622 duchowieństwu w Czechach kompleks dóbr, których wartość obliczano urzędownie na 1.500.000 talarów czyli na połowę wartości dóbr skonfiskowanych przez cesarza. Według jakiéj zasady rachunek ten układano, nie wiadomo, gdyż, skoro wartość skonfiskowanych do końca czerwca roku 1621 obliczano na pięć milionów, jak to we właściwém miejscu nadmieniliśmy, nie można w żadnym razie na półtora miliona obliczonéj ziemskiéj posiadłości za połowę uważać. Być może, iż cesarz aż do roku 1622 nie wydobył ze sprzedaży dóbr nad trzy miliony i że tę sumę za podstawę wzięto. Cokolwiek-bądź, pokazuje się przecież, iż cesarz względem duchowieństwa nie okazał się skąpym, lecz przeciwnie przez ogromne owe donacye świetną karyerę mu otwierał. Apetyt był jednakże podrażnionym a udarowani nie byli zadowolnieni. Wszystkie klasztory bez wyjątku domagały się jeszcze gwałtowniéj restytucyi posiadłości, jaka im przy fundacyi była przeznaczona i prosiły dla tego, aby się powstrzymano ze sprzedażą tych i owych dóbr kościelnych. Wielu księży nie wstydziło się z ambony skarg wytaczać, że cesarz się leni ze zwrotem dóbr, i nie pamiętali o tém, że mają przed sobą słuchaczy, którzy się podobną chci-

wością tylko zgorszyć mogą. Skargi ich zwracały się téż przeciw dwóm najwięcéj wpływowym mężom Czech, przeciw Lichtensteinowi i Albrechtowi von Waldstein, którzy się zakupnem szerokich włości trudnili, w czém sobie kościelnémi reklamacyami przeszkadzać nie pozwalali i dla tego z czynem dokonanym wystąpić postanowili. Arcybiskup, który się podobnéj ich intencyi domyślił, prosił nuncyusza o jego pomoc, aby zamierzone kupna nie były uważane za prawnie obowiązujące. Rzeczywiście nakazał téż cesarz, aby żądania duchowieństwa czeskiego poddano śledztwu i zdano mu następnie sprawę. Książę Lichtenstein odbywał szerokie narady z radcami administracyi czeskiéj i innymi wysokimi urzędnikami, którzy wszyscy razem nie entuzyazmowali się wcale dla życzeń duchownych, ponieważ téż tego wobec ich wybujałości czynić nie mogli. Książę zdał sprawę cesarzowi, poradził niezwłoczne oddalenie petentów i dał dość jasno do zrozumienia, że nie widzi z ich strony najmniejszéj skromności. Możnaby go za jego polityczną stanowczość pochwalić, gdyby takowa była następstwem jego zastanowienia a nie jego osobistego interesu. Duchowieństwo zostało ze swém żądaniem oddalone; w jaki sposób cesarz jego późniejszym prośbom i potrzebom zadosyć uczynił, opowiemy niżéj“...

W taki to wstrętny, ohydny sposób, toczył się w łonie zwycięzców Czech spór o zdarte ze zwyciężonych bezprawnie i niegodziwie łupy. *Morawia* znajdowała się pod tym względem w szczęśliwszém nieco położeniu. Bliskie sąsiedztwo, możliwa odsiecz Bethlen Gabora powstrzymywała tutaj krwawe wyroki, powstrzymywała nieco prześladowania religijne, nakładała do pewnego przynajmniéj stopnia wędzidło zdzierstwu majątkowemu. Wszystkie te względy przecież nie przeszkodziły, iż pod koniec r. 1622 zwycięzka reakcya wypędziła z kraju 20.000 przeszło pracowitych, uczciwych, oddanych handlowi i rzemiosłom anabaptystów. Wypędzeni, pozbawieni własności, wynieśli się po większéj części do Węgier, gdzie pod opieką Bethlen Gabora znaleźli przytułek i bezpieczne schronienie. Kronika współczesna morawska wspomina w téj chwili téż właśnie, jakoby w uzupełnieniu rozgrywającéj się nad krajem tragedyi, imię męża, znakomitego obywatela, który na początku zrywającéj się burzy chciał napróżno stawać w roli rozjemcy i pośrednika między powstaniem a cesarzem, który zaś późniéj, widząc bezowocność swych usiłowań, skazał się sam dobrowolnie na milczenie, by dać znów znak życia w stosownéj porze. Jest nim zacny Karol z Żerotina. Wobec srożącego się nad krajem ucisku, spieszy do Wiednia, by tutaj przypomniéć swoje bezinteresowne rady i usługi, a w imię ich odezwać za zdeptanemi prawami ziomków i ojczyzny. Dla ludzi, jak

on, nie było tu już jednak miejsca. Jak go poprzednio nie chciała słuchać rewolucyjna namiętność ziomków, tak teraz nie chce go słuchać mściwa reakcya zwycięzców. Wielki obywatel Morawii opuszcza kraj i osiada na Szląsku.

Dobiegamy kresu naszego sprawozdania, sprawozdania z dziejów epoki najsmutniejszéj i najkrwawszéj pono w życiu naszych pobratymców czeskich. Jak widzimy z dzieła profesora Gindelego podały sobie zgodną rękę dwa zgubne czynniki, by po nieszczęsnéj bitwie pod Białą Górą pogrążyć w ostateczną przepaść dwuwiekowego letargu sprawę, kraj i naród czeski. Czynnikami temi są z jednéj strony dziwny upadek ducha i niedołężność czeska, z drugiéj strony barbarzyństwo i energia austryacko-jezuickiéj reakcyi. Bitwa pod Białą Górą, jakkolwiek klęska i dotkliwa klęska, nie rozstrzygała właściwie przecież niczego, przeciwnie może rozszerzała widnokręg sprawy, podjętéj przez powstanie czeskie, wywołala na scenę niespodzianych sprzymierzeńców, zamieniała rozruch ubocznéj wagi na kwestyę wielkiego, europejskiego znaczenia. Znaczna część twierdz kraju znajdowała się jeszcze w ręku powstania; Bethlen Gabor nadciągał z odsieczą; armia czeska nie znajdowała się jeszcze w stanie zupełnego rozkładu i rozstroju; protestancka unia Niemiec zabierała się dać pomoc. Czechy nie miały jednakże człowieka, lepiéj powiedziawszy, nie przedstawiały duchowego nastroju, który zdolny człowieka wydać, a nie przedstawiały go dla tego, że ruch ich nie będąc narodowym, pozbawiwszy się rozgrzewającego i zapalającego massy czynnika, jakim jest sprawa swobody i niepodległości narodowéj, utonął i stopił się w kosmopolityczném wstrząśnieniu religijném współczesnéj Europy. Ztąd to nie odwołują się ani król Fryderyk, ani jego różnojęzyczni wodzowie, ani „*dyrektorowie*“ czescy, za wzorem Korybutów, Żyżków czy Prokopów, do mass ludu czeskiego zbrojnych w cepy, kosy i *jutrznie*, —nie gromadzą się w tabory domowego ogniska, lecz idą jedni cierpliwie i rezygnacyjnie jak baranki pod nóż austryackiego rzeźnika, drudzy odbiegają owego ogniska, by szukać sprzymierzeńców, którzy gotowi pójść na odsiecz sprawie protestantyzmu, nie rozumieją narodowéj sprawy czeskiéj. Grzech opuszczenia sztandaru narodowego, by nadeń przenieść sztandar idei kosmopolitycznéj mści się strasznie na Czechach. Mściwa reakcya zwycięzców zabiera się umiejętnie i gruntownie do dzieła. Ferdynand, mający do pomszczenia znieważoną władzy swéj powagę; Caraffa mający do zyskania dla kościoła kraj i ludność, oddawna z nim w zatargu żyjące; Slawata mający do spełnienia dzieło osobistéj zemsty a zmyślny i okrutny, iak wszyscy renegaci, podają sobie ręce ku zgnieceniu i zadeptaniu na wszystkie czasy i wieki niebezpiecznego wul-

kanu. Mniejsza, że padły pod ciosami ich zemsty najszlachetniejsze głowy Czech, mniejsza, że kwiat narodu czeskiego, o ile go ręka téj zemsty dosięgnąć nie zdołała, rozproszył się za granicę i więdnął w tułaczce. Groźniejszym dla przyszłości kraju był ów system reakcyi, który się zabrał z szatańską istnie zmyślnością do zniszczenia materyalnego i duchowego pnia narodowego. Uczy nas sumienne i szczegółowe opowiadanie prefesora Gindelego, jak z jednéj strony cały system rządowy po gromie białogórskim zamienił się na ogromną machinę zbiorowego wywłaszczania narodu czeskiego, podkopywania jego materyalnego bytu, uczy nas z drugiéj strony, jak owa reakcya przekreśliła jednym zamachem całe duchowe życie narodu, jak mu odebrała jego swobodę religijną, jak mu zatamowała kanał oddechowy do zaczerpnienia rodzimej oświaty. Zdawaćby się było mogło, że po owém Tarkwiniuszowém zrzuceniu naczelnych głów narodu, że po zdławieniu i zgnieceniu skrwawionego tułowu, że z pod owych dwóch z równą zabójczością działających czynników zewnętrznego ucisku i własnéj prostracyi ducha, nie świta już żadna przyszłość. Dwa wieki przeszło dawały podobnemu przypuszczeniu słuszność, dwa wieki trwał ów letarg, by nareszcie za dni naszych rozbudzić się w życiu, by powiedzieć, że nie był śmiercią, by dać cudowne świadectwo niespożytości narodu, który choćby schowany do katakumb, *chce* przecież żyć i z grobowego schowania na światło dnia białego chce się wydobyć.

Jarochowski.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XXVI.

Różne kółka towarzyskie, stojące bliżéj osób naszéj powieści, miały teraz czém się zabawiać. Zaledwie tydzień upłynął od ostatniego wieczorku u państwa Alfonsów, a już natworzono mnóstwo rzeczy, które istniały i wcale nie istniały.

Piękna, tajemnicza kobiéta wystąpiła teraz z swego ukrycia i publicznie zmierzała do ostatniego aktu dramatu swego. Chodziła co wieczór prawie do teatru w towarzystwie angielki, ale przed upływem pierwszego aktu zjawiał się w głębi loży młody mężczyzna, mile bardzo przyjmowany. Loże przeciwległe lornetowały wtedy pilnie oboje, a lornetowani wcale się o to nie turbowali. Rozmawiali z wielką swobodą, jak ludzie należący do siebie. Młody mężczyzna pozostawał w loży przez cały czas.

Oprócz loży widziano ich także często w powozie. Używali różnych wycieczek i razem wszyscy troje wracali do willi.

Wszystko to widziano i wyprowadzano z tego rzeczy bardzo proste. Widziano w nich prawie narzeczonych i niktby się nie zadziwił, gdyby ktoś wiadomość przyniósł, że w kościele św. Floryana odbył się ślub młodéj pary. W związku takim nie widziano nic dziwnego.

Jerzy przez ten czas znikł prawie z horyzontu. Czy się wstydził przegranéj, czy bolał rzeczywiście nad zawodem tak świetnych planów swoich, czy wreszcie myślał nad jaką nową kampanią, która-by go tam naprowadzić mogła, gdzie ta nie zaprowadziła, o tém nikt nie wiedział. Wiedziano tylko, że z miasta nie wyje-

chał, że czasem późnym wieczorem jedzie w kierunku willi, ale nie swoim ekwipażem, tylko zwykłą dorożką, że ztamtąd wraca w humorze jak najgorszym i w dodatku, że dwóch już służących w ciągu jednego tygodnia odpędził! W teatrze nie widywano go nigdy. Wprawdzie utrzymywała pani Aurora, że bywa przebrany na galeryi i stamtąd *à vol d'oiseau* wpatruje się w zielone winogrona, które w loży pierwszego piętra tak roskosznie się rozpierają!...

Najwięcéj na tém cierpiał pan Alfons. Kuzynek skompromitował go wobec tych wszystkich, przed którymi on Laurencyę jako przyszłą swoją kuzynkę w tak świetném wystawił świetle. Do tego opozycya nie próżnowała i codziennie znosiła mu różne przysmaki, które go do rozpaczy przyprowadzały!

Na nieszczęście nie można było jeszcze w téj sprawie wypowiedzieć ostatecznego słowa. Nie przypuszczano, aby to było już ostatnim aktem komedyi. Gdyby miano tę pewność, powiedziano by po prostu, że Jerzy musiał się z drogi cofnąć. Resztę dodawanoby po cichu do ucha. Ale Jerzy jeszcze nie dał za wygraną. Wycieczki jego wieczorne i rekluzy domowe okazywały, że jeszcze nie wyrzekł się swoich planów, że nie przebolał ich i że jeszcze może się kartka odwrócić. Takie położenie wymagało przezorności, wymagało wprawdzie zrobienia pewnéj pauzy, ale nie można było powiedzieć, że już po wszystkiem!

Była-to sytuacya bardzo niewygodna. Trzeba się było spotykać z różnemi spojrzeniami, które pytały, z półsłówkami, na które jakoś trzeba było odpowiedzieć, a byli i tacy poczciwcy, którzy prosto z mostu w rzeczy tak delikatnéj pytali:

— A cóż tam do licha, złote runo porwał inny? Czy to prawda?

Daleko lepsze było położenie Teodora. Znajomi mówili o nim jak o człowieku, który się „w czepku urodził.“ Komisarz od akcyzy był takim zwrotem rzeczy zachwycony, a jeżeli jeden i drugi kolega z pewnym zagadkowym uśmiechem na niego spojrzał, każdy jednak miał tyle delikatnego poczucia, że o téj sprawie z nim nic nie mówił. Chociaż bowiem byli tacy, co mu tego „szczęścia bez pracy“ całém sercem zazdrościli, to znowu znalazł się ktoś, który na takie niezarobione szczęście mocno głową ruszał...

Sam Teodor nie zastanawiał się nad tém, czy zasłużył sobie czy nie zasłużył na to szczęście. Każdy człowiek pragnie szczęścia, on czuł się szczęśliwym... a czy zasłużył na to, czy nie, nie było jego sprawą. Mógł wierzyć, że zasłużył, jeżeli nie w przeszłości swojéj, to niezawodnie w przyszłości zasłużyć może! Robił nawet już plany, jak ze swego stanowiska korzystać będzie... dla dobra publicznego!

Pewném jednak było, że się czuł bardzo szczęśliwym. Cała jego postać dzisiejsza wyrażała szczęście. Twarz miał ożywioną, oczy błyszczały zawsze jak dwa Marsy, a ruchy jego były tak swobodne jak u człowieka, któremu wszystko po myśli idzie.

W takiem usposobieniu stawał często przy otwartém oknie i tamże spotykał się z groźnem obliczem dyrektora... Często nie widział nawet dyrektora, stał długo i rozmarzoném okiem patrzał wprost naprzeciwko, co poczciwego męża wprowadzało w rozpacz prawdziwą.

Szczęście Teodora nie przeszkadzało mu wrócić napowrót do swojéj pierwszéj kochanki i bieg jéj po niebie dokładnie obliczyć. Sama Laurencya zachęciła go do tego. Rozpoczął więc na nowo rachunek, pisał, rachował i mazał, a chociaż znowu zaszła jakaś pomyłka, wierzył, że do celu doprowadzi.

Nad biegiem drugiéj komety, która w willi zamiejskiéj mieszkała, także czasem się zastanawiał. Rachunek tutaj już prawie był załatwiony, brakło tylko zakończenia, a to już go omylić nie mogło!.. Kochała go, a w zwykłych warunkach życia od miłości do ołtarza nie jest daleko.

I stało się pewnego pięknego wieczora, że wyszedłszy z domu, szedł w prostym przed sobą kierunku, szedł całą godzinę i sam niewiedział, jakim sposobem zaszedł tuż pod bramę willi.

Przy bramie stała dorożka. Zapytany dorożkarz odpowiedział że od godziny czeka tu na pewnego pana, którego przywiózł.

Ogarnął go jakiś niepokój. Zadzwonił u drzwi wchodowych. Wyszła służąca i oznajmiła, że pani dzisiaj go przeprasza, gdyż jest trochę słabą.

Niepokój jego powiększył się. Obawiał się téj choroby. W wyobraźni widział już ją na łożu śmiertelném... widział ją w białéj sukni z kwiatami na głowie... widział trumnę cynkową i karawan wyzłacany...

Nogi jego nie chciały się wstecz wrócić. Przeciwnie obeszły cały ogród do koła i stanęły tam, gdzie właśnie przed tygodniem stał nieszczęśliwy Jerzy, zwyciężywszy takie przeszkody, jakiemi były: żywopłot, fosa z wodą i agrest.

Stał właśnie pod oknem, z którego wychodziło światło różowe. I byłby tam stał do rana i nicby nie był ujrzał, gdyby nie pies kudłaty, który teraz do niego się zbliżył i na wszystkie strony począł go oszczekiwać.

Szczekanie psa zaciekawiło kogoś w różowym pokoju, bo nagle podniosła się stora a znane mu dobrze loczki Angielki zarysowały się na szybie...

Po za Angielką, w głębi pokoju ujrzał misterną fryzurę Laurencyi, która siedziała na fotelu plecyma obrócona do okna. Była w toalecie bardzo starannéj, która wcale nie świadczyła o żadnéj chorobie...

Naprzeciw niéj siedział mężczyzna z czarnemi bakenbardami, które od czasu do czasu palcami rozczesywał. Oboje byli zatopieni w rozmowie...

Czy Angielka nie widziała go, czy tylko nie chciała go widzieć, tego nie mógł odgadnąć. Stora spuściła się napowrót, a on został pod oknem sam, śród ciemności, niepokojony do tego przez psa, który niczém nie dał się uspokoić.

Położenie jego zmieniło się nagle...

Jak w obliczeniu biegu pierwszéj komety, tak i teraz w jego marzeniach zaszła nagle jakaś pomyłka, któréj nie mógł rozwiązać. I bieg drugiéj komety zaczął dla niego być zagadką niemałą!... Dziwna rzecz, że sama Laurencya nazwała się niejako kometą!...

Teodor wrócił do domu, nie rozwiązawszy zagadki. Rzucił okiem na rachunek, który przed wyjściem na stole zostawił, a który tak bliski obiecywał mu już rezultat pomyślny, teraz od razu poznał pomyłkę i... cały rachunek był daremny.

Cóż się stanie z drugim jego rachunkiem? Dotąd wszystko szło dobrze—dziś zaczyna się wkradać zagadka, gorsza od najgrubszéj w liczbach pomyłka!...

Nazajutrz miała ta zagadka się rozwiązać. Przed wieczorem poszedł do willi. . został serdecznie przyjęty. Laurencya była bardzo uszczęśliwiona, rozmawiali przy świetle różowém i błękitném... a nawet zwierzyła mu się, że były pretendent do jéj serca i ręki był wczoraj u niéj z wizytą i że mu najmniejszéj nie robiła nadziei!...

Słowa te były szczere, bo towarzyszyły im niemniéj szczere i bardzo wymowne spojrzenia...

Teodor był teraz w dwójnasób szczęśliwy. Wiedział teraz, że miał rywala i że nad nim odniósł świetne zwycięstwo.

A dowody tego zwycięstwa były nie małe. Mógł słyszéć gorąco bijące serce Laurencyi, czuł drżenie ręki, którą trzymał w swojéj dłoni i słyszał słowa tak roskoszne, na jakie tylko gorąca miłość zdobyć się może.

Powrócił do domu śpiewający. Nie dość mu było czterech ścian zamkniętych—otworzył okna i śpiewał.

Dyrektor po całodziennych czarnych myślach swoich zabierał się właśnie do słodkiego odpoczynku, gdy nagle usłyszał śpiew barytonowy. Przystąpił do okna i ujrzał nieprzyjaciela, który oczywiście Elżbiecie odśpiewywał hiszpańską serenadę!

Biedny dyrektor miał noc bezsenną, a gdy nad ranem zasnął śniło mu się, że widział ogromny pożar, że z ziemi wybuchał ogień z siarką, a on żywcem piekł się na tém ogniu... Szczęściem przebudziła go filiżanka wybornéj kawy, nalanéj własną ręką Elżbiety!

Nie tak szczęśliwym był Teodor po przebudzeniu. I jemu coś śniło się niedobrego. Był niespokojny do trzeciéj godziny po południu, a gdy o téj godzinie do willi przyszedł, zastał tam atmosferę, która wcale do wczorajszéj nie była podobną!

Laurencya przyjęła go zimno. Nie siadła na ulubionéj kanapce pod oknem, gdzie dla obojga byłoby miejsce, ale zajęła fotel tuż obok Angielki, a jemu zostawiła drugi; stał na całą długość stołu od niéj oddalony. I do rozmowy wciągnęła zaraz na wstępie swoją towarzyszkę i wytrwała w tém aż do końca wizyty. Niczém były najkunsztowniejsze zwroty Teodora, aby rozmowę zmienić. Wstawał z fotelu, patrzał przez okno na Marsa i Wenerę, wchodził kilka razy do błękitnego pokoju—Laurencya nie rozumiała dzisiaj jego chęci i pozostała niewzruszona na swoim fotelu. Nie spojrzała nawet ani razu na niego—odpowiadała krótko i węzłowato, jakby najprędzéj chciała się go pozbyć...

Teodor nie mógł rozwiązać téj nowéj zagadki i nie mógł nawet w obec trzeciéj osoby zapytać się o nią.

Wizyta zakończyła się chłodno i sztywnie, jak się zaczęła. Laurencya była zamyślona, gdy mówił do niéj, a czasami nie umiała mu nawet na jego pytania odpowiedziéć, gdyż ich wcale nie słyszała!...

Z ciężkiém sercem wyszedł Teodor z bramy willi, a gościnna gospodyni zapomniała odesłać go karetą, co dotąd zawsze było w zwyczaju!...

Nazajutrz była znowu Laurencya... chorą. Czarna rozpacz pożerała biednego człowieka. Za to nagrodzono go znowu następnego dnia. Laurencya była serdeczna, była ową dawną rusałką z błękitnego pokoju, gdy do różowego uszka szeptał jéj słodkie jak miód słówka...

Takie fluktuacye pogody i słoty nastąpiły teraz w życiu młodego astronoma. Biegu niebieskiéj komety nie mógł w żaden sposób obliczyć, a teraz okazało się, że jeszcze trudniéj o zbadanie komety ziemskiéj, która w czarnym stroju bolejącéj kobiéty przebiega tajemniczą elipsę życia...

Daremnie myślał po całych nocach bezsennych nad jedną i drugą zagadką i gdy zdawało mu się, że już przy końcu, okazało się, że nawet jeszcze nie zaczął!...

Myśli te i troski trapiły go, nadzieja i obawa wyczerpywała siły jego. Wiedział, że pod nawałem tych uczuć niepewnych więdnie i zamiera, lecz krył się z tém cierpieniem przed światem, jak się kryje w niedostępne knieje ptak konający!...

Czasami tylko, gdy burza w jego duszy wrzała, gdy huragan nieokiełznany rozpierał serce jego... okazywał mu się w przezroczu okna przeciwległéj kamienicy cichy profil blondynki, która jakąś prostą piosenkę śpiewała...

Widok tego spokojnego profilu bladéj twarzy — prosta melodya piosenki bez żadnéj forsownéj brawury — i cała otaczająca ten obrazek atmosfera sprawiała na nim wrażenie jakiegoś chłodnego balsamu...

Trwało to jednak bardzo krótko. Ciemna twarz z gorejącém okiem stanęła nagle jak demon przed nim... i jednem skinieniem ręki kazała mu iść za sobą w szalejące morze płomieni...

I on szedł za nią!

XXVII.

Pewnego wieczora ubrał się pan Protazy w swój szlafrok ulubiony i zasiadł na wytartym fotelu przed biurkiem.

Były bohater miłostek wyglądał dzisiaj bardzo niefortunnie. Twarz miał żółtą jak pergamin, usta zakąszone z pewnem wewnętrznem nieukontentowaniem. Małe, ukośne oczka jego połyskiwały jak blask próchna wśród ciemnéj nocy.

Wszystko to, co go dzisiaj otaczało, postarzało się i zamierało z nim razem. Obrazy wiszące na ścianie pożółkły i poczerniały, zegar z rozbitym cyferblatem wyglądał jak okaz antykwarski, firanki u okien zadymione przypominały mgły przedzimowe, a meble starożytnych kształtów uzupełniały cechę starości, która w tém mieszkaniu powoli chyliła się do grobu!...

A przecież dawniéj wyglądało tu wszystko inaczéj. Pan Protazy był młodym, a nawet dosyć urodziwym, umiał się podobać, a to, co go dziś otacza, było wtedy także wraz z nim nowe, świeże i podobało się!... Dzisiaj to wszystko postarzało się wraz z nim, gust się zmienił, inne meble, inne materye zajęły miejsce dawnych, a tu na świadectwo starości swojéj pozostało jak dawniéj było!...

Pan Protazy na tém tle starém wyglądał jeszcze starszym. Nie widać tu żadnéj opieki młodszego pokolenia — żadnéj młodszéj ręki, któraby to otoczenie starego człowieka mogła odświeżyć, odnowić! Nie ma ani dzieci, ani wnuków, owéj szczebiotliwéj drużyny, która

dziaduniowi cień grobu zasłania — nic nie ma... on sam... sam jeden kona tutaj powoli!...

O gdzież jego wspomnienia, któremi karmi się dusza, gdy już od świątu ucieka?... W tych wspomnieniach tkwi przecież rozkosz starego człowieka — stają one przed nim jak udatne kopie tego, co dawniéj żyło!... Gdzież są one, dlaczego nie napełnią téj atmosfery, w której już czuć stęchliznę grobu?...

Pan Protazy nie był bez wspomnień. Siedzi on przed biurkiem i otwiera jedną szufladkę po drugiéj. Ztąd wybiera jakieś wiotkie, wypłowiałe papiery, ztamtąd różne rysunki i miniatury. Powoli przeciera je, wykrzywia twarz zżółkłą, a ślina jadowita występuje mu na usta!...

Cóż to za wspomnienia, które taki jad w duszy wyrabiają? Czemuż wywołuje je, aby jak niedźwiadek własnem żądłem się zabijać? Czy sam taki wyrok wydał na siebie?

Obok niego — w mieszkaniu Teodora — kipi właśnie życie w całéj pełni. Przyjaciele i koledzy zeszli się do niego, i wesołą pogadanką przepędzają wieczorek. Śmiech i dowcip nie ustaje — a młode życie wylewa z brzegów czary!...

Dziwny jest kontrast tych dwóch obrazów. Być może, że właśnie ten kontrast tak źle usposobił dzisiaj człowieka, który młodość roztrwonił, a starym być nie umiał!...

Pan Protazy właśnie zabierał się do różowego pakieciku listów i bazyliszkowém okiem swojem już naprzód rozdzierał je i targał — gdy drzwi cicho się otworzyły, a na progu pojawił się zacny jego sąsiad z naprzeciwka.

Dyrektor nie lubił teraz swego sąsiada i często w skrytości duszy przeklinał go siarczyście. On podniósł przed nim zasłonę życia i odebrał mu spokój domowy. Ową rozmową swoją, na którą złożyły się doświadczenia jego, zaszczepił mu jad w duszy, z którego w żaden sposób nie mógł się uleczyć. Na każdym kroku spostrzegał teraz coś, czego dawniéj nie widział — w każdem słowie słyszał to, co dawniéj było mu zupełnie obcem!...

A wszystko to zrobił kochany sąsiad i życzliwy przyjaciel. Za tę życzliwość byłby go teraz jaknajchętniéj wysłał do stu... ale stało się, cofnąć już tego nie można było. Rzucone ziarno rosło i rosło — a przewidywany owoc tego ziarna odbierał mu sen w nocy, a we dnie zadawał mu tortury różnego rodzaju.

Dyrektor był teraz podobny do człowieka, któremu dano do przeczytania książkę lekarską. Dawniéj czuł się zdrowym, po przeczytaniu książki obawiał się téj i owéj choroby — a nawet spostrzegał już zarodki śmierci niedalekiéj!... Nierad był owéj książce le-

karskiéj, gniewał się na nią, że ją czytał, przeklinał wszystkich tych, co takie książki piszą... ale gdy obawa przed urojoną chorobą doszła do najwyższego stopnia, nic mu innego nie pozostało, jak udać się do — autora książki!...

Tak samo uczynił teraz dyrektor. Trapiony czarnemi myślami, nie mogąc sobie tego i owego w sprawach swoich domowych wytłómaczyć, postanowił pójść do człowieka, który pierwszy na takie niebezpieczeństwa życia zwrócił jego uwagę, a który teraz z bogatego swego doświadczenia może mu rady jakiéj skutecznéj udzielić.

Taki był powód dzisiejszéj wizyty.

Gdy poczciwy dyrektor wszedł do pokoju i starego emeryta nad szpargałami ujrzał, miał wielką ochotę wyrzucić go wraz z temi szpargałami za okno z drugiego piętra... Po chwili jednak uśmiechnął się jak dyplomata i podał mu rękę na znak, że mu życie dzisiaj daruje.

Stary mizantrop przeczuł jakąś awanturę małżeńską. Uśmiechnął się do téj myśli, jak pies głodny do mięsa.

— Cóż to, kochany sąsiad archiwum swoje porządkuje? — zapytał dyrektor zaraz po przywitaniu.

— Tak — odparł pan Protazy — to prawdziwe archiwum, to mądrość życia! Piszemy w książkach o systematach filozoficznych i społecznych... teorye do niczego! A tu, kochany sąsiedzie... tu esencya mądrości całéj, która na tem zależy, że wszystko jest złudzeniem!

— Jakto, podjął prędko dyrektor, czy i złe może być złudzeniem?

— Złe... nigdy! To jedno było i pozostanie prawdą pozytywną, która panuje, zacząwszy od potopu świata!...

Dyrektor westchnął nieznacznie. Wesołe głosy w sąsiednim pokoju zdawały mu się przedrwiwać...

— Tak zwane szczęście nasze jest tylko złudzeniem — mówił daléj z zieloną śliną na ustach pan Protazy — wszystko jest złudzeniem, prócz złego!

Dyrektor zaczął obracać palec wkoło palca.

— Przecież nie wszyscy są już tak nieszczęśliwi —odrzekł z widocznem wysileniem...

— O nieszczęśliwych nie mówię — ale o tych, którzy myślą, że są szczęśliwi, a tymczasem... Patrz, dyrektorze, na ten różowy zwitek papieru! Co może w nim być? Czy przeczuwa kto, że tu mieści się historya kilkuletnia pewnéj kobiety, która zupełnie inną była w pozach swoich oficyalnych.... Po latach trzydziestu możesz przeczytać..

za każdém słowem: ach i przebóg!... Niby kochała mnie, a potem.. zdradziła mnie, aby sobie wziąść innego.

— Czy to była mężatka? zapytał nieśmiało dyrektor — a w jakim wieku mógł być jéj mąż?

— Mniéj-więcéj w twoim wieku, dyrektorze — odparł ze złośliwym uśmiechem pan Protazy;—masz szczęście, dodał, że pani Elżbieta innego rodzaju kobieta...

Twarz dyrektora rozpromieniła się. Byłby uściskał i ucałował zacnego sąsiada, gdyby tenże w téj chwili nie miał tak brzydkiego wyrazu na twarzy...

— O i ta była niby innego rodzaju, — mówił dalej zły duch dyrektora — tak sądził mąż a nawet i jego przyjaciele... ale tu... w tych zwitkach papieru jest prawdziwy jéj konterfekt... i to jeszcze niezupełny, bo w innem jakiém biurku może być dopełnienie... Sprytna była, ale i mnie sprytnie zdradziła!...

— Czy nie wiedziałeś, sąsiedzie, że taka, zaprawiona już do zdrady, kobieta każdego potem zdradza?...

— Wszystkie jednakie!... A ten zwój papieru angielskiego z wybladłemi winietami... to znowu historya bardzo czułego serca, którego nikt prócz mnie zrozumieć nie mógł... a jednak po niejakim przeciągu czasu okazało się, że było dla wielu zrozumiałe!...

— Trafiałeś na same złe kobiety!

— A gdzież znajdziesz inne? Czy mało ich tu?

Dyrektor spojrzał smutno na stos papieru.

— Widzisz... wszystkie się przywiązały i wszystkie potem zdradzały haniebnie!... Aż złość bierze człowieka patrzyć dzisiaj jeszcze na dokumenta takiej podłości i nikczemności!...

— A czy ty kochany radco — zapytał nieśmiało dyrektor — czy ty nie byłeś czasem... także podłym?

— Ja podłym? —krzyknął szlachetny człowiek z oburzeniem — ja miałbym być podłym? Przecież powiadam ci na honor, że...

— Ależ bo cała ta sprawa z temi listami...

— Co chcesz! Przecież bocianem nikt nie będzie. Powiadam ci, sąsiedzie, że świat cały, świat ten głupi, to tylko jedno wielkie kłamstwo, że tu czułe kobiety, to jedna wielka blaga, nic więcéj!... Patrz na te żółte listki róży?... kochała, płakała i... poszła za innego!...

— Przyznam się, że i ja nie zrobiłbym inaczéj.

— Zaczekaj... zaczekaj tylko, dyrektorze. Poniosą i wilka kiedyś — a ja jeszcze tego doczekam!...

I wyżółkła twarz malkontenta wykrzywiła się tak brzydkim uśmiechem, aż dyrektor na sufit spojrzał!...

W téj chwili zaleciały przez drzwi sąsiedniego pokoju jakieś dziwne słowa, których dyrektor nie mógł zrozumieć!...

— Co to jest? zapytał niespokojnie.

Pan Protazy uśmiechnął się z roskoszą.

— Nie raz tu słyszę coś podobnego — odpowiedział składając papiery — ale człowiekowi i żółci-by nie stało, gdyby na wszystkich dzisiaj gniewać się musiał. Raz chciałem do rozumu ich przywołać, to powiedzieli, żem zwaryował!... Za moich czasów bywało różnie, ale... dyskrecya była, była tajemnica... człowiek się skradał jak liszka pod cudze okna... a dzisiaj — słuchaj! Publicznie mówi się o kobiecie, objawia się fakta, chełpi się tém lub owém zwycięztwem... i to gromadnie! Gromadnie!... Słyszysz?

Zdawało się dyrektorowi, że go ktoś znarkotyzował, aby odbyć na nim bolesną operacyę... Stracił nagle czucie i wolę... stał się automatem, który tylko słuch miał zdrowy.

Pan Protazy siedział na obdartém krześle, jak sybaryta wyczekujący smacznéj biesiady!...

Tymczasem co raz głośniej było za drzwiami. Mówiono wiele, dowcipkowano, żartowano.

Zrazu panował chaos w téj rozmowie, tylko pojedyncze, nie wszystkim zrozumiałe słowa zalatywały po za drzwi. Teraz powoli zaczęły się te słowa układać w pewne zdania,

— I gdzież jest kochanka twoja, zacny Teodorze— wołał żartobliwie jeden z kolegów — wskaż nam ją, a damy jéj wszyscy winny pokłon!...

— Czemużeś tak szczelnie okno zasłonił? — pytał głos drugi — czy zazdrość zagnieździła się w sercu twojém?

— Odsłoń nam smukłą jéj postać,— wołał trzeci — niech się dusza nasza jéj wdziękami upoi!

— Mówiłeś, że o godzinie dziewiątéj zjawi się w całym majestacie urody swojéj: czemuż jéj nie ma jeszcze?

Przy tych słowach wyjrzał dyrektor trwożliwie na okna mieszkania swego — były ciemne. Elżbieta wyszła do siostry i zapowiedziała, że dopiéro późnym wieczorem wróci do domu. Dyrektorowi lżéj się zrobiło na sercu.

— Nie dotrzymuje ci terminu—mówił znowu jakiś młody głos za drzwiami — może się jéj sprzeniewierzyłeś?

— Coś o tém mówią, żeś się sprzeniewierzył... że nie możesz zrozumieć i obliczyć jéj kroków szalonych... ale wrócisz do niéj, wrócisz!

— Ależ ona sama wraca już do ciebie!... Patrz!

I dał się słyszyć brzęk otworzonego okna...

Dyrektor wydłużył szyję jak bocian, spojrzał na okna w przeciwległéj kamienicy..., a tam właśnie w oknach salonu błysnęło małe światło, jakby od stoczka woskowego... i wkrótce w przezroczu szyby okazała się... postać kobieca.

Była to — Elżbieta. Dyrektor uczuł zimno w całém ciele.

Odetchnął całą piersią i zapytał po cichu:

— O kim to oni mówią?

Pan Protazy ruszył ramionami.

— Albo ja wiem — *odparł — zapewne o jakiejś kobiecie, która* w taki sposób daje mówić o sobie!

I spojrzał ukośnie na dyrektora.

Dyrektor przełknął, bo coś nagle schwyciło go za gardło. Tymczasem za drzwiami żartowano daléj.

— Daj nam teraz napatrzyć się na nią... nie bądź zazdrosnym dla przyjaciół swoich!...

— Ach to istna zalotnica!... Patrzcie!... Zasłoniła przezroczystą mgłą szybę niebieską, aby tém uroczéj z poza niéj patrzyć na nas!

Dyrektor rzucił okiem na swoje okna... Elżbieta właśnie zasłaniała je firankami...

— A gdzież stary i łysy?

— Schował się!

— Martwa... wypalona bryła ustąpiła się przed najmłodszą córą nieba!

Dyrektor posunął się na krześle.

— O kim oni mówią? zapytał po cichu.

— Nie wiem — odparł pan Protazy — czasami nazywają go księżycem!... zapewnie jest łysy jak księżyc!

Dyrektor posunął ręką po swojéj głowie...

Na korytarzu dały się teraz słyszeć jakieś kroki. Ktoś szedł ostrożnie, macał po drzwiach i ścianach i potykał się. Wreszcie otworzyły się drzwi sąsiednie

W przyległym pokoju nastąpiła cisza.

— List! list! — zawołało kilku.

— Ręka kobieca! — dodał ktoś.

I znowu zapanowała cisza. Właściciel listu widocznie odczytywał go...

— Panowie — ozwał się Teodor, a głos jego brzmiał jakoś niezwykle — przepraszam was, panowie i koledzy — ale interes... nagły interes zmusza mnie do opuszczenia was... darujcie... interes wielkiéj wagi...

— Zgoda! Zgoda! —zawołano chórem—zostawiamy wolne miejsce dla elipsy twego żywota!

I śmiano się jeszcze i żartowano, szukając lasek i kapeluszy.

Dyrektor spojrzał znowu na okna swego domu: były ciemne. Światło znikło.

Porwał kapelusz, pożegnał gospodarza i wybiegł z pokoju. Przesunął się przez wychodzących gości Teodora i czemprędzéj zdążył do domu.

Przebiegł wszystkie pokoje — Elżbiety nie było.

— Gdzie pani? — zawołał cały siny i drżący.

— Była i wyszła — odpowiedziała służąca.

— Jakto — sama?

— Nie... była panna Eufemia.

— Gdzież poszły?

— Do pani Andzi!

Dyrektor się obrócił i wybiegł na ulicę.

Już uszedł kilkanaście kroków, gdy sobie przypomniał, że to na nic się nie przyda. Przyszła mu myśl do głowy, że w takim razie trzeba sobie jakoś inaczéj poradzić. Trzeba się dowiedzieć, gdzie właściwie jego nieprzyjaciel pójdzie.

Obejrzał się wkoło, jak jastrząb szukający ofiary — i zdawało mu się, że go dostrzegł. Ten wzrost wysoki... ten kołnierz podniesiony do góry... Kapelusz miękki, zgnieciony a... to on!

I puścił się za nim.

Serce biło mu głośno. Nigdy nie doznał podobnego uczucia. Była to jakaś dziwna mięszanina. Obawa i trwoga zmięszana z ciekawością, w któréj była jakaś rozkosz prawdziwie szatańska. Zaraził się od pana Protazego. Chciał się czegoś dowiedzieć, pragnął coś obaczyć, przekonać się, a potem... zemścić się, zemścić się okropnie!... Zemsta to potrawa bogów... zimna, ale smaczna, inaczéj nie jedliby jéj bogowie!...

Dyrektor szedł daléj! Zapomniał już prawie o nieszczęściu swojem... tylko pałał zemstą! To sprawiało mu roskosz, jedyną, do jakiéj był zdolny w téj chwili!...

Nie ma większego nieprzyjaciela dla człowieka, jak własna jego wyobraźnia. Taki groźny nieprzyjaciel szedł teraz razem z dyrektorem. Szeptał mu do ucha, przesuwał mu poprzed oczy obrazy, na jakie nie zdobyłby się żaden ołówek artysty!... Krew wrzała mu w żyłach, domy kręciły się wkoło, jakby je kto obracał!...

Do tego, trzeba było jeszcze iść z wszelką ostrożnością. Trzeba było wybierać chodniki ocienione, aby adwersarz pogoni nie spostrzegł. Trzeba było więcéj drogi zrobić, niźli adwersarz, a mimo to nie można było zgubić go z oczu, trzeba było być tuż za nim!

Adwersarz był właśnie na skręcie ulicy... trzeba było dobrze uważać, gdzie skręci... gdy nagle zbliżył się jakiś biedny chłopiec do dyrektora.

— Przepraszam pana — ozwał się do niego płaczącym prawie głosem — czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, która godzina?

Często spotykało dawniéj dyrektora takie zapytanie. Uśmiech jego dobrotliwy zachęcał biednego przechodnia do tego. Lubił nawet, że mu okazano zaufanie i z pewną przyjemnością wyciągał z kieszeni patentowany, angielski chronometr, aby skrupulatnie odpowiedzieć na zapytanie, które dla pytającego może mieć wielką wagę. Dzisiaj jednak był już jakoś innym człowiekiem. Zapytanie biednego chłopca nie tylko nie sprawiło mu żadnéj przyjemności, ale uczuł nawet jakiś wstręt do pytającego. W pierwszéj chwili chciał go nawet trzciną potraktować, ale wstrzymał się i krzyknął tylko:

— Idź precz! Nie stawaj mi w drodze!

Biedny chłopczyna ustąpił się, a dyrektor wysilił wzrok swój, aby adwersarza nie zgubić, pobiegł daléj.

Uszedłszy dziesięć kroków, zatrzymał się. Poczciwe jego serce zaczęło mu wyrzucać, że popełnił uczynek nieludzki. Kto wie, na co biednemu chłopcu potrzeba godziny, kto wie, czy mu się co złego nie stanie z powodu niewiadomości? myślał sobie dyrektor i... wrócił się.

— Mój Boże!—rzekł do siebie—biegnąc za chłopcem — jak to człowiek zmienia się w nieszczęściu! Staje się złym, nieludzkim, nieuczynnym, egoistą!...

Dopędził chłopca, zatrzymał i powiedział mu dokładnie, która godzina.

Obrócił się... adwersarza już nie było!

— Otóż masz!—mruknął do siebie niezadowolony—na co to się zda być dobrym człowiekiem! Uciekł i śmiać się będzie z głupca, którego biedny chłopiec zatrzymał.... A może on naumyślnie sam tego chłopca namówił, aby mię zatrzymał?... Może tym sposobem chciał ujść pogoni?... Tak niezawodnie... to on sam namówił go... O ludzie są źli i podstępni! Pan Protazy ma słuszność! Wszystko, co dobre, to złudzenie, a złe jest pozytywném!...

Adwersarz umknął!... Dyrektor przyspieszył kroku, przerznął na chybił trafił jedną poprzecznicę... i dobry uczynek jego został nagrodzony! Obaczył adwersarza!... Pobiegł za nim.

Przechodził właśnie na chodnik zaciemniony, gdy jakaś biedna kobieta, z dzieckiem na ręku, zastąpiła mu drogę. A była to właśnie najkrytyczniejsza chwila dla dyrektora. Adwersarz wszedł między

kolumny narożnego domu i tam mógł się łatwo zgubić. Ofuknął więc kobiétę a nawet ręką trącił...

I znowu powtórzyło się to, co było z chłopcem. Dyrektor wyrzucał sobie, że nie tylko kobiecie nic nie dał, ale nawet nielitościwie ręką ją odepchnął. Może ona dzisiaj nic nie jadła? Może dziecko głodne?... myślał sobie i wszystko zwalił znowu na swoje nieszczęście, które tak człowieka z gruntu zmienia! Wstydził się swego postępowania, wstydził się sam siebie i... wrócił się.

Kobiéta biegła, trzeba było także za nią biegnąć... wreszcie dopędził, dał jałmużnę, dał więcéj niżeli chciał, bo nie było czasu szukać drobniejszéj monety... a tymczasem znowu znikł mu z przed oczu adwersarz!

Był bliski rozpaczy. Na szczęście nadjeżdża dorożka. Siada do dorożki i każe jechać w kierunku domu z kolumnami, kontent, że znowu wynagrodził go pan Bóg dorożką.

Przyjemniéj jakoś zrobiło się dyrektorowi w dorożce—już był bliski domu z kolumnami, gdy nagle z kamienicy wyszła jakaś niska, dosyć otyła figura w cylindrze na głowie.

Nieznajomy zajrzał do dorożki i zawołał.

— Stój!... a!... kochany pan dyrektor! A gdzież to tak spiesznie?...

— Dobry wieczór księdzu kanonikowi... ja... tak... — jąkał dyrektor.

— A ja wracam z trzech roberków... wyobraź sobie dyrektorze... miałem dwa asy, trzy króle i dwie damy dobrze obsadzone. Odzywam się: bez atout! Cóżbyś ty, dyrektorze, w takim razie powiedział?

— Ja... ja... bardzo przepraszam...

— Ależ to bez żadnego przeproszenia można powiedziéć... a radca Jacenty z góry na mnie za to... że potém nie można było tyle zrobić, ile potrzeba! Przecież dwa asy...

— Przepraszam, illustrissime... jadę... po doktora!

— Po doktora! A cóż tam znowu? Czy może żona...

— Tak... żona... zachorowała!

— To mnie mocno martwi... do którego lekarza?

— Do.. Jakóba...

— Ależ pan Jakób nie mieszka tutaj!

— Zapewnie się wyprowadził...

— Od roku!... Zaczekaj dyrektorze... siądę do dorożki i z tobą pojadę, aby ci okazać...

— Nie... nie... dziękuję ci, księże kanoniku... wpadnę tutaj do pierwszego lepszego... Jedź, jedź mój przyjacielu!

Dorożkarz zaciął konie a kanonik został na bruku.

I teraz jeszcze sprzyjało szczęście dyrektorowi. Po małym kwadransie znalazł znowu adwersarza. Kazał stanąć, wysiadł i zapłacił. W niejakiém oddaleniu puścił się za nim.

Teraz szło mu już lepiéj. Ulice były przedmiejskie, bezludne. Można było zdaleka obserwować adwersarza i pilnie strzedz go.

Szli tak obaj dosyć długo. Wreszcie zaczął się adwersarz oglądać. Dyrektor rozśmiał się i rzekł do siebie: Już go mam. Na złodzieju czapka gore! Ogląda się—zapewne już blisko jest umówionéj schadzki!

Adwersarz coraz częściéj zaczął się oglądać. Skręcał to na prawo, to na lewo, i oglądał się. Dyrektor nie spuścił go z oka i szedł trop w trop za zwierzem.

Marsz ten z różnemi ewolucyami trwał długo. Minęła godzina jedna i druga. Adwersarz wyszedł już za miasto w czyste pole. Dyrektor za nim. Serce mu biło.... adwersarz widocznie niepokoi się, jak zwierz szczwany...

Wreszcie na skręcie drogi odwraca się nagle adwersarz i gromkim głosem krzyknie:

— Kto jesteś i czego chcesz?

Dyrektor osłupiał... był to człowiek zupełnie nieznajomy!...

— Czegoś pan przedemną tak uciekał?—zapytał z swojéj strony oburzony dyrektor.

— Cierpię na wątrobę i zwykle przechadzam się do dwunastéj godziny w nocy!

— Przeklęta wątroba... ja myślałem, żeś pan... mój dobry znajomy, którego chciałem dopędzić!

I obaj wrócili do miasta, gdy właśnie na wieży biła godzina dwunasta.

Dyrektor pożegnał przymusowego towarzysza—wszedł zmęczony do domu – a w domu spali już wszyscy!

Nic się nawet nie mógł dowiedzieć.

XXVIII.

Podczas, gdy dyrektor za nieznajomym człowiekiem taki kurs forsowny odbywał, zbliżał się Teodor do willi, w któréj, według otrzymanego listu, miało się odbyć coś nadzwyczajnego.

List, który go tak nagle od towarzyszów oderwał, a który teraz jako nierozwiązaną zagadkę trzymał w zanadrzu, przy sercu gwałtownie bijącém—był otwarty i dosyć zrozumiały.

„Mój panie — pisała Laurencya — nie umiem być nieszczerą. Zawsze czytałeś pan w duszy mojéj i widziałeś, co się tam dzieje. To, co tam widziałeś, dało ci prawo do pewnych marzeń i nadziei, które razem z panem podzielałam. I dzisiaj, gdybyś przyszedł, mógłbyś otwarcie w tem samém sercu czytać — ale to cobyś tam wyczytał, sprzeciwiałoby się właśnie powyższym marzeniom naszym i nadziejom!... Tak jest—mój panie—dzisiaj inny wiatr wieje w duszy mojéj! Nie umiem się z tego nawet wytłómaczyć. Nie przeczę, że byłam szczęśliwą, bardzo szczęśliwą z marzeniami naszemi wspólnemi—zdawało mi się, że innego szczęścia nie znajdę i że go nigdy szukać nie będę. Tymczasem inaczéj się stało. Czuję, że coś mnie rwie w inną stronę, że mnie coś pcha w odmiennym od pana kierunku!... Niedawno chciałeś pan obliczyć bieg komety i poświęciłeś wiele pracy napróżno! Zjawiła się przed panem kobiéta, którą z powodu nieregularnego jéj biegu można także zaliczyć do komet. Jak pan nie mogłeś obliczyć biegu pierwszéj komety, nie wiedząc, co ją tam w przestworach niebieskich odpycha i przyciąga, tak samo nie obliczysz drogi kobiéty-komety, jaką przebywać musi. Ja sama nie wiem, co i gdzie mnie przyciąga, czuję tylko potrzebę iść taką drogą, która na pozór nie ma żadnego przyciągającego ogniska. Dla tego, niech to pana nie zadziwia, jeśli dzisiaj się oddalam—to może moje przeznaczenie, tak samo jak przeznaczeniem komety jest nie mieć dla siebie pewnego widzialnego punktu, który ją przyciąga i trzyma... Być może, że wyjadę, być może, że co innego ze mną się stanie, w każdym razie jednak bądź pan przygotowany na to, że mogę dla pana zupełnie zagasnąć i zniknąć z horyzontu! To los każdéj komety—smutny i opłakany—ale konieczny. Najlepszym wstępem do téj nieuniknionéj konieczności będzie, jeżeli przez jakiś czas wcale się widywać nie będziemy. Ułatwi to nam zupełny rozbrat, jeżeli to będzie konieczném. Nie potrzebuję panu mówić, że piszę te słowa z wielką boleścią. Spodziewam się, że znajdę u pana na tyle litości, iż obecnością swoją nie zechcesz téj boleści zwiększać."

Kobiéta, która ten list przed godziną pisała, nie kłamała wcale. Po wysłaniu listu siedziała długo przy biurku z twarzą zakrytą rękami. Cała jéj postać zgięła się w kabłąk, pierś zapadła a ramiona podnosiły się z pewném wytężeniem do góry, jak to bywa przy ciężkim oddechu.

Minęło dosyć czasu. Wreszcie podniosła się. Miała oczy szkliste, jakby od łez. Usiłowała uśmiechnąć się, ale uśmiech ten przybrał wyraz goryczy i ironii.

Zbliżyła się do Angielki.

— Co pani sądzisz o samobójstwie — zagadnęła znienacka spokojną kobiétę, która jakąś koronkę robiła.

— Samobójstwo—odparła Angielka, zbierając spadłe oczka — jest zawsze brzydką zbrodnią! Dlaczego pani pytasz!

— Bo właśnie przed chwilą popełniłem je!

Angielka odłożyła robótkę.

— A!... tak!...—rzekła po chwili—takie samobójstwa są nie szkodliwe! Przyzwyczajamy się do życia... pośmiertnego!

Zapadła pierś Angielki westchnęła nieznacznie.

— Czy sądzisz pani—pytała Laurencya—że każda kobiéta ma mniéj więcéj te zbrodnie samobójstwa na swojem sumieniu?

— Nie powiem, że każda... ale wydarza się to często!

— Czy konieczność ta jest wytłómaczoną, która ją zmusza do takiego samobójstwa?

— Dla niéj zawsze jest wytłómaczoną, inni nie widzą jéj!... Zresztą cała natura nie jest niczem inném, jak dobrze obmyślaném systemem... samobójstwa!

— Nie mogę tego pojąć, nie mogę sobie wytłómaczyć, a jednak...

— Jednak tak się dzieje i dziać będzie!

— Sądzisz więc pani...

— Ja nic o innych nie sądzę. Każdy człowiek sam siebie osądzić powinien!

— Są pewne zachcenia, uczucia i marzenia, które przemijają!

— Wszystko przemija!

— Niektóre przecież trwają dłużéj i nie opuszczają nas aż do śmierci.

— To prawda... naprzykład... potrzeby życia i staranie się o nie!

— Te potrzeby życia można sobie uprzyjemnić...

— Jeżeli mamy dostatki.

— I możność przyjemnego użycia tych dostatków...

— Niezawodnie.

Nastąpiło milczenie. Laurencya patrzała przed siebie, jakby coś w powietrzu widziała. Oczy jéj rozjaśniały się coraz więcéj, twarz przybierała wyraz weselszy.

— Narzekamy nieraz na stosunki światowe — ozwała się po chwili, jakby mówiła do swoich myśli — twierdzimy, że szczęście w ciasnéj tylko zamyka się przestrzeni... ale bodaj czy owe stosunki, owe drobne akcesorya naszego życia nie są jeszcze najlepsze ze wszystkiego?... Przynajmniéj można niemi życie zapełnić i z nudów nie trzeba umierać!... Wszystko inne znudzi! Czyż nie prawda?

— Nie wiem, co pani tém „wszystkiem“ nazywa!

— Wszystkie uczucia i marzenia nasze!... Mężczyzna naprzykład szaleje za kobiétą .. kobiéta ta ma inne obowiązki... ale niczem nie ugaszona miłość łączy ich serca razem... ona poświęca wszystko i siebie... uciekają oboje i wobec gwiazd i księżyca przysięgają żyć razem do śmierci!... Czyż nie wiadomy jest koniec takiego dramatu?... On zazwyczaj porzuca ją—a ona, złamana i upokorzona wraca do obowiązków!... I takiemu uczuciu zaufać?

— Tak... takie uczucia przemijają?

— Cóż więc zostaje?

— Zostaje to, co się stało naszém—obowiązkiem!

— Obowiązek!... Jakie to brzydkie słowo w sferze uczucia?

— Może jeszcze najlepsze z tego wszystkiego, co ludzie dla swego szczęścia wymyślili!

Nastąpiła pauza. Angielka robiła daléj koronkę. Palce jéj biegały szybko, tylko głowa była nieruchoma jak u posągu z kamienia. Laurencya westchnęła.

— Prawda — ozwała się po chwili — może jeszcze najlepszy z wszystkiego jest ten obowiązek!... Ale w takim razie trzeba go sobie uprzyjemnić. Trzeba ozłacać te kajdany, które wkładamy na ręce! Nie napróżno lubią kobiéty nosić złote bransolety! To wyborna oznaka niewoli!

— Czasami kobiéty lubią... niewolę!

— Nie... nie... nie! Nigdybym nie zniosła żadnéj niewoli! Czy wiesz pani, że mogłabym pogardzać mężczyzną, którego-bym... bardzo kochała!... Takie uczucie jest także niewolą. Oddaje ono nas pod bezwzględne panowanie mężczyzny, co bynajmniéj nie byłoby mojém szczęściem!

— Mówią, że kobiéty, które mocno kochają, nie są szczęśliwe!

— I prawdę mówią!... Nie chcę mocno kochać... i nigdy tak kochać nie będę. Czuję, że taka miłość nie byłaby mojem szczęściem... Chciałabym tylko być—kochaną!

Angielka poruszyła głową.

— Być kochaną—odrzekła—a nie kochać, to rzecz trudna!

— Właśnie dlatego ciekawa i zajmująca, a przedewszystkiém bardzo wygodna! Można żyć lat sto i zawsze dobrze wyglądać!

— Jeżeli kto to potrafi!... Nic nikomu nie dać, a wziąć mu wszystko!...

— To sztuka wprawdzie—ale bywa to czasem!

Laurencya zamyśliła się. Oczy jéj rozpromieniały się coraz więcéj, na usta wracał uśmiech zalotny.

— Nic nie dać—powtarzała do swoich myśli—a wziąć wszystko! Ale czyż ten będzie miał co do wzięcia?...

Po twarzy przemknął smutny wyraz.

— Jakto nie?—rzekła z wypogodzoném czołem—są rzeczy realne, rzeczywiste, a te bierze się! Naprzykład, gdy mąż jest senatorem, to bierze się jego pensyą, jego zaszczyty, jego stosunki towarzyskie... a czyż to mało?

— Czasami to wystarcza!

— Ręczę, że na dłużéj wystarcza, niżeli te wszystkie urojenia nasze, te oscylacye serca, które nam sen spokojny odbierają, te wzruszenia duszy, które nam w szale, jakby dzieciom szopkę, jakieś tam niebo obiecują!... Nie, nie, nie!... To tylko jest trwałem, co przetrwało wieki i trwać będzie do końca świata, choćby na to krzyczano, jako na złe społeczne!...

Wstała szybko z fotelu i zadzwoniła.

Weszła służąca.

— Gdyby pan Jerzy chciał wejść — rzekła do niéj — to dzisiaj przyjmuję go!

Angielka nic na to nie odpowiedziała. Twarz jéj miała jak zawsze wyraz posągowy.

Po odejściu służącéj lekkim krokiem zbliżyła się Laurencya do zwierciadła i z uśmiechem zalotności zaczęła poprawiać sobie fryzurę. Marzyła o czemś przyjemném w téj chwili, bo twarz jéj rozpromieniała się coraz więcéj. Zaczęła nawet nucić sobie jakąś wesołą aryjkę.

— Czy sądzisz pani — ozwała się po chwili do Angielki — że w ładnej, wieczornéj tualecie mogłabym się wyróżnić od innych? Czy nie byłabym tam przynajmniéj ostatnią?

— O to się nie trzeba obawiać!

— Ale tak.... w większym salonie...

— Choćby nawet u księżnéj!

Laurencya zaczęła głośniéj nucić. Oglądała się w zwierciedle na wszystkie strony.

Nagle—na drodze prowadzącéj do willi dał się słyszeć turkot. Laurencya zamilkła i zaczęła nadsłuchiwać.

Szczególny wyraz miała w téj chwili jéj twarz. Przebiegały po niéj jakieś światła i cienie — radość i obawa. Wstrzymała oddech i słuchała daléj...

Wreszcie błysnęła jéj twarz jakby od łuny pożaru, usta zadrżały a oczy zapaliły się jak dwie pochodnie... Wyprostowała się, jakby głową do sufitu chciała dostać...

Roześmiała się czystym, dźwięcznym śmiechem.

— To zabawne!—ozwała się do Angielki—lada powiew wiatru, lada turkot powozu... zwali całą filozofię kobiecą!... Czy słyszysz

pani? Wobec tego, co ten turkot budzi w sercu mojém, jaką roskosz tam zapala... czemże są wszystkie przedchwilowe postanowienia moje?... Obawiałam się, że gdy list mój odbierze... zechce tu przyjechać!... Obawa moja spełnia się, ale oraz budzi w mem sercu taką roskosz... nie, téj roskoszy nie zrzeknę się za nic w świecie... wolę kochać i być niewolnicą człowieka, który tak mnie kocha!... *C'est ridicule...* Ale ja sama nie wiem, co się ze mną dzieje... wiem tylko, że jestem — szczęśliwą!... Trzeba dany rozkaz odwołać... niech żaden cień złowrogi nie staje między mną a nim!

I jakby na skrzydłach szybko pobiegła ku drzwiom...

Drzwi właśnie otwierały się w téj chwili...

Laurencya przycisnęła ręką serce, aby z piersi nie wyskoczyło... odetchnęła głęboko, aby na przywitanie nie zabrakło jéj tchu...

We drzwiach ukazał się — Jerzy.

Laurencya stanęła jak wryta. Ręka z piersi opadła, przez otworzone usta żadne nie wyszło słowo — a cała jéj postać była w téj chwili podobną do kamiennego posągu.

XXIX.

Szczególne było to spotkanie dwojga ludzi, którzy przecież tak blisko siebie byli. On zatrzymał się przy progu, jakby daléj iść nie miał, a ona stała w miejscu nieporuszona, jakby mu bronić chciała przystępu.

Wreszcie wyraz złowrogi błysnął w jéj oczach.

— Nie spodziewałam się — rzekła z blademi ustami — ujrzéć pana u siebie tak rychło!

— Czy przyszedłem zawcześnie? zapytał z ironicznym uśmiechem Jerzy.

— Może... zapóźno!

— W takim razie nie moja w tém wina. Codziennie kazałem się anonsować i codziennie doznawałem zawodu. Nie wierzę nawet dzisiaj szczęściu memu...

— I słusznie pan robisz — stało się to tylko przypadkiem!

— Czyż wolno mi z tego przypadku korzystać?

— Spodziewam się, że dla pana nie ma w tém żadnéj korzyści!...

— Bądź-co-bądź możemy o tém pomówić... nie weźmiesz mi pani za złe, że po dawnemu rozgoszczę się.

Laurencya cofnęła się do stołu.

— *Bon jour madame* — ozwał się do Angielki z przyjemnym uśmiechem.

— *Bon jour monsieur* — odpowiedział nieruchomy posąg.

Nastała krótka rozmowa o deszczu i pogodzie. Laurencya zaczęła się powoli uspokajać. Wzięła jakąś fotografię i usiłowała pilnie się jéj przypatrywać.

Angielka zrozumiała swój obowiązek. Przerwała rozmowę i odeszła w sam róg pokoju, gdzie na małym stoliczku stała świéca nakryta umbrelką. Przy téj świecy zaczęła szukać pogubionych oczek w swojéj robocie.

Jerzy miał teraz wolne pole do rozmowy z Laurencyą. Laurencya była prawie spokojną. Dawne jéj wzruszenie przeminęło—został tylko jakiś spokój niedobry.

Jerzy podsunał do niéj swój fotel.

— Spodziewam się, — ozwał się — że rozmowa dzisiejsza w takich warunkach między nami będzie ostatnią!

— Zaręczam panu, że tak będzie! — spokojnie odpowiedziała Laurencya.

Jerzy uśmiechnął się z lekką ironią. Podrażniło to Laurencyę. Przelotny rumieniec przemknął po jéj twarzy.

— Jeśli pan nie wierzy—rzekła z niezwykłem drżeniem głosu— to możemy natychmiast przerwać naszą rozmowę i zrobić, żeby ona była ostatnią!

Powstała z fotelu.

— Wszystko wolno pani zrobić—odparł z powagą Jerzy — ale wprzódy musisz pani kilka słów odemnie wysłuchać, aby cała sprawa miała jakieś zakończenie!

— Słucham pana.

Jerzy spojrzał na Laurencyę. Była w téj chwili bardzo piękną, piękniejszą niż kiedykolwiek. Było coś posągowego w tych regularnych rysach, chociaż czuć było, że w tym posągu gore w téj chwili, jak w piekle...

— Chciej pani tylko wstecz rzucić okiem — zaczął...

— Idę zawsze naprzód przerwała Laurencya — i w tył się nigdy nie oglądam!

— A właśnie za nami w tyle zostaje nieraz najlepsze nasze wspomnienie...

— Do których prawdopodobnie nie masz pan prawa należéć!

— Właśnie w obronie tego zakwestyonowanego prawa przychodzę.

— Naprzód ubolewam nad panem.

— Zawsze miałem dobre wyobrażenie o sercu pani!

— Serce moje do mnie należy...

— Dziękuję pani za te pierwsze słowa pociechy, która się słusznie należy przebytym cierpieniom!

Wierzchnia warga Laurencyi podniosła się wesołym uśmiechem, jakim odpowiedź swoją zaprawić miała, gdy zmrużone oczy zwróciły się nagle na twarz Jerzego.

Na twarzy Jerzego były rzeczywiście ślady umartwień. Uśmiech Laurencyi zatrzymał się.

— Pan potrafiłbyś... cierpieć?—ozwała się z pewną ciekawością— pan, który tak na chłodno rozmawiałeś ze mną niedawno? To byłoby rzeczywiście... bardzo zabawnem!

Jerzy patrzał czas niejaki w milczeniu na Laurencyę.

— I dzisiaj nie chcę inaczéj z panią rozmawiać. Chcę być zimnym, jak lód... chcę tam, gdzie nie wystarcza uczucie, przemawiać do rozumu i rozsądku!

— Na téj drodze nie zajdziesz pan daleko!

— Niech mi wolno będzie spróbować.

— Słucham pana.

Laurencya założyła ręce. Na jéj twarzy zapanował spokój.

— Przypomnisz sobie pani — zaczął Jerzy — że niedawno temu marzenia splatały się razem w jedno pasmo...

— Po cóż pan przeszłość budzisz?... Czyż ja temu winna, że ta chwila należy dziś do przeszłości?

— Przyznam się chętnie do winy. Byłem może zbyt pewnym swego szczęścia...

— Albo raczéj namyślałeś się, czy iść daléj, czy cofnąć się..

— Być może, że i to myślałem!...

— Cóż za bezprzykładna szczerość!

— Dalszy bieg rzeczy przekonał mnie, że cofnąć się nie mogę, że panią... kocham!

Laurencya chciała się rozśmiać, ale uśmiech zatrzymał się w połowie drogi.

— Pan mnie kochasz?—rzekła bez uśmiechu — pan powiadasz, że dopiero teraz przekonałeś się...

— Mówię szczerze i otwarcie. Taka natura ludzkiego serca. Pani znałaś dobrze tę naturę i użyłaś téj znajomości...

— Zwracając się w inną stronę... nieprawdaż? Zazdrość dopiero stała się probierzem uczuć pana...

— Przyznaję się, że tak było w istocie!

Laurencya patrzała na Jerzego.

— Szczerość za szczerość — odrzekła — i ja przyznaję się, że w takim celu zwróciłam się w inną stronę...

— A osiągnąwszy cel?

— Przegrałam z sobą sprawę!

Jerzy rzucił się na krześle.

— Co pani mówisz? — zapytał.

— Szczérą prawdę. Możesz pan czuć na moich pulsach, co się w téj chwili w mém sercu dzieje!

I podała mu obie drobne rączki. Jerzy wziął te rączki i trzymał je czas niejaki w swoich dłoniach. Czuł, że wszystkie pulsa biły z podwojoną siłą.

— Więc pani go kochasz? — zapytał po chwili.

— Kocham całą duszą!

— Nie mając z razu zamiaru?

— Nie mając z razu żadnego zamiaru! Kto jaką bronią wojuje, od takiéj broni ginie!

Słowa te wymawiała Laurencya z uśmiechem smutnym, który jéj twarzy dodawał niewysłowionego wdzięku. Jerzy patrzał również ze smutkiem w tę twarz, i trudno było poznać, czy w téj chwili myślał o sobie, czy o mniemaném nieszczęściu młodéj kobiety!...

Po chwili odetchnął i mówił spokojnie:

— Wierzę temu, co pani powiadasz. Serca, które wiele cierpiały, a więcéj jeszcze prawa miały do szczęścia... serca takie nie mogą zostać bez wzajemności tam, gdzie dla nich zapłonie jakieś uczucie szlachetniejsze!... Całem mojem nieszczęściem jest, że — spóźniłem się! *Trop tard* — to najstraszniejsze słowo w dziejach serca!

Zamilkł i spuścił oczy w ziemię. Laurencya bawiła się koronką.

— Pozwolisz jednak, pani, na to zwrócić uwagę — mówił po chwili daléj — że ten, o którym się pani zdaje, że go kochasz...

— Ależ ja go kocham na prawdę — przerwała żywo Laurencya — a w téj chwili może więcéj, niż kiedykolwiek! Gdybyś pan go widział, jak on mówi ze mną!... Gdybyś pan patrzał w jego twarz, jak na niéj grają te uczucia, które tylko szczery zapał wzbudzić może... bez żadnéj przymieszki owych pokostów światowych, które za każdym swobodniejszym ruchem twarz nam ściągają i nie pozwolą być tém, czém jest serce w téj chwili!... Gdybyś pan raz tylko przy mnie go widział... nie!... on jest wtedy więcéj, aniżeli człowiekiem!... I ja nie mam go kochać? Ja nie mam być szczęściem jego sama szczęśliwą?...

Laurencya patrzała w téj chwili z taką szczerością w twarz Jerzego, jakby to nie był rywal, ale najlepszy przyjaciel!...

Jerzy przyjął rolę przyjaciela, choć mu to widocznie przychodziło z niejaką trudnością. Milczał spokojnie czas niejaki, podczas

gdy Laurencya rozognioném okiem zdawała się ścigać jakieś roskoszne obrazy.

— Pani kochasz — mówił po chwili Jerzy — a chociaż tutaj stroną jestem, nie widzę jednak w tém nic dziwnego. Serce nie lubi korzystać z cudzych doświadczeń, ale chce zawsze samo doświadczać. Pomyśl jednak pani, że ta miłość dzisiejsza jest miłością... bez przyszłości?

— Bez przyszłości?

— Jest to woń cudnego kwiatu, która ulatuje — jest to różowy obłok mgły, który znika przed słońcem — jest to niewyraźny dźwięk harfy eolskiéj, który zdaje się zapowiadać melodyę, a nigdy jéj nie zagra!...

— A jakąż miłość chcesz mi pan dać?—z zadziwieniem zapytała Laurencya.

— Ja chcę najrzód dać pani moje nazwisko, które jest kluczem do wszystkich rzeczywistych pozycyj życia. Wchodzisz pani od razu jako kobieta pewnéj pozycyi i nie potrzebujesz dopiero zdobywać jéj, albo w odosobnieniu tułać się po ziemi, jak się tuła kometa po niebie...

— Czemu użyłeś pan tutaj słowo „kometa?"—przerwała z pewną namiętnością Laurencya.

— Użyłem go przypadkiem — mówił daléj spokojnie Jerzy — zdawało mi się, że owa błędna, z powszechnych praw wyłamująca się gwiazda, najlepiéj odpowiada dzisiejszemu położeniu pani!.. Nie mówię tego od siebie, ale idę za opinią powszechną.

Laurencya zamyśliła się.

— Więc powiadasz pan, że opinia powszechna...—ozwała się z pewnem zamyśleniem.

— Opinia powszechna lubi brać rzeczy z najgorszéj strony, i wcale nie pyta o to, że komuś wielką krzywdę wyrządzi!...

— Sądzisz pan, że i mnie wyrządzono krzywdę?...

— Inaczéj nie byłbym się tak długo ociągał z moją ostateczną decyzyą... Musiałem walczyć, musiałem wiele zniszczyć a wiele naprawiać... Musiałem iść krok za krokiem i to z wielką uwagą, aby nie zaszkodzić téj, którą miałem postawić na piedestale...

Laurencya patrzała zamyślona przed siebie. Po jéj twarzy przebiegały jakieś cienie i światła — w oczach grały kolory ognia.

— Więc miałam wiele nieprzyjaciół?—wyszeptały jéj drżące usta.

— Są to zwykłe dzieje. Każda wypukłość, która w jakikolwiek sposób po nad zwykły poziom wystaje, zatrzymuje na sobie to wszystko, co niesie wiatr lub fala wody. Będzie tam czasem kilka ziarnek

złotego piasku, kilka kwiatków zerwanych burzą; ale będą i nieużyteczne zużle i zwitki śmieci, które woda niesie!

Laurencya westchnęła.

— Trzeba było długiéj pracy — mówił dalej Jerzy — aby te wszystkie przypadkowe naleciałości usunąć i bronić, aby nowych śmieci fala nie przyniosła... trzeba było ludzi powoli przekonywać, że te naleciałości nic nie mają wspólnego z przedmiotem, na którym się oparły... a w końcu trzeba było dzieło to uwieńczyć pewnym tryumfem...

— Nie spodziewałam się, że otoczenie pana jest tak trudne...

— W takiém położeniu bardzo trudne i wybredne! Wszystko inne daruje i wybaczy, tylko...

— Tylko niezwykłéj pozycyi kobiety...

— Niezwykła pozycya kobiety jest wielkiem dla niéj nieszczęściem. Wszystko się jéj czepia — jedno jest tylko dla niéj lekarstwo!

— Jakie?

— Wejść w taki związek małżeński, w którymby nie było nic niezwykłego!

— Więc taki ofiarujesz mi pan związek małżeński...

— Nie inaczéj!

— Nie mogę pojąć, kiedy byłby podobny związek niezwykłym?

— Wtedy, gdybyś pani naprzykład chciała poślubić owego młodego człowieka, którego masz blisko siebie. Byłoby to bardzo romantycznie — młody ubogi młodzieniec miałby piękną, bogatą żonę... ale pani nie miałabyś razem z nim owéj rzeczywistej, towarzyskiej pozycyi, która każdéj kobiecie, a przedewszystkiem pani, koniecznie jest potrzebną! Oboje moglibyście jako kochankowie latać po niebie, podróżować po cudzych krajach, mieszkać w hotelach i do teatru chodzić — ale nie bylibyście członkami pewnego społecznego kółka, które koniec końców najwięcéj jeszcze daje ludziom szansy do życia przyjemnego.... To zostaje — tamto przemija!

Laurencya patrzała w ziemię zamyślona. Piersi jéj podnosiły się i opadały jak fale wezbranéj wody. Odetchnęła głęboko.

— Dziwna rzecz — ozwała się — właśnie przed przyjęciem pana mówiłam o czemś podobnem z mis Rozą!...

— Byłaś pani zapewne w trzeźwém usposobieniu — podczas gdy moje zjawienie się rozdrażniło trochę to piękne, szlachetne serce...

— Nie mów pan w téj chwili o sercu —przerwała cierpko Laurencya... wszak pan wiesz, że w domu *d'un pendu on ne parle jamais*

de corde!—dodała z uśmiechem. — Całe moje nieszczęście, że zbyt wiele mam serca...

— Jest-to naszem nieszczęściem — ale najlepszém na to lekarstwem jest bardzo zwykły i prozaiczny może związek małżeński z różnémi jego obowiązkami i licznemi drobnemi serwitutami, które niespokojne serce trzymają w należytéj subordynacyi!...

— A któż owemu, jak pan mówisz, zwykłemu i prozaicznemu małżonkowi zapewni, że niezwykłe żony jego serce przyjmie tę subordynacyę i chętnie jéj się podda?

Jerzy posunął się na krześle.

— Ów zwyczajny śmiertelnik jest pewnym siebie—rzekł ze spokojnym uśmiechem.

Nastąpiło długie milczenie. Różowe światło lampy oświecało z pewną roskoszą kunsztowną tkaninę dywanu, po którym teraz błądziły oczy młodéj kobiety. Przypatrywały się one zawiłym arabeskom, które w gruncie nic nie przedstawiały, a jednak miłe dla oka sprawiały złudzenie pewnych kształtów, które tylko w wyobraźni istnieć mogą!...

— Czyżby nie można takiemi arabeskami bezmyślnemi uprzyjemnić sobie życia?—pytało serce młodéj kobiety—czyżby nie można samą obfitością barw tak napoić oko, aby niczego innego nie pragnęło?

Laurencya podniosła nagle głowę.

— Cóż familia pana na to wszystko? — zapytała.

— Właśnie chciałem o niéj mówić. Pan Alfons, pochwaliwszy zupełnie wybór mego serca...

— To jest... wybór pana —

— Tak — wybór mój pochwaliwszy, wziął na siebie utorować nam drogę nie tylko do estymy familii, ale nawet do całego naszego kółka towarzyskiego...

— Czyż to być może?

Oczy młodéj kobiety błysnęły ogniem.

— Tak jest pani... i to właśnie stało się na owym wieczorze w niedzielę, kiedyś mnie pani, jako posła dobréj nowiny... przyjąć nie chciała!

— Tego wieczora... a cóż pan Alfons mówił?

— Pan Alfons uroczyście zapowiedział gościom swoim dostojnym moje prawdopodobne małżeństwo...

— A gdy przeszła mowa na mnie —

— Gdy na panią przeszła mowa, pan Alfons nie miał dosyć słów, aby przyszłą kuzynkę swoją w świetle jak najlepszém okazać! Żałuję, żeś pani tego nie słyszała.

— A towarzystwo cóż na to? — zapytała.

— Zdaje się, że sprawa, którą pan Alfons w swoim domu bierze w opiekę, nie może przegrać. Wszyscy przyjęli słowa pana Alfonsa z wielką radością — nasza przyszła pozycya jest już zapewnioną!

Laurencya przesuwała złotą bransoletkę po białéj ręce.

— A jakże księżna to przyjęła?—zapytała.

— Księżna powiedziała do mnie: Spiesz się pan prędko... — bo jestem już dzisiaj zniecierpliwioną, że was jutro u siebie mieć nie mogę. Mówią, że bardzo ładna i niemniéj utalentowana... właśnie potrzeba nam takiéj, aby ożywić nasze ospałe towarzystwo!...

Młoda kobieta wyprostowała się; na twarzy okazał się uśmiech roskoszny.

— Do tych słów — mówił daléj Jerzy z pewnym smutkiem — dodała jeszcze księżna inne, które mnie trochę zaniepokoiły i bardzo poważne myśli zbudziły w mojéj głowie!

— Jakie słowa?—zapytała Laurencya i zalotnie pochyliła się ku mówiącemu.

— Księżna dodała — powoli ciągnął Jerzy — że z tego, co wie i słyszała, naprzód może mojéj przyszłéj przepowiedzieć nadzwyczajne na salonach powodzenie!

Laurencya uderzyła z lekka Jerzego po ramieniu.

— Nieprawdę pan mówisz! — zawołała dźwięcznym głosem — zasłużyłeś pan na to, aby pana jeszcze raz uderzyć!

I drobna, biała rączka zalotnie podniosła się do góry, aby całym słodkim ciężarem swoim opaść na ramię szczęśliwego człowieka — gdy tenże w locie ją pochwycił i do ust swoich przycisnął!...

Laurencya nie broniła ręki. Siedziała zupełnie bezbronna, bez woli, bez oporu. Roskoszne marzenie paliło się w téj chwili w jéj oczach, twarz pałała gorącym rumieńcem. Pierś falowała roskosznie, jak faluje woda, gdy ją ciepły, wonny wietrzyk po wierzchu muska...

— Rozmowa nasza kończy się — ozwał się po chwili Jerzy, trzymając drobną rączkę w swojéj dłoni i wpatrując się w piękne, rozmarzone oczy młodéj kobiety.

Odpowiedzi nie było — ale był uścisk drobnéj rączki. Twarz Jerzego pokraśniała.

W téj chwili ozwał się głuchy, nierówny turkot za oknami...

Laurencya szybko zwróciła głowę ku oknom.

Na chwilę nastąpiło milczenie.

Chwila ta była zapewnie bardzo ważną, bo na wszystkich twarzach odbiła się pewnem zaniepokojeniem.

Najprzód zmnieniły się nagle rysy Laurencyi. Ożywienie zniknęło, marzenie ulotniło się, a natomiast całą twarz oblokła chmura jakiejś obawy, jakiejś trwogi... Zapanował potem niepokój, nad-

ciągnęła szybka walka wewnętrzna... chwilę wahało się zwycięstwo... niepewność z całym orszakiem mar złowrogich przeciągnęła widocznie przed oczyma młodéj kobiety...

Taka sama zmiana, tylko nie tak widoczna, nastąpiła także na twarzy Jerzego. Uśmiech jego, przed chwilą tak swobodny i roskoszny, zatrzymał się nagle i podobny był teraz do zasypanego nagle śniegiem kwiatka!.. Jeszcze czuć woń, jeszcze barwa się trzyma... ale już marznie, już ginie w zimnych objęciach!...

Nawet posągowa twarz Angielki ożywiła się na chwilę. Turkot za oknami coś jéj zwiastował niedobrego — a przynajmniéj zaciekawił ją, jak teraz rzecz się rozwiąże?...

Laurencya posunęła ręką po czole, które teraz było gorące, i wyglądało jak bronz rozpalony.

— Więc... skończona rozmowa! Nieprawdaż?—zawołał Jerzy w obawie, aby mu czasu nie zabrakło.

Gorące i zimne prądy zaczęły bić do twarzy Laurencyi. Skupiona cała na wewnątrz siedziała nieruchoma.

— Rozmowa skończona!—powtórzył Jerzy ściskając ją za rękę—nieprawdaż... że skończona!

W téj chwili zaleciał z przedpokoju głos mężczyzny.

— Skoń....czo....na! wykrztusiła Laurencya, jakby się dławiła.

Upadła bezwładnie na fotel. Twarz jéj cała była w ogniach, oczy paliły się jak dwie pochodnie...

Głos mężczyzny w przedpokoju ozwał się znowu...

Laurencya podniosła się gwałtownie. Usta jéj paliły się gorączką.

— *Madame* — rzekła do Angielki — ...jestem dziś chorą!

Angielka zrozumiała i wyszła do przedpokoju z odpowiedzią...

Laurencya zacisnęła pięści i przyłożyła do czoła.

— *Monsieur* — zawołała spazmatycznie do Jerzego — weź pan tego człowieka ode mnie!... Ja nie mam władzy... ja nie mogę!...

I jak sarna z śmiertelnym postrzałem w piersiach, powlokła się powoli do drugiego pokoju.

Jerzy patrzał za nią... twarz jego miała wyraz bardzo poważny.

Wziął kapelusz i wszedł do drugiego pokoju.

Laurencya klęczała przy sofie, a twarz ukryła w poduszki. Z ruchu całego biustu widać było, że płakała, spazmatycznie płakała...

— Rozmowa nasza skończona — ozwał się z progu — idę, aby ostatnie słowa pani...

— Słowa moje?...—szlochając zapytała Laurencya — jakie słowa? Ja nic nie powiedziałam!...

— Więc mam zostać?...

— Idź pan... idź pan!... ach, w głowie mi się mięsza!... Cóż ja powiedziałam?... Nic nie powiedziałam!... Idź pan... *au revoir!*

Jerzy ukłonił się w milczeniu. Niktby w téj chwili nie wyczytał z jego twarzy, że odchodzi — narzeczonym! Jakaś głęboka troska zarysowała się na jego czole.

XXX.

Pani Iza, osoba już niemłoda i żyjąca, jak się zwykła wyrażać „po kawalersku“, miała zwyczaj w pewne dni dawać u siebie tak zwane „*avant-soirée*“. Były to zgromadzenia przed wielkim wieczorem, który przepędzić miano w innym domu, były niejako awangardą tegoż wieczora.

Zgromadzenia takie złożyły się same z siebie. Na wielkie wieczory wychodzono dopiero koło jedénastéj godziny. Od zmroku do jedénastéj była pewna luka, którą trzeba było czemś wypełnić. Sama tualeta nie wypełniała jéj, a oczekiwanie kanonicznej godziny sprawiało nudę, rozstrajało rysy i usypiało wszystkie władze umysłowe. Trzeba było czas ten jakoś inaczéj przepędzić, jakoś ożywić się i rozruszać.

Potrzebie téj zaradziła pani Iza. Miała mieszkanie skromne, zasoby także nie wielkie. Salonu urządzić nie mogła u siebie, a przecież żyjąc z ludźmi, trzeba ich było także od czasu do czasu u siebie przyjąć.

I ztąd powstały tak zwane „*avant-soirée*“ pani Izy.

Takie podwieczorki były dla wszystkich bardzo wygodne. Tualety były gotowe na wielki wieczór, żadnego nowego nie robiły zachodu, wydatków nowych nie było, a gościnność gospodyni mogła się ograniczyć na szklance czystéj herbaty. Było więc dobrze dla gości i dla domu.

Prócz téj wzajemnéj dogodności były jeszcze inne powody, które takim zgromadzeniom sprzyjały. Jak przed każdą wielką bitwą musi wojsko pierwéj wysłać rekonensans i o sile nieprzyjaciela się przekonać, tak też przed każdym większym wieczorem taka poufna schadzka przyszłych gości tegoż wieczora miała tę korzyść, że na niéj rozmawiano wiele o tém co będzie, dopytywano się o uczestników, o tualety i o inne różne rzeczy.

Takie podwieczorki wyrokowały nieraz nawet o powodzeniu samego wieczoru. Na nich bowiem układano plany, które późniéj rozwinąć się miały—tworzono, korygowano lub zbijano zupełnie pewne nowiny, które na wieczorze miały odegrać ważną rolę...

Były jeszcze inne przyczyny, dla których takie podwieczorki były pilnie odwiedzane. Nie wszyscy mogli lub chcieli iść na wielki wieczór, połączony z pewnym trudem i wydatkami. Wszyscy jednak byli ciekawi zgromadzenia, które się na ten wieczór wybierało i tualet, które tam błyszczéć miały. Oprócz tego byli i tacy, którzy u pani Izy być mogli, a wieczory większe zaliczali do „zielonych winogron.“ Dla tych więc było to jedyne miejsce otrzeć się o szczęśliwych i potém w kółkach swoich szeroko o tém rozpowiadać.

Otóż właśnie taki podwieczorek—*avant soirée*—zebrał się u pani Izy na drugi dzień po owéj ostatniéj scenie w willi zamiejskiéj.

Zebranie było liczne. Nazbierało się wiele nowin, a oprócz tego tualeta pani Sabiny, sprowadzona wprost z Paryża, a mająca się dzisiaj na wieczorze okazać, była niemałą atrakcyą dla gości nader licznych.

Skromne dwa pokoje szanownéj gospodyni zamieniono w okamgnieniu w salon okazały. Napełniły je aż po brzegi wykwintne tualety kobiét i symetrycznie na połowę poprzedzielane głowy mężczyzn w uniformowych frakach.

Przybyli w takiéj liczbie goście składali niejako pewien rodzaj hołdu i poważania zacnéj gospodyni, którą powszechnie nazywano „generałową.“

Rozmowa była nadzwyczaj ożywiona. Podzielono się na grupy. Najwięcéj jednak ożywienia było między kobiétami. Opowiadano i komentowano różne rzeczy.

Najprzód możliwe mianowanie pani Ludgardy towarzyszką jednéj wysokiéj damy, bliskiéj krewnéj dworu panującego, wywołało długą dyskusyę, która trwała przeszło godzinę. Mówiono o zwyczajach dworu, o tualetach pełnych i połowicznych, o ukłonach dla pary panującéj albo dla krewnych tejże pary...

Po tym ważnym temacie nastąpiły inne mniejszéj wagi.

— Czy pani wie—pyta zielona suknia swojéj sąsiadki szafirowéj—czy wie pani, że „Dzianio“ stara się o „Dzinię?“

— Wyborna para! Dzianio i Dzinia! Jakby się w korcu maku szukali!...

Dla niewtajemniczonych „Dzianio“ był Edwardem, a „Dzinia“ Jadwigą.

— Ależ Dzinia miała ochotę iść za hrabiego hiszpańskiego, którego w podróży poznała!

— Kochała się na zabój—pisywali do siebie!

— Nic nie brakło do maryażu z hiszpanem tylko, jego hrabstwa! Mówią, że był kamerdynerem!

— *Fi donc!* Jak można z kamerdynerem...

— Kamerdyner zagraniczny lepszy nieraz od niejednego naszego sąsiada!...

— Czy państwo mówicie o moim sąsiedzie panu Piotrze?—wtrąciła zapytanie otyła jejmość z piórami na głowie—smutna to historya!

— Co za historya? — zapytała chuda postać w przezroczystym tiulu, przepasanym niebieską szarfą.

— Separuje się z żoną dla tego, że żona chciała jeździć na mszę do kościoła parafialnego a on do miasta!

— Czy mieli oboje jaki ważny powód tych odrębnych skłonności?

— Zdaje się... że były dwa powody — jeden dla żony, a drugi dla męża!

— Głupi ludzie! Toż w takim razie powinna najlepsza zgoda panować między nimi!

— Czy koronkowa gipiura uchodzi przy jasnéj sukni.

— Parafiańszczyzna! Tylko znam jednę osobę, u któréj taka gipiura wybornie odbijała od blado-zielonéj sukni... ale na to trzeba być—księżniczką!

Nastąpiło milczenie pełne uszanowania.

— Czy widziałaś pani wczoraj w teatrze pannę Agrypinę? Pięciu konkurentów wchodziło koleją do jéj loży!

— Zaprawdę, to skandal ciągnąć za sobą taki ogon!

— Czy zatrzyma ten zwyczaj, gdy zostanie mężatką?...

Z pięknym lecz nazbyt odkrytym biustem młoda kobiéta rozłożyła z wdziękiem wachlarz z kości słoniowéj, a wpatrując się w niego z minką naiwnéj dziewczynki, ozwała się:

— A cóż ona temu winną, że się podoba?

Sąsiadki młodéj kobiéty, która także ma to nieszczęście, że się innym bardzo często podoba, spojrzały na siebie i uśmiechały się jakimś uśmiechem zagadkowym...

— A cóż pani mówisz o dzisiejszéj nowinie?—zapytała już niemłoda dama swojéj najmłodszéj sąsiadki.

— Jaka nowina?—zapytała najmłodsza.

— O panu Jerzym!

— A!... Żeni się!

— Ale przed ślubem ma się odbyć pojedynek!

— A!... I o tem słyszałam!

Właśnie zbliżyła się teraz znana już nam pani Aurora. Kobiéty zamilkły, bo pani Aurora była chodzącą opozycyą i wywoływała rozmowy, które niepotrzebnie drażniły.

— O czem-że tu mowa?—zapytała podnosząc ruchome nozdrza swoje, jak wyżeł chwytając wiatr od strony zwierza.

— Ot tak... rozmawiamy o tém i o owém! Nic ważnego!—odpowiedziała starsza dama.

— Mówiłyśmy o panu Jerzym — wtrąciła szczerzéj najmłodsza.

— Cóż o panu Jerzym?

— Że się... żeni!

— A! pięknie się żeni! Pojedynkować się będzie!

— A! Prawda! Słyszałam i o tém!

Pani Aurora spojrzała z ukosa na najmłodszą.

— To u pani pojedynek niczem? — zapytała — ślub tylko został na pierwszym planie! Widać, że pani niedawno po téj ceremonii, która podobna jest do bańki mydlanéj!... Bańka się pani podoba a życie ludzkie niczem?...

Najmłodsza zarumieniła się.

— Tyle o pojedynkach słyszałam—odparła—a wszystkie kończyły się nieźle...

— Ale kończyły się także nieboszczykiem! A tu będzie zapewnie taki rezultat!...

— Ciekawa rzecz—zapytała otyła—co w takim razie zrobi pan Jerzy.

— Gdy będzie... nieboszczykiem?

— *Fi donc!...* Gdy tamtego zabije!

— A czyż on sam nie może być zabitym?

— Tak... ależ o tém znowu nikt nie myśli!

— Dlaczego?

— Rywal jego ma być młodym, nieznanym zupełnie człowiekiem...

— Ale ten nieznany zupełnie człowiek trzyma taki sam pistolet w ręku, a w pistolecie taka sama kula jest jak w drugim!

— To prawda... ale jakoś trudno pomyśléć, aby pan Jerzy...

Nastąpiło milczenie—pani Aurora uśmiechała się z jakąś ironią niedobrą.

— Masz pani słuszność—ozwała się do otyłéj—że nie przypuszczasz nawet, aby pan Jerzy mógł zginąć. Jest w tém wiele prawdy. Przeciwnik jego jest-to młody, pełen zapału człowiek. On się strzela, bo serce każe się strzelać—strzela, bo kocha i jest tego przekonania, że bez téj kobiéty, którą kocha, żyć nie może! Zresztą myśli, że tym sposobem da téj kobiecie dowód swojéj wielkiéj miłości!... U takie-

go młodego człowieka serce bije gwałtownie... ręka drży... cel niepewny!... stawka wielka... może chybić! U jego przeciwnika inaczéj. On gra w karty z zimną krwią... a tacy ludzie zazwyczaj wygrywają, i swoich przeciwników w pojedynku zabijają!

— To téż słusznie pytała pani Innocenta, co po pojedynku zrobi pan Jerzy, gdy tamten padnie.

— Bardzo słusznie. Był instynkt, było przeczucie i... mała życzliwość dla znajomego człowieka! Nieznajomy niczém!

— Prawda... ale zawsze biedny człowiek! Cóż on temu winien, że także kochał?

— Poczciwa i zacna kobiéta nie może nigdy mieć dwóch w sobie zakochanych!

— Co téż pani mówisz! Pani Undecemilia miała ich...

— Stosownie do swego imienia!

Śmiech powszechny rozległ się pokoju.

— Cóż to tak zabawnego?—zapytała czarna, blada dama.

— Mówimy o pojedynku!

— Cóż, kończy się szampanem?

— Nie... nieboszczykiem!

— Przecież nie panem Jerzym?

— Naturalnie, że nie. Nieznajomy płaci koszta!... Ale pytanie, co zrobi pan Jerzy i co zrobi pani Laurencya!

— Pan Jerzy... ożeni się z nią!

— *Fi donc!* Z taką kobiétą, która prowadzi za sobą rywala i potém zabijać go każe... żaden mężczyzna szanujący swoją godność nie powinien się żenić!

— A kobiéta?...

— Kobiéta po takim wypadku powinna zrzec się na zawsze rozkoszy himenu... wstąpić do szpitala lub zakonu! Ona nie powinna mieć już męża—bo między nią a tym mężem jest... blady, siny, skrwawiony trup!...

Okrzyk odrazy i oburzenia dał sią słyszéć.

— I zkądże przyszło do tego pojedynku?

— Ona położyła to panu Jerzemu za warunek...

— To być nie może! To oszczerstwo! Gdzieżby kobiéta mogła czegoś podobnego żądać!... Zresztą na dwoje babka wróżyła! Nie, to być nie może!

— To nieprawda. Ów młody człowiek jest po prostu szalonym. Zakochał się z całą namiętnością... a gdy widział, że ona więcéj skłania się do pana Jerzego... póty go prześladował, póty mu dokuczał, że wreszcie nie można mu było odmówić. Pan Jerzy wcale nie

jest winny! Robi to, co może, co mu honor każe!... Tamten zaś sam idzie na zgubę!...

— Jakiż może być rezultat tego wszystkiego?

— W najlepszym razie małżeństwo miejsca mieć nie może! Ani myśléć o tem!

— Któżby chciał ich przyjmować?

— Naturalnie! Taką kobiétę!

Wyświeżony i pachnący pan Juliusz wypadł teraz jak bomba z drugiego pokoju. Miał twarz zarumienioną jak bohater przed bojem. Pan Juliusz zwykł prowadzić tańce.

— Nowinę paniom zwiastuję — zawołał z postawą herolda— wielką nowinę. Sezon tegoroczny zakończy się tańcującym wieczorkiem u państwa Salezych!

— Wieczorkiem tańcującym!

— U państwa Salezych!

— Wybornie.

— Wyśmienicie!

I całe zgromadzenie od niewesołego trupa przeszło ochoczo do weselszéj rozmowy o „wieczorku tańcującym."

(D. c. n.). *Jan Zacharyasiewicz.*

DYPLOMACYA SOBIESKIEGO.

Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana Trzeciego. Opracował Dr. Kazimierz Waliszewski, członek kom. hist. akad. umiej. w Krakowie; tom I obejmujący lata od 1674—1677. (W Krakowie 1879, in 4-to, str. 546).

I.

Archiwum francuskiego ministeryum spraw zagranicznych, dzięki przeważnéj roli, jaką od trzech przeszło wieków odgrywa polityka Francyi, jedno z najbogatszych na kuli ziemskiéj, zawiera do dziejów polskich niepospolite, a dotąd nieznane skarby. Do samego wieku XVII, w którym się poczęły żywsze między Polską a Francyą stosunki dyplomatyczne, zawiera to archiwum blisko sto sporych foliantów, po większéj części gęsto cyframi zapisanych; korespondencya Dumouriez'a, wysłanego do Polski dla prowadzenia spraw konfederacyi barskiéj, korespondencya, którą przypadkiem udało mi się przejrzeć, mieści się w tomie 297m. Całych 200 przeto tomów odnosi się do czasu między śmiercią Sobieskiego (1696) a konfederacyą barską (1770). Co za żniwo dla nauki dziejów polskich, gdy kiedyś będą znane te dokumenta! Do niedawna leżały one w zupełném ukryciu; przynajmniéj niewiadomo mi, żeby którykolwiek z dziejopisów polskich był z nich korzystał. Z polskich, mówię, gdyż z francuskich niejeden miał w ręku korespondencyą polską. Tak przedewszystkiem Mignet, który pracując w drugiéj ćwierci tego stulecia nad wielkiém swém dziełem: Négociations relatives á la succession d'Espagne (Paryż 1835 i nast.) przejrzał téż podobno, zapewnie bardzo przelotnie, i korespondencyą polską, z któréj jednak żadnego ani wydrukował, ani nawet nie przytoczył dokumentu. Po Mignecie pan Marius Topin korzystał z niektórych tomów korespondencyi polsko-

francuskiéj XVII wieku, aby na jéj podstawie skreślić dość ogólnikowy, ale prawdziwy (a jak dotąd najlepszy) obraz działalności poselskiéj późniejszego kardynała, a podówczas opata, słynnego Polignaca, który był ambasadorem w Polsce od roku 1694 aż do swego odwołania przez Ludwika XIV wskutek chybionéj elekcyi księcia Conti (1). Podobnież korzystali z tych zbiorów, o ile one polskich dotyczą dziejów, i inni badacze, że tu wymienię jeszcze tylko de St.-Priest'a, który na dyplomatycznym, a z tego zbioru zaczerpniętym, innym historykom niedostępnym materyale osnuł szkic swój o pierwszym rozbiorze Polski—i Feliksa Colson'a, który wydrukował nawet z rzeczonego archiwum ważny i obszerny dokument, pamiętnik agenta Kondeuszowego Caillet'a o stanie spraw polskich (w październiku 1662), zużytkowany już przez naszych historyków (2). Z polskich badaczy natomiast jedyny Antoni Walewski miał korzystać z zawartéj w rzeczoném archiwum korespondencyi; atoli osobliwszy sposób, w jaki Walewski w swych dziełach (Historya wyzwolonéj Polski pod jarzmo domowe wpadającéj za Jana Kazimierza itd.) wydrukował wyciągi z téj korespondencyi, nie dozwala stanowczo sprawdzić, czy istotnie z archiwum paryskiego korzystał.

Z bogactwem materyału dyplomatycznego w prostym stosunku stała tedy zupełna prawie jego dla historyografii polskiéj nieużyteczność. Inaczéj być nie mogło. Podobnie, jak innych archiwów, tak i francuskiego zbioru przy ministeryum spraw zagranicznych, strzeżono do niedawna z zazdrosną troskliwością. Korespondencyą dyplomatyczną, choćby całym szeregiem wieków oddzieloną od pytań żywotnych chwili, uważano zawsze, nie jak należało, za rzecz jedynie i wyłącznie należącą do dziedziny dziejów, ale przeciwnie jako arsenał argumentów politycznych, mających służyć do wywalczania bojów chwili, a może też jako rodzaj *chronique scandaleuse*, któréj odsłonięcia, choćby w samym interesie przyzwoitości dyplomatycznéj, za żadną nie należało dopuścić cenę. Zarządy francuskich archiwów pod tym względem nie ustępowały w niczém zwierzchnościom archiwalnym w Berlinie, Wiedniu, Simancas, Turynie i in. Jeżeli komu po ciężkich przeprawach i bieganiach bez miary udało się wreszcie

---

(1) Zob. dzieło p. t. L'Europe et les Bourbons au XVIII siècle, par. M. Topin, Paris, Didier, 8-o. Dzieło to jest u nas zgoła nieznane, czemu niewątpliwie winien tytuł, nie pozwalający domyślać się właściwéj jego treści.

(2) De la Pologne et des cabinets du nord, par Felix Colson 1841, t. I, str. 309—332. Colson powiada: Archives du royaume, więc mogłoby to być dzisiejsze archiwum narodowe (arch. nationales). — Studyum St.-Priest'a zobacz w jego Etudes diplomatiques et littéraires 1850, tom 1-szy.

zasiąść do zapylonych foliałów, to zarząd, dzięki kontroli, jaką miał prawo wykonywać nad tymi wybrańcami, postarał się o to, ażeby mu szukający prawdy badacz nie zabrał jéj za wiele a przedewszystkiem, żeby nie wyniósł z archiwum niczego, coby mogło niemile dotknąć wrażliwość narodową albo w niepochlebném świetle wystawić postępowanie ojców. O przepisywaniu tedy dosłowném dokumentów w celu późniejszego ogłoszenia ich drukiem nie mogło być mowy, wyciągi zaś, które dozwalano robić, trzeba było przedkładać dyrekcyi archiwalnéj, a ta po ich zbadaniu, wymazywała wszystko, co się jéj nie podobało, a wymazywała w sposób, który nie dozwalał już więcéj odczytania zakwestyonowanych miejsc. Jeżeli na tém postępowaniu dobrze wychodziły skrupuły polityczne, choćby najbardziéj błahe, jeżeli oszczędzoną była w ten sposób próżność narodowa, to wręcz przeciwnie miało się z prawdą dziejową. Łatwo też pojąć, z jaką niedogodnością połączone było dla badaczów robienie wyciągów i streszczeń w języku innym od ojczystego, w jedynym celu, ażeby władze archiwalne wiedziały co z nich wykreślić a czemu dać aprobatę. Ale w francuskiém archiwum minist. spraw zagranicznych działo się jeszcze lepiéj, a następująca prawdziwa historya jest tego najlepszą ilustracyą. Prof. Simson otrzymał w r. 1861 od niemieckiego komitetu wydawniczego, który zamierzał to samo zrobić dla dziejów tak zw. wielkiego elektora (brandeburskiego), co dziś robi akademia krakowska dla pamięci Jana III-go, polecenie przeszukania francuskiego archiwum dla celów owego wydawnictwa. Za wdaniem się ambasady pruskiéj w Paryżu i przez wzgląd, że wydawnictwo stało pod protekcyą następcy tronu pruskiego, uczony niemiecki otrzymał wstęp do archiwum i pracował w niem przez czas jakiś dla dziejów lat 1640—1670, nie bez tego zresztą, żeby mu tego i owego nie wymazano w jego wyciągach; ale jakież było jego zdziwienie, gdy mu przekładając korespondencyą z lat 1670—1687 (w którym to czasie po raz pierwszy naprężyły się stosunki między Francyą a elektorem) oświadczono, że jest wprawdzie upoważniony do *czytania* téj korespondencyi, że jednak względy, których wymienić nie uznano za stosowne, nie dozwalają, ażeby jakiekolwiek choćby najogólniejsze przy tém czytaniu robił notatki. Simsonowi nie pozostało nic innego, jak wybiegać co godzina z archiwum i w bliskiéj restauracyi czy kawiarni spisywać co prędzéj z pamięci treść odczytanych dokumentów. Wypadło zaś to zrobić dla ni mniéj ni więcéj jak dwudziestu kilku tomów in folio korespondencyi francusko-brandeburskiéj. Sprawozdania te, oczywiście, jako nieautentyczne nie mogły być drukowane i do dziś dnia zalegają półki komisyi wydawniczéj, pełne cennych informacyi, ale też pełne

trudnych do ominięcia przy spisywaniu z pamięci niedokładności i omyłek (1).

Niedorzeczności podobnego sposobu postępowania położono kres wreszcie i oddając badaniu i nauce, co im się należy, otwarto w większéj części stolic europejskich, trzymane dotąd pod kluczem zbiory. We Francyi zniesienie téj na nauce ciężącéj cenzury archiwalnéj datuje się dopiero od lat kilku, bo od ministeryum księcia Decazes. Atoli postęp, jak we wszystkiém, tak i tu tylko powoli się objawił. Ustanowiona przez ks. Decazes komisya archiwalna, która miała badać podania zgłaszających się do archiwum uczonych, była wprawdzie złożoną z ludzi bardzo poważnych i liberalnych, cóż jednak, gdy przez dyrektora archiwum, pana Faugère, słynnego erudytę, bardzo rzadko albo raczéj nigdy nie była zwoływaną; skutkiem tego była wielka dowolność postępowania ze strony dyrekcyi, na którą niejednokrotnie przyszło się skarżyć pracownikom (2). Ustanowienie niedawne nowéj komisyi archiwalnéj i niebawem potém, po zasięgnięciu jéj zdania, wydanie nowego, jak najliberalniejszego regulaminu przez ministra spraw zagranicznych, de Freycinet'a, położy podobno koniec tym utyskiwaniom. Podczas gdy w tajném archiwum berlińskiém jeszcze po dziś dzień dla każdéj kopii osobne potrzeba mieć upoważnienie, to nowy regulamin francuski (z 6 kwietnia 1880 r.) dozwala *bezwzględne korzystanie*, czy to w formie wyciągów czy całkowitych odpisów, ze wszystkich dokumentów od najdawniejszych czasów do 14 września z r. 1791; odtąd aż po 30 maja r. 1814 pod warunkiem poprzedniego złożenia wyciągów zarówno jak odpisów do przejrzenia dyrekcyi archiwalnéj. Tylko upoważnienie do korzystania z dokumentow późniejszych od 30 maja z r. 1814 pozostaje zachowane ministrowi i będzie udzielano tylko w poszczególnych wypadkach; dla czasów poprzednich wystarcza oznaczenie żądanych materyałów w zwyczajnym liście do ministra. Osobnego upoważnienia potrzebuje, kto zamyśla ogłosić drukiem archiwalne materyały (3).

---

(1) Mam te szczegóły od prof. Nitzscha w Berlinie, któremu je opowiadał sam Simson. Zob. zresztą: Urk. u. Aktenstücke z. Gesch d. Kurf. Friedr. Wilh. v. Brandenb. (Auswärt. Akten), II Bd. herausg. v. Dr. B. Ed. Simson, Berlin, 1865. Vorw. p. VIII.

(2) Zob. w Revue histor. t. XII zesz. z marca i kwietnia r. 1880 artykuł p. Monod: Courrier de France, p. 399—400.

(3) Zob. druk pod tytułem: Commission des archives diplomatiques. Règlements pour les communications de documents au public. Paris, 1880, art. 4, 5 i 6-ty. Od czasu ogłoszenia tego regulaminu w dwójnasób wzmogła się liczba pracujących w archiwum. Dodam, że jednym z członków nowéj komisyi archiwalnéj jest sympatyczny dyrektor pisma „Revue historique," p. Monod.

Rozporządzenia te powita świat uczony niewątpliwie z zadowoleniem; niemieccy zwłaszcza uczeni nie omieszkają z nich korzystać. Dla nas, Polaków, którzy się nie możemy bynajmniéj skarżyć na niechęć do nas władz archiwalnych, mniejszą te nowe rozporządzenia mają wagę, bo już od czasu ministeryum ks. Decazes, *de facto* i *de jure*, po wypełnieniu pewnych formalności, był nam wstęp otwarty, i nikomu nie przyszło na myśl kontrolować naszą w archiwum pracę. Ten i ów z polskich uczonych, raczéj z zamieszkałych w Paryżu, aniżeli z krajowych, korzystał też dla swych poszczególnych celów z téj wolności, pracy systematycznéj jednak wydania znacznéj części oddanych w ten sposób niejako do naszego użytku materyałów, podjęła się dopiéro akademia krakowska w chwalebnym zamiarze uczczenia zbliżającéj się 200-letniéj rocznicy oswobodzenia Wiednia przez polski oręż. Pan Kazimierz Waliszewski, dr. pr., członek komisyi historycznéj, podjął się jeszcze w r. 1875 z uznania godną bezinteresownością zaszczytnego a mozolnego trudu nad opracowaniem i przygotowaniem do druku francusko-polskiéj korespondencyi dyplomatycznéj z czasów panowania Jana III-go. Częściowy rezultat przeszło czteroletniéj jego pracy ogłoszony już został nakładem akademii i z niego to obecnie chcemy zdać sprawę.

II.

Korespondencya dyplomatyczna Francyi z Polską za panowania Jana III-go, czyli w zakresie 22 lat, mieści się w 55 tomach, liczących po 300, 400 lub 500 kart *in folio*, a oznaczonych cyfrą tomów 40-go do 95-go ogólnéj korespondencyi archiwalnéj, o ile ona polskich dziejów dotyczy. Wobec takiego ogromu historycznego materyału, pierwszém, nieodzowném przystępującego do jego opracowania zadaniem winien być wybór metody, któréj mu się trzymać należy w wydawnictwie; gdy bowiem o drukowaniu wszystkiego nie może być mowy, należy koniecznie uczynić wybór pomiędzy tém, co drukować, a co pominąć wypada, do czego przychodzi jeszcze dodatkowe, niemniéj jednak ważne, pytanie, *jak* należy drukować to, co się drukuje. Rzecz, aczkolwiek już raz w naszém piśmiennictwie z kompetentnéj strony dyskutowana (1), wydaje mi się dosyć ważną, zarówno przez wzgląd na obecne wydawnictwo, jak zapowiedziane po-

(1) Zob. artykuł prof. Zakrzewskiego: „Jak należy wydawać akta i listy historyczne z wieków XVI-go i późniejszych,“ w tomie VII Rozpraw i Sprawoz. z posied. akad. wydz. hist.-lit.

dobne publikacye bliskiéj przyszłości, ażeby się nad nią zastanowić dokładnie, ażeby ewentualnie przyjąć albo odrzucić metodę, któréj się trzymał p. Waliszewski.

Przystępujący do wydania podobnego materyału—powiada wydawca we wstępie—wahać się może między czterema rozmaitemi metodami. Pierwsza polega na wydaniu wszystkich aktów *in extenso*; druga na wydaniu niektórych aktów, *in extenso*, z pominięciem innych; trzecia na wydaniu wszystkich aktów, wartość historyczną przedstawiających (z pominięciem zupełnie obojętnych), nie już *in extenso*, lecz w ekscerptach czyli wyciągach. Wydawca nie godzi się na żadną z tych trzech metod. Pierwszą odrzuca bez namysłu; drugą—dlatego, bo powiada, zbyt często w depeszach, mało w ogóle znaczących i rozwlekłych i z tego względu żadną miarą do wydania *in extenso* się niekwalifikujących, znaleść się daje jeden lub kilka ustępów, czasem kilka linii, które stanowią ważny dokument lub zawierają cenną wskazówkę. Trzecia wreszcie metoda w tém jest wadliwą, że gdy częstokroć wartość listu lub depeszy tkwi nie w jednym lub drugim ustępie, ale w treści saméj, zbyt rozwlekle lub niejasno wyrażonéj, depesza wymaga nie tyle przytoczenia z niéj wyciągu mniéj lub więcéj obszernego, jak raczéj „streszczenia i wyjaśnienia.“ Godzę się na pierwsze słowo, natomiast nie dopuszczam wyjaśnienia, jak chyba w uwadze albo w ogóle w takiéj formie, ażeby czytelnik mógł odrazu poznać, co jest treścią depeszy, a co dodatkiem wydawcy. Depesze tedy niejasne, zawiłe, dopuszczające (jak to się tak często zdarza) różne sposoby wykładu, podałbym raczéj w całości, jeżeli tylko treść ich jako tako na to zasługuje. Rzeczą czytelnika zrozumiéć je po swojemu; rozumienie to winien ułatwić uwagami swemi wydawca, lecz nie powinien żadną miarą narzucać czytelnikowi swojego wykładu. Ale to jest uwaga mniéj ważnéj natury, zresztą jestem dotąd w zupełnéj zgodzie z wydawcą. Gdzie się natomiast rozchodzą nasze zapatrywania, gdzie, mojém zdaniem, wydawca stanowczo uchybił swemu obowiązkowi wydawniczemu, to we wniosku, jaki wyciągnął z niemożliwości wyłącznego przyjęcia któréjkolwiek z powyższych trzech metod i jaki praktycznie zastosował, obierając, jak powiada, czwartą, od poprzednich zupełnie odmienną metodę. Czytającemu przytoczone powyżéj rozumowanie wydawcy zdawałoby się, że jedyną możliwą metodą, jaka pozostaje po odrzuceniu owych trzech pierwszych będzie metoda, która: 1) ważne dokumenta *poda w całości*; 2) z dokumentów mało znaczących a rozwlekłych, a więc (żeby użyć własnych słów wydawcy) nie kwalifikujących się żadną miarą do w dania in extenso, *poda wyciągi* t. j. „jeden lub kilka ustępów czasem kilka linii, stanowiących ważny do-

kument lub zawierających cenną wskazówkę;“ wreszcie metoda, która 3) depesze rozwlekłe i w ogóle mniéj ważne poda w mniéj lub więcéj dokładném *streszczeniu*, (co naturalnie będzie zależéć od ważności depeszy). Mojém zdaniem, jest to metoda jedyna, jaką można, jaką należało zachować; metoda, jednocząca w sobie zalety trzech poprzednich, a uchylająca ich strony ujemne, jedyna wreszcie, jaka logicznie, konsekwentnie dała się wysnuć z wyżéj przytoczonego rozumowania. Ale wydawca, który dotąd rozumował całkiem słusznie, robi nagle skok w tém rozumowaniu, i tu tkwi główny niedostatek wydania—z wydawcy stara się przedzierzgnąć w historyka. Posłuchajmyż daléj słów jego: „Przedstawia—mówi on o owéj trzeciéj metodzie—ta metoda tę jeszcze wspólną z dwiema pierwszemi niedogodność, że oddając w ręce czytelnikom *materyał sproszkowany*, że się tak wyrazimy, zmusza każdego z nich do pracowitego ulepiania rozproszonych okruchów w jakieś *logiczne grupy*, niby cegiełki do budowy historycznéj służyć mogące. Téj to właśnie pracy, dokonawszy jéj raz osobiście, chcieliśmy oszczędzić czytelnikom, przyjmując w niniejszém wydaniu czwartą zupełnie odmienną metodę. Oto, wniknąwszy w materyał przed nami leżący, wyciągnęliśmy zeń wszystko, co nam się zdało mieć jakąkolwiek wartość dla badacza dziejów polskich, odpisując tu, streszczając owdzie, gdzieindziéj jeszcze notując tylko fakt jakiś lub datę. Następnie zebrane w ten sposób cząstki historycznéj treści usiłowaliśmy związać w jednę *organiczną całość* nie już suchą chronologią tylko, lecz także, i to przedewszystkiém tym, więcéj idealnym porządkiem, który następstwa łączy z przyczynami i zbliża tym sposobem częstokroć wypadki zaszłe w bardzo rozmaitych momentach czasu.“

Trzeba oddać p. Waliszewskiemu tę sprawiedliwość, że jeżeli niedobrze zrobił, to tylko dla tego, że chciał zrobić lepiéj, aniżeli dobrze. Poznawszy właściwość przyjętéj przezeń metody, zobaczmy, w czém ona wykracza przeciw uznanym przez sztukę wydawniczą prawidłom.

Kto choć tylko przejrzy, a tém bardziéj, kto przeczyta i przerobi sumiennie wydane przez p. W. dokumenta, ten nie będzie w kłopocie o odpowiedź. Jest ona krótka: *chaos*. Wydawca w dziwną popada iluzyą, kiedy mówi o logicznych grupach, o organicznych całościach, w jakie związał owe „rozproszone cegiełki historycznéj budowy.“ W całym, sporym przecie, tomie znaleźliśmy jedną podobną całość, podobną grupę logiczną, tam mianowicie, gdzie wydawca traktuje sprawę pana Brisacier str. 277—302; jedyne to karty, któreby zdolne były usprawiedliwić obraną przez wydawcę metodę, gdyby, niestety, nie były 20-tą częścią książki. Tam w istocie wydawca za-

chował więcéj niż porządek chronologiczny; tam zbliżył wypadki do siebie należące, choć chronologicznie odległe i powiązał idealną nicią przyczyny i skutku. Co do reszty, jeżeli się wydawca skarży na nieodzowne od zarzuconych przez siebie metod „sproszkowanie“ materyału, to ja powiem, *że dopiero wydawca naprawdę i to literalnie go sproszkował*, a sproszkował wedle osobistych zapatrywań swoich, bardzo często niczém zgoła nieusprawiedliwionych. Zamiast niewystarczającéj, ale w każdym razie wygodnéj, bo niezawodnéj, nici chronologicznéj, powiązał wydawca depesze dyplomatyczne bardzo wiotką zazwyczaj nicią swoich indywidualnych sądów, które wprawdzie czerpał z samychże dokumentów, ale które, przypuściwszy nawet, że zawsze są logiczne i uzasadnione, nie dają przecie czytelnikowi żadnéj na to rękojmi i zgoła uniemożliwiają mu znalezienie się w labiryncie przeróżnych spraw, o których traktują depesze. Pan W. powiada, że szukał logicznego związku zdarzeń, a mógłby dodać w obronie swéj tezy, że porządek logiczny lepszy jest od czysto-przypadkowego, jaki przedstawia chronologiczne zszeregowanie depesz. Niewątpliwie, ale gdzież rękojmia, że się odgadło rzeczywisty związek, że porządek, jaki wprowadził wydawca i według którego ugrupował owe historyczne, jak je nazywa, cegiełki, jest w istocie logicznym. Pan W. ma swoją logikę, ktoś inny ma inną. „*A logicien logicien et demi*“ mówi francuskie przysłowie. Czytając akta, o których mowa, myślałem sobie niejednokrotnie: jabym to gdzieindziéj umieścił, to znowu na innném miejscu. Wydawca sam, nie wątpię o tém, nieraz się wahał. Otóż tu wahania się być nie powinno. Wolno to pisarzowi, wolno autorowi samodzielnemu, co zrobił p. W., ten niech sobie wodzi czytelnika, czy to po ubitéj szeroko drodze swego umysłu, czy po krętych manowcach swoich widzimisię; rzecz sądu i smaku czytelnika iść za takim przewodnikiem lub rzucić w kąt jego dzieło. Inna rzecz z wydawnictwem dokumentów, do których chcąc nie chcąc przyjdzie uciekać się, którymi posługiwać się *z konieczności* będą musieli wszyscy, co się zechcą zająć dziejami Jana III-go. Otóż ci, w miejsce chronologicznego t. j. rzeczywistego następstwa wprawdzie nie samychże zdarzeń, ale pozostałych po nich i opisujących je aktów dyplomatycznych, znajdą je oprawione w ramki zapatrywań wydawcy; w miejsce materyału, surowego wprawdzie, ale swobodnego, dającego się dźwignąć każdemu, kto będzie miał po temu sposobność i wolę, znajdą „cegiełki“ już wprawione przez wydawcę w historyczną (jak się wyraża) budowę. Dwojaką tu widzę alternatywę: albo budowa wzniesiona przez p. W. jest ostateczną i stanowczą, albo ją wypadnie rozwalić; rozumiem, że albo po téj organicznéj całości, w jaką wydawca ubrał dzieje dyplomacyi francusko-polskiéj

za Jana III-go nic już o niéj, przynajmniéj w obecnym stanie historycznego materyału, nie ma do powiedzenia, albo téż, że każdy pracownik na niwie dziejowéj, gdy go studya jego powiodą do badania dziejów Jana III-go, będzie zmuszony wyjąć wprzódy cegiełki z budowy p. W., jeżeli ich do własnéj zechce użyć konstrukcyi. Otóż nie ma wątpienia, że lepiéj jest mieć gotowy, choćby surowy a w miarę obrobiony, materyał pod ręką, aniżeli iść poń i łamać go dopiero z tego rodzaju nowego kamieniołomu, w jaki go wprawił swoją metodą organicznych całości wydawca zbioru.

Ale przypatrzmyż się bliżéj tym „*organicznym całościom*." Sam podział materyału wydanego w niniejszym tomie na sześć części, według poselstw sprawowanych w Polsce czy to razem, czy osobno, przez dyplomatów francuskich, biskupa marsylskiego i margrabiego de Bethune, w stanowczéj zostaje sprzeczności z metodą p. W., jest on bowiem czysto chronologiczny, a bynajmniéj nie logiczny, nie rzeczowy. Zobaczmy to na przykładzie. Czyż przybycie pana de Bethune w sierpniu r. 1674 po raz pierwszy do Polski, z powinszowaniem Janowi III-mu elekcyi, wpłynęło w jakikolwiek sposób na ówczesną konstelacyą polityczną?! Broń Boże! Przybył Maryi Kazimierze szwagier, Francuzom w Polsce nowy dyplomata, w archiwum podwoiły się depesze, innego skutku nie widzę. Podział logiczny był w zdarzeniach, w wojnie tureckiéj, w układach kazimierskich, w otwarciu lub zakończeniu sejmu i t. p. Pan W. mimo to zaczyna część trzecią swojego zbioru od przybycia do Polski p. de Bethune, który nawet nie miał urzędowego charakteru. Nie inaczéj ma się rzecz z innymi rozdziałami. Z mało co mniejszém prawem mógłby je był wydawca poczynać od przybycia kuryerów z Francyi z ważniejszemi depeszami. To jednak powiadam jedynie dla wykazania niekonsekwencyi wydawcy, gdyż zresztą podział ten według ambasadorów, nie bardzo logiczny, jest przecie bardzo naturalny, bardzo wygodny i powszechnie też przyjęty, przynajmniéj w wydawnictwie materyałów dyplomatycznych. Tak w książkach historycznych daty wstąpienia na tron nowych monarchów zawsze nowe, chociaż niezawsze usprawiedliwione, stanowią epoki. Jakże jednak w obrębie samych-że tych podziałów postępuje wydawca? Uznaję chętnie, że robi wszystko co może, ażeby zachować, a raczéj, żeby odkryć logiczny związek zdarzeń; w tym względzie niejednokrotnie rzadkiéj daje dowody przenikliwości. Czy mu się zawsze wiedzie w téj konstrukcyi historycznéj, o tém nie chcę wyrokować, bo sąd ten byłby sądem zbyt osobistéj natury, a jak powiedziałem, każdy ma swoją własną logikę; przykładami natomiast, i to na chybił trafił wziętymi z wydanego zbioru, będę się starał wykazać, jakim kosztem wznosi wydawca swoję budowę i w jak budu-

jący sposób traktuje przytém materyał. Podawszy na str. 35 depeszę biskupa marsylskiego do Ludwika XIV z 21 maja r. 1674, wydawca przytacza już to w wyciągu, już w streszczeniu, już wreszcie w całości depesze różnych osób, wszystkie dotyczące świeżo co dokonanéj elekcyi Sobieskiego, a to w następującym porządku:

biskup marsylski do p. de Pomponne, 22-go maja, pag. 40.,
tenże do tegoż, 22 czerwca (wspomnienie) p. 40;
Cailllières do p. de Pomponne 22 maja, p. 41.
Stratman do p. Verjus, 21 maja.
Marya Kazimiera do Ludwika XIV, 7 czerwca;
biskup marsylski do p. de Pomponne, 22 czerwca;
Caillières do p. de Pomponne, 22 maja (nie zaś 28-go, co jest omyłką druku) p. 46.
Lubieniecki do p. de Pomponne, 4 czerwca;
Pomponne do biskupa marsylskiego, 20 lipca;
biskup marsylski do księcia Vitry, 7 czerwca, p. 47—48;
tenże do tegoż, 22 czerwca.
Następują rachunki z sum wydanych na elekcyą i t. p.
biskup marsylski do p. de Pomponne, 2 czerwca, p. 51;
tenże do Ludwika XIV, 6 czerwca. Wydawca podaje tu tylko część téj depeszy; dalszy jéj ciąg znajdzie—powiada on—miejsce *gdzieindziéj*; zarazem dowiadujemy się, że depesza do ks. Vitry z 7 czerwca, podana wyżéj na str. 47—48, nie była podaną w całości; następuje tedy tutaj str. 52 jéj koniec. Idziemy daléj:

15-go czerwca Jan III pisze do Wersalu z doniesieniem o swéj elekcyi p. 53 (podobny list Maryi Kazimiery podał wydawca już wyżéj, p. 41).

Następują trzy listy z Wersalu z 9-go czerwca; potém dwa listy z 13-go lipca, potém jeden z 29-go czerwca (p. 58). Wydawca wraca do Polski i podaje z początku czerwca memoryał biskupa marsylskiego o stanie Polski. Teraz znowu krok wstecz, bo na str. 70 cofamy się do 25, 29 i 30-go maja, ażeby się wreszcie na str. 71 doczekać końca owéj w części na str. 52 podanéj depeszy biskupa marsylskiego do Ludwika XIV-go z 6-go czerwca. To wszystko przeplatane uwagami i komentarzami, które są cementem téj budowy.

Podobny ład w całéj panuje książce. Jeszcze kilka przykładów z dalszych kart zbioru. Str. 173 jest depesza z 11 stycznia r. 1675; str. 175 z 4-go stycznia; podobnie str. 193. Str. 186 jest początek depeszy z 28-go lutego r. 1675, koniec na str. 194. Rozdarcie dokumentu na dwoje, umieszczenie jednéj połowy tu, drugiéj tam, jest rzeczą wcale nie rzadką. Jak pogodzić wersalską

korespondencyą z warszawską zgoła nie wie wydawca; z początku przytacza odpowiedzi ministra zaraz po depeszach ambasadorów, późniéj wprowadza podział na miesiące, więc po korespondencyi z Polski np. z lipca podaje korespondencyą wersalską z tegoż miesiąca, ale i tego ładu, który przecie jest chronologicznym, a nie rzeczonym, nie umie się trzymać i niezliczone razy przeciw niemu wykracza. Na str. 193. przytoczywszy depeszę z 1 marca 1675, pociesza nas, że odtąd gabinet wersalski przez „parę miesięcy" nie wysłał nic do Polski, coby zasługiwało na uwagę; obiecuje zająć się „wyłącznie korespondencyą z Polski", ale już na str. 197 znajdujemy depeszę Ludwika XIV z 22 marca 1675, którą wydawca uważa za swój obowiązek przytoczyć dla jéj „filozoficznéj wartości"; a na str. 201 poczyna się z depeszą z 12 kwietnia nowy szereg korespondencyi wersalskich. Na str. 232 znajduję depeszę p. de Pomponne do biskupa marsylskiego z 13 września 1675 i bezpośrednio po niéj streszczoną depeszę tegoż do tegoż z 30 czerwca tegoż roku. Często wydawca dowolnie całkiem naznacza dokumentom miejsce; mimo to pełno w catéj książce depesz, o których trzeba chyba powiedzieć, że się zabłąkały, albo że je zagubił wydawca. Radzi on sobie wtedy w ten sposób: umieszcza je w osobnym nibyto rozdziale, oddzielonym znakiem pisarskim (—) od poprzedniego i następnego; tak np. przytoczywszy poprzednio depeszę z 13 września 1675, podaje on w takim osobnym dziale depeszę p. de Bethune z 31 lipca i odezwę Opackiego do p. de Pomponne z 2 sierpnia, jakkolwiek oba te dokumenta w żadnym zgoła ze sobą nie zostają związku (p. 230). Mimo te jednak nadzwyczajne sposoby, na str. 327 znajdziesz już nie w tekście, ale w uwadze wyciągi i to aż z dwóch wcale nieobojętnych depesz; toż samo na str. 455. Widocznie nie stało dla nich miejsca w budowie wydawcy, posłał je do oficynl Baluze, agent francuski w Warszawie, włazi zawsze jak istny Piłat w credo wydawcy, ze swoją korespondencyą, która najczęściej nic niema wspólnego z korespondencyą ambasadorów. Zwłaszcza tam, gdzie sprawy dyplomatyczne się wikłają, gdzie je przeplatają interesa prywatne, lub też gdy więcéj jest korespondentów, przy całéj usilności wydawcy, powstaje istny chaos, w którém, zdaje mi się, że on sam miałby niemałą trudność zoryentować się. Porządek rzeczowy udaje mu się zachować ledwie przez ciąg trzech lub czterech depesz, potém nieuniknione wikłanie się spraw zmusza go do porzucenia téj, którą szedł ścieżki, idzie w prawo, w lewo, to zmuszony sztucznie nawiązywać nici dyplomatyczne, to znowu przerywać je epizodami, które nic wcale z nimi nie mają wspólnego.

Mniemam, że to co powiedziałem dostateczne daje wyobrażenie o naturze obranéj przez p. W. metody. Zdaniem mojem, przyczyny ciężkiego błędu, w jaki popadł wydawca, szukać należy w połowicznem, niejasnem pojęciu zadania z jego strony. Odpowiednio do alternatywy, którą postawiłem wyżéj, należało wydawcy, albo raczéj wydawcy-historykowi, gdyż za takiego uważa się p. W., pojąć swoje zadanie w jeden z następujących sposobów: albo opracować samodzielnie na podstawie bogatego, jaki miał pod ręką materyału, dzieje dyplomatyczne Jana III i stworzyć w ten sposób mniej lub więcéj skończoną budowę, albo też zamknąwszy się ściśle w roli wydawcy, nie kusić się bynajmniéj o rolę historyka, lub wreszcie, jeżeli chciał tego koniecznie, uczynić to w sposób, iżby na tém nie cierpiał materyał dyplomatyczny, a zatém albo w osobném dziele, albo w obszernym wstępie, któryby mógł poprzedzać wydanie. Wydawca sądził jednak, że zdoła pogodzić jedno z drugiém i poszedł drogą pośrednią. Powiada on sam, że dalekim był od kuszenia się „o skreślenie dokładnego i wyczerpującego obrazu dyplomacyi polsko-francuskiéj za panowania Jana III-go". Do tego, jak słusznie twierdzi, potrzeba-by wprzód zbadać archiwa także innych państw, z któremi Polska ówczesna stała w dyplomatycznych stosunkach. Uważa on pracę swą nie za historyę dyplomacyi Jana III-go, ale za *historyę aktów dyplomatycznych* w archiwum francuskiém zachowanych (p. VI): skromność, która byłaby najwyższego uznania godną, gdyby nie ona właśnie była powodem téj dwoistości, jakiéj cechę nosi wydawnictwo.

Atoli można by mi uczynić zarzut, że uderzam na metodę, która już piękne wydała rezultaty. Metoda użyta przez p. W. nie jest w istocie bynajmniéj nową. Jeźli się nie mylę, to p. W.. zabierając się do pracy, zapatrzył się na wzór rzeczywiście wielki i zarówno naśladowania godny, jak do naśladowania trudny. Chcę mówić o wydaném w roku 1835 i nast. dziele Migneta: Négotiations relatives à la succession d'Espagne, którém ówczesny dyrektor archiwum minist. spraw zagranicznych zainaugurował godnie ogromne, za wpływem Guizota podjęte, wydawnictwo znane światu uczonemu p. t. Collection de documents inédits sur l'histoire de France. Uczony francuski, obrawszy za przedmiot swéj publikacyi zdarzenie tak ogromnéj doniosłości, jak następstwo Burbonów po Habsburgach na półwyspie pirenejskim, zobaczył za pierwszym rzutem oka na stosy archiwalne, które jako dyrektor archiwum zupełnie miał do swéj dyspozycyi, że gdyby chciał drukować wszystko, co się odnosiło do obranego przezeń przedmiotu, setka tomów nie starczyłaby na to. Koniecznością tedy powodowany, obrał metodę, którąby można nazwać słusznie

metodą Migneta, raz dla tego, że on ją pierwszy zastosował, a powtóre, ponieważ, lubo wielu, we Francyi zwłaszcza, znalazł naśladowców, żaden z nich nie zdołał osiągnąć jego mistrzostwa; nie ambicyą choćby najszlachetniejszą powodowany, ale przyparty niemożliwością zamknięcia się w roli wydawcy, z powodu przerażającéj mnogości materyałów, Mignet został historykiem i to historykiem w najzupełniejszem tego słowa znaczeniu, a z dzieła swego zrobił nie materyały do historyi, ale historyę dyplomacyi francuskiéj, lub raczéj dyplomacyi europejskiéj w pierwszych 18 latach po śmierci kardynała Mazaryniego (1). Tu można mówić o organicznych częściach, o logicznych grupach, tu traktują się w jednym dziale układy z Hiszpanią, w innym, jakkolwiek krzyżujące się z tamtymi, rokowania z Holandyą, jeszcze w innym z dworem cesarskim; każdy dokument nie na chronologiczném, ale w istocie na swém logiczném postawion jest miejscu. Czytelnik idzie z roskoszą za takim przewodnikiem, który pojaśniając dokumenta światłym swym sądem, daje mu zarazem sposobność sprawdzenia tego sądu właśnie na podstawie dobytego z kopalni archiwalnéj, a starannie od lichéj rudy oddzielonego szlachetnego kruszcu dyplomatycznego. Metodę Migneta cechuje stanowcza przewaga żywiołu historycznego (jeźli się tak wolno wyrazić) nad wydawniczym, przewaga indywidualnego opowiadania nad materyałami, wprawdzie nie co do ilości stron, jaką jedno i drugie w dziele zajmuje, ale z uwagi, że dokumenta, wtłoczone prawie bez wyjątku w formę opowiadania, zdają mu się być podporządkowane i wyjąwszy tam, gdzie są zbyt długie, dodają owszem życia i barwy opowiadaniu, przez co całość dosyć plastyczne przybiera kształty. Jeszcze jedna wreszcie, może najważniejsza, cecha odznacza nader korzystnie pracę Migneta od wszystkich jego, mniéj lub więcéj fortunnych naśladowców. Przyjąwszy raz na się rolę historyka, Mignet umie się utrzymać na wysokim, jakiego ona wymaga, poziomie i nie schodzi nigdy do rzędu przepisywacza dokumentów, jak przeto z jednéj strony bez skrupułu poświęca wielką część niepotrzebnego balastu dyplomatycznego, tak z drugiéj przekonany, że akta w jedném zachowane archiwum, z natury rzeczy muszą być jednostronne, nie waha się ich uzupełniać materyałami skądinąd zaczerpniętymi, choćby nawet wziętymi z dzieł drukowanych. W tém właśnie upatruję historyka, który podobnie jak

(1) Jak wiadomo, Mignet nie dokończył dzieła, które miało sięgać aż do pokoju wiedeńskiego (r. 1738) a zostało doprowadzone tylko do układów pokojowych w Nimwedze i w St. Germain (1678—1679).

sędzia przed oczy przysięgłych, kładzie wszystek materyał dowodowy, wszystkie *pro* i *contra* zeznania (1).

Jeśli teraz od tego wielkiego wzoru zwrócimy oczy do wydawnictwa p. W., który świadomo, czy nie, ten wzór naśladuje, nie podobna nie dostrzedz ogromnéj, jaka je od siebie oddziela, różnicy. Mignet opowiada zdarzenia i dzieje, p. W. opowiada lub streszcza akta, które ich dotyczą. Mignet panuje nad materyałem, nad p. W., zdaje się, że panuje materyał; tam podporządkowany on jest opowiadaniu, które tylko stwierdza i rozprowadza, tu uwagi wydawcy są komentarzem mniéj lub więcéj zbędnym do wydanych materyałów, komentarzem, prawda, że bardzo często, jak to u człowieka zdolności p. W. inaczéj być nie mogło, wcale trafnym, ale też nierzadko bardzo błahym i jedynie do powiązania aktów dyplomatycznych służącym, tam widzimy gruntowną znajomość dziejów powszechnych, tu wydawca, któremu zresztą bynajmniéj nie brak szerokości poglądu, nie zna prawie nic więcéj oprócz swego archiwalnego materyału, bogatego wprawdzie, ale jednostronnego; słowem, tam znać historyka, tu widać, że wydawca silił się być historykiem, a że pozostał wydawcą.

Uwagi te nie przeszkodzą mi oddać sprawiedliwości, jaka się należy sumienności wydawcy, zarówno jak, względnemu, uzdolnieniu, którego w wydaniu złożył dowód. Przy tak fałszywéj metodzie, tak wręcz mylném pojęciu zadania, uznać należy, że wydawca zrobił literalnie, co się dało, dla stworzenia owych swoich logicznych grup, że z prawdziwą sztuką umiał wydobyć z ogromnego materyału i od biedy ulokować to, co było godne uwagi, że kto inny byłby może jeszcze bardziej rozdrobił, sproszkował materyał, uczynił go jeszcze mniéj przejrzystym, a tém samém, jeszcze mniéj przydatnym do użytku historycznego. Co zaś do *sumienności* i skrupulatności, z jaką pracował p. W., to te mi się wydają wyższe po nad wszelką wątpliwość, wydawca posunął je do tego stopnia, do którego nas nawet niemieckie nie zdołały przyzwyczaić wydawnictwa. Nie ma w istocie w ca-

---

(1) Pouczającém jest, co Mignet sam w swéj przedmowie powiada w téj mierze: „Était-il nécessaire de donner les documents dans leur totalité? Fallait-il s'abstenir de les compléter en y ajoutant des pièces publiées dans d'autres temps et d'autres pays? Je ne l'ai pas pensé. Je n'ai pas cru qu'il fût indispensable de rien omettre au risque d'accabler le lecteur sous un amas d'inutilités et de ne rien ajouter au risque de le laisser dans l'ignorance. Il aurait reculé devant l'ennui ou devant l'obscurité: dans un cas, il n'aurait pas lu, dans l'autre il n'aurait pas su..." A niżéj: „J'ai distribué les pièces d'après leur objet même et je leur ai donné autant qu'il était possible la forme du récit en les plaçant dans la marche de l'action. Je me suis aidé des correspondances et des ouvrages publiées en Hollande, en Allemagne et en Angleterre sur cette importante époque etc..."

łym tomie, nie mówię żadnego aktu, ale twierdzenia opartego na osnowie aktu, przy którémby odsyłacz nie umożliwiał odniesienia się po sprawdzenie do źródła. Toż chcę powiedzieć i o doborze samychże aktów. Jeźlim ganiąc, powiedział wyżéj, że materyał panował nad wydawcą, to należy to z drugiéj strony rozumieć zarazem jako pochwałę, t. j. że wydawca miał tyle poszanowania dla materyału, że go przytoczył, choćby on nie nadawał się bynajmniéj do jego logicznych grup, lub zgoła, choćby miał zbijać jego rozumowanie, — postępowanie, które, jak wiadomo, nie zawsze uważali za stosowne zachować wydawcy polscy. W téj mierze przychodzi mi się zupełnie zgodzić na żądanie wydawcy, ażeby krytyka sądziła część źródłową jego pracy niezależnie od uwag i komentarzów, w które je przybrał.

III.

Po tych uwagach ogólnéj natury nad metodą wydania, przypatrzmy się obecnie bliżej *zasadom poszczególnym*, jakiemi w wydaniu kierował się p. W. Jak już na wybór metody, tak i na nie wpłynął głównie wzgląd oszczędności. Materyał, który p. W. wydrukował w niniejszym tomie, jest wszystek bez wyjątku ważny, dotyczy on najważniejszych zagadnień przeszłości narodu. Pozostaje domysł, czy w tém, co pominął wydawca, nie było również czegoś ważnego, z czegoby mogła korzystać nauka dziejów.

P. W. ma zupełną słuszność, jeźli powiada, że rozróżnienie w ogromnéj mieszaninie szlachetnego i podłego kruszcu, jaki zapełnia kopalnię archiwalną, szlachetnéj bryły od niepotrzebnego balastu „jest rzeczą sądu indywidualnego, który bardzo często z nader subtelném się spotyka zadaniem“. I tu niezawsze jestem w zgodzie z wydawcą, chociaż go tu lepiéj pojmuję. Uwzględnił on głównie stronę dyplomatyczną, nie pomijając przecie szczegółów obyczajowych, a główną oszczędność starał się uzyskać przez pominięcie obficie w depeszach się trafiających powtórzeń. Zauważyłem, że wydawca konsekwentnie pomijał wiadomości o działaniach wojennych, i mogę tylko przyklasnąć temu; na urywkowych, często, w miarę nadchodzących wiadomości, sprzecznych ze sobą podaniach agentów dyplomatycznych o zdarzeniach, zaszłych na dalekim zazwyczaj teatrze wojny, nikt nie zechce osnuwać historyi działań wojennych. Uczyniłbym tu przecie pewne zastrzeżenie. Wypadki zaszłe pod Żurawnem są zbyt ważne, ażeby je zbyć twierdzeniem, że są znane skądinąd (p. 309) i zrzec się dobrowolnie wszelkich informacyi, jakichby mogły dostarczyć depesze dwóch bliskich, a przez to

samo wzajemnie się kontrolujących i w tym razie niewątpliwie dobrze powiadomionych dyplomatów francuskich (biskupa marsylskiego i p. de Bethune). Podobnie nie pojmuję, jak p. W. mógł pominąć inne źródło, do tejże saméj żurawińskiéj odnoszące się sprawy, urzędowe sprawozdanie polskie, o którego istnieniu dowiaduję się z ogólnego spisu dokumentów, umieszczonego przy końcu tomu (p. 524, I, Compte rendu des événements qui se sont produits sous Żurawno du 24 Septembre au 18 Octobre 1676). Nie mogę się również zgodzić z wydawcą na ryczałtowe po większéj części zbywanie spraw sejmowych: któż mógł je znać lepiéj, jak ambasadorowie, i z wyższego na nie patrzeć stanowiska? W niedawno ogłoszonym 9-tym tomie aktów do dziejów wielkiego elektora, niemiecki wydawca, prof. Hirsch drukuje *in extenso* (z archiwum berlińskiego) dyaryusze sejmów polskich z lat 1661, 1662 itd., które przecie dla historyi pruskiéj nie tak wielkiéj są wagi. Do Francyi, ile mi wiadomo, nigdy nie posyłano dyaryuszów sejmowych; należało tedy przynajmniéj podać to, co o obradach mówią w swych depeszach ambasadorowie francuscy. Wydaje mi się w ogóle, że wydawca posuwał często zbyt daleko swą oszczędność. Tyleż się drukuje źródeł historycznych, które ani w przybliżeniu nie mogą się równać pod względem ważności z materyałem, jaki p. W. miał pod ręką. Zamiast z 4 czy 5, wydawnictwo składałoby się z 7 lub 8 tomów, nie potrzebaby liczyć na żadne pokłosie.

Do tych uwag muszę dołączyć inną o wiele dotkliwszej natury, odnośnie do *języka*, w którym ogłosił swój zbiór wydawca. Wszystkie uwagi i komentarze p. W. są pisane wyłącznie w języku polskim, co zważywszy zwłaszcza przyjętą przez wydawcę metodę grupowania dokumentów, równa się, pomimo „międzynarodowy (jak sam p. W. przyznaje, p. IX) charakter wydawnictwa“, zupełnej prawie bezużyteczności zbioru dla zagranicy. Zarzut ten musi ważyć tém ciężéj, że akta wyszły nakładem i pod godłem akademii, która przecie sama po dojrzałéj, w dwóch swych komisyach historycznych (we Lwowie i w Krakowie) odbytej dyskusyi, przyjęła jako *conditio sine qua* dobrego wydania, żądanie prof. Zakrzewskiego, ażeby we wszystkich wydawnictwach, które mogą mieć wartość i ważność także dla zagranicznych uczonych, przedmowy, uwagi i w ogóle wszystko, co do zrozumienia tekstu należy, były podane czy to w języku łacińskim, czy francuskim, czy wreszcie jakimkolwiek innym, byle ten język umożliwiał obcym korzystanie z naszych wydawnictw. Ale nie o obcych tu, jeno o nasz własny interes chodzi. Odliczywszy nawet wzgląd materyalny odbytu za granicą, jakkolwiek bynajmniéj nieobojętny, (zważywszy szczupłość naszych funduszów), konieczna nam w wła-

snym naszym interesie dać się poznać światu, pokazać, że jakeśmy kiedyś mieli swoje miejsce, i to, chwała Bogu! nie ostatnie miejsce w dziejach cywilizacyi europejskiéj, tak i dziś na naukowém polu wedle sił do jej postępu się przyczyniamy. Dotąd myśmy się wprawdzie liczyli i aż nadto, może dlatego, żeśmy nie byli liczeni; pora na inną wstąpić drogę. Nie mówmy, kto nas chce poznać, niech się uczy języka naszego, bo temu wezwaniu niewielu odpowie, a jeźli na nieznajomości naszych dziejów świat niewiele zyska, to rzecz pewna, że my sami jeszcze więcéj stracimy. W Moskwie ogłaszają dokumenta moskiewskie z francuskim obok przekładem, w naszym wypadku język francuski sam się zalecał, boć dokumenta wydane są z bardzo nielicznymi wyjątkami, wszystkie w języku francuskim, a nadto wydawca, od długiego czasu zamieszkały we Francyi, który z wielkim powodzeniem bronił swéj tezy doktora praw w paryskim fakultecie, włada tym językiem, jak swoim własnym. Niedogodność tę zresztą, z użycia języka polskiego wynikającą, czuł on sam, czy akademia, bardzo dobrze; dowodem na to, że przy końcu tomu znajdujemy na całych 67 stronach in 4^0 *ogólny spis aktów*, znajdujących się w archiwum, a spis ten wraz z notami podającemi treść dokumentów nieumieszczonych w tekście, jako też odsyłaczami do tekstu, podany jest w języku francuskim. Spis ten niewątpliwie dla korzystających z wydania niemałém będzie ułatwieniem; wątpię jednak bardzo, czy też i obcym korzystanie zeń umożliwi. Życzyćby należało, ażeby wydawca w następnych tomach, jeźli nie chce ich opracować w francuskim języku, zachował przynajmniej drobną formalność, ażeby przy każdej depeszy podał, naturalnie w języku francuskim, czy to na czele (w nagłówku), czy też obok na marginesie, kto do kogo, skąd i kiedy pisze; w tomie bowiem, który mam pod ręką, bardzo często w nagłówku depeszy czytamy tylko datum i miejscowość, z któréj list był pisany, albo też tylko do kogo depesza wystosowana, gdyż reszta wskazówek znajduje się w opowiadaniu wydawcy, które poprzedza dokument, metoda, która dla nas umniejsza przejrzystość materyału i utrudnia poszukiwania, a dla nieznających naszego języka, wręcz go robi nieużytecznym. Ów spis aktów, który zajmuje $^1/_8$-ą książki, mógłby mojém zdaniem również wypaść inaczéj. Nie widzę mianowicie najmniejszego powodu przytaczania w nim numeru po numerze wszystkich dokumentów, zapełniających folianty archiwalne, lecz tylko tych, które rzeczywistą mają wartość; owe tedy tak liczne depesze, o których spis powiada, że posiadają treść *sans importance*, mogłyby odpaść bez najmniejszéj szkody. Raz tę przyjąwszy metodę wyliczania wszystkich aktów, wypadnie ją dla saméj konsekwencyi stosować na przyszłość. Otóż, coby zrobiono np. z ta-

kim materyałem w tajném archiwum berlińskiém, gdzie ogromne pliki aktów odnoszą się do częstych, jak wiadomo, posyłek owych, 1500 ludzi liczących, oddziałów wojska, które elektorowie brandenburscy w pomoc Polsce dostawiać traktatami byli obowiązani. Wyliczać tu wszystkie akta po imieniu byłoby niedorzecznością. Ale i w saméMże paryskiém archiwum znajdziesz folianty (np. korespondencyą z lat 1672 i 1673), w których ledwie 20-ta część aktów ma jaką taką wartość historyczną i zasługuje czy to na wydrukowanie, czy na wymienienie w spisie; wyliczanie całéj reszty byłoby czystą stratą. Nie widzę téż, żeby na téj skrupulatności cokolwiek miała zyskać przejrzystość materyału i przeto wolałbym zamiast tego ogólnego spisu wszystkich aktów, znajdujących się w archiwum, spis wszystkich aktów, posiadających jakąś treść historyczną, ten natomiast w *ściśle chronologicznym ułożony porządku*, niebardzo skrupulatnie zachowanym przy układaniu aktów w archiwalne folianty.

Z témi pytaniami łączy się ściśle kwestya *indeksu*, którego brak w niniejszym tomie. Mam nadto dobre wyobrażenie o sumienności, z jaką p. Waliszewski pojmuje wydawniczy swój obowiązek, ażebym mógł na chwilę powątpiewać, że indeks, rzeczywisty a dokładny indeks, osobowy, miejscowy, rzeczowy wreszcie, ukaże się co najdaléj z drugim tomem wydawnictwa, ułatwiając tym sposobem to, czego bynajmniéj, nie ułatwia wadliwa przezeń przyjęta metoda.

Z 55 tomów, z których, jakeśmy wyżéj powiedzieli, składa się korespondencya polsko-francuska za panowania Jana III, 18 pierwszych, a właściwie 15, z powodu, że trzy tomy są zapełnione kopiami, złożyło się na tom, z którego zdajemy sprawę. Dokumenta w nim podane, jeżli pochodzą z Polski, drukowane zawsze podług oryginałów, bardzo często własnoręcznych; wersalska korespondencya natomiast zachowała się przeważnie tylko w minutach i według tych została wydrukowaną. Tylko w wyjątkowych razach zwrócone przez ambasadorów do kancelaryi wersalskiéj, oryginały depesz pozwoliły wydawcy porównać je z minutami i drukować według oryginału. Zauważyłem przecie, że na str. 95 p. W. wydrukował dokument, którego oryginał znajduje się w archiwum (t. XLIII, p. 57—60) nie według tegoż oryginału, ale podług minuty (t. XL, nr. 359). Jest-to jednak rzecz prawie całkiem obojętna, gdyż jeśli się gdzie oryginały różnią od minut, to z pewnością tylko skutkiem pomyłki, albo tych, co układali w cyfry minuty ministeryalne, albo też tych, co rozwiązywali te cyfry. W téj mierze są tedy oryginały poniekąd kopiami, a właściwymi oryginałami są minuty. Życzyłbym, ażeby wydawca był notował, czyjéj ręki są minuty depesz, wysyłanych pod imieniem Ludwika XIV-go, bo — prawdopodobny — domysł, że były pisane

ręką sekretarza stanu dla spraw zewnętrznych (pana de Pomponne) nie może zastąpić absolutnéj pewności, o którą przecie nie mogło być trudno wydawcy. P. W. zapowiada nam, że od r. 1690 kopie, aż po ten czas wyjątkowe, staną się regułą, oryginały zaś wyjątkiem, i tłómaczy to ciekawą okolicznością. Gdy około tego czasu na dworze polskim, zarówno jak berlińskim i wiedeńskim, weszło w zwyczaj przetrzymywanie poczty, musieli korespondenci wersalscy zaprzestać dotychczasowego sposobu pisania depesz (w liniach o szerokich odstępach), który umożliwiał sekretarzom wersalskim międzyliniowy wykład cyfer użytych w depeszach; przeciwnie, gdy depesze przesyłano odtąd najczęściéj prywatnémi okazyami, dla zmniejszenia objętości pakietów i łatwiejszego uchronienia ich w ten sposób przed zbyt ciekawémi oczyma, pisano je jak najściśléj, co było powodem, że dotychczasowy międzyliniowy wykład cyfer ustąpił miejsca osobnym odpisom, sporządzanym przez sekretarza dla pierwszego ministra. Te to odpisy jedynie (jeżli dobrze zrozumiemy słowa wydawcy, p. VIII) zachowały się w archiwum i one to będą w dalszych tomach stanowić podstawę wydania. Zauważyć przecie należy, że wiarogodność ich ledwie, że jest mniejszą od wiarogodności samychże oryginałów, gdyż właściwie nie są to kopie, lecz *oryginalne rozwiązania cyfer użytych w depeszach*, tak oryginalne, jak niemi tylko być mogły. Co jednak już z góry można zapowiedzieć, to, że autentyczność tych pseudo-kopii w braku oryginałów nierzadko wcale poważne będzie w stanie obudzić wątpliwości.

Modernizując dobrowolnie interpunkcyą i pisownią kopii, zachował wydawca ściśle pisownią minut i oryginałów. Mojém zdaniem jest to zbyteczna skrupulatność, która tylko niepotrzebną pociąga za sobą pstrociznę. Z wyjątkiem listów osobistości takich, jak Jan III lub Marya Kazimiera, i naturalnie wszystkich imion własnych, uważałbym za stosowniejsze modernizowanie pisowni, jak to wreszcie poleca referat przyjęty przez akademią.

IV.

Scharakteryzowałem już wyżéj *komentarz*, którym p. W. zaopatrzył wydany przez się materyał. Powiada on, że w ściśle ograniczonéj roli historyka zamknąwszy się, wychodził z niéj tylko tam, gdzie leżące przed nim źródła zdawały mu się składać na „bezwarunkowy pewnik historyczny“. Dałoby się tu, może nie bez pewnéj słuszności, zauważyć, że gdzie źródła płyną tak obficie, komentarz jest zgoła niepotrzebny, że go czytelnik każdy sam sobie dorobi. Nie mając by-

najmniéj zamiaru krytykowania wszystkich zapatrywań wydawcy, pozwolę sobie wykazać na kilku przykładach miarę, jaką należy przykładać do owych bezwarunkowych (według jego zdania) pewników historycznych.

Na czele tomu stoi *sprawa elekcyi nowego króla*. P. W. ma o niéj swoje wyrobione zdanie: według niego, Francya „zaskoczona wieścią o śmierci Michała“ (p. 1.) dziwną okazuje niepewność i chwiejność w całéj przed elekcyjnéj dyplomacyi (p. 6). Wielki marszałek działa jako wyrafinowany dyplomata, który elekcyą wraz z ambasadorem mając w swoim ręku (p. 25), tak tym ostatnim kieruje, żeby go zrobić narzędziem własnych swych widoków. „Oświadczając się głośno za kandydaturą Kondeusza“, tą „pozorną gorliwością dla interesów Francyi“, podobno tylko „pokrywa mocne postanowienie, nieprzyczynienia się do tryumfu swego kandydata, ale owszem przeszkodzenia mu“ (p. 23). Usuwa tedy Nejburczyka Kondeuszem, Kondeusza „czyni niemożliwym“, żądając od ambasadora francuskiego obietnic i gwarancyi, których ten dać nie może, a tém samém stawi ambasadora w takiém położeniu, iż musi albo dopuścić elekcyą Lotaryńczyka, albo poprzeć wybór Sobieskiego. Ambasador, któremu instrukcya zalecała przedewszystkiém starać się o wykluczenie Lotaryńczyka, ujęty przyrzeczeniem kapelusza kardynalskiego, bez trudności przykłada ręce do wyboru w. marszałka, który zyskuje koronę, jako zasłużoną nagrodę mądréj swéj i przebiegłéj polityki (p. 25). Nie dość na tém: Sobieski, który nibyto się wahał przyjąć koronę, uważa za stosowne tę „komedyę wahania“ grać jeszcze i po elekcyi (p. 51) przez całe dwa tygodnie, aż do zaprzysiężenia paktów konwentów, i oświadcza nawet po kilkakrotnie chęć złożenia korony, co wielkiego, a zgoła niepotrzebnego strachu nabawia ambasadora, zarówno jak gabinet wersalski. Tak pojmuje p. W. rolę Sobieskiego. W. marszałkowa jest dlań, jak zwykle, tylko posłuszném narzędziem swego męża, który „zakochany, ale przynajmniéj tyle zręczny, co zakochany“, używa „kobiecéj namiętności“ dla zaspokojenia swéj własnéj, prawda, że jeszcze „trochę niepewnéj ambicyi“ (p. 22); dyktuje nawet Sobieski żonie list z jakiemiś „*rzekomemi* propozycyami“ nibyto przez Turcyą jemu, w celu wyniesienia go na tron, czynionemi itd. (p. 21).

Całe to pojęcie roli Sobieskiego w bezkrólewiu r. 1674 jest, nie waham się twierdzić, najzupełniéj fałszywe. Przenikliwość wydawcy w tej sprawie robi takie wrażenie, jak postępowanie owego dyplomaty, który wierzył zawsze w rzecz wręcz przeciwną téj, którą mu podawano za prawdziwą. Nie dziś to jeszcze sądzić, czy Sobieski na wiek cały przed Talleyrandem stosował, czy nie, jego maksymy; to pewna, że w téj sprawie, gdy Sobieski mówił: tak, nie mamy naj-

mniejszego powodu twierdzić: nie. Ja przynajmniéj jestem tego zdania, że w. marszałek nie miał bynajmniéj ambicyi tronu, że działał szczérze za Kondeuszem, i że tylko z trudem dał się nakłonić do wzięcia korony, do tego stopnia, że wziąwszy ją, wobec trudności, które napotkał, myślał na seryo o jej złożeniu. Obok świadectwa faktów i kilkakrotnych wyraźnych słów ambasadora francuskiego (p. 29, 51, 67, 72, 75, por. także p. 13) przemawia za tém jeszcze cała dziesięcioletnia polityczna przeszłość Sobieskiego, przemawia przedewszystkiém rola, jaką odgrywał w bezkrólewiu 1668—1669, w którém go dotąd nikt nie pomówił o chęć sięgnięcia po koronę, a jeszcze bardziéj rola, jaką grał w rozruchach za Michała, a którą może gdzieindziéj będzie pora rozświecić. Na uwagę, iż Sobieskiego z r. 1669 oddzielało od Sobieskiego z r. 1674, pięć lat znaczenia i wpływu, pięć lat uznanego przewodnictwa na czele partyi francuskiéj, że je oddzielały przedewszystkiém wawrzyny, zdobyte w krwawym boju pod Chocimem, możnaby odpowiedzieć, że też naród oddzielało od Piasta niefortunne nad wszelki wyraz doświadczenie, zrobione z Michałem, a Sobieskiego od tronu oprócz téj okoliczności jeszcze i jego niezbyt wielka popularność u szlachty, która nie tak dawno temu ciskała nań gromy, stan żonaty, a wreszcie i jego charakter wysokiego dygnitarza rzpltej i członka wielkiego rodu. Michał był sobie neutralnym, na którego łatwiéj się przyszło zgodzić takiemu Pacowi lub innemu magnatowi, a Sobieski znał ich nadto dobrze, żeby mógł sądzić na chwilę, iż ich potrafi pozyskać dla swego wyboru. Jakoż mniéj niż kiedykolwiek w r. 1674 był prawdopodobnym wybór Piasta (zob. poufny list Morsztyna do p. Baluze z 27-go kwietnia 1674, pag. 21). Jeźli wobec tego taki Ranquillo (1) powiada: „Ja przekonany jestem, że Sobieski nie chce królestwa dla Kondeusza, tylko dla siebie samego, aby zaś ta zachcianka nie wydawała się tak brzydką i aby mu przeszkodą nie były jego śluby małżeńskie, wysuwa naprzód Kondeusza (p. 11), — twierdzenie, jak widzimy, p. W. — to o tém należy sądzić to samo, co o twierdzeniu tegoż Ronquilla, że Sobieska już za życia Michała myślała o koronie dla swego męża (p. 23), lub, że w. marszałek podczas bezkrólewia r. 1674 kilkakrotnie wysyłał kuryerów do Francyi z prośbą o popieranie go (p. 24). Mam wcale niedwuznaczne wskazówki, że tak nie było, że ani w. marszałek, ani nawet ambitna jego żona nie myśleli zgoła o tronie dla siebie, i że w. marszałkowa uchwyciła się téj

(1) Listy Piotra Ronquillo, posła hiszp., pisane z Polski 1674 r., z hiszp. przetłóm. i wydał X. Feliks Rożański, Kraków, 1878.

myśli dopiero, gdy poznała, że zgoda na Kondeusza, zarówno jak na Nejburczyka, wskutek oporu Litwinów wręcz jest niemożliwą.

Dziesiątego listopada 1673 umarł we Lwowie król Michał, 11-go wysyła w. marszałkowa z własnéj inicyatywy, w chwili gdy się pod Chocimem toczył bój z Turkami i Sobieski *de facto* krwawo zarabiał na koronę, wysyła, powiadam, z Jaworowa kuryera do Francyi z doniesieniem o zgonie króla i prośbą o powiadomienie jej o zamiarach gabinetu francuskiego, zaręczając, że w. marszałek „ślepo będzie posłusznym rozkazom jego król. mości“ (Ludwika XIV) (1). Ale Ludwik XIV, sparzywszy się w r. 1669, do tego zajęty wojną z połową Europy, nie myślał tym razem ponosić na niepewne nowych ofiar dla posadzenia na tronie polskim księcia z domu Burbonów. Odsyłając tedy kuryera, odpisał przezeń (15-go grudnia) z podziękowaniem, ale dodał, że rozważywszy dojrzale zaszły wypadek (śmierć króla), *nie widzi, żeby jego skutki mogły mu być milszemi, jak gdyby były korzystne dla samegoż wielkiego marszałka* (2). Czyż w języku ówczesnéj zwłaszcza dyplomacyi nie było to jasne i dobitne, czyż arcychrześciański król winien był ceremonialniéj wzywać męża swéj poddanki, żeby czynił zabiegi o zrównanie się z nim, czyż mógł wreszcie formalniéj się wyrażać, bez plątania się w sprawę, w którą mieszać się najmniejszego pierwotnie nie miał zamiaru? P. W. nie zechce Sobieskiemu zrobić krzywdy twierdzeniem, że w. hetman nie zrozumiał wyrażonego w tym liście życzenia króla arcychrześciańskiego. Atoli, możnaby powiedzieć: ofiara Sobieskiéj była z 11-go listopada, kiedy w Jaworowie jeszcze nie można było wiedzieć o zwycięstwie w. marszałka; Chocim zmienił sytuacyę, podniósł zamysły Sobieskiego. Otóż, w tymże samym liście Sobie-

---

(1) W. marszałkowa kor. Sobieska do Ludwika XIV. Jaworow, 11-go listopada, 1673. Kopia współczesna w archiwum spraw zagran. franc., t. XXXVIII, f. 293. Wiadomość o śmierci Michała nie „zaskoczyła“ tedy bynajmniéj gabinetu francuskiego.

(2) Ludwik XIV-ty do w. marszałkowéj kor. Sobieskiéj. St. Germain en Laye, 15 grudnia 1673. Minuta oryg. ręki podobno p. de Pomponne, w témże archiwum, t. XXXVIII, f. 298. „J'ai regardé cet accident (śmierć Michała) avec toute attention dont il est digne dans la conjoncture présente et souhaiterai que les suites en soient heureuses pour la Pologne. *Soyez bien persuadée qu'elles ne pourraient m'être plus agréables que lorsqu'elles seraient avantageuses à mon cousin le grand-maréchal et à vous* etc...“ Pan W. mógł był znać te dokumenta, jakkolwiek w tomie XXXVIII-ym zawarte (korespondencya wydana przez p. W. poczyna się z t. XL). Na str. 2 wydanego przezeń zbioru, w. marszałkowa w liście do p. de Pomponne powiada: „Notre *courrier est revenu ici* le 15 de Janvier...“ Wskazówka tedy była, należało tylko pójść za nią i poszukać w tomach poprzednich powodu wysyłki kuryera, a należało to tém bardziéj uczynić, że przecie bezkrólewie nie poczęło się z 1-ym stycznia 1674, ale na dwa blisko miesiące przed tą datą, bo ze śmiercią Michała, która zaszła 10-go listopada.

skiéj z 31-go stycznia 1674, o którym p. W. powiada, że był „za dyktowaniem męża pisany“ (str. 21), w. marszałkowa rozwodzi na dobre żale, że kuryer, którego wysłała do Francyi, nie przyniósł za swym powrotem żadnych informacyi, co do zamiarów arcychrześcijańskiego króla i nalega, ażeby nie tracić czasu (1). W 16 dni potém pisze, tym razem jeszcze kategoryczniéj: „Pisałam kilkakrotnie obszerne listy, o ważnych sprawach, a nie dostałam odpowiedzi. Piszę dziś po raz ostatni i zaręczam, że w razie, gdyby były jakie skrupuły co do oddania nam j. książęcéj mości (Kondeusza) z powodu królowéj (Eleonory, wdowy po Michale), my przezwyciężymy wszelkie trudności itd.“ (2). I znowu czyż można wyraźniéj było powiedzieć, że się korony nie chce dla siebie? Teraz p. W. może nie zechce twierdzić, że Sobieski wymyślił jakieś propozycye nibyto czynione mu przez w. wezyra tureckiego, żeby się starał o koronę. Te propozycye, dla których, przyznaję, wspomniany list w. marszałkowéj z 31 stycznia jedyném jest źródłem, w moich oczach owszem stwierdzają tém bardziéj dobrą wiarę, w jakiéj działał Sobieski i zupełny brak ambicyi u niego, podczas bezkrólewia r. 1674. Wreszcie mam wielkie powody przypuszczać, że Sobieski w tym czasie, podobnie jak w r. 1669, *myślał o opuszczeniu Polski i przeniesieniu się wraz z rodziną na zawsze do Francyi.* D. 17-go listopada r. 1673 Ludwik XIV, odpowiadając na wystosowaną doń (w niewiadomym czasie) prośbę w. marszałka, donosi mu, że wydał rozkaz sporządzenia dlań listów naturalizacyjnych, na wypadek, gdyby w. marszałek chciał się przenieść do Francyi (3); a biskup marsylski ma sobie zalecono w instrukcyi poselskiéj ofiarować Sobieskiemu w nagrodę ekskluzyi Lotaryńczyka i wyboru księcia nejburskiego, godność marszałka i para Francyi, order św. Ducha, ziemię we Francyi i t. p. (4), wszystko

---

(1) Powołany wyżéj list w. marszałkowéj do p. de Pomponne z 31 stycznia 1674 (str. 2). Sobieska mówi: notre courrier; pewna przecie, że go wysłała sama, bo Sobieski 11 listopada nie mógł być w Jaworowie.

(2) W. marszałkowa do p. de Pomponne, Lwów, 16 lutego, 1674. Kopia, str. 4.

(3) Oto ten list nam dotąd zgoła nieznany, jakkolwiek drukowany od blisko 80 lat. „Mon Cousin, j'espère que le ciel ne permettra pas les funestes résolutions dont la prévoyance vous fait désirer mes lettres de naturalité pour vous et pour les vôtres; mais je n'ai pas laissé de commander qu'elles vous soient expédiées, et quand je pourrai vous donner de plus grandes marques de mon estime et de ma bienveillance, je ne m'y porterai pas avec moins de facilité“. (Oeuvres de Louis XIV, t. V. Lettres particulières, pag. 518) Przypuszczam, że Ludwik XIV pisał ten list własnorecznie, bo nie znajduję w archiwum jego minuty.

(4) Zob. Mémoire pour servir d'instruction au Sr. évêque de Marseille etc. pag. 13. (z 30 marca 1674).

rzeczy zbyteczne, gdyby Sobieski nie myślał rzeczywiście o porzuceniu Polski. Dowodów, zdaje mi się, dosyć, by wykazać nieprawdopodobieństwo przedstawienia p. Waliszewskiego. Jeźli zaś p. W., ażeby wahanie się Sobieskiego w przyjęciu elekcyi, już po dokonanym wyborze, wystawić jako komedyę, odegraną dla oszukania ambasadora francuskiego, powiada (str. 51): *„wiadomo, że Sobieskiemu w stanowczych chwilach nigdy stanowczości nie brakło“*, to ja powiem, że to wcale, mnie przynajmniéj, nie jest wiadomo, że tego wprzódy dowieść potrzeba, zanim kruche podobném twierdzeniem popierać kombinacye. Jest to sąd *a priori*, nie dobrze licujący z wymaganiami dzisiejszéj analizy historycznéj. Wyświećmy wprzódy analitycznie, jakim był Sobieski w pojedynczych chwilach swego dziejowego zawodu, a potem dopiero zbierając te poszczególne rysy, mówmy o jego charakterze, ale strzeżmy się brać za podstawę naszego dowodzenia ogólnik, który sam nie jest jeszcze stwierdzony. Mnie się owszem zdaje, że Sobieskiemu, przy wielu świetnych zaletach umysłu i serca, brakło właśnie zalety stanowczości, nad czém nie tu miejsce bliżéj się rozszerzać. Dodam przecie, że takie Sobieski i na posłach francuskich, biskupie marsylskim, zarówno jak margrabi de Bethune, zrobił wrażenie (1).

Ambicyi przeto u Sobieskiego, a tém mniéj z góry obmyślanego planu nie było, dopiero gdy już upływał termin sejmu elekcyjnego, gdy nadto wytrwały opór Litwinów robił nieprawdopodobnym wybór Nejburczyka zarówno jak Kondeusza, na parę dni przed samymże wyborem, powzięła (i to podobno nie Sobieski, ale) w. marszałkowa myśl rzucenia za przykładem r. 1669 imienia Piasta pomiędzy sejmujących. Tatarzy a zwłaszcza elektor brandenburski, który widział słabość stronnictwa nejburskiego, a obawiał się Lotaryńczyka, miał utwierdzać w téj myśli. Mam powody przypuszczać, że nie był jéj obcym, być może, że był jéj pierwszym autorem wojewoda ruski, Jabłonowski, znany stronnik w. marszałka, poufały z Sobieską, naturalny spadkobierca (mniejszéj) buławy. Długo przecie wahał się Sobieski: jeszcze w wilią wyboru działał szczérze, z zupełną lojalnością za kandydatem francuskim. To nie przeszkadzało naturalnie, ażeby powszechnie, w obozie przeciwników, zarówno jak stronników w. marszałka, nie przebąkiwano, że

---

(1) Oto co pisze 11 maja do Ludwika XVI biskup marsyl.: „D'ailleurs il (tj. w. marszałek) est extrêmement lent; il a même un peu de l'irrésolution de la nation“ (p. 28). W podobny sposób pisze margrabia de Bethune 7 lipca 1677: „(Le roi de Pologne) de lui même est assez lent a se résoudre dans les grandes et les petites choses“ (p. 406).

Sobieski będzie królem. Echem tych zapatrywań są właśnie listy Ronquilla, a korespondencya p. de Sévigné i urzędowy dziennik francuski świadczą, że i we Francyi od samego początku nikogo innego, tylko Sobieskiego uważano za przyszłego króla (1). Ale o tém wiedzieliśmy od dawna: co natomiast niedokładnie było znane, to postępowanie samego Sobieskiego. Otóż pod tym względem, materyał historyczny wydany przez p. W., jakkolwiek szczupły, wystarcza przecie, jak to powiada wydawca (str. 25), do wyświecenia prawdy, atoli mojém zdaniém wystawia ją w świetle wręcz przeciwném temu, w którém ją ujrzał wydawca.

Już zaś zgoła nie umiem sobie wytłumaczyć, na jakiéj podstawie, ba! na jakim cieniu podstawy p. W. opiera twierdzenie (str. 21), że propozycye w. wezyra czynione Sobieskiemu, o których wspomina w. marszałkowa w liście do p. de Pomponne z 31 stycznia 1674 były wymysłem w. marszałka. Co się zaś tyczy okoliczności, na którą p. W., zdaje się, kładzie przycisk (str. 22), iż Sobieski wysunąwszy żonę sam od pisania do Francyi się wstrzymywał, to nie chcę przeczyć, że to był jego zwyczajny sposób postępowania, spowodowany, co prawda, politycznymi względami, ale także kunktatorską jego naturą, która rzadko umiała dotrzymać kroku gorącym zapędom żony.

Nie ulegnę pokusie przerabiania w ten sposób wszystkich komentarzy, które wydawca dołączył do wydanych przez się aktów. Są tam uwagi, ktorych nie uznać byłoby niesprawiedliwością; przyszły historyk Jana III będzie się musiał liczyć z niemi, może sobie przywłaszczyć z nich niektóre. Wydawca ma sąd zdrowy o rzeczach i kombinuje z prawdziwém powodzeniem.

Szkoda, że ten dar kombinacyi uwodzi go często zadaleko. Widzieliśmy wyżéj „rzekome propozycye“ w. wezyra, widzieliśmy „komedyą“, odgrywaną przez Sobieskiego. Na str. 145 czytam o „*maléj politycznéj komedyi*“, którą „gwoli interesom francuskim“, wedle zdania p. W., w końcu r. 1674 miała odgrywać Sobieska. Tą komedyą była jéj choroba. Otóż stwierdzoném jest dowodnie przez materyały wydane w niniejszym zbiorze, że Sobieska była w istocie i to bardzo niebezpieczuie chorą, sam wydawca powiada zresztą (tamże, p. 145), że choroba królowéj „mogła być niekłamaną“, gdzież więc

(1) Pani de Sévigné pisze 22 grudnia 1673, na wieść o zwycięstwie chocimskiém: „La victoire du grand-maréchal est si grande, qu'on ne doute point qu'il ne soit élu roi, (autant plus qu'il est à la tête d'une armée et que la fortune est toujours pour les gros bataillons“, a gazeta urzędowa głosiła „que le grand-maréchal s'était rendu par là Chocim) digne du trône qu'il avait sauvé“. Zob. Salvandy'ego: Hist. de Pologne avant et sous le roi Jean Sobieski, wyd. z r. 1829, t. II, p. 165.

takie w nim istniało, to dla saméj sztuki lepszą byłoby rzeczą, gdyby kapłani przeciwnego obozu zachowali godność powołaniu swemu właściwą; pokonać równego pod względem sił nieprzyjaciela jest zaszczytniéj aniżeli zwyciężyć słabego nikczemnika. W takiém pojęciu jaśniéj téż, wyraźniéj zarysowałaby się dusza Zamrego, który w obecnéj kompozycyi jest zbiorem różnorodnych uczuć, nie doprowadzonym do jedności psychicznéj. Przebija się w nim i serce dobre, kochające ojca, i dusza szlachetna, w ostatniéj jeszcze chwili myśląca o dobru ludu, a obok tego zawistna ambicya, zazdroszcząca zaszczytu przyjacielowi i niewyraźna, niezdecydowana chęć odegrania roli zbawcy narodu, i słabość charakteru zapominająca o wszystkiém dla pocałunku i jakaś demoniczna, szydercza skłonność do najgrawania się, trochę na sposób nowożytny, z religii i prawa. On sam nie dochodzi nigdy do świadomości swéj roli; król Madyanitów musi mu przypominać, że może się stać zbawcą swego ludu. Gdyby autor uczynił z niego przedstawiciela świadoméj siebie opozycyi względem Mojżesza, wówczas te niepogodzone w jego sercu uczucia zlałyby się w jedno: Zamry sam w swojém sumieniu nie potrzebowałby uważać się za zdrajcę, ale za uprawnionego rzecznika interesów narodowych, pojętych inaczéj aniżeli w kole Mojżeszowém. Tym sposobem stałby się Zamry nietylko dramatycznym w zakresie indywidualnym, ale i ogólnym.

Wystawienia na scenie nie podobna poczytywać za zupełnie zadawalniające. Pustynia wyglądała trochę jak zarośla na wzgórzach, całość gry artystów nie była harmonijna; niektóre głosy nie dostroiły się do dykcyi dramatycznéj, inne wkraczały czasami w sferę melodramatyczności. Pierwszorzędna rola Noahy pojęta była przez pannę Deryng bardzo dobrze, ale w wykonaniu, mianowicie w dykcyi zauważyliśmy często fałszywą intonacyą, przewlekanie niektórych samogłosek wcale nieestetyczne; w ruchach zanadto było linij wężykowatych. P. Leszczyński jako Zamry miał niewątpliwie rolę bardzo trudną, bo niejednolitą; tém téż chcielibyśmy sobie tłómaczyć nierówność gry jego, ale niepodobieństwem to się staje, gdy krzykliwość głosu w wielu miejscach zaznaczyć musimy i gdy kroki zbyt zamaszyste na pamięć przyjdą. Sella i Melcha najczęściéj niedostrojeniem tonu psuły efekt.

Piotr Chmielowski.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

DZIEŃ ZADUSZNY.

NOWELLA.

Porzecze (w Poznańskiém) *2 Listopada 1880 r.*

Przez całe moje życie, długie i już dzisiaj kresu dobiegające, pieściłem zawsze w duszy méj jedno marzenie. Chciałbym raz jeden przepędzić kilka przykrych miesięcy jesieni lub zimy, gdzieś, daleko na południu, pod jasném włoskiém niebem.

I proszę państwa—dlaczegóżbym nie miał oddawać się takiemu marzeniu? Skoro tylko biedny nauczyciel w Porzeczu zacznie raz fantazyować i puści wodze wyobraźni, to rozmiary marzeń nie stanowią mu żadnéj różnicy. Jego nadzieje przyjmują kształty olbrzymie, niezmierzone, chimeryczne!

Na loteryi nie grywam, i gdybym nawet był kiedy wiedzionym na pokuszenie, to mam tyle powodów do oparcia się pokusie, że tu nie może być żadnéj niespodzianki. A zresztą, gdybym i grywał, to trzebaby było wyjątkowego szczęścia, żeby wielki los wpadł do mojéj kabzy. A po za tém nie widzę żadnéj innéj możliwości do przeniesienia się na cztery lub pięć miesięcy w okolice Wezuwiusza.

Musiałem się więc przez całe życie zadowalać czytaniem opisów tego boskiego kraju, i mocno się ucieszyłem, gdy na rycinie mogłem zobaczyć wulkan ozdobiony u góry pióropuszem z dymu.

Lecz w dniu *tym*, gdyby mi zaofiarowano do pobytu krainę oświetloną wszystkiemi blaskami zwrotnika, tobym odmówił zamiany na nasze stare, dobre niebo poznańskie...

A jednak, ten dzień drugiego listopada był szczególnie przykrym. Całe, pokrywające ziemię, powietrze było jedną ciężką, ołowianą, gęstą, nieruchomą chmurą i to tak zniżoną, że dojrzéć nie-

Sobieski go nie pisał, ani nawet nie wypracował, a to z następujących powodów:

1) bo Sobieski (jak p. W. zauważył zresztą sam bardzo słusznie p. 469) tak źle nie pisał;

2) bo nie używał w pisaniu takich archaizmów, czyli, że pisał nietylko lepszą, ale i o wiele nowszą francusczyzną; a wreszcie też dlatego:

3) że Sobieski pisał wyraźnie, a w dokumencie, o którym mowa, mimo, że zajmuje tylko 1 ½ strony, aż dwa wydawca zanotował miejsca, których zgoła nie zdołał odczytać.

Otóż na str. 469 podaje wydawca inny, również bardzo ważny memoryał, późniejszy o jakie pół roku od pierwszego, o którym powiada „przesłany i jakoby zredagowany przez Maryą-Kazimierę“, *jakoby*, gdyż p. W. stara się dowieść, że memoryał *był wspólném* obu małżonków królewskich dziełem. Na pytanie o dowody odpowiada nam p. W.:

1) że styl i układ dokumentu różne są od stylu i układu innych znanych autografów (jabym powiedział raczéj: autogramów) Maryi-Kazimiery;

2) w dokumencie trafiają się co chwila polonizmy, które zapewne były obce Mary-iKazimierze.

3) Jan III, który oceniał należycie pisarskie uzdolnienie żony (o dyplomatyczném nie chce nic mówić p. W.), nie byłby się spuścił na nią w przedmiocie tak ważnym. „Marysieńka nawet tak pisać nie umiała“, powiada p. W., t. j. nawet tak źle, czyli pisała o wiele gorzéj.

P. W. odmawia jéj tedy „honoru przybranego autorstwa“. Właściwego autora zaś radby się dopatrzyć w autorze memoryału podanego wyżéj na str. 407. Atoli zważmy, że

1) Sobieski pisał o wiele lepiéj;

2) że niektóre zwroty memoryału wskazują przecie Maryą-Kazimierę, a nie Sobieskiego; z uwagi wreszcie

3) „na ogólny charakter pisma, wyrażający dobitnie zupełną wspólność obojga małżonków w tym akcie dyplomatycznym;“ p. W. dochodzi do wniosku, że memoryał jest wspólném obu dziełem. Pan W. koronuje dzieło następującém twierdzeniem: „Skoro z samego listu króla powołującego się na memoryał wynika, iż dokument ten *myślą* zarówno do niego jak do królowéj należał, kwestya, do kogo należał *formą*, zdaje się nam być drugorzędną.“ Czyż p. W. nie dostrzegł sprzeczności, w jaką popadł przez to twierdzenie? Pocóż więc całe to dowodzenie, gdy p. W. nie wątpi, że duchowo memoryał jest wspólnym obu małżonków utworem, a kwestya formy jest

drugorzędną. W istocie wydawca nie przekonał mnie ani o jedném ani o drugiém. Kwestya formy nie jest bynajmniéj drugorzędną, jest jedyną, którą winien się zająć sumienny wydawca. Inne pytanie i do zakresu wydawcy wcale nienależące, ani téż przez p. W. nierozwiązane, to jest, czy dokument ten, nad który mało się znajdzie ważniejszych w dziejach Jana III-go jest wyłącznie utworem Maryi-Kazimiery, milcząco przez Sobieskiego stwierdzonym, czyli téż był za poradą, za porozumieniem się lub zgoła za natchnieniem Sobieskiego pisany, innemi słowy: czy Marya Kazimiera działała na własną rękę, przesyłając do Francyi ten memoryał, od którego p. W. datuje zwrot w polityce zewnętrznéj Jana III-go, czyli téż była narzędziem męża. To pytanie, powiadam, jest otwarte, mimo rozumowania p. W., każdy historyk inaczéj na nie odpowie, stosownie do tego, czy w Sobieskim będzie widział męża z duchem inicyatywy, czyli téż tylko ulegającego podszeptom żony, niegdyś sympatycznego kochanka, a dziś uległego małżonka. Czegobym w podobnych razach żądał od wydawcy, to ile możności jak najdokładniejszego określenia kwestyi formalnéj, bynajmniéj nie drugorzędnéj, bo mogącéj stać się ważnym czynnikiem w rozwiązaniu tamtéj, rzeczowéj, o wiele ważniejszéj. Intuicyą podobne pytania się nie rozwiązują, a nic gorszego jak mieszanie psychologicznych motywów z kryteryami czysto-zewnętrznemi, jako to charakterem pisma lub właściwościami językowemi.

Mojem osobistém zdaniem, memoryał o którym mowa, był *zredagowany* przez Maryą Kazimierę. Co do ręki, która go pisała, to mówi ona sama w liście do Ludwika XIV (str. 467 por. téż p. 476 list Sobieskiéj do biskupa marsylskiego): „un mémoire chiffré de ma min.“ Zauważę jeszcze, że słowa listu p. de Bethune (do p. de Pomponne, 31 grudnia 1677, p. 465): „la reine de Pologne a chiffré une longue lettre dont elle ne s'est fiée à personne, s'étant servie d'un de ses valets de chambre *pour lui dicter les syllabes*,“ które p. W. rozumie, jakoby dworzanin układał list w cyfry, według francuskiéj składni można téż bardzo dobrze rozumieć w sposób odwrotny t. j. że Sobieska pisała a dworzanin dyktował.

Co się wreszcie tyczy autentyczności memoryału, to się zgadzam z p. W., że najmniejszego nie ma co do niéj wątpienia.

Oto ważniejsze punkta, które uważałem za potrzebne podnieść i zaznaczyć w komentarzu wydawcy. Z żalem muszę dodać, że *objaśnienia*, w które p. W. zaopatrzył wydane przez się akta, nie stanowią bynajmniéj najlepszéj części jego pracy: nie ma w nich najmniejszego wymiaru i doprawdy nie mogłem rozpoznać, na jakiéj je wydawca podawał zasadzie. Najczęściéj są one wprost niedostateczne. Parę przykładów na chybił trafił. Na str. 86 czytam w jed-

néj i téj saméj depeszy następujące trzy nazwy: Spetz, Lublinie i Podolinie. Pan W. objaśnia z nich pierwszą, która oznacza Spiż (co każdy pozna, bo w depeszy powiedziano, że ta forteca jest dziedzictwem Lubomirskich); co oznaczają dwie inne nazwy, nie mówi wydawca. Lublinie zapewnie Luboml a, ale Podolinie? Należało poszukać i oszczędzić pracy czytelnikowi. Czasami objaśnienia są wcale ciekawe. Str. 151 stoi w dokumencie: Nicolas Serin; wydawca objaśnia to w uwadze przez Serini, co niczego nie uczy. Wydawca powienby wiedzieć, że tak Serin jak Serini to popsute przez francuskich dyplomatów nazwy i że ów Serin, to nikt inny, jak jeden z potomków pogromcy Turków, wsławionego bohaterską obroną Szigethu w r. 1564 Mikołaja Zrinyi. Z innych jeszcze objaśnień widzę, że wydawca niedostatecznie zna ważne osobistości owego czasu; tak widzę z uw. jego 4, na str. 123, że nie wie dobrze, kim był ów syn burmistrza królewieckiego, Roth nazwiskiem, z którego imieniem łączą się usiłowania odzyskania Prus książęcych za Jana Kazimierza i Michała; gdzieś indziéj (zapomniałem zanotować stronę) zdaje się nie wiedzieć, kim był Strauch, kaznodzieja gdański, bo nawet mu właściwego jego nazwiska, niedokładnie podanego w tekście (Strau) nie przywraca w objaśnieniu. Wreszcie mówić (p. 227) o „niejakim Wranglu“ znaczy chyba nie wiedzieć, kim był sławny w swoim czasie „konetabl“ szwedzki. Takich rzeczy jest wiele w wydanym przez p. W. zbiorze. Jeżeli na str. 144 czytam w depeszy p. de Bethune, że „la derniere action de M. le prince donne une secrète émulation (au roi de Pologne),“ to ścisłość naukowa wymagała, żeby wydawca objaśnił na czém polegał ten świetny czyn Kondeusza. Albo czy nie należało poszukać, jak się nazywał ów ambasador duński w Polsce, którego dwa listy przejęte przez Polaków podaje (str. 459) wydawca?

Gorszym jest *zupełny brak wiadomości biograficznych* o dyplomatach francuskich czynnych w Polsce. Nie wiemy zgoła, czy taki Forbin Janson lub nawet Bethune byli młodzi czy starzy, czy już gdzieindziéj pełnili urzędy dyplomatyczne, i jakie w ogóle były ich życia koleje; a przecie są to rzeczy nietylko ciekawe, bo osobistości te należą do naszych dziejów, ale i potrzebne, bo są niejednokrotnie ważnym czynnikiem w ocenieniu wiarogodności dyplomatycznych podań.

Nadmienię wreszcie, że listy Ludwika XIV (o których wspomina wydawca na str. 468), pisane z powodu chybionego zamiaru otrucia królewskiéj pary arszenikiem wrzuconym do kawy, znajdują się w dziełach Ludwika XIV-go (1); jakkolwiek ceremonialne, są one

(1) Oeuvres de Louis XIV, t. V. Lettr. partic. 1806, p. 569—570. Arszenik wrzucono, jak wynika z listu Ludwika do Maryi-Kazimiéry, nie do kawy, ale zmieszano z cukrem.

przecie dosyć ważne, a wspomniane dzieła u nas zbyt rzadkie, żeby je można było bez wahania się wydrukować. Tamże byłby wydawca znalazł jeszcze inne listy Ludwika XIV w tym czasie do królewskiéj pary pisane, tak mianowicie (p. 522) list do Sobieskiego z 31 marca r. 1674, stanowiący kredytywę dla biskupa marsylskiego; poufny list Ludwika do Jana III z 7 czerwca r. 1674 (p. 526), tejże treści, co wydrukowany w zbiorze p. W. na str. 57 list urzędowy, który jednak nosi nieco późniejszą datę (9 czerwca); wreszcie list do Maryi Kazimiery z 24 listopada r. 1676, w którym wyrażając radość z powodu szczęśliwego zawarcia pokoju z Turkami, Ludwik XIV przypomina zarazem królowéj obowiązek wykonania traktatu jaworowskiego. (Por. Wal., str. 336).

V.

Wydaną przez się korespondencyę dyplomatyczną poprzedził p. W. obszerną *przedmową*, ogólnym wstępem atoli nie dziejów dyplomatycznych Jana III go, lecz do dziejów narodu wogóle. W nim streszcza on w najogólniejszych zarysach wyniki studyum swego nad czasem Sobieskiego. Wyznaję z prawdziwém zadowoleniem, że jakkolwiek nie we wszystkiém przyszłoby mi się z nim zgodzić, jakkolwiek mianowicie zbyt wiele sądów jego nosi na sobie nadto wybitne piętno jak najindywidualniejszych, częstokroć należytego poparcia faktycznego pozbawionych zapatrywań, jakkolwiek wreszcie dla wielu z nich może jeszcze nie nadeszła pora, wyznaję, że to studyum trafnością, nierzadko głębokością zawartych w niém spostrzeżeń, napisane do tego językiem pięknym, poważnym, przezroczyście, że się tak wyrażę, myśl autora zawsze jasną i logiczną oddającym,—prawdziwą przynosi mu chlubę, a z pewnością świadczy dowodnie o niemałéj jego konstrukcyjnéj zdolności. Po tym ogólnym jednak o niém sądzie, pozwolę sobie wyjąć zeń jedno z zapatrywań p. W., które, zdaniem mojem, wydane już materyały w zupełności czynią dojrzałém do naukowéj dyskusyi.

W wieku XVII u nas przekupstwo doszło do wysokiego stopnia. Zastanowiło ono już Helcla, poprzednika p. W. na tym samym zagonie niwy dziejowéj, który starał się je złagodzić, przypisując owym pensyom i jurgieltom, pobieranym przez magnatów polskich od obcych dworów, charakter subsydów podobnych do tych, jakie mniejsze dwory pobierały od większych za popieranie ich polityki. Helcel powołał się nadto na smutny stan powszechnéj podówczas w téj mierze moralności publicznéj, a zresztą jako źródło tego postępowania

podawał jakąś „omyłkę sumienia.“ Zapatrywanie Helcla przejął inny, bardzo zresztą sumienny badacz, pan Jabłonowski (w żywocie Grzymułtowskiego, ogłoszonym w Ateneum i następnie osobno na czele „Listów i mów“ poznańskiego wojewody). Wydawcy niniejszego zbioru tłómaczenie to nie wydało się wystarczającém; szukając należytego rozwiązania tego, jak powiada, niepojętego zagadnienia, iżby Lubomirski lub Sapieha, z którego dóbr dochody roczne obliczały się na setki tysięcy lirów, miał za kilka ich tysięcy zaprzedawać narodową sprawę, dopatruje klucza téj zagadki w osobliwszém stanowisku, jakie panowie polscy zajmowali w rzeczypospolitéj, w zupełnéj ich niepodległości, która wobec tego zwłaszcza, jakie podówczas było w Polsce wyobrażenie o interesie kraju, pozwalała im bez wyrzutów sumienia grać rolę prawdziwych kondotyerów politycznych i nietylko najmniejszego do tych najemniczych stosunków nie przywiązywać sromu, ale owszem upatrywać nie mały zaszczyt w tém podniesieniu się *do stanowiska potencyi politycznéj*, które było nibyto jednoznaczne *z wejściem w systemat aliansów i koalicyi europejskich.* Konsekwentnie z tem zapatrywaniem, uważa p. W., że przykłady rzeczywistego frymarku sumieniem czyli prawdziwéj przedajności należą do rzadkich wyjątków, nietrudnych zresztą do wytłómaczenia ogólnym podówczas stanem moralności publicznéj. Na stwierdzenie p. W. przytacza przykłady z współczesnych dziejów angielskich.

Otóż mojém zdaniem, aczkolwiek boleśnie to wyznać, co p. W. nazywa wyjątkiem, to było regułą, a to co według p. W. było normą, to tylko w rzadkich wypadkach, albo raczéj zgoła nie było prawdziwém. Przedewszystkiém, wszystkie podania współczesne i to nie jednego lub dwóch ambasadorów, ale całych szeregów agentów politycznych, do różnych należących narodowości, tak dobrze jak źle dla Polski usposobionych, francuskich, brandeburskich, nejburskich, hiszpańskich (niewątpliwie i cesarskich, których nie znam wiele) dosadnemi, często prawdziwie bolesnemi słowy piętnują chciwość ludzi, z którymi mieli do czynienia. Cytaty odnośnych ich twierdzeń na bogatą a smutną złożyłyby się antologią; tom wydany przez p. W. również nie jest skąpy w téj mierze. Nadto p. W. ograniczył swój komentarz tylko do magnatów; otóż faktem jest, faktem bolesnym ale niewątpliwym, nieobcym temu, co się zajmuje dziejami epoki, że i szlachta drobna, szlachta średnia, ta, z pośród któréj rekrutowali się posłowie sejmu, nie o wiele lepszą była w tym względzie. Jeżeli stosunkowo mniéj mamy w téj mierze wyraźnych świadectw w korespondencyach dyplomatycznych, to tylko dlatego, że ambasadorowie i agenci obcych mocarstw rzadko, bo prawie nigdy ze szlachtą, natomiast wyłącznie z magnatami mieli do czynienia i że prócz tego

historya, zapisując dzieje wielkich korupcyi, które były przedmiotem korespondencyi dyplomatycznych, nie zapamiętała drobnych, jednorazowych „laf," (jak je nazywa p. W.), któremi kupowano szlachtę. Magnaci owszem, biorąc pieniądze od obcych dworów, zasłaniali się twierdzeniem, zresztą zupełnie prawdziwém, że im potrzeba pozyskać szlachtę dla sprawy, którą popierać się obowiązywali, ledwie że potrzebuję dodawać, w jaki to sposób pozyskiwano tę szlachtę. Znamienitszym dukaty, resztę raczono i pojono. „Czapką, papką i solą," dawne przecie i powszechnie znane *dictum*. Rzadkość bitego kruszcu dodawała mu jeszcze wartości. Znana jest powszechnie historya owego przeniewierczego podskarbiego za Jana Kazimierza (podobno Bogusława Leszczyńskiego), który, gdy ktoś z posłów sejmowych ozwał się z jakiemiś niemiłemi uwagami co do rachunków skarbowych, miał na głos w senacie zawołać: „A któryż to tam brat, com mu nic nie dał?" Nie sądzę, żeby ta historya była prawdziwą, tak źle podówczas u nas jeszcze nie było. Przekupstwo praktykowało się już i to na wielką skalę, ale potajemnie, kara infamii spotkała posła, którego schwytano na gorącym uczynku, jak podczas sejmu r. 1661 brał od posła austryackiego barona Lisoli pieniądze (1).

Widzimy, tutaj teorya p. W. *o potencyi polityczněj* nie da się zastosować. A cóż dopiéro powiedziéć o przedajności kobiét?!—tym bo przecież nie chodziło o wejście w *systemat aliansów i koalicyi europejskich*. Marya Ludwika, która umiała się obchodzić z ludźmi, sądząc z panowania, jakie sama miała nad mężem, zyskując mężów, nie przepominała bynajmniéj o ich małżonkach. W jakiż-że to czyniła sposób? Znowu pieniędzmi, a tylko dla odmiany zegarkami, koronkami i tego rodzaju fatałaszkami, które jéj umyślnie na ten cel przysyłano z Francyi. Przysłowie polskie, niekoniecznie pocieszające, powiada: „Za pieniądze ksiądz się modli..." Do dawniejszych, które znałem poprzednio, w aktach wydanych przez p. W. przybywa nowe świadectwo, stwierdzające prawdziwość tego przysłowia. Poseł Ludwika XIV na sejm elekcyjny r. 1674, sam duchowny (biskup marsylski) pisze do swego pana 18-go maja: „J'ai fait distribuer 500 écus aux religieux, afin de faire prier Dieu pour une élection favorable *et les empêcher de murmurer*, car ils ont quelque crédit en ce pays ici (str. 33). Ponoś nie ich modlitwy opłacał w ten sposób poseł francuski.

Wobec faktów tedy zarówno, do których się nie da zastosować tłómaczenie p. W., jak wobec mnogich sądów współczesnych, które

---

(1) Relacya posła franc. Ant. de Lumbres, w archiwum parys. spraw zagran. (cytując z pamięci, nie umiem dokładnéj podać daty).

bez ogródki nazywają rzecz jéj właściwém imieniem, wykład p. W. a tém mniéj Helcla nie da się utrzymać. Pan W. dziwi się, jak to być mogło, żeby Sapieha lub Lubomirski za kilkanaście tysięcy lirów frymarczyli sumieniem, gdy im przecie majątki ich po kilkaset tysięcy rocznego przynosiły dochodu. Rzecz dziwna tylko na pozór. Ten sam Radziwiłł, który w kilkanaście lat późniéj przy swym wjeździe jako poseł rzeczypospolitéj do Rzymu, rozwinął był przepych jakiego przedtem nigdy nie widziano—koniom jego orszaku srebrne umyślnie z nóg odpadały podkowy—ten sam Radziwiłł z gotowością tysiąc do kieszeni wsunął talarów, wziętych od Maryi Ludwiki za przyrzeczenie popierania francuskiéj kandydatury; ktoś inny strwonił w kilku bankietach jurgielt, który od obcego pobierał dworu. Mielibyśmy prawo się dziwić, gdybyśmy nie wiedzieli, że chciwość z marnotrawstwem nierzadko idzie w parze, gdybyśmy nie znali bajki o Pyszno-Skąpskim, który jedną ręką starał się zatrzymać, co trwonił nieopatrznie drugą.

Pan W. powiada (p. XX), że najwięcéj poszukiwaną formą „subsydyów" był stały, roczny jurgielt. Na to zgoda; okoliczność ta znajduje wytłómaczenie swe w tym przekonywającym fakcie, że lepsza stała pensya, aniżeli jednorazowy datek. Jeżeli jednak daléj p. W., z uwagi na okoliczność, którą również muszę stwierdzić, iż ten jurgielt rzadko był wypłacanym, powiada dosłownie: „*Wystarczał tedy beneficyaryuszowi tytuł królewskiego lub cesarskiego pensyonarza*, świadectwo przyjaznych związków królika polskiego z jego dobrym kuzynem Ludwikiem XIV; dowód, jakie pojęcie miał zachodni mocarz o wpływie swego pensyonarza na sprawy Rzpltéj, znamię zajmowanego w Rzpltéj miejsca!" to mu się tu muszę stanowczo sprzeciwić. Uchodzi jeszcze samo branie pieniędzy, bo interes wiecznie będzie rozstrzygać w polityce, któréj jedyną jest sprężyną; uchodzi, powiadam, cokolwiek-by można powiedziéć przeciwko niepowołanemu identyfikowaniu interesu własnego z interesem ogółu; uchodzi z uwagi zwłaszcza na okoliczność, że targ właściwy należał do rzadkości, bo wypłata jurgieltu była tylko milczącem zastosowaniem dyplomatycznéj formuły *do ut des*, najczęściéj bez wyraźnéj, poprzedniéj umowy; nic natomiast boleśniejszego, nic bardziéj upokarzającego, jak owo dopominanie się jurgieltów i pensyi za przysługi kiedyś oddane, upominanie się uporczywe, natrętne, niejednokrotnie bezwstydne, a wyraźnie kłam zadające twierdzeniu p. W., jako-by tu tylko o *honor* królewskiego czy cesarskiego pensyonarza chodziło. Wielu przecie, Sobieska, Andrzej Morsztyn, Leszczyński Jan zwłaszcza (w. kanclerz kor.) nie zadowalniali się tym honorem, chcieli go co roku widzieć odnowionym i nie żenowali się przeto bynajmniéj w téj mie-

rze; dokumenta niniejszego zbioru na niejednéj stwierdzają to karcie; nie bez zadowolenia natomiast widzimy, że natury szlachetniejsze, do których przedewszystkiém sam należał Sobieski, nigdy do tego nie posunęły się stopnia. Dodam wreszcie, dla okazania bezpodstawności twierdzenia p. W., jakoby tu tylko o honor chodziło, że w moich oczach ten honor, fatalnie przypomina owego skradzionego wołu (w bajce), który bynajmniéj, nie tuczył swego właściciela; jakoż ukrywano się gorliwie z tym honorem; kwitu na odebrane pieniądze żaden z panów nie chciał wystawić, jakkolwiek elektor brandeburski np. na seryo się tego domagał, przydomek jurgieltnika obcego mocarstwa był zawsze, w tym przynajmniéj czasie, ciężką obelgą i to właśnie jest niejaką wskazówką, że rzeczy nie stały jeszcze jak najgorzéj.

Mojém zdaniem, bolesna a ważna kwestya przedajności przodków naszych w XVII i XVIII wieku będzie należycie wyświeconą dopiéro, gdy będą wyświecone w sposób lepszy, niżeli są dotąd, powody powolnego upadku naszéj moralności publicznéj w ogóle. Traktować ją oddzielnie, znaczy wyrywać ją niestosownie z właściwego jéj związku, przedajność ta bowiem *była tylko jedną*, *acz prawda*, *najbrzydszą formą egoizmu politycznego*, który miał strawić społeczeństwo nasze; zajmuje ona wraz z niecném rozdrapywaniem poborów publicznych najwyższe miejsce w smutnym panteonie owych przeróżnych interesów osobistych, obrażonych ambicyi i tych wszystkich wad narodowych, co od początkowego wyzyskiwania rzeczypospolitéj, od chwytania starostw i beneficyów doprowadziły, w interesie własnych korzyści, do otwartego opierania się zbawiennym reformom; od usuwania się od ciężarów publicznych do jawnego zaprzedawania własnéj i narodowéj godności, od obojętności wreszcie na dobro powszechne do otwartéj zdrady; co jedném słowem, po półtorawiekowéj agonii wpędziły nas do grobu. Jeżeli p. W., dla ułagodzenia grozy tego obrazu, powołuje się na ówczesny stan moralności publicznéj u innych narodów, a w pierwszém miejscu na Anglią, to stwierdza on tém ponoć tylko prawdę, któréj i ja bynajmniéj przeczyć nie myślę, że powszechnie podobna moralna panowała choroba, że jednak nigdzie do takich nie doszła rozmiarów, jak w państwach obdarzonych instytucyami swobodnemi, jakiemi była nasza rzeczpospolita i angielska monarchia konstytucyjna. Podobnie niegdyś w starożytności było z Rzymem i wolnemi państwami Hellady. Ś. p. Helcel smutną a wielką przy téj sposobości powiedział prawdę: Jednaka podówczas wszędzie panowała zgnilizna, ale niejednako ją przetrwały narody (1). Ale to nie uwalnia bynajmniéj historyka od

(1) O dwukrotném zamęźciu Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny i t. d.. Kraków, 1858.

obowiązku nazwania rzeczy po imieniu, napiętnowania jéj tedy właściwą jéj nazwą, która jest zbyt bolesną, żebym ją tu raz jeszcze miał powtórzyć.

VI.

Pozostaje mi jeszcze tylko poczynić niektóre uzupełnienia jakoteż zanotować omyłki i niedokładności, które się wcisnęły do pracy p. W.

Str. 1. Baluze był w istocie rezydentem francuskim w Polsce, atoli już w marcu 1670 r., skompromitowany w spiskach, knutych przeciw Michałowi, opuścił albo raczéj umknął był nagle z Warszawy i przebywał odtąd w Hamburgu. Zdaje mi się, że dopiero po śmierci Michała wrócił napowrót do Warszawy.

Str. 5. Znany pod nazwą Niemirycza podkomorzy kijowski, którego Helcel pisze Niemerycz, w mnogich własnoręcznych listach zachowanych w tajném archiwum berlińskiém zawsze tak się, z ruska, podpisywał (a więc Niemerycz).

Str. 18. W. kanclerzyna lit., Pacowa, była z domu Mailly, (a nie Malgi).

Str. 19. Pana de Lubienietz, w którym się p. W. słusznie dorozumiewa znanego historyka Lubienieckiego, znajduję w Hamburgu już w końcu r. 1669. Był on w latach 1671—1673 korespondentem francuskim dla spraw polskich.

W Auverbergu (str. 28) nie łatwo się domyślić znanego posła elektorskiego, Jana Hoverbecka. Wymieniony tamże Ganise był kanclerzem nejburskim i zwał się Giese.

Odnośnie do uwagi p. W. 1) str. 151, powiem, że dla dokładnego oznaczenia datum depeszy (z 16 paźdz. 1674) potrzebaby wiedzieć, czy to datum stało na czele listu, czy też u dołu, obok podpisu; w ostatnim razie jedyne racyonalne przypuszczenie jest, że biskup marsylski począł pisać depeszę 15-go paźdz. a nie 16-go.

Mówiąc o „nieczystéj miłości“ Jabłonowskiego do Francyi, (p. 166) nie domyśla się p. W., co było powodem jego niezadowolenia. Oto chciało mu się buławy (polnéj), z którą Jan III ze swéj strony nie miał ochoty się rozstać.

Str. 176. 4-go stycznia 1675 p. de Pomponne żadną miarą nie mógł pisać, że odebrał depeszę biskupa marsylskiego do króla z 30 du mois passé.

Na całych 5 stronach (221—225) dowodzi p. W., że *bitwę pod Lwowem* stoczono nie we wrześniu r. 1675, ale w sierpniu, i to z wielkiém prawdopodobieństwem 24-go t. m. Pomimo wszystko, co o niéj podają nowsze książki, „Gazeta francuska“ i takie źródła jak Jemiołowski, rzecz ta najmniejszéj nie ulega wątpliwości i należało ją kilku słowy rozstrzygnąć. Na str. 238 Sobieski sam, w liście (z paźdz. 1675) do kardynała Ursiniego (*tak*, nie zaś Orsiniego) tak się wyraża: Vous ferez aussi ressouvenir *de la grande action que nous fîmes le 24 d'Août etc.*, — słowa, które nie pozwalają wątpić, że król potrzebę lwowską ma na myśli. Wydawca przeoczył jednak ten dowód, który wszystkie inne robi zbędnymi.

Str. 368 nazywa wydawca wojewodę chełmińskiego, Jana Gnińskiego, jednym z najżarliwszych stronników Austryi. Otóż z tém nie zgadza się, co powiedziano na str. 66, 99 i 255, gdzie król francuski gotów jest nawet wyłożyć z własnéj kieszeni 4000 talarów, ażeby wojewodzie dopomódz do kupienia od Jana Leszczyńskiego wielkiéj pieczęci; niewiadomo mi zaś, ażeby Gniński w przeciągu tych 2 lat zmienił przekonanie i ze stronnika Francyi został jéj nieprzyjacielem. Odnośnie do uwagi wydawcy na str. 99 powiem, że nie biskup, ale wojewoda chełmiński starał się o wielką pieczęć. Wiadomo, że obie pieczęcie, wielka i mała, były piastowane *alternative* przez jednego świeckiego i jednego duchownego dygnitarza. Otóż, jeśli wielka była w ręku senatora świeckiego (Jana Leszczyńskiego), mniejszą musiał dzierżéć jakiś biskup (Wydżga), a przez to samo żaden duchowny senator (z wyjątkiem samego podkanclerzego) nie mógł się ubiegać ani o większą, ani o mniejszą pieczęć.

Wyliczając Sapiehów (str. 391), zapomniał wydawca o najtęższym z nich, podskarbim lit. Benedykcie.

Już w r. 1661 poświęcono uroczyście Belweder, zbudowany przez Krzysztofa Paca pod Warszawą (str. 511).

Słówko o języku wydawcy. P. W. włada nim z wielką pewnością, nie powie nigdy więcéj nad to, co chce powiedziéć; zawsze jest jasny i zrozumiały. W zamiłowaniu, które ma do długich okresów, widoczny jest wpływ lektury kilkudziesięciu foliantów depesz dyplomatycznych.

Niniejsze sprawozdanie przybrało i tak już zbyt obszerne rozmiary, ażebym mógł myśléć o streszczaniu dzieła p. W. Oceniwszy metodę i ważniejsze z jego zapatrywań (1) odsyłam czytelnika do

(1) Wymienię tu ważniejsze omyłki, czy to wydawcy, czy tłoczni.
Str. 53 wiersz 7 od dołu należy czytać Lotaryńczyka zam. Kondeusza.
Str. 142 w. 15 od góry — elektorowi bawarskiemu, a nie brandeburskiemu.

saméjże książki i kończę życzeniem, ażeby mi była dana możność

Str. 150 w. 11 od g. — 200.000 écus, a nie livres; tož samo p. 443 w. 20 od d. — écus zam. francs.

Str. 157 w. 6 od g, — nostre zam. vostre; przeciwnie p. 103 w. 12 od g. czytałbym raczéj vostre, a nie nostre.

Str. 169 w. 27 nie może być v. M. lecz Sa Mté.

Str. 173. List biskupa marsylskiego z 11 stycznia 1675 pisany był nie do p. de Pomponne, lecz do Ludwika XIV.

Str. 176 3 w. od d. nie Verselini lecz Vesselenyi.

Str. 178 w. 13. od d. — aby nie ściągnąć na Turcyę podejrzenia, zam. na Francyę, (co wynika z listu Jana III do biskupa marsylskiego, p. 180).

Str. 184. List Maryi Kazimiery do Ludwika XIV nosi datę 15 lutego 1675 a nie 15 sierpnia; podobnież str. 185 Baluze pisze do p. de Pomponne 15-go lutego, a nie 15-go sierpnia.

Str. 198 w. 4 od g. zam. qui donne occasion à beaucoup à *discours*, czytałbym à *discourir.*

Str. 227 w. 21 od g. winno stać 16 sierpnia zam. 16 lipca.

Str. 229. Depesza biskupa marsylskiego do Ludwika XIV pisaną była ze Lwowa, a nie z Warszawy.

Str. 236 w. 6 od g. proponuję czytać: Le pape... par la seule cencession d'une partie des dîmes d'Italie.... se contenta *de l'accorder* (a nie *de la collecte*, jak proponuje wydawca w miejscu niedającego żadnego sensu: *de la colère).*

Str. 245. Michał Kazim. Radziwiłł był hetmanem polnym i podkanclerzym lit. (nie zaś podkomorzym, jak przez pomyłkę wydrukowano).

Str. 278 w. 15 od d. czytać należy en duché *et* pairie, a nie *en* pairie.

Str. 311 w. 11 od g. zam. j'ai manqué proponuję: j'ai *marqué.*

Str. 334 w. 10 od d. zdanie: J'ai bien compris la politique que l'on avait, de rendre mon emploi *possible* et désagréable nie daje dobrego sensu; należy czytać: *pénible* et désagréable.

Str. 338. List do Ludwika XIV pisany jest 21 grud. 1676.

Str. 352 w. 22 od d. zam. elle désira *d'engager* M. de Maligny en suite de la paix, czytałbym: *d'envoyer*...

Str. 353 w. 9 zam. J'en userai autrement qu'il *m'a* fait, należy czytać: qu'il *n'a* fait.

Str. 355. Bethune pisze 22-go lutego 1677 nie do pana de Pomponne, lecz do Ludwika XIV.

Str. 389 w. 15 od d. nie Bethune lecz p. de Pomponne pisze do biskupa marsylskiego.

Str. 421 w. 10 od d. en Lithuanie zam. de Lithuanie.

Str. 432 regens cancella*riae* regni, a nie cancel*larii.*

Str. 439 w. 5 od d. abbatiam Tinecensem zam. Trinecensem.

Str. 441 w. 10. Depesze p. de Bethune a nie p. de Pomponne.

Str. 469 w. 6. Il a fait zam. il fait.

Str. 476. Kajeski jest w istocie osobą nieznaną, natomiast wymienia Niesiecki (Herbarz, t. V, p. 69, Lipsk, 1840) Adama na Kazgrodzie Kazewskiego, łowczego wołyń-

zdania w jak najkrótszym czasie sprawy z następnych tomów tego ważnego wydawnictwa.

Paryż, 31 maja 1880.

Stanisław Lukas.

---

skiego, pułkownika królewskiego, który podpisał elekcyę Jana Kazimierza. Czy to jednak ten sam, o którym wspomina Sobieska, wątpić można.

Str. 500 w. 24 w zdaniu anno proximo elapso 1674 exeunde, zam. 1674 czytałbym a. 1679, atoli jak pogodzić elapso i exeundae (sc. pacis), zgoła niewiem.

Str. 517. Dymitr Wiśniowiecki był w. hetmanem kor. a nie lit., jak przez pomyłkę podano w spisie dokumentów.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Ślady dyalektyczne w oznaczaniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego wieku XV i XVI przez Lucyana Malinowskiego. (Rozprawy Wydz. filolog. Akad. Um. Tom VII).

Przeważną część pracy téj stanowi porównanie samogłosek nosowych w książeczce „Parvus Catechismus“, znajdującéj się w bibliotece Ordynacyi Krasińskich w Warszawie, z samogłoskami nosowymi gwary kozielskiéj na Szląsku. Prof. M. domyśla się, że katechizm ten polski, protestancki, objętości 167 stonic, drukowany był w Królewcu i to w pierwszéj połowie w. XVI. Materyał dyalektyczny, jaki w pracy téj znajdujemy, zebrał autor na Szlązku w okolicach Koźla i Pawłowiczek. Wszystkie samogłoski nosowe dzieli autor na dwie główne kategorye: pierwotne i pochodne. *Pierwotne* samogłoski nosowe podzielone są na podstawie porównania z językiem starosłowiańskim i ogólnie-polskim na 4 działy, w których rezultat porównania jest następujący: 1) Refleksy starosłowiańskiego Ѧ, ogol. pols. **ę** z poprzedzającą zmiękczoną są w katechizmie oznaczone przez: **en, e, yn, ą̇, ą̇n, ą, á**, a w gwarze kozielskiéj odpowiadają im dźwięki: **ę, é, ęn, én, ą, ąn.** 2) Starosłow. Ѫ, ogólnie-polskie ę z poprzedzającą twardą ma w katechizmie znaki: ą̇, ą̇n, ȧ, a, am, ą; en, e; w gwarze kozielskiéj zaś są odpowiednie im dźwięki: ą, ąn, an, am, a; ę, ęn, é, e, é, em. 3) Starosłow. Ѧ, ogól. polskie ǫ z poprzedzającą miękką są oddane w katechizmie przez: on, ą, ą̇, en, w gwarze kozielskiéj zaś brzmią: o, ϕ, ϕo, ųn. 4) Starosł. Ѫ, og. pols. ǫ z poprzedzającą twardą odpowiadają w katechizmie: on, om, ą, am, a, ą̇, en, a w gwarze kozielskiéj: ǫ, ǫm, ǫn, ϕ, o, ó, óm, ų, ųm, ųń, u, ą. *Pochodne* samogłoski nosowe rozróżnia prof. M. dwojakie: a) takie, które powstały z czystych pod wpływem następnéj spółgłoski nosowéj np. w katechizmie: naboszyą̇stwo, w gw. koz. ok'ęk'ę (zamiast:

ok'enk'em); i b) takie, w których bez żadnéj zewnętrznéj przyczyny samogłoska czysta zmienia się na nosową, np. w katech. omyą̀szkal. Następnie rozbiera autor i układa w pewne kategorye znaki służące do oznaczenia samogłosek nosowych w katechiźmie i wykazuje, że w wypadkach przytoczonych przeze mnie pod 1) najczęściéj odpowiadają ą̀, à, ą, ąn, rzadziéj en, e, yn; pod 2) częściéj ą̀, à, a, an, am, rzadkiéj en, em, e; pod 3) najczęściéj ą, bardzo rzadko on, en; pod 4) najczęściéj ą, ą̀, rzadziéj on, om. Co do wartości fonetycznéj tych znaków, to dowodzi autor, że en wymawiano jak nasze ę, znaki, ą̀, àn, an brzmiały jak szląskie ā (a͡n), którego to dźwięku język ogólny polski nie zna, znaki zaś on, om, ą jak ǫ, oznaczane zwykle u nas w piśmie przez ą. Że znak ą brzmiał rzeczywiście jak ǫ dowodzi przedewszystkiém to, że w wieku XVI oznaczało zwykle á ścieśnione czyli skłaniające się ku brzmieniu o, i że występuje prawie wyłącznie w tych kategoryach, co znaki om, on. Ostateczny rezultat tego zestawienia jest, że gdzie dziś wymawiamy ę, język katechizmu ma ę albo ā (a͡n), gdzie zaś ǫ, i w katechizmie jest ǫ. Co do dzisiejszego ę jeszcze to wspomnieć wypada, że w pierwiastkach i tematach odpowiada mu w języku katechizmu ę lub ą (a͡n), w końcówkach zaś tylko ą (a͡n) nie licząc pojedyńczych wyjątków. Pod tym więc względem jest język katechizmu nadzwyczaj podobny do gwary kozielskiéj a po części i do opolskiéj.

W dalszéj części rozbiera prof. M. samogłoski nosowe w pieśni do N. Panny, rękopisie z w. XVI. Starosłowiańskim Ѧ i Ѫ a ogólnie polskiemu ę odpowiada tu zawsze *e*; starosłowiańs. Ѧ i Ѫ a ogól. pols. ǫ ma tu refleks u np. wsziul (wziął), wszechmoguczy, a niekiedy tylko ą, np. stobą, szą. Ponieważ pieśń tę śpiewają dotąd po kościołach dawnego województwa pomorskiego, domyśla się autor, że zabytek ten pisany był śród Kaszebów pomorskich. Przypuszczenie to popiera i tém, że w gwarze pomorskiéj samogłoski nosowe ę i ǫ odpowiadające starosłowieńskiemu Ѫ bywają niekiedy wymawiane jak u, jeśli je zaś poprzedza samogłoska miękka (więc starosł. Ѧ) jak e. I rzeczywiście dźwięk *u* bardzo często odpowiada ogólnie polskiemu ǫ z poprzedzającą twardą w narzeczu Słowińców pomorskich, Kabatków, Kaszebów pomorskich i pruskich, rzadziéj odpowiada on ogólnie polskiemu ę z poprzedzającą twardą, bo tylko w dwu pierwszych wymienionych narzeczach. Co więcéj, nawet formie *wsziul* (wziął, starosł. Ѧ og. pols. jǫ) tego zabytku odpowiada w narzeczu Kaszebów pomorskich koło jeziora lebskiego forma *ucul*=uciął (Por. A. Hilferdyng, Ostatki Sławian na jużnom bieriegu Bałtijskavo moria, str. 119). Zresztą jak w tym zabytku, tak i w narzeczach Słowińców i Kaszebów pomorskich i Kaszebów pruskich

odpowiada ogólnie polskiemu ę z poprzedzającą miękką dźwięk e; (por. moję pracę: O samogłoskach nosowych w narzeczu Słowińców pomorskich, Kabatków i Kaszebów, Kraków 1880, str. 17, 19 36, 47).

Trzecim zabytkiem, który wchodzi do pracy prof. M. jest najstarszy druk polski. Są-to modlitwy polskie znajdujące się w bibliotece Klementyńskiéj w Pradze czeskiéj, w książce z r. 1475. W zabytku tym oznaczone są: 1) starosłowiańskie Ѧ ogól. pols. ę z poprzedzającą miękką przez an, en, e, ē; 2) starsł. Ѫ og. pols. ę przez an, un, e; 3) strsł. Ѧ, og. pols. ǫ z poprzedzającą miękką przez *u*, 4) strsł. Ѫ og. pols. ǫ przez u, aun. Są tu więc ślady, że nasze **ję** wymawiano przeważnie jak ję lub je, nasze ę jak ą (ān) szląskie, a nasze ǫ brzmiało jak ų, podobnie jak w pieśni wyżéj wspomnianéj, lub téż jak oų.

Ostatnim zabytkiem, który tu prof. M. uwzględnia, są glossy polskie „Quadragesimale super epistolas“ z saméj połowy wieku XV w bibliotece kapitulnéj w Pradze czeskiéj. Samogłoski nosowe oznaczone są w tym zabytku przez ą, ąn, an, ąan, ę, niekiedy jednak starosłowiańskiemu Ѫ odpowiada refleks *u*, np. potupyly, svuk, karmiczku, odsudzyly, uzkoscye.

Na zakończenie pracy téj podaje autor sposób, w jaki można niekiedy odgadnąć wartość fonetyczną znaku wyrażającego samogłoskę nosową. Ułatwia to mianowicie ta okoliczność, że znak taki wyraża niekiedy i samogłoski czyste. Tak np. w zabytkach staropolskich, jak psałterzu floryańskim często ǫ oznacza *á* ścieśnione, toż samo oznacza niekiedy ą̀ i ą w katechiźmie wyż wymienionym i ą w Quadragesimale; w Kazaniach gnieźnieńskich z r. 1419 znak ǫ wyraża niekiedy dźwięk u, a w jednym zabytku z wieku XVI ą w wyrazie nąka stoi zamiast dwugłoski au (nauka). Widocznie więc w wymawianiu nie wielka była różnica między á ścieśnionem, u, au i ą.

Na tém kończy się praca, która stanowi wielkiéj doniosłości przyczynek do głosowni języka polskiego. Trudno znaleść książeczkę, którąby w tak małéj objętości zawierała tak wiele treści.

Głoski nosowe w gwarze ludowéj we wsi Kasinie oraz niektóre inne właściwości téj gwary, przez Lucyana Malinowskiego (Rozprawy Wydz. filol. Akad. Um. Tom VIII).

Gwara kasińska w Galicyi (powiat limanowski) odznacza się tém, że ma jednę tylko samogłoskę nosową ǫ, którą powszechnie pi-

szemy znakiem ą. 1) Starosłowiańskiemu Ѧ, og. pols. ę z poprzedzającą miękką odpowiada kasińskie ją, niekiedy jeszcze z pogłosem nosowym n, m, lub ń, — np. brząceć, dziesiąntka, jarząmbina, i je np. do syje, mie, cie, sie. 2). Starosł. Ѫ og. pol. ę brzmi w kas. najczęściéj ą, np. gąba, gąsty, niekiedy e np. bedą, bedzieš, a niekiedy u, np. zmuda. 3). Starosł. Ѧ, og. pols. ą z poprzedz. miękką brzmi zawsze w kasińskim jak w ogólnie polskim języku. 4). Starosł. Ѫ ma tak samo jak w og. pols. refleks ą, niekiedy jednak a szczególniéj w zakończeniu narzędnika l. pojed. z pogłosem nosowym *m* jak: rybąm, ze mnąm i t. p. Samogłoska nosowa pochodna jest w wyrazach: miądzy, miąndelik (medalik). Drugiém charakterystycznėm znamieniem gwary kasińskiéj jest wpływ, jaki wywierają spółgłoski nosowe na poprzedzające je samogłoski, a mianowicie e zmienia się w o lub słabe ą, np. panionka, jesiąnny; o przed ń przechodzi w słabe ą np. kąj (koń); inne samogłoski przechodzą także niekiedy na nosowe np. jąntek. Dźwięk ń przechodzi na końcu zgłoski w *j*, przyczém albo nosówka ginie bez śladu, np. zwij (zwiń), albo przenosi się do poprzedzającéj samogłoski np. zwąj (dzwoń). Z innych właściwości gwary kasińskiéj na uwagę zasługują: 1) *e* brzmi jak u: niestuty; jak y: nadvyrązyć; *e* jest otwarte w rzeczownikach pierw. na—ije, np. ziele, hodzonie; é ścieśnione wyraźnie występuje w pierwiastkach, gdzie w starosł. Ѫ, np. biéda, niekiedy zamiast ę np. miéso. 2). a brzmi jak e: hereśt, lecz harąndárz, haron i t. d., á ścieśnione: cáwkom, bájtka (bajka), bájtcárka, ciązár, bajác i bajac, beśták, gwąbiá, bestyjá, bávów, biáwy i inne. 3). ó ścieśnione przed *w* (*ł*), w wyrazach: janiów, dzięciów, japostów, stoi zamiast *e* lub *o*, w imiesłowach zaś czasu przeszłego klasy IV zamiast *i* np. wnąciów sie, obok wnąciiw sie. 4). Samogłosek na początku wyrazów gwara ta najczęściéj unika, więc: jadwiąnt; japetyt, hapetyt lecz i apetyt, uoko, uociec. 5). Spółgłoska *ch* wymawia się niekiedy jak *h* np. hodzonie, a niekiedy jak *k* lub *kh*, np. cebrzuk i cebrzukh; j przechodzi czasem na l, np. źmile obok źmije; 6) gwara kasińska jest mazurska; 7) spółgłoska zębowa *t* zjawia się w wyrazach: bájtka, bájtcárka, a niekiedy brzmi jak *k* np. vakować (watować); 8) spółgłoska ł przechodzi jak w brzezińskiéj gwarze na półsamogłoskę wargową, np. pcowa; między samogłoskami brzmi bardzo słabo, a ginie w końcówce imiesłowów czasu przeszłego po spółgłoskach; 9) spółgłoska wargowa *b* znika: wyskać zamiast: bwyskać; v, f, brzmią niekiedy jak v̇ np. jadviąnt, viérzmovanie; *v* ginie na początku np. stązka, syćko.

I ta więc rozprawka, jak poprzednia, szczupła na oko, mieści w sobie bardzo wiele materyału a szczególniéj część jéj pierwsza. Każdy punkt bowiem poparty jest wielką ilością przykładów, tak że

więcéj jużby dodać nie można. Charakterystyczne właściwości gwary kasińskiéj w dziale samogłosek nosowych są nadzwyczaj ważne, to też dobrze, że dostały się pod pióro tak znakomitego pracownika.

Jan Hanusz.

= **Wychowanie dziecka włącznie do lat 6-ciu** przez Henryka Wernica (Warszawa 1881, str. 71 i XIII). Broszurka ta wchodzi w skład wydawnictwa „pedagogiczno-szkolnego“, podjętego przed laty dziesięciu przez księgarza lubelskiego, Stanisława Arcta, a prowadzonego dawniéj przez zasłużonego pedagoga, Augusta Geskego. Znaczenie téj pracy p. Wernica jest wyłącznie popularyzatorskie; autorowi nie chodziło bynajmniéj o oryginalność ani w poglądach ani w ich uporządkowaniu, pragnął jedynie rozpowszechnić niektóre trafne spostrzeżenia pedagogiczne, dotykające najważniejszych pytań wychowania. Rozpocząwszy tedy dość zręcznym wierszykiem „do matki“ i wzmianką o dwu głównych twórcach nauki wychowania w wieku dziecięcym (Komenskim i Pestalozzim), rozpatruje autor w sposób jasny i zrozumiały dla każdego średnio - ukształconego takie kwestye wychowania jak: *Miłość i zaszczepianie jéj w sercu dziecka*, *Posłuszeństwo*, *Przyzwyczajenie*, *przykład*, *Ukształcenie rozumu*, *Zabawy*, *Nieprawdomówność i kłamstwo*, *Życzliwość i przychylność*, *Zaszczepienie uczucia religijnego*. Jak ze spisu tego widać, autor nie starał się o systematyczność, licząc zapewne na to, że każdy artykuł będzie czytany i rozważany osobno; chodziło mu więc głównie o podanie rozumnych uwag i przestróg, czy to znanych już dobrze czy mniéj znanych, przyczém starał się obudzić zajęcie, a zarazem wyjaśnić ogólne spostrzeżenia za pośrednictwem przykładów, zaczerpniętych z życia dziecinnego, a przemawiających nieraz lepiéj do wyobraźni i rozumu, aniżeli suche reguły. Nie możemy tu naturalnie streszczać wszystkich uwag autora; zaznaczymy tylko wyrazistsze, świadczące o swém doświadczalném pochodzeniu. Bardzo słusznie wytyka matkom słabym niewłaściwość odwoływania się do swéj wielkiéj względem dzieci miłości („Stasiu, nie kochasz mnie, nie mam już mego dobrego syna!“). Wielce rozsądne są uwagi, dotyczące *powolnego*, *stopniowego* wdrażania dzieci do posłuszeństwa; z początku matka winna wystrzegać się np. przywoływania do siebie dziecka w chwili jego grymasów, zniechęcenia, smutku, jedném słowem wtedy, gdy dziecię nie ma chęci być jéj posłuszném; następnie dopiero zaprawiać można dziecię do czynienia małych posług, mniéj już zważając na jego chwilowe zajęcia, od których je odrywamy; w końcu dopiero wolno kiedy-niekiedy robić próby uległości i odry-

wać dzieci choćby od najbardziéj zajmującéj zabawy, jeżeli idzie o jakąś usługę dla nas lub dla innych osób. W tych razach, w których wola dziecka pozostaje w sprzeczności z naszą wolą, unikać należy wielosłowności, niepotrzebnéj gadaniny, lecz wypada postępować *stanowczo*, tak, iżby dziecię przyzwyczaiło się do tego, iż od rozkazu naszego nie ma już żadnéj apelacyi. Ustawiczne natomiast mustrowanie dzieci, które tak jest ulubione kobietom starym albo matkom zdenerwowanym, winno być bezwarunkowo wyrzucone z zasobu środków wychowawczych. Rzecz o przyzwyczajeniach zawiera parę uwag, które może nie znajdą powszechnéj aprobaty, ale które warto starać się zastosować. Do takich należy przepis przez wszystkich niemal higienistów podawany, ażeby dziecię w oznaczonych tylko godzinach pokarm przyjmowało, i ten drugi, żeby po skończeniu lat czterech dziecię obywało się przy umywaniu bez żadnéj posługi. Artykuł o zabawach jest bardzo szczegółowy i wiele zdań trafnych zawiera; szczególny zaś przycisk położył autor na to, żeby dziecię ile możności bawiło się samo i tym sposobem przyzwyczajało się do samodzielności, do wystarczania sobie. Tam, gdzie p. W. mówi o kłamstwie, na baczną uwagę matek zasługuje przestroga, żeby nie zawodzić nigdy ufności dziatwy; niedotrzymanie bowiem uczynionéj obietnicy, zachwiewa jéj wiarę w prawdomówność rodziców i przyucza do kłamstwa. Są w dziełku tém i mniéj udatne rozdziały; rzecz np. o wykształceniu rozumu jest zanadto pobieżna i nie może służyć za dostateczną dla wychowawców wskazówkę. W każdym jednak razie nie ma tu zdań, któreby bezwarunkowo potępić i odrzucić wypadło; są tylko nieścisłe i niedokładne wyrażenia. W interesie zrozumiałości należałoby zupełnie wyrzucić wyraz *konkretny* i zbyt zwięzłe określenia psychologiczne; język téż gdzie-niegdzie potrzebowałby poprawy; mianowicie użycie biernika zamiast dopełniacza po słowach czynnych z przeczeniem razi czytelnika. W końcu dodać należy, że twierdzenie, wyrażone w przedmowie, jakoby w naszéj literaturze pedagogicznéj był „zupełny brak podręczników, traktujących o pierwotném wychowaniu dziecka“, nie może się utrzymać wobec krytyki; pomijając bowiem drobne broszury, można wymienić obszerny i szczegółowy traktat o téj właśnie dobie wychowania, którą p. Wernic za przedmiot pracy swéj obrał; jest-to dzieło L (ucyny) M (ieroszewskiéj) p. n.: „Rady praktyczne o początkowém wychowaniu dzieci. Epoka od 1 do 5 roku. Warszawa, 1856, str. LVIII, 530.“

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Umysły poetyczne, zniechęcone powierzchowną bezbarwnością czasów naszych, lubią przebywać w epokach, które się już niepowrotnie z pod bezpośredniéj obserwacyi usunęły. Mniejsza o to, czy to będą wieki średnie, czy dzieje Greków lub Rzymian, czy też fantastyczne Wschodu podania. Tém powabniejsze dla takich umysłów są epoki, im w grubszéj mgle wieków się ukrywają, bo fantazya może wtedy swobodniéj czy dowolniéj tworzyć, co jéj jako silne, piękne lub wzniosłe się przedstawia. Nie potrzeba natenczas ani studyów historycznych lub archeologicznych, ani zbyt ścisłego przestrzegania rzeczywistości faktów dziejowych; dość pochwycić i oddać najogólniejsze tło podaniem przekazane, ażeby zadowolnić wymagania i własnego rozumu i rozumu czytelników, czy widzów.

Temata biblijne mają tę nad wielu innemi z zaznaczonéj tu sfery wyższość, że jeżeli nie z ich szczegółami, to z kolorytem ogólnym wszyscy mniéj lub więcéj są spoufaleni, tak, że przywodząc je na pamięć, wywołuje się równocześnie wspomnienia lat dziecinnych. Korzystała z téj wyższości literatura: temata biblijne stanowiły nieraz treść i misteryów średniowiecznych i tragedyi pseudo-klasycznéj i dramatu romantycznego.

Z tym ostatnim łączy się węzłem pokrewieństwa najbliższego „obraz dramatyczny w pięciu odsłonach", napisany przez p. Juliana Łętowskiego, a świeżo w Teatrze Letnim przedstawiony. Poetyczne pojęcie życia, potęga miłości zrywająca wszelkie pęta nawet uświęcone religią, przepojenie stosunków uczuciami miłosnemi, naiwność i groza, tragika i sielanka nie tylko zestawione, ale naumyślnie przeciwstawione sobie — oto pierwiastki składające się na wytworzenie charakterów i wypadków w tym obrazie dramatycznym. Pierwiastki te, z powodu, iż się je dostrzegało w niejednym niesmacznym utworze, mogłyby niezbyt przychylnie nastroić umysł realistycznie usposobiony, gdyby ich zużytkowanie było szablonowe, gdyby twórczości i oryginalności dopatrzyć się nie było można. Na szczęście, autor „Izraela na puszczy" od metody szablonowego tworzenia trzymał się zdala, słuchał własnego serca i wyobraźni własnéj, czuł głęboko i uczucia w pięknéj, a prostéj umiał wypowiedzieć formie. Tém uczuciem prawdziwém, przenikającém całość, i tą pomysłowością, w wielu przebijającą się szczegółach, okupił pan Łętowski ważne usterki kompozycyi i zjednał sobie słuchaczów i widzów.

Pierwsza odsłona składa się jakby z dwu części: w jednéj tragiczna sytuacya, w drugiéj sielanka przerwana i zakłócona jawią się przed nami. Izraelici znajdują się na puszczy; trudy już przebyte i jeszcze grożące zniechęcają, głód i zaraza dziesiątkują ludność, jednemu umiera kochanka, drugiemu syn, trzeciemu ojciec; wielu wolałoby wrócić napowrót do znienawidzondgo Egiptu, byleby nie błąkać się w pustyni, nie wiedząc, kiedy zabłyśnie dla nich słońce osiadłego życia w „ziemi obiecanéj". Na scenie widzimy jednego z umierających, który kona z przekleństwem na ustach, złorzecząc sercom swoich współbraci. Lud jest wzburzony, zaczyna wyrzekać na swego Jehowę, gotów podnieść bunt otwarty przeciwko przywódcom, przeciwko prawodawcy swemu, Mojżeszowi. Wprawdzie trwożliwsi, słysząc potężny a groźny głos Mojżesza, skłaniają się do ucieczki, ale wśród ogółu Izraelitów tyle się już nagromadziło jątrzących żywiołów, że niektórzy postanawiają wypowiedzieć wprost swoję niechęć i wstręt do dalszego pozostawania pod opieką Jehowy. Mojżesz kochający swój naród głęboko, rozrzewniający się w gronie zaufanych nad jego dolą, występuje przecież groźnie wobec szemrzących, a wystawiwszy potęgę Jehowy, karzącego okropnie za łączenie się z Moabitkami i składanie czci bogom cudzym, gromi ten lud o twardym karku, najbutniejszego jednym zamachem przygniata do ziemi i wzywa opornych do błagania Jehowy o litość. Jeszcze echa namiętnych skarg nie przebrzmiały, a już głowy skarżących się, pod wpływem słów Mojżesza, pochylają się ku ziemi w pokorze.

Nawrócenie to zbyt szybkie i psychologicznie niełatwo zrozumiałe. Lud rzeczywistemi i dotykalnemi klęskami rozjątrzony, nie mógł bez jakiéjś równie dotykalnéj pobudki do Boga swego się nawrócić, choćby chwilowo tylko. Zdaje się, że w zakresie pojęć, wśród których autor nas utrzymuje, użycie surowości bezwzględnéj, np. srogiéj kary na najoporniejszego, nie raziłoby widzów, a spokornienie buntujących się uczyniłoby prawdopodobniejszém; lud wszędzie i zawsze widomych potrzebuje rzeczy, ażeby uznać potęgę i przed nią się ugiąć; abstrakcyjne rozumowania, chociażby wymowne, nie stanowią może dostatecznéj przeciwwagi dla widomych i dotkliwych nieszczęść, które go do sarkania pobudzają.

Bądź-co-bądź Mojżesz dokonał wielkiego zadania, przywiódł napowrót lud do Jehowy, a dla umocnienia go w téj wierze, wydaje surowe, okrutne prawo, iż ten, kto obcemu bogu ofiarę złoży, kto z Moabitką czy Madyanitką żyć będzie, karze śmierci uledz winien. Dla przestrzegania tego prawa naznacza młodego Fineesa, który gotów wszystko poświęcić, ażeby prawu zadość się stało.

Gdy Mojżesz prawo to ogłaszał, znajdował się wśród zgromadzenia jeden ze znakomitych przewodników ludu, książę z pokolenia

Symeonowego, Zamry, który już wtedy uczuł, że ciężar tego prawa na niego spaść może. Niedawno jeszcze wraz z przyjacielem swoim Fineesem odbywali wśród nocy księżycowych wspólne przechadzki ze swemi kochankami, dwiema książęcemi sierotami; ale teraz właśnie, w dniu wydania nowego prawa, on stroni od swéj kochanki, nie raduje się z zaszczytu, jaki spotkał jego przyjaciela, nie dzieli się z nim myślami i uczuciem, wymyka się z pośród kochającego go grona, ażeby pójść do obozu króla Madyanitów i tam w objęciach Selli Madyanitki zapomniéć o Jehowie i o nowém prawie, a co więcéj sprowadzić potajemnie kapłanów Baal-Fegora do namiotów izraelskich. Zanim jednak tam się udał, zmuszony był rozmówić się z dawniejszą kochanką, któréj na imię Noah.

Noah jest-to dziewica dojrzała, którą sieroctwo zahartowało na nieszczęścia i cierpienia, ale w któréj obudziło potrzebę uczucia głębokiego i wyłącznego. Namiętność w niéj wre, ale zmysłową jéj nie czyni. Wié o swéj piękności i o potędze swych wdzięków, umié wybornie używać téj broni, gdy o przeprowadzenie planu jakiego chodzi, ale uczuciem swém raz tylko i jednego tylko obdarzyła i wierną mu pozostaje. Czci i szanuje młodego wodza Izraelitów Jozuego, pragnęłaby zostać dla niego siostrą, lecz serca mu swego oddać nie może, bo ono do Zamrego należy. Podstępu użyć zawsze gotowa, nawet dopuścić się zabójstwa, gdy to Zamremu ma wyjść na korzyść. Podejrzywając kochanka o niewierność, śledzi jego kroki, czuwa nad nim, rzuca mu się do kolan, błaga go, ażeby nie odchodził:

Zostań, na wszystko cię zaklinam, zostań!
Powiédz, że w próżnych gubię się domysłach,
Powiédz, żem głupia, naiwna jak dziecko,
Żem ja szalona, żem zła, powiédz, co chcesz,
Ukarz mię zresztą — nie daj mi się widzieć
Przez dwa, przez siedem nawet dni za karę;
Ale mi z serca wydrzyj tę okrutną
Podejrzeń żmiję...

Napróżno!... Zamry poszedł. Odtąd rozpoczyna Noah swoję nad nim opiekę i swoję zemstę. Przed nikim nie wyda, dokąd poszedł Zamry, ale sama osnuje spisek, który miał o śmierć przyprawić znienawidzoną rywalkę. Nadchodzi ojciec Zamrego, poszukując syna; ona go uspokaja kłamstwem, że Zamry poszedł dla niéj po różę, bez któréj ona zasnąć nie może... Następnie (w drugiéj odsłonie) przebrawszy się i wziąwszy kochającego się w niéj sługę, Namuela, ku pomocy, idzie do obozu Madyanitów i namawia króla, aby korzystał ze sposobności i téj jeszcze nocy kapłanów swoich wysłał do obozu izraelskiego, a za przewodnika daje swego sługę.

Tu spotykamy się z dość rażącém nieprawdopodobieństwem. Zamry, któremu król Madyanitów ani słowa nie powiedział o owém mniemaném poselstwie od stronników madyanickich w obozie izraelskim, daje się prowadzić nieznanemu człowiekowi i nie okazuje żadnéj nieufności. Czy on sam nie znał drogi, czyż potrzebował wskazówek? Jedno tylko mogłoby usprawiedliwić powierzenie się kierownictwu Namuela, tj. gdyby Zamremu powiedziano, iż przedsięwzięte zostały środki ostrożności ze strony Fineesa czy Jozuego. Ale w takim razie czyżby ślepo zaufał słowom, czyżby nie wybadał Namuela, czyżby nie powziął był podejrzeń? Tu, zdaniem mojém, dramat potrzebuje przeróbki, jeżeli motywowanie postępków ma być należycie przeprowadzone.

Odsłona trzecia jest słaba. Rola Jozuego, jako odrzuconego, a roztkliwionego kochanka, który błąka się szukając cienia Noahy, a potém szarpiącego i trzymającego ją, ażeby nie dopuścić przeczuwanéj sceny krwawéj w zetknięciu się z Zamrym, który prowadził Sellę i kapłanów Baal-Fegora, nie daje estetycznego zadowolnienia, a sama scena niedoszłego morderstwa Selli, potrzebna dla dalszego ciągu akcyi, mogła była krócéj i z większym efektem się odbyć.

Wynagradza braki trzeciéj odsłona czwarta. Podejrzenie o stosunkach Zamrego z Madyanitami rozszerza się wśród Izraelitów. Finees jako sędzia przedsiębierze poszukiwania, wysyła lewitów na zwiady. Noah strzeże kochanka, pragnąc odwrócić grożące mu niebezpieczeństwo. Ponieważ nie udało się jéj raz zabić Selli, porzuca ten zamiar, a natomiast pragnie ocalić Zamrego... ale ocalić dla siebie. Prześliczna jest scena, w któréj przypomnieniem dawnej miłości usiłuje w sercu Zamrego obudzić żywsze drgnienia. Najprzód maluje cudnemi barwami swoje dla niego uczucia, kiedy-to „ptaszki drobne, które z piosenkami przed namiot przychodziły, uczyła, by zawsze śpiewały tylko jedno imię: Zamry! kiedy codzień stojąc nad strumieniem dla zaczerpania wody, słyszała jak fale srebrzyste szeptały drogie imię: Zamry!“ Następnie wychwala kochanka:

> Piękny jak słońce a wdzięczny jak róże,
> Rosnące obok posępnych cyprysów
> Lub smutnych mirtów... a słodki jak palma,
> Co dźwiga krocie soczystych daktyli
> Na swych gałązkach... Oczy zaś miał takie,
> Że gwiazdy na nie patrzyły z zazdrością...
> Ach! ale usta!... Te usta wymowne,
> Co to jeśli się ozwały, to miodem,
> A gdy szeptały do mojego ucha,
> To niby wietrzyk łagodny, miluchny,
> A gdy sięgały po me pocałunki,
> Wanilowego krzewu wonność czułam.

A potém jeszcze wystawia okropny stan tego, kto zdradzony został. Zdradzonemu jakaś dziwna tęskność oplata serce swym cierniowym wiankiem; dla niego świat cały kamienieje, słońce nie świeci, kwiaty woni swéj nie dają, ptaki z piosnką milkną, a gwiazdy kryją się blade i drżące w błękicie. Dla zdradzonego woda w strumieniu jest jak łzy słona, cierpka i paląca. Dla zdradzonego nie ma na świecie nic oprócz nieszczęścia, nic tylko smutek, osty i kamienie...

W końcu przywodzi mu na pamięć starego ojca, którego kocha, dla którego śmiercią będzie wiadomość, że Zamry sprzeniewierzył się Jehowie...

I możeby czarem swéj postaci, czarem wspomnień i słów odzyskała serce Zamrego, ale wtedy właśnie, wyprowadzona przez arcykapłana Baal-Fegora pojawia się Sella—i czar pryska.

Bo Sella nie omroczoną smutkiem twarzą, nie wyrzutami, zawsze bolesnemi, nie przypomnieniem minionych zachwytów, mającém zapach zwiędłych kwiatów, ale uśmiechem wesołym, pocałunkiem ognistym, zapomnieniem o wszystkiém dla użycia chwili obecnéj pociągała do siebie Zamrego. Ona nie była groźną jak mścicielka z mieczem w ręku, nie była silną i wielką, ale jak powój lub bluszcz owijała się około ramienia Zamrego, dopóki w tém ramieniu była siła; ona z rozkoszą poiła się pocałunkami ust jego, dopóki te usta były rumiane. Nie znająca życia, nie troszcząca się o jutro, rozpływała się w uścisku rozkoszy, który wszystkiém był dla niéj. Serce ma dobre, nad niedolą się lituje, rywalki swéj nie nienawidzi, śpieszy jéj z pomocą, gdy ta omdlewa, ale hartu nie ma, drży wobec prawdziwego nieszczęścia, błaga o życie zagrożone, bo jeszcze tak młoda, lęka się trupa i gdy widzi kochanka swego skrwawionym i konającym, ucieka od niego trwożna i mimo jego błagalnych wezwań nie znajduje siły, by się do niego zbliżyć. Ona stworzona do pocałunków, ma wstręt do krwi rozlanéj; ona lubi krew tylko pulsującą w żyłach. W sielance życia rozwija się jak róża, w tragedyi jego zwija się jak mimoza.

Inaczéj Noah. Znajduje się ona w istnie tragiczném położeniu i do téj sytuacyi w zupełności dorasta. Po owéj scenie, w któréj mogła już była odzyskać serce Zamrego, następuje inna, w któréj podstęp jéj się wyjawia. Arcykapłan Baal-Fegora poznaje w niéj tego posłańca, co przybywszy do namiotu króla madyanickiego, przygotował zasadzkę na Zamrego i Sellę. Noah, zapytana przez Zamrego, nie może temu zaprzeczyć i ściąga na siebie jego wzgardę. Odtąd nie o odzyskanie kochanka jéj chodzić może, ale jedynie i wyłącznie o uchronienie go od śmierci, o przekonanie go, że jeżeli dopuściła się podstępu, to nie na to, ażeby go życia pozbawić. Wtedy staje się ta kobiéta stróżem namiotu Zamrego. Nie może wprawdzie

powstrzymać ojca jego, ażeby tam do wnętrza nie zajrzał, a zajrzawszy z rozpaczą w sercu nie odszedł i nie szukał zgonu w płomieniach, ale nie dopuszcza tam lewity szpiegującego postępki podejrzanego księcia, a używszy potęgi swych powabów dla wydostania od niego noża, zabija dyszącego żądzą rozkoszy służebnika Jehowy. A gdy i to morderstwo i pozyskanie dla swéj sprawy Jozuego nic nie pomogło i gdy przebiegłość Fineesa wyśledziła przyczynę zmiany usposobienia w Zamrym; wtedy ona robi poświęcenie straszne: wypiera się swéj dla ukochanego miłości, wyznaje swą mniemaną miłość do Jozuego, byleby podejrzenia Fineesa usunąć.

I to napróżno. Żarliwość lewitów wykryła w namiocie Zamrego Madyanitkę i kapłanów Baal-Fegora; Finees musi spełnić wyrok prawa i skazać winnych na ukamienowanie. A gdy Zamry szydzi z tego wyroku i odwołuje się do swych popleczników, otaczających namiot, w którym ich wodza na śmierć skazano, Finees sam przebija buntownika. Noah do ostatniéj chwili porusza wszystkie sprężyny celem oswobodzenia kochanka, nie zważa na to, że go kapłani potępili, staje przy nim, a po jego zgonie chwyta miecz i nie dozwala nikomu dotknąć się trupa, wyzywa Sellę, by ją zabiła, a gdy ta strwożona, lęka się nawet spojrzéć na żelazo, sama sobie śmierć zadaje.

Wtedy, po raz drugi w dramacie staje przed ludem Mojżesz, karci go za upór, ogłasza wszechpotęgę Jehowy, mającą się wznieść nad stosami trupów, i zagrzewa do walki z wrogami. Młody wódz izraelski Jozue, stłumiwszy w sercu boleść indywidualną, z okrzykiem: śmierć Madyanitom opuszcza scenę.

Taka jest treść „obrazu dramatycznego.“ Rozważany jako rzecz osnuta na tle stosunków sercowych jest on dziełem pięknem i w kilku zaledwie ustępach potrzebowałby może albo sprostowania albo dokładniejszego obrobienia. Na tę stronę kładłem też nacisk w rozbiorze obecnym. Ale obok niéj jest druga, ogólniejsza, dotycząca całego ludu izraelskiego, nakłanianego do wyznawania jednego boga Jehowy, a zostającego w stosunkach wrogich z pokrewnemi sobie plemionami, czczącemi bogów innych. Autor nigdzie nie wspomina o bliskiém powinowactwie Madyanitów i Izraelitów, o wspólnych ich tradycyach, przyzwyczajeniach i kulcie zapewne, a przedstawiając motywy odstępowania Izraela od czci Jehowy, zaznacza tylko albo znękanie klęskami albo skłonność do niewiast madyanickich. Ażeby zaś odebrać moc wszelkim poważniejszym powodom, robi arcykapłana Baal-Fegora rodzajem Kalchasa z Pięknéj Heleny, któremu idzie tylko o własne wygody i zyski. Zdaje się, że dzisiejszy dramaturg nie ma potrzeby być rzecznikiem kultu Jehowy a wrogiem kultu Baala; a choćby nawet z jakichkolwiek względów usposobienie

takie w nim istniało, to dla saméj sztuki lepszą byłoby rzeczą, gdyby kapłani przeciwnego obozu zachowali godność powołaniu swemu właściwą; pokonać równego pod względem sił nieprzyjaciela jest zaszczytniéj aniżeli zwyciężyć słabego nikczemnika. W takiém pojęciu jaśniéj téż, wyraźniej zarysowałaby się dusza Zamrego, który w obecnéj kompozycyi jest zbiorem różnorodnych uczuć, nie doprowadzonym do jedności psychicznéj. Przebija się w nim i serce dobre, kochające ojca, i dusza szlachetna, w ostatniéj jeszcze chwili myśląca o dobru ludu, a obok tego zawistna ambicya, zazdroszcząca zaszczytu przyjacielowi i niewyraźna, niezdecydowana chęć odegrania roli zbawcy narodu, i słabość charakteru zapominająca o wszystkiém dla pocałunku i jakaś demoniczna, szydercza skłonność do najgrawania się, trochę na sposób nowożytny, z religii i prawa. On sam nie dochodzi nigdy do świadomości swéj roli; król Madyanitów musi mu przypominać, że może się stać zbawcą swego ludu. Gdyby autor uczynił z niego przedstawiciela świadoméj siebie opozycyi względem Mojżesza, wówczas te niepogodzone w jego sercu uczucia zlałyby się w jedno: Zamry sam w swojém sumieniu nie potrzebowałby uważać się za zdrajcę, ale za uprawnionego rzecznika interesów narodowych, pojętych inaczéj aniżeli w kole Mojżeszowém. Tym sposobem stałby się Zamry nietylko dramatycznym w zakresie indywidualnym, ale i ogólnym.

Wystawienia na scenie nie podobna poczytywać za zupełnie zadawalniające. Pustynia wyglądała trochę jak zarośla na wzgórzach, całość gry artystów nie była harmonijna; niektóre głosy nie dostroiły się do dykcyi dramatycznéj, inne wkraczały czasami w sferę melodramatyczności. Pierwszorzędna rola Noahy pojęta była przez pannę Deryng bardzo dobrze, ale w wykonaniu, mianowicie w dykcyi zauważyliśmy często fałszywą intonacyą, przewlekanie niektórych samogłosek wcale nieestetyczne; w ruchach zanadto było linij wężykowatych. P. Leszczyński jako Zamry miał niewątpliwie rolę bardzo trudną, bo niejednolitą; tém téż chcielibyśmy sobie tłómaczyć nierówność gry jego, ale niepodobieństwem to się staje, gdy krzykliwość głosu w wielu miejscach zaznaczyć musimy i gdy kroki zbyt zamaszyste na pamięć przyjdą. Sella i Melcha najczęściéj niedostrojeniem tonu psuły efekt.

Piotr Chmielowski.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

DZIEŃ ZADUSZNY.

NOWELLA.

Porzecze (w Poznańskiém) *2 Listopada 1880 r.*

Przez całe moje życie, długie i już dzisiaj kresu dobiegające, pieściłem zawsze w duszy méj jedno marzenie. Chciałbym raz jeden przepędzić kilka przykrych miesięcy jesieni lub zimy, gdzieś, daleko na południu, pod jasném włoskiém niebem.

I proszę państwa—dlaczegóżbym nie miał oddawać się takiemu marzeniu? Skoro tylko biedny nauczyciel w Porzeczu zacznie raz fantazyować i puści wodze wyobraźni, to rozmiary marzeń nie stanowią mu żadnéj różnicy. Jego nadzieje przyjmują kształty olbrzymie, niezmierzone, chimeryczne!

Na loteryi nie grywam, i gdybym nawet był kiedy wiedzionym na pokuszenie, to mam tyle powodów do oparcia się pokusie, że tu nie może być żadnéj niespodzianki. A zresztą, gdybym i grywał, to trzebaby było wyjątkowego szczęścia, żeby wielki los wpadł do mojéj kabzy. A po za tém nie widzę żadnéj innéj możliwości do przeniesienia się na cztery lub pięć miesięcy w okolice Wezuwiusza.

Musiałem się więc przez całe życie zadowalać czytaniem opisów tego boskiego kraju, i mocno się ucieszyłem, gdy na rycinie mogłem zobaczyć wulkan ozdobiony u góry pióropuszem z dymu.

Lecz w dniu *tym*, gdyby mi zaofiarowano do pobytu krainę oświetloną wszystkiemi blaskami zwrotnika, tobym odmówił zamiany na nasze stare, dobre niebo poznańskie...

A jednak, ten dzień drugiego listopada był szczególnie przykrym. Całe, pokrywające ziemię, powietrze było jedną ciężką, ołowianą, gęstą, nieruchomą chmurą i to tak zniżoną, że dojrzéć nie-

można było wierzchołków topoli, wyprostowanych szeregiem wzdłuż drogi wiodącéj do Rzeszówka. Mróz wczesny już się wgryzał w kielichy ostatnich kwiatków jesiennych. Resztki liści na drzewach, zaskoczone zimnem, drżały ze strachu. Pierwsze to powiewy zimy wróżące ostrą porę roku. Jednem słowem zmrok ponury, rozpoczęty przed zorzą poranną i obiecujący przetrwać dzień cały, aż do nocy. Skoro tylko przyroda zacznie raz ukazywać swe ciemne strony, to już nic nie zdoła jéj dorównać co do głębokości smutków, jakie roztacza.

Taka pogoda, niegościnna na pierwszy rzut oka, doskonale nadawała się w tym wypadku do okoliczności, był to bowiem dzień umarłych. Mówię to zupełnie szczerze, bo chociaż mam tak wielki pociąg do krajów południowych, to przecież, myśląc o nich, zawsze, wyobrażałem sobie ich czary złączone z przyjemnościami życia, nie zaś z jego troskami.

Zaręczyny, ślub, chrzest, uroczystości rodzinne, obchodzone pod jasnem niebem, wobec pogodnego morza, roztaczającego się po za zielonem wybrzeżem, z muzyką na przedzie, ze śpiewami chóralnemi; młode dziewczęta ustrojone biało lub różowo, chłopcy w jasnych ubraniach, w kapeluszach słomianych przechylonych nad uchem,—o! to wspaniałe! To obraz skończony, barwy dobrane! Wszystko tam pragnie życia i nie odmawia udziału w téj zabawie upajającéj.

Lecz śmierć ze wszystkiemi swemi przyborami tworzy akord fałszywy w takiem otoczeniu. Przez miłosierdzie dla umierających, przez litość dla tych co pozostają, ostatnia godzina życia powinnaby wybijać wtedy, gdy słońca niema na niebie, i w téj porze roku, gdy przyroda zabiera się do snu zimowego. Daleko mniéj się cierpi, widząc, że żałoba w około łączy się z goryczą naszych własnych boleści. A może też właśnie z téj przyczyny ludzie częściéj umierają w nocy, niż we dnie?

Według nowych zwyczajów, nieistniejących za moich lat młodych, ubierają dzisiaj trumnę w kwiaty i wieńce. Łączą przepych wiosenny: róże, stokrotki, fijołki, lilie z obchodem bolesnym i rozkładem ciała.

Sprzeczność! Ironia!

Za moich czasów używano tylko nieśmiertelników. To są prawdziwe kwiaty grobów; rzekłbyś, że się rodzą nieżywemi, a swą suchością i nieczułością opierają się zniszczeniu. Trwać one mogą przynajmniéj tak długo, jak smutek, który kierował palcami splatającemi je w wieniec! Lecz inne kwiatki! tak delikatne, tak przezroczyste, tak wątłe! Czyżby nie lepiéj było dać im umrzéć w bujnych

warkoczach dziewczyny, albo też pozwolić im na wydanie ostatnich woni przy dziewiczéj piersi?

Zatopiony w takich myślach, kończyłem splatanie wianka z nieśmiertelników. Jeszcze jedno przewiązanie nitką, przypięcie spinki z czarnych paciorek, a dzieło moje skończone; rzecz dziwna, jak wielkiéj nabyłem wprawy w robieniu tego rodzaju oznak żałobnych!

A przecież zajmowałem się tém, jeden tylko raz do roku i byłto dopiéro dwunasty wianek; droga moja żona Zofia umarła dwanaście lat temu.

Gdy już robotę skończyłem, przekonałem się, że nie mogłaby trwać dłużéj. Oczy zaczęły mi się pokrywać mgłą, podnoszącą się z głębi serca. Włożyłem płaszcz na plecy, nacisnąłem czapkę, zawiesiłem wianek na lewéj ręce i oparty na lasce powędrowałem ku cmentarzowi w Rzeszówku.

O! to życie! Gdyby wiedziano co z sobą przynosi i gdyby przyjęcie jego zależało od woli, to niejeden z ludzi wybrałby sobie co innego. Ja sam nie byłbym z nich ostatnim.

Dzieci nie mam. Jestem wdowcem, a raczéj sierotą po méj żonie. I pocóż ciągnąć mam jeszcze za sobą kulę u nogi w wędrówce po ziemi? Znajdą się młodsi odemnie do uczenia dzieci czytania, kaligrafii, rachunków. Możeby nawet lepiéj zadanie swe spełniali, starając się wpajać w młode umysły rzeczy nowe, gdy tymczasem ja, z wielkim trudem, wpajam w nie pamięć o rzeczach, niestety już chyba przebrzmiałych.

Mgła powoli się podnosi. Tworzy ona drugą niższą powłokę chmur. Obłoki, gnane wiatrem ostrym i przejmującym, uderzają się, kłębią i gromadzą w wielkie masy. Niebo staje się coraz bardziéj ponurém i burzliwém. Słońce istnieje tylko we wspomnieniu; gdzieś, daleko w nieznanych krajach, świeci może jedynie dla siebie samego,—byle tylko świecić!

Bodajbym tylko czego w domu nie zapomniał!

Nie! Drzwi zamknięte na dwa spusty.

A moja fajka? a mój worek z tytoniem! Ba! czuję je w kieszeni.

Gdy będę wychodził z cmentarza, pod rękę ze starym przyjacielem Tomaszem, nie potrafię się obejść bez tego dodatku. Gdy nam słów braknie do rozmowy, to przerwy zapełniają się puszczaniem na wiatr fajczanego dymu. O! wierny mój przyjaciel, będzie na posterunku. To mój towarzysz przy grobach. Żony nasze spoczywają obok siebie. Sąsiadowały z sobą za życia, trwa to daléj w wieczném milczeniu.

. . . .

Lecz otóż i wrota cmentarne. Zawiasy zardzewiałe i skrzypiące, jak to zawsze bywa. Ciężko wrota otworzyć, ale jeszcze ciężéj, gdy się je przekroczy.

Wchodząc w to smutne ogrodzenie, doznaję za każdym razem ściśnienia serca. Opanowuje mię boleść taka, jak gdym pierwszy raz wchodził w zaduszki na cmentarz, przed laty dwunastu.

Tomasz już mnie wyprzedził. Pomimo flegmatycznego usposobienia, ten człowiek jest zadziwiająco czynnym. W mgnieniu oka załatwił się ze swą robotą. Już niema chwastów niepotrzebnych, które wybujały na mogile. Rowek, po którym spływa woda deszczowa, jest czyściutki. Krzyż żelazny wygląda, jakby go przed chwilą z odlewni przyniesiono. Wianek ze złotych nieśmiertelników otacza ramiona krzyża.

Tomasz zdjął czapkę, ukląkł i modli się.

Modli się? A może błąkają się w jego głowie myśli nieokreślone, dawne wspomnienia? Kto to wie? Usta zupełnie nieruchome.

Sędziwa głowa, zwieszona na pierś, zestarzała się bardzo od roku. Zdawałoby się, że jego oczy, przykryte krzaczystemi, siwemi brwiami, starają się usilnie przeniknąć przez ziemię aż do wieka trumny kryjącéj zwłoki żony. Duża łza, która się wymknęła z pod powieki, zatrzymała się przez chwilę na zmarszczce policzka i nareszcie spłynęła na wąsy. Pewnie drugie oko, wydało drugą łzę; widzę starego leśnika tylko z boku.

O! Ten się nigdy nie pocieszy. Mogę za to zaręczyć.

Teraz na mnie koléj do pracy.

Po chwilce oba groby nie mają sobie nic do pozazdroszczenia.

Tomasz czuje, że jestem tuż obok niego, lecz nie popatrzył nawet na mnie. Niedługo to nastąpi.

Nie śmiałbym przerwać nici jego rozmyślań. Zresztą marzę o czém innem. Biedna moja Zofia!

Rysy jéj odtwarzają się w méj pamięci. Widzę ją młodém dziewczęciem, potém w wieku dojrzałym, potém przygnębioną laty i schorzałą. Te obrazy tak szybko przelatują, tak się plączą w myśli, że gdybym chciał oddać na płótnie jéj postać, to stworzyłbym jakieś widziadło senne, a nie istotę rzeczywistą.

Jedna rzecz staje mi żywo w pamięci: to jéj głos. Potrzebuję tylko przymknąć powieki, zapędzić się myślą w przeszłość, a wnet słyszę głos Zofii. Śmiała się dźwięcznie i młodzieńczo aż do końca swego życia; szeptała tak jakoś dziwnie do mego ucha; gdérała w sposób sobie właściwy, gdym niedostatecznie otulony wychodził

na zimno, albo w skwarze słonecznym szedł bez kapelusza. A w jakąż to powagę dźwięczną umiała ubrać swe słowa, gdy rozprawiając z sąsiadkami, aby je stanowczo przekonać, używała własnych moich wyrazów wypowiedzianych dnia poprzedniego. Któżby mógł oprzéć się powadze zdań jéj męża.

Zdarzało się, że dzieci doprowadzały mię w szkole do wściekłości. Zamknąłem więc jedno lub drugie do karceru. Gdym wrócił do domu, Zofia poznawała odrazu, ze zmarszczonych brwi moich, że była w szkole burza i że winowajca siedział pod kluczem. Chodziła wtedy koło mnie, przestawiała krzesła, żeby zwrócić na siebie uwagę, potém opierając się na moim fotelu, mówiła:

— Przebacz mu, raz ostatni, tylko ten raz jeden! Już więcéj tego nie zrobi. Pozwól, niech go sama zawstydzę! Już będzie się miał z pyszna, zobaczysz! No! bądź dobrym! Nie gniewaj się!

I czułem, że pod jéj wejrzeniem, przy takich słowach serce mi się zaczynało roztapiać. Za całą odpowiedź oddawałem jéj klucze, z miną groźną na pozór.

Ona szybko biegła do klatki i wypuszczała na wolność ptaszę-psotnika, które odlatywało trzepocząc skrzydłami.

Namiętnie lubiła dziatwę, nawet zupełnie sobie obcą. O! jakby też uwielbiała własne dzieci! Los jéj odmówił téj pociechy.

Biedna istota, nie zaznała wielkich radości na téj ziemi! Będzie ona jéj lekką, bo przykrywa wspomnienia zalet najlepszych, prawdziwie anielskich.

Miała nieboszczka świętą rezygnacyą, słodycz, poświęcenie. szukała swego szczęścia w uszczęśliwieniu innych.

Zakryłem twarz rękami i ścisnąłem zęby, aby stłumić łkanie duszące mię za gardło. Wstydziłem się trochę Tomasza i nie chciałem się wydać na zewnątrz z moim smutkiem.

Leśnik był już na nogach. Przywitał się ze mną i podał mi dłoń serdeczną.

Ścieżki między grobami są tak wązkie, że szliśmy przez cmentarz jeden za drugim.

— Mój drogi, sądzę, że teraz pójdziesz do mnie coś przekąsić; nie odmówisz mi tego, chociaż to u ciebie we zwyczaju.

— Nie będziemy się z sobą rachowali. Dopóki jeszcze stoimy na nogach, maszerować nam razem i to w ściśniętych szeregach.

— Dzisiaj szczególnie czuję się jakoś nie swój—odparł leśnik. W ciągu roku, to jeszcze potrafię otrząsnąć z siebie troskę, ale w dzień zaduszny, dom mój wydaje mi się straszliwie pustym. Czuję

przygnębienie na myśl o tém, że samotny siądę do stołu; odechciwa mi się i jeść i pić. No! żywiéj! przyśpieszmy kroku! Wcale nie ciepło na dworze.

— Wygląda na świecie tak, jakby się już zima na dobre rozgościła, a przecież według kalendarza mamy jeszcze kilka długich tygodni jesiennych.

— Kalendarze nie w niebie się drukują. Robią je w Rzeszówku. Nie daje to wcale prawa do nieomylności.

— Za moich czasów, przepowiednie kalendarzowe były trafniejsze. Teraz paplają na chybił-trafił. Coś się popsuło albo u góry, albo tu na ziemi.

— Wszystko się rozstraja, mamy przykład na sobie. A jednak zdaje mi się, że mimo ostrego wiatru, pogoda zrobi nam jąkąś niespodziankę.

— Jąką?

— Popatrz na te oto tam chmury; biegną ku północy, jakby szatan je poganiał. Lecz na północy miejsce już jest zajęte. Patrz, tam, za dzwonnicą. Wiszą tam obłoki gęste i nieruchome. Skończy się na spotkaniu i walce.

— A więc burza?

— Z ulewą na wpół śnieżną. Jaki z ciebie niedołęga. Czemu nie wziąłeś parasola?

— A ty?

— I ja także. Śpieszmy!

Tym razem leśnik przewidział na kilka godzin naprzód. Dobraliśmy się na sucho do domu i wkrótce siedzieliśmy już za stołem i nie obchodziło nas nic, co się działo na dworze.

Mięso było wczoraj jeszcze przyrządzone, ale nikt tak, jak Tomasz, nie umiał go przyprawić. Miał pewnie jakiś przepis familijny. Cébula grała w tém ważną rolę. Czuło się ją po smaku, nie widząc wcale. Jest wielu smakoszów, co wolą czuć smak téj przyprawy, nie drażniąc oczu jéj widokiem. Tomasz do nich należał; spostrzeżenie to zrobiłem nie po raz pierwszy w życiu.

Wypiliśmy jednę buteleczkę i stała próżna przed nami z szyjką wyciągniętą. Leśnik postawił świeżą. Udałem, że nie widzę, aby godniéj oddać hołd gościnności.

Potém przyszła koléj na kartofle ze śledziem i różnemi dodatkami. Był-to koniec serdecznie zastawionéj uczty. Dla mnie mięso by wystarczyło. Ale w towarzystwie, człek chętnie zjada po nad zwykłą, niezbędną miarę. Ten szczególnie rodzaj przyprawienia kartofli wywierał na mnie zawsze pociąg nie-do-przezwyciężenia. Za lat dziecinnych, młodzieńczych, starych, zawsze był dla mnie

przynętą, na którą ślinka ciekła. Nie zostało też nic na talerzu; wystarczyłoby może na ucztę dla muchy tylko.

Trzeba było nareszcie odpocząć i zaczerpnąć pełnemi piersiami powietrza. Po tak sumiennéj pracy, mieliśmy prawo do odpoczynku.

— Warto spocząć—rzekłem, rozparłszy się na krześle.

— Kufelek piwa jest do tego niezbędny—zauważył leśnik, zbierając talerze i zmiatając ze stołu okruchy chléba jedném silném podmuchem.

Dobra to myśl i w najwyższym stopniu higieniczna. Piwo znakomicie się przyczynia do trawienia i po obfitéj strawie można bezkarnie, ba! nawet zdrowo połknąć dobrą jego porcyą. Zresztą bez szklenicy, źle się fajka pali. Jedna suszy gardło, druga je odwilża, a oboje razem przyczyniają się do zdrowia i sprowadzają zbawienną równowagę.

Tomasz napełnił szklanki i stuknąwszy, rzekł:

— Łyknij tęgo; niech nie będzie można powiedziéć, iż trzeba cię błagać o to byś pił, tak samo jak żebyś jadł.

— No, wiesz co, téj wymówki nie spodziewałem się. Nie jadłem dzisiaj, lecz pożerałem.

— Et! gryzłeś troszeczkę!

— Szkoda, że nie było świadka przy stole. Widząc moje chwalebne czyny, dałby mi świadectwo ze stopniem celującym—za apetyt oczywiście. Że jednak smakując w potrawach, miarkowałem jak mogłem moje żądze, to rzecz pewna. Cóż począć? Wstrzemięźliwość weszła mi w przyzwyczajenie.

— Nie należy tego posuwać za daleko.

— Zawsze mi z tém było dobrze. Za młodu pozwalałem sobie czasami i zapędzałem się zbyt daleko, lecz od ożenienia się nastąpiła zmiana. Żona doprowadziła do porządku i usunęła wszelkie wybryki. Tak uregulowała nasze życie codzienne, że szło jak zegar. Zachowałem się tak dobrze do sześćdziesiątki, dzięki jéj staraniom i ciągłéj opiece. Trzymam się nie źle, na te lata.

Leśnik po raz czwarty zapalał fajkę. Nie wiem jak się brał do tego, ale co chwila gasła. Nie przeszkadzało to jednak bynajmniéj do cmokania. Ciągnął na zimno. Potém, zapaliwszy, wyrzucił z ust gęsty obłok i rzekł:

— Z moją nieboszczką było inaczéj. Namawiała mię ciągle do jedzenia. Gorzéj jeszcze. Gdy cokolwiek nie domagałem—a zdarzało się to niezbyt często—żona oskarżała siebie sama i twierdziła, że to z powodu niezrobienia takiéj a takiéj potrawy. Była przekonaną, że gdyby była ją przyrządziła, to cieszyłbym się najlepszém zdrowiem.

Cała trudność leżała w tém, żeby odgadnąć, co to za potrawa, i żeby się co do tego nie omylić. Trzeba było widzieć, jak wtedy łamała sobie głowę. Co za badania, jakie pomysły! Widzisz—mawiała—znów ci się przyplątał reumatyzm do nóg! To moja wina! Gdybym ci wczoraj dała dobry talerz duszonéj kapusty, nie przyszłoby do tego. Ale jeszcze nie wszystko stracone. Poślemy do dyaska ten ból przeklęty. I zakasawszy rękawy, brała się ta dzielna gospodyni do roboty. Za chwil kilka rozchodził się po pokoju zapach doskonałego lekarstwa.

— I boleści znikały?

— Jakby cudem. Innym razem, gdy odwilż była na dworze, szczególniéj po długiéj włóczędze po lesie wracałem do dom zmachany i ledwie żyw. Odzienie miałem przemokłe, głowę w ogniu. Gniotło coś w piersiach. I cóż ona na to! Żwawo szła do roboty i wnet dymiła się na stole kiełbasa a potém półmisek, co mówię, cała góra klusek gorących.

— I chorobę djabli brali?

— W jednéj chwili. Na ból głowy i rozstrój żołądka nie znała nic skuteczniejszego, jak naleśniki z sérem i to zadane w porządnéj dozie.

— I skutek był dobry?

— Doskonały. Sztukę swą posunęła tak daleko, że mogła usunąć najgorszy ból zębów, najobrzydliwszą fluksyą, rozumiesz, fluksyą po obu stronach twarzy. Używała najprostszego środka pod słońcem.

— Jakiego?

— Przyrządzała na swój sposób cielęcinę. Podsmażała ją na patelni. Szkoda, że tajemnicę tego środka zabrała z sobą do grobu.

— Wielka szkoda!

— Dodawała, o ile sobie przypominam, trochę wędliny, majeranku, bobkowego liścia, korzeni i ziół rozmaitych. Nazajutrz człek wstawał zdrów, świeży, w dobrym humorze, bez opuchliny na twarzy i z zębami jak u krokodyla.

— To dziwne. Moja Zofia zbierała także wielkie mnóstwo ziół, ale to nie dla kuchni. Widziałeś na ścianach całe pęki lawendy, mięty, ruty, bożego drzewka, słowem roślin wszelakich. Zbierała wszystkie, byle dobrze pachły.

— I w jakim celu?

— Kładła wiązki między bieliznę. O! bielizna była jéj główną namiętnością. Gdy nadszedł dzień prania, nie chciała znać nikogo. I źle było z niebem, gdy dnia tego zachciało mu się razić ziemię deszczem. Wymyślała wtedy tak, że proboszcz gorszył się tem nie-

słychanie—mówiąc między nami, lepiéj-by zrobił, niezwracając wcale uwagi na te niewinne wybryki.

— Ba! każdy pilnuje swego rzemiosła.

— Ale gdy już porozwieszała na strychu prześcieradła, koszule i ręczniki, to wesołość już jéj nie opuszczała i uśmiech z ust nie schodził. Z jakąż to uroczystą powagą maglowała, prasowała i układała swoje skarby. Wszędzie jéj było pełno. Usiąść ani sposób. Lecz największą przyjemnością było układanie w komodzie i szafach. Każda rzecz na swojém miejscu, w swoim zakątku, aby ją z zamkniętemi oczyma odnaleść było można. A jakaż to piękna była symetrya w układzie! Większa kupka bielizny w głębi; inna niższa na przodzie. Sztywne, szlarkami obszyte, czepeczki wieńczyły te stosy. W kątach starannie pozwijane pończochy, a po bokach serwetki z frędzelkami. Miała wiele bardzo bielizny; należało to do jéj wyprawy. A kiedy się otworzyło drzwi szafy, cóż to za przyjemny zapach rozchodził się po pokoju! Pomyśl tylko: wszystkie te lawendy i mięty!

— Niemasz nic nad porządek w gospodarstwie—odrzekł leśnik, stawiając trzeci dzbanek piwa na stole.

— Ba! Pod tym względem długo jeszcze trzeba będzie czekać na tym świecie, na kobiétkę taką jak Zofia. Gdy spostrzegła na kimkolwiek brudną bieliznę, to była tak zmartwioną, jakby ją na sobie miała. Nieraz dzieci ze szkółki wprawiały ją po prostu w rozpacz. Pewnego dnia—nigdy tego nie zapomnę—zwróciła uwagę na dwóch bębnów, których koszule, nie ma co gadać, wyglądały tak, jakby niemi kilka kominów wytarto. W téj chwili chwyta ich, panie dobrodzieju, za kołnierz, wpycha do kuchni, ściąga ubranie, zdejmuje bieliznę, wkłada napowrót zwierzchnię odzież, zapina ją szczelnie i od syła w takim stanie do szkoły. Gdy lekcye się skończyły, czekała na dzieci przy wyjściu, zabrała napowrót do kuchni i bębny pobiegły do rodziców pokazać koszule śnieżnéj białości. Nie gniewali się o to i chętnie powtórzyliby niejednokrotnie taką próbę. Nie potrzebuję dodawać, że nauczka ta na nic się nie zdała.

— Ho, ho! Jeszcze mogliby uważać to za obrazę, powiadając że takie sprawy należą tylko do rodzonéj matki. Przypomina mi to moją nieboszczkę, która przez długi czas miała manią leczenia wszystkich włóczęgów z okolicy. Umiała wybornie leczyć rany, wrzody i pod tym względem walczyła o lepsze z felczerem z Rzeszówka. Pewnego razu Jakób, kamieniarz, ten gruby—przecież go znasz—ten co ma taki nos czerwony, zwichnął sobie nogę tuż koło naszego domu. Żona moja wyciąga natychmiast z szafki jakąś maść, oddawna na wszelki przypadek przygotowaną. Naciera Jakóbowi nogę w kostce, smaruje stopę, zawija w płócienne bandaże. Potém każe mu zmaczać ban-

daże wódką zmieszaną z wodą. Oczywiście dała mu tego lekarstwa. Jakób idzie do swego barłogu, kulejąc jak półtora nieszczęścia. I jakże dziękuje, jakże jest wdzięczny aż do saméj śmierci! Tysiączne błogosławieństwa! Nazajutrz, żona moja, wierząca w nieomylność swych środków, idzie odwiedzić chorego. Jakób, zupełnie rzeźki, siedzi grzejąc się na słońcu i pali fajkę. Zaczynają się oględziny nogi. Bandaż nienaruszony i zupełnie czysty i suchy. Ani śladu jakiejkolwiek-bądź plamki. Zajrzyjmy do butelki! Próżna!

— A! hultaj! zgaduję.

— Oczywiście! Zastosował lekarstwo „do wewnętrznego użytku" i wytrąbił aż do dna.

— A noga?

— Wyzdrowiała; stała się jeszcze mocniejsza, niż druga, która wcale nie ucierpiała. Lecz to wyleczenie miało tak smutny skutek, że wszyscy żebracy z okolicy, spragnieni jak to zwykle bywa, przychodzili do nas, prosząc o lekarstwo na bóle w nogach. Niepodobna było odrazu odesłać ich do wszystkich djabłów.

— Moja Zofia nie zajmowała się medycyną. Miała jednak kilka przepisów na szczególniejsze wypadki, ale nie były to wcale rzeczy niebezpieczne. I tak, naprzykład, aby się jéj podobać, musiałem zawsze strzydz sobie włosy na nowiu.

— Środek tak dobry, jak każdy inny; a może nawet doskonały! Trzebaż mi było, bracie, powiedziéć o nim w swoim czasie, prawił daléj leśnik, prowadząc ręką po czaszce nagiéj i błyszczącéj jak kula bilardowa.

— Nie macie czego żałować—dodałem z zamiarem powiedzenia komplementu—staremu człowiekowi łysina bardzo do twarzy. Popatrzcie tylko na obrazy. Toć prorocy i ojcowie kościoła byli łysymi. Wszyscy z brodą a na głowie nic a nic. To im wcale nie przeszkodziło do zrobienia karyery na tym świecie i na tamtym.

— Zazdroszczę im tylko tego drugiego, bo mówiąc między nami, teraz, gdy żyję samotny, to już tego naszego świata mam aż póty—wyżéj łysiny. Skończcież raz wasz kufelek, przyjacielu! Kto wie czy za rok, w takiéj okazyi nie będziecie już tylko sami popijali.

— Dałbyś pokój Tomaszu, ranią mię twe słowa! Gdyby to usłyszała biedna twoja żona! Kto z nas dwóch ma prawo jęczeć i narzekać! Źle mi się robi, kiedy pomyślę, że się może nie znajdzie żywa istota do zamknięcia mi powiek. Ani rodziny, ani dzieci, ani krewnych; nikogo! Żona wasza zostawiła wam przynajmniéj córkę. I jaką jeszcze córkę! Proszę znaleść drugą podobną. Chcecie poszukać, czy nie?

— To zbyteczne; nie znalazłbym.

Na to podskoczyłem raptownie z mego siedzenia i uderzając kułakiem po stole, że aż zatańczyły dzbanki i szklenice, krzyknąłem:

— Do pioruna! Od dwóch godzin zapychamy sobie gardło, zalewamy się piwem, a jeszcześmy nie pili za zdrowie Anielki! Biedne dziecko! Po jakiegoż więc licha ma takiego ojca jak wy i takiego przyjaciela jak ja?

Po nad brodą leśnika zaigrał uśmiech i wnet się ukazał świeży dzbanek z białą pianką u góry.

— Cierpliwości,—rzekł—na wszystko czas. Anielka była wzorem cierpliwości, poczynając od kołyski.

— Najwinniejszym w téj całéj sprawie jestem ja—odrzekłem. Powinienem był sam zacząć od zapytania się, co ona porabia.

— Otrzymuję od niéj listy regularnie co miesiąc. Anielka jest szczęśliwą, że poszła za swoim mężem. I w Galicyi człek się czuje na własnéj ziemi.

— Dosyć tam pracy; chléba i zdrowia nie braknie. Nie zastąpi to naszego zakątka, ale pociesza. Ładny kraj, powiadają.

— Trzeba będzie kiedyś Anielkę odwiedzić.

— Na seryo, mielibyście zamiar?...

— Dla czegóżby nie? Za lat parę, będę już na emeryturze i wolno mi będzie robić, co się tylko podoba.

— Zaczekajcie przynajmniéj, zanim umrę — rzekłem po chwili milczenia, gryząc z pewnym smutkiem w duszy, koniec fajki. Tomasz mi jeden tylko pozostał ze wszystkich przyjaciół.

— Et! głupstwo!—odrzekł. Cóżby nam przeszkodziło pojechać razem? Człowiek z wykształceniem wszędzie może zarobić na życie. Zobaczysz mego wnuka. Nazywa się Tomasz, jak ja. Dyabełek wcielony! Rodzice nie mogą z nim dać rady. Za to Zosia, jest cudem łagodności i czułości.

— Podobna pewnie do matki.

— Do matki! To byłoby za wiele. Byłbym bardzo zdziwiony.

— To fakt, że dużo dzieci przeszło przez moje ręce, lecz przez całe życie nie widziałem ani jednéj dzieweczki podobnéj do Anielci.

— Nieprawdaż?

— Przypominacie ją sobie, jak była taka mała, o, taka?

— Czy sobie przypominam? Na Boga! Młode jéj latka ciągle mi stoją przed oczyma.

— Widząc kwiat w pączku, obiecujemy sobie często więcéj, aniżeli potém znajdujemy w pełnym rozkwicie, albo w owocu.

— Nie umiałbym się wzdobyć na takie porównanie, lecz to wiem na pewno, że już w pączku znać było i widać to wszystko,

cośmy późniéj widzieli. Tylko, gdy dzieci są jeszcze drobne, zdaje się nam, że je bardziéj kochamy.

— Bo są słabsze. W każdéj chwili potrzebują naszéj pomocy, naszéj podpory. Za to téż tak się je kocha.

— Szczególniéj Anielkę. Wszyscyśmy to dobrze czuli, że nie mogłaby się obejść bez rodziców.

— Dodaj, że miała główkę nie dla proporcyi. Rzadko znaleść podobną.

— I ciemne oczy, tak czułe, tak głębokie. Ślepki jak u sarny.

— W tém ciałku dziecinném, dusza przeglądająca przez oczy zdawała się już być wielką.

— Inne dzieci, gdy się gniewają, lub płaczą ze zmartwienia lub bólu—zauważyłem to nieraz—zmykają do kącika i tam przycisnąwszy pięści do oczu, wrzeszczą jakby na dyablem weselu. Anielka nigdy nie pokazywała po sobie złości w tak brzydki sposób. Dzieliła się przyjemnościami z innymi, lecz cierpienia chowała wyłącznie dla siebie saméj. Potrzebowałem tylko wyciągnąć ku niéj ramiona; przybiegała szybko i przyciskała się do méj piersi; chowała tam twarzyczkę i czułem jak łzy mi po twarzy spływały. Nie trzeba było długo czekać na uspokojenie. Tak samo w chorobach i w chwilach wyzdrawiania. Gdym ją posadził na kolanach, odrazu czuła się zdrowszą. Usiadłszy, nie schodziła z nich wcale, aż ją nareszcie odnosiłem uśpioną do łóżeczka. Matkę aż zazdrość brała; ma się rozumieć, na żarty.

— A umiała też odpowiadać, rzekłem z kolei, i to jeszcze jak odpowiadać! Trzeba się było trzymać za boki. Miała zaledwie lat cztery, gdym jéj przyniósł rysunek, przedstawiający różne zwierzęta. Słoń zwrócił szczególniéj jéj uwagę. Trzeba jéj było opowiadać najdrobniejsze szczegóły o tém olbrzymiém zwierzęciu; z czego były zrobione kły, trąba; jak się słoń zabiera do jedzenia, picia, jak się kładzie, biega, chodzi. Maleństwo wtedy zaczynało samo chodzić na czworakach udając ciężki chód gruboskórnego bydlęcia. „Oho! rzekłem widząc to, można-by cię wziąć za słonia we własnéj osobie.“ Ale wtedy, w odpowiedzi prosiła mię na wszystko, abym z kolei zaczął naśladować chód dziwnego słonia. I jakżeż było się oprzeć! Klaskała w rączki, skakała z radości i wreszcie wdrapała mi się na kark. „Jesteś bardzo grzeczny, krzyczała: kocham ciebie bardzo, będziesz moim słoniem a ja twoją słoniną.“ W naiwnéj swéj niewiadomości, mieszała rodzaje i pojęcia. Gdy potém wstąpiła do méj szkółki, nauczyła się dobrze słów używać.

— O! była sprytną—odparł leśnik. A jaki przytém charakter! Nie żartuję wcale. Posłuchajcie tylko: Pewnego wieczoru, przed

zachodem słońca—było to w sobotę—oczekiwałem gości na niedzielę i zajmowałem się czyszczeniem ogródka, żeby jako tako wyglądał. Trzeba było popisać się przed obcymi ludźmi. Więc wziąwszy łopatę w ręce, zacząłem okopywać grzędy. Tak szczerze zabrałem się do roboty, że zagłębiając łopatę w ziemię, silnemi uderzeniami i naciskaniem nogą, zapomniałem zupełnie o Anielce, biegającéj w około mnie, wedle zwyczaju, uganiającéj się za motylami i śpiewającéj jak leśne ptaszęta. W tém, uderzywszy silniéj niż zwykle łopatą i wyrwawszy ją gwałtownie z ziemi, uczułem jakiś opór za sobą, stuknięcie, suche uderzenie. Wielki Boże! to było moje maleństwo! Nie zauważyłem jéj wcale! Stanęła za mną po cichutku i przyglądała się robocie. Przeklęty trzonek od łopaty ugodził ją po nad oczyma. w sam środek czoła. Krew się ścięła w moich żyłach. Może czaszka strzaskana? I zaczęły się krzyki i płacze! Podniosłem ją na rękach. Dziecko zapewne przez łzy spostrzegło moje zrozpaczone oczy, moję twarz bladą i zmienioną. Wolałbym złamać sobie obie ręce lub nogi! W życiu mojém nie byłem nigdy tak przerażony. W tém ustał raptownie i krzyk i płacz. — „To nic, to nic!—powiedziała—mówię, że nic! Nie bój się tato, mój drogi tato! Doprawdy, już nie boli! To przejdzie!“ I objęła mą szyję drobnemi rączkami i całowała tak, że mało mi się dusza nie rozpłynęła. Miałem twarz mokrą od jéj łez, które płynęły daléj, bo dziecina dużo cierpiała. Ja myślę, że cierpiała! Czołko jéj z czerwonego, stało się prawie czarném. Ale myśl o tem, żeby mnie uspokoić, żeby pocieszyć, wzięła górę nad bólem. Co? dziarska dziewucha? nieprawdaż bracie?

— Wcale mnie to nie dziwi. Po niéj można się było tego spodziewać. Takich dzieci teraz się nie widuje, tak doskonałych w całém znaczeniu tego słowa. Czułości—pełne serce, dowcipu—ile chcesz na zawołanie, a w życiu codzienném wesołość niczém nie zachwiana. Ileż to razy wprawiała mię ona w dobry humor, gdy słysząc uwagi robione wam przez matkę, powtarzała je przed wami! Przypominacie sobie te gderania? Ona i z tobą tak się obchodziła, jakbyś był jéj małém dzieciątkiem. Dalibóg! przecież ona cię naprawdę nazywała swém dzieckiem. Pamiętasz, jak to nieraz wracałeś z leśnych wycieczek, a ona woła: „Patrz mamo, jak on się zgrzał! Nie może widać chodzić pomału, jak rozsądny chłopiec. Nie, musi latać prędko, bardzo prędko!“ I daléj-że obcierać ci czoło swym niebieskim fartuszkiem. „Czy widział kto kiedy podobnego dzieciaka, ciągnęła daléj; nikogo nie słucha, nawet mnie! Pewna jestem, że mu się bardzo pić chce. No, no; powiédz już swéj mamusi, czy masz pragnienie. Mów prawdę! Trzeba zawsze mówić prawdę! Chciałbyś trochę piwa? Mówi „tak“ oczami. Dostaniesz już, dostaniesz. Tylko

się nie maż, moje dziecko, zaraz ci przyniosę pić. Ach! mój Boże, coby to bezemnie robiło!“ I nie było temu końca; i ty zapominałeś o zmęczeniu i nim się wziąłeś do kufla, poiłeś się pieszczotami i słowami małéj! I nie spuszczałeś z niéj oka; a kiedy znów do ciebie przybiegła utulić się na twych kolanach, matka obejmowała was oboje spojrzeniem, cichutko siedząc w kąciku, uśmiechnięta cała.

— O, nie tylko mnie lubiła ona prawić nauki. Była jeszcze inna ofiara, co radośnie poddawała się strofowaniu małéj despotki. Pamiętasz, stary Zagraj, z długiémi uszami, z ogonem, jak kita. Możnaby o nim powiedziéć, że umarł wiekowy, tak długo żył, jak na psa. Już czego to psisko nie dało z sobą wyrabiać. Jak pragnę zbawienia, miało prawdziwie anielską cierpliwość! Ani chwili spokoju. Obracany na wszystkie strony. Nawtykała mu pęki kwiatów na około szyi, pod obrożę. A jak śmiesznie wyglądała z nich jego kudłata głowa. Albo znów innym razem, kiedy się uwzięła nauczyć go skakać przez sznurek. Próżne zabiegi. Żeby nie o dwie łapy miał za dużo, byłoby się może wszystko udało. Ale w zamian za to, zgadzał się z całego serca dźwigać za nią wiadro z wodą, kiedy było potrzeba rozczyniać ciasto na placki z piasku. Nie na tém jeszcze koniec. Pewnego pięknego ranka widzę Zagraja, zaprzągniętego do taczek, téj kolendy od twéj nieboszki, jeżeli się nie mylę. Pozwoliłem sobie zrobić uwagę, ale panna odparła, że porządkuje w ogrodzie, a do tego konieczném jest jéj wózek i koń, prócz tego Zagraj zastępuje konia, jak nikt. Taczki zostały napełnione suchemi liśćmi; mnie nie pozostawało nic innego, jak skłonić głowę w pokorze.

— A Zagraj nie kładł swego veto?

— Ale nigdy. E, i ja byłbym na jego miejscu robił to samo, rozumie się, pod warunkiem, żeby sąsiedzi nie podpatrywali, co się u mnie dzieje. Ludzie nie znają się na tych rzeczach. I najlepsi nie omijają sposobności podrwić sobie z bliźniego.

— Ale, ale, przyjacielu, mam ja sobie nieco do wyrzucenia względem Anielci.

— Żartujesz?

— Kiedy była jeszcze bardzo maleńka, obawiałem się nieco dnia, w którym zasadzi się ją do abecadła; bo takie to było ruchliwe, takie wesołe, tak się dawało porywać każdéj zabawie.

— Przecież zakazałeś sam posyłać ją do szkoły. Uparłeś się do nas przychodzić codziennie i sam na sam, wbijać jéj do główki pierwsze początki twéj wiedzy. To wstyd, do jakiego stopnia ty ją psułeś.

— Tam do dyabla! Była ona, czy nie—moją chrześnicą? Czy miałem inne dzieci? Dziwny pomysł przyszedł ci raptem do gło-

wy szykanować mię z tego tytułu. Jedném słowem podejrzywałem małą o roztrzepanie, o nieuwagę i o rozmaite inne wady. Wkrótce jednak musiałem wstydzić się przed sobą tego podejrzenia. Bo słuchała, przykładała się do pracy; wysilała się niemal z rzadką gorliwością. Nie dość na tém, z nas dwojga nie ona to grzeszyła zbyt często roztargnieniem. Czyja w tém była wina? Miły Boże tak jak mię widzisz, sam nie wiedziałem często co robić ze zmięszania. Zamiast odbywać z nią lekcye seryo, systematycznie, łapałem się nieraz na zasłuchiwaniu się w jéj szczebiocie, lub pękałem ze śmiechu na niektóre jéj uwagi. A nie brakowało ich i to najrozmaitszego rodzaju. Wyrywały się jéj one jak rakiety. Pewnego razu opowiadałem historyą świętą. Zdaje mi się, że ją widzę opartą o stół, z główką jéj śliczną, spuszczoną na dłonie, z oczyma, zawieszonemi na mych ustach, śledzącą za każdém mém słowem bacznie. Ile ona mogła mieć lat w tym czasie? Sześć lat, tak, nie więcéj. Objaśniałem jéj wędrówkę Izraelitów w pustyni. Nie był to łatwy orzech do zgryzienia. Czyniłem nad sobą wysiłki, żeby się zastosować do jéj pojęcia. Co prawda, to opowiadanie nie mogło wypaść na korzyść Izraelitów. Kłócili się między sobą, prowadzili wojny, zapominając o swoim Bogu, zaniedbywali modlitw rannych i wieczornych i sprzeciwiali się na każdym kroku swemu wodzowi. Mojżesz — takie było imię wodza — napróżno udzielał im rady, nie mówiąc już o karach. Zupełnie tak to pomagało, jakbyś groch rzucał o ścianę. Zrospaczony, tracąc głowę, co zrobić z tém zbiegowiskiem niegodziwców, postanowił poradzić się Boga. Ledwie, wymówiłem te ostatnie wyrazy, kiedy Anielka mi przerwała: „Poradzić się Boga! to Mojżesz był niebezpiecznie chory.“ Osłupiałem. A po pierwszéj chwili zdumienia, parsknąłem śmiechem. Anielcia, zapytana przeze mnie, odrzekła, że słyszała dziś rano, jak matka mówiła do starego piekarza, który był niezdrów, że na jego miejscu dawno już byłaby poszła poradzić się doktora. Masz dowód, druhu, z jaką łatwością ten miły dzieciak chwytał słowo i posługiwał się niém w potrzebie.

— Dosyć ona mówiła takich słówek; można-by z nich było cały ułożyć katalog. Pan Bóg sam raczy wiedzieć, co się tam działo w téj małéj główinie i skąd ona brała te pytania, którémi tak zarzucała człowieka. Była to inkwizytorka zapamiętała, wprowadziłaby niemi w kłopot i nieco uczeńszych ludzi, niż ja i moja żona.

— Bezwątpienia—odrzekłem—jeżeli mogła zmięszać mnie, który zęby zjadłem na nauce.

— Nigdy tak nie byłem zdumionym jéj pomysłami, jak owego dnia, kiedy to zaszła owa historya z dragonem.

— Ah, tak. Znam ją; obiegała ona czas długi po okolicy.

— Przypominasz ją sobie dobrze?

— Rozumie się. Przecież ty sam opowiadałeś mi ją ze sto razy.

— Słuchaj więc.

— Słucham. A więc...

— Oddział dragonów z garnizonu, stojącego onego czasu w Rzeszówku, wyprawił, nie wiem z jakiego powodu, do nas podoficera z drugim jeszcze dragonem.

— Było to w celu urządzenia obławy na dziki.

— Istotnie. A to kapitalną masz pamięć, sąsiedzie.

— Strawiłem życie na ćwiczeniu jéj. Ciągnij daléj.

— Podoficer przyszedł do naszego domu. Byłem właśnie w lesie. Zaprowadził więc swego konia do szopy i usiadł przed domem, czekając na mnie, na ławce, przysuniętéj do okna. Dziewczynka hasała sobie po pokoju. Na widok wojskowego stanęła, jak wryta. Pierwszy raz w swém życiu widziała żołnierza. Pałasz, mundur, hałaśliwe wzięcie się wojskowego, wszystko to wywarło na niéj silne wrażenie. Ale najwięcéj wprawił ją w zdumienie...

— Kask!

— Tak, kask. Nie przerywaj-że mi! Zawisła na krześle i oparta o okno otwarte, utkwiła nieruchomie oczy w dziwném przykryciu głowy. Kita, błyszczący wierzch mosiężny, każdy szczegół dawał jéj wiele do myślenia i wzbudzał podziw zarazem. Kita jednak zaintrygowała ją najwięcéj. Mogła była dosięgnąć jéj ręką. I chciało się małéj ją dotknąć, ale nie śmiała. Matka znalazła ją w takiéj postawie. „Co robisz tam, odrobinko,“ rzekła. Dziecina zeszła ze stołka, przyłożyła do ust paluszek i tak cichutko, żeby nie być słyszaną ze dworu, szepnęła méj żonie do ucha: „Mamo! powiedz mi, proszę, dlaczego temu panu rosną włosy przez czapkę?“ Któż był zmięszany takiém pytaniem? Naturalnie, że moja żona, zwłaszcza, że dusiła się ze śmiechu.

— Dziecię—powiedziałem—a uwaga ta uderza mię, ile razy słyszę to opowiadanie—dziecię wyraziło tu myśl głęboko-filozoficzną, jakkolwiek nieświadome formy, w jaką ją ubrało. Cóż bo jest żołnierz? Obrońca porządku wewnątrz, a całości kraju z zewnątrz. Powiédz że mi teraz, proszę cię, czy dla utrzymania porządku wewnątrz, czy dla obrony ojczyzny na zewnątrz jest rzeczą konieczną opasywać czoło blachą i przyprawiać sobie koński ogon na wierzchołku głowy. Wyśmiewamy się z Chińczyków i ich pomysłów. Co prawda, to mieliby oni sposobność odpłacić nam sowicie tąż samą monetą.

— Tak, tak—odparł leśnik—Anielcia była filozofką. To mię wcale nie dziwi. Dziecko to było zdolne do najśmieszniejszych pomysłów!

— Czy ona była filozofką? Spodziewam się. A słowa moje zaraz poprę dowodem. Przypominasz sobie zapewne śmierć mojego brata, czynszownika z Rzeszówka?

— Ależ widzę, sąsiedzie, że już wyjeżdżasz z twoją historyą o imieninach, podczas których chciałeś uraczyć dzieci zabawami, lecz śmierć temu przeszkodziła. Czy chcesz, żebym ci ją powtórzył?

— Na miłość boską, Tomaszu, daj temu raz pokój. Wszak ja ci nie przeszkadzałem wcale podczas twéj odwiecznéj historyi o dragonie; pozwól-że i mnie opowiedzieć moją o owem święcie. Znasz ją, jestem o tém przekonany; ależ teraz moja kolej; do dyabła! Wszak ja nie drgnąłem podczas twego opowiadania.

Leśnik napełnił szklanki.

— Żywy jak srebro!—zawołał, klepiąc mnie po ramieniu; zostaniesz wiecznie młodym. Za twe zdrowie, i zaczynaj! Otwieram uszy.

— Pozwól mi przedewszystkiém wymienić szczegółowo fakty i sprostować pewien błąd z twéj strony.

— Sprostuj!

— Nie chodziło bynajmniéj o uroczystość dzieci z méj szkółki, ani nawet też wyłącznie o dzieci mych przyjaciół i znajomych.

— Były jednakże wszystkie zaproszone.

— Zgoda. Lecz zaproszone przez kogo? Ani przeze mnie, ani przez moję żonę. Zaproszenia były rozesłane przez waszą córkę, a przez naszą chrzestnicę. Mała Anielcia była bohaterką uroczystości, zwłaszcza, że uroczystość ta miała miéć miejsce w rocznicę jéj urodzin. Gadano o téj zabawie na miesiąc przedtém; co prawda, było to źle, bo wszystkie dzieciaki, z Anielcią na czele, zamiast ślęczyć przy abecadle, gawędziły ciągle o przyjemnościach i niespodziankach dnia oczekiwanego z niecierpliwością. Z drugiéj strony, ja i moja kobiéta kręciliśmy się bardzo, żeby rzecz poszła dobrze: loteryjka z zabawek, ofiarowanych przez naszych znajomych bez wyjątku; latarnia czarnoksięzka, pokazywana przez pomocnika aptekarza z Rzeszówka, najpierwszego mówcę w okolicy; podwieczorek pod drzewami; a potém muzyka, gry, tańce i nakoniec—rzecz we wsi niesłychana—sztuczne ognie bengalskie! Tak, sztuczne ognie, przyrzeczone przez przyjaciela mego nieboszczyka brata, porucznika artyleryi z Rzeszówka, co rozkazał je zrobić żołnierzom, sprytnym w tego rodzaju fabrykacyach. Jak ci wiadomo, potrzeba pewnéj ostrożności w obchodzeniu się z takiemi wynalazkami, postanowiłem więc sobie udać się osobiście do Rzeszówka po młynki, rakiety, rzymskie świéce i kilka paczek ogni bengalskich, które miały być i dla mnie niespodzianką. Nie ma czemu się dziwić, że w wigilją tego wieczoru żadne z pań ani panów malców

nie zmrużyło oka przez noc całą. Inaczéj było ze mną. Z sercem lekkiém i radosném, z sumieniem spokojném spałem jak zabity, kiedy raptem około północy zostałem obudzony turkotem wozu, zatrzymującego się przed naszym domem. Zapukano do drzwi. Woźnica oznajmia, że brat mój chce mówić ze mną niezwłocznie. Nie wiedział on przytém nic więcéj, gdyż rozkaz został mu danym nie przez samego brata. Żona moja zaniepokoiła się bardzo, zdjęta smutném przeczuciem.

Uspokajałem ją, jak mogłem, i ruszyłem, co koń wyskoczy, do Rzeszówka. Nie myliła się moja kobiéta; miała słuszność, jak zawsze. Gdy przybyłem, brat mój wydał już ostatnie tchnienie, apopleksya go tknęła. Pierwsze chwile były bardzo ciężkie. Smutek powiększyły jeszcze kłopoty z pogrzebem. Trzeba było wracać do domu i zawiadomić, kogo należało o smutnéj nowinie.

Poszedłem pieszo. Samotność jest zbawczą w wielkich strapieniach. Oczekiwano mego powrotu; dzieciaki się niecierpliwiły. Wiedziały one, że miałem być w Rzeszówku po sławne ognie sztuczne!

Szedłem zagłębiony w mych myślach, kiedy raptem na odległość wystrzału ode wsi spostrzegam coś biało-różowego, co pędzi ku mnie, ile tylko sił w drobniutkach nóżkach starczyło. Była to Anielcia. Schwyciłem ją w ramiona i ucałowałem czule. Dziecię zobaczyło twarz mą, zalaną łzami. Zastanowiło ją to. Uśmiech, co rozjaśniał przed chwilą jéj czarującą twarzyczkę, ustąpił wyrazowi najgłębszego niepokoju. Postawiłem małą na ziemi i trzymając się za ręce, poszliśmy oboje w stronę domu. Trudno mi było opowiedzieć jéj nieszczęście, które mię dotknęło. „Nic z dzisiejszéj uroczystości maleńka, rzekłem wreszcie, jesteśmy w żałobie. Brat mój—pamiętasz go pewnie, ten, co cię tak kochał i znosił ci zabawki—zmarł nagle. Schowają go do ziemi. Ale nie płacz, maleństwo; do mnie tylko należy go opłakiwać? Czegóż chcesz? Nikt tego nie uniknie. Co zaś do uroczystości, to odłożymy ją na rok przyszły. Nic nie stracisz na czekaniu.“ Dziecię zatrzymało się nagle i wlepiło we mnie szeroko otwarte niebieskie swe oczęta:

„Na rok przyszły więc—rzekła—twój brat nie będzie już umarłym!“

Mniéj niż kiedykolwiek byłem jéj w stanie dać w téj chwili odpowiedź. Bąknąłem kilka niezrozumiałych wyrazów i skierowałem kroki ku domowi. Pytanie, zadane przez małą, pogrążyło mię w smutnych rozmyślaniach. Tak—myślałem sobie, na przyszły rok dobry mój Piotr będzie również dobrze, jak teraz w grobie, ale dwanaście miesięcy upłynie do tego czasu od jego śmierci, a dwanaście

miesięcy to czasem zbyt wiele dla zupełnego uspokojenia po najboleśniejszych stratach. Nic niema trwałego na tym świecie. Wszystko mija. Dziś płaczą, jutro będą tańczyli.“ Przeżuwałem w nieskończonéj ilości zdań prawdę, którą maleńka nieświadomie zawarła w dwóch słowach. O, cudowne dziecię.

— Dodam jeszcze, że jestto wielką z jéj strony zasługą, że wyszła na coś dobrego, bo—pozwól mi sobie powiedziéć raz jeszcze— zanadto ją psułeś ty, a jeszcze więcéj twoja żona.

— Całe życie psuliśmy się wszyscy nawzajem. To bardzo naturalne: tworzyliśmy jakby jedną rodzinę. Twoja nieboszczka, Tomaszu, umiała piekło w niebo zamienić.

— Moja unosiła się czasami, sąsiedzie; ale co twoja to nigdy głosu nie podniosła. Bo co za powód miała dręczyć świat cały! Z nią, ręczę, że świat byłby zaludniony aniołami.

— A jaka z twojéj była dzielna gospodyni! Nigdy ona nie wyrzekała na robotę.

— A twoja, byłaby dla ciebie, że tak się wyrażę, zdjęła gwiazdy z nieba.

— Byłaby tysiąc razy oddała swe życie, twoja żona, żeby ci oszczędzić najmniejszéj przykrości.

— Jednem słowem, możemy sobie podać ręce. Długo nie znajdzie się kobiéta, podobna do naszych dwóch nieboszczek.

— Nigdy, nigdy, ręczę ci.

— Z największą pewnością.

Długie milczenie zapanowało po tym ostatnim wykrzykniku. Leśnik kiwał głową, kończąc w myśli cały szereg wyroków, jakie wydaliśmy wspólnie o naszych nieboszczkach. Potém, spostrzegł, że szklanki stały próżne. Podniósł się, żeby napełnić dzban, lecz ja chwyciłem go za ramię:

„Stój, bracie! zawołałem. Znam ja liczbę. Nie zapominaj, że jesteś u siebie, a ja mam jeszcze spory kawał do domu!

— Strzemiennego—zawołał Tomasz.

— Niéma żadnego strzemienia, bo wracam do domu pieszo.

— No, to dla mojéj przyjemności.

— Innym razem z całego serca.

— Żeby mię nie obrazić.

— Nie jestem już wstanie; znasz mię dobrze.

— No, to nie jesteś mym przyjacielem.

— Ho, ho!

— No więc na wspomnienie naszych nieboszczek.

— Już tyleś mi o nich naopowiadał. Ale co ta szklanka, to już będzie ostatnia!

Trąciliśmy się. Leśnik rzucił mi się na szyję i ucałował w oba policzki. Oddałem mu również uścisk za uścisk.

Raz jeszcze podaliśmy sobie rękę, i znalazłem się na dworze.

Nie usłyszałem jednak zamykania drzwi za sobą. Tomasz stał na progu i odprowadzał mię oczyma. Już straciłem go z oczu, kiedy dobiegły mych uszu życzenia dobréj nocy i szczęśliwéj drogi.

Skierowałem się ku domowi.

Noc zapadła, czarna, duszna. Wiatr, co hulał sobie przez dzień cały, dawał bieg wolny swym kaprysom. Przeniknął nawet moję burkę. Dreszcz przejął mię wkrótce do szpiku kości. Obłoki, co trzymały się dobrze przez dzień cały, uległy jego natarciom i oznajmiły poddanie kilku wielkiemi kroplami deszczu; pierwszy zwiastun burzy, co wybuchła wkrótce z szaloną wściekłością.

Leśnik przepowiedział ją od paru godzin. Podniosłem kołnierz płaszcza, spuściłem głowę, żeby lepiéj oprzéć się nawałnicy, i przyśpieszyłem kroku.

Ostatnia godzina nie wybiła jeszcze dla méj mizernéj osoby. Po paru kwadransach rozpaczliwych wysiłków, dostałem się pod mój dach, zmokły, drżący od zimna, skostniały, rozbity. Nikogo, aby mię powitał, nikogo, coby mię pożałował. Byłem sam jeden; mogłem był zamrzéć, a nikt nie pochyliłby się nawet nad mojém wezgłowiem.

Na szczęście została mi jeszcze mała wiązka drzewa.

Uwolniłem się z méj opończy, którą można było wyżąć.

Ognia teraz!

Duża szczapa w głębi pieca, trzy małe szczépki, zręcznie ułożone na przodzie, wióry pod spodem, wszystko przysypane zeschłemi gałęziami—buchnął płomień!

Pokój mój zabłysnął nagle światłem, Och, dobry towarzysz z tego ognia! Ostatni przyjaciel samotnika.

Napawałem już oczy moje widokiem, dla ciepła pozostawało jeszcze dużo do życzenia. Nic jeszcze nie było na przyjęcie zimy zrobionego. Okna się nie przymykały szczelnie, wiatr świszczał przez drzwi.

Burza wstrzęsła domem; co prawda, to był on do koszar więcéj podobnym; deszcz trzepał po dachu i spadał z ponurym szelestem po ścianach domostwa.

Nie pozostawało nic innego, jak pod kołdrą szukać schronienia.

Łóżko moje znajdowało się wprost pieca. Jedyny sposób ustawienia!

Jednym ruchem ręki starałem się przygotować posłanie na przyjęcie biednych członków ludzkich, co miały na niém spocząć.

Do licha! Prześcieradła jak lód zimne. Nic nie szkodzi! Najpyszniejsze łoże zimne jest z początku. Już to rzecz właściciela, ażeby je rozgrzał ciepłem własnego swego ciała. Układałem się pomimo to pomaleńku, bo zbrakło odwagi dotknąć się go odrazu całem ciałem.

Narzuciłem kożuch barani na nogi, i otuliłem się grubą kołdrą.

Wsuwam się cały pod kołdrę, okrywam się nią, otulam, owijam; następnie z najgłębszą uwagą, obracam się po kilka kroć delikatnie, żeby sobie wygodne uformować gniazdeczko.

Z początku skulony, zwinięty w kłębek, w miarę, jak łóżko się rozgrzewa, wysuwam jedną nogę, potém drugą, aż nareszcie wyciągam się, jak długi.

Otóż jestem wyprostowany jak drut; nie poruszam się wcale.

Oczyma, szeroko otwartemi, wpatruję się w buchający ogień! Sen przyjdzie, kiedy mu się spodoba. Bo jak tu go zwołać w takim piekielnym szumie? Szmer letniego deszczyku, cichy, dźwięczny ukołysze cię, jak piosnka niańki w kołysce; ale takie konwulsyjne wrzaski, jak owéj nocy, wskrzesiły by zmarłego ze snu śmierci.

Ach, gdyby ta przenośnia sprawdziła się dosłownie, wiem, jaki grób otworzyłby się za pierwszym mym znakiem.

Po co dawać się unosić tak niedorzecznym marzeniom? Rzeczywistość warta więcéj. Grób tak czy owak się otworzy. Będę mu błogosławił, kiedy da mi wreszcie używać wiecznego spokoju obok téj, któréj zawdzięczam wszystko szczęście ubiegłego życia.

„Lepiéj siedzieć, niż stać; lepiéj leżeć, niż siedzieć.“ Mądrym był człowiek, co wynalazł to przysłowie. Wynalazł je z pewnością pod czas takiéj, jak ta nocy, burzliwéj i dżdżystéj. Jeżeli przytém wpatrywał się w ogień, zadowolenie jego musiało nie mieć granic.

Istny czarodziéj z tego ognia! Nie tylko sam drga, pali, błyszczy, ale nadaje pozór życia i ruchu wszystkiemu, co obrzuca odblaskiem swego światła.

Umeblowanie mego mieszkanka zdaje się ożywiać pod wpływem tych fal świetlanych, ruchomych. Zegar z kukułką, jakkolwiek ukryty w cieniu kącika, zdaje się przyspieszać swoje tik-tak jednostajne.

Masz tobie! przypominam sobie, że dzisiejszego ranka na wychodném nie podniosłem jego wagi. Za parę godzin ptaszek nie bę-

dzie miał możności nucić swéj piosenki. Niech się dzieje, co chce! nie ruszę się z łóżka.

Ba, ale trzeba trochę popatrzéć na miedziany rądel! Może się on uważać za szczęśliwy, że jest utrzymanym w takim porządku. Jego boki, zdaje się, jakby prosto wyszły z fabryki. To zgasną, to się zapalą, mrugając czerwonemi plamami. Albo mała karafka rznięta, ze szkła czeskiego, jak się puszy na półce! Ile załamków tyle dyamentów, rubinów, szmaragdów, szafirów. To istny skarbiec! Ze względu na użytek, jaki robią z tych świecideł, nie ma ona im czego zazdrościć.

I one także nie świécą się same przez się, tylko swą wartość zawdzięczają światłu, światło tylko nadaje im życie. W ciemności nie odróżnisz dyamentu od zwyczajnego kamienia.

Kawałek drzewa w kominie zaczyna syczyć, jakby chciał wybuchnąć. Musi w tém coś być. Promień światła niebieski, co zdawał się przedtém ukrywać wewnątrz drzewa, wyrywa się, tryska z sykiem, z drganiem, z hałasem, doprawdy zbyt wielkim, jak na tak małe widowisko. Drzewo, po tym wybuchu, rozszczepia się na dwie połowy, i płomień jaskrawszy, niż przedtem, oblewa najciemniejsze zakątki swemi promieniami.

Mój obraz zaczyna się także ożywiać i brać udział w ogólnym ruchu. Mam jeden tylko obraz na ścianie: stara to rycina, wyobrażająca naczelnika Kościuszkę, jak zwraca się do uzbrojonego ludu. Bohater wita walecznych skinieniem dłoni. Koń jego stąpa poważnie i spokojnie, jakby przeczuwał, że niesie jeźdźca po za zwykłe granice świata, w dziedzinę nieśmiertelności. W słońcu iskrzą się kosy. Daléj, na tylnym planie widać śpiewających z zapałem.

Jaką pieśń śpiewają? ze sztychu odgadnąć trudno. Nie widać orkiestry, ani bębnów, ale zdawałoby się że słyszysz chór potężny, wydobyty z tysiąca piersi żołnierskich.

Nie za naszych to działo się czasów! Szczęśliwi ci, co żyli wtedy! Byli tak dumni, niosąc krew w ofierze,—tak byli szczęśliwi z ofiary!

Lecz dosyć marzeń na ten temat! Gdy człek cofnie się sercem i myślą w przeszłość, to mu sen z powiek odlatuje.

A to co? na czarnych ramach ryciny wielka plama od pyłu. Zupełnie świeża. Niezgrabiasz ze mnie! Już nie umiem tak dobrze ścierać pyłu, jak dawniéj. Straciłem wprawę. Zresztą, właściwie nigdy to do mnie nie należało. Zaniedbuję wszystkiego, nawet samego siebie! Niszczy się to powoli.

A zasnąć niema sposobu! To pewna, że muszę prowadzić zupełnie regularne życie i nie pozwalać sobie żadnych zbytków.

Chwała Bogu! Nietylko odemnie samego sen ucieka. Słyszę trzepotanie skrzydeł w klatce i trzask rozgryzanego siemienia lnianego. Światło rozbudziło słowika, więc się też zabrał do walnéj roboty. Co to za żarłoczne stworzenia, te ptaszęta! Myślą tylko o jedzeniu. Jestem że tego pewien? Mało tam mózgu, to prawda, ale na tak drobne ciałko, to więcéj i niepotrzeba. W każdym razie, jeśli to ptaszę coś myśli, to napewne nie o tém, że tak wielką radość sprawia starcowi, ożywiając jego samotność. Lecz czyż to słusznie skazywać stworzenie na samotność, jedynie dla tego, że się jest samotnym?

Jestto wyzwanie rzucone w oczy przyrodzie, niesprawiedliwość, tyrania! I jakiémże to prawem, proszę państwa? Siła idzie przed prawem. Nie! nie! precz z taką teoryą, za żadną cenę! Niewolno jéj zagnieździć się u mnie. Zatrzymam słowiczka przez całą zimę. Mogą nastać silne mrozy. Tyle razy już widziałem zmarznięte ptaszyny. Ale na wiosnę, bądź spokojnym śpiewaku!, będziesz miał wolność! Niechże z niéj chociaż ptaki korzystają!

„Mówię o ptakach, rzekłem do siebie w duchu, a nie zwracam uwagi na małe bestyjki, które korzystając z méj dobroduszności, zabawiają się gryzieniem moich zapasów w spiżarni. Słyszę cię ztąd dobrze, moja pani myszko, i jeśli to potrwa dłużéj, to jutro załatwimy z sobą rachunki. A bestyo łakoma, zostaniesz ukaraną. Czy kto kiedy słyszał taki hałas po nocach. Hu! hun! łajdaczko!"

Widocznie usłyszała moje krzyki: już niema nikogo. To dobrze. Jutro, po rewizyi, jeśli nadużycia nie okażą się zbyt wielkie, to może się i pogodzimy. Trzeba mieć litość dla każdego grzeszku; chociaż, prawdę mówiąc, po rozwadze, łapka nie byłaby wcale do pogardzenia. Pomyślimy o tém.

Burza się uspokaja. Ulewa także wylała na świat cały swój zapas złości. Pada teraz głupi deszczyk, któryby postąpił rozsądnie, przestając zupełnie. Na co to się komu przyda. Zresztą! to już jego sprawa; pierwéj lub późniéj przestanie padać.

Ciężą mi nieco powieki, a jednak nie chcą się zamknąć stanowczo. Spaliły się już polana drobniejsze. Jeden tylko większy kawał drzewa opiera się sile ognia. Ba! zaczyna się teraz palić w najlepsze. Żarzy się, trzaska, wybucha płomieniem.

Myśl moja staje się mglistą i niejasną. Oczy, jakby zaczarowane zatrzymują się na resztach ognia. Nie patrzę, a jednak widzę ciągle. Rozżarzone węgle leżą w piecu na samym przodzie. Powoli pokrywa je delikatna warstwa, popiołu. Ciepło bije aż do mojego łóżka. Światło staje się coraz słabszém. Cały pokój i meble zatapiają się powoli w ciemnościach. Tylko w głębi pieca jest jasność.

Wzdłuż spalonego polana odbywa się procesya iskier. Za moich młodych lat, opowiadała mi niańka, że taka wędrówka iskier znaczy powrót mniszek do klasztoru. W istocie, otóż i przeorysza. Znikła! Mniszki idą w jéj ślady, podskakując i znikając. Wszystkie już są w celach.

Furtyanka—zamknęła za niemi bramę.

Ta poczciwa Barbara, moja stara niańka, cóż to było za złote serce! I któżby pomyślał, że sobie o niéj po tylu latach przypomnę! Nigdy jéj nie zabrakło bajek do opowiadania, szczególniéj gdy widziała ogień naniecony. Robiła nawet przepowiednie z ognia. Wyprowadzała wyrocznie ze sposobu palenia się drzewa.

Co do mnie, przypatruję się usilnie, ale jedyném proroctwem, do którego dochodzę, jest to, że ogień prędko zagaśnie.

Przepowiednia moja spełnia się istotnie. Już, już zbliża się ostatnie tchnienie. Nie! nie! jeszcze nie zupełnie! Z saméj głębi wytryska jeszcze jeden ostatni płomyk. Rozszczepia się u szczytu jak chorągiewka u lancy ułańskiéj. Drży, buja w powietrzu, tęczuje się barwami, tak mi, niestety! dobrze znanemi. Błękit, kolor biały i pąsowy!

O barwy cudowne!

Czy znikły w téj chwili, czy téż może powieki moje zamknęły się na dobre? Tego, to już niepamiętam.

Gdym się obudził, słońce było już dawno na niebie.

Edmund Chojecki.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.

(Dokończenie).

5. Napisy grobowe.—Niektóre szczegóły z dziejów owoczesnego społeczeństwa.

Od tych uniesień duszy, tyle namiętnych, a tak przecię bogobojnych, że stopniowo w łagodne przechodzą dumania, jakby drogą ku temu najodpowiedniejszą, wprowadza nas poeta w mogilnik, usiany wspomnieniami osób wielce jego sercu drogich, a których jednak, choć sam dość wątłego istnienia, przeżył i opłakiwać musi. I jakbądź osamotniały, nie narzeka on jednak nazbyt rozgłośnie — tęsknie tylko rozważa tych osób na ziemi pobyt w zasługi obfity, i raczéj pozostałych żałując, z tamtemi wcześnie radość rajską zdaje się podzielać. Wygląda to, jakby przypominanie ich sobie i westchnienia za niemi serdeczne, o zachodzie słońca, kiedy-to dzwonek na Anioł-Pański dźwięczy—a oni śpią cicho, w kwiatach i ciepłém tchnieniu. W istocie, coś jest sielskiego w téj muzie Sępa naszego żałosnéj—tu on się nawet, co mu rzecz nie zwykła, na prostotę zdobyć umie.

Już kiedyś, o „Fraszkach“ Kochanowskiego mówiąc, starałem się wykazać pożytek zwrócenia bliższéj uwagi na wysoką wartość téj tyle zasobnéj u nas literatury, że prawie nie ma poety, któryby czyjejś straty mniéj lub więcéj nie opłakał. Oczywiście, nie ma się tu na względzie epoki znacznie późniejszéj, w któréj, zarówno z ujmą sztuki jak obyczaju, cudacznie wielbiono osobistości, nie dorastające nieraz miary najzwyczajniejszych nawet ludzi; ale właśnie te czasy piśmiennictwa naszego najświetniejsze, w których godność natchnienia nastrajała się do ogólnego w życiu publiczném dostojeństwa. Tak tu się bowiem wydarza, że niejednokrotnie, dzięki tym tkliwym dowodom pamięci, przy lada poszukiwaniu, wychodzą na jaw posągowe postacie, o których nie koniecznie w dziejach jest głośno,

a niemniéj bez nich nigdy się nie uzupełnią dzieje narodowego obyczaju.

Otóż, tak samo, i z tym, że tak rzekę, mogilnym poezyi Sępa oddziałem, nie tylko wkraczamy w świat nam nieznany osobiście miłych sercu poety stosunków—ale się oraz przekonywamy, że opłakując ich utratę, wcale panegirystą nie jest; owszem, tak nawet bywa, że on tylko powszechne niemal boleści, z wezbranego serca, nader skromnym rytmem odczuwa.

Z tego powodu, warto jest bliżéj się przypatrzéć tym ludziom, których on płacząc, wysławia.

A najprzód, Zofia ze Sprowy Kostczyna.

Ta, kiedy zmarła (1), było to niemal klęską publiczną. Paprocki troskliwie zapisuje nawet godzinę jéj zgonu. Przedewszystkiém, nie podobna pominąć dostojeństwa rodu téj niepospolitéj pani. Wyszła ona z domu Odrowążów; matką zaś jéj była Anna, siostra Stanisława i Janusza, ostatnich książąt Mazowieckich. Twierdzi Paprocki, iż „od króla Augusta była żądaną do stanu małżeńskiego, chcąc jéj i to nagrodzić, aby była uczestniczką dziadowizny swéj albo (raczéj) babizny, z któréj była od jego przodków zgołocona. Ale ona, to wszystko wzgardzając, jako Pani bogobojna, dla słusznych przyczyn z tego się królowi i posłom jego wymówiła.“ Właściwie zaś, zdaniem jego: „dla jéj wielkich cnót a świętobliwych spraw i żywota,“ król się o jéj rękę ubiegał. I zaprawdę, uwierzyć temu nie trudno. Bo posłuchajmy jeno, co on daléj o niéj prawi. „Ta, naprzód była za Janem Chrzysztofem hrabią na Tarnowie (2). Po którego śmierci, będąc przez lat kilka wdową, tak świętobliwie żywot swój wiodła, że dla tego mogłaby być równana do onych wdów, które Pismo świętemi zowie. Była to matka wszystkich sierot i inszych ludzi, którzy ratunku potrzebowali, wielka zapomożycielka; wiele ubogich panienek, tak ślacheckiego jako i inszego stanu, w małżeńskie stany rozdała, posagi po nich dawała, i dóbr swoich ojczystych udzielała...“ I daléj „Wiele znacznych, a prawie świętych spraw jest téj to pani godnych wiecznéj pamięci, które są wspomnienia godne dla inszych, aby, wzór z niéj biorąc, takim kształtem żywoty swe trawiły, tak ze strony służby miłego Boga, jako i w stanie małżeńskim życia i wielkiego posłuszeństwa, o czem tu na ten czas (w obecnéj chwili) krótkości folgować się musi (3).

---

(1) Na rok przed naszym poetą.

(2) Temu przypisane są „Szachy“ Kochanowskiego.

(3) Portret téj dostojnéj niewiasty znajduje się w zbiorach galeryi Wilanowskiéj. Zeszła ona ze świata, mając zaledwie lat czterdzieści.

To wszystko kiedy zważymy, słowa też o niéj naszego poety bynajmniéj nam się przesadnemi nie wydadzą.

> Kto był, kto twego ześcia z ziemie nie żałował?
> Duchowieństwo, ubodzy, sieroty z wdowami,
> Jako po matce własnéj, zalali się łzami.
> Także i stan ważniejszy i gmin pospolity,
> Albo dali wzdychania albo płacz obfity...
> ...Płakałby nieprzyjaciel—aleś go nie miała.

I daléj znowu:

> Patrząc na twoje cnoty, a wzrok ku naszemu
> Obracając wiekowi do złego skoremu,
> Kształcie (1) panien, wdów, mężczyzn i bez równéj żono—
> Dziwno nam, iżeć umrzeć kiedy dopuszczono!

I w innym jeszcze napisie (jest ich pięć):

> Twój grób widzimy Pani, zacnych królów plemię,
> I cnót świętych przybytku! z dziwem: czemu ziemię
> Bóg tobą lub ozdobił, lubo osierocił?...

O małżonku zaś téj znakomitéj pani, Janie na Stymberku z Rostkowa, powiada Paprocki, jako: „dla wielkiéj stateczności w sprawach, także i godności, w *interregna* (2) był kandydatem *Regni*;“— a tak, po dwakroć, jak tego godna była (a co oby się było stało!), mogła być królową. Mąż przeżył ją tylko o rok jeden.

W dalszym ciągu tego grobowego pamiętnika, napotykamy jeszcze trzy epitafy na zgon Zofii Kostczanki (3), która umarła w dni parę po śmierci swéj macochy. Wszakże i te, raczéj ku téj saméj nieodżałowanéj pani, uwielbienia poety są świadectwem. Bo oto jak w jednym z nich opowiada zmarła wojewodzianka swego krótkiego życia koleje:

> Zwyczaje, dom, urodę, kiedym była żywą,
> Kto znał moje, musiał mię sądzić za szczęśliwą.
> I samam na fortunę narzekać nie śmiała,
> I na onczas, gdym wdzięcznéj matki postradała.

---

(1) Wzorze.

(2) To jest, jak się zdaje dwa razy: po Zygmuncie Auguście i po Henryku.

(3) Urodzona z Jadwigi Przerębskiéj, pierwszéj żony wojewody Sędomirskiego. W tym względzie pomyłka jest u Paprockiego, który twierdzi, że z Przerębskiéj było tylko dwóch synów.

Bowiem ojciec nie dał znać sieroctwa, i trochę
Potrwawszy, równą matce dał mi Bóg macochę.
A snać-ci by był Tenże chciał wieków przedłużyć,
Mogłam lepiéj, niż matki, jéj dobroci użyć.

W innym znowu powiada niby do macochy: Czemuś mię wyprzedziła?

Czy mi chcesz być przewodnią? Nie było potrzeba—
Wiem ja z twojéj nauki, gdzie droga do nieba.

Z kolei ku rodzinie Starzechowskich przejdźmy.

Ci, jak się już wyżéj wzmiankowało, z Kostkami w bliskiém powinowactwie byli. A mianowicie, iż Wojciech, starosta Wyszogrodzki, miał za sobą cioteczną siostrę Zofii Kostczynéj (1). Aleć zaprawdę, godni byli tak świetnego połączenia. Pochodzili oni od Wojciecha „wielkiego męża" (jak go zwie Paprocki), którego „braci kilku w Sokalską bitwę zabito"—a ten miał sobie zlecony Bar pograniczny „przeto, aby się przy nim miasteczko przespiecznie sadziło." Był on kasztelanem a potem wojewodą Bełskim. Syn jego Jan, którego właśnie opłakuje Szarzyński „prawy pan i obrońca Rzeczypospolitéj, był wielki chlebodawca ludziom rycerskim, które i znacznie opatrował. Wielki a znaczny ratunk przeciwko poganom z niego one kraje (to jest Podole, którego był Wojewodą) miały." Po tym zostało dwóch synów. A najprzód, tylko co wspomniany starosta Wyszogrodzki. „O tego dobroci, hojności przeciwko ludziom stanu każdego, by się wszystka prawda wyliczyć miała, wielką-bym ci w tem zabawę uczynił"—tak prawi Paprocki.—„Pomagając chudym do dobrego mienia, ratując ich wedle możności i panosząc, nałożył na to więcéj, niż przez sto tysięcy (2); ojciec wszystkich chudych pachołków był to wieku mojego; mało żadnemu dać nie umiał... W interregna wiele a pożytecznie Rzeczypospolitéj służył—po króla Stefana do Węgier jeździł... potrzeby żadnéj za tego króla nie omieszkał." Stanisław zaś, drugi syn wojewody, podkomorzy Przemyski, „dobry, cnotliwy, a bardzo pożyteczny sługa i stróż Rzeczypospolitéj, był (jak się już wyrzéj rzekło) człowiek uczony, ludzie uczone miłował i przy sobie je bawił." Więc i ci dwaj, podobnie jak powyżéj Kostkowie, z których jeden rycerskiemi sprawy a drugi naukami się bawił, rzec można, podziałem pracy wzajemnie się dopełniali—taka to snadź w owym czasie, może i mimowolna, w możnych rodzinach, ku tem

(1) Z domu Łaska, urodzona z Odrowążówny, siostry rodzonéj ojca Zofii.

(2) Po dzisiejszemu do miliona.

większemu pożytkowi rzeczy publicznéj, zdarzała się zmowa. — To tedy wszystko gdy na uwagę weźmiemy, powtarzam, żadną miarą Sęp, ludzi podobnych opłakujący, panegirystą nikomu się nie wyda; owszem, wielką nawet powściągliwość w tym razie u niego uznamy; bowiem niewątpliwie, w tym złotym sztuki naszéj okresie, nawet żal głęboki pod miarą jeszcze głosić umiano. Nie tak-to w późniejszéj dobie, kędy za lada jurgielt, na cześć nic nie sławnego chlebodawcy zawstydzano największych starożytności bohaterów: że ci nawet ani marzyć mogą o dorównania jego chwale. W obecnym razie, stosunek Sępa, do tych, których on wielbi, o wiele nawet jeszcze szlachetniéj się przedstawia, gdy zważymy, że on nigdy, od nikogo z takich, nic oprócz chléba duchowego, jako żywo nie wziął (1). Zaczem téż i dzieląc z niemi ich boleści, widocznie, raczéj potrzebie serca własnego był posłuszny, niżby go o jakąś spłatę zaciągniętych zobowiązań posądzać się godziło. Znać to nawet ze sposobu, w jaki on się z tego wywięzuje.

Jakoż i w tym razie, poprostu powiada tylko, naprzód w synów imieniu (Epitaphium D. Joanni Starzechowski):—Ten tu oto kamień grobowy (choć woleliby sami cię pod nim zastąpić), synowie smutni ci kładą, Starzechowskich imię na nim pisząc, które jest godne na marmurze być wyryte. Z tobą broń twoja dzielna i dłoń z szczodrości znana. O ty Podole sieroce! jakże ty z owéj straty jęczysz!— Od siebie zaś, w innėm miejscu:—Niestety! nie było ci znaczono,

...by dłużéj służyły
Wdzięcznéj ojczyźnie twe sprawy poczciwe,
Które tak długo będą pamiętliwe,
Jak mądrym w radzie, tak mężnym we zbrojéj,
Dokąd, dzielności poruczone twojéj,
Szerokie potrwa Podole....

Prócz owych dwóch, znajdujemy tu jeszcze cztery inne napisy dla Marcina Starzechowskiego, dziecięcia, która żyło zaledwie godzin trzydzieści. W tych przebija serdeczne współczucie niemal rodzinnego smutku. Nie wiadomo, którego z dwóch braci Starzechowskich dotknęła ta strata,—ale snadź był to potomek męzki wielce upragniony, jak to wnosić można z następnych słów poety:

Długa nadzieja, radość krótka, żal płaczliwy
Rodziców swoich, leżę tu. .

---

(1) W zbiorze Finkla, jest tylko ślad zaciągniętéj przez niego pożyczki w ilości 847 zł. na rok jeden, u niejakiego Kiernera, domownika rodziny Starzechowskich.

Streszczając wreszcie uwagi moje o tym dziale poezyi Sępa, raz jeszcze nacisk na to kładę, że z nich, niby z pamiętnika rodzinnego, stosunki jego społeczne dokładnie widnieją;—dla domu Kostków uczucie synowskie tu przeważa, dla Starzechowskich zaś braterskie.

§ 6. Duma o Herburcie, o Strusie, i o Bolesławie Śmiałym. Pochwały króla Stefana.

Przy owem, tak wysoce właściwém Sępowi, usposobieniu elegijném, nic dziwnego, że i tych parę poematów, które mu u mniéj go znających miano bohaterskiego poety zjednały, swym nastrojem, podobnież pod rodzaj epitafów podchodzą. W najlepszym razie, po dzisiejszemu się wyrażając, przystałaby im nazwa dum, w znaczeniu zwłaszcza, jakie im nadał Niemcewicz. Jest takich dwie.

Pierwsza *o Fridruszu* (Herborcie) *który pod Sokalem Zabit od Tatarów.*

Młodzieniec ten dziwnie popędliwego męztwa a małéj rozwagi, tak świadczy Bielski, z garstką nieliczną na Tatarów z zamku wypadłszy, znagła zewsząd obskoczony, nie widząc innéj rady, drogo życie sprzedać postanowił. „Rozpuściwszy tedy koń ze wszego skoku, dobrowolnie, jako jeden Kurcyusz Rzymski, skoczył między Tatary z drzewem (włócznią), bił się z niemi póki mógł sobą władać, a tam od nich rozsiekan.“ Poeta nasz tak rzecz o nim zaczyna:

Umysł stateczny i w cnotach gruntowny
Kto ma od Boga, żywie świętym równy;
Nie tylko wytrwa gniew szczęścia surowy,
Ale i łaską (1) wzgardzić jest gotowy.

Tysiąc jest tego przykładów—ale najżywszy, sam Fridrusz *serdeczny.* Ten bowiem

....jako z działa śmiertelnego
Kamień (2), płomienia gwałtem siarczystego
Z hukiem wyparty, jako przez wiatr rzadki
Leci przez ciała, dając im upadki—
Tak mężny Fridrusz, gniewy szlachetnemi
Zapalon, z zamku, z krzyki rycerskiemi
Wypadł, i przeszedł zastęp niezliczony,
Swą i Tatarską prawie krwią zjuszony.
Tam zaś, by tygrys, gdy swe baczy dzieci

---

(1) Tegoż szczęścia.

(2) Z działa śmierć niosącego kula kamienna (takich bowiem wówczas jeszcze u nas używano).

Między myśliwcy, choć strzał tysiąc leci,
Wpada w pośrodek, nie o ratunk dbając
Ale o pomstę, szkodzi i konając.
Taki był on mąż....

O nim to słusznie;

.....rzecze człowiek serca wspaniałego:
Z lepszém ojczyzny szczęściem, Wieczny Panie!
Racz mi naznaczyć tak prędkie skonanie.

Druga duma, opiewa zgon zaszczytny *Strusa* (Stanisława), *który zabit na Rastawicy* również *od Tatarów.* Klęskę tę zbliża poeta z porażką pod Kannami, podobnie jak i męztwo swego bohatera z niezłomną odwagą rzymskiego Emiliusza. Godna bowiem uwiecznienia

Sława tego, który z samém nielękliwie
Potkał się nieszczęściem, i stałą krwawemu
Pokazał zwycięzcy twarz....
Bo gdy mu ktoś radził głupie sprzyjaźliwy,
Aby jako drudzy zbiegł w chwile złośliwéj,
Rzekł:—ty folguj czasom chceszli, a ja mojéj
Sławie będę godził. Nie tylko we zbrojéj,
Jest śmierć i na łożu. I tak pierzchliwego
Śmierci grzbiet jest odkryt, jak piersi śmiałego.
Nie wydam swych przodków (1)! Za Rzeczpospolitą
Upadek, ofiarą, da Bóg, znamienitą—

Tylko co to powiedział, podobien lwu zewsząd obskoczonemu, który wszystko w koło siebie wytraciwszy, zdaleka jeszcze tak jest straszny, że

....wszyscy natrzeć serca nań nie mają,
Tylko mu zdaleka rany podawają,
On zemdlon, ostatniéj już pomsty pożąda,
I w kimby ząb martwy zostawić pogląda.

Tak się właśnie sprawił on Strus, którego nasz poeta poprostu tylko „poczciwym i nietrwożnym", podobnie jak poprzedniego „ser-

---

(1) Nie zdradzę. Tego Strusa, we Fraszkach Kochanowskiego (49 ks. III) znajdujący się nagrobek, zaczyna się od słów następnych.

Nie nowina to Strusom na wszelaką trwogę
Ciały swemi zawalać złym pohańcom drogę.
Tak dziad zginał, tak ociec, tak moi stryjowie—
Tenże upad i mojéj naznaczon był głowie....

decznym" nazywa. Poprzednio już zaznaczyłem, to jego uznania godne, w najżywszych nawet uniesieniach, stylowe pomiarkowanie.

Do działu tego należy również bardzo piękna duma łacińska nad grobem Bolesława Śmiałego, jakbądź nosi ona skromną tylko nazwę epitafu. Oto jéj przekład. „A więc tak chciały losy, przemożny bohaterze! niegdyś królu i niezmierna chwało narodu Sarmatów!—abyś oto, zdala od ojczyzny, odrzucony, spoczywał w lichym prochu, podłym chwastem porosły, wśród gór bezdroży! Niestety! jakże to szczęście niestałe nikomu do końca nie służy! Otóż, co spotkało tego, którego umysłu oraz niezwyciężonéj prawicy bitne Germany bały się jak ognia—do którego rękę wyciągała ludna ziemia Pruska—i któremu, na wszelkie sposoby zapalczywie się broniąc, po siedmioletniéj wojnie, uległ wreszcie Kijów. Również i tobie, Pannonio świetna! wygnane narzucił pany—także potężnego jego zuchwalstwa zniszczona doznała Bohemia.—Cześć tobie z wielkiego umysłu, ale cześć jeszcze większa: żeś ty, głosowi ojczyzny powolny, słusznym zaprawdę pałając gniewem, ukarał świętokradcze gniazd ojczystych kalanie!—Jakim przeto umysłem dobrowolne wygnanie i poświęcone przyjąłeś ubóstwo, takim obyś był i odwrotne zniósł losy, które cię popchnęły ojczystemi następnie wzgardzić prawami, żelazo ci srogie krwią świętą napawając! Aniby teraz niesławne puszcze ukazywały narodom kości twoje w lichéj porzucone mogile,—ale raczéj Sarmacya-by je cała zewsząd oglądać mogła kunsztownym okryte marmurem, usypawszy nad niemi kopiec, wierzchołkiem przenoszący Karpaty."

Czytającemu tę dumę, koniecznie nastręczyć się musi spostrzeżenie, wykazujące w bardzo dodatniem świetle obywatelskie naszego Sępa uczucia.

Już bowiem w samym wyborze tego przedmiotu widnieje cecha niepodległości sądu, ponad uprzedzeniami wieku swego znacznie górującéj. A toćże on tu, ni mniéj ni więcéj, tylko, tem tkliwém wspomnieniem, wyraźnie pragnie oczyścić z rdzy wiekowéj, słońcem niegdyś błyszczącą zbroję, jednéj z najwspanialszych w przeszłości naszéj postaci. Zdobył się tu nawet na odpowiednią siłę wyrażeń i rytmu, czego w przekładzie zaledwie ślad słaby zachować się dało...

W ogóle, wielką on miał skłonność godnie wielbić wszystko, co wzniosłe. Ztąd nic dziwnego, że go téż i król Stefan wielce przemożnie za serce ciągnie. Nim się on niewymownie cieszy, wszechstronnie niby oglądając sobie tę kosztowność, i tak ją sławiąc, jak tylko może i umie. Sądzę, że i tu również panegirystą on się nam nie wyda. Po zgonie bezdzietnym ostatniego z Jagiellonów, a daléj po

tych dwóch bezkrólewiach, przegrodzonych mięsopustném zjawieniem się Henryka (na czem pewnie cała młodość Sępa spełzła), wiemy to przecię, jak dalece opatrznościowem był zjawiskiem ten mąż niezłomny, o którym słusznie powiedziano, że przed nim nierząd „jako gołąb′ przed sokołem, od gniazda do gniazda ulatował.“ Oto wiersz, ułożony prawdopodobnie zaraz po wstąpieniu na tron tego króla. W nim zdaje się Sęp wypowiadać nieomylne całego narodu otuchy, od owych czasów niemal nową erę znacząc.

Niebo koroną, mężnym ojczyzna go zowie,
A my go wyznawamy królem, Sarmatowie.
Bóg, ojczyzna, postronni, tak go zdobią społem;
Że mu inszym nie trzeba sławić się tytułem;
Lecz nam tuszy ten umysł każdéj cnoty żyzny,
Iż go ojcem nazowiem téj nowéj ojczyzny!

W innym (łacińskim), stanowiącym niby napis pod portretem króla, dary mądrości w nim wysławia:—Oto jest—powiada—rysów bohatera nader wierne powtórzenie. Co za majestat! co za bojowa postawa! Jednak zbłądziłbyś, sądząc go z téj powierzchowności w obyczaju srogim. Przeciwnie, nic nadeń łagodniejszego—a do tego uczoność jego znając, rzekłbyś bez wahania, że to raczéj Minerwy, niźli Marsa uczeń.

Ale nadewszystko w pieśni VII go wielbi.—Królu! (tak mówi) ciebie

....Łaski swojéj
Pan naczyniem uczynił, w pokoju, we zbrojéj;
Ale szczęście przejrzane (1) iż ma każda strona,
Tu cię Bóg wzniósł, gdzie jeszcze nie próżna obrona (2)
Dzielność twoja być może, królu niezmożony!
Królu i z twéj natury, nie tylko z korony!
Bo kto ciebie nie mniejszy? prawie bez równości
W radzie, w mowie, w dowcipie, w umysłu mierności!
Kto równie sprawiedliwy? kto łaskawy? Ale
Twe własności kto zduża (3) śpiewać, doskonale
Morski huk głosem przemódz może...

Lecz nadewszystko

....we zbroi zdasz się najpiękniejszy.

Boś ty uosobiony i porządek, i rozwaga, i męstwo błyskawiczne, i czujność, i cierpliwość—

---

(1) Przeznaczone.
(2) Nie próżną obroną.
(3) Kto potrafi.

Tyś jest przedni: król, hetman, rycerz pieszy, konny...

Za twym przykładem, wytrzymać łatwo: i zimna, i słoty,

I głód, i bezsen, i proch (1), i błota, i lasy..,
Tyś wskrzesił naszą sławę...
O! bodaj późno, w Niebie, twojéj godną cnoty
Koronę gotowano!...

Jak zaś rozumiał powołaną wyżéj sławę, widziéć to można z pieśni IV (o Cnocie szlacheckiéj), gdzie powiada:

Droga ku sławie, w sławnym urodzenie
Domu, nie sama sława. Przeto w cenie
Kto chce być, (2) porzuć nikczemne zabawy—
Nie na herb przodków patrz—ale na sprawy!

Da pospolite prawo nieskończone
Imię swym stróżom; dadzą obronione
Granice, zbroją koronne poczciwą,
Od zdradnych sąsiad, chwałę wiecznie żywą (3).

§ 7. Próby poezyi miłosnéj.

Z pozostającego jeszcze działu rozmaitych pomniejszéj wartości drobiazgów, bądź co bądź, wyróżniają się, dla zasługi swéj nowości, dwie próby poezyi miłosnéj—ale to już wyłącznie Kochanowskiego królestwa. On ją stworzył, on też w niéj tak swobodnym jest mistrzem, że tylko naśladować go było można; ale iść z nim o lepszą, ani sposób. Sęp i tu, jak i gdzieindziéj, o własnych siłach kroczy, ale widocznie zakłopotany, nie swój, nie u siebie. Forma tych jego usiłowań jak zawsze gładka, poprawna—jednak, czego gdzieindziéj u niego nie spotkać, mitologii tu nader dużo, a z nią i szumu klasycznego podostatkiem. W jednéj z tych poezyi, sprowadza z Cypru królowę wdzięków, ażeby się naocznie przekonała, że nie byłoby przyszło do nieszczęść Trojańskich, gdyby, zamiast trzech bogiń, Parys był ujrzał kogoś, o wiele od nich wszystkich piękniejszego. W końcu wyznaje, że właśnie temu komuś

....k'woli,
Serce go boli.

Druga, wyraźnie już (choć być może równie jak i poprzednia) wyśpiewana jest na cześć (k'woli) panny Jadwigi Tarłówny. O téj,

---

(1) Kurzawę.

(2) Kto chce być ceniony.

(3) Prawo zapewni nieśmiertelne imię tym, którzy go strzegli; mężna zaś granic koronnych od zdradliwych sąsiadów obrona da sławę poczciwą wiecznie żyjącą.

czytamy u Paprockiego, jako „w stanie panieńskim była szczęścia takowego, dla pięknych spraw a obyczajów, że panowie postronni z Węgier, z Wołoch, starali się o nią do stanu małżeńskiego; jakoż, już była od króla Augusta obiecana Bogdanowi wojewodzie Wołoskiemu, czego Pan Bóg obronił, dopuściwszy różne nieszczęścia na onego pana (1).“ To wszystko o niéj wiedząc, równie tu, jak i przy epitafach było, o panegiryzm posądzać Sępa nie będziemy. Dodamy wszakże, iż panna bardzo też powabna być musiała. Śpiewa bowiem o niéj:—że jest jak Diana czysta, jak Wenus piękna, wdzięczna jak Charyty, jak Minerwa roztropna; wielbi ją także „gdy lilianą ręką bije w struny.“ Zresztą, mimo całego klasycznego przyboru, igranie tu i obrazy w stylu czysto włoskim, jak się to już wspominało poprzednio.—Niech sobie kto chce mordercze wysławia boje, tak mówi poeta—ja oto śpiewać wolę

....wojny pustego
Spokojne dziecka, które zawżdy swoję
Na rozpalonéj skale ostrzy zbroję (2),
Albo płacz śmieszny nieważnéj ciężkości,
Która przy trudnéj (3) tuż chodzi miłości—
A zawsze ciebie naprzód przed innemi
Panno!....

I wreszcie w zakończeniu

Ozdobo ziemie—szczęśliwy! szczęśliwy!
Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy,
Komu cię Hymen słowy statecznemi,
I pochodniami przyłączy wiecznemi!

Jakoż, wyszła niebawem za Hieronima Sieniawskiego, wojewodę Ruskiego,—ale bodaj czy to nie ona tą była, ku któréj serce naszego Sępa rozbolało...

§ 8. Usprawiedliwienie zdania o Sępie współczesnych. Zestawienie go raz jeszcze z Janem Kochanowskim.

I oto wszystko już, co nam po Sępie zostało. Nie wiele to—szkoda, że nie więcéj, cóż robić—bądź co bądź, lwa, jak to mówią, nawet po śladach szpon jego poznasz. Więc kiedy z baczeniem pilném raz jeszcze roztrząśniemy sobie w myśli całéj téj szczupłéj po Sępie puścizny bogactwo, to koniecznie, myślę, słuszność przyznamy

(1) Mianowicie: iż go wygnał z hospodarstwa Iwonia.
(2) Broń.
(3) Pełnéj trudu.

zarówno temu, który o nim twierdzi, że gdyby był dłużéj pożył, znamienity mógł być z niego poeta; jak i temu, który go za najprzedniejszego po Kochanowskim uważa; jak i temu wreszcie, który go z nikim nie porównywając, poprostu przednim, to jest od razu znamienitym zowie. Gdyż zważmy tylko, żeć ten człowiek żył w czasach ogólnego dorobku, kiedy to taki nawet, jak Jan Kochanowski, pracownik, na to co zdziałał, półwiekowego niemal potrzebował wysiłku. Jeśli tedy, równie od niego, jak i od nikogo, nic nie wziąwszy, w tym nader krótkim życia swego zakresie, tyle i tak okazale, jak się to widziało, z głębin ducha swego wysnuł,—to juściż wnioskować można, że w dalszym swoim pochodzie, gdyby mu ten nie był przecięty, ciągle ku górze idąc, istotnie mógł dosięgnąć szczytu.

Czy go zaś po Kochanowskim za najcelniejszego uważać się godzi? w tym przedmiocie, dla próby, zbliżmy z sobą chwilowo obie te potęgi. Poprzednio już, wyróżniliśmy w dziale pieśni Sępa jedyny psalm, będący dosłownym przekładem. Na tém tedy wspólném polu, postawić ich obok siebie możemy.

PSALM LII.

Quid gloriaris in malitia, qui potens es in iniquitate.

Kochanowski.	*Sęp.*
Co się chlubisz niewstydliwy Z niecnot swoich? jest Bóg żywy, Który świat i ludzkie rzeczy Ustawicznie ma na pieczy.	Czemu się chlubisz tyranie Z twoich praktyk złością możnych? Pańska dobroć nie ustanie Pilnować ludzi pobożnych.
Myśli twoje są zdradliwe, I postępki niewstydliwe, Język ostry brzytwie równy, Nieprzyjaciel dobrym główny (1).	Ostrzejszy nad naostrzoną Brzytwę język twój, pilnuje Nieprawdę zmyślać szaloną; I na dobre potwarz knuje.
Niecnotę cnocie przekładasz, Imo prawdę kłam powiadasz, A cokolwiek ludzi gubi, To samo twe ucho lubi.	Milszać złość, niż cnoty święte— Milszyć kłamca, niż prawdziwy— Rado oko twe przeklęte Patrza zdrady zaraźliwéj.
Przeto cię téż Bóg na ziemi Nie zcierpi między żywemi, Ale cię i z domem twoim Wykorzeni w gniewie swoim.	Przetoż cię Pan Bóg wyrzuci Z pośrodka ludu swojego, Starwszy cię na proch, wywróci I dom twój z gruntu samego.

(1) Największy dobrym ludziom nieprzyjaciel.

A dobrzy patrząc z daleka
Na upad złego człowieka,
Będą się tym więcéj bali,
Ale będą się i śmiali.

—Otóż (rzeką) on, co w złocie
I co ufał w swéj niecnocie,
A w Bogu nie kładł nadzieje—
Dziś widzim: co się z nim dzieje.

A ja, jako osobliwy
W domu pańskim krzak oliwy,
Kwitnąć będę, bom na wieki
Wdał się do pańskiéj opieki.

Miéj dziękę, dobrych obrońca,
A złych zkaźca (3)! ja do końca
Chcę czekać Twéj łaski świętéj,
U twych wiernych zawżdy wziętéj.

Na to patrząc ukrzywdzony,
Zlęknie się pańskiéj możności,
A iż nagle zły skażony (1),
Rozśmieje się w przespieszności (2).

Rzecze: Onoż on, co w złocie
Ufał, w mocy, w chytréj sprawie,
Z płaczliwych się śmiał w kłopocie,
Zapomniawszy Boga prawie.

A ja, drzewo jak oliwy,
W ogrodzie pańskim wszczepiony,
Kwitnąć będę nielękliwy,
W nadzieję z Nieba obrony.

A Ciebie przed wszemi, Panie,
Wyznam skaźcą nieprawości,
I mając w tobie ufanie,
Zniosę wszelkie doległości!

Porównywając te dwa przekłady, przedewszystkiem zaznaczyć wypadnie, że język u Sępa wygląda o wiele naszych czasów bliższy, co zresztą dziwić nie powinno, praca bowiem Kochanowskiego przynajmniej o jaki lat dziesiątek może być dawniejszą (4), w owych zaś czasach nadzwyczaj skrzętnéj około języka roboty, lat nawet kilka widoczną stanowić może różnicę. Ale co już na dobre osobistym Sępa jest nabytkiem, czy też wrodzoną właściwością, to niepoślednia swoboda formy, umiejętność władania lirycznemi zasobami, tychże wielka obfitość, smak czysty, wdzięk stylowy i w ogóle siła poetyczna, bardzo uderzająca przy prostocie Kochanowskiego, która, jak w obecnym razie, dość jest nawet prozy bliską. Nie chcę daléj posuwać porównania: Kochanowskiemu ze wszechmiar, jak wiemy, współzawodnik nie przystoi. Obecnie, chciałem jedynie wykazać, że jeśli kto kiedy godzien był do miary stanąć z tym olbrzymem, to tylko Sęp ten ledwie dorywczo nam znany, gdyby był—jak powiedziano—lat swych dalszych dożył. Jednak, i takiemu jakim nas doszedł, sądzę, że bez wahania dać możemy miejsce tuż po Kochanowskim, boć i to przecię zaszczyt już nie mały.

---

(1) Z tego zaś, że nagle zły został pohańbiony.

(2) Ukrzywdzony rozraduje się, czując się bezpiecznym i rzecze....

(3) Pohańbiciel.

(4) Trzecie wydanie psałterza, podług prof. Przyborowskiego, nosi już datę roku 1578.

§ 9. Streszczenie poglądów i zakończenie.

Streszczając wreszcie wszystko to, cośmy dotąd o osobie Sępa i jego skromnéj działalności do powiedzenia znaleźli, raz jeszcze przyznać wypadnie, że się nam ta postać, na tle swojéj epoki, bardzo wyjątkowo przedstawia.

W istocie, jestto dziwne zjawisko ten człowiek tak głęboko uczuciowy, w pośród gwarnego obyczaju ziemiańskiego, pół obozowego pół dworskiego—ten tak chroniący się w siebie, wpośród ludzi, którzy całkiem na zewnątrz żyli—ten taki bierny, wpośród działalności wszelkiéj—ten tak trwożnie pobożny w czasie, kiedy się hasłem niemal stało wiarę swą probierzem rozumu na różne sposoby doświadczać. Być może, właśnie ujemne działanie tych wszystkich wpływów cofnęło w siebie ten umysł wrażliwy; ale najprędzéj podobno dopomogło mu w tém, z życiem jego zrosłe, a tak w epoce owéj wyjątkowe, marzycielskie usposobienie.

Już na świat przyszedł w warunkach z przyszłą jego dolą całkiem sprzecznych, w otoczeniu zaprzątnień przyrodzie jego ducha po prostu wstrętnych, sumienie jego mocno niepokojących, zresztą tuzinkowych, poziomych i zapewne niezbyt przyjaźnie przez ogół cenionych. Następnie, nauka i wychowanie przesadziły umysł jego w grunt odpowiedni, w którym on co prędzéj chciwe zapuścił korzonki, wybujał i zakwitł. Zawiązane tam stosunki wyrobiły mu położenie towarzyskie, o wiele wyższe nad sferę, w któréj się urodził. I oto, do zaścianka ojcowskiego znowu mu wracać przyszło, wykolejonemu i podobnemu do orła ze złamaném skrzydłem. A był i tak już do zniechęcenia skłonny—więc czyliż dziwno, że nie tylko z okolicznościami ale i z sobą walczył, i bywał różnie targany? Bowiem w szkole, w któréj się kształcił, przykładem własnym uczono go zaparcia się siebie. Więc wyniósł stamtąd uczucie czyste i ducha ofiary, sam już z urodzenia mając w sobie nieuleczoną do ideału tęsknotę. A tu i prozę kłopotów powszedniego bytu znalazł, zewsząd w koło siebie dojmującą; i pewnie tysiączne braki duchowe tego, co już był nawykł uważać za niezbędną życia potrzebę; i także ten rubaszny żywot ziemiański, swéj swobody nadmiarem rażący jego pańskie wydelikacenie.

Z téj to przyczyny, spotykamy w nim, nie łatwe do pogodzenia z sobą, prac duchowych objawy. Cichy jest i jednocześnie namiętny, skupiony w sobie a razem na zewnątrz uwagi pełen, spokojny w swém rozmarzeniu a niesforny w ciekawościach, głęboko pobożny a oraz—rzecz dziwna—wątpiący. Któż odgadnie jego refleksyi genezę, a dopieroż jéj przebieg i zwroty? W jedném miejscu bardzo znacząco

wyznaje, że jest „rozdwojony w sobie.“ Indziéj, niemal śladem Salomonowego grzesznego upadku, mimowolnie wydziera mu się z piersi wykrzyk bolesny:

> Niech moja łódź, gdzie pędzi wola Boża, bieży,
> I przy brzegu, który mi Bóg naznaczył, stanie...
> *Jeśli nie jest bezportne ludzkie żeglowanie.*

A przecież, tak on pogodnie zwykle po za grób spogląda, tak mu tu na ziemi nie sporo i tak mu pilno gdzieś daléj. Rzekłbyś: z własnym demonem za bary się on jąwszy i nie mogąc mu dać rady, do stóp krzyża przypada, i obejmuje go z rozpaczą, i ratunku woła, na gwałt w dzwonek Loretański bijąc, który, według wiary prostaczéj, burze zażegnywa. Bo też i te jego bezwiednie zdradliwe szemrania, mruczą już tylko, na podobieństwo oddalającéj się, a może już nawet przyciszonéj nawałnicy. Pilnie je nawet w ducha głębiach przydusił—tak przynajmniéj sądzi — ale cóż z tego? — niecierpliwy bywa, a pokusa nie śpi...

Jest-to niezmiernie ciekawy okaz obłożnie choréj duszy, zmuszonéj własnym swoim być lekarzem. Spowiada ona głuche cierpienia i zaleca odpowiednie im balsamy, ale wołającym na pustyni głosem, który jednak, potęgą swoją poprzez trzech wieków śpiącą ciszę sięga.

Tak jest, Sęp w swoim czasie był anomalią osobliwszą—i dziwże tu, że go szczupła tylko garstka bliskich rozumiała i że się lat dwadzieścia na wydobycie z ukrycia wyrobów jego ducha zbierano? W obecnéj chwili już on podobno także nie dzisiejszy; ale nie dawno temu, kiedy jeszcze poezyi naszéj wielka tryjada w pełni przyświecała, nie był on jéj obcy. Z tych jeden szczególnie, swym duchem lecącym w nieskończoność, wydaje nam się bardzo mu pokrewny. Każdy zgadnie, że tu mowa o autorze Przedświtu. Bo nawet i tęsknoty Sępa, i jego spokój ten taki wypłakany, i myśli ciąg i ich wymowa, są również jak u tamtego jakieś wielkopańskie. W tym względzie, dość go zbliżyć z Janickim. Syn ludu, także jak on przedwczesnym zagrożony zgonem, więcéj jednak fizycznie niż moralnie cierpi, silnie ziemi się trzyma, umieraćby w żaden sposób nie chciał; paniątko zaś pieszczone, na podobieństwo zemdlonego kwiatu, w biernéj pokorze skroń schyla, obrachunek sumienia czyni, ostatnią swoją wolę przekazuje, i niczego nie żałując, ze świata się wybiera. I tamten jest realistą, u którego nic niedopowiedzianém nie zostało—ten zaś mistyk, ale dający dużo do myślenia. Więc nawet po dzisiejszemu na zimno go sądząc, przyznawszy mu, że miał wyobraźnię gorącą, duszę tkliwą, serce kochające, jeszcze i to za zasługę mu się policzy, że jego muza ego-

tyczną nie jest, że zamiast coby miał, jak wielu innych mniéj od niego moralnie udręczonych, osobistemi tylko cierpieniami drugich zaprzątać, on raczéj zbiorowe boleści odczuwa, głęboko źródła się ich dobadywa i w świadomości siebie ulgę dla nich obmyśla. Więc tu uznać znowu należy poglądu jego jasnowidztwo, równowagę myśli, poczucie rozsądnéj miary i w ogóle właściwości, nie tylko w jego czasach, wyjątkowe.

I wydaje mi się to nie tyle ze stanowiska sztuki osobliwém, że on taki w sobie skończony, gdyż zaprawdę, nieprzeparty prąd postępu owych czasów, z tajemniczych społeczeństwa pracowni, wydobywał na wierzch ludzi od razu gotowych; ale doprawdy godne jest dla mnie podziwu to jego takie przedwczesne rozmarzenie się i tęsknota, będące, jak wiadomo, jedną z cech tak zwanéj naszéj romantyczności—a także ten w nim pierwiastek czysto abstrakcyjny, to uzdolnienie do uczuciowéj refleksyi, nie znane i nie odczuwane ani przed nim, ani za jego życia, ani nawet po nim, aż chyba w czasach, których już pamięć nasza sięga. Bo, że Kochanowski, w danéj chwili, bolesne Treny z duszy swéj wypłakał, że w nich głębie własne przepatrując, z padołu niedoli do nieba tęskni, stało się to, jak wiemy, wyjątkowym ducha uciskiem; ale nie było, jak u Sępa, wrodzonego usposobienia, a daléj pracy wewnętrznéj, wynikłością.

I kiedy nad tem dumam, Grottger mimowolnie staje mi na myśli. Temu, nawet uśmiechała się młodość, miłość, rozkoszne wrażenia, rozgłos szeroki. A przecież, serce miał rozbolałe, i mówiono o nim: przy bogactwie podobném, skąd on taki smutny? I podziwiano w nim ogrom zasobów piękna, z których nazbyt krótkiéj rozrzutności nie jeden mniéj nawet zwyczajny człowiek miałby do syta jeśli nie nad miarę, i z żalem obliczając szczupłe po nim dziedzictwo, zapuszczano się w domysły:—jak on to wysoko byłby wybujał, gdyby mu lata nie zostały skrócone?—

—Tak to i o Sępie prawią współcześni:—by był doszedł lat swych, byłby całkiem znamienity.—A tym czasem, prawdopodobnie, oba oni, w tym niedługim pozornie przeciągu, całość życia swego wyżyli; w tem zaś, jak mniemany, niedopowiedzianém swojem słowie, wyrzekli wszystko, co tylko do wypowiedzenia mieli.

Felicyan.

OBRAZ FILOZOFII SPÓŁCZESNEJ.

W NIEMCZECH I HOLANDYI.

Gdyby kto, pół wieku temu, odważył się twierdzić, że naród niemiecki jeszcze niéma swojéj filozofii, albo że filozofia, którą jego metafizycy dotychczas uprawiali, niewiele warta, byłby się naraził na zarzut obskurantyzmu i odesłanoby go napowrót do szkoły. Nie trzeba nawet cofać się myślą o pół wieku; Niemcy dotychczas mają się za naród najfilozoficzniejszy na świecie i lada drobnostkę, traktują *gründlich und wissenschaftlich*. Sądzą oni, że inne ludy powinny się jeszcze długo uczyć, nim narodowi filozoficznemu choćby do kolan dorosną. W tém poczuciu własnéj wyższości znać dużo arogancyi, ale jest też sporo i prawdy. Życie umysłowe Niemiec rozwija się bujnie we wszelkich kierunkach, ku czemu sprzyja wiele korzystnych warunków, o których nie potrzebujemy tu mówić. Zajmuje nas w téj chwili tylko jeden kierunek, albo raczéj jedna gałąź téj pracy umysłowéj, mianowicie, spekulacya filozoficzna.

Otóż, co do filozofii spółczesnéj w Niemczech, trzeba wyznać, że lubo niemasz żadnego systematu, któryby był panującym i przeważnym, ani zapału takiego np. jaki się objawiał przed pół wiekiem; jednakże obfitość dzieł i rozpraw filozoficznych rozmaitego kierunku jest niewyczerpana. Wprawdzie są-to po większéj części reprodukcye dawniejszych systematów, szczególniéj zmodyfikowanego kantyzmu; ale praca nie ustaje, poszukiwanie prawdy i dróg do niéj wiodących nie słabnie. Niektórzy sądzą, że należy wrócić wprost do Kanta, inni go dopasowują do nowszych teoryj naukowych, inni chcą wracać jeszcze poza Kanta. Chwilowy rozgłos Hartmanna już przycichł, gwiazda jego blednieje, chociaż autor coraz nowemi książkami stara się ugruntować zbyt chwiejny pesymizm i swoję filozofią „wyzwolenia“ (*die Erlösungsphilosophie*). Materyalizm Büchner'ów

i Vogt'ów, tak głośny niedawno jeszcze, nie budzi obecnie ani tego zajęcia, ani takiéj opozycyi, jakie, lat temu dwadzieścia mniéj więcéj, były widoczne w literaturze niemieckiéj. I w Niemczech górę nad wszystkiemi prądami wzięły nauki fizyczne i przyrodzone, osobliwie teorya rozwoju: umysły znużone abstrakcyami zażądały strawy konkretniejszéj i posilniejszéj. Zwrot ten objawił się i w spekulacyi filozoficznéj; ci, co o jéj potrzebie i słuszności nie zwątpili, zaczęli ją wprowadzać na inne tory, wiązać z nauką, i dali jéj nazwę filozofii *umiejętnéj*. Podobne dążenie i prawie równocześnie spotykamy we Francyi, Anglii i Włoszech; metafizycy zmiarkowali, że jeżeli rozbrat filozofii z naukami daléj potrwa, jeżeli piasków metafizycznych nie użyźnią trochą empiryi, staną się niepotrzebni w rzeszy uczonéj.

Wyrazem tego dążenia do zbudowania filozofii umiejętnéj stały się pozakładane świeżo pisma peryodyczne: we Francyi *Revue philosophique* (1876), w Anglii *Mind* (1876), a w Niemczech *Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie* (1877). To ostatnie wydawane pod redakcyą R. Avenarius'a, liczy śród swoich spółpracowników lepsze naukowe siły niemieckie, między któremi spotykamy Wundt'a, E. Zeller'a, Schäffle'go i wielu innych, mniéj znanych za granicami Niemiec. Dawniejsze pisma peryodyczne uprawie filozofii w Niemczech poświęcone, ujrzawszy nowego spółzawodnika, podniosły protest, zwłaszcza przeciwko zarozumiałości téj nowéj filozofii, nazywającéj się ,,umiejętną", jak gdyby stara spekulacya była „nieumiejętną." Zarzucać filozofii niemieckiéj w drugiéj połowie XIX wieku, że dotychczas była nieumiejętną, toż-to herezya nie do darowania! Tak przynajmniéj osądził jeden z przedstawicieli fiiozofii idealno-realnéj *H. Ulrici*, któremu Avenarius dał w kilku artykułach owego kwartalnika porządną odprawę. Inni spółpracownicy tegoż pisma, jak np. F. Paulsen, zaczęli rozważać stosunek filozofii do umiejętności i okazali, że filozofia dawniejsza, począwszy od Arystotelesa, zawsze łączyła się z umiejętnościami i z nich życie swoje czerpała; że dopiéro od Kanta zaczęła stronić od nauki i doświadczenia, budując systemata *z czystego rozumu* i *à priori*.

Wzięto też w obronę *doświadczenie* (*die Erfahrung*), na które filozofia spekulacyjna patrzyła i dziś jeszcze patrzy, jako na źródło wiadomości gminnych, przydatnych, co najwięcéj, w stajni lub kuchni. Rozmaite znaczenia tego chwiejnego terminu (doświadczenie) roztrząsnął inny spółpracownik kwartalnika, mianowicie, Göring, w artykułach zatytułowanych *Ueber den Begriff der Erfahrung*. Słowem, pismo, o któróm mowa, stale i wiernie dotrzymuje obietnicy, co do uprawiania filozofii „umiejętnéj", gdyż w ciągu lat czterech

pomieściło długi szereg rozpraw oryginalnych z rozmaitych gałęzi nauk filozoficznych, nie poprzestając na oderwaném ich traktowaniu, lecz posiłkując się wszędzie rezultatami nauk doświadczalnych.

Tym sposobem widzimy w rozwoju najnowszéj metafizyki niemieckiéj dość dziwne zjawisko, tj. pobratanie się z doświadczeniem i z *nieczystym* rozumem. Było to jednak nieuniknioném; przed filozofią stała alternatywa: albo zwinąć chorągwie i przenieść się do muzeum starożytności, albo znów się skojarzyć z umiejętnościami i na nich oprzéć. Wybrano drugą alternatywę i jak sądzimy, uratowano spekulacyą filozoficzną od pośmiewiska wśród ludzi uczonych. Jeszcze wprawdzie i w téj umiejętnéj filozofii niemieckiéj dużo widać kantyzmu, jeszcze się poważnie rozprawia i łamie głowę nad tém, jak Kant rozumiał *das Ding an sich;* zawsze jednak już inny duch wieje, przynajmniéj w pracach tego kierunku, o którym mówimy.

W niniejszém sprawozdaniu o filozofii spółczesnéj w Niemczech, korzystamy z artykułu najznakomitszego jéj przedstawiciela, Wundt'a, uzupełniając go tu i owdzie wiadomościami zkądinąd czerpanemi, zwłaszcza co do samego autora i dzieł ogłoszonych po wydrukowaniu jego rozprawy w *Mind* (zeszyt VIII — 1877).

Kto przedsiębierze opisać główne prądy spółczesnéj filozofii niemieckiéj, mówi Wundt, ten powinien być przygotowany na zarzut ułożony w formie pytania: „Czy istnieją takie główne prądy? Czyliż raczéj nie należałoby powiedziéć, że są liczne drobne strumyki, z których każdy bieży swojém łożyskiem?“ Na pierwszy rzut oka takby się zdawało i pod tym względem spółczesna filozofia niemiecka wielce się różni od filozofii w pierwszéj połowie bieżącego wieku. Wówczas istniały wyraźnie różniące się od siebie szkoły, do których się zaciągał każdy zwolennik filozofii. Teraz zdaje się, że każdy pisarz dotykający przedmiotów filozoficznych ma swój własny system; a jeżeli który z nich trzyma się dawniejszych mistrzów, takich jak Kant, Herbart lub Schopenhauer, czyni to z rozmaitémi zastrzeżeniami, by nikt nie wątpił o jego oryginalności. Niejaki A. Spir wystąpił niedawnemi czasy z projektem wiecznego pokoju między filozofami, i roztrząsał na seryo warunki jego; ale zdarzyło mu się to samo, co się zdarzało i w polityce, mianowicie, że projekta pokoju nigdy się częściéj nie pojawiają jak w czasie wojny. Wynikiem projektu była gorąca polemika i rzeczy zostały po dawnemu.

Rozbrat opinij spotykany w spółczesnéj filozofii niemieckiéj można przypisać dwóm okolicznościom: z jednéj strony upadkowi sy-

stematów spekulacyjnych tak długo panujących, które wyrugował nowy pogląd na świat powszechnie przyjęty, a z drugiéj przeniesieniu filozofii z murów akademickich do większych kół publiczności, w szeregi ludzi ukształconych. Jakoż, na początku tego stulecia systemata filozoficzne najprzód ujrzały światło dzienne na katedrach uniwersyteckich i zyskały sobie gorliwych zwolenników między uczącą się młodzieżą, nim je publiczność w drukowanéj szacie poznała. Tak np. Fichte rozwinął swoję spekulacyą najprzód wobec audytoryum akademickiego; tak również kolejne fazy systemu Schellinga wzięły początek z odczytów uniwersyteckich; nareszcie i Hegla odczyty filozoficzne były bądź streszczeniem całego jego systematu, bądź niektórych części; albowiem umiał on nawet historyą filozofii wcisnąć w kleszcze swojéj dyalektyki. To samo stosuje się i do Herbarta, który na odczytach akademickich wykładał własny systemat metafizyczny, będący oraz podstawą jego psychologii. Uczniowie naśladowali mistrzów i tym sposobem metafizyka stała się głównym przedmiotem instrukcyi filozoficznéj w uniwersytetach niemieckich. Zagarnęła ona w swoję służbę psychologią, etykę, estetykę i filozofią natury; logikę również traktowano bądź jako część metafizyki, bądź jako propedeutykę do niéj. Na historyą filozofii mało zwracano uwagi. Na co zresztą przydać się może wiedza historyczna, jeżeli wszelka i cała prawda mieści się, jak sądzono, w czterech ścianach szczegółowego systematu? Dopiéro mistrzowski, lubo jednostronny wykład tego przedmiotu przez Hegla zapewnił mu trwałe stanowisko w kursach akademickich.

Przyjrzyjmy się teraz nieco wykładom filozofii po uniwersytetach niemieckich, rozumiejąc pod tą nazwą nietylko szkoły wyższe we właściwych Niemczech, lecz wszystkie, gdzie w użyciu jest język niemiecki. Otóż widzimy najprzód, że nie masz nigdzie żadnego głośniejszego metafizyka, któryby, jak to było niegdyś, gromadził koło siebie setki słuchaczów i stanowił szkołę; powtóre, statystyka lekcyj pokazuje, że największą stosunkowo liczbę godzin zajmują wykłady historyi filozofii, następnie logiki, późniéj psychologii, a dopiéro na końcu etyki i metafizyki. Ta przewaga historyi filozofii nadawana, jest faktem znaczącym, albowiem wskazuje zużycie się metafizycznych systematów i zupełny przewrót w spółczesnéj instrukcyi filozoficznéj. Dawniéj trzymała prym metafizyka; profesor filozofii powinien był mieć swój własny systemat, a jeżeli go nie miał, zaciągał się pod chorągiew głośniejszego mistrza i objaśniał go słuchaczom. Teraz metafizykę traktują historycznie i krytycznie, to znaczy, że ją mają za umiejętność przebrzmiałą. Równocześnie zwolennicy filozofii zajmują się więcéj logiką i psychologią, to jest nauka-

mi, które dzięki uznanéj niewielkiéj liczbie zasad i faktów stoją niejako po nad systematami, i pociągają ku sobie swojém praktycznêm znaczeniem. A znowuż z tych dwóch ostatnich nauk przewagę ma logika, co można-by tém objaśnić, iż łatwiéj obchodzi się bez metafizyki niż psychologia. Jeżeli zaś oba te przedmioty razem wzięte mniéj liczą godzin i słuchaczów, niż historya filozofii, pochodzi ztąd, iż je wykładają w wyższych klasach gimnazyów. Nie znaczy to, żeby uczniowie kończący gimnazya dobrze się zapoznali z logiką i psychologią; lecz ponieważ w gimnazyach zbrzydzili je sobie z powodu scholastycznéj metody, w jakiéj słuchali wykładu, więc w uniwersytecie nie okazują do nich ochoty. Zaczyna się tedy między nauczycielami budzić przekonanie, że filozofia powinna być przedmiotem studyów uniwersyteckich; nałóg jednakże, równy *sile bezwładności*, jeszcze się opiera téj reformie. Ile zaś gimnazyalne wykłady filozofii są warte, łatwo się przekonać z tego, co Wundt o sobie opowiada. Oto był on przed kilku laty świadkiem egzaminu z psychologii w pewném gimnazyum niemieckiém. Nauczyciel tego przedmiotu ułożył sobie kurs swojego pomysłu i dyktował go uczniom do nauki na pamięć. Odpowiedzi więc ich były płynne: o naturze duszy, o życiu, umyśle i wielu innych rzeczach, uczniowie prawili bez zająknienia. „A co, czy nie biegli są wychowańcy nasi w psychologii?“ zapytał go nauczyciel, po skończonym egzaminie. „Tak, odrzekł Wundt, przyznaję się, iż na żadne z tych pytań nie zdołałbym był odpowiedzieć.“

Filozoficzne wiadomości uczniów wstępujących do uniwersytetu ograniczają się zatém do kilku scholastycznych definicyj i prawideł logicznych, których się na pamięć wyuczyli. Nic więc dziwnego, jeżeli uważając te strzępki za filozofią, nie garną się do niéj w uniwersytecie. Uczeń w uniwersytecie niemieckim nie zapisuje się do szkoły dla nabycia wyższéj oświaty, ale przedewszystkiém dla studyowania jakiegoś chlebodajnego fachu; jest to *Brodstudium*. Chce on zostać lekarzem, prawnikiem, teologiem, pedagogiem i do tego zawodu sposobi się, ażeby mógł zdać egzamina. Tymczasem nauki nietylko wzrosły, ale i rozdrobniły się; ażeby lekarz, czy prawnik mógł im podołać, potrzebuje dużo pracy i czasu. Gdzież mu jeszcze myśleć o filozofii! Trzebaby więc albo filozofią uczynić przedmiotem obowiązkowym podczas egzaminów i zmusić uczniów do jéj studyowania; albo też musiałaby budzić szczególne ich zajęcie. Przymus, w znacznéj części, ustał bądź dla mnogości fachowych przedmiotów, bądź przez poszanowanie swobody. Nawet egzamina składane na doktorów filozofii, niekoniecznie pociągają za sobą znajomość tego przedmiotu; stopnie doktorskie otrzymują w wielu uniwersytetach

niemieckich tacy uczniowie, którzy praktycznie nic nie wiedzą o filozofii.

Z tego jednakże nie należy wnosić, jakoby obecnie upadło w Niemczech zamiłowanie filozofii, jakoby się chyliła do upadku. Najprzód bowiem w ostatnich latach liczba słuchaczów tego przedmiotu w uniwersytetach wzrosła, pomimo, że nowe regulamina akademickie zostawiają go po większéj części do woli uczniów, a powtóre, zyskała sobie filozofia po za uniwersytetami liczniejszych, niż niegdyś zwolenników. Niemcy i pod tym względem stali się teraz praktyczniejsi. Nie uważa się tam już za konieczne, by lekarz mający leczyć chorego, lub adwokat mający bronić sprawy, byli świadomi spekulacyj metafizycznych i znali się na filozofii medycyny lub prawa. Zostawiono do woli uczniów, studyować filozofią; a skutkiem tego wzmogła się jakość nietylko słuchaczów lecz i profesorów. Zdarza się téż, iż niejeden, co myślał tylko o chlebodajnéj profesyi, po wstąpieniu do uniwersytetu nabiera smaku do filozofii, lub téż zdobywszy chléb, poświęca się jéj z zamiłowania. Pociągnęło to za sobą swobodniejszy wyraz opinii, aniżeli bywało dawniéj, gdy filozoficzne rozprawy ograniczały się do ciała profesorskiego. Filozof, który się czuł pod cenzurą za swoje opinie polityczne lub religijne, którego promocya leżała w ręku tejże cenzury, dopasowywał często wykłady do tych wymagań z góry idących. Tymczasem badacz prywatny czuje się niezależnym, zwłaszcza przy znacznéj swobodzie słowa, która w Niemczech oddawna istniała. Ta emancypacya filozofii z pod rózgi urzędowéj, musiała korzystnie, lubo powolnie, oddziaływać na jéj rozwój. Teraz i w uniwersytetach filozofia liczy wielu przedstawicieli, którzy się nie czują skrępowani zajmowaném stanowiskiem w głoszeniu swoich opinij, dzięki większéj swobodzie zdania pośród saméj publiczności.

Z drugiéj strony, przeniesienie filozofii do szerszych warstw, stojących poza uniwersytetami, ma téż swoje *ale*. Oto, wyniknął ztąd dyletantyzm filozoficzny, ponętniejszy i dostępniejszy na tém polu niż w innéj gałęzi nauk, podkopujący kredyt filozofii w oczach ludzi oddanych naukom ścisłym i szkodzący jéj tyleż, co dawniejsze obłędy metafizyczne Schellinga lub Hegla. Ponieważ dyletantyzm chwyta zwykle za najtrudniejsze zagadnienia, ztąd popularna literatura filozoficzna w Niemczech, brodzi jeszcze w metafizyce. Przeciwnie, w uniwersytetach, te wykłady są najchętniéj słuchane, które czy to historycznie czy krytycznie dążą do pogodzenia filozofii z naukami doświadczalnemi. Co się tyczy filozofi popularnéj, ta czerpie swoje natchnienie w dziełach Schopenhauera, który, jak wiadomo, zjadliwie powstawał przeciw rzemiosłowéj filozofii uniwersyteckiéj. Siedzi téż ona jeszcze po uszy w metafizyce.

Przechodząc teraz do skreślenia wybitniejszych kierunków filozoficznych w Niemczech, można osobno zastanawiać się nad filozofią poza-uniwersytecką i osobno nad uniwersytecką. Oczywiście, podział taki nie ma w sobie nic stanowczego, gdyż to, co się mówi i wykłada z katedr uniwersyteckich, przepływa rozmaitemi korytami do publiczności; a znów ludzie, nie należący do szkół jako profesorowie, lecz uprawiający filozofią z zamiłowania, oddziaływają ze swojéj strony na uniwersytety. Rozmaite kierunki filozoficzne obu tych działów, będą niżéj ogólnie scharakteryzowane.

Zacznijmy od filozofii poza-uniwersyteckiéj. Około połowy wieku bieżącego objawił się w filozoficznéj literaturze niemieckiéj ruch *materyalistyczny* spowodowany częścią przez bankructwo systematów metafizycznych, częścią przez agitacyą socyalną i polityczną. Człowiekiem, który najwięcéj przez swoje pisma na ten objaw wpłynął, był Ludwik Feuerbach († 1872), z początku uczeń Hegla, potém przeciwnik jego, lubo jeszcze posługujący się dyalektyczną metodą dawnego swojego mistrza. Feurbacha nie można zaliczać do właściwych materyalistów, jakkolwiek nikt tyle może, co on, nie przyczynił się do rozbudzenia spółczesnego materyalizmu niemieckiego. Człowiek jest, według jego pojęcia, miarą rzeczy, zarówno pod względem prawdy teoretycznéj jak i moralnego działania. W teoryi poznania, Feuerbach był sensualistą, to jest, za kryteryum prawdy uważał zmysły; pod względem etycznym, humanistą, to jest, uważał ludzkość i uczucia sympatyczne za cel działania, za kryteryum czynów indywidualnych, przeciwstawiąc humanizm wybujałemu egoizmowi. W poglądach swoich na teoryą poznania, na religią i moralność zbliżał się bardzo do A. Comte'a, chociaż w dziełach jego nie widać, by znał twórcę pozytywizmu francuskiego. Feuerbach jednakże tych swoich poglądów nie powiązał w skończony systemat i dlatego może, obecne pokolenie prawie o nim zapomniało.

Feuerbach wpłynął na Jakóba Moleschotta, którego uważają za przedstawiciela i niejako głowę materyalizmu niemieckiego. Dzieło jego *Der Kreislauf des Lebens* (1852), zawierające najbardziéj systematyczny wykład materyalizmu, torowało drogę popularyzowaniu tego kierunku przez Büchnera. Zapał dla wznowionych spekulacyj materyalistycznych w Niemczech tak się wzmógł, że książka Büchnera *Kraft und Stoff*, popularnie je tłómacząca, doczekała się czternastu wydań i przekładu na obce języki, a w téj liczbie i na polski. Porównywając dzieła innych niemieckich materyalistów, jak np.

Vogta i Czolbe'go, łatwo się przekonać, że popęd i naukową formę teoryi wzięli oni równie jak Büchner od Moleschotta (1).

W ostatnich latach prace Darwina doznały w Niemczech gorącego uznania i sprawiły, że niejeden z młodszych pisarzy zaniechał spekulacyjnych zaciekań i przerzucił się do obozu materyalistycznego. Nawet starsi, nieżyjący już, jak np. Ueberweg († 1871) i Dawid Straus († 1874), który niegdyś siedział u stóp Hegla, złożyli wyznanie wiary filozoficznéj w duchu Darwina, głosząc, że stwierdzone rezultaty nauk przyrodzonych, stanowią jedyne kryteryum naszéj wiedzy teoretycznéj. Należałoby tu jeszcze doliczyć głośnego dziś naturalistę Ernesta Häckla, gdyby nie to, że sam on wypiera się materyalizmu, uważajac go za równie bezzasadny jak i idealizm. Häckel należy właściwie do ewolucyonistów i najwięcéj się przyczynił do zapewnienia teoryi Darwina w Niemczech rozgłosu i uznania. Ewolucyoniści zapatrują się na wszechświat jako na wielki mechanizm złożony z atomów, przyczém samym atomom przyznają pewien stan wewnętrzny (?) będący zarodem i początkiem zjawisk, które psychicznemi nazywamy. Teoryą taką właściwiéj byłoby nazywać monizmem i tak ją nazywa Häckel, przeciwstawiąc pogląd ten dualizmowi. Trzeba jednak dodać, że w monizmie Häckla i innych tegoż kierunku pisarzy ma przewagę *pierwiastek materyalny* o tyle, że wszystkie zjawiska fizyczne podciągają pod proces mechaniczny atomów—a zaś objawy psychiczne tłómaczą zbyt ogólném zdaniem, to jest, jakiemiś stanami wewnętrznémi tychże atomów (2). Jeżeli znów większą wagę będziemy przywiązywali do *psychologicznéj strony* tego paralelizmu, o którym nas uczy wewnętrzne i zewnętrzne doświadczenie, przejdziemy nieznacznie na inne stanowisko. Takie właśnie stanowisko zajął Fryd. Zöllner.

Autor ten rozpoczął swój zawód od studyów około nauk ścisłych z zakresu fizyki i astronomii; powoli jednak zwrócił się do zagadnień filozoficznych, zwłaszcza do teoryi poznania. Upatruje on również, jak Häckel, nową własność w atomach „usiłując zredukować najprostsze i najelementarniejsze procesy natury do określonego związku z procesem czucia.“ Widoczne to w dziele *Ueber die Natur der Kometen*, *Beiträge zur Geschichte und Theorie der Erkenntniss*,

---

(1) Historyą materyalizmu wogóle doskonale wyłożył A. Lange w dziele *Geschichte des Materialismus*, r. 1876 2 tomy (3 wydanie). Przełożono je na języki francuzki i angielski. Obecnie wychodzi w tłómaczeniu polskiém.

(2) E. Häckel. *Anthropogénie*, traduit de l'allemand par Ch. Letourneau, r. 1877, str. 13. Tegoż: *Les preuves du transformisme*, traduit de l'allemand par J. Soury r. 1879, str. 66.

1872. Zöllner na pierwszém miejscu kładzie stronę psychiczną jako zawierającą w sobie głębszą przyczynę procesów materyalnych. Utrzymuje on, że to, co dzięki wewnętrznemu doświadczeniu nazywamy wolą, jest powszechną funkcyą materyi, czyli, że wola jest wszędzie przyczyną ruchu. Z tego powodu słusznie łączą Zöllnera jako filozofa z Schopenhauerem. Ale to zmieszanie naukowego monizmu z mistyczną doktryną Schopenhauera o woli będącéj naczelnym pierwiastkiem wszechświata, zachwiało sławą Zöllnera. Jest-to teorya nietylko jemu właściwa. Spotykamy ją u Rokitańskiego, a szczególniéj u Ewalda Heringa w dziełku *Pamięć jako funkcya materyi organizowanéj* (*Das Gedächtniss, eine Function der organisirten Materie* 1870). Tak samo pojmuje pamięć i Häckel w ostatniem dziele swojem *Die Perigenesis der Plastidule*, 1876. Wierzy on, że pamięć tkwi w organicznych molekułach, i za jéj pomocą tłómaczy zjawiska rozwoju.

Wymienieni powyżéj autorowie reprezentują jeden z główniejszych kierunków filozofii pozaszkolnéj, mianowicie, kierunek materyalistyczny całkowicie, lub częściowo. Naprzeciw niego stoi drugi, bardziéj idealistyczny, związany z imieniem Schopenhauera. Nazywamy go nie idealistycznym *wprost*, lecz tylko *bardziéj*, albowiem Schopenhauer w wielu swoich poglądach zbliżał się wielce do materyalizmu, pomimo idealistycznego początku swojéj filozofii.

Artur Schopenhauer (1788 † 1860) chciał być koryfeuszem filozofii pozauniwersyteckiéj i dlatego zjadliwie napadał na „katedralnych“ filozofów, zarzucając im, że żyją *przez* filozofią, nie zaś *dla* niéj. Ubolewał nad Kantem, którego po Platonie i Goethe'm, najwięcéj cenił, że był profesorem filozofii, a nawet téj okoliczności przypisywał wszystkie wady i braki w systemacie mędrca królewieckiego. Następców i zwolenników Kanta traktował po kozacku. Fichtego nazywał próżnym pęcherzem, Hegla szarlatanem, a Herbarta waryatem. W sądach swoich był nadzwyczaj zmiennym i kapryśnym brak logiki zastępował nieraz dosadnemi wyrażeniami, jakie mu kwaśny humor nasuwał. Zarówno dary natury, jak i nabyte uzdolnienie, stanowiły w nim dziwną mieszaninę; najmniéj jeszcze kula jego sąd estetyczny. Od takiego temperamentu nie można oczekiwać jakiejkolwiek konsekwentności w doktrynie. Ale gdzie szwankuje jako filozof, tam lepiéj wychodzi jako pisarz i stylista, który osobę swoję na czoło wysuwa i nią czytelnika zajmuje. Schopenhauer był jeżeli nie najświetniejszym, to najjaśniejszym z metafizyków niemieckich. Pisał też, w porównaniu z innymi, niewiele, dzieła jego bowiem razem zebrane czynią zaledwie sześć niewielkich tomów (1).

---

(1) Arthur Schopenhauer's *Sämmtliche Werke*, 1876 (2 wydanie).

Byłoby jednakże mylném, gdyby pośmiertną sławę Schopenhauera przypisywano tylko zaletom jego stylu. Zapomniany i lekceważony za życia, doczekał się w naszych czasach niepospolitego rozgłosu. Wpływu jego filozofii należy więc szukać gdzieindziéj, niż w zdolności pisarskiéj. Przyczyna tego leżała głębiéj, mianowicie w tém, że filozofia jego trafiała w usposobienie czasu i ludzi, przystawała do ich myśli i uczuć. Etyczne, nie zaś teoretyczne, jego poglądy zyskały mu sympatyą ludzi ukształconych. W istocie, filozofia Schopenhauera pociągała nietyle *zasadą woli*, uważanéj na pierwiastek kosmiczny, wszechświatowy; ani też zasadą *dostatecznego powodu* (ratio sufficiens) stanowiącą fundament naszéj wiedzy, lecz przedewszystkiém *pesymizmem*, który niekoniecznie zostaje w związku z innemi jego poglądami. Jak Schopenhauer utrafił w ducha czasu, w potrzeby chwili, pokazuje między innemi i to, że podobny nastrój umysłowy ożywiał i innych, zupełnie różnych od niego metafizyków, jak np. Schellinga (w ostatnim peryodzie jego filozofii) i Baadera, mistyka i teozofa. Godne jest uwagi, że Schopenhauer wielce sympatyzował ze średniowiecznym ascetyzmem. Filozofia romantyczna, którą Schelling i Baader odzieli w szatę religijnego zapału, przybrała u Schopenhauera strój świecki. Nie znaczy to, żeby metafizyka jego była mniéj, niż tamtych, mistyczną, lecz, że stanowi dziwną mieszaninę mistycyzmu z jasną stosunkowo teoryą poznania. Kombinacya ta tłómaczy w części powodzenie jego filozofii, gdyż sam, czysty mistycyzm, nie zdołałby ludzi naszego wieku do siebie przyciągnąć: chcąc by w nim smakowali, trzeba go przynajmniéj pozornie z umiejętnościami pogodzić i wiedzą przyprawić. Otóż Schopenhauer, pomimo niektórych dziwacznych swoich wyskoków (jak np. przeciw Newtonowskiéj teoryi barw) był wcale nieźle obznajmiony z naukami przyrodzonemi, zwłaszcza z fizyologią, a do tego strzegł się budowania natury trybem Schellinga lub Hegla.

Przez lat dwadzieścia o filozofii Schopenhauera było zupełnie cicho; dopiéro dwaj uczniowie Hegla, na którego on najzawzięciéj piorunował, zwrócili na nią uwagę; mianowicie, Erdmann w dziele swojém *Geschichte der neueren Philosophie* (1853) i Frauenstädt († 1879) który stał się najwierniejszym jego apostołem. Kiedy w r. 1844 wyszło powtórne wydanie głównego dzieła Schopenhauera *Die Welt als Wille und Vorstellung*, zaczęli do niego zaglądać dziennikarze i powieściopisarze, naród wielce pomocny w szerzeniu nowych doktryn, który i w tym razie także ocalił od śmierci i autora i jego pesymistyczne na świat poglądy. Schopenhauer nadawał się bardzo tym propagatorom światła, tak dla wielostronnych wiadomości, jakie w dziełach jego znajdowali, jak i dla estetycznych teoryj, najmniéj

jeszcze podległych zarzutom. Ich romantyzm, znalazł w filozoficznym romantyzmie Schopenhauera teoretyczne niejako uzasadnienie, i oni to głównie wskrzesili zapomnianego i na poły umarłego filozofa wraz z jego nauką. Przyznaje to i duchowy potomek Schopenhauera Edward Hartmann, wspominając wdzięcznėm sercem dziennikarzy takich, jak R. Gottschalk, D. Ascher, H. Lorm i innych (w przedmowie do dzieła *Philosophie des Unbewussten)*. Tym sposobem zbliżyliśmy się do najgłośniejszego obecnie w Niemczech metafizyka Hartmanna i o nim z kolei trzeba kilka słów powiedziéć.

Karol Robert Edward von Hartmann urodził się w Berlinie 1842. W siedmnastym roku życia ukończył gimnazyum i wszedł do służby wojskowéj, mianowicie do artyleryi, gdzie zostawał do r. 1863. Już w gimnazyum zaczął rozważać najtrudniejsze zagadnienia metafizyczne, jak np. o wolnéj woli, przyszłym stanie człowieka i t. p. Podczas pobytu w wojsku, godziny wolne od zatrudnień służbowych, poświęcał na czytanie powieści angielskich, a szczególniéj dzieł filozoficznych; i wtenczas-to założył pierwsze fundamenta swojego systematu, w którym zamierzył sobie pogodzić pesymizm z optymizmem. Pod koniec r. 1864 rozpoczął pisanie najgłośniejszego swojego dzieła *Die Philosophie des Unbewussten*, które dokończył w r. 1867, lecz ogłosił je dopiéro w r. 1869. Od tego czasu wyszło ośm wydań; przetłómaczono je na język francuski i angielski. Autor w krótkim czasie stał się głośnym. Sami Niemcy nie mogą się nadziwić téj poczytności najsłabszego z dotychczasowych systematów metafizycznych. Nie brakło poważnych krytyków, uczących Hartmanna, że ani nauk przyrodzonych, ani metody indukcyjnéj nie zna. Nic to nie pomogło. Wydawca nie mógł nastarczyć żądaniu, taki był popyt; aż nareszcie książka urosła we dwa tomy i doczekała się stereotypowego druku (1).

Już sam tytuł Hartmannowego dzieła nie daje się na nasz język dobrze przetłómaczyć. Jakie bowiem w umyśle czytelnika może wywołać pojęcie tytuł: *Filozofia nieświadomości?* Dotychczas rozumiano, że filozofia tam się poczyna, gdzie wschodzi *świadome siebie*

---

(1) Nieznajomość nauk przyrodzonych, któremi się Hartmann lubi posługiwać, wykazał mu ziomek jego Oskar Schmidt. Co do tego czytać: *Les sciences naturelles et la Philosophie de l'Incoscient*, par Oscar Schmidt, traduit de l'allemand par J. Soury. 1879. Co do innych poglądów Hartmanna zasługuje na uwagę ocena ich w dziele *Pessimism*, by James Sully, 1877. Str. 111 i daléj. Treściwy, krytyczny i jasny przegląd ciemnéj metafizyki Hartmanna ogłosił H. Vaihinger pod tytułem: „*Hartmann, Düring und Lange*, ein kritischer Essay.“ 1876. U nas pisał o *Filozofii nieświadomości* sprawozdanie, H. Goldberg w *Bibl. Warszawskiéj* za r. 1873.

myślenie; ale mówić o filozofii *nieświadomości*, to już zakrawa na igraszkę wyrazową. Dlatego też tytuł trzebaby po naszemu zmodyfikować i powiedziéć: *filozofia tego*, *co jest nieświadome (das Unbewusste)*. Ale i ta zmiana niewiele pomaga. Ciemne zostało ciemném. Hartmann uosobił, że tak powiem abstrakcyą i na początku wszechrzeczy postawił *nieświadomość*, która, jak niegdyś absolut Schellinga i Hegla, wszystko z siebie zradza. Przechodząc od tytułu do treści dzieła, dajemy głos Wundtowi. Oto co on pisze o Hartmannie.

Edward Hartmann pierwszy usiłował wprowadzić poważne zmiany w systemacie Schopenhauera; że nadszedł czas i potrzeba zmian takich, świadczy powodzenie dzieła Hartmanna, oraz liczni naśladowcy, którzy do takich samych prawie, jak i on, doszli wniosków. Metafizyka *nieświadomości* ma też swoich poprzedników i Hartmann sam wylicza ich, powołując się zwłaszcza na fizyologów, którzy chcieli pewne procesy tłómaczyć za pomocą *nieświadomych* działań umysłu. Bardziéj jednak podobno wpłynął na niego Schopenhauer, niż owi fizyologowie. Hartmann zamierzył sobie pogodzić metafizykę Schopenhauera z wynikami nauk przyrodzonych, i téj okoliczności należy przypisać początkowy oklask dla tego przedsięwzięcia. Doktryna Schopenhauera wywierała już silny pociąg na wielu; ale ponieważ za dni naszych nauki ścisłe zyskały doniosły głos w świecie, zatém każdy chciałby z niemi być w zgodzie. Filozofia tedy, obiecująca pogodzić spekulacyą z naukami przyrodzonemi, musiała być wielce pożądaną.

Metafizyczny systemat Hartmanna dąży do przezwyciężenia dualizmu woli i poznania, w jakim zostawiła je filozofia Schopenhauera. Schopenhauer uważał nieświadomą wolę za transcendentalny kosmiczny pierwiastek, który staje się przedmiotowym (objectifies itself) najprzód dla naszego podmiotowego poznania, a następnie dzięki procesom mózgowym, stwarza świat, który poznajemy. Tymczasem podług Hartmanna, wola i poznanie stanowią nierozdzielną jednośćw tém, co jest nieświadome (the Unconscious).

Hartmann, rozpatrując najrozmaitsze czynności ciała i umysłu, spotyka wszędzie coś niewiadomego, tajemniczego, coś co się nie daje wyprowadzić z warunków przez doświadczenie dostarczonych, a zatém powinno być odniesione do jakiejś nieświadoméj umysłowéj zasady. Na poparcie tego twierdzenia rozważa w pierwszéj części swojego dzieła czynności nerwów, instynkt, *siłę leczebną*, *vis medicatrix*, rozwój organiczny, poczucie estetyczne, miłość płciową, mowę, mistycyzm, historyą—z czego znać wielkie oczytanie się, ale na nieszczęście bez najmniejszego krytycznego zmysłu w ocenianiu źródeł,

z których czerpał swoje fakta. Kładzie on bez wahania tuż obok siebie staranne badania uczonych i spirytystyczne mrzonki zapaleńców lub mesmerycznych szarlatanów. Ten brak zupełny zmysłu krytycznego widoczny jest już we wstępie do dzieła, gdzie sobie cel swoich rozmyślań żakreśla, Tu więc stara się usprawiedliwić wprowadzenie przyczyn celowych, twierdząc, że gdy znane przyczyny nie wystarczają do objaśnienia pewnego zjawiska, można przypuścić istnienie warunków nieznanych. Ponieważ zaś według jego zdania, jest mnóstwo zjawisk przyrodzonych, których z przyczyn materyalnych wyjaśnić niepodobna, trzeba więc przypuścić istnienie przyczyn *celowych*. Dowodzeniu temu nadał Hartmann formę matematyczną, mianowicie rachunku prawdopodobieństwa; rozumuje zaś tak, że gdyby Laplace o tém wiedział, przewróciłby się w grobie. Ale przez to właśnie zarówno w tem miejscu, jak i w innych, gdzie się powołuje na swoje „naukowe powagi,“ otumania słabe umysły mniemaną ścisłością.

Świadomość jest, według Hartmanna, wyższym stopniem rozwoju nieświadomości. Nie jest ona, jak u Schopenhauera, produktem woli, lecz wyrabia się przez wiedzę, poznanie, zrywając z wolą i dziwiąc się potém téj swojéj niezależności. Z tym jego poglądem na świadomość łączy się nauka pesymizmu. Nieświadomość stoi wyżéj ponad wszelkiém przeczeniem, nic nie doświadcza i nie cierpi, nigdy się nie nuży, nigdy nie wątpi, nigdy nie błądzi, ani się myli. Dopiéro ze świadomością rozpoczyna się poczucie niezadowolenia, niesmaku, które coraz bardziéj wzrasta, im umysł więcéj traci złudzeń, im bardziéj dojrzewa. Schopenhauer próbował dać swojemu pesymizmowi podstawę metafizyczną; mówił więc, że twórcza potęga woli była zawsze hamowaną i dlatego zużywała się w nieustannéj, bezskutecznéj walce. Hartmann zaś i tu postanowił trzymać się metody nauk indukcyjnych. Utrzymuje więc, że gdy przeprowadzimy starannie statystykę przykrości i przyjemności doznawanych, okaże się, iż suma przykrości jest w życiu człowieka większą od sumy przyjemności. Że rachunek jego nie bardzo ścisły, zaledwie potrzebujemy ostrzegać. Pierwszy rzut oka na powagi, któremi się zastawia, pokazuje, jak subjektywną jest owa statystyka, jak nie daje najmniejszéj objektywnéj podstawy dla powziętéj z góry naprzód opinii.

Hartmann należy do najpłodniejszych pisarzy tegoczesnych. Nietylko bowiem dostarcza artykułów do rozmaitych czasopism, lecz jeszcze oprócz głównego swojego dzieła, ogłosił kilka mniejszych; między któremi dużo hałasu narobiły dwa: *Rozkład chrystyanizmu* (*Die Selbstzersetzung des Christenthums und die Religion der Zukunft* 1875), oraz *Prawda i błąd w Darwinizmie* (*Wahrheit und Irr-*

thum im Darwinismus, 1875). Pierwsze z nich zwrócone głównie przeciw postępowym teologom protestanckim, lubo trzeba wyznać, że się nie godziło tak na nich uderzać, gdy się głosi poglądy bardzo pokrewne tym, jakie wyraził Biedermann w swojéj *Dogmatyce chrześciańskiéj*. Ale z ludźmi naukowymi walka *filozofii nieświadomości* całkiem się nie udała. Nie bardzo się troszcząc o główne dzieło Hartmanna, tém bardziéj nastawili uszy, gdy zaczął prawić o darwinizmie. Szczególniéj Oskar Schmidt, głośny profesor zoologii w Strassburgu, poddał naukowe podstawy *filozofii nieświadomości* niemiłosiernéj, i trzeba wyznać, gruntowéj krytyce, w książeczce: *Przyrodnicze podstawy filozofii nieświadomości* (*Die naturwissenschaftlichen Grundlagen der Philosophie des Unbewussten*, 1876) (1). Nie trzeba jednak sądzić, że Hartmann nie zna słabych stron swojéj filozofii, albowiem jeszcze przed ukazaniem się krytyki Schmidt'a sam napisał bezimienną jéj krytykę pod tytułem: *Nieświadomość ze stanowiska fizyologii i teoryi pochodzenia*, uważana, (*Das Unbewusste vom Standpunkte der Physiologie und Descendenztheorie* 1872). Krążyła wieść, że Hartmann sam był autorem téj krytyki. Jakoż, w późniejszém swojém dziele *Neukantianismus*, *Schopenhauerianismus und Hegelianismus*, 1877, przyznał się do tego. Hartmann więc nie uważa się za nieomylnego, a przyzwoity ton, jakim swoim przeciwnikom odpowiada, stanowi zupełny kontrast ze zgryźliwym tonem Schopenhauera.

Ostatniemi czasy Hartmann wydał jeszcze *Fenomenologią świadomości obyczajowéj* (*Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins* 1879) oraz rozprawę mniejszéj objętości, mającą za cel historyczne uzasadnienie pesymizmu pod tytułem: *Zur Geschichte und Begründung des Pessimismus 1880*. O téj ostatniéj pracy wystarczy, gdy powiemy, że autor uważa Kanta za ojca pesymizmu i stara się naukę swoję uczynić przystępniejszą większym kołom publiczności za pomocą wykładu i rozbioru takich np. pytań: czy pesymizm może być naukowo uzasadniony? Jakie jest znaczenie cierpień, przywiązanych do życia ludzkiego? Do zrozumienia poglądów Hartmanna książeczka to przydatna, nie zawiera jednak nic takiego, o czémby autor gdzieindziéj już nie pisał. Ale poprzestając na téj krótkiéj wzmiance o rzeczonej rozprawie, nie możemy równie ogólnikowo zbyć pierwszego z dwóch dzieł powyżéj przytoczonych t. j. owéj *Fenomenologii sumienia*.

Pozwalamy sobie w tém miejscu *świadomość obyczajową* (das sittliche Bewusstsein) nazywać wprost *sumieniem*, gdyż w naszym języ-

---

(1) Cytowane powyżéj w tłómaczeniu francuskiem przez J. Soury.

ku wyraz *sumienie* bywa stosowany w sferze etycznéj umysłu i lepiéj rzecz oddaje niż *świadomość obyczajowa*.

Autor w przedmowie nazywa tę swoję pracę drugiem „główném dziełem“ rozumiejąc pod pierwszém *Filozofią nieświadomości*, i dodaje, że ma ono stanowić prolegomena do wszelkiéj etyki w przyszłości, tak jak swojego czasu Kant pisał prolegomena do wszelkiéj metafizyki. Nie jest to więc całkowity systemat etyki, lecz zaledwie wstępna część do niego. Wszakże wstęp ów liczy 871 stronic dużego formatu i zapewne obudzi w niejednym czytelniku pytanie, ile też tomów będzie obejmował całkowity wykład etyki? Nie kusząc się o zgadywanie przyszłości, zobaczmy, co w sobie zawiera samo dzieło.

Główném zadaniem Hartmanna jest wykazać, jakie koleje przechodzi, w jakich zjawiskach i faktach obyczajowych występuje świadomość obyczajowa, zanim się urobi na istotne, rzetelne sumienie: ztąd nazwa dzieła *Fenomenologia sumienia*. Przygotowanie do odpowiedzi mieści się w części pierwszéj i znacznie mniejszéj dzieła, obejmującéj rozbiór „pseudomoralności“ tj. zasad, na których niegdyś, a często i dzisiaj jeszcze, ród ludzki opiera czyny swoje moralne. Chociaż moralność ta była nierzetelną (*das pseudomoralische Bewusstsein*), stanowiła przecież niezbędną propedeutykę do obyczajowości istotnéj, prawdziwéj; w tém-to tkwiła względna jéj słuszność i usprawiedliwienie. Ta pseudomoralność rządziła się dwiema zasadami: egoizmem i powagą (*die Autorität*); ztąd też autor nazywa ją inaczéj egoistyczną i heteronomiczną. Pierwsza miała, według Hartmanna, przewodniczyć życiu ludów starożytnych, zwłaszcza Greków i Rzymian; druga, wiekom średnim. Człowiek w świecie starożytnym zakładał sobie, jako cel życia, osiągnienie szczęścia tu, na ziemi; a gdy się przekonał, że go osięgnąć niepodobna, przeniósł je do innego, zaziemskiego świata, egoizm ziemski zastąpił niebieskim. Ponieważ zaś sam z siebie nie mógł wiedziéć, jaki jest kodeks, według którego żyjąc, mógłby osięgnąć owo szczęście zaziemskie, musiał się poddać *powadze* i zdaniu innych, decydujących o tém według objawienia. Wola jego przestała być autonomiczną, stała się heteronomiczną, poddała się powadze, która rządziła nią w postaci władzy rodzicielskiéj, kościelnéj i państwowéj. Ale na każdym z tych stopni człowiek przekonywał się, że cudza powaga nie wystarcza do określenia, co jest złém lub dobrém moralnie, i zaczął owe powagi krytykować i stopniowo odzyskiwać straconą autonomią woli.

Po załatwieniu się ze wstępną częścią, Hartmann rozpoczyna wykład właściwy swojego przedmiotu, t. j. rozważa, na czém polega prawdziwe sumienie (*das ächte sittliche Bewusstsein*). Tu autor roz-

trząsa następujące punkta: pobudki, cele i podstawę moralności. W porównaniu z resztą, najwięcéj miejsca poświęcił rozbiorowi „pobudek,“ które nazywa zasadami podmiotowemi i w takim porządku analizuje: moralność dobrego smaku, czyli zasady obyczajowo-estetyczne (*die Geschmacksmoral*); moralność uczuciowa (*die Gefühlsmoral*); moralność rozumowa (*die Vernunftmoral*). Pod każdą z tych zasad naczelnych grupują się podrzędniejsze w liczbie 26. Dodajmy tu nawiasowo, że to wyliczanie zasad obyczajowych zyskano nie przez analizę psychologiczną, wykazującą postępowy i konieczny rozwój coraz wyższych stopni sumienia, lecz przytoczono je jako regestr faktów świadczących, że rozmaici ludzie powodowali się lub powodują którąś z owych zasad w postępowaniu swojém. Z kolei następuje rozbiór „celów“ moralności, czyli wykład przedmiotowych zasad obyczajowych. Człowiek przekonawszy się, że za cel życia nie może brać swojego, jednostkowego szczęścia, postanawia dążyć do uszczęśliwienia innych i w tém szczęściu ogólném upatruje cel swego życia. W języku szkoły nazywa się to eudemonizmem społecznym. Przedstawicielami téj zasady etycznéj byli, między innymi, Bentham i St. Mill. Hartmann nie podziela téj doktryny, a chociaż nie szczędzi pochwał Mill'owi, sądzi przecież, że gdyby ją wprowadzono w życie, doprowadziłaby do najnieznośniejszéj równości i miernoty, wysuszając w ludziach najdzielniejsze pobudki spółzawodnictwa. Może ona zaledwie wystarczać teraźniejszemu pokoleniu, ale nie stanowi najwyższego celu obyczajowego działania i dla tego należy ją uzupełnić przez inny cel przedmiotowy, przez rozwój cywilizacyjny, który autor nazywa *das evolutionistische Moralprinzip oder das Prinzip der Culturentwickelung*. Należy myśléć nietylko o szczęściu obecnych pokoleń, lecz i o przyszłych, albowiem ludzkość jest ciągle rozwijającym się organizmem; a jak nieraz trzeba szczęście indywidualne poświęcić dla dobra ogólnego, tak téż i szczęście obecnie żyjących ludzi musi być poświęcone przyszłéj pomyślności rodu ludzkiego. Jest to może najzdrowsza myśl w etyce Hartmanna, lubo także nie nowa na świecie. Wiąże się ona z całą jego teoryą filozoficzną, opartą na ideach postępu i powszechnéj celowości. Dążenie zatém do szczęścia ogólnego okazuje się w jego etyce jako środek budzący sumienie ludzkości i prowadzi je na wyższy szczebel obyczajowy zwany ładem wszechświatowym, *das Moralprinzip der sittlichen Weltordnung*. Dopiéro będąc na tym stopniu poznania, gdy cały świat pojmujemy jako system celów, gdy dobrowolnie poświęcamy własne szczęście lub szczęście niższego rzędu dla szczęścia wyższego rzędu; dopiéro wtenczas stajemy się prawdziwie moralnymi. Wszakże i te przedmiotowe cele moralności wiszą jeszcze w powie-

trzu, póki się nie oprą na zasadach bezwzględnych, głoszących *tożsamość* jednostek i absolutu. Tu już wchodzimy na pole czystéj metafizyki obyczajów. Zasady moralności podmiotowe nie mogą dostarczyć ogólnych prawideł obyczajowych, gdyż zależą od natury jednostki; z drugiéj strony, zasady czyli cele przedmiotowe, nie wynikając z natury jednostki, nie mogą na nią wywierać dość skutecznego parcia i wpływu; kombinacya obu rodzajów zasad także nie pomoże; mogą one dopiéro wtenczas skutecznie wpływać na życie ludzkie, gdy się okaże, iż cel świata jest identyczny z celem jednostki. Tym sposobem na „podstawę“ moralności (*Urgrund der Sittlichkeit*) składają się cztery zasady: *monistyczna*, głosząca tożsamość treści jednostek (*das monistische Moralprinzip oder das Moralprinzip der Wesensidentität der Individuen*); *religijna*, wyrażająca tożsamość jednostek z absolutem (*das religiöse Moralprinzip oder das Moralprinzip der Wesensidenität mit dem Absoluten*); zasada *absolutnéj celowości* (*das absolute Moralprinzip oder das Moralprinzip der absoluten Teleologie als der des eigenen Wesens*); nareszcie zasada *odkupienia* czy *wyzwolenia* (*das Moralprinzip der Erlösung oder das negative absolut-eudaemonistische Moralprinzip*).

Z powyższego wykładu widać, że przedmiotowe zasady obyczajowego życia i działania redukują się do dwóch: że obowiązkiem naszym jest przykładać się do szczęścia ogólnego, oraz poświęcać szczęście niższego rzędu, dla szczęścia wyższego szczebla.

Ale życie człowieka jest tylko ułamkiem ogólnego życia, a cel jego—cząsteczką celu ogólnego. Jeżeli tedy pojęcie eudemonizmu zastosujemy do absolutu, a rozwój świata i człowieka uznamy za drogę konieczną, po której absolut zdąża do swojego uszczęśliwienia; zrozumiemy oraz konieczność skombinowania eudemonizmu społecznego z zasadą ewolucyi, rozwoju, nakazującą ofiarę i zaparcie się samego siebie, by absolutowi ułatwić zdobycie szczęścia. Ogół, absolut, Bóg Hartmannowski, dąży do swojego uszczęśliwienia przez boleści i zawody jednostek ludzkich, dlatego też autor nazywa ten stan absolutu wprost *die Unseligkeit Gottes* i prawi o boleści Boga (*der Gottesschmerz*); że zaś my wszyscy i każdy z osobna stanowimy treść absolutu, więc też razem z nim czekamy swojego odkupienia czyli wyzwolenia (*die Erlösung*). Słysząc ten finał, zdawałoby się, że przemawia chrześcianin z pierwszych wieków naszéj ery, gdy będąc ściśniony ze wszech stron, wołał: *cupio dissolvi!*

Zalety i wady dawniejszych pism Hartmanna okazały się i w tém, najbardziéj wykończoném. Do zalet możnaby zaliczyć pewną żywość i barwność stylu, co u niemieckich metafizyków rzadko się zdarza. To, co w jego etyce jest zdrowe i krytykę wytrzyma, nie

jest oryginalném: jest bowiem mieszaniną pojęć stoickich z teoryą rozwoju, powleczoną panteizmem bezdennym, w którym jedna tylko pesymistyczna brzmi nuta, *chcę być rozwiązan*! To zaś, co jest niby nowe, cała strona czysto naukowa a zwłaszcza metafizyczna, do której autor najwięcéj wagi przywiązuje, lubo także nie nowa, ale tyle słabych punktów zawiera, że dość je wskazać, by każdy dostrzegł chwiejności fundamentu. Jakoż, absolut cierpiący i absolutna teleologia są, zdaniem naszém, temi słabemi punktami, które gdy się zachwieją, całą budowę w przepaść pociągną. Alboż można myśléć o absolucie tak sam-na-sam, nie odnosząc go do czegoś, z czémby się dał porównać? Wszakże jakikolwiek akt myślenia wymaga dwóch terminów, z których jeden pomaga do określenia drugiego, a tém samém go ogranicza—i już po absolucie! Rzecz to dawno już znana i rozstrzygniona: absolut nie ożyje, póki logika czuwać będzie nad sidłami tkwiącemi w wyrazach ogólnych.

Ze strony filozoficznéj krytykowali doktrynę Hartmanna głównie *Haym* w *Rocznikach Pruskich* (Tom 31; to samo w osobnéj książce 1873), oraz *Kirchmann* w dziełku: *Ueber das Prinzip des Realismus*, 1875. Zresztą, książka Hartmanna wywołała całą literaturę, mnóstwo prac rozmaitych, częścią łączących się z pojęciami *filozofii nieświadomości*, częścią probujących dalszego jéj rozwoju. Wszystkich tych utworów wyliczać tu niepodobna; dość zauważyć, iż jedni autorowie przyjmują bez zastrzeżeń naukę Hartmanna, drudzy kombinują z nią Hegla, inni pragnęliby zawrócić do Schopenhauera. Bezwarunkowym stronnikiem Hartmanna jest *A. Taubert*, o czém świadczy rozprawa jego: *Der Pessimismus und seine Gegner* 1873; daléj, *Du Prel*, który napisał dziełko *Der gesunde Menschenverstand* etc 1872. *Maurycy Venetianer* usiłował rozwinąć filozofią Hartmanna w książce: *Der Allgeist*: *Grundzüge des Panpsychismus* etc. 1877; wyróżnia się on prócz tego żwawą polemiką przeciw Kantowi i Schopenhauerowi. *Jan Volkelt* dąży do pogodzenia filozofii Hartmanna z filozofią Hegla, w książce zatytułowanéj *Das Unbewusste und der Pessimismus*, 1873. *Ludwik Noiré* stara się godzić filozofią Schopenhauera z naukowym monizmem i teoryą rozwoju. *Juliusz Bahnsen* zawraca wprost do Schopenhauera. Pierwszy z nich wydał książkę pod tytułem: *Der monistische Gedanke*, 1875; drugi dwutomowe dzieło: *Beiträge zur Charakterologie* 1872. Zresztą, filozofia Schopenhauera liczy jeszcze wielu stronników, którzy w dziełach niekoniecznie filozoficznych reprodukują jego poglądy, sztukując je poglądami Hartmanna i innych pesymistów. Z takich ochotników pesymizmu odznaczył się między innemi *Fryderyk Nietzsche* w Bazylei, w rozprawach rozmaitéj treści, zatytułowanych ogólnie *Unzeitgemässe Be-*

trachtungen 1874—76. Tak Nietzsche, jak i podobni jemu łączą pesymizm z mistycyzmem i zbliżają się do teoryi emanacyjnéj szkoły nowo-aleksandryjskiéj. U téj sekty pesymistów szczególnéj czci doznaje kompozytor muzyczny Ryszard Wagner, w którego *Nibelungach* miała się, ich zdaniem, objawić wola, jako pierwiastek kosmiczny. Najgodniejszém atoli uwagi dziełem tego odradzającego się schopenhaueryanizmu jest *Filozofia wyzwolenia* (*Philosophie der Erlösung* 1876). Autor jéj, niejaki *Mainländer* (podobno pseudonim) posunął pesymizm do ostateczności. Twierdzi on, że Bóg był początkową jednością świata, ale przestał nią być, odkąd świat rozprysnął się na mnóstwo szczegółowych rzeczy. Bóg chciał, ażeby była *nicość*, ale istota jego nie dozwoliła, by się wnet stała nicość; świat tymczasem dążył do rozpryśnięcia się na *wielość* istot, które uderzając o siebie i walcząc, dążą do nicości. A więc nie chęć czyli wola życia, jak utrzymywał Schopenhauer, lecz chęć śmierci powoduje zmianę zjawisk, tak, że ta dążność do unicestwienia się coraz jest bliższą dokonania, gdyż w téj wzajemnéj walce wszystkich rzeczy z sobą, suma ogólna siły coraz jest mniejsza. W mniemaniu tego autora, najwyższą moralną powinnością człowieka jest zaprzeczenie (negacya) bytu, któreby przecięło dalszą możność życia indywidualnego. Możnaby to osiągnąć przez zaniechanie związków dających początek życiu.

Mamy tu więc pesymizm zaprawiony aleksandryjską emanacyą i nieledwie żydowską kabałę. Do tego rezultatu prowadzi wszelka spekulacya, któréj brak naukowego gruntu, która słucha fantazyi i krewkiego temperamentu, zamiast doświadczenia.

Filozofia wykładana z katedr uniwersyteckich, czyli filozofia akademicka okazuje także rozmaite prądy, kierunki, będące dalszym ciągiem dawniejszych szkół i echem zmarłych mistrzów. Kant, i Herbart znów zmartwychwstają; oprócz nich mają pobożnych czcicieli i Schleiermacher i Krause i Beneke. Filozofia Schleiermachera zyskała sobie po jego śmierci stronników nietylko między teologami lecz i wśród świeckich autorów. W miarę tego jak zaczęto tracić zaufanie do spekulacyjnéj metody Hegla, nabrali znaczenia tacy dawniejsi filozofowie, którzy trzymali środek między idealizmem i realizmem. Filozoficzne dzieła Schleiermachera, jako zbyt aforystyczne co do formy, nie mogły posłużyć za oparcie dla szkoły w ścisłém znaczeniu słowa; niemniéj jednak w jego duchu pisali H. Ritter, historyk filozofii; Fr. Harms i Ueberweg, znany autor *Logiki* i treściwego *Zarysu historyi filozofii.* Krause znów dla swojéj filozofii prawa, znalazł wzięcie u prawników; Beneke'go naśladowali pedagodzy.

Oprócz wspomnionych kierunków, spotykamy jeszcze jeden, mianowicie polegający na godzeniu filozofii z obecnym stanem umiejętności w ogóle. Tu również dają się wyróżnić uczniowie Hegla, Herbarta i Kanta, oraz eklektycy zbierający potroszę ze wszystkich systematów.

Ze wszystkich dawniejszych głośnych systematów, najmniéj stosunkowo ma wiernych zwolenników szkoła Hegla. Za takiego uchodzi Karol Ludwik Michelet, który rozpoczął ogłaszać systemat filozofii i pomijąc dawniejsze dzieła, wydał niedawno początek owego systemu, obejmujący *Logikę i filozofią natury* (*Logik und Naturphilosophie*) 1876—7 (2 tomy). Inni, dawniejsi stronnicy Hegla, nieżyjący już L. Feuerbach i D. Strauss nie pozostali mu wierni, a nie mogąc sobie dobrać nowego systematu, zwrócili się przeważnie do historyi filozofii. Lepsi spółcześni autorowie, piszący o historyi filozofii, wyszli ze szkoły Hegla, ale i oni, o tyle nabrali w oczach ludzi uczonych znaczenia, o ile się zdołali otrząsnąć z formalizmu Heglowskiego systematu. Erdmann wyzwolił się stopniowo z pod tego wpływu, w miarę tego jak się posuwał w wykładzie Historyi filozofii nowożytnéj; Kuno Fischer i Edward Zeller odrazu zajęli niezależne stanowisko. K. Fischer napisał *Historyą nowszéj filozofii* (*Geschichte der neueren Philosophie*) oraz uzupełnienie tegoż dzieła pod tyt: *Bakon i filozofia doświadczalna* (*Bacon und die Erfahrungsphilosophie*); Zeller zaś wydał *Historyą filozofii greckiéj* (*Geschichte der griechischen Philosophie*), tudzież *Historyą filozofii niemieckiéj od czasów Leibnica* (*Geschichte der deutschen Philosophie seit Leibnitz*): są to dzieła wzorowe pod względem wykładu historycznego. Obaj wszakże ci autorowie różnią się w pojmowaniu swojego zadania. Kuno Fischer usiłuje wniknąć całkowicie w ducha opisywanego systematu i potém odtworzyć go swobodnie. Zeller znów dociera do gruntu przedmiotu metodą ściśle filologiczną, żeby następnie mógł podać wierny jego obraz.

Trudno pomyśléć o większéj umysłowej różnicy jak ta, która dzieliła Hegla od Herbarta. Obaj oni wprawdzie rozpoczynają od metafizyki ontologicznéj, twierdząc, że doświadczenie powinno się oprzéć na pojęciach spekulacyjnych, zamiast coby one miały zeń wypływać; ale kiedy w Heglu widzimy zuchwałą spekulacyą, która wszelkie granice poznania przekracza, Herbart gubi się w pracowitém badaniu pojęć, a wykazując ich sprzeczność, zdaje się raczéj tamować, niż pomagać w rozwiązaniu zagadnień filozoficznych. Różnica ta odbija się i w ich szkołach. Kiedy bowiem Hegliści okazali się zdolnymi do ogarnienia całkowitego rozwoju myśli filozoficznéj, Herbartystom brak zupełnie zmysłu historycznego: z szeregów ich nie wyszedł żaden celniejszy historyk filozofii. Za to mocniejsi byli,

w psychologii, która stanowiła najsłabszą stronę Heglistów; ale i tu znów trzeba dodać, że byli tém lepszymi psychologami, im się bardziéj wyzwolili z pęt Herbartowskiéj metafizyki. Tak np. *Empiryczna psychologia* Drobisch'a dlatego właśnie że się zajmuje rozbiorem doświadczenia wewnętrznego bez żadnych metafizycznych przypuszczeń, lubo była napisana w duchu surowego krytycyzmu Herbarta, stanowi jedną z lepszych książek, chociaż bacząc na czas jéj wyjścia (1842) nie odpowiada już dzisiejszemu stanowi umiejętności. Dwóch nadto spółczesnych psychologów oparło swoje prace na filozofii Herbarta, ale z większą jeszcze niezależnością, mianowicie Hermann Lotze, którego *Medyczna psychologia* była zwiastunką dzisiejszéj psychologii fizyologicznéj, a znów *Mikrokosmos* pobudził większe koła do filozoficznych studyów; oraz Teodor Waitz, który zyskał sobie uznanie podręcznem dziełem o psychologii *Lehrbuch der Psychologie*, a jeszcze bardziéj swoją *Antropologią* ludów żyjących w stanie natury (*Anthropologie der Naturvölker*). Od Herbarta też wyszedł pierwotny popęd do badań, które M. Lazarus nazwał *Psychologią narodów* (*Völkerpsychologie*). Badania te mają na celu poznanie psychologicznych objawów, społeczności ludzkiéj, mianowicie języka, obyczajów i zwyczajów, mitów itp. Lazarus celuje w tym kierunku badań, jak tego są dowodem świetne jego rozprawy zebrane w dziele *Życie duszy* (*Das Leben der Seele*) 1876 (2 wyd.). Tenże uczony założył z H. Steinthalem osobne czasopismo poświęcone pracom tego rodzaju, pod tyt. *Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachwissenschaft*. Steinthal bardzo liczne zamieścił w niém artykuły, dotyczące psychologii mowy i mitologii, oraz wydał wysokiéj wartości osobne dzieła jako to: *Ueber den Ursprung der Sprache*, *Ueber die Typen des Sprachbaues*, *Ueber die Manden-Negersprache*, i nareszcie *Wstęp do psychologii i lingwistyki* (*Einleitung in die Psychologie und Sprachwissenschaft*). Oprócz psychologii, uprawiali herbartyści pedagogikę i estetykę. Tę ostatnią wyłożył Zimmermann na podstawie filozofii Herbarta w dwóch dziełach: *Aesthetik*, 1856, (2 tomy) i *Studien und Kritiken zur Philosophie und Aesthetik*, 1870. Oba mają wartość głównie dla historycznéj strony przedmiotu. Lotze, który w psychologii i metafizyce trzymał się Herbarta, odstrychnął się od jego zasad w estetyce, jak to znać z jego dzieła o historyi sztuki: *Geschichte der Aesthetik*, 1868. Wpływ Herbarta znać i na Fechnerze, zwłaszcza w książce *Vorschule der Aesthetik* 1876.

W rozwoju filozofii zdarzają się czasami zwroty ku przeszłości, jak to widzimy po zachwianiu kredytu metafizyki Hegla i Herbarta. Niektórzy zaczęli się cofać aż do Arystotelesa. Popęd ku temu wyszedł od Trendelenburga, który i z katedry, i w dziele swojem *Lo-*

gische Untersuchungen znaczny wpływ na ten eklektyczny kierunek wywierał. Po Arystotelesie przyszła koléj na Kanta. Zaczęto go na nowo studyować i tym sposobem powstała szkoła nowo-kantowska. Młodsi zwłaszcza rycerze podnieśli hasło: zawracać do Kanta! W szeregu tych wojowników odznaczył się najprzód Otton Liebmann, który wydał książkę pod tytułem *Kant und die Epigonen*, 1865; ale najwięcéj do wskrzeszenia filozofii Kanta przyczynił się Hermann Cohen. Ważniejsze jego prace są: *Kant's Theorie der Erfahrung*, 1871, oraz *Die systematischen Begriffe in Kant's vorkritischen Schriften*, 1873. Cohen, równie jak cała szkoła nowo-kantowska, odznacza się między innemi i tém, że usiłuje rezultaty naukowe dzisiejszych umiejętności wśrubować w formuły terminologii kantowskiéj i czasami bywa jaśniejszy od samego Kanta, którego język nie grzeszył jasnością i precyzyą. Cohen założył sobie wyprostować pogodzić rzeczywiste lub pozorne sprzeczności filozofii Kanta; argumenta jego mogą być nawet przekonywające dla tych, co nie mają swoich mocnych przekonań; jemu przedewszystkiém zawdzięcza nowo-kantyzm większy rozgłos w naszych czasach. Trzeba jednak wyznać, że póki ci nowi kantyści wołają, żeby zawracać *do* Kanta, póki nie cofną się *poza* Kanta, ruch ten jako nieuznający konieczności ciągłego rozwoju i niehistoryczny, nie może mieć przed sobą przyszłości. Prawowierny nowo-kantyzm musi poprowadzić do reakcyi, jak to widać na dziele *Kant's Psychologie*, którego autor Jürgen Bona Meyer wskrzesza teoryą dziś już porzuconą o odrębnych władzach umysłu, a wskrzesza dlatego, że Kant jéj hołdował. Niektórzy z nowo-kantystów próbowali rozwijać daléj system Kanta, i stosować go do rozmaitych sfer doświadczenia, jak np. A. Krause, który pod kategorye kantowskie podciągał najrozmaitsze formy pojmowania i czucia. Do tego zmierza dzieło jego *Die Gesetze des menschlichen Herzens wissenschaftlich dargestellt als die formale Logik des reinen Gefühls*, 1876. A znów Classen chciał całą fizyologiczną optykę wcisnąć w ramy téj filozofii i napisał *Physiologie des Gesichtssinns*, 1876. Wielka bystrość i niemały trud łożony na te pokuszenia godne są uznania; szkoda tylko, że zostały napróżno użyte: potworzono nowe sztuczne klasyfikacye, zamiast dążyć do tłómaczenia zjawisk.

Tymczasem zaczęła się objawiać opozycya przeciw temu spóźnionemu zapałowi dla kantyzmu. Nawet w saméj nowo-kantowskiéj szkole zrozumiano, że trzebaby psychologią Kanta pogodzić z nową psychologią, a zwłaszcza z naukami przyrodzonemi, co poprowadziło do rozległych ustępstw z prawowierności. I tak, A. Stadler, który poprzednio starał się godzić teleologią Kanta, z teraźniejszemi pojęciami biologii, zrzekł się potém jednego z głównych punktów kantowskiéj teoryi poznania, mianowicie wywo-

dzenia kategoryj z form sądu, lubo obstawał jeszcze za metafizycznèm tychże kategoryj znaczeniem. Odnoszące się do tego przedmiotu dzieła A. Stadlera są: *Kant's Teleologie und ihre erkenntnisstheoretische Bedeutung*, 1874; oraz *Die Grundsaetze der reinen Erkenntnisstheorie in der Kantischen Philosophie*, 1876.

Widoczna jest również swobodniejsza krytyka filozofii krytycznéj w szeregu nowszych prac tych autorów, którzy zostawiając na boku pytanie o prawdziwości lub nieprawdziwości doktryn Kanta, usiłują historycznie wykazać ich pokrewieństwo i początek. Tak postąpili Fr. Paulsen, F. Schultze i K. Dieterich. Pierwszy rozbierał teoryą poznania w dziele *Versuch einer Entwicklungsgeschichte der Kantischen Erkenntnisstheorie*, 1875; dwaj drudzy oceniali pisma Kanta ze względu na ich wartość umiejętną. Tu więc odnosi się dzieło Schultze'go *Kant und Darwin, ein Beitrag zur Geschichte der Entwicklungslehre*, 1775; oraz Dietericha *Kant und Newton*, 1877. Inni zaczęli poszukiwać źródeł nauki Kanta u poprzedzających go pisarzy lub jego nauczycieli i spółczesnych. I tak, J. Bona Meyer odkrył, że Kant pożyczył klasyfikacyi władz umysłowych od wolfianisty Tetensa. B. Erdmann wykazał, co filozof królewiecki winien był nauczycielowi swojemu M. Knutzen'owi, a znów J. H. Witte zajął się skreśleniem życiorysu Salomona Maimona, pierwszego z krytyków Kanta. Pfleiderer pisał o filozofii Hume'a, która tak wielki wpływ wywarła na *krytykę czystego rozumu* i inne dzieła Kanta. Po takich odkryciach dało się słyszéć hasło: Cofać się po za Kanta! Więc znów ukazał się szereg dzieł mniéj więcéj ważnych, z których jedne pisały o Kancie, drugie poprawiały jego doktryny, osobliwie teoryą poznania. Do tego zmierza dzieło A. Riehla *Der philosophische Kriticismus und seine Bedeutung für die positive Wissenschaft*, 1876. Autor jest bardzo zamiłowany w Kancie, ale stara się oddać sprawiedliwość i późniejszym filozofom. Bardziéj oddalił się od Kanta Göring w dziele zatytułowaném *System der kritischen Philosophie* 1874—1876 (2 tomy). Göring zbliża się w swoich zapatrywaniach do Hume'a i St. Milla. Stanowczym i niepobłażliwym krytykiem filozofii kantowskiéj okazał się E. Laas w dziele *Kant's Analogien der Erfahrung*, 1876.

Tak więc zbliżyliśmy się w tym przeglądzie do usiłowań mających na celu utworzenie nowéj filozofii, mniéj lub więcéj niezależnéj od dawnych systematów. Usiłowania, o których mowa, szły w dwojakim kierunku: *idealistycznym* i *realistycznym*. Idealistyczny wiąże się z Kantem i o nim tylko co podaliśmy wyżéj wiadomość. A. Lange, jeden z najzdolniejszych przedstawicieli téj idealistycznéj filozofii przyznaje w swojéj *Historyi Materyalizmu*, że komentarze Cohena

nad filozofią Kanta wywarły wpływ na niego. Nie wszystkie jednak doktryny Kanta podziela; sądzi on, że tak zwana transcendentalna estetyka powinna się oprzéć na psychologii, a zaś analitykę trzebaby przerobić zgodnie z rezultatami umiejętności. Niemniéj jednak trzyma się w gruncie Kanta i uważa stanowisko jego za niezależne tak od dogmatycznéj metafizyki, jak i od materyalizmu. Z pobudek wszakże etycznych uważa ten negatywny rezultat za niedostateczny. Pragnie więc świata idealnego po za tym światem zjawisk i uważa go za istotę rzeczy. Metafizyka, która taki świat idealny tworzy, błądzi; utwory jéj są złudzeniami, ale złudzenia są konieczne. Goniąc ideał, człowiek czuł zawsze i zawsze czuć będzie potrzebę metafizyki. W pojęciu Lange'go, metafizyka i poezya są ściśle z sobą związane; on też najwięcéj sympatyzował z Schillerem, który był równocześnie kantystą i poetą. Kant wprawdzie wyparłby się takiego ucznia, sądził on bowiem, że poezya nie ma nic do czynienia z filozofią, równie jak z buchalteryą; jednakże Lange'go można rozumiéć, bacząc zwłaszcza na jego studya około historyi filozofii. Skoro bowiem metafizyką zajmujemy się tylko dla interesu historycznego, rozważając przebrzmiałe systemata; to jeżeli w przyszłości zostało dla niéj jakieś znaczenie, może ono być jedynie takie, jakie jéj Lange naznaczał. Tę samę myśl spotykamy w niewielkiéj, ale cennéj książeczce R. Avenarius'a: *Philosophie als Denken der Welt gemäss dem Prinzip des kleinsten Kraftmaasses*, 1876. Autor dowodzi w niéj, że każdy system filozoficzny dąży do ogarnienia wszechświata jak najprostszym sposobem.

Kierunek realistyczny łączy się nietyle z Kantem, ile raczéj z Locke'm, Hume'm i A. Comte'm. Ci, którzy pragną być oryginalnymi, filozofują na własną rękę. I tak J. H. Kirchmann, w dziele *Philosophie des Wissens*, 1874, broni realistycznéj teoryi poznania, i o tyle przypomina Czolbe'go, który przypisywał byt przedmiotowy zmysłowym wrażeniom; za to znów różni się od sensualizmu tém, iż przyjmuje pierwotne formy myślenia, spółdziałające z wrażeniami zmysłowemi w powstawaniu wiedzy czyli poznania. Bliższym sensualizmu i materyalizmu jest Eugeniusz Dühring budujący „filozofią realną," mającą zbić doktrynę Kanta o subjektywnych formach myślenia. W *Kursie filozofii*, (*Cursus der Philosophie*, 1875) Dühring dowodzi, że przestrzeń i czas są formami naszych zmysłowych wrażeń dlatego jedynie, iż mają byt przedmiotowy, realny, podobnie jak inne ogólne stosunki, takie jak np. przyczynowość, że przysługuje im realna istność, że nie są tylko w głowie naszéj i w pojęciach. Dühring okazał nadto bystre oko na niektóre ontologiczne aberracye myśli i skrytykował je wyśmienicie w swojéj *Przyrodzonéj dyalektyce* (*Natürliche Dialektik*, 1865). Jest on

gruntownym znawcą nauk ścisłych, tak, że jego *Historyą ogólnych zasad mechaniki*, *Kritische Geschichte der allgemeinen Prinzipien der Mechanik* 1873 i 1876, wyżéj cenią niż pisma filozoficzne. Próbował téż sił swoich i w ekonomii politycznéj, jak o tém świadczy jego *Cursus der National und Socialökonomie*, 1873. Niektórzy, jak Vaihinger, mają go za teoretyka optymizmu, tak jak Hartmanna stawią na czele pesymizmu (1). Bądź co-bądź, zarówno ci autorowie, którzy myślą o jakiéjś realnéj filozofii, jak i ci, co pragną daléj rozwijać kantowską naukę w kierunku idealnym, zgadzają się na to, że jeszcze nie nadszedł czas na jakiś zwrót stanowczy, że wszystko, co zrobiono, stanowi dopiéro przygotowania do niego.

Nad zbudowaniem filozofii nowéj, opartéj na umiejętném doświadczeniu, pracuje dziś najczynniéj i, śmiemy twierdzić, najskuteczniéj, *W. Wundt*, który pisząc o innych, nie mógł mówić o sobie i dziełach swoich. Na zakończenie więc niniejszego artykułu o spółczesnéj filozofii niemieckiéj załączamy o nim niektóre wiadomości.

Wilhelm Wundt urodził się r. 1832; obecnie jest profesorem uniwersytetu lipskiego. Z początku poświęcał się głównie fizyologii, późniéj dopiéro zwrócił się do uprawy filozofii. Niektóre jego dzieła fizyologiczne i psychologiczne mamy tłómaczone na język polski, mianowicie: *Fizyologią* (tłómaczył Dr. A. Stockman, Warszawa, 1871); *Odczyty o duszy ludzkiéj i zwierzęcéj* (tłómaczył Masłowski. Kraków, 1874—1875 tomów 2). Nazwisko więc uczonego fizyologa nie jest obce w naszéj literaturze. O fizyologicznych dziełach Wundta nie mamy potrzeby szczegółowo mówić w tém miejscu; jeżeli zaś zwracamy na nie uwagę, to dlatego, żeby pokazać, jak był przygotowany do traktowania zagadnień filozoficznych. Dopiéro po wielu latach umiejętnych studyów przystąpił do wykładu psychologii, któréj oprócz wspomnionego wyżéj dzieła *O duszy ludzkiéj* i t. d. poświęcił jedno z najsumienniéj opracowanych dzieł swoich pod tytułem: *Zarysy psychologii fizyologicznéj*, *Grundzüge der physiologischen Psychologie*, 1874 (2). Dzieło to zwróciło na autora uwagę uczonych francuskich i angielskich, i łącznie z innemi jego pracami, zapewniło mu najwy-

(1) W powyżéj cytowaném dziele: *Hartmann, Dühring und Lange*.

(2) Nowe wydanie tegoż dzieła, znacznie przerobionego, wyszło w 2 tomach pod takim że tytułem w r. 1880. Porównane z pierwszém wydaniem, okazuje się w istocie, jak tytuł zapowiada, przerobionem. Autor niektóre rozdziały, jak np. o rozwoju woli, pełniéj rozwinął, dodał nowy rozdział o doświadczeniu wewnętrznem i skorzystał ze wszystkich świeższych badań, dokonanych w zakresie fizyologii i psychofizyki.

datniejsze stanowisko w spółczesnéj filozofii niemieckiéj. Do jakiéj szkoły zaliczyć Wundta? Mówi on sam o sobie, że wiele zawdzięcza Kantowi i Herbartowi; jednakże nie przeszkadzało mu to polemizować z obu tymi filozofami. Sądząc autora z dzieł jego, możnaby powiedziéć, że nienależy do żadnéj szkoły metafizycznéj i że duchowo spokrewniony jest z kierunkiem filozoficznym, który mianują filozofią doświadczalną, empiryczną. Sam tytuł głównego dzieła *Psychologia fizyologiczna* znamionuje ten kierunek doświadczalny; gdy się w nie bliżéj spojrzy, widzimy, że tytuł odpowiada treści. Psychologia długi czas w Niemczech, równie jak i w innych krajach pomimo, że ją nazywano *empiryczną*, była tylko opisem tak zwanych władz, czyli zdolności umysłowych i posługiwała się metodą *wewnętrznéj* obserwacyi. Otóż ta wewnętrzna obserwacya każdemu obserwatorowi co innego okazywała i ztąd psychologii brakło ciągle podstawy umiejętnéj, niezależnéj od subjektywnych mniemań autorów. Nastąpiła tedy zwykłą koleją rzeczy reakcya; poczęto się zwracać do zewnętrznéj, dostępniejszéj badaniu, strony człowieka, ażeby poznać wewnętrzną. Innemi słowy, zaczęto badać wrażenia zmysłowe, układ nerwowy, ruchy refleksyjne; zaczęto analizować czucia i świadomość, ażeby dojść elementarnych pierwiastków, z których się rodzą. Tym sposobem do psychologii zastosowano metodę używaną w innych naukach a zasadzającą się na obserwacyi zewnętrznéj i klasyfikacyi, tudzież na doświadczeniach, gdzie takowe były możebne. Najwięcéj pod tym względem zasłużyli się fizyologowie, którzy nie byli obcy i filozofii. Dlatego też nowéj téj psychologii dano nazwę psycho-fizyki, psychologii empirycznéj, opisowéj, lub jak Wundt, psychologii fizyologicznéj. Nie znaczy to, jakoby obserwacyą wewnętrzną odrzucali, gdy bez niéj trudnoby nawet myśléć o jakiéjkolwiek psychologii; ale chcieli dać przez to do zrozumienia, że gdy umysł i czynność jego są nam dostępne jedynie przez skutki zewnętrzne, w których się przejawiają, zatem trzeba obserwować, analizować i klasyfikować te skutki zewnętrzne, ażeby sobie urobić jakie takie pojęcie ich przyczyny wewnętrznéj, to jest umysłu. Zaniechano tedy pytania, czém jest umysł sam w sobie, jaka jego natura i gdzie jego siedziba w organizmie ludzkim, uważając pytanie to za zbyteczne i prowadzące do niedających się sprawdzić przypuszczeń metafizycznych. A tak prawie równocześnie w Anglii, Francyi i Niemczech, dzięki fizyologom, nadano badaniom psychologicznym inny kierunek. W Niemczech jeszcze przed Wundtem na tę drogę weszli, między innemi, znakomity fizyolog Jan Müller, E. H. Weber, Helmholtz, Fechner i inni uczeni, którzy wprawdzie tylko częściowo potrącali o zagadnienia

psychologiczne, niemniéj jednak głębiéj od psychologów z powołania wniknęli w naturę czucia i wrażeń zmysłowych, a co ważniejsza wskazali psychologii drogę czyli metodę badania. Chociaż więc Wundt nie był bez poprzedników, on jednak sam ogarnął cały zakres pytań psychologicznych i starał się je nietylko obserwować i klasyfikować, lecz także *wyjaśnić*: słusznie zatém może być uważany za najznakomitszego psychologa w spółczesnéj literaturze filozoficznéj niemieckiéj. Owoc swoich badań złożył w główném i bardzo cenioném dziele *Grundzüge der physiolog. Psychologie.*

Jako niepospolity fizyolog, połowę dzieła poświęcił na wykład fizyologii mózgu i nerwów, czyli fizycznéj strony umysłu; tym sposobem uczynił przysługę dla tych, którzy zajmując się psychologią, nie mieli sposobności czynić sami doświadczeń w muzeach lub gabinetach fizyologicznych, a co istotniejsza, wnioskom i poglądom swoim dał podstawę umiejętną. Rezultaty, do których doszedł, tak oto streszcza w ostatnim rozdziale rzeczonego dzieła.

„Badania psychologiczne prowadzą wszędzie i zawsze do zagadnień metafizycznych. Ale ogół faktów i praw doświadczalnych, zyskanych przez owe badania, stanowi tylko część warunków potrzebnych do odpowiedzi na te zagadnienia. Reszty musi dostarczyć filozofia przyrody i krytyka poznania; albowiem pojęcia doświadczenia wewnętrznego są zależne od pojęć doświadczenia zewnętrznego i powinny być razem z niemi poddane krytyce co do swojego początku i praw do bytu. Dotarłszy do kresu naszego założenia, chcemy zwrócić uwagę na niektóre punkta, które wyniki psychologii fizyologicznéj do owego ogólniejszego przedsięwzięcia zbliżają.

„Można uważać za dowiedzione twierdzenie, że wszystko cokolwiek się w naszéj świadomości dzieje, ma swoję cielesną podstawę w określonych procesach fizyologicznych. Proste wrażenie, syntetyczna przemiana wrażeń na wyobrażenia, kojarzenie i odżywanie na nowo wyobrażeń, nareszcie pojmowanie i objawy woli, wszystko to odbywa się w towarzystwie fizyologicznych procesów nerwowych. Co się tyczy innych cielesnych objawów, szczególniéj téż prostych i złożonych refleksów (odruchów), nie zjawiają się one w świadomości; ale niemniéj stanowią istotne warunki wstępne, poprzedzające świadome, czyli w ściślejszém znaczeniu psychologiczne fakta.

„Zasada twierdząca, że zachodzi ścisły związek i wzajemne całkowite oddziaływanie między umysłem a ciałem, pomimo, że ją nieraz starano się ograniczyć, została rozciągniona z nieprzepartą siłą do całéj sfery doświadczenia wewnętrznego. Oddawna próbowano ją metafizycznie rozmaitemi sposoby objaśnić i wytłómaczyć.

Z gminnych wyobrażeń przeniesiony do filozofii dualizm, starając się wytłómaczyć stosunek umysłu do ciała, trojako objaśniał wzajemne ich na siebie oddziaływanie. Według jednych, umysł przyjmował od organizmu cielesnego wrażenia nakształt uderzanego ciała i w poruszeniach swoich tak samo na nie oddziaływał. Ale system oparty na *fizycznym wpływie* trudno było obronić, gdy się przekonano o stanowczéj różnicy między cielesnemi a duchowemi zjawiskami. Umysł bowiem sam musiałby posiadać własności cielesne, gdyby mógł od ciała odbierać uderzenia i takich-że ciału udzielać. Biorąc na uwagę tę trudność, którą i przy wzajemném oddziaływaniu na siebie substancyj cielesnych upatrywał, Kartezyusz objaśniał każdorazowy wpływ umysłu na ciało i odwrotnie, za pomocą boskiego zrządzenia *nadprzyrodzonéj pomocy*. Taki systemat, który wszelki fakt psychologiczny objaśniał za pomocą bezpośredniego cudu, nie zadawalniał Leibnica, lubo i on uznawał, że pierwszéj przyczyny tego związku między umysłem i ciałem, niepodobna wytłómaczyć. Według niego związek ten pierwiastkowo zrządzenie boskie raz-na-zawsze określiło. Procesy cielesne i wyobrażenia zostają związane z sobą za pomocą *harmonii przedustawnéj* (*harmonia praestabilita)*. Teraz więc każdorazowy cud zastąpiono jednorazowym. Gdy zatém dualizm wyczerpnął wszelkie możliwe sposoby, mające tłómaczyć ów związek, i nie natrafił na sposób zadawalniający, złożył tém samém dowód własnéj niemocy i poprowadził z konieczności do poglądów monistycznych.

„Z pośród tych poglądów, materyalizm, starszy wiekiem od systematów dualistycznych, pojmuje stronę umysłową jako pewną formę, lub jako pewien produkt przejawów cielesnych. Ma on górę póki dowodzi zależności wyobrażeń i myśli od warunków fizyologicznych, póki walczy przeciw pospolitemu dualizmowi. Sam atoli nie podał objaśnienia zjawisk psychologicznych, a nadzieja, żeby mu się to kiedykolwiek mogło udać, znika i rozbija się o niewzruszone podwaliny krytyki poznania. Fakta zachodzące w świadomości są podstawami wszelkiéj naszéj wiedzy. Doświadczenie zewnętrzne jest zatém tylko pewnym, osobnym działem doświadczenia wewnętrznego, a chociaż to ostatnie potrzebuje koniecznie bytu przedmiotowego, jednakże forma, w któréj ten byt pojmujemy, zależy od natury świadomości. Czucie jest podmiotową formą, którą na wrażenia zewnętrzne oddziaływamy; czas i przestrzeń polegają na prawach podmiotowych rządzących syntezą wyobrażeń; nareszcie pojęcia przyczynowości i substancyi, których ciągle do tłómaczenia zjawisk natury potrzebujemy, są psychologicznego początku.

„Idealizm korzysta z tych rezultatów krytyki poznania. Ponieważ doświadczenie zewnętrzne stanowi składową część wewnętrznego, zatém według idealizmu, świat jest refleksem, odbiciem świadomości. Idealizm ma górę, póki zwalcza pretensye materyalizmu. Ale jak tylko sam probuje wytłómaczyć przyrodę, rozbija się o twardą rzeczywistość, która wprawdzie nosi na sobie ślady podmiotowych wpływów, oddziaływających na jéj pojmowanie, niemniéj jednakże wyraźnie świadczy o istnieniu bytu przedmiotowego, bez którego ani wyobrażenia, ani pojęcia nigdyby się w nas zrodzić nie mogły. Tym sposobem musimy wyznać, że nietylko do poznania natury potrzebujemy zewnętrznych bodźców, lecz że te stanowią warunki naszych form pojmowania. Przestrzeń i czas, przyczynowość i substancya nigdyby jako pojęcia nie mogły się w nas zrodzić, gdyby świat przedmiotowy nie służył za pobudkę do ich utworzenia. Otóż tym rozmaitym źródłom poznania pragnie *realizm* zadość uczynić. Jeżeli realizm chce być w zgodzie z rezultatami krytyki poznania, musi przyznać pierwszeństwo doświadczeniu wewnętrznemu. A tak filozofia przerzuca się z czystego realizmu do realizmu idealnego *(Idealrealismus)*.

„Realizm szukając takiego pojęcia substancyi, któreby odpowiadało zarówno wewnętrznemu jak i zewnętrznemu doświadczeniu, wpadł na pomysł istot prostych, które oddziaływając zewnętrznie na siebie, wyobrażają obokleżność materyi atomistycznie pojmowanéj, a zaś wewnętrzną swoją naturą mają służyć za podstawę jednolitości, którą świadomość okazuje. Ztąd powstały owe systemata monadologiczne, według których, dusza czyli umysł jest jedną z pomiędzy wielu takich prostych, niezłożonych istot składających ciało i świat zewnętrzny, różniącą się jedynie od nich swoją wyższą wartością, lub korzystniejszém położeniem, jakie dzięki szczególnym połączeniom swoim zawdzięcza. Ale już na Leibnicu, twórcy monad, okazało się, jak łatwo podobne poglądy wpadają w gminny dualizm wraz ze wszystkiemi jego sprzecznościami, jak tylko chcą wytłómaczyć problemat o wzajemném oddziaływaniu umysłu i ciała. U Leibnica, dusza jako panująca monada, jest tak nieskończenie wyższą od poddanych sobie monad ciała, że Wolff potrzebował tylko mały krok uczynić, aby się całkiem do dualizmu cofnąć, zwłaszcza, że hipotezę przedustawnéj harmonii będącéj najzupełniejszym dualizmem, Leibnic mu przygotował. Herbart bardziéj na seryo zabrał się do rozwiązania problematu o wzajemném oddziaływaniu umysłu i ciała. Filozofią natury i psychologią wyprowadzał on także z podobnych wzajemnych uderzań i samozachowania się owych niezłożonych istot. I on

przecież pojmował duszę, jako jedyną, z pośród wielu poddanych jéj istot, istotę prostą. Na samozachowaniu się jéj wobec uderzeń, jakie od innych monad odbiera, zasadzał wyobrażenia; ze stosunków zachodzących między temi wyobrażeniami wyprowadzał wszystkie fakta doświadczenia wewnętrznego. Hipotezę taką byłoby jeszcze najłatwiéj pogodzić z tém, co wiemy o systemacie nerwowym, jak tego już Kartezyusz próbował. Przypuszczał on, że dusza powinnaby mieć swoje siedlisko gdzieś w mózgu, np. w szyszynce (conarium), że do tego punktu powinnyby się zbiegać ze wszech stron włókna nerwowe, które będąc pobudzone, komunikowałyby jéj wszystko, co się w innych częściach mózgu dzieje. Hipoteza ta jest wszakże tak dalece sprzeczną z faktami fizyologicznemi, że w nowszych czasach nikt jej nie podnosił, ani z niéj korzystał. Radzono tedy sobie wobec trudności przypuszczeniem, że dusza ma ruchomą stolicę w mózgu. Powinnaby zatém podróżować z miejsca na miejsce, ażeby na nią mogły oddziaływać rozmaite okolice mózgowe. Teraźniejsze wiadomości fizyologiczne wymagałyby nietylko znaczniejszego rozszerzenia zakresu tych wędrówek duszy, niż się twórcy teoryi domyślali, ale doprowadziłyby do przypuszczenia, że dusza równocześnie znajduje się w rozmaitych punktach. Albowiem, gdy powstaje wyobrażenie, składają się na nie tysiączne elementarne wrażenia, ktorych niepodobna umiejscowić w jednym i tym samym punkcie organu centralnego. Gdybyśmy zaś spytali o przyczynę, dla której monada duchowa miałaby się zjawiać właśnie w tych miejscach, gdzie jéj potrzeba, ażeby mogła odebrać działanie ciała, nie ma odpowiedzi. A tak i w téj hipotezie milcząco przypuszcza się pomoc nadprzyrodzoną lub harmonią przedustawną.

„Ażeby tych trudności uniknąć, rodzi się pytanie, czy zasada, z której się te wszystkie myśli rozwinęły, jest niewzruszoną. Zkąd-że bowiem czerpiemy przekonanie, że dusza jest istotą prostą? Oczywiście z tego, że dostrzegamy jednostajny związek stanów i procesów odbywających się w świadomości naszéj. Zamiast pojęcia *jedności* podstawiono pojęcie *prostoty (Einfachheit).* Ależ istota jednolita *(einheitliches Wesen)* nie jest to samo co prosta (einfaches Wesen). Wszakże i organizm cielesny stanowi jedność, jest jednolity, a przecież składa się z wielu organów. Tak również i w świadomości spotykamy mnóstwo kolejnych i spółczesnych stanów, które-to mnóstwo wskazuje, że i podstawa ich jest wieloraką *(Vielheit der Grundlage).*

„Dusza więc jest jednością, jest jednolitą (*eine Einheit*). Ale ta jedność opiera się nie na prostéj substancyi, lecz *prawdopodobnie* na

związku wielu prostych istot. W bycie swoim wewnętrznym jest ona podobną jednością, jak dla oka naszego, organizm cielesny; a całkowite oddziaływanie duszy na ciało i odwrotnie, prowadzi z konieczności do przypuszczenia, że *dusza stanowi byt wewnętrzny okazujący podobną jedność, jaką zewnętrznie widzimy na ciele do niéj należącém*. Do głównych organów ciała, do centralnych organów układu nerwowego przywiązane są objawy duszy. Jak cielesne, tak i duchowe, psychiczne funkcye są między rozmaite centralne okolice rozdzielone tak, że wszelkiéj zmianie zewnętrznéj odpowiada zmiana stanu wewnętrznego. Jednakże pojmowanie tego wewnętrznego stanu czyli świadomość, dopiéro tam staje się możebne, gdzie ów związek będący podstawą zewnętrznego i wewnętrznego organizmu, zawiera w sobie warunki do samodzielnego odnawiania procesów i wiązania stanów (umysłu) teraźniejszych z dawniejszemi. I dlatego są istoty, które nie dochodzą do rozwoju świadomości i nie wszystkie organa należące do istot obdarzonych świadomością, biorą w nié udział.

„Takie pojmowanie problematu o wzajemném oddziaływaniu umysłu i ciała prowadzi niechybnie do metafizycznego przypuszczenia, że świat układa się z istot prostych w rozmaitych związkach z sobą będących, a u których zmianom zewnętrznym zawsze towarzyszą zmiany stanów wewnętrznych. Ale te stany dopiéro wówczas przekształcają się na czucia i wyobrażenia, gdy związki istot prostych są o tyle liczne, by stanom wewnętrznym mogły zapewnić trwałość i łączność. Otóż taki stan rzeczy, o ile wiemy, rozpoczyna się w sposób przygotowawczy już u zwierząt, ale dopiéro w świadomości ludzkiéj dochodzi swojéj pełni. Tym sposobem świadomość ludzka stanowi splot centralny rozwoju natury, w którym świat sam niejako przychodzi do siebie.

„Chociaż atoli ten genetyczny pogląd na fakta psychologiczne prowadzi do uważania świadomości ludzkiéj za produkt rozwoju natury; z drugiéj jednak strony, badanie psychologiczne budzi przekonanie, że świadomość ludzka stanowi fundament, na którym wszelkie poznanie spoczywa. Najbliższym rezultatem tego samopojęcia (*Selbstauffassung)*, które pewniejszém jest dla nas, niż pewność o istnieniu świata zewnętrznego, pojmowanego tylko przy pomocy naszéj świadomości, rezultatem wynikającym z powyższego jest to, że się czujemy jako jednolita istota (*einheitliches Wesen)*. Świadomość nasza tylko nieskończenie mały punkt świata w swoim bycie wewnętrznym ujmuje. Nie możemy przypuścić, żeby świat zewnątrz nas będący nie miał takiego bytu wewnętrznego. Jeżeli jednak chcemy go sobie wyobrazić, możemy o nim myśléć jedynie pod formą własnéj świa-

domości, oraz pod formą świadomości opartéj na pierwszéj, a stanowiącéj świadomość ludzkości wogóle: innemi słowy, możemy go sobie wyobrażać jako jednostajny, jednolity związek, dzielący się na samoistne jedności (*Einheiten*) rozmaitego stopnia, które się według celów wewnętrznych rozwijają. A tak, doświadczeniu psychologicznemu może czynić zadość jedynie monistyczny pogląd na świat, pogląd, który indywidualności zapewnia byt, nie rozpuszczając jéj w czczéj formie monady, do któréj jedynie przy pomocy nadprzyrodzonéj rozmaitość rzeczy przenika. Nie jako byt prosty, lecz jako uporządkowana jedność wielu pierwiastków, jest dusza ludzka tém, czem ją Leibnic nazywał: zwierciadłem świata" (1).

Wysłuchawszy uważnie tego tłómaczenia, mającego objaśnić wzajemne oddziaływanie umysłu i ciała, nie możemy wyznać, żeby tajemnicza zasłona otaczająca ten stosunek, została nieco uchylona. Wundt dobrze krytykuje poglądy dualistyczne, hipotezy idealistów i materyalistów; ale jego *genetyczny* pogląd także nie tłómaczy tego, o co chodziło. Chociażbyśmy bowiem duszę ludzką pojmowali nie jako istotę *prostą* lecz jako *jedność*, kiedy organizm umysłowy porównywamy z cielesnym i jedność widomą w ciele przenosimy na umysł, czynimy tylko porównanie, które o tyle mniéj jest ścisłe, o ile umysł bardziéj do ciała niepodobny. Dlatego jesteśmy przekonani, że to nie ostatnie słowo w téj sprawie a i autor sam nie uważa swojego poglądu za ostateczny, gdy skromnie mówi, że *prawdopodobnie* (*vermuthlich*) tak się rzeczy mają, jak je sobie wyobraża.

Dzięki niepospolitym pracom fizyologów i antropologów a szczególniéj Wundta, psychologia spółczesna w Niemczech weszła na drogę, która musi doprowadzić do lepszych rezultatów, niż dawniejsze metafizyczne zaciekania nad istotą duszy i legionem władz, jakie w niéj usadowiono. Za to w zakresie logiki, mniéj widzimy usiłowań do odnowienia téj gałęzi nauk filozoficznych. Nie brak atoli i na tém polu faktów rokujących lepszą przyszłość. Do takich faktów zaliczamy *Logikę* (*Logik* 1873—1878) Chrystyana Sigwarta. W dwóch dużych tomach, autor wyłożył zwyczajną logikę syllogistyczną i metody umiejętne, przyczém sporo miejsca poświęcił opracowaniu indukcyi, korzystając z dzieła Stuarta Mill'a. Cieszy się téż, że jego teorya indukcyi bardzo jest bliska takiejże teoryi Stan-

---

(1) „*Grundzüge der physiologischen Psychologie.*" Str. 858 i daléj ad finem, wydania z r. 1874.

leya Jevons'a, wyłożonéj w jego dziele „Principles of Science.“ Widać zatém, że Niemcy tracą wiarę w swój monopol do uprawy filozofii i oglądają się na innych zwłaszcza na Anglików. Dzieła St. Mill'a, H. Spencer'a, A. Bain'a mają w Niemczech i czytelników i tłómaczy; Anglicy ze swéj strony tłómaczą lepsze dzieła filozoficzne Niemców, co obu narodom na pożytek wyjść musi.

Przegląd niniejszy zamykamy wzmianką o wyjściu nowéj *Logiki* (*Logik*, *eine Untersuchung der Prinzipien der Erkenntniss und der Methoden wissenschaftlicher Vorschung*, von W. Wundt. I-ster Band. 1880). Tak więc Wundt wypróbowawszy siły swoje na psychologii i wzbogaciwszy ją gruntowném dziełem, czyni obecnie to samo dla logiki. Tom pierwszy, który w roku przeszłym wyszedł, zawiera wykład teoryi poznania (*Erkenntnisslehre*). Drugi ma obejmować wykład metod umiejętnego badania. Taż sama gruntowność i spożytkowanie rezultatów, osiągniętych przez innych badaczy na tém polu, jaka cechuje *Psychologią*, wyróżnia téż korzystnie i *Logikę* Wundta.

Przyjrzyjmy się z kolei dziejom filozofii w Holandyi (1). Potomek oszczędnych i gospodarnych obywateli, Holender, uważany średnio, czyli jak mówią, przeciętny, słusznie ocenia wartość nauki ścisłéj i zdrowéj, ale czystéj teoryi wogóle nie ufa, ażeby nie zwichnęła doskonałéj jego równowagi umysłowéj, i nie naraziła na niebezpieczeństwo spokojnego rozwoju spraw ludzkich. Już nieboszczyk profesor von Heusde twierdził, że Holendrzy szukają w filozofii prostoty, zdrowego rozsądku, a szczególniéj dobrych zasad, któreby ich nie pokłóciły z wyznaniem religijném. Ztąd téż filozofią cenią jako umysłowe ćwiczenie, którego z umiarkowaniem należy używać, nie zaś jako zadanie życia skierowane do poszukiwania prawd fundamentalnych. Uważają zatém za wystarczające do tego celu krótkie zapoznanie się z istniejącemi teoryami i ich brakami, dając za wygraną ścisłéj konsekwencyi, jako niepodobnéj do osiągnięcia, a naród poprzestaje na téj lub owéj formie protestantyzmu. Z drugiéj strony, rozchodzi się w Holandyi dużo utworów literatury francuzkiéj, angielskiéj i niemieckiéj; ztąd w narodzie czuć mieszaninę najrozmaitszych mniemań, sprawiających niezgodę wśród niewielkiego

---

(1) O filozofii spółczesnéj w Holandyi pisał profesor Land z Lejdy w kwartalniku *Mind* z r. 1878. Za nim więc idziemy w niniejszym artykule opuszczając to, coby nie mogło zajmować naszego czytelnika.

i wogóle spokojnego społeczeństwa. Katolicyzm i kalwinizm, pozytywizm, toryzm i radykalizm mają swoich wytrwałych stronników, tak że może nie ma na świecie teoryi, którajby nie liczyła zwolenników w teraźniejszém królestwie Niderlandzkiém. Z tego wszakże wynikło to, co i w Anglii, mianowicie; że z częstych i ostrych sporów, z téj ciągłéj walki na słowa, skorzystała swoboda zdania a ludzie myślący uniknęli ostateczności.

Ażeby dać chociaż krótki obraz rozwoju spółczesnéj filozofii w Holandyi, trzeba wprzód nadmienić nieco o szkołach wyższych, gdzie i jak ją wykładają.

Po zmianie wyznania religijnego w XVI w. Wilhelm książę Oranii skłonił stany holenderskie do ustanowienia w Lejdzie szkoły wyższéj, obejmującéj wydziały: teologiczny, lekarski, prawny i sztuk pięknych (1575). W dziesięć lat potém stany Fryzyi uchwaliły zaprowadzenie podobnéj szkoły we Franekerze; wkrótce za tym przykładem poszła Groninga (1614). Szkołę w Harderwijku podniesiono do stopnia uniwersytetu na mocy uchwały stanów Geldryi (1648). Kolegium w Utrechcie otrzymało przywileje akademickie od stanów prowincyonalnych (1636). Prawie równocześnie zyskały takież prerogatywy szkoły w Deventerze i Amsterdamie. Nie miały one jednak prawa udzielać stopni naukowych, i dopiéro ustawa o uniwersytetach z r. 1876 zamieniła drugą z nich na uniwersytet prowincyonalny, a pierwszą zniosła. Tymczasem po rozmaitych przejściach szkoły wyższe w Harderwijku i Franekerze zostały zniesione (1818 i 1843). Inne jeszcze kolegia, zwane athenaea, istniały przez pewien czas w Nimwedze, Dordrechcie, Bois-le-Duc, Bredzie i Middelburgu.

Wszystkie te szkoły zależały od rozmaitych władz, a ztąd brakło w nich jednostajnego planu nauczania. Ustawa uniwersytetu lejdejskiego była najliberalniejszą i nie wkładała na uczących żadnych religijnych lub filozoficznych ograniczeń. We Franekerze wszyscy profesorowie musieli podpisywać wyznanie wiary kościoła presbiteryańskiego; w Gronindze zaniechano tego dopiéro w r. 1801. Utrecht wkrótce poszedł za tym przykładem. W statutach obu tych szkół zastrzegano, ażeby: „Filozofowie od filozofii Arystotelesa nie odstępowali, i żeby obrońców niedorzecznych paradoksów i wynajdywaczów nowych dogmatów, różniących się od nauki Arystotelesa, nie tolerowano.“

Nad uniwersytetami połączonych Niderlandów czuwali kuratorowie, ludzie wysokiego stanowiska, którzy mieli często prawo podług swojego widzimisię powoływać i usuwać profesorów; nie należeli oni nigdy do ciała uniwersyteckiego, lecz działali w imieniu najwyż-

széj władzy. Zdarzało się nieraz, że kuratorowie ci stawali w obronie swobodnéj nauki, broniąc szkoły od wdzierstwa kleru kalwińskiego. Tak np. kuratorzy w Lejdzie odrazu oświadczyli, że nie myślą dopuścić do szkoły inkwizycyi genewskiéj. Kiedy synod zebrany w Dordrechcie domagał się zaprowadzenia kuratora duchownego, któryby czuwał nad wydziałem teologicznym w Lejdzie, władza miejscowa nie przystała na to.

W szkołach wyższych holenderskich brakło życia akademickiego podobnego, jak istniało w kolegiach angielskich, lub w Kolonii i Lowanium; *bursy* czyli *ekonomie* istniały głównie dla kandydatów do stanu duchownego przeznaczonych. *Regens* i wiceregens powtarzali z uczniami burs to tylko, co wykładali profesorowie dla wszystkich uczniów. Zresztą, nie brakło prywatnych nauczycieli, od których uczniowie brali lekcye. We wtorki i soboty nie było publicznych odczytów, tylko dysputy, w których brali udział profesorowie i uczniowie pod kierunkiem jednego z nauczycieli urzędowych.

Najstarszy wydział filozoficzny, inaczéj sztuk pięknych zwany, w Lejdzie, liczył sześciu zwyczajnych profesorów, mianowicie: logiki, fizyki, matematyki i trzech języków uczonych. Na etykę patrzano podejrzliwie, jako na naukę pachnącą pogaństwem; metafizyka także nie miała kredytu, albowiem humaniści i protestanci uważali ją za płód średniowieczny i kościelny, do którego wstręt czuli. Pozwalano wszakże na ich wykład, jako przedmiotów za planem będących, a około połowy XVII w. weszły do programu szkolnego. Każdy uczeń, a szczególniéj przyszły teolog powinien był zaczynać studya od humaniorów i filozofii. Filozofia zaś ta była zmodyfikowaną nieco kopią scholastycznéj, dostrojoną do wyznania protestanckiego. Arystoteles stanowił jedyne źródło i powagę w kwestyach filozoficznych, osobliwie co do logiki; obok niego dzieła Cycerona i Piotra Ramus'a, używały wielkiéj wziętości. Nauczyciele przybywali z rozmaitych stron i rozmaitych trzymali się doktryn. Jedynym głośniejszym filozofem był B. Spinoza, ale ten ani w szkole nie uczył, ani do narodu holenderskiego należał. Zasłynął téż Arnold Guelinx, stronnik Kartezyusza, urodzony w Antwerpii. Wykładał on filozofią w uniwersytecie lowańskim przez lat 12 z wielką chwałą, poczém przeniósł się do Lejdy i tu został profesorem nadzwyczajnym (1665). Kiedy ku końcowi XVIII w. filozofia Kanta zasłynęła w Europie, znalazło się i w szkołach holenderskich kilku jéj zwolenników; wogóle jednak nie można powiedzieć, żeby trwalszy wpływ na umysły zyskała. Po wojnach napoleońskich dekret królewski z r. 1815 przekształcił nieco uniwersytet lejdejski, zaprowadzając więcéj jedności

między wykładami, które zaczęto prowadzić w języku narodowym dlatego, że po łacinie coraz mniéj rozumieli przybywający na nowo uczniowie. Filozofia jednak nie miała wielkiego u nich miru; uważano ją za resztki średniowiecznéj scholastyki; etykę uznano za zbyteczną, gdyż zastępowała ją teologia moralna, a metafizyka stopiła się z historyą filozofii. Z pośród jakiego tuzina profesorów wykładających filozofią w rozmaitych szkołach, niektórzy zalecali Krausego (Nieuwenhuis), inni Hegla (de Greuve). Van Heusde († 1839) wskrzesił filozofią Platona, a chociaż nie bardzo wniknął w tego filozofa, umiał słuchaczów zachęcić do wykładanego przedmiotu.

W Utrechcie od r. 1846 wykładał filozofią jeden z więcéj znanych holenderskich uczonych Opzoomer, który pożyczał wielu poglądów od Comte'a i St. Mill'a dostrajając je do gustu protestanckich słuchaczów i wymagań. Jako przywódca „nowożytnéj" partyi w kościele, jako biegły znawca prawa cywilnego holenderskiego i dający baczne oko na to, co się działo w literaturze europejskiéj, Opzoomer zostawił po sobie przedewszystkiém to wspomnienie, że budził życie umysłowe i pismami sięgał poza szkołę. Z jego szkoły wyszedł van der Wijck, profesor w Gronindze (od r. 1863), który założył sobie zaznajomić Holendrów ze spółczesną psychologią angielską.

Zewnątrz uniwersytetów, filozofia także bardzo słabo była i jest reprezentowana. Między 1828 a '30, i późniéj między '36 a '37 wychodziło w Hadze pismo czasowe poświęcone uprawie filozofi Hegla. Comte, zarówno oryginalny, jak i zreformowany przez Littré'go, liczył kilku wielbicieli. Nie brakło też zawracających do starożytności. Tak A. J. Vitringa wznowił emanacyjnyą doktrynę Plotyna, a znów van Vloten pracował nad Spinozą, głosząc jego mniemania i prorokując, że się staną filozofią przyszłości. Między teologami również krążą najrozmaitsze mniemania odnośnie artykułów protestantyzmu, żadna jednak doktryna nie ma stanowczéj przewagi u nich; są to eklektycy lub sceptycy, tytułujący się filozofami „chrześciańskimi." Rzadziéj się oni spotykają, niż w przeszłym wieku, jest ich jednak jeszcze sporo między starszém pokoleniem pastorów.

Od r. 1878 zaczęło obowiązywać prawo wydane 1876, mające na celu reformę wyższego nauczania. Szkoła gramatyczna, czyli gimnazyum ma, według téj ustawy, być zakładem, w którym się udziela nauka w średnim zakresie, obejmującym to, co dawniéj nazywano *propaideia*. W uniwersytecie utrzymano pięć wydziałów dawniejszych; jedynie wydział teologiczny uwolniono od nacisku kościelnego, zostawiając wykład dogmatów seminaryom. Zamiast dawniejszych stopni naukowych *Philosophiae Theoreticae magister*, *Literarum*

Humaniorum Doctor, odtąd mają udzielać specyalne stopnie, np. doktor filologii klasycznéj, semickiéj lub holenderskiéj, a także filozofii. Ażeby ten ostatni otrzymać, młodzieniec, który skończył gimnazyum, będzie słuchał logiki, psychologii oraz historyi filozofii greckiéj i rzymskiéj, poczém zdawszy egzamen otrzyma stopień kandydata. Po odbyciu późniéj egzaminu z historyi filozofii średniowiecznéj i nowożytnéj, a także metafizyki i obronieniu rozprawy, zostanie doktorem filozofii. Wogóle, prawo z r. 1876 nie odpowiedziało życzeniom tych, co się spodziewali gruntowniejszego wykładu filozofii.

F. K.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(*Dokończenie*).

XXXI.

Nazajutrz był dzień mglisty, posępny. Popielata mgła napełniła powietrze, które przez to miało woń niemiłą, odrażającą. Na zwierzęta działała ta mgła jak narkotyk usypiający. Psy i koty pozwijały się w kłębki i spały nieprzerwanie. Czasami tylko sen jaki niedobry zamącił im roskosze tego letargu, wtedy wysuwał kot ostre pazury z łapek aksamitnych, a pies po prostu warczał i szczekał przez sen półgłosem. Kanarki w klatkach spały także, a nawet na gzymsach nie było wróbli, które zwykle zaraz z rana dopominają się swojéj dziesięciny od mieszkańców miasta.

Dzień taki jest dla społeczeństwa dniem niedobrym. W takim dniu rodzą się lub dojrzewają wszystkie złe rzeczy w różnych warstwach, zacząwszy od podziemia a skończywszy na poddaszu. Stróża w wilgotném podziemiu kusi w takim dniu, aby wlazł do piwnicy gospodarza, gdzie stoi wino w butelkach... restaurator, który mieszka na dole, dolewa w takim dniu wodę do piwa... pani Alicya, zajmująca apartamenta pierwszo-piętrowe, czyta romans francuski i przychodzi do przekonania, że mogłaby być podobną do bohaterki, gdyby tylko pan Karol był więcéj bohaterem... mecenas z drugiego piętra przyjmuje w takim dniu brzydką sprawę i obiecuje ją świetnie bronić... a mieszkający na trzeciem piętrze kantorzysta, układa wtedy plan okradzenia kasy swego pryncypała, przepędzenia wesołego wieczorka w „café-chantant“ i następnéj podróży do Ameryki. Na poddaszu zaś mieszkająca szwaczka decyduje się w tym dniu porzucić dotychczasowego kochanka, pomocnika fryzyera a przejść pod

opiekę starego radcy z urzędu cłowego, który obiecuje rozjaśnić mgliste dni jéj żywota!...

Słowem wszędzie upadek... przeklęta mgła! Ale cóż ludzie winni, że w takim dniu ma powietrze za mało ozonu, za mało elektryki... czyli mówiąc innym językiem, za mało moralności publicznéj... Gdyby w takim dniu niezdrowym popełniono zabójstwo—jak świetnie mógłby obrońca zabójcę obronić! Sędziowie przysięgli, patrząc na chemiczny rozbiór zamkniętego w retortę w chwili zabójstwa powietrza nie mogliby obwinić człowieka, któremu do dostania się na poziom moralności brak było pewnych składników eterycznych...

Cóż w takim dniu robił pan Protazy?

W takim dniu mają emeryci pewne zatrudnienia. Bezżenni układają łamigłówki, logogryfy i tak zwane koniki dla ostatniéj stronnicy pisem brukowych, lub odczytują wydrukowane. Nic dziwnego, że w tych fabrykatach nie wiele sensu—bo w powietrzu niewiele ozonu i elektryczności!... Podczas wojny, czytają inni w takim dniu gazety polityczne, odgadują plany wodzów i zdobywają obozy oszańcowane!... Czasem grają w wista głośnego, bo jeżeli w takim dniu człowiek gadaniem się nie rozrusza, to skamienieje jak cement przy zetknięciu się z wodą!...

Pan Protazy był także emerytem, układał czasem łamigłówki i rebusy, czytał gazety a nawet w wista grywał, ale dzisiaj była mgła wyjątkowa, a zatrudnienia powyższe przy takiéj mgle nie smakowały. Trzeba było zająć się czemś innem.

Zaraz z rana opanowała Protazego jakaś niewysłowiona nuda. Naciągnął szlafrok na siebie i spojrzał w zwierciadło. Nie podobał mu się sobowtór zwierciadlany. Był żółty jak cytryna z zielonkowatym odcieniem. Twarz miała dzisiaj więcéj zmarszczków niżeli w dni słoneczne.

Przeklęta mgła! pomyślał sobie—człowiek galopem się starzeje! Głupie to życie!

I zawołał na służącego.

Sebastyan jak zwykle stał już pod drzwiami z garnuszkiem, czekając pierwszego szmeru. Wszedł do pokoju.

— Cóż tam dzisiaj słychać?—zapytał pan Protazy swego dwudziestoletniego powiernika.

— Mgła panie jak mléko!—odpowiedział Sebastyan.

— Czy w nocy nic się nie stało?

— Jakoś spokojnie.

— Nie było nigdzie pożaru?

— Nie było.

— Nik nie powiesił się?

— Nic o tem nie mówią!

— Tam do kata! Strasznie nudno teraz na świecie! Gdyby choć gdzie wojna wybuchła... ale daleko!

W saméj rzeczy panu Protazemu było bardzo nudno. Miał on świetną przeszłość, lubił jak powiada Marcin Luter: winko, śpiew i kobiéty—dziś to wszystko wionęło jak mgła, a pedogra niepozwala nawet na kieliszek białego!... Cóż mu teraz po téj świetnéj przeszłości zostało?... Nic-mniéj niż nic, bo niesmak, zmora wspomnień i starość! A z tém wszystkiém pozostał sam.., sam na sam!

Każdy człowiek ma instynkt zachowawczy, który w największém nieszczęściu czemś go pociesza i coś mu obiecuje. Pan Protazy już niczego sobie nie obiecywał, ale tem się pocieszał, że są od niego nieszczęśliwsi. Pragnął ich widziéć lub słyszéć coś o nich choćby codziennie, choćby co godzina. Z prawdziwą rozkoszą wyczytywał w pismach, komu w nocy kamienica się spaliła, kto się zastrzelił, kto nogę złamał a komu żona uciekła. Fakta takie były dla niego prawdziwą biesiadą, bo wobec nich było mu jeszcze dobrze na świecie. Wyobrażał sobie z roskoszą rozpacz tych biedaków, tworzył nawet przy smacznéj kawie sceny dramatyczne i dziękował, że „nie jest takim jak tamci.“ Fejletony dzienników, opisujące z całą ponętą realizmu dokonywane zbrodnie, czytywał z wielkim zapałem. Drażniło go to roskosznie, jak drażni assafetyda przytępionę podniebienie smakosza.

To też dzisiaj bardzo mu się smutno zrobiło, gdy mu Sebastyan nie mógł ani o pożarze ani o samobójstwie coś opowiedziéć.

— Świat, jak widać, już się starzeje!—rzekł do siebie poziewając—tak wszystko się starzeje! .. I jakże nie ma się starzeć, jeżeli nic człowieka rozerwać nie może. Człowiek jest jak drzewo, które potrzebuje, aby go wicher od czasu do czasu dobrze aż w korzeniach poruszał, inaczéj w zaciszu zwiędnie i uschnie!...

I skurczył się jak gąbka, któréj brak wilgoci. Włożył ręce w szlafrok i zaczął przechadzać się po pokoju. W tym ruchu higienicznym przeszkodziły mu zwierciadła. Co chwila widział w nich siebie, to z profilu, to z tyłu, to z przodu—a z wszystkich stron wyglądał więcéj na karykaturę niżeli na przyzwoitego człowieka. Miał plecy garbate, nogi chude i cienkie, kolana skrzywione i twarz pomarszczoną!...

— Przeklęta mgła!... Przeklęte zwierciadło! Kto wymyślił zwierciadła? Zwierciadła przyczyniają się do zepsucia całéj ludzkości! Gdyby młoda, piękna kobiéta nie widziała siebie w zwierciadle, nie byłaby zapragnęła awantury miłosnéj... Gdyby jasnowłosa Elmina nie była w zwierciedle oceniła swoich wdzięków na pięćkroć sto-

tysięcy, nie byłaby wyszła za bankiera, którego potém dla drugiego porzuciła!... Słowem, zwierciadło to wąż-kusiciel dla młodych a satyra dla starszych!... Głupi wynalazek! Gdybym był prawodawcą, kazałbym wszystkie zwierciadła potłuc!...

I usiadł po tym monologu na obdartym fotelu.

— Sebastyanie!

Sebastyan zjawił się z chmurą na czole.

— Czy nic a nic nie masz na dzisiaj nowego?

— Powiedziałem, że nic nie ma!

— Głupia sprawa! Że to naszym gazetom nie przyjdzie ta myśl do głowy, na której zagraniczne pisma pieniądze robią!... Sebastyanie, czyś widział ten obraz?

Pan Protazy rozwinął tutaj starannie arkusz papieru, na którym była rycina przedstawiająca starego, przeżytego człowieka, otoczonego komfortem i czytającego z roskosznym wyrazem na twarzy numer „Figara,“ na którym widać tytuł: *Scandal du jour!*

Była to kopia obrazu jednego z najznakomitszych francuskich malarzy. Artysta przedstawił w sposób mistrzowski moralnego i fizycznego bankruta, którego tylko skandal jaki może rozerwać... i usłużną literaturę, która z takiego bankructwa korzystać umie, dając stępionym podniebieniom taką strawę narkotyczną...

Stary Sebastyan patrzał na papier i na swego pana.

— Cóż tak patrzysz raz na mnie, raz na papier? — zapytał rozciekawiony pan Protazy.

— Bo ten jegomość na papierze, w téj białéj szlafmycy, coś do pana podobny. Czy to może portret...

— Głupi jesteś! Ten przecież starszy ode mnie i brzydki...

— No... nie starszy i nie brzydszy! Osobliwie, gdy się pan gniewa! To akurat jak dwie krople wody! A gdyś mnie pan wtedy w kark uderzył, to byłeś jeszcze starszy i brzydszy od tego!... Złość, gniew, zawiść... to robi bestyją z człowieka!...

Pan Protazy uśmiechał się dobrotliwie na taki koncept starego powiernika.

— Widzisz przyjacielu—ozwał się po chwili—człowiek musi się gniewać, jeżeli nie ma się czem rozerwać!

— Dlaczego się pan nie ożeniłeś?

— O tobym głupstwo zrobił!... Czy są takie kobiéty na świecie, które mężów swoich aż do śmierci kochają?

— Nie obrażał-by pan Boga! Przecież między samymi znajomymi można znaleść...

— Nie wierz, nie wierz temu! Nie każdy mąż chce się zaraz przed światem przyznać... i nie każda też kobiéta jest tak naiwna, aby nie umiała ukryć się przed światem!...

— Musiały panu kobiéty bardzo dokuczyć!

— Znam je tylko lepiéj od ciebie!

— Ot!... Jakie pan kobiéty znałeś! Jeżeli tylko te, o których wiem, to... upadam do nóg!

— Wszystkie są podobne do siebie...

W téj chwili zaszeleściała na korytarzu suknia kobiéca. Sebastyan wypadł do sieni.

Pan Protazy nastawił ucha z ciekawością.

Głucha była cisza—nic nie słychać.

Za dobrą chwilę zjawił się Sebastyan.

— Cóż tam takiego?—zapytał pan Protazy.

— Ot nic...—odparł Sebastyan—a zresztą albo ja wiem co?

— Któż to był?

— Anusia, służąca od pani dyrektorowéj.

— Anusia?... Od pani dyrektorowéj?... Dlaczego nie od pana dyrektora?

— Bo pan dyrektor służącéj nigdzie nie posyła. Zresztą mówiłem z nią...

Pan Pafnucy odmłodniał i wyprostował się.

— Powiédz, powiédz—cóż to takiego?—zawołał z ciekawością.

— Powiadam panu, że sam nie wiem. Od wczoraj coś tutaj robi (tu wskazał na drzwi sąsiada), czego nie rozumiem!—dodał zniżonym głosem.

Pan Protazy rzucił się na fotelu.

— Coś się robi?... A co Anusia ma w tem?

— Właśnie w tem sęk, że nie wiem. Kobiéty, jak co robią, to nie robią głupio!... Od wczoraj do dzisiaj widziałem ją co najmniéj pięć razy na korytarzu. Raz przydybałem ją, jak podsłuchiwała pod drzwiami naszego sąsiada... mówiła, że ma list od pani!...

— List od pani?—krzyknął z radością pan Protazy i podskoczył do góry—list od pani... powiedziała!

— Tak powiedziała... któż tam wie, czy prawda?

Pan Protazy z fantazyą zapuścił ręce do szlafroka i stanął wspaniale na środku pokoju.

Stał tak czas niejaki i widocznie rósł do góry. Zgarbiony grzbiet jego prostował się pod wpływem jakiejś myśli roskosznéj, jak się prostuje zgięta noga zabitéj żaby pod prądem galwanicznym...

Uśmiechnął się roskosznie, potarł palcem po nosie, co oznaczało najlepszy jego humor, i rzekł po cichu:

— Słuchaj Sebastyanie: sowitą nagrodę dostaniesz za to, jeżeli się dowiesz... tylko sprytnie... jaki właściwie miała interes służąca pani...

Sebastyan skrobał się w głowę.

— A jeżeli obaczysz u niéj jaką kartkę... to tak... niby żartując... porwiesz... uciekniesz... dasz mi do przeczytania, a potém... możesz jéj oddać!... Rozumiesz?

Sebastyan ciągle skrobał się w głowę?

— A jeżeli mnie tak zwiążą, jak to pana związali?

Lekka chmurka przesunęła się po żółtéj twarzy emeryta.

— Nie bój się... ja tu będę czuwał! — odparł i pchnął z lekka powiernika swego do sieni!

Zatarł ręce z radości i usiadł na fotelu.

XXXII.

Widać z tego, że wiadomość o pojedynku nie dotarła jeszcze była do pana Protazego. Wiedziano już jednak o niéj tam, gdzie oprócz ucha, były także naprężone ukryte struny serca...

W małym pokoiku były trzy kobiéty. Najmłodsza z nich, jasna blondynka z niebieskiemi oczyma i łagodnym wyrazem twarzy leżała na sofie blada i mocno zmęczona. Starsza, szatynka, siedziała przy niéj i poduszką podtrzymywała jéj głowę. Najstarsza zaś krzątała się z kluczami po pokoju i mówiła od czasu do czasu z jakąś alteracyą.

— Nie... tu rzeczywiście trzeba głowę stracić—zawołała—aby płakać i mdleć za człowiekiem, który dla innéj życie swoje stawia na kartę!... Trzeba być istną waryatką!... Jeszcze Femci się nie dziwię, ona zawsze miała głowę przewróconą—ale tobie Elżbieto...

— Niechże ciocia tylko na mnie się gniewa, a Femci da spokój, bo ona więcéj potrzebuje spokoju niżeli kazania!...

— Matko boża!

Ciocia Andzia włożyła ręce do kieszonek fartuszka i stanęła przy sofie, patrząc z politowaniem na chorą.

Eufemia oddychała głęboko i powoli. Napływ krwi do serca był zanadto gwałtowny. Często blada jéj twarz marszczyła się jakby od bólu wewnętrznego...

Elżbieta przesunęła ręką po czole choréj.

— Miałam najlepsze chęci — ozwała się po chwili — któż wiedział, że tak się zakończy!... Od niejakiego czasu zwróciłam uwagę na tego człowieka. Mogłam wygodnie, osobliwie wieczorami widzieć go przez okno, którego prawie nigdy nie zasłaniał. Pracował po ca-

łych dniach i nocach. Gdy siedział pochylony nad pracą, gdy podparł głowę i myślał i gdy w końcu wstał, a zbliżywszy się do okna, w niebo spojrzał—miał w twarzy, w oku i wcałéj postaci coś tak szlachetnego, tak pięknego i niezwykłego, że trzeba było powziąć dla niego jak największą sympatyą!... I pomyślałam sobie: gdyby on mógł być mężem Eufemii!... Myśl ta zagłębiała się co raz więcéj w mojéj głowie — snułam na téj kanwie najrozmaitsze marzenia... robiłam z niego profesora... obiecywałam mu protekcyą męża.. Cóż w tém było niemożliwego?...

Ciocia Andzia milczała, pobrzękując kluczami. Po twarzy Eufemii przebiegał smutny uśmiech.

— I gdy już miałam rzecz w głowie—mówiła daléj Elżbieta— okazałam go Eufemii. Powiedziałam nawet żartobliwie, że na nią czasem patrzy, że zapewne mu się podobała!... Przyznaję się, że tu może zbłądziłam — bo myślałam, że Eufemia nie weźmie tego tak zaraz do serca. Tymczasem różne drobne wypadki popchnęły rzecz naprzód. Mąż mój, który w ostatnich czasach zdziwaczał, nic nie pomagał, przeciwnie przeszkadzał... i stało się nieszczęście.

— Zamiast w Eufemii zakochał się w innéj!... uzupełniła ciocia Andzia z ironicznym uśmiechem.

Elżbieta chwyciła ją za rękę.

— Słuchaj ciociu!—zawołała—mogę ręczyć moją głową, że ten człowiek, gdyby był zbliżył się do Eufemii i poznał ją, byłby się tak samo w niéj zakochał, jak się zakochał w tamtéj, która może jego szlachetnego zapału nie była warta!... Patrzałam na niego przez długi czas... Poświęcony pracy i naukom... zapłonął płomieniem do kobiéty, która umiała ten płomień rozdmuchać... szał swój nazwał miłością... i zrobił pomyłkę, za którą teraz może życiem zapłacić!...

Ręka Eufemii drgnęła w dłoni Elżbiety.

— Czy Anusia przyniosła jaką wiadomość? — zapytała ciocia Andzia.

— Jeszcze nie—odpowiedziała Elżbieta—chociaż pan Tomasz, przyjaciel jednego z sekundantów, przyobiecał mi dowiedzieć się...

— Cóż w takim razie zrobicie?

— Naturalnie, że żadnéj awantury robić nie będziemy, bo na nic-by się nie zdało. Idzie nam po prostu, aby w razie katastrofy, być w pogotowiu z pomocą, jak można najbliżéj... Wiesz ciociu, że należę do wydziału dobroczynności, który chorych w szpitalach odwiedza! Wezmę z sobą towarzyszkę...

Płacz wewnętrzny, spazmatyczny, zaczął poruszać wątłą pierś Eufemii...

Elżbieta i ciocia Andzia zbliżyły się do choréj.

XXXIII.

— Cóż?... Masz? Masz! — krzyczał pan Protazy, cały czerwony na twarzy, widząc wpadającego do pokoju Sebastyana. — Masz? Masz?... Trzymaj! Trzymaj dobrze!...

I o ile mógł zerwał się szybko z wytartego fotelu.

— Mam! Mam!—wołał nie mniéj zarumieniony Sebastyan, trzymając zamkniętą rękę do góry, jakby w niéj muchę trzymał.

— Powoli! Powoli — wołał pan Protazy, zbliżając się ostrożnie do zamkniętéj ręki.

W szale szczęścia wydawało się i panu i słudze, że to co się w zamkniętéj ręce mieści, jest czémś żyjącém, co może z ręki wylecić i uciec.

Pan Protazy sparł się na palcach do góry, aby być panem zamkniętéj, wysoko podniesionéj ręki Sebastyana. Nie tak łatwo jednak zgodził się na to Sebastyan. Wysunął rękę jeszcze wyżéj do góry.

— Zaczekaj pan—odrzekł—niech pierwéj opowiem, jak było!

— Dobrze, dobrze, opowiadaj i daj!—wołał drżący cały z radości pan Protazy.

— Przecież sam pan zawsze powiada, abym dwóch rzeczy nigdy na raz nie robił! Pierwéj opowiem!

Pan Protazy wyciągał obie ręce do uwięzionego specyału, jak dziecko, któremu piastunka z dala cacko pokazuje...

— Czatowałem w ciemnym korytarzu... Anusia kręciła się tam i nazad, jakby na kogoś czekała... Do tego pana, co to owéj nocy kazał związać...

— Mów daléj... mów prędzéj!

— Do tego pana przychodziła i wychodziła różna młodzież.. Mówili z sobą po cichu... całowali się i ściskali, jakby się na długi czas rozjeżdżali... Sam pan wygląda, jakby nie spał w nocy... ma oczy i policzki czerwone...

— Cóż daléj? Cóż daléj?—wołał pan Protazy, robiąc rękami ruch, jakby chciał pięść Sebastyana ułowić.

— Długo za kominem stałem... w tém przyszła Anusia zakaszlała na korytarzu... z pokoju wyszedł ktoś, kogo obaczyć nie mogłem... wcisnął coś do ręki Anusi... i powiedział po cichu: Oddaj to pani dyrektorowéj!

— Pokaż! Pokaż!—krzyczał, podskakując pan Protazy.

— Otóż wtedy myślę sobie, co tu zrobić. Czy wziąć za kark Anusię i trochę krtań jéj przydusić, a potém z ręki wydrzéć to, co tam trzymała... czy nastraszyć ją tylko otworzonym nożem... czy wreszcie powiedziéć spokojnie, że za te kartkę mój pan dobrze zapłaci...

— Głupcze!.. Cożeś zrobił?

— Otóż właśnie, że nic niezrobiłem! Zanim się namyśliłem, Anusia w ciemności spostrzegła mnie... przestraszyła się... krzyknęła... i kartka wypadła jéj z ręki!

— Daj prędko! Daj!

— Jeszcze nie skończyłem. Porwałem kartkę... pobiegłem ciemnym korytarzem na strych... ztamtąd drugiemi schodami...

— Dawaj... Dawaj!

Sebastyan chciał jeszcze daléj opowiadanie ciągnąć, ale ręka zemdlała mu. Spuścił ją trochę na dół, a tego tylko było potrzeba panu Protazemu. Chwycił ją, ścisnął kościstemi palcami... a z ręki wypadł mały zwitek papieru...

Pobiegł z tym zwitkiem do okna... Na zwitku dosyć nieczytelném pismem było napisane:

„Jutro... o wschodzie słońca... pod spalonym browarem.“ Pan Protazy czytał i czytał. Przecierał oczy i znowu czytał. Na jego żółtéj twarzy grały teraz tęczowe barwy.

— Schadzka jest—pomyślał sobie — schadzka bez wątpienia... ale cóż tam u kata tak rano?... Schadzki miłosne bywają zazwyczaj przy księżycu, jeżeli ciepło na dworze, ale o wschodzie słońca... na to trzeba szczególnego amatora!...

I znowu czytał i patrzał pod światło, czy na papierze nie ma jeszcze jakich tajemniczych wodnych znaków...

Zwrócił się do stojącego przy drzwiach Sebastyana.

— Masz tu na piwo—rzekł do niego, wciskając mu do ręki pieniądz miedziany—tylko pamiętaj, abyś nikomu o tém nic nie mówił!

Sebastyan przyrzekł, ale nie odchodził.

— Teraz idź do swojéj roboty!

Sebastyan poskrobał się w głowę.

— Czemu nie idziesz?

— Proszę pana—ozwał się powiernik stary—ja się czegoś obawiam! Obawiam się, aby tak nie było, jak wtedy... kiedym to te karteczki do pani mecenasowéj nosił... I pana poturbowano i mnie się dobrze dostało!...

— Idź, idź... nie bój się!—odparł z chmurką na czole pan Protazy...

— Możeby lepiéj było tę kartkę tam położyć, gdzie była, albo zanieść do pani dyrektorowéj!,..

— Idź, idź; potém powiem ci, co zrobisz.

Z niedobrém przeczuciem zamknął Sebastyan drzwi za sobą.

Tymczasem usiadł pan Protazy na fotelu i zagwizdał sobie wesołą aryjkę. Po chwili rozpoczął monolog.

— Otoż powiadają ludzie, że tylko małżeństwo szczęście przynosi! Piękne mi szczęście! Smutno wprawdzie tak samemu na starość siedziéć, ale lepiéj, niżeli wcześniéj na śmierć się zagryść!.. Ha ha, ha! kobiéty zawsze te same!... A co? Czy nie powiedziałem temu szczęśliwemu, dobrze utuczonemu człowiekowi: Przyjdzie czas, że schudniesz i będziesz chudszym ode mnie!

Tu obejrzał pan Protazy chude pożółkłe ręce swoje.

— Oj kobiéty, kobiéty! One zawsze jednakie... pamiętam.

Machnął ręką.

— Nie warto tego wszystkiego odgrzebywać! Ot głupstwo wszystko i kwita! Życie głupie, świat głupi — a najgłupszym człowiek, że się wałęsa po tym świecie!...

Zachmurzona na chwilę twarz jego, rozpromieniła się.

— Ale poczekaj, ty szczęśliwy człowieku, o którym mówiono, że mu tylko ptasiego mleka potrzeba było... poczekaj ty, który z litością patrzałeś na osamotnionego emeryta, gdy tenże o swoich pustych czterech ścianach mówił!... Będziesz ty także tańcował, gdy się dowiesz... a ta kochana, stała Elżusia! Wszak nic nie było nad ten ideał drogi... kazałeś nam admirować ten dla nas zakazany owoc, a uśmiech twój mówił: Patrzcie, jaki ja szczęśliwy, wy nędznicy!... A teraz dowiesz się, że ten twój skarb, ten ideał nawet o wschodzie słońca... dyabełby nie wymyślał, co kobiéta wymyśli!... o wschodzie słońca!... Wtedy, gdy dyrektor śpi w najlepsze!... Dowiedz się więc, mości dyrektorze... tak, tak dowiedziéć się musisz... bo przecież taka rzecz nie może pozostać w ukryciu... nie może naigrawać się... tak, tak... musisz o tém wiedziéć!...

I skurczone palce pana Protazego posunęły się do pióra.

Postać jego miała w téj chwili coś bohaterskiego. Twarz zapadła wypełniła się, oczy ożywiły się jasnym płomieniem, a nawet zgarbiony grzbiet wyprostował się...

Pan Protazy był teraz w kulminacyjnym punkcie swego szczęścia!...

Miał pisać... *anonim*!

Cóż to za rozkosz pisać anonim! To tak samo, jak skryć się za płot i z bijącém sercem czekać na zwierza!...

Oto patrzcie! Biedny szarak idzie powoli, obskubując listki trawy! Ani mu w głowie, że to ostatnia w życiu jego potrawa!... Smakuje mu, bo głodny, bo od dwóch dni nic nie jadł. Był w ustawicznéj trwodze w lesie, bo liście już z drzew opadają i szeleszczą! A szelest to złowrogi, bo któż zgadnie dlaczego szeleszczą? Może strzelec podchodzi, może drapieżny zwierz skrada się... trzeba wyjść z lasu na pole! I wyszedł biedny szarak na pole i podziękował Bogu, że nic w koło siebie nie ujrzał, coby trwożyć mogło!.. Nad nim błękitne niebo... tam połyskuje krynica... za nią zagrody ludzkie ciche i spokojne... cóż mu się tu stać może?... I schyla się biedny szarak po trawki i zaczyna skubać i żuć!.. a trawka taka smaczna, tak świeża... niech Bóg będzie pochwalony za tak smaczne śniadanie!... W tém zpoza płotu coś błyśnie... szarak z trawką w pysku zatoczy się... i „farba“ bryźnie na ziemię!.....

Czyż to nie rozkosz być takim myśliwym?...

Pan Protazy przypomniał sobie, że takich rozkoszy nie raz sobie w życiu pozwalał. Jakoś to słodko drażni człowieka, jeżeli drugiemu coś objawi, co tamtego w rozpacz wprawia!... Przecież są rzeczy, których zamilczać nie można, gdy się wie o nich! Powiedziéć otwarcie nie można! Ale tak... anonim... i potém patrzyć z boku na spektakl!...

Przypomniał sobie, jak raz przez zasłużoną zemstę tak długo szpiegował, aż coś obaczył i potém... anonim... ach jakaż to rozkosz była dla niego patrzéć, co się w tym domu działo! Naturalnie kobiéta zasłużyła na to, a mąż... mąż także zasłużył, bo dlaczego był taki głupi!...

Takie to wspomnienia rozgrzewały teraz zastygłą krew starego mizantropa i krasiły twarz jego młodzieńczym rumieńcem. Oddychał swobodnie i głęboko, jak za młodych lat swoich, a oczy jego uśmiechały się rozkosznie do obrazów, jakie przed nim majaczyły w powietrzu...

I odciął z jakiegoś starego listu kawałek papieru... drżącą ręką i odwróconém piórem napisał kilka wierszy... przeczytał raz, drugi i trzeci... uśmiechnął się z zadowoleniem... włożył do białéj koperty... zaadresował... i zamknął do biurka.

Po chwili zawołał na Sebastyana i kazał sobie podać rzeczy do ubrania.

— A gdzie jest moja stara bunda z kapiszonem?—zapytał służącego.

— Ta zielona?... Nie wiedziéć, czy się nie rozleciała na strychu! Może ją myszy zjadły! Wszak to już dziesięć lat temu jak w ostatniéj podróży...

— Trzeba, żebyś mi ją przygotował na dzisiaj... może wieczorem wyjdę... a z téj mgły zapewnie deszcz lunie!

Sebastyan z jakimś niedobrém przeczuciem poskrobał się w głowę.

XXXIV.

Późnym wieczorem wracał dyrektor do domu. Miał naradę ze swymi kolegami, tyczącą się egzaminów. Jakkolwiek pogadanki takie były dla niego teraz bardzo przyjemne, bo jakoś odrywały go od różnych trosk i obaw domowych, które coraz więcéj głowę jego zaprzątać zaczęły, dzisiejsza jednak narada wcale mu tego skutku nie przyniosła! Przedmiot rozmowy był dosyć ważny, nawet mimochodem jeden z profesorów potrącił bardzo drażliwą dla niego kwestyą o przymiotnikach imiesłowowych, ale dyrektor nie słuchał tego. Patrzał gdzieś przed siebie i bawił się pieczątką od łańcuszka zegarkowego, czego dawniéj nigdy nie zrobił.

I miał do tego słuszne powody. Elżbieta była i dzisiaj, jak od niejakiego czasu, bardzo małomówną. Na zapytania odpowiadała mu nie słowami ale pojedyńczemi zgłoskami. Ani system indukcyjny, w którym dyrektor był mistrzem, ani dedukcyjny, nic tu nie pomógł. Elżbieta była widocznie czémś zajęta, jakaś gorączka paliła ją widocznie. Spostrzegł, że przy obiedzie nawet leguminy nie jadła, którą bardzo lubiła... Do tego jeszcze zeszłéj nocy, gdy spać nie mógł i gdy tak na chybił-trafił zbliżył się do okna..... obaczył w świetle księżyca młodego człowieka z naprzeciwka!.. Otworzył on okno i mimo chłodu stał w koszuli, z otwartemi piersiami, jakby się chłodził!... Twarz jego była mocno blada... księżyc zrobił ją jeszcze bledszą... Patrzał przed siebie tak jakby w okno Elżbiety... potém wzniósł oczy do nieba, tam do gwiazd... a w tych oczach było coś tak dziwnego... takie jakieś szczęście zmieszane z boleścią malowało się w tych oczach, że w téj chwili był podobny do św. Sebastyana, przebitego strzałami a marzącego o rozkoszach nieba!...

— Tak przecież zwykli ludzie nie patrzą na niebo! myślał za firankami ukryty dyrektor—przecież tam na niebie nie ma nic takiego, coby człowieka o północy z łóżka wyciągało i przy niskiéj dosyć temperaturze kazało się zachwycać!... To inny niepokój trapi go... to myśl występna nurtuje w jego głowie... to rozkosz zbrodniarza, gdy o zbrodni swojéj marzy... Tak, pan Protazy ma słuszność... kobiety... niepotrzebnie ożeniłem się po raz drugi... byłem głupim egoistą...

I w świetle księżyca zaświeciło się coś w oczach poczciwego dyrektora... Odszedł smutny, niepocieszony, przybity.

Przez cały dzień była Elżbieta dziwną, nierozwiązaną zagadką. Dawniéj taka dobra i czuła, dziś pali ją jakaś ukryta gorączka. Niecierpliwi się na chłopców, gniewa się na służących, mężowi prawie nic nie odpowiada. Wychodzi raz-po-raz z domu i nie powiada, gdzie i dokąd? Jest roztargnioną i zapomina to chustki, to rękawiczek a nawet i kapelusza!

Biednemu dyrektorowi cały świat w kółko się kręci. Coś się święci... ma jakieś straszne przeczucie... ale boi się nazwać je jakiém słowem. Zamyka oczy i nie chce patrzyć na obrazy, jakie mimowoli tworzą się w jego wyobraźni! Mimo to widzi je, musi na nie patrzéć, bo one są przed powiekami, są w środku mózgu!...

Nawet pogadanka z kolegami, nawet poruszenie tak ważnéj dla niego kwestyi przymiotników, nie mogło rozproszyć tych złowrogich obrazów!... Śpieszy się do domu i sam nie wie dlaczego? Zdaje mu się, że na widok Elżbiéty prysną te mary, że rozmawiając z nią, może przekona się o niepotrzebnych umartwieniach, które rozdzierają mu serce, jak rozdziera sęp pochwyconą zdobycz swoję!...

Zresztą jest to pora herbaty. Przy smacznéj herbacie—a nalana ręką Elżbiety herbata jest zawsze smaczna, zapomina jakoś człowiek o tém, co go wewnątrz gryzie, i uspakaja się choćby na chwil kilka!... Właśnie dzisiaj rano kupił świeżéj herbaty... droższéj niżeli zwykle... aromat wyborny...

Z pewną gorączką śpieszy do domu... już tak blisko... kilka domów jeszcze... otóż i brama... i schody...

Dyrektor wpadł zadyszany do pokoju.

— Jest pani?—zapytał służącego.

Służący wydał mu się zakłopotany... przecierał oczy.

— Czemu nie odpowiadasz?—krzyknął z niecierpliwością.

— Czy pan się o co pytał?—odzywa się zaspany służący.

— Czy jest pani!—woła głosem rozstrojonym.

— Pani...—odpowiada, ziewając służący—pani... pani wyszła! przed godziną wyszła!

— Wyszła!—ryknął zacny mąż, jak lew zbudzony—gdzie wyszła? Gdzie wyszła?

— Pani nigdy nie mówi, gdzie idzie!... Zostawiła dla pana list na biurku.

— List na biórku!—powtórzył dyrektor głosem podobnym do warknięcia cięciwy, gdy łuk się złamie...

I stanęły mu nagle przed oczy wszystkie mary, które się wiążą do takiego zostawianego na biurku listu żony!...

Najprzód stanął mu przed oczyma biedny oficyał od zarządu kolei żelaznéj, któremu żona także na biurku zostawiła list pożegnalny, wybierając się w podróż z nowym przyjacielem!... Potém przy-

pomniał sobie pewną matkę czworga dzieci, która pewnego dnia nie tylko tę drogą dla siebie czwórkę, ale w dodatku i list jeszcze zostawiła mężowi, opuszczając go na czas dłuższy, nieokreślony!... Wprawdzie czas ten skrócił się znacznie, bo nowy kochającéj kobiéty ideał za zbyt małą cenę spieniężył wzięte precyoza wyprawne, ale mimo to boleść prawowitego małżonka była wielka, a skandal jeszcze większy!...

Prócz tego stanęły mu, jakby na złość, przed oczy wszystkie straszydła z komedyj francuzkich, na które niebaczny z Elżbietą uczęszczał! Przypomniał sobie, że już wtedy, gdy jeszcze jasne niebo nad nim świeciło, gniewał się w duchu na autorów, którzy tak smutne rzeczy komedyą nazywają, gdzie przecież są wszelkie cechy najistotniejszéj i najprawdziwszéj tragedyi!...

Nogi plątały mu się, gdy szedł do biurka...

Na biurku ujrzał dwa listy.

— A drugi list od kogo?—zapytał miękkim głosem.

— Przyniósł jakiś nieznany posłaniec!—była odpowiedź.

Dyrektor chwycił list żony.

Rozdarł kopertę.

„Mój mężu,—pisała Elżbieta—Eufemia jest chorą... ma gorączkę... zostanę przy niéj całą noc. Gdybym jutro rano nie mogła wcześnie wrócić, zostawiłam Anusi klucze i rozkazy.“

Na papierze nic a nic więcéj nie było!

Dyrektor był blady, mocno blady. List ten nosił wszelkie cechy ostatniego pożegnania. Taki sam list dostał oficyał—takim samym listem pożegnała owa matka czworga dzieci dozgonnego swego towarzysza!...

Dyrektor miał wielką ochotę zapłakać i to głośno zapłakać, jak płaczą dzieci... zrozpaczeni, ale wzgląd na domowych i własne swoje stanowisko powstrzymało go od takiego naturalnego objawu swojé boleści. Zagryzł usta i zaparł oddech w piersi, w któréj coś piekło straszliwie!..

Wziął drugi list do ręki.

Charakter wcale nieznany, litery nierówne, odwrócone. Rozdarł kopertę...

Czytał... czytał... i długo czytał!

Twarz jego, jako téż i cała postać przechodziła szczególne przeobrażenia. Najprzód zmartwiał i wyglądał jak posąg z kamienia. Zdawało się, że nos, oczy i całe ciało zamieniło się w piaskowiec... Po chwili zaczął się piaskowiec ożywiać. Podniósł rękę do czoła, jakby chciał się przekonać, co tam w głowie się dzieje...

A działy się tam dziwne rzeczy. Najprzód walczyły dwa prądy, z których jeden był ciepły, drugi jak lód zimny...

— Tak—mówił prąd zimny—przyszło do katastrofy!.... Przy spalonym browarze... o wschodzie słońca... ona już dla mnie stracona!...

— Tak jest—szeptał prąd cieplejszy, ale czyż nie lepiéj, że dopiéro katastrofa nadchodzi, niżeli żeby już była odjechała?... Tak będę jeszcze widział ich oboje... jeszcze będę mógł... jeszcze teraz mogę iść do Eufemii... mogę przekonać... a jeżeli nie, to... przy spalonym browarze... o wschodzie słońca... mogę... tak... mogę...

I oczy zacnego męża błysnęły niezwykłą energią. Jedna ręka jego suwała się po guzikach kamizelki, jak by tam szukała puginału... druga zeszła poniżéj, jakby się chciała oprzéć o rękojeść szabli...

I była chwila, w któréj nieszczęśliwy człowiek wahał się... między puginałem a szablą... Serce biło mu w téj chwili tak głośno, że mógł je na własne uszy słyszéć... a w oczach tak nagle mu pociemniało, jakby nie był w swoim pokoju, ale na ulicy śród nocy podczas pełni, kiedy latarni zazwyczaj nie zapalają, licząc na punktualność księżyca...

Wreszcie rozwidniło się trochę.

— Pisze, że poszła do Eufemii,—mówił do siebie,—i że tam zabawi przez całą noc... Mogę tam iść a zastawszy ją, mogę przekonacie, nawrócić .. choćby na to tylko, aby nie było żadnego skandalu!.. Mam czasu dosyć przed sobą... dopiéro przed wschodem słońca... tam do kata! Nigdy jeszcze nie czytałem, aby o wschodzie słońca... Ha—zapewnie o wschodzie słońca puszczą się w drogę oboje...

I znowu chciał zapłakać... a nawet już go za krtań ścisnęło, ale silną wolą powstrzymał się.

— Pojdę—mówił po chwili do siebie,—i wszystkiemu temu przeszkodzę... pójdę do Eufemii... ale na cóż to zda się?... Gdy przyjdę, wyprze się wszystkiego, jak zwykle—powie, że mi się w głowie przewróciło i... pójdzie do domu. Przegram tylko sprawę... wstydzić się będę... a sama sprawa tylko się tém odwlecze! I znowu się będę trapił marami, które są gorsze od samego nieszczęścia... i znowu nie będę spał po nocach... nie będę jadł obiadu... a tymczasem dojdzie kartka, lecz ostrzegacza... ona wyjdzie po cichu i.. przepadnie! Co ma wisiéć, nie utonie!...

Rzucił się na fotel i zakrył twarz rękami.

— Nie... nie. Dłużéj w takiém położeniu zostać nie mogę. Trzeba, żeby się raz skończyło! Tak lub owak!... Trzeba czekać tego

wschodu słońca... trzeba o wschodzie słońca być w owym spalonym browarze... i tam na własne oczy przekonać się... tak przekonać się i...

Po chwili odsłonił twarz, opuścił ręce i myślał daléj:

— A jeżeli ta kartka, bezimiennie do mnie napisana, jest tylko prostym żartem?... Jeżeli Elżbieta w saméj rzeczy przy choréj Eufemii postanowiła...

Zerwał się na nogi i uderzył ręką w czoło.

— Mój Boże!—mówił do siebie,—co ja mówię, co ja myślę, co mi się snuje po głowie! Jaki zły duch dmucha mi ciągle do ucha? Może Elżbieta najlepsza...

Coś skrzypnęło w téj chwili.

— Kto tam?—zawołał nieszczęśliwy bohater.

Ozwała się służąca Anusia.

— Czego chcesz?—pytał daléj dyrektor.

— Chce się zapytać o herbatę...

— Daj mi pokój z herbatą!... Gdzie pani?

— Mówiła, że poszła do panny Eufemii.

— Czy panna Eufemia chora mocno?

— Zapewne że chora, bo pani kazała mi rano przed świtem jeszcze zamówić dorożkę...

Dyrektor poskoczył do Anusi i chwycił ją za rękaw.

— Co mówisz!... To nieprawda!.. Nacoby potrzeba było pani dorożki tak rano?...

— Zapewne... po doktora... gdyby pannie było gorzéj!

— Po doktora! Po doktora!—wołał dyrektor płaczliwym głosem, biegając po pokoju—prawda, po doktora!

— Jakże proszę pana z herbatą...

— Idź... idź i daj mi pokój! Wszyscy idźcie... wszyscy odejdźcie ode mnie... niechaj zostanę sam jak palec... jak samotna palma na piaskach pustyni!... Idźcie, idźcie wszyscy!...

I odwrócił się szybko do okna. Służąca odeszła. W ostatnich dniach często słyszała od dyrektora takie słowa zagadkowe.

Po wyjściu służącéj odetchnął dyrektor z całych piersi. Teraz już nie było żadnéj wątpliwości. Dorożka zamówiona—o wschodzie słońca opuści go Elżbieta, a on zostanie sam, zostanie na pośmiewisko ludzi! Wszyscy będą mówili o nim, naturalnie będą źle mówili... a o awansie ani myślić.

Cóż teraz robić? Jak radzić sobie?

Czy iść i nad brzegiem przepaści zatrzymać nieszczęśliwą kobiétę?... Ale to nic nie pomoże. Zaprzeczy wszystkiemu i odłoży tylko swoję wycieczkę do krajów nieznanych!... Nie—tego zrobić nie mo-

żna! Trzeba przedewszystkiém faktu... trzeba ją schwytać właśnie w chwili, w której już wypierać się nie będzie mogła! Wtedy... cóż wtedy?

Na to pytanie nie odpowiedział jeszcze sobie dyrektor. Był tylko pewny co do pierwszego—to jest czekać wschodu słońca.

Drugie pytanie było trudne. Odpowiedź na to pytanie szarzała dopiéro w głowie, jak szarzeją o zmierzchu bardzo oddalone przedmioty... Nic nie można było obaczyć, niczego nie można było po nazwisku nazwać. Były to dopiéro jakieś zapędy i popędy... ale postanowienia, ale jasnéj myśli jeszcze nie było!...

Coś go pociągnęło do biurka... coś mu kazało otworzyć szkatułkę, która w trzeciéj szufladzie spokojnie stała!

Otworzył szufladę. Obaczył podłużną w czerwony safian oprawną szkatułkę. Gruba warstwa pyłu pokryła ją. Od dawna, od bardzo dawna nikt jéj nie ruszał, nikt się jéj nie dotknął!...

Dyrektor westchnął. Dzika jakaś myśl zamigotała w jego oczach... sięgnął po szkatułkę.

Długo trzymał ją w ręku. Ręka jego drżała widocznie... bo w téj chwili spoczywały w niéj... losy dwojga ludzi!... Dwojga? Dlaczego tylko dwojga?... Może trojga!...

Pocisnął sprężynę... wieko odleciało jakby siła niewidoma zerwała je... a oczom jego przedstawił się straszny widok!...

Błysnęła jasna, polerowana stal!...

Było to małe ale straszne narzędzie śmierci!...

Rewolwer!

Dyrektor spojrzał na niego wilgotném okiem. Cacko było to w swoim rodzaju, arcydzieło sztuki rusznikarskiéj. Złocone arabeski kręciły się po całéj stali, a między niemi ryte były różne zwierzęta. Była także i cyfra jego w kunsztownym monogramie.

Dziwna ironia losu! Piękne to cacko, ale zarazem mordercze narzędzie, kupiła mu Elżbieta jako podarunek na jego imieniny w pierwszym roku po ślubie!...

W jakimże związku był ten podarunek z najbliższą przyszłością? Jakież tajemne mocy kierowały wtedy tym wyborem podarku? Miałażby to być nieubłagana ręka Nemezy?...

Dyrektor wyjął rewolwer. Spróbował zamków... wszystko było w porządku. Matematycznie obliczona maszyna działała z matematyczną dokładnością!... Pomyślał sobie:

— Czyż i życie ludzkie nie jest niczém innéin, jak tylko podobną matematycznie obliczoną maszyną?... Czyż w obliczeniu tém przewidziany był już naprzód ten wypadek, który go właśnie teraz

spotyka?... Czyż już ów podarek imieninowy był w związku z dzisiejszym wypadkiem?... W takim razie, czemże jest człowiek i losy jego życia na ziemi?...

Nieszczęśliwy człowiek był już na drodze pochyłéj do dzisiejszéj tak zwanéj filozofii rozpaczy!... Dziwna predestynacya... naprzód obliczony bieg życia człowieka... starożytnych fatum... wszystko to zaczęło teraz biegać po głowie zacnego pedagoga, czyniąc nie małe spustoszenie pomiędzy ulubionemi jego przymiotnikami pochodzącemi od imiesłowów!...

Ale ocknęła się w nim jakaś lepsza istota.

— Jakto?—zawołał głośno — jeżeli człowiek ma być rzeczywiście obliczoną tylko matematycznie maszyną... jeżeli zawyrokowano już naprzód o jego wypadkach, losach i przejściach życiowych... jeżeli tym sposobem zrobiono z niego tylko mechanicznie poruszającą się figurkę za pomocą sprężyn w niewidoméj spoczywających ręce... czyż ta maszynka, czyż ten człowiek nie może własną wolą swoją dowieść, że nie chce być, że nie jest ową maszynką... że jest istotą od siebie tylko zawisłą, istotą wyższą ponad wszelkie instynkta zwierzęce?...

...Pod naciskiem wrogiego przeznaczenia, aby z ręki mojéj zginąć, kupiła Elżbieta to narzędzie mordercze i w najtkliwszéj chwili mego życia do ręki mi go dała... Mamże teraz być niewolném drugiém narzędziem tego przeznaczenia?...

...Nie—nigdy! Właśnie wolną moją wolą zaprotestuję przeciw takiemu systemowi filozofii... i nie będąc narzędziem, nie użyję tego narzędzia!

I schował rewolwer do pudełka i zamknął go starannie w szufladzie.

Lżéj zrobiło mu się na sercu. Ocalił w sobie człowieka z wolną wolą. Zadał kłam apostołom fatalizmu i — nie popełni morderstwa!

Zresztą na co zda się morderstwo? Czemże jest śmierć dla takiéj kobiéty? Właśnie potrzeba jéj życia, aby się przekonała, że źle zrobiła—aby za to pokutowała srodze, jak pokutują wszystkie podobne kobiéty!!..

A on?

Prawda... on winien i zasłużył. Ale wprzódy trzeba rzecz jasno widzić, trzeba w położeniu całém się rozpatrzyć, trzeba karę stosowną wybrać...

Przedewszystkiém trzeba czekać wschodu słońca i być wtedy w spalonym browarze. Trzeba widziéć na własne oczy, trzeba się przekonać, aby nikomu krzywdy nie zrobić.

Tak zakończył zacny dyrektor długi swój monolog i zaczął chodzić po pokoju, aby sobie jakoś czas skrócić a wschodu słońca nie zaspać!

Pomocnym był mu w tym względzie własny jego nieprzyjaciel. Ile razy dyrektor w przechadzkach swoich zbliżył się do okna, widział go w pokoju przeciwległéj kamienicy, jak się także gotował do wyprawy o wschodzie słońca. Drażniło to dyrektora i siły jego fizyczne utrzymywało w nieprzerwanéj funkcyi, jakie zazwyczaj do czuwania są potrzebne.

Zachowanie się Teodora mogło rzeczywiście dyrektorowi dać wiele do myślenia. Był on w swoim pokoju i robił porządki jakby do wyjazdu... W roztargnieniu zapewne zapomniał okna zasłonić, bo myśl jego była już czém inném zajęta!

Siedział najprzód długo z głową opartą na rękach. Zdawało się, że nad czémś myśli, że myślą mierzy najbliższą przyszłość swoję, która jest ciemną chmurą zakryta...

Widoczny niepokój miota nim. Zmienia miejsca i nigdzie nie jest mu dobrze. Coś się pali w nim i pod nim, jak rozrzażone węgle!... Biedny człowiek! Szatan miota nim!...

Na chwilę uspakaja się. Bierze pióro do ręki i pisze. Zapewnie żegna swoich znajomych... zapewnie porządkuje interesa swoje!... Przecież każdy człowiek przed wyjazdem porządkuje swoje interesa!.. Zbiera papiery jakieś... otwiera listy... czyta...

Tu poczuł dyrektor szybsze bicie serca... to może listy od Elżbiety... a spadające już na źrenice powieki, otworzyły się znowu szeroko.

Czytanie listów trwało dosyć długo. Zdawało się, że kilka razy przy czytaniu do oczu sięgał... potém związał je starannie i opieczętował.

— Jak mądrą jest Nemeza złego! — pomyślał sobie dyrektor— mógł listy spalić! Po cóż wozić je z sobą! Ale zostawia je opieczętowane, aby był dowód...

I zgrzytnął zębami i zaczął chodzić po pokoju.

Po chwili stanął znowu przy oknie.

Teodor poczynił już wszystkie porządki. Stał na środku pokoju i oglądał się po wszystkich czterech ścianach, jakby je żegnał, jakby szukał tam roskosznych wspomnień swoich, jakiemi karmił się między temi ścianami!...

Drażniło to dyrektora, bo te wspomnienia były zapewnie miłe i roskoszne, były niejako jemu wykradzione... jemu z pod serca okrutnie wydarte!...

Widok ten przydał mu znowu sił nowych, tak jak olej dodaje sił gasnącéj lampie!...

Wreszcie skończył Teodor wszystkie przygotowania. Otworzył okno i wyjrzał na świat boży... Podniósł oczy do góry i spojrzał w niebo.

A na niebie właśnie wysunęła się kometa. Zjawiła się dopiéro po północy, jak bachantka, która chce szaléć aż do wschodu słońca!...

Dyrektor nie widział komety i nie mógł wiedzieć, jakie uczucie budziła ona dzisiaj w zawiedzionym w dwojnasób młodym astronomie!

Uczucia te były bardzo bolesne. Pierwsze jéj zjawienie się na horyzoncie—jak dziewicy na balu, rozbudziło w jego sercu tyle marzeń śmiałych, napoiło go pychą, że za nią po tajnikach nieba zdąży, że ją pozna i dowie się, zkąd wyszła i dokąd idzie... i że tym sposobem stanie się sławnym!

Niestety marzenia jego zostały zawiedzione, pycha ukarana! Niczego się nie dowiedział, sławnym niezostał! Zdradliwa syrena niebieska obiecała mu więcéj, niżeli dotrzymać mogła, a dzisiaj odwraca się już od ziemi i pędzi gdzieś, w jakąś dal tajemniczą, dokąd oko ludzkie za nią nie zdąży!...

Zdraliwa, okrutna kochanka!...

I przypomniał sobie drugą kometę, ale już nie na niebie, lecz na ziemi!

I ta wzbudziła w nim tyle marzeń, serce jego napoiła pychą zwycięzcy bez walki... a dzisiaj nie może jéj biegu, tak jak pierwszéj, obliczyć, nie wie zkąd wyszła i dokąd dąży?...

Chce jednak dać jéj dowód, że ją kochał, że gotów jest dla niéj życie swoje stawić na kartę!...

Co daléj?... on nie wié. Może zginie... to zginie z miłością w sercu... a jeżeli żyć będzie, to ona wtedy musi go kochać!... Taka stawka... zmusza do wzajemności!...

O tych uczuciach i rozmyślaniach Teodora nic nie wiedział biedny dyrektor, to téż spoglądając nań zpoza firanki, patrzał groźném okiem, jakiém zazwyczaj patrzy się na nieprzyjaciela swego.

I tak obaj stali długo przy oknach i patrzali, kiedy jutrzenka niebo nocne zarumieni...

Teodor wytrwał—przyszły mu w pomoc młodsze siły, ale dyrektor oparł się o futrynę i zamknął oczy.

I wszystko zamilkło i ucichło. I zdawało się, że cisza i pokój zapanowały na ziemi, że sny złote i rozkoszne upajają duszę człowieka, aby przebudzony miał za czém tęsknić i wzdychać!...

Czémże bowiem jest życie bez tęsknoty i westchnień?...

XXXV.

Jeszcze szaro było, gdy z miasta wychodził człowiek odziany długą burką. Barki miał pochylone, kroki niepewne zdradzały wiek już podeszły. Na głowie miał starą czapkę, jakiéj zazwyczaj w sprawach swoich codziennych używają przedmieszczanie.

Niebo było ciemne jeszcze. Tylko tu i owdzie przedzierała się jaśniejsza gwiazda, a tam na zachodzie widać było mglistą kometę, która zdawała się zapadać w jakąś przepaść bezdenną!...

Wszędzie było głucho i cicho. Jeszcze twarda praca nie zapukała do okna biédnego rzemieślnika, jeszcze pozwoliła mu śnić o bogactwach i dostatkach!

Wszędzie było głucho i cicho. Jeszcze pod zielonym liściem zasypiał ptak szczebiotliwy, jeszcze marzył we śnie, że gdy słońce zejdzie, znajdzie żer obfity i smaczny!... Marzył, że w tym dniu nie ujrzy ani jastrzębia, ani strzelca, ani nawet owéj zdradliwéj klatki z ponętą wewnątrz, do której wchodzi się wolnym a wychodzi się na śmierć lub na wieczne więzienie!. .

Człowiek wychodzący z miasta marzył także, chociaż nie spał, ale czuwał. Na twarzy jego wyżółkléj malowało się zadowolenie i pewna ciekawość, z jaką się dąży na dramat, w którym mają wystąpić znani aktorowie! Od czasu do czasu uśmiechał się do owych przyszłych obrazów, jakie już teraz migały mu przed oczyma duszy!...

Szedł szybko i pilnie oglądał się w koło siebie. Kołnierz burki podnosił co chwila do góry, aby zakryć twarz, jakby się lękał duchów niewidzialnych, pędzących z listem gończym za ludźmi...

Domy i domki miasta zostawały już za nim, za to witały go wierzby stare, spróchniałe, w których zazwyczaj przesiadują czarownice podczas nocy miesięcznéj... Straszyły go wierzby, bo miały jakieś dziwne kształty... raz były podobne do człowieka, drugi raz do jakiegoś potworu—a gdy dłuższy czas w nie się wpatrywał, widział w nich wszystko, czego pragnął, lub czego się obawiał...

Dziwna, nieodgadniona wyobraźnia człowieka!

Wreszcie zarysował się w dali na ciemném niebie jakiś czarny olbrzymi potwor. Był podobny do leżącego na ziemi wielbłąda. Grzbiet miał wypukły i przełamany, a nogi rozłożył daleko od siebie...

Był to tak zwany spalony browar.

Człowiek owinięty w burkę przyśpieszył kroku ..

Wreszcie stanął przed ruiną.

Był to gmach olbrzymi. Ogień zniszczył drzewo, zostały tylko mury, które wyglądały jak wielka kupa kamieni. Olbrzymi komin sterczał do góry, a zdala widziany, wyglądał jak olbrzymia topola!...

Człowiek burką owinięty zbliżył się do progu. Obrócił się, aby się w stronę miasta popatrzyć...

W téj chwili blado-różowy uśmiech jutrzenki musnął po jego zwiędłéj, wyżółkłéj twarzy...

I w téj chwili zapewnie poznał go jakiś duch niewidzialny, pędzący z listem gończym za złymi ludzmi... I położył znak na czole jego, dla postępujących zdala Eumenid...

A był to zacny pan Protazy!

Uśmiechnął się rozkosznie na widok czarnéj przestrzeni, którą ujrzał teraz przed sobą...

Wszedł powoli i ostrożnie. Postępował przez korytarze i sionki, przełaził przez wysokie progi i przepalone belki i zdążył wreszcie do izdebki, z któréj wychodziły wązkie otwory na pobliską łączkę, otoczoną rozkosznemi krzaczkami brzeziny.

— Tu będzie bezpiecznie i dobrze—rzekł do siebie zacny *anonim*—ztąd wszystko będę widział! Co to będzie! Co to będzie!...

I dreszcz rozkoszy przeszedł po skrzywionym grzbiecie starego malkontenta.

Wybrał kąt najciemniejszy w pustéj izdebce i najmniejszy otwór w ścianie. Na głowę założył kapiszon.

* * *

Równocześnie prawie, ale inną drogą, dążył do tego samego miejsca inny człowiek.

Człowiek ten szedł z pewną powagą, jaka przystoi tym, którzy wyższe stanowiska w społeczeństwie zajmują.

Wprawdzie i na tym człowieku siedziało jakieś licho i gniotło go do ziemi, ale on nie dał się nagiąć, kark niósł prosto i głowę wysoko. W tragicznym jego kroku widać rezygnacyą, widać, że jakkolwiek może w przepaść lada chwila się stoczyć, nie okaże się jednak tchórzem i z otwartemi oczyma spotka się ze śmiercią, jeżeli już tak koniecznie być musi!

Nie miał on w sercu żadnéj zdrady, ani w kieszeni nie miał żadnéj zabójczéj broni. Jeżeli chciał z kryjówki dzisiaj na świat patrzyć, to na to tylko, aby raz miał pewność niezbitą, zamiast tych ustawicznych trosk i obaw, które nie tylko życie człowiekowi zatru-

wają, ale nawet i bliźniego mogą niewinnie skrzywdzić. A jeżeli zamiast broni morderczéj miał w ręku tylko trzcinę hiszpańską z mosiężném okuciem, to nie widział w tém żadnéj złéj intencyi, któraby na jego charakter rzucała jaką skazę. Wszak ta trzcina to dwudziestoletnia towarzyszka jego życia, bywał z nią u przyjaciół i u osób znakomitych. Stała nawet raz w przedpokoju ministra, a lokaj ministeryalny miał dla niéj taką samę estymę, jaką mógłby mieć dla szpady swego pana! Nie lękał się jéj bynajmniéj, a przy odejściu podał mu ją własnoręcznie, nie odniósłszy żadnego szwanku!...

Człowiek z hiszpańską trzciną zbliżył się teraz do mety. Przed nim stał ten sam budynek, w którym przed chwilą ulokował się pan Protazy. Wszedł na próg i obejrzał się tak samo, jak przed chwilą obejrzał się pan Protazy.

I na jego twarzy zaświecił różowy uśmiech jutrzenki i w blasku tego uśmiechu można go było poznać.

Był to poczciwy dyrektor.

Zbliżał się do katastrofy swego życia krokiem pewnym, jak człowiek szlachetny, zbliżał się z rezygnacyą, jaka przystoi ludziom na wyższych szczeblach społecznych.

Wszedł do ciemnéj przestrzeni.

Zaraz za progiem, gdy prócz czarnéj masy powietrza, nic przed sobą nie ujrzał, uchwyciły się poły jego czarne duchy!

Tam pod niebem bożem, na którém jeszcze tu i owdzie jaśniejsze gwiazdy błyszczały, czuł w duszy swojéj pokój i rezygnacyą, czuł nawet odwagę, że zdolny jest z męstwem znieść wszystko, nawet najgorsze rzeczy!... Tutaj, gdy nieba nad sobą nie widział, gdy żadna gwiazdka boża nie patrzała na niego... uczuł nagle jakąś trwogę, jakby szedł na brzeg przepaści, z któréj ma runąć w otchłań bez dna, bez brzegów!...

Trwoga ta wzmagała się w miarę kroków, które w ciemnocie stawiał, mary jakieś złowrogie latały przed nim i za nim i syczały do niego, jak syczą gadziny jadowite, i śmiały się, jak się śmieje puszczyk na cmentarzu!..

Dyrektor czuł teraz, że się dzieje z nim coś dziwnego. Wszystko to, do czego już się przygotował, zaczęło przybierać jakieś inne, groźniejsze kształty!... Dobre duchy opuściły go!...

Szedł daléj po ciemnych korytarzach i szukał jakiegoś ustronia, gdzieby mógł stanąć swobodniéj i przez jaką szczelinę popatrzyć na świat zły i przewrotny.

Wreszcie zdążył do izdebki, w któréj ujrzał małe otwory wychodzące na łączkę otoczoną zaroślami. Przez łączkę przerzynała się mała drożyna...

— Ztąd ujrzę wszystko—rzekł w duchu do siebie nieszczęśliwy—tu rozstrzygnie się los mego życia!

I oparł się o mur, jak człowiek czekający wyroku śmierci.

Rzeczywiście był on zupełnie podobny do takiego człowieka. Jak w głowie jego palą się w takich chwilach najrozmaitsze myśli i uczucia, tak też i w głowie dyrektora zakotłowało się teraz jak w garnku, w którym woda kipiéć zaczyna!...

I wszystko co go dotąd dręczyło i katowało, stanęło teraz przed nim. Widział przepaść przed sobą, słyszał głos opinii publicznéj, która nieubłaganie go ścigała... widział znajomych i przyjaciół, oddalających się z dziwnym uśmiechem od niego... wszystko to widział i czuł, ale widział i czuł tak żywo, jakby to wszystko już było rzeczywistością i na jawie się odbywało!...

Wielką uczuł boleść w piersiach, w których tłukło się serce, jakby pęknąć chciało!.. W oczach na przemiany to ciemniało mu, jakby noc czarna przed nim zapadła... to znowu tryskały przed nim jakby światła elektryczne, które go tak oślepiały, że także nic widziéć nie mógł!...

I któż-to sprawcą tego nieszczęścia jego?

Czy kobiéta?... kobiéta jest słaba i już scena z wężem w raju dowodzi, że zbyt wiele męstwa nie ma! Ale on!... on! On zbrodniarz! Ten wąż kusiciel.

I gniew wściekły opanował nagle biedne serce nieszczęśliwego człowieka, gniew, który z każdą chwilą rósł, jak rosną płomienie, gdy suchy materyał znajdą w bliskości!...

I sam nie wiedział, jak się to stało, że hiszpańską trzciną swoją wykonał kilka cięć w powietrzu... ot tak na chybił-trafił, bez żadnego naprzód obmyślonego planu...

Świst trzciny przerzynającéj powietrze podrażnił go i wydał mu się taką przyjemną muzyką, jakiéj w życiu jeszcze nie słyszał!... Machał daléj i zdawało mu się, że tym sposobem czyni folgę sercu swemu... że za każdém machnięciem mniéj czuje boleści...

I stało się w końcu, że jakiś duch niedobry wyręczał go w machaniu, gdy mu już ręka omdlała... bo trzcina świstała ciągle w powietrzu, choć on już nie czuł tego, aby nią machał!..

A przy tym złowrogim świście coraz dziwniejsze stawały mu przed oczyma obrazy!... Na świecie gdzieś tam dzień wschodził, ale tu w izdebce było jeszcze ciemno, jak w norze, tylko parę białych płatków świeciło się w czarnéj ścianie!... Były to szczeliny, przez które słabo przedzierało się światło dnia...

I widział teraz w téj ciemnéj przezroczy różne bolesne sceny utrapienia swego... widział sprawcę nieszczęścia swego, jak się jesz-

cze naigrawał z niego .. mrugał oczyma i śmiał się, jak się zazwyczaj śmieje mądry z głupiego!...

Coraz goręcéj robiło się dyrektorowi, krew biła mu do głowy, w oczach błyskały iskry...

A sprawca nieszczęścia jego co raz większe płata mu figle, co raz złośliwiéj śmieje się z niego .. Nie ustępuje mu z przed oczu i ciągle jeszcze zbliża się do niego z tym śmiechem szatańskim, szyderczym...

Dyrektor postąpił krok naprzód, aby go trzciną dostać—w tém nagle zaruszało się coś w ciemnym kącie... i powoli wysunęła się ztamtąd długa postać w długiéj szacie z kapiszonem na głowie!...

Wszystkie gorączkowe widma, które majaczyły po głowie i przed oczyma dyrektora, przybrały teraz kształty rzeczywiste...

— Tak... to on!—zawołał półgłosem dyrektor—to jego postać... ten płaszcz... o znam cię, znam!...

I już sam nie wiedział, jak się to stało, ale trzcina jego natrafiła nagle na jakiś przedmiot miękki, elastyczny, który nie był ani drzewem, ani kamieniem...

Jakaś rozkosz niewysłowiona ogarnęła serce dyrektora..: machał trzciną coraz mocniéj i zatapiał ją w elastycznym przedmiocie, który teraz śród ciemności podobny był do bezkształtnéj masy leżącéj na ziemi. Z masy téj wydobywał się głuchy, przytłumiony jęk, ale coby ten jęk oznaczał, nie można było zrozumiéć. Kilka razy posuwała się ta czarna masa po ziemi, jakby uciekać chciała, ale zapalony bohater zachodził drogę i bił w nią trzciną hiszpańską, jakby groch młócił!...

I co raz słodziéj robiło mu się koło serca i miał to słodkie przekonanie, że ręka jego wraz z trzciną, jako narzędzie sprawiedliwości, ciąży teraz na śmiałku, który się targnął na jego szczęście domowe, odmawiając mu dozgonną towarzyszkę życia!...

. . . .

W tej chwili padły tuż za ścianą dwa strzały...

Dyrektor nagle przyszedł do przytomności. Nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje...

Odwrócił się, aby szukać wyjścia z tej ciemnicy na świat boży...

A za nim podniosła się czarna masa i powlokła się w najciemniejszy kąt pustkowia, jakby się lękała światła bożego...

. . . .

. . . .

Po długiém błądzeniu, dostał się wreszcie dyrektor na świeże powietrze. Słońce już zeszło na niebie, a tam ku zachodowi na

krawędzi widnokręgu zapadała właśnie złowroga kometa w tajemniczą otchłań!... Już zakryła twarz swoję ognistą i tylko jasny ogon jej szaty widny był jeszcze na ciemnym błękicie nieba...

Zimne powietrze owiało gorącą skroń dyrektora. Zdawało mu się, że nagle jakieś brzydkie masy odlatują od niego, jak odlatują nietoperze do nor swoich, gdy blask jutrzenki zaświeci!...

Dyrektor wyszedł na ścieżkę i szedł nią popod ruderą, gdy nagle na samym rogu uderzył go dziwny, niezrozumiały widok!...

Na murawie opodal leżał jakiś człowiek bez życia. Z głowy jego buchała krew...

Przy nim klęczało kilku ludzi, jakby chcieli krew płynącą tamować...

Dyrektor poznał... Teodora.

Teraz już do szczętu pomieszało mu się w głowie. Co się to stało? Dlaczego młody człowiek zabity? Kto był ową czarną masą w owéj ciemnicy?...

I wszystko zatoczyło mu się przed oczyma... zachwiał się... i upadł!

. . . .

. . . .

Od rogatki miejskiéj wyciągniętym kłusem nadjechał właśnie powóz zamknięty.

W powozie siedziały dwie kobiéty i z pewną trwogą patrzały przez szyby.

Jedna z nich była poważna matrona, druga młodsza znacznie z sympatyczną twarzyczką.

Starsza kobiéta spuściła nagle szybę i zawołała:

— Patrz pani patrz! Wszak to mąż pani...

Elżbieta wyjrzała i krzyknęła.

— Ach!—zawołała wyskakując z powozu—to on poczciwy obawiał się o mnie... a sam nie miał sił patrzyć się...

I pobiegła szybko do męża...

XXXVI.

Tego samego wieczora leżał dyrektor na łóżku w swoim pokoju z obwiązaną głową.

Przy nim na niskim taborecie siedziała Elżbieta i od czasu do czasu kładła mu na głowę chustę zmoczoną w zimnéj wodzie.

Dyrektor, mimo wszelkich pozorów jakiejś choroby, miał twarz uśmiechniętą a nawet rozpromienioną. W oczach palilo się widoczne zadowolenie.

Za każdém przyłożeniem zimnéj wody, brał rączkę białą, która tego balsamu mu udzielała, przykładał do ust i serdecznie całował.

— Proszę cię Elżuniu—mówił z słodkim uśmiechem—któżby się był tego wszystkiego spodziewał!... Przyznam ci się, że ja przez kilka tygodni...

Elżbieta figlarnie położyła mu palec na ustach.

— Nie przyznawaj się nawet do tego—rzekła ze słodyczą—że coś podobnego mogłeś pomyśléć! Niechaj to będzie wieczną tajemnicą między nami!...

Dyrektor ucałował paluszek.

— Ależ moja droga — mówił po chwili — jak to się dziwnie wszystko powiązało! Nawet przez głowę nie byłoby mi przeszło... Cóż Eufemia?

— Eufemia biédna ma gorączkę niedobrą, ale lekarz obiecuje, że przeminie...

— Przecież nigdy z nim nie mówiła i tak sobie teraz do głowy wzięła...

— Mówiłyśmy z sobą bardzo często o nim—a w końcu zdawało się nam, że go znamy!.. Eufemia była zawsze skłonna do egzaltacyi...

— A jakże z nim?

— Bardzo źle. Kula nadwyrężyła czaszkę i uszkodziła mózg!...

— Biédny!... Zaraz jutro pójdę do szpitala... Trzeba żebyś ty także poszła... pójdziemy oboje!

— Dzisiaj wyręcza mnie nasza prezesowa.

— Poczciwa, zacna kobiéta!...

Twarz dyrektora nagle posmutniała.

— Ale jak mi żal tego biédnego człowieka—ozwał się smutno—którego w téj przeklętéj ciemnicy tak sromotnie obiłem!...

— Jakżeś mógł nieznanego, niewinnego...

— Daj pokój, serce... w napadzie szału, byłem pewny, że biję...

Elżbieta znowu przyłożyła mu rączkę do ust.

— Już ani słowa o tém!

— Dobrze, dobrze moja koteczko... ale chodzi mi o niewinnego człowieka, który pewnie ruski miesiąc popamięta!...

— Cóż robić?

— Właśnie nad tem myślę. Podam inserat do gazety, że... przypadkiem wyrządziłem w spalonym browarze krzywdę nieznajomemu, który ma się do mnie zgłosić po wynagrodzenie... A gdyby do tygodnia nikt się nie zgłosił, to złożę w kasie oszczędności sto reńskich

z warunkiem, aby aż do zgłoszenia się owego poszkodowanego, procenta od tejże kwoty szły na cele dobroczynne...

— Poczciwy jesteś — ozwała się Elżbieta i pocałowała męża w czoło.

Po niejakiéj chwili mówił znowu dyrektor do żony:

— Wierzaj mi koteczko, że do tych moich głupich umartwień w niemałéj części przyczynił się pan Protazy. To człowiek bywały, widział i doświadczał sam wiele... naturalnie, że w takich razach bywa w torbie doświadczenia wiele brzydkich rzeczy. Otóż jak zaczął mi z téj torby wszystko wyciągać, jak zaczął mi opowiadać...

— Któż słucha takiego człowiéka, który doświadczenia swoje mógł tylko czerpać w błocie i kałużach?....

— Tak, koteczko, to się mówi, ale jak człowiek zacznie słuchać, to sam nie wie, kiedy mu coś przez ucho aż do gruntu serca się wśliźnie... Ale trzeba go zaprosić i opowiedzieć mu całą prawdziwą sprawę z tym biédnym Teodorem...

I zawołał na służącego i posłał go po pana Protazego.

Za kilka chwil przyszedł służący z odpowiedzią, że pan radca bardzo przeprasza, bo wracając w nocy do domu, upadł na schodach i mocno się potłukł.

Służący dodał jeszcze od siebie, że widział Sebastyana, jak zimną wodą okładał plecy pana Protazego, który w łóżku leżał.

— Co za feralny dzień!—zawołał dyrektor z prawdziwém współczuciem—same nieszczęścia!

*
* *

Tego samego dnia na wieczorze u pani Izy rozmawiano także o wypadku zaszłym pod spalonym browarem.

— Mówią, że niebezpiecznie ranny—ozwała się żółta suknia do szafirowéj.

— Jeżeli już nie umarł, to do jutra zapewnie umrze—odpowiedział szafir—tak mówił nam nasz lekarz.

— Ciekawa rzecz, co pani Laurencya zrobi, jeżeli on umrze?

— Cóżby miała zrobić?... Pójdzie za Jerzego!

— Przecież to...

— Dla tego, że waryat jakiś wmieszał się między nich...

— Zapewne... czy nie słychać kiedy będzie wesele?

— Niech będzie jak najprędzéj... przybędzie jeden dom przyjemny w mieście!

— Że będzie przyjemny, o tem nie wątpię. Pani Laurencya potrafi go uprzyjemnić.

XXXVII.

Dziesięć dni minęło od tego czasu. Eufemia wstała już z łóżka i mogła się przechodzić. Była blada i smutna. Przyszedł dyrektor z Elżunią.

Dyrektor patrzał czas niejaki na Eufemią. Twarz jego, która od tego pamiętnego wydarzenia, już się znacznie zaokrągliła, skrzywiła się teraz smutnym wyrazem.

— Zdaje mi się—ozwał się—że Eufemia mogłaby teraz Elżusię czasem zluzować w szpitalu...

Twarz Eufemii zapłonęła.

— Jakim-że sposobem mogłoby się to stać? — szepnęła z cicha.

— Bardzo łatwo—rzekła Elżbieta—on i tak jest bez przytomności... nie mógłby cię ani obaczyć, ani poznać...

— Chyba że tym sposobem tylko — odparła drżącym głosem Eufemia i spuściła oczy, bo na powiekach poczuła ciążące łzy...

I jeszcze tego samego wieczora siedziała Eufemia przy łóżku szpitalném, na którém leżał chory młody mężczyzna z głową obwiązaną. Siostra miłosierdzia kładła mu na głowę zimne okłady.

Eufemia siedziała wpatrzona w bladą twarz chorego. Widać było z jéj oczu, że serce jéj bije żywiéj, że w jéj duszy panuje ciche ale głębokie wzruszenie...

Śledzi ona na twarzy chorego wszystkich drgnień, wszystkich poruszeń, aby z nich wyczytać, czego chory pragnie i czy daleko jest jeszcze zimny anioł śmierci...

Nie wiedziała biedna, że ten zimny anioł, który uparcie tak długo stał ciągle przy łóżku chorego, zaczyna teraz skrzydła rozwijać, aby odlecić bez zdobyczy do ciemnych podziemi nocy wiecznéj!...

Na twarz Teodora wystąpił lekki rumieniec. Powoli senném marzeniem wracało życie... Śniło mu się właśnie, że na ciemném niebie widzi ognistą kometę... że czepia się jéj ogona i pędzi z nią po przestrzeniach bezbrzeżnych!... Szum wichrów ogłusza go... blask słońc oślepia go... i już nic... nic w koło siebie nie widzi!... I śni mu się znowu, że chwyciła go druga kometa, ale czarna jak noc... i ciągnie go za sobą, za swoim rydwanem po jasném niebie!... I tu traci zmysły... i już w jakąś przepaść ma się stoczyć... gdy nagle słyszy śpiew anielski... i widzi profil tego anioła o jasnych włosach i łagodnych oczach niebieskich... Ten śpiew uciszył wichry... on zawisł nagle w powietrzu... a było mu tak dobrze i roskosznie, jakby był już w niebie!

I w téj chwili otworzył Teodor oczy... i obaczył ten sam profil, co we śnie... te same oczy, które ongi widział przez okno dyrektora...

I było mu rzeczywiście tak dobrze i roskosznie, jak we śnie... i miał już tyle siły, że sięgnął po rękę swego nowego anioła stróża i do ust spalonych gorączką przyłożył...

Był to pierwszy symptomat wracającego życia.

XXXVIII.

Końca powieści już każdy się domyśli.

Dodać tylko wypada, że Teodor zupełnie do zdrowia przyszedł, chociaż rana była tak niebezpieczna. Skończyło się tylko na tem, że po wyzdrowieniu prawie zupełnie zapomniał tak o jednéj, jak i o drugiéj komecie. Dziwnym sposobem kula uderzyła w mózg tam, gdzie właśnie miało się ulokować wspomnienie o tych kometach. Powstałe z tego powodu zapalenie zmazało tam wszystkie doznane wrażenia i zrobiło miejsce dla nowego, zupełnie nowego życia.

To też prawdziwie nowe życie rozpoczął Teodor. O zaszłym wypadku prawie nic nie wiedział, a to co wiedział, miał za jakiś sen podczas choroby.

Zapewnie i Eufemia przyczyniła się do tego, że o tym śnie nawet jak najprędzéj zapomniał...

A najlepszém w tém wszystkiem było, że zapomniał o tém, iż kiedyś chciał naukę astronomii z gruntu wywrócić i że chciał od razu dostać się na wyżyny dostatków przez świetne ożenienie...

Te pyszne marzenia wybiła mu także z głowy owa kula nieszczęsna, a nie mogąc być na przodzie, usiłował teraz tylko, aby nie był ostatnim!

Zaraz po wyzdrowieniu wstąpił za protekcyą dyrektora, jako kandydat na nauczyciela, do praktyki—przeniósł się do innego miasta, aby wszystkie dawne marzenia za sobą zostawić i marzy tylko o tem, aby jak najprędzéj... swego jasnego anioła do ołtarza zaprowadzić.

Ma wszelką nadzieję, że to wkrótce nastąpi. Tylko pan Proazy, który już także wyzdrowiał, wątpi o tem.

Na inserat dyrektora dotąd nikt się nie zgłosił.

* * *

A pani Laurencya?

Pani Laurencya ma piękny salon na pierwszem piętrze, w którym co tydzień, prócz męża, zbiera się także liczniejsze towarzystwo

Darowano jéj wiele według słów pisma świętego, miłościwie mówiącego o tych, którzy wiele i mocno kochali!

Jedną rzecz tylko spostrzeżono u niéj. Dostawszy się przez męża w towarzystwo salonu, nie mówi już innym jak tylko francuskim językiem, chociaż sama księżna Natalia i hrabina Zenobia od niejakiego czasu do rodzinnego wróciły języka.

A wielka ztąd szkoda wypływa dla zacnego dyrektora, który po przebyciu katastrofy zalicza się do najszczęśliwszych mężów i znowu jak dawniej w skrzypiących butach chodzi. Tylko czarnym punktem na jego horyzoncie jest niezgoda gramatyków co do przymiotników imiesłowowych, która to niezgoda musiałaby upaść, gdyby piękne usta rusałek salonów naszych temi nieszczęśliwemi amfibiami także zająć się chciały!

Dyrektor nie traci nadziei, że to nastąpi,—tylko pan Protazy wątpi o tém.

Wenecya, r. 1879. *Jan Zacharyasiewicz.*

Współczesna Powieść we Francyi.

II.

Alfons Daudet.

„Jest to pisarz czarujący, opowiadacz rozkoszny. Zachwyca mnie, ponieważ zdaje się całego siebie kłaść w swoje dzieło; ponieważ tak pisze, jak gawędzi, a gawędzi dobrze; ponieważ czytając jego kartki, napisane jakby jednym tchem, nie czuje się w nich zmęczenia ani pracy, pomimo wykwintnych rzeźb i ozdób stylu, ponieważ jest oryginalny i wiosenny. Jest to poeta!“

Do téj charakterystyki, na którą cały świat powszechnie się zgadza, nic prawie już dodać nie można, i gdyby biograf Daude'ta Felicyan Champsaur, był zadał sobie cokolwiek tylko trudu z jéj literackiem usprawiedliwieniem, ocena dzieła i oznaczenie stanowiska tego „czarującego pisarza“ w bieżącéj literaturze byłyby całkiem niepotrzebne, tak w tych kilku słowach prostego entuzyazmu zamyka się wszystko, co o Daudet'cie da się powiedziéć ogólnie. Jest to los każdego zresztą talentu, który pomimo swojéj oryginalności nie umie i nie może wyjść z zaklętego koła tejże saméj roboty, nie umie i nie może przestać być wciąż jednakowym, pomimo zmian w przedmiocie swéj twórczości; jest to los każdego talentu, którego twórczość płynie tylko z indywidualności, a indywidualność z pewnego mniéj lub więcéj pięknego, mniéj lub więcéj ognistego, poetycznego czy téż zręcznego, ale zawsze tylko jednakowego sposobu przedstawiania swych pomysłów. Słowem, jest to los każdego artysty, który zamknął się w formie.

Obecna sztuka francuzka, a mowa tu o literaturze i malarstwie, przedstawia w znacznéj większości swych okazów wyraźną tendencyą do zasklepiania się w granicach specyalnego procederu. Każdy tu uczy się robić coś, stara się dojść do mistrzostwa w robocie, i zo-

stać wirtuozem pewnéj specyalności. Mniejsza o prawdę, mniejsza o piękno lub dobro, w tém czy innéni przyjętém znaczeniu, byle *proceder* był nowy, bez zarzutu i indywidualny. A to ciążenie talentów do wirtuozostwa, zmanierowanego byle indywidualnego, jest tak już dziś powszechném we Francyi, że nawet karykatura, jak to widzimy co dzień w illustracyach Grevin'a, Cham'a i innych, od niego uwolnić się nie może. Każdy tu stara się wyprzedzić drugiego, olśnić, oczarować wszystkich, wybić się nad poziom ogółu, wyróżnić się swoim własnym sposobem technicznego przedstawiania pomysłów, czyli wyrobić sobie własną formę tworzenia i tą formą zawojować świat. A przy tém dodać należy, że we Francyi wszystko, szkoła, krytyka i gust publiczności, swemi despotycznemi wpływami artystę ku temu popycha: szkoła, ponieważ w uczniu kształci i rozwija tylko poczucie formy; krytyka, ponieważ w tém narzucaniu gotowych sposobów wyrażania się artysty nie widzi nic złego dla sztuki; publiczność zaś dlatego, że raz zasmakowawszy w jakiejś specyalnéj formie danego artysty, nie chce go mieć innym, nie chce go widzieć a tém mniéj kupować. Tym sposobem artysta tu jest zmuszony do doskonalenia się i do przyswojenia sobie bodajby jakiejś sztuczki, jakiegoś technicznego figielka, byle to było różne od innych, a u niego zawsze jednakowe. I to nie tylko talenta słabe, zapożyczające się u silniejszych lub u szkoły, lecz nawet natury czysto artystyczne tak dalece wskutek wpływów zewnętrznych ulegają téj powszechnéj wadzie sprowadzania sztuki do ram jakiegoś technicznego wynalazku, że trudno się dopatrzéć, czy artysta swą wprawną ręką chciał wyrazić myśl jaką lub uczucie, czy téż po prostu zadziwić publiczność zręcznością saméj roboty, choćby ona nie odpowiadała nawet potrzebom przedmiotu. Psychologicznie da się to usprawiedliwić z łatwością; estetyka jednak nie może być tak pobłażliwą, ponieważ to zamienia sztukę na prosty przemysł, artystę zaś na wynalazcę, godnego może patentu za udoskonalenie jakiegoś sposobu produkowania dzieł pięknych lecz nie wawrzynowego wieńca za ilość i jakość poruszonych myśli, a obleczonych w coraz to nowe formy, zawsze różne i zawsze przedmiotowi odpowiednie. Takie wydoskonalenie techniki przy szczupłości zużytych środków z konieczności podnosi oryginalność artystycznego utworu, i jasno, dosadnie charakteryzuje indywidualność artysty. Ta oryginalność jednak i ta indywidualność przeniesione do innych dzieł, jako stały sposób wyrażania się, zabijają całość, ponieważ uczucie i myśl oddają na usługi raz na zawsze jednakowéj formy, która sama przez się może czarować przy pierwszém widzeniu, następnie jednak, jako nie wyrażająca nic, musi nużyć ubóstwem środków, ich jednostajnością i pustotą.

A przyznać trzeba, że artystów w ten sposób oryginalnych Francya posiada niezmiernie wiele. I jeżeli Daudet, ze względu na wysokość i oryginalność swego talentu, nie łatwo dałby się porównać z jakimś innym pisarzem w dzisiejszéj powieściowéj literaturze, inne gałęzie francuzkiéj sztuki talentów do niego podobnych naturą i tendencyą przedstawić mogłyby aż nadto, zwłaszcza jeżelibyśmy ich poszukali pomiędzy współczesnemi mu malarzami. Są oni, jak on, impresyonistami, i podobnie jak on wnieśli do sztuki pewien odrębny temperament, pewien oryginalny sposób czucia i pewien niezwykły, im tylko poszczególnie właściwy sposób robienia. Jako natury czułe, nerwowe, odebrali oni z zewnątrz pewną sumę podrażnień, które w danéj chwili złożyły się bezwiednie na jedno typowe wrażenie. Forma jednak tego wrażenia stała się następnie tak dalece wyrazem ich talentów, że nie tylko nie umieją już potém z natury rzeczywistéj wynieść wrażeń innych nad te, które się poprzednio mieściły w ich wrażeniu-typie, lecz przeciwnie wnoszą do niéj coś z pierwotnego czucia i wskutek tego bezwiednie czują nawet to czego tam nie ma. Tym sposobem dzieła ich noszą na sobie cechę prawdy schłoniętéj w podmiotowéj poezyi i natury widzianéj bądź to z jednéj tylko strony, bądź téż opromienionéj blaskiem sztucznego, zawsze tego samego światła. Jest w tém coś z halucynacyi i daltonizmu, jeżeli przemilczymy już o manierze, która może byłaby najlepszym wyrazem na określenie tego rodzaju podrabiania swoich własnych pomysłów, lub zostawania wciąż pod naciskiem jednego i tego samego wrażenia. A z francuzką dzisiejszą sztuką tak się rzecz ma istotnie. Najznakomitsi artyści wciąż przeżuwają swój pierwszy utwór i żyją pierwszém swojem wrażeniem, jak gdyby nie stać ich było na dwa choć by tylko, byle różne.

Doré spostrzegł się pewnego dnia, że narysowane postacie najfantastyczniéj wyglądają wtenczas, kiedy są nadmiernie długie; Corot zauważył, że natura przedstawia się najpoetyczniéj w powiewnéj szacie niebieskiego koloru; Diaz nie rozumie wesołego dnia inaczéj jak o południu w sosnowym lesie z kilkoma białemi brzozami i długą łąką pośrodku, a dla Hennera piękno istnieje tylko w ciemno-zielonéj barwie. Cokolwiek oni robią następnie, jest to zawsze tenże sam obraz, taż sama kompozycya, ten sam przedmiot, ten sam wyraz, ta sama technika. Zmian tam nie szukać, bo tak dobrze z jedną kobiétą jak z dwiema, z lasem z przodu czy z boku, obraz jest powtórzeniem lub tylko dalszym ciągiem pierwszego.

To samo z Daudetem. Z tysiącznych podrażnień, jakie odebrał od natury i życia, stworzył on sobie wrażenie typowe i pod jego na-

ciskiem pisze. Czy przedmiotem jego powieści jest świat małomieszczański, jak we *Fromont jeune et Risler ainé*, czy robotników i wykolejonych z życia, jak w *Jack'u*, finansowo-polityczny, jak w *Nababie*, czy też arystokratyczny, jak w *les Rois en Exil*, natura i życie, pomimo całéj rozmaitości wprowadzonych do powieści typów i pomimo całéj troski Daudet'a o wyszukiwanie ich gdzieś indziéj niż w swéj głowie, dla czytelnika przedstawiają się zawsze pod jedną i tą samą formą. Nie można powiedzieć, aby Daudet w swych „powieściach z życia współczesnego" nie starał się o sumienne i przedmiotowe obrazowanie widzianéj prawdy. Bynajmniéj! Widzi on życie (naturalnie, po swojemu, jak każdy) i chce je przedstawić do pewnego chociaż stopnia tak, jak ono jest w rzeczywistości. Lecz w charakterze poety (i tu właśnie tkwi główny niedostatek jego powieściowego talentu), widzianą przez siebie prawdę kąpie on w liryzmie swéj poezyi i dopełnia swoją filozofią życia. Nie dosyć więc, że świat zewnętrzny robi na nim wciąż toż samo wrażenie, co osłabia siły jego charakterystyki i zmniejsza bogactwo obserwacyi, lecz nadto zaciera on prawdę swojemi osobistemi pragnieniami, osobistem pojęciem bezwzględnego „piękna i dobra", tych dwóch pierwiastków życia moralnego, które istnieją tylko pod formą konwenansu. A przy tém schłonięty cały w potrzebie wypowiadania się ze swoją duszą, zdaje się jakby zapominać o duszy innych, zostawia ją w szkicu, kilkoma kréskami narysowaną, i raz puściwszy wodze wyobraźni, zalewa całą swą psychologią obserwatora potopem pięknie brzmiących słów. Tym sposobem Daudet, jakkolwiek znający życie, umiejący je miejscami charakteryzować dosadnie i starający się o przedstawienie prawdy w jéj pierwotnéj, naturalnéj formie, cieszy się aż dwoma na raz tytułami: współczesnego pisarza-naturalisty i współczesnego poety. Natura obdarzyła go zarówno zmysłem spostrzegania jak i wyobraźnią; wskutek tego jest on jednocześnie wiernym, choć nie pełnym w przedstawianiu życia, jak fantastycznym i uczuciowym w pisaniu, i jakkolwiek duszą, tętném ognistéj krwi południowca, istotą talentu, żałosną nutą swego kwiecistego języka należy do zamierającego już dziś pokolenia liryków, którzy z lada powodu a często nawet i bez powodu przez łzy mówili, przez łzy się śmieli, łzami i we łzach żyli, to jednak ze względu na ilość wniesionych do swych dzieł obserwacyj zajmuje on jedno z pierwszych miejsc pomiędzy nowatorami dzisiejszéj powieści. Lecz jego dzieła, jak dzieła współczesnych mu francuzkich malarzy, aby osądzić sprawiedliwie, należy sądzić z jednego, gdyż we wszystkich jest on zmanierowany, tak dobrze w sposobie wyszukiwania i widzenia prawdy w życiu, czyli w przedmiocie

swéj sztuki, jak w układaniu obrazów, i w sposobach wyrażania się, czyli w jej formie.

I. Obserwator.

Daudet posiada niezmiernie krótki wzrok. Jest to ułomność fizyczna która z konieczności musi wywoływać niedostatki umysłowe i jakkolwiek chcieć wyprowadzić całą charakterystykę pisarskich wad i zalet Daudet'a z jego miopii byłoby rzeczą zbyt ryzykowną, to jednak, częściowo przynajmniéj, może znaleść swe usprawiedliwienie i wyjaśnienie w téj wadzie oka, która tak dobrze fizycznie jak i umysłowo da się wyrównać tylko za pomocą sposobów całkiem sztucznéj natury. Obserwator, który bierze „omnibus za dystrybucyą“, nie może się obejść bez monokla na ulicy a bez wyobraźni w pisaniu powieści z życia; i jakkolwiek wielką byłaby jego troska o ścisłość i pełność obrazów, musi on chcąc-nie-chcąc posługiwać się fantazyą tam nawet, gdzie ona nie jest na swojém miejscu. A przy tém krótkowzroczność z konieczności zwraca oko obserwatora na przedmioty przerastające zwyczajną miarę. Szukać on będzie przyjemności dla oka w rzeczach niezwykłych rozmiarami, krzykliwych barwnością lub dziwacznie narysowanych. Tak też jest i z Daudet'em. Widzi on typy w naturze; ale widzi tylko typy szczególne, dziwne, nadmiernie szlachetne, lub nadmiernie nikczemne, niesłychanie dobre lub niesłychanie śmieszne.

Życie dostarcza wyjątkowych temperamentów i urabia je na najdziwaczniejsze charaktery, tak samo jak natura obok okazów zwyczajnych wytwarza nadzwyczajne piękności i nadzwyczajne potwory. I jak są malarze, którzy dla zrobienia zajmującego obrazu potrzebują inspirować się naturą już jeżeli nie dziwaczną to przynajmniéj dziwną; tak samo i Daudet, znając z doświadczenia życie powszednie, przywiązuje się tylko do niezwykłego, zwracającego na siebie uwagę wszystkich, i tam dopiéro, zaczerpnąwszy motywów na stworzenie kompozycyi i typów, idealizuje, przesadza i spowija je w bogate tkaniny swego barwnego języka. Żadna z jego postaci nie nosi na sobie cech powszedniości, żadna nie daje wrażenia przeciętnego życia. Brał on je wprawdzie z natury, i to nawet tak dalece, że jego powieści w Paryżu są uważane za paszkwile; ale brał je z natury wyjątkowéj i przedstawiał ze strony najbardziéj wydatnéj, najbardziéj uderzającéj oko.

Nabab, który rozrzuca miliony i pozwala się jawnie okradać przez wszystkich, byle zostać deputowanym; Krystyan II, w *Królach na wygnaniu*, który wyzuwa się z ludzkich i królewskich ambicyj,

byle mógł się nurzać w ściekach paryskiéj rozpusty; Méraut, który przez przywiązanie do idei rojalizmu nie chce położyć nazwiska na swojém dziele i pozwala się niém chełpić innemu na posiedzeniu akademii; artystka, która dla ukarania wielbicieli oddaje kwiat swego dziewictwa jakiemuś staremu, zniszczonemu używaniem życia ministrowi; *Jack*, nieprawe dziecko rzucone niewłaściwie i wbrew swoim życzeniom pomiędzy robotników, który umiera z miłości dla swéj wyrodnéj matki i przesadzonéj w naiwności kochanki; doktór Rivals, który dla swéj nieprawnéj wnuczki szuka męża z nieprawego łoża; Frantz Rissler, który dla obronienia się przed putyfarowemi zamiarami swéj bratowéj zapala się najgorętszą miłością ku nieszczęśliwéj kalece; Rissler starszy, który zajęty myślą wynalezienia jakiejś maszyny, nie spostrzega się, że mieszka w pałacu, jeździ w karecie i je obiady kochanka swojéj żony; słowem, wszystkie postacie główne daudetowych powieści są typami z życia może, ponieważ historya się o nie upomina, ale typami z życia wyjątkowego. Ciąży na nich zarzut psychologicznéj niepełności i artystycznéj przesady. Daudet wziął je ze strony najbardziéj wydatnéj i usunął z ich życia to, co grzesząc powszedniością, jedynie mogłoby usprawiedliwić niezwykłość ich charakterów.

Pilny i baczny obserwator, umiejętnie wyłączając drugorzędne znamiona danego człowieka, umiałby z łatwością wszystkie czynniki jego moralnego życia sprowadzić do jedności, do jakiejś *jednéj czysto nawet fizyologicznéj pobudki*, która nim rządzi mniéj lub więcéj bezwiednie. Na zewnątrz jednak psychologia każdego człowieka przedstawia się w formie złożonéj i to tak dalece, że ludzie, najprościéj nawet idący do jakiegoś z góry obmyślanego celu, zadziwiają rozmaitością myśli, pozornemi sprzecznościami swych czynów lub faktycznemi swoich słów. Dla Daudet'a komplikacya w życiu człowieka zdaje się nie istniéć wcale. Bierze on ludzi urobionych do pewnéj roli i każe im występować w niéj z poprawnością wybornych aktorów. Myślą oni, mówią i działają w myśl celu, który się znajduje na końcu książki. Żadnego zboczenia, żadnego odstępstwa od słów z góry przepisanéj im roli! A przy tém szuka typów tak, jak rysownik ilustrator. Każda jego postać, choćby najbardziéj żywcem wzięta z natury, grzeszy temi samemi wadami, jakie widzimy w czarnych, atramentem robionych sylwetkach, gdzie tacy tylko ludzie mogą być portretowani i zadziwiająco podobni, którzy przez swój charakterystyczny profil nadają się do karykatury. Daudet karykaturalnym nie jest, ani się téż nim być stara; ale do swoich powieści „ze współczesnego życia" i „współczesnéj historyi" bierze takich tylko ludzi, którzy, jak w sylwetkach widziani płasko i z profilu, lub co naj-

wyżéj w trzech czwartych ich twarzy, dają się od razu narysować i z łatwością rozpoznać (1).

„Podrósłszy na wiórach ojcowskiego warsztatu do lat dziesięciu, od dziesięciu do piętnastu wychowany przez ulicę, tę nieporównaną szkołę pod dachem nieba, Narcyz poczuł zawczasu w sobie wstręt do ludu i ręcznych zajęć. Jako dziecko jeszcze obmyślał projekty i interesa. Późniéj, ta ruchliwość marzenia przeszkadzała mu w ustatkowaniu sił i zużytkowaniu ich produkcyjnie. Podróżował i przedsiębrał tysiąc zajęć. Górnik w Australii, kolonista w Ameryce, komedyant w Batawii, świadek u jakiegoś komornika w Brukselli, narobiwszy długów w obydwu światach, osiadł jako agent w Londynie, gdzie żył dosyć długo i gdzie mógłby był dojść do czegoś, gdyby nie ta straszna imaginacya, nigdy nie zadowolona i zawsze pożądająca roskoszy na przyszłość, która go rzuciła w czarną nędzę Brytanii. Tym razem upadł bardzo nisko, gdyż nocą został złapany w Hyde-Parku na wykradaniu łabędzi z jeziora. Kilka miesięcy więzienia zniechęciło go zupełnie do swobodnéj Anglii i jako rozbitek powrócił osiąść na paryskim chodniku, z którego wyszedł. „(*Les rois en Exil*). A przy tem dodać należy, że Narcyz, pod przybraném nazwiskiem Toma Lévis, który wciąż udaje Anglika, dobił się olbrzymiego majątku jako agent do wszystkiego. Straciwszy jednak miliony na rywalizowanie w przepychu domowego życia z Niemcem Sprichtem, postanowił odbić się na skórze Krystyana II-go. Potrzeba jednak było schwycić króla w łapy silne i zręczne. Wziąwszy więc od swéj żony słowo, że go nie zdradzi faktycznie, podsunął mu ją jako kochankę. Piękna Sephora jednak zawiodła nadzieje męża i to tem więcéj, że noc przespana z królem Krystyanem była chybioném *à conto* na rzecz nieistniejących milionów. Być może, że takich Tom-Lévisów Paryż dostarcza tysiącami. Nie mniéj jednak przeto życie jego i moralność są wyjątkowemi i prawie nie mającemi nic wspólnego z życiem i moralnością całéj masy kupców, których Lévis w *Królach na wygnaniu* jest przedstawicielem.

Nie lepiéj rzecz się ma z arystokracyą. Daudet jest malarzem, a przynajmniéj za takiego uchodzi. Ale i tu jak wszędzie grzeszy on jednostronnością. Jego królowie, książęta lub hrabiowie są istotami wyjątkowemi. Książę Mora w *Nababie* żyje tylko pożądliwością, a jego *alter-ego*, markiz Monpavon, jednozgłoskowemi odpowiedziami i małpowaniem księcia.

„Monpavon rozmawiał z doktorem, i z daleka, nie widząc go, możnaby było sądzić, że się słyszy księcia Mora, tak przejął on jego sposób

(1) *Les Rois en Exil.*

mówienia. Były to te same zdania niedokończone, zamknięte przez „ps... ps... ps...“ końcem zębów, przez „ten tego“ i „rzecz,“ wtrącane przy każdéj sposobności do rozmowy, rodzaj arystokratycznego trzepania językiem, zmęczonego i niedbałego, w którem się czuło głęboką pogardę dla pospolitéj sztuki słowa.

Jenkins podniósłszy się, rzekł: Adieu, odchodzę... Czy będziemy się widzieć u Nababa?

— Tak, myślę, że będę tam jeść śniadanie... przyrzekło mu się przyprowadzić, ten tego, jak się nazywa?... Pan wiesz, w naszéj wielkiéj sprawie...ps...ps...ps... Inaczéj, wymówiłbym się od pójścia... Prawdziwa menażerya ten dom...“

I Monpavon przez całą powieść żyje tylko tym jednèm rysem, tém „ps... ps...“ „ten tego“ „rzecz“ „jak się nazywa.“

A Jenkins? Jenkins jest doktorem, przedstawicielem szarlataneryi w nauce i hipokryzyi w moralności. Żyje on „pigułkami“ (z kantaryd) i pożądliwością dla Felicyi Ruys. „Dosyć... dosyć... nie szydź pani ze mnie... Ostatecznie to zanadto straszne... Więc to pani nie wzrusza, że jesteś kochaną, jak ja kocham, poświęcając ci wszystko: majątek, honor, poważanie? No, patrz pani na mnie... Chociaż maskę przymocowaną miałem mocno, zerwałem ją dla pani, zerwałem ją w obec wszystkich... I teraz, gdzież jest hipokryta?“

Słychać było stuk dwu kolan na podłodze. I jąkajac się, oszalały miłością, pochylony przed nią, doktór błagał ją, aby zezwoliła na to małżeństwo, aby mu dała prawo szukania jéj, prawo bronienia.

— Skończmy, Jenkins,— zawołała Felicya opryskliwie—to, czego pan ode mnie żądasz, jest niepodobieństwem. Nie mamy nic do ukrywania przed sobą; i po zwierzeniach jakie mi pan zrobiłeś przed chwilą, uczynię ci jedno, które moję dumę kosztować będzie, ale na które zasłużyłeś twoją zaciekłością... Byłam kochanką księcia Mora.

— Wiedziałem o tém — odparł Jenkins głucho. — Miałem listy, któreś pani do niego pisała... Umiem je na pamięć... A jak to boli, kiedy się kocha!... Ale wycierpiałem inne męki. I kiedy myślę, że to ja... Zatrzymał się. Dusiło go... — Że to ja musiałem dostarczyć opału do waszych płomieni, ogrzać tego kochanka z lodu, odesłać go do pani gorejącym i odmłodzonym... Ah! ten pożarł „pigułki...“ Mogłem sobie mówić: nie, on chciał ciągle... Ostatecznie wściekłość mnie porwała... Nędzniku, chcesz się palić, to się pal!“ I cała charakterystyka Jenkinsa, całe jego życie pełne przygód i tajemniczego postępowania jest tylko rozszerzeniem powyższéj rozmowy, z tą tylko różnicą, że jeżeli u innych postaci Daudet kładzie coś podobnego na początku jako założenie, tu położył jako zakończenie, tam wyszedł z jednego rysu, tu do niego doszedł. W ogóle jednak Jenkins należy

jeszcze do postaci najbardziéj pełnych. Jest on pożądliwym, bezwstydnym handlarzem fałszywéj nauki, hipokrytą i cynikiem..." Trzeba się było mieć na ostrożności... Medycyna nie była magią. Potęga „pigułek Jenkinsa" zatrzymywała się przed siłami ludzkiemi, przed koniecznościami wieku, przed źródłami natury, które, niestety, nie są bynajmniéj niewyczerpalnemi. Książę przerwał tonem nerwowym:

— No, Jenkins, wiesz o tem dobrze, że nie lubię frazesów... Więc tam jakoś nie idzie?... Co mi jest?... Zkąd to zimno?...

— To anemia, wycieńczenie... znikanie oliwy w lampie.

— Jenkins, mój kochany, zrobiłeś już cuda ze mną. Ale proszę cię o więcéj. Podwój ilość „pigułek", wymyśl coś, co chcesz... Bylebym był żwawy na niedzielę... Rozumiesz, zupełnie żwawy. Pigułek zatem na pojutrze. . i to nabitych!...

Jenkins zadrżał, wstrząsnąwszy się jakby po przerwaném marzeniu. — Rozumiem, mój kochany książe, doda się tchu... Oh! ale tchu... choćby do wygrania nagrody *Derby*." I cała ta rozmowa, jak inne, więcéj literacka niż charakterystyczna, nie jest sama dla siebie, dla naznaczenia psychologii dwóch ludzi, lecz dla czytelnika, który ją późniéj zestawiać będzie z końcową, powyżéj przytoczoną, pomiędzy doktorem a Felicyą Ruys.

Z innemi postaciami to samo. Przedstawiają one doskonale świat i ludzi, ale świat egzotyczny i ludzi egzotycznych. „Krystyan II zawołał na marudera, który się toczył w stronę *Placu Zgody*, wskoczył lekko i zacierając ręce z radością dziecka, rozsiadł się na starém niebieskiém suknie poduszek.

— Gdzie jedziemy, mości książę—zapytał dorożkarz, nie domyślając się nawet, że odezwał się tak właściwie.

Krystyan Illiryjski odpowiedział tryumfującym głosem wyemancypowanego gimnazisty: Do Mabilu!" Lecz ten przynajmniéj tak bawi swoim cynizmem, że w nim zaciera się wrażenie jednostronności, i chcąc-nie-chcąc uważa się go za człowieka, jakkolwiek żyje on także tylko jednym rysem, żądzą publicznéj rozpusty.

„...Ja zaś twierdzę, że człowiek któryby sobie zadał cokolwiek trudu w zachowaniu się, któryby się nie znużył milczeniem i pogardą... byłoby to sprawą jednego miesiąca, nie więcéj.

— Zakładam się, że nie—dpowiedział Axel.

— Ile?

— Dwa tysiące ludwików.

— Trzymam... Wattelet, każ dać książkę.

„Ta książka, w któréj się zapisywały zakłady *Wielkiego klubu*, była tak ciekawą i pouczającą w swoim rodzaju, jak księgi Lévis'a Największe imiona arystokracyi francuskiéj dawały tam swoję sankcyą

zakładom najdziwaczniejszym, najgłupszym, jak naprzykład zakład księcia Courson-Launay, który przegrał wszystkie włosy na swém ciele i zmuszony do oskubania się jak maurytanka, przez piętnaście dni nie mógł ani chodzić, ani siedzieć. Były tam inne pomysły jeszcze dziwaczniejsze; i podpisy bohaterów, kładzione na stu pełnych chwały pergaminach, pospolitowały się w tym albumie szaleństwa.

„Na około zakładających się, członkowie klubu ugrupowali się z ciekawością i uszanowaniem. I ten śmieszny a cyniczny zakład, wobec powagi tych wszystkich łysych czaszek, wobec tych przedstawicieli społecznych dostojeństw i heraldycznéj doniosłości podpisów; nabierał pozoru międzynarodowego traktatu, regulującego losy Europy. Zakład był sformułowany, jak następuje: Dnia 3 lutego 1875 ro-roku. Jego królewska mość Krystyan II zakłada się o dwa tysiące ludwików, że będzie spał z Sephorą L... przed końcem bieżącego miesiąca. Jego królewiczowska mość książe Axel trzyma zakład."

Wogóle jest to postać sumiennie wystudyowana i zwracająca na się uwagę ogromem cynizmu. Izba Illiryjska zaofiarowała Krystyanowi kilkanaście czy kilkadziesiąt milionów za urzędowe zrzeczenie się tronu. Królowa Fryderyka, jakkolwiek zna materyalną nędzę swego domu, przez dumę, opiera się przyzwoleniu króla. „Wreszcie—przerywa Krystyan—cóż to jest takiego ta korona Illiryi, o któréj pani mówisz mi ciągle? To warte coś ale tylko na głowie króla; w przeciwnym razie jest zawadą bezużyteczną, którą się trzyma pod kloszem, jak laury komedyanta lub ślubny bukiet odźwiernéj. Król jest królem tylko na tronie, z władzą w ręku; strącony, mniéj niż nic, szmat... Tu jestem królem Krystyanem II dla ciebie; pani, dla Rosena, dla kilku wiernych. Zewnątrz staję się człowiekiem podobnym do innych. Pan Krystyan Drugi... Bez nazwiska, imię tylko... Krystyan, jak komedyant z jakiegoś teatru. I aby dobić królowę, Krystyan do swego zabawnego obrazu monarchy na wygnaniu doda, ostatni rys. Co za smutną minę mieli ci wszyscy biedni książęta *in partibus*, figuranci królewskości, drapujący się w szychu pierwszych ról, deklamujący przed pustemi ławkami i nie mający szeląga dochodu! Nie lepiéj byłoby im zmilknąć, przejść do życia powszedniego, ukryć się w ciemności?... Ujdzie to jeszcze tym, którzy mają jakiś majątek. Ale inni, ale ich biedni kuzyni z Palermo, gniotący się w za-małym domku z tą przeklętą włoską kuchnią! Zawsze tam czuć cebulę, kiedy się do nich wchodzi.... Z pewnością godni, ale cóż to za byt! Pewnego razu Burbon, prawdziwy Burbon, biegł za omnibusem. „Nie ma miejsca, panie." On biegł ciągle. „Kiedy nie ma miejsca, mój biedny staruszku." Rozgniewał się, ponieważ należało go nazwać jaśnie wielmożnym, jakby to było można poznać

z krawatu. Królowie-to z operetki, moja droga. I właśnie, aby wyjść z tego śmiesznego położenia, chcę podpisać ten...“

— Najjaśniejszy panie, trzeba abdykować!

— Abdykować z czego?... Nie mam nic... śliczny podarek zrobiłbym mojemu synowi,.. Ja myślę, że on wolałby raczéj nowy welocyped, niż tę pustą obietnicę korony za dojściem do swojéj pełnoletności.“

Co jednak u Daudet’a psuje całość, odbiera obrazowi charakter prawdy widzianéj na zimno, to właśnie to mięszanie postaci żywych, choć jednostronnych, z czystemi wytworami fantazyi, z jakiemiś ideałami symbolizującemi, czy też symbolami idealizującemi życie. A takich postaci w każdéj jego powieści jest pełno. Mają one wyrażać *coś* i dowodzić *czegoś*, a właściwie *nic* nie wyrażają i *niczego* nie dowodzą, ponieważ brak im ciała, brak krwi i kości rzeczywistych ludzi. Daudet’owi nie stało materyału z życia; dla potrzeb więc kompozycyi, dla potrzeb idei, stworzył całą galeryą istot szlachetnych, pięknych, rozrzewniających dobrocią, łagodnością i bezinteresownością, zadziwiających dumą, lub czarujących powietrzną idealnością, ale bladych i ckliwych, które chodzą jak cienie, działają jak lunatycy, mówią jak duchy. Są tam królowe, które w rodowéj a ambitnéj dumie zapomniały o swojéj kobiecéj naturze. Fryderyka zdradzona, prawie opuszczona przez męża, została sam-na-sam z nauczycielem swego syna. „Méraut *nie spostrzegłszy się*, ciągnął daléj swoję mowę, stojąc w słońcu, które przemykało się po jego szlachetnie egzaltowanéj twarzy, jak po powierzchni twardego kamienia. Był wtedy piękny pięknością inteligencyi, nie do przezwyciężenia pociągającą, która uderzyła Fryderykę za nadto niespodzianie (po kilku latach znajomości), aby mogła ukryć swój zachwyt. Czy on to widział w jéj zielonych oczach? Czy doznał nawzajem tego wstrząśnienia, jakie odczuwamy wobec blizkiego i zanadto żywego uczucia? Z początku bełkotał, lecz zatrzymał się nagle i wzruszony utkwił na nachylonéj królowéj, na jéj blado-złotych włosach spojrzenie długie, palące jak wyznanie... Fryderyka czuła jak ten płomień przebiegał po niéj niby słońce, bardziéj oślepiające i wzburzające niż rzeczywiste, ale nie miała siły odwrócić się. I kiedy Méraut przerażony tém, co mu występowało na usta, porwał się od niéj nagle, jéj, przejętéj na wskróś tym człowiekiem i jego magnetyczną potęgą, zdawało się, że życie opuściło ją nagle; jakby moralnie omdlona, pozostała tam na ławce, nieruchoma, zwiędła. W ogrodzie słychać było tylko rozchodzący się szelest skrzydeł i atomów po nad woniejącemi wieńcami drzew i suchy trzask karabinka młodego księcia, którego strzelnica znajdowała się na końcu parku. Wśród

tego spokoju, królowa przyszła do siebie, najprzód wskutek odruchu gniewu i oburzenia. Czuła się dotkniętą, obrażoną tém spojrzeniem... Czy to podobna? Czy ona nie śniła... Ona, dumna Fryderyka, która w olśnieniu dworskich uczt pogardziła niegdyś tyloma hołdami u jéj nóg i to szlachetniejszemi, znakomitszemi, ona, która trzymała tak wysoko dumę swego serca, miałażby jéj zrzec się teraz dla tego człowieka nic nie znaczącego, dla tego dziecka ludu! Łzy dumy paliły ją w oczach. I w zamieszaniu myśli prorocze słowo Rosena brzęczało jéj w uszach: „Cygaństwo wygnania!...“ Lecz w miarę jak go obsypywała wzgardą, wspomnienie jego usług zaczęło ją napastować. Przypomniała sobie wzruszenie pierwszego spotkania się z nim, kiedy słuchając go, czuła, że do życia powraca. I wtedy pod wpływem niezwyciężonego napadu czułości i wdzięczności zamknęła oczy i oddała się z roskoszą myśli o tém wielkiém sercu, które, jak się jéj zdawało, biło dla niéj.“ Nagle usłyszała krzyk dziecka. Pobiegła na koniec parku. W oku dziecka perliły się krople krwi. „Méraut na kolanach przy niém krzyczał, załamując ręce: „To ja... to ja...“ Przechodził... Jego królewiczowska mość zażądała, aby sprobował broni, i w skutek fatalizmu, kula odbijając się od jakiegoś żelaza... Lecz królowa nie słuchała go. Nie mówiła nic, nie myślała nawet. Raniony zadrżał. „Żyje!“ zawołała z krzykiem radości. Wtedy podniósłszy głowę, dostrzegła przed sobą Méraut'a, którego bladość i przygnębienie zdawały się błagać ją o łaskę. Wspomnienie tego, co się stało na ławce, przyszło jéj na myśl i pomięszało z okropnym wypadkiem. Wściekłość porwała ją przeciwko temu człowiekowi, przeciwko niéj saméj... „Precz... Precz!... Niech cię nie widzę nigdy!...“ krzyczała, strasznie spoglądając. Była-to jéj miłość, którą wyznawała wobec wszystkich, aby się za nią ukarać, z niéj wyleczyć, miłość, którą jako obelgę rzuciła mu w twarz tém zuchwałém tykaniem.“

Wkrótce po tém Méraut leży umierający na swém biedném łóżku w hotelu. Szmer sukni i głosów dochodzi go przez drzwi. „Sądząc, że to jakaś sąsiadka przynosi mu jakiś napój na gorączkę, zamyka oczy; sen odsyła niewczesnych gości. Ale drobne niezdecydowane kroki zbliżają się po zimnéj podłodze pokoju. Słodki głosik szepcze: „Dzień dobry, panie Elizeuszu.“ Jego uczeń jest przed nim, bojaźliwy, cokolwiek podrośnięty i nie śmiało patrzący na swojego nauczyciela, zmienionego i tak bladego na tém biédnem łóżku. Tam, przy drzwiach, czeka kobiéta, wyprostowana i dumna pod swoją zasłoną. Przyszła, minęła pięć pięter, schody pełne rozpustnego hałasu, muskając niepokalaną suknią drzwi z kartkami „Alicya... Klemencya...“ Lecz nie chciała, aby on umarł, nie widząc

swego małego Zara; i nie wchodząc sama, przesyła mu przebaczenie małą ręką dziecka. Tę rękę Elizeusz Méraut bierze, przyciska do ust; następnie zwrócony ku dostojnemu zjawisku, którego się domyśla na progu, z ostatnim tchem, ostatnim wysiłkiem życia, słowa, mówi po cichu i na wieki: „Niech żyje król!“ Lecz ten sentymentalizm nie razi tu już wcale. Jest on bowiem przygotowany a raczej poprzedzony takim *wyskokiem* melodramatyczności, że aby odczuć jego całą sztuczność potrzeba-by było przedtém przeoczyć całą grubość efektu sceny na balkonie:

— „Jeżeli nie spalisz—zawołała królowa—tego (zrzeczenia się tronu) coś podpisał, z przysięgą na krzyż, że nie rozpoczniesz nigdy już więcéj... koniec twojéj rasie... Żona... dziecko... tam, na tym peronie!...“ I w tych słowach, w tém piękném ciele wyciągniętém nad próżnią czuć było taką siłę rzutu, że król, przerażony, porwał się aby ją powstrzymać. Na krzyk ojca, pod dreszczem ramienia, które je trzymało, dziecko—zupełnie już zewnątrz, za oknem—sądziło, że to już koniec, że trzeba umierać. Nie pisnęło słowa, nie podniosło skargi ponieważ szło z matką. Małe tylko jego ręce czepiały się szyi królowéj, i przewróciwszy w tył głowę, z któréj spadały włosy ofiary, zamknął swe piękne oczy przed strachem upadku. Krystyan nie opierał się dłużéj... Ta rezygnacya, ta odwaga dziecka-króla, *zawczasu* do swego przyszłego zawodu *umiało* już to: *dobrze umrzéć!...* Serce biło mu wpiersiach.“ Tu było by miejsce zawołać z Daudet'em: „Obok króla z operetki, królowa z tragedyi!“ Ale Daudet zna życie powszednie. I po wylewach fantazyi, po błyśnięciu fałszywemi kolorami sentymentalizmu, po zanurzeniu w sercu czytelnika sztyletu melodramatycznego wymyślonéj historyi, umie ocalić obserwacyą z życia, która działa jak balsam na rany, jak tchnienie świeżego powietrza na zaczadzonych tlenkiem węgla, uratować dzieło lub scenę. To też kiedy „Fryderyka spaliła akt aż do końca swych palców i strząsnęła ze stołu czarne jego szczątki,“ Daudet otworzył nagle okno na naturę i duszącym się w czasie słów wpuścił odrobinę świeżego powietrza pod formą téj prostéj obserwacyi: „królowa odeszła, aby położyć spać syna, który w swéj bohaterskiéj postawie samobójcy zaczynał drzémać.“

Ale tych tchnień natury za mało! Giną one w wichrach fantazyi jak pyłki kwiatów w „dyabelskich tańcach“ piasku. Trzeba ich szukać, podkreślać, wyłączać i rozdymać do znaczenia charakterystycznego rysu. Same, o własnéj swéj sile, nie mogą się one ostać w potopie słów, który je zaléwa.

— „Pan jesteś okrutnym mieszczuchem—zawołała Felicya Ruys do Pawła Gery. Ale to mi się podoba w panu... zapewne w skutek

sprzeczności, gdyż będąc urodzona pod jakimś mostem, w jakimś porywie wiatru, lubiłam zawsze tylko natury stateczne i rozsądne.

— Oh! moje dziecko, pan Gery gotów by jeszcze uwierzyć, żeś istotnie urodziła się pod mostem! — przerwała poczciwa Crenmitz, która nie mogła się wznieść do pewnéj przesady w obrazach i brała wszystko dosłownie, co do litery."

Ale w ten sposób Crenmitz, stara niemiecka baletnica, wyszłaby za zimno. Artysta musi być artystycznym w życiu i wyrażać sztukę o każdéj godzinie dnia, o każdéj porze i przy każdéj sposobności. Daudet więc nie pozwala czytelnikowi zostać pod wrażeniem ciasnoty umysłu staréj ,,czarodziejki" i puszcza wodze fantazyi: ,,Ożywiona obiadem i światłem, Crenmitz przewrócona na krześle trzymała kieliszek Château-Yquem na wysokości swoich na wpół przymkniętych oczu; różowy czepiec i wstążki długie, odbijające się w złotém winie, dodawały jéj zapału i przypominały dawną bohaterkę kolacyjek po teatrze; Crenmitz z dobrych czasów, nie zuchwałą bynajmniéj na podobieństwo gwiazd naszéj dzisiejszéj opery, lecz bezświadomą i nurzającą się w przepychu, jak droga perła w swéj muszli. Felicya opowiadała jéj wielkie tryumfy w *Gizelli*, *Feri* i owacye publiczności, odwiedziny książąt w loży, podarek królowéj Amelii z cudnemi słowami. To wywołanie sławy upoiło biedną czarodziejkę: oczy jéj błyszczały i słychać było drżenie jéj małych nóżek pod stołem, jak gdyby opanowywał je szał taneczny... I w istocie, po obiedzie, kiedy powrócono do pracowni, Crenmitz zaczęła chodzić wzdłuż i wszerz, zarysowywać *pas*, piruety, wciąż rozmawiając, przerywając sobie dla zanucenia aryi z baletu, którą rytmowała poruszeniem głowy i następnie, nagle, zwinąwszy się, jednym skokiem była na drugim końcu pracowni. Było to zachwycające i czarujące. Na tle olbrzymiéj pracowni, zatopionéj w cieniu i oświeconéj prawie tylko po przez okrągłą szybę, w któréj księżyc wznosił się na jasném niebie, nocnoniebieskiém, prawdziwém niebie z opery, sylwetka sławnéj tancerki rysowała się biało, jak drobny cień leciutki, nieważki, latający więcéj po powietrzu niż skaczący; następnie wzniosłszy się na końce swych paluszków, trzymając się powietrza tylko wyciągniętemi rękoma, z twarzą zwróconą w postawie uciekającéj, gdzie nie było nic widać oprócz uśmiechu, szła naprzód żywo ku światłu, lub oddalała się w małych podskokach tak gwałtownych, że czekało się tylko rychło okno trzaśnie z lekkim szczękiem a ona wzniesie się tak, tyłem, po pochyłości wielkiego promienia księżyca, który ukośnie spływał do pracowni. A co dodawało jeszcze czaru szczególnéj poezyi temu fantastycznemu baletowi, to właśnie brak muzyki, jedynie szelest rytmu, którego potęgę podnosił pół-cień, szelest tego stąpania lekkiego,

zwinnego, i wcale nie silniejszego na podłodze niż opadanie listka po listku dalii... To trwało tak kilka minut. I wtedy ten mały, jasny cień zatrzymał się na kraju fotelu i został tam w pozie, gotów do rozpoczęcia na nowo, uśmiechnięty, dyszący, aż dopóki sen go nie ujął i nie zaczął kołysać nie niwecząc jednak pięknéj pozy, niby ważka na gałęzi wierzby zmoczonéj wodą i poruszanéj jéj prądem!"

Piękne-to zaprawdę i czarujące, ale zarazem jak śmieszne wobec téj staréj niemki, która „nie mogła się nigdy wnieść do egzageracyi obrazów" i przestać myśleć o swoich wiedeńskich *küchlen*. Widoczny tu brak materyału z życia, brak gliny do lepienia całkowitych postaci, brak dostatecznéj ilości charakterystycznych rysów, które Daudet musi zastępować opisową poezyą lub rysami zastosowanemi do potrzeb powieści. I dlatego to u niego najlepiéj przedstawiają się osobistości drobne, prawie bez znaczenia, naumyślnie nierozwinięte, żyjące dla jednego słowa i przez to słowo, narysowane odrazu i pozostawione w szkicu. W pierwszéj chwili nie spostrzega się ani tych postaci, ani tych rysów; późniéj dopiéro, jak po wielkiéj podróży, kiedy urwiste skały i bezdenne przepaści straciły coś ze swego romantycznego uroku, wychodzą one żywe, świetne i zdrowe, niby piękne łąki, barwne pola, lub tajemnicze widoki lasów, widziane gdzieś jakby we mgle pamięci, przygniecione ciężarem gwałtownych wrażeń, ale niełatwe do zapomnienia. „W tym czasie ktoś inny pokazał się w parku, mniéj czynny, mniéj hałaśliwy, raczéj wlokąc się niż idąc, opierając się o mury, o balustrady,—biedna istota zgięta, chwiejąca się, bezwładna, z twarzą zgasłą i bez wieku, nie mówiąca nigdy; a kiedy była zmęczona, wydawała z siebie lekki, żałosny krzyk na służącego, który, zawsze obok niéj, pomagał jéj usiąść, przykucnąć na jakim stopniu, gdzie pozostawała przez całe godziny, nieruchoma i milcząca, ze zwieszoną wargą, mrugając oczyma. Był to *pierworodny*, brat Nababa, ukochane dziecko ojca i matki Jansoulet, piękność, rozum, nadzieja rodziny gwoździarza, który poniósł wszelkie ofiary, aby wysłać do Paryża tego chłopca pełnego ambicyi. Paryż po dziesięciu latach odesłał go w tym stanie łachmana i szczątka, ogłupiałego, sparaliżowanego. Ojciec umarł ze smutku, a matka musiała wszystko sprzedać, aby go wyżywić." I kiedy w kilkadziesiąt stronic daléj, ktoś powie prostym językiem: „Przypominam sobie dobrze, że przy rogatce był szynk, zwany balem Jansoulet'a, z małym hotelikiem i pokojami po pięć soldów za godzinę, gdzie się przepędzało czas pomiędzy dwoma kontredansami...", wtedy postać zjawia się cała, żywa swém obumarłem życiem, potężna wstrętem jaki wywołuje i wzbudzająca litość upadkiem. A jest wyraźna i silna, nie dlatego że ujemna wobec dodatnich, nik-

czemna wobec szlachetnych, chora wobec zdrowych, lub podła przy poetycznych, lecz że jéj rysu wziętego z natury nie psuje idealizująca ni wypełniająca fantazya autora. Ile razy bowiem Daudet w kilku słowach, niby kilkoma kréskami ołówka, może naszkicować postać, a może zawsze, ilekroć swych słusznych ale mało licznych obserwacyj nie nagina do potrzeb wielkiéj powieści, wtedy postać taka żyje i wraża się w pamięć, choćby to była tylko jakaś gąska pragnąca mieć „syna dla przechowania nazwiska (męża) i dwie córki.. aby je mogła ubierać jednakowo," lub też jakaś mała mieszczaneczka dopuszczająca się wiarołomstwa dlatego że z królem i postanawiającą „nazwać swoje dziecko Wacławem. Witoldem lub Wilhelminą, jeżeliby to była córka, ale z pewnością imieniem zaczynającem się od *w*, ponieważ to litera arystokratyczna i ładna do wydziergania na bieliźnie."

Widocznie tu Daudet, jak w swych czarujących nowelach, nie potrzebował rozdymać źdźbła prawdy do wielkości kuli ziemskiéj; nie potrzebował swéj miopii ratować monoklem, swych obserwacyj z życia nadsztukowywać wyobraźnią poety.

2. Kompozytor.

Lecz w sztuce wszystko się trzyma. Jeden brak wywołuje drugi i tak następnie. Fałszywy rysunek zmusza do fałszywéj kompozycyi, a ta znowu do fałszywego koloru. Daudet dla swych postaci jednostronnych, niepełnych, przesadzonych lub, jeżeli prawdziwych, to wyjątkowo prawdziwych, potrzebuje gruntu niezwykłego, tak samo jak romantyczny rysownik dla swych teatralnie dramatycznych figur potrzebuje tła z burz morskich, urwistych skał, piekielnych czeluści, lub cmentarnych grobów. Ponieważ u niego są ludzie, którzy pokutują za grzechy innych, modlą się za dusze cudzych przyjaciół, kochają dla przyjemności drugich, poświęcają swe życie i szczęście dla ocalenia majątku swoich chlebodawców, lub chlebem oddają za kamień: aby więc usprawiedliwić ich usposobienia i charakter, potrzeba było typy oplątać w sztuczne nici wymyślonego dramatu, postawić w warunkach wyjątkowych, odpowiednich do ich wyjątkowych natur. Dla tego-to żadna z jego kompozycyj nie odznacza się prostotą budowy, żadna z jego powieści nie płynie biegiem życia, nie rozwija się w myśl wypadków, naturalnie i swobodnie, lecz porozrywana na epizody w swych wytycznych liniach kręci się i łamie, niby urwista droga wśród gór pokrajanych przypadkowemi przepaściami, rozpadlinami lub stokami hałaśliwych strumieni.

W życiu każdego człowieka można się doszukać dramatu, którego perypetye jednak, pomimo całéj swéj tragiczności w ich zawiązaniu lub fizycznêm i moralnêm rozwiązaniu, nie mają nic zdumiewającego dla ścisłego obserwatora. Wszystko tam się odbywa, jak odbywać powinno w myśl determinizmu fizyo-psychologicznych praw i w porządku przepisanym przez samę naturę wypadków z rzeczywistego życia.

Daudet dla pokazania dramatu potrzebuje tysiącznych scen. W jednéj charakteryzuje ludzi, w drugiéj nagromadza wybuchowy materyał, w trzeciéj ustawia przeszkody, w czwartéj przygotowuje czytelnika do czegoś niespodziewanego, i tak daléj, aż póki wszystkie nici dramatu, niby płonące lonty nie zbiegną się w jednêm miejscu, w jednéj scenie, i tam nie zapalą prochu zawczasu podłożonego przez autora dla olśnienia i wzruszenia czytelnika, o którym ciągle myśli. Jest to olśniewające i wzruszające, to prawda; ale wobec dramatu z życia, wobec psychologicznéj walki, jaka się odbywa w duszy każdego człowieka przy zetknięciu się jego ze światem zewnętrznym, jakże małemi wydają się te niespodzianki czysto literackiéj natury, gdzie wypadki naciągnięte są do potrzeb dramatu, życie zamienione na teatr. Przypadek, jakkolwiek grający wielką rolę w naturze, nie może być osią dramatu, czopem na którym się otwierają lub zamykają wierzeje ludzkiego życia, nie może losu człowieka zrobić zależnym od spadającéj mu na głowę dachówki, od spóźnienia się na pociąg lub udawienia ością. Co prawda, wypadki, jakiemi Daudet znaczy pochód swoich dramatów, mogły się zdarzyć w rzeczywistości, tak jak pod Hugonowskiem Waterloo mogła upaść jedna kropla deszczu za wiele; nie przeszkadza to jednak, aby rzeczywistość ta nie miała robić wrażenia czegoś niespodziewanego, nadzwyczajnego i zupełnie przypadkowego, tak tu jak i tam, tak w powieści jak i w życiu. Nauka nie dopuszcza przypadku, to jest zdarzenia wychodzącego z granic porządku naturalnego, dlaczegóż więc powieść, dlaczego sztuka miałaby się nim posługiwać bezkarnie dla malowania życia, dla charakteryzowania ludzi? Myśliciel nad têm pytaniem zastanawiać się nawet nie potrzebuje. Jest ono pytaniem, ale tylko dla artystów. Niechajże więc oni, wprowadzając do swoich utworów niespodziankę, coś niezwykłego, słowem, *przypadek*, starają się albo usprawiedliwić go całą seryą przyczyn i wtenczas będzie on tylko prostym wypadkiem nie robiącym sztucznego efektu, albo też nie kłaść nań tak silnego nacisku, nie pozwolić mu grać tak wielkiéj roli w życiu człowieka i wtedy, jako zupełnie podrzędny szczegół, będzie on prawdziwym w dramacie ale bez specyalnego znaczenia, będzie robił wrażenie ale tylko w całości życia, jako jedna z ce-

giełek tego psychologicznego gmachu, który się przed oczami czytelnika wznosi lub zawala, nie zaś jako jego fundament, co już jeżeli nie zupełnie fałszywém, to przynajmniéj jest mało prawdopodobném. Daudet lubuje się w przypadkowości i miga nią jak chytry kolonista malowaném szkiełkiem przed oczami dzikiego. Paweł Gery kocha Alinę, przyjaciółkę Felicyi Ruys, która go kocha nawzajem. Aby się jednak oświadczyć tamtéj, potrzebuje dojrzéć pomiędzy liśćmi drzew bulońskiego lasku Felicyą w objęciach księcia Mora. Wyjeżdża i po roku podróży po Afryce wraca do swéj narzeczonéj. W hotelu, na granicy Francyi, nocuje. Śni. Zdawało mu się, że jest po ślubie z Aliną. „I nagle, wśród pocałunków i upojenia Alina posmutniała. Piękne jéj oczy przesłoniły się łzami. Mówiła do niego: „Felicya jest tam.. nie będziesz mnie już kochał." A on śmiał się: „Felicya tu?... Co za myśl." „Tak, tak... Ona jest tam!" Drżąca, pokazywała na sąsiedni pokój, zkąd wychodziły zajadłe te szczekania i głos Felicyi: „Kadour, tu!... Kadour, tu!..." głos nizki, skupiony, wściekły, jak gdyby kto się ukrył i nagle widzi się odkrytym. Zakochany, przebudziwszy się, z rozczarowaniem znalazł się sam w pustéj izbie; marzenie wyfrunęło przez okno. Lecz w sąsiedniéj izbie słychać było rzeczywiście szczekania psa i gwałtowne stukanie do drzwi. „Felicyo, otwórz!... To ja... Jenkins." Następuje spowiedź Jenkinsa: jego pozorne małżeństwo, śmierć księcia Mora, pigułki itd. „Paweł porwał się z przerażeniem. Miał-że przez wypadek stać się powiernikiem zbrodni? Lecz hańba usłyszenia więcéj nie była mu wymierzona!"

A takich rozczarowań, takich tajemnic zasłyszanych przez ścianę, takich niespodziewanych rozwiązań dramatu u Daudet'a jest pełno.

Nabab postawił wszystko na jednę kartę. Zrujnowany życiem, dla odebrania milionów zatrzymanych przez beja tunetańskiego, musi zostać posłem do Izby francuzkiéj, musi szukać protekcyi Francyi. Wszystkie sposoby są dla niego dobre i w tém nie ma nic dziwnego. Ale Daudet biorąc ludzi niezwykłych, to jest usposobieniem, charakterem, majątkiem i urodzeniem nie właściwie należących do otoczenia w jakiem się obracają, z konieczności potrzebuje stawiać ich w okolicznościach sztucznych. Nabab więc, przywiedziony położeniem swem do rozpaczy, ucieka się, między innemi, po radę do swego nieprzyjaciela barona Hemerlingue. Ten obłudnie radzi mu przekupić znanego z uczciwości posła, który jest wydelegowany do zrobienia raportu, prawdopodobnie unieważniającego wybór Nababa.

— Kubany—mówi Hemerlingue—tak samo grają wielką rolę we Francyi jak i na Wschodzie, tylko tu nadaje im się więcéj pozo-

rów niż tam. Tak np. Merquier nie prawda?... zamiast dać mu pieniędzy, układa się z nim. On lubi obrazy.“ Rzecz była ukartowana z góry, i Merquier po przybyciu do niego Nababa mówi: „Kiedy pomyślę, że potrzebowełem dziesięciu lat na umeblowanie tych murów i że mi potrzeba zapełnić jeszcze całą tę ścianę...

— Drogi panie Merquier—rzekł dobrodusznie Nabab—właśnie mam u siebie madonnę Tintoreta rozmiarów pańskiéj ściany... Pozwól mi pan zawiesić ją tam, wprost stołu... To panu da sposobność myślenia o mnie czasem...

— I złagodzenia surowości mojego raportu, nie prawda, panie? krzyknął Merquier groźnie i wstając.—Widziałem dużo już bezwstydu w mojém życiu, ale nigdy czegoś temu podobnego... Taka propozycya mnie, u mnie?!... W mojéj osobie obrażasz pan całą Izbę. Nasi koledzy będą wiedzieć o tém dziś jeszcze; i to pana nauczy, że Paryż nie jest Wschodem i że tu nie prowadzi się haniebnego handlu ludzkiém sumieniem.“ Następnie wypędziwszy przekupnia ze świątyni, człowiek sprawiedliwy zbliżył się do tajemniczéj zielonéj kotary i rzekł słodziutkim głosem: „Czy dobrze tak, baronowo Maryo (Hemerlingue)?“ Lecz Nabab nie daje za wygraną. Idzie do Izby i broni swéj sprawy. Posłowie przebaczają mu przekupstwo, ponieważ wszyscy i zawsze kupowali głosy korsykanów. Pozostaje mu jeden szczegół z życia: oczyścić się z zarzutu utrzymywania publicznego domu pod firmą: *Bal Jansouleta*, a cała machinacya Hemerlingue'a i jego żony pójdzie w niwecz. „Powiedziano wam—kończy Nabab,—że nie jestem godzien zasiąść pomiędzy wami, panowie. I ten, który mógł mówić za mną, usprawiedliwić mnie, przekonać was, nie chciał tego zrobić. A więc ja, cokolwiekby to mnie kosztować miało, sprobuję... Haniebnie spotwarzony przed całym krajem, muszę dla siebie, dla swych dzieci, usprawiedliwić się publicznie.“ Gwałtownym ruchem zwrócił się w stronę trybuny, gdzie domyślał się swego nieprzyjaciela, i nagle zatrzymał się przerażony. Tam, wprost niego, z po-za nienawistnéj i bladéj głowy baronowéj Hemerlingue, matka, jego matka, o któréj sądził że jest o dwieście mil od téj strasznéj burzy, patrzyła, wyciągając do niego swą boską twarz zalaną łzami rozrzewnienia. Biedna wieśniaczka, znajdując się tam przypadkiem, nie rozumiała o co chodzi. „Mów!... mów!...“ krzyczano ze wszystkich stron Izby. Lecz Jansoulet nie mówił. A potrzeba mu było powiedzieć tylko: „Potwarz naumyślnie pomięszała dwa imiona! Ja nazywam się Bernard Jansoulet a tamten Ludwik.“ Ale tego było by za wiele w obecności matki, która nieznała hańby swojego *pierworodnego*“, i tym sposobem wskutek przypadku „wybór pana Jansoulet został unieważniony.“

Gdzie jednak sztuczność efektów pokazuje się najwyraźniéj, to w następnym zaraz rozdziale, kiedy wszystkie nici dramatu pękają od razu, jakby od jednego cięcia nożem. „Było to około piątéj godziny wieczorem. W téj chwili Bernard Jansoulet mijał sztachety, trzymając matkę pod rękę; lecz jakkolwiek przerażającym był dramat który się dopiéro co odegrał, ten go jeszcze przewyższał, bardziéj nagły, niespodziany, bez najmniejszéj formalności, dramat domowego życia.... Z téj strony schodziła pani Jenkins, przyśpieszonym krokiem, na wolę przypadku. Coż za straszny upadek! Bogata przed pięciu minutami, otoczona powszechnym szacunkiem i zbytkiem wielkiéj egzystencyi, jako żona doktora. Obecnie nic, bo nawet dachu do spania, nawet imienia. Ulica. Gdzie iść? Czém zostać. Gdzie umrzéć? Wahała się, szukała. Po drodze markiz Monpavon, pozdrowił ją z daleka tym wielkim ukłonem kapelusza, tak drogim dla próżności kobiét. Ona odpowiedziała mu zgrabném „dzień dobry“ paryżanki, zaledwie wyrażoném przez nieuchwytne dla oka nachylenie kibici i uśmiech oczu; i nigdy, patrząc na tę wymianę światowych grzeczności, nikt nie byłby przypuścił, że ta sama złowroga myśl kierowała temi dwoma krokami skrzyżowanemi przez przypadek na drodze, a zmierzającemi do jednego celu. „Idę do kąpieli... Dyabelska Izba... haniebny kurz...“ i stary sybaryta myślał o zaśnięciu w wannie, jak „ten, tego... jak się nazywa... ps... ps... ps... i inne sławne osobistości ze starożytnéj historyi.“ I tak bezustanku powieść wije się pomiędzy temi wszystkiemi „nagle“, „niespodziewanie“, „w téj saméj chwili“, „dziwnym przypadkiem“, aż dopóki Jansoulet nie padł w apoplektycznym ataku na ręce swego przyjaciela, młodego Gery, który jakkolwiek u niego tylko w służbie, poświęcał mu jednak wszystko i siebie byle uratować miliony Nababa.

Rzecz to zresztą konieczna. Ponieważ u Daudet'a sceny nie są wymyślone dla zobrazowania życia, lecz dla uwydatnienia moralnych i fizycznych *tyków* jego postaci, potrzeba więc było wyjątkowość jednych dopełnić przez wyjątkowość drugich. I tak np. w Jacku: „Nazajutrz po napisaniu listu do matki Jack'a, dyrektor fabryki ze zdziwieniem ujrzał wchodzącą do niego panią Roudic.—„Przychodzę powiedzieć panu, że czeladnik nie jest winien. To nie on ukradł posąg mojéj pasierbicy.“—„A jednak są dowody.“—„Jakie dowody? Najbardziéj obwiniający ze wszystkich jest ten, że męża mojego nie było a Jack został się sam z nami w domu. A zatém, panie, ten to właśnie dowód przychodzę zniszczyć. Téj nocy u nas był ktoś inny aniżeli Jack.“—„Ktoś inny! Nantais?“—„Tak, Nantais...“—„Więc to Nantais zabrał pieniądze?“—„Nie!... To ja, aby mu je dać. Żądał ich tylko na dwa dni, i czekałam cały ten czas wobec rozpaczy mojego męża,

łez Zenaidy, i strasznéj obawy o skazanie niewinnego... Co za męka!... Nie przychodził. Wtedy to napisałam: Jeżeli jutro o jedenastéj nic nie otrzymam, oskarżę ciebie i siebie... I oto jestem przed panem.“ Tym sposobem Jack został ocalony. Ale nie jemu-to gwiazda szczęścia miała przyświecać w życiu! Urodzony z niewiadomego ojca, wychowany w szkole prywatnéj jakiegoś spekulanta, który na profesorów zebrał wyłącznie tylko chybionych specyalistów wszelkiego zawodu, Jack przez nowego kochanka swojéj matki został oddany do fabryki maszyn a ztąd następnie na okręt jako palacz. Złamany pracą nad siły i pijaństwem, ten reprezentant złéj woli ludzi przychodzi do doktora Rivals, dawnego sąsiada swojéj matki, i tam, przy nim i przy jego wnuczce, pod wpływem wspomnień dzieciństwa staje się napowrót człowiekiem. Wychowanie ani otoczenie nie zdołały zniweczyć pięknéj natury chłopca. Jak perła podjęta ze śmietnika, został on czystym po dziesięciu latach zgubnych wpływów świata, w którym się obracał, i to naprzekór pesymistom dowodzącym, że złe wychowanie i złe otoczenie muszą zabić najlepszą, najszlachetniejszą nawet naturę. Lecz Daudet nie tworzy przeciętnego życia, ani przeciętnych ludzi. Jemu potrzeba wyjątkowych charakterów i wyjątkowych scen. Jack dzieckiem kochał Cecylią. Zawstydzony jednak swoim upadkiem, jako dwudziestokilkoletni młodzieniec chce ją porzucić, chce dom doktora opuścić na zawsze. Lecz doktór zna na niego sposób i sam pierwszy proponuje mu ożenienie się z Cecylią. „Czegóż więc płaczesz? Twoje sprawy nie idą tak źle jeszcze, skoro to ja pierwszy mówię ci o tém...“ „Oh! panie Rivals, czy to podobna? nędzny robotnik jak ja!...“ „Pracuj abyś nim nie był.“ „Lecz to nie wszystko... nie wszystko. Pan nie wiesz najstraszniejszéj rzeczy. Ja jestem... jestem...“ „Tak; jesteś bękartem—powiedział doktór spokojnie... Otóż i ona także... jest bękartem, i jeszcze coś straszniejszego. Przybliż się moje dziecko i słuchaj: Pewnego wieczoru drzwi się otwierają i moja córka wchodzi. Nie była to już owa piękna, młoda kobiéta, która wyjechała miesiąc temu, ale biedne dziecko, schudzone, blade, okryte lichą sukienką, z podróżną torebką w ręku, z miną nędzną, wystraszoną i szaloną. „Ah! mój Boże, co ci się stało? Gdzie Nadine? Na litość, moje dziecko, mów gdzie twój mąż?“ „Nie mam męża.. nie mam już... nie miałam go nigdy.“ I natychmiast, pocichu, nie patrząc na mnie, zaczęła opowiadać mi swoję straszną historyą: On nie był hrabią, nie nazywał się Nadine. Był to małoruski żyd nazwiskiem Roesch, nędzny awanturnik, jeden z tych ludzi, którzy oddają się wszelkim zawodom, nie umiejąc utrzymać żadnego. Był żonaty w Rydze, żonaty w Petersburgu. Wszystkie papiery fałszywe, sfabrykowane przez niego. Dochody zawdzięczał swojéj

zręczności w podrabianiu papierów banku rosyjskiego. Przytrzymano go w Turynie. Moja droga córka, sama w tém nieznaném mieście, została przemocą oddzielona od męża, dowiadując się przy tém, że był dwużeńcą i fałszerzem: nędznik przyznał się do wszystkich zbrodni. Lecz nie znałem wtedy jeszcze w całości mojego nieszczęścia. Córka nie powierzyła mi swojego sekretu: z tego kłamliwego nielegalnego, hańbiącego związku miało narodzić się dziecko.“ Dla uzupełnienia téj romantycznéj historyi, tak mało mającéj wspólnego z prawdziwą raną społeczeństwa, z prawdziwém nieszczęściem uwiedzionych kobiét, potrzeba jeszcze dodać, że Magdalena nie przeżyła swojéj hańby i umarła zaraz w kilka dni po urodzeniu małéj Cecylii. „I kiedy pomyślę—mówi daléj doktór—że przeznaczenie tak przypadkiem dosięgło tego małego kącika, starannie ukrytego za płotami i olszowym lasem, to mi się przypominają owe zbłąkane kule, które w czasie bitwy zabijają rolnika na skraju pola lub dziecko powracające ze szkoły.“ Świetne porównanie, które jednak należałoby obrócić przeciwko Daudet'owi, jako filozofowi życia. Jest-że bowiem racya, wobec setek tysięcy trupów, gnijących na polu bitwy, myśléć o rolniku zabitym na skraju pola? Jest-że racya wobec setek tysięcy bękartów, wobec setek tysięcy haniebnie uwiedzionych dziewczyn, myśléć i płakać nad historyą Magdaleny? Czyż wojna nie przedstawia gorszych, fatalnych, nieuniknionych a naturalnych nieszczęść? czyż donżuanizm prosty, niewymyślony, a codzienny, nie przedstawia większego interesu, niż oba powyższe wyjątkowe przypadki? Doprawdy, aby zajmować się na seryo tego rodzaju złém, potrzeba mieć nieczułe serce na żło powszednie, aby szukać rany jakiegoś specyalnego przypadku, trzeba nie mieć chyba oczu na rany, toczące całe społeczeństwo, na rany wszystkim narodom wspólne, całą ludzkość obchodzące. Co jednak najdziwniejsza, to że nie tylko Magdalena, jéj matka i sługi, ale nawet doktór Rivals i sam Daudet niewinną Magdalenę uważają za zhańbioną, jakkolwiek jéj łoże, zanim do niego wszedł ów dwużeńca i fałszerz, podesłane zostało całemi ryzami prawnych formalności. Lecz tego jeszcze nie dosyć. Cecylia cofa przyrzeczenie dane Jack'owi. Czy może przestała go kochać? Może kocha innego? Bynajmniéj. To byłoby za zwyczajne, za powszednie. „Więc dlaczego? wytłomacz mi to, moje dziecko.“ „Nie chciałam przyznać się do hańby mojéj matki, a sumienie kazałoby mi powiedziéć wszystko temu, który miał zostać moim mężem. Kocham go całą moją duszą i myślę, że on kochał mnie dosyć, aby nie zerwać małżeństwa; lecz do mnie należało oszczędzić mu tego poświęcenia.“ I jak Ugolin, który zjada swoje dzieci dla uratowania im ojca, tak samo Cecylia, dla pokazania Jack'owi swéj głębokiéj miłości, nie chce

zostać jego żoną: Jack umiera w szpitalu, aby na łożu śmierci dopiéro usłyszéć, że ona „nie kochała nigdy innego.“

I tak ciągle, we wszystkich scenach, we wszystkich powieściach, które w ich budowie, gdyby chodziło o porównanie, należałoby nazwać plotkami, artystycznym językiem podniesionemi do godności sztuki. Daudet bowiem maluje z natury: dzienniki i paryzkie towarzystwo upominają się o większą część jego postaci, o większą część scen przeniesionych wprost z życia do książki; ale obrabia on naturę, jak kobiéty swoich przyjaciół: przez nieumiejętność i niechęć wejścia w szczegóły wyjaśniające, nadają one, tak dobrze jak on, ludziom pozór istot niezwykłych, a scenom pozór skandalicznych plotek, obchodzących tylko małe koło znajomych lub przyjaciół. Życie wielkie na jego obserwacyach zyskuje nie wiele, ponieważ on zajmuje się tylko małém, zamkniętém w granicach szczególnych przypadków i ułożoném dla interesu czytelników, zawczasu już świadomych sprawy, świadomych życia Jansoulet'a (Nababa), księcia Mora (duc de Morny), Krystyana II-go (François d'Assiz) i tylu innych, których skandalicznemi awanturami Figaro, dla uciechy żądnéj plotek gawiedzi, codzień wyciera sobie zęby.

3. Myśliciel i stylista.

Zadawalniając się w psychologii swoich bohaterów jednym rysem, z którego snuje cały charakter człowieka, Daudet tak samo i w malowaniu życia zadawalnia się jednym jego objawem i z niego o całości wnioskuje lub innym wnioskować pozwala. Życie, „współczesne obyczaje,“ „współczesna historya,“ istnieją dla niego tylko w pojedyńczych wypadkach. Nic w powszednich warunkach, nikt w swojém otoczeniu. Wszystko, co go zajmuje w życiu, nosi na sobie wyraźne znamię wyjątkowości; wszystkie zagadki wzięte są ze strony, która może bawić i wzruszać, ale nigdy uczyć lub dawać do myślenia.

Opisuje życie, obyczaje i los robotnika, który nie jest robotnikiem wcale. Jack przez swe wychowanie i podwójne otoczenie, w warsztacie i w salonie, nie należy ani do kategoryi robotników, ani studentów. Jest to osobistość wyjątkowa, któréj życie pełne przygód, nieszczęść, zawodów i szlachetnych porywów, w niczem się nie łączy z życiem jakiejkolwiek klasy ludzi.

Pokazuje szkołę, która nie jest szkołą. I jakkolwiek wyraźnie zgubne są skutki powierzania umysłów dzieci człowiekowi i ludziom, którzy o nauczaniu nie mają najmniejszego wyobrażenia, to jednakże

los uczniów znajdujących się w szkole, gdzie wszyscy profesorowie są bankrutami innych niż nauczycielstwo profesyj, musi być obojętnym dla tych, którzy zajmują się pedagogiką w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Pisać o pensyonacie założonym przez spekulanta dla spekulowania na głupocie cudzoziemców, przyjeżdżających do Paryża ze wszystkich stron świata, to uciekać przed wielką zagadką dzisiejszéj szkoły i jéj zgubnego programu, tak samo jak pisać o życiu i obyczajach królów złożonych z tronu, walających się po ściekach paryskiéj rozpusty, to uciekać przed ideą rojalizmu, przed złą czy dobrą potęgą władzy uważanéj za otrzymaną od Boga, to chować się za plecami śmieszności, aby nie mówić o rzeczach poważnych, to wykręcać się drobiazgiem przed zaciężkim trudem pracy nad stanem cywilizacyi i moralności wieku XIX. Ale co prawda, tego rodzaju sytuacye nadają się łatwo do humorystyki pełnéj tonu serdecznego a nieobowiązującego do żadnych wniosków. I dlatego to Daudet, poruszając wielkie zagadki życia, nie kompromituje nigdy swoich przekonań, nie wprowadza nigdzie swojéj socyalnéj lub filozoficznéj doktryny. A nie wyraża się on o życiu w ten lub ów sposób, dlatego aby życie dla niego nie miało być ani dobrém ani złém, lecz że przy swojém ciągłém przemykaniu się po wierzchu wyjątkowych, specyalnych zagadek, nie maluje życia, nie charakteryzuje epoki. Nie jest to zatém ani obserwator ścisły, spokojny i chłodny, który z nagromadzonych spostrzeżeń pozwala czytelnikowi wyprowadzić takie wnioski, jakie mu się podoba, ani też doktrynerski umysł, który stara się pokazać świat i życie w pewném specyalném oświetleniu jednéj, przewodniéj idei. Natura obdarzyła go bujną wyobraźnią, nerwami wrażliwemi na piękno i brzydotę, na dobro i zło; manifestuje więc on swoje wrażenia i puszcza wodze fantazyi przy każdéj sposobności, choćby nawet forma powieści, forma obrazu z realnego życia cierpieć na tém miała. Schłonięty w potrzebie wypowiadania się z własną poetyczną duszą, nie ma czasu na pogłębianie cudzéj, nie ma cierpliwości na przedmiotową charakterystykę świata i ludzi, nie ma wytrwania w przyglądaniu się szczegółom, aby z nich wydostać prawdę, całość życia zestawić z jego kawałków. Powieściom jego nie brak głębokich myśli, ale leżą one tam rozrzucone, bezładnie, przygniecione stosami słów, często niejasne, zawsze niedokończone.

— „Najjaśniejszy panie, będziesz kiedyś królem... musisz więc dowiedzieć się co to jest król... Słuchaj mnie tedy, patrz na mnie, a co moje usta nie wyrażą dość jasno, zrozumiesz po uszanowaniu w moich oczach.—I wtedy Méraut pochylony nad tą małą inteligencyą, za pomocą słów i obrazów dla niéj właściwych, tłómaczył dogmat boskiego prawa, misyą królów na ziemi, pomiędzy ludami

a Bogiem, przeciążonych obowiązkami i odpowiedzialnością, jakich inni ludzie nie mają a które od ich dzieciństwa już są na nich włożone. Królowa wsłuchiwała się z roskosznéni zdumieniem w to słowo, na które próżno czekała lata całe, które odpowiadało jéj najtajniejszym myślom, wyzywało je, wstrząsało niemi... Tak długo marzyła sama! Tylu rzeczom, których nie umiałaby powiedziéć, Elizeusz dawał formułę. Najbardziéj nawet ogólnikowe jéj przeczucia o téj wielkiéj idei królewskości nabierały ciała i przedstawiały się od razu, wspaniale a poprostu, ponieważ dziecko, małe dziecko, mogło prawie je zrozumieć.“ Lecz na próżno czekać tego słowa o misyi królów, o wielkości idei, tego słowa nadającego ciało najbardziéj ogólnikowym przeczuciem królewskości. Daudet ogólnik podjął z ziemi po drodze i zostawił go w pięknéj formie ogólnika, nie przypuszczając nawet, że puste pojęcie nie da się zapłodnić słowami pustego entuzyazmu, zwłaszcza jeżeli się nie wchodzi w szczegóły idei. Napróżno zatém woła daléj: „I ten to plebejusz, ten syn tkacza—którego ona znała historyą—podjął zagubioną tradycyą, przechował relikwie i święty ogień, którego płomień, widoczny w téj chwili na jego czole, udzielał się w żarze słów. Ah! gdyby Krystyan był takim!“ Zmarnowany zapał! czytelnik nie może być bardziéj przekonanym po przemowie Elizeusza jak i przed nią, ponieważ właśnie nie wie, jakim ma być ów Krystyan. A przy tém Daudet nie ma cierpliwości w przeprowadzeniu charakterystyki do końca. „Czyż to królewski syn—mówi markiza Silvis — potrzebuje być wypchanym łaciną i greką jak słownik?... Nie, nie, ta edukacya wymaga specyalnych wiadomości, i ja je miałam. Byłam gotowa. Opracowałam traktat księdza Diguet o *Wychowywaniu książąt*. Umiem na pamięć rozmaite sposoby, jakie on wskazuje dla poznania ludzi i usunięcia pochlebców. Pierwszych jest sześć a drugich liczą siedem, jak następują w porządku...“ Lecz tu charakterystyka się urywa, ani słowa więcéj, jak gdyby obserwator obawiał się zajrzeć jeszcze głębiéj w duszę ludzką i znaleść tam głupotę skończoną. Woli więc zostawić obserwacyą w stanie wesołego dowcipu i pędzić daléj w roskoszną krainę wyobraźni. „Człowiek, który czytał Proudhon'a,“ może się pokazać sto razy w powieści, a Daudet nie pomyśli czy nie należałoby raz przecie kazać przemówić owemu „człowiekowi,“ choćby dla pokazania, jak na nieuprawnym umyśle przyjmują się ziarna niezrozumiałéj dla niego filozofii. Czasem myśl głębsza, jak np. że „rzeczy istnieją tylko przez oczy, które na nie patrzą,“ wysunie się z potoku słów, ale rzucona tak od niechcenia, z takim domowém, artystycznėm zaniedbaniem, że aby ją podjąć, trzeba się umyślnie schylić. A przy tém ciągłe opuszczanie realnego gruntu

i wzlot ku czarującym strefom poezyi. „Panna Afchin (żona Nababa) lubiła teatr, zwłaszcza farsy i melodramaty. Apatya grubego jéj ciała ożywiała się przy sztuczném świetle kinkietów. Najchętniéj jednak chodziła do teatru Cardaillhaca, subwencyonowanego przez Nababa. Lecz téj małpie Cardaillhacowi to nie wystarczało: widząc namiętność panny Afchin do teatru, zdołał wmówić w nią intuicyą i naukę, i zażądał, aby w wolnych chwilach zechciała rzucić okiem sędziego na sztuki, jakie mu przysyłano. Biedne rękopismy o niebieskiéj lub żółtéj okładce, które nadzieja obwiązała w cienkie wstążeczki, odchodzicie wydęte ambicyami i marzeniami, a kto wie jakie ręce was otwierają, przerzucają, jakie palce niedyskretne odbierają wam czar, ten świecący pył, który na sobie nosi każda świeża myśl? Kto was sądzi? Kto was skazuje?...“ i tak daléj bez końca, przy każdéj sposobności, albo raczéj w każdéj chwili, kiedy nić obserwacyi urwała się nagle w pamięci i potrzebuje sztukować się poetycznym wątkiem wyobraźni. A jak dalece ta wyobraźnia zastępuje u niego i dopełnia obserwacyą, najlepiéj widać w opisie *Zakładu Bethleemskiego.* Jest to szpital dla dzieci, stworzony pieniędzmi Nababa dla reklamy d-ra Jenkinsa i jak wszystkie instytucye, brane pod uwagę przez Daudet'a, na wskroś wyjątkowy. „Wyborne samo w sobie, dzieło Jenkinsa w zastosowaniu było nadzwyczajnie zawiłe, prawie niepraktyczne. Bóg jednak wié, że nie pożałowano gorliwości w najdrobniejszych nawet szczegółach. Na czele stał jeden z najzręczniejszych lekarzy, obok niego zaufana kobiéta, pani Polge; potém służące, szwaczki i siostry miłosierdzia. Nareszcie wspaniałe kozy, kozy z Tybetu, wełniste, wydęte mlékiem. Wszystko, jako organizacya, było cudowne; instytucya jednak chromała na pewnym punkcie. To sztuczne karmienie, tyle sławione przez reklamę, nie podobało sią dzieciom. Był to dziwny upór, hasło jakie sobie dały oczami biedne kociaki, gdyż nie mówiły jeszcze, a największa z nich część nawet nie miała nigdy mówić. „Jeżeli chcecie, nie będziemy ssać kóz.“ I nie ssały, wolały raczéj umierać jedno po drugiem niż je ssać. Czyż to Jezus z Betleem w swojéj stajni był karmiony przez kozę? Czyż nie przyciskał się, przeciwnie, do pełnego i łagodnego łona kobiéty, na którém zasypiał, kiedy nie miał już pragnienia? Któż-to widział kozę pomiędzy legendowym wołem i osłem owéj nocy, kiedy zwierzęta mówiły? Dlaczegóż więc kłamać, dlaczego nazywać to *Zakładem Bethleemskim?...*“ I czytając te pełne rzewnéj poezyi słowa, można-by prawie uwierzyć, że szpital Jenkinsa wydał tak zgubne rezultaty jedynie tylko dla tego, że Jezus nie ssał kozy, że w Betleem koza nie stała pomiędzy wołem a osłem. A tym czarodziejskim językiem wyobraźni Daudet posługuje się aż do znużenia i to nawet tam, gdzie nikt-by tego

się nie spodziewał. Jack po kilku latach ciężkiéj pracy, złego towarzystwa i bezustannego pijaństwa przy kotle parowéj maszyny, powraca po Aulnettes. „Ani tchnienia w powietrzu, lecz pełno śpiewu ptaków, trzeszczenia w spadłych na ziemię liściach i zapach dojrzałości, suchego siana, dostałych owoców. Ścieżki w lesie, zaledwie oświecone, zasiane żółtemi kwiatami, biegły ku polankom. Jack poznawał je wszystkie. Stawiając na nich nogę, odbierał w posiadanie lata swego dzieciństwa, szczęśliwe, nie do zapomnienia, gdzie pomimo smutków swojéj fałszywéj pozycyi czuł, jak jego istota wypogadzała się w dobréj, swobodnéj naturze. Zdawało się, że ona go także poznaje, wzywa do siebie, podejmuje. W swéj duszy rozczulonéj wszystkiemi wspomnieniami, Jack słyszał pocieszający, słodki głos: Pójdź do mnie, biedne dziecię, pójdź do mego serca o powolném i łagodném biciu. Obejmę cię, będę cię pielęgnować. Mam balsamy na twoje rany, a ten, kto ich szuka, jest już wyleczony..." I ta poezya, którą Daudet ma ciągle na ustach, którą opromienia ludzi i rzeczy, jak gdyby one nie mogły się ostać o swojéj własnéj, przedmiotowéj piękności, obciąża bezpotrzebnie powieść, rozrywa jéj naturalny bieg, odejmuje jéj siłę. A siły jego powieściom brak już nie tylko wskutek niezbyt licznych obserwacyj z życia, ale także i wskutek zewnętrznéj formy, jaką im nadał przez swój pańsko-artystyczny smak i zawsze jednakowo piękny język.

Daudet urodził się na południu Francyi w mieście Nîmes (1840). Po niezupełném ukończeniu liceum w Lionie, przyjechał bez grosza do Paryża, gdzie o chłodzie i głodzie pisywał ulotne wierszyki pełne namiętności, wonnéj poezyi, ciepła i czaru w słowach, ale nie przynoszące do ust nic, a przynajmniéj nie wiele Książę Morny, który udawał zamiłowanie do sztuk i nauk, kazał sobie przedstawić młodego poetę i, dowiedziawszy się o jego biédzie, zaproponował mu posadę sekretarza w swoim gabinecie. Daudet zawahał się z przyjęciem. W spuściźnie po swoich rodzicach odziedziczył ich legitymizm; jako legitymista więc nie chciał się zaprzedać cesarstwu.

— Bądź pan spokojny — odpowiedział książę Morny żartobliwie.—Cesarzowa jest więcéj jeszcze legitymistką niż pan.

Daudet przyjął urząd i odtąd przez całe pięć lat zakreślał dla *legimistycznéj cesarzowéj* „to co było dobrego i zabawnego w nowych książkach." Dzięki szczodrobliwości księcia Morny jeździł po Francyi, był nawet w Algierze, co się nazywało podróżowaniem, i pisał, pewien swéj przyszłości, a co ważniejsza pewien zbytu na swe prace. Pobyt jednak tego poety z urodzenia a legitymisty z wychowania na

dworze cesarzowéj nie musiał być bez wpływu na naturę jego talentu. Daudet bowiem, czy to wskutek pięcioletniego „zakreślania w książkach co było dobrego i zabawnego dla cesarzowéj,“ czy też przez przyzwyczajenie się do świata skromnéj w słowach arystokracyi, nauczył się pamiętać, że pisze nie dla miłości prawdy lecz dla pewnego rodzaju czytelników. Jest on poetą i pisarzem dla kobiét z przedmieścia *Saint-Germain*. Trzymając jego książki, jest się zakłopotanym grubością swoich własnych rąk, niewłaściwością dotykania rzeczy, które powinnyby się znajdować tylko w delikatnych palcach dobrze wychowanych panien, tyle tam niedopowiedzianych myśli, tyle przemilczanych uwag, tyle obserwacyj spowitych w koronki i tiule pańskiego języka. I kiedy w jego ludziach przebudzi się zwierzę, nawet wtenczas Daudet nie zapomina swojéj roli pisarza dla wykwintnych czytelników. Sephora, przerachowawszy się w planach na króla Krystyana, w całym słowniku paryskiego żargonu nie znajduje innego wyrazu nad *Jobard*,—coś co po polsku dałoby się zastąpić przez dudek i ma z jednéj strony charakteryzować jéj nizkie pochodzenie, z drugiéj zaś wyrazić całą rozpacz i wściekłość kobiéty, zawiedzionéj w rachubie na miliony, oburzonéj na siebie samę za zdradzenie męża dla człowieka, który tego nie był wart ani moralnie ani materyalnie. Ludzie u niego mogą się porwać do pięści, ale nigdy zapomniéć w słowach. Nabab swego oszczercę, który go zniesławił publicznie w pismach i tym sposobem pozbawił prawa zostania członkiem Izby, porwał „za kark jak królika i nie zważając na jego protestacye, na jego przerażone bełkotanie, wycierając mu twarz dziennikiem, wołał: „Tak, tak, ja ci dam satysfakcyą... Ale przed tém zrobię ci to, co się robi paskudnym zwierzętom, aby nie powracały więcéj...“ Brutalne słowo prawdy dla niego nie istnieje nigdy, choć go nawet potrzebuje czasem dla charakterystyki. I przez to jego ludzie nie tylko w tak dramatycznych chwilach jak poprzednie, gdzie wyraz miał przeciwważyć całe życie, ale nawet w potocznéj mowie odznaczają się poprawną, jakby wyuczoną retoryką. Woźny z jakiegoś biura pisze swój pamiętnik ze swobodą literata, człowieka przyzwyczajonego do myślenia z piórem w ręku, a służba ucztująca pod nieobecność panów przemawia językiem tak wykwintnym i tak odrazu dobierającym się do złośliwéj krytyki życia jéj chlebodawców, jak gdyby jéj rolą nie było milczéć. Dlatego też Daudet jest wyraźnym i silnym tylko tam, gdzie ludzie występują w białych krawatach, gdzie zetknięcie się z życiem nie zostawia brudnych plam na glansowanych rękawiczkach, których nigdy się nie zdejmuje. Królowa przyprowadzona do ostatniéj rozpaczy, chce zastawić drogie ka-

mienie ze swéj korony. Méraut powraca i mówi: Ach! pani... wszystkie kamienie fałszywe...

— Fałszywe?!...

— I starannie naśladowane... Ale jak kiedy? przez kogo?... więc w domu jest jakiś zbrodzień!

Na to słowo zbrodzień królowa zbladła strasznie. Nagle, że ściśniętemi rękami, z błyskiem gniewu i rozpaczy w oczach rzekła: „To prawda. Jest tu zbrodzień... I pan i ja, znamy go dobrze...“ Następnie, w gorączkowym ruchu schwyciwszy gwałtownie dłoń Méraut'a, jak gdyby dla umowy dodała: „Ale nie oskarżymy go nigdy, nie prawda?

— Nigdy! odrzekł odwracając oczy, gdyż zrozumieli się od jednego słowa.

I ta wstrzemięźliwość, to nie wskazywanie palcem na zbrodniarza, to porozumienie się półsłówkami, jest tu niezmiernie silne, bo na swojém miejscu. Daudet był tu w swoim żywiole: mógł pisać tak jak ci ludzie, ten świat mówi, mógł dotykać się życia nie zdejmując rękawiczek, mógł chłostać skórę, która się czerwienić umie za najlżejszym razem jego pięknéj rózgi. Kiedy-indziéj bywa nawet złośliwym, co nie jest bynajmniéj znamieniem jego dowcipu. W akademii ma być przyznaną nagroda baronowi Rosen za jego *Pamiętnik oblężenia Raguzy*. Jeden z akademików wymawia sakramentalny frazes; Posiedzenie otwarte. „Był to model akademickiéj mowy, napisanéj w akademickim stylu, z owemi „nieco“, owemi „że tak powiem“, które co chwila zwracają myśl w tył, jak dewotka, która zapomniała grzechów przy spowiedzi, styl ozdobiony arabeskami, parafami, mistrzowskiemi dotknięciami pióra w pisaniu biegle pomiędzy frazesami dla zamaskowania, dla zaokrąglenia ich próżni, styl wreszcie którego należy się wyuczyć i który wszyscy tu na siebie wdziewają razem z frakami o zielonych palmach. W innych okolicznościach, publiczność zwyczajna tego miejsca byłaby się zanosiła wobec tego kazania: słyszelibyście ją jak parska i rży z radości. Ale dziś wszystkim pilno, ponieważ nikt nie przyszedł na tę literacką uroczystość. Trzeba widzieć, z jaką miną pogardliwego znudzenia arystokratyczne to zgromadzenie asystuje temu przeglądowi (nagroda Montyon) skromnych poświęceń, wypróbowanych wierności, egzystencyj ukrytych, zgiętych we dwoje, które przesuwają się w téj przestarzałéj, drobiazgowéj frazeologii jak w ciasnych, wytaflowanych i nieopalonych korytarzach na prowincyi gdzie się rozwinęły. Imiona gminne, sutanny wytarte, stare koszule pożółkłe na słońcu i w wodzie, zakątki oddalonych wiosek, nizkie mury lepione krowim gnojem, wszystko to czu-

ło się zawstydzoném, nie dobrze w tém wywoływaniu z tak daleka, wśród tego pięknego świata, pod zimném światłem Instytutu, niedyskretném jak szkło fotografa. Szlachetne towarzystwo dziwi się, że jest tyle ludzi pomiędzy pospólstwem... Jeszcze?... Jeszcze?... Więc nie skończyli cierpiéć, poświęcać się, być bohaterskimi!... Kluby nazywają to ogłupiającém. Nuda perli się na czołach, transpiruje aż pod stiuki muru. Mówca zaczyna domyślać się, że nuży i pośpiesza z przeglądem.“ Nie można więc powiedziéć, aby Daudet nie znał życia i nie umiał go pokazać. Przeciwnie! wie on dobrze, gdzie nędza i zgnilizna moralna, gdzie rak toczący zdrowe łono społeczeństwa, gdzie śmieszność i brzydota, wie gdzie rękę położyć; aby dostać się do miny. Ale... nigdy nie w stanie natury, nigdy surowe! Jak tylko schwyci rudę życiowego kruszcu, natychmiast przetapia ją w ogniu swojéj wyobraźni i ozdobiwszy kwiatami płynnego stylu, oddaje ją w formie poetyckiego klejnotu. Miłość czy nienawiść, cnota czy występek, otwartość czy podstęp, szlachetność ludzka czy głupota, wielkość natury czy téż jéj małość, wszystko to musi przerobić się, przeistoczyć na czysto daudetowskie, indywidualne uczucia i nie cieszyć ani smucić, nie zapalać do życia ani zniechęcać, nie podnosić czytelnika ani pognębiać, ale jedynie tylko czarować pięknością formy, pięknością sposobów literackiego przedstawienia rzeczy w słowach. I właściwie mówiąc, tu byłoby miejsce na rozwinięcie scholastycznéj teoryi o treści i formie w sztuce, tak język Daudet'a jest czemś samoistném, samoistnie po za potrzebami sztuki piękném, czemś niezależném od treści, od przedstawianego w słowach przedmiotu.

„Daudet—jak mówi jego biograf,—ułożywszy powieść w rozdziały, pisze, kiedy jest w dobrém usposobieniu, każdy rozdział *à la diable*, w kajecie na odwrotnéj stronie kartki. Strona z przodu zostaje białą. Po skończeniu rozdziału przegląda go do współki z czarującą (styl czysto-francuzki) panią Daudet i przepisuje na stronie z przodu. Wtedy dopiéro z tych dwu tekstów powstaje trzeci i to jeszcze poprzekreślany miejscami.“ To opracowywanie życia dla kobiét i do współki z kobietą nie może mieć innych zalet nad potoczystość języka i wycacanie myśli choćby nawet najbardziéj zdumiewających w gruncie rzeczy. To téż ile razy otworzy się gdzieś przypadkiem krater namiętności, ile razy usta konwulsyjném drgnieniem szarpną się do złośliwego uśmiechu, ile razy niebaczna pierś wyrzuci krzyk bólu, oburzenia lub rozpaczy, pióro poety wiedzione aksamitną ręką kobiéty natychmiast figowym liściem stylu przykrywa nagość życia, pyłem kwiatów wyobraźni przesypuje rany, zaduch realnego po-

wietrza okadza wonią szlachetnych apostrof do czułego serca czytelniczek, a nędzę, nikczemność lub głupotę ludzką przetyka złotemi nićmi humoru nawskróś dobrodusznego, bez cienia nawet złośliwości. A tak opracowany jego język płynie i płynie jak spokojny, cichy, łagodny ruczaj. Wprawdzie czasem zabłyśnie tęczowemi blaskami słońca, czasem na jakimś kamieniu lub w przybrzeżnéj wyrwie zaszumi przykrym odgłosem cierpienia, niesmaku, a nawet i oburzenia; wogóle jednak choć po chropowatém dnie życia przemyka się zwinnie, lekko, bez silnego nacisku, bez silnego wyrazu, zawsze przyjemny, pięknie brzmiący, słodki, pogodny i wesoły. Nie jest on formą, owym elastycznym gipsem, w którym z mechaniczną dokładnością odlewa się model życia, ale samodzielnym środkiem do porozumienia się Daudet'a z publicznością, środkiem do łechtania zmysłu słuchu za pomocą słów ułożonych w harmonijne, czysto muzyczne spadki. Z początku to czaruje i zachwyca; w całości jednak męczy i nuży jednostajnością, ponieważ tym sposobem Daudet w swych powieściach zatraca psychologiczną i artystyczną rozmaitość charakterów, rozmaitość saméj nawet natury w jakiéj każe się obracać swoim bohaterom. Niech bowiem czuje, myśli, mówi i pisze co chce, niech świat i życie przedstawia z dobréj czy złéj strony, gruby czy wykwintny, zmysłowy czy idealny, czytelnik po zamknięciu jego książki z pewnością zawoła: Jak Daudet jest dobry i poetyczny! ile tu poczucia piękności, ile serca i współczucia dla etycznéj lub estetycznéj nawet brzydoty. I może grozić „ogromem Oceanu, który nie znosi żadnéj wielkości obok swojéj, jak nie chce żadnéj roślinności na brzegu gorzkiéj bezpłodności swoich bałwanów", czytelnik swoją drogą miałby ochotę zobaczyć Ocean, choćby tylko dla skonstatowania fałszu w dialektyce, która pozwoliła Daudet'owi zapomnieć, że Ocean obok siebie cierpi ogrom ziemi, a co gorsza, i ogrom nieba. Może wystawiać świat i ludzi z najbrzydszych nawet stron, ani jego świat ani jego ludzie i ich wady lub występki nie zniechęcają czytelnika do życia, ponieważ sposób przedstawienia jest tak czarujący, że pomimowoli chciałoby się być tam, w otoczeniu tych ludzi, wśród tych wad i występków, które tyle czułych uwag wywołują na usta poetycznego opowiadacza. Żaden bowiem występek, żadna zbrodnia nie mogą zepsuć równowagi w jego nawpół uczuciowym, nawpół żałosnym stylu; sypie on kwiatami swéj tęsknéj może ale dobrodusznéj poezyi przy każdéj sposobności, jak człowiek, który oprócz téj nie ma innéj troski, jak człowiek, któremu cień nawet pesymizmu lub sceptycyzmu nie zakłócił rozkosznych

marzeń, nie rozwiał wrażenia—typu odebranego od natury, świata i ludzi, nie rozczarował do życia. Szczęśliwy!

Szczęśliwy rozlaniem się samowiedzy w ułudném morzu poezyi, szczęśliwy uznaniem świata, który w jego powieściach „ze współczesnych obyczajów" i „współczesnéj historyi" widzi współczesne obyczaje i współczesną historyą, jakkolwiek ludzie tam żyją życiem wyjątkowém, spowici w ułudne tkaniny poetycznego języka.

Antoni Sygietyński.

NOWO-ODKRYTY NAPIS

W JEROZOLIMIE.

(Przyczynek do epigrafiki kanaańskiéj).

Krytyka systematyczna kronik i dziejopisarzy, stanowiących źródło naszéj wiedzy o starożytności, odpowiadając na pytanie, z czego się złożyły pierwsze, zkąd czerpać mogli drudzy, wykazała konieczność sprawdzania i uzupełniania znajdowanych tam wiadomości. Dokonać tego można było tylko za pomocą zabytków, pochodzących bezpośrednio z owych odległych czasów.

Gromadzenie tych zabytków stało się hasłem ludzi, którzy zrozumieli wymagania nauki w danéj chwili.

Lecz narody, które w pierwszych dobach epoki historycznéj wytworzyły początki cywilizacyi, dawno znikły z powierzchni ziemi. Kraje, będące po kolei ogniskami życia dziejowego, przechodząc z posiadania jednych zwycięzców w posiadanie drugich, opustoszały i zwaliskami się pokryły. Zwaliska te zagrzebały wszystko, co stanowiąc formy cywlizacyi starożytnéj, o niéj by świadczyć mogło odgadnienie jéj ułatwiło.

Chcąc posiąść te zabytki, należało szperać w pozostałościach miast starożytnych, rozkopywać te miejscowości, gdzie je mieściła tradycya. Chcąc z tych zabytków wykrzesać iskrę wiedzy, należało je umiejętnie badać. By z luźnych faktów znajdowanych w napisach pamiątkowych utkać tło dziejów, należało przedtém wynaleść klucz do znaków piśmiennych, formy dla języka zapomnianego, dźwięki dla mowy przebrzmiałéj. By z dzieł przemysłu lub sztuki odtworzyć bieg życia codziennego, należało odgadnąć przeznaczenie każdego przedmiotu, pojąć sposoby zastosowania go w praktyce.

Nie wszystkie jednakże kraje jednakowo szczodrze wynagrodziły pracę podjętą w celu poznania ich dziejów. Nie wszystkie

jednakowo chętnie otwarły złożone przez przeszłość w ich łonie i tam tak długo przechowywane skarby. Skutek poszukiwań w jednych, jako to: Egipcie, Babilonii, Asyryi, przeszedł najśmielsze nawet oczekiwania; nawet współczesne nam już pokolenie poszczycić się ma prawo możnością poznania rzeczywistych dziejów tych narodów, które zamieszkiwały niegdyś owe kraje. Poszukiwania za to w innych mniéj były owocne. Zdobyte zabytki zaledwo tylko pod niektóremi względami uzupełniły dawniejsze o nich wiadomości; zaledwo kilka faktów nowych odkryły.

Do tych ostatnich należy Kanaan, drugie w Azyi ognisko dziejowe Semitów starożytnych.

Epigrafikę kanaańską dotychczas stanowiły: napis Meszy, króla Moabskiego, z IX wieku przed erą naszą pochodzący, a znaleziony w r. 1868 pod Dibon, na wschodnim brzegu morza Martwego; następnie dwa napisy odkryte w r. 1855 i 1859 nad brzegiem morza Śródziemnego, w zwaliskach Sydonu, na których wznosi się obecnie miasto Saida; jednym z nich jest napis grobowy króla Sydońskiego Esmunazara, panującego w V wieku; daléj trzy napisy drobniejsze również z Fenicyi, z miejscowości zwanéj Umm el Amamid pochodzące, znalezione w r. 1861—1862; nakoniec jeden odkopany na miejscu, gdzie leżał Gebal starożytny (Byblos, pisarzy greckich). Te ostatnie nie mogą sięgać wyżéj nad wiek IV. Tak więc tylko granice zachodnie i wschodnie Kanaanu dostarczyły napisów. Z ziem środkowych Judei i Samaryi, jak widzimy, nie ma żadnego. A jednakże kraje te z wielu względów najwięcéj mogą interesować, przeważnie wzbudzać ciekawość.

Rok bieżący choć w części dozwolił brak ten uzupełnić. Nowo-odkryty napis, jedyny dotychczas w Judei, jest pierwszym i jedynym zabytkiem mowy żywéj, potocznéj, wziętéj z ust ludu; pierwszym i jedynym okazem używanego podówczas tam pisma.

Lecz przedewszystkiém poznajmy miejscowość, gdzie został odkryty.

I.

Stolica królewstwa Judzkiego, Jerozolima, przez Dawida na ziemi zdobytéj na Jebuzejczykach, dawniejszych niż Hebreowie przybyszach do Kanaanu, założona, doznawała wielkiéj a wspólnéj wielu miastom w tym kraju niewygody. Zbudowane na wyniosłym płaskowzgórzu, oddzielonym od okalających gór głębokiemi z trzech stron dolinami, miasto to cierpiało brak wody. Mieszkańcy, skoro tylko zapasy deszczówki, zebrane po cysternach, wyczerpały się, zstępo-

wać musieli po wodę w doliny. Lecz i te, będące właściwie rozpadlinami w skałach, w wodę obfitować nie mogły. Żadnéj tam rzeki nie było, żaden nawet stały płynący strumień ich nie zraszał.

W najgłębszéj z tych dolin, zwanéj *Kedron*, późniéj Jozafata, wyżłobionéj potężną siłą przyrody pomiędzy wschodnią stroną płaskowzgórza i nad całém otoczeniem wspaniale się piętrzącą górą Oliwną, z głębi ziemi wytryskiwało źródło. Woda w niém, jakby gwałtem wyrywając się z pod skały, biła bardzo silnie, skoro ono *wyrywającém się*, Gichon (od słowa *giach*) zostało nazwane. Było zaś ono w téj okolicy jedyném, skoro nazwą, każdemu źródłu właściwą, mianowano je bez żadnego jéj uzupełnienia. Wody przeto Gichonu mogły stanowić główny a co więcéj nigdy dla swéj obfitości niewyczerpany zapas wody żywéj. Podsycać niemi inne zbiorniki wód było zadaniem trudném ale koniecznėm. Ostatniemi czasy natrafiono na ślady takiego rodzaju robót.

W miejscu, gdzie dolina Kedron łączy się z drugą Ben-Hinnon otaczającą Jerozolimę od południa i zachodu, znaczne pogłębienie dna pozwoliło powstać sadzawce. Sadzawkę nazwano *Sziloach* (=wypuszczenie, od słowa *szalach* wypuścił). Zagadkowa ta nazwa wyjaśnia pochodzenie w niéj wody. Kanał podziemny, jak to nie dawno odkryto, łączył ową sadzawkę z Gichonem.

Kanał ów zbadany i wymierzony przez kilku podróżników (Robinsona, Toblera, półkownika Warrena) został wydrążony w skale; przechodzi pod górą, na któréj się wznosiła dzielnica miasta niegdyś Dawidową zwana. Stan ówczesny wiadomości technicznych nie pozwolił, jak widać, na wytknięcie pod ziemią linii prostéj. Kanał bowiem zbacza kilkakrotnie i nadto tworzy tak zwane *odnogi bez wyjścia* (culs de sac). Z téj właśnie przyczyny ciągnie się on 1708 stóp (angielskich), gdy tymczasem odległość między ostatecznemi punktami w linii prostéj wynosi zaledwo 1104 stopy. Obecnie jest on na całéj swéj długości znacznie zamulony oraz drobnemi kamykami i odłamami ścian zarzucony. Prąd wody w nim jest bardzo szybki, poziom zaś jéj zależy od stanu wód w Gichonie.

Sadzawka więc Sziloach była jakoby *wypuszczeniem* wody Gichonu.

Przypadek zrządził, że zwiedzający w Czerwcu, roku zeszłego tę sadzawkę jeden z członków rodziny budowniczego Schick'a, oddawna w Jerozolimie zamieszkałego, zapuściwszy się w głąb' kanału, poślizgnął się i upadł. Wstając, tuż obok na ścianie kanału dojrzał kilka wyrytych głosek.

Uwiadomiony o tém Schick przedsięwziął sam wkrótce wyprawę do kanału. I oto w odległości 19 stóp od wejścia, na ścianie po

prawéj stronie odkrył tablicę prawie kwadratową (26 cali szeroką, 27 długą) utworzoną wskutek umyślnego pogłębienia w skale. Część górna owéj tablicy, zupełnie wygładzona, jakby przygotowaną była dla rzeźbiarza mającego na niéj wyryć napis. Część dolną, znajdującą się całkowicie prawie w wodzie pokrywało sześć wierszy pisma. Kilka rysów w ścianie uszkodziło znacznie napis, a nadto, w wielu miejscach osad wodny pokrywał całkowicie wyżłobienia, stanowiące litery, lub téż piasek i drobne kamyki równały je z powierzchnią tablicy. W przeciwległéj ścianie wykuta trojkątna nisza jak się zdaje służyć mogła do stawiania światła przy robocie.

Tak więc istnienie w kanale napisu stało się faktem niepodlegającym wątpliwości żadnéj. Otrzymanie jednakże możebnie dokładnéj podobizny napisu, jak w tym razie połączone z wieloma trudnościami, przechodziło środki osoby prywatnéj.

II.

W celu czuwania nad zabytkami przeszłości w Palestynie, wyzyskania każdego szczęśliwego trafu, prowadzącego do odkryć na polu archeologii, podtrzymania prywatnych usiłowań, przez danie możności każdemu przedsięwzięcia pracy na swoję rękę, nakoniec, by donosić o rezultatach poszukiwań i do nauki je wprowadzać, zawiązały się dwa towarzystwa w Europie zachodniéj, niemieckie (*Deutsch Verein zur Erforschung Palästina's*) i angielskie (*Palestine Exploration Fund*).

Patronat królowéj Wiktoryi i uczestnictwo wielu wysoko w hierarchii administracyjnéj i kościelnéj postawionych osób zapewnia towarzystwu angielskiemu obfite środki materyalne oraz konieczną w wielu razach opiekę potężnego państwa.

Skoro wiadomość o napisie z pod Sziloach doszła do Londynu, komitet wykonawczy tego towarzystwa, upoważniwszy dr. Chaplin'a, agenta swego w Jerozolimie, do łożenia kosztów na wszelkie dalsze poszukiwania, zwrócił się jeszcze w Sierpniu z prożbą do p. Schilck'a o zrobienie i przesłanie towarzystwu podobizny tego napisu. W skutek tego, że napis pozostawał w wodzie, należało najpierwéj poniżyć poziom jéj w kanale. Nastąpić to mogło dopiéro w Styczniu roku bieżącego. Jakoż w tym miesiącu Schick pierwszą zdjął podobiznę. Przy pracach tego rodzaju konieczną jest dokładna znajomość pisma znajdowanego na napisach. Téj znajomości, jak się zdaje, brakło właśnie Schickowi. Pierwsza podobizna okazała się zupełnie nieczytelną. Chcąc uczynić zadość prożbie towarzystwa, należało

zdjąć drugą, dokładniejszą. Jakoż dopiéro drugą mógł posłać do Londynu, gdzie ją otrzymano pierwszych dni Marca.

Tymczasem w Lutym odwiedził Jerozolimę bawiący jakiś czas na Cyprze profesor Oxfordzkiego uniwersytetu, znany Asyryolog, A. H. Sayce. Jego zainteresowanie się napisem odpowiadało zajmowanemu przezeń stanowisku naukowemu. Naukowe zaś badania uzdolniały go bardziéj jak kogokolwiek innego do wzięcia się do dzieła. W czasie trzykrotnéj wycieczki na miejsce udało mu się zdjąć nową podobiznę.

Klęcząc po pas prawie w wodzie, przy blasku pochodni trzymanéj ręką towarzysza wycieczki p. J. Slattera, Sayce badał każdy cal powierzchni tablicy. Literę zupełnie pewną wpisywał, naśladując jéj kształty. Dające się tylko na pół odczytać oznaczał skrupulatnie przekopiowanemi z oryginału kreskami. A nadto w miejscach uszkodzonych wymierzył przestrzeń, by dojść, ile liter mogło się tam mieścić.

Poznanie tekstu przy kopiowaniu dało mu możność porobić wnioski tyczące się ogólnego charakteru napisu języka jego, oraz czasu, z którego mógł pochodzić. Dwa listy o tym przedmiocie wysłane do Europy z 7 i 26 Lutego pomieszczone zostały w *Athenaeum* (londyńskim), N. 2785. Wiadomości w listach, tych zawarte obiegły wkrótce różne, poważniejsze czasopisma europejskie. Następny numer Athenaeum, 2786, przyniósł list A. Neubauera, uzupełniający uwagi Sayce'a tyczące się języka napisu; notatkę historyczną Ch. Warrena zawierającą wnioski o dacie napisu; nakoniec rodzaj sprawozdania z czynności *Palestine Exploration Fund* w przedmiocie tego odkrycia, napisane przez Sekretarza Waltera Besant, w którém zapowiedział opublikowanie podobizny Schick'a w kwietniowym zeszycie organu Towarzystwa. Po wyjeździe z Jerozolimy Sayce'a przedsięwziął na miejscu badanie napisu *p. Pilter*. Zrobioną przez siebie podobiznę, *trzecią* już z kolei, przesłał Sayce'owi.

Lecz nie tylko uczeni angielscy zainteresowali się tém odkryciem. Na posiedzeniu Akademii francuskiéj *Des Inscriptions et Belles-Lettres* (1-go Kwietnia r. b.) J. Derenbourg odczytał sprawozdanie o dotychczasowym stanie kwestyi. Wsławiony zaś w świecie naukowym przez swe takiegoż rodzaju poszukiwania i odkrycia archeologiczne Clermont-Ganneau był już w drodze z Jaffy do Jerozolimy w celu przyjęcia osobiście udziału, gdy choroba gwałtowna zmusiła go do powrotu do Jaffy. Niemieckie *Palästina-Verein* upoważniło prezesa swego dr. Herm. Guthe do rozpoczęcia poszukiwań odpowiedniego temu napisu po drugiéj stronie kanału, od Gichonu (a jak obecnie—*Birket Sitti Maryam*: *Bibel-Lexikon*, t. 2 p. 463).

Nareszcie zapowiedziana podobizna Schicka ukazała się w kwietniowym *Quarterly Statement*. Ponieważ jednakże dla wielu braków podobizna ta nie mogła być przyjęta za podstawę naukowego badania, w następnym więc zeszycie Czasopisma, lipcowym, Towarzystwo *P. E. F.* opublikowało podobiznę wykonaną przez Sayce'a wraz z rozprawą jego historyczno-krytyczną w kwestyi napisu p. t. *The ancient Hebrew inscription discovered at the pool of Siloam in Jerusalem.*

Przechodzimy do tekstu napisu, mając przed sobą podobiznę przez A. H. Sayce'a zrobioną.

III.

Cały napis złożony jest z wierszy 6. Popękanie skały w wielu miejscach uszkodziło tekst. Każdy wiersz, jak to można wnosić z najmniéj uszkodzonych dwóch (4 i 5), mógł pomieścić głosek od 32 do 38. Tymczasem w wierszu 1-szym jest czytelnych 21; w 2-gim 26; w 3-cim, 27; w 6-tym, 20. Tak więc mniéj lub więcéj jedna trzecia głosek w 3 pierwszych i ostatnim wierszu jest nieznaną lub domyślną. Czytanie ułatwia wielce ta okoliczność, że każdy wyraz pojedyńczy od drugiego jest oddzielony kropką; dwukropek zaś dzieli zdania od zdania. Miejsc zepsutych, gdzie by mógł się pomieścić cały wyraz lub nawet dwa, jest zaledwo w tekście samym trzy, na początku i na końcu jedno. Najczęściéj brak w wyrazie po jednéj lub dwie głoski. Wtedy pozycya kropki wskazuje, gdzie brak i ilu.

Nad uzupełnieniem nie dających się wyczytać głosek i wyrazów pracowali A. H. Sayce i A. Neubauer. Uzupełnienie atoli tekstu nie uchylało wszystkich trudności w przekładzie. Inne wypływały z nieznanego lub dwojakiego znaczenia samych wyrazów.

Oto jest możebnie wierny przekład napisu; w nawias są ujęte wyrazy uzupełniające tekst; w kursywie wyrazy dodane przez nas skutkiem wymagań mowy polskiéj:

1) Oto kanał. I takie były dzieje przebijania: gdy jeszcze (robotnicy (1) przebijali) (2)

---

(1) Miejsce uszkodzone. Z wyraźnéj głoski *b* pod koniec wyrazu Sayce wnosi, że stać mógł tu rzeczownik, użyty następnie w wierszu 4-tym, החצבם i domyślnie jeszcze w 2-gim a pochodzący od słowa חצב, rąbał, przecinał, przebijał.

(2) Głoski stanowiące w oryginale to słowo nie są zbyt wyraźne. Sayce czyta je הִעֲלו. Dopatrując w jednéj z nich kształt *d* radbym przeczytać דחו lub גרחו, gdyż przy גרזן częściéj je jak inne spotykamy. *Deut.* XX, 19; XIX,5. Znaczenie pozostanie to samo.

2) siekierą jeden obok drugiego a jeszcze trzy łokcie *brakowało* do otworu (robotnicy)... (1) jeden

3) przyszedł do drugiego... (2) w skale, która od góry, i pracowali usilnie (3) .... (4)

4) otwór pracowali usilnie robotnicy jeden naprzeciwko drugiego, siekiera do siekiery, i popłynęły

5) wody od ujścia do sadzawki. Na przestrzeni tysiąca łokci (5) od

6) *miejsca* z dołu wydrążenia przebijali ku początkowi. Wydrążenie to...

Tak więc napis ten zawiera „dzieje przebicia kanału.“

Pomimo tak znacznego uszkodzenia tekstu dowiadujemy się, że roboty prowadzono z dołu (od Sziloach) ku górze (Gichonowi); następnie, że gdy jeszcze trzy łokcie brakło do zupełnego przebicia, w skutek jakiegoś wypadku, którego szczegóły są zatracone z przyczyny uszkodzenia tekstu, zaczęto roboty i z drugiéj strony (6), tak, że już pracowali jedni na przeciwko drugich, „siekiera do siekiery“; wówczas to dopiéro przebitą została skała „i wody popłynęły...“

---

(1) Na podstawie kilku dojrzanych kresek, przypominających kształtem głoski wchodzące do słowa קצה : odciąć, rozbić, Sayce tekst w tém miejscu uzupełnia tém słowém. Lecz wówczas czynność przebijania byłaby skończona; tymczasem w wierszu następnym znowu mowa o dalszym prowadzeniu roboty.

(2) Według Neubauera mogły tu stać dwa wyrazy: מצה יוזדה (Mocah Jeruziddah) oznaczające miejscowość. O *Mocah* czytamy w *Jozue*: XVIII, 26.

(3) Takie bowiem tylko w tém miejscu może miec znaczenie słowo דכה, dając się wyraźnie odczytać w tekście. Pożądać bowiem czego, czekać na co, jest to usilnie się starać osięgnąć coś, *pracować nad* osiągnięciem.

(4) W tekście najwyraźniéj czytamy *birh*; lecz czy to będzie rzeczownik בירה, oznaczający: zamek, świątynia; czy użytem jest tu jako przyimek przy imieniu własném ירה, *Jeru*, jak chce Neubauer, trudno stanowczo już coś wyrzec. *Jeru* jako imię własne mogłoby oznaczać część *Jerozolimy* i wejść następnie w skład nazwy tego miasta.

(5) W przekładzie swym na język angielski Sayce te wyrazy przyłącza do poprzednich: I popłynęły wody... W takim razie wyszłoby, że wody popłynęły z dolnéj części kanału ku górnéj —Przy przekładzie tego napisu korzystałem z uwag światłych i rad kompetentnych p. J. L. Grosglika.

(6) Dwa *culs de sac* w kanale prawie po środku jego (900 stóp od wejścia) naprowadziło na wniosek, że kanał ów przekopywano prowadząc robotę z dwóch stron, jak to obecnie tunele pod górami. Wniosek ten potwierdzało wyrażenie w 2 w. tekstu איש אל רעו, które, oznaczając: *jeden przy drugim*, dawało się jeszcze przetłomaczyć: *jeden naprzeciwko drugiego*. Lecz ponieważ: 1) w wierszu 3-cim czytamy איש בא אל רעו *jeden do drugiego przyszedł*; co, przypuściwszy kopanie z dwóch stron, oznaczało by połączenie się robotników przez spotkanie w kanale, a więc koniec robót; czego jednakże nie było, gdyż „wody popłynęły,“ dopiéro późniéj; i 2) w wierszu 4-tym spotykamy איש לקרת רעו, co właściwie oznacza: *jeden naprzeciw drugiego*, sądzę, że dopiéro z dwóch stron przebijać zaczęto po owym w wierszu 2-gim opisanym wypadku.

Napis zaś ten, zostawiwszy naczelne miejsce u góry przełożonym swym lub królowi, położyli robotnicy, w celu upamiętnienia przebytych trudów i niebezpieczeństw. Ułożyli go w języku prostym, którym sami mówili, posiłkując się wyrazami technicznemi, prawdopodobnie obcego, co najmniéj fenickiego pochodzenia. Ztąd przeto może wypływać trudność przetłómaczenia kilku wyrazów; ztąd może pochodzić nieprawidłowość pisowni w porównaniu z pisownią klasyczną, używaną w pomnikach piśmiennictwa (1).

Lecz kiedy to mogły być dokonane te roboty? Jakich czasów sięga ów napis? Nie mając żadnych danych historycznych w samym tekście napisu, zwrócić się musimy do źródeł pobocznych.

IV.

W napisie z pod Sziloach spotykamy pismo staro-semickie (fenickie). Pisma staro-semickiego, które jest głoskowem, znane są *dwa* typy. Za typ starszy, archaiczny, służy abecadło z napisu króla Meszy (z IX w.) Typ młodszy, sydoński, przedstawia abecadło z napisu Esmunazara (z V w.) (2). Abecadło z napisu z pod Sziloach jest zupełnie podobne do abecadła z napisu króla moabskiego. Więc należy do typu archaicznego. Oto pierwsza wskazówka co do daty napisu z pod Sziloach.

Atoli obok wyraźnego podobieństwa abecadła z dwóch wymienionych pomników, zachodzi między niemi pewna różnica. Uwydatnia się ona głównie w kreśleniu głosek dwóch: *zain* i *cade*. Powstaje więc pytanie, z którego abecadła odmiana tych dwóch głosek jest archaiczniejszą. Rozwiązanie tego pytania przedstawi wskazówkę drugą.

Dla A. H. Sayce'a odmiana z napisu sziloachskiego jest archaiczniejszą. I w rzeczy saméj. Jeśli porównamy formę głoski *zain* z dwóch rzeczowych abecadeł z prototypem jéj, wziętym według Rougé'go z pisma egipskiego hieratycznego, *zain* z napisu sziloachskiego jest bardziéj zbliżony do swego prototypu niż *zain* z napisu moabskiego. Lecz to tylko da się powiedziéć co do *zain*.

---

(1) I tak widzimy: אש zamiast איש ; אמה zamiast אמת; לקרת zamiast לקראת; po dwa kroć *scriptio plena*: מוציא , במאתי .

(2) Dwa typy abecadła staro-semickiego wraz z głoskami prototypowemi z pisma hieratycznego przedstawiłem w tablicach do art *Abecadło*, pomieszczonym w 1-szym tomie *Encyklopedyi Wychowawczéj*.

Na téj więc podstawie przyznając większą starożytność napisowi naszemu i mieszcząc go wyżéj nad wiek IX, odnieść go chyba możemy do czasów Dawida a raczéj Salomona. Roboty tego rodzaju wymagające nakładu wielkiego, a nadto, mogące być związane z innemi lub i zależne od nich, najbardziéj odpowiadają wiekowi tego monarchy wspaniałego oraz owoczesnemu stanowisku Jerozolimy, jako stolicy wielkiego państwa hebrajskiego (1).

Lecz nie wszyscy, zabierający głos w sprawie tego odkrycia, na jedno się zgadzają. Iz. Taylor (*The Date of the Siloam Inscription*, rzecz pomieszczona także w *Quarterly Statement*) występuje przeciw przypuszczeniom tak wczesnéj daty napisu, przypuszczeniom opartym jedynie na dowodach paleograficznych. A nadto, upatrując w kształtach kilku głosek z napisu z pod Sziloach kierunek do zdwajania postaci, widzi w nich ogniwo łączące abecadło semitów północnych z abecadłem semitów południowych (himyaryckim), co, w każdym razie, zniżyło-by jego datę.

Od zniżania atoli daty na podstawie paleografii aż do czasów typu 2-go staro-semickiego abecadła, to jest do wieku V-go, z którego pochodzi napis Esmunazara, powstrzymują fakta historyczne. Po 1): Kroniki hebrajskie wspominają o jednym tylko królu Judzkim, że dokonywał takich robót, jakie upamiętniono napisem z pod Sziloach. I tak czytamy: „Ezechiasz zatkął źródło wód w Gichonie wyższe a przywiódł je dołem na zachód słońca ku miastu Dawidowemu (2 *Kron.* XXXII, 30)“ „Jako uczynił Ezechiasz sadzawkę i rury, któremi przywiódł wodę du miasta (2 *Król.* XX, 20).“ Wzmiankowany król panował od r. 725 do 696. Po 2): Wiek VII pochłonęły wojny z Asyryą i Egiptem; była-to epoka najburzliwsza ze wszystkich. Wiek VI położył ostateczny kres samodzielności Judei jako Państwa. Nie były-to więc czasy odpowiednie robotom takiego rodzaju.

A zatem, jeżeli napis z pod Sziloach nie sięga czasów Salomona, początków X w., to mógłby pochodzić z czasów Ezechiasza, z końca VIII stulecia przed erą naszą.

---

(1) A. H. Sayce przedstawia jeszcze jeden dowód starożytności napisu. Izajasz, żyjący pod koniec VIII i na końcu VII wieku, zna 4 sadzawki, z których każda nosi osobną nazwę (XXII, 9, 11; VII, 3; VIII, 6). W napisie tym wodozbiór Sziloach nazwano po prostu ברכה sadzawką. Otóż według uczonego profesora napis ten sięgać może czasów, kiedy sadzawka *Sziloach* była jedyną w Jerozolimie. Lecz czy robotnicy, mówiąc o sadzawce w napisie obok niéj umieszczonym, mieli koniecznie wymienić jéj nazwę, skoro z treści i miejsca napisu widać było, że o innéj sadzawce mowy tu być nie mogło?

Jeśli napis nowo-odkryty, jako niezawierający żadnych faktów dziejowych, mógł zawieść oczekiwania i nadzieje historyków; nie zawiódł on lingwisty, gdyż dostarczył mu jedynéj w tym rodzaju próbki mowy żywéj, z ust ludu wyjętéj, próbki języka technicznego; nie zawiódł archeologa, gdyż jako pierwszy zabytek pisma hebrajskiego z tak odległych czasów, przedstawia jedyny okaz grafiki używanej w Judei przed rozpowszechnieniem się w niéj pisma kwadratowego. A nadto, rzuciwszy pewne światło na topografią Jerozolimy, stał się cenną wskazówką, gdzie i jak dalsze prowadzić poszukiwania.

I. Radliński.

JEDEN Z NIESPEŁNIONYCH PROJEKTÓW.

Przeszłéj jesieni, wszystkie prawie pisma warszawskie zajmowały się wiadomością nadeszłą z Płockiego, że tamtejszy gubernator wezwał do siebie właścicieli ziemskich, celem naradzenia się z nimi, nad tém, co należałoby zrobić dla podniesienia dobrobytu guberni. Fakt ten zdawał się mieć doniosłe znaczenie. Pochwały, uwagi i rady, nieszczędzone wzywającemu i wezwanym, obudziły ciekawość powszechną, wyczekującą skutków, któreby, dla Płockiego przynosząc korzyści bezpośrednie, jednocześnie innym guberniom za wzór godzien naśladowania posłużyć mogły. Nastało jednak głuche milczenie: rok od tego czasu mija, ten i ów ogląda się wokoło, pragnąłby dojrzéć jeśli już nie owoce dojrzałe narady, to przynajmniéj ich zawiązki; rozpytuje znajomych—pytania daremne. Niejeden wzruszy ramionami i gotów winę włożyć na uczestników owéj narady, pomawiając ich o niezdolność lub apatyą, lub nawet zwątpić o pożyteczności wszelkich tego rodzaju zjazdów.

Mniemanie takie, krzywdzące dla Płocczan a zniechęcające obywateli innych okolic, mogłoby tém łatwiéj upowszechnić się wśród ogółu, im mniéj są znane szczegóły przebiegu narady. Wprawdzie pismo miejscowe, *Korespondent Płocki*, podało w swoim czasie dość szczegółowe sprawozdanie, nie wyczerpnęło jednak przedmiotu, wstrzymując się i od wszelkich uwag ze swéj strony i od przytoczenia wniosków, które zebrani, na wyraźne żądanie p. gubernatora, na piśmie mu złożyli.

Podając tutaj szczegółowe objaśnienia, sądzimy, że nietylko przerwiemy ciszę, jaka obecnie tę sprawę w Płockiem pokryła, ale zarazem uczynimy przysługę mieszkańcom innych stron kraju: wiadomość bowiem o tém, które to z potrzeb publicznych brane były

pod rozwagę, w jaki sposób zamierzano im zaradzić i na jakie przytém natrafiono przeszkody—nie może być bez istotnego pożytku.

Na zebraniu Płockiém zajmowano się przeważnie polepszeniem dróg, tak bitych, jak zwyczajnych; dodatkowo tylko, gubernator, przewodniczący na posiedzeniu, podniósł potrzebę urządzenia ochronek wiejskich, a także obmyślenia środków, któreby dopomódz mu mogły w gromadzeniu wiadomości statystycznych, dotychczas spisywanych tak niedokładnie przez wójtów.

Smutny stan komunikacyj zdawna już zwracał na się uwagę. Jeszcze przed jesienném zebraniem w Płocku, bo na początku roku 1880, za staraniem właścicieli większych powiatu Płockiego, gubernator upoważnił ich do obmyślenia środków, pozwalających na połączenie dwiema szosami Płocka z Zakroczymiem a Płońska z Wyszogrodem. Zawezwani przez inicyatorów i licznie zebrani w Bodzanowie właściciele więksi łącznie z włościanami nakreślili projekt w głównych zarysach, wobec naczelnika powiatu płockiego, na którego terytoryum zjazd się odbywał. Wybrano dwa komitety—na powiat Płocki i na powiat Płoński, ponieważ każda z szos zamierzanych ciągnęłaby się w połowie przez jeden powiat a w połowie przez drugi. Do komitetów weszło po dwóch właścicieli większych i po jednym włościaninie. Szosy miały budować się siłami gminnemi, p. gubernator zaś *obiecywał być w możności* dodania po rubli 8000 corocznie, przez cały czas trwania budowy.

Komitety miały za zadanie:

1. opracować plany i projekta, wykładając na to własne fundusze, które zwrócono by im wówczas, gdy budowa dróg zostanie zatwierdzona;

2. ułożyć przedstawienie do ministeryum, wyjaśniające potrzebę tych dróg, poparte projektami technicznemi;

3. wyjednać od gmin, przyległych nowym liniom zgodę na dostarczenie potrzebnych do budowy szarwarków.

Z tych trzech obowiązków najtrudniejszym do uskutecznienia był ostatni, od niego więc zaczęto. Ale właśnie rzecz cała rozbiła się o opór gromad, jakkolwiek ci włościanie, którzy byli obecni na zjeździe, gorąco namawiali innych.

Wprawdzie te wioski, przez których grunta nowe szosy iść miały, zgadzały się na sprostowanie ich kierunku, zwłaszcza, że dziedzice przyrzekali im wynagrodzić stratę ziemi, która z rozszerzenia drogi wyniknąć by mogła,—ale, gdy przyszło do ustanowienia szarwarków, wszelkie namowy i wyjaśnienia okazały się bezskuteczne i sprawa ta upadła.

Chybione tym razem przedsiewzięcie, dotyczące dwóch powiatów, skłoniło ziemian płockich do ponownych usiłowań na innéj drodze w interesie całéj guberni, do których zwołana przez gubernatora w jesieni narada dogodną dawała sposobność. Przedstawione przez nich opracowanie zaczyna od klasyfikacyi dróg, które dzielą się na: *szosy*, budowane i utrzymywane kosztem funduszu drogowego gubernialnego; na *drogi zwyczajne 2-o rzędu*, tak zwane trakty lub gościńce, które gminy utrzymywać powinny w dobrym stanie; oraz na *drogi wioskowe*, spoczywające na opiece i dobréj woli właścicieli gruntów. Wykazano, że drogi wioskowe i trakty są bardzo zaniedbane, że należałoby pierwsze oddać staraniom gmin całych, w zamian za co, właściciele gruntów przyległych im obowiązani byliby, odpowiednią robociznę szarwarkową dostarczać do rozporządzenia gminy. Daléj powiedziano:

„W ten sposób rozdzieliwszy drogi, należałoby oddać je pod opiekę zarządów drogowych... których nagłą potrzebę uznajemy.. Sądzimy, że każden powiat mieć winien swój zarząd dróg oddzielny, stosownie do uznania władzy, składający się z członków 2 lub 3-ch, pozostający pod przewodnictwem miejscowego naczelnika powiatu, z włączeniem inżeniera powiatowego, jako technika zasiadającego z głosem doradczym... Szarwarki, potrzebne na uporządkowanie i utrzymanie w dobrym stanie dróg zwyczajnych 2-o rzędu, gminy dostarczać będą, przyjmując za zasadę... ilość koni utrzymywanych przez każdego mieszkańca... i rodziny, koni nieutrzymujące. Pierwsi dostarczą robocizny sprzężajnéj, drugie pieszéj, z pozostawieniem zarządowi drogowemu możności zamieniania szarwarku konnego na pieszy... odpowiednio do potrzeby... a nawet, ściągania szarwarku w gotowiznie, potrzebnéj na opłacanie: nadzoru, mostów... itp... W tém miejscu stawiamy przypuszczenie, że... w lat parę drogi 2-o rzędu zostaną doprowadzone do zupełnie dobrego stanu. W następstwie, utrzymanie ich bardzo mało pracy wymagać będzie, więc szarwark pozostały od tych potrzeb... użytym być może, na budowę szos miejscowych, czy to łączących poprzecznie szosy budowane kosztem guberni, czy też poprawiających te miejsca dróg zwyczajnych, które nigdy dobremi być nie mogą... Dochód z podatku drogowego obracanym być winien przedewszystkiém na utrzymanie w dobrym stanie szos już istniejących; następnie na budowanie nowych... Ponieważ, niniejszém tylko w ogólnych zarysach przedstawiamy nasze życzenia, nie możemy więc dostatecznie wyczerpnąć przedmiotu pod względem pieniężnym. Jeżeli ten wyraz naszych życzeń i potrzeb zyska sobie przychylność władzy, wówczas... szczegóły podejmujemy się opracować, przy pomocy miejscowych inżenie-

rów... Obecnie zaznaczamy, że niezbędném jest utworzenie ogólnego zarządu gubernialnego, który powinien-by składać się z członków wysłanych po jednym z każdego zarządu powiatowego, a któremu... naczelnik guberni raczy przewodniczyć w obradach... Reparacye szos istniejących i budowa nowych odbywać się będzie: czy to przez przedsiębierstwo osób trzecich, czy też... przez same zarządy... w każdym razie, pod ścisłym i bezpośrednim nadzorem tegoż zarządu. Wszelkie kosztorysy i warunki licytacyjne, dozór nad sumiennem wykonaniem robót, odbieraniem ich po wykończeniu, zależyć by winny od zarządu drogowego, który, w razach wymagających znajomości technicznéj, działać będzie spólnie z inżenierami rządowymi. Wypowiedziawszy nasz sposób widzenia rzeczy, na zakończenie poważamy się dodać, że czując potrzebę dobrych dróg, chętnie zajmiemy się niemi, pilnie spełniać jesteśmy gotowi przyjęte w ten sposób na siebie obowiązki, lecz abyśmy mogli to skutecznie wykonać, musimy mieć możność wykonania t. j. kontrolę ścisłą nad drogami i wszystkiém co się ich tyczy. Mając tylko głos doradczy, nie moglibyśmy skutecznie działać i narazilibyśmy na zawód zaufanie jw. gubernatora, w nas położone."

Po odczytaniu powyższego i przychylném przyjęciu przez gubernatora, na tegoż wezwanie, miejscowy inżenier gubernialny odczytał sprawozdanie o stanie dróg i sposobie użycia podatku drogowego. Pomijając całe szeregi liczb, przytoczyć musimy ostateczny wypadek, że podatek drogowy z gub. Płockiéj wynosi rocznie rs. 70.000, co zwiększone 10 procentami od patentów, na ten cel przeznaczonemi, podniesie ogólną kwotę do rs. 90.000; że utrzymanie w dobrym stanie szos już pobudowanych zabiera z tego około rs. 70.000, więc na budowę nowych pozostaje 20.000, co wystarczało na pobudowanie w ciągu lat 12, wiorst 138.

W dalszym ciągu posiedzenia roztrząsano owe uwagi i życzenia obywateli zebranych, oraz wiadomości objęte sprawozdaniem inżeniera gubernialnego. Co do uwag nad stanem dróg zwyczajnych, to gubernator zaraz przyznał, iż skoro mocen jest drogi wioskowe (3-go rzędu) zamieniać na trakty (2-go rzadu), więc chętnie tego dokona i, tém samém, wszystkie drogi zwyczajne mogą być w porządku utrzymywanemi; byle pełnomocnicy gminni porozumieli się z mieszkańcami, o ilość potrzebnych szarwarków i dopilnować chcieli dobrego ich użycia. Nie tak gładko poszła sprawa szosowa. Wszyscy uznawali potrzebę nowych szos, obok utrzymania dobrego stanu już istniejących; lecz wiadomo, że fundusz drogowy gubernialny starczyć by na to nie mógł, nawet przy możliwéj a przewidywanéj oszczędności. Przedstawiano rozmaite środki, mniéj lub więcéj, wiodące do celu;

wnoszono pobieranie myta drogowego i t. p., lecz obowiązujące przepisy stawały na przeszkodzie, a nieprzewidywano możności uzyskania ich zmiany.

W tym stanie rzeczy, zebrani obywatele postanowili skuteczniéj wziąść się do niéj i po krótkich rozprawach, jednozgodnie uznali za konieczne, włożenie na gminy obowiązku utrzymania szos przez gubernią już posiadanych, przeznaczając na budowę nowych, cały dochód guberni, wyżéj wskazany. Ten nowo przyjęty na się ciężar, łącznie z szarwarkami, których dostarczyć będą obowiązani, do dróg zwyczajnych, podług ich obliczenia wyniesie około 75% obecnego podatku drogowego, płaconego przez folwarki; boć część tych ciężarów, tym sposobem zamienionych na gminne, dźwigać będą i włościanie, obecnie prawie wolni od nich.

W przypuszczeniu, że zmiany te dadzą się wykonać, obradujący oznaczyli ilość nowych szos, koniecznie potrzebnych, na wiorst 315. Inżenier objaśniał, że pobudowanie szosy kosztowało dotychczas od rs. 2 500 do 5 000 na wiorstę, więc przyjęto, że przy oszczędném użyciu grosza publicznego, wiorsta wyniesie średnio rs. 3.000, a tém samem, potrzebne 315 wiorst wykończone być mogą, w ciągu lat 10. Następnie, cały dochód drogowy guberni mógłby być obróconym, jako pomoc dla gmin, które miałyby zbyt wiele szos do utrzymywania, bo wiorst 600.

Na powyższe, jak również, na utworzenie zarządów (komitetów) drogowych, gubernator zgodził się w zasadzie i przyobiecał dołożyć wszelkich starań, by to wszystko dało się wykonać, lecz nie tail, że trafi na pewne przeszkody, odwlekające skutek jego dobrych chęci. Przeszkody te wyjść mogą: najpierw, od ludzi niechętnie widzących zmiany w stanie rzeczy, dotychczas dla nich dogodnym; następnie, wypływają z przepisów prawnych, obecnie obowiązujących. Pierwszych nie będziemy rozbierali, bo to drażliwa sprawa i zależna tylko od stanowczości naczelnika guberni, który powinien umiéć odróżnić ziarno od plewy, który może zrozumiéć, gdzie kończy się działanie prawa i gdzie zaczyna się niewłaściwe objaśnienie jego. Co do praw i przepisów administracyjnych, to tu znajdujemy dwie trudności, odpowiednio dwóm rodzajom dróg, o które chodzi.

Drogi zwyczajne 2-go rzędu, tak zwane gościńce lub trakty, są naprawiane szarwarkami gminnemi, w miarę potrzeby, przez wójtów nakazywanemi; weszło to w zwyczaj i oporu włościanie temu nie stawiają. Gdyby więc gubernator, co leży w jego władzy, choćby większą część dróg wioskowych, zwanych obecnie drogami zwyczajnemi 3-go rzędu, zrównał z traktami, w takim razie, gminy nie mogłyby odmówić robocizny na ich uporządkowanie i musiałyby poddać się odpowiedniemu nadzorowi komitetów powiatowych.

Inaczéj przedstawia się sprawa szos, chociażby ostatniego rzędu. Kierunek ich bywał zatwierdzany przez najwyższe władze i znajduje się pod tychże opieką. Gościniec lub droga wioskowa, stając się szosą, już tém samém wyłącza się z pod bezpośredniego rozporządzania władzy gubernialnéj, powiatowéj lub gminnéj i przechodzi w zależność od ministeryum. Z tego wypływa wielka trudność, w oddaniu ich staraniom sił gminnych, bo włościanie dobrowolnie nie przyjmą na się tego nowego ciężaru, a nie będzie można pokonać ich prawem, skoro takowe tylko drogi zwyczajne wkłada na ich barki. Nie pomoże tu wpływ większych właścicieli ziemskich, chętnych tym zmianom, bo chociaż na zebraniach gminnych wpływ ten jest coraz wyraźniejszym, każdy jednak, obeznany z usposobieniem włościan, wie, że wpływ kończy się tam, gdzie zaczyna się ich kieszeń. Zapewne, można-by rozciąć ten węzeł, przenosząc szosy gubernialne, tam gdzie były, przed dostaniem pokładu zwirowego, to jest: do rzędu gościńców, lecz po miecz odpowiedni sięgnąć należy, aż do ministeryum; więc droga powolna i daleka, a prawdopodobnie, trudno byłoby sprowadzić jego wyciągnięcie z pochew: rutyny, obojętności i wpływów niechętnych tym zmianom.

Uwagi powyższe naprowadzają na domysł, że wnioski zgromadzonych ziemian były zbyt pośpiesznie stawione i tak samo przyjęte przez gubernatora; obie strony nie były dostatecznie przygotowane do tego. Obecnie, współuczestnicy zebrania jesiennego, nie zapierając tego, sądzą, że możnaby dojść do celu inną drogą, którą powtarzamy za nimi, w głównych zarysach, bo jesteśmy przekonani, że rozgłos, jaki daje druk każdéj nowéj myśli, każdemu zamiarowi, wyjdzie na pożytek sprawy, zajmującéj nas w téj chwili.

Jeżeli nie można powołać drobnéj własności wiejskiéj, by pospołu z wielką podtrzymywała szosy już istniejące, poprzestać należy na dopilnowaniu, żeby chociaż o drogach nie bitych pamiętała lepiéj, niżeli poprzednio robiła; co, jak wspomnieliśmy, zależy tylko od gubernatora. Szosy istniejące pozostałyby na koszcie podatku drogowego, lecz przynajmniéj, wypada dołożyć starań, żeby jak najtaniéj utrzymanie ich kosztowało. Obok tego, budowę szos, już zatwierdzonych, należałoby prowadzić oszczędniéj—baczyć więcéj na dobro kraju, niżeli na zyski przedsiębierców. Do tych celów następującym sposobem iść by należało.

Co do dróg zwyczajnych 2-go i 3-go rzędu. Jak już tyle razy powtarzaliśmy, zależą one w zupełności od gubernatora, a skoro nic nas nie upoważnia, do podejrzewania jego dobrych chęci, uważamy więc przedmiot ten za niepotrzebujący dalszego wyjaśnienia i przechodzimy do:

Dróg bitych czyli szos. Jak dotychczas tak i na przyszłość, całość podatku drogowego, zebranego w gub. Płockiéj, byłaby obracaną na podtrzymywanie dawniejszych, oraz budowę nowych szos; lecz z tą odmianą, że kiedy do chwili obecnéj, w miarę uznania służby drogowéj, na poprawę pewnych szos przeznaczano odpowiednie kwoty, zaś pozostałość zapasu pieniężnego używano na budowę, to na przyszłość, każdy powiat miałby oddaną sobie do rozporządzenia pewną kwotę, którą-by wydawał stosownie do swych potrzeb, na zużyte szosy lub budowanie nowych, o ile starczyłoby na te ostatnie.

Tu zachodzi ważne pytanie, w jakim stosunku należałoby rozdzielić ogół pieniędzy, któremi gubernia rozporządza? Noszący się z tym nowym wnioskiem, w następujący sposób dają odpowiedź.

Wiadomo ile wydawano w latach poprzednich na utrzymanie szos zużywających się; również wiadomo, za ile rubli budowała gubernia szos nowych. Stosunek ten należałoby utrzymać, to jest: kierując się wiadomościami przedstawionemi przez inżeniera, wypada około rs. 70.000 na stare i około rs. 20.000 na nowe szosy. Tę ostatnią kwotę miałaby gubernia do swego rozporządzenia, rs. 70.000 należy rozdzielić między powiaty. Przytém nadmienić godzi się, że w kasie gubernialnéj są zapasy gotówki, z roku na rok pozostające z wpływów drogowych, które jakoby są do rozporządzenia ministeryum lub dla nagłych a nieprzewidzianych wypadków. Nie wdając się w ocenienie o ile nagłe i nieprzewidziane zdarzenia mogą wpływać na stan szos, dobrze-by było, gdyby i te kilkadziesiąt tysięcy (tak) rubli dały się użyć na przedłużenie szos nowych; wszakże, tego obecnie przesądzać nie można. W ten sposób oddzieliwszy, to czém zarząd gubernialny rozporządzać będzie, pozostałe około rs. 70.000 odbierać będą powiaty: czy to w stosunku do długości szos posiadanych u siebie, czy też w stosunku rozległości swéj, lub nakoniec w stosunku podatku drogowego, jaki płacą powiaty. Każdy z tych trzech sposobów ma i dobre i złe strony, które tak rozumiemy:

1-o Zapewne, długość szosy, przez powiat idącéj, najsilniéj przemawia za ilością potrzebnych pieniędzy na jéj utrzymanie; lecz z drugiéj strony, trzebaby uwzględnić potrzeby drugich. Jeżeli pewien powiat ma więcéj szos niżeli drugi, co mu dopomogło do silniejszego rozwoju przemysłowego i społecznego, to dla czego sąsiad jego ma wciąż pozostawać uboższym? Owszem trzeba tu stosować zasadę, że nie liczba bardzo bogatych jednostek w kraju, daje miarę jego zamożności, lecz średnia zamożność ogółu. Powiat, posiadający większą zamożność w szosach, powinien znaleść w sobie samym dodatek, na ich utrzymanie potrzebny, jeżeli nie starczy kwota otrzymana. Nie zdoławszy zrobić tego, dowiedzie, że dobrych dróg nie umiał

spożytkować należycie, że to jest zbytkowny przyrząd, z którym obchodzić się nie potrafi.

2-o Za wysokością zasiłku pieniężnego, odpowiednią do rozległości powiatu, przemawia wzgląd, że jeżeli otrzyma więcéj, niż wydać musi na szosy istniejące już, to będzie to dowodem, że ma szos za mało, więc budować będzie nowe, które zrównają go ze szczęśliwszym sąsiadem.

3-o Zasada wysokości podatku drogowego, ma również dobrą stronę. Płacący więcéj jest: albo obszerniejszy, za czém idzie potrzeba dróg; albo ma mniéj nieużytków i glebę lepszą, więc gęściéj osiadły, więcéj ma i płodów i ludzi do przewiezienia. Zresztą, skoro płaci większe podatki, powinienby mieć prawo do większego udziału w ich zwrocie.

Trudny wybór między temi trzema zasadami rozstrzygnie narada wspólna, jeżeli takową powtórnie gubernator zebrać zechce. Możnaby wybrać pośrednią drogę, rozdzielając ogólną kwotę, dla powiatów przeznaczoną, na trzy części, z których każda oddzielnie dzieloną być może, podług zasad powyższych i co z tych podziałów wypadnie, tyle powiat otrzyma.

O ile znamy przepisy, sposób ten wyjścia nie natrafi na przeszkody téj doniosłości, jakie stanęły-by przeciwko wnioskom, przedstawionym pierwotnie gubernatorowi płockiemu, a z których już tu zdano sprawę; jeszcze więc raz zmuszeni są wszyscy powierzyć to jego dobréj woli i... czekać końca wskazującego jaka, tym razem, będzie różnica między chęciami a uczynkami, między pięknemi obietnicami a ich spełnieniem.

KRONIKA PRZYRODNICZA.

Z nowych badań nad zjawiskami i składem atmosfery.

Jak trudno pochlubić się człowiekowi dokładną znajomością jakiegokolwiek, choćby najprostszego zjawiska przyrody, najlepszym dowodem są badania nowe, które albo poglądy nasze rozszerzają i otwierają nam obszerniejsze pole widzenia, albo też wręcz zmuszają do zastąpienia pojęć dawnych nowemi. Niemasz zapewnie w całym obszarze wiedzy rozdziału, któryby stanowczo podkreślić można i rzecz za skończoną uważać, na każdém polu życie nauki granicy nie ma.

Uwagę tę nasunęła nam praca p. Aitkena, złożona niedawno towarzystwu królewskiemu w Londynie, *o warunkach powstawania mgły*. Od bardzo dawnych czasów tworzenie się mgły objaśniano sposobem zarówno prostym, jak ścisłym; powietrze zawiera zawsze większą lub mniejszą ilość pary wodnéj, a skoro pewna jego masa ulega oziębieniu, nie może już ono utrzymać wszystkiéj pary w postaci gazu niewidzialnego, część jéj skrapla się, a raczéj przechodzi w postać drobniutkich pęcherzyków wodnych, wypełnionych parą, które unoszą się w powietrzu jakby drobne baloniki. Pęcherzyki te rozróżnił pierwszy Saussure. „Stoję, mówi on, w pośrodku chmury, trzymając w jednéj ręce, tuż przy oku szkło powiększające, a w drugiéj czarną, należycie wygładzoną powierzchnię. Powierzchnię tę umieszczam w pobliżu ogniska soczewki, a następnie, jakby myśliwy na czatach, czyham na każdą cząstkę chmury, którą ruch powietrza do ogniska szkła doprowadzi. Jeżeli chmura jest gęsta, nie trzeba mi długo czekać; widzę przebiegające cząsteczki, okrągłe i białe, niektóre szybko jak błyskawice, inne uderzają o nią skośnie i odskakują, jak piłka od muru, inne znów przyczepiają się do niéj i przybierają postać półkuli. Zresztą i bez szkła powiększającego można we mgle lub chmurze dostrzedz owe cząsteczki, jeżeli tylko dostatecznie są oświetlone.“

Mowa tu zarówno o mgle jak i o chmurze, między jedną a drugą bowiem istotnéj różnicy nie ma; w ostrych swych zarysach chmura przedstawia się wprawdzie odmiennie od mgły o granicach nieokreślonych, ale różnica ta jest tylko skutkiem odległości, z których je rozpatrujemy. Chmura, skoro się w niéj znajdziemy, zamienia się dla nas w mgłę, a nieoznaczona postać mgły w miarę jak się od niéj oddalamy, przybiera określoną postać chmury.

Średnica owych ciałek mgły wynosi według Kämtza od 0,014 do 0,035 milimetra, w lecie bywają nieco mniejsze, aniżeli w zimie. P. Dines w roku zeszłym znalazł różnice większe od 0,016 do 0,127, nawet w jednéj mgle kuleczki nie są równe.

W ten sposób tłómaczono powstawanie mgły w różnych okolicznościach, nie zwrócono atoli uwagi na jeden z najniezbędniejszych do jéj tworzenia się czynników; czynnikiem owym, który odegrywa tę niedojrzaną przedtém rolę, według p. Aitkena, jest pył w powietrzu się unoszący.

Pył i mgła, są-to rzeczy tak na pozór różne, że zestawienie ich dziwném wydawać się musi, ale proste doświadczenie nauczyć może, że zostają one w ścisłym z sobą związku i że pył jest jakby zarodkiem, którego objaw rozwinięty stanowi mgła lub chmura.

Dwa wielkie zbiorniki szklane napełnione zostały powietrzem przejętém parą wodną, ale jeden z nich zawierał powietrze zwykłe, drugi zaś powietrze oczyszczone, które przeszło przez filtr bawełniany i oswobodzoném zostało od wszelkiego pyłu. W powietrzu nie przecedzoném po oziębieniu wystąpiły zwykłe, obłokowate formy skroplenia pary, w naczyniu zaś drugiém powietrze pozostało czystém i niezmąconém; pomimo to, że było przesyconém, zachowało zupełną swą przejrzystość.

Rozmaitość ta zachowywania się pary wodnéj w różnych tych warunkach przypomina odpowiednie zjawisko przy marznięciu wody; jak osadzanie się kryształów lodu rozpoczyna się przedewszystkiém na ścianach naczynia i w ogóle na cząstkach ciał stałych w wodzie zawartych, tak też i cząstki pary wodnéj nie zbiegają się wprost z sobą dla utworzenia pęcherzyka mgły, ale potrzeba im cząstki ciała stałego lub ciekłego, na którejby się zgęszczać mogły. W powietrzu zupełnie czystém para nie skrapla się zgoła, w zwykłém zaś powietrzu cząstki pyłu stanowią jądra, na których para się osadza, tworząc cząsteczki mgły lub chmury. Mgła jest jakby rozwiniętym objawem pyłu, który poprzednio już istniał w powietrzu, a każdy pęcherzyk mgły był pierwotnie cząsteczką pyłu. Gdy w powietrzu znajduje się znaczna ilość pyłu, wtedy na każdéj cząsteczce osiada niewielka ilość pary, ciężar ich powiększa się nieznacznie i łatwo bujają w powietrzu;

ale gdy owych cząstek pyłu jest niewiele, na każdéj nagromadza się więcéj pary, stają się cięższemi i opadają szybciéj.

Wyraźniéj jeszcze okazywały to zjawisko doświadczenia z pompą powietrzną. Wiadomo, że przy rozrzedzaniu powietrza temperatura się obniża. Dla nasycenia powietrza parą umieszczono pod dzwonem naczynie z wodą i pompę wprawiono w ruch. Gdy doświadczenie to wykonywa się z powietrzem zwykłém, nieoczyszczoném, gęste zamącenie wypełnia zbiornik; ale, jeżeli w zbiorniku powietrze było zupełnie czyste, mgła nie występowała, nie było bowiem ziarn, na których para osiadaćby mogła. Gdy powietrze było tylko prawie czystém, tworzyło się nie wiele cząstek mgły, które w skutek ciężaru opadały w postaci drobnego deszczu.

Gdyby zatém w powietrzu zgoła pyłu nie było, nie byłoby téż mgły, chmur, a prawdopodobnie i deszczu; powietrze przesycone parą wydzielałoby wodę na powierzchni ziemi, na każdym przedmiocie, z którym się styka. Gdy w czasie zimnego ranka oddech nasz staje się widocznym, podobnie jak każdy pęd pary wyrywający się w powietrze, okazuje to, że atmosfera jest nieczysta i przejęta pyłem. Wszystkie okoliczności, które wpływają na wzmożenie ilości pyłu w powietrzu, powiększają także i mgłę; gdy natomiast cząstki pyłu nie są tak liczne, kuleczki mgły są cięższe i prędzéj opadają.

Przez ogrzewanie jakiegokolwiek ciała, szkła, żelaza, mosiądzu, zwłaszcza téż soli, wznosi się w górę obłok pyłu, który wprowadzony do czystego zbiornika, przez zmięszanie z parą wytwarza natychmiast gęstą mgłę.

Pył atmosferyczny pod wpływem ciepła ulega zniszczeniu, możnaby się przeto spodziewać, że płomienie i wogóle palenie ciał wydadzą powietrze czystsze. Tak wszakże nie jest, bo przez spalenie choćby czystego gazu tworzy się atmosfera wydająca mgłę. Jądra przeto mgły i chmur nie są cząsteczkami owego pyłu, którego obecność zdradza promień światła, wpuszczony do ciemnéj przestrzeni, te bowiem cząsteczki mogą być przez ciepło zupełnie usunięte a w powietrzu takiém pomimo to mgła tworzyć się może. Przypuścić można, że owe większe cząsteczki, które stają się widoczne przy silném oświetleniu, ulegają pod wpływem ciepła rozdzieleniu na cząstki niesłychanie drobne, niewidzialne. Tym ostatnim właśnie drobinom przypisuje p. Aitken wytwarzanie mgły; i cząstki większe są tu zapewne skuteczne, ale ilość ich jest zbyt mała, aby wywołać zdołały znaczne działanie.

Nie wszystkie ciała palone okazują jednakową zdolność wywoływania mgły; najdzielniejszą okazała się siarka; wydawała ona mgłę tak gęstą, że warstwa jéj, mająca zaledwie 5 centymetrów grubości,

stawała się już zupełnie nieprzejrzystą. Dodać należy, że oprócz wody badano też i inne ciała, jak alkohol, benzol, parafinę,—wszystkie zachowały się jak para wodna, t. j. wytwarzały skroplenie obłokowate jedynie tylko w powietrzu zapylonéin, a zmieszane z powietrzem oczyszczoném mętnienia nie sprowadzały.

Wyniki tych doświadczeń w ogólnych przynajmniéj zarysach objaśniają warunki tworzenia się mgły w atmosferze. Gęstość mgły zależéć musi od ilości drobnego pyłu w powietrzu; im tego pyłu jest więcéj, tém drobniejsze są kuleczki mgły i tém dłużéj w powietrzu bujają. Widzieliśmy daléj, że wszelkie palenie wytwarza pył, mogący stanowić jądra mgły, nie można przeto się spodziewać, aby w miastach angielskich fabrycznych np. można było zmniejszyć obfitość lub gęstość mgły wtedy, gdy przez ulepszoną konstrukcyą pieców zdołamy osiągnąć dokładniejsze, zupełniejsze spalenie materyałów opałowych, lubo przez zmniejszenie dymu mgła będzie czyściejszą i bielszą i utraci przeto najprzykrzejsze swe cechy. Węgiel kamienny bardzo często zawiera siarkę; obliczono też, że w ciągu dnia zimowego w Londynie spala się około 2oo ton siarki; widzieliśmy zaś, jak gęstą mgłę wytwarza palona siarka, a to wystarcza do objaśnienia gęstości sławnéj mgły londyńskiéj.

P. Aitken wszakże radzi się powstrzymać od zupełnego potępienia dymu i siarki, dym bowiem i kwas siarkowy, powstający przy spaleniu siarki, zalecają się własnościami odwaniającemi, antyseptycznemi. W czasie mgły powietrze jest spokojne, brak prądów, któreby oddalały przykrą woń i zabójcze zarodki w powietrzu, a któreby były bardziéj jeszcze szkodliwe, gdyby brakło unoszącéj się sadzy i spalonéj siarki.

Podczas mgły dym opada, cząstki jego bowiem stygnąc, stają się jądrami, na których się para wodna skrapla, dym staje się przeto cięższym i osuwa się na dół. To tłómaczy, dlaczego dym opadający jest często zapowiedzią deszczu, uwidocznia on nasycony wilgocią stan powietrza.

Pochodzenie pyłu atmosferycznego było już nieraz przedmiotem badania, szczególniéj zaś od dawna zwracano uwagę na masy pyłu, spadającego z deszczem, gradem, śniegiem, bądź wreszcie suchego. Deszcz krwawy albo siarczysty nieraz stawał się powodem ogólnego przerażenia, zanim przyczynę tego zjawiska wykazano w mnóstwie pyłku kwiatowego, który deszcz sprowadza na ziemię, albo też w innych utworach organicznych. Trudniéj wszakże było załatwić się z pyłem mineralnym. Gdy w początku bieżącego stulecia uczeni uwierzyli nakoniec baśniom ludowym o kamieniach spadających z nieba, wtedy Arago i owym masom pyłu mineralnego przypisał

początek pozaziemski, kosmiczny. W ostatnich czasach Nordenskjöld, a za nim Silvestri i Tissandrier wrócili do tego poglądu. Nordenskjöld mianowicie zbierał pył na śnieżnych i lodowych polach północy Skandynawskiéj, daleko od wszelkich osad ludzkich, oraz w zagłębieniach lodu grenlandzkiego,—i znajdywał w nim zawsze żelazo rodzime w połączeniu z niklem i z powodu téj właśnie zawartości żelaza rodzimego osądził, że pył ten nie może być pochodzenia ziemskiego. Podobnież Silvestri wykazał obecność żelaza rodzimego w pyle spadłym w Katanii, a Tissandrier w pyle zebranym w Paryżu, i z tego względu również przypisali mu początek kosmiczny.

Niedawno jednak p. A. Lassaulx rozebrał dokładniéj części składowe pyłu,—zbadał on mianowicie pył czyli kryokonit z Grenlandyi, jak go nazwał Nordenskjöld, próbę pyłu zebrane w Katanii, oraz pewną ilość pyłu zebranego po stopieniu śniegu w pobliżu Kielu, i w każdym z tych proszków wykazał części składowe skał, znajdujących się w pobliżu miejscowości, zkąd dany pył pochodził, tak że każdy z nich uważać można za materyał pochodzący z rozsypiska skał sąsiednich.

Wszędzie wprawdzie znajduje się niewielka ilość żelaza metalicznego, i ono tylko mogłoby wskazywać pochodzenie kosmiczne. Ale należy zwrócić tu uwagę na skład brył meteorycznych; aerolity, złożone w przeważnéj części z żelaza rodzimego, stanowią okazy bardzo rzadkie, pospolicie składają się one z pewnych krzemianów, jak augitu, anortytu, oliwinu, żelazo zaś występuje w nich w ilości bardzo małéj, pył natomiast atmosferyczny nie zawiera wcale owych cechujących krzemianów, a niewielka ilość żelaza pomięszana tam jest z częściami składowemi skał, a mianowicie z takiemi, które, jak kwarc np. najsilniéj opierają się zwietrzeniu, to jest najlepiéj się przechowują.

Podobny skład pyłu przemawia bardzo silnie za jego pochodzeniem ziemskiém, sama zaś obecność niewielkiéj ilości żelaza nie stanowi argumentu dostatecznego, aby to najbliższe jego źródło usunąć. Bo chociaż istnienie żelaza rodzimego na ziemi jest rzeczą dosyć wątpliwą, to jednak Lassaulx zwraca uwagę na obecność w pyle atmosferycznym cząstek organicznych, węglowodorów, które mogą być dla związków żelaza środkami redukującemi, odtleniającemi; żelazo mogło tam powstać z rozłożonych jego związków, jest ono zapewne czystém, metalicznem, ale nie koniecznie rodzimém.

Jednem słowem, nie mamy dostatecznie uzasadnionych powodów do wyprowadzania pyłu atmosferycznego z obszarów pozaziemskich;—skały na ziemi niszczą się, rozsypują, a szczątki te przenosić

może powietrze, podobnie jak i woda, któréj rola w ścieraniu skał dobrze jest znaną.

Skorośmy potrącili o kwestyą powstawania chmur, nie możemy pominąć tu spostrzeżenia, że meteorologia zaczyna baczniejszą uwagę zwracać na *stopień pochmurności nieba w różnych okolicach*; jest to bowiem bardzo ważny czynnik klimatyczny, na który dotąd należycie nie baczono. Nie tylko na temperaturę powietrza zważać należy, insolacya czyli bezpośrednie działanie promieni słonecznych odgrywa tu także ważną rolę, a oczywiście zostaje w bezpośrednim związku ze stanem zachmurzenia nieba. Dawno już poznano, że jeżeli się rozpostrze czarną tkaninę nad gruntem, na którym rośnie winorośl, grona nie dojrzewają, lubo pod czarném pokryciem temperatura ulega podniesieniu.

Otóż obecnie p. Rénou ogłosił rezultat poszukiwań nad średnim stanem zachmurzenia nieba w Europie. Zbyt mało wszakże, a zwłaszcza zbyt niedokładnie prowadzono dział ten dostrzeżeń meteorologicznych, aby można z nich było wysnuć wnioski dosyć pewne i dosyć ogólne; z obserwacyj wszakże zebranych sądzi p. Rénou, że niebo najpogodniejszém bywa przeciętnie około 10 i 11 godziny wieczorem, najsilniejsze zaś zachmurzenie przepada średnio na 1 godzinę popołudniu. Przebieg roczny jest wybitniejszy: w Paryżu najsilniejsze zachmurzenie przypada na Grudzień, najmniejsze na Kwiecień i Wrzesień. Wyrażając przez 100 stan zupełnego zachmurzenia nieba, a przez 0 stan zupełnéj pogody, znajduje p. Rénou na średnie roczne zachmurzenie nieba w Paryżu liczbę 63. Jest to liczba stosunkowo wielka, u nas—daléj od Atlantyku, okazałaby się zapewne znacznie mniejszą.

Wiadomo, że dla uzmysłowienia rozkładu ciepła na ziemi poprowadzono na kartach linie izotermiczne czyli linie jednakiéj temperatury rocznéj, t. j. linie łączące miejsca posiadające jednakową temperaturę średnią roczną. W podobnyż sposób p. Rénou połączył liniami miejsca na ziemi, posiadające jednakie zachmurzenie; linie te jednakowego zachmurzenia rocznego nazwał *liniami izonefícznemi*, *izonefami*. Przebieg tych linij wskazuje ścisłą ich zależność od rozkładu mórz, postać ich bowiem w Europie odpowiada zarysom wybrzeży Atlantyku lub też morza Śródziemnego. Wschodnie części Hiszpanii okazują zachmurzenie średnie bardzo słabe, i téj to okoliczności przypisuje p. Rénou możność dojrzewania owoców palmy daktylowéj w Hiszpanii, lubo nie dojrzewają one w Algieryi, chociaż tam lato goretsze jest niż w Walencyi lub Alkantarze.

Linie te jednakiego zachmurzenia mogą niewątpliwie okazać się użytecznemi w badaniach klimatycznych, ale dokładne ich na-

kreślenie wymaga bardzo jeszcze długich obserwacyj. Zresztą jak same izotermy małe jeszcze dają pojęcie o warunkach klimatycznych miejsc, przez które przechodzą, a do scharakteryzowania danéj miejscowości potrzeba powołać się na średnią temperaturę lata i zimy, to jest posiadać kartę izoterów i izochimenów, tak też niewątpliwie trzeba będzie brać pod uwagę nie tyle średnie zachmurzenie roczne, ile raczéj jego rozkład na różne pory roku.

Do spraw *napozór* bardzo dobrze w nauce załatwionych należy też pytanie, jaką drogą utrzymuje się stateczność składu atmosfery, a zwłaszcza też *równowaga zawartego w niém kwasu węglanego.* Ilość tego gazu w powietrzu nie przechodzi nigdy kilku dziesięciotysiącznych, powietrze bardziéj weń obfitujące byłoby już zabójczém dla człowieka i dla zwierząt wyższéj organizacyi; palenie wszakże, zarówno jak i oddychanie zasób jego powiększają bezustanku. Nauka dosyć już dawno rozwiązała zagadkę, gdzie się nadmiar ten podziewa: kwas węglany wyziewany przez zwierzęta służy do oddychania roślinom. Pod wpływem światła części zielone rośliny rozkładają kwas węglany, zatrzymują węgiel i przeprowadzają go w pracowniach swych w związki organiczne, a tlen oswobodzony zasila zubożałe powietrze. Odkrycie to uważaném jest za jeden z tryumfów nauki i słusznie, choćby dlatego, że wtajemnicza nas w bardzo ważne sprawy żywotne, ale nie może usunąć wątpliwości, aby ta droga starczyła do utrzymania tak bezwzględnéj jednostajności atmosfery, jak ją rzeczywiście widzimy,—bo oto życie zwierzęce wzmaga się, węgle palą się w ilościach, o których dawniéj pojęcia nie miano, a lasy natomiast ulegają niemiłosiernemu niszczeniu.

Rachunek ścisły wprawia nas w cięższy jeszcze kłopot, a rachunek ten przeprowadził niedawno p. J. B. Lawes, na zasadzie doświadczeń rolniczo-chemicznych prowadzonych w Rothamsted. Za podstawę rachunku swego bierze p. Lawes Wielką Brytanią, któréj powierzchnia wynosi około 57 milionów akrów (akr=40,46 ara), a raczéj powierzchnię 1 akra, przypuszczając, że powietrze nad nim jest nieruchome, jak sama ziemia, że nie ma w nim dopływów ani odpływów żadnych.

Kwas węglany wytwarza się z trzech źródeł—z palenia węgla, z materyałów wprowadzonych na pokarmy i na opał, oraz z produktów roli angielskiéj.

Dane statystyczne uczą, że przecięciowo na 1 akr w ciągu roku przypada 3942 funty spalonego węgla, a ta ilość uchodzi w powietrze w postaci kwasu węglanego; podobnież zużycie materyałów przywo-

zowych—mięsa, cukru, ziemniaków, łoju, nafty powiększa ten zasób węgla o 300 fun. a konsumcya materyałów krajowych o 1275 funtów, czyli razem zasób węgla, zawarty w słupie powietrza unoszącym się nad przestrzenią jednego akra ziemi angielskiéj, powiększa się rocznie o 5500 przeszło funtów. Z drugiéj zaś strony, znajomość składu atmosfery pozwala ocenić, że taż sama ilość powietrza, spoczywająca nad jednym akrem, zawiera około 14000 funtów. Gdyby zatém nie było żadnéj kompensaty, ilość ta węgla po upływie trzech lat jużby się z górą podwoiła, a istnienie człowieka na ziemi stałoby się zagrożoném.

Otóż łatwo osądzić, że kompensata taka co do węgla spalonego i co do materyałów przywozowych jest bardzo mało możliwą, jedynie tylko co do płodów na gruncie krajowym rosnących zachodzi ciągła wymiana węgla między roślinami a atmosferą, ale bliższe rozważanie uczy, że i tu szala przeważa na korzyść atmosfery, że w ogólności więcéj węgla z roli odchodzi aniżeli do niéj wraca.

Wymiana powietrza między różnemi częściami lądów także wpłynąć nie może na przywrócenie równowagi kwasu węglanego, wszędzie bowiem liczba ludzi i zwierząt wzrasta, opał się pali, lasy niszczą, a zapasy węgla nagromadzone w gruncie przez naturalną roślinność zwolna się tracą. Stoimy przeto jeszcze wobec zagadki nierozwiązanéj; pytanie, jaką drogą utrzymuje się stateczność atmosfery, pozostaje dotąd bez odpowiedzi.

P. Lawes sądzi wszakże, że może to ocean odgrywa rolę niszczyciela tego nadmiaru węgla atmosferycznego; według bowiem rozbiorów Franklanda, morze w znacznych bardzo jeszcze głębiach bogate jest w węgiel organiczny. Analizy Franklanda wody morskiéj nie sięgają ani do połowy głębokości oceanu, ale uczą, że i w téj warstwie zasób węgla jest przeszło trzy razy większy, niż ilość węgla w atmosferze unoszącéj się nad oceanem. Przy znacznéj rozległości oceanu objawy rozwijającego się w nim życia zwierzęcego i roślinnego wywierają niezawodnie wpływ znaczny na atmosferę, wpływ, którego dotąd nie znamy.

Zresztą skład atmosfery przedstawia niejeden jeszcze nieznany nam szczegół. Jakkolwiek oddawna uważać ją przywykliśmy za olbrzymi zbiornik, przepełniony najrozmaitszemi wyziewami ziemskiemi, nie spodziewano się zapewne, aby w niéj mieściła się i *para alkoholu*. Niedawno wszakże p. A. Müntz podał sposób wykrywania niezmiernie drobnych ilości alkoholu, tak że można go wykazać nawet w wodzie, zawierającéj go jednę milionową część. Tą drogą przez ostatnie cztery lata poszukiwał on wszędzie alkoholu i rzeczywiście znalazł go w wodzie rzecznéj, morskiéj, deszczowéj, w śniegu;

w wodzie tylko źródlanéj nie można go było wykryć. Woda Sekwany i woda deszczowa w objętości jednego metra sześciennego, czyli tysiąca kilogramów na wagę, zawiera mniéj więcéj jeden gram alkoholu; w śniegu i deszczu zimnym jest go nieco więcéj, w wodzie morskiéj mniéj.

Z tego łatwo wnieść, że alkohol znajdować się musi i w powietrzu, zresztą już dawno Boussingault i Saussure podejrzywali w powietrzu obecność jakiegoś węglowodoru. Alkohol ten pochodzi niewątpliwie z rozkładu ciał organicznych, znajduje się więc i w gruncie, i rzeczywiście z ziemi ogrodowéj zdołano tyle wyciągnąć alkoholu, że na téj ilości można było wykazać wszystkie jego główne własności.

S. K.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyograficzny wydawany staraniem E. Dziewulskiego i B. Znatowicza, tom pierwszy. (Warszawa, 1881, 8-vo Lex., str. XII+464, XVI tablic rysunków).

Jeszcze 4 Maja r. 1865, prezes ówczesnego towarzystwa naukowego Krakowskiego, prof. Józef Majer, postawił w oddziale przyrodniczo-lekarskim téj instytucyi wniosek utworzenia komisyi w celu badania północnych i północno-wschodnich stoków Karpat pod względem fizyograficznym. Opracowawszy odpowiednie instrukcye, zjednawszy licznych a chętnych i sumiennych obserwatorów, zaraz energicznie wzięto się do pracy. Krótkie wzmianki o działalności téj komisyi fizyograficznéj, dziś wchodzącéj w skład akademii umiejętności w Krakowie, podawaliśmy dwukrotnie w „Ateneum" (R. 1877, t. II, str. 372; r. 1879, t. I. str. 382). Komisya fizyograficzna Krakowska, otrzymując pomoc pieniężną ze strony akademii i prócz tego zasiłku 3000 złr. rocznie z funduszów zostających w rozporządzaniu sejmu, utworzyła w Galicyi gęstą sieć starannie urządzonych najrozmaitszych dostrzegalni, a zamiłowanych spółpracowników posiada zastęp cały, złożony z księży, lekarzów, obywateli wiejskich, nauczycieli itd. Nie dziw więc, że prowadzi systematyczne badania téj dzielnicy i znakomite materyały nagromadziła w swych „Rocznikach", których tom XIV jest obecnie w druku.

U nas podobne badanie kraju musiało wziąć na siebie prywatne grono ludzi dobréj woli... W rzewnéj chwili myśl rzucona, prędko przyoblekła się w ciało. Nie było ani pieniężnego zasiłku, ani możności przygotowania licznych spółpracujących, ani nawet nadziei zainteresowania naszego ogółu choćby na tyle, by koszta wydawnictwa pokryć można było. Nie mogąc odrazu badań tych prowadzić

na wzór Galicyjskich, musiano, jako zadanie postawić sobie tymczasem korzystanie z tych sił, jakie się znalazły, częścią zwracając je ku opracowaniu materyałów, jakie były już sporadycznie nagromadzone, częścią skłaniając je ku podjęciu studyów specyalnych. Chociaż wydawcy scharakteryzowali w przedmowie te usiłowania, jako „wzięcie się do pracy w jakikolwiek sposób", to jednak bezinteresowne, prawdziwém zamiłowaniem rzeczy natchnione prace, które się na ten tom pierwszy złożyły, dały nam zbiór wielce pokaźny i treścią swą, jak zobaczymy, nader poważny i cenny, co samo przez się jest już dobrą wróżbą dla dalszych badań stosunków fizyograficznych naszego kraju. Drugą dobrą wróżbą dla wydawnictwa jest przypisanie tego tomu pierwszego „w jubileuszowym roku naukowéj działalności" temuż Majerowi, który tak szczęśliwie powołał do życia wciąż coraz więcéj się rozwijającą komisyą fizyograficzną Krakowską.

„Pamiętnik fizyograficzny" rozpada się na pięć działów.

Dział pierwszy: „*meteorologia i hydrografia*" zawiera następujące prace:

„*O spostrzeżeniach meteorologicznych w Warszawie*" przez d-ra Jana *Kowalczyka* (str. 1—46). Podawszy ogólne uwagi o ważności obserwacyj meteorologicznych oraz krótką wiadomość historyczną o dokonywaniu takowych w naszym kraju, autor zdaje następnie sprawę ze sposobu robienia tych dostrzeżeń w Warszawie, a opisawszy przyrządy, używane do doświadczeń, objaśnia pięć „wykazów," stanowiących treść téj pracy. W pierwszym podaje średnie dzienne i miesięczne stanu termometru za lat 55, od r. 1826 do końca r. 1880; są one tak zestawione, że dają jednocześnie obraz przebiegu temperatury za każdy dzień i miesiąc w ciągu całego okresu. Wykaz drugi obejmuje miesięczną ilość wody spadłéj z deszczu, śniegu i gradu dla 21 lat od r. 1860 do r. 1880, wraz z liczbą dni, w których ta woda w odpowiednich miesiącach spadała; w dodatku do niego podane są wydobyte z papierów zmarłego astronoma Jana Baranowskiego liczby, wykazujące średnie miesięczne z okresu 42 lat od r. 1828 do r. 1870 ilości opadów deszczowego oddzielnie i śniegowego oddzielnie, oraz największe w tym okresie miesięczne ilości wody z samego śniegu. Wykaz trzeci obejmuje obliczoną na mocy wykazu pierwszego średnią normalną temperaturę każdego dnia wziętą z owego 55 letniego okresu, oraz w ciągu tegoż okresu przytrafiające się w każdym dniu: temperatury średnie maksymalne i minimalne, deszcze, śniegi, grady i wichry. Ten więc wykaz podaje niejako monografie oddzielnych dni roku, obliczone za peryód dostatecznie długi, aby te dane przyjąć za charakteryzujące oddzielne dnie w roku, uważane normal-

nie. Podobne liczby za tenże okres, obliczone dla miesięcy, stanowią jedną część wykazu czwartego; drugą zaś jego część stanowią średnie miesięczne normalne, maksymalne i minimalne obliczone z tegoż okresu, oraz miesięczne ilości opadów wodnych obrachowane z danych wykazu drugiego. Piąty wreszcie, dodatkowy wykaz obejmuje wypadki miesięczne ze spostrzeżeń ks. Bystrzyckiego, astronoma Stanisława-Augusta (1779—1799) i fizyka Magiera (1803—1828), według obrachowań Baranowskiego, który owe spostrzeżenia uchronił swego czasu od zagłady i nabył na własność obserwatoryum.

Skutkiem trafnego zużytkowania danych, właściwego zestawienia rezultatów, uciążliwych obliczań, praca p. Kowalczyka stała się taką, iż wszelkie wnioski z danych meteorologicznych w Warszawie na niéj opierać się będą musiały. Dlatego też wydawcy „Pam. Fizyog.“, rozumiejąc ważność téj pracy, podnieśli jeszcze jéj użyteczność przez dodanie tablicy, na której p. Słowikowski, inżynier, w świetny sposób uwidocznił wykazy II i III studyum p. Kowalczyka. Trudno tu opisywać tę tablicę. Trzeba ją widzić, by ocenić zręczność w obmyśleniu uplastycznienia i pracowitość ilustratora.

„*Spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku, w gubernii płockiéj*“ przez dra med. *Jędrzejewicza* (str. 47—54). Po podaniu opisu położenia obserwatoryum, sposobu dokonywania doświadczeń i przyrządów używanych, autor, który poważne imię już sobie wyrobić zdołał, zestawia średnie miesięczne i roczne stanu termometru i barometru, wilgotności powietrza, kierunku wypadkowego oraz stosunku różnokierunkowych wiatrów, natężenia ozonu, zachmurzenia, dni deszczu, śniegu itd., oraz ilości opadu. Z tych zaś liczb wyprowadza ciekawe wnioski dla klimatu, zdrowotności i rozwoju roślinności okolicy. Pozwolimy sobie tylko zauważyć, że autor nie objaśnił, dla czego drugiéj codziennéj obserwacyi stanu termometru dokonywa na swojem obserwatoryum o godzinie 2 po poł. (str. 48), gdy na obserwatoryum warsz. robią ją o godzinę wcześniéj (str. 4).

„*Stan wody na Wiśle pod Warszawą od 1860 do r. 1880, z oznaczaniem peryodów stawania i puszczania lodów*“ przez mag. Józefa *Słowikowskiego*, inżyniera (str. 55—73). Praca niniejsza jest dalszym ciągiem, o ile się to odnosi do obserwacyj pod Warszawą dokonywanych, ogłoszonéj przed 20 laty części pracy Wilhelma Kolberga: „Wisła, jéj bieg, własności i spławność“, w której podobne obserwacye doprowadzone są do końca r. 1859. Dawszy we wstępie charakterystyczny rys historyczny oznaczania zera, oraz rozmaitości jednostek miary używanych, autor w wykazie zestawia obserwacye każdodzienne oraz średnie miesięczne stanu wody w ciągu lat 20 od 1860 do 1879; dane te zaś uwidocznia graficznie na dołączonéj ta-

blicy. Szkoda tylko, że autor bliżéj nie objaśnił, w czém i dla jakich mianowicie pobudek odstąpił „od schematu, nakreślonego przez“ Kolberga (str. 59).

„*Osuszenie błot Poleskich*“ (str. 75—79). Artykuł ten jest streszczeniem broszury „Osuszytelnyja roboty w Polesii,“ zawiera krótkie wiadomości o warunkach geograficznych i klimatologicznych Polesia, wzmiankę o roślinności, jakoteż opis tak badań przygowawczych, jak i samego osuszenia téj prowincyi. Wydawcy go umieścili ze względu na niżéj podane studyum o stosunkach geologicznych Polesia.

„*Ołowianka i jéj użycie przy mierzeniu głębokości wód*“ przez mag. Eugeniusza *Dziewulskiego* (str. 80—85). Jestto szczegółowy opis, objaśniony rysunkiem, ołowianki do mierzenia głębokości wód i dobywania próby dna pomysłu prof. Dybowskiego, wraz ze wskazówkami jéj użycia.

„*Pięć stawów w dolinie Roztoki w Tatrach polskich*“ (str. 86—100) „*Jeziora rypińskie*“ (str. 101—109) „*Jeziora Firlejowskie*“ (str. 110—111) p. *Dziewulskiego*. Pierwsza z tych prac jest wyczerpującą wielostronną monografią tych wysoko nad poziom morza wyniesionych zbiorników wód. Druga jest sprawozdaniem z tygodniowéj wycieczki, w czasie któréj autor zebrał stosunkowo znaczną ilość obserwacyj. Ostatnia wreszcie jest sprawozdaniem z pomiarów dokonanych przez pp. Gepnera i Ślósarskiego dwu jezior w okolicy m. Firleja po lewym brzegu Wieprza, będących niejako ostatniemi w szeregu jezior, tworzących pewien łańcuch, wychodzący z błot Pińskich. Mapy okolic każdéj grupy tych jezior, jakoteż karty z oznaczeniem głębokości ich w różnych punktach są do tych prac dołączone.

Dział drugi: „*geologia i chemia*“ składają prace:

„*Poszukiwania geologiczne dokonane w ostatnich latach na Polesiu*“ przez Inż. Wincentego *Choroszewskiego* (str. 115—132). W artykule tym, do którego dodana jest szczegółowa mapa Polesia z oznaczeniem na niéj kanałów dawnych, nowych i projektowanych, oraz otworów świdrowych, robionych teraz w celach geologicznych, autor, zastanowiwszy się krytycznie nad poprzedniemi badaniami częściowemi i różnemi rozpowszechnionemi domysłami o stosunkach geologicznych Polesia, przedstawia następnie rezultaty systematycznych poszukiwań, prowadzonych w ostatnich czasach. Z wyczerpującego zestawienia niektórych z tych wyników autor wyprowadza wniosek, iż powtarzane i podtrzymywane przez wielu geologów przypuszczenie prof. Eichwalda, jakoby błota poleskie spoczywały bezpośrednio na granitach, nie ma racyi bytu; podstawą zaś, czyli łożem błot Polesia jest niebiesko-szaro-czarna, mocno zbita glina, w niektórych zaś

miejscach Polesia zachodniego masy kredowe, utworzone skutkiem starcia skał formacyi kredowéj przez lodowce i głazy narzutowe, przyczém tak gliny jak i masy kredowe uznać należy za późniejsze niż formacya trzeciorzędowa, mianowicie za utwory tak zwanéj epoki popliocenowéj. Szczegółowiéj autor podaje swe badania o wyjątkowéj naturze źródła Oko w powiecie Łuckim, jedynym pokładzie wegla brunatnego pod Mozyrzem i bursztynie znalezionym w pobliżu wsi Lubiazia. Kończy zaś tę pracę zapowiedzią ciekawego artykułu o okolicach Owrucza, a osobliwie wsi Zbranki, gdzie na niewielkiéj stosunkowo przestrzeni znajdować się mają przedstawiciele wszystkich geologicznych formacyi i utworów.

,,*Nowe przyczynki do geognozyi Polski*" przez J. B. *Puscha*, tłómaczył kand. B. *Rajchman* (str. 133—167). Jestto pierwsza z siedmiu rozpraw napisanych przez Puscha między 1836—1846 r., w których ten uczony zamierzył zebrać uzupełnienia i sprostowania opisów, podanych w jego dziele ,,Geognostyczne opisanie Polski i innych krajów północno Karpackich" (1833, 1836); poświęcona jest ona mianowicie dokładniejszemu rozróżnieniu i oznaczeniu ogniw Polsko-Górnoszląskiéj formacyi i wapienia muszlowego i istnieniu grupy gipsowéj, albo anhydrytowéj w wapieniu muszlowym Polski południowo-zachodniéj. Uznana wartość naukowa i źródłowość prac Puscha słusznie skłoniła redakcyą Pamiętnika do wydania z rękopismu téj rozprawy, dotąd na ogłoszenie drukiem czekającéj. Dalsze mają się ukazać w następujących tomach.

,,*Krótkie sprawozdanie z badań geologicznych, dokonanych w południowo zachodniéj części Królestwa Polskiego w r. 1880*" przez Inż. Stanisława *Kontkiewicza* (str. 168—171). Przedmiotem szczegółowych badań autora, których rezultaty w tym artykule podaje, była okolica między Wisłą, Nidą, Czarną i górami Sto-Krzyskiemi. Z uwag autora nad występującemi tu, oprócz utworów aluwialnych, formacyami: kredową, trzeciorzędową i dyluwialną, najważniejszemi są uwagi odnoszące się do utworów trzeciorzędowych; utwory te zupełnie podobne do takichże utworów Galicyi i zagłębia Wiedeńskiego. W tych zaś utworach, które w téj okolicy były oddzielone od innych pod nazwą najmłodszej formacyi piaskowca muszlowego, autor konstatuje występowanie piętra sarmackiego, dotychczas nieznanego w Królestwie.

,,*O występowaniu piętra sarmackiego i górnego śródziemnego formacyi mioceniczněj w gubernii Lubelskiéj*" przez prof. Jana *Trejdosiewicza* (str. 171—172). Autor wylicza w tym artykule miejscowości na prawym brzegu Wisły, w których w wycieczkach swych znalazł

utwory piętra sarmackiego jakotéż górnego śródziemnego, oraz zaznacza ich łączność z galicyjskiemi osadami sarmackiemi.

„*Kilka słów o karcie geologicznéj Wołynia Godfryda Ossowskiego*“ (str. 173—175). „*Zbiory geologiczne pozostałe po Ludwiku Zejsznerze*“ (str. 175) p. *Kontkiewicza*. W pierwszym artykule recenzent wszystkie swoje zarzuty uzasadnia gruntownie. Drugi ma na celu zaznaczenie smutnego losu bogatéj i cennéj niegdyś kolekcyi, pracowicie przez Zejsznera zbieranéj.

„*O wodach mineralnych buskich*“ przez kand. Bronisława *Pawlewskiego* (176—179). Wzmianka historyczna i szczegółowe rozbiory źródeł.

„*Rozbiory chemiczne czterech skał Tatrzańskich*“ dokonane przez kand. Bronisława *Znatowicza* (str. 180—182).

Dział trzeci: „*botanika i zoologia*“ obejmuje rozprawy:

„*O Łukowskiem płaskowzgórzu i nieco o jego roślinności jawnokwiatowéj*“ przez Kazimierza *Łapczyńskiego* (str. 185—199). Autor w części pierwszéj podaje opis okolic Łukowa, ze szczególném uwzględnieniem biegu rzek i znajdowania się jodły oraz wspomina o roślinach wymienianych przez Jastrzębowskiego. Następnie podaje obszerny przegląd roślinności jawnokwiatowéj tego płaskowzgórza, w czém pewną dlań pomocą były zielniki rodziny Hemplów i wskazówki rozmieszczenia roślin p. Joachima Hempla.

„*Wiadomość o trzech roślinach z rodziny złożonych, znalezionych w Lubelskiem*“ podał K. *Łapczyński* (str. 200—207). Dwie z nich: Kąsinę akantolistną, znalezioną koło Chełma przez p. Maryą Hemplówną, i Kąsinę pojedyńczą, zebraną koło Dubieńki przez p. Joachima Hempla, jako pierwsze u nas okazy, p. Łapczyński opisuje drobiazgowo.

„*Flora okolic Częstochowy*“ przez Ferdynanda *Karo* (str. 208—257). Autor wylicza zebrane lub obserwowane gatunki, notując je rodzinami, według systematu Brauna, a przy każdym gatunku podaje miejscowości ich znajdowania się, oraz miesiące ich kwitnienia. Jestto rezultat sześcioletnich systematycznych zbierań.

„*Spis mchów, wątrobowców i porostów z niektórych stanowisk Królestwa Polskiego*“ przez dra Kazimierza *Filipowicza* (str. 258—267) a mianowicie z doliny Ojcowskiéj i Bentkowickiéj, okolic Warszawy, Łukowa, Puław i Brześcia Litewskiego.

„*Fauna zwierząt ssących Warszawy i jéj stosunek do fauny całego kraju*“ przez A. *Wałeckiego* (str. 268—291). Autor zaznacza kolejno rozmaite gatunki ssących, napotykanych w obrębie wałów Warszawy, nie wyłączając więc takich np. miejscowości, jak Łazienek. Opisuje przytém różne swoje dostrzeżenia, czynione co do

niektórych właściwości i zwyczajów tych zwierząt. Ciekawe są np. uwagi o niedoperzach miejscowych, jeżu itd. Z ogólnéj liczby 69 gatunków ssących w kraju, w Warszawie pojawiają się przedstawicieiele 28 gatunków. Oprócz tego podany jest wykaz dostrzeżeń nieznanych przedtem w kraju gatunków od r. 1857 do roku 1880.

„*Materyały do fauny malakologicznéj Królestwa Polskiego*“ przez mag. Antoniego *Ślósarskiego* (str. 292—320). Rzecz swą rozpoczyna autor od podania szczegółowych wskazówek o sposobie zbierania i przechowywania mięczaków. Podawszy ogólne cechy ślimaków nagich, przechodzi szczegółowo rodzaje i znajdujące się w kraju gatunki, do czego jest dodana tablica starannie zrobionych rysunków. Kończy zaś rzecz opisem nowego gatunku ślimaka z gór Śto-Krzyzkich, który autor nazwał Helix Lubomirski.

„*Goplana polonica*“ przez prof. Augusta *Wrześniowskiego* (str. 321—347). Po ustaleniu terminologii i uwagach ogólnych o budowie skorupiaków obunogich, autor ustanawia nowy rodzaj Goplana i szczegółowo opisuje ustalony przez siebie gatunek Goplana polonica, którego wiele okazów napotkał po raz pierwszy przed sześciu laty w rowie oddzielającym ogrody Belwederski i Łazienkowski od pól zamiejskich; przed trzema laty takież okazy znalazł prof. Dybowski we wsi Białopole w Hrubieszowskiem. Nadto autor zaznacza, iż opisany w r. 1846 przez F. Müllera skorupiak pod nazwą Gammarus ambulans wypada uważać za inny gatunek tegoż rodzaju Goplana. Do rozprawy dodane dwie tablice rysunków.

„*Uzbrojenie gęby i mechanizm wysysania pokarmów u gąsienicy mrówkolwa*“ przez studenta J. *Nusbauma* (str. 349—355) z jedną tablicą rysunków. W pracowitéj téj monografii autor podaje te tylko wyniki własnych badań, które mają związek z mechanizmem wysysania zdobyczy, pomijając szczegóły histologiczne. Monografią tą p. Nusbaum stanął w rzędzie poważnych badaczów.

„*Spis owadów dwuskrzydłych, zebranych w Królestwie Polskiem i gubernii Mińskiéj*“ przez dra J. *Sznabla* (str. 357—390). Obszerne wskazówki zbierania u nas owadów dwuskrzydłych, które rozpoczynają tę rozprawę, mają wielką wartość ze względu na masę cennych szczegółów. W spisie samym podane są miejscowości i miesiące.

Dział czwarty, poświęcony „*antropologii*“, złożył się z następujących rozpraw:

„*Żalnik w Kwiatkowie*“ przez Seweryna *Tymienieckiego*o (str. 393—398). Autor zdaje sprawę z urn, wyrobów żelaznych i bronzowych, znalezionych na cmentarzysku we wsi Kwiatkowie nad Wartą w powiecie Kolskim, a tak z tych zabytków, jak i z formy grobów

wnosi, iż ono ze świeższych przedhistorycznych datuje się czasów; 25 rysunków, wykonanych przez J. *Peszkego*, przedstawiają ważniejsze z tych zabytków.

„*Wykopaliska Marienhauskie*“ przez Zygmunta *Glogera* (str. 399—402). Artykuł ten poświęcony jest opisowi podobnych przedmiotów, znalezionych na cmentarzyskach w Marienhausie, ostatnim na północy zameczku z miasteczkiem, należącem niegdyś do Polski, oraz w pobliskiéj miejscowości, zwanéj Gabaczewo. Ciekawsze są przedstawione na załączonéj tablicy. Zabytki te należą już do pierwszych wieków chrześcijaństwa w tym kraju. Na pierwszém z tych cmentarzysk znalazł jednak autor pierwszą na ziemiach polskich czaszkę trepanowaną; czaszki były częścią długogłowe, częścią krótkogłowe. Opisowi szczegółowemu czaszki trepanowanéj i dwu również jak i tamta długogłowych czaszek jest poświęcony następny artykuł:

„*O czaszkach ludzkich z cmentarzyska w Marienhausie*“ przez d-ra L. *Dudrewicza* (str. 403—406). Czaszka trepanowana należy do epoki o wiele wieków późniejszéj, niż podobne czaszki napotykane w dolmenach i jaskiniach Francyi, i według zdania autora, była prześwidrowaną za pomocą stalowéj cylindrycznéj piły, czyli tak zwanego trepana i elewatora u lewego końca rany kości w celu podniesienia lub wydobycia zapadłego kawałka, po którym nawet został ślad na wewnętrznéj blaszce kości u prawego brzegu otworu.

„*Czaszka z torfowiska wsi Salwonki*“ p. *Dudrewicza* (str. 407—409). Autor udawadnia, iż czaszka ta, znaleziona pod torfowiskiem w okolicach Białéjcerkwi, należąc do typu długogłowego, nie ma najmniejszego powinowactwa rasowego z tegoczesną ludnością Wołynia i Słowianami w ogólności. Do obu tych artykułów dodana jest tablica rysunków, wykonanych przez d-ra Peszkego.

„*O imieniu Polaków i Polski*“ przez d-ra Jana *Karłowicza* (str. 410—423). Podawszy wzmianki kronikarskie imienia Polaków i Polski i słoworody tak dawniejsze jak i nowsze, autor uzasadnia wywód słów Polak, Polska od pole, objaśnia rzeczownikową odmianę pierwotnego przymiotnika Polska i zastanawia się nad formą: w Polszcze. Kończy zaś ustępem o Polaku i Polsce w wyobrażeniu i gwarach ludu, u cudzoziemców, w przysłowiach i t. d.

Nakoniec w piątym dziale „*Miscelanea*“ znalazły pomieszczenie: *Krótka wiadomość o robieniu spostrzeżeń meteorologicznych* p. *Kowalczyka* (str. 427—445); *O spostrzeżeniach meteorologicznych, dokonywanych bez pomocy przyrządów* przez Apol. *Pietkiewicza* i *Jędrzejewicza* (str. 446—448); *Brzegi i dolina rzeki Liwca* przez Tymoteusza *Łuniewskiego* (str. 453—463) z mapą; jest-to wielostronnie opracowana mono-

grafia téj okolicy; *Skamieniałości, nadesłane do wydawnictwa* (str. 464), opis według zdeterminowania p. Ślósarskiego; wreszcie praca przysłana zbyt późno, by mogła być w dziale pierwszym zamieszczona: *Wyniki z doświadczeń meteorologicznych, dokonanych w ciągu ostatnich lat pięciu* (1876—1880) *w Pińsku* p. *Choroszewskiego* (str. 449—452).

Zewnętrzna strona wydawnictwa nader staranna i poważna. Pod względem typograficznym zaznaczyć także należy niezbite czcionki i bardzo staranną korektę, do czego nas drukarnie tutejsze nie przyzwyczaiły. Tablice rysunków wykonane w litografii W. Główczewskiego przepysznie, nie pozostawiają nic do życzenia. Redakcya zachowała pisownią jednostajną, postępową.

Dla czegośmy się podjęli sprawozdania z tego wydawnictwa i tak obszernie o niem się rozpisali? Dlaczego redakcya „Ateneum" tyle nam na to miejsca udzieliła?

Chcieliśmy przedewszystkiem podaniem treści tego tomu zwrócić nań uwagę tych wszystkich czytelników „Ateneum," którzy ocenić mogą poważne usiłowania należytego poznania naszego kraju. Zrozumieć oni przytem winni, iż dalsze losy tego doniosłego wydawnictwa zależą w części od zainteresowania się niém szerszéj publiczności. Ubliżalibyśmy naszemu społeczeństwu, gdybyśmy przypuszczali, iż obojętnością ostudzi poczciwe usiłowania wydawców i spółpracowników „Pamiętnika Fizyograficznego."

Chcielibyśmy nadto, aby u nas mógł się wytworzyć zastęp, na wzór Galicyjskiego, ludzi pragnących wedle sił i możności przyłożyć się do fizyograficznego zbadania kraju. W tomie pierwszym umyślnie pomieszczono wiele wskazówek, mogących im w tym celu być użytecznemi. Prócz dwu pierwszych bowiem artykułów działu piątego, podają je na początku swych prac pp. Ślósarski i Sznabl; wskazówkami same przez się są wreszcie artykuły pp. Wałeckiego i Łuniewskiego. Nadto, drobiazgowych wszelkich objaśnień mogą dostarczyć wydawcy, którzy nawet (str. 445) wzywają osoby chętne do zakładania stacyj meteorologicznych. Nie zapominajmy, iż do wytrwałéj, w celu poznania własnego kraju, spólnéj pracy całym zastępem gorąco nawoływał mąż wielkiego serca, Stanisław Staszyc. A przez lat tyle takeśmy mało w tym kierunku robili.

Maryan A. Baraniecki.

Gwara brzezińska w starostwie Ropczyckim. Studyum dyalektologiczne Romana Zawilińskiego. (Osobne odbicie z Rozpraw Akad. umiej. Wydz. filolog. tom VIII, Kraków 1880. 8-o str. 58,9).

Badania dyalektologiczne, któremi teraźniejsi gramatycy tak gorąco się zajmują, liczą i u nas coraz więcéj zwolenników. W styczniowym zeszycie podaliśmy ocenę „Gwary lasowskiéj“ p. S. Matusiaka, teraz zaś mamy znowu przed oczyma podobną pracę p. R. Zawilińskiego, w któréj autor podaje nam umiejętne opracowanie języka, jakim mówi lud we wsi Brzezinach, koło Ropczyc w Galicyi.

Nim przystąpię do wykazania wad i zalet téj pracy, przytoczę niektóre właściwości gwary brzezińskiéj: 1) Samogłoski, zaczynające wyraz, mają prawie zawsze przed sobą dźwięk spółgłoskowy, a mianowicie: *o* ma dźwięk wargowy ŭ, przed *a* stoi *j* lub *h*; przed *i*, a niekiedy i przed *e*, jest *j*. Właściwość ta wspólna jest i innym gwarom polskim. 2) Pierwotne *e* wraca w wyrazach, jak: wiedę, mietę, bierę, niesą wiezą, gnietwa, pletwa (og. pols. gniotła, plotła), mietwa (miotła), wiesna, zeniaty, biedra, pieter, wawrzeniec. 3) Dążność do samogłoski *e* objawia się w wyrazach, jak: preceś (og. pols. proces), hereśt, krechy (og. pols. kruchy), daléj w formach deklinacyjnych i konjugacyjnych, jak: dobrem panem, cawem sercem; w dobrem panie, w dobrem dziecku; dobremi ziemniakami, dobremi córkami, mawemi nocami, a nawet w celowniku l. mn. dobrem panom, dobrem matkom, dobrem dzieciom, co już i w ogólnéj mowie pewnych okolic zauważył prof. Baudouin de Courtenay (Beitr. VIII. 238—239); w trybie rozkazującym słów, jak: cekej (og. pols. czekaj), swuchej (słuchaj), spytej sie, witejcie i t. p. w formach analog. bedemy, vlekemy i t. p., daléj w wyrazach: dzisiej, bodej. 4) Samogłoska *i* przechodzi przed *w* (wargowe *ł*) na *u* w imiesł. czasu przeszłego, np. męskie patrzuw, lubiuw, nijakie mówiuo, w rodzaju żeńskim zaś przytém *w* niknie np. spalua, parzua, zamiast: spaluwa, parzuwa i t. p. 5) Miękkie *e* + *w* (*ł*) przechodzi w miękkie *o* + *w* (*ł*) w wyrazach, jak: uorzow, uosiow, koziow (og. pols. orzeł, osieł, kozieł). 6) *u* przed nosowemi przechodzi na *o* w przyswojonych: tronna, fortona, font, gront. 7) Samogłoski ścieśnione: *é*, *ó*, *á* występują tu wyraźnie, jak w innych gwarach polskich. 8) Samogłoski nosowe nie różnią się prawie od tych jakie są w ogólnym języku, z tym wyjątkiem, że w niektórych formach ginie rynezm, jak np. piekny, do studnie, mie, cie, sie, biernik: córke, studnio; w innych zaś występują twory analogiczne, jak np. narzędnik: s flaskom, mwodom, ze mnom. 9) Nowotwory jak: zawilęński, mercęński zamiast Zawiliński, merczyński, margorzę^{n}ta (małgorzata). 10) Dwadzieścia ściąga się w dwaścia, powiedział w pedzia^{u}, lecz

nie ściąga się w imiesłowie czasu przeszłego rodz. żeńs. po zniknięciu *w* (*l*): braa, daa i t. p. zamiast brała, dała. 11) *kt* przechodzi na *cht*, np. utchnąć, dochtór; *chv* na *kv* np. kwast, kwalić; *ch* występuje obok *f* lub je zastępuje np. uochfiara, niefcący. 12) W miejscu og. pols. *j*. często z rozmaitych przyczyn występuje dźwięk *ń*: weńść, wyńść, uodeńść, mieńsce, bartwomień, wcorańsy, dzisieńsy. 13) Gwara brzezińska jest na pół mazurską, bo obok: zenić, cięzar, bozy, zelazo słychać: żyd, żyto, boży, szcekać, szczęście, pożycać, duszycka i t. p. Mówią tu, jak w gwarze lasowskiéj, obok: lekarztwo, cesarzki, naparztek, warztat, także gospodarzstwo. Zębowo sycząca podwaja się w wyrazach: mięsso, do lassa, bosso i t. p. 13) *r* i *z* zlewa się w *ř* w wyrazach: mařnąć, bař; *r* znika na początku w prepozycyi roz-: ᵘozdar; *l* brzmi wargowo jak ŭ, co oznacza autor przez *w*, np. gwowa, mwyjn (młyn), ḿiwy (miły), mwody, uorzow (orzeł) i t. p. ginie na końcu w imiesłowach czasu przeszłego po spółgłoskach np. móg, umar, zezar, zjad; przechodzi zaś na słabe wargowe *u* po samogłoskach: swysáᵘ, chciaᵘ. Nadto ginie *l* w tychże imiesłowach żeńs. braa, miaa; po niektórych spółgłoskach w wyrazach, jak: stuc, pcha, gupi, dugo, zamiast stłuc, pchła, głupi, długo i t. p. 14) Zębowe *t*, *d*, giną w wyrazach, jak: paśvisko, rzomnie (rządnie, porządnie), przyświacać, zaświacenie; *m* występuje, gdzie w og. pols. jest *n*: mikwy (nikły), mikodem. 15) Wargowe *w* ginie w chytać, stązka, schód, piersy, dzikoski, boboski i t. p. 16) Imiesłowy: umarty, podstany; temata rzeczownikowe: uopwat, por. staropols. *płat* i dzisiejsze u klas rzemieślniczych używane wypłat; żeńskie: biedra, kapuścina, kądzielina, goszcelina, próznica, liska, mrocka (mrówka); nijakie: pozwoleństwo; temata przymiotnikowe: probantny (doświadczony), świarny, wilgny, wartny, wsioski (wiejski), stopień wyższy: piersiejsy, chorsy, terańsy. 17) W deklinacyi: ze dvora, deszca, z jutrznie, z duse, panowi, uojcovi; biernik: moję corke, drugo noge, dobrom paso, lepsą studnio mámy, dobrom fuzyjom; wołacz: sváku, bratu; narzędnik: s flaskom, s pomocom; miejscownik: w panie, w synie; liczba mnoga: roki, pśi, bartowie, bratów; liczba podwójna: dwa garca, dwa korca, paru chwopóv, rzadko: dwiema rękama i dwioma (str. 6). 18) W konjugacyi: końcówka tr. rozkazującego *-va*, np. zabierzwa sie; z kombinacyi téj końcówki z końcówką *-my* liczby mnogiej powstała końcówka *-ma*, np. weźma sie. Formy: jezdem, jezdeś, jest, sąmy, sąście, są; z analogii do 1 osoby liczby pojedyńczéj są tu formy: bedemy, jidemy, gnietemy, zasnemy, kwalemy, widzemy, wrócemy, lezemy i t. p.

Większa część wyliczonych tu zjawisk w gwarze brzezińskiéj nie jest cechą wyłączną téj gwary, lecz znajduje się i w innych zna-

nych dotychczas, jak np. w opolskiéj, kasińskiéj (1), kozielskiéj (2) i lasowskiéj. Nie znajdujemy tu ani tak ważnych odkryć niejako i objaśnień, jak w gwarze opolskiéj prof. Malinowskiego, ani téż z drugiéj strony tak ciekawego materyału, jak w gwarze lasowskiéj. W szczegółach da się zarzucić pracy téj głównie to, że autor nie wszędzie podział wzoru (pr. Malinowski), którym się przy opracowaniu posługiwał, dobrze zrozumiał. Wskutek tego niektóre zjawiska są z sobą pomieszane, przegląd zaś w niektórych miejscach niedokładny. Przytém w samém notowaniu zjawisk brak czasem konsekwencyi, jakkolwiek autor język swego miejsca rodzinnego zna dokładnie. Tak np. na str. 10 podaje autor, że *u* przechodzi w *o* w wyrazie *tronna*, a jednak na str. 31 znajdujemy *trunna*. W wielu miejscach objaśnia autor zjawiska niedokładnie lub wcale ich nie objaśnia. W wyrazach: ściérwo, świérk, siérp, zér (str. 11) nie tkwi starosł. ѣ, bo w starosłow. odpowiadają im: стръвь, смръчь (cedrus), сръпъ, жпръ (por. Miklosich, Lexicon linguae palaeoslov.). Jako *lapsus calami* uważam pomieszczenie form: z wielgi radości, s ty biedy (str. 12) w przykładach narzędnika i miejscownika. W formach tych dopełniacza i w przytoczonych daléj: miwy (miły) somsiady, kochany córunie, uważałbym raczéj szczątek deklinacyi rzeczownikowéj przymiotników, niż przejście *-ej* w *-y*. Tak samo w przysłówkach stopnia wyższego: dali, gorzy, lepi i t. p. uważaćby można nie przejście *-ej* w *-i*, lecz raczéj ścieśnienie pierwotnéj końcówki ě: dale, gorze, lepie, w dalé, gorzé, lepié, a następnie: dali, gorzy, lepi. Niewłaściwy podział w szczegółach spostrzega się mianowicie w przedstawieniu zjawisk *á* ścieśnionego, a po części i w samogłoskach nosowych. Zjawiska, w których występuje *á* ścieśnione, dzieli autor na 3 główne działy: 1) *á* ścieśnione powstało z przedłużenia, 2) *á* wywołane następstwem spółgłosek, 3) *á* ze ściągnięcia. Faktem jest, że głównie przyczyny ścieśnienia samogłoski szukać trzeba albo w stopniowaniu samogłosek, albo w zdłużeniu zastępczém, albo w ściągnięciu, albo téż wreszcie w akcencie pierwotnym. Autor jednak pod działy swe podciągnął i takie zjawiska, które do nich wcale nie należą. Tak np. pod I) wyliczywszy 7 rodzajów zjawisk, w których są przypadki różnego przedłużenia a raczéj stopniowania samogłosek, przyłącza do tego działu ścieśnie-

---

(1) Głoski nosowe w gwarze ludowéj we wsi Kasinie oraz niektóre inne właściwości téj gwary przez L. Malinowskiego. Kraków, 1880.

(2) Ślady dyjalektyczne w oznaczeniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego wieku XV i XVI przez L. Malinowskiego. Kraków, 1880.

nie w sufiksach: -ák, -ácz, -ászek, -ál, -árz, -án i przyimki zá-, ná-, nád- w złożeniach, jak gdyby w tych przypadkach powstało *á* ścieśnione także ze stopniowania. Na zjawiska te trzeba było utworzyć osobną kategoryą, bo ścieśnienie a dawniéj przedłużenie powstało zapewne w tych razach pod wpływem pierwotnego akcentu.

Przez rozdrobnienie przykładów na liczne szczegóły i szczególiki dopuścił się autor niejednego błędu. Tak np. w § 10 sądzi, że w czasowniku stáć jest *á* ścieśnione z powodu przedłużenia *o* na *a* jak w czasowniku *pomagać*, w § 12 zaś upatruje przyczynę ścieśnienia wściągnięciu z *ija* lub *ěja*, gdy tymczasem *stáć* jest ściągnięte ze *stojać*, podobnie też *báć sie* z *bojać sie*. W czasownikach: mácać, pásać nie jest *o* przedłużone w *a*, jak w słowach: gániać, máwiać, które do jednéj kategoryi są zaliczone. To samo tyczy się rzeczowników: vár, gáj, rárόg. W rzeczownikach: kwiatek, piasek tkwi sufiks -ък, a nie -ьк, bo byłoby: kwiaćek, piaśek. Imiesłów bierny cz. przeszł. rodz. żeńs. ^{u}ustrojoná, vzię^{n}tá, vybavioná i t. p. ma *á* ścieśnione, szkoda jednak, że autor nie podał w jakiém użyciu, czy jako przydawka, czy jako orzeczenie, czy też może w obu razach. Wiemy bowiem, że w orzeczeniu najdłużéj się zachowała forma rzeczownikowa przymiotników i imiesłowów, w takim więc razie powodu do ścieśnienia by nie było, tylko w przydawce. Rozkład samogłosek nosowych dobry jest, lecz autor, wszystkich zjawisk w tym rozkładzie nie umieściwszy, musiał tworzyć późniéj nowe kategorye, w których do pewnych zjawisk drugi raz powtórzonych dodaje inne jeszcze nie wzmiankowane. Tak np. przy refleksach starosł. Ѫ (og. pols. *ę*) należało umieścić w pierwiastkach b*e*dę, bedzie, bedemy (ze str. 22), w sufiksach noge, córke (biernik, ze str. 37); podobnie przy refleksach starosł. Ѫ (og. pols. ǫ) obok: panią, kuznią, należało przytoczyć bierniki: paszo, studnio (ze str. 37), obok leliją, komisyją bierniki: vilijom, fuzyjom (str. 37); tak samo ma się rzecz z formami narzędnika: dobrǫ^{m} (str. 20), z mwodom (str. 21), z dobro matkom (str. 22), i t. p. Wprawdzie jest-to rzecz więcéj formalna, ale przysłowie mówi: *qui bene distinguit, bene docet*. A w pracach podobnych właśnie o to chodzi, aby zjawiska do pewnéj kategoryi należące jak najdokładniéj zebrać i najdogodniéj przedstawić. Gdy te bowiem po różnych miejscach porozrzucane będą, rzecz traci na ścisłości. W formach: z mwodom (z młodą), s flaskom, s pomocom, zemnom, upatrywałbym raczéj twory analogiczne, niż rozłożenie się na samogłoskę czystą i spółgłoskę nosową (str. 21). Autor zauważył, że w pierwiastkach i tematach po samogłosce nosowéj zjawia się jeszcze słaby dźwięk *n*, jeśli następuje spółgłoska zębowa, *m* zaś — jeśli wargowa, co jednak nie jest właściwością téj gwary wyłączną. Całkiem naturalna więc, że i przed *c* jawi się taki

pogłos *n*, gdyż to niczém nie jest innêm, jak tylko *ts*, np. gorą^{n}cy, miesią^{n}c (str. 21). W wyrazie *veńść* (§ 21) nie przeszło *j* na *ń*, lecz raczéj *n* znajdujące się pierwotnie w przyimku вън- z następném *ji* czasownika jiść przeszło w *ń*, zupełnie jak biernik liczby pojedyńczéj вънн=venji=veń (por. Baudouin de Courtenay: O tak nazywajemoj „ewfoniczeskoj wstawkie“ sogłasnawo *n* w słow. jaz.). Podług analogii zaś wyrazu *veńść* powstały inne wyrazy, przez autora przytoczone, jak: vyńść, odeńść, obeńść sie. Tłómaczenie, w jaki sposób z wyrażenia *w ład* powstało *ve vad*, wydaje mi się trochę za sztuczne. Sądziłbym, że tu po prostu *w ład* przeszło w *v vad*, a następnie w *ve vad*. W tworzeniu tematów przymiotnikowych nie znajdujemy żadnéj wzmianki o tematach miękkich na *-ja*, jak np. górńi, zasadńi, których przykłady czytamy w „Dodatku“ str. 40 zaraz w pierwszym wierszu: „Brzeziny dzielą się na zasadńe, górńe, podkościelne, średńe i dolńe.“ Ciekawa byłaby rzecz, które przymiotniki występują tu jako temata twarde, które zaś jako miękkie. Podobne zamiłowanie do tematów miękkich spotykamy już w niektórych zabytkach staropolskich, jak np. w psałterzu Puławskim: proknye szyemę str. 42 rec. (psalm 21.22), proknya czelyadz str. 42 vers. (ps. 21.29), wyernye kaszny (fidelia praecepta) 225 v. (ps. 110.7) i t. p. Możnaby w tém upatrywać ślad dyalektyczny. Godna uwagi, że w gwarze téj i kilka innych jeszcze spotykamy właściwości, które znane nam są z najstarszych pomników języka polskiego. Tak np. stopień wyższy *piersiejsy* (§ 31), w którym tkwią oba sufiksy: -szy i -ejszy, ma odpowiednią sobie formę w psałterzu Puławskim: *slotszeyssza* nad strzedz 35 v. (ps. 18.11). Wyrażenie *po próznicy* (str. 34) znajdujemy w psałterzu Floryańskim raz: po proszniczi ps. 62, w Puławskim zaś 3 razy: poprosznyczy 46 rec. po proznyczy 123 rec. 260 vers. Podobnie z wyrażeniem: *ńizac sie go má* (§ 38) porównać można: gichsze ny zacz ne ymaiǫ Flor. 89. gichze nyzacz ymayǫ Puławs. 182 r. Do błędów, jakie z nieuwagi powstały, należy między innemi to, że autor tem. pierw. na *-i* s pomocom zalicza między temata na *-a*. Szkoda, że w deklinacyi nie zwrócił jeszcze autor uwagi na to, jak kończy się miejscownik liczby mnog. zaimków i przymiotników, czy ma *e* w końcówce jak inne przypadki, czy też *-ych*. Do wyrazów, które p. Appel (w *Rus. filol. wiestn.* N. 4) objaśnia wpływem *czynników psychicznych*, t. j. analogią, etymologią ludową i różniczkowaniem, dodałbym jeszcze następujące: *bojsko* obok bojisko (str. 9) mogło powstać w skutek poczucia pewnego związku z *bojem* i *wojskiem*, prócz wspólności więc z rzeczą samą t. j. biciem widzimy tu i analogią w sufiksie; podobnie w wyrazach: *kukówka* (kukiełka, koło Krakowa) jest pewna sufiksalna analogia do *kukuwka* (ptak kukułka), *bartwomień* (str. 25) suf. *-men-*, jak w płomień,

kamień, krzemień; w *fortona* można upatrywać analogią do *korona*, matrona, *żona*, błona i t. p.; *benedyk* (str. 29), w którym p. A. upatruje analogią sufiksu *-yk*, znajdujemy także w gwarze kasińskiéj str. 15. W wyrazach przyswojonych: *font*, *gront* możnaby uważać działanie asonancyi z wyrazami *kąt*, lont, front, jeśli tylko te dwa ostatnie są ludowi brzezińskiemu znane. Być może nawet, że *n* w tych wyrazach brzmi słabiéj przed *t* i nie wiele różni się od tego, jakie znajdujemy w wyrazach: piǫ^{n}tek, kǫ^{n}tek, sprzǫ^{n}tek (str. 21). W wyrazie *leńijá* (str. 9), tak samo jak w leniuszek, poczuwa się coś wspólnego z wyrazem *leniwy*; podobnie *karyta* (str. 12) i koryto; *plaski* (og. pols. płaski, str. 28) i placki od rzeczownika placek; *ochtaby* (octáva) i ochaby, schaby, baby, żaby, draby; *vanatki* (jabłka Banaten str. 31) i manatki; *margorzę^{n}ta* i niebożęta, dziewczęta i t. p. mają w poczuciu ludu coś wspólnego z sobą.

W dodatku podaje autor nazwy miejsc w Brzezinach, nazwiska wieśniaków, a jako wzory języka zanotował dokładnie organiczną pisownią kilka modlitewek i obszerny opis wesela. Tak w modlitewkach, jak i w opisie wesela mamy próbki poezyi ludu brzezińskiego. W słowniku zamieszcza autor wiele bardzo ciekawych wyrazów jak np. bablać=płókać, balabajda=awanturnik, bandżoch=brzuch, belefoty=chwasty, bwanykać sie=wałęsać się, brobázgać=powalać się, brotojić śe=ruszać się gromadnie, cępny=paciepny=posępny, cyvać=chorować ciężko i być bliskim zgonu, dąg, dęgi=części beczki lub konewki, dzierzępać=targać, rwać, dziopa=dziewka, fetecie=strzępki, frędzle; gańdziara=leniuch, gomon=hałas, zamieszanie, chadra=szmata potargana, kobiéta podejrzana, haniemucha=ambitny, krąpeć=krtań, krzypota=kaszel, wopie nie wopie=łatwo nie łatwo, maźli=prędzéj, morasić=bić, tłuc, narącko=ręka od dłoni po łokieć, niepeć=niespodziewanie, niezdobocka (*zniedobaczka* u Potockieg*o*)=nagle niespodzianie, pośratać śe=zejść się, zwąchać się (o młódzieży płci obojéj lub o zwierzętach), povązka=płótno do cedzenia udojonego mléka, psuby=grzyby nie jadalne (w pierwszéj części może poczucie tego samego pierwiastku co w grzybach zwanych psiarki, w końcówce zaś może wpływ ruskiego *guby*), rechtać: wyraz onomatopeiczny o żabach, i świniach, podobnie ropotać, ściviśnie=w rzeczy saméj, śląkwa=słota, v^{u}ocemieniu (*w ocemgnieniu* u Potockiego) = w okamgnieniu, tu może poczuwają coś wspólnego z wyrażeniem: w ociemnieniu lub w oka mienieniu; sprzykśny=natręt, svák (może ściągnięte ze svojak)=wuj lub stryj, w Stobiernéj zaś pod Rzeszowem, jak mię zapewniano, ma to znaczyć teść, w gwarze lasowskiéj zaś: mąż siostry matki; telbuch=brzuch, w gwarze lasowskiéj wyraz nieznany, to samo znaczy vańtuch; zązelic=łajać kogo, to

samo znaczy zryzać. Największemi zaletami téj pracy są: dokładne zapisanie wszelkich zjawisk pisownią organiczną, bogaty słownik i sumienne opracowanie materyału, za co autorowi najzupełniejsze należy się uznanie.

Kraków, w Styczniu 1881.

Jan Hanusz.

Sanctissimi Domini Nostri Leonis PP. XIII litera encyclica de Bulgarorum et Slavorum christiana origine, illustrata documentis excerptis ex antiquis epistolis Romanorum Pontificum P. V. V. O. P. Romae ex typographia polyglotta S. C. de propaganda fide, 1881, stronnic 24, 8°.

Encyklika papieża Leona XIII *Grande munus* z 30 Września r. 1880 o św. Cyrylu i Metodym ogłoszoną była po raz pierwszy w Rzymie w dziennikach klerykalnych z 2 Października tegoż roku, przedrukowana następnie i przetłómaczona przez wiele codziennych pism słowiańskich, powtórnie została ogłoszoną drukiem przez kongregacyą de propaganda fide pod powyższym tytułem wraz z wyjątkami dokumentów, które w części służyły jéj za podstawę.

Wiele słowiańskich czasopism i dzienników, które podały ją, lub nie, w całym jéj tekscie, bardzo przychylnie wyraziło się o niéj żadne jednak, o ile wiem, nie zwróciło uwagi na historyczną jéj część tj. o ile podane w niéj wiadomości z działalności apostołów słowiańskich zgodne są z faktami przez krytykę historyczną uznanemi za pewne. W tym względzie ci nawet, którzy historyą apostołów znają choćby nie ze źródeł pierwszéj ręki, zdziwieni być musieli niektóremi jéj ustępami, w szczególności zaś następnym: „Per eadem tempora Evangelii lumen in Poloniam invehendum curavit (Methodius), quo cum ille per mediam Gallaeciam penetravisset, sedem episcopalem Leopoli statuit. Inde, ut nonnuli tradiderunt, in Moscoviam proprii nominis digressus, thronum pontificale Kiowense constituit.“ Z jakiego źródła wyczerpano te dane jest bezwątpienia rzeczą bardzo ciekawą, tak samo jak niewłaściwą, mówiąc o czasach Cyryla i Metodego, używać wyrazów *Moscovia* (miasto Moskwa po raz pierwszy wzmiankuje się w historyi w roku 1147 a wielkie księstwo Moskiewskie powstało znacznie późniéj i Kijów, notabene, został do niego przyłączony dopiéro w XVII wieku) lub *Gallaecia* i to jeszcze w tak poważnym dokumencie. Piszący niniejsze słowa miał sposobność zwracać uwagę jednego z wysokich dostojników kościoła na kruche w obec historyi fundamenty, na jakich opiera się ten ustęp; odpowiedziano mu uprzejmie, że w archiwum Watykańskiém musia-

no zapewne odszukać dokumenty, potwierdzające te fakty, co było raczéj próbą sprowadzenia oponenta z drogi krytyki na drogę wiary *in verba magistri*, aniżeli zadawalniającém tłómaczeniem, bo jeżeliby podobne dokumenty istniały, ukrywanie ich nie miałoby celu, ale przeciwnie podanie ich do powszechnéj wiadomości byłoby korzystném dla saméj stolicy apostolskiéj a dla historyi bardzo ważném; że ich niema wnioskować można i z tego (pomijam, że wyrazy *nonnulli tradiderunt* same wykluczają istnienie jakichkolwiek dokumentów), że prefekt archiwum Watykańskiego prof. dr. Piotr Balan, który wkrótce po ogłoszeniu encykliki umieścił w rzymskim dzienniku *Aurora* szereg artykułów o stosunkach stolicy apostolskiéj ze Słowianami w średnich wiekach, podając w nich nieco nowych źródłowych wiadomości, o niczém podobném nie wspomina; żadnego również dokumentu lub historycznéj notatki do objaśnienia powyższego ustępu nie znajdujemy w dodatkach do tego wydania encykliki, którego tytuł wypisałem na czele.

Materyałów do encykliki dostarczyć musiał kardynał Bartolini, do którego podobne sprawy, jako do przełożonego kongregacyi rytów; z obowiązku należą, jego więc informacye nie były widać należycie źródłowe, mimo że tą kwestyą zajmował się od dosyć dawnego czasu, jeszcze jako sekretarz tejże kongregacyi. Wątpię bowiem, ażeby podobne niedokładności, nie wskutek informacyi, zaczerpniętych ze złych źródeł lub od osób nie dobrze ze sprawą obznajmionych ale umyślnie pomieszczone zostały w encyklice dla objęcia nią, że się tak wyrażę, jak największéj jeograficznéj przestrzeni i *wszystkich* narodów słowiańskich, lub téż, gdy encyklika miała być podobno przed ogłoszeniem komunikowaną w Wiedniu i tam porobiono zmiany w jéj pierwotnéj redakcyi, ażeby jakiś uczony mąż z Ballplatz'u kazał choćby *Gallaeciae* tylko odgrywać w encyklice taką rolę, jak Piłat w *Credo*. Zdaje mi się, że wspomniany ustęp mógłby być ze względu na historyą lub opuszczony, lub inaczéj zredagowany z opuszczeniem wzmianki o założeniu przez Metodego biskupstw we Lwowie i Kijowie a już co najmniéj bez obrazy historyi wypadałoby użyć wyrazów *Russia* i *Chrobacia* zamiast *Moscovia* i *Gallaecia*.

Wyjątki z dokumentów, ogłoszone tu z bullą (str. 12—24), prawie wszystkie odnoszą się do spraw kościoła Bulgarskiego i historyi stosunków kuryi Rzymskiéj z Bulgaryą aż po rok 1204; niema w nich nic nowego i są tylko częściowym przedrukiem dokumentów, które się znajdują w Patrologii Migne'go w tomach 119, 122, 214 i 215.

Powracając jeszcze do encykliki, dodaję, że w niéj wspomniano także, iż św. Cyryl umarł w Rzymie i tu z wielką pompą pochowany został. Bazylika św. Klemensa, w któréj kości jego zostały zło-

żone, doznawała od owéj chwili rozmaitych ciosów losu i czasu: dziś nie jest pewném, czy te kości spoczywają tam jeszcze, nieznaném jest miejsce, w którém ongi był grób jego; ażeby się o tém przekonać, potrzeba przedsięwziąć pilne poszukiwania, dokładnie zbadać mury i fundamenty bazyliki i mieć na to znaczny fundusz. Nim się takowy zbierze i badania dojdą do skutku, uważam za stosowne ogłosić poniższy list Rudolfa II do Grzegorza XIII z 12 Listpada roku 1580, w którym cesarz popiera prożbę swego poddanego Stanisława Pawłowskiego, biskupa Ołomunieckiego, ażeby papież pozwolił przenieść kości tych świętych na Morawę, gdzie oni słowo boże pierwsi opowiadali i gdzie ich pamięć zdawna najwięcéj była czczoną. Oto jego dosłowny tekst:

Beatissime in Christo Pater et Domine reverendissime. Post humilem commendationem filialis observantiae continuum incrementum Sanctitati Vestrae inprimis optamus. Ossa divorum Cyrilli et Methudii episcoporum sacra, qui fidem catholicam primi in marchionatu nostro Moraviae docuerunt, Romae delitescere accepimus. Ea ossa reverendus, devotus, fidelis nobis dilectus Stanislaus Paulovius, episcopus Olomuncensis, cuius in diocesi colitur et celebratur quotannis horum Sanctorum memoria, ad ornamentum et thesaurum ecclesiae suae valde expetit, eaque de re litteras ad Sanctitatem Vestram dare constituit. Cum itaque eius episcopi in Deum et in veram religionem catholicam, quam afflictis his temporibus pro virili tueri et propagare contendit, ardens studium et in Sanctitatem Vestram pietatem singularem exploratam habeamus, volumus, ut is Sanctitati Vestrae hoc nomine tanto magis commendaretur. Ac propterea regamus Sanctitatem Vestram peramanter, ut eius petitioni pro sua praestanti bonitate annuat et ossa nominata ad aedificationem populi Moravici et maiorem eius in Deum cultum illi concedat. Erit haec Sanctitatis Vestrae benignitas et propensio ipsi Deo inprimis grata, nobis vero, qui Sanctitati Vestrae omnia prospera evenire ex animo cupimus, perquam accepta. Praga nostra regia XII Novembris, anno domini Servatoris nostri octuagesimo; regnorum nostrorum Romani et Imperii sexto, Hungariae nono, Bohemiae vero sexto.

Obsequens filius *Rudolphus.*

Wratislaus a Pernestan
Supremus Regni Boemiae Cancellarius.

na zewnątrz:

Beatissimo in Christo Patri, Domino Gregorio decimotertio, divina providentia, Sanctae Romanae ac Universalis Ecclesiae Summo Pontifici, Domino reverendissimo.

List ten pisany jest na pargaminie; odszukałem go w archiwum tajném Watykańskiém w oddziele *Litterae principum* tom 35, nr. 28; listu samego biskupa i odpowiedzi papieża nie udało mi się dotychczas znaleść.

Rzym 5 Czerwca 1881, *Teodor Wierzbowski.*

= **Metody i teorye rozwiązywania zadań geometrycznych konstrukcyjnych**, *zastosowane do przeszło 400 zadań przez dr. Jul. Petersena... przetłómaczył dr. Karol Hertz*, (Warszawa, 1881, str. 101). Autora zajmuje myśl wyrobienia w czytelniku systematycznéj, na tych samych zasadach teoretycznych opartéj, metody rozwiązywania za pomocą wykreślenia oddzielnych grup zadań geometrycznych. Dąży więc do tego, aby czytelnik jasno zdał sobie sprawę z charakteru zadania, sam obmyślił zastosowanie znanych (a przytoczonych) prawd ogólnych do jego rozwiązania, jako też należycie przedstawił sobie związek danego zadania z innemi. Przestudyowanie sumienne téj książeczki rozwija w kierunku właściwym zdolności obserwacyjne i kombinacyjne ucznia, wyrabiając poważnie jego samodzielność. Podobnego dzieła literatura matematyczna jeszcze nie posiadała. Nie dziw więc, że ono, choć po duńsku pierwotnie (1866) wydane zwróciło na siebie uwagę nietylko w krajach bliskich, tj. w Szwecyi i Norwegii, ale doczekało się (w r. 1879) tłómaczeń na języki francuzki, niemiecki i angielski, a obecnie p. Hertz zrobił je dostępném dla naszéj młodzieży. Uwzględnienie jéj w nauczaniu średniém zniosłoby jednostronność zadań na niemal wyłącznie algebraiczne rozwiązywania. Dla studyujących zaś matematykę w zakładach specyalnych książka ta przedstawia znakomite przygotowanie do przyswojenia należytego metod wykreślnych, coraz więcéj uwzględnianych w różnych działach matematyki stosowanéj.

= **Salomon Majmon**, *przyczynek do dziejów filozofii w Polsce*, napisał *Antoni Rembieliński* (Warszawa, 1881, str. 56). Na pierwszych 8 stronicach kreśli autor w rysach nader ogólnych stan filozofii w Polsce w ciągu trzech stuleci (XVI—XVIII) i dochodzi do wniosku, że „filozofiia polska zawsze odznaczała się pewnym brakiem samodzielności i oryginalności, a w skutek tego spodziewać się, żeby mogła ona wywrzéć tak doniosły wpływ na ogólny rozwój europejskiéj myśli, jaki bezwątpienia wywarła filozofia narodów zachodu“ nie można. Następnie zaznaczywszy, że Majmonem zajmowali się u nas dwaj pisarze Urmowski w Roczniku *Uniwersytetu* Warsz. (*sic!*) i Kazimierz Kaszewski w „Bibliotece Warszawskiéj“, określa pierwszą pracę jako wyczerpującą biografią tylko, drugą zaś stawiając wysoko, robi

zarzut, że nic prawie-nie wspomniała „o wpływie, jaki wywarł Majmon na rozwój filozofii w Polsce.“ Z téj charakterystyki i z tego zarzutu mogłoby się wydawać, że główną myślą „przyczynku do dziejów filozofii w Polsce“ będzie wykazanie owego wpływu Salomona Majmona. Czytelnik jednak przekonywa się niebawem, że tak nie jest; czyta bowiem biografią Majmona (str. 11—26), tytuły dzieł przezeń wydanych (str. 26—30), daléj streszczenie wielce nieudolne trzech rozpraw nierozbieranych przez p. Kaszewskiego tj. *Badań krytycznych*, *O postępach filozofii* i *Kategoryi Arystotelesa* (str. 30—48). Dopiéro na 8 ostatnich stronicach znaleść można *próbę* dowodzenia, że Majmon wywarł znaczny wpływ na umysłowość narodu naszego. Ale tu spotkamy gołosłowne jedynie twierdzenia, niepoparte faktami. Sam p. Rembieliński zmuszony jest wyznać, że „Majmon nie wywarł wpływu na filozofią w Polsce ani swoją *Logiką*, ani *Poszukiwaniami krytycznemi*, ale swoją działalnością, mającą na celu wzniecić wśród swych ziomków zapał do badań filozoficznych, obudzić myśl polską, która przez dwa wieki była w uśpieniu“ (str. 53). Na następnéj zaś karcie i to nawet twierdzenie ścieśnia, mówiąc: „Majmon nie wywarł wpływu na rozwój filozofii w Polsce jako filozof-metafizyk, ale jeden z mężów, którzy wskazali naszemu społeczeństwu nowe ideały—naukę i pracę, a *przez to* wpłynęli na ogólny rozwój myśli polskiéj“ (str. 55). My ze swéj strony zauważymy, że chcąc wykazać wpływ jakiego myśliciela na społeczeństwo, potrzeba dowieść, że poglądy jego znalazły zwolenników w kraju, że stawały się przedmiotem rozważania i rozbioru, i dawały pochop do dalszych badań. Tymczasem Majmon pisał po niemiecku, o działalności jego nie wiedziano w kraju bardzo długo, filozofią niemiecką poznawano nie z jego prac, ale z dzieł głównych filozofów niemieckich, Kanta, Fichtego, Schellinga, których dali nam poznać na początku stulecia bieżącego Jędrzéj Śniadecki i Józef Kalasanty Szaniawski. Ta okoliczność, że Majmon w swojéj autobiografii pomieścił „statystyczne opisanie kraju naszego“; że swoję krytykę filozofii Kanta dedykował Stanisławowi Augustowi; że pragnął, „aby wszystkie klasy społeczeństwa polskiego, porzuciwszy niesnaski i spory, żyły w zgodzie, mając wyłącznie dobro publiczne na względzie; że nazywał się zawsze „urodzonym Polakiem“:—dowodzi jedynie jego zacnych uczuć obywatelskich; to mu niewątpliwie przyznaném być winno i to jedynie upoważnia nas do zaliczania go w poczet filozofów polskich, nie zaś wpływ, którego dotąd nie dowiedziono.

= Znajomość dziejów literatury powszechnéj wśród naszego ogółu jest bardzo elementarna, że nie powiem żadna. Z tego względu każdy rozumnie obmyślany środek zaradzenia tak rażącemu brakowi

należy powitać uznaniem. Wspominaliśmy tu już dawniéj o prowadzonych siłami zbiorowemi od półtora roku *Dziejach literatury powszechnej z ilustracyami;* obecnie zaznaczyć wypada ukazanie się pierwszych dwu zeszytów **Historyi literatury powszechnej** *Jana Scherra* w przekładzie p. Bronisława Zawadzkiego, dokonanym według szóstego wydania oryginału. Sądzimy, że dla obu tych wydawnictw jest miejsce w naszém piśmiennictwie, różnią się one bowiem zarówno objętością zawartego materyału, jak i sposobem jego obrobienia. *Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami* są obmyślane i opracowywane na skalę obszerną; dość powiedzieć, że 27 arkuszy dotychczas wyszłych obejmuje tylko literaturę chińską, indyjską, egipską, asyryjsko-babilońską, hebrajską, perską i początek greckiéj (Homer), gdy tymczasem praca Scherra, pomimo ciągłego w nowych edycyach rozszerzania tekstu, nie mogła pozbyć się pierwotnéj cechy encyklopedyczności, tak że na 20 arkuszach, pomieściła oprócz sześciu powyżéj wspomnianych literatur, historyą jeszcze innych wschodnich, tj. japońskiéj, arabskiéj, perskiéj, tureckiéj, a nadto całą literaturę grecką, rzymską i wstęp do wieków średnich. Powtóre, co do sposobu traktowania rzeczy Scherr stara się o jaknajwiększą zwięzłość, a przytém o wyliczenie znacznéj liczby nazwisk i tytułów, skutkiem czego opowiadanie jego zamienia się czasami, na suchy katalog różnych imion własnych z pewnemi epitetami albo też na proste wyjątki ze znakomitych arcydzieł np. z Iliady, Odysei, tragedyi, komedyi, mów itp. gdy tymczasem autorowie *Dziejów literatury z ilustracyami* starają się zaznajomić z treścią utworów, ażeby dać należyte pojęcie o ich całości. Odpowiednio więc do potrzeb, czytelnik może użyć jednéj lub drugiéj pracy. Tłómacz Scherra dodaje od siebie tu i owdzie przypiski, czy-to uzupełniające bibliografią podaną przez autora, czy też wyjaśniające jakiś szczegół z historyi literatury, gołosłownie w tekście podany; przytém obiecuje uzupełnić dzieje literatur słowiańskich. Wydanie jest wogóle staranne; na pierwszych jednakże kartach dostrzegliśmy niemiłe usterki językowe i faktyczne. Wyrażenie: „*słabych* jéj początków można *śledzić* już w starożytnych czasach" jest niepolskie; Dyonizyusz z Halikarnasu nigdy się *Dyonizosem* nie nazywał; żadnego *Philistra* historya literatury greckiéj nie zna, tylko chyba *Filostrata*, autora Zarysów z życia sofistów; Klein już nie *opracowywa* swéj historyi dramatu; gdyż umarli „szybko wprawdzie jeżdżą", jak mówi niemiecka ballada, ale pisywać nie zwykli. Wyrażenie *Inkasowie*, choć rozpowszechnione, powinnoby ustąpić miejsca jedynie naukowéj nazwie *Inkowie*, gdyż znakiem liczby mnogiéj nie jest w polskim języku głoska *s*, do któréjby dodawały się jeszcze inne zakończenia; „drama w rodzaju żeńskim dawno już wyszła

z użycia. Te i tym podobne usterki przy pilniejszéj rewizyi tekstu łatwo mogłyby być usunięte, to też rzadziej się spotykają w dalszym ciągu.

= **Dzieł Lucyana Siemieńskiego** wyszły 3 dalsze tomy. Tom piąty, obejmuje pięć portretów: *Konstantego Gaszyńskiego*, *Antoniego Malczewskiego*, *Jana Pawła Woronicza*, *Wacława Rzewuskiego i Anioła Szlązaka.* Oprócz tego znajdujemy tu nadzwyczaj ciekawą i zajmującą rozprawkę, z samych prawie listów autentycznych złożoną p. n. *Obóz klasyków,* gdzie zapoznajemy się z poglądami, usposobieniami i uczuciami wielu słynnych i wpływowych osobistości pomiędzy rokiem 1823 a 1830. Trudno wprawdzie twierdzić, że to jest zupełna historya nie już walki romantyków z klasykami, ale choćby tylko samego obozu klasycznego, gdyż autor, opierając się wyłącznie niemal na listach, nie zużytkował dość obfitego materyału drukowanego; w każdym atoli razie jest-to wyborny przyczynek do charakterystyki owych ważnych i ciekawych czasów. Tom szósty i siódmy przenoszą nas do zupełnie innéj dziedziny prac literackich Siemieńskiego. W poprzednich widzieliśmy jego zdolności krytyczne, w tych zapoznajemy się z jego twórczością beletrystyczną. Dodać należy, iż twórczość ta wprzód się w nim objawiła, zanim przeszedł na pole sprawozdań i krytyki. Właściwego talentu powieściopisarza Siemieński nie posiadał; to, co Taine nazywa „tworzeniem dusz," w bardzo małym stopniu przyznać mu można. Zamiłowanie do wypadków nadzwyczajnych, do ludzi ekscentrycznych prowadziło go do przeważnego zwracania uwagi na wyjątki, nie na ogół ludzki. Przytém zaczął pisać w owéj chwili, kiedy romantyzm obudził uczucia gwałtowne i namiętne, do których niejednokrotnie ludzie się dostrajać musieli, nie czując ich w sobie naprawdę. Siemieński miał rzeczywiście zawsze wiele zdrowego rozsądku i bardzo wcześnie umiał się krytycznie zapatrywać na objawy będące w modzie, a dowodem tego może być humorystycznie skreślony obrazek p. n. *Romantyk*, ale uwolnić się w zupełności od wpływu atmosfery duchowéj czasu nie potrafił. Jego nowelle i opowiadania, odczytywane dzisiaj, robią wrażenie czasami dawno zasuszonych kwiatów, mających powab wspomnień, a często także zaleci z nich zapach perfum zwietrzałych; co się podobało, gdy było modném i świeżém, dziś już wygląda tak, jak starych mód ryciny. Uczucia egzaltowane i gorączkowe, wywoływanie duchów, pocałunki przesyłane księżycowi, wiary we wróżby i przepowiednie, eksperymenta magnetyczne, awantury nieprawdopodobne, bohaterowie dotknięci obłędem, historye o alchemikach w wieku XIX, sentymentalne ogólniki o anielstwie lub zmienności płci pięknéj, o wszechpotędze dukata, o nędzocie i nikczemności

natury ludzkiéj — zastępują tu miejsce nieskończonéj różnorodności objawów serca, ludzi żyjących wśród warunków rzeczywistych, analizę psychologiczną, obserwacyą szczegółową, przedmiotowość w przedstawieniu rzeczy, wypadków i dusz. Opowiadanie wszędzie płynie gładko, czasami strzeli dowcipem, ale nie odbija charakteru indywidualnego przedstawianych osobistości; wszędzie i zawsze widzimy autora, który nie waha się nawet otwarcie, wobec czytelnika, pokazywać sznurków służących do wprawiania w ruch tych ludzi, o których toczy się opowiadanie. Ale jako opowiadacz-stylista Siemieński ma zalety niepospolite, a najpierwszą tę, że nie nudzi, że nie przedłuża wątku nad miarę, że opowiada żywo i ma humor. Dwa zbiory powiastek i opowiadań, jeden pod napisem arabskim *Muzamerit* (gawęda przy świetle księżyca), drugi pod naszym zwykłym: *Wieczornice* obejmują kilkanaście utworów, z których jedne mogą służyć za ciekawe okazy zaginionego już dzisiaj gatunku nowelli, inne spełniwszy swoje zadanie u dorosłych, przeszły albo przejść mogą do książek dla dzieci (*Portret króla Jana*, *Wiązanka konwalij*, *Przygoda podróżnika*, *Szklany człowiek* i in.). Nie chciałbym, ażeby czytelnicy brali to ostatnie orzeczenie za wyraz lekceważenia spuścizny po niepospolitym felietoniście, bo napisać rzecz dobrą dla dzieci nie jest tak łatwo, jak wielu się jeszcze wydaje, a wymienione opowiadania są istotnie dobremi.—Wśród powiastek znajdujemy w zbiorze „Wieczornic“ kilka artykułów, które właściwie umieścićby należało w tomach poprzednieh, jak np. „Typy i charaktery w literaturze,“ „O miłości w poezyi i w świecie rzeczywistym,“ „Duch i symbolika w sztuce,“ „Olesk i Biały Kamień,“ „O architekturze chrześcijańskiéj,“ „Rysy górali tatrzańskich.“ Zostawiono je tutaj, gdyż tak zrobił autor, wydając niegdyś swoje „Wieczornice“ w trzech tomach w Wilnie.

= Holandya jest jedynym w Europie krajem, gdzie po uniwersytetach, a jest ich cztery, wykładano na wydziałach teologicznych *historyą religij*, jako osobny przedmiot, nim jeszcze nastąpiła w 1876 r. głośna reforma tych wydziałów, polegająca na stanowczém ich sekularyzowaniu. Fakt ten wytworzył grono uczonych, którzy bez żadnego nacisku lub przeszkód z zewnątrz, badając w ciszy gabinetów przedmiot tak ważny, jak rozwój i przejawy pojęć religijnych, pracami swemi zaraz po wyjściu w świat tłómaczonemi na inne języki, wzbogacali piśmiennictwo naukowe europejskie.Na fakt ten powoływał się minister oświecenia we Francyi, gdy w senacie przed dwoma laty stawał w obronie projektu rządowego otwarcia pierwszéj w *Collége de France* katedry historyi religij. Do piśmiennictwa przeto holenderskiego udać się byli zmuszeni francuzi, gdy szło o wyszukanie sto-

sownego *podręcznika* przedmiotu nowego, wprowadzonego świeżo w kolegium do wykładu, chociaż wydali szereg uczonych badaczy, którzy dla tych-że holendrów dostępnemi uczynili *księgi religijne* rozmaitych narodów starożytnych. Wydany w roku zeszłym **Manuel de l'histoire des Religions** jest przekładem z holenderskiego. Autor przełożonego dzieła, profesor historyi religii w Lejdzie *C. P. Tiele* już był poprzednio znany z prac następnych: *De Godsdienst van Zarathustra*, 1864; *Vergelijkende Geschidenis der Oude Godsdiensten*, 1869—1872; *De Plaats van de Godsdiensten der Natuurvolken in de godsdienstgeschiedenis*, 1873. Tłómacz dzieła profesora Tiele, *M. Vernes* zmienił tytuł jego. Nazwał *podręcznikiem* historyi *religij* to dzieło, któremu autor nadał tytuł: *Zarys* historyi *religii*. Objaśniając znaczenie nadanego tego nadpisu, autor mówi we *wstępie* do przekładu francuskiego: „Należy zawsze pamiętać, żem zamierzył wykład historyi *religii*, nie zaś historyi *religij*. Materyał pozostaje ten sam w obu wypadkach. Lecz za to punkt wyjścia jest różny. Wykładający historyą *religij*, mało może baczyć na ogniwa łączące z sobą rozmaite systemata religijne lub obrazy religij; wykładający historyą *religii* zamierza wykazać, w jaki to sposób znany *fakt psychologiczny*, któremu nadajemy nazwę *religii*, rozwija się i w różnych formach u rozmaitych plemion zamieszkujących ziemię przejawia. Chce on przedstawić, jak wszystkie religie, nie wyłączając nawet religii narodów najbardziéj ucywilizowanych, powstały z jednéj, prostéj i pierwotnéj zasady. Chce on wyjaśnić, jakie okoliczności sprzyjały, jakie zaś stawały na przeszkodzie rozwojowi téj zasady, skoro doprowadziły ją u jednych do polidemonizmu niskiego, u drugich do najwyższych pojęć o bóstwie i o stosunkach jego ze światem. Zamiast klasyfikacyj sztucznych, tchnących laboratoryum, wprowadzamy więc rozwój zewnętrzny i wewnętrzny, również niezaprzeczony w historyi, religii jak i w historyi cywilizacyi ogólnéj...“ Przechodząc do *historyi*, autor w księdze 1-széj swego dzieła następne zaznacza zwroty w rozwoju religii: „Epoka religii pierwotnéj, któréj zaledwo słabe pozostały ślady, zakończyła się peryodem *animizmu*. Animizm dość wcześnie doprowadził ludy cywilizowane do narodowych religij *politeistycznych*, opartych na doktrynach tradycyjnych. Następnie z politeizmu tu i owdzie powstały religie *nomistyczne*, czyli gminy religijne, urządzone według przepisów czyli zakonu zawartego w piśmie świętém (Konfucyanizm, Tanizm, Mozaizm, przed VIII wiekiem ery naszéj, i wynikły z niego Judaizm, Brahmanizm i Mazdeizm). W gminach tych z biegiem czasu politeizm przekształcił się w *panteizm* lub *monoteizm*. Dwa te poglądy filozoficzno-religijne doprowadziły z czasem do religij powszechnych (Buddaizm, Chrystyanizm, Mahometanizm), opartych na

zasadach stałych, prowadzących do celów, z tych zasad wypływających." Słowa te posłużyły za programat całego dzieła. Grunt filozoficzno-dogmatyczny, na którym autor z założenia swego stanął, nie pozwolił mu wprowadzić do dzieła wielu szczegółów ilustrujących każdą religią, nie pozwolił uwzględnić pochodzenia i opisu kultu, powstawania i przekształcania się mitów, piśmiennictwa apologetycznego i polemicznego. Lecz zarazem nie przeszkodził mu korzystać ze wszystkich i najnowszych odkryć w dziedzinie etnografii, językoznawstwa i historyi.

KORESPONDENCYA.

Szanowna Redakcyo!

W majowym zeszycie „Ateneum" w b. r. podaną została wiadomość, zaczerpnięta, jak sądzę, z Bibliografii polskiéj Estrejchera, że p. Gubrynowicz we spół ze mną założył i początkowo wydawał *Bibliotekę Mrówki*. Upraszam o uprzejme sprostowanie téj wiadomości, gdyż p. Gubrynowicz nigdy do tego wydawnictwa nie należał i ja nigdy nic wspólnie z p. Gubrynowiczem nie wydawałem. Ja sam rozpocząłem w r. 1869 wydawać Bibljotekę Mrówki i prowadziłem to wydawnictwo sam do roku 1878, w którym to czasie przystąpił do współki p. M. Biernacki (Rodoć) i odtąd prowadzimy je razem, ale zawsze bez jakiegokolwiek bądź udziału p. Gubrynowicza.

Z wysokiem poważaniem

Lwów, 2 Lipca r. 1881. *A. D. Bartoszewicz.*

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **Piotr Chmielowski.**